

# PAT CONROY



## KSIĄŻĘ PRZYPLÝWÓW

**The Prince of Tides**

Tłumaczył Jerzy Łoziński

Z miłością i wdzięcznością książkę tę dedykuję: mojej żonie, Lenorze Gurewitz Conroy, która sprowadza księżyc, moim córkom: Jessice, Melissie, Megan i Susannah, które noszą nazwisko Conroy, Gregory'emu i Emily Fleischerom, moim braciom i siostram: Carol, Michaelowi, Kathleen, Jamesowi, Timothy'emu i Thomasowi, mojemu ojcu, emerytowanemu pułkownikowi piechoty morskiej USA, Donaldowi Conroyowi, a także pamięci mojej matki, Peg, niezwyklej kobiety, która zbudowała ten dom i thnęła weń ducha.

### Podziękowania

Wielu ludziom winien jestem wdzięczność za wyrozumiałość i pomoc, jakich udzielili mi podczas pisania tej książki. Mój ojczym, kapitan marynarki wojennej USA, John Egan, traktował moją rodzinę i mnie z wielką miłością, kiedy moja matka umierała na białaczkę. Przez cały czas pisania tej książki Turner i Mary Bellowie pozwalali mi korzystać ze swego domku w górach, podobnie też kluczy do swego górskiego domu w Highlands w Karolinie Południowej nie skąpili mi James Landon i Al Campbell. Wiele historii, które tu pomieściłem, opowiedział mi najwspanialszy z mieszkańców Karoliny Południowej, sędzia Alex Sanders, kiedy siedzieliśmy w domu Joe i Emily Cummingsów w Tatę Mountain. Z wielką wprawą książkę przepisała na maszynie Julia Bridges. Nan Talese jest znakomitą redaktorką i kobietą niezwyklej urody. Wspaniała była też Sarah Flynn. Julian Bach, mój agent literacki, jest jednym z najwspanialszych ludzi, jakich spotkałem. W moim wydawnictwie, Houghton Mifflin, panuje prawdziwie rodzinna atmosfera. Barbara Conroy okazała się świetną prawniczką i wzorem matczynej opieki nad naszymi dziećmi. Niezrównany był Cliff Graubart z Old New York Book Shop, wielką odwagę wykazał Derril Randel. Podziękowania należą się także Dentowi Acree, Peggy Houghton i sędziemu Williamowi Sherrillowi. W życiu miałem szczęście w zawieraniu przyjaźni, chcę więc przesłać pozdrowienia wszystkim przyjaciółom z Atlanty, Rzymu i miejsc pośrednich. Teraz was ściskam, a z nazwiska wymienię przy następnej okazji.

## PROLOG

Moją raną jest geografia. Ona też daje mi zakotwiczenie, wyznacza mój port macierzysty.

Wzrastałem pośród przyptywów i rozlewisk Colleton, ręce miałem ogorzałe i silne od całodziennej pracy na kutrze krewetkowym w osłepiającym upale Karoliny Południowej. Ponieważ byłem jednym z Wingo, więc zacząłem pracować, jak tylko nauczyłem się chodzić. Kiedy miałem pięć lat, potrafiłem gołymi rękami schwytać kraba. Jako siedmiolatek zastrzeliłem pierwszą łanię, a w wieku lat dziewięciu regularnie już dostarczałem mięso na rodzinny stół. Urodziłem się i wychowałem na jednej z brzegowych wysp Karoliny, a słońce tej okolicy na ciemno zabarwiło moje plecy i barki. Jako chłopiec najszczęśliwszy byłem, kiedy w małej łódce przemykałem się między mieliznami ze spokojnym plemieniem ostryg zastygłym na brązowych ławicach odsłoniętych przez przyptyw. Znałem z nazwiska każdego poławiacza krewetek i oni też mnie znali, pozdrawiając syrenami, kiedy widzieli, jak łowię ryby.

Jako dziesięcioletek dla przyjemności zastrzeliłem orła bielika, był to wyczyn dla samego wyczynu, a zrobiłem to pomimo urzekającego piękna jego lotu nad rojowiskiem dorszy. Był to pierwszy i jedyny raz, kiedy zabiłem nie znane mi stworzenie. Ojciec najpierw złał mnie za złamanie prawa i zabicie ostatniego orła w hrabstwie Colleton, potem kazał oprawić orła, upiec na ognisku i zjeść jego mięso, co robiłem ze łzami ciekącymi mi po policzkach. Następnie udaliśmy się do szeryfa Bensona, który na godzinę zamknął mnie w celi. Z piór ojciec zrobił niezgrabny indiański pióropusz i kazał mi go nosić w szkole. Wierzył w odpokutowanie grzechów. Nosilem to cudaczne nakrycie głowy przez tydzień, gdyż potem zaczęło się rozpadać pióro po piórze, które znaczyły mój ślad na korytarzach szkolnych, jakbym był liniejącym aniołem.

- Żebyś już nigdy więcej nie zabił zwierzęcia równie rzadkiego! - powiedział ojciec.

- Dobrze przynajmniej, że nie był to słoń.

- Miałbyś wtedy posiłek na kilka dni - brzmiała odpowiedź.

Ojciec nie pozwalał na żadne wykroczenia przeciw ziemi rodzinnej. Potem często jeszcze polowałem, ale orłom nic już nie groziło z mojej strony.

Ducha Południa matka wpoila we mnie w formie najbardziej delikatnej i czulej. Wierzyła w sny zwierząt i kwiatów. Zanim zasnęliśmy, głosem urodzonej narratorki opowiadała nam o łososiach, którym śnią się górskie

strumienie i nachylone nad nimi brązowe łby niedźwiedzi grizzli. Miedzianki, mówiła, śniły o tym, jak zatapiają swe zęby w łydki myśliwych. Rybołowy zatopione w pierzastych, nastroszonych snach, krzyczały, spływając ku igrającym w falach śledziom. W snach gronostajów gwałtownie łopotały skrzydła sów, znieruchomiałemu na noc łosiowi śniły się podpełzające wilki.

Nigdy jednak nie dowiedzieliśmy się, co śniło się jej samej, matka bowiem nie dawała nikomu przystępu do swego życia wewnętrznego. Wiedzieliśmy, że pszczoły śnią o różach, róże - o białych dłoniach kwiaciarki, a pająki o wielkich ćmach zaplątanych w sieci. Dzieci wkraczały między oszałamiające kołysanki wyobraźni, nie wiedziały jednak, o czym śniła matka.

Każdego dnia prowadziła nas do lasu czy ogrodu i nadawała imiona zwierzętom czy kwiatom. I tak monarch stawał się „podstępny kochankiem sadów”, a żonkile na kwietniowej łące - „tańcem panieńskich parasolek”. Dzięki swej pomysłowości najbanalniejszy spacer po wyspie matka potrafiła przemienić w podróż pełną niespodzianek. Jej oczy stanowiły klucze do pałaców przyrody.

Moja rodzina żyła w dumnej izolacji na Melrose Island, w małym białym domku, który pomagał budować dziadek. Front domu wychodził na kanał prowadzący do rzeki, w dole której widać było białe budowle miasteczka Colleton, wznoszące się nad mokradłami niczym figury szachowe. Melrose Island miała kształt rombu, dwieście akrów kwadratowych powierzchni i otoczona była przez słone wody rzeki, strumieni i kanału. Moja rodzina okolicą to żyzny, półtropikalny archipelag, który delikatnie przygotowywał ocean na twardy opór brzegów kontynentalnych. Melrose była jedną z sześćdziesięciu nabrzeżnych wysp hrabstwa Colleton. Na jego wschodnim skraju znajdowało się sześć wysp tarczowych, najdalej wysuniętych w głąb Atlantyku. Inne wyspy, podobnie jak Melrose pełne rozlewisk i mokradeł, użyczały zielonej gościny brązowym i białym krewetkom, które tam składały ikrę. Kiedy się pojawiały, czekali już na nie w zgrabnych, śmigłych łódkach ojciec i inni rybacy.

Jako ośmiolatek pomagałem ojcu budować mały drewniany mostek, który łączył nasze obejście z groblą prowadzącą przez mokradła do znacznie większej St Anne's Island. Ta połączona była z miasteczkiem długim stalowym mostem przerzuconym nad rzeką. Ojciec potrzebował pięciu minut, aby pickupem dotrzeć do drewnianego mostku, a następnych dziesięciu, by znaleźć się w Colleton.

Zanim w 1953 roku zbudowaliśmy most, matka odwoziła nas do szkoły łódką. Jakkolwiek ohydna mogła być pogoda, każdego poranka płynęła z nami przez rzekę, a po południu czekała na nas przy głównej przystani. Jazda do Colleton przez „Boston Whaler” zawsze była szybsza niż samochodem. Przez te lata odwożenia nas do szkoły matka nabyła wielkiej wprawy w sterowaniu łodzią, ale od kiedy stanął most, rzadko do niej wsiadała. To tylko dla nas mostek był połączeniem z miasteczkiem, dla matki łączył Melrose Island z całym zewnętrznym światem, pełnym niezwykłych obietnic i możliwości.

Melrose stanowiła jedyną godną wzmianki posiadłość rodziny mego ojca, klanu pełnego pasji, nader jednak pechowego, a jego upadek po Wojnie Domowej był szybki, niewątpliwy i, jak się zdaje, nieunikniony. Mój prapradziadek, Winston Shadrach Wingo, dowodził pod Beauregard baterią, która ostrzeliwała Fort Sumter. Umarł jako nędzarz w Domu dla Żołnierzy Konfederatów i aż do śmierci nie odezwał się do żadnego Jankesa niezależnie od płci. Pod koniec życia zdobył Melrose Island, grając w podkowy, i miejsce to, zarośnięte i malaryczne, przechodziło z rąk do rąk w trzech pokoleniach Wingo, aż przypadkiem dostało się ojcu. Dziadka zmęczyło już posiadanie Melrose, ojciec zaś okazał się akurat jedynym Wingo, który był w stanie zapłacić podatki stanowe i federalne, aby wyspa nie przeszła na własność państwa. Tak czy owak, gra w podkowy cieszyła się zawsze szacunkiem w mojej rodzinie, zawsze też z uznaniem wyrażano się o Winstonie Sharachu, pierwszym w rodzinie wyróżniającym się sportowcu.

Nie wiem natomiast, kiedy rozpoczęła się długa, nużąca wojna między matką i ojcem. Większość ich starć była podobna do walk na śmierć i życie, w których dzieci odgrywały rolę rujnowanych posterunków. Żadne z nich nie zastanawiało się nad szkodami, które w ten sposób wyrządza się czemuś tak delikatnemu jak dziecięce życie. Nadal jestem przekonany, że kochali nas głęboko, ale jak w przypadku wielu rodziców, ich miłość okazała się zabójcza. Byli osobami tak wyjątkowymi, że ich interesujące strony niemal równo ważyły owo bezmyślne spustoszenie.

Byłem synem pięknej, obdarzonej darem wymowy matki, której pieśczęt pragnąłem jeszcze wiele lat potem, gdy nie czuła się już zobowiązana do obdarzania pieśczętami. Do końca życia będę ją wielbił za to, że nauczyła mnie dostrzegać piękno we wszystkich formach i przejawach świata. To ona sprawiła, że zachwycąłem się światłami na kutrze podczas nocnych połowów i brązowymi pelikanami przeskakującymi z fali na fale. To ona pokazała mi osobliwe formy jeźwców, flądry

spoczywające w piachu na dnie, stary wrak w pobliżu Colleton Bridge, stanowiący siedzibę wydr. Patrzyła na świat przez pryzmat rozwibrowanej, autentycznej wyobraźni. Lila Wingo wychowała swoją córkę na poetkę i psychotyczkę. Z synami była ostrożniejsza i na rezultaty trzeba było dłużej poczekać. Utrwaliła dla mnie wielorakie obrazy dzieciństwa, portrety i martwe natury, które ukazują się w oknach czasu. W oczach zachwyconego syna była królową wspaniałej wyobraźni, a jednak nie mogę jej wybaczyć, że nie opowiedziała mi o marzeniu, którym żyła przez całe me dzieciństwo, a które miało zniszczyć rodzinę i spowodować śmierć jednego z nas.

Byłem synem nie tylko pięknej kobiety, ale także poławiacza krewetek, trudno więc się dziwić miłości, jaką żywiłem do rybackich łodzi. Wychowałem się nad wodą i całe moje życie przeniknięte było zapachem słonych mokradeł. W lecie wraz z bratem i siostrą pomagałem ojcu w połowach. Nic nie sprawiało mi większej przyjemności niż widok flotylli wypływającej przed wschodem słońca na spotkanie wrzących ławic krewetek, które sunęły wraz z falami przyprływu. Ojciec za kołem sterowym popijał swą pierwszą kawę i wsłuchiwał się w gwarowe okrzyki innych rybaków. Zapach krewetek tak bardzo przeniknął jego ubranie, że nic na to nie mogła poradzić woda, mydło i zaciekle wysiłki matki. Kiedy nadchodził czas ciężkiej pracy, ojca spowijał inny zapach: z wonią krewetek łączył się pot, co dawało całość osobliwą, wspaniałą. Jako mały chłopiec stawałem obok niego, zanurzałem nos w koszulę i wdychałem zapach ciepły i bogaty jak zaorana gleba. Myślę, że gdyby nie gwałtowny charakter, Henry Wingo byłby wspaniałym ojcem.

Pewnej jasnej nocy letniej, gdy byliśmy bardzo mali, a wilgotne powietrze niczym mech osiadło na okolicy, cała nasza trójka nie mogła zasnąć: Savannah i ja byliśmy trochę przeziębieni, Luke miał udar słoneczny. Matka poszła z nami aż do przystani nad kanałem.

- Mam dla was niespodziankę, kochani - powiedziała, podczas gdy my wpatrywaliśmy się w morświna, który w sennej, metalicznej wodzie sunął w kierunku Atlantyku. Usiedliśmy na ruchomym pomoście i gołymi stopami usiłowaliśmy dotknąć wody. - Chcę, żebyście zobaczyli coś, co pozwoli wam zasnąć. Spójrzcie tam.

Wyciągnęła rękę na wschód. Zapadał zmrok długiego wieczoru typowego dla Południa i zniecka, dokładnie w miejscu wskazywanym przez jej palec, księżyc wzniósł nad horyzont swe zdumiewająco złote czoło, wyłaniając się z delikatnych, rozświetlonych od wewnątrz chmur, które rozsnuły swój welon nad widnokretem. Za nami w skoordynowanym ruchu zapadało się słońce i rzeka rozjarzyła się blaskiem dwóch

konkurujących zórz złota... Młode, zdumiewające, wstępujące złoto księżycy i zleżałe złoto słońca, które osuwało się na zachodzie. Nad mokradłami Karoliny rozgrywał się pradawny taniec, na oczach dzieci umierał dzień w sposób zapierający dech w piersi, aż wreszcie słońce zniknęło, zostawiając po sobie pomarańczową wstążkę nad szczytami dębów. Księżyc zaczął teraz szybko wspinać się po niebie, niczym ptak wzbijający się nad wodę, drzewa, wyspy: złoty, żółty, bladożółty, bładosrebrny, jaskrawosrebrny, aż wreszcie osiągający odcień trudny do nazwania, a właściwy jedynie nocom Południa.

Siedzieliśmy oniemiała na widok tego, jak matka wyczarowała księżyc z wody, kiedy osiągnął najgłębszy z odcieni srebra, Savannah, mająca wtedy trzy lata, zawołała, do matki, Luke'a, mnie, do rzeki i księżycy: „Mamo, jeszcze raz!” I to jest moje najdawniejsze wspomnienie.

Nasze pierwsze, formujące lata spędziliśmy u boku ślicznej kobiety, która opowiadała o snach czapli i pelikanów, która potrafiła przyzwać księżyc i kazać odejść słońcu, ale tylko po to, aby następnego ranka wywołać je z fal Atlantyku. Lila Wingo niewiele znajdowała w sobie pasji do nauki, bardzo wiele jednak dla przyrody.

Aby uzmysłwić wam, co to znaczy dojrzywać w nadmorskiej okolicy Karoliny Południowej, musiałbym zabrać was w wiosenny dzień na mokradła, wypłoszyć czaple z ich cichych ustroni, poderwać z zarośli dzikie kaczkę, gdy brnąć będziemy po kolana w błocie, otworzyć skorupę ostrygi scyzorykiem i podać prosto z muszli ze słowami: „Oto smak mego dzieciństwa”. Powiedziałbym: „Odetchnijcie głęboko”, a wy zaczerpnęlibyście powietrza i zapach ten pozostałby w was do końca życia, śmiały, gęsty zapach mokradeł nasycanych przyływami, zmysłowy, niezapomniany zapach rozgrzanego upałem Południa, przywodzący na myśl mleko, nasienie, skwaśniałe wino, a wszystko podlane morską wodą. Dusza moja niby jagnię pasie się pięknem wdzierających się w głąb ładu przyptywów.

Jestem patriotą jednego tylko krajobrazu, o swoich stronach mówię z religijną nabożnością i dumą. W wielkim mieście poruszam się ostrożnie, zawsze czujny i napięty, ponieważ serce moje należy do krainy bagnistej i podmokłej. Nadal żywy we mnie chłopiec niesie w sobie wspomnienia tamtych dni nad Colleton River, gdy o świcie wyciągałem z wody sieć z krabami, nad tą rzeką byłem niejako ministrantem przyptywów.

Pewnego razu, kiedy opalaliśmy się nad morzem nieopodal Colleton, Savannah z krzykiem zaczęła wskazywać w kierunku morza, skąd wynurzyło się zdezorientowane stado grindwali, których jakaś czterdziestka



przewalała się koło nas, aż wreszcie czarne i błyszczące znieruchomiały na piachu.

Upływały godziny, a my chodziliśmy od jednego zdychającego ssaka do drugiego i dziecinnymi szlochami namawialiśmy je, aby wróciły do oceanu. Byliśmy tacy mali, a one takie piękne. Z daleka przypominały czarne buty wielkoluda. Szeptaliśmy do nich, usuwaliśmy im piach z nozdrzy, spryskiwaliśmy wodą przyniesioną z brzegu, błagaliśmy, by przynajmniej dla nas zechciały przetrwać. Wyszły z morza, tajemnicze i ogromne, a my wymawialiśmy wobec nich dziecięce zaklęcia, nie mogąc się pogodzić z dobrowolną śmiercią. Żaden z nich nawet nie drgnął, ale zostaliśmy z nimi przez cały dzień i usiłowaliśmy zawrócić do wody, ciągnąc za wielkie płetwy, aż wreszcie, wraz z mrokiem, przyszło wyczerpanie i cisza. Byliśmy przy nich, kiedy zaczęły umierać, jeden po drugim. Głaskaliśmy ich wielkie łby i modliliśmy się, podczas gdy wielorybie dusze oddziały się od wielkich, czarnych ciał i niczym fregaty sunęły przez noc do morza, gdzie nurkowały aż do świetlistego dna świata.

Nasze późniejsze wspomnienia z dziecinnych czasów były po części elegią, a po części opowieścią o zmorach. Kiedy siostra zaczęła pisać książki i stała się sławna, dziennikarze dopytywali się o jej dzieciństwo, a wtedy ona prostowała się, odgarniała włosy z czoła, poważniała i mówiła: „Jako dziecko wraz ze swymi braćmi chodziłam po grzbietach delfinów i wielorybów”. Nie było, rzecz jasna, żadnych delfinów, ale istniały dla mojej siostry. Tak zdecydowała się pamiętać te czasy, tak zdecydowała się czcić i tak zdecydowała sieje przedstawiać.

W zmorach nie ma jednak nic czarownego i zawsze z trudem przychodziła mi rzetelna ocena dzieciństwa, gdyż wymagało to wyjaśnienia szczegółów i rysów historii, o których wolałbym zapomnieć. Przez całe lata nie byłem zmuszony spojrzeć w twarz demonologii mojej młodości, po prostu postanowiłem, że nie będę tego robił, i znalazłem ratunek w miłym ogrodzie zapomnienia, który daje schronienie zimnym, zgubnym upiorom nieświadomości. Tymczasem wystarczył jeden jedyny telefon, abym na powrót został wciągnięty w historię mojej rodziny i klęsk mego dorosłego życia.

Wolałbym nie mieć żadnych historii do opowiedzenia. Przez tak wiele lat udawałem, że moje dzieciństwo się nie wydarzyło. Musiałem je trzymać splątane, idąc za wątpliwym przykładem mojej matki. To akt woli decyduje o tym, czy się pamięta, czy nie, a ja postanowiłem nie pamiętać. Ponieważ bardzo chciałem kochać ojca i matkę w całym ich niedoskonałym, pełnym gniewu człowieczeństwie, nie mogłem ich bezpośrednio oskarżyć za szkody



wyrządzone nam wszystkim. Nie mogłem ich obciążać odpowiedzialnością czy winą za grzechy, które nie były ich intencją. Także i oni mieli swoją historię, historię, którą wspominam z czułością i bólem, historię, która każe mi wybaczyć to, że krzywdzili swoje dzieci. W rodzinie nie ma zbrodni nie do wybaczenia.

Odwiedziłem Savannah w nowojorskim szpitalu dla nerwowo chorych po tym, jak po raz drugi usiłowała popełnić samobójstwo. Nachyliłem się, aby ucałować ją w oba policzki - europejski zwyczaj. A potem, wpatrując się w jej wyczerpane oczy, zadałem jej cały ciąg pytań, które stawiałem, ilekroć spotykaliśmy się po długim niewidzeniu.

- Jak wyglądało twoje życie rodzinne, Savannah? - spytałem, udając, że przeprowadzam wywiad.

- Hiroszima - wyszeptwała.

- A jak wyglądało twoje życie po tym, jak opuściłaś ciepłe, przytulne łono rodziny, którą spajały sympatia i miłość?

- Nagasaki - powiedziała z gorzkim uśmiechem.

- Jesteś poetką, Savannah - powiedziałem, wpatrując się w nią uważnie. - Porównaj swoją rodzinę do statku.

- „Titanic”.

- Podaj tytuł poematu, Savannah, który napisałaś na cześć swojej rodziny.

- Historia oświęcimska.

Oboje zaśmialiśmy się.

- A teraz najważniejsze pytanie - rzekłem i nachyliłem się nad jej uchem.

- Kogo kochasz najbardziej na świecie?

Głowa Savannah oderwała się od poduszki, a w jej niebieskich oczach błysnęło przekonanie, kiedy popękanymi, bladymi wargami oznajmiła:

- Mojego brata, Toma Wingo. Mojego bliźniaka. A kogo najbardziej na świecie kocha mój braciszek?

- Ja także najbardziej kocham Toma - odpowiedziałem, trzymając ją za rękę.

- Na drugi raz nie udzielaj błędnych odpowiedzi, spryciarzu - powiedziała ledwie dosłyszalnie. Z łamiącym się głosem, ze łzami płynącymi po policzkach, ująłem jej głowę w obie ręce i głęboko spojrzałem w oczy.

- Najbardziej na świecie kocham moją siostrę, wielką Savannah Wingo z Colleton w Karolinie Południowej.

- Przytul mnie mocno, Tom! Przytul mnie! - Tak oto brzmiały nasze życiowe zawołania.

Nie było to stulecie, w którym żyło się lekko. Pojawiłem się na scenie w trakcie wojny światowej, która oznaczała także straszliwy świt ery atomowej. Wychowałem się w Karolinie Południowej jako biały południowiec, z natury skłonny do nienawiści wobec czarnych, w której zostałem na dodatek dobrze wyszkolony. Kiedy zagubiony i bezradny stanąłem wobec barykady ruchu praw obywatelskich, okazało się, że jestem podły i nie mam racji. Byłem jednak chłopcem myślącym, subtelnym, wrażliwym na niesprawiedliwość, dlatego zwyczajnie pracowałem, aby się zmienić i odegrać w tym ruchu małą, nieznaczącą rolę, niedługo to trwało, ale byłem z siebie niezwykle dumny. Potem na uczelni znalazłem się w gronie białych mężczyzn szkolonych na oficerów rezerwy i zostałem opluty przez zwolenników pokoju, dla których mój mundur był obrażą. Ostatecznie miałem się stać jednym z nich, ale nigdy nie naplułem na kogoś, kto nie zgadzał się z moimi opiniami. Sądziłem, że wkroczę w trzydziestkę jako spokojny, myślący mężczyzna, którego pełna życzliwości do ludzi filozofia jest trudna do podważenia, kiedy zniemacka zwałił mnie na ulicy ruch wyzwolenia kobiet i po raz kolejny znalazłem się po niesłusznej stronie barykady. Można by powiedzieć, że ucieleśniam wszystkie błędne poglądy wieku dwudziestego.

To siostra zmusiła mnie do konfrontacji z moim stuleciem i to ona wyzwoliła we mnie siły, bym spojrział w twarz rzeczywistości tamtych dni za rzeką. Już nazbyt długo mieszkalem na płyciznach i to siostra delikatnie wyprowadziła mnie na głębiny, gdzie wszystkie szkielety, wraki i czarne kadłuby czekały na moją niechętną inspekcję.

Prawda bowiem brzmi tak: były w mojej rodzinie zdarzenia, i to zdarzenia niezwykle. Znam rodziny, które cały swój los przeżywają bez jednej nawet rzeczy godnej opowiedzenia. Zawsze zazdrościłem takim rodzinom. Wingo stanowili ród, który los doświadczył na tysięczne sposoby i jego członków pozostawił bezbronnych, upokorzonych i pozbawionych czci. Ale moja rodzina miała także w sobie pewne siły, i to te siły pozwoliły niemal wszystkim spośród nas przeżyć atak furii. Chyba że będziecie woleli dać wiarę Savannah: ona twierdzi, że żaden z Wingo nie przetrwał.

Teraz zatem przedstawię wam moją historię.

Niczego w niej nie zabraknie.

Przyrzekam.

## ROZDZIAŁ 1

Była godzina piąta po południu czasu wschodniego, gdy w moim domu na Sullivans Island w Karolinie Południowej zadzwonił telefon. Moja żona, Sallie, i ja zasiedliśmy właśnie, by wypić drinka na ganku wychodzącym na Charleston Harbor i na Atlantyckie. Sallie poszła odebrać telefon, a ja zawołałem za nią:

- Ktokolwiek to jest, nie ma mnie w domu.
- To twoja matka - powiedziała Sallie, wracając.
- Wróc i powiedz, że umarłem - poprosiłem. - Powiedz, że umarłem tydzień temu i że byłaś zbyt zajęta, aby ją zawiadomić.
- Proszę, idź. Mówi, że to pilne.
- Zawsze mówi, że to pilne. I nigdy tak nie jest, nawet kiedy tak twierdzi.
- Tym razem chyba rzeczywiście pilne. Ona płacze.
- Kiedy mama płacze, wszystko jest w porządku. Nie pamiętam dnia, kiedy nie płakała.

- Ona czeka, Tom.

Kiedy wstawałem z krzesła, Sallie powiedziała:

- Bądź dla niej miły, Tom. Nigdy nie jesteś zbyt miły, kiedy rozmawiasz z matką.

- Nienawidzę matki, Sallie - oznajmiłem. - Dlaczego starasz się odebrać mi te małe przyjemności, które mi pozostały w życiu?

- Posłuchaj Sallie i bądź miły.

- Jeżeli oświadczysz, że zamierzasz spać wieczorem, rozwodzę się z tobą, Sallie. Nie, żebym miał coś do ciebie, ale to ty zmusiłaś mnie do odebrania tego telefonu.

- Witaj, kochana mamo - powiedziałem do słuchawki, wiedząc, że moja nieszczerza brawura nigdy jeszcze jej nie zwiódła.

- Mam Bardzo niedobrą wiadomość, Tom - powiedziała matka.

- A czy jakiegokolwiek wiadomości dotyczące naszej rodziny były inne, mamo?

- To naprawdę zła wiadomość. Tragiczna.

- Nie mogę się doczekać, aż wreszcie usłyszę.

- Nie chcę o tym mówić przez telefon. Czy mogę do was wpaść?

- Jeśli chcesz.

- Chcę tylko wtedy, jeśli i ty chcesz.

- Powiedziałaś, że chcesz wpaść. Nie mówiłem, że ja tego chcę.

- Dlaczego chcesz mnie urazić w takiej właśnie chwili?

- Mamo, nie wiem, co to za chwila. Nie powiedziałaś, co się stało, a ja wcale nie chcę cię urazić. Przyjeżdżaj do nas, a wtedy możemy przez chwilę poszczerzyć na siebie kły.

Odłożyłem słuchawkę i krzyknąłem na cały głos:

- Rozwód!

Czekając na matkę, patrzyłem, jak trzy nasze córki zbierają muszle na plaży przed domem. Miały lat odpowiednio dziesięć, dziewięć i siedem, dwie brązowowłose przedzielone blondynką, a ich wiek, wzrost i uroda niezmiennie mnie zachwycaly. Miarą ich pogodnego wzrostu było to, jak ja sam małałem. Można było uwierzyć w istnienie boginek, patrząc, jak wiatr rozwiewa im włosy, a ich małe, brązowe dłonie w jednoczesnym uroczym geście odgarniają kosmyki z oczu, podczas gdy śmiech ginie na wietrze. Jennifer zawołała coś do dwóch pozostałych i podniosła do światła wielką konchę. Oparty o balustradę, zobaczyłem, jak sąsiad zatrzymuje się, aby z nimi porozmawiać.

- Panie Brighton - zawołałem. - Mógłby pan dopilnować, żeby te małe nie paliły więcej dymków na plaży?

Dziewczynki spojrzały w górę i, machając na pożegnanie Brightonowi, przez wydmy i osty pobięły do domu. Na stoliku, gdzie stał mój drink, położyły kolekcję swych muszli.

- Tato - powiedziała Jennifer, najstarsza. - Zawsze musisz nam robić wstyd przed ludźmi.

- Tato, znalazłyśmy skrzydelnika - zapisała Chandler, najmłodsza. - On żyje.

- Żyje - potwierdziłem, odwracając muszlę. - Możemy go dzisiaj zrobić na kolację.

- Och, wspaniale, tato - wykrzyknęła Lucy. - Jaka pyszna kolacja!

- Nie - zaprotestowała najmłodsza. - Zaniosę go na plażę i włożę z powrotem do wody. Pomyśl tylko, jaki jest przestraszony, kiedy usłyszał, że chcesz go zjeść.

- Och, Chandler - powiedziała Jennifer. - Jakaś ty śmieszna. Ślimaki nie mówią po angielsku.

- A skąd to wiesz, Jennifer? - zapytała Lucy. - Nie możesz wiedzieć wszystkiego. Nie jesteś królową całego świata.

- Tak - podchwyciłem. - Nie jesteś królową całego świata.

- Wolałabym mieć dwóch braci - powiedziała Jennifer.

- My też chciałobyśmy mieć starszego brata - odcięła się Lucy z cudownym błyskiem złości w oczach.

- Zabijesz tego starego, obrzydliwego ślimaka, tato? - spytała Jennifer.

- Chandler dostanie szafu.  
 - Nie, zabiorę go na plażę. Nie zniosę tego, że Chandler będzie nazywała mnie mordercą. A teraz wszystkie do całusa.

Cała trójka z ociąganiem ustawiła się tak, że ich perfekcyjnie uformowane pupki przywierały do moich ud i kolan, a ja nachyliłem się i każdą z nich ucałowałem w bok szyi i w kark.

- To już ostatni rok, że możemy coś takiego robić, panienki. Robicie się wielgachne.

- Wielgachne? Ja z pewnością nie robię się wielgachna, tato - sprostowała mnie Jennifer.

- Dlaczego nigdy nie mówisz do mnie: tatusiu?

- Tylko małe dzieciaczki mówią do swoich ojców: tatusiu.

- To i ja nie będę tak mówić - oświadczyła Chandler.

- Aleja lubię, kiedy tak do mnie mówicie. Czuję wtedy, że mnie uwielbiacie. Dziewczynki, chcę wam zadać pytanie i domagam się brutalnie szczerzej odpowiedzi. Nie oszczędzajcie uczuć swojego taty, czy też swojego tatusia, lecz powiedzcie to, co wam serce dyktuje.

Jennifer przewróciła oczyma.

- Och, tato, tylko nie znowu to samo.

- Kto jest najwspanialszym człowiekiem na świecie, jakiego kiedykolwiek spotkałyście? - spytałem.

- Mama - szybko odpowiedziała Lucy, uśmiechając się do ojca.

- Prawie dobrze - powiedziałem. - A teraz spróbujmy jeszcze raz. Pomyślcie o najwspanialszej, najcudowniejszej osobie, jaką znacie. Odpowiedź sama powinna wam się cisnąć na usta.

- Ty! - zawołała Chandler.

- Aniołku! Prawdziwy, śnieżnobiały aniołek, a taki mądry. Czego chcesz, Chandler? Pieniądzy? Klejnotów? Futer? Akcji giełdowych? Powiedz tylko, a twój kochany tatuś natychmiast ci to załatwi.

- Nie chcę, żebyś zabijał skrzydelnika.

- Zabijając go? Zamierzam posłać go do szkoły i wykształcić na człowieka interesu.

- Tato - powiedziała Jennifer. - Jesteśmy już za duże na to, żebyś tak z nami żartował. Zaczynasz nas kompromitować przed przyjaciółmi.

- Na przykład przed kim?

- Johnnym.

- Chodzi ci o tego żującego gumę, pryszczatego idiotę z ciągle otwartymi ustami?

- To mój chłopak - z dumą oznajmiła Jennifer.

- To matoł, Jennifer - powiedziała Lucy.
- Jest o wiele lepszy od tego karzełka, którego ty nazywasz swoim chłopakiem - odcięła się Jennifer.
- Ostrzegałem was już przed chłopakami, dziewczyny. Wszyscy są obrzydliwymi, dzikimi zwyrodnialcami, którzy mają brzydkie myśli i robią brzydkie rzeczy, jak na przykład sikają na krzaki i dłubią w nosach.
- Ty sam kiedyś byłeś chłopakiem - powiedziała Lucy.
- Tak? Potrafisz sobie wyobrazić tatę jako małego chłopca? - rzekła Jennifer, - Co za ubaw!
- Ja byłem inny. Byłem księciem. Byłem promieniem księżycowym. Tak czy owak, nie zamierzam się mieszać w twoje życie uczuciowe, Jennifer. Dobrze mnie znasz i wiesz, że nie jestem jednym z tych zrzedliwych ojców, którym nigdy nie podobają się faceci przyprowadzani przez córki. Nie zamierzam się wtrącać, to twój wybór i twoje życie. Możecie sobie wychodzić, za kogo chcecie, dziewczynki, jeśli tylko wszystkie skończycie studia medyczne.
- Ja nie chcę iść na medycynę - powiedziała Lucy. - Czy wiesz, że mama musi wkładać palce ludziom do pupy? Ja chcę zostać poetką, tak jak Savannah.
- W porządku, wyjdiesz za męża, kiedy wydasz pierwszy zbiór wierszy. Pójdę na kompromis. Jestem zgodnym człowiekiem.
- Wyjdę za męża wtedy, kiedy mi się spodoba - upierała się Lucy. - Nie potrzebuję pytać cię o zgodę. Będę już dorosłą kobietą.
- I o to właśnie chodzi, Lucy! - rzekłem z aprobatą. - Nie słuchaj niczego, co radzą ci rodzice. To jedyna reguła w życiu, jakiej chciałbym, abyście się trzymały.
- Wcale tak nie myślisz, tylko tak mówisz, tatusiu - powiedziała Chandler, podtykając mi czubek głowy pod brodę. - To znaczy, chciałam powiedzieć: tato - poprawiła się.
- Zapamiętajcie dobrze, co wam powiem. Kiedy byłem dzieckiem, nikt mi nie mówił takich rzeczy - ciągnąłem poważnie - ale rodzice są na ziemi tylko po to, aby dręczyć dzieci. To jedno z najważniejszych bożych praw. A teraz słuchajcie mnie. Macie zachowywać się tak, jakbyście robiły to, co ja i mama każemy wam robić. Ale postępujcie zupełnie inaczej. Myślcie po swojemu i róbcie w tajemnicy swoje. Bo ja i mama ciągle was oszukujemy.
- Jak nas oszukujecie? - spytała Jennifer.
- Na przykład zawstydzą nas przed przyjaciółmi - zasugerowała Lucy.
- Nie, ale wiem, że oszukujemy was po trochu każdego dnia.

Gdybyśmy wiedzieli, jak to robimy, zaraz byśmy przestali raz na zawsze, bo was uwielbiamy. Jesteśmy jednak rodzicami i nic na to nie możemy poradzić. Nasze zadanie polega na tym, by was oszukiwać. Czy rozumiecie?  
- Nie - odpowiedziały zgodnym chórem.

- To dobrze - rzekłem i sięgnąłem po drinka. - Nie powinniście nas rozumieć. Jesteśmy waszymi wrogami. Powinniście prowadzić z nami wojnę podjazdową.

- Nie jesteśmy pojazdami - powiedziała nadąsana Lucy. - Jesteśmy dziewczynkami.

Na ganku pojawiła się Sallie w białym kostiumie kąpielowym i sandałach. Miała długie, pięknie opalone nogi.

- Czy przerwałam lekcje doktora Spocka? - spytała Sallie i uśmiechnęła się do dziewczynek.

- Tata powiedział, że jesteście pojazdami - wyjaśniła Chandler, zsunęła się z moich kolan i wdrapała do matki.

- Posprzątałam trochę dla twojej matki - powiedziała Sallie i zapaliła papierosa.

- Umrzesz na raka, jeśli będziesz tyle paliła, mamó - powiedziała Jennifer. - Uduśisz się własną krwią. Mówili nam o tym w szkole.

- Więcej już nie pójdziesz do szkoły - powiedziała Sallie i wydmuchnęła dym.

- Dlaczego sprzątałaś? - spytałem.

- Ponieważ nie znoszę tego, jak wygląda u nas w domu, kiedy ona przychodzi. Zawsze sprawia wrażenie, jakby chciała zaszcześcić dziewczynki na tyfus, kiedy widzi ten bałagan u nas w kuchni.

- Po prostu ci zazdrości, że jesteś lekarzem, a ona skończyła na trzeciej klasie licealnej. Nie powinnaś sprzątać za każdym razem, kiedy ona przychodzi tutaj, aby rozsiewać zarazę. To raczej po jej wyjściu powinnaś spalić wszystkie meble i spryskać wszystko środkiem dezynfekującym.

- Jesteś trochę zbyt okrutny dla swojej matki, Tom. Na swój sposób stara się być dobrą matką - powiedziała Sallie, przeglądając włosy Chandler.

- Dlaczego nie lubisz babci, tato? - spytała Jennifer.

- Kto mówi, że nie lubię babci?

- Właśnie, tato - wtrąciła Lucy. - Dlaczego zawsze wołasz „nie ma mnie w domu”, kiedy dzwoni babcia?

- To taki środek bezpieczeństwa, kochanie. Czy wiesz, jak kolcobrzuch nadyma się, kiedy jest w niebezpieczeństwie? Tak samo jest ze mną, kiedy dzwoni babcia. Nadymam się i wołam, że mnie nie ma. I wszystko byłoby w porządku, gdyby mama mnie zawsze nie zdradzała.



- A dlaczego nie chcesz, żeby babcia wiedziała, że jesteś, tatusiu? - spytała Chandler.

- Bo wtedy muszę z nią rozmawiać. A wtedy przypomina mi się, że byłem dzieckiem, a nienawidziłem tego. Wolałbym raczej być kolcobrzuchem.

- A jak dorośniemy, czy i my będziemy krzyczeć „nie ma nas”, kiedy będziesz dzwonił? - spytała Lucy.

- Oczywiście! - odpowiedziałem z większą pasją, niż zamierzałem. - Bez przerwy będę was zadrećzał, mówiąc: „Dlaczego nigdy cię nie widzę, kochanie?”, „Czy zrobiłem coś złego, kochanie?”, „W zeszły czwartek były moje urodziny”, „W najbliższy wtorek mam operację serca, ale się nie przejmuj”, „Czy nie mogłabyś wpaść, choćby żeby odkurzyć moje sztuczne płuco?” Kiedy już dorośniecie i zostawicie mnie, kochane, moim jedynym zajęciem będzie sprawianie, żebyście czuły się winne. Będę starał się zrujnować wam życie.

- Tata myśli, że wszystko wie najlepiej - powiedziała Lucy do Sallie, a dwie pozostałe córki zgodnie pokiwały głowami.

- A co to takiego? Krytyka ze strony własnych dzieci? Istoty z mojej krwi i kości dostrzegają braki mojego charakteru? Lucy, jestem w stanie znieść Wszystko oprócz krytyki.

- Wszyscy nasi przyjaciele uważają tatę za wariata, mamó - dodała Jennifer. - Ty zachowujesz się tak, jak powinna postępować mama. Ojciec nie zachowuje się tak, jak inni ojcowie.

- No i proszę. Oto nadchodzi ten straszliwy moment, kiedy własne dzieci zaczynają obdzierać ojca ze skóry. Gdyby to była Rosja, doniosłyby na mnie władzom, które zesłałyby mnie na Syberię do kopalni soli, abym odmroził sobie dupę.

- Mamó, on mówi brzydkie słowa - powiedziała Lucy.

- Tak, kochanie, słyszałam.

- Trawa - zareagowałem natychmiast. - Trzeba przyciąć trawę.

- Zawsze trzeba przyciąć trawę, kiedy mówi takie słowa - wyjaśniła Jennifer.

- W tej właśnie chwili moja matka przekracza most przez Shem Creek. Na całej planecie milkną wszystkie ptaki, kiedy matka wyrusza w drogę.

- Postaraj się być miły, Tom - powiedziała Sallie profesjonalnym głosem, który zawsze doprowadzał mnie do pasji. - Nie pozwól jej zająć sobie za skórę.

Jęknąłem i pociągnąłem długi łyk.

- Mój Boże, zastanawiam się, czego ona znowu chce. Odzywa się tylko wtedy, kiedy znajdzie kolejny mały sposób na zepsucie mi życia. Jest w tym prawdziwą mistrzynią. Mogłaby prowadzić wykłady na ten temat. Powiedziała, że ma złą wiadomość, ale w naszej rodzinie zawsze były tylko złe wiadomości. Jakby zaczerpnięte z Księgi Hioba.

- Musisz jednak przyznać, że matka przynajmniej próbuje, aby znowu zapanowała między wami przyjaźń, - Przyznaję, próbuje - powiedziałem ze znużeniem. - Bardziej ją lubiłem, kiedy nie próbowała, kiedy była potworem bez wyrzutów sumienia.

- A co dzisiaj na kolację, Tom? - spytała Sallie, zmieniając temat. - Coś wspaniałe pachnie.

- Jest świeży chleb. Dziś rano schwytałem pod skałami flądę, więc nafaszerowałem ją mięsem kraba i krewetkami. Będzie także sałatka ze szpinaku, z dodatkiem cukinii i szalotek.

- Cudownie - powiedziała, - Nie powinnam była tego pić. Mam dzisiaj dyżur telefoniczny.

- A ja wolałabym kurczaka - powiedziała Lucy, - Chodźmy do „Colonel Sanders”.

- A dlaczego ty właściwie gotujesz, tato? - zniecka zapytała Jennifer. - Pan Brighton zawsze śmieje się, kiedy mówię o tym, że gotujesz dla mamy.

- Tak - przyłączyła się Lucy. - Mówi, że ty musisz gotować, bo mama zarabia dwa razy więcej od ciebie.

- Sukinsyn - szepnęła Sallie przez zaciśnięte zęby.

- To nieprawda - powiedziałem. - Muszę gotować, bo mama zarabia cztery albo pięć razy więcej ode mnie.

- Pamiętajcie, kochane, że to dzięki tacie skończyłam studia medyczne. Lucy, nie chcę, żebyś więcej mu tak dokuczała - ostrzegła Sallie. - Nie musisz powtarzać wszystkiego, co mówi pan Brighton. Po prostu ja i tata próbujemy wspólnie utrzymywać dom.

- We wszystkich rodzinach, które znam, to matki gotują - powiedziała Jennifer śmiało, jeśli zważyć na gniewny błysk w oczach Sallie. - Tylko nie u nas.

- Mówiłem ci, Sallie - powiedziałem, wpatrując się we włosy Jennifer - że jeśli będziesz hodowała dzieci na Południu, otrzymasz południowców. A każdy południowiec to prostaczk boży.

- My jesteśmy południowcami, a przecież nie można nas nazwać prostaczkami - powiedziała Sallie.

- Odstępstwa od reguły, kochanie. W każdej rodzinie zdarzają się jedno albo dwa.

- Dziewczynki, idźcie na górę i umyćcie się. Lila będzie tu niedługo.  
 - Dlaczego ona nie lubi, kiedy nazywam ją babcią? - spytała Lucy.  
 - Ponieważ wtedy czuje się staro. A teraz już zmykajcie - powiedziała Sallie i wprowadziła dziewczynki do domu.

Odwróciła się, nachyliła i przemknęła ustami po moim czole.

- Przepraszam cię za to, co powiedziała Lucy. Jest tak cholernie prostolinijna.

- Nie przejmuję się tym, Sallie, naprawdę, przysięgam. Dobrze wiesz, że uwielbiam rolę męczennika, naprawdę rozkwitam w atmosferze rozżalania się nad sobą. Biedny, pozbawiony sprytu Tom Wingo szoruje srebra, podczas gdy jego żona odkrywa lekarstwo na raka. Posępny Tom Wingo robi znakomity suflet, podczas gdy jego żona zarabia sto patoli rocznie. Wiedzieliśmy, że tak będzie, Sallie. Rozmawialiśmy o tym.

- A ja nadal nie jestem przekonana, że było warto. Nie dowierzam temu męskiemu ego, które rozpiera się w tobie, wiem, że musi mu to doskwierać. Mam cholerne poczucie winy, bo wiem, że dziewczynki nie rozumieją, dlaczego nie czekam na nie z podwieczorkiem, kiedy wracają ze szkoły.

- Ale są dumne z tego, że ich matka jest lekarzem.

- Natomiast nie bardzo są dumne z tego, że jesteś nauczycielem i trenerem, Tom.

- Byłem, Sallie. Czas przeszedł. Nie pamiętasz, że mnie wywalili? I ja nie jestem z tego dumny, Sallie, lecz trudno mieć do nich pretensje. Na Boga, czy dobrze słyszę, że to samochód mojej matki zatrzymuje się przed domem? Pani doktor, czy mogę dostać trzy dawki valium?

- Zużyłam ją już sama, Tom. Pamiętaj, że zanim matka zabierze się do ciebie, najpierw ja muszę przetrwać inspekcję domu.

- Nawet trunek nie pomaga - jęknąłem. - Sallie, dlaczego trunek nie chce przyćmić moich zmysłów wtedy, kiedy najbardziej tego potrzebuję? Powinienem zaprosić mamuszkę na kolację?

- Oczywiście, ale dobrze wiesz, że nie zostanie.

- Wspaniale, a zatem ją zaproszę.

- Bądź miły dla matki, Tom - powiedziała Sallie. - Wydaje się taka smutna i tak bardzo chce być znowu twoją przyjaciółką.

- Przyjaźń i macierzyństwo nie idą w parze.

- Nie sądzisz, że tak samo będą wyglądać nasze dzieci?

- Nie, nasze dzieci będą nienawidziły tylko ojca. Zauważyłaś, że chociaż najstarsza ma dopiero dziesięć lat, już teraz nie znosi moich dowcipów? Powinienem wymyślić jakieś inne.

- Ja lubię twoje dowcipy, Tom. Wydają mi się zabawne. To jedna z przyczyn, dla których wyszłam za ciebie. I dobrze wiem, że wiele czasu spędziliśmy, bawiąc się i śmiejąc.

- Niech panią Bóg błogosławi, pani doktor. Koniec żartów, jest i mama. Czy mogłabyś mi obwiązać trochę czosnku wokół szyi i dać do ręki krucyfiks?

- Sza, Tom, bo jeszcze cię usłyszysz.

W drzwiach pojawiła się matka, nienagannie ubrana i wygładzona, a perfumy wkroczyły na ganek kilka chwil przed nią. Matka zawsze nosiła się tak, jak by za chwilę miała wkroczyć do sypialni królowej. Przy wodziła na myśl znakomity jacht - czysta linia, skuteczność, wykwint. Wydawała się niemal zbyt piękna na to, aby być moją matką. Zdarzyło się kilka razy w moim życiu, że byłem brany za jej męża. Niepodobna opisać, jak bardzo jej się to podobało.

- A, jesteście - powiedziała matka. - Jak się macie, kochani?

Pocałowała nas oboje, na twarzy miała radość, ale w oczach czaiły się złe wiadomości.

- Za każdym razem, kiedy cię widzę, Sallie, jesteś coraz piękniejsza. Zgodzisz się ze mną, Tom, prawda?

- Z pewnością, mamó. Ty zresztą też - odpowiedziałem, zdusiwszy w piersi jęk. Matka potrafiła sprawić, że komunały łąły się ze mnie kaskadą.

- Och, dziękuję ci, Tom. Jak to miło, że mówisz takie rzeczy swojej starej matce.

- Moja stara matka ma najpiękniejszą figurę w całym stanie Karolina Południowa - odpowiedziałem, kontynuując drugą salwę komplementów.

- No cóż, ciężko muszę na to pracować, tyle ci powiem. Mężczyźni w ogóle nie wiedzą, ile my, dziewczęta, musimy wycierpieć, aby zachować tę dziewczęcą figurę, prawda, Sallie?

- Z pewnością nie wiedzą.

- Znów przytyłeś, Tom - zauważyła pogodnie matka.

- Wy, dziewczęta, w ogóle nie wiecie, przez co my, mężczyźni, musimy przejść, aby stać się grubymi wstręciuchami.

- Nie miałam nic złego na my śli, Tom - powiedziała matka głosem urażonej niewinności. - Skoro jesteś taki wrażliwy, nigdy już nie podejmę tej kwestii. Z tą odrobiną dodatkowych kilogramów jest ci całkiem dobrze. Twoja twarz wygląda lepiej, kiedy jest zaokrąglona. A dzisiaj absolutnie nie zamierzam się z tobą kłócić. Mam bardzo złe wiadomości. Czy mogę usiąść?

- Oczywiście, Lila. Co zrobić ci do picia? - spytała Sallie.

- Gin z tonikiem, kochanie. I także odrobinę limonki, jeśli masz jakieś. Gdzie są dzieci, Tom? Nie chcę, aby słyszały.

- Na górce - odrzekłem, patrzyłem na zachód słońca i czekałem.

- Savannah znowu usiłowała się zabić.

- Och, mój Boże - powiedziała Sallie, zatrzymując się w drzwiach. - Kiedy?

- W zeszłym tygodniu, ale nie wiedzą dokładnie. Kiedy ją znaleźli, była w stanie zapaści, teraz już z tego wychodzi, ale...

- Ale co? - mruknąłem.

- Ale jest w jednym z tych swoich idiotycznych stanów, w które wpada wtedy, kiedy chce na siebie zwrócić uwagę.

- Nazywają to psychotycznym interludium, mammo.

- To tylko ona twierdzi, że jest psychotyczką - Sallie wtrąciła się, zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć.

- Gdzie teraz jest, Lila?

- W szpitalu dla nerwowo chorych w Nowym Jorku. Bellevue, czy coś takiego. Mam to zapisane w domu, Zadzwońiła pani doktor, lekarka jak ty, Sallie, tyle że psychiatra. Z pewnością nie nadawała się do żadnej prawdziwej gałęzi medycyny, ale zawsze powtarzam, że każdy ma to, na co zasługuje.

- Sama o mało się nie zdecydowałam na psychiatrię - powiedziała Sallie.

- Och, to naprawdę duża przyjemność przyglądać się, jak młode kobiety dają sobie tak dobrze radę w swoich profesjach. Sama nie miałam takich możliwości, kiedy byłam dziewczyną. No, w każdym razie to ta kobieta przekazała mi tragiczną wiadomość.

- Jak próbowała to zrobić, mammo? - zapytałem, starając się zachować nad sobą kontrolę. Czuję, że z każdą chwilą coraz bardziej się rozjeżdżam.

- Znowu podcięła sobie przeguby, Tomie - powiedziała matka i zaczęła płakać. - Dlaczego robi mi takie rzeczy? Czyż nie wycierpiałam już dosyć?

- Zrobiła to sobie, mammo.

- Przygotuję ci drinka, Lila - powiedziała Sallie i weszła do domu.

Matka osuszyła oczy chusteczką, którą wyciągnęła z torebki, a potem powiedziała:

- Ta lekarka jest chyba Żydówką. Nosi jedno z tych niemożliwych nazwisk. Może Aaron ją zna.

- Mammo, Aaron jest z Karoliny Południowej. To, że jest Żydem, nie znaczy, że zna każdego Żyda w Ameryce.

- Ale będzie wiedział, jak zasięgnąć o niej informacji. Chcemy się dowiedzieć, czy jest naprawdę dobra. Rodzina Aarona utrzymuje bardzo liczne kontakty.

- Jeśli jest Żydówką, to z pewnością rodzina Aarona ma jej akta.

- Jak możesz być taki sarkastyczny, Tom? Jak ci się wydaje, co w tej chwili czuję? Jak ja się czuję, kiedy moje dzieci wyczyniają ze sobą takie straszliwe rzeczy? Czuję się wtedy zupełnie przegrana. Nie potrafisz sobie wyobrazić,- jak spoglądają na mnie ludzie z dobrego towarzystwa, kiedy dowiadują się, kim jestem.

- Jedziesz do Nowego Jorku?

- Ach, to niemożliwe, Tom. Mam strasznie dużo zajęć. W sobotę wieczorem wydajemy planowaną od miesięcy kolację. No, a poza tym to znaczny wydatek. Jestem pewna, że jest w dobrych rękach, a my nic naprawdę nie możemy jej pomóc.

- Samo bycie przy kimś może być pomocą, mamó. Nigdy nie zdawałaś sobie z tego sprawy.

- Powiedziałaś tej lekarce, że ty może pojedziesz - oznajmiła matka, z nadzieją wypuszczając sondę.

- Oczywiście, że przyjadę.

- Nie masz teraz pracy, więc wszystko będzie ci łatwiej urządzić.

- Moja praca polega na szukaniu pracy.

- Sądzę, że powinienes być przyjąć tę pracę agenta ubezpieczeniowego. Taka jest moja szczerza opinia, chociaż ty oczywiście nie zapytałaś mnie o zdanie.

- Skąd o tym wiesz?

- Sallie mi powiedziała.

- Sallie?

- Bardzo, się o ciebie martwi, Tom, tak jak my wszyscy. Trudno oczekiwać, że będziesz na jej utrzymaniu do końca życia.

- Czy to usłyszałaś od niej?

- Nie. Mówię ci to, co sama uważam. Musisz spojrzeć w oczy faktom. Jak długo pozostaniesz w Karolinie Południowej, nigdy nie będziesz mógł być nauczycielem ani trenerem. Musisz zacząć wszystko od nowa, od samego dna, zdobyć zaufanie w oczach pracodawcy, który zechce dać ci szansę.

- Mówisz tak, jakbym jeszcze nigdy w życiu nie pracował, mamó - powiedziałem ze znużeniem, musiałem uciec przed wzrokiem matki. Marzyłem o tym, aby słońce zachodziło szybciej, gdyż pragnąłem mroku.

- Minęło już całkiem dużo czasu od chwili, kiedy miałeś pracę - upierała się matka. - A kobieta po prostu nie ma szacunku do mężczyzny, który nie potrafi utrzymać domu. Tyle mogę ci powiedzieć. Sallie jest aniołem, ale nie można oczekiwać, że będzie zarabiała pieniądze, podczas gdy ty będziesz rozmyślać na ganku.

- Starałem się już o pracę w ponad siedemdziesięciu miejscach, mamó.

- Mój mąż może ci załatwić posadę. Zaoferował się, że znajdzie dla ciebie miejsce w biznesie.

- Dobrze wiesz, że nie mogę przyjąć pomocy od twojego męża. Przynajmniej ty powinnaś to rozumieć.

- Z pewnością tego nie rozumiem - odpowiedziała matka, niemal krzyżąc. - Dlaczego niby miałabym rozumieć? Widzi, jak cierpi cała twoja rodzina, tylko z tej przyczyny, że nie możesz ruszyć swego tłustego tyłka i znaleźć sobie pracy. On chce tylko pomóc Sallie i dzieciom, a nie tobie. One także już dość się nacierpiały. Gotów jest ci pomóc, chociaż dobrze wie, jak go nienawidzisz.

- Jestem bardzo rad, że wie, jak go nienawidzę - powiedziałem.

Sallie wróciła na ganek z drinkiem dla matki i z nowym dla mnie. Przez chwilę myślałem, że wyleję zawartość i pogryzę szklanę.

- Tom właśnie mi powiedział, jak bardzo nienawidzi mnie i wszystkiego, co dla mnie ważne.

- Nieprawda. Powiedziałem tylko, i to będąc sprowokowany, że nienawidzę twego męża. To ty poruszyłaś ten problem.

- Poruszyłam problem twej bezczynności. Minał już ponad rok, Tom, i jest to wystarczający czas dla kogoś o twoich zdolnościach, aby znaleźć rozwiązanie, jakiegokolwiek rozwiązanie. Nie rozumiesz, jakie to jest niezręczne dla Sallie, że musi utrzymywać dorosłego mężczyznę, który ma władzę we wszystkich członkach?

- Dość już tego, Lila - zareagowała gniewnie Sallie. - Nie masz prawa wytykać wad Tomowi, posługując się mną.

- Staram się tylko mu pomóc, czyżbyś tego nie widziała, Sallie?

- Nie. Nie w ten sposób. Nigdy w ten sposób. To do niczego nie prowadzi, Lila.

- Muszę jutro jechać do Nowego Jorku, Sallie - powiedziałem.

- Oczywiście, że musisz - odrzekła.

- Przekażesz jej moje najlepsze pozdrowienia, Tom, prawda?

- Prawda, mamó.

- Wiem, że jest do mnie tak samo źle nastawiona jak ty - poskarżyła się matka.



- Nie jesteśmy do ciebie źle nastawieni, mamó.
- A właśnie, że jesteście, Sądziysz, że nie czuję waszej pogardy? Myślisz, że nie wiem, jak mnie nienawidzicie za to, że nareszcie znalazłam szczęście w życiu? Uwielbialiście, kiedy żyłam upokorzona u boku waszego ojca.
- Nie uwielbialiśmy tego. Mieliśmy obrzydliwe dzieciństwo, z którego gładko weszliśmy w obrzydliwą dorosłość.
- Proszę, przestańcie - błagała Sallie. - Przestańcie zadrećcać się nawzajem.
- Dobrze wiem, co to znaczy być żoną jednego z Wingo, Sallie! Wiem, ile ty musisz znieść!
- Właściwie powinnaś nas odwiedzać częściej, mamó. Zanim się pojawiłaś, przeżyłem kilka chwil prawdziwego szczęścia.
- Przestańcie, i to natychmiast - rozkazała Sallie. - Musimy się zastanowić, jak pomóc Savannah.
- Ja dla niej zrobiłam wszystko, co potrafiłam - oznajmiła matka. - Cokolwiek zrobi, wina zawsze spada na mnie.
- Savannah jest chora - łagodnie powiedziała Sallie. - Ty dobrze o tym wiesz, Lila.
- Matka rozpromieniła się na te słowa, przesunęła drinka na lewą stronę i nachyliła się do Sallie.
- Jesteś specjalistką, Sallie - powiedziała. - Czy wiesz, że ostatnio bardzo dużo czytałam o psychozach? Czołowi eksperci ustalili, że to efekt braku chemicznej równowagi, że nie ma nic wspólnego z cechami dziedzicznymi czy otoczeniem.
- W naszej rodzinie było bardzo niewiele chemicznej równowagi, mamó - rzuciłem, nie mogąc zapanować nad wściekłym, zaślepiającym gniewem.
- Niektórzy lekarze mówią, że to z powodu braku soli. Coś o tym słyszałam, Lila - zgodnie przyznała Sallie.
- Sallie!!! - wrzasnąłem. - Zawiozę Savannah całe pudło soli. Niech zacznie ją jeść łyżeczkami. Jeśli rzeczywiście brakuje jej tylko soli, zaordynuję jej taką dietę, że stanie się podobna do żony Lota.
- Ja tylko powtarzam to, co mówią czołowe autorytety. Jeśli chcesz sobie żartować ze swojej matki, Tom, proszę bardzo! Bardzo dobry ze mnie obiekt do zabawy. Stara kobieta, która najlepsze swoje lata poświęciła własnym dzieciom.
- Mamó, a gdybyś tak się zajęła butelkowaniem poczucia winy? Moglibyśmy rozsyłać twe flaszki do wszystkich amerykańskich rodziców, którzy nie opanowali jeszcze subtelnej sztuki, jak sprawić, by dzieci czuły się podle przez cały czas. Masz murowany patent.

- Przynajmniej wtedy ty znalazłbyś pracę - powiedziała zimno matka i wstała z krzesła. - Zadzwoń do mnie, kiedy zobaczysz już Savannah. Na wszystkie jej oskarżenia możesz odpowiedzieć tym samym.

- A może zostałabyś na kolację, Lila? Nawet nie zobaczyłaś dzieci - powiedziała Sallie.

- Mogę je odwiedzić, kiedy Tom będzie w Nowym Jorku. Chciałabym zabrać je na kilka tygodni na Pawleys Island. Oczywiście, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- To byłoby cudowne.

- Do widzenia, synu - powiedziała matka. - Zaopiekuj się swoją siostrą.

- Do widzenia, mamó - odrzekłem i wstałem, aby pocałować ją w policzek. - Zawsze się opiekowałem.

Po kolacji ja i Sallie pomogliśmy dziewczynkom ułożyć się spać, a sami wyszliśmy pospacerować po plaży. Boso maszerowaliśmy po piasku w kierunku latarni morskiej w Moultrie. Sallie wzięła mnie za rękę, a ja, roztargniony, zatroskany, uświadomiłem sobie, jak wiele czasu upłynęło od chwili, kiedy to ja sam dotknąłem Sallie, zachowałem się wobec niej jak kochanek, przyjaciel czy partner. Moje ciało przez długi czas było otepiałe jako narzędzie miłosnej pasji i namiętności. Ciało zawsze mnie zdradzało, gdy umysł był niespokojny i znękany. Sallie przysunęła się do mnie i oparła o siebie staliśmy w letnim wietrze, podczas gdy drobne fale dopływały do naszych stóp. Była gwieździsta, bezksiężycowa noc, a Orion, myśliwy w zbroi i pasie, maszerował nad naszymi głowami.

Sallie uściśnęła mi dłoń i powiedziała:

- Tom, mów do mnie. Mów o wszystkim, co myślisz. Znowu milkniesz, a ja mam wrażenie, że tracę do ciebie dostęp.

- Usiłuję sobie uprzytomnić, w jaki sposób zrujnowałem sobie życie - powiedziałem do Oriona. - Chciałbym umiejscowić moment, w którym było już jednoznacznie przesądzone, że będę wieść nędzne życie, pociągając za sobą wszystkich, których kocham.

- Musisz mieć coś na tyle wartościowego, aby należało o to walczyć, coś wartego walki, tymczasem wydaje się, Tom, że kapitulujesz, a twoja przeszłość kaleczy także nas.

- Tam jest Wielka Niedźwiedzica - powiedziałem bez specjalnego zapału.

- Figę mnie obchodzi Wielka Niedźwiedzica - zachnęła się Sallie. - Nie mówię o Wielkiej Niedźwiedzicy, więc nie zmieniaj tematu. Nawet to kiepsko ci wychodzi.

- Dlaczego wszystko, co mówi matka, każda sylaba, każdy nieszczerzy fonem tak mnie wkurza? Dlaczego nie mogę jej po prostu ignorować, Sallie? Dlaczego nie mogę po prostu się wyłączyć, kiedy przychodzi? Gdybym jej nie odpowiadał, nie mogłaby mnie dotknąć. Wiem, że kocha mnie całym sercem, a tymczasem siedzimy sobie tutaj i mówimy rzeczy, które nas ranią, rozbijają, niszczą. Potem znika i oboje mamy ręce we krwi. Ona płacze, ja piję, potem ona także pije. Usiłujesz nam przerwać, a my cię oboje olewamy i jesteśmy oburzeni, że w ogóle próbujesz. Zupełnie jakbyśmy uczestniczyli w jakiejś monstrualnej grze emocji, w której każde z nas po kolei krzyżuje drugie. I nie ma w tym jej winy ani mojej.

- Ona chce po prostu, żebyś znalazł sobie pracę i był szczęśliwy - powiedziała Sallie.

- Także i ja tego chcę, rozpaczliwie. Problem polega na tym, że jest mi w tej chwili bardzo trudno znaleźć kogokolwiek, kto chciałby mnie zatrudnić. Były dziesiątki listów, o których ci nawet nie wspominałem. Wszystkie bardzo grzeczne, wszystkie mówiące to samo, wszystkie niezdolnie upokarzające.

- Mogłeś wziąć te ubezpieczenia.

- Tak, mogłem, ale w tym przecież wcale nie chodziło o żadne ubezpieczenia, Sallie. Byłbym namolnikiem ubezpieczeniowym, który pukałby do ruder biednych chłopów na Edisto Island, wydzierał drobniaka od biednych czarnuchów, którzy wykupują ubezpieczenie tylko po to, aby mieć porządną pogrzeb.

Sallie ponownie uściśliła mi dłoń i powiedziała:

- Miałbyś przynajmniej coś na początek, Tom. To lepsze niż przesiadywać w domu i zbierać wycinki. Zrobiłbyś coś, jakiś ruch, żeby się ratować.

- A ja miałem wrażenie, że jednak nie marnuję czasu - odpowiedziałem urażony.

- Tom, wcale nie chcę cię krytykować, tylko...

- Za każdym razem, kiedy wypowiadasz tę swoją pamiętną frazę - przerwałem jej - chodzi o druzgoczącą krytykę, ale nie przeszkadzaj sobie. Po mamusi zniósłbym szarżę Hunów i słoni.

- Nie, nie krytykuję cię, chcę, żeby słychać w tym było miłość. Jesteś pełen takiego rozczulenia nad sobą, taki analityczny, taki zgorzkniały od czasu, kiedy stało się to z Lukiem. Musisz o tym zapomnieć i wreszcie z siebie wyrzucić, nie trwać w tamtej chwili. Życie wcale się nie skończyło dla ciebie, Tom, skończyła się jakaś jego faza, a ty musisz zdecydować, jaka będzie jego reszta.

Przez kilka minut szliśmy w milczeniu, pogrążeni w tej dręczącej samotności, która czasami nawiedza pary w najbardziej nieodpowiednich momentach. Nie było to dla mnie nowe uczucie, miałem niewyczerpany talent do tego, by nawet osoby najgoręcej mnie kochające zamieniać w obcych.

Spróbowałem przetrzeć ścieżkę do Sallie, znowu nawiązać kontakt.

- Nie myślałem wcale, że wszystko już skończone, natomiast nie mogę pojąć, Sallie, dlaczego siebie nienawidzę najbardziej na świecie. To przecież bez sensu. Nawet jeśli mama i tata byli potworami, powinienem z tego wyjść z odrobiną szacunku dla siebie za to przynajmniej, iż przetrwałem. Powinienem z tego wynieść chociażby szczerłość, tymczasem jestem najbardziej nieszczerą osobą, jaką znam. Nigdy nie wiem dokładnie, co czuję w jakiejś sytuacji, jest zawsze coś, co się przede mną skrywa.

- Nie jest ci potrzebna prawda absolutna. Nikomu nie jest. Musisz wiedzieć tyle, żeby dać sobie radę.

- Nie - powiedziałem i raptownie zatrzymałem się w wodzie po kostki, obracając Sallie do siebie i kładąc jej ręce na ramionach. - Tak właśnie robiłem dotąd. Zadowalałem się częścią prawdy, a ona nie pozostawała mi dłużna. Rzućmy Karolinę Południową. Wyjedźmy stąd. W tym stanie nie dostanę żadnej pracy. Zbyt wielu ludzi tutaj zna nazwisko Wingo i nie lubi tego, co się z nim wiąże.

Sallie spuściła wzrok i wzięła moje ręce w swoje, ale kiedy zaczęła mówić, spojrzała mi prosto w oczy.

- Nie chcę wyjeżdżać z Charlestonu, Tom. Mam tu świetną pracę, kocham nasz dom i przyjaciół. Dlaczego chcesz porzucać nawet to, co dobre?

- Bo nie jest już dla mnie dobre i niczego nie spodziewam się dla siebie po życiu tutaj.

- Ale ja spodziewam się dla siebie.

- No i zarabiasz pieniądze - powiedziałem, czując, jakie to gorzkie, aroganckie, samcze.

- To twoje słowa, nie moje, Tom.

- Przepraszam, naprawdę. Nie chcę jechać do Nowego Jorku, nie chcę nawet widzieć Savannah: Dostaję furii, dosłownie furii na samą myśl, że znowu próbowała. Jestem wściekły na jej obłąkanie i na to, że pozwala jej się być obłąkaną do tego stopnia. Nienawidzę jej obłądę, ale wiem, że ona oczekuje, iż będę tam, kiedy zaczyna się ciąć. Prastary taniec, znam wszystkie figury.

- To nie jedź - powiedziała Sallie i znowu się ode mnie odsunęła.

- Muszę i dobrze o tym wiesz. To jedyna rola, która dobrze mi wychodzi. Bohater chwili, układny rycerz, bezrobotny Gallahad Fatalna przywara wszystkich Wingo z wyjątkiem mamy. Wydaje przyjęcia planowane od miesięcy i nie należy jej kłopotać samobójczymi próbami dzieci.

- O tyle rzeczy obwiniasz rodziców, Tom, a gdzie zaczyna się twoja odpowiedzialność? Kiedy weźmiesz swoje życie we własne ręce? Kiedy zaczniesz wiedzieć, że za twoje poczynania to wyłącznie siebie trzeba obwiniać lub chwalić?

- Nie wiem, Sallie. Nie potrafię się z tym uporać, poskładać w jedną całość. Nie wiem, co to wszystko znaczy.

Odwróciła się i zaczęła iść plażą, odrobinę przede mną.

- Ranisz nas, Tom.

- Wiem - powiedziałem i wydłużyłem krok, żeby się z nią zrównać. Złapałem jej dłoń i uściśnąłem, ale nie było odpowiedzi.

- Ku swojemu zdziwieniu nie jestem dobrym mężem. Kiedyś sądziłem, iż będę znakomity. Czarujący, wrażliwy, kochający, w lot odgadujący każde życzenie żony. Przepraszam, Sallie, od tak dawna nie jestem dla ciebie dobry. To bardzo mnie boli, chciałbym się poprawić. Jestem taki chłodny, skryty. Przysięgam, że będę lepszy, jak tylko wyniesiemy się z tego stanu.

- Nie zamierzam go opuszczać - powiedziała stanowczo.

- Jestem tutaj bardzo szczęśliwa. To mój dom, a ja jestem jego częścią.

- Co ty mówisz, Sallie?

- Mówię, że to, co ciebie uszczęśliwia, mnie niekoniecznie musi dawać szczęście. Mówię, że także ja zastanawiam się nad wieloma rzeczami, także nad tym, co dzieje się między nami, a przestało już wyglądać dobrze.

- Sallie, to zła chwila na takie słowa.

- Od czasu sprawy Luke' a nie jest już między nami tak samo jak kiedyś.

- Nic nie jest takie jak kiedyś.

- Jest coś, czego zapomniałeś zrobić w związku z Lukiem, Tom - powiedziała.

- Co takiego? - spytałem.

- Zapłakać. - Popatrzyłem przed siebie w kierunku latarni, a potem znowu na światła James Island po drugiej stronie portu. - Twoja żaloba nie chce znać żadnych granic, jest bezdena. Zupełnie mnie odgradziłeś od swego życia.

- Czy nie zechciałabyś zmienić tematu - powiedziałem, a w moim głosie zabrzmiał podły ton.

- To my jesteśmy tematem. Tematem jest to, czy przestałeś mnie kochać, Tom.

- Przed chwilą dowiedziałem się, że moja siostra próbowała popełnić samobójstwo! - wrzasnąłem.

- Nie - zaprzeczyła spokojnie - przed chwilą dowiedziałeś się, iż twoja żona wątpi, czy ją nadal kochasz.

- I jakiej oczekujesz odpowiedzi? - mruknąłem, ale czułem jej powagę, chęć dotarcia do nietykalnego miejsca w środku mnie.

- To łatwe słowa - odrzekła bliska płaczu. - Spróbuj: Kocham cię, Sallie, i nie wyobrażam sobie nawet jednego dnia spędzonego bez ciebie.

- Jest coś jeszcze - powiedziałem, gdyż po jej oczach i głosie poznałem, że niosą treść o wiele mroczniejszą. Zaczęła cicho płakać, a była w tym rozpacz i wyjawienie prawdy.

- Nie coś, Tom. Ktoś.

- Chryste Panie! - zawołałem do świateł Isle of Palms. - Najpierw Savannah, a teraz to.

Za plecami usłyszałem głos Sallie.

- Po raz pierwszy od miesiący w ogóle spojrzaleś na mnie. Czy muszę powiedzieć, że mam romans, żeby mój cholerny mąż zauważył moje istnienie?

- O Boże, Sallie, nie, proszę - wyszeptalem i nieporadnie odsunąłem się od niej.

- Chciałam ci powiedzieć w bardziej odpowiedniej chwili. To wstrętne, że mówię ci teraz, ale jutro wyjeżdżasz.

- Nie wyjadę. Jak mam wyjechać w tej sytuacji?

- Chcę, żebyś jechał, Tom. Chcę sama zobaczyć, na ile to jest poważne. Prawdziwe czy nie. Być może robię to, aby cię dotknąć. Nie wiem.

- Czy mogę spytać, kto to taki?

- Nie. Na razie nie.

- Przysięgam, że nie zrobię niczego nieodpowiedzialnego ani barbarzyńskiego. W każdym razie przed powrotem z Nowego Jorku. Chciałbym wiedzieć.

- Doktor Cleveland.

- O nie, tylko nie to! - krzyknąłem. - Nie ten nadęty, nieznośny dupek. Na miłość boską, Sallie, on przecież jeździ na motorze i pali fajkę z pianki morskiej, pieprzoną fajkę z pianki morskiej.

- Jest lepszy od tej przywódczyni chóru boiskowego, z którą miałaś małą przygodę - odrzekła z furią.

- Wiedziałem, że to powiesz. Wiedziałem, że ta cycata, napastliwa oślica będzie mnie prześladować do końca życia. Przepraszam za tamto, Sallie. Bardzo przepraszam. Byłem głupi.. Głupi. Głupi.

- To mnie dotknęło bardziej, niż potrafisz sobie wyobrazić.  
 - Błagałem cię już, żebyś mi wybaczyła, Sallie, teraz znowu cię błagam. Tak, zrobiłem to, Bóg jeden wie, ile przez to wycierpiałem, ale przyrzekłem na kolanach, że coś takiego nigdy się już nie powtórzy.

- Teraz już nie musisz dotrzymywać tej obietnicy, Tom. Doktor Cleveland jest we mnie zakochany.

- Brawa dla doktora Clevelanda. A czy szanowny pan doktor poinformował też panią Cleveland, ten żaloszny, krowiasty filar wspólnoty?

- Nie, jeszcze nie. Czeka na odpowiednią chwilę. Oboje chcieliśmy mieć pewność. Nie chcemy zadawać innym bólu niepotrzebnie.

- Cóż za wielkoduszność! Ale pozwól, że o coś zapytam, Sallie. Kiedy czasami w nocy dzwonił twój przywoływacz i ruszałaś do szpitala do jednego z tych twoich niezliczonych nagłych przypadków, czy zdarzało ci się czasami jechać na inspekcję fajki pana doktora?

- To wstrętne, Tom, i dobrze o tym wiesz.

- Chcę się tylko dowiedzieć, czy oboje niecznie wykorzystujecie magiczny przywoływacz, najświętszy, najbardziej w Ameryce obrzydliwy symbol lekarza jako dupka.

- Tak!!! - krzyknęła do mnie. - Robiłam tak parę razy, kiedy nie było innej możliwości, zrobić znowu, kiedy jej nie będzie.

Poczułem nieodparte pragnienie, aby ją uderzyć, duch agresywnego ojca zdobywał władzę nad moją krwią, zaczynał panować w okolicach serca. Ręce zacisnęły się w pięści i przez chwilę musiałem użyć wszystkich sił, aby pokonać w sobie człowieka, którym miałem prawo być z racji urodzenia. Zapanowałem jednak nad sobą i odesłałem ojca na wygnanie. Rozluźniłem dłonie, odetchnąłem i zaszlochałem.

- Czy to dlatego, że tyję, Sallie? Powiedz, że tak, proszę. A może dlatego, że tracę włosy. A może dlatego, iż powiedziałem ci, że mam małego fiuta. Jestem jednym z nielicznych mężczyzn w Ameryce, którzy przyznają się do małego dziobaka. Ale zrobiłem to tylko dlatego, że zawsze się martwiłaś o swoje małe piersi.

- Wcale nie są takie małe.

- Ani mój biedny obwisły penis.

Ku memu zaskoczeniu Sallie zaśmiała się. W jej poczuciu humoru było coś tak niewymuszonego, że nie potrafiła poskromić śmiechu nawet w najpoważniejszych momentach. Śmiech wiązał się u niej ze szczerością i nie sposób go było zdławić.



- Widzisz, Sallie, jest jakaś nadzieja. Ciągłe potrafię cię rozbawić. A wiem przypadkiem, że Cleveland śmiał się ostatni raz krótko po wyborze Woodrowa Wilsona na prezydenta.

- Jest tylko o jedenaście lat od nas starszy.

- Proszę! Inne pokolenie. Nienawidzę staruchów, którzy jeżdżą na motocyklach. Nienawidzę młodych, którzy jeżdżą na motocyklach.

Sallie pociągnęła nosem.

- To entuzjasta. On tylko kolekcjonuje brytyjskie motocykle.

- Błagam, oszczędź mi szczegółów, nie mów, że mnie zostawiasz dla faceta, który zbiera fajki z pianki morskiej i brytyjskie motocykle. Człubym się lepiej, gdybyś mnie rzuciła dla wytatuowanego cyrkowca, stajennego czy karła na rowerku jednokołowym.

- Nie powiedziałam, że cię rzucam, Tom. Powiedziałam, że się nad tym zastanawiam. Spotkałam kogoś, kto uważa, że jestem wspaniała.

- Aha! - Z gorzkim śmiechem kopnąłem fale. - Sama widzisz, że to drobiazg.

Przez chwilę się nie odzywaliśmy, a potem Sallie powiedziała:

- Muszę wracać do domu, żeby pocałować dziewczynki na pożegnanie. Pójdiesz ze mną?

- Przyjdę je pocałować na dobranoc później. Zostanę tutaj chwilkę, żeby się zastanowić nad wszystkim.

- Nie wiem, co się dzieje - powiedziała cicho. - Nie wiem, co się stało z wojownikiem, którego poślubiłam.

- Wiesz. Wydarzył się Luke.

Nagle gwałtownie mnie objęła i pocałowała w szyję, trafiła jednak na moment, gdy w pełni dojrzała urażona duma. Byłem zarazem zwolennikiem i niewolnikiem męskiej ambicji: nie mogłem ani odpowiedzieć na ten pocałunek, ani docenić tego momentu. Sallie odwróciła się i odeszła plażą w kierunku domu.

Zacząłem biec, z początku było to kontrolowane, ale potem, dopiekając sobie, coraz bardziej przyspieszałem, aż wreszcie gnałem spocony i bez tchu. Gdybym mógł udręczyć ciało, nie dostrzegłbym rozpadu duszy.

Biegając, rozmyślałem nad smutną degradacją ciała. Próbowałem przyspieszyć i przypominałem sobie, że kiedyś byłem najszybszym quarterbackem w Karolinie Południowej. Śmigły blondyn, wypadałem z tylnej linii, podczas gdy środkowy obrońca wrzeszczał coś do mnie w zachwycie, kiedy zrobiłem zwrot, wkraczając w straszliwy ryk tłumu, by spuściwszy głowę, samego siebie zachwycać instynktownymi poruszeniami, które dyktowało jakieś słodkie, chyże miejsce wewnątrz mnie. Tyle że

podczas szkolnych rozgrywek nigdy nie płakałem. Teraz zaś biegłem ciężko, desperacko, uciekając od żony, która wzięła sobie kochanka, gdyż ją zawiodłem jako kochanek, od siostry, która zbyt szybko sięgała po żyletki, od matki, która nic nie rozumiała z okropnej historii matek i synów. Myślałem, że uciekam od tej historii, od gorzkiej, oburzającej części prawdy o Ameryce, którą było moje spartaczone życie, a może ku nowej fazie tej historii. Zwolniłem, zlany potem, wyczerpany. I poczłapałem do domu.

RS

## ROZDZIAŁ 2

Nienawidzić Nowego Jorku we właściwy sposób to pewna sztuka. Jak dotąd zawsze byłem demaskatorem Nowego Jorku wagi co najwyżej piórkowej, zbyt wiele energii i wytrzymałości trzeba, aby podać niezliczoną liczbę sposobów, na jakie to miasto mnie obraża. Gdybym miał je spisać, powstałaby książka grubości żółtych kartek Manhattanu, a byłby to zaledwie prolog. Ilekroć wystawiam się na obelgi i zniewagi tego pyszałkowatego miasta i zaczynam dryfować pośród monstualnych tłumów, natychmiast ogarnia mnie głębokie i denerwujące uczucie nieswojności, które poraża wszystkie zakamuflowane komórki mojej ciężko wywalczonej niepowtarzalności. To miasto zostawia na mej duszy najbardziej wyuzdane, nieusuwalne graffiti. Jest tutaj nadmiar nadmiaru. Za każdą wizytą ląduję ostatecznie na nabrzeżu, patrzę na przyptywającą Hudson River, czuję, jak na plecach napiera zgiełk miasta, i wiem to, o czym nie wie żaden ze znanych mi nowojorczyków: że wyspę tę otaczały niegdyś głębokie, niezwykle trzęsawiska i rozlewiska i że cała zawila cywilizacja słonych bagien leży pochowana pod kamiennymi ulicami. Nie lubię miast, które hańbią swe trzęsawiska.

Savannah oczywiście moją pogardę równoważy heroicznym i perwersyjnym przywiązaniem do Nowego Jorku. Dla niej niezbywalną częścią nieodpartego czaru tego miasta są nawet rabusie, narkomani, pijacy, bezdomne ulicznice, wszystkie te poranione, wypaczone dusze, które pośepnie przedzierają się przez milionowe rzesze. W tych skrajnościach dostrzega piękno. W piersi zachowuje niewzruszone oddanie tym wszystkim wyniszczonym weteranom, którzy pozbawieni praw i nadziei, uzdolnieni zaś w czarnej magii, przerwali Nowy Jork na marginesach. Dla niej tworzą oni teatr tego miasta. Pisała o nich w swych wierszach, nauczyła się sama czarnoksięskich sztuczek i dobrze zna ich zrujnowane posiadłości.

Savannah wiedziała, że chce mieszkać w Nowym Jorku na długo przedtem, zanim zrozumiała, że chce pisać poezję. Była jednym z tych południowców, którzy od najwcześniejszych lat czują, że Południe jest dla nich tylko tymczasowym więzieniem, zarządzanym przez wspólnotę kochających, ale zdradzieckich krewnych.

Miała piętnaście lat, gdy babka w prezencie na Gwiazdkę zaprenumerowała jej „The New Yorker”. Każdego tygodnia z zapartym tchem czekała na nadejście nowego egzemplarza, a potem całymi godzinami siedziała nad komiksami i zaśmiewała się do łez. Potem ja i Luke patrzyliśmy na te same komiksy i czekaliśmy na coś, co nas rozbawi.

Rzeczy, które w Nowym Jorku ludzi przyprawiły o rechot i klepanie się po udach, dla mnie w Colleton, w Karolinie Południowej, były niepojęte, niemożliwe do zgłębienia, niczym swego rodzaju pismo klinowe dowcipu. Kiedy jednak pytałem Savannah, co tam, do cholery, znajduje tak zabawne, wzdychała głośno i pograżała mnie jakąś pogardliwą frazą zapamiętaną z komiksu. Mając siostrę, która uważała siebie za rodowitą Knickerbocker na wygnaniu, odciętą od ojczystego miasta przez upokarzający fakt urodzenia się w Karolinie Południowej, znenawidziłem Nowy Jork na długo przedtem, nim przekroczyłem jego sławne rzeki.

Savannah opuściła Karolinę i udała się do Nowego Jorku zaraz po tym, jak skończyliśmy szkołę średnią w Colleton. Zrobiła to wbrew woli rodziców, nie pytała ich jednak o pozwolenie ani aprobatę. Mając przed sobą całe życie i dalekosiężne plany, ani myślała pytać o radę poławiaczy krewetek czy ich żony, tych, którzy zdecydowali się na egzystencję obok głównej drogi wodnej Karoliny Południowej. Instynktownie jakoś wiedziała, że jest dzieckiem miasta i że o małym mieście dowiedziała się już wszystkiego, co było jej potrzebne. Wybierając Nowy Jork, decydowała się na miejsce, gdzie przez całe życie potrzebna była czujność i wiedza, miejsce zatem godne jej talentów.

Od pierwszego wejrzenia pokochała wszystko: puls, walkę, niepowstrzymany napływ idei i ludzi, gwałtowność, ale i majestatyczny wysiłek, aby zapanować nad tym bajecznym miastem i ujarzmić je, czyniąc z niego coś osobistego i nierestrykcyjnego. Podeszła do miasta, opierając się na swych własnych zasadach. Stała się kolekcjonerką i archiwistką prawdziwie nowojorskich doświadczeń. Jeśli coś pochodziło z Nowego Jorku, jeśli miało w sobie autentyzm i miało stempel aprobaty na Manhattanie, Savannah rzucała się na zdobycz z zapalem katechetki. Od samego początku była nader liryczna w swoich pochwałach wielkości Nowego Jorku, która była dla niej bezsprzeczna i bezdyskusyjna. Ja natomiast obsesyjnie negowałem ją i podawałem w wątpliwość.

- Nigdy tutaj jeszcze nie byliście i dlatego nie macie prawa do żadnej opinii - oznajmiła wesoło mnie i Luke'owi, kiedy po raz pierwszy zjawiliśmy się w Nowym Jorku.

- Nigdy też nie byłem w Pekinie - odparłem - ale idę o zakład, że to miasto pełne małych, złotych ludzi.

- Tu muszą być spaliny tych wszystkich samochodów - powiedział Luke, patrząc na wielkie sznury wozów ciągnących w godzinie szczytu w kierunku mostów. - Wyżerają szare komórki. A jak już nie masz ani jednej, zaczniesz lubić tę gównianą dziurę.

- Poczekaście no trochę, głupki. Wystarczy, że złapiecie gorączkę nowojorską, a nic już nie wyda wam się dobre. Poczujcie jego energię. Po prostu zamknijcie oczy i oddajcie mu się.

Luke i ja zamknęliśmy oczy.

- To żadna energia - powiedział. - To hałas.

- Dla ciebie hałas - uśmiechnęła się - a dla mnie energia.

Na początku utrzymywała się, pracując jako kelnerka w restauracji wegetariańskiej w West Village. Zapisala się także do New School, wybierając te przedmioty, które jej odpowiadały, a pomijając te, których nie lubiła. Wynajmowała tanie mieszkanie o gwarantowanym komornym na Grove Street w pobliżu Sheridan Square, a urządziła je z wielkim smakiem. Tutaj samotnie zmagala się ze wszystkimi tajemnicami i subtelnościami języka, by potem zacząć pisać wiersze, które uczyniły ją sławną w pewnych kręgach, zanim osiągnęła dwadzieścia pięć lat. Do pociągu zmierzającego na północ rodzice wsadzili ją z wielkimi wahaniami i przy wtórze katastroficznych prorocत्व, na osobności zapowiadając synom, że Savannah nawet miesiąca nie wytrzyma w wielkim mieście. Tymczasem ona zestroiła się z rytmami Nowego Jorku. „Być w Nowym Jorku to jak żyć w komiksie »New Yorkera«,„ napisała w pierwszym liście, a my wszyscy znowu zasiedliśmy nad egzemplarzami ulubionego czasopisma Savannah i usiłowaliśmy wyobrazić sobie jakoś jej życie, nawzajem sobie tłumacząc dowcipy, którymi przerzucało się osiem milionów ludzi. Na podstawie komiksów uznaliśmy, że nowojorczyki przekazują sobie sprytnie, lecz tajemnicze informacje podczas intymnych przyjęć. Ojciec jednak zignorował komiksy i zainteresował się ogłoszeniami, głośno na koniec pytając całą rodzinę: „Kim oni właściwie są?”

\* \* \*

Kiedy Random House opublikowało w 1972 roku pierwszy zbiór wierszy Savannah, Luke i ja pojechaliśmy do Nowego Jorku, aby pochodzić na przyjęcia i wieczory autorskie towarzyszące publikacji. Wraz z Savannah siedzieliśmy pod jej zwisającymi roślinami i za jej pięknym biurkiem, zadedykowała dla mnie egzemplarz Córki krewetkarza, podczas gdy Luke szukał miejsca, żeby bezpiecznie zaparkować na noc. Podała mi książkę otwartą na stronie tytułowej i obserwowała moją twarz, kiedy czytałem: „Mojemu bratu, Tomowi Wingo, którego miłość i oddanie sprawiły, że było to coś warte. Wielkie dzięki dla mego cudownego bliźniaka”. Czytałem tę

dedykację i łzy napłynęły mi do oczu, a ja zastanawiałem się, jak z naszego dzieciństwa mogła wyrosnąć jakakolwiek poezja.

- Quarterbackowie nie płaczą - powiedziała i objęła mnie.

- Ten płacze - odrzekłem.

Potem pokazała mi najnowszy numer „New Yorkera”, noszący datę 7 marca 1972, a w nim na stronie trzydziestej siódmej jej krótki wiersz. Wrzeszczeliśmy do siebie, kiedy powrócił Luke, a wtedy i on zaczął wrzeszczeć. Otworzył okno, zwinnie wymknął się na schody przeciwpożarowe i wydarł się na całą Grove Street: „Moja siostrzyczka jest w »New Yorkerze«, wy pieprzeni Jankesi!”

Tego wieczoru byliśmy na pierwszym wieczorze autorskim, który odbył się w dawnym kościele anglikańskim w West Village. Sponsorowany był przez Kobiecą Unię Rozdeptywania Penisów czy jakąś inną równie maniacką grupę ekstremistyczną, ku którym Savannah z taką ochotą grawitowała. Najpierw i najlepsi przyjaciele Savannah w Village należeli do grupy ruchów feministycznych, wszyscy wielbili pamięć Virginii Woolf, nosili czarne pasy, podnosili ciężary w imię samookreślenia i w świąteczne weekendy sprząтали bary dokerów. „Tylna linia, defensy wne gnojki”, mrucał Luke, kiedy znaleźliśmy się przed kiepsko oświetlonym kościołem i zobaczyliśmy w westybulu posepną falangę bojowniczek o prawa kobiet, zajętych kasowaniem biletów. Wyglądały tak, jakby czas spędzały na tłumaczeniu Safony i picu krwi muszej. Były to jednak dziwne czasy w historii relacji między płciami, a Savannah usiłowała nauczyć mnie i Luke’a swobodnego podejścia do zadziornych Brązowych Koszul z ruchu wyzwolenia kobiet. Sama Savannah była właśnie w bojowej politycznie fazie rozwoju, w której przysadziści bracia z Południa dosyć ją kępowali. Tresowała nas, w jaki sposób należy zachowywać się po ludzku i uprzejmie, kiedy więc otoczyła nas gromada jej najbardziej agresywnych przyjaciółek, daliśmy pokaz służalczego przestępowania z nogi na nogę. Udawaliśmy, że jesteśmy całkowicie pozbawieni penisów, w ten bowiem sposób, jak sądziliśmy, zmniejszymy niepokój Savannah o efekt naszego spotkania z jej przyjaciółkami. „Wszystkie zostały zniszczone przez samców, wyjaśniła, a zwłaszcza przez ojców i braci. Nigdy nie pojmiecie, jak strasznie jest być w Ameryce kobietą”.

Sądząc po wyglądzie bileterek, było to istotnie okropne. Szybko jednak nauczyliśmy się, że takich rzadkich samodzielnych refleksji nie należy wypowiadać głośno w obecności Savannah, która wydzierała się na nas, gdy okazywaliśmy się niepodatni na jej nową filozofię albo niepoprawnie samczy w swych deklaracjach. Nasza samczość nieświadomie przeświecała

przez świat Savannah, co wprawiało nas w wielkie zakłopotanie, byliśmy bowiem wówczas zbyt prostacy i zbyt niewinni, aby zrozumieć naturę problemów, jakie nasza siostra miała ze światem mężczyzn.

Kiedy wchodziliśmy do kościoła, Luke popełnił bezmyślny błąd, przytrzymał bowiem drzwi przed urodziwą, wyglądającą na nauczycielkę niewiastą, która szła za nami. Wychowani na Południu, nabyliśmy spore dawki odruchowej uprzejmości i dla każdego z nas było podówczas nie do pomyślenia, że można nie przytrzymać drzwi przed kobietą. Ta jednak dama otrzymywała inne serum. Ruchem zdumiewająco szybkim, jedną ręką chwyciła Luke'a za gardło, podczas gdy dwa cudownie wyostrzone paznokcie drugiej wbiły się poniżej jego gałek ocznych.

- Jak zrobisz to jeszcze raz, dupku, to ci wydziobię te twoje pieprzone oczyska.

- Zapewniam łaskawą panią - odparł grzecznie Luke, czując dotyk dwóch drapieżnych paznokci - że nigdy już w mieście Nowy Jork nie otworzę drzwi przed żadną damą.

- Kobieta, dupku - zasyczała kobieta. - Kobieta, nie dama.

- Kobieta - poprawił się Luke, a napastniczka uwolniła go i triumfalnie wkroczyła do kościoła.

Luke spoglądał - za nią i rozcierał sobie gardło, a potem chrapliwym szeptem oznajmił:

- Tom, w tym cholernym mieście nigdy nie przepuszczę w drzwiach nawet cholernego niedźwiedzia grizzly. Nie wiedziała chyba, że byłem w Wietnamie.

- Nie sądzę, żeby ją to specjalnie interesowało. - No, ale jedno już wiemy. Tutaj jak otwierają się drzwi, rozpychasz się dupskiem i wchodzisz. New York City, proszę bardzo.

Kościół był prawie pełny, kiedy Savannah wyłoniła się z westybulu. Zapowiedział ją wyniosły brodac, ubrany w poncho, beret i skórzane sandały. Program informował, że jest jednym z najważniejszych rzeczników New York School i w Hunter College prowadzi seminarium zatytułowane „Poezja, rewolucja i orgazm”. Znienawidziłem go od pierwszego wejrzenia, ale natychmiast zmieniłem pogląd, kiedy szczerze i hojnie zaczął wychwalać Savannah. Mówił o jej pochodzeniu: o dzieciństwie na wyspie, ojcu wypływającym łódką na połów krewetek, matce - górskiej piękności, tygryscy rodzinnej, o dziadku strzygącym włosy, a na boku sprzedającym Biblię, babce odwiedzającej cmentarz Colleton i prowadzącej samotne rozmowy ze zmarłymi krewnymi. Potem mówił o zasługach dzieła: namiętny liryzm hymnów do natury, techniczne mistrzostwo, wyraz ducha



kobiecego. A wszystko to, zakończył, odnajdujemy u kobiety, która niemal całe swe życie spędziła na wyspie u wybrzeży Południa Ameryki. Potem ustąpił miejsca Savannah.

Aplauz był oszczędny i układny, jeśli nie liczyć mrozących krew w żyłach okrzyków i tupania, z jakimi Luke w sposób naturalny zareagował na widok młodszej siostry, która nagle pojawiła się w kościele - jasnowłosa, nieśmiała i eteryczna, z włosami zaczesanymi w tył, bujnie jednak spływającymi na plecy.

Zawsze kochałem głos siostry. Jest jasny i czysty, równie niezależny od sytuacji jak dzwony nad zieleniącym się miastem czy śnieg pokrywający pędy orchidei. Ma w sobie siłę dojrzewających pąków, jest silniejszy od burzy, ciemności i zimy. Każde słowo wypowiadała starannie, jakby smakowała owoc, a składały się one na najbardziej zaciszny i pachnący sad.

Z początku jednak nie mogłem jej dosłyszeć i widziałem, że jest oneśmielona obecnością publiczności. Powoli jednak język brał ją w swoją władzę, a wraz z tym wiersze i głos nabierały siły i pewności. Wtedy Savannah Wingo porwała publiczność - kulturalną, znudzoną, nawykłą do wielkiego miasta nowojorską publiczność z West Village - porwała jak burza. Wszystkie wiersze znałem na pamięć, usta więc poruszały mi się do wtóru jej wargom i opowiadały historię naszego życia, tak jak ona opowiadała ją słuchaczom. Czuję, jak nadnaturalna siła poezji podporządkowuje sobie tłum, gdy głos Savannah wznosi się ponad chór, ku świetlistym blankom Empire State Building, ku gwiazdom nad Hudsonem, i zabiera nas na powrót na niziny Karoliny Południowej, gdzie śliczna siostra urodziła się, aby doświadczyć bólu i smutku, i gdzie wszystkie te wiersze, poskładane z fragmentów i obrazów, wzrastały w ciemności niczym ostre kawałki koralu i czekały, aż objawi je poetka, czekały na tę noc, na zespolone westchnienie publiczności, z którą Savannah dzieliła się wierszami serca, każąc językowi śpiewać i płakać zarazem.

W połowie występu Savannah podniosła wzrok i powiodła nim po zebranych. W piętnastym rzędzie wypatrzyła Luke'a i mnie, wyróżnialiśmy się kurtkami i krawatami. Uśmiechnęła się do nas i pomachała, Luke zawołał: „Jej, Savannah, dobrze ci idzie, kochanie”, a ludzie się roześmiali.

- Moi dwaj bracia, Luke i Tom, specjalnie na ten wieczór przyjechali z Karoliny Południowej i następny wiersz chciałybym im zadedykować.

Kobieta, która w drzwiach zagroziła Luke'owi wyłupieniem oczu, siedziała w rzędzie przed nami, odrobinę na lewo. Zobaczyliśmy ją, kiedy na wezwanie Savannah wstaliśmy, aby wszyscy mogli nas obejrzeć.

Zabrzmiały wstrzemięźliwe, ugrzecznione wiwaty. Luke wyprostowaną ręką pomachał do tłumu, a potem nachylił się nad tamtą i powiedział:

- Myślałaś, że takie ze mnie nic, co, durna pało?

Pociągnąłem go na fotel i ostrzegłem:

- Najpierw zasłoń sobie oczy, zanim zaczniesz grozić tej kobiecie, bo inaczej nie wypłacimy się okulistom.

Potem wróciliśmy do słuchania głosu Savannah. Czytała jeszcze przez jakąś godzinę i była w tym opowieść. Opowieść o dziewczynce, która urodziła się biedakom z Karoliny Południowej, bosa i brązowa wychowywała na skraju mokradła Colleton, rytm czasu uczyła odmierzając migracjami krewetek i dzikiego ptactwa oraz dojrzewaniem pomidorów - i otwierała się na światło wielkiej, nienazwanej jednostkowości. Hołubiła to światło, chciała być niepowtarzalna i czuła, jak mowa kłębi się w niej w odpowiedzi na pomruk sów w rogu stodoły i zaśpię w boi na torze wodnym. A potem świat, jak zwykły czynić, uderzył, i dziecko, bezbronne i zgnębione, zaczęło walczyć z całą dzikością oraz okrucieństwem świata. W ostatnich wierszach Savannah mówiła o swych załamaniach, demonach i szaleństwie. Mówiła o nich ze zdumieniem, szacunkiem i dojmującym smutkiem. Ale nawet owe demony potrafiła przepoić niezwykłym pięknem, uświęcając je dostojnością swego skupienia. W jej dziele nie były potworami, lecz upadłymi aniołami, które tęsknią za domem. W Nowym Jorku było to całkowitą nowością, ale nie dla mnie ani Luke'a. Byliśmy świadkami tego tworzenia. W domu nad rzeką patrzyliśmy, jak wzrasta poetka.

Słuchając jej ostatniego wiersza, przypomniałem sobie dawną wizję mnie i Savannah w łonie: unosimy się obok siebie w matczynym morzu wewnętrznym, jednocześnie formują się serca, poruszają palce, cierpliwy błękit pokrywa czworo niewidzących oczu, jasne włosy powiewają niczym wodorosty, na wpół uformowane mózgi wyczuwają obecność drugiego, kojąc się tą bezsłowną wspólnotą, która wyrosła między nami, zanim się urodziliśmy. Wyobrażałem sobie, że w tym życiu przed życiem, w bezdechu łona, w milczącym bezpieczeństwie potoków krwi przydarzyło nam się coś zupełnie szczególnego, moment boskiego objawienia znany tylko bliźniętom, rozpoznania, gdy każde z nas w ruchu trwającym miesiące obróciło się do drugiego i ona powiedziała: „Halo, Tom”, a ja, który miałem przywyknąć do cudów i zawsze wierzyłem w magię, zawołałem: „Halo, Savannah”, a potem transcendentalnie szczęśliwi czekaliśmy na narodziny, aby mógł się zacząć ten trwający przez całe życie dialog.

Ja pierwszy wiedziałem o jej świetle w ciemności, jednak nawet nie przeczuwałem, ile ciemności wniesie siostra do tej podróży. Wierzę w więź bliźniąt, w doskonale, ponadludzkie zespolenie dwojaczków.

Savannah skończyła i nastąpił burzliwy aplauz publiczności, która przez kilka minut klaskała i wiwatowała. Tylko moja szybka interwencja sprawiła, że Luke nie wybiegł na podium i nie poniósł Savannah w ramionach przejściem między ławkami. Zadowolili się kilkoma ogłuszającymi, dzikimi wrzaskami na cześć siostry. Jak zawsze dobry w roli rodzinnego sentymentalisty schyliłem się między fotele, aby zawiązać but i wytrzeć łyż krawatem.

Potem zawsze cieszyliśmy się, że byliśmy w ten marcowy wieczór podczas triumfalnego debiutu Savannah w toczonym wojną wszystkich ze wszystkimi nowojorskim świecie poetyckim. Wszystko to, co cudowne w Nowym Jorku, dokonało się tego wieczoru, po kolacji w „Coach House” długo w noc patrzyliśmy na księżyc wędrujący między wieżowcami i upojeni triumfem Savannah rozmawialiśmy i pili z jej przyjaciółmi. Przepelniała nas radość, że wszystko wydawało się takie łatwe i z góry przepisane: dziewczyna z Karoliny Południowej przyjeżdża oto z przesłaniem, które, o dziwo, porusza serca ludzi zrodzonych pośród kamieni.

Gdybym wyjechał nazajutrz, być może pokochałbym to miasto. Zwlekaliśmy jednak wraz z Lukiem, a Savannah chciała nam pokazać, dlaczego darzy to miasto miłością i nigdy nie wróci z nami do domu. Robiliśmy więc zakupy w Macy's, obejrzelśmy mecz Yankees, przejechali się Circle Linę i urządziliśmy piknik na szczycie Empire State Building. Dała nam porządny kurs tego, co przyjemne i jasno określone w życiu Nowego Jorku. Były też jednak inne jego aspekty, mroczne i nieprzewidywalne, których nie wzięła pod uwagę, zmuszając nas do obejścia Manhattanu.

Na zachodniej stronie Twelfth Street w Village odsonił się nam zdradziecki, chociaż nie mniej wyrazisty obraz miasta. Z dołu ulicy patrzyliśmy, jak wiekowa kobieta, kuśtykając, schodzi po schodach z brązowego piaskowca, zatrzymując się na każdym stopniu, aby zaczekać na starego, ledwie się poruszającego francuskiego pudła. Była jakaś niewzruszona godność w tym powolnym marszu w dół kobiety i psa. Pudel i kobieta byli niemal tej samej barwy, a ich ruchy zdradzały, iż starzeli się harmonijnie i podobne rozwijały się u nich liczne niedowłady. Kiedy stanęła na chodniku, nie widziała mężczyzny, który z nienacka pojawił się za jej plecami, a stało się to tak szybko, iż nie zdążyliśmy ostrzec jej okrzykiem.

Był tłusty, doświadczony i dobrze wiedział, czego chce. Chwycił za dwa złote kolczyki i pchnął kobietę na kolana, wrywając krawki z płatków uszu, kiedy upadała na chodnik. Potem złapał za złoty naszyjnik i przerwał kilkoma szarpnięciami. Kobieta zaczęła krzyczeć, z uszu pociekła krew. Mężczyzna uderzył ją w twarz i krzyk się urwał. Napastnik zaczął odchodzić z wystudiowaną nonszalancją, powoli i spokojnie. Popełnił tylko jeden taktyczny błąd. Droga odwrotu prowadziła wprost na młodych Wingo z Karoliny Południowej.

O wychowaniu na Południu można powiedzieć wiele okropnych rzeczy, byliśmy jednak całkowicie zgodni co do tego, jak traktować młodzieniaszków, którzy znęcają się nad uszami starych niewiast z pudłami. Przeszedł przez jezdnię i zaczął biec, kiedy zobaczył, że ruszamy w jego kierunku, i usłyszał, jak Savannah przeraźliwie dmucha w policyjny gwizdek. Luke skulił się i błyskawicznie skoczył w bok, żeby okrążyć tamtego, ja stanąłem mu na drodze. Z tyłu usłyszałem brzęk tłuczonej butelki. Rabuś wyciągnął nóż, rozległ się lekki trzask i robiąc ruch w jego kierunku, zobaczyłem błysk ostrza.

- Rozpłatał cię, skurwielu!!! - wrzasnął, rzucając się wprost na mnie, z nożem wyciągniętym do przodu. Znieruchomiałem pośrodku ulicy, jednym pociągnięciem wydobyłem ze spodni pasek i okręciłem wokół przeguba tak, by sprzączka zwisała swobodnie. Dźgnął w kierunku mojej krtani, ale cofnąłem się i machnąłem paskiem, sprzączka uderzyła w kość policzkową i rozdarła mu skórę pod okiem. Wrzasnął, wypuścił nóż i zanim zdążył na mnie spojrzeć, został zmieciony przez natarcie sumiennego wymiatacza z ogólnoamerykańskiej ligi szkolnej, który wyrzucił go w plecy i cisnął twarzą na maskę thunderbirda. Luke złapał mężczyznę za włosy, a drugą ręką uderzywszy w tył głowy, złamał mu z bukiem nos o blachę samochodu. Otoczył nas tłum krzyczących sąsiadów, siwowłosych gapiów, którzy wymachując najróżniejszą bronią, dawali do zrozumienia, że zamierzają łajdaka posiekać, nie czekając na zjawienie się policji. Savannah przytknęła mu do grdyki stłuczoną butelkę po coli, a w oddali rozległy się syreny wozów policyjnych. Stara niewiasta otoczona przez sąsiadów chlipała cicho na chodniku, a pudel liżał jej krwawiące uszy.

- Piękne tu macie miasteczko, Savannah - powiedział Luke i raz jeszcze szturchnął typa. - Cholernie piękne miasteczko.

- To mogłoby się zdarzyć wszędzie - broniła się niepewnie Savannah. - I tak zawsze będzie to największe miasto w dziejach świata.

- Zapytaj tę starą panią, czy to jest największe miasto w dziejach świata.

Ale Nowy Jork wszystkich swych zagorzalców i mieszkańców nieprzerwanie wy stawia na próby. Na każdym rogu tysięczne aspekty nieskończonej wielorakości tego miasta ukazują się w swej obrzydliwości lub wspaniałości. W tym mieście zbyt wiele jest opowieści i zbyt wielu wygnańców. W trakcie tego długiego i pamiętnego tygodnia nie mogliśmy z Savannah powstrzymać Luke'a od udzielania pomocy każdemu pijaczkowi. Luke z natury swej nie potrafił zignorować żadnego z tych beznadziejnie zamroczonych wyrzutek, których widział zwalonych pod murem i woniejących wymiocinami oraz winem. Sadzał ich prosto, czyścił, tłumaczył, że powinni bardziej zważać na swoje ciała, wsuwał dolara do kieszeni, aby poczuli się odrobinę pewniej. Savannah tłumaczyła mu, że kiedy rano zbudzą się, cudownie znaleziony dolar natychmiast zamieni się w butelkę wina.

- Są całkowicie szczęśliwi - tłumaczyła Savannah. - Tak właśnie powiedział mi policjant, kiedy po raz pierwszy zjawiłam się tutaj i próbowałam pomóc jednemu z nich.

Luke jednak był niewzruszony i nadal spieszył z pomocą każdej pijanej osobie, którą mijaliśmy, aż wreszcie dnia w małym parku na Seventh Avenue znalazł nastolatka zwieszzonego z drewnianej ławki, który w ogóle nie reagował na delikatne poszturchiwania. Kiedy Luke go poruszył, zobaczyliśmy, że zwłoki zaczęły sztywnieć już kilka godzin temu. Miał przy sobie strzykawkę do zastrzyku podskórnego i prawo jazdy, w którym widniał adres Raleigh w Karolinie Północnej.

- Jest całkowicie szczęśliwy, Savannah - powiedział Luke, kiedy pielęgniarze ładowali ciało do ambulansu.

Wspomnienie tego chłopaka prześladowało Luke'a z racji jego pochodzenia, był zdania, iż nikt, kto wychował się w łagodniejszych, bardziej przyjaznych strefach Południa, nie może zapuścić korzeni pomiędzy Hudsonem a East River. Zdaniem Luke'a południowiec, zostając nowojorczykiem, musiałby się zmienić zbyt drastycznie. Tę nowo ukutą teorię wyłożył Savannah i mnie z samego rana podczas śniadania, przy rogalu i francuskiej kawie.

- To zupełnie tak, Savannah - mówił, wskazując na nią rogalcem - jakby pstrąg chciał zostać tramwajem. Tak być nie może. Sama zobaczysz. Możesz udawać, że jesteś nowojorką, ale aż do szpiku kości należysz do Południa. Tego nie da się zmyć.

- Mój braciszek filozof z byczym karkiem - powiedziała Savannah, nalewając więcej kawy.

- Mogą mnie nazywać byczym karkiem, mnie to nie szkodzi - odparł Luke. - Faceci z Południa są zupełnie w porządku, tyle że nienawidzą czarnych i większości innych ludzi. Ja nie czuję nienawiści do nikogo, z wyjątkiem nowojorczyków. A nauczyłem się nienawidzić osiem milionów tych worków śmieci, gdyż pozwalają, żeby dzieciaki kulili się na ławkach i zdychały, a starcy gnili w bramach. Takich ludzi nie rozumiem.

- Nie lubisz moich przyjaciół i przyjaciółek, Luke?

- Są w porządku, Savannah, ale nie do końca. Nie do końca, rozumiesz? Będę całkiem szczery. Widzę, jak patrzą na Toma i na mnie. Wiesz, oni byli naprawdę zdziwieni, że ktoś z Karoliny Południowej w ogóle potrafi mówić. Ten koleś, który cię zapowiadał, ryczał ze śmiechu, jak tylko otworzyłem usta.

- Zachwycił się twoją wymową. Powiedział mi później, że to zupełnie jak w kinie.

- Jakie tam kino. Rozmawiał z Lukiem Wingo i ja ci powiem, że jeśli łapie ryby, to tylko owinięte i zamrożone w A&P.

- To poeta i intelektualista - powiedziała Savannah z odrobiną rozpaczony głosem. - On nie zajmuje się łapaniem ryb.

- Więc niech się też nie zajmuje obśmiewaniem tych, którzy łapią. Tak nawiasem mówiąc, coś z nim jest nie tak. Śmiesznie porusza rękami.

- To homoseksualista, Luke. Jak wielu moich przyjaciół.

- Nie zgrywaj się - powiedział Luke po chwili niezręcznego milczenia. - To znaczy, że on to robi z innymi facetami?

- Właśnie.

- Czemu mi wcześniej nie powiedziałaś, Savannah? - spytał podekscytowany Luke. - Od razu się robi bardziej interesujący. Słyszałem, że sporo tutaj takich gości, ale nigdy nie myślałem, że trafię na takiego. Z chęcią bym mu zadał parę pytań, rozumiesz, takich naukowych. Są takie rzeczy, których ja kompletnie w tym nie rozumiem, a on mógłby mi to od razu wytłumaczyć.

- Chwalić Boga - mruknąłem - że nie powiedziałaś mu wcześniej, Savannah.

- Luke, przecież to prywatne sprawy - powiedziała Savannah.

- Prywatne! On ma gdzieś prywatność.

- Skąd wiesz, Luke?

- Zobacz, gdzie żyje! W Przeklętym New York City! Nie zostanie tutaj nikt, komu zależy na prywatności.

- Właśnie tego kompletnie nie rozumiesz, Luke. Jeśli ktoś naprawdę chce prywatności, zawsze musi wylądować w Nowym Jorku. Tutaj możesz się dmuchać z orangutanami czy z papugami i nikogo to nie obchodzi.

- W porządku, jak kiedyś zacznę posuwać papugi albo bochenki Sunbeam, to pomożesz mi tutaj znaleźć mieszkanie, siostrzyczko. Bo tu akurat masz rację, że to by tak łatwo nie przeszło u nas, w Colleton. Chcę tylko, żebyś pamiętała, skąd pochodzisz, Savannah. Nie chcę, żebyś się zrobiła podobna do nich.

- Nienawidzę miejsca, z którego pochodzę, Luke. To dlatego przyjechałam do Nowego Jorku, żeby zupełnie zerwać z przeszłością. Nienawidziłam każdego drobiazgu związanego z moim dzieciństwem. Kocham Nowy Jork, bo w niczym nie przypomina mi Colleton. Nic, co tutaj widzę, nic absolutnie, nie przypomina mi dzieciństwa.

- A czy ja i Luke przypominamy ci tamte czasy? - spytałem, nagle dotknięty.

- Przypominacie mi dobrą część dzieciństwa - odrzekła z pasją.

- To upijmy się i powspominajmy dobre chwile.

- To nie zmieni przeszłości - obruszyła się. - Jak ty sobie z tym dałeś radę? Dlaczego przeszłość nie dręczy cię tak jak mnie?

- Nie myślę o niej, Savannah - powiedziałem. - Udaję, że jej w ogóle nie było.

- Mamy to już za sobą, malutka. Przetrwaliśmy, a poza tym jesteśmy już dorośli, musimy myśleć o reszcie życia - dodał Luke.

- Dopóki nie dam sobie rady z przeszłością, nie zniosę myśli o reszcie życia. Ona mnie rozpieprzyła, rozumiecie? Widzę różne rzeczy, słyszę, przez cały czas, to nie tylko pisanina. Od kiedy jestem w Nowym Jorku, regularnie chodzę do psychiatry.

- A jakie rzeczy widzisz i słyszysz? - spytałem.

- Powiem ci, zanim wyjedziesz, przyrzekam. Teraz nie chcę o tym mówić.

- To wszystko od jedzenia tego gówna - powiedział Luke, pogardę wobec miasta koncentrując na mizernym rogaliku. - Twój organizm nie może tego znieść. Jak byłem w Wietnamie, przez cały czas miałem sraczkę od jedzenia tych wszystkich przysmaków.

- Zamknij się, Luke - mruknąłem. - Mówi o psychice, a nie o bieguncie.

- A skąd wiesz, mądralo, że psychiczna choroba nie jest jakąś biegunką mózgu? Coś idzie nie tak, a ciało zna tysiąc sposobów, żeby ci o tym powiedzieć. Ciało ma swoją mądrość, a ty musisz go słuchać.



\* \* \*

W przeddzień wyjazdu z Nowego Jorku zbudził mnie w środku nocy głos z pokoju Savannah. Spaliśmy z Lukiem na podłodze w jej saloniku, przefiltrowane przez mgłę do pokoju wpływało światło ulicznej lampy. Nasłuchiwałem, głos siostry był przerażony i nierzeczywisty, znowu rozmawiała z niewidzialnymi. Wstałem, podszedłem do drzwi i delikatnie zapukałem. Nie było odpowiedzi, więc otworzyłem i wszedłem do środka.

Savannah siedziała na łóżku i mówiła do przeciwległej ściany. Wydawało się, że nie widzi mnie, nawet Wtedy, kiedy stanąłem na linii jej oczu. Wargi jej się trzęsły, z kącików spływała ślina, ona zaś mówiła:

- Nie. Nie zrobię tego, co chcecie. Nawet dla was. Szczególnie dla was. Nie teraz. Proszę, zostawcie mnie w spokoju. Nie wracajcie, nie wracajcie już nigdy. Nie wchodźcie do mojego domu. Więcej już was nie wpuszczę. Mam pracę do zrobienia, a nie mogę pracować, kiedy słyszę w domu wasze głosy.

Podszedłem i dotknąłem jej ramienia.

- Savannah, co się stało?

- Znowu wrócili, Tom. Zawsze wracają.

- Kto, wrócił? - spytałem, siadając naprzeciw na łóżku i wycierając jej usta prześcieradłem.

- Ci, którzy chcą mnie skrzywdzić. Widzę ich. Ty nie, Tom?

- Gdzie są, kochanie?

- Pod ścianą. I tam, pod oknem. Widzę ich tak wyraźnie, Tom. Oni wydają mi się rzeczywisci, nie ty. Nie słyszysz ich? Nie słyszysz, jak krzyczą na mnie? Znowu będzie niedobrze Tom, tak bardzo niedobrze. Muszę z nimi walczyć. Nie mogę pisać, kiedy przychodzą. I zostają tak długo. Robią mi krzywdę. Nie chcą iść, nie słuchają.

- Kim są, Savannah? Powiedz mi, kto to taki?

- Tam - pokazała. - Wiszą na ścianie, nie widzisz? Nie możesz zobaczyć," prawda?

- To tylko ściana, Savannah. Nic tam niema, kochanie. Masz znowu przywidzenia. To nic rzeczywistego zapewniam cię.

- Prawdziwi. Bardzo prawdziwi. Bardziej niż ty czy ja. Mówią do mnie, krzyczą. Straszliwe, okropne rzeczy.

- Jak wyglądają? Powiedz mi, jak wyglądają, żebym mógł ci pomóc.

- Tam - pokazała i wtuliła się we mnie rozdygotana. - Anioły. Zlinczowane. Wiszą na ścianie, dziesiątki. Krzyczą. Krew ścieka im z

genitaliów.. Krzyczą na mnie. Mów, Tom, błagam, mów do mnie, żeby przestały.

- Mówię, Savannah. Posłuchaj. One istnieją tylko w twojej głowie. Nie ma ich tam, nie ma w tym pokoju, nie ma nigdzie na świecie. Są tylko w tobie. Musisz to sobie powtarzać. Musisz w to, uwierzyć, a także w to, że możesz je pokonać. Wiem o tym. Pamiętasz, już to widziałem. Potrafisz je odpędzić. Potrzeba tylko cierpliwości. I czasu.

- Tom, co się wtedy wydarzyło w domu?

- Nie myśl o tym, Savannah. Nic się nie wydarzyło. To znowu tylko twoja wyobraźnia.

- Są tutaj, Tom. Przy drzwiach. Rozpinają pasy i wrzeszczą. Ich twarze to czaszki. Krzyczą. I tygrys. Też krzyczy. Nie mogę znieść tego krzyku. Tom, powiedz mi raz jeszcze, że mam widziadła. Chcę usłyszeć twój głos. Srają, jęczą i krzyczą.

- Od kiedy ich słyszysz, Savannah? - spytałem zaalarmowany. - Przedtem to były tylko zwiidy. Jesteś pewna, że słyszysz?

- Tam są psy. Czarne psy, czarne i wychudzone. Z ludzkimi głosami. Kiedy pojawiają się czarne psy, inni milkną. Anioły się uspokajają, tygrys się ich boi. Dobermany rządzą ciemnym światem, Tom. Kiedy przychodzą, jest najgorzej. Rzucą się na mnie, Tom.

- Nikt się na ciebie nie rzuci, Savannah. Jestem tutaj, nie pozwolę, by ktokolwiek zrobił ci krzywdę. Jeśli coś się zbliży do ciebie, zabiję. Mam dość siły, żeby zabić, i zrobię to. Słyszysz? Tak mi żal, że tobie się to przytrafia. Strasznie żal, wolałbym to być ja. Gdyby ze mną się tak stało, oczyściłbym pokój z tygrysów, psów i aniołów. Zniszczyłbym wszystkich i obydwójce bylibyśmy bezpieczni.

- Nawet nie wiesz, Tom, jak to jest, kiedy oni przychodzą. Tyle czasu potrzeba, żeby się od nich uwolnić. Tak trudno z nimi walczyć. I zawsze wracają, żeby mnie skrzywdzić.

- Opowiedz mi o nich. Opowiedz, jak wyglądają i skąd przychodzą. Nie potrafię ci pomóc, zanim ich nie zrozumieję, Savannah. Nigdy nie miałem halucynacji. Czy są podobni do snów, majaków podczas choroby?

- Gorzej, znacznie gorzej, Tom, chociaż w jakiś sposób są podobni do snów. Tylko że budzisz się, wiesz, że jesteś przebudzony i że przyszli, ponieważ jesteś chory, bezbronny i nie masz siły, żeby ich odpędzić. Przychodzą, kiedy poczują twoją słabość. Kiedy poczują, że jesteś gotów umrzeć, i wtedy trzeba z nimi walczyć ze wszystkich sił, tylko że sił nie ma. Jest ich zbyt wielu. Tysiące. Nie do policzenia. Staram się to ukrywać, a zwłaszcza przed tobą i Lukiem. Próbuję udawać, że ich tu nie ma. Ale

dzisiaj w nocy pojawili się. Kiedy szliśmy przez mgłę. Widziałam, że na każdej lampie wisi anioł. Z początku byli cicho, ale jak tak szliśmy, zaczęli jęczeć i się mnożyć, aż wreszcie zwisały z każdego okna i krwawiły. Zawsze przychodzą, żeby zrobić mi krzywdę. Od tygodni wiedziałam, że nadchodzą. Nie powinnam była czytać, bo to wymagało zbyt wiele, a teraz nie mam siły, nie mam siły, żeby z nimi walczyć.

- Ja mam siłę. Starczy jej, żeby z nimi walczyć, tylko powiedz mi, jak. Powiedz mi, jak mogę ci pomóc. Ja nie mogę ich zobaczyć ani usłyszeć. Dla mnie nie są rzeczywiści i nie mogę zrozumieć, dlaczego są tak prawdziwi dla ciebie.

- Tom, wyśmiewają się ze mnie, że z tobą rozmawiam. Śmieją się. Wszyscy. Doberman mówi: „On ci nie pomoże. Nikt ci nie pomoże. Nikt cię nie uratuje przed nami. Nikt na całym świecie. Dla nich jesteśmy nietykalni. Nikt nie wierzy w naszą rzeczywistość, gdyż należymy tylko do ciebie. Przyszliśmy znowu po ciebie. I przyjdziemy jeszcze. I jeszcze, aż wreszcie pójdziesz z nami. Chcemy cię”.

- Nie słuchaj ich, Savannah. To mówi twoja choroba. To nie są rzeczywiste postacie, w ten sposób to tylko cierpienie wychodzi na po wierzchnie, w tych zwidach. Ale ja jestem tutaj. Słyszysz mnie, czujesz. Możesz poczuć mój dotyk. Jest rzeczy wisty. To ja, Savannah. Słyszysz głos, który cię kocha.

Odwróciła się do mnie, twarz pokrywał jej pot, oczy były rozbiegane i pełne bólu.

- Nie, Tom, nie mogę ufać twojemu głosowi.

- Ale dlaczego?

- Ponieważ oni używają wszystkich głosów. Pamiętasz, jak się pocięłam pierwszy raz?

- Oczywiście.

- Wtedy też użyli innych głosów. Przyszły czarne psy, pełno ich było w pokoju, świeciły w ciemności. Wyszczerały do mnie te swoje okropne kły. Z wyjątkiem jednego. Miał miły pysk dobrego psa. Mówił do mnie, ale nie swoim głosem. Tamten głos mi się podobał, ale wtedy jeszcze nie posłuchałam.

- Czyj głos, Savannah? Nic z tego nie rozumiem.

- Dobry pies powiedział: „Chcemy, żebyś się zabiła, Savannah. Zrób to dla dobra rodziny, bo nas kochasz”. To był głos mamy.

- Ale to nie była mama.

- Krzyknęłam: „Nie!”, bo wiedziałam, że to trik. Wtedy usłyszałam głos taty, który także mi mówił, żebym się zabiła. Taki słodki, uwodzicielski

głos. Ale to jeszcze nie było najgorsze. Dobry dog przysunął się blisko mojego ucha i gardła. I przemówił głosem najmilszym ze wszystkich. „Zabij się. Proszę, zabij się, żeby rodzina nie musiała więcej cierpieć. Jeśli nas kochasz, Savannah, weź brzytwę, a ja ci pomogę to zrobić”. To wtedy pocięłam się po raz pierwszy, Tom. Nikomu wtedy nie powiedziałam o głosach. Nie miałam pojęcia, jak komukolwiek w Colleton powiedzieć, że widzę i słyszę takie rzeczy.

- Ale tym razem nic sobie nie zrobisz, Savannah. Nie posłuchasz ich tym razem, prawda?

- Nie, ale muszę być sama, żeby z nimi walczyć. Zostają na długo, ale teraz wiem już lepiej, jak sobie z nimi radzić. Obiecuję. Idź spać. Przepraszam, że cię zbudziłam.

- Nie, zostanę tu z tobą, aż znikną.

- Muszę sama ich pokonać, Tom. To jedyny sposób, teraz to wiem. Proszę, idź spać. Teraz czuję się już lepiej, kiedy ci powiedziałam. Dziękuję, że przyszedłeś. Potrzebowałam tego.

- Chciałbym zrobić coś, naprawdę, ale nie wiem, jak walczyć z czymś, czego nie widzę ani nie słyszę.

- Ja to zrobię - powiedziała. - Muszę. Dobranoc, Tom. Tak bardzo cię kocham.

Pocałowałem ją i przycisnąłem do piersi. Rękami otarłem jej pot z twarzy i znowu pocałowałem. Wychodząc, obróciłem się w progu i zobaczyłem, jak siedzi oparta na poduszkach i wpatruje się w straszliwą menażerię pokoju.

- Savannah, ten głos. Ten ostatni, który ci mówił, żebyś się zabiła. Czyj to głos? Nie powiedziałaś mi.

Popatrzyła na mnie, na swego brata bliźniaka.

- To najmilszy, najstraszliwszy głos ze Wszystkich, Tom. Użyły twojego głosu. Tego, który najbardziej kocham.

W saloniku zobaczyłem, że Luke obudził się i słucha. Oparty o ścianę palił papierosa i patrzył na drzwi do pokoju Savannah. Kiwnął na mnie, podszedłem więc do niego i usiadłem obok.

- Słyszałem wszystko, Tom - szepnął i wypuścił kółka dymu na paprotki po drugiej stronie pokoju. - Ma takiego świra jak sowie gównno.

- To się u niej dzieje zupełnie naturalnie - syknąłem, wściekły na jego terminologię.

- Dlaczego nie może ci po prostu uwierzyć, że nic tam nie ma?

- Bo coś tam jest, Luke. W tym cały problem.

- Nic. Znowu to psychologiczne gównno. Ona chyba to lubi.

- Widzę, że znowu rozmawiałeś z mamą.

- Czuję się przerażony, jak pomyślę, że ona może to lubić. Chcę wtedy uciekać, być od niej jak najdalej. Kiedy zaczyna rozmawiać ze ścianami, staje się kimś innym, kimś, kogo nie znam. A potem zaczyna wszystko rzucać na rodzinę. Na mamę, na tatę. Jeśli byli tak cholernie niedobrzy, to dlaczego wszyscy nie widzimy psów na ścianach? Dlaczego z nami nie zrobiło się to co z nią?

- A skąd wiesz, że nie, Luke?

- Ani ty, ani ja nie jesteśmy wariatami. Jesteśmy normalni, a szczególnie ja. Ty masz czasami humory, ale to pewnie dlatego, że lubisz czytać. Ludzie, którzy lubią czytać, zawsze są trochę pokręcani. Weźmy ją jutro i zawieźmy do Colleton. Zabiorę ją do roboty na kutrze. Słone powietrze oczyści jej głowę, podobnie jak ciężka praca. Nie możesz wariować, kiedy trzeba zapieprzać na okrągło, bo idą krewetki. Nie ma czasu. Savannah to żywy dowód, że pisanie wierszy i czytanie książek psuje mózg.

- A ty jesteś żywym dowodem, że łowienie krewetek daje takie same skutki - odparowałem wściekle. - Nasza siostra jest chora, Luke. Zupełnie jakby miała raka mózgu lub coś podobnego. Czy teraz zaczynasz to trochę lepiej rozumieć? Jej choroba jest tak samo niebezpieczna.

- Nie wściekaj się na mnie, Tom, proszę. Staram się to zrozumieć na swój sposób. Wiem, że to nie jest twój sposób. W każdym razie czułbym się lepiej, gdyby była bliżej nas. Mogłaby mieszkać u mnie, a ja bym jej pomógł. Naprawdę, potrafiłbym.

- Mówiła o tym dniu na wyspie.

- Słyszałem. Powinieneś być jej powiedzieć, że to się nigdy nie wydarzyło..

- Powiedziałem.

- Mama nam mówiła, że tego nigdy nie było.

- Mama mówiła nam także, że ojciec nigdy nas nie bił. Że pochodzimy z arystokracji Południa. Mówiła nam tysiące nieprawdziwych rzeczy, Luke.

- Ja niewiele pamiętam z tamtego dnia.

Chwyciłem brata za ramię, przyciągnąłem i brutalnie wyszeptałem do ucha:

- A ja pamiętam wszystko, Luke. Każdy najdrobniejszy szczegół tego dnia i każdy najdrobniejszy szczegół całego naszego dzieciństwa. Tylko że jak cholerny kłamca powtarzam sobie, że wszystko zapomniałem.

- Przysiągłeś, że nigdy o tym nie wspomnisz. Tak jak my wszyscy. Najlepiej o tym zapomnieć. Nie chcę pamiętać, co się zdarzyło, nie chcę o

tym mówić i nie chcę rozmawiać o tym z Savannah. W niczym to jej nie pomoże, a wiem, że sama nic nie pamięta.

- W porządku - powiedziałem - ale nie udawaj, że tego dnia nie było, bo wtedy dostaję szafa. Zbyt wiele w naszej rodzinie udawaliśmy Luke, i zbyt wiele ukrywaliśmy. Wydaje mi się, że wszyscy zapłacimy bardzo wysoką cenę za naszą niezdolność do spojrzenia prawdzie w oczy.

- Myślisz, że to właśnie Savannah robi tutaj? - spytał Luke i pokazał na jej drzwi. - Kiedy mówi do aniołów i psów? Kiedy zalewa się śliną? Kiedy łąduje u czubków? W ten sposób spogląda się w oczy prawdzie?

- Nie, myślę, że prawda wydostaje się z niej wszystkimi porami. Nie sądzę, żeby potrafiła jej spojrzeć w oczy bardziej niż my, ale też nie ma takiej jak my siły stłumienia.

- Jest wariatką, bo pisze.

- Jest wariatką z powodu tego, o czym musi pisać. Pisze o dziewczynie dorastającej w Karolinie Południowej, o tym, co zna najlepiej na świecie. O czym chciałbyś, żeby pisała: o zuluskich nastolatkach, eskimoskich narkomanach?

- Powinna pisać o tym, co jej nie rani, co nie zwabia psów.

- Musi o nich pisać, Luke. To z tego rodzi się poezja. Bez nich nie ma poezji.

- Boję się, Tom. Ona któregoś dnia się zabije, - Jest silniejsza, niż myślimy. I chce napisać jeszcze wiele wierszy. To ją będzie trzymać przy życiu. Nie starczy psów w jej głowie, żeby przestała pisać. Prześpijmy się trochę. Jutro mamy przed sobą kawał drogi do odwalenia.

- Nie możemy jej tak zostawić - Musimy ją tak zostawić, Luke. Jej życie w większości składa się z takich chwil.

- Chcę, żebyś wiedział jedną rzecz, Tom. Posłuchaj mnie, i to posłuchaj dobrze. Nie rozumiem, co jest nie tak z Savannah. Nie potrafię. Ale kocham ją dokładnie tak samo jak ty.

- Wiem, Luke. I ona też wie.

Tej pamiętnej nocy w Nowym Jorku nie zmrużyłem już oka. Myślałem natomiast o tym, jak wszyscy dotarliśmy do tego momentu, jakie błogosławieństwa i rany każde z nas wyniosło z wyspy, a także jaką niewątpliwą i niezmienną rolę każde z nas odgrywało w groteskowym melodramacie rodzinnym. Od najwcześniejszego dzieciństwa Savannah była zdana na niesienie balastu skumulowanej rodzinnej energii psychotycznej. Promieniejąca wrażliwość otwierała ją na domową przemoc i rozgoryczenie, a my w niej, w Savannah, gromadziliśmy cierpkość naszej chorobliwej kroniki. Teraz widzę to wyraźnie: na drodze skutecznej, lecz

zabójczej selekcji jeden z członków rodziny zostaje przeznaczony do szaleństwa, a wtedy wszystkie neurozy, zdziczenie, zabłąkane cierpienia niczym kurz osadzają się pod okapami i w niszach tej najczulszej, najdelikatniejszej psychiki. Szaleństwo zaczyna atakować najwrażliwsze oko i podcinać najsubtelniejsze skrzydła. Pytałem sam siebie, kiedy Savannah została wytypowana do szaleństwa. Kiedy zapadła decyzja i czy dokonano się to przez aklamację, tak że ja, jej bliźniak, przytaknąłem tej decyzji? Czy przyłożyłem rękę do wieszania aniołów w jej pokoju i czy wiedziałbym, jak pomóc jej odciąć?

Starąłem się dokładnie przemyśleć wszystkie nasze role. Luke'owi przypadła w udziale siła i prostota. Fetyszem uczynił swe jednoznaczne poczucie sprawiedliwości i spolegliwości. Ponieważ w szkole nie szło mu najlepiej i ponieważ był najstarszy, to on stawał się obiektem nagłych furii ojca, on był pasterzem, który najpierw odprowadzał stado w bezpieczne miejsce, by później zawrócić i samotnie stawić czoło ojcowskiemu gniewowi. Trudno określić szkody wyrządzone Luke'owi czy też wyliczyć całościową sumę spustoszeń wywołanych przez jego miejsce w rodzinie. Z racji ogromnej siły było w jego istnieniu coś nietykalnego, niedosiężnego. Jego dusza była fortecą, a oczy nazbyt długo spoglądały na świat spoza blanków. Swą ewangelię i filozofię wypowiadał jedynie ciałem. Odnosił rany jedynie zewnętrzne i zastanawiałem się, czy kiedykolwiek będzie musiał ocenić ich rozmiary. Wiedziałem, że nigdy nie pojmie ustawicznej wojny naszej siostry z przeszłością ani nie kończącego się przemarszu jej osobistych, niezastępowalnych demonów przez świat jawy, ani też nie sądziłem, by Savannah zrozumiała kiedykolwiek wielkość dylematu Luke'a - dylematu fundamentalnej odpowiedzialności i powinności niewyrażalnej siły. Luke rzucał się do działania wtedy, kiedy krzyczało serce, poezja w nim była bezsłowna. Nie był ani poetą, ani psychotykiem, był, człowiekiem czynu - oto nieznośny ciężar, który nasza rodzina na niego złożyła tylko dlatego, że urodził się pierwszy.

A ja? Kim stałem się ja, bezsenny i oślepiiony przez monstrialne serafiny, które kołysały się przed oczyma mojej siostry? Jaka była moja rola, czy zawarła się w niej wielkość czy ruina? Mnie została wyznaczona w rodzinie normalność. Byłem dzieckiem zrównoważonym, któremu przyznane zostało przywództwo, zimna krew pod ogniem dział, stabilność. „Solidny jak skała”, tak charakteryzowała mnie matka wobec swoich przyjaciół i myślę, że było to doskonałe określenie. Byłem układny, błyskotliwy, towarzyski i religijny. Byłem krajem neutralnym, familijną Szwajcarią. Jako symbol prawości, składałem hołd obrazowi nienaganego



dziecka, którego pragnęli rodzice. Pełen szacunku dla form, w życie dorosłe wkraczałem bojaźliwy i bardzo chętny do sprawiania innym przyjemności. I podczas gdy moja siostra z krzykiem walczyła z czarnymi psiskami z jej piekieł, a brat spał jak niemowlę, ja całą noc spędziłem bezsennie, wiedząc, że przeminął bardzo ważny tydzień mego życia. Byłem żonaty od niemal sześciu lat, pracowałem jako nauczyciel i trener i wiodłem mierne życie.

RS

## ROZDZIAŁ 3

Minęło dziewięć lat od czasu naszych pierwszych odwiedzin Nowego Jorku, kiedy byliśmy świadkami triumfalnego występu Savannah w Greenwich Village, a trzy od chwili, gdy Savannah i ja, kiedyś nierozłączne rodzeństwo, zamieniliśmy ze sobą kilka słów. Nie potrafiłem wymówić jej imienia bez bólu. Nie potrafiłem myśleć o minionych pięciu latach, nie rozpadając się przy tym wewnątrz. Pamięć była władczynią i pamiątką nocnej zmory, kiedy taksówką przekroczyłem most na Fiftyninth Street i wjechałem na Manhattan niczym królewski koniuszy, którego zwyczajowo się wzywa, aby na nowo poskładał siostrę.

Psychiatra Savannah nazywała się Lowenstein, przyjmowała w eleganckiej kamienicy z piaskowca we wschodniej części miasta, a jej poczekalnia cała była w tweedzie i skórze. Popielniczki były wystarczająco ciężkie, by zabić nimi wiewiórkę. Na przeciwległych ścianach wisiały dwa nowoczesne obrazy dostatecznie zgrzytliwe, by spowodować schizofrenię. Przywodziły na myśl plamy Rorschacha rozwłóczone po zagonie lilii. Zapatrzyłem się w ten, który Wisiał nad recepcjonistką, zanim wypowiedziałem pierwsze słowa.

- Czy ktoś wyłożył na to pieniądze? - spytałem kompetentną, nie mającą czasu na bzdury czarnoskórą kobietę za biurkiem.

- Trzy tysiące dolarów. Właściciel galerii powiedział doktor Lowenstein, że oddaje go właściwie za darmo - lodowato odrzekła zapytana, nie podnosząc głowy.

- Czy artysta wprowadził palec do przetyku i chlusnął na płótno, czy też, pani zdaniem, użył farb?

- Czy był pan umówiony?

- Tak, madame. Mam się zobaczyć z panią doktor o trzeciej.

- Pan Wingo - powiedziała, sprawdziwszy najpierw w notatniku. - Zamierza pan zostać w Nowym Jorku na noc. Uprzedzam, że nie prowadzimy tu hotelu.

- Nie miałem czasu, by zostawić walizkę u siostry. Czy będzie pani miała coś przeciw temu, jeśli bagaż zostawię tutaj na czas wizyty u pani Lowenstein?

- Skąd pan przyjeżdża? - spytała.

W pierwszej chwili chciałem skłamać, że z Sausalito w Kalifornii. Każdy cię Uwielbia, kiedy mówisz, że jesteś z Kalifornii, podczas gdy jest pełen współczucia lub rezerwy, kiedy wyznajesz, że pochodzisz z Południa. Spotykałem Murzynów, którzy byli gotowi mnie filetować na sam dźwięk

głosu obwieszczającego: „Colleton, Karolina Południowa”. W ich oczach widziałem przekonanie, że gdyby uwolnili Ziemię od tego kolesia o smutnych oczach, pomściliby w ten sposób przodków, którzy porwani z sawann, pokrwawieni i w kajdanach zostali dostarczeni do któregoś z portów Południa.

- Z Karoliny Południowej - oznajmiłem.

- Tak mi przykro - powiedziała, uśmiechając się, ale nie podnosząc oczu.

Dotarło teraz do mnie, że pokój wypełnia muzyka Bacha. Na półce w końcu pokoju stały świeże kwiaty - starannie ułożone purpurowe irysy nachylały się ku mnie niczym małe, delikatne ptasie łebki. Przymknąłem oczy i usiłowałem odprężyć się przy muzyce, oddać jej uwodzicielskiej mocy. Spowalniała puls, pomyślałem o różach. Lekko bolała mnie głowa, byłem ciekaw, czy zapakowałem do walizki aspirynę. Na regaliku stały książki, wstałem, aby się im przyjrzeć, podczas gdy koncert Bacha dobiegł końca i do pokoju zawitał Vivaldi. Książki były starannie dobrane i ustawione, niektóre miały osobiste dedykacje autorskie i zorientowałem się, że wielu pisarzy siedziało w tym pokoju, dygocząc w obliczu wizji świata anonimowego artysty. Na samej górze wysłedziłem drugi tomik Savannah, Księżę przyływów. Otworzyłem na dedykacji i niemal, zapłakałem, czytając jej słowa. Właściwie przyjemnie było poczuć, że łyzy szukają dla siebie drogi, stanowiły bowiem dowód, że nadal żywe jest to głębokie miejsce, gdzie ból skrępowany i zdegradowany spoczywał w taniej, obłej skorupie męskości. Moja męskość! Jakże nie znosiłem bycia mężczyzną i związanych z tym zaciekłych obowiązków, pokazu nieustępliwej siły, namiętnej i głupiej brawury. Jakże nienawidziłem siły, powinności i niezłomności. Jakże bałem się widoku ukochanej siostry z poranionymi przegubami, rurkami wprowadzonymi do nosa i butlami glukozy wiszącymi wokół łóżka jak szklane embriony. Znałem jednak świetnie swoją rolę, znałem tyranie i sidła męskości, dlatego też stawie się u siostry niczym filar siły, król roślin stąpający po naszej wspólnej ziemi, z rąk mych będzie biła siła pastwisk, pewność cykli rozwoju, rozbrzmiewać będą zaśpiewem jej odnowy, a z ust popłyną uspokajające słowa trenera i władcy pór roku. Siła była moim darem, a także mym popisem i to ona z pewnością kiedyś mnie zabije.

Przewróciłem kartkę, gdzie był pierwszy wiersz. Przeczytałem go na głos przy akompaniamencie skrzypiec, irysów i Vivaldiego, starałem się odtworzyć ton i artykulację, ów przejmujący respekt, z jakim wówczas czytała swoje wiersze.

Czuję, jak magia gorzeje we mnie posepna, żądza ogromna czapli wśród płomieni, ze słów mury zamkowe wznoszę i umacniam, by nasłać potem powietrznych rycerzy.

Nie chcę zrozumienia, nie szukam pociechy.  
 Me armie są bitne i dobrze szkolone.  
 Poetka zawierzy swoim batalionom,  
 że słowa przekują na niechybne klingi.

o świcie poproszę, by pięknie stawały,  
 dowodząc, że nie były ćwiczenia na marne.  
 Po zmroku błagając je o wybaczenie,  
 gardła rozplątam u stóp miękkich wzgórze.

Me floty żeglują po toniach języka,  
 niszczyciele na pełne wypływają morza.  
 Wygladzam wysp plaże dla barek najeźdźców.  
 Słowa werbują się w armie zaciężne.  
 Z wierszami wyruszam na wojnę ze światem.

Czuję, jak magia gorzeje we mnie Południa.  
 Bombowce w ciemności kołują po pasach.  
 Z pokoi wycieka spazm bólu nielotny  
 i księżyc jest czapłą w płomieniach.

Powróciłem do dedykacji.

Człowiek się smuci, lecz Bóg decyduje,  
 Kiedy uśmiercić Księcia przypliwów.

Kiedy poniosłem wzrok, zobaczyłem doktor Lowenstein, która wpatrywała się we mnie na progu gabinetu. Była szczupła, ubrana w drogie ciuchy. Oczy miała ciemne i bez makijażu. W ocienionym pokoju, z Vivaldim rozplwającym się w słodkich echach, była olśniewająco urodziwa, jedna z tych nowojorskich zabójczych piękności, którym nic nie jest w stanie odebrać wyglądu lwic. Wysoka, ciemnowłosa, wydawała się nasączona dobrymi manierami i smakiem.

- Kim jest Książę przypliwów? - spytała, nie przedstawiając się.
- Dlaczego nie spyta pani Savannah?

- Zrobię to, kiedy będzie można z nią rozmawiać. To chyba trochę potrwa - odrzekła, wygładzając żakiet. - Ach, przepraszam. Doktor Lowenstein. A ty musisz być Tom.

- Tak, proszę pani - potwierdziłem i wszedłem w ślad za nią do gabinetu.

- Tom, chcesz filiżankę kawy?

- Tak, proszę pani - odrzekłem nerwowo.

- Dlaczego zwracasz się do mnie „proszę pani”? Na oko jesteśmy równolatkami.

- To kwestia dobrego wychowania. I zdenerwowania.

- Czemu jesteś zdenerwowany? Coś do kawy?

- Śmietankę i cukier. Robię się nerwowo za każdym razem, kiedy moja siostra podcina sobie żyły. Takie dziwactwo.

- Byłeś już kiedyś u psychiatry? - spytała i z barku koło biurka wzięła dwie filiżanki kawy. Chód miała wdzięczny i pewny.

- Tak, myślę, że przy tej czy innej okazji poznałem wszystkich lekarzy Savannah.

- Czy próbowała już odbierać sobie życie?

- Tak. Były jeszcze takie dwa miłe, szczęśliwe wydarzenia.

- Dlaczego mówisz „miły i szczęśliwy”?

- To cynizm, przepraszam. Rodzinny nawyk, któremu ulegliśmy wszyscy.

- Czy Savannah jest cyniczna?

- Nie. Ta część domowego horroru jej umknęła.

- Brzmi to tak, jakbyś żałował, że umknęła cynizmowi.

- Zamiast tego usiłuje się zabić, pani doktor. Wolałbym, żeby była cyniczna. Jak się czuje Savannah? I czemu zadaje mi pani te pytania, nic nie mówiąc mi o jej stanie?

- Smakuje ci kawa, Tom? - spytała z absolutnym spokojem.

- Tak, bajeczna. A teraz o Savannah.

- Chciałabym, żebyś postarał się o trochę cierpliwości, Tom. Do kwestii Savannah przejdziemy za chwilę - oznajmiła protekcjonalnie lekarka, a w głosie tym pobrzmiwała mnogość medycznych godności. - Są pewne zupełnie podstawowe pytania, które muszę postawić, jeśli chcemy pomóc Savannah. A jestem pewna, że chcemy, nieprawdaż.

- Nie, pani doktor, jeśli nie przestanie się pani zwracać do mnie tym obrzydliwie wyniosłym tonem, jak gdybym był niesfornym szympansem, którego chce pani nauczyć pisać na maszynie. I najpierw musi mi pani powiedzieć, gdzie jest moja siostra - powiedziałem, wciskając dłonie pod uda, aby ukryć ich drżenie. Na skutek połączenia kawy z bólem głowy

odległe dźwięki muzyki działały na moje nerwy niczym zgrzyt paznokcia po szkle.

Doktor Lowenstein uodporniona na wrogość w jej różnorodnych formach popatrzyła na mnie chłodno.

- Dobrze, Tom. Powiem ci wszystko, co wiem o Savannah. Potem mi pomożesz?

- Nie wiem jeszcze, czego pani ode mnie chce.

- Chcę się dowiedzieć jak najwięcej o jej życiu, żebyś opowiedział mi wszystko, co o nim wiesz. Chcę usłyszeć historię jej dzieciństwa, kiedy po raz pierwszy pojawiły się symptomy, kiedy zaczęła zdradzać objawy choroby. Wiedziałaś, że jest chora psychicznie, prawda, Tom?

- Oczywiście - odparłem. - Połowa jej wierszy mówi o szaleństwie. Pisze o nim tak, jak Hemingway o zabijaniu lwów. To jej odmiana demencji. Robi mi się niedobrze, jak myślę o chorobie Savannah. Mam już dosyć tych wszystkich mówien Sylvii Plath. Kiedy poprzednio otworzyła sobie żyły, powiedziałem jej, pani doktor, żeby następnym razem nie spała roboty. Żeby wsadziła sobie do ust lufę rewolweru i odstrzeliła tył głowy. Ale nie. Czuje jakiś pociąg do brzytwy. Rozumie mnie pani? Nie mogę już znieść widoku jej ran. Nie mogę znieść tego, jak leży w łóżku z rurkami w nosie. Jestem dobrym bratem, ale nie wiem, co jej jeszcze powiedzieć, kiedy rozkrawa siebie, jakby oprawiała łąnię. To nie moja specjalność, pani doktor. Ale też żaden psychiatra, żaden pieprzony doktor Freud, nie uciszył jej demonów. A pani to potrafi? No jak, potrafi pani?

Upiła łyk kawy, naturalny spokój lekarki doprowadzał mnie do furii, a zarazem ze zdwojoną siłą podkreślał mój brak opanowania. Odstawiła filiżankę, która gładko wpasowała się w rowek spodka.

- Może jeszcze kawy, Tom?

- Nie.

- Nie wiem, czy będę potrafiła pomóc twojej siostrze... - I znowu zatrzymała na mnie swe profesjonalne spojrzenie. - Próba samobójstwa miała miejsce tydzień temu. W tej chwili twojej siostrze nie grozi śmierć z powodu ran. Pierwszej nocy omal nie umarła, ale lekarze na oddziale nagłych wypadków w Bellevue spisali się, jak słyszałam, znakomicie. Zobaczyłam ją po raz pierwszy w stanie zapaści, kiedy nie było jeszcze wiadomo, czy wyżyje. Ocknąwszy się, zaczęła się miotać i krzyczeć. Był to śmietnik, ale jak się na pewno spodziewasz, o znacznej wartości poetyckiej i asocjacyjnej. Nagrałam wszystko i materiał ten może podsunąć nam jakieś sugestie, jeśli chodzi o ostatni nawrót. Wczoraj coś się zmieniło. Przestała się odzywać. Zadzwoiłam do znajomej poetki, a ta od sąsiadki twojej

siostry dostała telefon matki. Wysłałam telegram do ojca, ale nie otrzymałam odpowiedzi. Jak sądzisz, dlaczego nie odpowiedział?

- Bo mieszka pani w Nowym Jorku. Bo jest pani kobietą. Bo jest pani lekarką. Bo jest pani psychiatrą. Bo jest śmiertelnie przerażony, ilekroć Savannah ma załamanie nerwowe.

- A radzi sobie w ten sposób, że nie odpowiada na wołanie o pomoc?

- Gdyby Savannah zawołała o pomoc, a on mógł to zrobić, natychmiast byłby przy niej. Dla niego świat rozpada się na Wingów, dupasów i dupkowatych Wingów. Savannah jest Wingo.

- A ja jestem dupas - powiedziała z niezmaconym spokojem.

- Natychmiast pani chwyciła zasadę - pochwaliłem z uśmiechem. - Nawiasem mówiąc, ojciec mógł nie otrzymać pani listu.

- Czy twoja rodzina nienawidzi Żydów?

- Moja rodzina nienawidzi wszystkich. Nie ma w tym żadnej osobistej urazy.

- Czy kiedy dorastaliście, w waszej rodzinie używało się słowa „czarnuch”?

- Oczywiście, pani doktor - odparłem, zastanawiając się, jaki to ma związek z Savannah. - Wychowałem się w Karolinie Południowej.

- Musieli jednak być jacyś wykształceni, świetli ludzie, którzy nie chcieli używać tego obrzydliwego słowa - powiedziała lekarka.

- To nie Wingo. Z wyjątkiem matki, która była zdania, że tak mówi tylko biała hołota. Dlatego ona mówiła „czarny”, szczególnie akcentując to w zdaniu. Miała wrażenie, że dzięki temu lokuje się wysoko w rankingu humanitaryzmu.

- A czy ty sam używałeś słowa „czarnuch”, Tom?

Wpatrzyłem się badawczo w jej piękną twarz, aby stwierdzić, czy nie żartuje, były to jednak godziny zawodowe i pani doktor była jedną wielką powagą i nie miała czasu na najmniejsze wysepki humoru.

- Tylko w towarzystwie poniżających mnie Jankesów w pani typie. Wtedy, pani doktor, nie mogę się powstrzymać od używania tego słowa. Czarnuch. Czarnuch. Czarnuch. Czarnuch. Czarnuch. Czarnuch.

- Czy już skończyłeś? - spytała, a ja byłem rad, że udało mi się jednak urazić jej opancerzoną wrażliwość.

- Mniej więcej.

- Nie pozwalam używać tego słowa w moim gabinecie.

- Czarnuch. Czarnuch. Czarnuch. Czarnuch. Czarnuch. Czarnuch.

Zapanowała nad sobą i powiedziała głosem, w którym słycać było napięcie i wysiłek:



- Nie chciałam cię upokarzać, Tom, a jeśli odniosłeś takie wrażenie, to przepraszam. Zdziwiło mnie odrobinę to, że w rodzinie poetki Savannah Wingo używano się tego słowa. Nie tak łatwo uwierzyć, że była to rodzina rasistów.

- Savannah jest dzisiaj tym, kim jest, ponieważ jej rodzina była rasistowska. Wystąpiła przeciw rodzinie. Zaczęła pisać w akcie oburzenia, że urodziła się w takiej rodzinie.

- A czy ty jesteś wściekły, że urodziłeś się w takiej rodzinie?

- Byłbym wściekły niezależnie od tego, w jakiej rodzinie bym się urodził. Gdybym jednak miał wybór, wołałbym Rockefellerów albo Carnegiech. Kiedy przychodzi się na świat jako Wingo, po prostu wszystko jest trudniejsze.

- Wyjaśnij to bliżej.

- Myślę, że życie jest bolesne dla wszystkich ludzi, ale szczególnie trudne staje się dla każdego Wingo. Są to oczywiście tylko teoretyczne spekulacje, nigdy bowiem nie byłem nikim innym niż Wingo.

- Jaką religię wyznawało się w twojej rodzinie? - spytała lekarka.

- Katolicką, do licha. Rzymskokatolicką - Czemu powiedziałaś „do licha”? Nie ma niczego złego w byciu katolikiem.

- Nawet nie ma pani pojęcia, co to za przekleństwo urodzić się katolikiem na głębokim Południu.

- Może i mam jakieś pojęcie - odparła. - Nawet nie wiesz, jakie to przekleństwo urodzić się Żydówką gdziekolwiek w świecie.

- Czytałem Philipa Rotha - powiedziałem.

- I co z tego? - rzuciła, a w jej głosie była już wyraźna wrogość.

- Nic takiego. Bojaźliwa próba ustanowienia między nami kruchego związku.

- Philip gardzi Żydami i kobietami, a żeby to wyczuć, nie trzeba być ani Żydem, ani kobietą - powiedziała, a enuncjacja ta sugerowała, że sprawa została wyczerpana raz na zawsze.

- Tak samo uważa Savannah - mruknąłem uśmiechając się na samo wspomnienie pasji i dogmatyzmu siostry w tej właśnie kwestii.

- A co ty sądzisz, Tom?

- Naprawdę chce się pani dowiedzieć?

- Tak. Bardzo.

- Zatem, z zachowaniem należącego szacunku, sędzę, że i pani, i Savannah wygadujecie głupoty - odparłem.

- Z zachowaniem należącego szacunku, dlaczego miałybyśmy podzielać opinie białych samców z Południa?

Nachyliłem się i szepnąłem:

- Ponieważ, pani doktor, kiedy akurat nie zjadam korzonków i jagódek, nie dymam muła, stojąc na pniaku, ani nie zarzynam prosiaka nad zlewem, jestem bardzo bystrym chłopakiem.

Uśmiechnęła się i obejrzała swoje paznokcie. W zapadłej ciszy wydawało się, że ściszona muzyka wąską smugą wcieka do pokoju, każdy dźwięk jest jasny i wyraźny, jak walc z drugiej strony jeziora.

- Tom - raz jeszcze spróbowała doktor Lowenstein - w wierszach siostry jesteś bratem, który łowi krewetki, czy trenerem?

Wiedziałem, że ta kobieta jest prawdziwym wyzwaniem.

- Trenerem - oznajmiłem.

- Czemu ściszyłeś głos. Czy to wstyd być trenerem?

- Wstydzę się tego, co ludzie myślą o trenerach. Zwłaszcza w Nowym Jorku. Zwłaszcza psychiatry. A już najbardziej psychiatry - kobiety.

- A jaki mam, twoim zdaniem, pogląd na trenerów w ogólności?

Znowu całkowicie panowała nad sobą.

- A w szczególności ilu pani zna trenerów?

- Żadnego - odrzekła z uśmiechem. - Chyba niewielu ich się pojawia w kręgu moich znajomych.

- Gdyby pani знаła choć jednego, nie wpuściłaby go pani do kręgu swoich znajomych.

- Pewnie tak, Tom. A kim ty się otaczasz w Karolinie Południowej?

- Innymi trenerami - powiedziałem, czując się w tym aromatycznym pomieszczeniu jak w ciasnej pułapce. Czulem zapach jej perfum, które dobrze znałem, ale nie mogłem przypomnieć sobie nazwy. - Razem czytamy artykuły sportowe, mocujemy się na rękę i wysysamy sobie krwawiące wrzody.

- Bardzo tajemniczy z ciebie człowiek, Tom. Nie pomogę twojej siostrze, jeśli na wszystkie pytania będziesz odpowiadał żartem albo zagadką. Musisz mi zaufać. Rozumiesz?

- Trudno powiedzieć, proszę pani. O sprawach osobistych niełatwo mi mówić z osobami, które kocham, a co dopiero z takimi, które znam zaledwie od pół godziny.

- Mnie się zdaje, że za bardzo się skupiasz na kulturowej odmienności między nami.

- Czuję, jak pani mną gardzi - powiedziałem i zamknąłem oczy, na których ból rozpiął siateczkę cierpienia.

- Gardzę? - powtórzyła z niedowierzaniem i przewróciła oczyma. - Nawet gdyby odpychało mnie wszystko to, co dla ciebie jest ważne, nie

czułabym pogardy do ciebie samego. Potrzebuję twego wsparcia, żeby pomóc twojej siostrze, jeśli mi na to pozwolisz. Znam całą jej twórczość, ale muszę wniknąć w szczegóły jej życia, tak bym w chwili, gdy znowu nawiążemy z nią kontakt, mogła spróbować przedrzeć się przez ten destrukcyjny schemat, w którym, jak się zdaje, tkwi od niepamiętnych czasów. Gdyby udało mi się odszukać jakieś wskazówki w przeszłości, pomógłabym jej wypracować strategię przetrwania, które pozwoliłyby jej dalej tworzyć, ale bez takich niszczących konsekwencji.

- Już wiem - powiedziałem, wstałem i zacząłem krążyć po pokoju, zdezorientowany, coraz mniej panujący nad sobą, oszołomiony pastelami. - Jest pani bohaterką sztuki z końca dwudziestego wieku. Wrażliwa i pełna oddania terapeutka, która ratuje poetkę dla potomności, wymanikiurowane, uzdrawiające ręce kładzie na ziejących ranach artystki i za pomocą świętych słów Zygmunta Freuda zawracają znad skrajów przepaści. Lekarka staje się małym, lecz powszechnie znanym przypisem do historii literatury.

Ująłem głowę w dłonie i zacząłem palcami masować skronie.

- Czy boli cię głowa, Tom? - spytała.

- Straszliwie, pani doktor. Ma pani może działkę morfiny?

- Nie, ale mam aspirynę. Dlaczego nic nie mówiłeś?

- Nie wypada skarżyć się na ból głowy, kiedy siostra ma podcięte żyły.

Podeszła do biurka, wysypała sobie na rękę trzy aspiryny, naląła następną kawę i wszystko postawiła przede mną.

- Czy chcesz może położyć się na kozetce?

- Nie, do diaska! Przez cały czas obawiałem się, że będzie pani chciała ułożyć mnie na kozetce, jak to robią na filmach.

- Staram się nie robić tego jak w filmach... Nie chcę cię szokować, Tom, ale kiedy zobaczyłam ją pierwszy raz przytomną, mazała się własnymi ekskrementami.

- To mnie nie szokuje.

- Dlaczego?

- Widowałem już wcześniej, jak smaruje się gównem. To robi wrażenie za pierwszym razem. Może za drugim. Potem człowiek się przyzwyczaja i staje się to częścią scenariusza.

- Kiedy widziałeś to pierwszy raz?

- W San Francisco. Jeździła z wieczorami autorskimi. Wsadzili ją do prawdziwego psychiatryka. Trudno powiedzieć, czy malowanie się gównem było aktem autonienawiści czy może próbą upiększenia pokoju.

- Żartujesz sobie z psychozy siostry! Dziwny z ciebie człowiek!

- To taki styl Południa, pani doktor.

- Styl Południa?
- Nieśmiertelna fraza mojej matki. Śmiejemy się, kiedy ból staje się nieznośny. Śmiejemy się, kiedy nędza ludzkiego życia staje się zbyt... nędzna. Śmiejemy się, kiedy już nic więcej nie można zrobić.
- A kiedy płaczecie... w stylu Południa?
- Kiedy skończymy się śmiać, pani doktor. Zawsze. Zawsze, kiedy skończymy się śmiać.
- Spotkamy się w szpitalu. Może być siódma?
- Całkowicie. Przepraszam za niektóre rzeczy, jakie dziś powiedziałem, pani doktor. Dziękuję, że nie wykopała mnie pani ze swego gabinetu.
- Więc do wieczora. Dziękuję, że przyszedłeś - powiedziała, a potem dodała uszczypliwie: - Trenerze.

Niezależnie od tego jak humanistyczny i światły może być szpital dla umysłowo chorych, klucze są jawnym świadectwem władzy, stalowymi oznakami wolności i swobody poruszania się. Przemarszowi lekarzy i pielęgniarek towarzyszy frustrująca kakofonia kluczy, które śpiewnie objają się o uda, podkreślając, że to idą osoby wolne. Kiedy zacząć się wsłuchiwać w te klucze, nie mając swojego, wtedy łatwo zbliżyć się do zrozumienia owego przerażenia duszy, która odłączona zostaje od wszelkich kontaktów z rodzajem ludzkim. Ten sekret kluczy poznałem w jednym z wierszy siostry, który napisała w trakcie pierwszego internowania. Uznała klucze za talizmany i szyfry swego dylematu, którym była nie wypowiedziana wojna z sobą samą. Ilekroć była chora, budziła się na najlżejszy brzęk kluczy.

Tego wieczoru, gdy doktor Lowenstein zabrała mnie, abym się zobaczył z Savannah, siostra siedziała w kącie z rękami oplecionymi wokół kolan, głową zaś odwróconą od drzwi i opartą o ścianę. Pokój cuchnął ekskrementami i amoniakiem, znajomą, zgniłą wonią, która poniża każdą godzinę choroby, zapachem charakteryzującym amerykański szpital dla umysłowo chorych. Kiedy weszliśmy, nie poruszyła się ani nie spojrzała, a ja natychmiast wiedziałem, że będzie to jeden z bardzo złych okresów.

Doktor Lowenstein podeszła do Savannah i delikatnie dotknęła jej ramienia.

- Savannah, mam dla ciebie niespodziankę. Przeprowadziłam twojego brata, Toma.

Siostra nawet nie drgnęła. Jej duch oddzielił się od ciała. W jej bezruchu był spokój minerału, w czarnej bryle katatonii - niesplamiona boskość. Katatonicy zawsze wydawali mi się najświętszymi z psychotyków. W zaprzysięgłym milczeniu tkwi niezłomność i jest coś świętego w tej

niezgodzie na ruch. To najspokojniejszy z dramatów upadłej ludzkiej duszy, uroczysta próba kostiumowa do samej śmierci. Widywałem już siostrę w takim bezruchu i teraz byłem wręcz weteranem jej nieuleczalnej statyczności. Za pierwszym razem załamałem się i schowałem twarz w dłoniach. Przypomniałem sobie teraz, co mi kiedyś powiedziała, że głęboko we wnętrzu zastygnięcia i samotności jej duch kurował się w niedosiężnych miejscach, dokopując się do złóż i żył ukrytych w najbardziej niedostępnych zakątkach umysłu. A poza tym, dodała, jak długo trwała w bezruchu, tak długo nie mogła sobie zrobić żadnej krzywdy, a tylko oczyszczała się i przygotowywała do dnia, gdy znowu wyjdzie na światło. A kiedy zacnie wychodzić, chciałem być w pobliżu.

Położyłem ręce na ramionach Savannah, ucałowałem w szyję i usiadłem obok niej. Przytuliłem ją mocno i potarłem twarzą o włosy. Starłem się nie patrzeć na bandażę na przegubach.

- Ej, Savannah - powiedziałem miękko. - Jak tam, kochanie? Wszystko będzie dobrze, bo jestem tutaj. Bardzo mi smutno, że źle się czujesz, ale zostanę tutaj, aż ci się polepszy. Wczoraj widziałem się z tatą, kazał powiedzieć, że cię kocha. Ale nie martw się, nic się nie zmienił, nadal pozostał dupkiem. Mama nie mogła przyjechać, bo musiała wyprać rajstopy. Sallie i dzieciaki mają się dobrze. Jennifer zaczynają rosnąć piersi. Któregoś wieczoru przyszła do mnie po kąpieli, spuściła ręczniki mówi: „Spójrz, tatku, podskakują!”, a potem ze śmiechem i okrzykami uciekła do hallu, a ja pogoniłem lubieżnie za nią. Karolina Południowa w ogóle się niewiele zmieniła i ciągle jest to cholerna kulturalna stolica świata. Nawet Sullivan Island zaczyna nabierać trochę ogłady. Tną dyktę na nowy kiosk barbecue przy autostradzie. Ciągle nie znalazłem pracy, ale bardzo się staram, mówię o tym, bo wiem, że się martwisz. Niedawno widziałam babcię Wingo w domu starców w Charlestonie, były jej urodziny. Myślała, że jest rok 1920, a ja jestem biskupem Charlestonu i zamierzam uprawiać z nią seks. Poza tym widziałem jeszcze...

Mówiłem tak do siostry przez pół godziny, aż wreszcie doktor Lowenstein przerwała mój monolog leciutkim dotknięciem oznajmiającym, że czas już iść. Wstałem, a potem wziąłem siostrę na ręce i zaniósłem do łóżka. Wychudła, policzki miała pociemniałe i zapadnięte. Oczy nic nie widziały - dwa turkusowe klejnoty znieruchomiałe w szarawobiałym polu. Kiedy ją położyłem, skuliła się jak embrion. Z kieszeni wydobyłem grzebień i zacząłem rozczesywać jej wilgotne, splątane włosy. Czesalem mocno, aż wróciło coś z dawnego złota, czesałem, aż wróciło coś z dawnej puszystości i blasku. A potem zaśpiewałem piosenkę z dziecięcych lat.

Zabierz mnie do miejsca, gdzie światło ujrzałem.

Pod słodkie słońce Południa zabierz mnie do domu, Gdzie dzikie ptaki do snu co, noc mnie usypiały,

Ach, czemuż ujechałem w świat daleki, czemu?

W milczeniu stałem nad nią przez chwilę, a potem powiedziałem:

- Jutro znowu przyjdę cię zobaczyć, Savannah. Wiem, że mnie słyszysz i dlatego mówię: pamiętaj, byliśmy już w tym miejscu i znowu z niego wyjdziemy. Na to potrzeba trochę czasu. A potem pójdziemy śpiewać, tańczyć”, ja będę wygadywał okropności na Nowy Jork, a ty będziesz szturchać mnie w ramię i nazywać byczym karkiem. Jestem tutaj, kochana, i zostanę tak długo, jak długo będziesz mnie potrzebować.

Ucałowałem moją bliźniaczkę w usta i nakryłem ją prześcieradłem.

Kiedy owionęło nas na zewnątrz powietrze późnej wiosny, doktor Lowenstein spytała, czy jadłem już coś, a ja sobie przypomniałem, że nie. Zaproponowała swoją ulubioną francuską restaurację, „Petite Marmite”. Natychmiast pomyślałem o cenach, co jest automatyczną reakcją nauczyciela z Karoliny Południowej, przez lata upokarzanego płacą kulisa. Zupełnie zapomniałem, że przecież byłem bezrobotny. Amerykańscy nauczyciele przywykli myśleć o sobie jako biedakach, zachwycają ich konferencje i targi książki z pokojami gościnnymi, opłaconymi kosztami i ucztami złożonymi z gumowych kurczaków, świetnych francuskich przybrań i różnorakich groszków, - Czy będzie drogo, pani doktor? Parę razy płacąc tutaj rachunek w restauracji, sądziłem, że opłacam dziecku prywatną szkołę.

- Moim zdaniem ceny są bardzo rozsądne jak na warunki nowojorskie.

- Proszę zaczekać. Porozumiem się ze swoim bankiem, czy mogę liczyć na pożyczkę.

- Ja stawiam, trenerze.

- Jako całkowicie wyzwolony samiec zgadzam się, pani doktor...

Maitre d'hotel przywitał doktor Lowenstein z serdecznością, która natychmiast informowała, że lekarka należy do stałych gości. Poprowadził nas do stolika w kącie. Para przy stoliku obok namiętnie pomrukiwała do siebie, ręce mieli splecione, oczy orgazmiczne, żarłocznie wyolbrzymione w świetle świec i łatwo było zgadnąć, iż najchętniej rzuciliby się na siebie nad śnieżnobiałym obrusem i zaczęli kopulować w sosie bernanaise. Lekarka zamówiła butelkę Macon Blanc, potem szybko zerknęła w oprawne w skórę menu.

- Czy mogę wziąć hors d'oeuvres - spytałem.
- Oczywiście. Bierz, cokolwiek chcesz.
- Czy mogę wziąć same hors d'oeuvres - Nie. Chcę, żebyś spożył dobrze skomponowany posiłek.
- Jesteś Żydówką.
- Trafna obserwacja - powiedziała z uśmiechem, a poważnie już spytała:
- Co pomyślałeś o Savannah?
- Nigdy jeszcze nie było tak źle. Aleja czuję się znacznie lepiej.
- Nie rozumiem.
- O wiele trudniej coś zrobić, kiedy krzyczy, ma zwidy, wszystko jest poza kontrolą. Ale kiedy jest taka jak teraz... zupełnie jakby odpoczywała, zbierała siły, przygotowywała się do powrotu w świat. Wyjdzie z tego za miesiąc lub dwa, pani doktor. Obiecuję.
- Możesz przewidywać z taką pewnością?
- Właściwie nie, ale to wzorzec, który znam.
- Dlaczego jesteś bez pracy?
- Bo mnie wylali.
- Można spytać, dlaczego?
- To część długiej historii - powiedziałem - i w tej chwili nie można spytać.

Kelner przyniósł butelkę i nalał odrobinę do kieliszka doktor Lowenstein. Powąchała, posmakowała i kiwnęła głową. Uwielbiam ten mały dramat posiłku, elegancję rytuału. Wdzięczny posmakowałem wina i poczułem, jak wsącza się w ciało, aby rozpocząć długie nocne oblężenie migreny. Wiedziałem, że nie powinienem pić, ale bardzo tego chciałem. Miałem tej kobiecie opowiedzieć moją historię, aby pomóc siostrze, tymczasem wybrałem inną strategię: opowiem jej moją historię, aby ratować się przed samym sobą.

- Czuję, że nadchodzi czas migreny, pani doktor. Nie mam pracy ani perspektyw zatrudnienia. Moja żona, internistka, ma właśnie romans z kardiologiem. Zastanawia się nad rzuceniem mnie. Nienawidzę matki i ojca, ale za pięć minut oświadczę pani, że wcale tak nie myślę i oboje serdecznie kocham. Mój brat, Luke, to tragedia rodzinna, a chociaż usłyszała pani o Luke'u, nie widać jeszcze, jak to się łączy z Savannah. Czy wspomniałem już, że ojciec jest w więzieniu? To dlatego nie mogłem odpowiedzieć na pani telegram. Historia Wingo, to humor, groteska i tragedia, ale dominuje tragedia. Zobaczysz pani, że szaleństwo Savannah jest naturalną reakcją na życie rodzinne. Moja zaś reakcja była nienaturalna.

- A jaka była twoja reakcja?



- Udawałem, że nic się nie wydarzyło. Mam odziedziczony po matce dar wypierania i hojnie z niego korzystam. Siostra nazywa mnie Trenerem Niepamięci, chociaż przypuszczam, że pamiętam o wiele więcej od niej.

- A teraz?

- Teraz jestem w trakcie rozpadu. Moja rola nigdy tego nie uwzględniała. Rodzina zawsze oczekiwała ode mnie, że będę ostoją siły, facetem z gwizdkiem, dobrym trenerem. Zawsze byłem rejestratorem i głównym świadkiem rodzinnego melodramatu.

- Czy nie dramatyzujesz odrobinę swojej roli, Tom?

- Tak. I na tym urywam, i zaczynam być czarujący.

Zamówiliśmy dania i zaczęła mi opowiadać o swoim życiu, delikatniejąc w świetle świec. Zamówiła miękkie kraby w migdałach, więc opowiedziałem jej, jak łowi się kraby w Colleton River. Ja miałem łososia w aksamitnym sosie koperkowym, ona zatem powiedziała mi, że w Szkocji oglądała połowy łososia.

Pojawiła się druga butelka wina i sałatka grzybowa tak świeża, jakby się smakowało poszycie lasu. Vinaigrette upstrzony był liśćmi bazylii. Ból głowy ustąpił, czułem jednak, jak migrena zaczyna się rozsiadać w krzyżu i posuwać w górę, z wolna gromadząc swe żalodne siły, niczym pociąg w górach. Na deser skosztowałem malin w śmietanie. Kiedy nadjechał sorbet, zaczęła mnie znowu wypytywać o Savannah.

- Czy słowo „Callanwolde” znaczy coś dla ciebie, Tom?

- Jasne, a czemu pani pyta?

- To jedno ze słów, które Savannah powtarzała, odzyskawszy przytomność. Jedno ze słów, które wykrzykiwała. - Podała mi nad stołem kartkę z prośbą, żebym przeczytał. - Jak ci wspomniałam, zarejestrowałam wszystko, co Savannah mówiła w tych pierwszych kilku dniach. Sądziłam, że to może się przydać, kiedy wydobrzeje na tyle, aby powrócić do terapii. To, co tutaj widzisz, wydobyłam z całych godzin bełkotu.

Sięgnąłem po wino i przeczytałem.

„Knebel dla Księcia przyplwów. Psy na moich urodzinach. Trzeba żyć w białym domu, mokradła nigdy nie są bezpieczne. Czarny pies bez związku z tygrysami. Tata ma aparat. Tata ma aparat. Psy wałęsają się w stadach. Trzech mężczyzn idzie drogą. Psy wałęsają się w stadach. Trzech mężczyzn idzie drogą. Callanwolde. Callanwolde. Z lasów Callanwolde do domu przy Rosedale Road. Knebel dla Księcia przyplwów. Usta brata nie są bezpieczne. Mokradła nie są bezpieczne. Krewetki nadchodzą, krewetki nadchodzą, psy nadchodzą. Cezar. Czerwony groszek i gardenie. Słodkie chlebki. Teraz. Teraz. Wielkolud i słoje. Wyprowadź tygrysa tylnymi

drzwiami. Graj Dixie dla fok. Pukają. Czy słyszysz kogoś, mamó? Groby znowu mówią. Mamó, ktoś ukradł śnieg z rzeki, ktoś znacznie ładniejszą ode mnie. Ilu z aniołów, co wypadły z łona, na wiosnę rozkwitło brzydota? Gdzie owoc i dziadek z krzyżem? Kochanica sów. Zatrzymać, zatrzymać łódkę! Zostaniemy już z tobą na długo. Zrobimy ci krzywdę. Przyrzekamy. Zabij tygrysa. Zabij tygrysa, mówię. Zatrzymajcie! Gdzie Agnes Day?"

- Chryste Panie! - jęknąłem na zakończenie.

Doktor Lowenstein odebrała mi kartkę i starannie złożyła.

- Czy cokolwiek z tego wydaje ci się ważne?

- Znam prawie wszystko. I wszystko wydaje się ważne,

- To znaczy?

- To wykrzyczana autobiografia. Przeznaczona dla pani... dla każdego, kto chce słuchać... Dla niej samej.

- Autobiografia? Czy zostaniesz w Nowym Jorku, żeby mi opowiedzieć o wszystkim?

- Od początku do końca, pani doktor. Jak długo będę potrzebny.

- Czy możemy zacząć jutro o piątej?

- Jasne - powiedziałem. - Usłyszy pani kilka strasznych rzeczy.

- Tom, dziękuję, że chcesz poczekać z odjazdem, żeby pomóc Savannah.

- Nie - pokręciłem głową i z najwyższym trudem wykrztusiłem: - Proszę pomóc mnie. Mnie.

Było już po północy, gdy dotarłem do mieszkania siostry na Grove Street. Sheridan Square wydawał się uśpiony i nierzeczywisty w bezkسیężycową noc, snuli się po nim pozakastowi mieszkańcy miasta po północy. Każdego dnia przecinały się ich drogi, oni zaś niczym nie zdradzali, że poznają się nawzajem. W uroczystej, zadziwionej nostalgii kroczyli w świetle pełnym ech. Na ich twarzach widać było blask jakiejś wewnętrznej i trwałej równonocy, zupełnie niepojętej dla obcych. Nieustraszeni lunatycy, wpatrywałem się uważnie w każdego z nich, kiedy przechodzili, niepomni mojej obecności. Usiłowałem naśladować ich mimikę, eteryczną, bezinteresowną, niepowtarzalną, ale moja twarz jest marnym aktorem. Oni wiedzieli, jak stawiać kroki w wielkim mieście, ja nie. Ja, gość, człowiek z zewnątrz, wchodząc do budynku Savannah, poczułem morze, stary, znajomy zapach wschodniego wybrzeża toczący się z hukiem ulicami.

Antyczna winda o rozmiarach i kształcie trumny ze skrzypieniem i jękiem wpełzła na piąte piętro. Ustawiłem bagaż na marmurowej posadzce i wypróbowałem dwanaście kluczy, zanim znalazłem cztery, które odsunęły ogromne zasuwę odgradzającą moją siostrę od świata.

Zostawiwszy drzwi otwarte, wszedłem do sypialni Savannah i rzuciłem walizkę na jej łóżko. Zapaliłem lampkę przy łóżku, ale żarówka była przepalona. W ciemności zacząłem macać za kontaktem i z hukiem zwałem na podłogę kryształowy wazon, by w tej samej chwili posłyszeć głos wrzeszczący z korytarza:

- Stać! Nie ruszaj się, sukinsynu! Jestem nerwus, pistolet jest załadowany i z przyjemnością rozwalam rabusiów!

- To ja, Eddie - zawołałem z sypialni. - Do jasnej cholery, to ja - Tom!

- Tom? - powtórzył ze zdziwieniem Eddie Detreville, ale zaraz zaczął mnie strofować. - Tom, nie powinienes się włamywać do żadnego mieszkania w Nowym Jorku, nie dając mi wcześniej znać.

- Nie włamuję się, Eddie. Mam klucze.

- Kochany, to jeszcze nie powód, żeby odgrywać jeźdźca znikąd. Savannah rozdaje ludziom klucze, jak gdyby to były kotyliony.

- Dlaczego nie dałeś mi znać o Savannah, Eddie? - spytałem, a pytanie to po raz pierwszy przyszło mi do głowy.

- Nie czepiaj się mnie, Tom, bo tego nie zniosę. Dostałem wyraźny rozkaz, by o niczym nie mówić rodzinie, chyba że umrze. Myślisz, że nie chciałem? To ja ją znalazłem. Usłyszałem, jak leci na podłogę w łazience. Nie było jej widać od miesiący. Całych miesiący! Nawet nie wiedziałem, że wróciła. Pomyślałem, że jacyś bandyci ją mordują. Wpadam roztrzęsiony tutaj ze spluwą w garści i znajduję ją zakrwawioną w łazience. Wyglądała to strasznie i sam mało nie zemdlałem, jak łatwo zgadnąć. Jak tylko o tym pomyślę, dostaję dygotki.

- Ty ją znalazłeś? Nie wiedziałem o tym.

- Kompletny burdel. Przez kilka dni zmywałem krew. Mówię ci, jak w rzeźni.

- Uratowałeś jej życie - powiedziałem do Eddiego stojącego w mdłym świetle korytarza.

- Tak. Ja także lubię myśleć o tym w taki podniosły sposób.

- Nie musisz już we mnie mierzyć, Eddie.

- Ach tak, przepraszam, Tom - powiedział i opuścił lufę. - W tym roku już dwa razy mnie obrabowali.

- Czemu nie zamykasz drzwi?

- Kochany, w moich drzwiach jest więcej zamków niż włosów na głowie Shirley Tempie. To akrobaci i kaskaderzy. Jeden skoczył ze schodów pożarowych sąsiedniego budynku i wylądował na moim klimatyzatorze. Wszystkie parapety wysmarowałem Crisco, ale to profesjonalni złodzieje.

Mówię serio. Nawet ci nie zdradzę, jaką płacę składkę ubezpieczeniową. Astronomiczną. A co z tobą, Tom? Nawet się nie przywitaliśmy, jak należy.

Podszedłem do drzwi i uściskałem Eddiego Detreville'a. Pocałował mnie w policzek, odwzajemniłem się tym samym i weszliśmy do saloniku. Zapalił światło, a ja ciężko zwałem się na fotel. Światło poraziło oczy, wdzierając się do mózgu z okrutną, obezwładniającą intensywnością.

- A gdzie Andrew? - spytałem z zamkniętymi oczyma.

- Zostawił mnie dla młodszego, Tom. Nazwał mnie starym pierdołą. Starym, zniszczonym pierdołą. To nie było przyjemne. Dzwoni jednak co chwila i zdaje się, że możemy na powrót się zaprzyjaźnić. Savannah okazała się aniołem, kiedy do tego doszło. Praktycznie nie ruszałem się stąd.

- Przykro mi - powiedziałem, unosząc powieki. Światło sprawiało, iż czułem się tak, jakby mi ktoś chlusnął w źrenice kwasem. - Lubiłem Andrew. Dobrą tworzyliście parę. Jakiś nowy ładny chłopak na horyzoncie?

- E, gdzie tam! Chyba, że uda mi się cię skusić, żebyś tym razem przekroczył granice. Czy ciągle trwasz przy tej swojej żalosalnej tezie, że jesteś nieuleczalnym hetero?

- Stałem się neutralny - odparłem. - Dość mam już seksu. Na razie uważam się nad sobą bez opamiętania.

- Zrobię ci drinka - powiedział. - A potem zacznę powoli uwodzić cię zmysłowo.

- Tylko nie przesadz, Eddie. Nadchodzi migrena.

- Widziałeś Savannah?

- Mhm. Zupełnie jakbym mówił do paprotki.

- Przez jakiś czas była całkowicie niekontrolowalna. Nawet sobie nie wyobrażasz. Kukułcze gniazdo.

- Masz jakieś proszki przeciwbólowe? Swoje zostawiłem w domu.

- Proszki? Mam napędzacze, spowalniacze, wyśredniacze i wszystko, co pomiędzy. Powiedz tylko, czego chcesz, a doktor Eddie ci podaje. Moja apteczka wygląda jak filia Bristol-Myers. Ale niedobrze jest pić i brać prochy.

- A od kiedy robię to, co jest dla mnie dobre?

- Okropnie wyglądasz, Tom. Jeszcze nigdy cię takiego nie widziałem. Nawet nie jesteś zbyt przystojny.

- To w ten sposób powoli uwodzisz zmysłowo? - spytałem. - Nie dziwię się, że jesteś samotny.

- Nie chciałem cię krytykować - powiedział, przygotowując jednocześnie drinka na barku obok biurka Savannah. - Taaak. Pan Wrażliwiec. Nawiasem mówiąc, nawet słowem się nie zająknąłeś, jak ja wyglądam.

Przyniósł mi koniak. Patrzyłem, jak idzie przez pokój. Eddie Detreville był eleganckim i wyrafinowanym mężczyzną w średnim wieku. Baki mu posiwiały, a w nienagannie zaczesanych brązowych włosach też widać było białawe pasemka. Miał twarz znużonego monarchy, gładką skórę, z drobnymi zmarszczkami wokół ust i oczu. Białka pokrywała siateczka czerwonych żył, a były też delikatnie pożółkłe, jak gdyby spoglądał przez postarzały muślin.

- Mówiłem przedtem i powtarzam teraz, Eddie, że jesteś jednym z najpowabniejszych mężczyzn na tej planecie.

- Mówisz tak tylko dlatego, że bezwstydnie dopominałem się o komplement, za co nie zamierzam przeproszać.

- Wyglądasz tak dobrze, że chciałoby się cię schrupać.

- No, proszę, może jednak do czegoś dojdziemy.

- Nie to miałem na myśli, Eddie.

- Obiecanki cacanki. Ale naprawdę myślisz, że dobrze wyglądam? Nie postarzałem się zbyt, co?

- Eddie, pytasz mnie o to za każdym razem.

- Bo za każdym razem, jak cię widzę, jest to bardzo istotne.

Widzisz mnie rzadko i dlatego tobie najłatwiej jest ocenić, czy pogorszył się mój wygląd. Parę dni temu, Tom, trafiłem na swoje stare zdjęcia i omal się nie popłakałem. Ależ byłem piękny. Po prostu śliczny młodzieniec. Teraz, kiedy się gołę, nigdy nie zapalam światła w łazience, nie mogę znieść odbicia swojej twarzy w lustrze. To nazbyt smutne. Zacząłem znowu włóczyć się po barach, Tom. Którejś nocy zaczępiłem młodego chłopaka. Cudowny dzieciak. Chciałem mu postawić drinka. A on do mnie: „Czyś ty, dziadku, zdurniał?” Byłem jak ogłuszony.

- Jego strata, Eddie.

- Starości obawiam się bardziej niż śmierci. Jak długo zamierzasz zostać w Nowym Jorku tym razem, Tom?

- Nie wiem, Eddie. Psycholka Savannah chce, żebym jej opowiedział wszystkie te gówniane historie rodzinne, żeby potem mogła na powrót złożyć Humpty Dumpty'ego. Powiem jej po prostu, że mamusia jest świrem, tatuś jest świrem, wszyscy Wingo są świrami, więc i Savannah jest świrem.

- Kiedy ostatni raz widziałeś się lub w ogóle rozmawiałeś z Savannah, Tom?

- Chyba trzy lata temu - odpowiedziałem zakłopotany. - Mówiła, że za bardzo jej przypominam Luke'a.

- Muszę ci coś powiedzieć, Tom. Obawiam się, że tym razem Savannah z tego nie wyjdzie. Chyba już było tego za wiele dla niej. Jest wyczerpana, nie ma już sił walczyć.

- Nie mów tak, Eddie. Mów sobie co chcesz, ale tego nie chcę już więcej słyszeć.

- Przepraszam, Tom. Tak czuję już po prostu od dawna.

- Czuj sobie, ale tego nie mów.

- To było głupie. Cofam każdą sylabę. Jutro wieczorem zapraszam cię na kolację.

- Bardzo dziękuję. Sprawdź, jak się będę czuł rano.

Eddie wyszedł, a ja rozglądałem się po mieszkaniu i czekałem, aż migrena przesunie się po mózgu jak wielki cień zaćmienia. Trwała już od dwóch godzin, a nadal czułem, jak, rośnie ciśnienie u podstawy czaszki. Rzuci mnie na kolana dopiero wtedy, gdy dotrze do lewej skroni. Wziąłem pierwszy proszek i splukałem ostatnim łykiem koniaku. Wzrok zatrzymał się na fotografii, którą Savannah zawiesiła na ścianie nad biurkiem. Byliśmy już w klasie maturalnej, kiedy ojciec zrobił to zdjęcie na pokładzie łódki. Ja i Luke, uśmiechnięci do kamery, zarzucamy ramiona na plecy Savannah, ona zaś rozradowana patrzy w górę na Luke'a z czystym, prostym uwielbieniem. Cała nasza trójka jest opalona, młoda i - tak - piękna. Z tyłu, za zatoką i trzęsawiskiem, mała, ledwie widoczna matka macha do ojca sprzed naszego niedużego, białego domku. Gdybyśmy wiedzieli, co przyniesie ten rok, nikt by się nie uśmiechał. Aparat zatrzymał jednak czas i trójka uśmiechniętych dzieciaków na zawsze będzie stała na łódce, przygarniając się czule w uścisku kruchej, ale niewzruszonej miłości.

Z tylnej kieszeni spodni wyjąłem portfel, a z niego złożony, pomięty list, który Savannah napisała do mnie po pierwszym meczu mojej drużyny. Spojrzałem na uśmiechniętą dziewczynę na zdjęciu i zadałem sobie pytanie, kiedy, w którym dokładnie momencie ją utraciłem, pozwoliłem jej za bardzo oddalić się ode mnie, kiedy ją zdradziłem i wydałem na łup światu. Zdjęcie rozkrawało mi serce, zacząłem czytać list.

**Kochany Trenerze!**

Myślałam nad tym, Tom, jak też możesz uczyć swoich chłopaków. Jakiego języka używasz, aby cię pokochali i prowadzeni Twoim głosem gnali przez przyciętą przez ciebie trawę. Kiedy widziałam, jak ty i twoja drużyna wygrywacie pierwszy mecz, dotarła do mnie srebrzysta niczym dźwięk gwizdka magia sportu. Żadne słowa nie opiszą tego, jak piękny jesteś, krzycząc coś do quarterbacków, sygnalizując przerwę, krążąc wzdłuż

nienaturalnie świetlistych linii bocznych. Jakżeż wtedy kocha cię twoja siostra za niewyobrażalne uwielbienie gry, za miękką, zwiewną miłość, której bezmiarem ogarniasz wszystkich graczy i wszystkie mecze na świecie.

Są jednak rzeczy, których nauczyć trenerów mogą tylko siostry. Więc tego ich naucz, Tom, i naucz dobrze: łagodnych słów czułości i chęci życia dla innych. Zmuszaj ich do wytworności, popychaj do uprzejmości, daj im zajrzeć głęboko w siebie, uczyn z nich mężczyzn, ale tak delikatnie jak anioły układające chmury na niebie. Niechże twój duch łagodnie w nich przeniknie, tak jak wnika we mnie.

Płakałam wczoraj wieczorem, kiedy słyszałam, jak twój głos góruje nad tłumem. Słyszałam, jak dodajesz otuchy kiepskim przechwytom, wolnym obrońcom, słyszałam muzykę twoich pochwał. Ale, Tom, bracie mój, lwie złocisty i dotkliwie zraniony: naucz ich przede wszystkim tego, co potrafisz najlepiej. Nie ma wiersza, nie ma listu, który potrafiłby przekazać chłopakom ten jeden z twych nieomylnych darów. Chciałabym, aby nauczyli się od ciebie, jak być najdelikatniejszym, najdoskonalszym bratem.

Savannah

Skończyłem czytać, raz jeszcze popatrzyłem na zdjęcie i starannie umieściłem list w portfelu.

W sypialni wymieniłem żarówkę w lampce i posprzątałem kawałki zbitego wazonu. Szybko się rozebrałem, ciskając ubranie na krzesło obok łóżka, zdjąłem narzutę i wśliznąłem się do pościeli. Zamknąłem oczy i zaraz otworzyłem.

Przeniknął mnie ból, trysnął przed źrenicami niczym słup ognia. Uderzył zniechęca i mocno.

W zupełnym bezruchu leżałem w ciemności z przymkniętymi powiekami i przysięgałem zmienić swoje życie.



## ROZDZIAŁ 4

Nie ma osądów dzieciństwa, są tylko konsekwencje i jasny ciężar wspomnień. Mówię teraz o porażonych słońcem, głęboko przeżytych dniach mojej przeszłości. Więcej jest we mnie gawędziarza niż historyka, ale postaram się przedstawić wam bez rozcięnczenia i ozdobników grozę młodości. Naruszam spójność dziejów naszej rodziny, kiedy wszystko, nawet smutek zamieniam w opowieść. Nie ma w niej niczego romantycznego, jest tylko ciąg wydarzeń.

Początkiem niech będzie pewien fakt: psy na wyspie przeszczeniają się nawzajem.

Jest wieczór. Dziadek słyszy je i nie podoba mu się ten dźwięk. W melodii ich głosów zawiera się elegijna samotność tej części świata. Psy na wyspie są wystraszone. Jest czwarty października roku 1944, godzina dziesiąta wieczór. Zaczął się przypływ i będzie trwał aż do 1.49 nad ranem.

W białym domku nad rzeką rodzi się moja siostra. Poród jest opóźniony o miesiąc, ale w tej chwili ma to niewielkie znaczenie. Sarah Jenkins, osiemdziesięcioczeroletnia Murzynka i akuszerka od sześćdziesięciu lat, nachyla się nad matką, gdy Savannah przychodzi na świat. Doktor Bannister, jedyny lekarz w Colleton, w tej właśnie chwili umiera w Charlestonie.

Sarah Jenkins chce właśnie zająć się Savannah, kiedy spostrzega, iż nieoczekiwanie pokazuje się moja głowa. Pojawiłem się z zaskoczenia, jakby bez przekonania.

Do Melrose Island zbliża się huragan. Dziadek umacnia okiennice taśmą klejącą. Podchodzi do kołyski i patrzy na śpiącego Luke'a. Znowu wsłuchuje się w jazgot psów, teraz jednak ledwie go słyszy z powodu wichury. Światło wysiadło godzinę wcześniej, przychodzę więc na świat w blasku świec.

Sarah Jenkins dokładnie nas obmywa i zajmuje się matką. Był to długi, trudny poród i akuszerka obawia się komplikacji. Urodziła się jako niewolnica w chacie za Barnwell Plantation i jest ostatnią żyjącą niewolnicą w hrabstwie Colleton. Ma skórę twardą i błyszczącą, koloru kawy z mlekiem.

- Spójrz, Sarah - mówi dziadek, przysuwając Savannah do lampy. - Dobry znak. Pierwsza od trzech generacji dziewczynka w rodzinie Wingo.

- Z mamą jest dobrze.

- Nie możesz jej pomóc?

- To wszystko, co potrafię. Sam wiesz. Teraz potrzebny jej doktor. -, -  
Wiatr jest coraz silniejszy, Sarah.

- Zupełnie jak ta burza w dziewięćdziesiątym trzecim. Ależ to była wichura. Pozabijała kupę biednych ludzi.

- Nie boisz się?

- Na coś trzeba umrzeć.

- Dobrze, że przyszłaś, Sarah.

- Lubię być ze swoimi córeczkami, jak przychodzi ich czas. Czarne, białe, bez różnicy. Potem wszystkie są moimi córkami. Po tych wyspach chodzi tysiąc moich dziecinek.

- Pamiętasz, jak ja się rodziłem? - spytał dziadek.

- Strasznie się darłeś.

- Bliźniaki. Co to znaczy?

- Szczęście - odparła Murzynka, odwracając się znowu do mojej matki. -  
Bóg uśmiechnął się dwa razy mocniej do umęczonego świata.

Na zewnątrz wiatr zaczął twardo napierać na las, ulewa zaś dłubała w ziemi nowo narodzonymi palcami. Fale coraz wyżej zalewały przystań. Węże opuszczały swe nory i wpełzały na gałęzie drzew, wyczuwając powódź. Mała wyrwana z korzeniami palma toczyła się po drodze obok domu niczym powalony człowiek. Nie słychać było żadnego ptaka, umilkły nawet świerszcze.

Dziadek wszedł do sypialni i zastał matkę niemal śpiącą z wyczerpania, Sarah Jenkins ocierała jej twarz z potu i mówiła:

- Świetnie się sprawiłaś, Lila, kochanie. Piękna robota na nocną zmianę.

- Dzięki, tato - powiedziała. - Burza?

- Chyba nie będzie wielka - skłamał. - Ty się trochę prześpij, a ja już zajmę się burzą.

Przeszedł do pokoju dziennego i z kieszeni wyciągnął telegram, który matka dwa dni wcześniej dostała z Ministerstwa Wojny. Ojciec został zestrzelony podczas akcji nad Niemcami i nie powrócił do bazy. Najprawdopodobniej zginął. Zapłakał gorzko nad synem, ale zaraz przypomniał sobie, że ma własne obowiązki, a bliźniaki zapowiadają szczęście.

Przeszedł do kuchni i zaczął przygotowywać kawę dla siebie i Sarah, kiedy była gotowa, wziął filiżankę i zaniósł Murzynce. Wtedy poczuł, jak wiatr opasuje domek, a szyby basowo mruczą, co jest skargą zagrożonego szkła. Woda niemal zupełnie zrównała się już z przystanią i nadal napierała, skłębiona przez wichurę. Gniazdo zerwane ze szczytu suchego drzewa

przetoczyło się przez podwórze niczym kobiecey kapelusz, a rzeka porwała je i poniosła z prądem.

Dziadek wziął białą Biblię, którą wręczył rodzicom w prezencie ślubnym, i otworzył na pustych stronach między Starym a Nowym Testamentem. Matka wybrała dwa imiona, jedno dla chłopca, drugie dla dziewczynki, i teraz dziadek pod imieniem Luke'a zapisał Savannah Constance Wingo, a pod nim moje imiona: Thomas Catlett Wingo.

Huragan, nazwany później przez Murzynów na nizinach Batszebą, zabić miał dwieście siedemdziesiąt osób na wybrzeżu Karoliny Południowej. Dziadek sprawdził zegarek. Była prawie jedenasta. Otworzył Księgę Hioba i czytał przez godzinę. Myślał o swoim synu i żonie. Babka porzuciła go podczas Wielkiego Kryzysu. Były to czasy, gdy dziadek miał na pieńku z Panem. Czytał teraz o Hiobie i czuł ukojenie. I raz jeszcze zapłakał nad swoim synem.

Wstał wreszcie i popatrzył na rzekę. Burzy towarzyszyło jakieś nieziemskie światło, przedziwne rozjaśnienie, ale samej rzeki nie widział. Nałożył buty, płaszcz gumowy i kapelusz, wziął z kuchni jedną z latarek, zjrzał raz jeszcze do córki i Sarah, przypatrzył się każdemu z wnucząt, a potem wyszedł na wichurę.

Drzwi niemal wyleciały z zawiasów, kiedy je otworzył, musiał użyć wszystkich sił, aby je zamknąć. Zmagając się z wiatrem, zaczął brnąć przez podwórze w kierunku rzeki. Gałąź uderzyła go w czoło, rozcinając je niczym metalowe ostrze. Osłonił dłonią oczy i wsłuchał się w trzask drzew wzdłuż rzeki, które wiatr łamał na pół. Miał jeszcze dwadzieścia pięć jardów do brzegu, kiedy był w wodzie po kolana. Przestraszony, oślepiony przez deszcz nachylił się i skosztował. Była słona. Pomodlił się do Boga Abrahama, Boga, który rozdzielił Morze Czerwone, Boga, który cały świat zatopił w wodzie - pomodlił się o siłę.

Pozwolił, by wiatr zepchnął go z powrotem w kierunku domu. Dotarł do drzwi, ale nie mógł ich otworzyć, wiatr je zagwoździł.

Pobiegł do tylnego wyjścia, ale w drodze powaliła go dębowa gałąź, która urwała się z drzewa rosnącego pod oknem sypialni rodziców. Oszołomiony, krwawiący z rany na tyle głowy, podniósł się i na czworakach powłókł na tył domu. Burza przygniatała go do ziemi niczym góra. Otworzył drzwi i woda chlusnęła do kuchni. Przez chwilę leżał otepiały na podłodze, ale rzeka wzbierała. Obmył w zlewie krew z czoła. W nieludzkim świetle latarni poszedł do sypialni matki, a za nim podążył cień, wielki i złowrogi.

Na krześle koło łóżka matki spała Sarah Jenkins. Obudził ją, lekko potrząsając.

- Rzeka - szepnął. - Idzie tutaj, Sarah.

W tym samym czasie w Niemczech, w pobliżu miasteczka Dissan, mój ojciec, ukryty na chórze, patrzył, jak katolicki ksiądz odprawia mszę. Lewa część twarzy ojca była sparaliżowana, lewe ramię zwisało bezwładne, oczy zaś zalewała krew. Wpatrywał się w kapłana, odprawiającego mszę po łacinie, którą ojciec z racji swej niewinności i bólu uznał za niemczyzną. Obserwując jego gesty, sposób, w jaki pochylał się przed krzyżem, wyraz twarzy, z jakim obracał się, aby pobłogosławić trzy zgarbione niewiasty, które w czas wojny zjawiły się na porannej mszy, ruch podniesienia hostii, usiłował wyrobić sobie opinię na temat charakteru tego człowieka. Czy to ktoś, kto gotów będzie mi pomóc, zastanawiał się ojciec. Zabijałem jego rodaków bombami, ale co sługa Boży sądzi o Hitlerze? Co robi, kiedy poproszę go o pomoc? Ojciec przez całe swe życie nie był jeszcze w kościele katolickim. Nigdy nie miał znajomego katolika. Nigdy nie widział duchownego tego wyznania.

- Agnus Dei qui tollis peccata mundi - usłyszał słowa księdza i urzekły go swoim pięknem, chociaż były dla niego bezsensowne.

- Agnus Dei - usłyszał odpowiedź.

Ojciec opuścił pistolet, z którego mierzył w ornat księdza, i przeniósł wzrok na trzy kobiety, które podeszły do barierki, aby przyjąć komunię. Wydawało mu się, że kapłan uśmiecha się do każdej z niewiast, ale nie był pewien. Bolała go głowa. Nigdy dotąd nie doświadczył takiego bólu, nigdy nawet nie przypuszczał, że taka męka jest możliwa. Zanim msza się skończyła, ojciec zemdlął z głową opartą o kamienną balustradę, a tułowiem zaklinowanym między organami i ścianą.

Wielebny Giinther Kraus miał sześćdziesiąt lat i urodził się w Monachium, siwe włosy oraz nerwowa twarz o ostrym nosie nadawały mu wygląd inkwizytora. Złowieszcze oblicze sympatycznego człowieka. Na kapłaństwo zdecydował się po części z racji tego, co uważał za swą nieuleczalną brzydotę.

Był już proboszczem w trzeciej co do wielkości parafii w Monachium, pokłócił się jednak z biskupem z powodu współpracy tegoż z nazistami. Dla swego własnego dobra, ojciec Kraus został zesłany przez biskupa na bawarską prowincję. Kilku z odważniejszych niż on kolegów ukrywało rodziny żydowskie i zginęło w Dachau. Pewnego razu odprawił od drzwi taką rodzinę szukającą schronienia w jego kościele, co, jak uznał potem, było grzechem, którego Bóg, jakkolwiek miłosierny, nigdy mu nie wybaczy.

Ojciec znalazł się w kościele człowieka niezbyt dzielnego, ale za to dobrego.

Po mszy ojciec Kraus odprowadził trzy kobiety do drzwi i przez dziesięć minut gawędził z nimi na stopniach świątyni. Ministrant pogasił świece, uporządkował naczynia liturgiczne i powiesił komżę w małej szafce obok zakrystii. To on zauważył stłuczoną szybę w łazience proboszcza, chociaż nie dostrzegł kropli krwi obok zlewu. Wychodząc z kościoła, powiedział księdzu, ciągle stojącemu za progiem, o zbitej szybie.

Kapłan w oddali widział lśniące w słońcu szczyty bawarskich Alp przykryte śniegiem. Poprzedniej nocy alianci zbombardowali cztery miasta niemieckie.

Zamknął frontowe drzwi kościoła, sprawdził wodę święconą w chrzcielnicy i poszedł do ołtarza, gdzie zapalił świecę przed figurką Dzieciątka Praskiego. Pomodlił się o pokój. Pierwsza kropla spadła na biały ornat i zabarwiła go purpurą, następne spadły na dłonie złożone do modlitwy. Spojrzał w górę i kropla krwi spłynęła po jego twarzy.

Kiedy ojciec się ocknął, zobaczył nad sobą księdza, który badawczo mu się przypatrywał i namyślał, co zrobić.

- Beunos dias senior - powiedział ojciec do niemieckiego kapłana.
- Ten nic nie odrzekł, ojciec zaś zobaczył jego drżące ręce.
- Bonjour, monsieur - ponowił próbę.
- Anglik?
- Amerykanin.
- Nie możesz tutaj zostać.
- Wydaje się, że żaden z nas niewiele może na to poradzić. Tworzymy chyba jedną drużynę.
- Mów wolniej. Mój angielski nie jest dobry.
- Musisz mi pomóc. Zaczną mnie zaraz szukać, jak tylko znajdą mój samolot.
- Nie mogę ci pomóc.
- Dlaczego?
- Boję się.
- Boisz się - powtórzył ojciec. - Ja boję się przez całą noc. Czy jesteś nazi?
- Nie, jestem kapłanem. Muszę o tobie donieść. Nie chcę, ale tak będzie lepiej. Dla ciebie. Dla mnie. Dla wszystkich. Zatamuję krew.
- Ojciec podniósł pistolet i wymierzył w księdza.

- Zła burza - powiedziała Sarah Jenkins i wstała. - Zupełnie jak w dziewięćdziesiątym trzecim.

- Musimy przenieść się do stodoły, tam jest wyżej.

- Niedobrze dla dzieci. Niedobrze dla matki.

- Nic na to nie poradzimy, Sarah - rzekł. - Najpierw wyprowadzę ciebie.

- Co ty gadasz, Sarah jest stara, ale Sarah jest dobra. Pomogę ci z dziećmi, Amos.

Sarah Jenkins nabyła prawa mówienia po imieniu wszystkim, nawet białym, którym pomogła przyjść na świat.

Dziadek wziął mnie z kołyski i śpiącego podał w ramiona Sarah. Poprawiła chustę na ramionach i mocno przytuliła mnie do piersi, a wtedy on umieścił Savannah i Luke'a na bawełnianym kocu, owinał nim, a potem jeszcze przykrył żółtym przeciwdeszczowcem.

Otworzyli tylne drzwi i w huczącej ulewie pobiegli do stodoły. Wiatr, wiejący z szybkością dwustu mil na godzinę, ryczał na nich, czarny i demoniczny, kiedy zaś Sarah straciła równowagę, pociągnął ją przez podwórze, a chusta łopotała za nią jak żagiel. Chroniąc mnie w ramionach, uderzyła plecami w ścianę przybudówki.

Dziadek z wysiłkiem przedarł się do niej, jedną ręką objął w pasie tak mocno, że skrzywiła się z bólu, i pomógł się wyprostować. Przez chwilę stali tak, zabłoceni i ociekający wodą, a potem zaczęli brnąć do stodoły, obciążeni trójką rozdartych dzieciaków. Raz jeszcze musiał się zмагаć z drzwiami, kiedy wreszcie je otworzył, wyrwały mu się z dłoni i rozleciały na kawałki, uderzając o ścianę.

W środku wspiął się na drabinę i zniknął w ciemnościach. Ułożył na sianie Luke'a i moją siostrę jedno obok drugiego. Czuł panikę pośród bydła. Zszedł ze stryżku po mnie i Sarah.

- Sarah boli noga - powiedziała. - Nie wejdę.

Wziął czarnoskórą kobietę na ramiona, była lekka jak dziecko, pojękiwała, kiedy wspinał się po drabinie, mnie zostawiwszy na podłodze stodoły. Wicher atakował przez otwarte drzwi. Posadził Sarah, opierając ją o snop siana. Nachyliła się ku Luke'owi i Savannah i próbowała ich osuszyć, ale i koc, i jej ubranie były do nitki przemoczone. Rozpięła więc bluzkę i przygarnęła dzieci do piersi, ogrzewając je ciepłem swego ciała.

Kiedy dziadek wynurzył się z ciemności ze mną w ramionach, umieściła mnie między dwójką rodzeństwa. Dziadek spieszenie zszedł z drabiny i znowu znalazł się pośród zawieruchy. Nie miał pojęcia, jak uda mu się umieścić na stryżku matkę.

W domu zobaczył, że woda przecieka przez frontowe drzwi. Spojrzał w okno, a to, co zobaczył, pozostało mu w pamięci do końca życia. Dzika i władcza rzeka mknęła ku naszemu domowi. Niczym we śnie zobaczył, jak zerwana z uwięzi łódka, kozłując na wietrze, wylania się z mroku w dziwnym świetle huraganu, a kiedy uniósł ramię, jakby chciał ją powstrzymać, i zamknął oczy, ta zgruchotała okno i wraz ze stołem zwała się na podłogę jadalni. Odpryski szkła ugrzęzły w ręce dziadka. Modląc się, skoczył do pokoju matki.

Ksiądz zadygotał na widok pistoletu. Zamknął oczy, skrzyżował ręce na piersi i po łacinie pobłogosławił ojca. Ten opuścił lufę, a kapłan otworzył oczy.

- Czy bardzo cię boli? - spytał.

Ojciec roześmiał się i powiedział:

- Bardzo.

- Chodź. Później dam znać o tobie.

Kraus pomógł ojcu wstać i podpierając go, poprowadził do znajdujących się obok zakrystii drzwi do dzwonnicy górującej nad całą wioską. Mozolnie zaczęli się wspinać po wąskich schodkach, a ojciec każdy krok znaczył płamą na stopniu. Kiedy dotarli do małego pokoiku na szczycie, proboszcz wolno posadził ojca, a potem zdjął zakrwawiony ornat i zrobiwszy z niego poduszkę, ułożył go na nim. Teraz zdjął koszulę, porwał na długie pasma i obwiązał nimi głowę rannego.

- Straciłeś dużo krwi - powiedział. - Muszę iść po wodę, żeby przemyć ranę.

Ojciec popatrzył na księdza, powiedział: „Gesundheif, a wymówiwszy jedyne znane mu niemieckie słowo, znowu stracił przytomność.

Kiedy obudził się w nocy, ksiądz pochylał się nad nim i właśnie kończył udzielać mu ostatniego namaszczenia. Kapłan wiedział, że gorączka pilota gwałtownie rośnie, a rany są poważne. Ojciec nie widział na lewe oko, czuł jednak miękki dotyk dłoni, które powlekały skórę świętym olejkiem.

- Dlaczego? - mruknął.

- Chyba umierasz - odrzekł wielebny Kraus. - Wysłucham twojej spowiedzi. Jesteś chrześcijaninem.

- Baptystą.

- A więc jesteś ochrzczony. Nie byłem pewien, więc zrobiłem to dwie minuty temu.

- Dziękuję. Ochrzczono mnie w Colleton River.

- Aha. Wodą z rzeki.

- Odrobina.



- Ochrzcilem cię po raz drugi.
- Nic nie szkodzi:
- Przyniosłem coś do zjedzenia. Dasz radę?

Jeszcze lata później ojciec opisywał z niezmiennym zachwytem smak ciemnego niemieckiego chleba, rozsmarowanego na nim masła ze skąpych zapasów oraz czerwonego wina, które ksiądz podał mu wprost z butelki. Chleb w ustach, masło, wino, powtarzał swym dzieciom, a my wszyscy mogliśmy wraz z nim znowu to posmakować - wino gładzi podniebienie jak aksamit, chleb, wonny jak ziemia, mięknie i roztapia się na języku, masło nasycza kąciki naszych warg, chwytają nas za dłonie ręce księdza, pachnące olejkami śmierci i drżące ze strachu. Na zewnątrz wojskowy patrol trafił na wrak samolotu i po okolicy rozeszła się wieść, że przekrada się gdzieś amerykański pilot. Wyznaczono nagrodę za jego schwytanie, a natychmiastową karą śmierci obłożono pomaganie mu.

- Szukają cię - powiedział ksiądz, kiedy ojciec skończył jeść. - Byli dzisiaj w wiosce.

- Także w kościele?

- Tak. Powiedziałem im, że gdybym cię znalazł, zabiłbym własnymi rękami. Rozbawiły ich takie słowa w ustach księdza. Jestem pewien, że znowu tu zajrzą, szukając ciebie.

- Wyniosę się, jak tylko będę mógł się ruszać.

- Żałuję, że się tu zjawiłeś.

- Nie z własnej woli. Zestrzelili mnie.

- Ha! - powiedział ksiądz. - A zatem to Bóg przyprowadził cię do mnie.

- Nie, proszę księdza. Raczej naziści.

- Dzisiaj modliłem się za ciebie do Boga.

- Dziękuję.

- Modliłem się, abyś umarł - wyjaśnił kapłan - ale potem poczułem straszny wstyd i zacząłem się modlić, żebyś żył. Ksiądz może się modlić tylko o życie. Inaczej popełnia wielki grzech. Proszę cię o wybaczenie.

- Gesundheit - powiedział ojciec i gorąco pragnął, aby tamten się obruszył, gdyż może nauczyłby go poprawnego użycia tego słowa. Po chwili spytał: - Gdzie nauczyłeś się mówić po angielsku?

- W berlińskim seminarium. Bardzo lubię amerykańskie filmy. Wiesz, kowboje.

- Ja jestem kowbojem - powiedział ojciec.

- Dłaczego mu skłamałeś, tato - obruszał się Luke, zawsze zbulwersowany tym fragmentem opowieści, wielokrotnie powtarzanej w

trakcie naszego dzieciństwa. - Ten dobry człowiek wariował ze strachu, a ty mu opowiadasz, że jesteś kowbojem.

- Posłuchaj, Luke - tłumaczył ojciec, rozważając swe poczynania w świetle dalszej historii. - Pomyślałem sobie tak: jestem na pół ślepy, na pół martwy, a na dodatek wszyscy Niemcy chcą mi się dobrać do młodej dupy. Trafiam na księdza, który przypadkiem lubi kowbojów. Szybko podejmuję decyzję. Daję mu prawdziwego kowboja, którego trzeba wyżywić. Chce Toma Mixa, dostaje Toma Mixa.

- Jesteś z Kalifornii? - spytał ksiądz.

- Nie, z Karoliny Południowej.

- To na Zachodzie?

- Tak.

I kapłan zostawił mojego ojca w kryjówce na dzwonnicy, a na odchodnym powiedział:

- Prześpij się. Nazywam się Giinther Kraus.

- Henry Wingo, Giinther.

Proboszcz wypowiedział błogosławieństwo po łacinie, ojciec nadal był przekonany, iż jest to niemiecki.

Ojciec spał, a żołnierze poszukiwali go w ciemności.

Obudził go dzwon na Sanctus w zadziwiającym świetle października. Słuchał głosu Giinthera Krausa recytującego dawne, piękne modlitwy. Obok niego spoczywała taca ze śniadaniem. Oraz z karteczką: „Bądź zdrow. Zjedz całe śniadanie, będziesz silniejszy. W nocy koło Stassen złapali amerykańskiego pilota. Chyba jesteś już bezpieczny. Módlmy się do Boga, żeby tak było. Twój przyjaciel, o. Giinther Kraus”.

Dziadek delikatnie potrząsnął matkę.

- Lila, niech mnie cholera, jeśli chętnie cię budzę.

- Dzieci - powiedziała półsennie matka. - Czy z dziećmi w porządku?

- Świetnie. Mają dobre płuca. Naprawdę dobre.

- Burza?

- Muszę cię stąd zabrać, kochanie. Rzeka wylała.

- Dzieci - załkała.

- Nie martw się. Razem z Sarah zanieśliśmy je bezpiecznie do stodoły.

- Tato, wyszedłeś z dziećmi na zewnątrz w deszcz?

- Musieliśmy, Lila.

- Jestem strasznie zmęczona, tato. Daj mi spać.

- Zaniosem cię, kochanie, tak żeby cię to jak najmniej bolało, wiem, że jesteś rozerwana. Piękną robotę odwaliłaś dzisiaj, kochanie. Dwoje pięknych Wingo. Śliczne dzieciaki.

- Henry nie żyje, tato - zaszlochała. - Nigdy ich nie zobaczy.
- Pomóż mi, Lila. Najlepiej jak możesz.
- Henry nie żyje, tato. Nie będą mieć ojca.
- Nie będą też mieć matki, jeśli się nie ruszysz z tego łóżka - ofuknął ją dziadek. – „Przypuszczalnie nie żyje”. ”Przypuszczalnie” nie znaczy: „na pewno”. Henry to chłopak znad rzeki, a takich niełatwo zabić.

Podłożył jej ręce pod plecy, dźwignął i wyniósł z pokoju, każdym krokiem sprawiając jej ogromny ból. Kiedy wyszedł na podwórze, woda opływała mu kolana. Ona i wiatr omal nie zwały go z nóg. Szedł powoli i z rozważą, przed każdym krokiem starannie badając stopą grunt pod nogami. Deszcz bezlitośnie siekł go po twarzy. Przyszedł mu na myśl Józef, który uciekając przed prześladowaniami Heroda, prowadzi Marię i dzieciątka Jezus do Egiptu. Józef był silnym mężczyzną, powtarzał sobie dziadek, brnąc przez wodę, i wierzył w Boga, nie był jednak tak silny jak Amos Wingo, a nie było w tej chwili na całej planecie człowieka, którego podtrzymywałyby tak prosta i zdumiewająca wiara w Boga. Matka, wczepiona w niego niczym dziecko, pojękiwała, gdy zaczął wchodzić na drabinę, przytrzymując córkę jedną ręką. Sprawiał jej teraz straszliwy ból. Kiedy dotarli do Sarah i dzieci, prześcieradło, w które dziadek zawinął matkę, było całe czerwone.

Potrzeba było godziny, aby powstrzymać krwotok, dziadek zaś do końca życia nie pojął jego natury ani tego, jaką, jeśli w ogóle, rolę odegrał w jego powstrzymaniu. Zerwał z pleców koszulę i wcisnął mocno między nogi matki, a przy każdym uderzeniu serca, krew ciekła mu między palcami. Za nim Sarah najlepiej jak mogła zajmowała się trojgiem rozwrzeszczanych niemowlaków, pojękując za każdym razem, gdy musiała zmienić pozycję ciała.

Matka słabła w oczach, a dziadek był przekonany, że córka umiera, ale ta myśl ledwie że zaświtała mu w świadomości, przede wszystkim bowiem był skoncentrowany na podnoszącej się, nieposkromionej wodzie, która szumiała już w stodole. Pod sobą słyszał ruch przerażonych zwierząt i opętańcze wycie wiatru szalejącego między ścianami. Czuł, jak napinają się wszystkie gwoździe, zupełnie jakby drewno zaczęło pęcznieć, kiedy woda nasyciała dawno zamarłe korzenie i włókna, czuł wibracje każdego słoja. W dole muły wierzgały w drzwi przegród, w których pojawiła się już woda, Amos zaś przyciskał białą niegdyś koszulę do ciała, nie wiedział bowiem, co jeszcze może zrobić, aby powstrzymać zabójczy wyciek krwi. Zobaczył, jak przy ścianie stodoły kołysze się mała łódka, którą przyniósł do obejścia.

O drugiej powinien się zacząć odpływ, tymczasem woda ani myślała opadać. Odpływy i przyptywy były jednym z niezmienników życia nad rzeką i nie mógł pojąć, dlaczego tę właśnie chwilę wybrały, aby dokonać zdrady wobec swej natury i rodziny Wingo. Na zewnątrz gigantyczna wichura dokonywała spustoszenia pośród drzew wyspy, gnając z prędkością dwustu mil na godzinę. Dęby wyrwała z ziemi z taką łatwością, jak dziecko wyciąga świeczki z tortu urodzinowego. Młode drzewka fruwały w powietrzu niczym liście. Wsłuchując się w wiatr wpadający przez otwarte wierzaje do stodoły jak pociąg do tunelu, dziadek domyślił się, że to huragan nie pozwala cofnąć się wodzie. Szstorm zrównoważył przyciąganie księżycy - straszliwy majestat burzy unicestwiał działanie codziennych praw.

Woda nie może się cofnąć, myślał. Podnosi się na przekór swej woli.

Osłabił nieco nacisk na koszulę i niemal załkał, kiedy zobaczył, że krwawienie ustało. Matka leżała nieprzytomna i nawet nie wiedziała o krwotoku. Sarah i dzieci milczały wymęczone. Przeszukał stryszek i znalazł pokryty olejem i sianem kawał płótna żaglowego, którym okrył matkę, na wierzch dorzucając trochę siana.

Zszedł po drabinie, zanurzył się w wodzie i popłynął od przegrody do przegrody, otwierając je i uwalniając zwierzęta. Przywiązał łódkę do drabiny. W pandemonium uciekającego bydła omal nie został zabity przez krowę, która nad nim przepłynęła, rwąc się do wyjścia ze stodoły.

Wrócił na górę i zobaczył trójkę dzieci niczym blade korniki ułożonych na piersi Sarah, która ogarniała je ciemnymi ramionami. Nachylił się, aby sprawdzić, czy matka żyje. Oddychała, ale puls miała słabo wyczuwalny. Wyczerpany i obolały osunął się na siano, słuchał odgłosów burzy, a jej wycie zaczynało nabierać dla niego niemal ludzkiego charakteru. Pomyślał o synu, Henrym, który poskręcany i spalony leżał w stalowej rzeźbie zestrzelonej maszyny. Wyobraził sobie, że dusza syna, wolna od muskularnego i zręcznego ciała, niczym młode jagnię unosi się w miękkim tchu Boga do rajy światła i spokoju.

- Starczy już tego, co oddałem, Panie - powiedział na wiatr. - Nie mogę dać nic więcej.

Wycieńczony walczył z sennością i walcząc tak - zasnął.

Obudziło go słoneczne światło i śpiew ptaków. Spojrzał w dół i pierwszą rzeczą, którą zobaczył, była łódka leżąca bokiem na zabłoconej podłodze stodoły. Obudziłem się z płaczem, który rozbudził matkę, w pełnej przywiązania reakcji z piersi popłynęło mleko.

Sarah Jenkins nie żyła i dziadek musiał się wysilić, aby wyprostować jej ramię zgięte wokół dzieci. Minęła moja pierwsza noc na ziemi.

Ojciec spędził na dzwonnicy trzy tygodnie, wsłuchując się w pulsujące w dole życie niemieckiej wioski. Każdego wieczoru odwiedzał go ksiądz, zmieniał opatrunki, uczył mówić po niemiecku i przynosił wiadomości wojenne. Przynosił też kielbasy, bochny chleba, wielkie słoje cierpkiej kapusty kiszzonej, butelki wina i najlepszego piwa, jakie ojciec pił w życiu. Pierwsze dni były ciężkie z powodu bólu, tę noc, kiedy ojciec myślał, że umrze, ksiądz spędził z nim aż do rana, opatrując niezręcznymi, miękkimi dłońmi, a od następnego dnia zaczęła się poprawa.

Na początku kapłan ze strachu przychodził tylko wieczorem. Prześladował go obraz obutych żołdaków, którzy kopniakami wywalają drzwi jego kaplicy, a wyobrażenie to, jak dobrze wiedział, mogło stać się rzeczywistością za sprawą niewinnej, piegowatej twarzy ojca. Jego obecność stała się dla wielebnego Krause zmorą, która nieustannie wystawiała na próbę jego charakter. Miał wrażenie, że otrzymał duszę królika, a nastąpiły czasy lwów. Wyznał to ojcu, kiedy minął tydzień ich znajomości. Pojawienie się ojca kazało kapłanowi zmagać się z człowiekiem.

Wraz z tym jak ojciec zdrowiał, wydłużały się też wieczorne wizyty. Noce zawsze były strasznie trudne dla Krausego, wtedy bowiem samotność powołania stawała się nieznośna. Boleśnie tęsknił za prostą, nieskomplikowaną przyjaźnią, jaką obserwował między niektórymi mężczyznami w wiosce.

Przychodził do ojca po zachodzie słońca, a opuszczał go często długo po północy. W ojcu Gunther Kraus znalazł wspaniałego przyjaciela: pojmanego, rannego i zawsze dostępnego.

- Czemu zostałeś księdzem? - spytał pewnej nocy ojciec.
- Pierwsza wojna. Byłem w okopach we Francji. Przysiągłem Bogu, że jeśli pozwoli mi przeżyć, zostanę kapłanem. I tak się stało.
- A nigdy nie chciałeś mieć rodziny, żony?
- Jestem bardzo brzydki - odrzekł po prostu Kraus. - Kiedy byłem młody, nie potrafiłem się nawet odezwać do dziewczyny.
- Ja mam syna. Na imię ma Luke.
- To dobrze... Bardzo dobrze... Często zastanawiam się, jak wyglądałby mój syn. Czasami śni mi się synowie i córki, których nigdy nie będę miał.
- Byłeś kiedyś zakochany w jakiejś kobiecie? - spytał ojciec.
- Raz - przyznał kapłan. - W Monachium. Zakochałem się w bardzo pięknej kobiecie, której mąż był bankierem. Prześliczna. Chyba mnie lubiła,

ale na taki przyjacielski sposób. To dobra kobieta, ale miała bardzo wiele problemów i przyszła do mnie po radę. Doradziłem jej więc, a potem zacząłem ją kochać. Czuję to wewnątrz siebie. Chyba i ona mnie kochała, ale jako przyjaciela. Powiedziałem jej, że z woli Boga nie wolno jej opuścić męża, ale ten ją bił. Zostawiła go i wyjechała do Hamburga do matki. Na pożegnanie pocałowała mnie w policzek. Wiele razy myślałem o tym, żeby pojechać do Hamburga. Myślałem, że kocham ją bardziej niż Boga, ale w końcu nic nie uczyniłem.

- Czemu nie pojechałeś do Hamburga i po prostu nie zastukałeś do jej drzwi?

- Bałem się Boga.

- Posłuchaj, Gunther - powiedział ojciec - przecież On by zrozumiał. Miał jakiś powód w tym, iż uczynił ją piękną dla ciebie. Zabrało Mu to pewnie sporo czasu. Miała ładną figurę?

- Błagam, jestem księdzem, nie zwracam uwagi na takie rzeczy.

- No pewnie.

- Miała piękną duszę. Mam nadzieję spotkać się z nią na tamtym świecie.

- A ja się cieszę, Gunther, że nie pojechałeś za - nią do Hamburga.

- Bo wtedy popełniłbym grzech?

- Nie, gdyż wtedy nie byłoby cię tutaj w kościele, kiedy byłeś mi potrzebny.

- Aaaa! Ale dlaczego wybrałeś właśnie mój kościół, kiedy mnie wcale nie było to potrzebne?

- No wiesz, ocaliłeś życie pewnemu kowbojowi - powiedział ojciec i spojrział księdzu prosto w oczy. - Jak wojna się skończy, musisz mnie odwiedzić.

- O, ta wojna nigdy się nie skończy. Hitler jest szalony. Każdego dnia modłę się do Boga, aby uczynił z niego dobrego człowieka. Ale te prośby nic nie znaczą dla Boga.

- Nie zrobisz z gówna czekolady.

- Nie rozumiem.

- Takie powiedzenie.

- Modłę się ze wszystkich sił, ale Hitler nadal jest Hitlerem.

W Niemczech była pełnia księżyca, kiedy ojciec opuścił dzwonnice. Czucie w lewym ramieniu powoli wracało, twarz nadal była częściowo sparaliżowana. Ksiądz kupił mu ubranie na podróż. Wspólnie zjedli ostatni posiłek, ojciec, wzruszony i wdzięczny, starał się znaleźć odpowiednie słowa podziękowania, ale nie zdołał wyrazić swych uczuć, ostatni posiłek zjedli przeto w zupełnej niemal ciszy.

Po jedzeniu ojciec zagłębił się w studiowanie przygotowanego przez kapłana planu ucieczki z zaznaczonymi punktami, gdzie groziło niebezpieczeństwo natknięcia się na nazistowskie patrole, oraz miejscem, gdzie powinien być przedostać się do Szwajcarii.

- Przyniosłem ci motykę, Henry.

- Po co?

- Kiedy będziesz ją niósł, każdy pomyśli, że jesteś chłopem. Nocuj po stodołach, Henry. Przygotowałem ci jedzenie, ale na długo nie wystarczy. Musisz już iść.

- Byłeś strasznie dobry dla mnie - powiedział ojciec, poruszony bezinteresowną miłością tamtego.

- Potrzebowałeś pomocy, Henry.

- Ale nie musiałeś mi pomagać, jednak pomogłeś. Nie wiem, jak ci podziękować.

- To dobrze, że tu przyszedłeś. To pozwoliło mi być księdzem. Za pierwszym razem, kiedy Bóg mnie wypróbował, nie postąpiłem jak ksiądz.

- Kiedy to było?

- Na długo przed tobą zjawiała się tu rodzina. Byli Żydami, ojca znałem dobrze. Dobry człowiek, prowadził sklepik w sąsiednim miasteczku. Mieli troje dzieci, same dziewczynki, ładną żonę, bardzo grubą. Przeszedł do mnie jednego wieczoru i mówi: „Ojcze, proszę nas ukryć przed nazistami”. Nie chciałem ukrywać Żydów. Samo to byłoby już dostatecznie złe, ale bałem się tak bardzo, że ich wydałem. Umarli w Dachau. Próbuje odpokutować za rodzinę Fischerów. Błagam Boga, aby sprawił coś, co usunęłoby krew Fischerów z moich rąk. Ale nie, nawet Bóg nie jest tak potężny, nawet On nie może mi wybaczyć. Nie mogę uciec przed oczyma Fischerów. Kiedy odprawiam mszę, spoglądają na mnie. Szydzą z mojego powołania. Znają całą prawdę o Gunterze Krausie. Gdybym nie wydał wtedy Fischerów, teraz nie pozwoliłbym ci zostać, Henry, ale nie zniósłbym jeszcze jednej pary oczu śledzących mnie na każdym kroku. Boję się tylu rzeczy, tak wielu rzeczy.

- Szkoda mi tych Fischerów, Gunter. To znaczy, że i ja mam dług wobec nich. Po wojnie przyjadę zobaczyć się z tobą. Pójdziemy w Monachium na piwo i na dziewczynki.

- Przecież jestem księdzem, nie chodzę na dziewczynki. Modłę się, aby Bóg bezpiecznie doprowadził cię do twojej rodziny, Henry. Będę modlił się za ciebie codziennie, zachowam cię w swoim sercu. Będzie mi ciebie brakować, Henry Wingo. Musisz już iść. Robi się późno.

- Zanim to zrobię, ojciec, mam jeszcze prośbę.



- Tak, Henry?
- Po tej części mszy z Agnus Dei. Wiesz której? Zawsze słucham, jak ją rano odprawiasz dla tych trzech kobiet. Po wszystkich dzwonkach karmisz je czymś. Widziałem pierwszego ranka.
- To sakrament eucharystii, Henry. Podaję im ciało Chrystusa.
- Chcę, żebyś i mnie dał, zanim odejdę.
- Nie, Henry, to niemożliwe - powiedział kapłan. - Abyś mógł ci dać komunię, musiałbyś być katolikiem.
- No to zostanę katolikiem - oznajmił niezrażony ojciec. - Zrobmy to w tej chwili, może mi przyniesie szczęście.
- To nie takie proste, Henry. Na to potrzeba czasu. Najpierw wiele musiałbyś się nauczyć.
- Nauczę się później, Gunter. Przysięgam. Teraz nie mam czasu, jest wojna. Zobacz, ochrzciłeś mnie, dałeś ostatnie namaszczenie, jedna mała komunia już wiele nie zaszkodzi.
- To niezgodne z regułą - powiedział ksiądz, gładząc w zamyśleniu podbródek - ale co dzisiaj jest zgodne? Najpierw musiałbyś się przede mną wypowiadać.
- Czemu nie? Jak to się robi?
- Musisz mi wyznać wszystkie swoje grzechy. Wszystkie złe uczynki, jakie popełniłeś od czasów dzieciństwa.
- Nie da rady, za dużo ich było.
- Dobrze, to powiedz, że żałujesz za nie wszystkie, i to wystarczy.
- Ojciec Kraus pomodlił się głośno, a potem odpuścił ojcu wszystkie grzechy, a kiedy tak trwali pod dzwonem, nad Dissan spłynęło światło księżycyca białe niczym oczyszczona dusza.
- Zeszli po schodach do kościoła. Ksiądz podszedł do ołtarza, małym kluczykiem otworzył tabernakulum, z niego wydobył złoty kielich i skłonił się przed krucyfiksem. Brutalnie ukrzyżowana figurka Chrystusa spoglądała w dół na sylwetkę mego ojca, który w zimnym mroku klęczał na kamiennej posadzce i modlił się o ratunek. Wielebny Kraus odwrócił się do niego.
- Henry, od teraz jesteś katolikiem.
- Postaram się być dobrym katolikiem, Gunter.
- Będziesz musiał wychować swoje dzieci jako katolików - powiedział ksiądz.
- Tak zrobię - obiecał ojciec. - Czy to ciało Jezusa?
- Muszę je pobłogosławić.
- Musisz je Agnus Dei? - spytał domyślnie ojciec.

Ksiądz pobłogosławił hostie w martwym języku i zbliżył się do nowo nawróconego rzymskiego katolika, co miało zmienić na zawsze życie mej rodziny. Ukłękł teraz obok mego ojca i razem się pomodlili, kapłan i wojownik przeobrażeni przez światło księżyca, przez wojnę, przeznaczenie oraz natarczywe a niewysłowione krzyki oraz sekrety dusz spoglądających w swoje wnętrza.

Kiedy ojciec wstał, obrócił się do Guntera Krausa, objął go i mocno przytulił.

- Dziękuję, Gunter - powiedział. - Bardzo, bardzo dziękuję.

- Bardzo bym chciał, żeby to samo mogli mi powiedzieć Fischerowie. Znowu jestem kapłanem.

- Odszukam cię po wojnie.

- Bardzo bym się cieszył. Naprawdę, bardzo.

Ojciec zawahał się, schylił po motykę i torbę, ale raz jeszcze przygarnął księdza, ten zaś zajrzał mu głęboko w oczy i powiedział:

- Na te trzy tygodnie Bóg przysłał mi syna, który zamieszkał u mnie w domu. Będzie mi cię brakowało, Henry Wingo. Będzie mi cię brakowało.

I Henry Wingo bocznymi drzwiami wymknął się z zakrystii na światło księżyca i krajobraz Niemiec. Odwrócił się jeszcze i pomachał do stojącego w drzwiach księdza, który go pobłogosławił, a potem, bezgrzeszny i uświęcony, zrobił pierwszy krok w kierunku Szwajcarii.

Dwa tygodnie zajęło przedzieranie się przez wzgórze Bawarii, drogowskazem były mu czyste wody rzeki Lech, a swoje położenie ustalał wedle gwiazd, zaznaczając postępy na mapie ojca Krausa. Zdumiewało go, że gwiazdy nad Niemcami były takie same jak nad Colleton. Mógł spojrzeć w niebo i znowu być w domu, czuł braterski, sąsiedzki związek z układem świetlistych iskierek nad głową.

Dnie przesypiał na strychach stodół i obór lub w lesie. Największymi jego wrogami podczas podkradania się po nocy do wsi były psy. Dwa z nich zabił ciosami motyki, którą potem obmył z krwi w czystych, spływających z gór strumieniach. Teren stopniowo się podnosił, aż zbudziwszy się pewnego razu za dnia, wyraźnie zobaczył przed sobą Alpy i zaczął pytać sam siebie, w jaki sposób on, nie znający tych okolic, ma odnajdywać bezpieczne doliny i nie strzeżone przełęcze, którymi dotrze do miejsca swego ocalenia.

Jako południowiec nie był nawykły do śniegu, jako człowiek z nizin nie znał sekretów gór, uczył się jednak szybko w trakcie marszu. Przez cały czas był rozważny i ostrożny.

Pewnego dnia śpiącego w stodole ojca odkryła żona gospodarza. Była w ciąży, miała czarne włosy i piękną twarz, co przypomniało mu matkę. Z

krzykiem pobiegła po męża. Ojciec rzucił się do ucieczki przez pola pszenicy i żyta, a na resztę dnia schował się w jamie nieopodal górskiego strumienia. Odtąd nie miał zaufania do gospodarstw i w ogóle do wszystkiego, co wiązało się z człowiekiem. Podkradał się do zabudowań tylko po to, aby zdobyć żywność. Po ciemku doił krowy i pił ciepłe mleko z wiadra, zabierał jajka i wypijał surowe, buszował w sadach i ogródkach warzywnych. Przyzwyczyił się do mroku i światło dzienne wprawiało go w stan podenerwowania. Stał się istotą nocną, ale kiedy dotarł do wysokich gór, marsz po zmroku zrobił się zbyt niebezpieczny.

Przypadkiem odkrył, że motyka jest jego ochroną, gdyż czyni go podobnym do tutejszych mieszkańców. Wieśniak orzący górskie poletko zobaczył ojca na dróżce zaraz po wschodzie słońca i z daleka do niego pomachał. Ojciec odpowiedział mu przyjaźnie, ale poczuł się raźniej i zaczął kroczyć bocznymi, nie uczęszczanymi ścieżkami. Kiedyś ku jego zdumieniu w ogromnym pędzie minął go konwój odkrytych ciężarówek z kilkoma setkami niemieckich żołnierzy. Szeroko uśmiechnięty pokiwał entuzjastycznie do żołnierzy, a kilku z nich zrobiło to samo, być może zazdroszcząc mu w duchu. Motyka uprawniała go do bycia tu w świetle dnia. Dzięki jego pracy żołnierze mieli co jeść, sam prawie zaczynał w to wierzyć. Ominął miasto Oberammergau i nie zauważony dotarł do silnie strzeżonej granicy z Austrią.

W wysokich partiach zaczął popadać w desperację. Od tygodnia wspinał się wyżej i wyżej, gospodarstwa zniknęły. Przedzierał się przez piękną, groźną okolicę z urwistymi wąwozami i zawrotnie wysokimi skałami. Powyżej linii drzew poczuł się zagubiony i zdezorientowany. Mapa straciła użyteczność, a gwiazdy sens. Odkrywał zdradliwość gór, fałszywe przejścia i ślepe zaułki. Wspiął się mozolnie na jakąś górę, tylko po to, aby stwierdzić, że po drugiej stronie nie ma zejścia. Wrócił po własnych śladach i spróbował zbocza innej góry. Każda z nich była odmienna, miała własne zaskoczenia i ułudy. Po raz pierwszy w życiu widział śnieg. Jadł go, jadł także chrząszcze i larwy. W nocy okrywał się gałęziami jodłowymi, aby nie zamarznąć na śmierć. Obywatel Karoliny pytał sam siebie ze zdumieniem, jak może człowiek zamarznąć w październiku. Był już w Szwajcarii od dwóch dni, zanim na pół żywy zszedł do miasteczka o nazwie Klosters. Był pewien, że poddaje się Austriakom. Zszedł z gór i wkroczył między domy z podniesionymi rękami, a zdziwieni mieszkańcy otoczyli go i zasypali niemieckimi zdaniem. Kolację zjadł w domu burmistrza Klosters.

Trzy dni później matka dostała od ojca telegram, w którym oznajmiał, że żyje, ma się dobrze i został katolikiem.

Wrócił do swojej eskadry i do końca wojny dokonywał nalotów na Niemcy. Kiedy spuszczał bomby nad zaciemnionymi miastami, a w dole pokazywały się ogniste wybuchy, szeptał: „Fischer, Fischer, Fischer, Fischer” do wtóru rozlegającym się eksplozjom. ”Fischer” stało się bojowym zawołaniem ojca, z nim na ustach nurkował z nieba, wzniecając pożogę i niosąc śmierć, on, zwiastun osłepiających, nadnaturalnych darów.

Kiedy wojna się skończyła, ojciec zaś znalazł się w oddziałach okupacyjnych, powrócił do Dissan, aby podziękować Gunterowi Krausowi i powiedzieć mu, że w Karolinie Południowej nie ma kowbojów, ale na miejscu zastał już nowego proboszcza, młodego, niedoświadczonego księdza o końskiej twarzy, który powiódł go na tył kościoła, gdzie był grób ojca Krausa. Dwa miesiące po zestrzeleniu ojca dwóch brytyjskich pilotów ratowało się z opresji, skacząc na spadochronach. W trakcie poszukiwań odnaleziono zakrwawiony mundur ojca, który kapłan zachował na pamiątkę. Torturowany wyznał, że ukrywał kiedyś amerykańskiego pilota i pomógł mu uciec do Szwajcarii. Guntera Krausa powieszono na szczycie dzwonnicy, a jego ciało dyndało na niej przez tydzień ku przestrodze mieszkańców. W testamencie kapłan pozostawił cały swój dobytek, jakkolwiek marny, niewieście mieszkającej w Hamburgu. Wszystko to było dziwne i smutne. Poza tym wielbny Kraus nie był zbyt dobrym kapłanem, o czym wiedziała cała wioska.

Ojciec zapalił świeczkę przed Dzieciątkiem Praskim, dokładnie w miejscu, gdzie pierwsza kropla jego krwi padła kiedyś na duchownego, który go uratował. Pomodlił się za spokój duszy Guntera Krausa, a także dusz rodziny Fischerów. Potem powstał ze łzami w oczach, wymierzył policzek nowemu proboszczowi i ostrzegł go, że o Gunterze Krausie zawsze ma się wyrażać z szacunkiem. Młody kapłan w popłochu wybiegł ze świątyni, a mój ojciec wziął statuetkę Dzieciątka Praskiego pod ramię i wyszedł. Był teraz katolikiem i wiedział, że katolicy zawsze szanują szczątki swoich świętych.

Wojna mego ojca się skończyła.

Każdego roku, kiedy przychodziły moje urodziny, matka brała Savannah, Luke'a i mnie i jechała na mały, zapuszczony murzyński cmentarz, gdzie została pochowana Sarah Jenkins. Opowieść ta była powtarzana tak często, że nauczyłem się jej na pamięć. Tego samego dnia ojciec kładł różę na grobie Guntera Krausa. Dwie te bohaterkie postacie stały się dla nas bardziej mityczne i pamiętne niż jakikolwiek cesarz. Po latach zacząłem myśleć, czy odwaga i poświęcenie, bezinteresowne decyzje, które ich doprowadziły do zguby, a rodzinie Wingo pozwoliły przetrwać, nie były

fragmentem obscenicznego żartu, którego pointa miała się rozwijać przez lata.

Kiedy trójka młodych Wingo odpowiednio dorosła, złożyliśmy się na płytę na grobie Sarah Jenkins. Na rok przed poślubieniem Sallie zrobiłem mały wypad do Europy i odwiedziłem grób Guntera Krausa. Żaden z cudów Europy - ani obraz w Luwrze, ani piękno rzymskiego forum - nie poruszył mnie tak bardzo, jak widok nazwiska wrytego na szarym kamieniu nagrobnym. Odwiedziłem dzwonnice, na której ukrywał się ojciec. Odwiedziłem Klosters, gdzie znalazł wreszcie bezpieczne schronienie. Zjadłem obiad w domu burmistrza. Spróbowałem przeżyć całą tę historię na nowo. Albo tak mi się przynajmniej wydawało. Mój ojciec nie opowiedział jej całej. Była część, którą pominął milczeniem.

Kiedy podczas następnego spotkania z doktor Lowenstein opowiedziałem tę część rodzinnej historii, wysłuchała jej, ani razu nie przerywając.

- A jaką część przemilczał? - spytała na koniec.

- Pominął jeden mały, nie znaczący szczegół - powiedziałem. - Czy pamięta pani tę ciężarną wieśniaczkę, która odkryła go śpiącego w stodole?

- Tę, której piękna twarz przypomniała mi matkę?

- Powiedziałem, że z krzykiem pobiegła po męża. To prawda, ale tylko częściowo. Chciała pobiec, a ojciec wcale nie uciekł i nie skrył się w jamie nad rzeką. Uduł ją tam, w stodole. Był pilotem i nigdy wcześniej nie widział twarzy ludzi, których zabija. Teraz twarz tej Niemki była o pięć cali od niego, kiedy miażdżył kości jej krani, a kobieta umierała w drgawkach.

- Kiedy się o tym dowiedziałeś, Tom? - spytała.

- Sam opowiedział mi o tym tego wieczoru, kiedy matka go rzuciła. Chyba chciał mnie i sobie wytłumaczyć, co uczyniło zeń ojca, który budził przerażenie. Ta Niemka była jego sekretem i hańbą. Jesteśmy rodziną skwapliwie ukrywającą sekrety, a każdy z nich niemal nas zabija.

- To fascynująca historia, ale nie sądzę, by cokolwiek mówiła mi o Savannah.

- Taśmy, pani zapis. Wspomniała o tym na taśmie.

- Jak to, Tom? Gdzie? Nic tam nie ma o Niemcach czy o burzy. Nic o księdzu czy akuszerce.

- Było. A przynajmniej mnie się tak wydaje. Wspomniała o kobiecie. Agnes Day. I ja właśnie opowiedziałem pani o Agnes Day. O jej korzeniach. Skąd się wzięła.

Doktor Lowenstein zmarszczyła brwi.

- Przepraszam, Tom, ale nic takiego nie mówiłeś.

- Jako dzieci, pani doktor, słyszeliśmy tę historię wielokrotnie. Ona zastępowała nam bajki na dobranoc. Nie mieliśmy jej dosyć. Jak wyglądał ojciec Kraus? Czy miał brodę? Gdzie mieszkała Sarah Jenkins? Fischerowie, ilu ich było? Mogliśmy wręcz zobaczyć ojca Krausa, jak odprawia mszę, albo tak przynajmniej nam się wydawało. Ale jak to dzieciaki - mieszały historie i kończyło się na tym, że Sarah Jenkins karmiła ojca na szczycie dzwonnicy. Albo ojciec Kraus niósł naszą matkę przez wody wezbranej rzeki. Wie pani, jak to jest, jak dzieci potrafią wszystko zmienić i stworzyć zupełnie nową historię.

- Ale kto to taki Agnes Day?

- Pomyłka. Pierwsza zrobiła ją Savannah, a my z Lukiem podchwyciliśmy. Teraz Savannah powtarza to na taśmie. Agnes Day to pierwsza rzecz, jaką ojciec słyszy z ust księdza.

- Niczego takiego nie pamiętam, Tom.

- Agnus Dei. Na chórze. Savannah pomyślała, że Agnes Day to kobieta z Hamburga, którą Kraus kochał tak bardzo, że jej imię i nazwisko powtarzał nawet przy odprawianiu mszy.

- Cudowne - powiedziała doktor Lowenstein. - Po prostu cudowne.

## ROZDZIAŁ 5

Po pierwszym tygodniu nabrały kształtu i charakteru owe dni nowojorskie, dni introspekcji i wyznań, w których historię naszej obolałej rodziny przedstawiałem pięknej lekarce, aby ta mogła naprawić szkody, jakich doznał jeden z członków rodziny: Savannah.

Historia rozwijała się powoli, a ja czułem, jak ożywa w niej wewnętrzna siła. Pierwszych kilka dni spędziłem, przesłuchując taśmy, które tak przejmująco zarejestrowały rozmiar katastrofy, jakiej uległa siostra. Mówiła poranionymi fragmentami, które zapisywałem na papierze, by je potem studiować, a które każdego dnia zaskakiwały mnie jasnym obrazem przeszłości, wszystkim, co starałem się wyprzeć lub zapomnieć. „Każda z jej fraz, jakkolwiek wydawałaby się nierealna czy dziwaczna, miała korzenie w rzeczywistości, jedno zaś wspomnienie wiodło do drugiego, aż w raptownych błyskach odsłaniały się większe wzorce. Bywały dni, kiedy z trudem mogłem doczekać się godziny piątej i spotkania z doktor Lowenstein.

W nieświadomości zacząłem jednak odkrywać nie tylko dzikie kwiaty, ale i starannie utrzymane rabaty. Starałem się wycinać to, co nadmiarowe i banalne, wiedziałem jednak, że wielkie prawdy leżą gdzieś, ukryte pod koniczynami, trawami i dziką miętą. Jako kronikarz trudnej przeszłości siostry nie chciałem niczego zgubić, przede wszystkim jednak chciałem odnaleźć tę jedną różę, która rozkwitła na treliazu, zawierać będzie obraz tygrysa.

Kiedy siedziałem w saloniku siostry otoczony przez książki i rośliny, moim wrogiem było niezdecydowanie. Na lato postawiłem przed sobą zupełnie prosty cel: wielka podróż w głąb siebie. Chciałem zbadać wydarzenia i przypadki, które doprowadziły do ukształtowania się człowieka defensywnego i miernego. Przez te dni przedzierałem się powoli. Czas ulegle przeciskał się przeze mnie, podczas gdy słońce przesuwało się nad Manhattanem. Usiłowałem zlokalizować siebie w splocie wydarzeń, badać wewnętrzne satelity w sposób równie beznamiętny jak astronom śledzący dwanaście księżyców związanych z perłową masą Jowisza.

Zacząłem znajdować przyjemność w ciszy wczesnych ranków, to ona skłoniła mnie do prowadzenia dziennika: odręczne, surowe notatki sporządzałem szkolarskim pismem, którego litery malały z każdym rokiem, odzwierciedlając moje własne karłowacenie. Zrazu koncentrowałem się na tym, co istotne dla historii Savannah, nieuchronnie jednak powracałem do siebie samego, jako że mogłem je opowiedzieć tylko ze swojego punktu



widzenia, nie miałem prawa czy podstaw, by przedstawiać świat widziany jej oczyma. Najlepsze, co mogłem zrobić dla siostry, to opowiedzieć własną historię tak szczerze, jak będę potrafił. Przeżyłem życie szczególnie bojaźliwie, pasywnie, chociaż zarazem czujnie, nieustannie ocierając się o przerażenie. Waga tego zadania polegała też na tym, że byłem obecny przy niemal wszystkich wydarzeniach istotnych w życiu Savannah. Chciałem przemówić czystym głosem świadka, głosem, który miał się zmienić w pieśń oczyszczenia.

Miałem do spełnienia misję, konkretne zadanie do wykonania. Powinienem wytłumaczyć, dlaczego moja siostra bliźniaczka otworzyła sobie żyły, miała potworne wizje i była dręczona przez obraz dzieciństwa tak pełnego konfliktów i upokorzeń, że nie było raczej szansy, aby się kiedykolwiek z nim uporała. Spróbuję wysadzić tamy pamięci, opiszę powódź zalewającą suche w wyobraźni ulice jedyne miasta, jakie pokochałem. Opowiem doktor Lowenstein o utracie Colleton i o tym, jak śmierć miasteczka pozostawiła srebrzące się w pamięci ślady koloru wapna i skorup jajecznych. Jeśli zdołam zebrać się na odwagę, by opowiedzieć wszystko, bez zahamowań, oddając melodię wszystkich tych mrocznych klątw, które kazały nam tak zdecydowanie zmierzać ku celom wyznaczonym przez bezlitosne przeznaczenie, to wytłumaczę też przeraźliwą wojnę mej siostry ze światem.

Najpierw jednak musiał przyjść czas odnowy, wypracowania nowego podejścia do autoanalizy. Niemal trzydzieści siedem lat poświęciłem na budowanie obrazu siebie, który niosłem wewnątrz. Sam siebie wciągnąłem w pułapkę, bezkrytycznie i dosłownie przyjmując określenie mego charakteru, jakie ukuli rodzice. Zrobili to bardzo wcześnie, określenie to wycisnęli na mnie jak na monecie, na której umieścili przekład jakiegoś tajemniczego hieroglifu, a ja całe życie strawiłem na zmaganiu się z tym nadrukiem. Rodzicom udało się uczynić mnie obcym dla samego siebie. Uczynili ze mnie ucieleśnienie tego, czego wówczas potrzebowali, a ponieważ w mym charakterze była też pewna istotna skłonność do uległości i ortodoksji, więc pozwoliłem się ugniatać i kształtować, aż stałem się uosobieniem ich wizji dziecka doskonałego. Stosowałem się do miar ich wizji. Gwizdali, a ja tańczyłem niczym pokojowy spaniel. Chcieli mieć układnego chłopca, toteż stara południowa galanteria wylewała się ze mnie nieprzerwanie. Kiedy zorientowali się, że Savannah zawsze będzie ich przyprawiała o milczące zawstyżenie, będzie ich niewybaczalną zbrodnią, zapragnęli, by drugie z bliźniąt było zrównoważone i przewidywalne. Udało im się uczynić mnie nie tylko normalnym, ale i nudnym, jeśli nie liczyć

najbardziej złowrogiego daru, który wręczyli mi całkowicie nieświadomie. Tęskniłem do ich aprobaty, pochwały, czystej, prostej miłości, jeszcze całe lata po tym, jak uświadomiłem sobie, że nie mogą mi ich zapewnić. Kochać swoje dziecko to kochać siebie samych, a owej nadzwyczajnej łaski odmówiły rodzicom i urodzenie, i okoliczności. Musiałem odzyskać łączność z czymś, co utraciłem. Gdzie utraciłem kontakt z tym człowiekiem, którym potencjalnie mogłem być? Musiałem jakoś ułożyć się z tą nie narodzoną osobą i doprowadzić ją do dojrzałości.

Ciągle powracała myśl o Sallie i córkach. Wziąłem ślub z pierwszą kobietą, którą pocałowałem. Sądziłem, iż poślubię ją dlatego, że jest piękna, rozsądna, bezpośrednia i pod żadnym względem niepodobna do mojej matki. Tymczasem pojąłem za żonę dziewczynę uroczą, błyskotliwą, utalentowaną i pozbawioną instynktu samozachowawczego. Przez lata za sprawą lekceważenia, chłodu i zdrad udało mi się przemienić ją w dokładny obraz matki. Z racji jakiejś przyrodzonej skazy na moim poczuciu męskości nie mogłem mieć po prostu żony czy kochanki. Potrzebowałem delikatnych nieprzyjaciół nucących w sypialni o rzeziach, snajperów w kwiecistych sukniach celujących do mnie z dzwonic. Nie czułem się dobrze z osobami, które mnie nie ganiły. Niezależnie od pałki, z jaką usiłowałem dorównać ich miarom przykładanym do mnie, niczego nie mogłem zrobić całkowicie dobrze, w efekcie więc wzrastałem skazany na ów klimat nieuchronnej porażki. Nienawidziłem matki, a doprowadziłem do tego, iż jej rolę narzuciłem żonie. Z Sallie uczyniłem bardziej subtelną, wyrafinowaną wersję matki. Podobnie jak ona, także moja żona zaczęła odczuwać wobec mnie lekki wstyd i rozczarowanie. Konfiguracja i charakter mej słabości określały pasję odrodzenia, moja klęska da im siłę, rozkwit i wyzwolenie.

Nienawidziłem ojca, a dałem temu wyraz, naśladowując jego życie: z każdym dniem stawałem się coraz bardziej bezpłodny, a tym samym potwierdzałem wszystkie ponure przepowiednie, które matka snuła na temat ojca i mnie. Za swój sukces uważałem to, iż nie uciekałem się do przemocy, ale i z tą wiarą musiałem się pożegnać: przemoc w moim wydaniu była skryta, nie od razu rozpoznawalna. Groźnym uczyniłem swoje milczenie, długie okresy wycofania w siebie. Nikczemność wyrażała się w okrutnym chłódzie niebieskich oczu. Moje zranione spojrzenie potrafiło zamienić w epokę lodowcową najśnieźniejsze, najbardziej balsamiczne popołudnie. Miałem już prawie trzydzieści siedem lat i z niejakim talentem” oraz odrobiną naturalnej skłonności udało mi się znaleźć sposób na życie zupełnie bez znaczenia, potrafiące jednak niewidzialnie i nieuchronnie rujnować życie wszystkich dookoła.

Owo zdumiewające lato wolności potraktowałem zatem jako ostatnią szansę, aby stać się w pełni mężczyzną, jako burzliwe bezkrólewie, po którym wejdę między pułapki i ceremonie wieku średniego. Świadomym aktem woli chciałem uczynić ten okres czasem rozrachunku, a także, gdyby to się udało, uzdrowienia i odnowy duszy pogrążonej w mroku.

Podejmując wysiłek odtwarzania zapamiętanych wydarzeń, będę próbował wyleczyć siebie i zebrać w sobie siłę, która stanie się potrzebna, gdy będę prowadzić doktor Lowenstein po pochyłościach i stokach przeszłości.

Budziłem się zwykle o brzasku i wstępnie odnotowawszy sny, wstawałem, brałem prysznic i ubierałem się, po czym wypijałem szklanke świeżo wyciśniętego soku z pomarańczy, a pierwszy dotyk cierpkiego smaku stanowił prawdziwą rozkosz dla języka. Następnie tylnymi schodami wychodziłem na Grove Street. Na Sheridan Square kupowałem „The New York Timesa” u konsternująco anonimowego sprzedawcy. Był przedstawicielem tej kasty nowojorczyków, którzy prace niewdzięczne, a bardzo potrzebne, wykonywali w sposób odpersonalizowany niczym biletowe bramki metra. Na Bleecker Street kupowałem dwa rogaliki we francuskiej piekarni u nonszalanckiej madame z Lyonu. Po drodze do mieszkania zjadałem jeden z rogali, które, lekkie i ciepłe jak ptaki, rozpadały się na kruche listwy, nadal trzymające w sobie odrobinę ciepła z pieca. Ręce pachniały chlebem, gdy zasiadałem w saloniku do lektury działu sportowego. Byłem dożywotnim więźniem stronic sportowych, Odruchowo utrwalalem w pamięci długie kolumny wyników. Ulubioną dziedziną był dla mnie baseball, z racji swej dostojnej obsesji na punkcie liczb - każdy dzień godnie się pysznił tabelami punktowymi.

Kiedy gazeta była już przeczytana, a jej stronic rozrzucone dookoła, musiałem stawić czoło grozie letnich poranków. Moim tematem była kłeska.

Temperatura w klimatyzowanym gabinecie doktor Lowenstein zawsze była odrobinę za niska. Z rozpalonych, zamglonych od upału ulic wchodziłem spocony, zakurzony i natychmiast przenikał mnie mimowolny dreszcz w zetknięciu z eleganckim wnętrzem, gdzie panowała fałszywa, nie związana z porą roku aura. W biurze recepcjonistki, pani Barber, było zawsze o stopień, dwa cieplej niż w poczekalni, gdzie panowała prawdziwie arktyczna temperatura. Ilekroć przekraczałem próg na codzienne solilokwia z doktor Lowenstein, słońce godziny piątej dzieliło twarz pani Barber na równe pasma.

Któregoś dnia podniosła wzrok, gdy stanąłem w drzwiach i powiedziała:

- Ach, mister Wingo, musieliśmy dzisiaj zmienić program. Doktor Lowenstein ma nadzieję, że się pan nie obrazi.

- A co się stało?

- Nagła pomoc. Zadzwoiła jedna z jej przyjaciółek w stanie depresji. Doktor Lowenstein ma nadzieję, że zechce pan poczekać, a potem pójdziecie gdzieś na drinka.

- W porządku - powiedziałem. - Czy mogę usiąść w poczekalni i przejrzeć numery wykwintnych czasopism?

- Dam jej znać - powiedziała, a potem, obdarzywszy mnie ciepłym, macierzyńskim spojrzeniem, spytała: - No i jak się czujemy, Karolino?

- Nie najlepiej, pani Barber - odrzekłem, a w moim głosie zabrzmiała nieoczekiwana szczerość.

- Dużo się pan śmieje i dowcipkuje jak na kogoś, kto nie najlepiej się czuje.

- I to panią wprowadza w błąd, prawda?

- Nie - odrzekła. - Ani przez chwilę. Od dawna mam do czynienia z ludźmi w tarapatkach. To zawsze widać w oczach. Jeśli mogę coś dla pana zrobić, w czymkolwiek pomóc, proszę tylko wrzasnąć.

- Pani Barber, a czy zechciałaby pani wstać na chwilę? - spytałem zniecierpliwiony, przytłoczony niezmierną dobrocią tej obcej osoby.

- Po co, mój kochany?

- Chcę paść na kolana i ucałować pani pupę. To ostatnio odruchowa reakcja, ilekroć ktoś okazuje mi chociaż odrobinę uprzejmości.

- Martwi się pan o siostrę.

- Nie, „wcale nie - powiedziałem. - Używam jej jako zasłony. Ilekroć rozpadam się na kawałki, ona służy mi jako wytłumaczenie i usprawiedliwienie. Ją obwiniam o cały mój smutek, a robię to w najpodlejszy, najbardziej tchórzliwy sposób.

- Proszę - powiedziała, otwierając torebkę i rzucając ukradkowe spojrzenie na drzwi gabinetu doktor Lowenstein. - Kiedy się pokłóczę z mężem albo martwię się o dzieci, proszę o pomoc doktora Jacka. - Wyciągnęła półpintową buteleczkę Jacka Danielsa i naląła z niej do małego papierowego kubeczka, który wzięła z półki. - Doktor Jack wpada z wizytą i ma sposób na wszystkie dolegliwości.

Wypiłem bourbona jednym łykiem i poczułem w żołądku jego brązowy skwar.

- Dziękuję, pani Barber.

- Tylko żebyś nic nie mówił doktor Lowenstein, Karolino, że ci dałam.

- Będę milczał jak grób - obiecałem. - A tak między nami, jak się mają pingwiny?

- Jakie pingwiny? - spytała podejrzliwie.

- Tutaj jest tak zimno, że albo doktor Lowenstein hoduje pingwiny, albo większość jej klientów stanowią maniakalno - depresyjni Eskimosi.

- Proszę stąd natychmiast wyjść, Karolino - powiedziała pani Barber, odprawiając mnie stanowczym ruchem dłoni. - Doktor Lowenstein lubi, jak jest tutaj zimno w lecie i ciepło w zimie. Dlatego przez całe lato muszę chodzić w swetrach, a kiedy w lutym na zewnątrz są zasypane śniegiem, chętnie występowałabym tutaj w samym bikini.

- Ale czy nie jest tak, że wyciąga pacjentów ze świra, ale ci umierają na zapalenie płuc?

- Proszę wyjść - powtórzyła i powróciła do maszyny.

Znowu się zatrząsałem, wkraczając do wychłodzonego sanktuarium, w którym pacjenci oczekiwali na wezwanie przez doktor Lowenstein.

Ze stolika do kawy wziąłem stosik numerów „Architectural Digest” i zacząłem kartkować je leniwie, zaśmiewając się w duchu na samą myśl, że jakakolwiek ludzka istota mogłaby żyć, cierpieć i bawić się w tych rozkosznych pomieszczeniach. Ogromna, przesadna wyobraźnia została zaprzęgnięta do pracy przy projektowaniu każdego z tych domów. Patrzyłem na bibliotekę zaprojektowaną przez włoskiego architekta, którą cechował taki wigor i rokoko, że natychmiast nasuwało się podejrzenie, iż w tych lśniących, skórzanych fotelach, ustawionych w różnych odstępach pod ścianami, nie została przeczytana ani jedna książka, nawet one bowiem stały się tylko meblami. Artysta ściągnął okna z dworów, boazerie - ze zrujnowanych pałaców. Nie było w tym żadnej oryginalności. Wszystko stanowiło amalgamat łupów wyniesionych z domów aukcyjnych, osobisty smak uległ majestatycznym wytworom przesadnych upiększeń.

- Gdzie pudełka dla kotów, kojce, kosze na papiery, popielniczki? - spytałem głośno, przewróciwszy stronę i wpatrzywszy w odrestaurowany zamek nad Loarą. - Gdzie papierowe chusteczki, papier toaletowy, Drano, szczoteczki do zębów obok zlewu?

Rozmowa z czasopismami należała do moich ulubionych hobby, uważałem ją za rodzaj gimnastyki zapewniającej zdrowie umysłowe. Nie zobaczyłem ani nie usłyszałem kobiety, która weszła do poczekalni i zajęła miejsce obok drzwi.

Siedziała wyprostowana, niemal nierealna w swej nieruchomości, bólu i zmęczeniu. Należała do tych klasycznych piękności, które mężczyźni napełniają bojaźnią. Jest coś takiego jak nadmiar urody w kobiecie, a wtedy

staje się ciężarem takim jak kalectwo czy bezdomność, ale bardziej niebezpiecznym. Trzeba wiele szczęścia i charakteru, aby znieść dar perfekcyjnej urody, której nietrwałość stanowi jej najbardziej wyrafinowaną zdradę. Łkała bez łez, co brzmiało tak, jakby się dusiła. Twarz wykrzywiało jej wysiłek zapanowania nad cierpieniem, podobnie jak u tych porażonych bólem, wyczerpanych madonn, które z miłością nachylają się nad swymi udręczonymi synami w piętach rozsianych po całej Europie.

Chociaż znaleźliśmy się w jednym pomieszczeniu, ja zaś pomrukiwałem nad fotografiami, ani na mnie spojrzała, ani w żaden inny sposób nie pokazała, iż zauważyła moją obecność.

Oto i cały Nowy Jork, pomyślałem. Żadnej luźnej pogawędki, żadnego grzecznościowego zwrotu, aby zmniejszyć kłopotliwość przypadkowego spotkania.

Powróciłem do stron „Architectural Digest”, ale zastrzeżenia pozostawiłem już dla siebie. Przez kilka minut oglądałem czasopismo w milczeniu, a kiedy ponownie usłyszałem płacz, były już i łzy.

Sumiennie zastanawiałem się nad właściwym zachowaniem. Czy zignorować kobietę i zająć się wyłącznie swoimi sprawami? Odrzuciłem to rozwiązanie jako niezgodne z moją hałaśliwą, dobroduszną naturą. Czy powinienem zachować profesjonalną rezerwę, czy też zapytać wprost, co się stało i jak mogę ewentualnie pomóc?

Ponieważ była piękna, to niezależnie od tego, co powiem lub zrobię, będzie sądziła, że ją podrywam. Była to jednocześnie i prawda, i zagrożenie dla urodziwej niewiasty w stanie przygnębienia, a ja nie chciałem go jeszcze pogłębiać. Zatem, pomyślałem, najlepiej będzie wyznać jej bezceremonialnie, że jestem impotentem, kastratem śpiewającym w tureckim chórze chłopięcym, kastratem romansującym z dokerem, a chcę jej pomóc, gdyż nie mogę znieść widoku jej udręczenia.

Nie powiedziałem jednak nic. Nie wiedziałem, jak objawia się troskę w Nowym Jorku. Jestem tu przybyszem, który nie zna reguł i kodów rządzących ludzkimi zachowaniami w tych imponujących szklanych dolinach. Zdecydowałem, że poinformuję ją o tym, w przeciwnym razie bowiem będzie myśleć, że jestem podobny do innych wyalienowanych osób i że mam do niej taki sam stosunek jak do pijaka rzygającego w stacji metra. Jestem całkowicie pewny, że gdyby była kobietą prostą, zwykłą czy nawet ładną i nic więcej, odezwałbym się do niej natychmiast. Podałbym jej chusteczkę, zaproponował, że zamówię pizzę, postawię martini, każę przynieść kwiaty, wystawię certyfikat urody czy też stłukę na kwaśne jabłko męża, który się nad nią znęca. Ale jej niewyczerpane piękno zapierało mi

dech w piersiach. Każda spotkana przeze mnie kobieta, która szła przez świat naznaczona fizyczną znakomitością, niosła też ze sobą klucze do nieznośnej samotności. Był to współwyznacznik ich powabu, cena, którą musiały płacić.

Odrożyłem czasopismo i nie spoglądając na nią, powiedziałem:

- Jeśli pani pozwoli, nazywam się Tom Wingo i pochodzę z Karoliny Południowej. Czy mógłbym pani w czymkolwiek pomóc? Czuję się strasznie, widząc, jak pani cierpi.

Nie odpowiedziała, gniewnie tylko potrząsnęła głową i załkała jeszcze mocniej. Chyba dźwięk mego głosu sprawił jej przykrość.

- Bardzo przepraszam - pisałem. - Może podać pani szklanek wody?

- Przyszłam tutaj - wykrztusiła przez łyzy i szloch - do pieprzonej psycholki, nie potrzebuję pomocy od żadnego z jej pieprzonych pacjentów.

- Przepraszam panią, ale zakradła się tu mała pomyłka. Nie jestem pacjentem doktor Lowenstein.

- To na co pan czeka pod jej gabinetem? To nie przystanek autobusowy. - Otworzyła torebkę i zaczęła w niej przewracać, a ja usłyszałem dźwięk kluczy. - Mógłby mi pan dać jakąś chusteczkę? Nie wzięłam chyba swoich.

Rzuciłem się do drzwi, rad, że mogę być w czymś przydatny i że oszczędzone mi zostaje w ten sposób wyjaśnianie, dlaczego marudzę pod drzwiami gabinetu. Pani Barber podała paczkę chusteczek i szepnęła:

- Jest w kiepskim stanie, Karolina.

Wróciłem do poczekalni i wręczyłem kobiecie chusteczkę. Podziękowała i wytarła nos. Raziło mnie zawsze to, że olśniewające kobiety także muszą wydmuchiwać nos, urągał przyzwoitości fakt, że także one obarczone są nieznośnie cielesnymi funkcjami. Otarła łyzy, co sprawiło, że tusz rozmazał się na policzkach. Z torby Gucciego wydobyła puderniczkę i fachowo poprawiła makijaż.

- Dziękuję - powiedziała, odzyskując panowanie nad sobą. - Przepraszam, że byłam taka nieznośna. Mam bardzo trudne chwile.

- Chodzi o mężczyznę?

- A czy kiedykolwiek nie chodzi o mężczyznę? - spytała z goryczą i przygnębieniem.

- Czy mam mu złoić skórę? - spytałem i sięgnąłem po ostatni numer „New Yorkera”.

- Oczywiście, że nie - odrzekła z irytacją. - Bardzo go kocham.

- To tylko propozycja, nic więcej. Brat zawsze robił to dla mnie i dla siostry. Jeśli ktokolwiek dopiekl nam w szkole, brat pytał: „Złoić mu skórę?” Nigdy się nie zgadzaliśmy, ale zawsze czuliśmy się trochę lepiej.



Uśmiechnęła się do mnie, ale uśmiech zaraz zamienił się w czarowny grymas. Miarą jej urody było to, że nawet taki grymas jedynie ją podkreślał.

- Od czterech lat chodzę do swojego psychiatry - powiedziała, znowu poprawiając sobie makijaż - i nie jestem nawet pewna, czy lubię sukinsyna.

- Musi pani mieć dobrą polisę ubezpieczeniową, która obejmuje także choroby umysłowe - zauważyłem. - Moja nie uwzględnia nawet schorzeń somatycznych.

- Nie jestem umysłowo chora - oznajmiła z naciskiem i poprawiła się na krześle. - Jestem po prostu skrajną neurotyczką, która niezmiennie zakochuje się w dupolach.

- Dupki stanowią większość światowej populacji. Usiłowałem to określić liczbowo - wyszło mi siedemdziesiąt trzy procent i wielkość ta stale rośnie.

- A do jakiej kategorii zalicza pan siebie? - zainteresowała się.

- Siebie? O, ja jestem dupkiem. Dozgonnym, poświadczonym urzędowo. Jedyna korzyść polega na tym, że nie muszę płacić wstępnego i należę do większości.

Zaśmiała się chrapliwie i z przymusem.

- Czym się pan zajmuje na co dzień? - spytała.

- Jestem trenerem szkolnej drużyny piłkarskiej - odrzekłem zawstydzony i pewien zarazem, że mi nie uwierzy.

- Nie, naprawdę.

- Jestem prawnikiem - powiedziałem, marząc o tym, żeby jak najprędzej zakończyć to upokarzające wypytywanie. Zawsze lubiłem ten natychmiastowy podziw, którym mnie obdarzano, jeśli wyznawałem obcym, że jestem reprezentantem szczególnie prężnej i wielokształtnej korporacji międzynarodowej.

- Nie wygląda pan na prawnika - oznajmiła podejrzliwie, przypatrując się moim spodniom khaki oraz wymiętej koszuli Lacoste' a z na wpół odprutym znakiem firmowym. - Ani się nie ubiera odpowiednio. Gdzie pan kończył prawo?

- Na Harvardzie - odparłem skromnie. - Wiele mógłbym pani o tym opowiedzieć, ale znudziłoby to panią śmiertelnie. Cierpienia wydawcy „Law Review”. Rozczarowanie, jakim było zaledwie drugie miejsce na roku.

- Przepraszam, że weszłam taka zapłakana - powiedziała, znowu powracając do siebie.

- Nic nie szkodzi - odrzekłem zadowolony, że przyjęła do wiadomości moje referencje.

- Myślałam, że mnie pan podrywa. Dlatego byłam taka nieprzyjemna.

- Nie znam się na podrywaniu.

- Ale jest pan żonaty - powiedziała, zerkając na moją obrączkę. - Poderwał pan kobietę, która potem została pańską żoną.

- Było inaczej, proszę pani. To ona zaczęła mnie w centrum handlowym i zębami rozsunała mi zamek błyskawiczny. W ten sposób zorientowałem się, że chce się ze mną spotykać. W młodości bardzo wstydzilem się dziewcząt.

- Jestem przyjaciółką doktor Lowenstein - powiedziała i machinalnym gestem odgarnęła bujne jasne włosy znad oka. - Nie jestem jej pacjentką, ale mój lekarz wyjechał... żeby go cholera. Lowenstein zgadza się, że bym w nagłych przypadkach z niej korzystała.

- To ładnie z jej strony.

- To cudowna osoba. Ma kłopoty tak jak wszyscy, ale u niej jest się w dobrych rękach. Do diabła, ależ miałam dzień.

- A co się stało?

Spojrzała na mnie dziwnie i powiedziała chłodno, chociaż bez złości:

- Jak będę chciała, żeby ktoś wyciągnął mnie na zwierzenia, to może zadzwonię do pana. Ale z osobistymi problemami zwracam się do specjalistów.

- Przepraszam. Nie chciałem być natrętny, tego może być pani pewna.

Znowu się rozpląkała i zakryła twarz rękami.

Doktor Lowenstein otworzyła drzwi gabinetu ze słowami:

- Monique, wejdz, proszę.

Kiedy Monique przechodziła obok niej, doktor Lowenstein zwróciła się do mnie:

- Mam nadzieję, że to zrozumiesz, Tom. Przyjaciółka ma kłopot. Postawię ci potem drinka.

- Cała przyjemność po mojej stronie, pani doktor.

Swe życie w Colleton zaczęliśmy więc wraz z siostrą jako dzieci burzy, bliźnięta Batszeby. Przez pierwsze sześć lat nie opuściliśmy hrabstwa Colleton, nie mogę ich sobie przypomnieć, tak zamknięte są pod zapętlzeniami i warstwami pamięci, na których odcisnęły się bujne obrazy karolińskich wysp nadmorskich. A oto, jak wspominała je matka: dzieci bardzo serio zabrały się do rośnięcia, ona zaś nie odstępowała nas na sekundę, kiedy stawialiśmy pierwsze kroki, formowali pierwsze niezgrabne wyrazy, wyśpiewywali je ku rzece i kiedy polewaliśmy się wodą z węży, gdy potrafilismy już samodzielnie hasać po pachnących letnich trawnikach.

W tych odgradzonych obszarach mego dzieciństwa czas płynął od jednego przesilenia do drugiego, ja zaś bawiłem się pod roztargnionym

majestatem niebieskich oczu matki. Spoczywały na mnie nieustannie i czułem się tak, jakby badawczo wpatrywały się we mnie kwiaty. Wydawało się, iż matka nie może się nami nacieszyć: wszystko, co mówiliśmy i myśleli, sprawiało jej przyjemność. Za naszymi bosymi nogami śmigającymi po trawie gonił jej śmiech. Mówiła sama o sobie, że należy do tych kobiet, które uwielbiają dzieci i niemowlęta. Przez tych sześć czarujących, słonecznych lat całe serce wkładała nie mające sobie równych matczyne obowiązki wychowawcze. Nie było jej łatwo i przez resztę życia każdego dnia uważała za stosowne wspomnieć o swej harówce. Byliśmy jednak żywymi pogodnymi dziećmi, chętnymi do zabawy, wnikania w tajemnice lasu i w jej zdumiewającą, własną wizję wszechświata. Nie wiedzieliśmy, że jest kobietą bardzo nieszczęśliwą, podobnie jak nie wiedzieliśmy, że nigdy nam nie wybaczyła naszego wzrastania i dorostania. Ale nawet one były bagatelką w zestawieniu z jedyną zbrodnią naprawdę nie do wybaczenia: że w ogóle się urodziliśmy. Matkę niełatwo było rozszyfrować. Urodziliśmy się w domu pełnym komplikacji, dramatu i bólu. Byliśmy typowymi południowcami, a w każdym południowcu pod cienką warstewką komunałów kryje się prawdziwa żyła banału, ale nawet banał ma kolosalną siłę, kiedy uwikłane jest weń dziecko.

Ojciec prawie zawsze wracał do domu po zmroku. Najczęściej leżałem już w łóżku, kiedy rozlegały się jego kroki na ganku. Zaczął mi się kojarzyć z ciemnością. Wraz z jego pojawieniem zmieniał się głos matki, tracił swą muzykalność. W chwili, kiedy otwierał drzwi, stawała się inną kobietą i zmieniał się w ogóle cały dom. Słyszę ich głosy, ściszone, szepczące, kiedy przy późnej kolacji rozmawiają o wydarzeniach dnia.

Pewnego razu słyszałem, jak matka płacze, a ojciec ją bije, ale nazajutrz widziałem, jak całuje go w usta, kiedy po ciemku wyrusza do pracy.

Bywały dni, kiedy matka w ogóle się do nas nie odzywała, siedziała na ganku, patrząc na rzekę i na Colleton, a w oczach miała taką smutną rezygnację i odrętwienie, że nie mógł ich przegnać nawet nasz płacz. Jej bezruch przerażał nas. W roztargnieniu zanurzała długie palce w nasze włosy, z oczu puszczały się łzy, ale wyraz twarzy się nie zmieniał. Nauczyliśmy się żyć pełni lęku w ciszy, kiedy nachodziły ją takie chwile, i skupialiśmy się wokół niej w ochronnym jasnowłosym kręgu. Nie mogliśmy do niej dotrzeć, nie chciała dzielić z nami swoich strapień. Tym, co matka prezentowała światu i swojej rodzinie, była biała, impregnowana otulina, haftowana, zdobna fasada, która stanowiła najmniejszy i najmniej ważny fragment jej osobowości. Zawsze była czymś więcej niż tylko sumą swoich części, jako że najistotniejsze z nich pozostawiała w ukryciu. Całe

życie poświęciłem na jej studiowanie i nadal nie jestem jeszcze ekspertem. Pod pewnymi względami była matką doskonałą, pod innymi - ucieleśniała apokalipsę.

Starałem się rozumieć kobiety, co nieodmiennie prowadziło do złości i zarazem zdumienia, to toń zbyt rozległa, oceaniczna i zdradliwa. Pomiędzy obiema płciami ciągnie się łańcuch górski, a nie ma żadnego egzotycznego plemienia Szerpów, które znalazłyby tajemnice zabójczych urwisk, które nas oddzielają. Ponieważ nie udało mi się poznać matki - więc odmówiony mi też został dar rozumienia jakiegokolwiek kobiety, która przeżyła moja przełęcz.

Kiedy matka była smutna lub przy gnębiona, obwiniałem za to siebie i myślałem, że popełniłem jakiś niewybaczalny grzech. Pewna doza poczucia winy jest czymś typowym dla chłopaka z Południa, nasze życie to zawila, straszliwa prośba do naszych matek o wybaczenie ojcom, iż są tak marnymi mężami. Chłopak przez długi czas potrafi znieść ciężar i potęgę przemieszczonego uczucia, a tylko niewielu z nich potrafi się oprzeć samotniczemu i niewinnie uwodzicielskim awansom matki. Jest zakazana słodycz w tym, kiedy zostaje się platonicznym, sekretnym kochankiem kobiety własnego ojca, straszliwy triumf demonicznego rywala, kiedy w zaciszu ojcowskiego domu doznaje się nieznośnie delikatnej miłości tej kruchej kobiety. Nie ma na świecie nic bardziej erotycznego niż chłopak zakochany w postaci matki i w jej dotyku. To rozkosz najgłębsza i najbardziej zakazana, a zarazem najbardziej naturalna i niszczycielska.

Matka urodziła się w górach północnej Georgii. Górale są odludkami, wyspiarze - obywatelami świata. Wyspiarz wita przybysza gestem ręki, góral dziwi się, czemu się taki pojawił. Twarz mojej matki, pełna eterycznej miłości i zawsze uśmiechnięta była oknem na świat, ale tylko pozornie. Była mistrzynią, jeśli chodzi o kreślenie zwiewnych, bolesnych biografii obcych, a zarazem zachowywanie w ukryciu najdrobniejszych nawet faktów czy poszlak jej dotyczących. Ojciec i matka dziwnie się dobrali. Ich wspólne życie stało się wojną trzydziestoletnią. Jedynymi możliwymi jeńcami były dzieci. Zanim byliśmy w stanie pojąć hekatombę tej wojny, wiele było traktatów i rozejmów, konferencji i zawieszeń broni. Tak wyglądało nasze życie, nasz los, nasze dzieciństwo. Żyliśmy najlepiej, jak potrafiliśmy, a wyspa była piękna i przytulna.

A potem zniemacka zostaliśmy z niej zabrani, okres zaś, który po tym nastąpił, zapamiętałem w każdym niemal szczególe.

W sierpniu 1950 roku, ku swemu niemiłemu rozczarowaniu, ojciec został powołany do służby i otrzymał rozkaz wyjazdu do Korei. Matka uznała, że

samotnej kobiecie z trójką małych dzieci nie jest bezpiecznie żyć na Melrose Island, przystała więc na propozycję babki, abyśmy ten rok spędzili w Atlancie, gdzie miała domek przy Rosedale Road. Aż do tej chwili nie wiedziałem o tym, że mam babkę. Rodzice nigdy nie wspomnieli nawet jej imienia. Nagle wrosła w nasze życie jak zagadka i dar.

Pożegnaliśmy się z dziadkiem Wingo w Colleton, zamknęliśmy biały domek na wszystkie spusty i pojechaliśmy do Atlanty, aby jedyny rok dzieciństwa spędzić w dużym mieście. Na Rosedale Road po raz pierwszy ucałowałem matkę ojca, kiedy wyszła ku nam na ulicę, aby wąską dróżką poprowadzić do domu. Żyła z mężczyzną o nazwisku Papa John Stanopolous. Swego męża i syna porzuciła, w szczytowym momencie kryzysu wyjeżdżając do Atlanty w poszukiwaniu pracy. Przez rok pracowała w stoisku bieliznianym w magazynie Rocha, a pół pensji wysyłała co miesiąc rodzinie w Colleton. Uzyskała rozwód i poślubiła Papę Johna w tydzień po tym, jak go poznała, kiedy zabłąkał się do stoiska z bielizną. Powiedziała mu, że jest panną. Słuchałem ze zdumieniem, gdy ojciec przedstawiał nas Papie Johnowi jako kuzynów babki. Historia ta rozwijała się przez lata, ale bardzo spokojnie. Rodzice zawsze sądzili, iż dzieciom nie należy mówić zbyt wiele, dlatego udzielali nam tylko informacji, które ich zdaniem były nam potrzebne. W chwili, kiedy znaleźliśmy się w domu przy Rosedale Road, nauczyliśmy się już trzymać języki za zębami i nie paplać zbyt wiele. Ojciec przedstawił mnie babce, Tolithcie Stanopolous, i kazał zwracać się do niej „ciociu Tolitho”. Jako posłuszny chłopiec zrobiłem to, czego ode mnie oczekiwano. Kiedy wieczorem poprosiłem matkę o wyjaśnienie, powiedziała, że to nie mój interes i wszystko wytłumaczy mi, kiedy będę starszy.

Przybyliśmy w czasie, kiedy Papa John dochodził do siebie po pierwszym z zawałów, które miały go ostatecznie zabić. Jego twarz była długa i koścista, a z niej niczym występ skalny, sterczał cudownie ogromny nos. Miał dostojną łysinę i miękko zaokrągloną głowę. Bezdzienny, pokochał nas namiętnie od pierwszej chwili, gdy zjawiliśmy się w pokoju, gdzie potem dokonał życia. Nigdy nie miał dość całowania nas, uwielbiał smak, zapach i głos dzieci. Ojca nazywał kuzynem Henry.

Dom stał na pagórku w grupie ładnych, bezpretensjonalnych budynków utrzymanych w podobnym stylu. Mieścił się w części Atlanty zwanej Virginia-Highlands, babka jednak upierała się, że mieszka w Druid Hills, aczkolwiek ta znacznie bardziej elitarna dzielnica znajdowała się odrobinę na wschód. Dom zbudowany był z ponurej czerwonej cegły koloru zaschłej krwi, który całą północno - wschodnią część miasta powlekał

rdzawą, złowieszczą patyną. Budynek zwieńczały spiczaste wieżyczki i dach o wielu spadach. Od ulicy wydawał się wygodny i zarazem odrobinę szelmowski, w środku był wielki i zawył. Pokoi, chociaż niskich i ciasnych, było wiele, o przedziwnych kształtach, z budzącymi lęk zakątkami, niszami i wnękami pozwalającymi się skryć. Można było pomyśleć, że zbudowany został po to, aby dawać pożywkę dziecięcym nocnym lękom.

Od ulicy dom był w znacznym stopniu przesłonięty przez cztery wielkie dęby, których gałęzie rozpościerały się nad budynkiem niczym parasol. Drzewa były tak wielkie i grube, że podczas burzy bardzo niewiele deszczu padało na dom, i ogromnie pasowały do miasta i okolicy. Atlanta to miejsce, gdzie zbudowano miasto, ale pozostawiono też las. Susły i opopy przychodziły nocą do tylnych drzwi, a matka zostawiała dla nich prawoślaz. Na wiosnę powietrze przenikał zielony aromat skoszonych trawników, a kiedy szliśmy Stillwood Avenue pod akacjami, niebo nad nami było białe jak ślubny welon.

W tym czasie świadom byłem tego tylko, że jestem dzieckiem, ale rok to okres długi i pouczający, a ja przez ów rok w Atlancie nauczyłem się być obywatelem świata. Przez pierwszy tydzień zamieszkiwania w domu, w którym babka uwięziła naszą trójkę, maszerowaliśmy do tylnych drzwi ze sznurem, wiadrem i kurzymi szyjkami, zamierzając udać się na połów krabów. Szliśmy poszukać jakiegoś morza w pobliżu Atlanty lub przynajmniej dopływu, było dla nas niepojęte, że przy wszystkich urokach miasta niepodobna wyprawić się na kraby. Nie potrafiliśmy sobie wyobrazić świata pozbawionego wysp albo ulicy, która nie prowadziłaby ostatecznie do morza. Na zawsze jednak zapamiętamy ulicę - chociaż usiłowaliśmy ją zanegować poprzez proste szukanie przyjemności z łowienia krabów w mieście pozbawionym oceanu - prowadzącą do podnóża Stone Mountain.

W ostatnią sobotę przed swym wyjazdem do Korei ojciec wywiózł nas przed świtem z Atlanty, zaparkował w ciemnościach samochód i poprowadził ścieżką na szczyt Stone Mountain, skąd oglądaliśmy wschód słońca. Była to pierwsza góra, jaką zobaczyliśmy, a co dopiero mówić o wspinaniu się na nią. Kiedy staliśmy na granitowym szczycie, patrząc, jak światło nawiedza Georgię, mieliśmy wrażenie, iż cały świat rozpościera się przed nami. W oddali widzieliśmy obrębiony blaskiem zarys Atlanty. Na jednym z urwisk widniały nie dokończone figury Roberta E. Lee, Jeffersona Davisa i Stonewalla Jacksona - fragmentaryczni jeźdźcy sunęli przez granit w nie kończącej się wędrówce.

Matka zapakowała prowiant i teraz rozpostarła biały obrus na największym na świecie granitowym blacie. Dzień był bezwietrzny i czysty,



obrus przywarł do skały niczym znaczek do koperty. Baraszkowaliśmy z ojcem na wierzchołku góry, która w całości należała teraz do nas. To na szczycie Stone Mountain otrzymałem pierwszą lekcję charakteru mego ojca i tego, jak wpłynął on na nasze dzieciństwo. To tego dnia niesłuchanie żywo uświadomiłem sobie niebezpieczeństwo związane z naszą rodziną.

- Dlaczego znowu musisz jechać na wojnę, tato? - Savannah spytała ojca, który leżał z głową ułożoną płasko na kamieniu i wpatrywał się w błękitne niebo. Żył przedramienia wybrzuszały się na ciełe jak liny na pokładzie łódki.

- Niech mnie diabli, jeśli wiem tym razem, aniołku - powiedział, unosząc ją w powietrze.

- Chcę wrócić do Colleton - oznajmił Luke, rozglądając się po okolicy. - Tu nie ma krewetek.

- Wyjeżdżam tylko na rok. Potem wrócimy do Colleton.

Matka rozłożyła na obrusie orgię kanapek z szynką, przyprawionych jajek i sałatki ziemniaczanej, a teraz skonsternowana patrzyła na mrówki w karnych szeregach ciągnące ku jedzeniu.

- Bardzo mi będzie brakować moich szkrabów - powiedział ojciec wpatrzony w matkę. - Co tydzień będę pisał list i każdy zapieczętuję tysiącem całusów. Przeznaczonych jednak nie dla was, chłopaki, bo wam przecież niepotrzebne żadne całusy, prawda?

- Nie, tato - odpowiedzieliśmy z Lukiem zgodnie.

- Chowam swoich chłopaków na wojowników, a nie kochasiów - powiedział ojciec, gwałtownie tarmosząc nam czupryny. - Obiecujcie, że podczas mojej nieobecności nie pozwolicie matce, żeby zamieniła was w kochasiów. Jest dla was za miękka. Nie dajcie ładnie się ubierać i zapraszać na herbatki. Chcę, żebyście obiecali mi jedną rzecz: każdego dnia stłuczecie jednego chłopaka z Atlanty. Nie chcę wrócić z Korei i zobaczyć, że zrobiły się z was wielkomięskie, napuszone paniczki. Jasne? Jesteście ze wsi, a wsiowe chłopaki to wojownicy.

- Nie - wtrąciła się matka, łagodnie, lecz stanowczo. - Moi synowie będą cenili miłość. Będą najśłodszymi chłopcami na świecie. Tu masz swojego wojownika. - Matka zrobiła gest w kierunku Savannah.

- Tak, tato - podchwyciła Savannah. - Ja jestem wojowniczką. Mogę stłuc Toma, kiedy tylko zechcę. I Luke'a, kiedy bije się tylko jedną ręką.

- Ej, jesteś dziewczynką, a dla dziewczyn zawsze najważniejsza jest miłość. Nie chcę, żebyś się biła. Masz być dla taty delikatna, słodka, jak brzoskwinia w śmietanie.

- A ja wcale nie chcę być delikatna i słodka - sprzeciwiła się Savannah.



- Ty? - powiedziałem. - Pewnie, że nie.

Szybsza i silniejsza ode mnie, zaskoczyła mnie ciosem w żołądek. Z płaczem pobiegłem do matki, która zaczęła mnie tulić w ramionach.

- Savannah, przestań znęcać się nad Tomem. Nigdy nie dajesz mi spokoju.

- Widzisz - powiedziała Savannah do ojca. - Jestem wojowniczką.

- Tom, wstydzę się za ciebie - powiedział ojciec, nie zwracając uwagi na Savannah i ponad nią spoglądając na mnie.

- Płakać, kiedy uderzy - cię dziewczyna! To okropne. Chłopcy nigdy nie płaczą. Nigdy. Cokolwiek by się działo.

- Henry, przestań, on jest taki wrażliwy.

Matka czule gładziła mnie po włosach.

- Och, wrażliwy - powtórzył ojciec drwiącym głosem. - Przepraszam, nie chciałem powiedzieć niczego, co mogłoby urazić tak wrażliwą osobę, ale Luke nigdy nie będzie beczał tak jak on. Nawet kiedy lałem go pasem, nie zobaczyłem ani jednej łezki. To prawdziwy mężczyzna od pierwszej chwili, kiedy się urodził. Ej, Tom, chodź no tutaj i daj swojej siostrze nauczkę.

- Niech lepiej nie próbuje, bo znowu mu przyleję - zagroziła Savannah, ale w jej głosie czuć było żal, że rozpoczęła całą sprawę.

- Nie, Henry - zaoponowała matka. - Tak nie wolno postępować.

- Lila - warknął ojciec - ty zajmuj się dziewczynką, a ja się zatroszczę o chłopaków. Chodź tutaj, Tom.

Wysunąłem się z objęć matki i przeszedłem po płaskim szczycie Stone Mountain pięć jardów, a wydawało się, że marsz wlecze się w nieskończoność. Zatrzymałem się przed ojcem.

- Przestań płakać, mazgaju - powiedział, a ja załkałem jeszcze mocniej.

- Nie, Henry, tak nie można - powtórzyła matka.

- Przestań płakać, bo inaczej znajdę ci powód do płaczu.

- Nie mogę przestać - wychlipałem.

- Tato, to moja wina - zawołała Savannah.

Ojciec uderzył mnie w twarz, przewracając na ziemię.

- Powiedziałem ci, żebyś przestał, ty mięczaku - powiedział, nachylając się nade mną.

W miejscu uderzenia twarz była gorąca i zdrętwiała. Skuliłem się, wtulając policzek w skałę.

- Nigdy więcej nie waż się go tknąć - usłyszałem głos matki.

- Żadna baba nie będzie mi rozkazywać, Lila - prychnął. - Jesteś kobietą i zawsze będziesz kobietą, więc trzymaj gębę na kłódkę, kiedy chcę jednego z synów nauczyć dyscypliny. Nie wtrącam się do ciebie i do Savannah, gdyż

gównie mnie to obchodzi, jak ją wychowujesz. Ale to, jak się wychowa chłopaka, jest bardzo ważne, bo nie ma na świecie gorszej rzeczy niż chłopak, o którego nie zadbano odpowiednio.

Spojrzałem w górę i zobaczyłem, że ojciec potrząsa matką, a w jej oczach lśnią łzy upokorzenia. Nigdy nikogo nie kochałem tak bardzo jak jej w tej chwili. Widziałem odwrócone do mnie plecy ojca i czułem, jak w jednym z najgłębszych zakątków duszy powstaje nienawiść, a swoje narodziny ogłasza wrzaskiem czarnej, zakazanej ekstazy.

- Puść mamę! - zawołał Luke.

Ojciec i my wszyscy obróciliśmy się w jego kierunku i zobaczyliśmy, że trzyma kuchenny nóż, który porwał z kosza na wiktuały.

- Nie, Luke, kochanie, wszystko jest w porządku - pospiesznie zapewniła matka.

- Wcale nie - powiedział Luke, a w jego wielkich oczach płonął gniew. - Puszczaj mamę i już nigdy więcej nie bij mojego brata.

Ojciec przez chwilę wpatrywał się w swego najstarszego syna, a potem ryknął śmiechem. Zerwałem się i znowu rzuciłem w objęcia matki, gnany tym rechem. Odtąd przez całe życie będę uciekał przed tym drwiącym, szyderczym śmiechem, szukając schronienia w miejscu miękkim i przytulnym.

- A co chcesz zrobić z tym nożem, chłopcze? - spytał ojciec, obracając się za Lukiem, który zaczął obchodzić go w koło.

- Luke, przestań, proszę - zawołała Savannah. - On ci zrobi krzywdę.

- Nie, Luke - błagalnym głosem mówiła matka. - Nic mi nie zrobił, on tylko żartował.

- Tak, Luke - powiedział ojciec. - Tak tylko sobie żartowaliśmy.

- Wcale nie żartowałeś - prychnął Luke. - Jesteś podły.

- Oddaj mi ten nóż - zażądał ojciec - zanim pasem porwę ci dupsko na strzępy.

- Nie. - Luke był coraz bardziej zaperzony. - Dlaczego jesteś taki podły? Dlaczego męczysz mamę? Dlaczego bijesz takiego złotego chłopaczka jak Tom?

- Luke, odłóż ten nóż - krzyknęła matka, zostawiła mnie i rzuciła się między ojca i starszego syna.

Ojciec odepchnął ją brutalnie i powiedział:

- Nie będzie mnie baba bronić przed siedmiolatkiem.

- Ja chcę jego bronić przed tobą! - krzyknęła matka, a jej głos potoczył się po granicie i spłynął w dół na las.

- Potrafię ci go odebrać - powiedział ojciec, który nachylony zaczął się skradać w kierunku syna.

- Wiem, że potrafisz - odrzekł Luke. - Ale tylko dlatego, że jestem mniejszy.

Ojciec skoczył, złapał przegub Luke' a i wykręcił, a nóż zabrzęczał o kamienie. Teraz powoli wyciągnął ze spodni pas i zaczął okładać pośladki i nogi syna błyskawicznymi, wściekłymi uderzeniami swych wielkich, pokrytych rudym włosiem ramion. Matka, Savannah i ja zbiliśmy się w łkającą, przerażoną, zrozpaczoną grupkę. Luke z zaciśniętymi zębami wpatrywał się w odległe budynki Atlanty i brutalne, upokarzające lanie zniósł bez jednej łzy. Ojciec w końcu przestał, zawstydzony i zmęczony, przede wszystkim zmęczony. Wsunął pas w szlufki i rozejrzał się po ruinach śniadania przypadającego na jego ostatni dzień w Ameryce.

Luke obrócił się do niego i z niezrównaną dumą, która przez całe życie miała być jego cechą, oświadczył drżącym dziecięcym głosem:

- Mam nadzieję, że umrzesz w Korei. Będę się modlił za to, żebyś umarł.

Ojciec znowu szarpnął pas, zatrzymał się w połowie, popatrzył na Luke'a, na nas wszystkich, a potem powiedział:

- Ej, ludzie, a co to za płacze? Czy nikt w tej rodzinie nie zna się na kawałach?

Luke odwrócił się i zobaczyliśmy krew na jego nogach.

Nazajutrz ojciec wyjechał do Korei i na rok zniknął w odmętach kolejnej wojny. Całą naszą trójkę obudził wczesnym rankiem, każdego szorstko ucałował w policzek, a dla mnie był to ostatni raz, kiedy mnie pocałował. Luke nie mógł chodzić przez tydzień, ale ja niczym spaniel hasałem ulicami Atlanty szczęśliwy, że ojciec zniknął.

Nocą w tajemnicy szeptałem zakazane modlitwy o to, aby jego samolot został zestrzelony. W żyznym dziecięcym śnie modlitwy te rozkwitały niczym ogień baterii przeciwlotniczych. W snach widziałem, jak leci z nieba w płomieniach, bezradny, konający. To nie były nocne zmory, lecz najbardziej rozkoszne sny sześciolatka, który zrozumiał, że urodził się w domu wroga.

Od tamtego wydarzenia często wspinałem się na Stone Mountain i zawsze czeka tam na mnie sześcioletni chłopiec, który dygocze z przerażenia przed ojcem, ten chłopiec, ten zaczątek mężczyzny żyje we wspomnieniu owej góry. Przechadzam się po jej płycie i dostrzegam niewidzialne nacięcia w granicie tam, gdzie kiedyś słyszałem, jak ojciec nazywa mnie mięczakiem. Nigdy nie zapomnę jego słów ani tego, jak czułem się po chłainięciu w twarz, ani widoku krwi na spodniach brata. Nie

rozumiałem tego wprawdzie, ale chciałem stać się podobny do matki. Od tego dnia odzegnoywałem się od tej mojej części, która pochodziła od niego, i nienawiścią przepełniał mnie fakt, iż jestem mężczyzną.

We wrześniu rozpoczęła się szkoła i razem z Savannah poszliśmy do pierwszej klasy, na przystanek autobusowy na Briarcliff Road odprowadzały nas matka i babka. Luke był już w drugiej klasie i miał dopilnować, abyśmy dotarli do szkoły bezpiecznie i na czas. Każde z nas miało karteczkę przypiętą do białej koszuli. Moja oznajmiała: „Cześć! Jestem Tom Wingo, pierwszak. Jeśli zgubię się, a ty mnie znajdziesz, zadzwoń, proszę, do mojej mamy, Liii, pod numer BR3-7929. Będzie się o mnie martwiła. Bardzo dziękuję”.

Mieliśmy zupełnie nowe pojemniki na śniadanie i nowiuteńkie buty z kolorowymi językami. Wychowawczynią była mała, nieśmiała zakonnica, sama podobna do dziecka, a nasze wejście w budzący trwogę świat ludzkiej wiedzy uczyniła tak łagodnym i płodnym, jak tylko potrafi akt miłości. Matka, która pierwszego dnia pojechała z nami autobusem, zapowiedziała, że nauczymy się czytać i pisać i że jest to pierwsza wyprawa naszych umysłów.

Nie płakałem aż do chwili, kiedy podniosłem wzrok i zobaczyłem, że oddaliwszy się niepostrzeżenie, ukradkiem, stoi teraz na Courtiand Avenue i z dala przypatruje się, jak zakonnica ustawia pierwszoroczniaków w pary. Rozejrzałem się w poszukiwaniu Luke'a, ten jednak znikał właśnie w bocznych drzwiach wraz z innymi drugoklasistami.

Wystarczyło, że uderzyłem w płacz, a rozplakała się także Savannah, oboje wyłamaliśmy się z szeregu i jak dwoje osieroconych nagle dzieci pobieглиśmy w kierunku matki, a pojemniki objęły nam się o kolana i uda. Ruszyła nam na spotkanie i chwyciła w rozłożone ramiona. Wszyscy troje łkaliśmy, a ja wtulałem się w nią w rozpaczliwym uczuciu porzucenia i pragnąłem nigdy już nie opuszczać tego uścisku.

Z tyłu nadeszła siostra Immaculata i porozumiewawczo mrugając do matki, całą naszą trójkę poprowadziła do klasy, w której dobra połowa płakała za matkami, podczas gdy te, niczym gigantki wśród liliputów, nachylały się nad malutkimi ławkami, usiłowały ukoić swe pociechy i wyzwoić nylonowe pończochy z ich desperackich objęć. Cały pokój wypełniony był cierpieniem i smutkiem. W oczach tych niewiast widać było zagubienie i świadomość minionego czasu. Zakonnica wypraszała je jedną po drugiej.

Immaculata pokazała nam książkę do czytania, z której mieliśmy korzystać przez cały rok, przedstawiła nas Dickowi i Jane, jakbyśmy mieli

zamieszkać obok siebie, a potem usadziła w specjalnym kąciku, gdzie liczyło się jabłka i pomarańcze na szkolny obiad. Matka przyglądała się nam od progu, a potem po cichu wyszła. Zakonnica ze swymi miękkimi dłońmi, które przesuwały się po naszych włosach i twarzach, zaczęła tworzyć w klasie dom poza domem. Dzień nie dobiegł końca, a Savannah знаła już alfabet na pamięć, ja dotarłem zaledwie do litery D. Savannah przed całą klasą wyśpiewała litanie literową od A do Z i w ten sposób Immaculata z mistrzostwem troskliwej, kompetentnej nauczycielki dała poetce klucze do języka angielskiego. W swym pierwszym zbiorku Savannah umieściła wiersz Immaculata, który mówi o tej kruchej, nerwowej kobiecie odzianej w czarny habit swego zakonu, która sprawia, iż klasa zamienia się w kawałek zachowanego dla nas raj. Lata później, kiedy siostra Immaculata umierała w Mercy Hospital w Atlancie, Savannah przyleciała z Nowego Jorku, przeczytała u jej łóżka wiersz i trzymała dłoń Immaculaty w ostatnich chwilach jej życia.

Drugi raz zapłakałem tego dnia dopiero wtedy, kiedy w chlebaku znalazłem umieszczoną tam przez matkę karteczkę, którą przeczytała mi Immaculata. „Dumna jestem z ciebie, Tom. Kocham cię i bardzo za tobą tęsknię. Mama”. To wszystko. To wszystko, co było na kartce, wyplakałem się w ramionach dobrej zakonnicy. Modliłem się też, żeby wojna w Korei nigdy się nie skończyła.

Na tyłach domu na Rosedale Road Papa John Stanopolous leżał w sypialni i powoli umierał. Matka wymagała od nas ciszy, kiedy byliśmy w domu, w pokojach prowadzących do jego drzwi, nauczyliśmy się więc szeptać, śmiać bezgłośnie i bawić cicho jak owady.

Każdego dnia po powrocie ze szkoły jedliśmy w kuchni ciasto, popijając mlekiem, i opowiadaliśmy o tym, czego się nauczyliśmy. Zawsze wydawało się, że Savannah jest w tym dwa razy lepsza od Luke'a i mnie. Luke na ogół informował o kolejnym okrucieństwie popełnionym przez straszliwą siostrę Irenę w imię zasad edukacji katolickiej, a matka zawsze słuchała ze zmarszczonymi brwiami, zaniepokojona tymi opowieściami. Potem po cichu prowadziła nas do dalekiej sypialni, abyśmy pół godziny spędzili z Papą Johnem.

Spoczywał zawsze na trzech miękkich poduszkach, a w pokoju panował półmrok. Twarz jego była tylko fragmentem gry cieni i światła przesączonego przez na wpół opuszczone żaluzje. Czuć tutaj było zapach lekarstw i dymu z cygara.

Skóra miała blady, niezdrowy odcień, a była tak bezwłosa i gładka jak grzbiet prosięcia. Na nocnym stoliku obok łóżka leżały w nieładzie książki i

czasopisma. Kiedy wchodziliśmy, nachylał się i zapalał lampkę, my zaś rzucaliśmy się na łóżko, całując go po szyi i twarzy, podczas gdy matka i babka wołały, żebyśmy byli ostrożni. Zastygały pod ścianą w czujnej gotowości, on jednak z oczami jaśniejącymi jak u ogara machał ręką, żeby sobie poszły. Zaśmiewał się, gdy pełzaliśmy po nim, i łachotał nas pod pachami swym heroicznie sterczącym, cienkim nosem.

- Nie męczcie Papy Johna - mówiła matka od drzwi. - Miał atak serca.
- Niech zostaną, Lila - mówił i obsypywał nas pieścizotami.
- Papa John, wyjmij pieniądze z nosa - prosiła Savannah.

Ostentacyjnie gestykułując i mrucząc kilka słów po grecku, wyjmował pięciocentówkę z nosa i dawał ją Savannah.

- Papa John, a jest tam ich jeszcze więcej? - pytał Luke i usiłował zajrzeć w czarne czeluście nozdrzy.

- Nie wiem - mówił smutno Papa John. - Wcześniej musiałem wysiąkać nos i pieniążki posypały się po całym pokoju. Ale wiesz, czuję coś dziwnego w uszach.

Szukał w wielkich włochatych uszach i nic nie znajdował, powtarzał więc greckie wyrazy, robił teatralny gest i z okrzykiem: „Presto!” wydobywał zza małżowin dwie pięciocentówki, które wędrowały do naszych łapczywie wyciągniętych dłoni.

Wieczorem matka pozwalała, żebyśmy przed położeniem się do łóżek zajrzeli jeszcze raz do Papy Johna. Świeżo wykapani, biali jak śnieg, obsiadaliśmy jego poduszki niczym trzy małe satelity wokół nowego księżycyca. Każdego wieczoru jedno z nas przypalało zakazane mu przez lekarza cygaro, a wtedy układał się na poduszce w chmurze zwiewnego dymu i opowiadał nam historyjki na dobranoc.

- Tolitho, mogę im opowiedzieć, jak złapało mnie dwustu Turków? - pytał stojącej w drzwiach babki.

- Nie, nie strasz ich na noc - sprzeciwiała się.
- Tak, tak, opowiedz nam o turkawkach - prosił Luke.
- Turkach, nie turkawkach, Luke - korygował Papa John.
- Nie zmrują oka, jak im to opowiesz - ostrzegła matka.

:- Mamo, proszę - nie dawała za wygraną Savannah. - Teraz nie zmrujemy oka, jak nie usłyszymy o Turkach.

I tak, każdego wieczoru ten chudy, zasuszony mężczyzna zabierał nas na cudowne, niemożliwe podróże po całym świecie, gdzie napotykał perfidnych Turków, atakujących go niezliczonymi, nienawistnymi batalionami, a on za każdym razem znajdował genialny sposób na wymknięcie się im i szczęśliwy powrót w białą pościel łóżka, gdzie umierał

powoli, boleśnie, wcale nie w kompanii żołnierzy Agamemnona, otoczony nie przez Turków, lecz przez trójkę dzieci, a im bardziej z każdym dniem ubywało mu sił, tym bardziej opowieści te stawały się dlań równie ważne jak dla nas. Jego wyobraźnia po raz ostatni wprawiała światła pokoju w nerwowe drżenie. Sam nie miał dzieci, dlatego wieczorne historie wylewały się z niego rwącymi potokami.

Za nami stały i słuchały w milczeniu matka i babka. Nie wiedziałem, kim jest Papa John, skąd się wziął i jak był z nami spokrewniony, a nikt nie zamierzał nam tego wyjaśniać. Zostawiliśmy dziadka w Colleton i wszyscy płakaliśmy przy rozstaniu. Matka i ojciec dokładnie nas pouczyli, że mamy do babki zwracać się „ciociu” i nigdy nie wolno nam ujawnić, że jest matką ojca. Papa John był znakomitym twórcą opowieści, ale żadna z nich nie dotyczyła naszej babki.

Ilekczo przychodziła pora snu, wysłuchiwalismy nowej historii, a potem matka wychodziła z nami z sypialni, szła przez przyciemniony hall obok drzwi do przerażającej piwnicy, a potem krętymi schodami wspinalismy się na piętro, gdzie była duża sypialnia i gdzie my, dzieci, urządziłismy nasz dom. Jeśli wiał silny wiatr, gałęzie dębów drapały o okiennice. W pokoju stały obok siebie trzy łóżka, Savannah zajmowała Środkowe, oskrzydłona przez obydwóch braci. Jedyne światło dawała mała lampka przy łóżku. Na ściany nachylające się ku nam rzucaliśmy wielkie, nadludzkie cienie. - Raz w tygodniu ojciec przysyłał list, matka zaś odczytywała nam go, kiedy położyłismy się już do łóżek. Każdą akcję opisywał tak, jakby chodziło o wyjazd po chleb lub benzynę do samochodu. „Poleciliśmy na zwiad z Billem Lundinem. Patrzyliśmy, jak oddział naszych zajęcy wspina się na jakiś pagórek, kiedy na ich drodze zobaczyłem coś śmiesznego. Włączam radio i mówię do Billa: »Ej, Bili, widzisz to samo co ja?« Patrę, że wywala te swoje gały, no to, myślę, na pewno widzi to co ja. W połowie drogi do szczytu ze trzystu regularnych Koreańców czeka, żeby schwytać te nasze zające w pułapkę. Znowu więc łapię za radio i nadaję do tych naszych na dole: „Ej, chłopaki, poczekajcie no trochę z tą swoją wycieczką”, «Dlaczego?» pyta ten ich facet. «Bo lezicie prosto w łapy połowy armii koreańskiej, mówię. I robi, jak im radzę. No ale wtedy razem z Billem pomyśleliśmy, że może popsujemy tym nektarynkom zabawę po południu. Lecę pierwszy i zrucam im na głowy trochę napalmu. Zaraz mieli zajęcie. Widziałem, jak z trzydziestka usiłuje strzepać z siebie płomienie, zupełnie jakby ubranie otrząsali z pcheł. Ale tak to nic nie poradzą, a tu za mną nadlatuje Bili, jeszcze zrzuca im parę jajeczek i na dole faktycznie jest już niezły bal. Połączyłem się z bazą i wysłali nam na pomoc



jeszcze jedną eskadrę. Przez trzy dni goniliśmy ten batalion. Wracało się po paliwo, polowało, tankowało i znowu polowało. Aż wreszcie to, co z nich zostało, złapaliśmy, jak przechodzili przez rzekę Naktong. Otwarty teren, cała rzeka zrobiła się czerwona. Było fajnie, ale dużo dobrego to nie zrobiło. Ludzie mnożą się tu jak króliki, a tam, skąd tu przychodzą, jest ich jak mrówek. Powiedz dzieciakom, że je bardzo Kocham. Powiedz, żeby się modlili za swojego tatę i uważali na swoją mamę”.

- Mamo, kim jest Papa John? - spytała któregoś wieczoru Savannah.
- Dobrze wiesz, że mężem Tolithy.
- Ale kim jest dla nas? Dziadkiem?
- Nie. Dobrze wiesz, że wasz dziadek Amos mieszka w Colleton.
- Ale Tolitha jest naszą babcią, prawda?
- Tutaj jest waszą ciotką. Nie chce, żeby Papa John wiedział, że jesteście jej wnucętami.
- Ale jest matką taty, prawda?
- Tutaj jest krewną waszego ojca. Nie będę ci tłumaczyć, bo, bo to za bardzo skomplikowane. Ja sama tego do końca nie rozumiem.
- A dlaczego nie są małżeństwem z dziadkiem Wingo?
- Od lat już nie są małżeństwem, kiedyś to rozumiesz, a teraz skończ już z tymi pytaniami. Nic cię to nie obchodzi. A poza tym, Papa John i tak was traktuje, jakbyście byli jego dziećmi, nieprawda?
- Tak, mamo - zgodził się Luke - ale gdzie jest twój ojciec? Gdzie są twoi rodzice?
- Umarli długo przedtem, zanim się urodziliście.
- A jak się nazywali? - spytałem.
- Thomas i Helen Trentowie.
- Jacy byli? - chciała wiedzieć Savannah.
- Bardzo piękni. Jak księżę i księżniczka. Wszyscy tak o nich mówili.
- Masz jakieś ich zdjęcie?
- Nie, wszystko spłonęło w pożarze, cały dom.
- Wtedy umarli?
- Tak. To był okropny pożar - powiedziała beznamytnie matka, twarz jednak miała ściągniętą i pełną wzruszenia. Moja piękna matka. Moja kłamliwa matka.

Ponieważ byliśmy dziećmi, mieliśmy tylko jeden obowiązek. W piwnicy w ułożonych rzędami zakurzonych słojach Masona Papa John trzymał swoją kolekcję czarnych wdów, które jako hobbysta sprzedawał nauczycielom biologii, entomologom, ogrodom zoologicznym i prywatnym kolekcjonerom z całego kraju. My mieliśmy za zadanie troszczyć się o te

jadowite pająki, które niczym czarne kamee połyskiwały w słojach. Dwa razy w tygodniu, Luke, Savannah i ja schodziliśmy do chłodnego i mrocznego pomieszczenia, zapalaliśmy nagą żarówkę i karmiliśmy te nieme stwory, z których każdy, jak nas zapewnił wylewny Papa John, „potrafiłby nas zabić na amen”. Zaczeliśmy karmić drób, jak tylko nauczyliśmy się stawiać pierwsze kroki, jednak schodzenie do piwnicy wymagało bez porównania więcej odwagi i determinacji niż w przypadku kurcząt. Kiedy nadchodziła pora karmienia, biegliśmy do sypialni Papy Johna, wysłuchiwalismy jego dokładnych instrukcji, a potem po drewnianych schodach opuszczaliśmy się pod ziemię, aby stawić czoło tym malutkim, diabolicznym istotom, które spoglądały na nas nieruchomo, jakbyśmy byli nadlatującymi muchami.

W niedzielę nieśliśmy słoiki do Papy Johna na inspekcję. Czystą ściereczką usuwał z nich kurz, uważnie przyglądał się pająkom i dokładnie wypytywał nas o ich apetyty. Liczył gruszkowate torebki jajowe i w małym zeszytiku robił notatki, kiedy pojawiał się nowy miot pająków. Starannie wyjmował czarną wdowę i pozwalał jej maszerować po stole, zawracając ją parami szczyptic, kiedy zbliżała się do krawędzi. Wskazywał na klepsydrę delikatnie wytatuowaną na brzuchu samicy i mówił: „Tutaj. Tutaj zawsze patrzysz. Ta klepsydra znaczy: »Zabijam«,..

- Dlaczego zbierasz czarne wdowy, Papo Johnie? - spytała któregoś dnia Savannah. - Dlaczego nie złote rybki, znaczki albo jakieś inne przyjemne rzeczy?

- Ponieważ byłem sprzedawcą butów, kochanie, i to bardzo dobrym. Ale sprzedawać buty to najnormalniejsza rzecz na świecie, więc chciałem robić coś takiego, czego nie robiłby żaden inny ze znanych mi ludzi. Coś niezwykłego. I tak stałem się sprzedawcą butów z hodowlą czarnych wdów w piwnicy. W ten sposób wzbudzam zainteresowanie.

- Czy one naprawdę zjadają swoich mężów? - spytał Luke.

- To bardzo twarde kobiety - potwierdził Papa John. - Istotnie zjadają mężów zaraz po ślubie.

- I naprawdę mogłyby cię zabić? - odezwał się.

- Sądzę, że dziecko zabiją bez najmniejszego kłopotu - odrzekł - ale nie jestem pewien, jak by to było z dorosłym mężczyzną. Faceta, który mnie w to wprowadzał, ukąsiły kilka razy. Chorował, jak mówił, tak bardzo, że myślał, iż umiera, ale jakoś dalej trzymał się na nogach.

- A jak one gryzą?

- Czarne wdowy są strachliwe, chyba że bronią swoich jajek. Wtedy stają się agresywne. Tamten facet lubił, jak spacerowały mu po ramieniu - powiedział z uśmiechem Papa John.

- Robi mi się niedobrze, jak o tym myślę - zawołała Savannah.

- Ale wyhodował naprawdę ładne okazy - ciągnął Papa John, przypatrując się swoim ulubienicom.

Karmienie czarnych wdów wyrobiło w nas ostrożność i koncentrację rzadką u małych dzieci. Bardzo poważnie traktowaliśmy swoje obowiązki, a cykl życia pajaków studiowaliśmy ze zdwojonym zapalem wynikającym z opieki nad stworami, które mogły nas zabić. Moje trwające przez całe życie zamiłowanie do pajaków i owadów zaczęło się właśnie od obserwacji z nosem niemal wciśniętym w słoiki Masona żmudnej i budzącej trwogę egzystencji czarnych wdów. Wisiały nieruchomo w sieciach wysnutych z gruczołów. Ich życie, ograniczone do słoiki, rozpinano się na drutach. Błyskawicznie ożywały tylko po to, aby zabić. W ciągu miesięcy widzieliśmy, jak pożerają swoich oblubieńców. Zaczęliśmy wyczuwać rytmy dojrzewania, a czas wylewał się z czerwonych klepsydr w postaci lśniących, nieregularnych sieci. Przypatrywaliśmy się, jak pękają szkatułki jajowe i nowo wyklute pajęczki rozpryskują się po słoju jak brązowo - pomarańczowe ziarna. Nasz strach zamieniał się w fascynację i sympatię. Takie piękno kryło się w ekonomii życia czarnych wdów - poruszały się po sieciach, tancerki w kwarcie powietrza Georgii, w swych odwłokach niosące tajemnice tworzenia i splatania jedwabiu. Tak świetnie robiły to, do czego zostały przeznaczone.

Za domem aż do Briarcliff Road ciągnął się las liściasty, ograniczony małym ceglanym murem. Co tysiąc stóp nad murem wznosiły się napisy: „Wstęp wzbroniony”. Babka poinformowała nas zduszonym, konspiracyjnym szeptem, że za murem żyli „bogaci, bardzo bogaci ludzie” i pod żadnym pozorem nie wolno nam było przechodzić na drugą stronę i bawić się w zakazanym lesie. Należał do rodziny Candlerów, właścicieli Coca-Coli, a ilekroć babka o nich mówiła, miało się wrażenie, że opisuje ród arystokratów żyjących wedle niesłychanie wzniosłych zasad. W oczach babki Candlerowie byli dla Atlanty czymś w rodzaju monarszej rodziny i dlatego nigdy nie pozwoliłaby na naruszenie ich ogrodzonych włości.

Każdego dnia po szkole podchodziliśmy jednak do murku, patrzyliśmy na tę wzbronioną nam ciemnozieloną, pachnącą dziedzinę i czuliśmy, jak z drzew splywa zapach pieniędzy. Chcieliśmy choćby rzucić okiem na jednego z członków tej szacownej i magicznej rodziny. Byliśmy dziećmi, więc wkrótce już przechodziliśmy przez ogrodzenie, robiliśmy kilka

zabronionych kroków, a potem uciekaliśmy na bezpieczną stronę. Następnym razem robiliśmy dziesięć kroków więcej - zanim opuszczała nas odwaga, nakazując ucieczkę na własne podwórze. Szybko doszło do demitologizacji obłożonego interdyktem lasu - poznaliśmy jego obszar lepiej niż ktokolwiek z rodziny Candlerów. Nauczyliśmy się jego sekretów i granic, odkryliśmy schowki w jego zaroślach i gąszczach, a czuliśmy przy tym prastarą rozkosz nieposłuszeństwa, która wypełnia młode serca dostatecznie odważne, aby sprzeciwić się dziwnym prawom dorosłych. Pod osłoną drzew polowaliśmy z proc na wiewiórki, spoza gałęzi spoglądaliśmy na szczęśliwe dzieci Candlerów, które wydawały się jednak poważne i zmęczone, truchtając na końskim grzbiecie leśnymi ścieżkami, podglądaliśmy też ogrodnika spalniającego rabaty azalii.

Pewnego ciepłego listopadowego wieczoru wymknęliśmy się przez okno z sypialni, zsunęli po jednym z czterech dębów stojących na straży domu i dotarliśmy do samej siedziby Candlerów. Człgając się na brzuchach w trawie, podpełzliśmy pod tudorowski budynek i w, srebrnym świetle francuskich drzwi obejrzelśmy całą rodzinę przy kolacji. Służący wwozili potrawy na wykwintnych wózkach, a Candlerowie, sztywni i apatyczni, spożywali je tak, jak gdyby uczestniczyli we mszy, tyle było w nich powagi i niewzruszonej nabożności.

Z lękiem i podziwem przyglądaliśmy się tej wieczery, kandelabrom sterczącym ze stołu niczym płonące poroża, delikatnemu światłu żyrandola, letargowi i powściągliwej wielkości bogactwa. Leżąc w świeżo skoszonej trawie, chłoniliśmy każdy szczegół tego codziennego, powoli rozgrywającego się posiłku. W monarszej rodzinie nikt się nie śmiał ani nie rozmawiał, uznaliśmy przeto, że bogaci są milczący jak ryby. Służący poruszali się sztywno w pingwiniej pantomimie. To oni odmierzali rytm ceremonii, napełniali do połowy kielichy z winem, przepływali od okna do okna nieświadomi naszej obecności. W tym właśnie momencie przemienieni w nocne stwory chłoniliśmy cudowne aromaty kolacji, stawiliśmy się sekretnymi Candlerami wprowadzanymi w niezwykle rytuały i obyczaje książąt Coca-Coli. Oni tymczasem nawet nie wiedzieli o tym, że zawładnęliśmy ich lasem.

Dom nazywano Callanwolde.

Gąszcza otaczające Callanwolde całkowicie zastąpiły nam wyspę, którą odebrała nam wojna koreańska. Tutaj na jednym z wielkich dębów urządziliśmy sobie siedzibę. W samym środku największego miasta Południa na nowo podjęliśmy życie wiejskich dzieci. Przepiórki nawoływały nas o zmroku. Rodzina szarych lisów mieszkała pod zwaloną

topołą. Powracaliśmy do lasu, aby przypominać sobie, kim jesteśmy, skąd przybyliśmy i dokąd powrócimy. Wystarczyło, byśmy przekroczyli ogrodzenie i weszli na wzbroniony nam teren, a Atlanta stawała się miastem doskonałym.

Dopiero później zorientowałem się, że pokochałem Atlantę dlatego, iż była jedynym miejscem na ziemi, w którym mieszkałem bez ojca. Od tego czasu Atlanta pociemniała w wyobraźni. Od tego czasu las Callanwolde stał się miejscem budzącym strach. Od tego czasu w nasze życie wkroczyli olbrzymi, i dzieci, które nie lękały się pajaków, w bólu dowiadywały się, jak wielu rzeczy muszą się nauczyć i lękać w świecie ludzi.

Był początek marca i derenie dopiero zaczynały kwitnąć. Ziemia drżała w zielonym tumultie dojrzewania i miękkich dni słonecznych, a my szliśmy lasem, rozglądając się za kretami. Savannah zobaczyła go pierwsza. Zamarła i pokazała przed siebie.

Stał obok drzewa ukryty za sumakiem i załatwiał się. Był największym, najpotężniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziałem, a przecież urodziłem się w okolicy słynącej z mocarnych mężczyzn, którzy pracowali na przystaniach krewetkowych w Colleton. Wyrastał z ziemi jak fantastyczne, groteskowe drzewo. Ciało miał zwaliste, niebywałe, kolosalne, oczy zaś niebieskie i puste. Twarz okalała ruda broda, ale było w nim coś niedobrego. Zaalarmował nas sposób, w jaki na nas patrzył, zupełnie odmienny od tego, jak dorośli spoglądają na dzieci. W tym beznamiętnym wzroku wszyscy troje poczuliśmy groźbę. Zasunął zamek i zrobił ruch w naszym kierunku. Miał prawie siedem stóp wzrostu. Rzuciliśmy się do ucieczki.

Dopadliśmy muru, wdrapali na niego pospiesznie i z krzykiem pognali przez podwórze. Kiedy znaleźliśmy się przy tylnym ganku, on stał na skraju lasu i patrzył za nami. Ogrodzenie, na które my musieliśmy się wspinać, jemu sięgało niewiele ponad pas. Matka wybiegła, słysząc nasze wrzaski, a my zaczęliśmy pokazywać na mężczyznę.

- Czego pan chce? - krzyknęła i postąpiła parę kroków w kierunku olbrzyma. Także i ona musiała zobaczyć, jak dziwna to jest twarz, także i ją musiał uderzyć demoniczny, beznamiętny wyraz jego oczu.

- Ciebie - powiedział głosem zaskakująco wysokim, jak na tak wielkiego mężczyznę. Nie wydawał się okrutny czy pomyłony, był po prostu nieludzki.

- Cooo? - spytała matka zaskoczona brakiem jakiegokolwiek pasji w tych słowach.

- Chcę ciebie - powtórzył wielkolud i zrobił krok do przodu.

Rzuciliśmy się do środka, a kiedy matka zamykała tylne drzwi, zobaczyłem, jak przygląda się jej przez kuchenne okno. Do tej chwili w ogóle nie wiedziałem, że mężczyzna może spoglądać na kobietę z tak prymitywną żądzą we wzroku. Nigdy dotąd nie spoglądałem w oczy, które narodziły się, by nienawidzić kobiet. Zobaczywszy go przez szybę, matka - podeszła i zamknęła okiennice.

- Jeszcze tu wrócę - zawołał i słyszeliśmy jego rechot, podczas gdy matka dzwoniła na policję.

Kiedy zjawili się funkcjonariusze, jego już nie było. Przeczესali las, ale znaleźli tylko nasz drzewny domek i odcisk buta numer dziewiętnaście. Matka puściła nam lanie za naruszenie zakazu odwiedzania Callanwolde.

Myślę, że w swych dziecięcych umysłach byliśmy przekonani, że to my spowodowaliśmy pojawienie się giganta - ucieleśnienie naszego nikczemnego nieposłuszeństwa - który jako instrument boskiej nieubłaganej sprawiedliwości został przywołany z piekieł, aby ukarać nas za przekroczenie obłożonych klątwą granic Callanwolde. Sprofanowaliśmy majątek bogaczy i Bóg zesłał swego olbrzyma, aby nas ukarać.

Nigdy więcej nie wdarliśmy się do Callanwolde, ale gigant ujawnił już rozmiar naszego grzechu. Będzie żądał pokuty. Przywiedzie Callanwolde do naszego domu. Pojawi się jako Boży inkwizytor i ukarze grzechy małych Wingo w sposób przewrotny i wymyślny. Za ich grzechy nie sięgnie po samych przestępców, dobrze bowiem wiedział, jaka kara będzie najstraszniejsza dla dzieci. Kiedy przyjdzie, przyjdzie po ich matkę.

Dom nie kończących się intryg wzbogacił się o następny sekret. Nie mogliśmy powiedzieć Papie Johnowi o natręcie z lasu. „Ma takie słabe serce, kochanie”, wyjaśniła mi babka. Ja uważałem, że opowiedzieć trzeba bezzwłocznie, sprawiedliwość bowiem wymagała, abyśmy w chwili powrotu olbrzyma mieli po swojej stronie kogoś, kto potrafi położyć pokotem dwie setki Turków, babka jednak zapewniła nas, że razem z matką są na tyle duże i silne, że same sobie poradzą.

Przez cały następny tydzień byliśmy czujni i ostrożni, dni jednak mijały spokojnie, a ulice Atlanty pokryły się białym płomieniem dereni. Pszczoły pomrukiwały ekstatycznie w goździkach i azaliach. Matka napisała list do dziadka Wingo, podając mu dokładną datę naszego przyjazdu na wyspę po powrocie ojca do kraju. Poprosiła go, by najał jakąś Murzynkę do wysprzątania domu. Nie omieszkała zaznaczyć, że babka przesyła mu serdeczne pozdrowienia, a na samym dole listu pozwoiliła każdemu z nas nakreślić lub nagryzmolić: „Kocham cię, dziadku”. List zaadresowała na nasz dom na Melrose Island, tamtą skrzynkę sprawdzał bowiem bardziej

pieczołowicie niż własną. Kiedy w piątek rano wyruszyliśmy do szkoły, umieściła kopertę w skrzynce pocztowej na Rosedale Road i podniosła czerwoną metalową chorągiewkę, aby zwrócić uwagę listonosza. Dopiero kiedy latem wróciliśmy na wyspę, dowiedzieliśmy się, że dziadek listu nie dostał. Przesyłka miała dotrzeć na miejsce przeznaczenia dopiero po dekadzie.

W sobotę wieczór oglądaliśmy telewizję w saloniku. Matka i babka siedziały w brązowych, głębokich fotelach i patrzyły na Ed Sullivan Show. Ja zająłem miejsce między kolanami matki, Luke leżał na brzuchu i zerkając na ekran, jednocześnie próbował skończyć pracę domową z matematyki. Savannah usadowiła się na kolanach babki. Matka podała mi miskę z gorącą prażoną kukurydzą, zaczerpnąłem pełną garść, dwa ziarenka spadły na podłogę, schyliłem się więc i wpakowałem je do ust, kiedy w pokoju nagle zawisła groza, a Savannah wykrztusiła jedno elektryzujące słowo: „Callanwolde”.

Stał w ciemnościach na ganku i patrzył na nas przez szybki w drzwiach. Nie mam pojęcia, jak długo mógł tam już przebywać, ale była w nim jakaś roślinna nieruchomość, zupełnie jakby przez czas naszego siedzenia on zdążył wypuścić pnącza jak zbuntowana, odszczepieńcza winorośl. Oczy wpił w matkę. Powrócił po nią i tylko po nią. Jego skóra miała jakiś chorobliwy odcień, niby alabastru, i wypełniający sobą całe drzwi męczyzna wydawał się kolumną podtrzymującą ruinę.

Położył wielką dłoń na obrotowej klamce i szarpnął nią tak gwałtownie, iż usłyszeliśmy zgrzyt metalu. Matka wstała i powiedziała do babki:

- Tolitho, wyjdź bez pośpiechu do przedpokoju i wezwij policję.

Podeszła do drzwi i wpatrzyła się w obcego.

- Czego pan chce?

- Lila - odrzekł, a matka cofnęła się, zaszokowana, że słyszy w jego ustach swoje imię. Ten sam wysoki, nie pasujący do niego głos. Uśmiechnął się szkaradnie i raz jeszcze szarpnął klamkę.

Wtedy matka zobaczyła penisa, ogromnego, nagiego, koloru wieprzowiny, jak sterczał z mężczyzny. Savannah wrzasnęła na ten widok i zobaczyłem, że Luke podrywa się z podłogi.

- Policja jest w drodze - wykrztusiła matka.

Znienacka męczyzna wytlukł cegłą szybę w drzwiach i wpakował w dziurę nagie ramię, próbując wymacać zamek. Z przeciętego szkłem przegubu pociekła krew. Matka chwyciła za to łapsko, usiłując nie pozwolić mu na otwarcie drzwi, przez chwilę się zmagali, aż wreszcie uwolnił rękę, na odlew chlasnął matkę przez pierś i zwałił na podłogę. Słyszałem krzyk



Savannah i Luke'a, ale dziwnie przemieszczony i odległy, zupełnie jakby dochodził spod wody. Straciłem czucie w ciele, jak dźiąsło po nowokainie. Odsunął zasuwę i zaczął szarpać się z kluczem, który był już ostatnią przeszkodą. Przekręcał klucz, popiskując jak zwierzę, kiedy podskoczył Luke, machając porwanym z kominka pogrzebaczem. Metal rąbnął z impetem w przegub, mężczyzna zawył z bólu i wycofał ramię. Znowu spróbował je wsadzić, ale Luke tylko na to czekał, wczepiwszy się w pogrzebacz z całą siłą siedmiolatka.

Usłyszałem z tyłu dźwięk ślizgających się po posadzce pantofli, odwróciłem się i zobaczyłem, jak zza rogu przedpokoju wynurza się babka z małym rewolwerem w dłoni.

- Kucnij, Luke - krzyknęła, a brat przypadł do ziemi.

Tolitha otworzyła Ogień do przeszklonych drzwi.

Olbrzym rzucił się do ucieczki, gdy pierwsza kula strzaskała szybę tuż koło jego głowy, a kiedy biegł, penis obijał mu się o uda. Zeskoczył z ganku i pognął w bezpieczny gąszcz Callanwolde. Od Ponce de Leon słyhać było syrenę policyjną.

- To cię oduczysz przypierdalać się do wiejskich dziewczyn - wrzasnęła z ganku w ciemności babka.

- Tolitho, język - syknęła matka, która jeszcze nie otrząsnęła się z szoku.

- Dzieci słuchają.

- Dzieci widziały właśnie faceta z pytą w łapie, który chciał się dobrać do ich matki. Jedno brzydkie słowo już im tak bardzo nie zaszkodzi.

Kiedy było już po wszystkim, matka znalazła mnie przed telewizorem, jak zajądałem kukurydzę i oglądałem Ed Sullivan Show, jakby się nic nie wydarzyło. Przez dwa dni nie mogłem jednak wykrztusić słowa. Papa John przespał cały napad, nie obudziły go ani wystrzały, ani przyjazd policji. Kiedy dopytywał się o przyczynę mego milczenia, matka wyjaśniła, że to zapalenie krtani, a babka zaraz potwierdziła to łgarstwo. Były kobietami z Południa, które za obowiązek poczytują sobie chronić swych mężczyzn przed niebezpieczeństwem i złymi nowinami. Moje milczenie, patetyczna niemota utwierdzała je tylko w przekonaniu o zasadniczej kruchości i słabości mężczyzn.

Przez tydzień wóz policyjny patrolował Rosedale Road, a tajniak kilkakrotnie obchodził w nocy nasz dom. Matka nie mogła zasnąć i często po północy budziła nas, nachylając się nad nami, a potem wielokrotnie sprawdzając zamki w oknach sypialni. Raz ocknąłem się i zobaczyłem, jak stoi w księżycowej poświacie, zapatrzona w lasy Callanwolde. Wtedy po raz pierwszy zwróciłem uwagę na jej figurę, z poczuciem winy i strachu

obserwowałem jej miękkie, kuszące kształty, pełne piersi, zarys bioder, ona zaś spoglądała na zalane światłem księżycyca podwórko, aby w porę dostrzec podkradającego się wroga.

W ten sposób słowo „Callanwolde” zmieniło dla nas znaczenie i wzorem Savannah zaczęliśmy tak nazywać mężczyznę. „Czy Callanwolde pojawił się w nocy?” - pytaliśmy przy śniadaniu. „Mamo, czy policja złapała już Callanwolde?” - nagabywaliśmy ją, gdy siadała do czytania na dobranoc. „Callanwolde” stało się słowem wytrychem, słowem worem, do którego przypasowaliśmy wszystkie złe i podle rzeczy świata. Kiedy siostra Immaculata opisywała swym słodkim głosem okropności piekielne, dla mnie i Savannah przedstawiała krajobraz Callanwolde. Kiedy ojciec napisał, jak został ostrzelany przez karabin maszynowy i wracał do bazy, tracąc olej i wysokość, a za sobą ciągnąc smugę czarnego dymu, nazwaliśmy ten okropny lot Callanwolde. Była to szczególna osoba, szczególne miejsce, szczególny stan świata przepelnionego grozą i nieodwracalnym przeznaczeniem.

Po dwóch tygodniach stałego patrolowania policja zapewniła matkę, że mężczyzna z pewnością nigdy się już nie pojawi.

Zjawił się jeszcze tej nocy.

Wieczorem zadzwonił telefon, a my znowu oglądaliśmy telewizję i podjadali kukurydzę. Matka poszła do hallu i słyszeliśmy, jak wita się z panią Fordham, starą kobietą mieszkającą obok nas. Potem zobaczyłem, jak matka błędnie i odkłada słuchawkę na stolik.

- Jest na dachu - powiedziała bezbarwnym głosem.

Spojrzelśmy na sufit, z góry dochodziły lekkie odgłosy kroków po spadzistych dachówkach.

- Niech nikt nie idzie na górę - ostrzegła matka. - On może być w środku.

Zadzwoniła na policję.

Przez dziesięć minut słuchaliśmy, jak niespiesznie przechadza się po dachu, nie usiłował dostać się przez okna. Była to wizyta bez żadnych konsekwencji z wyjątkiem tego, że znowu podkreśliła obecność olbrzyma w naszym życiu i na nowo rozpałała panikę w sercach. Potem od strony miasta napłynął dźwięk syren, spływając od Atlanty niczym okrzyk zbawczych aniołów. Usłyszeliśmy, jak biegnie po dachu i przeskakuje na konary dębu rosnącego obok podjazdu. Matka podbiegła do parapetu okna w pokoju muzycznym i zobaczyła go, gdy zeskakiwał na ziemię. Zatrzymał się, obejrzał i zobaczył ją w szybie. Pomachał do niej i uśmiechnął się, a potem wolnym, spokojnym truchtem oddalił się w kierunku czerniejącego w oddali lasu.

Następnego dnia policja obeszała majątek Callanwolde z psami, te jednak straciły ślad gdzieś koło Briarcliff Road.

Zniknął na dwa miesiące.

Był jednak nawet wtedy, kiedy go nie było. Zamieszkał w każdej niszy i odległym zakamarku domu. Niepodobna było otworzyć drzwi, nie obawiając się, że będzie stał za nimi. Zaczęliśmy z lękiem myśleć o nadejściu nocy. Noce, kiedy się nie pojawiał, były równie wyczerpujące psychicznie jak te, kiedy nas nawiedzał. Drzewa wokół domu utraciły zdrowe, bujne piękno i stały się w naszych oczach groteskowe. Las Callanwolde stał się jego domeną, bezpiecznym schronieniem, a w naszej wyobraźni - regionem niewyczerpanej grozy. Zarys jego twarzy dostrzegaliśmy w każdym oknie. Wystarczyło zamknąć oczy, a natychmiast widzieliśmy jego oblicze utrwalone w naszej pamięci niczym na welonie. Jego mordercze oczy śledziły nasze sny. Na twarzy matki odcisnął się lęk: spała w dzień, a w nocy obchodziła dom i sprawdzała zamki.

Za zgodą matki w największym skupieniu przenieśliśmy czterdzieści słoje z czarnymi wdowami z jaskini do jednej z sypialń na górze. Nikt z nas nie zniósłby perspektywy regularnego schodzenia w głąbiny podziemia, kiedy domowi groził Callanwolde. Z piwnicy było także wyjście na zewnątrz domu i policja ostrzegła babkę, że to najłatwiejsza droga dla intruza, tak samo więc jak my odetchnęła z ulgą, kiedy słoje z pajakami ustawiliśmy w rzędach na nie używanej półce w rogu pokoju. Kiedy w Szkole Najświętszego Serca odbywał się Dzień Ulubieńców, każde z nas przyniosło jedną czarną wdowę i otrzymaliśmy kolektywną nagrodę za najbardziej niezwykłe hobby.

W nocy, kiedy jasno świeciły lampy, wewnątrz domu wyglądało jak akwarium, a my przemykaliśmy z pokoju do pokoju, czując na sobie spojrzenie Callanwolde' a, śledzące nas z listowia dębów. Byliśmy pewni, że nas podgląda i ocenia, mieliśmy wrażenie, że jest wszechobecny i tylko wyczekuje na najodpowiedniejszą porę, aby ponownie nas napaść. Pławiąc się w elektrycznym świetle obłożonego domu, wyczekiwaliśmy w ciężkiej, dusznej atmosferze naszych własnych obsesji. Dwa razy na noc zjawiali się policjanci, świecąc latarkami w krzakach i po drzewach. Potem oddalali się i noc znowu należała do niego.

Luke zawałił w tym roku drugą klasę, co dla niego było upokarzające, ucieszyło natomiast mnie i Savannah, znaczyło to bowiem, że po powrocie do Colleton będziemy szczęśliwie uczęszczać do tej samej klasy. Był to rok, gdy wypadł mi pierwszy ząb, Savannah i ja chorowaliśmy na odrę, tornado

zniszczyło trzy domy w Druid Hills, ale w naszych wspomnieniach, na bezdrożach nieświadomości stał się on rokiem Callanwolde'a.

Pozostał jeszcze tydzień do powrotu ojca z Korei. Wszyscy poszliśmy do pokoju Papy Johna, aby ucałować go na dobranoc. Był wychudzony i osłabiony, lekarz zabronił mu opowiadać historyjki na dobranoc, więc to my mówiliśmy do niego szeptem. Widzieliśmy, jak z każdym dniem go ubywa, jak wycieka z niego wigor, i każdego dnia dowiadywaliśmy się odrobinę o śmierci, gdy tak coraz bardziej się od nas oddalał. W jego oczach gasło już światło. Babka zaczęła ostro popijać wieczorami.

Matka czuła się trochę bezpieczniejsza, kiedy powrót ojca był coraz bliżej. Wszyscy myśleliśmy o ojcu jako o bohaterze, zbawcy, błędnym rycerzu, który wyzwoli nas od strachu przed gwałtem i Callanwolde'em. Nie modliłem się już o śmierć ojca, ale o to, aby znowu był blisko mnie. Modliłem się, by ocalił matkę.

Wieczorem przeczytała nam rozdział Rocznika, a przez cały czas wichur szorował gałęziami drzew o ściany domu. Razem pomodliliśmy się i pocałowała każde z nas na dobranoc. Zgasła światło i chociaż słyszeliśmy jej kroki oddalające się w dół krętych schodów, w ciemności nadal unosił się zapach jej perfum. Zasnąłem, wsłuchując się w wiatr świszczący w drzewach.

Obudziłem się dwie godziny później i zobaczyłem w oknie jego wpatrującą się we mnie twarz. Położył palec na ustach, każąc mi być cicho. Usłyszałem nóż rozcinający siatkę na oknie z taką łatwością, jakby to był muślin. Nie poruszyłem się ani nie wydałem głosu. Nieprawdopodobny, zniewalający strach sparaliżował każdą komórkę mojego ciała. Jego spojrzenie mnie zmroziło i zastygłem niczym ptak, do którego podpełza wąż.

Wtedy zbudziła się Savannah i wrzasnęła.

W brutalnym deszczu szklanych odłamków w szybie pokazał się but.

Luke stoczył się z łóżka, wołając matkę.

Nie poruszyłem się.

Savannah chwyciła nożyczki z nocnej komódki, a kiedy w oknie pojawiła się wielka ręka i przesunęła po parapecie w poszukiwaniu klamki, siostra wbiła je i z rany trysnęła krew. Zawył z bólu i wyrwał do tyłu ramię, ale teraz zaczął kopniakami wywalać okiennicę i do pokoju posypały się odłamki drewna i szkła.

Do wnętrza zajrzała głowa kudłata i okrutna, uśmiechnął się na widok matki stojącej w progu i wpatrującej się w niego.

Dygocząc, zaczęła błagać:

- Proszę sobie iść! Proszę!!!

Savannah cisnęła w mu w twarz szczotkę od włosów, ale zaśmiał się tylko i zadowoleniem gapił się, jak matka usiłuje zapanować nad dygotaniem.

I wtedy nad jego głową rozprysnął się pierwszy słoje. Następny Luke skierował prosto w twarz Callanwolde, chybił jednak i szkło huknęło o parapet.

Głowa zniknęła, a w otworze pokazała się wielka noga i powoli wsuwała, podczas gdy mężczyzna kurczył się, żeby się wcisnąć do środka. Luke otworzył cztery słoje i wysypał ich zawartość na nogawkę. Savannah skoczyła do półki i wróciła ze słojem. Wyrzuciła pająki na nogę, a słoik eksplodował na podłodze. Matka wzywała na pomoc babkę. Przez okno wśliznęła się druga noga, a mężczyzna wiercił się na plecach i wciskał w otwór, kiedy pierwsza czarna wdowa wstrzyknęła mu jad do krwi. Rozległ się straszliwy wrzask, który tak dobrze będziemy potem pamiętać. W świetle padającym z korytarza widzieliśmy, jak ogromne nogi w popłochu wycofują się, podczas gdy mała społeczność pajaków, zaalarmowana, rozbiegła się po jego spodniach. Czuł je na sobie i usłyszeliśmy, jak przerażony, cierpiący, nie panujący nad swym ciałem stacza się z dachu i wali na ziemię pod naszym oknem. Wrzeszczał bez ustanku, tarzał się, walił wielkimi dłońmi po nogach i kroczu. Zerwał się, spojrzął na matkę patrzącą na niego ze zniszczonego okna i pognął do Callanwolde, jakby uciekał przed ogniem.

Nigdy nie dowiedzieliśmy się, ile pajaków go ukąsiło. Nazajutrz psy zgubiły jego trop przy stacji benzynowej na Stillwood Avenus. Policja zaalarmowała wszystkie szpitale, ale nigdzie w Georgii nie prosił o pomoc lekarską siedmiostopowy olbrzym z rudą brodą pogryziony przez czarne wdowy. Zniknął równie tajemniczo i widmowo, jak się pojawił.

W następny weekend przyjechał ojciec i tego samego dnia wróciliśmy na wyspę. Matka nie pozwoliła nam wspomnieć mu nawet słowem o człowieku, który tak wstrząsnął naszym życiem. Kiedy pytaliśmy dlaczego, wyjaśniła, że ojciec ma za sobą wojnę i ma prawo wrócić do szczęśliwej rodziny. Bardziej niejasna była jej sugestia, że ojciec może podejrzewać, iż zrobiła coś, co przyciągnęło uwagę Callanwolde. Ojciec często powtarzał, że nigdy nie została zgwałcona kobieta, która się tego nie dopraszała. Powiedziała to rzeczowym, beznamytnym tonem i dodała, że jest wiele rzeczy, których mężczyźni nigdy nie rozumieją.

Luke, Savannah i ja następne trzy dni strawiliśmy na próbach wylapania pozostałych pajaków. Sześć było w naszej sypialni, dwa złapaliśmy na

poddaszu, jeden schronił się w mojej tenisówce. Nigdy więcej nie spaliśmy w tym pokoju. Po naszym wyjeździe babka odnajdywała czarne wdowy w różnych miejscach. Kiedy Papa John umarł, wysypała je wszystkie głęboko w lesie Callanwolde. Ani ona, ani żadne z nas nie zabiło odtąd żadnego pająka. Pająki stały się dla naszej rodziny pierwszym z gatunków świętych stworzeń.

Wiele lat później przeglądając czasopisma w Atlanta Public Library, natknąłem się na fotografię i krótką notkę: „Otis Miller, lat 31, został zeszłej nocy aresztowany w Austell w stanie Georgia za próbę zgwałcenia i zamordowania Bessie Furman, miejscowej nauczycielki, żyjącej w separacji”.

Zrobiłem fotokopię informacji, a w poprzek zdjęcia napisałem jedno jedyne słowo: „Callanwolde”.

RS

## ROZDZIAŁ 6

W holu Plaza Hotel przeszliśmy obok bujnych palm i uważnych chłopców hotelowych, by skierować się do „Oak Room”, gdzie czekał na nas w kącie zaciszny stół. Dopiero po pięciu minutach pojawił się kelner, demonstrując niewzruszoną mieszankę wyniosłości i wystudiowanej obojętności. Zamówień wysłuchał z takim namaszczeniem, jak gdyby chodziło o konstruowanie portfela akcji. Chciałem nawet zamówić befsztyk z wołowiny suszonej na słońcu albo marynowany ryj, nie wyglądało jednak na to, by kelner miał rozwinięte poczucie humoru. Kazałem sobie przynieść martini z lodem i z plasterkiem cytryny, wiedząc, że w drinku znajdzie się okrągła i obelżywa zielona oliwka. W pewnej kategorii drogich hoteli „cytryna” jest zawsze przekładana na „oliwka”. Doktor Lowenstein zamówiła Pouilly Fuisse.

Drinki nadszedły, a ja natychmiast wyjąłem oliwkę i umieściłem ją w popielniczkę.

- Powiedział pan „z oliwką” - zauważył na odchodnym kelner.

- Zawsze robię ten sam błąd.

- Dlaczego nie lubisz nowojorskich kelnerów, Tom?

- Bardziej już chyba wolę nazistowskich zbrodniarzy wojennych, chociaż nie jestem do końca pewien, gdyż nigdy jeszcze żadnego nie spotkałem. - Podniosłem szklaneczkę i dodałem: - Pani zdrowie, pocieszycielko dusz. Na Boga, pani doktor, jak może pani znieść to przebywanie jeden straszliwy dzień po drugim pośród ludzi tak udręczonych?

Skosztowała łyk wina, zostawiając na kieliszku ślad szminki, i powiedziała:

- Ponieważ zawsze mi się wydaje, że mogę im pomóc.

- Ale czy pani sama nie popada wskutek tego w depresję? Nie czuje się pani po pewnym czasie podłamana?

- Ich problemy nie są moimi. Tych mam pod dostatkiem, żeby trapić się cudzymi.

- Ha, ha - zaśmiałem się. - Z chęcią zamieniłbym się z panią na kłopoty.

- Tak to jest. Jesteś absolutnie pewien, że bez trudu poradziłbyś sobie z moimi problemami, podczas gdy nie możesz poradzić ze swoimi. Podobnie i ja odnoszę się do swojego zawodu. Kiedy o szóstej opuszczam gabinet, wszystko zostawiam za jego drzwiami. Kończę dzień pracy i przestaję myśleć o swoich pacjentach. Nauczyłam się dzielić życie na część zawodową i prywatną.



- To brzmi dla mnie strasznie zimno i bezwzględnie - powiedziałem. - Nie mógłbym być psychiatrą. Historie, których wysłuchałbym w dzień, dręczyłyby mnie w nocy.

- Wtedy nikomu nie mógłbyś pomóc. Trzeba zachować odpowiedni dystans, Tom. Przecież” i tobie jako nauczycielowi musieli się przytrafiać uczniowie z problemami emocjonalnymi.

- To prawda, pani doktor - powiedziałem i pociągnąłem łyk martini, krzywiąc się, gdy poczułem słone widmo niemilego, ostrego smaku oliwki.

- Ale właśnie tego nie mogłem znieść. Dorosły z problemami - proszę bardzo, ale czuję się zmiażdżony, kiedy chodzi o dziecko. Kiedyś na drugim roku była na seminarium z angielskiego dziewczyna bardzo brzydka, ale o wspaniałej osobowości. Strasznie zabawna. Świetne stopnie. Trądzik, ale chłopcy ją lubili, miała pewien urok. Któregoś dnia przyszła do szkoły z twarzą jak od pobicia. Na lewe oko nie widziała, napuchnięta warga. Nic nie chciała powiedzieć, nawet kiedy inni zaczęli się z niej naśmiewać. Odcinała się tylko. Zatrzymałem ją po lekcjach i spytałem, co się stało. Nazywała się Sue Ellen, Ledwie inni wyszli, wybuchnęła płaczem. Wieczorem ojciec pobił ją i matkę. Zwykle bił je tak, żeby nie zostawały ślady. Tym razem zaczął obrabiać im twarze. No i właśnie, pani doktor, oto ja z zawodowym dystansem słucham opowieści o ojcu, który własną córkę tłucze po twarzy. Niestety, nie należę do tych, którzy potrafią zachować taki dystans.

- I co zrobiłeś?

- Nie wiem, czy to było najlepsze dla Sue Ellen i jej rodziny, ale coś zrobiłem.

- Mam nadzieję, że nic impulsywnego.

- Niech pani sama oceni. Widok twarzy Sue Ellen chodził za mną przez cały dzień. Po treningu pojechałem wieczorem na Isle of Palms i odnalazłem domek, gdzie mieszkała Sue Ellen. Zapukałem do drzwi, otworzył ojciec. Powiedziałem, że chciałbym z nim porozmawiać o córce, na co on, żebym się odpierdolił. Wtedy usłyszałem gdzieś w głębi domu płacz Sue Ellen. Odepchnąłem go i wszedłem do środka. Leżała na kozetce, kiedy spojrzała na mnie, zobaczyłem, że z nosa cieknie jej krew. „Dobry wieczór, panie Wingo - powiedziała zakłopotana - co pana sprowadza do naszego kącika?”

- Powinieneś był skontaktować się z odpowiednimi władzami - wtrąciła doktor Lowenstein.

- Ma pani oczywiście rację, pani doktor. To jedna z przyczyn, dla których pani jest bogata i szanowana, a ja do pracy chodzę w obszarpanym swetrze.

- Więc co się dalej stało?

- Ganiałem za nim po całym domu. Ciskałem nim o ściany. Walilem głową o podłogę. Potem usłyszałem głos, zupełnie jak przez sen. Sue Ellen ze wszystkich sił prosiła, żebym przestał. Razem z nią wołała matka. Kiedy przyszedł do siebie, oznajmiłem mu, że jeśli jeszcze raz tknie Sue Ellen, wrócę i go zabiję.

- Nie słyszałam jeszcze o nauczycielu, który postąpiłby bardziej brutalnie - powiedziała, najwyraźniej przerażona.

- Zabrałem sprawę ze sobą - mruknąłem wpatrzony w drinka. - Nie potrafiłem zostawić jej w szkole.

- A mnie się wydaje, że można było znaleźć kilka znacznie lepszych rozwiązań. Zawsze reagujesz tak emocjonalnie, Tom?

- Sue Ellen nie żyje, doktor Lowenstein - powiedziałem i popatrzyłem w jej ciemnobrązowe oczy.

- Jak to się stało?

- Podobnie do wielu innych kobiet, na męża wybrała sobie faceta podobnego do ojca. Chyba to rozumiem. Miłość zaczyna im się kojarzyć z bólem. Szukają mężczyzny, który będzie je dręczył, chociaż sądzą, że szukają miłości. I wyszła za takiego popaprańca. Zabił ją w sprzeczce, zastrzelił.

- To straszne - powiedziała doktor Lowenstein i zakryła dłonią usta. - Ale rozumiesz, że takie działania jak twoje nie przynoszą żadnego pożytku. Brutalny czyn nie usprawiedliwia brutalności z twojej strony. Taki ciąg przemocy czyni życie przeraźliwym i beznadziejnym.

- Chciałem dzisiaj opowiedzieć o Sue Ellen pani przyjaciółce, Monique. Byłem ciekaw, jak zareaguje. Nigdy w swoim życiu nie widziałem kobiety od niej piękniejszej. Zawsze myślałem, że ten straszliwy pech prześladował Sue Ellen, gdyż była brzydka.

- Sam dobrze wiesz, Tom, że to nieprawda.

- Nie jestem pewien, pani doktor. Usiłuję sobie wyobrazić, jak to wszystko działa. Dlaczego na niektórych ludzi pada wyrok losu, że będą brzydki i nieszczęśliwi. Trudno jest zrozumieć jedną taką osobę. Dlatego chciałem posłuchać historii Monique i porównać z Sue Ellen, żeby sprawdzić, czy istotnie cierpi tak bardzo, jak się wydaje.

- Cierpienie Monique jest dla niej tak samo rzeczywiste, jak kiedyś było dla Sue Ellen. Tego jestem zupełnie pewna. Nikt nie ma wyłączności na cierpienie. Ludzie doświadczają bólu na różne sposoby i z różnych przyczyn.

- Kiepski byłby ze mnie psychiatra.

- Zgadzam się. Kiepski byłby z ciebie psychiatra - potwierdziła, a po chwili ciągnęła: - A czego cię nauczyło, Tom, zdarzenie z Sue Ellen? Co ono dla ciebie znaczy?

Zamyśliłem się na jakiś czas, usiłując przywołać w pamięci twarz zmarłej dziewczyny, a w końcu odrzekłem:

- Nic.

- Zupełnie nic? - spytała zdziwiona.

- Niech pani posłucha, pani doktor, Przez lata zastanawiałem się nad sobą w świetle tej sytuacji. Ona wiele mówi o moim temperamencie, poczuciu tego, co dobre, a co złe...

- Uważasz, że dobre było pójście do jej domu i pobicie ojca?

- Nie, ale nie było też tak, że zupełnie nie miałem racji.

- Wyjaśnij to dokładniej.

- Nie wiem, czy mnie pani zrozumie. Kiedy byłem chłopcem, a ojciec znęcał się nad jednym, z nas albo nad matką, przyrzekłem sobie, że jeśli tylko będę mógł, nigdy nie pozwolę, aby mężczyzna bił kobietę lub dziecko. To sprawiło, że mieszałem się do różnych niemiłych, a nawet obrzydliwych scen. Nie pozwalałem ojcu bić dziecka na lotnisku, mieszałem się do bójk między zupełnie mi nie znaną parą, dałem nauczkę ojcu Sue Elen. W takich sytuacjach dzieje się ze mną coś, czego nie potrafię wytłumaczyć. Ale chyba zaczynam się zmieniać.

- Może doroślejesz.

- Nie. Chyba przestaję się już przejmować.

- A czy kiedykolwiek uderzyłeś swoją żonę albo córkę? - spytała z nieoczekiwanym zainteresowaniem.

- A dlaczego pani pyta, pani doktor?

- Gdyż ludzie skłonni do przemocy, najczęściej używają jej w domu. W momentach, kiedy mają przed sobą bezbronne osoby.

- A pani uznała mnie za osobę skłonny do przemocy?

- Sam opisałeś taką scenę. Jesteś trenerem w dyscyplinie, która opiera się na użyciu siły.

- Nie - powiedziałem i zakręciłem na wpół roztopionym lodem w szklance. - Nie jestem w stanie zrobić krzywdy żonie lub dzieciom. Przyrzekłem sobie, że w niczym nie będę podobny do ojca.

- Udało się?

- Nie - uśmiechnąłem się. - Niemal pod wszystkimi względami jestem podobny do ojca. Chromosomy okazały się we mnie strasznie mocne.

- A we mnie czasami wydają się niedostatecznie silne - powiedziała doktor Lowenstein. Skończyła wino i kiwnęła na kelnera. - Jeszcze jednego?

- Jasne.

Pojawił się kelner i zastygł, wydęte usta sugerowały, że gotów jest przyjąć zamówienie.

- Martini z lodem i z oliwką - powiedziałem.

- A dla mnie znowu białe wino.

Wrócił od baru dosyć szybko, a ja z triumfem zauważyłem żółtą skórkę cytryny między kostkami lodu.

Twarz lekarki nabrała jakiejś nowej łagodności, a w jej ciemnych oczach dostrzegłem liliowy odcień.

- Rozmawiałam dzisiaj z twoją matką, Tom.

Uniosłem rękę do twarzy, jakby zasłaniając się przed ciosem.

- Pani doktor, będę to uważał za akt najwyższego miłosierdzia, jeśli nigdy więcej nie przypomni mi pani, że w ogóle mam matkę. Jest główną postacią w autopsji mej rodziny i jak się pani przekona, jej główna funkcja na ziemi polega na krzewieniu szaleństwa. Wystarczy, że przejdzie przez szklarnię, a brukselki dostają schizofrenii.

- Można się zachwycić tym, jak o niej opowiadasz.

- Kiedy byłem mały - wyznałem - wydawała mi się najcudowniejszą kobietą na świecie. Ostatecznie nie jestem pierwszym mężczyzną, który kompletnie pomylił się co do swojej matki.

- Bardzo ładnie mówiła w rozmowie przez telefon i wydawała się bardzo zatroskana.

- To na pokaz - powiedziałem. - Przeczytała w jakimś podręczniku, że tradycyjnie matki okazują troskę, kiedy córki podcinają sobie żyły. To, jak z panią rozmawiała, było efektem studiów i strategii, a nie instynktu.

Doktor Lowenstein zmierzyła mnie swoimi spokojnymi, nieprzeniknionymi oczyma i rzekła:, - Powiedziała, że jej nienawidzisz.

- To nieprawda - zaoponowałem. - Ja tylko nie wierzę w nic, co ona mówi. Obserwowałem ją przez lata i byłem absolutnie zaskoczony jej talentem do kłamstwa. Ciągle mam nadzieję, że w końcu pęknie, chociaż jeden raz w życiu, i powie o czymś prawdę. Łże jednak pierwszorzędnie, cała w skowronkach. Jest za pan brat z małutkimi kłamstewkami, ale także z takimi, od których giną narody.

- To zabawne - uśmiechnęła się Lowenstein. - Przestrzegła, że na pewno naopowiadasz mi mnóstwo nieprawdy o niej.

- Mama wie, że chcę opowiedzieć pani o wszystkim. Także o tym, co jest zbyt bolesne, aby Savannah chciała pamiętać, a matka - przyznać.

- Płakała przez telefon, kiedy opowiadała mi o waszym stosunku do niej, Tom. Muszę przyznać, że bardzo to mnie poruszyło.

- Kiedy moja matka płacze, jest tak samo groźna jak krokodyl, który zwykł co wieczór zjadać pięć tłustych kobiet, które szorują ubrania na kamieniach na brzegu Nilu. Dla niej łyzy to po prostu jeszcze jeden rodzaj broni, który należy uwzględnić, planując batalię., - Jest bardzo dumna ze swych dzieci. Mówiła, ile to dla niej znaczy, że Savannah jest poetką.

- A czy powiedziała też, że nie miała od niej wiadomości od trzech lat?

- Nie, natomiast powiedziała, że byłeś najlepszy ze wszystkich nauczycieli angielskiego. I że twoja drużyna futbolowa zdobyła mistrzostwo stanu.

- Kiedy mama zaczyna cię wychwalać, trzeba zniecka się obejrzyć, gdyż pewnie w tym momencie będzie usiłowała zadać ci cios w plecy - powiedziałem, szczęśliwy, że są na świecie wermuty, a ja właśnie spożywam szklaneczkę jednego z nich. - Kiedy już nawychwalała się mnie pod niebiosa, jednym tchem oznajmiła, że mam kryzys nerwowy.

- Tak - wycedziła Lowenstein, wpatrując się we mnie skrupulatnie i łagodnie zarazem. - Takiego właśnie użyła określenia.

- Kryzys nerwowy - powtórzyłem. - Zawsze lubiłem to wyrażenie. Brzmi tak rozsądnie i bezpiecznie.

- Ani razu nie wspomniała o Luke'u.

- Oczy wiście, że nie. To słowo zakazane. Jeszcze dojdziemy do jej milczenia na temat Luke'a. Podczas słuchania tych historii, pani doktor, niech pani starannie obserwuje Luke'a. Kiedy dorastaliśmy, żadne z nas tego nie podejrzewało, ale tylko on wiódł życie istotne, jedyne, które się liczyło - powiedziałem, zmęczony roztrząsaniem problemu matki.

- Cokolwiek potem się zdarzyło - powiedziała miękko i było wiele uczucia w jej głosie - ty wyszedłeś z tego znakomicie, Tom.

- Pani Lowenstein, od długiego czasu byłem przedmiotem współczucia ze strony mojej rodziny w Karolinie Południowej. Nie zamierzałem pani opowiadać o tym, jak sam się rozpadłem. Tę część historii chciałem zachować w tajemnicy, ponieważ chciałem spróbować stać się przy pani zupełnie nowym człowiekiem. Chciałem być czarujący, błyskotliwy, a w głębi ducha miałem nadzieję, że może nawet wydam się pani atrakcyjny.

Kiedy odpowiedziała, w jej głosie pojawił się chłód.

- A dlaczego chciałbyś się wydać atrakcyjny, Tom? Nie bardzo rozumiem, jak mogłoby to pomóc twojej siostrze lub tobie.

- Nie ma powodów do niepokoju, pani Lowenstein - jęknąłem. - Nie najlepiej wyraziłem to, o co mi chodziło. Chryste Panie, przepraszam. Widzę, że natychmiast zatrzepotały wszystkie feministyczne chorągiewki ostrzegawcze w pani centralnym układzie nerwowym. A ja chciałem tylko,

żeby mnie pani polubiła, gdyż jest pani taką mądrą i piękną kobietą. Od bardzo dawna nie czułem, że jestem dla kogoś atrakcyjny.

I znowu się odprężyła, co widać było także w kącikach ust.

- Ani ja, Tom.

Spojrzałem na nią i uświadomiłem sobie, że mówi bolesną prawdę. Nad barem wisiało wielkie lustro, w którym zobaczyłem zastygły obraz nas dwojga odbity za lśniącyymi szklankami koktajlowymi.

- Niech pani spojrzy w lustro za sobą, doktor Lowenstein - powiedziałem.

Odrzuciła się ode mnie i spojrzała nad bar.

- No i?

- To nie jest atrakcyjna twarz, pani doktor - powiedziałem i wstałem, zbierając się do odejścia. - Wedle wszelkich powszechnie przyjętych miar to twarz piękna. Było prawdziwą przyjemnością spoglądać na nią przez kilka tygodni.

- Mój mąż nie uważa, żebym była nazbyt atrakcyjna - powiedziała - i tym miłsze są twoje słowa.

- Jeśli mąż nie uważa pani za atrakcyjną, to jest albo homoseksualistą, albo idiotą. Wygląda pani bajecznie, doktor Lowenstein, i chyba najwyższy już czas, żeby zaczęło to dla pani być źródłem przyjemności. Czy mogę zobaczyć się z Savannah jutro rano?

- Zmieniłeś temat.

- Obawiałem się, że weźmie to pani za rodzaj flirtu.

- Czy flirtujesz ze mną, Tom?

- Nie - odrzekłem. - Pomyślałem tylko o tym, ale kiedy zaczynam flirtować z kobietami, wydają im się zabawny i zaczynają się śmiać.

- Niektóre osoby z personelu uważają, że twoje wizyty wyprowadzają Savannah z równowagi.

- Mają rację - powiedziałem. - Widok mojej twarzy wywołuje w niej ból. Tak samo byłoby z każdym innym Wingo.

- Ostatnio zmienili jej lekarstwa. Halucynacje są już chyba pod kontrolą, ale pogłębił się poziom leku w jej krwi. Lepiej poczekaj z odwiedzinami, Tom. Skonsultuję to z jej lekarzami.

- Nie będę jej mówił żadnych niepokojących rzeczy, przyrzekam. Tylko same miłe. Poczytam jej wiersze.

- Czy w ogóle przemówiła do ciebie, Tom?

- Nie. A czy dużo mówi do pani?

- To bardzo długo trwało - odrzekła Lowenstein. - Powiedziała, że nie chce, byś kiedykolwiek jeszcze przychodził.

- Dokładnie tak?.

- Dokładnie w tych słowach. Bardzo mi przykro, Tom.

Moja babka Tolitha Wingo umiera właśnie w domu opieki w Charlestonie. Jej umysł, jak powiadają, odrobinę Wadzi, ale czasami miewa chwile całkowitej jasności, a wtedy można dojrzeć pełnię jej błyskotliwej osobowości, którą wiek przesłonił starczym muślinem. Naczynia włoskowate w jej mózgu powoli wysychały, niczym dopływy zagrożonej rzeki. Czas przestaje znaczyć dla niej to, co dla nas, nie mierzy go już godzinami i dniami. Jest rzeką od źródeł płynącą do ujścia. Bywają momenty, gdy jest dziewczynką i prosi matkę o nową lalkę, ale w następnej chwili jest już ogrodniczką zatroskaną o dalie, a w jeszcze następnej babką, która się skarży, że wnuki nigdy jej nie odwiedzają. Przy kolejnych wizytach brała mnie za swego męża, najlepszego przyjaciela, mego ojca, a także farmera z Rodezji imieniem Philip, który najwyraźniej kiedyś się w niej kochał. Nigdy nie wiem, w które miejsce rzeki wstąpię, ilekroć zbliżam się do jej wózka na kółkach. Kiedy ostatni raz u niej byłem, wyciągnęła ręce i drżącym głosem powiedziała: „Och, tato, tato, przyszedłeś mnie przytulić”. Cierpliwie usadziłem ją sobie na kolanach, czując straszliwą kruchość jej kości, ona zaś złożyła mi głowę na piersi jak ośmiolatka, pocieszana przez ojca, który nie żył już od ponad czterdziestu lat. Waży teraz osiemdziesiąt pięć funtów. I wreszcie umrze tak, jak umiera większość starych ludzi w Ameryce: z upokorzenia, buntu zwieraczy, znużenia, zaniedbania...

Bywają też okazje, gdy mnie rozpoznaje, myśl ma jasną i żwawą, wtedy dzień spędzamy na śmiechach i wspominkach. Gdy wstaje, w jej oczach pojawia się jednak strach i poczucie opuszczenia. Niebiesko pożyłkowane dłonie chwytają mnie mocno, a ona błaga: „Tom, zabierz mnie ze sobą do domu. Nie chcę umierać między obcymi. Proszę, Tom. Wiem, że przynajmniej ty mnie zrozumiesz”. Moje odejścia za każdym razem popychają ją bliżej śmierci. Łamie mi serce. Kocham ją nie mniej niż inne osoby na świecie, ale nie pozwolę jej mieszkać z sobą. Brak mi odwagi, by ją karmić, prać jej prześcieradło, łagodzić ból, mierzyć przepastne głębie jej samotności i porzucenia. Ponieważ jestem Amerykaninem, dam jej umierać na raty, osamotnionej i oddzielonej od rodziny. Często prosi, abym ją zabił w dowód miłości i współczucia. Zaczyna mi brakować siły na następne wizyty. Sporo czasu spędzam w recepcji, wyklócając się z lekarzami i pielęgniarkami. Wrzeszczę na nich, tłumaczę, jaka wspaniała kobieta mieszka między nimi, warta najtroskliwszej uwagi i delikatności. Wyrzucam im chłód i nieprofesjonalizm. Oskarżam, że starych ludzi



traktują jak połcie mięsa zawieszane na hakach w chłodziarni. Między pielęgniarzkami jest jakaś pięćdziesięcioletnia Murzynka, Wilhelmina Jones, na którą najczęściej spada ostrzał mych sfrustrowanych tyrad. Pewnego razu powiedziała: „Panie Wingo, skoro to taka wspaniała kobieta, dlaczego rodzina wepchnęła ją do tej dziury, aby tutaj zgniła? Tolitha to żaden połec mięsa i nikt jej tak nie traktuje. Biedaczka po prostu się zestarzała i sama wcale nie chciała tutaj iść. Na przekór swej woli została przyciągnięta przez pana”.

Wilhelmina Jones mnie przejrzała. To ja jestem architektem ostatnich dni babki na ziemi, a z racji szczególnej nerwowości i niewdzięczności, pomogłem uczynić je nędznymi, nieznośnymi, rozpaczliwymi. Ilekroć ją całuję, pocałunek skrywa fałsz zdrady. Kiedy przyprowadziłem ją do domu opieki, powiedziałem, że wyjeżdżamy w długą podróż. Nie skłamałem... trwa ona do dzisiaj.

Papa John Stanopolous zmarł pod koniec roku 1951, Tolitha pochowała go jak należy na Oak Lawn Cemetery w Atlancie, sprzedała dom przy Rosedale Road i udała się w ekstrawagancką odyseję, w trzy lata trzy razy okrążając świat. Ból po stracie Papy Johna tak ściśle związała z Atlantą, że nigdy już tam nie wróciła, chociażby z krótką wizytą. Była kobietą, która instynktownie wiedziała, że szczęścia nie da się zduplikować, i dlatego potrafiła zręcznie zamknąć drzwi do przeszłości.

Podróżowała statkiem, zawsze pierwszą klasą, i przez te lata nieskrępowanych wojaży odwiedziła czterdzieści siedem krajów. Z trasy wysłała setki kartek pocztowych, zapełnionych ledwie czytelnym maczkiem, i stały się one dla całej naszej trójki pierwszą literaturą podróżniczą. W prawym ich rogu widniały najbardziej świetliste, najwspanialsze znaczki, miniaturowe akwarele i pejzaże - gdy pochodziły z jakichś egzotycznych krajów, a wielkie reprodukcje światowego malarstwa - gdy pochodziły z Europy. Kraje afrykańskie rozkoszowały się bajecznymi zachodami słońca nad dżunglą i przestworami sawanny, na ich znaczkach skrzyły się jaskrawe owoce, papugi czyściły pióra w drzewach mango, pawiany dziko wykrzywiały tęczowe twarze, słonie przechodziły w bród głębokie rzeki, a procesje gazeli sunęły przez równiny u stóp Kilimandżaro. Nie wiedząc o tym, uczyniła z nas zapalonych filatelistów, z zapalem wczytujących się w zapiski podróżne spieszenie kreślone na pokładach statków różnych linii, które poprzez wzburzone i spokojne morza niosły ją wokół świata. Jeśli pisała list, w kopercie zawsze znalazła się garstka monet z odwiedzanych krajów. Odkładaliśmy je do słoja po dzemie i od czasu do czasu rozkładaliśmy na stole w jadalni atlas świata kupiony przez ojca, aby

śledzić postępy podróży Tolithy, i przyporządkowywaliśmy pieniążki do miejsca ich pochodzenia. Żółtą kredką zaznaczaliśmy tereny, na których nasza babka postawiła już stopę. Gładko przerzucaliśmy się nazwami mistycznych miejsc: Zanzibar, Kongo Belgijskie, Mozambik, Singapur, Goa, Kambodża. Smakowały w naszych ustach jak dym, podzwaniały echemi prymitywnymi i dalekimi. W dzieciństwie uważaliśmy Tolithę za odważną, zamożną i szczęśliwą. Tego samego dnia, kiedy biskup Charlestonu udzielał bierzmowania Savannah, Luke'owi i mnie, biały nosorożec zaatakował dżipa babki na równinach Kenii. Nie upłynął pierwszy tydzień w trzeciej klasie, a Tolitha opisała nam ukamienowanie cudzołżnicy w Arabii Saudyjskiej. Nie cofała się przed bardzo ryzykownymi wyprawami i wszystkie opisywała bardzo szczegółowo. Daleko w górze Amazonki przez kilka pełnych zgrozy minut obserwowała, jak stado piranii objadło tapira do kości. Jego ryki odbijały się rozdzierającym echem od ścian dżungli do chwili, aż ryby dobrały mu się do języka. Język był na deser, dodała okrutnie w jednej z tych mrożących krew w żyłach szczegółowych uwag, ożywiających jej prozę, w którą wczytywaliśmy się z coraz większą biegłością, podczas gdy babka wolno przemieszczała się po kuli ziemskiej. Z Folies-Bergere napisała, że widziała na scenie więcej cycków niż w jakiegokolwiek farmie mlecznej. Z Rzymu przysłała nam kartkę, na której widniała makabryczna kompozycja z czaszek mnichów, które niczym kule artyleryjskie ułożono na bocznym ołtarzu w katakumbach kapucynów. Z Afryki Wschodniej nadeszły pudełeczka z zebranymi na plaży muszlami, z Brazylii - miniaturowa głowa, którą kupiła „za bezcen” od nawróconego łowcy z zepsutymi zębami. Na Boże Narodzenie ojciec dostał zakonserwowany w soli jęzor azjatyckiego bawołu. Kupowała i słała nam flet używany przez zaklinacza węży, kawałek najprawdziwszego Krzyża Pańskiego nabyty u jednookiego Araba, ząb wielbłąda, kły lamparta, przepaskę zdjętą bezpośrednio z genitaliów dzikusa (tę matka natychmiast spaliła, mruczając, że dosyć mamy zarazków w Karolinie, żeby jeszcze fundować sobie afrykańskie). Tolitha znajdowała dziecięcą uciechę w tym, co dziwaczne, nierealne, absolutnie niepowtarzalne.

Z dumą podliczyła, że cierpiała na biegunkę w dwudziestu jeden krajach. Ostre rozwolnienie było dla niej swego rodzaju medalem zasługi, dowodzącym, że podróżniczka nie waha się porzucić malowniczych wygód na rzecz penetracji dzikich zakątków świata. W Syrii zjadła całą misę oczu owczych, które smakowały, pisała, dokładnie tak, jak powinny smakować gałki oczne owiec. Więcej w niej było awanturniczki niż koneserki,

niemniej starannie zdawała sprawę ze swego menu. W różnych częściach świata kosztowała: ogon kajmana, trujące mięso kolcobrzucha (po którym zdrewniały jej palce), filety z rekina, jaja strusie, szarańczę w czekoladzie, marynowane krasnorosty (przez całe lata sądziłem, że były to krasnale zakonserwowane jak ogórki), wątrobę antylopy, jądra kozła i gotowanego pytona. Kiedy przestudiowało się jej jadłospis, nie sposób było się dziwić powracającym atakom biegunki, aczkolwiek zachodziło się w głowę, jak udaje jej się spożywać te dania bez natychmiastowych torsji.

Przez trzy lata jej celem była nieprzerwana podróż, odnajdywanie niezwykłych rzeczy w niezwykłych miejscach, studiowanie siebie w tekście głównym i przypisach obcych geografii. Potem przyznała, że chciała nagromadzić jak najwięcej porywających wspomnień na starość, której nieubłagane nadejście już odczuwała. Podróżowała, aby doświadczyć zdumienia, aby przemienić się w inną kobietę niż ta, którą była z urodzenia. Nie musiała dawać żadnych wykładów, wystarczył sam jej przykład, aby została pierwszym filozofem podróżowania w rodzinie. Dzięki tym wędrownicom Tolitha nauczyła się, że są rzeczy, które zrozumieć można najlepiej w postaciach skrajnych i sytuacjach wyjątkowych. Szacunkiem darzyła marginalia - to dzikie, nieposkromione aspekty nadawały całości smak i charakter. Na wiosnę 1954 roku grupka usłużnych Sierpów powiodła babkę na wycieczkę po Himalajach i pewnego brutalnie zimnego poranka na dachu świata patrzyła, jak słońce skrzy się w lodowych zerwach Mount Everestu. Miesiąc później przyglądała się wędrownice węży morskich w Morzu Południowochińskim, a była już w trakcie drogi powrotnej do domu.

Do Colleton dotarła dość zmęczona i wymizerowana, a co również ważne - bez centa przy duszy. Matka dokonywała na głos dość obsesyjnych wyliczeń i na koniec oznajmiła, że Tolitha przepuściła nie mniej niż sto tysięcy dolarów. O ile owo danie upustu wewnętrznej pasji podróżowania stanowiło zaskoczenie dla rodziny i miasteczka, o tyle w stan szoku wprawiło je to, jak powróciła w stan spoczynku. Bez wiedzy kogokolwiek z nas nawiązała na powrót kontakty dyplomatyczne z dziadkiem, na nowo rozpałała sympatię czy może nawet jakieś gorętsze uczucie, które przytłumił trudny czas kryzysu, i pisała do niego czułe, siostrzane listy przez cały czas swej peregrynacji. Za sprawą dyskrecji czy taktu nigdy nie wspomniał nikomu o tej korespondencji, atoli dziadek Wingo był jedyną osobą w Colleton, której nie zdziwił fakt, iż babka wróciła tu po ponad dwudziestu latach, udała się wprost do jego domku na Barnwell Street, rozpakowała się i rzeczy swe umieściła w tej samej szafie oraz komodach, które porzuciła

tak dawno temu, a za jedyne wyjaśnienie musiało wystarczyć jej stwierdzenie: „Nawet wędrowne ptaki muszą kiedyś odpocząć”. W ślad za nią zjechało do Colleton dziesięć kufrów pełnych cudownych i najzupełniej nieużytecznych cacuszek, a po całym domu rozłożyły się ekscentryczne pamiątki, które przy tej czy innej okazji przykuły jej uwagę. Salonik dziadka, dotąd stanowiący uosobienie Południa, zajęły afrykańskie maski i rzeźby, gliniane słonie z Tajlandii, błyskotki z każdego targu w Azji, jaki odwiedziła. Z każdym z tych drobiazgów wiązała się jakaś historia, konkretny kraj, szczególne zdarzenie i wystarczyło tylko, by dała oczom błądzić po pokoju, a natychmiast odżywały etapy jej podróży. Mieliśmy dopiero odkryć jej sekret: kiedy raz już wyruszy się na wędrowkę, ta nigdy się nie kończy i nieustannie rozgrywa się w najzacisniejszych pokojach, gdyż umysł nie może już się wyzwolić z jej rytmu.

Rodzina ojca znowu się odrodziła, gdy miał już trzydzieści cztery lata.

Matce najwyższą radość sprawiało przedstawianie życia i poczynąń babki w pogardliwym świetle. Nie było na świecie kobiety, której matka nie uważałaby za swoją rywalkę, a powrót babki z wyprawy na wszystkie kontynenty wyzwolił notoryczne ataki sprawiedliwego oburzenia. „Nigdy nie pojmę, jak może matka porzucić dzieci w czasach kryzysu”, kiwała głową ze zgorzeniem za plecami babki. „Mężczyźni każdego dnia rzucają rodzinę, ale nie matki. Nigdy tego nie robi prawdziwa matka. Wasza babka wystąpiła przeciw naturze, pogwałciła wszelkie prawa naturalne, a jakoś nigdy nie słyszałam, by chociaż słówkiem o tym napomknęła, ani nie widziałam, by padła na kolana i błagała waszego ojca o wybaczenie. Nie myślcie, że to go nie zraniło. Nie myślcie, że nie odczuł tego głęboko. Wprost przeciwnie, wszystkie jego problemy korzeniami sięgają do tego momentu, gdy się obudził i zobaczył, że nie ma już matki, która by go nakarmiła i zatroszczyła się o niego. Stąd się wzięła jego choroba umysłowa. To dlatego czasami zachowuje się jak dzikie zwierzę. A potem wyjechała sobie i całą przyszłość przepuściła na swe szaleństwo, zamiast pozwolić jej obrastać w procenty na koncie bankowym. Wróciła do miasteczka bez dziesięciu centów w kieszeni. Na miejscu Amosa wykopałabym ją za drzwi. Ale mężczyźni są bardziej sentymentalni niż kobiety. Zapamiętajcie moje słowa”.

Tylko z dziećmi dzieliła się tymi uwagami, w towarzystwie Tolithy bowiem wychwalała jej niezależność, odwagę, całkowitą nonszalancję, z jaką traktowała opinie krążące o niej po miasteczku. Tolitha istotnie nic sobie nie robiła z opinii publicznej Colleton. W moich dziecięcych latach była jedyną znaną mi rozwódką. Pod wieloma względami była pierwszą

współczesną kobietą, jaką wydało Colleton. Po jej powrocie kursowały plotki o następnych ślubach w czasie podróży, związkach z samotnymi współpasażerami, romansach tyleż dyktowanych przez chęć wygody, co przez serce, ale sama Tolitha milczała na ten temat. Po prostu wróciła do domu dziadka i zaczęła znowu żyć u jego boku jak połowica. Amos nadal raził ją gwałtownością swych religijnych przekonań, była jednak między nimi jakaś niewypowiedziana zgoda i przyjaźń. Dziadek był zachwycony, że ma ją znowu, nigdy nawet nie spojrzął na inną kobietę. Był jednym z tych rzadkich mężczyzn, którzy naprawdę potrafią się zakochać tylko raz w życiu, podczas gdy babka, jak sądzę, mogła kochać nawet i setkę mężczyzn. Wraz z tym jak doroślałem i poznawałem ją lepiej, coraz bardziej byłem pewien, że istotnie kochała. Mężczyźni nie potrafili jej się oprzeć, stanowiła zagrożenie dla każdej kobiety, której stanęła na drodze. Bił z niej jakiś trudny do określenia, ekscentryczny, zupełnie swoisty powab.

Dzisiaj myślę, że wróciła dlatego, iż zrobiła wszystko, co sobie zamierzyła, przypuszczam również, że przyczyną była także chęć ochrony wnuków przed furią syna i oziębłością synowej. Jakkolwiek było, w kryzysowych sytuacjach zawsze mogliśmy liczyć na jej opinię, rozsądek, rozjemczość. Poznała naturę grzechu i wiedziała, że jego najbardziej powszechną formą jest ta, która go w ogóle jako takiego nie ujawnia. Jak wielu rodziców gigantyczne i fatalne błędy popełnione wobec własnych dzieci odkupiła potem jako wspaniała babka. Nigdy nas nie karciła, nie dyscyplinowała, nie obrażała się na nas ani też nie uzależniała swej miłości od naszego postępowania. Po prostu uwielbiała nas we wszystkich przejawach dzieciństwa - i tych niepokojących, i tych budzących dumę. Za sprawą swych błędów doszła do niewzruszonego kodeksu etycznego: miłość nie idzie w parze z rozpaczą, miłość nie może powodować cierpienia. Kiedy ojciec nas bił, matka zawsze powtarzała: „On to robi z miłości”. Ilekroć matka wymierzała nam razy szczotką do włosów, miotłą, ręką, niezmiennie robiła to w imię miłości i pod jej wezwaniem. Miłość, którą otrzymywaliśmy, była spod znaku Marsa, obdartego uciekiniera z jakiegoś zdziczałego i zrujnowanego zodiaku. Tymczasem babka ze swych wędrówek wróciła z rewolucyjną doktryną: miłość nie jest zbrojna, pozbawiona jest pięści. Nie powoduje szram, nie rozlewa krwi. Z początku cała nasza trójka cofała się w popłochu, kiedy Tolitha usiłowała nas przygarnąć, wziąć na kolana. Gładziła nas po włosach, po twarzach, całowała, aż zaczynaliśmy mrużyć jak kocięta. Układała na naszą cześć pochwalne piosenki, powtarzała, że jesteśmy piękni. Dostrzegała w nas niezwykle umiejętności i zapowiadała, że dokonamy rzeczy wielkich.

Jej powrót jeszcze bardziej umocnił i tak już potężny matriarchat w rodzie Wingo. Rodzili się w nim silni mężczyźni, ale żaden z nich nie mógł się równać z niewiastami Wingo. W ich oczach dostrzegało się stalowy wzrok caryc, arogancję władczyń. Wraz z powrotem Tolithy rozpoczął się pojedynek o władzę, który trwał aż do momentu, gdy razem z matką dwadzieścia pięć lat później zawieźliśmy Tolithę do przytułku w Charlestonie.

Mężczyzna, do którego wróciła, Amos Wingo, należał z pewnością do najsilniejszych i najlepszych, jakich znałem. Każdy namysł nad postacią dziadka nieuchronnie zamienia się w namysł nad świętością. Całe jego życie było wielkim hymnem pochwalnym na cześć Pana, długim, nieustającym peanem. Modli twa była jego jedynym hobby, a jej jedynym przedmiotem Bóg w Trójcy Jedyny. Aby zrozumieć niespokojną, bardziej przesiąkniętą światem biografię babki, trzeba z niejakim współczuciem pomyśleć, co dla niej musiałyby znaczyć życie z mężczyzną przeznaczonym do świętości. Święci są wspaniałymi dziadkami, ale kiepscy z nich mężowie. Lata później babka wyznała, że kiedy Amos kochał się z nią, to wnikając w jej wnętrze, szeptał: „Dzięki, Jezu. Dzięki, Jezu”. Mówiła, że absolutnie nie mogła się skupić na tym, co robili, gdy jej partner wzywał Jezusa między prześcieradła.

Kiedy byliśmy bardzo mali, dziadek zabierał nas na przystań Melrose Island i wprowadzał w historię swego życia duchowego. Dziadek Wingo zanurzał długą wąską stopę w Colleton River, a mnie ani trochę nie dziwiło, że Bóg sam objawił się Amosowi Wingo i nakazał mu żyć zgodnie ze Słowem. Przez całe życie dziadek był zaszczycany tymi rozmownymi, arbitralnymi wizytami Bożymi. Do redaktora „Colleton Gazette” dziadek kierował długie listy, w których dokładnie opisywał szczegóły wszystkich tych odwiedzin, a także słowo w słowo odtwarzał, co takiego powiedział mu Stwórca. Z listów tych (starannie przechowywanych przez Savannah) wynikało, że Bóg nie przejmował się specjalnie regułami ortografii czy gramatyki, miał za to niebywałą pociąg do południowego słownictwa. Po przeczytaniu jednej z tych epistoł, Luke oznajmił: „Bóg mówi jak jeden z tutejszych”. Bóg w rzeczy samej przemawiał językiem onieśmielajaco podobnym do dziadkowego, owe zaś chaotyczne listy do współmieszkańców stanowiły zmorę i sekretną chwałę mego dzieciństwa. Amos sam jednak przyznawał, że trudno jest prowadzić normalne życie, kiedy nieustannie zakłócanie jest ono przez widowiskowe i pochłaniające czas wizyty Najwyższego.

Savannah jako pierwsza spytała:



- Dziadku, a jak wygląda Pan Bóg?

- Widzisz, Savannah - odrzekł dziadek - to bardzo miły dżentelmen. Zawsze jest wokół niego dużo światła, tak że nie widzę bardzo wyraźnie, no ale rysy ma regularne, a włosy ciemniejsze, niż można by przypuszczać. Są także długie i nawet myślałem, czy nie zaproponować Mu, że trochę je podetnę. Nie wziąłbym nawet centa, po prostu odrobinę skrócił, tak żeby ze wszystkich stron było ładnie.

To także Savannah pierwsza powiedziała głośno, że dziadek Wingo ma świra.

Nawet jeśli to była prawda, było to słodkie szaleństwo bez żadnych powikłań. Podczas największego kryzysu Bóg ukazywał się codziennie, dlatego też rodzina musiała się wykarmić tylko i wyłącznie tym, co udało jej się złowić w rzece. Amos porzucił pracę fryzjera i przestał sprzedawać Biblie, uznał bowiem, że kryzys stanowi znak z nieba, iż drugie, nadejście Chrystusa jest już za pasem. Zaczął nauczać na rogach ulic, wykrzykując przedziwne psalmy wiary i przekleństwa, przy czym niekiedy wpadał w jakieś straszliwe, tajemne zaułki gramatyki nieznanego języka, co przy wodziło na myśl kogoś udręczonego epilepsją duszy.

Dziadek Wingo miał w sobie coś z wędrownika, miał „cygańską krew”, jak mawiała babka dosyć cynicznie, czuła bowiem, że Amos niewiele wkłada pasji w swoje wypady. Lubił po prostu znaleźć się na drodze i nie miało dla niego większego znaczenia, dokąd zmierza. Wezwanie przychodziło bez żadnej zapowiedzi, a wtedy bezzwłocznie opuszczał Colleton i na piechotę przemierzał Południe, niekiedy całymi miesiącami, sprzedając Biblie i strzygąc włosy. Nawet kiedy odpoczywał, nie opuszczał go pewien konsternujący tik: prawa noga podrygiwała i drobila, jak gdyby pod kolanem miała zamontowany mały silniczek. Ta niespokojna noga zawsze przypominała” że już następnego dnia dziadek może ruszyć na południe na Florydę czy na zachód do Missisipi, aby szerzyć słowo Boże i posypywać talkiem ogolone karki. Jak pyłki osiadają na pręcikach i słupkach, tak on słowem tym zapłodnić chciał każdą duszę napotkaną podczas bezplanowych, spontanicznych misji.

Bocznymi wiejskimi drogami Południa podążał z dwiema walizkami. Jedna mieściła ubranie i narzędzia fryzjerskie, druga - Biblie najróżniejszych kształtów i rozmiarów. Najtańsze były małe, czarne, poręczne, wielkości dziecinnego bucika. Druk był w nich jednak drobny i nazbyt gorliwe czytanie ich przy sztucznym świetle mogło zaszkodzić oczom. Za swój obowiązek uważał lansowanie wersji bardziej wyrazistych. Cadillakiem pośród Biblii było wydanie śnieżnobiałej Naugahyde,



wyposażonej w zakładki ze złotymi frędzlami, a ilustrowanej obrazami biblijnymi „Wielkich Mistrzów”. Największym jednak cudem tej wspaniałej edycji było to, że słowa wypowiedane przez Jezusa z Nazaretu wydrukowano jaskrawą czerwoną czcionką. Na najdroższe wydania Biblii rzucały się niezmiennie najuboższe rodziny i które wspaniałomyślnie uzyskiwały możliwość kupna na raty. W efekcie kontaktów z - moim dziadkiem biedni chrześcijanie musieli dokonywać trudnego wyboru pomiędzy opłaceniem miesięcznej raty za grubą białą Biblię, a kupieniem czegoś do jedzenia. Wspomnienie świątobliwej i nawiedzanej przez Boga osoby dziadka czyniło wybór tym trudniejszym, że niezapłacenie za Biblię przedstawiało jako straszliwy, trudny do nazwania grzech, zarazem jednak dziadek nigdy nie przyjąłby z powrotem Księgi, na której środkowych stronach za darmo wpisał rodzinną chronologię. Był zdania, że żadna rodzina nie mogła się czuć naprawdę bezpieczna czy amerykańska, jeśli wszystkie imiona nie zostały umieszczone w godnej Biblii, gdzie Jezus przemawiał na czerwono. Chociaż czasami powodowało to napięcia między nim a firmą, która zaopatrywała go w książki, stanowczo odmawiał zabrania Słowa Bożego z domu biedaka. Dlatego też z polecenia firmy inny człowiek szedł śladem dziadka i odbierał egzemplarze lub wyduszał pieniądze, a nie ulega wątpliwości, że dziadek Wingo sprzedał więcej białych Biblii niż jakikolwiek inny komiwojażer, a to na nich zarabiał się najlepiej.

Jako sprzedawca Biblii dziadek stał się czymś w rodzaju legendy prowincjonalnego Południa. Trafiał do jakiejś wioski z młynem czy miasteczka na skrzyżowaniu dróg i szedł od drzwi do drzwi. Jeśli rodzina nie potrzebowała Biblii, to najpewniej komuś trzeba było podciąć włosy. Proponował, że ostrzyże całą rodzinę za ulgową opłatą. Czuł dotyk ludzkich włosów pod palcami i z niezmienną wrogością odnosił się do łysiny. Opowiadał o życiu Chrystusa nad buczącą maszynką i gęstymi chmurami talku, które wzbijały się, gdy szczotką usuwał resztki włosów z karków chichoczących chłopaków i dziewczyn. Kiedy odszedł na emeryturę, firma obdarowała go pozłacanymi nożyczkami i dyplomem, który stwierdzał to, co od dawna wszyscy podejrzewaliśmy: Amos Wingo sprzedał więcej egzemplarzy Biblii niż jakikolwiek inny agent w dziejach firmy. Ów finalny dokument w akcie zaskakującego natchnienia poetyckiego mianował Amosa Wingo „Królem Biblii o Czerwonej Czcionce”.

Będąc jednak komiwojażerem obsługującym pięć południowych stanów, dziadek często zostawiał ojca pod mało fachową dorywczą opieką służących, kuzynek, dalekich ciotek i każdej innej osoby, która zgadzała się sprawować opiekę nad dzieckiem. Z przyczyn zatem nader różnych ani

dziadek, ani babka nie znaleźli czasu na coś tak niebagatelnego, jak wychowanie jedyne dziecko. W sporze ojca ze światem było zawsze coś nie do końca dającego się wyjaśnić czy w ogóle rozwiązać. Jego dzieciństwo upłynęło pod znakiem usankcjonowanego zaniedbania, a dziadków trzeba było ostatecznie uznać za odległych, mimo wolnych sprawców wykroczeń, jakich dopuszczał się wobec swoich dzieci.

Dziadkowie przypominali parę nie pasujących do siebie dzieci, a ich dom zachował dla mnie atmosferę przybytku i przedszkola. Kiedy zwracali się do siebie, robili to z najwyższą grzecznością, nie było między nimi prawdziwej rozmowy, żartobliwego przekomarzania się, chwil flirtu czy plotki. Nawet po powrocie babki trudno było o nich powiedzieć, że żyją razem. Ich wzajemne uczucie do siebie nie zawierało żadnych czysto naturalnych elementów. Zastanawiałem się nad ich związkami z pewnym niepokojem, nie byłem bowiem w stanie zrozumieć, jak on funkcjonuje. Czulem, że się kochają, ale była to miłość bez żaru czy pasji. Nie było w niej też żadnych nienawiści czy zgryzot, żadnych przyplływów i odpływów uczucia, po prostu małżeństwo bez burz i rozpogodzeń, znieruchomiałe, zrezygnowane - ciąg bezwietrznych dni w Prądzie Zatokowym i spokojnego starzenia się. W zestawieniu z nieskomplikowaną radością, którą jednemu sprawiała obecność drugiego, małżeństwo moich rodziców wydawało się rozwiązłe. Wystarczyła im połowa życia w separacji, by znakomicie dla siebie dojrzeć.

Spoglądałem na nich, aby znaleźć jakieś wytłumaczenie, dlaczego ojciec jest właśnie taki, tymczasem nie mogłem znaleźć niczego. Nie odnajdowałem go w ich oczach. Efekt ich zespolenia był zupełnie nowy i dotąd niewidoczny. Nigdy nie słyszałem, by Tolitha czy Amos krzyczeli na siebie. Nigdy nas nie bili, a ich głos nabierał tonu niemal przepraszającego, kiedy delikatnie zwracali nam uwagę, a mimo to stworzyli człowieka, który ciągle nade mną dominował i chciał dominować, który bił mnie, bił matkę, bił mego brata i siostrę, tymczasem w domu dziadków nie potrafiłem znaleźć żadnego wyjaśnienia ani nawet poszlaki. W zdumienie i konsternację wprawiała mnie ich układność, niewzruszony spokój. W nich nie znajdowałem odpowiedzi na pytanie, skąd się wzięłem, czegoś w tym brakowało, było jakieś pęknięcie, coś nie wysłowionego. Te dwie łagodne osoby wydały na świat brutalnego syna, który z kolei spłodził mnie. Żyłem w domu, który pełen był strachu przed łowcą krewetek. Nigdy nie mówiło się o tym głośno. Matka nie pozwalała wspomnieć komukolwiek obcemu, że ojciec nas bije. Wielką wagę przywiązywała do tego, co nazywała „rodzinną lojalnością” i nie zniosłaby zachowania, które byłoby w jej

oczach zdradą czy sabotażem. Nie wolno nam było krytykować postępów ojca ani skarżyć się na jego stosunek do nas. Zanim Luke osiągnął dziesiąty rok życia, ojciec zdążył trzy razy skatować go do nieprzytomności. Zawsze był pierwszym obiektem ataku, tą twarzą, ku której ojciec zwracał się w pierwszej kolejności. Matka dostawała baty najczęściej wtedy, kiedy usiłowała wstawić się za Lukiem. Savannah i ja obrywaliśmy wtedy, kiedy próbowaliśmy odciągnąć go od matki. Ukształtował się taki cykl wypadków, przypadkowy i zabójczy.

Przeżyłem swe dzieciństwo w przekonaniu, że któregoś dnia ojciec mnie zabije.

Zarazem jednak żyłem w świecie, w którym niczego dzieciom nie tłumaczono, z wyjątkiem tego, że najważniejsza jest lojalność.

Od matki nauczyłem się, że lojalność to piękna twarz, którą się przybiera, kiedy całe życie opiera się na ciągu straszliwych kłamstw.

Lata klasyfikowaliśmy wedle tego, ile razy zostaliśmy zbici przez ojca. Samo bicie było okropne, ale jeszcze gorsza okazywała się irracjonalność jego charakteru. Nigdy nie wiedzieliśmy, co doprowadzi do wybuchu, nigdy nie mogliśmy przewidzieć wahaniec stanu duszy, które sprawi, że w domu rozszaleje się bestia. Nie istniały wzorce, których można by się trzymać, strategię chociażby prawdopodobne, a poza tym z wyjątkiem babki nie było trybunału, do którego można by się odwołać. Dzieciństwo upływało nam w oczekiwaniu na atak ze strony ojca.

W 1955 roku trzy razy powalił mnie na podłogę. W 1956 - pięć razy. Jeszcze goręcej kochał mnie w roku 1957, 1958 był świadkiem dalszego przyrostu uczucia. Kochał mnie coraz bardziej z każdym rokiem, który krętą drogą prowadził mnie do męskości.

Od czasu naszego pobytu w Atlancie modliłem się do Boga, aby go zabił. „Zabij go, zabij go, Panie, proszę”, błagałem na kolanach. W modlitwach pogrążałem go po szyję w trzęsawisku, wzywałem księżyc, by podniósł morze, i patrzyłem, jak kraby pełzną po jego twarzy, szukając oczu. Nauczyłem się zabijać modlitwą, nauczyłem się nienawidzić wtedy, kiedy powinienem był wysławiać Boga. Nie panowałem nad swymi modłami. Kiedy myśli zwracały się do Boga, sączyła się ze mnie trucizna. Ze złożonymi rękami wychwalałem mordy i rzezie w kręgu murów miasta, a mój różaniec stawał się garotą. Były to dla mnie lata niebezpieczne, pełne introspekcji. Gdy, zabijałem jelenia, pod porożem widniała twarz ojca, to jego serce wykrawałem i przybijałem do drzewa, to jego ciało rozpinałem, by potem metodycznie wydobywać z niego żyły. Stałem się kimś nikczemnym, zwyrodniałym.

Po powrocie babki zorientowałem się, że jest ona kimś, kogo ojciec się lęka, i z podziwem zacząłem myśleć o losie kobiety, której starczyło odwagi, by rzucić rodzinę w czasie kryzysu, i nigdy za to nikogo nie przeproszała. Ta delikatna kobieta i mój delikatny dziadek spółdzili człowieka, który stał się zagrożeniem dla swych dzieci. Matka uczyła nas, że najwyższą formą lojalności jest ukrywanie swych ran i uśmiechanie się na widok krwiałków. Sprawiała, że nie było dla mnie słów bardziej znienawidzonych niż „rodzenna lojalność”.

Jeśli rodzice nieustannie karzą swoje dziecko i robią to przebiegle, niebo wcale się nie rozjaśni wraz z tym, jak uświadomi sobie ono swoją wartość. Nie można naprawić zniszczonego dzieciństwa. Można mieć najwyżej nadzieję na to, że przepust się odetka.

RS

## ROZDZIAŁ 7

Dopiero pod koniec drugiego tygodnia pobytu zobaczyłem pierwsze nieomyślne symptomy nowojorskich fobii. Zawsze zaczynało mnie dręczyć nieprzeparłe poczucie winy, gdy po prostu chłonałem Nowy Jork, podczas gdy wszystkie te wielkie muzea, biblioteki, teatry, sale koncertowe i bezlik innych instytucji kulturalnych kusily mnie możliwościami wzbogacenia duchowego. Zacząłem mieć kłopoty ze snem, czułem, że powinienem przeczytać całego Prousta, nauczyć się obcego języka, zrobić samemu makaron czy przynajmniej zapisać się na kurs historii filmu w New School. Wystarczyło przekroczyć rzekę, a miasto pobudzało do działania jakiś zapadły w letarg gruczoł samodoskonalenia. Nigdy nie czułem się nazbyt dobrze w Nowym Jorku, ale za każdym razem czułbym się odrobinę lepiej, gdybym podjął jakieś próby sprostania jego wysokim standardom.

Kiedy nie mogłem zasnąć, kiedy odgłosy nocnego ruchu ulicznego okazywały się zbyt zgiełkliwe lub gdy sen płoszyła przeszłość otwierająca się niczym splądrowane miasto, wstawałem z łóżka siostry i ubierałem się po ciemku. Pierwszego ranka w Nowym Jorku chciałem pobiec na Brooklyn, dotarłem jednak tylko do Bowery, gdzie musiałbym przeskakiwać nad ciałami śpiących bezdomnych, którzy ułożyli się w wejściach pięćdziesięciu sklepów z lampami na ulicy skądinąd przeladowanej świecznikami i kandelabrami. Następnego ranka pobiegłem w przeciwnym kierunku i w ciemności ku własnemu zdumieniu dotarłem do dzielnicy kwiatowej, gdzie z ciężarówek właśnie zdejmowano ładunek orchidei, lilii i róż. Zupełnie jakbym przemierzał przegub dłoni pięknej kobiety, która perfumami namaściła żyły. Znałem już aromaty wielu Nowych Jorków, ale po raz pierwszy poddałem się słodkiemu władaniu tysięcy zgładzonych ogrodów. W najlepszych chwilach Nowy Jork jest miastem nagłych epifanii, a kiedy tego lata wędrowałem po mieście, obiecywałem sobie, że otworzę się na wiele takich momentów.

Sporządziłem sobie listę rzeczy, które zrobię przed powrotem do Karoliny: przejdę sześć mil w ciągu niecałych pięćdziesięciu minut, w bibliotece siostry wyszukam dziesięć wybitnych książek, których dotąd nie przeczytałem, i nadrobię te zaległości, rozszerzę swoje słownictwo, nauczę się robić beurre blanc bez całkowitego upaknięcia się, zjem posiłek w „Lutece”, „Four Seasons”, „La Grenouille”, „La Côte Basque” i „La Tulipe”, obejrzę mecz Metsów z Atlanta Braves i Yankees z Boston Red Sox, trzy razy odwiedzę teatr i pójdę na pięć zagranicznych filmów, codziennie będę robił zapiski w dzienniku, a do rodziny pisał trzy razy na

tydzień, rano po zbudzeniu się będę robił pięćdziesiąt pompek i pięćdziesiąt przysiadów, opowiem doktor Lowenstein o wszystkich zdarzeniach w rodzinie, które mogą być pomocne do wyleczenia siostry.

Lato biegło, a ja od czasu do czasu uzupełniałem listę. Zamiar był prosty - przedstawiając cierpki, nieupiększony obraz przeszłości, chciałem na nowo odkryć zwawego, ambitnego chłopaka o śmigłych palcach, którym byłem na wyspie w Karolinie, a który potrafił nazwać każde stworzenie wyślizgujące się z rozwiązanych sieci na pokład ojcowskiego kutra. Miałem nadzieję, że przy odrobinie szczęścia powrócę w rodzinne strony w nadzwyczajnej formie. Stan mego ciała wielce mnie niepokoił, ale byłem przecież trenerem o niezwykłych umiejętnościach i wiedziałem, jak uzdrowić sytuację, jak kazać ciału zapłacić za lata serdecznego zaniedbania.

Minał tydzień od ostatniej wizyty u Savannah, kiedy w rozmowie z doktor Lowenstein wróciłem do zakazu odwiedzin. Umówiła się ze mną na wtorkowe popołudnie, ale przez całą naszą sesję wydawała się roztargniona i nieobecna. Kiedy w trakcie ostatnich dziesięciu minut trzy razy spojrzała na zegarek, z trudem zdusiłem w sobie gniew.

Była prawie siódma, gdy wstała, oznajmiając, że na dzisiaj to koniec naszej wspólnej rozmowy. Dała mi jednak znak, żebym poczekał, i podeszła do telefonu.

- Cześć, kochanie - powiedziała wesoło. - Przepraszam, że nie dzwoniłam wcześniej, ale byłam zajęta. Możesz zrobić kolację?

Zmęczenie uczyniło jej twarz delikatną i bezbronną. Była dojrzałą, znakomicie trzymającą się kobietą. Gdyby nie zmarszczki wokół ust i oczu - które stawały się wyraźne przy uśmiechu i wydawały się bardziej przejawem przychylności niż wrogości czasu - można ją było wziąć za nastolatkę. Włosy nosiła zaczesane na jedną stronę, wyrobiła sobie nerwowy, ale piękny odruch odgarniania ich znad oka, gdy mówiła.

- To źle, że próby idą niepomyślnie, kochanie - ciągnęła. - Tak, oczywiście, że rozumiem. Jutro przyjeżdża Bernard i będzie rozczarowany twoją nieobecnością. Dobrze, porozmawiamy o tym później. Do widzenia.

Sądząc z wyrazu twarzy, kiedy się odwracała, była rozczarowana lub dotknięta, ale natychmiast nad sobą zapanowała, uśmiechnęła się i zaczęła przewracać kartki kalendarzyka, aby sprawdzić, kiedy może się ze mną umówić na następne spotkanie.

- A co z odwiedzinami u siostry? - spytałem. - Przyjechałem do Nowego Jorku, gdyż sądziłem, że dobrze, by wiedziała, że ktoś z rodziny jest w pobliżu. Mam chyba prawo zobaczyć Savannah.

Nie podnosząc wzroku, powiedziała:

- Pacjentka umówiona jutro na drugą odwołała wizytę. Czy ta pora ci odpowiada, Tom?

- Zignorowała pani moje pytanie, doktor Lowenstein. Wydaje mi się, że mogę pomóc Savannah. Sądzę, że powinna wiedzieć, że jestem na każde zawołanie i że przyjechałem, aby jej pomóc.

- Bardzo mi przykro, Tom - odparła Lowenstein - ale jak już ci wspominałam, jej lekarze zauważyli, że twoje wizyty ogromnie wytrącają ją z równowagi. Wiesz także, że sama Savannah nalegała, aby na razie zakazać ci przychodzić.

- Czy powiedziała dlaczego? - spytałem.

- Tak, Tom. - Lowenstein patrzyła mi prosto w oczy. - Powiedziała.

- A będzie pani łaskawa zdradzić mi ten powód, doktor Lowenstein?

- Savannah jest moją pacjentką, Tom, i to, co mówi mi jako pacjentka, jest tajemnicą zawodową. Zaufaj mi i zespołowi lekarzy szpitalnych...

- Czy mogłaby pani sobie darować „zespół”, kiedy mówi pani o tych dupkach, doktor Lowenstein? Zupełnie jakby przechodziła próby przed przyjęciem do New York Giants.

- A jak chcesz, żebym ich określała, Tom? Będę mówiła zgodnie z twoim życzeniem.

- Na przykład: „dupki z Bellevue”. Zespół, niech mnie diabli. Psychiatra, który widzi ją raz na tydzień i ładuje tyle prochów, że starczyłoby na znieczulenie wieloryba, potem nieodpowiedzialny rady kierownik oddziału, pozbierane na chybił trafił ponure kulturystki na etatach pielęgniarek, a coś mi się też wydaje, że widziałem uśmiechniętego od ucha do ucha specjalistę od terapii zajęciowej, który zachęcał Savannah do robienia rękawic kuchennych. Zespół, drużyna, pieprzony kolektyw! Kogóż tam jeszcze mamy w tej reprezentacji Ameryki? No tak, salowi, durnie, których iloczyn inteligencji odpowiada punktowi zamarzania wody na skali stustopniowej. Kryminaliści na warunkowym zwolnieniu, których za psie pieniądze najęto, aby znęcali się nad świrami. Dlaczego jej pani stamtąd nie zabierze, doktor Lowenstein, i nie przeniesie do jakiegoś sztywnego country club, gdzie rozleniwione paniusie z klasy średniej cyzelują swoje umiejętności pingpongowe.

- Ponieważ Savannah jest nadal groźna dla siebie i dla innych - odpowiedziała, siadając na powrót w fotelu. - Pozostanie w Bellevue do chwili, gdy minie niebezpieczeństwo, iż znowu targnie się na swoje życie, do chwili, gdy jej stan ustabilizuje się na tyle...

- Chodzi pani o odpowiednie nafaszerowanie jej różnymi świństwami - przerwałem głosem bardziej podniesionym, niż zamierzałem. - O napchanie



jej po uszy thozazinem, stelazinem, artanem, trilafonem i co tam jeszcze jest w tej chwili na szczycie listy medycznych przebojów. Stan się ustabilizuje! Do diabła, moja siostra nie jest żyroskopem, doktor Lowenstein. Jest poetką, a jak może cokolwiek napisać, kiedy we krwi ma więcej chemikaliów niż białych ciałek.

- A jak myślisz, Tom, ile wierszy napisze, jeśli uda jej się odebrać sobie życie? - zapytała gniewnie Lowenstein.

- To jest pytanie nie fair - mruknąłem, spuściwszy głowę.

- Nieprawda, Tom - sprzeciwiła się. - Moim zdaniem, pytanie bardzo fair i bardzo dorzeczne. Widzisz, kiedy zobaczyłam Savannah po tym, jak podcięła sobie żyły, byłam bardzo wdzięczna tym „dupkom z Bellevue”, gdyż nie mogłam wobec niej zastosować żadnej terapii. Ma podobnie jak ty rezerwę czy nawet lęk wobec lekarstw i dlatego nie chciała się zgodzić, bym przepisała jej cokolwiek, co zapobiegłoby ponowieniu próby samobójstwa. Jestem zadowolona, że jest teraz w szpitalu, gdzie na siłę podają jej środki, jeśli sama nie chce współpracować. Bo ja chcę, Tom, żeby wyszła z tego żywa. Mało mnie obchodzi, czy bierze prochy, korzysta z voodoo, przyjmuje ostatnie namaszczenie czy wróży z tarota - oby tylko wyżyła.

- Nie ma pani prawa odgradzać mnie od siostry, doktor Lowenstein - powiedziałem.

- Jesteś w błędzie.

- W takim razie, po co ja tutaj jestem, doktor Lowenstein? O co chodzi? Po co siedzę tutaj i rozszyfrowuję dla pani taśmę, którą nagrała pani, kiedy Savannah była w fazie największego obłędu, była generalissimusową kukulczego gniazda. Nie wiem wcale na pewno, co Savannah miała na myśli, kiedy wywaląa z siebie ten bełkot. Potrafię powiedzieć,- co tamte czy inne fragmenty mi sugerują, ale skąd mogę wiedzieć, że dla niej znaczą to samo? Czuję się tak, jak gdybym to ja podlegał terapii. W jaki sposób moja wizja upiornego dzieciństwa może pomóc Savannah? W tej rodzinie okropnie było być chłopakiem. Bycie dziewczyną przekracza jednak granice mojej wyobraźni. Niech więc ona opowie pani swoją historię, a ja wracam do swoich krewetek, bo tam jest moje miejsce.

- Nie, Tom, nie jesteś moim pacjentem - powiedziała miękko doktor Lowenstein. - Rozpaczliwie staram się pomóc twojej siostrze. Poświęcam ci czas tylko dlatego, że możesz rzucić światło na jej przeszłość. Jej sytuacja jest ciągle dramatyczna. Takiej desperacji nie spotkałam jeszcze u żadnego pacjenta. Chcę, żebyś dalej mi pomagał. Wcale nawet nie musimy się lubić, Tom. Nie to jest teraz ważne. Oboje chcemy zachować twoją siostrę przy życiu.

- Ile pani za to dostaje, doktor Lowenstein?
- Pieniądze nie mają dla mnie znaczenia. Robię to w imię samego robienia.
- Oczywiście! - zaśmiałem się. - Psychiatra, który nie myśli o pieniądzach, jest podobny do zapaśnika sumo, który nie myśli o tuszy.
- Możesz drwić ze mnie, Tom, i guzik mnie to obchodzi. Możesz wnikać nawet w moje najgłębsze motywy i uznać, że to bardzo dowartościuje moje ego, kiedy uda mi się zrekonstruować potrzaskane ja poetki i odbudować je na nowo. Z czegokolwiek by to wynikało, gorąco chcę to osiągnąć.
- A Savannah, wyleczona dzięki magicznemu dotykowi dłoni, będzie w niezliczonych wierszach wychwalać cudowny dar psychiatry, potrafiącej wygnać biesy, które opanowały jej kruchą duszę.
- To prawda, Tom, że dla mojej reputacji zawodowej spore znaczenie miałyby to, że ją uratuję, natchnę siłą, która pozwoli jej znowu pisać. Jest jednak pewna rzecz, której nie rozumiesz. Kochałam wiersze twojej siostry na długo przedtem, zanim okazało się, że będę jej lekarką. Kochałam i kocham. Przeczytaj tylko jej wiersze, Tom.
- Cooo!!! - wrzasnąłem, zrywając się z krzesła i gniewnie nachylając nad Lowenstein. - Pani mi radzi czytać wiersze Savannah? Raczy pani zapominać, że trener to wcale nie znaczy orangutan, a także o tym drobiazgu z mojego żalosego życiorysu, że jestem również nauczycielem angielskiego, świetnym nauczycielem, obdarzonym tym zdumiewającym talentem, który sprawia, iż żujące gumę południowe głąby zakochują się w języku, którym mówią. Czytałem wiersze Savannah na długo przedtem, nim pani zaczęła swoje rozmówki z neurotykami.
- Wybacz mi, Tom - powiedziała - przepraszam, ale nie zrozumiałeś mnie. Nie chodzi mi o treść wierszy, lecz o to, jak są napisane, o ten ich osobisty charakter, o to, że pisane są o kobiecie i dla kobiet.
- Wcale nie - zachnąłem się. - Niech to jasna cholera! Wcale nie. Dlaczego wszyscy w tym mieście są tacy durni, dlaczego powtarzają dookoła to samo o jej wierszach? To je umniejsza, to umniejsza dzieło każdego pisarza.
- Zatem nie sądzisz, że pisane są przede wszystkim dla kobiet? - spytała.
- Nie, pisane są po prostu dla ludzi. Dla mężczyzn i kobiet, którzy są odpowiednio wrażliwi. Mają wzbogacać, mają zaskakiwać, ale do tego, żeby je rozumieć i cenić, nie trzeba żadnych przekonań politycznych. To, co znakomite w jej wierszach, nie ma nic wspólnego z jej zapatrywaniami politycznymi. Takie podejście trywializuje jej poezję, każdą poezję. A kiedy ona sama przyjmuje taką postawę, pisze gorsze wiersze, banalne i

oczywiste. W tym mieście jest z milion rozgoryczonych kobiet, które mają podobne poglądy polityczne, ale tylko Savannah potrafi sprawić, by język śpiewał jak ptak lub łkał jak zraniony anioł.

- Trudno oczekiwać, byś zrozumiał stanowisko feministek - rzekła z pasją Lowenstein.

Przyjrzałem jej się uważnie i dostrzegłem coś w jej sylwetce, co dopiero teraz wydało mi się skrajnie przerysowane, wystudiowane.

- Proszę mnie spytać, czy jestem feministą, pani doktor - powiedziałem.

Roześmiała się sarkastycznie i spytała:

- Czy jesteś feministą, Tom?

- Tak.

- Tak? - powtórzyła, a potem zanosła się śmiechem, donośnym i szczerym, jaki po raz pierwszy słyszałem u powściągliwej, opanowanej doktor Lowenstein.

- Z czego się pani śmieje?

- To była ostatnia odpowiedź, jakiej bym się po tobie spodziewała.

- Po białym samcu z Południa i tak dalej?

- Właśnie, po białym samcu z Południa i tak dalej.

- Pieprzenie w bambus - powiedziałem oschle.

- Dobrze wiedziałam, że jesteś szowinistą.

- Takiej postawy nauczyła mnie Savannah, pani doktor. Pani feministyczna pacjentka. Powtarzała mi” żeby nie dawał sobie wciskać gówna, czy będą to feminiści, rasiści, miłośnicy Trzeciego Świata, obskuranci, poskramiacze lwów czy jednoręczni żonglerzy. Jeśli uznam, że nie mają racji, mam zaufać swemu instynktowi i mówić to, co myślę.

- Wspaniale, Tom - powiedziała Lowenstein. - Bardzo postępową postawą jak na trenera.

- A jak ma pani na imię, pani doktor? - spytałem, wpatrując się w nią. - Jestem tutaj już trzeci tydzień, a jeszcze nie wiem, jak pani na imię.

- To nieważne. Nie pozwalam pacjentom zwracać się do mnie po imieniu.

- To nie ja jestem pani pacjentem, a moja siostra. Jestem jej bratem z Cro-Magnon i chciałbym mówić pani po imieniu. Nie znam w tym mieście nikogo oprócz kilku znajomych Savannah, czuję się bardzo samotny, a tu na dodatek okazuje się, że nie wolno mi odwiedzać siostry, chociaż, czuję, że potrzebuje mnie bardziej niż kogokolwiek innego na świecie. Pani mówi do mnie „Tom”, więc i ja chcę się zwracać do pani po imieniu.

- Wolę, żeby relacje między nami były bardziej oficjalne - odrzekła, a ja poczułem się uwięziony w tej sterylnej atmosferze pokoju z pastelowymi

powierzchniami i dobrymi manierami. - Nie jesteś wprawdzie moim pacjentem, ale przychodzisz tutaj, aby pomóc mojej pacjentce. Chcę, żebyś zwracał się do mnie „pani doktor”, gdyż do takiej formy przywykłam w tym miejscu. Bardzo się lękam sytuacji, w której mężczyzna taki jak ty staje się nazbyt poufały, dlatego lepiej pozostajemy na płaszczyźnie profesjonalnej.

- Znakomicie, pani doktor - powiedziałem z przesadną uniżonością, zmęczony już całą tą wymianą zdań. - Całkowicie się zgadzam, ale w takim razie proszę i do mnie nie zwracać się per „Tom”. Proszę używać mego profesjonalnego tytułu.

- To znaczy?

- Proszę do mnie mówić „panie trenerze”.

- „Panie trenerze feministo”.

- Tak. „Panie trenerze feministo”.

- Tom, czy jakaś część twojej osoby nienawidzi kobiet? - spytała, nachylając się ku mnie. - Naprawdę nienawidzi?

- Tak - odrzekłem i wytrzymałem intensywne spojrzenie jej czarnych oczu.

- A czy masz jakieś podejrzenia, dlaczego nienawidzisz kobiet? - spytała, znowu przybierając ton zawodowej neutralności.

- Tak, wiem bardzo dobrze, dlaczego nienawidzę kobiet. Zostałem wychowany przez kobietę. A teraz proszę o następne pytanie. Następne logicznie narzucające się pytanie.

- Chyba nie rozumiem.

- Proszę mnie spytać, pani feministyczna lekarko z Nowego Jorku, czy nienawidzę mężczyzn. Czy nienawidzę cholernych mężczyzn.

- Czy nienawidzisz mężczyzn?

- Tak - odparłem. - Nienawidzę mężczyzn, gdyż zostałem wychowany przez mężczyznę.

Przez chwilę trwaliśmy w ciasnym uścisku wzajemnej niechęci. Drżałem na całym ciele i czułem, jak do mego serca zakrada się wielki smutek. Spłynęła na mnie rozpacz, której ofiarami stają się bezbronni i wydziedziczeni. W tym gabinecie oto coś we mnie umierało, ale nic na to nie mogłem poradzić.

- Na imię mam Susan - powiedziała cicho.

Mało się nie udławiłem z wdzięczności.

- Dziękuję, pani doktor. Nie będę się do pani zwracał po imieniu, ale chciałem wiedzieć.

Zobaczyłem, jak znika napięcie z jej oczu wraz z tym, jak oboje wycofujemy się z pola możliwego konfliktu. Mimo pozorów miała

porywczy charakter, ale wołała też unikać ran. Był pewien wdzięk i subtelna konsekwencja w sposobie, w jaki próbowała ocalić coś ważnego przed zarem naszej konfrontacji.

- Dziękuję, doktor Lowenstein - powiedziałem. - Pięknie pani rozwiązała tę sytuację. Zazwyczaj specjalnie się tym nie przejmuję, kiedy wychodzę na głupka, ale nie znoszę okazywać się samczym głupkiem.

- Czemu zostałeś na Południu, Tom? - spytała po krótkiej chwili.

- Powiniennem być się wynieść - odrzekłem - ale brakowało mi odwagi. A wszystko z tego powodu, że miałem złe dzieciństwo. Wyobraziłem sobie, że jak pozostanę na Południu, odwrócę problem dzieciństwa w ten sposób, że swoje dorosłe życie uczynię znakomitym. Trochę podróżowałem, ale to nic nie zmieniło. Żadnemu miejscu nie potrafiłem zaufać na tyle, aby się mu powierzyć. No i jak ta dupa wołowa trwałem w Karolinie Południowej. Zabrakło mi może nie tyle postanowienia, co wyobraźni. I z każdym rokiem traciłem odrobinę z tego, co sprawiało że byłem interesującym chłopakiem. Nie zastanawiam się nadmiernie ani nie stawiam zbyt wielu pytań. Po prostu na nic nie mam odwagi, na nic nie potrafię się zdobyć. Nawet moje pasje wyblakły i podupadły. Kiedyś wyobrażałem sobie, doktor Lowenstein, że będę wielkim człowiekiem. Teraz mogę mieć nadzieję co najwyżej na to, że z trudem wespnę się na poziom przeciętności.

- Brzmi to jak opowieść o życiu przegranym.

- Nie - sprzeciwiłem się - moim zdaniem jak opowieść o normalnym życiu. Ale, ale, strasznie długo już panią tutaj zatrzymuję. Czy dałaby się pani zaprosić na kolację, abym mógł w ten sposób odpokutować swoje karygodne zachowanie?

- Kolację miałam zjeść z mężem, ale próby idą mu niedobrze.

- Jest takie miejsce, gdzie zabrałem Luke'a i Savannah, kiedy ukazała się jej pierwsza książka.

- Co to za miejsce?

- „The Coach House”.

- „The Coach House”? - powtórzyła ze śmiechem. - „Sale Trenera”? Wybrałeś z uwagi na nazwę?

- Tak sobie w drodze żartowałem, ale dopiero Savannah zwróciła mi uwagę na to, co powinno być oczywiście dla nauczyciela angielskiego. „Coach” znaczy także ‘powóz’, więc „Coach House” to równie dobrze „Zajazd” czy wręcz „Stajnia”. Ale mówiąc szczerze, przeczytałem gdzieś, że jest to kwintesencja nowojorskiej gastronomii.

- Muszę wracać do domu. Jutro mój syn przyjeżdża z internatu.

- Doktor Lowenstein, niech pani nie rezygnuje z fundowanego jadła i napitku. To przynosi pecha i jest wyrazem złego smaku.

- Ach, do diabła, niech i tak będzie - westchnęła. - Po raz czwarty w ciągu dwóch tygodni mąż wystawia mnie do wiatru. Ale musisz mi przyrzec jedno, Tom.

- Czegokolwiek pani zażąda, doktor Lowenstein.

- Podczas kolacji powiesz mi jeszcze raz, że wydaję ci się piękna. Zdziwiłbyś się, gdybyś wiedział, jak często przypominały mi się twoje słowa, od chwili gdy usłyszałam je w Plaza.

Podałem jej ramię.

- Czy piękna Susan Lowenstein zechce towarzyszyć trenerowi Wingo do kwintesencji nowojorskiej gastronomii?

- Tak. Piękna Susan Lowenstein będzie tym uszczęśliwiona.

Aż do roku 1953 oprócz mojej rodziny nie było w Colleton katolików. Ojcowskie nawrócenie w czasie wojny, jedyny w jego życiu radykalny akt ducha, był niebezpieczną i zawadiacką wyprawą na zarosłe zielskiem morza doktryny. Matka bez słowa protestu przystała na zmianę wyznania, podobnie jak on, także ona uważała, że fakt jego uratowania się w Niemczech jest nieodpartym dowodem na istnienie Boga i jego nieustanne uczestniczenie w codziennych ludzkich sprawach. A było tyle naiwności w naturze mojej matki, iż uważała, że nawrócenie na katolicyzm automatycznie poprawi jej pozycję społeczną, i dopiero wolno oraz boleśnie uczyła się tego, iż na amerykańskim Południu nie ma nic dziwniejszego niż rzymski katolik.

W swą płomienną wiarę rodzice wstąpili z jaskrawą, nienaruszoną ignorancją. Nic nie wiedzieli o ogromnej, zawilej architekturze, na szczycie której znajdował się biskup Rzymu. Uczyli się swej teologii stopniowo, kawałek po kawałku, a jak wielu nowicjuszy z niesłychaną gorliwością przykładali się do tego, aby zostać pierwszymi papistami na tym fragmencie wybrzeża atlantyckiego. Jednak chociaż na potęgę serwowali sobie soczyste połączenie dogmatu, to przecież pozostali zatwardziałymi baptystami, skrytymi za welonami i maskami wybudowanej teologii. Dusze ich przy wodziły na myśl letnie pola, które nawykłe do miejscowej roślinności, nagle zostały zmuszone do wydania obfitych, a nienaturalnych plonów, na zawsze jednak ich znajomość reguł kościelnych i bardziej zawitych kodyfikacji pozostała w najlepszym razie powierzchowna.

Przez całe lata matka czytała nam po kolacji Pismo, a jej głos skakał w zawrotnych arpeggiach w dół i górę skali Biblii Króla Jakuba. Dopiero kiedy miałem dziesięć lat, dowiedziała się, że jej Kościół zakazał lektury tej

śpiewnej prozy postelźbistańskiej, w jej miejsce zalecając wersję Douay-Rheims. Nic nie wiedziała o zasadzie imprimatur, posłusznie jednak dostosowała się do zaleceń i dlatego latom dojrzewania towarzyszyły toporne, sumienne frazy wersji Douay, które zawsze trochę przypominały rozstrojoną gitarę. Uszczerbek poetycki rekompensowała jednak świadomość, że wyzwoliliśmy się z błędu teologicznego. Matka utrzymywała nawet, że Douay-Rheims podoba jej się bez porównania bardziej, i wystarczyło, by przypadkowo otworzyła ją na Deuteronomium, a pierwszych kilka wersów natychmiast ją pouczyło, że ma do czynienia z autentkiem.

Niewinność mych rodziców była tak wielka, że jako jedyni chyba w Ameryce katolicy poważnie potraktowali tezy papieża w kwestii kontroli urodzin. Wyobrażałem sobie, że niezależnie od niesnasek małżeńskich prowadzili zdrowe i pełne wigoru życie erotyczne, o czym mogła świadczyć chociażby liczba ciąż matki. Dopiero później miałem się dowiedzieć, że pilnie trzymali się metody naturalnej, sprawdzając każdego wieczoru kalendarz i zastanawiając się, czy mogą uprawiać seks (kwestie te omawiali w języku przyzwoitym i bezosobowym). Można przypuścić, że w latach pięćdziesiątych więcej dzieci zostało poczętych za sprawą naturalnej kontroli urodzin niż seksu czysto spontanicznego. Savannah o wiele lepiej niż bracia wtajemniczona w zawilości tych kwestii nazwała ją później Naszą Panną Periodalną. Matka nie była zachwycona, kiedy się o tym dowiedziała, przydomek był jednak celny i gustowny.

Cztery lata z rzędu, od roku 1952 do 1956, matka zachodziła w ciążę i chociaż każdą donosiła, dzieci rodziły się martwe. Te niewidome, nieme półdzieci pochowaliśmy pod dębami rosnącymi na tyłach domu, na mogiłkach stawialiśmy proste drewniane krzyże z wyciętymi imionami, podczas gdy matka łkała w łóżku. Ojciec nigdy nie uczestniczył w tych małych ceremoniach żałobnych, nigdy też nie wypowiedział ani słowa, które świadczyłoby o tym, iż żal mu zmarłych dzieci. Chrzcił je pod kranem kuchennym, a potem w plastikowej torbie trzymał w zamrażalniku do czasu, aż matka wydobrzała i mogła opuścić szpital.

- To Rosę Aster - powiedział w lecie 1956 roku, podczas kiedy my w milczeniu patrzyliśmy zza stołu kuchennego. - I tak zresztą nie byłoby z niej pożytku na łódce.

- Ze mnie jest pożytek na łódce, tato - powiedziała Savannah.

- Nic nie jesteś warta na łódce, Savannah - mruknął. - Nadajesz się najwyżej do urywania łebków krewetkom.



Ochrzcił miękkościastą Rosę Aster w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego głosem tak bezbarwnym i beznamiętnym, tak wyzbytym wszelkiego smutku czy bólu, jak gdyby było to błogosławieństwo przed posiłkiem. Potem poszedł na tylną werandę, włożył córeczkę do czystej torby plastikowej i położył w zamrażalniku na pudełkach z krewetkami i rybami.

- Tatusiu, nawet nie zdążyłam się pożegnać z moją siostrzyczką - powiedziała Savannah, która poszła w ślad za nim.

Uniósł wierzch zamrażarki i rzekł:

- No to masz okazję. Powiedz „do widzenia”. Powiedz „dzień dobry”. To bez znaczenia, córuś. Rosę Aster to tylko kawałek mięsa, nic więcej. Rozumiesz? Ona w tej chwili to jak pięć funtów śniętych krewetek. Nie ma kogo witać ani żegnać. Jak matka wróci ze szpitala, trzeba będzie to coś zakopać w ziemi i już.

Kiedy nazajutrz ojciec przed świtem udał się na przystań, zbudziło mnie niewyraźne, jakby zwierzęce kwilenie. Wydawało mi się, że to może jakaś dzika kotka wpełzła pod dom, aby powić kocięta, ale nie byłem pewien. Wstałem z łóżka i ubrałem się, nie budząc Luke'a. W saloniku zorientowałem się, że głos dochodzi z sypialni Savannah. Zanim wszedłem, przez chwilę stałem i przysłuchiwałem się jej spazmatycznemu, tłumionemu łkaniu, temu morderczemu rozpadaniu się duszy, które miało stać się nieomylnym znakiem rozpoznawczym szaleństwa mojej siostry. Wystraszony wśliznąłem się cicho do pokoju i zobaczyłem, że Savannah mocno przyciska coś do piersi. Było w jej płaczu coś tak smutnego, że niemal gotów już byłem zostawić ją samą, zarazem jednak nie pozwalała mi odejść jakaś przeraźliwie chropawa nuta. Pochyliłem się nad nią, odwróciłem na plecy i wstrząśnięty, wiedziony braterskim współczuciem oderwałem jej ręce od zimnego, nieruchomego ciała Rosę Aster.

- Daj mi ją przytulać, Tom - zawodziła Savannah. - Miała być naszą siostrą i nikt nawet na chwilę się nad nią nie zatrzymał, aby ją pokochać. Chciałam tylko przez minutkę do niej mówić. Żeby wiedziała, że nie cały świat jest taki jak oni.

- To nie tak, Savannah - szepnąłem. - Niczego nie możesz jej powiedzieć. Mama i tata zbiją cię, jak się dowiedzą, że wyjąłeś ją z zamrażalnika. Poza tym może zacząć się psuć, zanim ją pochowamy.

- Jest coś, co mogę jej powiedzieć. - Savannah wyrwała mi ciało i znowu przygarnęła je do piersi. - Mogę jej bardzo dużo powiedzieć. Już jej mówiłam, że zatroszczymy się o nią, nie pozwolimy, żeby ją skrzywdzili. Będziemy ją chronić przed nimi. Powiedz jej to, Tom. Ona tego potrzebuje.

- Savannah, nie wolno ci tak mówić. Bóg słyszy wszystko. To grzech mówić tak na rodziców.

- Tom, ona już czwarta rodzi się martwa. Jak myślisz, czy to nie znak od Boga? Te małe istotki wołają nie żyć. Ja myślę, że słyszą, co dzieje się w tym domu, i mówią: „Nie, nie, Panie, to nie dla mnie”. Nie wiedzą, że my: ty, ja i Luke, jesteśmy dobrzy.

- Mama mówi, że jesteśmy źli - zauważyłem. - Powtarza to każdego dnia. Mówi, że jesteśmy coraz gorsi, Tata mówi, że ona rodzi martwe dzieci, bo jesteśmy niedobrzy, nie dajemy jej spokoju.

- Dla niego za wszystko jesteśmy winni. Ale wiesz, co mi się zdaje, Tom? Te maluszki, jak Rosę Aster, są szczęśliwsze od nas. Są mądrzejsze. Wiedzą, że mama i tata są wstrętni. Pewnie czują, że zbliża się ich czas i popełniają samobójstwo w brzuchu mamy. Szkoda, że my nie byliśmy tacy mądrzy.

- Daj mi Rosę Aster, Savannah, zaniosę ją z powrotem do zamrażarki. To chyba śmiertelny grzech wyjmować stamtąd dziecko.

- Staram się ją pocieszyć, Tom. Nie mogła nawet zobaczyć, jaki piękny bywa świat.

- Jest teraz w niebie. Tata ją ochrzcił- A jak się nazywały tamte? Ciągle zapominam.

- David Tucker. Robert Middleton. Ruth Frances. A teraz Rosę Aster, - Mielibyśmy wielką rodzinę, gdyby nie umarli.

- Ale umarli, Savannah. Są już w niebie i tam troszczą się o nas. Tak mówi mama.

- Jeśli tak, to nie bardzo im wychodzi - powiedziała z zastanawiającą goryczą.

- Słońce już zaraz wstanie, Savannah. W domu zaczną cuchnąć od Rosę Aster i wtedy dopiero będziemy mieli kłopoty, - Spałam z nią przez całą noc. Ma takie śliczne rączki i stopki... Najmniejsze na świecie. Przez całą noc myślałam, jakie to byłoby wspaniałe, mieć małą siostrzyczkę. Zabiłabym mamę i tatę, gdyby chcieli jej zrobić coś złego.

- Mama i tata kochaliby ją - powiedziałem zakłopotany - tak jak kochają nas.

- Oni nas nienawidzą - powiedziała, a w bladym świetle w jej oczach zalśniła rozpacz i mądrość. - To tak łatwo zobaczyć. - Trzymając małe ciało w dłoniach, ucałowała je w bezwłosą główkę. - Właśnie dlatego jej jest lepiej. Płakałam, bo jej zazdroścę. Chciałabym być razem z nią i resztą.

Delikatnie odebrałem siostrze niebieskawe zwłoki i zaniósłem je na werandę. Słońce wznosiło się już nad horyzont, gdy ponownie zawinąłem zmarłą siostrę w plastik i ułożyłem między rybami oraz krewetkami.

Wracając, słyszałem, jak Savannah mówi sama do siebie jakimś zupełnie innym głosem, ale już jej nie niepokoilem. Rozpaliłem natomiast w piecu i na patelnię rzuciłem sześć plasterków bekonu. Dzisiaj była moja kolej robienia śniadania, a po południu matka wracała ze szpitala.

Zanim ojciec wrócił z rzeki, pochowaliśmy Rosę Aster w niepoświęconej ziemi. Dziadkowie przywieźli matkę ze szpitala i kiedy wróciliśmy ze szkoły, leżała w łóżku. Nie chciała, żeby zostali przy niej, gdyż, jak powiedziała, musi trochę pobyc sama.

Luke i ja wykopaliśmy mogiłę, a Savannah zawinęła zamrożone ciało w czyste, białe płótno, które matka zabrała ze szpitala. Matka nie ruszała się z pokoju i dopiero Luke po nią poszedł. Ciężko na nim oparta udała się na tył domu, żeby uczestniczyć w ceremonii, szła tak, jakby każdy krok był ryzykowny i okupowała go straszliwym bólem. Opadła na kuchenne krzesło, które Savannah dla niej przyniosła. Jej twarz, zapadła i anemiczną, cierpienie jeszcze wyciągnęło i była niczym bizantyńska Madonna, w obłędzie czekająca pod krzyżem na śmierć udręczonego dziecka. Ból zacisnął jej usta w wąską, zgorzkniałą kreskę. Nie przemówiła do nas ani słowem, od kiedy zjawiliśmy się w domu, a i nam nie pozwalała powiedzieć, jak bardzo jesteśmy przybici. Kiedy usiadła, dała głową znak mnie i Luke'owi, żebyśmy zaczęli pogrzeb.

Savannah umieściła Rosę Aster w małej drewnianej skrzyneczce, którą zrobiliśmy w tym celu. Była niewiele większa od domku dla ptaków i samo niemowlę wydawało się nieopierzonym, nie wyklutym ptakiem. Przybiliśmy gwoździami wieko, po czym wziąłem trumienkę i złożyłem na kolanach matki. Popatrzyła na nią i załkała, potem podniosła i delikatnie ucałowała, a następnie uniosła oczy ku niebu i nagle krzyknęła w bezsilnym gniewie:

- Nie, nie wybaczę ci, Panie. Tak nie wolno. Tak po prostu nie wolno. Chowam już czwarte pod tymi drzewami i więcej nie dam ci żadnego. Słyszysz mnie? Nic mnie już nie obchodzi twoja Przenajświętsza Wola. Ani się waż zabrać mi jeszcze jakieś dziecko. Ani się waż! - Potem spuściła oczy i powiedziała: - Weźcie swoją siostrę, chłopcy, a potem wszyscy pomódlcie się razem ze mną. Daliśmy niebu następnego aniołka. Spoczywaj w objęciach Pana, Rosę Aster. Spoglądaj z góry na rodzinę, która by cię kochała i chroniła przed złem. Od teraz będziesz jednym z Bożych aniołków. Czuwaj nad tym domem oraz swoimi braćmi i siostrami. Cztery

są już teraz aniołki z domu Wingo i tego powinno być dosyć, by roztoczyć opiekę nad każdym domem. Jeśli nie, to niechże dzieje się wola Pana, ale nie jest ona moją. Jego zamierzenia wobec świata są tajemnicą dla nas, którzy go tutaj wielbimy. Boże, Boże, Boże, bądź przeklęty.

Potrąfiliśmy zmówić Confiteor po łacinie, wierzyliśmy w transsubstancję i nieśmiertelność duszy, a przecież było w nas wszystkich coś dziwnego, nieoswojonego, co sprawiało, że ekstaza i szaleństwo przemawiały do nas bardziej niż spokojna katechetyczna wiara. Dusza katolicka to dusza śródziemnomorska i barokowa, która z trudem zapuszcza korzenie i rozkwita w nieprzyjaznej glebie amerykańskiego Południa.

- Tyle możecie zrobić, że pomodlicie się za swoją siostrę. Uklęknijcie. Zawołam was na kolację.

- Idzie burza, mamó - usłyszałem głos Luke'a.

- Nawet jeszcze nie pomodliliście się za duszę swojej siostry - powiedziała matka głosem chrapliwym i znużonym.

Uklękaliśmy, pochyliliśmy głowy i zamknęli oczy, a matka powlokła się z powrotem do domu. Wiatr zatargał mchem na drzewach, a ciemne chmury w gniewnym pośpiechu nadciągały od północy. Modliłem się gorąco za duszyczkę Rosę Aster. Wydawało mi się, że dusza jest czymś lekkim i kruchym jak ciastko. Jej dusza w deszczu i nawałnicy uniosła się ponad wyspę. Porwała ją w górę wibrująca drabina błyskawicy. Grzmot uczcił najmniejszą, najbardziej kruchą część naszych rozpaczliwych egzystencji. Deszcz zaczął padać ciężkimi kroplami, a my zerkaliśmy w kierunku domu, czekając, aż matka zawoła nas na kolację.

I znowu usłyszałem, jak Savannah mówi:

- Masz szczęście, Rosę Aster. Masz szczęście, że nie musisz żyć razem z nimi.

- Jak piorun walnie w to drzewo, będzie musiała pochować jeszcze trójkę - mruknął Luke.

- Módlmy się - powiedziałem.

- Gdyby Bóg chciał, żebyśmy modlili się w deszczu, nie kazałby nam budować kościołów - zauważył Luke.

- Oboje zwariowali - rzekła z przekonaniem Savannah, nadal trzymając ręce skrzyżowane na piersi. - Oboje są wariatami, Panie, i musisz nam pomóc wydostać się stąd.

- Savannah, zamknij się - powiedziałem. - Bóg nie chce słuchać takich rzeczy.

- Może i nie chce, ale ja Mu to powiem. Zesłał nas tutaj do nich, więc powinien wiedzieć, że to świry.

- To nie są żadne świry, Savannah. To nasi rodzice, a my ich kochamy.  
 - Przyglądam się, jak postępują inni ludzie, obserwuję. Nikt nie jest taki jak oni. To pomyłki.

- Pewnie, kto to słyszał, modlić się za nieżywe dziecko w deszczu? - poparł ją Luke.

- Chcemy, żeby Rosę Aster poszła do nieba - upierałem się.

- E tam - mruknęła Savannah. - Podaj chociażby jeden powód, dla którego nie miałyby tam być już teraz. Jaki to musiałby być Bóg, żeby posłać Rosę Aster do piekła.

- To nie twoja sprawa.

- Nie moja? To po co tkwimy tutaj, na pół utopieni, skoro to nie nasz interes? Biedna dziecina urodziła się nieżywa, została ochrzczona nad zlewem i włożona do zamrażalnika razem z krewetkami i makrelami, więc powiedz mi, Tomie Wingo, czym sobie zasłużyła, żeby pójść do piekła?

- To sprawa Boga, a nie nasza.

- Moja siostra i moja sprawa. Szczególnie jeśli mam się za nią modlić podczas burzy - obruszyła się Savannah, a jej włosy ściemniały i splątały się od wody.

Burza była coraz gorsza, a ja zacząłem dygotać. Otarłem wodę z oczu i odwróciłem się w kierunku domu, czy to możliwe, żeby matka po prostu nie zauważyła, że pada? W strugach dom ledwie było widać, więc odwróciłem się do malutkiego, nędznego grobu, - Dlaczego mama jest stale w ciąży? - spytałem bez żadnego specjalnego powodu i nie oczekując żadnej konkretnej odpowiedzi.

Savannah złożyła ręce w geście przedrzeźniającym modli tve, westchnęła i odparła:

- Gdy mama i tata ciągle mają stosunki seksualne.

- Nie mów o świństwach - ofuknął ją Luke i powrócił do modlitwy. Jako jedyny usiłował zrobić coś jeszcze dla zwłok naszej siostry.

- Co mają? - spytałem nieufnie, gdyż po raz pierwszy usłyszałem takie śmieszne, dziwne wyrażenie.

- Stosunki seksualne - powtórzyła Savannah. - A jak o tym myślę, to robi mi się niedobrze. Luke wie, o co chodzi, ale jest wstydlivy i nie chce o tym mówić.

- Nie jestem wstydlivy, ale modlę się, tak jak nam mama kazała.

- Ty i Tom musicie przestać tak przeciągać głoski, bo tak mówią prostytutki.

- Będziemy przeciągać, bo jesteśmy prostytutkami, tak samo jak ty - odrzekł Luke.

- Mów za siebie - zachnęła się Savannah. - Mama powiedziała mi w sekrecie, że pochodzimy z bardzo starej południowej arystokracji.

- Jasne - mruknął Luke.

- Z pewnością nie jestem prostaczką - obstawała przy swoim Savannah i poprawiła kolana wciśnięte w mokrą ziemię.

- Mama mówi, że w moich ruchach znać wytworność.

- Tak, tak - zachichotałem. - Strasznie byłaś wytworna w nocy, jak spałaś razem z Rosę Aster.

- Cooo? - spytał z niedowierzaniem w głosie Luke.

Savannah spojrzała na mnie takim wzrokiem, jakby umknęła jej pointa dowcipu.

- O czym ty mówisz, Tom?

- O tym, że wczoraj przytulałaś przez całą noc martwą Rosę Aster, którą wyjął z zamrażalnika.

- Nie wygaduj takich głupot - Savannah wzruszyła ze złością ramionami i popatrzyła poważnie na osłupiałego Luke'a.

- Jak ktokolwiek mógłby robić coś równie dziwnego? Na samą myśl o zmarłym dziecku dostaję dreszczy.

- Sam widziałem, Savannah - upierałem się. - I potem musiałem ją zanieść do zamrażalnika.

- Musiało ci się przyśnić - oświadczył stanowczo Luke.

- Jak komuś może się przyśnić coś takiego? Powiedz mu prawdę, Savannah. Powiedz mu, że to nie był sen.

- Nie wiem, o czym ty mówisz, Tom. Musiało ci się przyśnić.

Chciałem się dalej upierać, ale usłyszeliśmy, że na werstepach drogi podskakuje samochód ojca. Wszyscy troje spuściliśmy głowy i zaczęliśmy żarliwie modlić się za małą Wingo świeżo powołaną do grona aniołków. Zahamował koło nas i przez chwilę słychać było tylko dźwięk wycieraczek. Ojciec przez dłuższą chwilę przyglądał się nam w milczeniu, aż wreszcie fuknął:

- Czy wyście do reszty pogłupieli?

- Mama kazała nam się modlić za Rosę Aster - wyjaśnił Luke - więc to robimy. Pochowaliśmy ją dzisiaj.

- Także was troje zakopiemy pod tymi drzewami, jak się natychmiast nie zabierzecie z tego deszczu. Nie wystarczy jej, że tamte są martwe, to chce jeszcze uśmiercić żywe. Jazda do domu!

- Mama będzie wściekła, jak wrócimy za wcześniej - powiedziałem.

- Jak długo tutaj klęczycie podczas burzy?

- Chyba z godzinę - odezwał się Luke.

- Chryste Panie! W sprawach religii nigdy nie słuchajcie matki. Kiedy była mała, zbierała grzechotniki, żeby pokazać, jak kocha Pana Boga. Ochrciłem Rosę Aster i ma się o wiele lepiej od nas wszystkich. A teraz zjeżdżajcie do domu, a ja już porozmawiam z matką. Ma teraz depresję popołogową. Tak dzieje się z kobietami, kiedy tracą niemowlę. Teraz przez kilka tygodni musicie być szczególnie dobrzy dla mamy. Przynoście jej kwiaty. Róbcie przyjemne niespodzianki.

- A czy ty dałeś jej kwiatek? - spytała Savannah.

- Prawie, prawie. Myślałem o tym, ale potem zapomniałem - powiedział i ruszył w kierunku stodoły.

Wstaliśmy z kolan i otrzepali, wstrząsani dreszczami.

- Ale miły facet - powiedziała Savannah. - Umiera mu dziecko, a on nawet kwiatka żonie nie przyniesie.

- Myślał o tym - zauważył Luke.

- I prawie przyniósł - dodałem.

Poszliśmy do domu, z trudem dusząc zakazany śmiech: złośliwy śmiech dzieci wzrastających w nieszczęściu, śmiech uciśnionych. Tym śmiechem zakończyła się godzina żałobna nad ciałkiem naszej siostry, ozdowieńczym śmiechem, który podtrzymywał nas na duchu, gdy od małego ogródka ze śpiącymi Wingo wracaliśmy do domu i swoich rodziców. Na każdym grobie matka sadziła róże, a te rozkwiwały wspaniale i bujnie, kolor i piękno kradnąc z niemowlęcych serc. Nazywała je „aniołkami z ogródka”, każdej wiosny opowiadała swe historie w Rozkwitających kwiatkach.

Tego wieczoru matka nie wyszła już z sypialni i na kolację zjedliśmy kanapki z masłem orzechowym i dżemem. Wszyscy troje przyrządziliśmy krewetki zapiekane z kukurydzą i zanieśliśmy matce na tacy razem z bukietem dzikich kwiatów. Płakała bez ustanku i niczego nawet nie tknęła. Ojciec siedział w pokoju frontowym i przeglądał ze złością stare numery „Southern Fisherman”, zerkając co jakiś czas w kierunku pokoju, gdzie łąka jego żona, a oczy lśniły mu wtedy w elektrycznym świetle tak, jakby powleczone były wazeliną. Był jednym z tych mężczyzn, którzy nie potrafią się zdobyć na najmniejszy gest czułości. Jego uczucia były niczym strome szczyty górskie, które kryją się w chmurach. Kiedy zastanawiałem się nad jego duszą, nad najistotniejszą cechą charakteru ojca, na myśl przychodziły mi tylko nie kończące się pola lodowe.

- Tom - powiedział, zauważywszy, że mu się przypatruję. - Idź i powiedz matce, żeby przestała beczeć. To jeszcze nie koniec świata.

- Fatalnie się czuje z powodu dziecka.



- Wiem, dlaczego czuje się niedobrze. Ale teraz płacze już tylko nad rozlanym mlekiem. Idź do niej. To dzieci muszą się zatroszczyć, żeby matka poczuła się lepiej.

Wszedłem na palcach do sypialni matki. Leżała na plecach. Łzy spływały jej po policzkach, płakała bezgłośnie, bez spasmów. Bojąc się podejść, stanąłem w drzwiach i nie wiedziałem, co robić dalej. Wpatrywała się we mnie i nigdy jeszcze nie widziałem na niczyjej twarzy żalu tak nie dającego się ukoić, w spojrzeniu zaś widziałem klęskę i bezradność.

- Tata się pyta, czy potrzebujesz czegoś, mamó - szepnąłem., - Słyszałam, co powiedział - wykrztusiła. - Chodź tutaj, Tom, połóż się obok mnie.

Wspiąłem się na łóżko, a ona oparła głowę o mój policzek i zapłakała, szorując paznokciami po ramieniu. Po chwili miałem twarz mokrą od jej łez i leżałem porażony tą nagłą, pełną uczucia bliskością. Ciało matki napierało na mnie, czułem, jak wciskają się we mnie jej piersi pełne bezużytecznego mleka. Całowała mnie w usta i szyję, rozpięła koszulę i zaczęła okrywać pocałunkami mą pierś. Nie ruszałem się, uważnie natomiast wsłuchiwałem się w odgłosy z dużego pokoju.

- Mam już tylko ciebie, Tom - wydyszała mi w ucho. - Nikogo innego. Wszystko będzie teraz zależeć od ciebie.

- Masz nas wszystkich, mamó - powiedziałem cicho.

- Nie, nie rozumiesz. Nie mam nikogo, niczego. Kiedy poślubiasz nic, nic także nie masz. Czy wiesz, jak patrzą na nas ludzie z miasteczka?

- Lubią nas, mamó. Ciebie bardzo lubią. Tata jest dobrym rybakiem.

- Uważają, że gównó jesteście warci. Znasz to słowo, prawda? Ojciec ciągle go używa. Myślą o nas jak o gównach w rzece. Mają nas za najgorszych, z samych dołów. I dlatego musimy im pokazać, Tom. Ty to zrobisz. Luke nie da rady, bo jest na to za głupi. Savannah nie da rady, bo jest tylko dziewczyną.

- Luke nie jest głupi, mamó.

- W szkole mówią, że jest zapóźniony. Lekarz przypuszcza, że to może z powodu kleszczy, których musieli użyć przy porodzie. Tylko ja i ty możemy ludziom z miasteczka pokazać, z jakiej gliny jesteście ulepieni.

- Gliny, mamó?

- Musimy pokazać, że jesteście lepsi od innych.

- Dobrze, mamó. Bo jesteście.

- Ale musimy im pokazać. Chciałam zapełnić ten dom dziećmi. Chciałam ich mieć ośmioro lub dziewięcioro, by wyrosły mądre i dumne, a z czasem podporządkowały sobie całe miasteczko. Savannah chcę wydać za

najbogatszego chłopaka w miasteczku. Nie wiem,- co zrobię z Lukiem, może zostanie zastępcą szeryfa. Ale to ty, Tom, jesteś moją największą nadzieją.

- Zrobię wszystko, co będziesz chciała, mamó, przyrzekam.
- Przyrzeknij, że nie będziesz taki jak twój ojciec.
- Przyrzekam, mamó.
- Powiedz to, powiedz wyraźnie.
- Przyrzekam, że nie będę taki jak mój ojciec.
- Obiecay, że będziesz we wszystkim najlepszy.
- Będę najlepszy we wszystkim, mamó.
- Najlepszy ze wszystkich.
- Najlepszy ze wszystkich.
- Tom, nie zamierzam umrzeć w takim domu jak ten. To mogę ci obiecać. Nikt tego jeszcze nie wie, z wyjątkiem mnie. Ale nie jestem zwykłą kobietą. Jesteś pierwszy, któremu to mówię. Wierzysz mi?
- Tak, mamó.
- I dowiodę tego wszystkim, nawet twemu ojcu.
- Tak, mamó.
- A ty już nigdy nie pozwolisz mnie skrzywdzić, prawda Tom? Cokolwiek zrobię, na tobie będę mogła polegać, tak?
- Tak, mamó - odrzekłem, nie mogąc znieść spojrzenia pełnego jednocześnie rozpacz i napięcia.
- Tylko tobie mogę zaufać - szepnęła. - Jestem taka samotna na tej wyspie. Taka samotna. Ale z twoim ojcem jest coś nie w porządku. Chce nam zrobić krzywdę.
- Dlaczego?
- Bo to chory człowiek, Tom. Bardzo chory.
- Musisz to komuś powiedzieć.
- Nie. W rodzinie musimy być lojalni. Rodzinna lojalność to najważniejsza rzecz pod słońcem. Trzeba poczekać na właściwą chwilę, a na razie modlić się za niego. Modlić się, żeby jego dobre cechy wzięły górę nad złymi.
- Będę się modlić, obiecuję. Mogę już wrócić do pokoju?
- Tak, Tom. Dziękuję, że do mnie przyszedłeś. Musiałam ci to powiedzieć. I jeszcze coś, kochanie. Coś ważnego, bardzo ważnego. Kocham cię bardziej niż innych, bardziej od całej reszty razem wziętej. Wiem, że ty to samo czujesz do mnie.
- Ale Luke i Savannah kochają cię tak.

- Nie - wyszeptała chrapliwie i znowu przyciągnęła mnie do siebie. - Savannah to dziecko dyszące nienawiścią, taka już się urodziła. Jest niedobra, nieposłuszna. Luke jest głupi jak but. Tylko na tobie mi zależy. To będzie nasza wspólna tajemnica, Tom. Dochowasz sekretu, który masz razem z mamą?

- Tak - powiedziałem i wycofałem się do drzwi. - Jak będziesz czegoś chciała, tylko zawołaj, a ja ci zaraz przyniosę.

- Wiem o tym, kochanie. Zawsze wiedziałam od tego wieczoru, kiedy się urodziłeś.

Wyszedłem z jej sypialni, dźwigając straszliwy, nieznośny ciężar i ledwie mogłem znieść badawcze spojrzenia, jakie utkwili we mnie siostra i brat. Byłem przygnieciony przez monstrualność i otwartość wyznania matki, a zastanawiałem się także, w jakim stopniu zrodziła je śmierć ostatniego dziecka. Poraziła mnie gorycz i szczerłość jej słów, dopuszczając mnie do tajemnicy, czyniła ze mnie mimowolnego wspornika w jej walce z Lukiem i Savannah. Postawiła mnie przed nierozwiązywalnym dylematem: zgadzając się zostać jej najbardziej zaufanym powiernikiem, zarazem dokonywałem zdrady wobec dwojga osób, które kochałem najbardziej na świecie. Bezpośredniość, natarczywość jej zachowania, dotyk ust na mej szyi i piersi - wszystko to przeczyło porządkowi i ładowi świata, jakim go rozumiałem, a jednocześnie zniewalało, zdarzyło się bowiem tego dnia, kiedy poraził ją pogrzeb kolejnego dziecka. Fakt, że zwróciła się do mnie, że to mnie wybrała, miał w sobie coś symbolicznego i honorowego, był dowodem, że jestem kimś szczególnym, nietuzinkowym. Skandaliczność tego wyznania upewniała ją w tym, że nie złamię poprzysiężonej tajemnicy. Ojciec nie uwierzyłby ani słowu, gdybym z zachowaniem najdrobniejszych szczegółów powtórzył mu to, co usłyszałem od matki w sypialni, za nic też nie chciałbym zranić brata i siostry poprzez ujawnienie im, że matka nie tylko nie pokładała w nich żadnej wiary, ale także uważała ich za wrogów. Potrzebni jej byli oficerowie, nie zaś krewni, a chociaż nie rozumiałem samej metody, jednocześnie wiedziałem, że matka - którą dotąd traktowałem po prostu jako matkę - planuje przypuścić w bliżej nieokreślonej przyszłości atak o nieznannej formie i strukturze. Dotąd uważałem ją tylko za piękną i nieprzystępną, teraz jednak w najcudowniejszych niebieskich oczach, jakie kiedykolwiek widziałem, zaczynałem dostrzegać rozczarowanie i wyrachowanie. Kiedy wychodziłem z jej sypialni, mniej już we mnie było dziecka. Wracałem do reszty rodziny z sercem przepelnionym całkiem dorosłym strachem. Matka przygnieciona była samotnością i cierpieniem, żyjąc w domku nad rzeką. Od tego

wieczoru rozpoczęło się moje długie studium tej kobiety, której przez tak długi czas nie doceniałem, a teraz niemal każdego dnia zmieniała się moja o niej opinia. Zacząłem się lękać rzeczy, które zostawiała niedopowiedzianymi. Dopiero teraz narodziła się w mej świadomości i po raz pierwszy w swym młodym życiu czułem się tak rozbudzony i wiedzący tak wiele.

Wiele lat później opowiedziałem Luke'owi i Savannah, co matka wyznała mi tamtego wieczoru w sypialni. Oczekiwałem, że zareagują oburzeniem, dowiedziawszy się o tym sekretnym pakcie, która matka zawarła ze mną jako tajemnym współnikiem spisku przeciw rodzinie i Colleton. Tymczasem na opowieść ojej szeptanej perfidii odpowiedzieli nie gniewem, lecz rozbawieniem. Oboje zanosili się śmiechem, gdy informowałem ich o tym, co mnie napelniało tak wielkim wstydem i poczuciem winy. Matka była może nowo upieczoną konspiratorką, ale sztuczki i fortele, do których się uciekała, wskazywały na jej naturalną po temu skłonność. W trakcie tygodnia, który upłynął od pochówku Rose Aster, matka wzięła na stronę Savannah i Luke'a, każde z osobna, i powiedziała to samo co mnie, domagając się jak najściślejszej tajemnicy. Podobnie jak mnie, oznajmiła każdemu z nich, że tylko jemu może ufać, że na pozostałych nie sposób polegać, a potem domagała się przysięgi niewzruszonej wierności, obietnicy, że czy to w burzę, czy w śnieżycę, zawsze będą stać u jej boku. Powiedziała im (co ujawniło się, kiedy porównaliśmy wspomnienia), że jestem strachliwy, nieśmiały i nie można na mnie liczyć w kryzysowych momentach. Do Savannah zwróciła się, gdyż Savannah jest kobietą i intuicyjnie już rozumie rozpaczliwość i niesprawiedliwość sytuacji kobiety.

Luke z kolei był silnym, niewzruszonym, znakomitym wojownikiem - potrzebowała go jako poplecznika i obrońcy. Wszystkich nas uwiodła bezpośredniością wyznania, że bardzo nas potrzebuje. Niepodobna było odmówić ani wyjawić treści rozmowy. Każde z nas było obezwładnione jej wiarą w nas, wyznawaną każdemu z osobna. Dzieląc nas i przeciwstawiając sobie, sama zachowywała kontrolę nad sytuacją i stawała się nieprzeniknioną, najsztudniejszą tajemnicą naszego życia.

Zanim jednak doszło do owej wymiany tajemnic, matka zdążyła już okazać się najbardziej przerażającą kobietą, jaka kiedykolwiek kroczyła ulicami Colleton.

Tej nocy ciągle padało, kiedy kładliśmy się do łóżek. Ojciec przed pójściem spać pogasił światła w całym domu i usiadł z fajką na osłoniętej werandzie. Denerwował się na nas, kiedy matka nie trzymała w garści

wszystkich spraw domowych. Kilka razy wrzeszczał na nas, gdy zirytował go jakiś drobiazg. Ojca łatwo było odczytać. Kiedy pojawiała się prawdziwe niebezpieczeństwo, instynktownie wiedziało się, że należy mu schodzić z drogi, miał talent do tyranizowania otoczenia, ale nie dysponował żadnymi spójnymi strategiami. Był brutalny i bezsilny zarazem, jak każdy mężczyzna, który jest obcy w swoim domu. Dzieci traktował jak odmianę pracowników sezonowych, którzy akurat znaleźli się w tej okolicy. Nie spotkałem żadnej innej osoby, która podobnie jak ojciec uważałaby dzieciństwo za wstydliwą przypadłość, z której należy wyrosnąć jak najszybciej. Darzylibyśmy go miłością z racji nieodpowiedzialności i ekscentryczności, gdyby nie to, że z natury był brutalny i nieprzewidywalny. Przypuszczam, że nas kochał, ale nigdy też nie widziałem miłości bardziej dziwacznej czy zwyrodniałej. Policzek uważał za coś w rodzaju kartki walentynkowej. Jako dziecko czuł się zaniedbany i porzucony, a żadne z rodziców nigdy go nie pogłaskało ani nie przytuliło. Zauważał nas dopiero wtedy, kiedy mógł nas za coś skarcić, a gdy dotykał nas, to tylko w gniewie. W nocy, kiedy otaczała go rodzina, czuł się jak w pułapce, na jego przykładzie wiele się dowiedziałem o tym, jak człowiek może samego siebie skazać na samotność. Życie rozpocząłem jako więzień w domu ojca, czas męski zaczął liczyć się od chwili, gdy po nim przeszedłem w drodze do drzwi wyjściowych.

Tego wieczoru Savannah poprosiła mnie do swojego pokoju, żeby porozmawiać, deszcz miękko śpiewał, pluskając na miedzianym dachu. Siadłem na podłodze koło jej łóżka i zapatrzyliśmy się w okno, za którym widać było błyskawice nad północnym skrajem wyspy.

- Tom - szepnęła - czy jak zadam ci bardzo poważne pytanie, to mi odpowiesz?

- Nie możesz się ze mnie wyśmiewać czy żartować, to zbyt ważna sprawa.

- W porządku.

- Czy rano naprawdę znalazłeś mnie w łóżku z Rosą Aster?

- Pewnie, że tak - odparłem z irytacją. - - Ale ty wolałaś zapierać się przed Lukiem.

- Wcale nie kłamałam, Tom - powiedziała i nawet w mroku widać było niepokój na jej twarzy. - W ogóle tego nie pamiętam.

- Przyciskałaś ją do siebie, jak do ciebie wszedłem. Ojciec by cię zabił, gdyby to był on.

- Jak o tym powiedziałaś, pomyślałam, że musiałeś dostać kręčka.

- Ciekawe, kto tu dostał kręčka.

- Nie wierzyłam ci, aż wieczorem weszłam do łóżka.
- No i co?
- Na pościeli była mokra plama.
- Była w zamrażalniku, a jak was znalazłem, zdążyła już chyba trochę odtajać.
- Tom ja zupełnie nic nie pamiętam. To okropne.
- Nic nie szkodzi, Savannah. I tak nikomu nie powiem.
- Tom, jest wiele rzeczy, których nie pamiętam, a potem muszę udawać, że jest inaczej. To strasznie mnie dręczy.
- A co jeszcze?
- Pamiętasz ten dzień w Atlancie, gdy byliśmy na Stone Mountain i uderzyłam cię?
- Straszna była z ciebie zdra tego dnia.
- Nic z niego nie pamiętam. Cały dzień wymazany, jak gdyby nigdy nie nastąpił. I ten olbrzym. Kiedy zaczął wchodzić do pokoju, a Luke i ja rzucaliśmy słojami...
- Tak, a ja leżałem w łóżku i nawet się nie ruszyłem.
- Nie pamiętam najmniejszego szczegółu. Że to się wydarzyło, wiem tylko, bo inni o tym mówią.
- Serio?
- Tom, musisz mi przypominać różne rzeczy. Za wiele już jest tych dni, które całkiem dla mnie znikają, i w tej chwili tego boję się najbardziej na świecie. Próbowalam rozmawiać o tym z mamą, ale mnie wyśmiała i powiedziała, że to tylko brak koncentracji.
- Pewnie, Savannah, z chęcią będę ci przypominał, ale znowu ty nie możesz się ze mnie nabijać czy nazywać kłamczuchem, jeśli mówię, że coś było. Luke popatrzył na mnie jak na głupka, jak mówiłem dzisiaj o tobie i Rosę Aster.
- Bo ja ci naprawdę nie wierzyłam, Tom, do chwili, aż wyczułam to mokre miejsce w łóżku. Cała moja koszula nocna też była mokra. Dlaczego to zrobiłam?
- Było ci jej żal i myślałaś, że może czuć się samotna. Nie chciałaś zrobić nic złego, ty o wszystko się troszczysz, Savannah. Mama mówi, że jesteś nadwrażliwa, gdyż jesteś dziewczyną i w życiu zapłacisz za to wielkim bólem.
- Ze mną jest coś nie w porządku, Tom - powiedziała zapatrzona w okno i mocno chwyciła mnie za rękę. - Ze mną jest coś okropnie nie w porządku.
- Nieprawda - zaprotestowałem. - Jesteś wspaniała. Jesteś moją bliźniaczką, jesteśmy więc do siebie zupełnie podobni.

- Nie, nie, Tom! Ty musisz być tym bliźniakiem, który pamięta, a ja już zrobię wszystkie inne rzeczy, przyrzekam. Ale musisz mi opowiadać, zaczynam prowadzić dziennik. Ty będziesz opowiadał, a ja będę zapisywać.

Savannah zaczęła więc pisać, zapelniając mały zeszyt informacjami o codziennych drobiazgach. Z początku nie było w nich nic niepokojącego czy groźnego. Uwagi były pełne dziecięcej świeżości. Rejestrowała rozmowy z ulubionymi lalkami albo wyobrażonymi przyjaciółkami. Ale nawet już wtedy życie wewnętrzne było dla niej ważniejsze od zewnętrznego.

Był to rok, w którym matka nauczyła nas modlitwy do naszych aniołów stróżów. Wszystkie elementy religii bezmyślnie przyswajaliśmy sobie na pamięć, nie inaczej było z modlitwami, w tym samym roku wykuliśmy Akt Skruczy i Akt Nadziei. Matka nie potrafiła nam jednak zadowalająco wyjaśnić, kim byli owi aniołowie. Siedzieli bezmiennie na naszych prawych barkach, szepcząc, ilekroć chcieliśmy wstąpić na drogę odwodzącą od Boga. Przydzieleni nam w chwili narodzin, nie porzucą swego miejsca tuż nad naszymi łopatkami aż do chwili naszej śmierci. Na naszym lewym ramieniu w złowieszczym przeciwstawieniu do anioła stróża miejsce zajął wysłannik szatana. Diabeł, czarny serafin, chciał nas sprowadzić w kolczaste chaszczce zguby.

Chociaż dualizm ten prowadził do znacznych teologicznych niejasności, Savannah z przekonaniem powitała obu niewidzialnych towarzyszy życia. Dobrego nazwała Arethą, złemu dała imię Norton.

Źle jednak usłyszała słowa wymawiane przez matkę, a ponieważ gaurdian, „stróż”, bliskie jest słowu garden, „ogrodowy”, więc kiedy spisywała dialogi między Arethą i Nortonom, nazywała ich „aniołami ogrodowymi”, stały się przeto jednymi z owych podobnych duszom azalii istot, które krążyły wokół naszego domu. To nie narodzone Wingo mającące między krzewami róż. Zmawiały za nas modlitwy wieczorne i czuwały nad nami nie dlatego, że Bóg tak im kazał, lecz z racji tego, że nas lubiły i nic na to nie mogły poradzić. Zwerbowała nawet Nortona na piechura w milczącej armii okupacyjnej, która nadzorowała wiatry dmące nad rzeką. Nawet ciemny anioł dawał się włączyć w entuzjastyczne uwertury Savannah, która nigdy nie uwierzyła, że Norton jest wysłannikiem szatana, uważała go po prostu za prezbiterianina.

A jednak anioły ogrodowe nie interweniowały, gdy matka spaliła dziennik siostry w piecu po tym, jak Savannah zanotowała słowo w słowo kłótnię między rodzicami. Darła kartka po kartce dzieło rocznej pracy i ciskała w ogień, podczas gdy Savannah z płaczem prosiła ją, by przestała.



Dziecięce słowa przemieniły się w dym ponad wyspą. Zdania nabrały skrzydeł i czarnymi fragmentami spływały na rzekę, podczas gdy matka krzyczała na Savannah, aby już nigdy nie ważyła się napisać ani słowa o rodzinie.

W następnym tygodniu zobaczyłem Savannah, jak podczas odpływu klęczała na piasku i z furją pisała w nim palcem wskazującym. Przez pół godziny przyglądałem się jej z brzegu, kiedy skończyła, zaczął się przypływ i woda stopniowo pokrywała słowa.

Powstała i spojrzała w kierunku domu, a wtedy zobaczyła mnie i krzyknęła radośnie:

- Mój dziennik!!!

Restauracja „Coach House” miała w sobie coś tak subtelnie uładzonego, że tchnęła domową wręcz przytulnością. Budynki stajenne zawsze zachowują w sobie sekretne wspomnienie czynności związanych z oporządzeniem dorodnych, zmęczonych koni, wyzbyte ostentacji proporcje sprawiają, że nie widziałem jeszcze budynku dawnej stajni, który po odpowiednich przeróbkach nie nadałby się znakomicie na siedzibę mieszkalną czy restaurację. Ale „Coach House” przy Waverly Place 110 nawet w swoim gatunku był, moim zdaniem, niezrównany, sam jego kształt sprawiał mi przyjemność. Do spraw jedzenia podchodzono tu z taką powagą i kompetencją, że trudno było się oprzeć wrażeniu, iż kelnerzy sprostaliby każdemu zadaniu i gdyby wypadając z kuchni, znieścacka znaleźli się w czasach, gdy po Greenwich Village toczyły się dwukółki, potrafiliby równie fachowo zająć się końmi pełnej krwi. Była to jedyna restauracja w Nowym Jorku, do której dotarłem nie za wskazówką Savannah, to tutaj zabraliśmy ją wraz z Lukiem na kolację w dniu ukazania się Córci krewetkarza. „Coach House” uraczył nas wspaniałą wieczerzą, obaj z Lukiem wznosiliśmy niezliczone toasty na cześć Savannah, co sprawiło, że o egzemplarz z dedykacją poprosili i kelner, i właściciel, Leon Lianides. Gdy zbieraliśmy się do odejścia, na stole pojawił się jeszcze koniak od Lianidesa. We wspomnieniach wieczór trwa jak wielka uroczystość, w nieskończonym zdałoby się ciągu napływają wspaniałe potrawy, nas zaś spowijała łatwa, oczywista miłość, kiedy cała nasza trójka spletała się w uścisku pełnym uczucia. Obraz tego wieczoru, nieskazitelny i promienny, poniosłem ze sobą i często przywoływałem w późniejszych latach smutku, cierpienia i zniszczeń, a wyłaniał się z ciemności, niosąc ze sobą smak szampana na języku i rozbawienie w oczach. Przywoływałem go, gdy moje życie zaczęło się rozpadać, brat wyniósł się znad rzeki, a w pobliżu siostry lepiej było nie

zostawiać noża, ostatnie szczęśliwe zakończenie dnia, jakie mieliśmy razem przeżyć.

Padalo, kiedy o 21.30 dotarłem do „Coach House”, aby zjeść kolację z Susan Lowenstein. Maitre d’hotel poprowadził mnie na pięterko do wygodnego stolika umieszczonego w głębi, pod ścianą z czerwonej cegły, na której wisiało kilka obrazów z pejzazami i wiejskimi scenkami rodzajowymi. Zamówiłem Manhattan na cześć wyspy, na której się znajdowałem, ale dopiero kiedy skosztowałem tej upiornej mieszaniny, przypomniałem sobie, dlaczego nigdy nie zasmakowałem w tym drinku. Kelner znakomicie mnie zrozumiał i przyniósł wytrawne martini, abym splukał kubki smakowe.

Samotny, przyglądałem się wystudionym pozom innych gości, gdy zamawiali dania i rozmawiali ze sobą w zagadkowym i melancholijnym blasku świec. Czulem głębokie pokrewieństwo z samym sobą, kiedy tak popijałem samotnie, odsłonięty na zawile uzasadnienia, które może przywołać przybysz wtedy, kiedy miasto z wolna zaczyna go dopuszczać do swych najrzadszych i najbardziej zwodniczych tajemnic. Dobra restauracja wyzwalała mnie od rozpaczliwej zaściankowości, nieuniknionej wątlności doświadczenia, którymi pyszni się człowiek z prowincji, a które nieuchronnie go zdradzają. Nad znakomitą zastawą mogłem na ten wieczór wykupić swoje miejsce w tym mieście i zamówić posiłek, który z niezmaconą przyjemnością będę wspominać do końca życia. Sączyłem martini i myślałem o wszystkich tych wybornych potrawach, które w tym właśnie momencie przyrządzano na Manhattanie. Przybywając do „Coach House”, stałem się częstką monumentalnej i wysublimowanej kuchni wielkiego miasta. Chociaż często unosiłem głos w nie kończących się, gniewnych tyradach przeciw Nowemu Jorkowi, zdarzały się momenty, gdy jedzenie i wino tego oszałamiającego, niezrównanego miasta czyniły mnie najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Susan Lowenstein zjawiała się niepostrzeżenie przy stoliku, podczas gdy ja studiowałem nienaganną jak arcydzieło listę przystawek. Najpierw poczułem zapach jej perfum, który subtelnie zestroił się z aromatem kwiatów na stoliku, a dopiero potem podniosłem wzrok i zobaczyłem jej twarz.

Była to twarz tego typu, która za każdym razem wygląda inaczej. Chociaż za każdym razem przepiękna, zawsze należała, jak się wydawało, nie do jednej osoby, lecz do całego plemienia ślicznych kobiet Wystarczyło, że zmieniała uczesanie, a natychmiast świat całą ją widział inaczej, uroda Susan była trudna do określenia, mgławicowa, i gotów byłbym się założyć, że źle wychodziła na fotografiach. Miała na sobie białą, krótką sukienkę i

wtedy po raz pierwszy spostrzegłem, jak znakomitą figurę ma lekarka mojej siostry. Czarne włosy były spięte wysoko, długie złote kolczyki podkreślały smukłość szyi przyozdobionej złotym naszyjnikiem.

- Doktor Lowenstein - powiedziałem - dzisiaj wieczór wygląda pani naprawdę niebezpiecznie.

Uśmiechnęła się zadowolona.

- W zeszłym roku zrobiłam sobie z tej sukienki podarunek i nigdy nie miałam odwagi jej nałożyć. Mąż powiada, że wyglądam w niej zbyt dziewiczo.

Obdarzyłem ją przeciągłym, pełnym uznania spojrzeniem i stwierdziłem:

- W białym nie wygląda pani dziewiczo, doktor Lowenstein, wygląda pani uwodzicielsko.

- Dają tutaj coś dobrego do zjedzenia, Tom? - spytała, dziękując uśmiechem za komplement. - Umieram z głodu.

- Tutaj dają same dobre rzeczy - powiedziałem i w tej samej chwili pojawił się kelner z butelką zimnego chablis, którą kazałem podać, jak tylko zjawi się mój gość. - Słynna jest tutejsza zupa z czarnej fasoli, ale ja polecałbym krem z homara. Do perfekcji opanowali sztukę duszenia grzybów. W sposób nienaganny potrafią przyrządzić i podać każdy rodzaj czerwonego mięsa. Przystawki są niebywale, a zwłaszcza wędzony pstrąg w sosie chrzanowym. Na desery zaś nie ma innego określenia jak - niebiańskie.

- Skąd tak się znasz na potrawach? - spytała.

- Po pierwsze - powiedziałem i podniosłem w jej kierunku kielich z winem - moja matka świetnie znała się na kuchni Południa, a uważała, że swą pozycję towarzyską poprawi dzięki znajomości kuchni francuskiej. Status pozostał wprawdzie nie zmieniony, ale sosy były znakomite. A potem, kiedy Sallie zaczęła studiować medycynę, musiałem nauczyć się gotować i ze zdumieniem stwierdziłem, że to lubię.

- Gdybym nie mogła sobie pozwolić na kucharkę, moja rodzina wymarłaby na niestrawność. Zajęcia gospodarskie mają dla mnie coś z pracy galerników. Świetne to wino.

- To dlatego, że jest bardzo drogie, doktor Lowenstein. Rachunek zapłacę kartą American Express. Pomknie więc do mego banku w Karolinie Południowej i zostanie uregulowany z konta mojej żony.

- Czy od przybycia do Nowego Jorku miałeś jakiś sygnał od żony, Tom?

- Nie - odparłem. - Kilkakrotnie rozmawiałem przez telefon z córkami, ale nigdy jej wtedy nie było w domu.

- Czy tęsknisz za nią? - spytała, a ja wpatrzyłem się w refleks naszyjnika odbijający się w mym kieliszku.

- Nie, doktor Lowenstein. Byłem marnym mężem już od dobrych paru lat i teraz wdzięczny jestem za te chwile spędzane z dala od niej i od dziewczynek, gdyż mogę spróbować znowu poskładać siebie w całość z grubsza przypominającą mężczyznę.

- Ilekroć mówisz coś osobistego, Tom - zauważyła - tylekroć jakbyś pogłębiał dystans między nami. Czasami wydaje się, że jesteś bardzo otwarty, ale to pozorna otwartość.

- Doktor Lowenstein, proszę nie zapominać, że jestem amerykańskim samcem - powiedziałem z uśmiechem - zatem otwartość nie należy do moich specjalności.

- A co należy do specjalności amerykańskiego samca? - spytała.

- Wyprowadzać z równowagi. Być nieprzeniknionym, panować nad sytuacją, upierać się przy swoim i demonstrować niewrażliwość.

- Zdumiałbyś się, jak odmiennym stanowiskom dają wyraz moi pacjenci i pacjentki. Zupełnie jakby byli obywatelami całkiem innych krajów.

- Jest tylko jedno wykroczenie, które nigdy nie zostanie wybaczone kobiecie: mąż nigdy nie wybaczy jej, że wyszła za niego. Amerykański samiec to trzęsąca się sarta niepewności. Kiedy kobieta popełnia błąd i zakochuje się w nim, on każe jej straszliwie odcierpieć ten skrajny brak gustu. Nie sądzę, by mężczyźni potrafili rozgrzeszyć kobiety z tego, że każdego z nich kochają w sposób wyłączny.

- Chyba wspominałeś mi, Tom, że Sallie ma romans, prawda?

- Tak - potwierdziłem. - I co zabawne, po raz pierwszy od roku dostrzegłem swoją żonę. Dopiero kiedy przestała mnie kochać, zrozumiałem, jak bardzo ją kocham.

- A czy powiedziałeś swojej żonie, że ją kochasz, Tom? - spytała i sięgnęła po wino.

- Jestem przecież mężem, doktor Lowenstein - odrzekłem. - Oczywiście, że jej nie powiedziałem, iż ją kocham.

- Dlaczego żartujesz wtedy, kiedy ja pytam poważnie, Tom? Zawsze żartem wykręcasz się od odpowiedzi na poważne pytanie.

- Boli mnie sama myśl o Sallie, a gdy zaczynam o niej mówić, brakuje mi tchu. Kiedy mój świat się rozpada, jedyną bronią pozostaje śmiech, wszystkie inne zawodzą.

- Przypuszczam, że łzy byłyby znacznie bardziej skuteczne.

- U mnie łzy pojawiają się tylko przy błahych okazjach, na przykład, kiedy oglądam igrzyska olimpijskie, słucham hymnu narodowego, podczas ślubów i wręczania dyplomów.

- Ale ty mówisz o sentymentalizmie, a mnie chodziło o żal i smutek.

- Dla południowców sentymentalizm nie jest cechą charakteru, doktor Lowenstein. Południowca może doprowadzić do łez niemal każdy absurd. To łączy go z innymi południowcami i czyni śmiesznym w oczach kogoś urodzonego na północnym wschodzie. Moim zdaniem to bardziej kwestia klimatu niż temperamentu. Język cierpienia jest na Południu bardzo ubogi. Smutek zyskuje aprobatę tylko wtedy, gdy rozgrywa się w ciszy.

Nachyliła się nad stołem i powiedziała:

- Język, którym Savannah mówi o cierpieniu, z pewnością nie jest ubogi. W jej wierszach rozbrzmiewa potężna udręka, dla której ona znajduje wspianiały wyraz. I nie ma w nich ani odrobiny sentymentalizmu, a przecież Savannah jest z Południa.

- Tyle że teraz znajduje się na oddziale dla obłąkanych, podczas gdy ja z panią, jej lekarką, popijam chablis. Drogo zapłaciła za swój brak sentymentalizmu.

Byłem wdzięczny kelnerowi, że właśnie w tej chwili zjawił się, żeby przyjąć zamówienia, jako że w oczach Susan Lowenstein dostrzegłem iskierki gniewu spowodowane wzmianką o sytuacji siostry. Zarazem było coś niepokojącego w tym jej żywym zainteresowaniu Południem, które potrafiło zrodzić poetkę - samobójczynię o wspianiałym talencie i jej brata bliźniaka, trenera, który znalazł się na życiowej równi pochyłej. Niekiedy wpatrywała się we mnie z taką intensywnością, że wydawała się geologiem, który stara się wypatrzeć żyłkę złota na połyskliwej powierzchni gnejsu. Doznawałem też nieprzyjemnego uczucia, że Lowenstein ukrywa przede mną jakiś szczegół dotyczący stanu Savannah. Zakaz odwiedzin wydał mi się dosyć dziwny, a zarazem nieuchronny, zupełnie jak gdyby Savannah zaleciła wykluczenie mnie z grona otaczających ją osób na długo przedtem, zanim znalazła się w szpitalu. Ilekroć przekazywałem Lowenstein jakieś wspomnienie związane z życiem rodziny, zawsze oczekiwałem, że powie: „Savannah zapamiętała to dokładnie tak samo” albo: „To bardzo pomocne w świetle tego, co usłyszałam od Savannah”. Zupełnie jakbym wołał do głuchej, nie odpowiadającej echem jamy, do której nie wolno mi było wejść. Miałem tańczyć do rytmu przesłuchania, zapytany - miałem interpretować bolesne okrzyki siostry. W odpowiedzi natomiast nie otrzymywałem żadnego potwierdzenia, żadnej pochwały za uczciwość ani żadnej nagany za kłamstwo. Otrzymywałem po prostu następne pytanie i trzeba było ruszać

dalej. W jakiś sposób stałem się skarbnicą pamięci w rodzinie, w której doszło do fatalnego konkubinatu pamięci z cierpieniem. Byłem jedynym dostępnym świadkiem, który mógł wyjaśnić, dlaczego szaleństwo siostry było jedynie naturalną odpowiedzią na ciąg nieustannych kataklizmów. Skupiłem się na menu i zamówiłem na początek parę krabów o miękkich skorupkach przyrządzonych na maśle z dodatkiem cytryny i polanych sosem beurre blanc z kaparami. Doktor Lowenstein na zakąskę wzięła wędzonego pstrąga, a jako danie główne - duszonego morskiego okonia. Nie było w karcie takiej pozycji, która by do mnie nie przemawiała, ostatecznie jednak zdecydowałem się na grasicę w winie i smardzach., - Grasicą? - Lowenstein uniosła brwi.

- Część kroniki rodzinnej - powiedziałem. - Na taśmach jest o niej niejasna wzmianka. Matka kiedyś zrobiła taką potrawę, co stało się przyczyną kłótni między rodzicami.

- O matce mówisz zawsze na poły z bojaźnią, a na poły z pogardą - zauważyła. - To zbija mnie z tropu.

- Myślę, że to właściwe rozłożenie akcentów, gdy mowa o mojej matce. To interesująca, piękna kobieta, która całe swoje życie spędziła na ustalaniu, kim właściwie jest. Z jej morderczymi talentami powinna znaleźć zajęcie przy ostrzeniu gilotyn. W każdym innym przypadku marnowała swe umiejętności.

- Czy Savannah podziela twoją przesadną opinię o wpływie matki?

I znowu poczułem, jak Lowenstein napiera na mnie, każdym nowym pytaniem otwierając nową kwestię.

- Lepiej powinna pani znać odpowiedź na to pytanie ode mnie - odrzekłem, a kelner zjawił się z zimnymi przekąskami. - Jest pani pacjentką, a wydaje mi się, że jest to temat żywo ją poruszający.

- Tom - powiedziała Lowenstein. - Savannah została moją pacjentką ledwie na dwa miesiące przed tym, jak próbowała odebrać sobie życie. Nie mogę ci powiedzieć o wszystkim, co rozegrało się w trakcie tych dwóch miesięcy, ale coś postaram ci się przekazać. Na to jednak potrzebna mi jest zgoda Savannah, a ona na razie nie jest w stanie mi jej udzielić.

- Więc w ogóle nie zna pani Savannah, pani doktor?

- Nie, Tom, nie znam jej, ale przez cały czas dowiaduję się rzeczy zdumiewających. I wiem, że instynkt słusznie mi podszepnął, żeby poprosić cię o pozostanie w Nowym Jorku.

- Savannah wszystko opowiedziałyby pani znacznie lepiej ode mnie, - Ale czy zamówiłyby takie znakomite jedzenie w restauracji? - spytała

Lowenstein i poniosła do ust kęs wędzonego pstrąga nasączony sosem chrzanowym.

- Nie. Savannah jest jedną z tych porażonych anoreksją nowojorek, które karmią się sałatkami, tofu i drinkami dietetycznymi - odparłem. - Nie tknie niczego, co zawiera ładunek niewidzialnych kalorii czy chociażby włókno tłuszczu zwierzęcego. Kiedy się je razem z Savannah, bardziej jest to asceza niż rozpasanie.

- Któregoś dnia rozmawialiśmy o diecie - powiedziała Lowenstein. - Savannah bez trudu może się obyć dwoma posiłkami dziennie. Ja kupowałam każdą książkę dietetyczną, jaką opublikowano w Ameryce w trakcie ostatnich dziesięciu lat, ale...

- Można wiedzieć, po co, pani doktor? - spytałem i ze smakiem żułem mięso kraba.

- Mąż mówi, że jestem za gruba - wyznała, spuszczać oczy, a w jej głosie słychać było niekłamaną przykrość.

Uśmiechnąłem się i dalej delektowałem się skorupiakiem, a tymczasem nadpłynął kelner i uzupełnił wino w kieliszkach.

- Dlaczego się śmiejesz, Tom?

- Bo twój mąż po raz drugi się myli. Ani nie wyglądasz na dziewczynę, ani nie jesteś za gruba i szkoda doprawdy, że ani pani, ani mężowi fakt ten nie sprawia satysfakcji.

Zmieniła temat i zaczęła opowiadać o swoim dzieciństwie, widziałem jednak, że komplement sprawił jej przyjemność. Jej matka była osobą tak chłodną i pełną rezerwy, że Susan nie mogła sobie przypomnieć chociaż jednej pochwały z jej ust. Tych nie szczędził jej wprawdzie ojciec, ale należał do tego gatunku mężczyzn, którzy nie mogą się pogodzić z dojrzewaniem płciowym córek. Była jego faworytką do czasu dojrzewania, potem bowiem sympatie swe przeniósł na młodszego syna. Oboje rodzice byli dumni, gdy rozpoczęła studia medyczne, ale wybór psychiatrii jako specjalizacji wstrząsnął nimi. Ona sama sądziła, że własne nieudane dzieciństwo pomoże jej zrozumieć pacjentów, w których oczach znać będzie ślad tych samych problemów. Uznała, że jej czułość i współodczuwanie może okazać się jakąś rekompensatą dla osób, które tego nie doświadczyły od swych rodziców. Gdyby to nie wystarczało, zawsze będzie mogła sięgnąć po leki. A w roli psychiatry czuła się jak wszechwładny ojciec, taki jednak, który wybacza swym córkom fakt, iż stają się kobietami. To właśnie ta potęga fascynowała ją jednocześnie i napełniała lękiem, wszystkie kontakty z pacjentami traktowała nad wyraz poważnie, wkraczała w nie z najwyższą delikatnością, dobrą wiarą i poczuciem odpowiedzialności.



Im dłużej trwała kolacja, im bardziej pograżaliśmy się w rozmowie, tym bardziej widać było odprężenie w rysach doktor Lowenstein, która z wolna wyzbywała się stanowczej pozy profesjonalizmu, którą przybierała w gabinecie. Kiedy mówiła o pacjentach, w głosie pobrzmiwała łagodność i miłość, a ja myślałem sobie, jakie to jednak musi być wspaniałe, zostać powalonym na kolana w Nowym Jorku i wtedy natknąć się na ciepłe, wyrozumiałe spojrzenie. Ów arcyprofesjonalizm był w istocie murem obronnym wzniesionym po to, aby zabezpieczyć się przed tym chaotycznym dążeniem do supremacji, które charakteryzowało na przykład mego ojca i mnie. Kiedy opowiadała o ojcu, który najpierw ją wielbił, a potem odwrócił się od niej, słowa sugerowały, że chodzi jedynie o jej własne doświadczenie, ale było w jej głosie coś, półtony, w których pobrzmiwała ciężko zdobyta mądrość, co mówiło, że to jedna z najstarszych i najbardziej zniechęcających opowieści na świecie. Kazało mi to pomyśleć o wszystkich kobietach w moim życiu - matce, siostrze, żonie, córkach - i o tym, jak broniłbym się przed oskarżeniem, iż każdą z nich zdradziłem, pozwalając podupaść swej miłości w chwili, kiedy najbardziej jej potrzebowały. Słuchając historii ojca Susan, jednocześnie kulilem się na myśl o krzywdzie, którą wyrządziłem kobietom z własnej rodziny. W pomyślnych chwilach miłość wylewała się ze mnie niczym świetlisty miód ze skradzionego pieca. Wystarczyło jednak poczucie bólu czy przegranej, bym wycofywał się w ostępy samotności, a kobiety, które usiłowały dotrzeć tam do mnie, cofały się w przerażeniu, nieprzerwanie bowiem je raniłem za to, że ośmielały się mnie kochać, podczas gdy ja świadom byłem rozpadu mego uczucia. Należałem do tych mężczyzn, którzy z wolna zabijają swoje kobiety. Moja miłość miała charakter gangreny, która pożera miękkie tkanki duszy. Miałem siostrę, która usiłowała popełnić samobójstwo i nie chciała mnie widzieć, miałem żonę, która znalazła kochającego ją mężczyznę, córki, które nic o mnie nie wiedziały, i matkę, która wiedziała o wiele za dużo. „Musisz zmienić to wszystko”, powtarzałem sobie, słuchając Susan Lowenstein, która była coraz bardziej odprężona za sprawą wina i uwodzicielskiej atmosfery „Coah House”. „Wszystko musisz zmienić w sobie i to całkowicie”.

Nadjechało moje danie - co tu dużo mówić: znakomite. Grasice były pełne i miękkie, smardze przypominały grudki ziemi, które nabrały ciemnej, przydymionej mięsistości. Susan mruknęła w zachwycie, skosztowawszy okonia, którego połyskliwe mięso segmentami odchodziło od kręgosłupa. Usta me były krainą szczęśliwości i dziękowałem Najwyższemu za pomysłowość utalentowanych kucharzy oraz za niewyczerpalne piękno

kobiece, któremu świadectwo dawała moja towarzyszka, rozkoszując się jadłem i winem, z wolna dojrzewającym dla nas i tylko dla nas na hojnych polach i w starych piwnicach Francji. Na ich cześć zamówiłem następną butelkę.

Susan oznajmiła mi, że przedostatniej nocy miała sen, w którym spotkaliśmy się przypadkowo podczas zamieci. Schroniliśmy się przed nią w Rockefeller Center, gdzie windą pojechaliśmy na sam szczyt, by stamtąd patrzeć, jak całe miasto pokrywa się bielą, podczas gdy my sączyliśmy drinka w „Rainbow Room”, a potem wolno tańczyliśmy, aż śnieżycy stała się tak gęsta, że nie sposób już było dojrzeć miasta.

- Wspaniały sen, doktor Lowenstein - powiedziałem. - Ja ze swoich nie potrafię zapamiętać nawet najdrobniejszego szczegółu. Czasami budzą mnie i wiem, że musiały być okropne, tymczasem niczego nie pamiętam.

- To tracisz piękną i bardzo ważną część swego życia. Zawsze byłam zdania, że sny to listy miłosne oraz nienawistne epistoły wysyłane przez podświadomość. Trzeba odrobinę dyscypliny wewnętrznej, żeby pamiętać sny.

- Nie mogę się obyć bez nienawistnych epistoł - wyznałem. - Mam sterty wysłanych pod moim adresem.

- Czy to jednak nie dziwne, że wystąpiłeś w jednym z moich snów, skoro znam cię tak krótko?

- Bardzo się cieszę, że nie uznała pani mojego pojawienia się za senną zmorę.

- Nie, zapewniam cię, że nie - roześmiała się. - A nawiasem mówiąc, czy lubisz koncerty, Tom?

- Pewnie - odpowiedziałem. - Byle nie muzyka współczesna, bo ta zawsze przypomina mi pstrąga pierdzącego w słonej wodzie. Savannah, oczywiście, przepada za współczesną muzyką.

- Jak ci się wydaje, czemu ona jest taka otwarta na współczesną kulturę, podczas gdy ty odwrotnie, jak się wydaje, zamykasz się na nią. Muszę wyznać, Tom, że zawsze mnie irytuje, kiedy zaczynasz udawać kulturalnego młota, przytłoczonego przez wielkie miasto. Jesteś za inteligentny na to, abyś dobrze odgrywał tę rolę.

- Proszę mi wybaczyć, doktor Lowenstein. Rola demistyfikatora Nowego Jorku i kulturalnego ćwoka z prowincji nikogo nie męczy bardziej ode mnie samego. Wprost marzę o tym, aby nienawiść do Nowego Jorku była nie wymogiem mody, lecz nową oryginalną koncepcją Toma Wingo.

- Za każdym razem kiedy słyszę, że ktoś taki jak ty nienawidzi Nowego Jorku, automatycznie myślę, że na pewno jest także antysemitą.

- Doktor Lowenstein, proszę mi wyjaśnić ten związek między antysemityzmem a nielubieniem Nowego Jorku. Proszę pamiętać, że jestem z Colleton w stanie Karolina Południowa i rzeczy dla innych jasne mnie wprawiają w konfuzję.

- W Nowym Jorku jest więcej Żydów niż w samym Izraelu.

- Najprawdopodobniej jest tu więcej Albańczyków niż w Albanii, Haitańczyków niż na Haiti i Irlandczyków niż w Irlandii. Nie wykluczam tego, że więcej jest tutaj południowców niż w Georgii, ale nie wiem, nie mam pojęcia. Nie lubię Nowego Jorku, bo to bezosobowy moloch. Zawsze jest pani tak podejrzliwa?

Tak - odrzekła. - Sądzę, że podejrzliwość to niezła taktyka obronna.

- Chyba rozumie więc pani, jak czuje się człowiek z Południa przybywający do Nowego Jorku. Co pani myślała o Południu, pani doktor, zanim poznała pani Savannah i mnie?

- To samo, co myślę teraz, Tom - powiedziała. - To znaczy, że to najbardziej zacofana, reakcyjna i niebezpieczna część naszego kraju.

- Ale podoba się ona pani, doktor Lowenstein? - Zaśmiała się i był to śmiech pełen sympatii, ja jednak ciągnąłem: - Dlaczego są w historii takie okresy, kiedy w porządku jest nienawiść do Żydów, Amerykanów, czarnych czy Cyganów? W każdym pokoleniu jest jakaś grupa zasługująca na pogardę. Jeśli się jej nienawidzi, człowiek sam staje się podejrzany. Kiedy dorastałem, uczono mnie nienawiści do komunistów. Nigdy żadnego nie widziałem, ale jakże nie znosiłem sukinsynów! Kiedy dorastałem, nienawidziłem Murzynów, gdyż w mojej części świata jednym z elementów wiary religijnej było przekonanie o niższości czarnych wobec białych. To zatem interesujące doświadczenie przyjechać do Nowego Jorku i być nienawidzonym za to, że jestem białym mężczyzną z Południa. Uczucie dosyć budujące i odświeżające, chociaż trochę dziwne. W każdym razie pozwala mi zrozumieć pani koncepcję podejrzliwości.

- Zapytałam o koncert, Tom, gdyż mój mąż będzie występował w przyszłym miesiącu. Mam dla ciebie bilet i chciałabym, żebyś przyszedł jako mój gość.

- Z przyjemnością, jeśli tylko obieca mi pani, że nie będzie to nic nowoczesnego.

- W programie jest chyba przede wszystkim barok.

- A jak się nazywa pani mąż?

- Herbert Woodruff.

- Ten Herbert Woodruff???

- Nie słyszałam, by ktoś jeszcze nosił to nazwisko.

- Pani jest żoną Herberta Woodruffa? Na miłość boską, doktor Lowenstein, codziennie sypia pani ze światową sławą.

- Nie codziennie. Mniej więcej połowę roku spędza na tournée. Ma bardzo wiele zaproszeń, szczególnie z Europy.

- Mamy jego płyty - pochwaliłem się. - A przynajmniej kilka. Upijamy się z Sallie i ich słuchamy. To wspaniałe, muszę zadzwonić do Sallie i się pochwalić. Czy on także jest Żydem, pani doktor?

- Nie - odrzekła. - A czemu pan pyta?

- Myślałem, że z Żydami jest tak jak z katolikami. Kiedy pojąłem za żonę niekatoliczkę, ojciec zachował się tak, jakbym nasiusiał do naczyń liturgicznych.

- Mój ojciec to najbardziej zasymilowany Żyd, jakiego kiedykolwiek widziałam - rzekła poważnie doktor Lowenstein. - Nigdy nie chodziliśmy do synagogi, nie obchodzili paschy, a każdego grudnia ustawialiśmy choinkę. Nie miałam najmniejszego wyobrażenia o tym, jak poważnie traktuje swoją religię, do chwili gdy wyszłam za chrześcijanina. Myślałam, że w dzień mojego ślubu odbędzie szywa.

- Co to takiego?

- Modlitwa za umarłych.

- Ale przecież musi być dumny, że jego zięć jest znany na całym świecie.

- Nie wiem, naprawdę nie wiem, Tom. Nigdy mi nie wybaczył i nigdy nie widział swojego zięcia.

- To wiele tłumaczy, doktor Lowenstein. Myślałem, że jest pani prezbiterianką, która przeszła na judaizm. Dlaczego nie zmieniła pani nazwiska po ślubie?

- Nie chciałam zmieniać - odpowiedziała tonem, który ucinął dalszą dyskusję.

- Ile lat ma pani syn? - spytałem, zmieniając temat.

- O tym właśnie chciałam z tobą porozmawiać, Tom. Dlatego cieszę się, że mogliśmy dzisiaj iść na kolację.

- O pani synu? - upewniłem się zdziwiony.

- Mój syn bardzo interesuje się sportem.

- Chyba pani żartuje.

- A niby czemu? - spytała z wyraźną irytacją w głosie.

- Trochę mnie to zaskoczyło. W domu niewiele ma chyba inspiracji do takich zainteresowań.

- Było to kompletne zaskoczenie dla ojca. Bernard skończył właśnie pierwszy rok w Phillips Exeter. Otrzymaliśmy właśnie doroczny album, a Herbert zobaczył syna na zdjęciu drużyny futbolowej. Zawsze

zabranialiśmy mu sportów kontaktowych z uwagi na to, że coś może się stać z jego rękami, chcemy, żeby przede wszystkim skoncentrował się na skrzypcach. Dlatego tak dbamy o jego dłonie.

- Hu, ha! - nie potrafiłem powstrzymać radosnego okrzyku. - Ale niespodzianka w rodzinnym gronie.

W jej uśmiechu nie było radości.

- To nic zabawnego. W całej tej sprawie najbardziej zasmucający jest fakt, że Bernard nas okłamał. A w każdym razie nic nam nie powiedział. Znalazł się także w drużynie koszykówki pierwszej klasy. Zdaje się, że jest całkiem sprawnym.

- To dlaczego nie pozwolicie mu grać w piłkę i na skrzypcach?

- Mąż chce, żeby Bernard poświęcił się wyłącznie muzyce.

- Czy jest dobrym muzykiem?

- Tak, jest dobry, problem w tym, że nie jest geniuszem. Chyba nietrudno sobie wyobrazić, jak trudno jest pójść w ślady Herberta Woodruffa. Zawsze uważałam, że byłoby lepiej, gdyby wybrał sobie inny instrument niż ojciec. Wtedy porównania z ojcem nie byłyby tak niebezpieczne. A tymczasem Herbert wygrał pierwszy międzynarodowy konkurs, kiedy miał zaledwie dziewiętnaście lat.

- Jako trener widywałem to nie raz. Nie potrafiłbym zliczyć przypadków, gdy syn zapisuje się do drużyny, gdyż ojciec chce w ten sposób zrealizować jakieś swoje nie spełnione marzenia. Jest bardzo ciężko, kiedy to się nie udaje.

- Ciężko dla ojców czy dla synów? - spytała z wielką powagą.

- Dla synów - odparłem. - Do cholery z ojcami, sami powinni wiedzieć lepiej.

- Nie wiem, czy z Herbertem o to właśnie chodzi - powiedziała w zamyśleniu i pokręciła głową. - On chyba w ogóle nie przyjmuje do wiadomości tego, że są jeszcze inne instrumenty. Kocha skrzypce tak bardzo, że nie wyobraża sobie, iż ktoś mógłby tej miłości nie podzielać. A zwłaszcza ktoś mu bliski. A zwłaszcza syn.

- A jak układają się stosunki między nimi? - spytałem i dostrzegłem, że jakiś cień przemknął jej po twarzy. Mówiła, starannie dobierając słowa, a ja czułem ich ciężar i powagę.

- Bernard darzy ojca wielkim szacunkiem. Jest dumny z niego i z tego, czego dokonał.

- Bawią się razem? Idą wspólnie na mecz? Gonią w parku? Siłują w salonie? Coś takiego?

Jej śmiech był nerwowy i pełen skrywanego napięcia.

- Nie potrafię wyobrazić sobie Herberta baraszkującego na dywanie w saloniku. To bardzo zdyscyplinowany, poważny człowiek. Poza tym mógłby sobie przy tym zrobić coś w rękę, a rękę to jego życie.

- Ale czy jest wesoły, pani doktor? O to się dopytuje.

Zastanawiała się przez chwilę, a potem rzekła:

- Nie, nie nazwałabym Herberta wesołym. A w każdym razie nie z punktu widzenia nastolatka. Myślę, że Bernard będzie o wiele bardziej cenić Herberta, kiedy dorośnie.

- A jaki jest Bernard?

I znowu zobaczyłem, jak wokół oczu pojawia się twardszy wyraz, jakby coś się w twarzy zamykało, kiedy padają pytania o rodzinę. Pomyślałem sobie, że pani doktor może wysłuchiwać skarg innych osób, sama jednak niechętnie mówi o swoich strapieniach. Odchyliła głowę i oparła ją o ścianę za sobą, a wyglądała teraz jak jedna z tych eleganckich kobiet o długiej szyi, które na kameach ogląda się z profilu na tle ciemnego agatu.

- Niełatwo go opisać - powiedziała z głębokim westchnieniem. - Przystojny chłopak, który uważa się za brzydala. Bardzo wysoki, o wiele wyższy od ojca. Ma ogromne stopy i czarne kręcone włosy. Niewiele mówi, szczególnie do dorosłych. Uczy się przeciętnie i musieliśmy użyć wszystkich znajomości, żeby go ulokować w Exeter. Na testach wypada znakomicie, ale jest leniwy i przypuszczam, że z przyjemnością patrzy na rodziców, którzy zamartwiają się jego złymi stopniami. Co więcej mogę powiedzieć, Tom? Czas dojrzewania jest trudny dla wszystkich.

- Czy jest pozostawiony sam sobie?

- Nie - zachnęła się. - Nie jest. Zupełnie normalny nastolatek, którego rodzice wiele pasji wkładają w swoją pracę zawodową. Zapewne oboje z Herbertem nie zajmowaliśmy się nim dostatecznie w kluczowych latach dzieciństwa, przyjmując za to na siebie odpowiedzialność.

- Dlaczego mówi mi pani o tym, doktor Lowenstein?

- Pomyślałam, Tom - powiedziała i znowu nachyliła się nad stołem - że skoro masz teraz tyle wolnego czasu, to może kilka razy w tygodniu potrenowałbyś Bernarda.

- Pierwsza oferta pracy od wielu miesięcy.

- Przyjmiesz?

- Czy rozmawiałś o tym z Bernardem?

- A dlaczego miałabym to robić?

- Po pierwsze, może nie chceć trenera, po drugie, grzecznie jest spytać. Dlaczego nie powiesz Herbertowi, żeby poszedł z synem do Central Parku i rzucił mu parę razy piłkę, może by razem zagrali na próbę.

- Herbert gardzi sportem - powiedziała, najwyraźniej rozbawiona samym pomysłem. - Strasznie by się wściekł, gdyby wiedział, że chcę zapewnić Bernardowi treningi. On jednak powiedział, że cokolwiek o tym sądzimy, on również w następnym roku będzie uprawiał sport. Poza tym sądzę, że Bernardowi dobrze zrobi znajomość z tobą, ponieważ jesteś takim ojcem, o jakim on zawsze marzył. Sportowiec, zgrywus, na luzie. A idę o zakłady że nie potrafisz grać na skrzypcach.

- Szkoda, że nie może pani posłuchać moich nagrań. Wingo robiący głównie ze starych mistrzów. Wsadza mnie pani w ramki stereotypu.

- A ty to samo robisz ze mną - odrzekła zaczepnie.

- Nie.

- A właśnie że tak. Przyznaj się, Tom, że pomyślałeś sobie: „No i proszę, doktor Lowenstein, psychiatra, uzdrowicielka chorych dusz, a nie potrafi dać sobie rady z wychowaniem syna”.

- Tak - zgodziłem się. - Pomyślałem tak. Musi być jakaś przyczyna, dla której psychiatrzy nie potrafią dać sobie rady ze swymi dziećmi. Wiem, że to pytanie stało się wręcz banalne, ale jest z tym przecież jakiś problem, prawda.

- Nie w tym przypadku - zaprotestowała. - Bernard jest po prostu wstydlivy i sam wyrośnie ze wszystkich tych problemów. Jeśli sama się zastanawiam nad tym, dlaczego psychiatrzy mają kłopoty z dziećmi - chociaż nie wszyscy, możesz mi wierzyć - to myślę, iż przyczyną jest to, że aż za dobrze znają straszliwe konsekwencje niedobrego dzieciństwa. Ów nadmiar wiedzy paraliżuje ich, gdyż boją się nawet najmniejszego fałszywego kroku. Czasami zbyt wielka troska kończy się bezradnością. Jaka jest twoja stawka?

- Pieniądze? Niech pani nie martwi się o pieniądze.

- Stanowczo obstaję za tym, żeby wszystko było na całkowicie profesjonalnych zasadach. Zatem jaka stawka?

- Niech pani nie żartuje.

- Powtarzam, domagam się ściśle profesjonalnych zasad. Ile pan bierze za godzinę?

Wyjęła notesik i zawiesiła nad nim pióro Duponta.

- A ile pani bierze? - spytałem.

- Nie widzę związku - powiedziała i zerknęła znad notesu.

- Związek jest bardzo prosty, pani doktor. Ponieważ nalega pani na profesjonalne zasady, traktuję to poważnie. Nie wiem, ile ludzie zarabiają w Nowym Jorku, więc chcę mieć jakiś punkt orientacyjny.

- Moja stawka to siedemdziesiąt pięć dolarów za godzinę.



- Świetnie - wyszczerzyłem zęby w uśmiechu. - Akceptuję.
- Wcale nie powiedziałam, że tyle chcę ci zapłacić.
- W porządku, pani doktor, ponieważ jesteśmy na stopie towarzyskiej, dostanie pani rabat. Sześćdziesiąt dolców za godzinę i nie musi mi pani dziękować.
- Nie sądzę, by godzina treningu sportowego dała się porównać z godziną terapii psychiatrycznej - powiedziała, a mnie nie spodobał się delikatny odcień lekceważenia, z jakim wypowiedziała przymiotnik „sportowy”.
- Doprawdy? A czemu nie? Na czym polega różnica?
- Nie masz nawet pojęcia, ile kosztują studia medyczne.
- Mam. Utrzymywałem żonę podczas jej studiów.
- Ile najwięcej zarabiałeś jako trener?
- Siedemnaście tysięcy dolarów rocznie brutto.
- Ile to daje na godzinę?
- Przyjmijmy, że chodzi o trzysta sześćdziesiąt pięć dni. Uczę i trenuję przez dziewięć miesięcy, ale w lecie z kolei mam zajęcia z baseballa. Zatem mamy jakieś czterdzieści sześć dolarów na dzień. To trzeba dalej podzielić przez dziesięć godzin pracy.
- Zapisała wszystko i potem spojrzała na mnie.
- Cztery sześćdziesiąt za godzinę. Daję pięć.
- Cóż za hojność.
- Nigdy więcej nie zarabiałeś.
- Cóż za upokorzenie - powiedziałem i rozejrzałem się po restauracji. - Nic, tylko ciągle upokorzenia, jedno gorsze od drugiego. Trener w pojedynku z psychiatrą przegrywa w dogrywce o siedemdziesiąt zielonych.
- A więc umowa stoi - powiedziała i zamknęła notes.
- Nie - sprzeciwiłem się. - Skoro poległem na tym polu, to spróbuję z tej porażki wyjść z podniesionym czołem, aby zachować do siebie szacunek. Chcę trenować Bernarda za darmo, pani doktor. Po raz kolejny zostałem unicestwiony, kiedy usiłowałem porównać trenerkę do prawdziwego zarabiania na życie. Proszę mu powiedzieć, że zaczynamy pojutrze. A teraz czas na bajeczny deser.
- Za bardzo się najadłam.
- Niech pani się nie martwi o wagę, doktor Lowenstein - powiedziałem. - Znajdziemy potem, jakiegoś oprycha, a on pogoni panią aż do Central Parku. To świetny sposób na spalenie kalorii po nowojorskim posiłku.
- To mi coś przypomniało. Pamiętasz, jak spotkałeś Monique w poczekalni? Dlaczego jej powiedziałeś, że jesteś prawnikiem? Coś mi o tym wspomniała w gabinecie.

- Nie chciała uwierzyć, kiedy powiedziałem, że jestem trenerem. Poza tym jest piękna i chciałem na niej zrobić wrażenie, a co więcej, czułem się samotny i chciałem, żeby ze mną rozmawiała.

- Uważasz, że jest piękna?

- Pomyślałem, że to najpiękniejsza kobieta, jaką ujrzałem w życiu.

- To dziwne, Tom. Drugi raz przyszła do mnie roztrzęsiona, nie panując nad sobą. Ma jakiś upiorny romans z inwestorem bankowym, tak w każdym razie mi powiedziała.

- Jej lekarz był akurat poza miastem. Czy jest w tym mieście ktokolwiek, kto nie chodzi do psychiatry, czy też wszystkie takie osoby zostają ciupasem wysłane do New Jersey?

- Gra na flecie w orkiestrze mojego męża - powiedziała doktor Lowenstein. - Zobaczysz ją zatem w przyszłym miesiącu.

- Do diaska, gotowa mnie zapytać o moją kancelarię. Pozwól, że zamówię koniak, Susan. Masz rację, z deseru możemy zrezygnować.

Nadjechał koniak, wzniesiliśmy obopólny toast, a smak trunku pograżył mnie w przeszłości, kiedy siedzieliśmy tu z siostrą i bratem. Podczas kiedy sączyliśmy koniak postawiony przez właściciela „Coach House”, Savannah wyciągnęła z torebki cztery nowe wiersze, nad którymi właśnie pracowała, i głośno odczytała je nam obu. Chciała spisać autobiografię w wierszach i teraz przeczytała nam o białym morświnie z Colleton, dorocznym marszu dziadka w Wielki Piątek i pierwszym meczu futbolowym Benjiego Washingtona. Jej język był bujny i płomienny, a obrazy tak zdejmowała ze swego życia jak brzoskwinie z drzew w sadzie. Czytane, jej wiersze były zawsze jak dar z owoców, a tego wieczoru nasączyliśmy go koniakiem.

- O czym myślisz, Tom? - spytała Susan.

- O dniu, kiedy byliśmy tutaj z Lukiem i Savannah - odrzekłem. - Wszyscy troje byliśmy wtedy tacy szczęśliwi.

- I co się stało?

- Natura nienawidzi próżni, ale jeszcze bardziej nienawidzi pełnego szczęścia. Susan, pamiętasz, jak wspominałem o swoim załamaniu nerwowym?

- Oczywiście - odpowiedziała miękko.

- Nie było to załamanie. Smutek tak straszliwy, że z ledwością potrafiłem poruszać się czy mówić. Wtedy nie uważałem tego za chorobę umysłową, nie uważam i teraz. Przez dwa lata potrafiłem funkcjonować, chociaż ten smutek spowijał moje serce. Doznałem straszliwej straty i nic nie mogło jej powetować. Prowadziłem treningi w trzech dyscyplinach i pięć lekcji angielskiego dziennie i to przede Wszystkim praca pozwalała mi się nie

rozpaść. Aż pewnego dnia nie mogłem już znieść bagażu tego smutku. Miałem właśnie lekcję-, na której przerabialiśmy Fern Hill Dylana Thomasa. Wiersz tak mnie wzruszył, że poczułem łzy w oczach. To piękny utwór i wzrusza mnie za każdym razem, ale teraz chodziło o coś innego. Nie mogłem powstrzymać się od płaczu. Uczniowie byli poruszeni. Ja byłem poruszony, ale nic na to nie mogłem poradzić.

- I nie uważasz, że to było jednak załamanie nerwowe, Tom? - spytała łagodnie..

- Nie - odrzekłem. - Myślę, że to była normalna reakcja na wielki smutek. Nienormalne było to, że tak długo niosłem ten ciężar bez łez. Tydzień później szedłem po plaży i zobaczyłem człowieka, który wydał mi się podobny do brata, znowu się rozpadłem. Siedziałem na skałach nad Charleston Harbor i przez godzinę wstrząsało mną łkanie. Wtedy pomyślałem, że jest coś, co powinienem był zrobić. Zapomniałem o czymś ważnym, ale nie wiedziałem, co to takiego. Sallie znalazła mnie na plaży dygoczącego z zimna.

- A co to było takiego?

- Mecz. Tego wieczoru moja drużyna rozgrywała mecz. Zapomniałem, że drużyna, którą trenowałem, z której wyciskałem siódme poty, którą uczyłem dyscypliny, ma ważny mecz.

- I to wtedy cię wylali.

- Tak, wtedy mnie wylali. Zostałem potem w domu i nie chciałem pomocy od nikogo. Pozwoliłem, by smutek wziął górę, a były to twarde rządy. Po miesiącu żona i matka podsunęły mi jakieś papiery do podpisania, a potem znalazłem się na dziesiątym piętrze w Medical College, gdzie poddano mnie terapii wstrząsowej.

- Nie musisz się nad tym rozwodzić, Tom, szczególnie ze mną.

- Skoro mam już trenować Bernarda, wołałem, żebyś wiedziała, że dostajesz wybrakowany towar.

- A czy jesteś dobrym trenerem? - spytała.

- Jestem znakomitym trenerem.

- Jestem więc bardzo szczęśliwa, że przydarzyłeś mi się w tym właśnie momencie - powiedziała. - Dziękuję za wszystko, co mi powiedziałeś, lepiej, że stało się to tutaj niż u mnie w gabinecie. Chyba zostaniemy dobrymi przyjaciółmi.

- Jest coś związanego z Savannah, o czym mi nie mówisz?

- Bardzo wiele. Ale jest bardzo wiele powodów, dla których nie mówię ci o bardzo wielu sprawach. Kiedy napomknęłam o Monique, twoje słowa, że jest piękna, były prawie jak nóż w serce.

- Dlaczego?
- Przypuszczam, że ma romans z moim mężem.
- Dlaczego tak sądzisz?
- Aż za dobrze znam Herberta. Nie mogę pojąć, dlaczego przychodzi do mnie po pomoc, czy to okrucieństwo czy tylko ciekawość. Za każdym razem każe mi przysięgać, że nic mu nie powiem o jej wizycie.
- Może to tylko twoje przywidzenia, Susan.
- Wątpię.
- W porządku, doktor Lowenstein. Poznałem was obydwie. Monique jest piękna, ale ma marny charakter, jest nieciekawa jako osoba. Ponieważ masz dzisiaj na sobie tę cudowną sukienkę, nie sposób nie zauważyć, że kroczysz po świecie odziana w cudowne ciało. Jesteś odrobinę za poważna jak na mój gust, ale uwielbiam przebywać z tobą. Monique nawet nie może się z tobą równać, kochanie.
- Tylko nie „kochanie”, Tom - sprzeciwiła się z uśmiechem. - Pamiętaj, że jestem feministką.
- Monique nie może się z tobą równać, feministko.
- Dzięki, trenerze.
- Czy chcesz zatańczyć w „Rainbow Room”?
- Dzisiaj nie, Tom. Ale zaproś mnie jeszcze tego lata.
- Przrzekasz nałożyć tę sukienkę?
- Muszę wracać do domu i to jak najszybciej.
- Jest pani absolutnie bezpieczna, doktor Lowenstein. Pamiętaj, że mam za sobą terapię szokową - powiedziałem, wstając od stolika. - Poczekaj, ureguluję rachunek i wezwę ci jedną z tych obrzydliwych wych, chociaż kolorowych taksówek.
- To był cudowny wieczór, Tom - oznajmiła Susan Lowenstein, kiedy w lekkim deszczyku otwierałem przed nią drzwiczki taksówki na Waverly Place. Ucałowała mnie lekko w usta i po chwili już patrzyłem tylko w światła taksówki niknące w deszczu i mroku nocy.

## ROZDZIAŁ 8

Minęło ledwie kilka miesięcy od zaskakującego powrotu babki, kiedy u Winthropa Ogletree nabyła trumnę i szybko dowiedzieliśmy się, że odwiedza cmentarz, aby rozmawiać ze zmarłymi. Podobnie jak większość Południowców Tolitha z kultu przodków uczyniła swego rodzaju prywatną sztukę, a intymność cmentarzy wręcz ją uszczęśliwiała. Śmierć była dla niej ciemnym i niewyjaśnialnym wymiarem sekretnej geografii świata. Fakt, że i ona miała jej doświadczyć, napelniał ją miłym uczuciem oczekiwania na podróże rychłe i zdumiewające.

Ponieważ babka ani nie uczęszczała regularnie do kościoła, ani nie dawała jawnych oznak swej wiary, pozwalało jej to na przyjmowanie bardziej egzotycznych określeń ducha, na wzbogacanie wizji świata w bardziej rześkie destylaty i domieszki. Zachowała niewinną wiarę w horoskopy i dni swoje planowała zgodnie z dumnym układem gwiazd oraz powikłanymi sugestiami oraz insynuacjami zodiaku, Z niezmienną ciekawością zasięgała porady u wróżbitów, wierzyła w skrzącą się moc kryształowych kul, zaszyfrowane aluzje układu liści, rozkazy dnia ogłaszane przez starannie roztasowane karty tarota i w ogóle we wszystko to, co w południowym miasteczku wydawało się podejrzane i rewolucyjne. W Marsylii Cyganka przestudiowała dłoń Tolithy, wpatrzyła się w krótką i rozgałęzioną linię życia, a na koniec oświadczyła, że babka pożyje niedługo poza sześćdziesiąte urodziny. Do Colleton, aby uporządkować swe sprawy ze światem, Tolitha przybyła w wieku pięćdziesięciu sześciu lat. Każdego dnia zaglądała do I Ching, tekstu, który dziadek uznawał za co najmniej diabelski. Z najwyższą powagą traktowała wszystkie dywagacje i enuncjacje płynące z tablicy ouija, niezależnie od ich zagadkowości. Jej wiara była katechizmem nie przetrwionych prawd. Utrzymywała kontakty z mediami, znachorami i jasnowidzami. Dla jej podatnej na wpływy, unikającej strapien duszy wszyscy oni byli meteorologami.

Nigdy nie spotkałem osoby, która byłaby w większym stopniu chrześcijanką niż Tolitha, a przecież wróżbę Cyganki potraktowała ze stoicką, skupioną uwagą i zaczęła się przygotowywać do odejścia, jak gdyby chodziło o podróż do bajecznej krainy, której granice przez długi czas były zamknięte dla turystów. Kiedy nadeszła pora kupna trumny, a także ostatecznych ustaleń dotyczących pogrzebu, nastawała, aby towarzyszyły jej też wnuki. W każdej sytuacji pozostając nauczycielką, Tolitha chciała nam wpoić, iż nie należy bać się śmierci. O nabyciu trumny rozprawiała z radością i zachowywała się tak, jakby chodziło o

potwierdzenie rezerwacji w hotelu znajdującym się u kresu najmozolniejszej ze wszystkich podróży.

- To po prostu ostatni etap życia, wyobrażam sobie, że najciekawszy - oznajmiła, kiedy szliśmy Street of Tides, mijając drzwi sklepów i pozdrawiając znajomych oraz obcych.

- Tolitha, przecież jesteś zupełnie zdrowa - powiedział Luke i spojrzął na nią w górę, mrużąc oczy przed słońcem. - Słyszałem, jak tata mówił, że ty jeszcze nasiusiasz na groby nas wszystkich.

- Twój ojciec wyraża się jak prostak, Luke. Proszę, nie naśladować wymowy krewetkarzy - skarciła wnuka babka, krocząc wyprostowana jak sosna. - Nie, nie dożyję sześćdziesiątych pierwszych urodzin. To nie była jakaś tam sobie Cyganka wróżąca z ręki. To była sama królowa Cyganek. Zasięgam porady tylko u specjalistów. Nigdy nie byłam u lekarza ogólnego.

- Mama powiedziała, że to grzech dowiadywać się o swoją przyszłość u Cyganki - rzekła Savannah, która szła z babką za rękę.

- Twoja matka przez całe życie była tylko w dwóch stanach - prychnęła Tolitha. - Nie może wiedzieć o świecie tego co ja.

- A czy ta Cyganka powiedziała, na co umrzesz? - spytałem i uważnie spojrzałem na babkę, bałem się bowiem, że zniecka padnie martwa na ulicy.

- Serce mi stanie - oznajmiła z dumą babka, jakby nadawała właśnie imię ukochanemu dziecku. - Runę jak głaz.

- A czy będziesz miała taki pogrzeb jak buddyści zeń? - spytała Savannah.

- To zupełnie niepraktyczne - powiedziała Tolitha i uśmiechnęła się do Jasona Fordhama, który prowadził sklep z częściami metalowymi. - Chciałam przez jakiś czas, żeby dziadek zawiózł mnie do Atlanty i położył nagą na szczycie Stone Mountain, żeby sępy pożarły moją doczesną powłokę, ale on był zupełnie przerażony tym pomysłem. Tak robią w Indiach. Z drugiej strony, nie byłam pewna, czy w Georgii jest dość sępów, żeby wszystko zagrało.

- To najokropniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem - oświadczył Luke i spojrzął na babkę z podziwem.

- Pamiętajcie, dzieci, że nienawidzę robić zwykłych rzeczy, ale z drugiej strony, co poradzić? Każda społeczność ma swoje zwyczaje.

- Nie boisz się umierać, Tolitho? - spytałem.

- Wszyscy kiedyś musimy wyciągnąć nogi, Tom - odrzekła. - Ja mam to szczęście, że mogę przygotować się zawczasu, tak żeby nie było to szokiem dla rodziny. Chcę, żeby wszystko było ustalone i urzędzone.

- Jaką trumnę chcesz kupić, Tolitha? - spytała Savannah.  
 - Sosnową, żadnych uduziwień. Chcę, żeby robakiabrały się do mnie jak najszybciej. Powiedzmy sobie szczerze, tak utrzymują się przy życiu, a ja nigdy nie miałam nic przeciwko temu, co ludzie robią, aby utrzymać się przy życiu.

- A jak cię zjedzą? Przecież nie mają zębów? - spytał Luke, kiedy mijaliśmy wejście do fryzjera Wayne'a Fendera.

- Będą musiały poczekać, aż zmięknę trochę w ziemi - wyjaśniła Tolitha, a głos jej stał się odrobinę wyższy. Takie szczegóły ekscytowały i frapowały babkę. - Widzisz, przedsiębiorca pogrzebowy odciąga z ciebie całą krew, tak że jesteś suchy jak kaczan kukurydzy, a potem napełnia płynem balsamującym, żebyś nie zgnił za szybko.

- A czemu nie zostawiają krwi? - spytała Savannah, a w jej oczach widać było przerażenie.

- Bo z krwią w środku szybciej gnijesz.
- Ale przecież i tak wsadzą cię w ziemię, żebyś się tam rozłożyła.
- Nie chcą, żebyś zaczął śmierdzieć przed pogrzebem. Czuliście kiedyś ciało, które się psuje?
- Jak to pachnie, Tolitha?
- Jak sto funtów nieświeżych krewetek.
- Aż tak okropnie?
- Jeszcze gorzej. Źle mi się robi na samą myśl o tym.

Dotarliśmy do skrzyżowania Baitery Road ze Street of Tides, gdzie znajdowały się jedne z dwóch w Colleton świateł. Na wodzie kutry pochylały się, walcząc z wiatrem, ich żagle wydawały się z tej odległości papierkami skapanymi w świetle słonecznym. Pięćdziesięciostopowy jacht zrobił zwrot na rzece i czterema gardłowymi sygnałami rozka dał znak zawiadowcy mostu. Na skrzyżowaniu pan Fruit w baseballowej czapce i białych rękawiczkach kierował ruchem, czekaliśmy, aż pozwoli nam przejść przez ulicę. Dla pana Fruita nie miało znaczenia, czy światło było zielone, czy czerwone, regulując puls ruchu na swoim skrzyżowaniu świata, polegał na intuicji i własnym wyczuciu balansu i symetrii.

Wydawało się, że ten zdumiewający, dziwaczny, czujny Murzyn, o sylwetce wysokiej i smukłej oraz nieokreślonym wieku, dźwiga na sobie odpowiedzialność za miasteczko Colleton. Po dziś dzień nie wiem, czy Fruit był fantastą, człowiekiem upośledzonym czy może szaleńcem o miłej twarzy, któremu zezwolono na radosne wznoszenie niewymownego hymnu pod adresem współmieszkańców. Nie „wiem, jak się naprawdę nazywał, kim była jego rodzina czy gdzie spędzał noce, w każdym razie stał się



częścią Colleton i nikt nie kwestionował jego prawa do kierowania ruchem na Street of Tides.

Za którymś razem nowy szeryf spróbował wyjaśnić Fruitowi różnicę między światłem czerwonym i zielonym, ten jednak stanowczo sprzeciwił się zmienianiu czegokolwiek w zajęciu, które tak dobrze wykonywał od wielu lat. Nie tylko dyrygował przyjazdami i odjazdami, marszem i przystawaniem, ale uśmiezał też w jakimś stopniu zło pieniące się na niewidzialnych marginesach świadomości miasteczka. Humanitaryzm czy też jego brak można w każdej wspólnocie mierzyć tym, jak akceptuje ona Fruitów świata. Colleton po prostu przystosowało się do harmonii i nakazów pana Fruita. Robił to, co uważał za potrzebne, i robił to z klasą. „To jest styl Południa”, mówiła babka, „Miły styl Południa”.

- Cześć, cześć - zawołał na nasz widok, a my odpowiedzieliśmy takim samym okrzykiem. Na szyi miał zawieszony srebrny gwizdek, a na twarzy anielski, nigdy nie znikający uśmiech. Dmuchnął w gwizdek i zamachał długimi rękami w gestach przesadnych i ceremonialnych, by okręciwszy się na pięcie, postąpić kilka kroków w kierunku jedynego nadjeżdżającego samochodu, z lewą dłonią wygiętą pod kątem prostym w stosunku do przegubu. Auto stanęło, a Fruit dał nam znak do przejścia, podczas którego pogwizdywał w absolutnej synchronii z rytmem kroków babki. Pan Fruit miał wrodzony talent do sterowania ruchem ulicznym. To on kierował też wszystkimi paradami w Colleton, niezależnie od tego, czy miały charakter poważny czy zabawny. Były to jedyne jego funkcje w życiu miasta, a wywiązywał się z nich bardzo dobrze. Dziadek często powtarzał, że niewielu spotkał w życiu ludzi, którzy tak dobrze jak Fruit wykonywali to, co im przypadło w udziale.

Miasteczko Colleton zamieszkiwało w chwili moich urodzin dziesięć tysięcy prowincjonalnych dusz i z każdym rokiem liczba ta odrobinę się zmniejszała. Zbudowano je na ziemiach Indian Yemassee, a za przedmiot dumy uważano to, że nie pozostał na ziemi ani jeden Yemassee, nazwa ta więc miała w sobie mroczny połysk unicestwienia. Ostatnia bitwa między osadnikami a krajowcami stoczona została na naszej wyspie, na północnym skraju Melrose Island. Oddział z Colleton zaskoczył plemię nocnym atakiem, ilu tylko się dało wymordowano we śnie, resztę niczym jelenie pognano - w czym walnie pomogły psy - przez lasy, by o świcie zepchnąć ich wszystkich na piaszczyste brzegi rzeki. Potem wpędzono Yemassee do rzeki i tam zmasakrowano szablami i muszkietami, nie oszczędzając kobiet ani dzieci. Pewnego razu, gdy wraz z Lukiem i Savannah szukaliśmy

grotów strzał, znalazłem małą czaszkę, kiedy ją wydobyłem z poszycia lasu, w środku zagrzechotała kulka od muszkietu i wyleciała pomiędzy zębami.

Mijając rząd oszałamiających białych rezydencji ustawionych wzdłuż Street of Tides, przeszliśmy także obok domu, w którym dojrzewał właśnie jeden z najgroźniejszych snów naszych czasów. Pomachaliśmy do Reese'a Newbury'ego, który stał na ganku i patrzył na rzekę. Był najpotężniejszym człowiekiem w Colleton - znakomity prawnik, właściciel jedynego banku w miasteczku i rozległych włości w całym hrabstwie, przewodniczący rady miejskiej. W tym pozdrowieniu witaliśmy swoją przyszłość, najbardziej zdumiewającego wizjonera w naszym miasteczku - prostodusznie i z uśmiechem akceptowaliśmy upadek rodu Wingo.

Przedsiębiorca pogrzebowy, Winthrop Ogletree, czekał w hallu dużego, dudniącego echem domu wiktoriańskiego na końcu Street of Tides, gdzie prowadził swój interes. Ubrany był w ciemny garnitur, a ręce zaplótł na brzuchu w wymuszonej pozie nabożności. Wysoki i chudy, cerę miał barwy koziego sera, który zbyt długo pozostawiono na stole. Wnętrze domu pogrzebowego pachniało martwymi kwiatami i nie wysłuchanymi modlitwami. Kiedy życzył nam dobrego dnia, w jego głosie było coś gadziego i obłudnego, co sprawiało, iż natychmiast wiedziało się, że naprawdę swojsko czuje się jedynie w towarzystwie umarłych. Wygląd jego sugerował, że sam umarł już ze dwa lub trzy razy, aby lepiej docenić subtelności swego powołania. Winthrop Ogletree obdarzony był twarzą nieszczęśliwego wampira, który nigdy nie otrzymał wystarczającej porcji krwi.

- Przejdę od razu do rzeczy, Winthrop - powiedziała babka oficjalnym tonem. - Umrę w jakiś czas po sześćdziesiątych urodzinach i nie chcę, by mój pogrzeb stał się obciążeniem dla rodziny. Chcę kupić najtańszą trumnę, jaką masz na tym składowisku kości, i nie życzę sobie żadnych sztuczek handlowych, mających na celu wcisnięcie mi pudła za milion dolarów.

Ogletree wydawał się dotknięty i obrażony, odpowiedział jednak głosem ugodowym.

- Ach, Tolitha, Tolitha, Tolitha. Jestem tutaj tylko po to, aby jak najlepiej cię obsłużyć. Nigdy mi nawet nie przyszło do głowy, żeby komukolwiek cokolwiek wmówić. Chcę odpowiedzieć na wszystkie pytania i spełnić wszystkie żądania. Nic jednak nie wiedziałem o twojej chorobie, Tolitho, a wyglądasz tak, jakbyś zamierzała żyć tysiąc lat.

- Nie potrafię sobie wyobrazić bardziej tragicznego losu - odpowiedziała i zerknęła do pomieszczenia na prawo, gdzie w otwartej skrzyni spoczywało ciało. - Czy to Johnny Grindley?

- Tak, wczoraj rano odszedł, by stanąć przed obliczem Najwyższego.
- Szybko się uwijasz, Winthrop.
- Staram się jak mogę, Tolitho - powiedział Ogletree, skromnie spuściwszy głowę. - Żył jak dobry chrześcijanin i to dla mnie zaszczyt, że mogę mu wyprawić godny pochówek.
- Johnny był najbardziej parszywym sukinsynem, jaki stąpał po ulicach tego miasta, Winthrop - powiedziała babka, podeszła do trumny i spojrzała na woskową, nieludzką twarz Johnny'ego Grindleya.
- Wygląda, jakby się tylko zdrzemnął, prawda - zasugerował z dumą przedsiębiorca.
- Nie. Jest martwy jak pień - oznajmiła babka.
- Wprost przeciwnie, Tolitho - oburzył się Ogletree. - Wygląda tak, jakby zaraz mógł wstać i zagwizdać marsz Johna Philippa Sousy. Spójrz tylko na układ twarzy, ten delikatny cień uśmiechu. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak trudno jest wyczarować uśmiech na twarzy osoby zmarłej na raka. To znaczy, każdy potrafi zrobić fałszywy uśmiech, ale tylko artysta uzyska taki, który będzie sprawiał wrażenie naturalnego.
- Nie chcę się uśmiechać, Winthrop, po tym, jak wyciągnę kopyta. Lepiej zanotuj to sobie dokładnie. Też, żeby uśmiechała się jak kocica na słońcu, a ludzie będą podchodzić z boku i zapuszczać żurawia. Masz użyć moich kosmetyków, a nie tych tanich świństw.
- Korzystam z najlepszych środków, jakie tylko można nabyć - oświadczył Ogletree i dumnie się wyprostował.
- Chcę ładnie wyglądać po śmierci - rzekła Tolitha, ignorując uwagę przedsiębiorcy.
- Będziesz wyglądała wspaniale - obiecał i znowu skromnie opuścił głowę.
- Biedny Johnny Grindley - pokiwała głową babka i spojrzała na zwłoki z dziwną tkliwością. - Czy wiecie, dzieci, że pamiętam dzień, kiedy Johnny urodził się w domu swojej matki na Huger Street? Miałam wtedy osiem lat, a pamiętam to tak wyraźnie, jakby się wydarzyło piętnaście minut temu. To jedyna dziwna pora życia. Ciągłe czuję się jak ośmioletnia dziewczynka w starym ciele. Po urodzeniu Johnny był brzydki jak szczur piżmowy.
- Przeżył godnie swe życie - powiedział Ogletree tonem tak poważnym jak D - dur w organach.
- Nie zrobił ani jednej interesującej rzeczy, Winthrop - zawyrokowała Tolitha. - A teraz pokaż mi pomieszczenie, gdzie trzymasz wzory trumien.
- Mam jedną, która jakby z myślą o tobie została zrobiona, Tolitho - oznajmił Ogletree i poprowadził nas na górę krętymi schodami. Po prawej

minęliśmy kaplicę, która nie opowiadała się wyraźnie za żadnym wyznaniem, i weszliśmy do pokoju, w którym stały skrzynie różnych kształtów i wielkości. Przedsiębiorca skierował się wprost do mahoniowego pudła ustawionego w centrum, poklepał je entuzjastycznie i oznajmił: - Nawet nie warto przyglądać się innym, Tolitho. To jedyna trumna odpowiednia dla osoby mającej twoją pozycję w naszej społeczności.

- Gdzie jest jakieś sosnowe pudło? Nie chcę być ciężarem dla swojej rodziny.

- To żaden problem. Mamy bardzo korzystny system ratalny. Płacisz kilka dolarów miesięcznie i w chwili, kiedy musisz stanąć przed obliczem Najwyższego, rodzina nie będzie do tego musiała dołożyć ani centa.

Tolitha sprytnym spojrzeniem mierzyła skrzynie przez jakiś czas, potem przeciągnęła ręką po tłoczonym aksamicie, którym wyłożone było wnętrze. Ja podszedłem do wieka, na którego spodniej stronie wyciśnięty był na aksamicie obraz Chrystusa z apostołami podczas Ostatniej Wieczerzy.

- To niesłychanie piękne, na co spoglądasz, Tom - powiedział pan Ogletree. - Zauważ, że nie ma tam Judasza. Wspaniale być pochowanym razem z Jezusem i jego najbliższymi uczniami, producent jednak mądrze zdecydował, że dla Judasza nie powinno być miejsca w ostatnim domu chrześcijanina.

- Wygląda niesłychanie ładnie - potwierdziłem.

- Tandeta - mruknęła Savannah.

- Mnie bardziej się podoba trumna z rysunkiem złożonych dłoni - odezwał się Luke z drugiego końca pokoju.

- Tę często wybierają metodyści, Luke - poinformował zadowolony Ogletree - ale ona jest właściwie bezwyznaniowa. To mogą być złożone do modlitwy ręce buddysty albo muzułmanina. Rozumiesz, co mam na myśli? Ale Tolitha na pewno nie będzie się interesowała obrazkiem ozdabiającym miejsce jej ostatecznego spoczynku. Zawsze potrafiła docenić elegancję prostoty, jeśli pozwolisz się skomplementować, Tolitho.

- Swoje komplementy zachowaj dla siebie, Winthrop - powiedziała babka. - Ile kosztuje ten model, który pokazałeś mi na początku?

- Zwykle sprzedaję go mniej więcej za tysiąc dolarów - oświadczył przedsiębiorca, zniżając głos jak do modlitwy - ale z racji naszej długoletniej znajomości tobie, Tolitho, obniżę cenę do ośmiuset dwudziestu pięciu dolarów szesnastu centów netto.

- Muszę się zastanowić, Winthrop. A czy teraz zechcesz zostawić mnie tylko z wnukami, abyśmy mogli to przedyskutować?

- Oczywiście, znakomicie to rozumiem. Sam chciałem wystąpić z taką propozycją. Będę na dole w biurze, zajrzyj tam, wychodząc. Jeśli nic ci się nie spodoba, mam specjalny katalog, dzięki któremu możesz zamówić listownie każde miejsce ostatecznego spoczynku, jakie zrobiono w Stanach Zjednoczonych.

- A jaka jest tutaj najtańsza?

Winthrop Ogletree parsknął, jak gdyby usiłował usunąć z nozdrzy coś nieczystego, i sztywnym krokiem pomaszzerował w ciemny róg pokoju, gdzie z wyraźną odrazą dotknął małej, niczym nie przyozdobionej trumny koloru lufy karabinowej.

- Ten szmelc pójdzie za dwieście dolarów, Tolitho, ale kobiety o twojej pozycji nawet nie ważyłbym się pochować w czymś takim. Do tego kładzie się nie zidentyfikowanych włóczęgów albo najgorszy rodzaj Murzynów. Nie, nie, z pewnością nie zechcesz skazywać rodziny na to, aby widziała cię w czymś takim.

Spojrzał na babkę tak, jak gdyby zaproponowała mu pochówek w kupie kurzego gówna. Ukłonił się nisko i wyszedł, abyśmy mogli porozmawiać tylko we czworo.

Kiedy na schodach rozbrzmiały jego kroki, babka powiedziała:

- Źle mi się robi na myśl, że ten pogrzebacz zobaczy mnie po śmierci gołą jak do kąpieli.

- To wstrętne, Tolitha - powiedziała Savannah. - Nie damy mu. Nie pozwolimy mu nawet zerknąć.

- Musi cię rozebrać ze wszystkiego, zanim otworzy żyły, aby wypuścić krew, ale chyba wtedy nie będzie mi już tak zależało. Tak czy siak wolałabym, żeby był to ktoś inny niż Winthrop Ogletree. Gdyby do jego głosu dodać trochę octu, można by nim polewać sałatkę cezara. Kiedy nie traci się przy nim rezonu, przez kilka dni chodzi jak struty. Ej, niech no któreś to weźmie.

Wyciągnęła z torebki mały aparat Brownie i podała Luke'owi, który spytał:

- Po co ci to, Tolitha?

Babka przysunęła krzesło do pierwszej z trumien pokazanych przez pana Ogletree, gładkim ruchem zsunęła buty i zwinnie wspięła się na siedzenie. Patrzyliśmy w milczeniu. Tolitha umieściła się w pudle, zupełnie jakby wsiadała do pierwszorzędnego samochodu, a potem kręcąc się i przesuwając, położyła się wygodnie. Poruszała stopami, wyciągnęła szyję, a potem znieruchomiała z zamkniętymi oczyma.

- Nie podoba mi się, że tak tu twardo - powiedziała z przymkniętymi powiekami.

- To nie materac, Tolitha - zauważyła Savannah. - Nie chodzi o to, żebyś się tu czuła jak w hotelowym łóżku.

- A skąd, u licha, wiesz, jak powinnam się w tym czuć - obruszyła się babka. - Wykładałam za to swoje pieniądze, więc mogę domagać się trochę wygody. Ostatecznie mam tu położyć przez dłuższą chwilę.

- Szybciej, Tolitha - powiedziałem błagalnie i podbiegłem do okna - zanim ktoś cię zobaczy i narobi nam kłopotów.

- Jak wyglądam? - spytała niewzruszona babka.

- Co masz na myśli? - spytała Savannah. - Wyglądasz świetnie jak zwykle.

- Chodzi mi o to, jak wyglądam w trumnie. - Babka ciągle nie otwierała oczu. - Czy sukienka pasuje do obicia, czy może raczej powinnam nałożyć tę purpurową, którą miałam na Wielkanoc w Hongkongu?

- Nie było nas na Wielkanoc w Hongkongu - zauważył Luke.

- Słusznie. No nic, wydaje mi się, że w tej jest więcej godności. Nienawidzę, jak ludzie po śmierci wyglądają frywolnie. Luke, zrób mi parę zdjęć.

- Nie mogę, Tolitha. Tak nie można.

- Posłuchaj, nie kupię tego pudła, jeśli nie będę wiedziała, jak w nim wyglądam. Przecież nie kazałbyś mi kupować sukienki bez spróbowania, prawda?

Luke pstryknął kilka fotografii, wruszał ramionami pod naszym adresem, przesuwał klatki i zmieniając ujęcia.

- Tolitha, pani Blankenship idzie ulicą - powiedziałem błagalnie. - Proszę cię, wyjdź!

- Kto by się tam przejmował tym, co sobie pomyśli ta wiedźma. Razem chodziłyśmy do szkoły. Nic wtedy nie była warta, nic nie jest warta teraz. Posłuchajcie, dzieci. Kiedy przyjdzie ta chwila, chcę, żeby włosy były zrobione porządnie. Dlatego ma to zrobić Nellie Rae Baskins, a nie, raz jeszcze powtarzam: nie Wilma Hotchkiss, która może włosy tylko rozczesać, ale nic więcej. Powiecie Nellie Rae, że chcę mieć którąś z tych modnych francuskich fryzur, jakie ostatnio widziałam w gazecie. Coś błyskotliwego. Niech i plotkarki mają o czym pogadać po mojej śmierci. Poza tym... Czy któreś z was notuje? Ktoś powinien, bo wszystkiego nie spamiętacie... Chcę mieć włosy ufarbowane na rudo.

- Na rudo!! - zawołała w zdumieniu Savannah. - Głupio będziesz wyglądała, Tolitha, zupełnie nienaturalnie.

Babka, która dalej trzymała oczy zamknięte, a głowę wygodnie złożoną na jedwabnej poduszce, odpowiedziała spokojnie:

- Jako dziewczynka byłam ruda. Miałam piękne czerwone włosy, nie takie rdzawe jak Tolliver, co mieszka na Burnchurch Road. Zachowałam pukiel włosów, obcięty, kiedy miałam piętnaście lat, więc będzie próbka. Nellie Rea zna się na kolorach, a Wilma nawet jak robi pisanki, to jej nie wychodzą. A poza tym, Savannah, kto chce wyglądać naturalnie jako sztywniak? Na miłość boską, chciałabym, żeby pogrzeb miał jakieś smaczki.

- Na pogrzebie wcale nie ma być żadnych smaczków - zawyrokowała Savannah. - A teraz wylaż stamtąd, zanim cię przyłapie pan Ogletree.

- A jak usta? - dopytywała się Tolitha. - Chcę chyba, żeby były tak jak teraz. Zrób jeszcze jedno zdjęcie, Luke. Pamiętajcie, nie pozwalam, żeby ten dupek Ogletree zrobił mnie uśmiechającą się od ucha do ucha. Wszyscy go z tego znają. Sami słyszeliście, jak to miło znaleźć się tutaj z Jezusem i te inne bzdury. Chcę wyglądać poważnie i dostojnie, jak królowa regentka.

- Kto to taki królowa regentka? - spytałem.

- Nie wiem dokładnie, Tom, ale brzmi jak ktoś, kim bym chciała być. W domu muszę zajrzeć do Webstera. Savannah, kochanie, podaj mi z torebki puderniczkę. Muszę sprawdzić makijaż.

Savannah sięgnęła do przepastnej torebki i wyłowiła z niej złotą puderniczkę, którą podała zległej w trumnie babce. Tolitha otworzyła puzderko i wpatrzyła się w małe okrągłe lustro. Przypudrowała odrobinę nos i policzki, zamknęła cacko, oddała je Savannah i znowu zamknęła oczy.

- Znakomicie. Makijaż jest doskonały, dokładnie taki, jak chciałam. Jeszcze fotkę, Luke. Pamiętajcie, właśnie taki odcień szminki. Ogletree używa farby, którą malują wozy strażackie. Powinno się go dopuszczać tylko do czarnuchów, bo...

- Ktoś idzie - pisałem, wskazując na drzwi. - Tolitha, proszę, wyjdź z tej trumny.

- Jesteś bardzo nieładny, Tom, jak wpadasz w histerię.

- Nie powinnaś mówić „czarnuch”, Tolitha - zachnęła się Savannah. - To nieładnie.

- Masz rację, księżniczko. Już nie będę.

- Ktoś nadchodzi, Tolitha - szepnęła babce do ucha Luke. - Proszę, wyjdź.

- Świetnie - zachichotała babka. - Próba generalna.

W pozie majestatycznej i inkwizytorskiej wkroczyła do pokoju Ruby Blankenship. Szare włosy miała gładko zaczesane do tyłu, a oczy lśniły niczym rodzyńki w wyrosniętym cieście twarzy. Była to niewiasta wielkich



rozmiarów, która budziła strach w sercach dzieci. W Colleton stanowiła jedną z najwyrazistszych osobowości, a kiedy stała w drzwiach, świdrowała nas wzrokiem o tej szczególnej intensywności, którą potrafią wypracować na starość ludzie nie znoszący dzieci. Sława, która ją otaczała w miasteczku, po części związana była z niezwykłą ciekawością, jaką darzyła zdrowie swych współobywateli. Przesiadywała na okrągło w szpitalu lub w domu pogrzebowym. Powstrzymać mógł ją tylko pożar. W domu i w samochodzie miała policyjne radia, dlatego też mogła się zjawiać na miejscu wypadku, aby ocenić stan ofiar.

- A co wy tu robicie, Wingo? - spytała podejrzliwie. - Od lat nic się u was nie zdarzyło.

Zanim zdążyliśmy wybąkać cokolwiek, Blankenship dojrzała Tolithę, która zastępyła z rękami splecionymi na brzuchu.

- Nagła śmierć - powiedziała i z niedowierzaniem pokręciła głową. - Nic w ogóle nie wiedziałam. - Ignorując nas, przesunęła się przez pokój, zatrzymała przy trumnie i wpatrzyła w babkę. - Spójrz tylko na ten głupi uśmiezek, który Ogletree nakłada ludziom na twarze - powiedziała, kiwając na Luke'a kościstym, bladym palcem. - Całe Colleton idzie do ziemi rozradowane, jakby było się z czego cieszyć. Ale poza tym, zna się na rzeczy. Wygląda całkiem naturalnie, prawda, dzieci? Zupełnie jak za życia.

- Tak, proszę pani - wykrztusił Luke.

- Na co umarła?

- Nie wiem na pewno, proszę pani - odparł brat, a w jego głosie pobrzmiwała prawdziwa rozpacz, wzrokiem błagał nas o pomoc, ale obydwójce zgodnie pokręciliśmy głowami - w tym przypadku niech na nas nie liczy, Savannah podeszła do okna i zapatrzyła się na rzekę, była bliska hysterii, plecy dygotały jej nerwowo. Mnie ogarnęło zbyt wielkie przerażenie, abym potrafił docenić wspaniałość tej sceny.

- Jak to nie wiesz na pewno! - rzekła z irytacją pani Blankenship. - Serce? Czy może jakiś rak, którego nabawiła się w Afryce? Albo wątroba. Idę o zakład, że wątroba. Piła na potęgę, ale pewnie żadne z was o tym nie wie. Rzuciła waszego dziadka w samym środku kryzysu. Dobrze pamiętam ten dzień, jak się zabrała. Zaniósłam mu dużą zapiekankę. Mam nadzieję, że potrafi się jakoś wytłumaczyć przed obliczem Wszzechmogącego. Kiedy pogrzeb?

- Nie wiem dokładnie, proszę pani - odrzekł Luke.

- Nie wiesz, kiedy będą chować twoją babkę? - spytała pani Blankenship.

- Nie, proszę pani.

- A kiedy to się stało?

- Błagam, proszę mnie tak nie pytać, z żalu nie wiem, co mówię - wyrzucił z siebie Luke i zakrył rękami twarz, a jego barkami wstrząsnął tłumiony śmiech.

- Nie przejmuj się tak bardzo, chłopcze - powiedziała łagodnie pani Blankenship. - Śmierć to naturalne zdarzenie i czarny jeździec przyjedzie po każdego z nas, żeby na końskim grzbiecie ponieść na ławę Sądu Najwyższego. Najlepsze, co można zrobić, to być gotowym, gdy nadejdzie ta chwila. Wiem, gryziesz się tym, że twoja babka smaży się w tej chwili w Ogniu piekielnym. Ale taki był jej wybór. Postanowiła żyć w grzechu, a to powinno być dla nas wszystkich przykładem, iż tu, na ziemi, powinniśmy wieść przykładowy żywot. Macie tu wszyscy po jednej Juicy Fruit - powiedziała, wyjęła z podręcznej Biblii otwartą paczkę gumy do żucia i sprawnie wypchnęła palcem trzy żółte kawałki. - Guma pozwala nie płakać i odświeża oddech. Zauważyłam, że dzisiejszym dzieciom okropnie pachnie z ust. A wiecie, dlaczego? Bo matki nie uczą ich czyścić języków. Na pewno myślicie, że zwariowałam, ale moja mama nauczyła mnie, że język trzeba czyścić równie starannie jak zęby.

Kiedy wręczała plasterk gumy Luke'owi, babka nagle chwyciła ją za przegub. Usiadła prosto, wzięła jedną gumę, odpakowała, włożyła do ust i powoli opadła na poduszkę, poruszając szczękami.

W pokoju na chwilę zapanowała absolutna cisza, a potem pani Blankenship rozdarła się i rzuciła do drzwi. Słyszeliśmy, jak zbiega po schodach, przeskakując po trzy naraz.

Tolitha obiema dłońmi chwyciła się za brzeg trumny i zgrabnie z niej wyskoczyła. Wsunęła stopy w buty i z demonicznym uśmiechem szepnęła:

- Znam tylne wyjście.

Na dole rozhisteryzowana pani Blankenship usiłowała wyjaśnić Winthropowi Ogletree, czego była świadkiem, ale była zbyt roztrzęsiona, aby jej słowa ułożyły się w jakąś spójną całość. W ślad za babką pomknęliśmy w dół wąskimi schodami, a następnie prześliznęliśmy się do małego ogródka na tyłach domu pogrzebowego, a z niego furtką w ceglany murze - na zewnątrz. Kiedy nikt nie mógł nas już zobaczyć, cała czwórka padła na trawę i zaczęła się śmiać tak, że rozbolewały nas brzuchy. Tolitha zarykiwała się z nogami zadartymi w niebo i odsłoniętymi majtkami. Ja i Savannah spleliśmy się w uścisku, usta wciskając sobie nawzajem w ramiona. Tylko Luke chichotał bezgłośnie, ale dygotał przy tym niczym szczeniak na deszczu.

Nad wszystkim górował śmiech Tolithy. Miała śmiech taki, jakby w jej krtani rozpadał się dzwonek, śmiech tytaniczny, namiętny, który falami

przebiegał przez jej ciało od palców stóp po głowę. Pomiedzy kolejnymi atakami prosiła:

- Nie, nie dajcie mi już się śmiać. Proszę, nie dajcie.

- Dlaczego? - spytałem, kiedy wreszcie mogłem z siebie wykrztusić chociaż jedno słowo.

- Bo jak śmieję się za mocno, zawsze sikam w majtki.

- Tolitha, błagam. Nie siusiaj w majtki. Jesteś moją babką - powiedziałem, ale powaga w mym głosie i jego błagalny ton tylko pogorszyły całą sprawę. Cienkie nogi zatańczyły nad głową babki niczym u rannego owada. Jej krótkie białe majtki lśniły w słonecznym świetle.

- Tolitha, opuść nogi. Widzę twoje niewymowne - prosiłem.

- Zaraz się zsikam. Zaraz się zsikam. O Boże, już nie mogę - kwiliła Tolitha, powoli zbierając się z ziemi.

Pobiegła za krzew azalii i ściągnawszy majtki, nadal roześmiana, ze łzami na policzkach, głośno oddała mocz.

- O Boże - zawołałem. - Nasza rodzona babka podlewa kwiaty w samym środku miasta!!!

- Cicho sza - powiedziała, odzyskując panowanie nad sobą. - Bądź cicho i chodź tutaj podać mi rękę, żebym nie wdepnęła we własne siki.

Naciągnęła majtki i wyszła spomiędzy azalii znowu pełna majestatycznej kobiecości. Od domu pogrzebowego nadal dolatywały wzmocnione przez echo wrzaski pani Blankenship.

Potem uformowaliśmy szyk marszowy i ramię w ramię podążyliśmy Street of Tides, a na skrzyżowaniu poczekaliśmy, aż pan Fruit nas przepuści.

## ROZDZIAŁ 9

Na wiosnę matka wplatała we włosy gardenie. Gdy przychodziła ucałować nas na dobranoc, kwiat połyskiwał niczym biały klejnot skradziony z królewskiej szklarni. Kiedy gardenie znużone już były trwaniem na krzakach i pomarszczone kwiaty zaścielały grunt, napełniając powietrze słodkawym zapachem przemijania, wiedzieliśmy, że wkrótce nastanie czas róż. Czas wiosenny i letni odznaczał się dla nas zmieniającym się zestawem kwiatów w matczynych włosach. Ilekroć widzę, jak kobieta unosi ramiona, aby w loki wpiąć kwiat, niezmiennie jest to dla mnie ruch o nieopisanej delikatności i pięknie. W tym zmysłowym geście ulokowałem cały smutek i żalność utraconych matek. I to właśnie za sprawą tego niewinnego i czarownego zwyczaju otrzymałem pierwszą, niezapomnianą lekcję tego, jak w mym południowym miasteczku kaleczy okrucieństwo klasy. Później przyjdą następne, ale żadna nie boli tak jak pierwsza i żadnej nie zapamiętam z tak autentyczną klarownością.

Na zakupy w Colleton matka zawsze wychodziła z gardeniami we włosach. Nigdy wiele nie kupowała, ale uwielbiała rytuały i ceremonie małomiasteczkowego handlu, grzeczności wymieniane nad kontuarem, wesołe plotkowanie sprzedawców, ulice zatłoczone sąsiadami. Zawsze starannie się ubierała, gdy planowała wyprawę do miasta. Kiedy Lila Wingo kroczyła Street of Tides, była najpiękniejszą kobietą w Colleton i dobrze o tym wiedziała. Cóż to była za przyjemność oglądać jej chód, chwytac spojrzenia mężczyzn uważne i pełne szacunku. W oczach kobiet pojawiało się coś innego. W nich dostrzegałem powściągliwą aprobatę, gdy matka sunęła przed witrynami, zatrzymując się gdzieś na chwilę, aby spojrzeć na swe odbicie w szybie i sprawdzić wrażenie, jakie wywiera. Poruszała się wiedziona nieomylną harmonią instynktu, ale było w tym tylko i wyłącznie piękno. Był maj roku 1955, gdy z gardeniami we włosach i starannym makijażem weszła do sklepu z ubraniami Sarah Poston. Powiedziała „dzień dobry” paniom Newbury i Blanchard, które oglądały sukienki na doroczny bal wiosenny w Lidze Colleton. Obie panie grzecznie jej odpowiedziały. Matka wzięła ze stojaka suknię, na którą nie mogła sobie pozwolić, i poszła z nią do przymierzalni na tyle sklepu. W przymierzalni usłyszała, jak Isabel Newbury mówi do przyjaciółki:

- Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby Lila zjawiła się na uroczystości z różą w ustach, pstrykając w palce jak tancerz flamenco. Instynkt nieomylnie jej podszeptuje, jak zachowywać się w sposób nader wątpliwy z punktu

widzenia reguł dobrego smaku. Zawsze mam ochotę wyrwać jej te kwiaty z włosów i nauczyć dbać o paznokcie.

Savannah była razem z matką, gdy padły te słowa. Isabel Newbury nie wiedziała, że obie idą na tył sklepu. Matka uśmiechnęła się i przyłożyła palec do ust, potem obróciła się i obejrzała w lustrze. Podniosła ramię, wyjęła gardenie z włosów i cisnęła do kosza. Potem uważnie przypatrzyła się paznokciom. Zostały w przebieralni godzinę, matka udawała bowiem, że namyśla się nad kupnem sukni, na którą nie było ją stać. Od tamtego dnia w jej wspaniałych włosach nie pojawił się ani jeden kwiat, nigdy też nie została zaproszona na żaden bal. Tęskniłem za gardeniami i tymi chwilami, gdy przechodzi obok mnie, a ja chwytam ciągnącą się za nią woń, ten nieodparty welon zapachu wabiącego pszczoły i urzeczonych synów. Kiedy dziś czuję zapach gardenii, niepodobna, bym nie pomyślał o matce tak, jak myślałem, będąc chłopcem, a o paznokciach kobiecych nie potrafię myśleć, nie odczuwając do Isabel Newbury nienawiści za to, że skradła kwiaty z włosów mojej matki.

Są dwa rodzaje Wingo. Pierwsi to ci, którzy przebaczą, a ich przykładem może być mój dziadek, który życie strawił na rozgrzeszaniu sąsiadów ze wszystkich grzechów i wykroczeń, jakie wobec niego popełnili, Drudzy to ci, którzy zapiekłą urazę będą hodować przez sto lat albo i więcej. Ta część rodziny, zdecydowana większość, niesie heroiczną i bezlitosną rodową pamięć doznanych cierpień i niesprawiedliwości. Wystarczy, by jednego roku stanąć na drodze tym Wingo, a można być pewnym, że uruchomi się mściwą uwagę wielu późniejszych pokoleń Wingo. Ci Wingo swoje urazy przekazywali dzieciom, a wrogości i załączkowe wendety przekazywane były w darze krwi jak zaśnieżone dziedzictwo. Ja swoją pamięć niosę w gronie tych drugich.

Stojąc za sterem kutra, ojciec wprowadzał nas w tę część schedy. Mówił:

- Jeśli nie możesz komuś oddać w szkole, poczekaj dwadzieścia lat, a oddasz jego żonie i dzieciom.

- Zawsze trzymać głowę wysoko, tak, tato? - pytała Savannah, powtarzając jedno z ulubionych powiedzeń matki.

- Ludzie muszą wiedzieć, jak sprawy stoją, Savannah - odpowiadał. - Jeśli im tego nie uświadomisz, możesz skończyć, malując im różyczki na czubku nosa.

- Mama mówi, że nie powinniśmy się wdawać w bijatyki - powiedziałem.

- Wasza matka! To ona w rodzinie jest prawdziwą morderczynią! Jeśli nie będziesz ostrożny, wykroi ci serce i zje na twoich oczach.

A mówił to z prawdziwym zachwytem.

W rok po nieszczęsnej wyprawie na zakupy kwestia gardenii pojawiła się znowu. Ze stołówki szkolnej szedłem do szatni, kiedy zobaczyłem Todda Newbury'ego, który stał w towarzystwie trzech przyjaciół i wskazywał na moje stopy. Todd był jedynym dzieckiem Isabel i Reese'a Newburych i zachowywał się z tą pewnością siebie, która jest charakterystyczna dla wielu jedynaków. Stał w grupie dość ekscentrycznej, chociaż doskonale dobranej, Dicky Dickinson i Farley Bledsoe byli synami urzędników bankowych, zatrudnionych u Reese'a Newbury'ego. Ojciec Marana Granta był prawnikiem reprezentującym bank. Znałem ich przez całe życie.

- Fajne buty, Wingo - powiedział Todd, kiedy ich mijalem, a reszta się zaśmiała.

Spojrzałem w dół na tenisówki, które rano włożyłem. Nie były ani stare, ani nowe, po prostu miały dziurę.

- Cieszę się, że ci się podobają, Todd - mruknąłem, a pozostała trójka zarechotała jeszcze głośniej.

- Wyglądają, jakbyś ściągnął je z nóg zdechłego czarnucha. Aż tutaj czuć ich zapach - oznajmił Todd. - Nie masz jakichś porządnych loaferów?

- Mam, ale w domu.

- I trzymasz je pewnie na wiosenne siewy? Lepiej się przyznaj, że nigdy w życiu nie miałeś loaferów.

- Mój ojciec mówi, że ich rodzina jest taka biedna, że nie mogą sobie nawet kupić kości schabowej na zupę - powiedział Farley Bledsoe. - Więc skąd niby miałbyś na parę Bass Weejuns, Wingo?

- Mam je w domu, Farley. - upierałem się. - Po prostu ojciec nie pozwala mi chodzić w nich do szkoły.

- Łzesz jak pies, Wingo - rzekł Todd. - Nie znałem żadnego szczura nad rzeki, który nie byłby kłamcą. Mama kiedyś powiedziała, że Wingo to najmarniejsi biali na całej ziemi, a ja bym się zgodził z mamą.

Wyjął z portfela banknot pięciodolarowy i rzucił mi pod nogi.

- Masz, Wingo. Nie kupisz za to pary loaferów, no ale i tak masz jedne w domu, prawda, łgarzu? Przynajmniej kup sobie jakieś nowe chodaki, żebym nie musiał czuć smrodu twoich nóg.

Nachyliłem się, podniosłem banknot i podałem go Toddowi Newbury'emu.

- Dziękuję, Todd. Schowaj to do portfela. Nie potrzebuję twoich pieniędzy.

- Próbuję być dobrym chrześcijaninem, Wingo, chcę pomóc w odzianiu biedaka.

- Weź to, Todd. Schowaj. Grzecznie cię proszę.

- Przecież nie mogę wziąć teraz, kiedy ty tego dotknąłeś, śmieciu rzeczny. Pełno teraz na nim zarazków - powiedział Todd, a dodatkowo ośmielił go śmiech towarzyszy.

- Jeśli nie schowasz tej forsy do portfela, Todd, to zmuszę cię, żebyś ją zeżarł - ostrzegłem, a reakcja Newbury'ego sprawiła, iż po raz pierwszy w życiu poczułem swoją przewagę.

- Nie dasz rady nam czterem. - stwierdził pewnym siebie głosem Todd.

Trzy razy walnąłem go mocno w twarz, a po każdym z uderzeń pokazywała się krew. Oniemiały osunął się po ścianie, wpatrzony z niedowierzaniem w swych przyjaciół.

- Łapcie go. Uderzył mnie! - wykrztusił w końcu, ale tamci odskoczyli na bezpieczną odległość.

- Jedz te dolary, Todd, bo inaczej przywalę ci jeszcze raz - rozkazałem.

- Nie zmusisz mnie, ty rzeczny śmieciu - wrzasnął piskliwie, a ja uderzyłem go ponownie. Był właśnie w trakcie przełykania banknotu, kiedy nauczyciel złapał mnie i powłókł do gabinetu dyrektora.

Na korytarzu zawrzało, wieść o bójkę rozniosła się lotem błyskawicy. Krew Todda poplamiała mój podkoszulek i była namacalnym dowodem winy, gdy stanąłem przed obliczem dyrektora, Carltona Roe.

Pan Roe był szczupłym blondynem, jednym z najbardziej zapalonych sportowców w szkole. Zazwyczaj był w dobrym humorze, ale w chwilach podenerwowania stawał się chimeryczny. Był jednym z tych nielicznych nauczycieli, których życie obraca się wyłącznie wokół szkoły, i nie znosił bójek na korytarzu. Nigdy dotąd nie miałem żadnych kłopotów z dyrektorem.

- Dobrze, Tom - powiedział swobodnym tonem. - Opowiedz mi, co się stało.

- Todd powiedział coś na temat moich butów - mruknąłem wpatrzony w podłogę.

- A wtedy ty rzuciłeś się na niego z pięściami.

- Nie, panie dyrektorze. Nazwał moją rodzinę szczurami rzecznyymi. Dał mi pięć dolarów na nowe buty.

- I wtedy go uderzyłeś.

- Tak, panie dyrektorze, wtedy go uderzyłem.

W drzwiach zakotłowało się i wpadł przez nie Todd z zakrwawioną chusteczką przyciśniętą do warg.

- Niech pan go dobrze zleje, panie Roe. Niech pan mu tak złozi skórę, żeby popamiętał do końca życia. Zadzwoń przed chwilą do taty, który się zastanawia, czy nie wezwać policji.



- A co się stało, Todd? I nie bardzo sobie przypominam, żebym pozwolił ci wejść do środka.

- Stałem sobie w korytarzu, do nikogo się nie wtrącając, kiedy ten brutal rzucił się na mnie. Mam trzech świadków.

- A co takiego powiedziałaś Tomowi? - spytał Roe, a jego oczy pozostały bez wyrazu.

- Ani słowa! O czym miałbym z nim mówić? Zobaczymy, jak ci się spodoba w poprawczaku, Wingo.

Zadzwoił telefon na biurku, dyrektor podniósł słuchawkę, wpatrzony w Todda. Ze słów pana Roe zorientowałem się, że dzwoni kurator.

- Tak, panie Aimar, orientuję się w sytuacji. Mam właśnie obu chłopców u siebie. Nie, jeśli pan Newbury chce ze mną rozmawiać, niech odwiedzi mnie w moim gabinecie. To sprawa szkoły, nie ma potrzeby, abym ja udawał się do jego biura. Tak, proszę pana. Załatwię. Dziękuję za telefon.

- Jeszcze się nauczysz szanować Newburych - powiedział do mnie Todd.  
- Ja ci to obiecuję.

- Zamknij się, Todd - powiedział pan Roe.

- Proszę się do mnie tak nie zwracać, bo mojemu ojcu na pewno by się to nie spodobało.

- Powiedziałem ci, Todd, żebyś się zamknął. I wracaj do klasy, a już zajmę się panem Wingo.

- Dobrze go pan wygrzmoci? - spytał Todd, wycierając chusteczką usta.

- Tak, dobrze go wy grzmocę - powiedział pan Roe i wziął z biurka drewnianą packę. Todd uśmiechnął się do mnie i wyszedł.

Pan Roe podszedł do mnie, rytmicznie postukując packą w dłoń. Stanął przede mną i kazał rękami chwycić się za kostki, a potem zamachnął się tak, jak gdyby zamierzał przeciąć mnie na pół, tymczasem uderzenie w pośladki było lekkie, niemal pieścizotliwe, podobne do klepnięcia, które otrzymuje się od biskupa podczas bierzmowania.

- Jeśli jeszcze raz zaczniesz się bić w mojej szkole, Tom, spiorę cię tak, że skóra będzie ci pasami schodzić z tyłka, przyrzekam. A jeśli kiedykolwiek porwiesz się na Todda Newbury'ego, zamiast siedzieć cicho, złożę cię tak, że popamiętasz do końca życia. Zrozumiałeś?

- Tak, panie dyrektorze.

- Teraz będę walił packą w tę książkę do geografii. Przy każdym uderzeniu masz wrzasnąć. Ma to zabrzmieć przekonująco, gdyż zaraz potem zadzwonię do Reese'a Newbury'ego i poinformuję go, że rozerwałem ci pupę na strzępy.

- Tak, panie dyrektorze.

Zaczął z pasją okładać książkę, a ja za każdym razem wrzeszczałem. To właśnie tego dnia w gabinecie pana Roe postanowiłem zostać nauczycielem.

Matka czekała na mój powrót ze szkoły, a chociaż widziałem ją już w stanie furii, nigdy dotąd nie straciła panowania nad sobą aż do tego stopnia. Ledwie stanąłem w progu, zaczęła walić mnie po twarzy, Luke i Savannah usiłowali odciągnąć ją ode mnie.

- Jeśli już koniecznie musisz się z kimś bić, ty prostaku - krzyczała, okładając mnie, podczas gdy ja cofałem się do neutralnego narożnika między kuchenką a lodówką - to bij się ze mną. Jeśli chcesz być podobny do całej tej hołoty, to będę cię traktować tak, jak na to hołota zasługuje. Chcesz przynosić wstyd mnie i całej rodzinie? Zachowywać się jak ordynus, chociaż usiłowałam cię wychować jak najlepiej?

- Przepraszam, mamó - łkałem i zasłaniałem twarz ramionami.

- Zostaw go - wyła Savannah i próbowała chwycić matkę za rękę. - Dostał już lanie od dyrektora.

- Nie takie, jakie dostanie ode mnie.

- Dość, mamó - krzyknął stanowczo Luke. - Przestań natychmiast. Miał rację, że przyłał temu Newbury'emu.

- Co sobie ludzie pomyślą, kiedy moje dzieci będą się zachowywały jak ostatnie chamy? Dobrze wychowane dzieci nie będą się chciały z wami zadawać.

- Newbury obraził naszą rodzinę - zachnął się Luke. - Dlatego Tom go uderzył. Ja zrobiłbym to samo.

- Co powiedział o nas?

- Że jesteśmy najmarniejszymi białymi na całej ziemi.

Chlasnęła mnie na odlew i znowu zasłoniłem się rękoma.

- A ty tylko potwierdziłeś, że ma rację, durniu. Ty biedny, nędzny głupcze. Najlepiej było go zignorować. W ten sposób pokazałbyś, że odebrałeś staranne, dobre wychowanie. Zachowałbyś się jak prawdziwy dżentelmen, którym zawsze chciałam cię zrobić.

- Wiesz co, mamó - powiedziała Savannah. - Mówisz zupełnie jak przewodnicząca Daughters of Confederacy.

- Chciałam chodzić ulicami naszego miasta z dumnie podniesioną głową, a tymczasem teraz każdy będzie wiedział, że wychowałam swoje dzieci na prostaków, a nie porządných ludzi.

- Więc mamy zgadzać się na to, żeby ten Newbury, który tak zadziera nosa, pomiatał naszą rodziną?

- Ludzie mają prawo do swojej opinii - powiedziała matka i zapłakała sfrustrowana. - Jestem za Czwartą Poprawką, czy którakolwiek to jest. To

zagwarantowane konstytucją prawo wszystkich Amerykanów i nic nam do tego, co sobie ktoś myśli. Powinniśmy zachowywać się godnie i pokazywać im, że jesteśmy zbyt wyrafinowani i dumni, aby troszczyć się o ich opinie.

- A ja się troszczę - powiedziałam.

Ponownie mnie uderzyła i krzyknęła:

- To lepiej zatroszcz się bardziej o moje opinie, bo albo się nauczysz, jak zachowywać się między ludźmi, albo gotowa jestem tuc cię do upadłego. Nie chcę, żebyś stał się taki jak twój ojciec, nie chcę, słyszysz?

- To ty zachowujesz się jak ojciec! - zawołała Savannah i w całym domu nagle zaległa cisza jak makiem zasiał, gdy matka obróciła się do swej jedynej córki.

- Nie wiem, jak inaczej miałabym postąpić, Savannah - powiedziała wolno. - Biję Toma dlatego, że wiem, jakie niebezpieczeństwo czyha na mojego syna. Jeśli nie wychowam was dobrze, jeśli nie będę na was naciskała, jeśli nie zmuszę was do tego, byście wykrzesali z siebie wszystkie umiejętności, to to cuchnące miasteczko i ten cuchnący świat pożrą was żywcem. Myślisz, że niczego się nie nauczyłam na własnym przykładzie. Spójrz tylko na mnie. Kim jestem? „Nikim. Zupełnie nikim. Żona poławiacza krewetek, która bez centa przy duszy mieszka w ruderze na wyspie. Myślisz, że nie wiem, co o mnie myślą i jak na mnie patrzą? Ale ja nie pozwolę im wygrać.

- To ty za bardzo się nimi przejmujesz, mamó - powiedziała Savannah. - Za bardzo usiłujesz być kimś, kim nie jesteś.

- Nie pozwalam wam rozwiązywać problemów pięściami. To wpływ waszego ojca!

- Tom chciał tylko, by każdy zrozumiał prostą rzecz, mamó - powiedział Luke. - Z Wingo łatwo się naśmiewać, ale to nie jest rozsądne. Ludzie mogą sobie myśleć, że wszyscy Wingo to śmiecie, ale niech lepiej opinie te zachowają dla siebie.

- Bójki tylko potwierdzają taką ocenę. Dżentelmeni się nie biją.

- Tom bronił twojego honoru, mamó, bo wie, jak bardzo zależy ci na tym, co ludzie o nas myślą. Ojciec ma to w nosie, podobnie jak my - powiedział Luke.

- Ja nie mam w nosie - sprzeciwiłem się.

- Jeśli tak - powiedziała matka i obróciła się do mnie - to pójdziesz ze mną do państwa Newbury i przeprosisz Todda w mojej obecności. Przeprosisz także jego matkę. Zadzwoiła dzisiaj do mnie i mówiła o nas w jak najgorszych słowach.

- To dlatego jesteś taka wściekła - pokiwała głową Savannah. - To dlatego gotowa byłaś skatować Toma na śmierć. Z powodu Isabel Newbury.

- Nie przepraszę go, mam - powiedziałem. - Nigdy nie zmusisz mnie, żebym przeprosił tego gburę. Przenigdy.

Newbury mieli dom na małym pagórku przy Street of Tides w otoczeniu starych dębów. Było to centralne miejsce grupy jedenastu zachowanych w nienaruszonym stanie rezydencji, w których zamieszkiwała arystokracja plantatorska, dopóki wojna secesyjna nie rozbiła ustroju podtrzymującego istnienie tej arystokracji. Zanim wybuchła wojna, tajny parlament secesjonistów spotkał się w tym domu i dyskutował nad stworzeniem Konfederacji. Posiedzeniu przewodniczył pradziadek Isabel Newbury, Robert Letellier, który zginął w kanonadzie podczas bitwy pod Tulafinny. Po bitwie w przesmyku Royal Sound Colleton dostało się w ręce unionistów, którzy w domu tym urządzili szpital. Ranni żołnierze, czekając na amputację, ryli swoje nazwiska na marmurowych kominkach i drewnianych parkietach. Szczególny charakter domu polegał na ciągle odczuwalnej obecności udreńczonych, poharatanych mężczyzn, którzy pozbawieni środków znieczulających kreślili swoje graffiti i wyglądali w obcej, niegościnniej krainie swojej chwili pod nożem chirurga. Ból i historia splotły się ze sobą za jasno oświetlonymi drzwiami domostwa rodziny Newbury i to właśnie spowiedź tych anonimowych mężczyzn, którzy naruszali gładkość marmuru i drewna, wyróżniała siedzibę, gdzie Todd Newbury spędził swe dzieciństwo, i unieśmiertelniała ją.

Kiedy przez dziedziniec zmierzaliśmy do frontowego wejścia, matka szeptem wprowadzała mnie w arkana płaszczenia się przed damą.

- Po pierwsze, powiesz jej, jak bardzo jest ci przykro i że zrobisz wszystko, żeby nic takiego więcej się już nie powtórzyło. Powiesz jej, że nie mogłeś spać przez całą noc z powodu tego, co zrobiłeś.

- Spałem jak niemowlę - powiedziałem. - Ani razu nie pomyślałem o tamtym.

- Cicho, słuchaj, co masz powiedzieć. Milcz i słuchaj. Jeśli będziesz naprawdę miły, może pokaże ci napisy, jakie wryli na kominkach ci biedni Jankesi. Oto, co się dzieje, jak wpuścić Jankesów do wytwornego domu. Niszczyli wnętrze, gdyż nie byli właściwie wychowani. Żołnierze z Południa nigdy by tak nie postąpili.

Weszliśmy po schodkach i matka zastukała lśniąca brązową kołatką, która zabrzmiała niczym kotwica obijająca się pod wodą o kadłub. Stojąc w słońcu na werandzie, kilka razy odkaszlnąłem i przestąpiłem z nogi na nogę. Jestem pewien, że czułem się kiedyś gorzej, ale nie potrafiłbym powiedzieć,

kiedy. Za drzwiami usłyszałem lekkie kroki i w progu stanęła Isabel Newbury.

Nie znałem kobiety, której obecność bardziej mroziłaby innych ludzi. Wargi miała wąskie i bezbarwne, niemal odruchowo układające się w wyraz milczącej dezaprobaty. Nos ostry i ładnie uformowany decydował o urodzie jej profilu, a teraz wdzięcznie się zmarszczył, gdy stała tak, mając za sobą ciemne wnętrza, jak gdyby raził ją bijący ode mnie zapach. Miała blond włosy, które musiała chyba odrobinę podfarbowywać.

Ale moją oniemiałą uwagę przykuł przede wszystkim zimny, błękitny połysk oczu zamkniętych w siatce zmarszczek, których pęki rozchodziły się na skronie niczym promienie słońca na dziecięcych rysunkach. W poprzek czoła biegły w równej od siebie odległości trzy kreski, które zgodnie się poruszały, kiedy marszczyła brwi. Każde bolesne przeżycie, każdy żal wypisały się na jej twarzy, pozostawiły po sobie widomy ślad, niczym Jankesi w przerażeniu spoglądający w kierunku chirurga. Była o rok młodsza od mojej matki i wtedy po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że ludzie nie starzeją się w tym samym tempie. Hojna uroda matki pogłębiała się z każdym rokiem i myślałem, że dotyczy to każdej kobiety. Teraz, stojąc tam, niemy i zawstydzony, instynktownie i na zawsze zrozumiałem, dlaczego Isabel Newbury nie lubiła mojej matki, i nie miało to nic wspólnego z faktem, iż pochodziła z rodziny Wingo. Czas wcześniej i okrutnie naznaczył ją swą niewymazywalną heraldyką. Otaczała ją atmosfera choroby, rozpadu, który zaczyna się w sercu i szuka drogi do oczu.

- Tak? - przemówiła wreszcie.

- Mój syn chce ci coś powiedzieć, Isabel - rzekła matka głosem tak uniżonym i przeprasającym, jak gdyby to ona skrzywdziła Todda.

- Tak, pani Newbury - powiedziałem. - Naprawdę bardzo mi przykro za to, co się stało wczoraj, a za co chciałem przeprosić Todda, panią i pana Newbury. To wszystko było z mojej winy i za wszystko biorę na siebie odpowiedzialność.

- Ze zmartwienia był aż chory, Isabel - przyłączyła się do mnie matka. - Za to mogę ci ręczyć. Nie mógł sobie znaleźć miejsca przez całą noc. Zbudził mnie nad ranem, żeby powiedzieć, że chce tutaj przyjść i przeprosić za wszystko.

- Jakież to wzruszające - powiedziała pani Newbury.

- Czy Todd jest w domu, proszę pani? Chciałbym mu coś powiedzieć, jeśli wolno.

- Nie wiem, czy będzie chciał z tobą rozmawiać. Zaczekaj, muszę go spytać.

Zamknęła drzwi i zostawiła nas na werandzie nerwowo spoglądających na siebie.

- Czyż to nie piękny widok - powiedziała wreszcie matka i podeszła do balustrady, patrząc nad rzędem palemek na zatokę.

- Zawsze marzyłam o tym, żeby zamieszkać w jednym z tych domów. Kiedy twój ojciec po raz pierwszy przywiózł mnie do Colleton, obiecał, że kupi mi jedną z tych rezydencji, jak tylko się dorobi. - Urwała na chwilę, a potem dorzuciła: - Na całym świecie nie ma tylu krewetek, żeby pozwolić sobie na taki dom.

- Jak to ślicznie, że nas zaprosiła do środka - powiedziałem z furją.

- Ach, to nic takiego. Na pewno była tak zaskoczona, że na chwilę zapomniała o dobrych manierach.

- Zrobiła to rozmyślnie.

- Nie chciałbyś sobie siedzieć tutaj wieczorem w którymś z tych wiklinowych foteli, popijając mrożoną herbatę i kiwać palcem w bucie na całe miasto?

- Chcę iść do domu - powiedziałem.

- Dopiero, jak przeprosisz Todda. Ciągle jestem taka zawstydzona, że zrobiłeś to, co zrobiłeś.

Drzwi otworzyły się ponownie i pani Newbury z cienia, w którym zamajaczyła widmowa i sroga, wyszła na słoneczne światło.

- Mój syn nie ma ci nic do powiedzenia, chłopcze - rzekła, a sposób, w jaki wymówiła „chłopcze”, nie miał w sobie nic zachęcającego. - Chce, żebyście opuścili granice naszej posiadłości.

- Gdyby Tom mógł chociaż na chwilę zobaczyć się z twoim synem, Isabel, na sekundkę. Jestem pewna, że mogliby się zaprzyjaźnić.

- Zaprzyjaźnić?! Nigdy nie pozwoliłabym Toddowi przyjaźnić się z kimś takim!

- Ale Isabel - nie dawała za wygraną matka - my przecież jesteśmy przyjaciółkami. Znamy się od tak dawna. Właśnie kilka dni temu opowiadałam Henry'emu o tym, co powiedziałaś na zebraniu komitetu rodziców i nauczycieli, i oboje zaśmiewaliśmy się do łez.

- Tak, znamy się, Lila, to małe miasteczko. Znam tu każdego, ale nie każdy należy do grona moich przyjaciół. Chciałam ci powiedzieć tylko tyle, że jeśli ten twój byczek tknie jeszcze raz mego Todda, do akcji wejdzie prawo. Znacie drogę do wyjścia, prawda?

- Tak - odrzekła matka, a w jej głosie słychać było oschłość. - Wiemy, jak wyjść, gdyż nikt nas nie zapraszał do środka, trudno się więc zgubić. Do widzenia, Isabel, dzięki za twój cenny czas.

Z trudem nadażyłem - za matką przez werandę i po schodach w dół. Niezrozumiale mruzczała coś pod nosem i pospiesznie szła chodnikiem między dwiema wyspami idealnie przyciętej trawy. Jej naturalny krok był powolny, toteż im bardziej go przyspieszała, tym większe musiało być jej wzburzenie. Kiedy skręcała w lewo w kierunku miasta, omal nie wpadła na Reese'a Newbury'ego.

- O, Lila! - wykrzyknął. - Nie słyszałem dzwonu na pożar.

- Dzień dobry, Reese - odpowiedziała zaczerwieniona.

- Co cię tu sprowadza? - spytał, ale twarz mu pociemniała, kiedy wynurzyłem się zza żywopłotu.

- Wczoraj doszło do małej zwady między naszymi chłopcami, Reese, na pewno słyszałeś o tym.

- O tak, słyszałem - powiedział Newbury, wpatrując się we mnie ponuro.

- Przyszłam tu z Tomem, gdyż chciał przeprosić, a ja uważałam, że Todd zasłużył na przeprosiny.

- To bardzo ładnie z twojej strony, Lila - powiedział, a jego wzrok złagodniał, gdy przeniósł go na matkę, chociaż dostrzegłem w nim iskiarki wściekłości. - Między chłopakami czasami dochodzi do takich rzeczy. Wtedy pokazują, ile są warci. Odtego są chłopakami.

- Reese, ja nie toleruję takich zachowań. Po prostu, nie chcę ich widzieć u swoich synów. Kiedy wczoraj zadzwonił dyrektor, Tom dostał za swoje, możesz mi wierzyć.

Popatrzył na mnie długo i badawczo, jak gdyby widział mnie po raz pierwszy w życiu, jak gdybym dopiero teraz zasłużył sobie na to, aby poświęcić mi chwilę uwagi.

- Trzeba mieć sporo siły w sobie, żeby przepraszać, synu - powiedział. - Ja z pewnością nie jestem w tym najlepszy.

- Ani pana syn - dodałem.

- Co masz na myśli?

- Nie chciał wyjść do nas, żebyśmy mogli go przeprosić. Kazał nam opuścić granice waszej posiadłości.

- Chodźcie ze mną, proszę - powiedział, ruszył chodnikiem, a potem wbiegł po schodach, przesadzając je po dwa.

Nie czekając na nas, zniknął w domu. Zatrzymaliśmy się na werandzie, a potem zrobiliśmy kilka niepewnych kroków w głąb hallu, czekając, co



będzie dalej. Orientalny dywan biegł przez cały hall aż do krętych schodów prowadzących na tyły rezydencji.

Matka wskazała nań i powiedziała: <- Orientalny. Pochodzi z Orientu. - A potem zrobiła gest w kierunku kandelabra i szepnęła:

- Angielski. Zrobiony w Anglii. Pamiętam to ze Spring Tour.

- Ciekawe, dlaczego nie mamy domu w Spring Tour? - zażartowałem szeptem.

- Bo żyjemy na bagnisku - odparła spokojnie matka.

- A dlaczego teraz mówimy szeptem?

- Bo jesteśmy gośćmi w domu Reese'a Newbury'ego, a w takiej sytuacji należy się zachowywać powściągliwie.

- Tak? Jesteśmy gośćmi?

- Oczywiście. To bardzo uprzejme z jego strony, że nas zaprosił.

Usłyszeliśmy, jak gdzieś w głębi trzaskają drzwi, a po chwili pojawił się Reese Newbury.

- Isabel musiała wyjść na zakupy, Lila, ale powiedziała, żebyś czuła się jak u siebie w domu. Proponuję, żebyś napiła się czegoś, podczas gdy ja pójdę z Tomem, żeby się rozmówili z moim synem.

Wziął matkę pod rękę i przez wielki salon poprowadził do obszernego gabinetu, pachniało tu jak w garbarni za sprawą pokrytych błyszczącą skórą foteli.

- Czego się napijesz, Lila? - z uśmiechem spytał matkę.

- Na co ma pani ochotę, szanowna pani?

- Odrobinę wina, Reese. Bardzo piękny pokój.

Nalał matce kieliszek wina i usadził ją koło kominka.

- Rozgość się tu, a my za chwilę wracamy - powiedział Newbury głosem, który mógł pochodzić z tuby. - Przeprowadzimy sobie męską rozmowę w gabinecie na górze.

- Nie potrafię tego wyrazić, jak jestem ci wdzięczna, Reese - powiedziała matka. - Tak miło, że się tym zająłeś.

- Lubię chłopaków z ikrą. Mnie też z tego znali, prawda? - Roześmiał się głośno. - Chodź ze mną, Tom.

Poszedłem za nim schodami, patrząc na łydki migające nad skarpetkami. Był krępy, ale proporcjonalnie zbudowany.

Weszliśmy do gabinetu, którego jedna ściana była zastawiona książkami. Posadził mnie w fotelu naprzeciwko biurka, a sam poszedł po syna. Na grzbietach przeczytałem: Dzieła Thackeraya, Dzieła Dickensa, Dzieła Charlesa Lamba oraz Shakespeare. Nie spojrzałem, kiedy Todd wraz z ojcem weszli do pokoju. Newbury wskazał synowi miejsce obok mnie, a

sam okrążył biurko i zapadł się - w swym ogromnym fotelu. Wyjął z pudełka cygaro, odgryzł koniec i zapalił złotą zapalniczkę, którą wyjął z kieszeni kamizelki.

- Chyba chciałeś powiedzieć coś mojemu synowi - zwrócił się do mnie.

Dopiero teraz zerknąłem na Todda i ze zdumieniem zobaczyłem napuchnięte wargi oraz podsiniaczone oko. Zrozumiałem, dlaczego nie chciał mnie widzieć.

- Todd - powiedziałem - chciałem przyjść i cię przeprosić. Bardzo żałuję tego, co zrobiłem, i to się już nigdy nie powtórzy. Chciałbym, żebyśmy mogli podać sobie ręce i zostać przyjaciółmi.

- Za nic nie podam ci ręki - odrzekł Todd, patrząc na ojca.

- Wingo, dlaczego uderzyłeś mojego syna? - spytał Reese Newbury i wydmuchnął w moim kierunku chmurę niebieskawego dymu.

- Razem z bratem napadli na mnie na szkolnym podwórku, tato - wtrącił się Todd. - Szedłem sobie, nikogo nie zaczepiałem, kiedy nagle jego brat skoczył na mnie od tyłu, a ten tutaj zaczął mnie walić po twarzy.

- A czemu twój brat nie przyszedł także przeprosić? - spytał stary Newbury. - Dwóch na jednego, to nigdy mi się nie podobało.

- I czemu kłamiesz, Todd? - rzekłem pełen niedowierzania. - Przecież dobrze wiesz, że Luke'a nie było nawet w pobliżu, kiedy się to wszystko stało. A poza tym, Luke w ogóle by mnie nie potrzebował. Schrupałby cię jak bułeczkę, bracie i dobrze o tym wiesz.

- Mówisz prawdę, synu? - zwrócił się Newbury do Todda.

- Tato, jeśli wolisz wierzyć temu śmieciowi, a nie mnie, proszę bardzo. Ja wiem swoje, a ty jak chcesz.

- Całą naszą rodzinę nazwał wczoraj śmieciami, panie Newbury - powiedziałem, patrząc ojcu Todda w twarz.

- Czy mówiłeś coś o jego rodzinie?

Todd rozejrzał się spłoszony po gabinecie, a potem mruknął:

- Powiedziałem mu, jak jest. Trochę się z niego nabijałem.

- Czy nazwałeś ich rodzinę śmieciami?

- Powiedziałem coś w tym rodzaju, nie pamiętam dokładnie co.

Newbury przeniósł na mnie inkwizytorskie spojrzenie i rzekł:

- A ty poczułeś się obrażony i razem z bratem rzuciłeś się na mego syna.

- Brat nie miał z tym nic wspólnego.

- Wingo, ale z ciebie cholerny krętacz - zawołał Todd i zerwał się z fotela.

- Panie Newbury, żeby bić się z Toddem, nie potrzebuję nikogo do pomocy. Jest słaby jak niemowlak.

- Synu, dlaczego nazwałeś ich śmieciami? - spytał pan Reese, nie spuszczać ze mnie oczu.

- Bo są śmieciami. Wingo zawsze byli jak białe czarnuchy! - wydarł się na mnie Todd.

- I właśnie dlatego dostał w dziób, panie Newbury - oznajmiłem ze złością. - Nie wie, kiedy trzymać gębę na kłódkę.

- Tutaj Todd nie musi trzymać gęby na kłódkę. Jest w swoim domu.

- I nie podoba mi się twój smród w moim domu - dorzucił Todd.

- Nie tak głośno, synu. Na dole jest pani Wingo - skarcił go ojciec, a potem zwrócił się do mnie: - A ty co sądzisz o swojej rodzinie, Tom? To mnie interesuje, bardzo interesuje.

- Jestem z niej dumny.

- Ale dlaczego? Z czego jesteś dumny? Twoja matka to sympatyczna kobieta. Trochę może kanciasta, ale przynajmniej bardzo się stara. Ale inni? Dziadek ma nierówno pod sufitem. Babkę można by nazwać dziwką, ale paru włóczęgów udało jej się zaciągnąć do ołtarza. Ojciec partaczy wszystko, czego się tknie. Znałem także twój pradziadek - bezdomny pijak, który żonę zakatował niemal na śmierć. Nie bardzo rozumiem, dlaczego wściekłeś się na Todda, za słowa prawdy. Czemu sam nie zdobędziesz się na odwagę i nie powiesz, że twoja rodzina jest gównem warta? Trzeba być prawdziwym mężczyzną, żeby spojrzeć prawdzie w oczy. Trzeba być prawdziwym mężczyzną, żeby zaakceptować fakty. - Patrzyłem na niego osłupiały, on zaś uśmiechnął się do mnie w chmurze dymu. - Ale nawet kiedy Sam to przyznasz, jest jeszcze jedna rzecz, którą musisz wiedzieć. Jeśli jeszcze raz tkniesz mego syna, chociażby paluszkami, staniesz się pożywieniem krabów rzecznych. Żona chciała dzwonić do szeryfa ze skargą na ciebie, ale ja te sprawy załatwiam inaczej. We właściwy sposób i we właściwej chwili. Uderzam od tyłu i w pierwszej chwili nie wiesz nawet, kto ci to zrobił. Ale potem zaczynasz się domyślać, jeśli ci wystarczy wyobraźni. Chcę więc, żebyś z tego doświadczenia wyniósł jedną naukę. Żaden Wingo nie śmie podnieść ręki na Newbury'ego. Takie jest prawo w tym mieście. Nie znałeś go dotąd, ale teraz poznałeś. Czy mnie rozumiesz, Tom?

- Tak, proszę pana - odparłem.

- To dobrze, synu. A teraz, Todd, chcę, żebyście podali sobie ręce z Tomem.

- Nie podam mu ręki..

- Wstawaj. Powiedziałem, żebyście sobie uściśliły ręce - polecił ojciec. - Ale zanim to zrobicie, chcę, żebyś walnął go w twarz, i to mocno.

Todd spojrział na ojca w popłochu i zobaczyłem, że jest bliski płaczu. W pokoju było dwóch chłopców bliskich płaczu.

- Nie zrobię tego, tato. Odda mi w szkole.
- Nigdy już cię nie dotknie. Możesz mi wierzyć.
- Nie mogę, tato. Nie mogę tak po prostu uderzyć kogoś w twarz.
- Ale jego uderzysz. Spójrz w lustro, Todd, i zobacz, co z tobą zrobił. Wścieknij się, pomyśl, jak cię upokorzył, a potem przywal mu w ryj. Żaden Newbury nie puści czegoś takiego płazem. Siedzi tutaj, synu, i czeka, żebyś mu przy walił. Przyszedł tutaj, żebyście wyrównali rachunki między sobą. Płaszcz się, bo wie, że to niemądre bić Newbury'ego.

- Nie, nie zrobię tego, tato. Dlaczego zawsze musisz wszystko jeszcze pogorszyć? Dlaczego zawsze musisz?

Pan Newbury wstał z fotela i odłożył cygaro na popielniczkę. Obszedł biurko, przesunął się obok syna i stanął naprzeciw mnie. Spuściłem głowę i wpatrzyłem się w deseń na dywanie.

- Spójrz na mnie, Tom.

Podniosłem głowę i wtedy uderzył mnie raz, mocno, na odlew! Zacząłem płakać, rozbeczał się także i Todd. Pan Newbury spojrział na mnie z góry i szepnął:

- Żebyś nigdy nie ważył się nikomu o tym powiedzieć. Zrobiłem to dla twojego dobra. Jeśli puścisz parę z ust, twoja rodzina będzie musiała się wynieść z tego miasta. I, proszę, nie bądź już nigdy tak głupi, żeby podnosić rękę na kogoś z Newburych. A teraz podajcie sobie ręce i zostańcie przyjaciółmi. Naprawdę chcę, żebyście się zaprzyjaźnili. Na razie zostań tutaj, Tom, aż się uspokoisz, a potem umyj twarz i zjedź na dół, gdzie ja sobie porozmawiam z twoją śliczną matką.

Płacząc, uściskaliśmy sobie dłonie z Toddem Newburym i jego ojciec wyszedł.

Wiedziałem, że będę musiał zejść na dół i odpowiadać na pytania matki dotyczące rozmowy. Zostałem upokorzony w sposób czysty i kompletny, ale nie chciałem i jej w to włączać. Sądziłem, że odkryłem sekret, w jaki sposób potężni mężczyźni zachowują swój status w świecie. Wszedłem do łazienki obok gabinetu, osuszyłem łzy i umyłem twarz. Dałem wodzie lać się swobodnie, a sam w tym czasie starannie obsikałem podłogę, myśląc: „Tom Wińgo, nieuleczalny śmieć do samego końca”. Kiedy wyszedłem, Todd siedział z głową na oparciu fotela, a łzy spływały mu po policzkach.

- Proszę, nie mów o tym nikomu, Tom. Błagam, nie powtarzaj w szkole. I tak już wszyscy mnie nie znoszą.

- Jak byś nie zachowywał się jak palant, nikt by nic do ciebie nie miał.

- I tak by mnie nie znosili. To z powodu ojca. Wszyscy go nienawidzą. Sam widziałeś, że w żaden sposób nie mogłem go powstrzymać.

- Widziałem. To nie twoja wina.

- I zawsze jest tak samo. A ja muszę to znosić.

- Dlaczego mu powiedziałeś, że Luke mi pomagał?

- Musiałem. Potrafi zrozumieć, że zbiło mnie dwóch chłopaków. Gdyby wiedział, że byłeś sam, kazałby mi jeszcze raz bić się z tobą w szkole. Jak się wścieknie, jest straszny.

- Tak samo jak mój.

- Ale twój cię lubi, a mój nienawidzi mnie od dnia urodzin.

- Dlaczego?

- Bo nie jestem przystojny. Bo nie jestem silny. Bo nie jestem taki jak on.

- Ja bym się cieszył, jakbym nie był taki jak on.

- Ale to najważniejsza osoba w całej Karolinie Południowej - mruknął Todd.

- I co z tego? Sam powiedziałeś, że nikt go nie lubi.

- Mówi, że ludzie muszą się ciebie bać, jeśli chcesz nimi kierować.

- No i potem zostaje mu już tylko siedzieć samotnie w wielkim domu i lać po gębie smarkaczy, którzy naparzają się z jego dziećmi. Cieszę się, Todd, że jesteś z rodziny bogatej, potężnej i starej, ale za nic nie chciałbym być tobą.

- Nie powinienem był tak mówić o twojej rodzinie, Tom.

- Nie powinieneś - zgodziłem się.

- Nie jesteście wcale najgorsi. Jest w Colleton dużo bardziej szmatławych rodzin. Dziesiątki, setki.

- Serdeczne dzięki, ty góro łajna - powiedziałem znowu zagniewany.

- Widzisz, wcale tak nie chciałem. Co powiem, wychodzi nie tak. Chodziło mi o to, żebyś wpadał, jak tylko zechcesz. Mam klaser ze znaczkami i stół bilardowy. Moglibyśmy się bawić po lekcjach.

- Już nigdy tu nie przyjdę.

- Mógłbym ci pokazać, gdzie ci biedni Jankesi bazgrali swoje nazwiska.

- Nawet jakbyś mi pokazał, gdzie się odesrał generał Sherman, i tak nie chcę więcej widzieć tego domu.

- To może ja bym kiedyś przyszedł do ciebie.

- Przecież nawet nie wiesz, gdzie to jest.

- Wiem. Mieszkasz na Melrose Island - odrzekł, wstał i podszedł do wielkiej nawigacyjnej mapy hrabstwa, na której małymi numerkami podana była głębokość wszystkich rzek i strumieni. Przypatrzyłem się obrysowi naszej wyspy - zielony diament wprawiony w błękit wody.

- Dlaczego na naszej wyspie jest czerwona szpilka? - spytałem, zauważywszy, że cała mapa była naszpikowana szpilkami.

- A, tu. Ojciec oznacza czerwonymi szpilkami tereny, które chce kupić. Zielone należą już do niego.

- Ma już w kieszeni prawie całe hrabstwo, po co mu jeszcze nasza wyspa?

- Uwielbia kupować ziemię. Ziemia to pieniądz, powiada.

- Naszego kawałka nigdy nie zdobędzie. Przysięgam ci.

- Jeśli tylko będzie chciał, to dostanie - wzruszył ramionami Todd. - Zawsze tak jest.

- Przyjdź, jak chcesz, Todd. Nie mogę ci zabronić.

- Ale nie zależy ci na tym?

- Nie bardzo. Muszę teraz iść do matki.

- Wiesz, czego nie mogę zrozumieć, Tom? Dlaczego koledzy w klasie o wiele bardziej lubią ciebie niż mnie?

- To proste, żadna tajemnica. Jestem sympatyczniejszym facetem niż ty. Witam się z każdym, nie troszcząc się o to, jak ojciec zarabia na życie. A ty tego nie potrafisz. Nikomu nie mówisz „cześć”.

- Czuję się nieswojo, jak mam z kimś się witać.

- No i fajnie, ale potem się nie dziw, że ludzie uważają cię za dupka.

- Odprowadzę cię na dół.

Matka siedziała w fotelu i zaśmiewała się ze wszystkiego, co powiedział Newbury. Nogi miała skromnie skrzyżowane i popijała wino, podczas gdy gospodarz, czarujący i elokwentny, podkreślał słowa płynnymi gestami. Czekałem, aż skończy kolejną ze swych opowieści, miałem więc czas, by wryć sobie w pamięć jego rysy. Miał niebieskie oczy, podobnie jak żona, jego jednak miały zielonkawy odcień, wydawało się, że zmieniają barwę, gdy pada na nie światło słoneczne spływające z tylnego ogrodu. Miał małe, pulchne, pozbawione odcisków dłonie. Ruchy miał spowolnione, jak gdyby centralny system nerwowy izolowany był jedwabiem. Głos był niski, a słowa się zlewały. Kiedy mówił, każde zdanie było fragmentem pieśni autopochwalnej. Matka była, naturalnie, zachwycona aż po koniuszki stóp.

- No i tak właśnie powiedziałem gubernatorowi, Lila. - Fritz - mówię - dajmy już sobie spokój z tymi drinkami. Przyjedź w przyszłym tygodniu do Colleton, zajrzyj do mnie i wszystko wyjaśnimy”. Poniedziałek rano jest już tutaj z kapeluszem w ręku. No, ale teraz przy całym szacunku dla gubernatora - a trzeba pamiętać, że byłem w jego Komitecie Wyborczym - biznes to biznes.

- Święta racja, Reese - wykrzyknęła z entuzjazmem matka. - Zawsze uważałam, że przyjaźń nie powinna mieć wpływu na interesy.

Newbury zerknął w bok i zobaczył mnie i Todda w drzwiach. Dał nam znak, żebyśmy weszli głębiej, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, matka z trudem stłumiła okrzyk, gdy po raz pierwszy zobaczyła oblicze Todda.

- Och, Todd, twoja twarz, jak ona wygląda. - Zerwała się i łagodnie pogładziła go po policzku. - Tak strasznie mi przykro, mam nadzieję, że Tom ci powiedział, jakie mu wczoraj sprawiłam lanie. Och, Todd, biedny chłopcze.

- Wszystko już w porządku, pani Wingo - powiedział Todd ku mojej uldze. - Zasłużyłem sobie na to.

- Wszystko sobie wyjaśniliście? - spytał surowo Newbury.

- Tak, proszę pana - odrzekłem.

- Jeśli - miałabyś z czymś problem, Lila - powiedział pan Reese, odprowadzając nas do drzwi - bez chwili wahania możesz chwycić za telefon i dzwonić. Ostatecznie po to są sąsiedzi.

W progu Newbury objął mnie ramieniem i sprowadził ze schodów, Mocno ścisnął mi lewy bark w przestrodze.

- Trzeba być prawdziwym mężczyzną, żeby powiedzieć: „Przepraszam”, Tom. Potrafię to docenić, że się tu zjawiłeś, aby wyjaśnić sytuację. Nikomu nie powiem o tym ani słowa, a wiem, że i ty tego nie zrobisz. To dobrze, że poznałem cię odrobinę lepiej. Zawsze interesowałem się młodymi, bo to nasza przyszłość. Tak, przyszłość naszego miasta.

- Do widzenia, Tom - powiedział Todd. - Dobrze, że sobie porozmawialiśmy.

- Cześć, Todd.

- Trzymaj się, Reese. Do widzenia, Todd, kochanie - powiedziała matka.

Przeszliśmy kilkadziesiąt kroków ulicą, kiedy matka, oszołomiona winem i faktem przebywania pół godziny w domu Newburys, oznajmiła:

- Ci, którzy chcieli słuchać, zawsze mogli usłyszeć, jak mówiłam: ludzie, którym się najbardziej powiodło, są też najmilszi w objęciu.

- A czemu mi o tym opowiedziałeś, Tom? - spytała doktor Lowenstein, kiedy skończyłem niemal godzinną przemowę w jej gabinecie. - Jak się wydaje, nie ma to żadnego związku z Savannah. Owszem, rzuca trochę światła na to, dlaczego jesteś taką, a nie inną osobą, jak jednak wiąże się z całą resztą historii? Savannah nawet nie widziała, jak Newbury cię uderzył.

- Savannah była jedyną osobą, której opowiedziałem o tym zdarzeniu. Nic nie wspominałem ojcu ani Luke'owi, gdyż bałem się, że dopadną



Newbury'ego na ulicy i połamię mu nogi. Natomiast jej opowiedziałem jeszcze tego wieczoru, a potem siedzieliśmy i zastanawialiśmy się, co to może znaczyć.

- Ale to nie dotyczyło jej bezpośrednio. To znaczy, jestem pewna, że ci współczuła. Była podobnie dotknięta i upokorzona, ale to zdarzenie nie miało chyba bezpośredniego wpływu na jej życie.

- W pewnym sensie było ono bardzo istotne dla jej życia.

Na razie nie widzi pani tego jeszcze, pani doktor, ale zmierzam w tym kierunku. Robię to tak szybko, jak potrafię. Staram się pomijać te kwestie, które wiążą się tylko ze mną, ale teraz już wszystko wydaje się wzajemnie powiązane. Fragmenty zaczynają się do siebie dopasowywać jak nigdy dotąd.

- Niewiele z tego rozumiem. Powinieneś mi wskazywać powiązania, kiedy tylko ci się odsłaniają. Rozumiem, że bzik matki na punkcie jej pozycji społecznej głęboko wpłynął na Savannah, to pokazałeś bardzo klarownie. Ale czy Savannah była w jakikolwiek sposób związana z rodziną Newbury?

- Czy matka pisała do ciebie?

- Tak, zaraz po tym, jak po raz pierwszy rozmawialiśmy telefonicznie.

- Czy masz jej list?

Podeszła do szafki przy biurku i wróciła z listem. Na kopercie rozpoznałem pismo matki.

- Oto i on. Bardzo miły jako próba dodania mi otuchy.

- Matka pisze piękne listy. Ma dobre pióro. Talent Savannah nie wziął się znikąd. Czy zwróciłaś uwagę na adres nadawcy?

- Charleston - powiedziała i raz jeszcze sięgnęła po kopertę.

- Widzisz coś jeszcze?

- Nie, niemożliwe! - > powiedziała zdumiona.

- A właśnie tak!

## ROZDZIAŁ 10

Był upalny dzień, koniec czerwca, a ja przyglądałem się, jak niedźwiedź polarny w Central Parku cierpi w niemej godności. Za mną wielkie skupisko budowli wzdłuż Central Park South rzucało milowe cienie, które większość zoo pozbawiały światła słonecznego, ale w niewielkim stopniu poprawiało to sytuację misia. Gołąb unoszący się na powietrznych prądach między hotelem Sherry-Netherland a ogrodem zoologicznym nie widział, jak dwieście stóp wyżej jastrząb z wystawionymi szponami rozkłada skrzydła i ogon, by po chwili trzymać już gołębia za grzbiet, i tylko dwa małe piórka spłynęły na klatkę z pawianami. Nieszczęśnik najwidoczniej podobnie jak ja myślał, że przebywanie w Nowym Jorku chroni przynajmniej przed jastrzębiami, ale miasto nigdy nie wyrzekło się swego prawa do zaskoczeń. Ilekroć przechodziłem przez zoo, tylekroć oczekiwałem, że z ponurych wewnątrz klatek spojrzą na mnie jakieś nadzwyczajne, godne tego miasta zwierzęta: jednorożce ocierające swe spiralne rogi o pręty czy smoki zapalające gnane przez wiatr alejkami strony z „Daily News”. A tymczasem tylko gerenuk grzebał w spieczonej ziemi, a oceloty łapały w lśniących futrach manhattańskie pchły.

Od zoo poszedłem na przelaj przez park na spotkanie z synem Susan Lowenstein. Rozglądałem się po niebie za następnym jastrzębiem, ale widziałem tylko szczyty budynków wszędzie dookoła sterczące nad drzewami.

Bernard Woodruff czekał na mnie pod młodym dębem nieopodal apartamentu rodziców na Central Park West. Zbliżając się, zauważyłem, że odziedziczył po matce żywą, urodziwą twarz, w której tylko nos był inny, bardziej wyraźny. Był wyższy, niż się spodziewałem, ręce miał długie i delikatne. Kiedy je spuścił, końce palców niemal dotykały kolan. Bujne kędziory czarnych włosów okalały wąską twarz. Natychmiast zaskoczyła mnie jego postawa. Twarz miała wyraz zaciętej bezczelności. Dolna warga była po młodzieńczemu wydęta, widziałem w oczach buntowniczą brawurę i niepewne szyderstwo, które dojrzewający chłopcy, w poczuciu swej bezradności niekiedy uważają za maskę chroniącą ich lęk przed ujawnieniem. Bernard spoglądał na mnie jak twardziel, chłopak z Manhattanu zaprawiony w dzielnicowych porachunkach, dziecię ulicy. Zanim jeszcze przemówił, stary trener, znający już roczniki jego rówieśników, zobaczył mrok czający się w czarnych oczach, a także posłyszał daleki grzmot, małej, ale nieustannej walki ze światem.

- Cześć, Bernardzie - zawołałem z daleka. - Jestem Tom Wingo,

Nic nie odpowiedział, a tylko wlepił we mnie badawcze, podejrzliwe spojrzenie.

- Tak podejrzewałem, że to ty - powiedział wreszcie, kiedy byłem już całkiem blisko.

- Co u ciebie? - spytałem i wyciągnąłem rękę.

- W porządku - odparł i zapatrzył się w ruch uliczny, ignorując moją dłoń.

- Niezły dzień na to, żeby trochę pobiegać za piłką, nie?

- Może i niezły - powiedział nieprzyjaznym tonem, który poinformował mnie, że to nie będzie łatwa przeprawa.

- Długo czekasz?

- Dość długo - powiedział bardziej pod adresem ulicy, niż moim.

- Zgubiłem się - wyznałem. - Zawsze gubię się w Central Parku. Za każdym razem okazuje się większy, niż sobie wyobrażam.

- Nikt nie kazał ci tutaj przychodzić - powiedział i zaszczycił mnie krótkim spojrzeniem.

- Mylisz się, tygrysie - powiedziałem, zniżając głos, gdyż byłem już znużony jego gburowatością. - Chciała tego twoja matka.

- Zawsze zmusza mnie do robienia rzeczy, których ja nie chcę.

- Mówisz serio?

- Mówię serio.

- Nie chcesz, żebym cię trenował?

- Szybko łapiesz, co jest jak, nie? Mam już trenera w szkole.

- Występowałeś w jakichś meczach oficjalnych - w zeszłym roku? - zapytałem i jestem pewien, że wyczuł niewiarę w moim głosie.

- To dopiero pierwszy rok.

- Czy wystąpiłeś w jakimś oficjalnym meczu? - powtórzyłem.

- Nie. A tak nawiasem, gdzie niby trenujesz?

- W Karolinie Południowej.

- No tak. - Roześmiał się hałaśliwie. - Piękna sprawa.

- Nie taka znowu piękna - powiedziałem, a własny głos niemal zmroził mi krtań. - Mogę cię jednak zapewnić, że trenowałem drużynę, która dowolną reprezentację Phillips Exeter powiozłaby do Atlantyku. I tam zostawiła.

- A skąd ta pewność? - spytał pogardliwie.

- Ponieważ moimi zawodnikami nie były bogate szczeniaki, których rodzice posyłają do szkół z internatem, gdyż nie mogą znieść ich obecności w domu.

- No i co z tego?

Czułem, że dotknąłem wrażliwego miejsca, ale nie zamierzałem mu popuścić.

- Żaden z moich chłopaków nie grał na skrzypcach, Bernardzie. Kogoś takiego zjadali na śniadanie.

- Mhm - mruknął - i założyłem się, że żadnego z nich nie zmuszano też do skrzypiec.

- Nie zamierzam cię zmuszać, żebyś nauczył się trochę futbolu ode mnie. Nie chce mi się marnować czasu na zarozumiałych szczeniaków, którzy posiadli wszystkie rozумы. Nie trenuję chłoptasiów, których do gry zmusza matka.

- Matka nawet nie wiedziała, że gram na pierwszym roku.

- Wcale nie grałeś, Bernardzie - powiedziałem i ze zdumieniem zobaczyłem, że unika mojego wzroku. - Sam powiedziałeś, że nie wystąpiłeś w żadnym meczu.

- Nic nie rozumiesz! - zawołał, a głos zrobił mu się nagle piskliwy. - Odstawałem od chłopaków. Nigdy przedtem nie byłem w szkole, która miałaby drużynę futbolową!

- Na jakiej pozycji grasz?

- Quarterback.

- Ja też byłem quarterbackiem, - powiedziałem.

- No to co? - Grymas wykrzywił mu prawą połowę twarzy. - Przyszedłem, żeby ci powiedzieć, że nie jesteś mi potrzebny.

Rzuciłem mu piłkę pod ramieniem, chwycił ją ładnie, odbiegłem na dziesięć jardów i powiedziałem: - Podaj.

Podanie było dokładne, piłka odrobinę się kolebała, ale miała zgrabny łuk. Złapałem, wsadziłem pod pachę, a potem bez słowa odwróciłem się i zacząłem odchodzić. Wiedziałem, że patrzy mi w plecy.

- Ej, a ty dokąd? - zawołał.

- Do domu - odkrzyknąłem przez ramię. Posłyszałem za sobą jego trucht - Dlaczego?

- Bo gównie jesteś wart, synu - odrzekłem. - Wracaj i ty do swoich skrzypiec, co bardzo ucieszy rodziców. Poza tym dość mam twojej pozy. Jeśli ja nie mogę jej znieść, jak zamierzasz kiedyś być kapitanem drużyny? Jak zamierzasz z marnego, użalającego się nad sobą mazgaja stać się quarterbackiem?

- Słuchaj - powiedział - to było pierwsze od pół roku podanie.

Byłem teraz w nastroju, w którym nie było miejsca na dobroduszość czy wyrozumiałość, więc mruknąłem:

- No popatrz, a ja myślałem, że pierwsze w życiu.

- Rzuć mi, a ja spróbuję jeszcze raz.  
 Jego głos zmienił się na tyle, że przystanąłem i odwróciłem się.  
 - Najpierw porozmawiamy.  
 - A o czym? - spytał.  
 - O twoich ustach na przykład.  
 - Co z nimi?  
 - Żebyś je trzymał na kłódkę - powiedziałem oziębło. - Posłuchaj mnie, Bernardzie. Nie obchodzi mnie, przyjacielu, czy mnie lubisz czy nie. Wcale nie jestem pewien, czy zechcę cię trenować, ale w każdym razie, kiedy do ciebie mówię, masz patrzeć mi prosto w oczy. O, tak. Jeśli jeszcze raz wyciągnę do ciebie rękę, a ty udasz, że jej nie widzisz, połamię ci każdą kostkę w dłoni. A kiedy odzywasz się do mnie, to grzecznie i z szacunkiem. Teraz tak... Powiedz mi, dlaczego jesteś taki obrażony na świat. Ani słowa z tego nie powtórzę matce, obiecuję. Na razie jednak jesteś niemiłym skurczybykiem i chciałbym ci pomóc zrozumieć, dlaczego.

Był zdenerwowany, drżał na całym ciele, dyszał ciężko.

- Odpieprz się, brachu - wykrztusił, a głos miał na pograniczu łez.  
 - Mówiąc szczerze, już się upieprzyłem, kiedy się zgodziłem spotkać z kimś takim jak ty.

- Ja jestem w porządku - prychnął, z trudem panując nad sobą.  
 - I tu się mylisz - powiedziałem, przygotowując się do zadania ciosu i czując do siebie odrazę, gdy głos stawał się jeszcze bardziej zimny i pogardliwy. - Jesteś najbardziej nieszczęśliwym gówniarzem, jakiego widziałem w życiu. Wystarczyło, żebym popatrzył na ciebie przez pięć minut, a już coś wiem. Na całym tym cholernym świecie nie masz ani jednego przyjaciela. Zima, a ty sam w Phillips Exeter, czy nie tak, Bernardzie? Czy ci dokuczają? Robią kawały? Wiem, że się z tobą nie zadają, ale czy bardzo cię zdręczają? Poszturchują cię, Bernardzie? Widzisz, dobrze wiem, jacy potrafią być chłopacy i jak traktują nieudaczników. Jak ma na imię twój przyjaciel, Bernardzie, co?

Rozplakał się, usiłował zapanować nad łzami, ale popłynęły po policzkach niczym wezbrana rzeka. Ramiona mu się trzęsły, lkał głośno, twarz ukrywszy w dłoniach. Łzy przeciekały mu między palcami i skapywały na ziemię.

Nagle opuścił dłonie i spojrzał na nie ze zdziwieniem.

- Płaczę - wykrztusił. - Zmusiłeś mnie do płaczu.  
 - Naskoczyłem na ciebie, Bernardzie - przyznałem - i miałem nadzieję, że się rozplaczesz.  
 - I na tym polegają twoje treningi? - spytał z goryczą.

- Z takim jak ty - tak. - Nie podoba mi się to.
- A mnie to guzik obchodzi.
- Matka powiedziała, że jesteś fajny, ale widzę, że skłamała.
- Jestem fajny dla fajnych ludzi. Jestem miły dla tych, którzy mnie lubią.
- Powtórzę jej wszystko, słówko w słówko - zagroził. - Powiem, jak mnie potraktowałeś. I w ogóle.
- Zobacz, nogi się pode mną zatrzęśły.
- Mówi, że dorośli powinni traktować dzieci jak dorosłych.
- Naprawdę?
- Naprawdę. I wcale jej się nie będzie podobało to, co tutaj ze mną zrobiłeś - oznajmił Bernard, nadal nie bardzo panując nad oddechem.
- No to chodźmy do niej - powiedziałem. - Nie ma na co czekać, Bernardzie., - Jest zajęta. Ma pacjentów.
- No to co z tego? Zajrzemy do niej podczas którejś z dziesięciominutowych przerw. Wtedy jej powtórzysz, co ci powiedziałem, a ja jej wytłumaczę, dlaczego.
- Nie znosi marnować czasu na głupstwa, kiedy pracuje.
- Tak samo jest ze mną, a na ciebie straciłem już całą kupę czasu.
- Nazywasz to pracą? - prychnął zjadliwie.
- Nazywam to bardzo ciężką pracą. - Mój głos znowu stał się nieprzyjazny. - To właściwie okrutna kara, straszliwa tortura zadawać się z takimi gówniarzami jak ty.
- A kto cię o to prosił? - spytał urażony.
- Twoja matka. Dlatego chodźmy do niej i załatwmy całą sprawę.
- Nie. Będzie mi potem robić wymówki.
- Nie, Bernardzie - odrzekłem kpiąco. - Po prostu porozmawia z tobą jak z dorosłym.
- Więc dobrze, powiem wszystko ojcu, a wtedy oboje będziecie mieli kłopot.
- Bernardzie, na pewno nie będę miał kłopotów z twojego powodu.
- Ach tak? - powiedział z przekąsem i wytknął ku mnie oskarżycielsko palec. - A wiesz, kto jest moim ojcem?
- Nie. Kto?.
- Herbert Woodruff.
- Takie samo nazwisko jak twoje - zauważyłem, nagle zmęczony Bernardem.
- Nie słyszałeś o nim?! - wykrzyknął Bernard. - To jeden z najlepszych skrzypków na świecie.

- Zawsze dygotałem ze strachu przed facetami, którzy grają na skrzypcach.

- Zna ważnych ludzi, naprawdę ważnych, kochany panie trenerze.

Głos Bernarda znowu poszybował w wysokie regiony, tak że pomyślałem, iż znowu się rozplacze.

- Bardzo jest ciężko? - spytałem ze znużeniem, - Czy bardzo ciężko być dupą wołową? Właściwie zawsze chciałem zadać to pytanie każdemu dupkowi, który stawał na mojej drodze, ale dopiero teraz mam naprawdę okazję.

Wyrzucił ręce do góry w jakimś dziwnie nieadekwatnym geście i zawołał:

- To sobie o mnie myślisz? Przecież w ogóle mnie nie znasz. Jak możesz wiedzieć coś o kimś po piętnastu minutach rozmowy?

- I znowu się mylisz, Bernardzie. Bywają sytuacje, gdy wszystkiego, co ci potrzebne, dowiadujesz się o kimś w ciągu pół minuty.

Odrzucił się, jakby miał odejść, ale stanął i znowu oddychał z trudem.

- Wolałbym, żebyśmy nie rozmawiali z matką - powiedział cicho.

- W porządku.

- Zgadzasz się? - spytał i spojrzał mi w oczy.

- Jasne. To rozsądna prośba i grzecznie ją sformułowałeś. A grzeczne zachowanie należy nagradzać.

- Co jej powiesz, jak ją zobaczysz?

- Że jesteś księżątkiem, które w sposób bardzo naturalny zdecydowało, iż woli grać na skrzypcach, niż trenować futbol.

Spuścił oczy i czubkiem buta kopał w ziemię.

- Nie grałem w tym roku.

- Matka powiedziała, że ojciec zobaczył cię na zdjęciu drużyny.

- Nosilem im sprzęt. Zgłosiłem się do drużyny, ale trener mnie nie przyjął. Pierwszego dnia kazał nam blokować, a ja nigdy jeszcze nikogo nie blokowałem. Wszyscy śmiali się ze mnie.

- Pamiętasz, kto?

- Pewnie, ale czemu pytasz?

- Bo jak zechcesz ze mną trenować, wszystkim tym koleśiom uśmiechy znikną z twarzy... Nauczę cię tak blokować, że faceci będą się walić na ziemię przekonani, że to buick na nich najechał. Ale dlaczego powiedziałeś ojcu, że grasz?

- Bo chciałem, żeby tak myślał.

- Ale dlaczego?



- Nie wiem - odrzekł Bernard. - Wiedziałem, że sama ta myśl napelni go odrazą. Nienawidzi sportu i dostaje szału, że ja się nim interesuję.

- Wcale się nie interesujesz. Bernardzie, i sam mi tego dowiodłeś.

- Nie lubisz mnie za bardzo? - spytał płacząco.

- Bernardzie - powiedziałem. - W ogóle cię nie lubię. Nie podoba mi się to, jak mnie traktujesz. Nie podoba mi się twoja poza. Jesteś marnym, nieszczęśliwym skubańcem i nie wiem, czy futbol ci w czymkolwiek pomoże. Ponieważ jedyną dobrą stroną futbolu, synu, jedyną naprawdę dobrą, jest to, że gra może dawać dużo radości. I to wszystko. Jeśli tego nie ma, jest to głupie, bezużyteczne tracenie czasu. A ty tymczasem wyglądasz tak, jak gdyby w całym życiu nic nie sprawiło ci radości. Z mojego punktu widzenia znacznie jednak ważniejsze jest to, iż, jak się zdaje, trenowanie ciebie nie sprawiłoby mi żadnej przyjemności. Rozumiesz, Bernardzie, ja trenerkę bardzo lubię, traktuję to bardzo poważnie. Futbol sprawia mi radość i ani myślę tego zmarnować.

- Ojciec każe mi dwie godziny dziennie ćwiczyć na skrzypcach - oznajmił z dumą.

- Uwierz mi, Bernardzie, że o wiele bardziej wolałbym umieć grać na skrzypcach niż w piłkę. Gdybym umiał, grałbym tak pięknie, że ptaki zawstydzone puciekałyby z drzew.

- A grasz na jakimś instrumencie? - spytał.

- Nie. Wiesz, co potrafię robić? Nadal mogę celnie podać ręką na czterdzieści jardów, co sprawia, że na przyjęciach ludzie odnoszą się do mnie z podziwem. Dobra, Bernardzie, muszę się już zbierać. Miło było cię poznać. Szkoda, że nie wyszło jakoś lepiej, bo bardzo lubię twoją matkę. Nic jej nie powiem, jak to się wszystko odbyło, tak jak obiecałem.

Odwrociłem się od niepokieszonego dzieciaka i ruszyłem przez trawę w kierunku Fifth Avenue. Przeszedłem jakieś dwadzieścia jardów z piłką w prawym ręku, z przyjemnością czując, jak jej szwy wpijają się w stawy palców. Nie usłyszałem ani słowa, żadnego pożegnania, aż wreszcie Bernard zawołał:

- Panie trenerze!

Nikt tak się do mnie nie zwracał od tak dawna, że poczułem nawet lekkie wzruszenie. Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem, że uniósł rękę w melancholijnym geście prośby. Głos mu drżał i urwał się, jakby chłopak z trudem wydobywał z siebie słowa.

- Naucz mnie - wykrztusił i znowu był na granicy łez. - Naucz mnie, proszę. Tak chcę, żeby przestali się śmiać.

Zawróciłem, podszedłem do niego, a w życiu Bernarda Woodruffa rozgrywało się właśnie coś ważnego, gdyż podchodziłem do niego jako nauczyciel, trener.

- Będą krwawić - powiedziałem mu. - Najpierw się roześmieją, a potem będą krwawić. Przyrzekam ci. Ale i ty musisz mi coś obiecać.

- Co takiego? - spytał podejrzliwie.

- Będziesz trzymał gębę na kłódkę. To, jak mówisz, wkurza mnie.

- Tak - przytaknął, a potem z westchnieniem: - W porządku.

- Bernardzie, odtąd właściwa forma brzmi: „Tak, proszę pana” - poprawiłem go. - Są pewne grzecznościowe formy i reguły, których będziemy się trzymać. Ilekroć spotkamy się tutaj, będziesz się do mnie zwracał: „Proszę pana” lub „panie trenerze”, co ci bardziej odpowiada. Nigdy i pod żadnym pozorem się nie spóźnisz. Będziesz wykonywał wszystkie moje polecenia, a będziesz to robił z entuzjazmem. Natychmiast przystąpimy do zrzucania wagi. Każdego dnia bieg zabierze ci kilka gramów sadła. Nic mnie nie interesuje twoje życie prywatne, lekcje muzyki, dziewczyny, pryszczki i żadne inne. Nauczę cię wyglądu futbolisty i zachowania futbolisty. Nauczę cię blokować, zatrzymywać, kopać, biegać i podawać, a będzie to dobra nauka. Masz dobre rozmiary, naprawdę niezłe, a ja nauczę cię siły. Nauczę cię takiej twardości, której nigdy nawet sobie nie wyobrażałeś. Ponieważ będziesz blokował i zatrzymywał mnie.

- Jesteś dla mnie o wiele za duży.

- Bernardzie, mówiłem ci już: język trzymasz za zębami.

- Tak, proszę pana.

- A kiedy już nabiegasz się tak, że będziesz padał na pysk, nadźwigasz tak, że nie będziesz mógł się ruszyć, narobisz tyle pompek, że w płucach będziesz miał już tylko zieloniutką trawę, nazatrzymujesz mnie tyle, że ręce będą ci odpadać, wydarzy się coś, czego jeszcze nie zaznałeś w swoim głównianym życiu.

- Co takiego, proszę pana?

- Pokochasz widok mojego oddalającego się tyłka.

## ROZDZIAŁ 11

Matka nigdy nie zakończyła pracy nad stwarzaniem siebie. Rzadko zdarzało jej się opowiedzieć historię z dzieciństwa, która nie byłaby kłamstwem, a swoim dzieciom przyglądała się niefrasobliwym wzrokiem bajarki. Nigdy nie trapiąc się o coś tak niewygodnego jak prawda, uczyniła kłamstwo niezbywalnym składnikiem swej dziecięcej tożsamości.

Przez tysiące dni mego dzieciństwa prezentowała mi się w tysięcznych postaciach i nigdy nie miałem wtedy jasnego jej obrazu. Właściwie na całe życie pozostałem topografem charakteru mojej matki, nigdy jednak nie mogłem zorientować się w nieregularnościach na antypodach czy wokół stref tropikalnych. W jednej chwili potrafiła się uśmiechać, a ja myślałem o wstydliwych pieszczotach aniołów, a następnej chwili mogła zażądać krajania żywcem terrorystów. Dla mnie zawsze było w niej zbyt wiele kobiety.

W swoim sekretnym ja ustanowiła cały pakiet nie przetestowanych praw zachowania, które stały się jej własnymi masonskimi regułami sprytu i pomysłowości. Wszyscy w Colleton - łącznie z samą Lilą Wingo - nie doceniali tych jej darów. Potrzeba było trzydziestu lat, abym sobie uzmysłowił, że kobieta, która mnie wychowała, jest wojowniczką o niezrównanych talentach. Zastanawiając się nad nimi, jej dzieci sporządziły listę zawodów, w których prymat miałyby zapewniony. Uznaliśmy, że gwarantowany sukces odniosłaby jako księżniczka jakiegoś kraiku zagubionego w Himalajach, zabójczyni ministrów, połykaczka ognia, małżonka dyrektora AT&T, tancerka brzucha, która staje przed królem z głowami świętych. Kiedy spytałem Luke'a, czy jego zdaniem nasza matka jest ładna, przypomniał mi, że jej uroda okazała się dostateczna do tego, aby z lasów Atlanty wywabić olbrzymia - ludobójcę, aby w duszy Callanwolde'a zrodzić demoniczną obsesję.

- Czy to dowód jej urody? - spytałem sceptycznie.

- Dla mnie jak najbardziej - powiedział Luke.

Dzieciństwo w górach Georgii było straszliwe. Ojciec, porywczy pijak, umarł na marskość wątroby w jej dwunaste urodziny. Matka pracowała w fabryce włókienniczej i umarła na pylicę bawełnianą, gdy córka miała szesnaście lat. Po śmierci babki matka pojechała autobusem do Atlanty, wynajęła pokój w Imperial Hotel i została zatrudniona jako praktykantka w domu towarowym Davidsona. Dwa miesiące później poznała ojca i popełniła dziecinny błąd, zakochując się w wesołym i gadatliwym pilocie z Karoliny Południowej. Zaprezentował się jej jako wielki posiadacz ziemski,

plantator warzyw, który nie stroni też od „przedsięwzięć rybackich”, O tym, że trudni się poławianiem krewetek, powiedział jej dopiero wtedy, kiedy stanęli na Melrose Island.

Ale i matka zaczynała już wtedy rekonstruować swe życie. Ludziom w Colleton mówiła, że jest córką świetnie prosperującego bankiera z Dahlonega w Georgii, którego zniszczył kryzys. Wystarczył prosty wysiłek woli, by surowa matka - która na fotografii ukazuje banalną, udręczoną twarz, równie trudną do zapamiętania jak kotlet w jadłodajni - przemieniła się w wielką damę, chętnie widywaną w najlepszych towarzystwach. „Najlepszych towarzystwach”, jeszcze po latach bez tchu w piersiach powtarzała matka. Jej głos wyczarowywał zamkniętą, uprzywilejowaną elitę, przechadzki po zielonych polach golfowych, leniwe wysiadanie nad błękitnymi basenami, dżentelmenów gawędzących półgłosem w nieprzemijającym zmierzchu, podczas którego usłużne dłonie w białych rękawiczkach serwują sorbety. Chociaż byliśmy spadkobiercami krewetek i przedzy, zaczęliśmy tworzyć fałszywy obraz samych siebie osadzonej w szklanym pałacu sennych łąg matki. Savannah była pierwszą poetką, jaką wydała nasza rodzina, ale Lila Wingo z całą pewnością jako pierwsza poznała moc fikcji.

Nas, swe dzieci, uważała jednocześnie za współników i wrogów. Nie znałem innej matki, która na dzieci składałaby odpowiedzialność za to, że poślubiła niewłaściwego mężczyznę. Nasze narodziny uważała za przestępstwo, które uknuliśmy przeciw niej, ale niezwykle rzadko uskarżała się na swój los. Z wyjątkiem niezwykle przyływów szczerości, nigdy nie pozwoliłaby sobie na wyznanie, że coś jest nie w porządku. Rozporządzała heroicznym słownikiem optymistycznych fraz. Publicznie promieniała szczęściem, była wojowniczo radosna. Kiedy osiągnęliśmy już wiek szkolny, podejmowała się ochoczo wszystkich funkcji związanych z dobroczynnością. W mieście powoli uznawano ją za osobę, na której można polegać w nagłej potrzebie. Ludzie spoza rodziny uważali, że jest słodka, piękna, pomysłowa i o wiele za dobra dla ojca. A Lila Wingo była tym wszystkim, a na dodatek jeszcze feldmarszałkiem.

Po ojcu odziedziczyłem poczucie humoru, zdolność do ciężkiej pracy, siłę fizyczną, niebezpieczną porywczosć, miłość do morza i przywabianie porażek.

Od matki otrzymałem dary mroczniejsze i cenniejsze: umiłowanie języka, umiejętność kłamania bez wyrzutów sumienia, pasję nauczania, szaleństwo, a także romantyczny fanatyzm.

Luke, Savannah i ja odziedziczyliśmy te cechy w zabójczej, zróżnicowanej mieszance genów. W pełnym goryczy okrzyku matka miała to podsumować wiele lat później następująco: „Luke - fanatyk, Tom - nieudacznik, Savannah - wariatka”.

Zanim to jednak nastąpiło, matka zniszczyła rodzinę i miasto, które nie doceniły tego, jak straszliwe będą konsekwencje jej wstydu, że została jedynie żoną poławiacza krewetek.

Wzrastałem w poczuciu wielkiego współczucia dla matki i niewypowiedzianego oburzenia na ojca. Nie musiało się tak stać, ale Henry Wingo tak bardzo się od niej różnił... Ojciec obdarzony był temperamentem, siłą, rozpaczliwymi wizjami nagłego bogactwa, wielkimi pięściami, matka natomiast - miała plan. Dowiodła nam wszystkim, że nic na świecie nie potrafi być równie potężne i nieodparte jak marzenie, które nie chce się rozwiać. Chciała być kobietą, z którą każdy się liczy, kobietą powszechnie szanowaną, w Colleton jej pozycja społeczna była przesądzona, ona jednak ani myślała godzić się z tą bolesną rzeczywistością. W roku 1957 jakoś udało jej się uzyskać nominację do Ligi Colleton i to dało początek późniejszym dramatom.

Liga Colleton została założona w 1842 roku przez prababkę Isabel Newbury. W swym statucie Liga postanawiała zająć się upowszechnianiem pośród wszystkich mieszkańców godnych dzieł i wartościowych projektów. Miały do niej należeć niewiasty z najznamienitszych rodzin, ale do nich się nie ograniczając, chciała gromadzić wszystkie wybitne kobiety żyjące w granicach hrabstwa Colleton. Właśnie to ostatnie sformułowanie sprawiło, że matka pełna była nadziei, iż któregoś dnia uzyska wszystkie prawa członkini Ligi. To, co zrazu było aspiracją, szybko stało się żarliwym pragnieniem. Tymczasem jej wniosek o przyjęcie został jednogłośnie odrzucony przez komisję członkowską, co Isabel Newbury skwitowała komentarzem, który rychło dotarł do uszu matki: „Lila Wingo to zbyt pośledni materiał na członkinię Ligi”.

„Pośledni materiał”. Jakich spustoszeń w duszy matki miały dokonać te związane słowa. Owo bezkrwawe autodafe w mieścinie na Południu dokonuje się bez specjalnej dyskrecji czy protokolarnych subtelności. Matka z godnością odgrywała narzuconą jej rolę i nigdy się nie skarżyła, ale przez cały czas nieugięcie realizowała zadanie, którym było uzmysłowienie członkiniom Ligi, jakim byłaby dla nich skarbem, dopiero jednak w 1959 roku dostrzegła swoją szansę.

W kwietniu tego roku w całostronicowym ogłoszeniu lokalnego tygodnika Liga zaprosiła wszystkie mieszkanki miasteczka, aby zgłaszały

się ze swymi pomysłami kulinarnymi, z których najlepsze miały zostać zamieszczone w książce kucharskiej obu Karolin i Georgii. Matka uznała, iż oto nadarza się znakomita sposobność, aby olśnić kulinarnymi talentami komitet redakcyjny, w dużej części złożony z jej jawnych oszczerczyń. Wyciągnęła z komody wszystkie zaległe numery „Gourmet”. Tolitha w 1957 roku zaprenumerowała jej czasopismo, które wprowadziło matkę w kraj wykwintnej kuchni, a także uczyniło z niej najznakomitszą specjalistkę kuchni karolińskiej.

Ona nie czytała po prostu „Gourmet” - studiowała je wnikliwie. A na dodatek była znakomitą improwizatorką w stylu Południa i potrafiła zrobić coś niepowtarzalnego, mając do dyspozycji ledwie kilka biszkoptów, garść fasoli, świeżo ubity drób. Pod jej rękami nawet ciężki tłuszcz nabierał finezyjnego smaku. Natomiast uważna lektura „Gourmet” nauczyła ją, że samo przygotowanie potraw jest wymownym wyrazem statusu społecznego. Kiedy zorientowała się, że są poprzeczki ustawione wyżej niż kuchnia Południa, zaczęła realizować kolejny ze swych obsesyjnych, długoterminowych projektów, który będąc elementem samodoskonalenia, jeszcze bardziej oddalił ją od ojca, a jeszcze droższą uczynił dla nas. Henry Wingo był smakoszem ziemniaków i dobrego kawałka miecha, a wszelkie sosy barnaise uważał za francuski spiszek mający na celu destrukcję wszystkich porządnych smaków.

- Na miłość boską, Lila, w tym jest wino - zawołał tego wieczoru, kiedy matka przygotowała coq au vin. - Nie można łąć wina na kurczaki, wino leje się do gardła.

- Henry, to tylko eksperyment. Nie wiem, czy przedstawić całą garść przepisów czy tylko jeden, ale za to starannie dobrany. Jak smakuje?

- Jak pijany kurczak - mruknął.

- Wspaniale, mamó - powiedział Luke i w ten sposób została nakreślona linia frontu.

Przez kilka zawrotnych miesięcy matka przesiadywała nad pomietymi, zatłuszczonymi egzemplarzami „Gourmet”, gorliwie robiła zapiski swym nerwowym pismem, a kolacje dawały okazje do improwizacji i eksperymentów. Wertowała też własny obszerny zbiór przepisów, by z nich czerpać inspiracje do syntez i ulepszeń, składniki jednego przepisu wzbogacały ducha i ciało innej receptury. Powoli rodził się w niej pomysł, aby wystąpić z przepisem absolutnie własnym, z czymś urzekającym i zupełnie oryginalnym, co Wyrosłoby z jej wyobraźni i intensywnej, nawet jeśli ograniczonej wiedzy o jadle i jego własnościach. Cztery palniki były nieustannie zajęte, a w kuchni panował upał, gdy niebieskawe płomienie

przemieniały brązowe i białe materie w jedwabiste sosy, które trzymały się noża niczym farba olejna. Przez cały kwiecień i maj z rondli dobywał się zapach pokruszonych kości oraz szpiku bydła i drobiu, przyprawianych kruchymi warzywami i jarzynami z naszego własnego bujnego ogródka. Zapachy te zlewały się w ciemny aromat, który niczym aksamit osadzał się na języku. Kiedy zbliżałem się do domu, nozdrza badawczo się rozszerzały. Były brązowe platy mięsa barwy garbowanej skóry, były białe frykasy o smakach lekkich i pełnych wigoru, były ryby, a pośród nich duszone łby prastrągów, które smakowały jak jadalne produkty bagnisk.

Pewnego czerwcowego dnia wróciliśmy z krewetek zmęczeni, opaleni, wygłodniali. Ledwie wyskoczyliśmy z pickupa, woń kuchennych poczynąń matki zaatakowała mój węch, a do wyschniętych i słonych ust ślina napłynęła strumieniem. Na drodze do domu walczyły ze sobą aromaty, dla których nie ma wyrazów w najbogatszych słownikach. W kuchni zlaną potem matka nuciła góralską piosenkę, uszczęśliwioną nietrwałym produktem swej sztuki. Tego lata podrosłem trzy cale i przybyło mi dziesięć funtów, a wszystko z racji melancholijnego faktu, iż moja matka nie została zaliczona w poczet członkiń Ligi Colleton.

Przez cały czerwiec matka usilnie pracowała nad czymś, co nazwała „największą letnią niespodzianką”. Zawarła umowę z rzeźnikiem w Piggly-Wiggly, który zaczął dla niej odkładać resztki i organy, które normalnie wyrzucał jako nie nadające się do spożycia. Rodzina Wingo jako pierwsza w całym Colleton spożyła potrawę z grasic sporządzoną wedle przepisu zamieszczonego w „Gourmet”.

Ojciec usadowił się u szczytu stołu, zaraz potem przyłączyliśmy się do niego ja i Luke, umyć i przebrani. Savannah przyniosła z kuchni grasicę i szeroko uśmiechnięta zaczęła je nakładać łyżką na talerz ojca, który spochmurniał i zaczął nieufnie dziobać widelcem. Weszła matka i usiadła po drugiej stronie stołu, naprzeciw ojca. Gdyby sądzić po wyrazie twarzy, należałoby uznać, że ojciec stara się wyczytać tajemne przesłanie z resztek zwierzęcia ofiarnego. Matka promieniała, na stole pojawiły się świeże róże.

- Lila, co to jest, u diabła? - spytał ojciec.

- Grasicę gotowaną w śmietanie i białym winie - oznajmiła z dumą. - To zupełnie oryginalny sos francuski a la Wingo. Francuzi nazywają je słodkimi chlebkami.

- Dla mnie to wygląda jak cipy z Kalkuty.

- Jak możesz wymawiać takie słowa przy rodzinnym stole i to w obecności dzieci? - powiedziała urażonym głosem. - To nie jest kuter i nie



życę sobie takiego języka przy moim stole. A poza tym, nawet ich jeszcze nie spróbowałaś, więc skąd możesz wiedzieć, jakie są?

- Figę mnie obchodzi, co takiego gadają te twoje żabojady, ale nie wmawiaj mi, że to ma coś wspólnego z chlebem. Jem chleb przez całe życie, więc wiem, jak wygląda, biały, razowy, obojętne.

- Prostack! Wysłałam za kompletnego prostaka - ofuknęła go matka. - To gruczoły cielejące, mój drogi.

- Kochanie, dlaczego mam się napychać krowimi gówienkami, podczas gdy mógłbym zjeść porządny befsztyk. Od trzech miesięcy pasiesz nas tymi świństwami i już robi mi się od tego niedobrze.

- Mamo, to krowie gówienka? - spytał Luke i podejrzliwie zaczął przewracać grasicę na talerzu.

- Oczywiście, że nie, kochanie, a i ty uważaj na swoje słownictwo, panie Luke Wingo. Grastica znajduje się gdzieś w ciele krowy.

- Gdzie? - spytałem.

- Nie jestem pewna - odparła matka. - Ale bardzo daleko od odbyticy, tego jestem pewna.

- Dlaczego na koniec dnia nie mogę dostać porządnej porcji na przykład rostbefu? - spytał ojciec i odłożył widelec. - Takie malutkie pytanie. Zresztą wystarczyłaby smażona ryba albo porcja krewetek w sosie. My tymczasem jemy coś, czego nawet czarnuch by nie tknął. Nawet pies. Gdzie Joop? Ej, chodź no tutaj, Joop, chodź!

Joop spał na swym krześle, a teraz, ostatniego lata w jego życiu, uniósł swój miły, szary, nakrapiany łeb i ciężko zeskoczył na podłogę. Ostrożnie zrobił krok w kierunku ojca, oczy miał zasnutę zaćmą, cały drżał za sprawą dokonanych przez robaki spustoszeń, od czego miał zdechnąć.

- No, Joop, chodźże tutaj. Do cholery, durne psisko, rusz swoje tłuste dupsko!

- Taki dumny to on nie jest - zauważyła Savannah. - Nigdy nie był pewien humorów taty.

Joop stał o pięć stóp od ojca i czekał na dalszy rozwój wypadków. - Ojciec był jedynym człowiekiem, którego Joop nie darzył bezgraniczną admiracją.

- No, Joop, głupku, masz tu słodkie chlebki.

Ojciec postawił talerz na podłodze, a pies zbliżył się powoli, nieufnie obwąchał grasicę, liznął odrobinę sosu, a potem wrócił i wskoczył na krzesło.

- Cały dzień spędziłam na przygotowywaniu tej potrawy - powiedziała z urazą matka.

- Sama widzisz - z triumfem rzekł ojciec. - Oto żywy dowód. Mam jeść zarcie, którego nawet pies nie tknie. Wstaję o piątej rano, zapieprzam, żeby złapać parę krewetek, haruję jak czarnuch od świtu do zmroku, potem wracam do domu i mam się napychać tym, czego nie chce najgłupszy pies na świecie.

- Potraktuj to jako podróż w świecie smaków, mój drogi. Podróż, przygoda. Chcę, żeby nasze dzieci poznały bardzo różne potrawy i sposoby jedzenia. To poszerzy ich horyzonty. To, co wam dałam, to klasyczna potrawa kuchni francuskiej. Klasyczna. Znalazłam ją w „Gourmet” - wyjaśniła matka zboląłym, udęczonym głosem.

- Francuskiej! - wrzasnął ojciec. - A czy ja jestem Francuzem? Nienawidzę cholernych Francuzów! Słyszałaś kiedyś, jak oni gadają? Chryste Panie, Lila, zupełnie jakby sobie napchali do tyłków dwadzieścia funtów cheddara. Jestem Amerykaninem, Lila, prostym chłopakiem, który zapieprza, żeby zarobić parę marnych dolarów. Lubię amerykańskie jedzenie: stek, ziemniaki, krewetki, kiełbaski, takie rzeczy. Nie znoszę ślimaków, kawioru, żabich wątróbek, komarzych jaj i tego wszystkiego, czym Francuzi się branzlują. Kochana, w ogóle mnie nie rajcują podróże smakowe, chcę się po prostu najeść i tyle. I nie obrażaj się. Luke zabrał się do grasic z przesadnym entuzjazmem.

- Wspaniałe, mamó - oznajmił po kilku kęsach. - Mówiąc szczerze, chyba nigdy nie jadłem niczego lepszego.

Także i ja spróbowałem malutkiego kęsa i ze zdziwieniem stwierdziłem, że smak jest całkiem miły.

- Bomba, mamó - powiedziałem. - Bajeczne.

- Bardzo smaczne, mamó - przyłączyła się Savannah. - Tato, nie denerwuj się, zaraz ci coś usmażę.

- Nawet durny pies nie chciał tego jeść - bronił się ojciec, czując solidarny nacisk całej rodziny.

- On nie tknie czegoś, co samo nie wychodzi z miski - wyjaśnił Luke.

- Nie tknie niczego - poprawiła matka z uśmiechem, - Trzeba uparcie powtarzać reguły gramatyki, aż staną się nawykiem.

- Czemu nie dasz tacie puszki Alpo? - spytała Savannah.

- Pobiją się wtedy z Joopem - mruknąłem.

Gdyby matka w tym momencie podała końskie łajno w białym winie, rozplywalibyśmy się nad łagodnością i bogactwem smaku. Składową nie spisanego kodeksu etycznego była powinność zwierania szeregów wokół matki, kiedy ojciec przypuszczał swoje nieopanowane ataki na jej subtelną duchowość. O cokolwiek mogłoby chodzić, Henry Wingo nigdy nie mógł

przeciwstawić się obrazowi, który czynił z niego archetyp zarozumiałego chama. Izolowało to go od nas i przyprawiało o wściekłość, ale było mu pisane. Przypatrywał się teraz, jak dzieci z zapalem rozkoszują się gruczołami cielęcymi, i uznał to za wyzwanie wobec głowy domu.

- No cóż, Lila - powiedział - udało ci się wszystkie moje dzieci nastawić przeciw mnie. Jestem dla was wielkim ówkiem.

- Tato, chodzi o grzeczność - wyjaśnił spokojnie Luke. - Mama się strasznie nad tym napracowała.

- Patrzcie go, mądrąłę. To ja muszę się ciężko natyrać, żeby twoja matka mogła te świństwa wystawić na stół. Zarabiam na chleb dla całej żarłocznej rodziny, ale potem mam niby wpięprzać jakieś francuskie słodkie chlebki - sreбки! Jak mi coś nie smakuje, to mam prawo o tym powiedzieć.

- Ale grzecznie, tato - poradziła z lekką wyniosłością Savannah. - Taki jesteś miły, kiedy nie odgrywasz prostaka.

- Zamknij się - warknął ojciec.

- Mam prawo do własnego zdania - powiedziała, nie odrywając się od jedzenia. - To Ameryka, a ja jestem amerykańską obywatelką. Nie masz prawa kazać mi się zamknąć.

- Powiedziałem: zamknij się - powtórzył ojciec.

- Silny mężczyzna. Silny dzielny mężczyzna - zakpiła matka, znakomicie dostosowując swój wykrzyknik do rytmu wymiany zdań.

- Masz mi zrobić coś porządnego do jedzenia, Lila - rozkazał. - I to zaraz. Harowałem cały dzień i mam prawo się najęść.

- Tato, nie denerwuj się - powiedział Luke pojednawczym, ale też pełnym przykrości tonem.

Ojciec uderzył go w usta, Luke patrzył na niego przez chwilę zaskoczony, a potem pochylił głowę nad talerzem.

- A teraz daj mi mięsa - polecił ojciec. - Byle jakiego. Widzę, że wszystkich w tej rodzinie trzeba nauczyć szacunku dla ciężko pracującego człowieka.

- Luke, nic ci się nie stało? - spytała matka.

- Nie, mam, nic.

- Zostało trochę gulaszu i ryżu, odgrzeję ci, Henry - powiedziała matka.

- Pomogę ci - zaofiarowała się Savannah.

Zesłiznąłem się z krzesła.

- Ja także.

W jadalni pozostał z ojcem przy stole jedynie Luke.

Szukałem schronienia w kuchni, gdyż doświadczenie nauczyło mnie, że kiedy ojciec wybuchnie gniewem, należy schodzić mu z drogi.

- Możesz pokroić cebulę, Tom? - spytała matka.

- Oczywiście.

- Savannah, kochanie, ty podgrzej ryż, dobrze? Jest w rondlu z pokrywką w tyle lodówki.

- Mamo, tak mi przykro - powiedziała Savannah i otworzyła drzwi lodówki.

- Przykro? Nie, tobie nie może być przykro. Takie jest życie. Życie, na jakie sobie zasłużyłam.

Przebierała między puszkami w komórce, aż wreszcie wzięła konserwę dla psów. Nie zważając na nasz pełen niedowierzania wzrok, otworzyła puszkę i zaczęła podsmażać na maśle cebulę.

- Pokrój jeszcze jedną, Tom - poleciła, kiedy zapach cebuli zaczął się rozchodzić po kuchni. - I obierz kilka ząbków czosnku.

Kiedy cebula i czosnek zeszkliły się na patelni, matka wygarnęła łyżką zawartość puszki Alpo na patelnię i zaczęła wszystko mieszać. Mięso posoliła i popieprzyła, połała sosem worcestershire i tabasko, dodała przecier pomidorowy, posypała szczypiorkiem. Po chwili na patelni zaskwierczał ryż z poprzedniego dnia. Przełożyła wszystko na świeży talerz, udekorowała szalotkami i pietruszką, a następnie triumfalnie postawiła przed ojcem.

Joop ocknął się, z trudem zeskoczył na podłogę i podszedł do ojca.

- Widzisz, głupek wie, co dobre.

Ojciec wziął miseczkę, nałożył do niej odrobinę potrawy i umieścił na podłodze. Psisko szybko się z tym uwinęło i wróciło na krzesło, pomrukując z zadowolenia.

- Królewski smakosz - skomentowała Savannah, która wróciła do swojej potrawy.

Ojciec, którego autorytet został przywrócony, z namaszczeniem spróbował dania i raczył je pochwalić.

- Prawdziwe jedzenie, Lila. Proste, ale smaczne. Wcale się tego nie wstydę, że jestem prostym człowiekiem, wiem, co dobre, dobre dla mnie i dla was. Tym się można nasycić i dziękuję ci, że zechciałaś zadać sobie trochę trudu.

- Nie ma o czym mówić, kochanie. Zrobiłam to z przyjemnością - odpowiedziała kwaśno matka.

- Nie znoszę tych scen, bez których nie może się obejść u nas przy jedzeniu - powiedział Luke. - Kiedy mamy siadać do stołu, czuję się tak, jakbym za chwilę miał lądować na plażach Normandii.

- To jeden z uroków życia rodzinnego, Luke - powiedziała Savannah. - Powinieneś już do tego przywyknąć. Najpierw kilka groszków na wzmocnienie, a potem po buzi.

- Starczy już, moja panno - powiedziała ostrzegawczo matka.

- Na tym polega kształtowanie charakteru, Luke - wyjaśnił ojciec, prostodusznie nabierając widelec Alpo i mówiąc z pełnymi ustami. - Żałuję, że ojciec nie walił mnie po tyłku, kiedy coś spieprzyłem, za to kazał mi czytać po dziesięć stron z Biblii.

:- To dzięki Biblii wasz ojciec odniósł wszystkie te zawrotne sukcesy - zauważyła z goryczą matka.

- Przepraszam, Lila, że nie jestem kardiologiem albo bankierem w białej koszuli, ale chyba już najwyższa pora, abyś przestała się wstydzić łowienia krewetek.

- Wstydzę się już tego, że wcale nie jesteś najlepszy w tym, co robisz. Po rzece pływa z dziesięciu ludzi, połowa kolorowych, którzy łowią więcej krewetek od ciebie.

- Ale nie mają takich pomysłów na przyszłość jak ja. Jedyne, co ich obchodzi, to zarabianie pieniędzy.

- Nam udało się stracić więcej pieniędzy niż niektórym zarobić.

- To dlatego, Lila, że moje idee zawsze wyprzedzają swój czas. Sama musisz to przyznać. Mam więcej pomysłów niż przeciętny Joe. Potrzeba mi tylko trochę kapitału i błogosławieństwa od bogini szczęścia.

- Jesteś urodzonym nieudacznikiem i cały już przesiąkłeś zapachem krewetek.

- Łowią krewetki, żeby mieć na życie - powiedział zmęczonym głosem ojciec. - A zapach jest taki jak w całej okolicy.

- Gdybyś sobie natarł szyję czosnkiem, pachniałbyś jak panierowana krewetka - powiedziała matka.

- A ja lubię zapach świeżych krewetek - powiedział Luke.

- Dzięki, synu - rzekł ojciec.

- Tak? - spytała matka. - A jak byś się czuł, gdybyś musiał kłaść się na noc z dwustu dwudziestoma funtami krewetek?

- I właśnie o to mi chodzi - zachnął się Luke. - Cokolwiek powiedzieć, zaraz jest z tego kłótnia.

- Trudno sobie wyobrazić, że tato jest krewetką. Savannah spojrzała spod oka na ojca, który posepny kończył swój talerz Alpo.

- Dlaczego nie możemy rozmawiać, śmiać się, opowiadać, co się komu dzisiaj przydarzyło, jak robią rodziny w telewizji? - spytał Luke. - Ojcowie zawsze tam siadają do stołu w marynarkach i krawatach.

- Luke, wyobrażasz sobie, jak stawiam się podczas sztormu w garniturze i krawacie? A poza tym to nie prawdziwi ojcowie, ale firecyki z Hollywood.

- Ale zawsze przy jedzeniu są weseli - upierał się Luke.

- Także i ty byłbyś wesolutki, jakby śmiał kilka milioników upchniętych w starym sejfie. - Ojciec skończył jeść ze zwierzęcym beknięciem czystej satysfakcji. - Weszło gładko jak klucz w dziurkę. I zapamiętaj to sobie, Lila: gotujesz dla Amerykanina, a nie żabojada.

- Tobie wystarczy, żebym kamienie usmażyła w głębokim oleju, a połkniesz bez zmrużenia oka, Henry, Aleja chciałabym także nauczyć dzieci, że świat jest szerszy niż Colleton, a przy okazji także doskonalić samą siebie. Szukam takiego przepisu, który rzuci na kolana te panusie z Ligi Colleton głoszące przeciw przyjęciu mnie. Tak długo będę eksperymentować zjedzeniem, aż wreszcie znajdę coś takiego, co sprawi, że zrozumieją, jakim byłabym dla nich skarbem.

Ojciec popatrzył matce w oczy i wypowiedział słowa, które nigdy dotąd nie rozbrzmiały przy naszym stole:

- Kochanie, one nigdy cię nie wpuszczą do żadnej Ligi. Jeszcze tego nie rozumiałaś? Właśnie dlatego założyły Ligę Colleton, aby trzymać się z daleka od takich jak ty. Możesz przyrzadzić wszystkie najsmaczniejsze rzeczy z Francji i Włoch i możesz to zrobić dobrze jak jasna cholera, a i tak do niczego cię nie przyjmą. Lepiej, żebyś usłyszała to teraz ode mnie niż potem od nich. To są fakty, które trzeba widzieć.

- Mamo, nawet się nie męcz z wysyłaniem im przepisów - powiedziałem.  
- Proszę, mamo. Tata ma rację.

- Mamo - rzekła łagodnie Savannah. - Dlaczego tylko ułatwiasz całą sprawę tym wielkim panusiom z Ligi Colleton? Jedyne, co zechcą zrobić, to tylko urazić twoje uczucia.

- Ktoś może cię urazić tylko wtedy, gdy na to pozwolisz - odpowiedziała dumnie. - Wiem, że nie jestem gorsza od żadnej z tych dam, a w głębi duszy one też to wiedzą. Na swój własny sposób, bez afiszowania się, zrobię dla tego miasta nie mniej niż one. Ale nie od razu Rzym zbudowali, one miały bez porównania lepszy start, wykorzystam jednak wszystko, czym rozporządzam. Któregoś dnia znajdę się w Lidze, co do tego nie ma żadnych wątpliwości.

- Ale po co ci to, mamo? - spytała Savannah. - Ja bym się nie pchała tam, gdzie mnie nie chcą.

- Ale oni mnie chcą - powiedziała - tylko o tym nie wiedzą.

Ojciec powstał od stołu i powiedział:

- Masz takie szansę wejść do Ligi jak Chińczyk w piekle, Lila. I to nie z twojego powodu, tylko mojego.

- Tak, wiem o tym, Henry - rzekła i lekceważąc rzadki u niego moment szczerości, dodała: - Ciebie z pewnością nie nazwałabym skarbem.

Przez resztę lata skupiła się na miejscowych surowcach. Siła jej zapału była zdumiewająca i heroiczna. Potrafiła zrobić kurczęta na dziesięć różnych sposobów, a w każdym z nich wydawało się, że pod rękami matki powstaje nowy ptak. Kiedy ojciec utyskiwał, dojadł porcją Alpo z ryżem, ale nawet i to danie z czasem się uszlachetniło, Wyczyniała cuda z wieprzowiną i na zawsze zmieniła mój pogląd na mięso świńskie. Gdyby opublikowała swój przepis na barbecue, życie na Południu wyglądałoby inaczej. Tyle że barbecue nierozłącznie wiązało się z jej przeszłością i szybko wyeliminowała je z konkurencji jako zbyt proste i ordynarne. Stoczyliśmy rodzinną dyskusję nad tym, który przepis powinna wysłać paniom z Ligi Colleton. Ona sama była za musem krewetkowym, który dla mnie był najlepszą rzeczą, jaką kiedykolwiek włożyłem do ust. Savannah optowała za bouillabaisse, które matka przyrządzała ze wszystkich jadalnych stworów morskich, jakie znalazły się w dziennym połowie. Ojciec trwał lojalnie przy pieczonych kurczakach. Nigdy nasza rodzina nie zaznała bardziej szczęśliwego lata. Nawet kiedy zdechł Joop, w tym jego odejściu było coś słodkiego, płacz przyszedł nam z łatwością, a pogrzeb był piękny. Znaleźliśmy go martwego na krześle, pudło przyozdobiliśmy zdjęciami nas wszystkich i Joopa, od szczeniaka aż po ostatni okres jego życia. Był zawsze z nami i stanowił naszą lepszą część, tę, która potrafiła kochać bez oczekiwań na odpłatę i wzajemność. Pochowaliśmy go obok naszych martwo urodzonych braci i siostr, a wraz z nim zakopaliśmy dwie puszki Alpo, aby ułatwić mu podróż, a także, by każdego, kto naruszyłby spokój jego kości, poinformować, że Joop był psem, o którego troszczyła się cała kochająca go rodzina. Dzień po pogrzebie Joopa Luke niedaleko przystani złapał na obiad niedzielny dwunastofuntową makrelę. Matka nafaszerowała ją krewetkami, małżami i przegrzebkami, a potem zapiekła w białym winie, gęstej śmietanie i garści przypadkowo dobranych ziół. Miętko odchodziła od kręgosłupa, a wtedy z wnętrza buchał cudownie zharmonizowany aromat ogrodu, mleczarni i morza. Dwie godziny wcześniej ryba jeszcze żerowała w Colleton River. Luke znalazł w jej brzuchu całą krewetkę, którą musiała połknąć na chwilę przedtem, zanim złapała się na przynętę na wędce Luke'a. Matka dodała ją na szczęście do farszu. Podniosłem triumfalnie widelec.

- Mam. To z pewnością ta.



- Nie wiem - wzruszył ramionami ojciec. - Mnie wystarczy sama pieczona ryba.

- Niczego tak dobrego nie dostałbyś nawet w najlepszej restauracji - zawyrokował Luke.

- A ty skąd niby wiesz? - spytała kpiąco Savannah. - Nigdy nie byłeś w żadnej dobrej restauracji. Znasz tylko takie, gdzie podają zjełczały tłuszcz.

- Trochę za dużo wszystkiego - odezwała się matka, żując powoli. - Za ciężkie i za dużo. Dlatego zbyt mało w tym wytworności. Przeczytałam dzisiaj, że prostota to klucz do elegancji we wszystkim. Ale z drugiej strony myślę, że także z prostotą nie można przesadzić.

- Właśnie! - rozpromienił się ojciec. - Prostota! To znaczy, że jestem najbardziej eleganckim sukinsynem w okolicy.

- Nie - pokręciła głową matka. - To nie może tego znaczyć.

- Mamo, znalazłaś dzisiaj jeszcze jakiś dobry przepis? - spytałem.

- Na zupełną neapolitańską, do której dodaje się kawałki płucek wieprzowych, serc i krtani. Chyba jej jednak nie zrobię.

- To dobrze - mruknął ojciec, z ustami pełnymi makreli. - Wystarczy, że słyszę, a już chce mi się rzygać.

- Wstrętne - otrząsnęła się Savannah.

- Założę się, że to dobre - zaprotestowała matka. - Nieprzyjemne jest tylko wyobrażenie. Założę się, że pierwsza osoba, która spróbowała ślimaka, też czuła odrazę.

- A ja się założę, że wyrzygała - skwitował ojciec.

Na początku sierpnia ogłosiła triumfalnym głosem, że nareszcie znalazła perfekcyjny przepis. Rozmroziła osiem dzikich kaczek, które Luke zastrzelił jeszcze w zimie. Sos, który zrobiła z kostek i podrobów, był ciemny jak czekolada, zapach zaś był dziki i słoneczny, chociaż odrobinę za ostry. Posmak dziczyzny stłumiła odrobiną czerwonego wina i koniaku, a potem usiadła i przez godzinę przemyślała wszystko, co wiedziała o smaku dzikich kaczek. Duszyła je na małym ogniu z rzepą, cebulą, cierpkimi jabłkami oraz ciemnymi winogronami z ogrodu. Zmagiała się z tajemnicami wyważonych proporcji. Kiedy zasiedliśmy za stołem, wyczuwaliśmy jej niepokój. Nie była pewna winogron. Nie szukała porady w żadnej książce kucharskiej, żaden z egzemplarzy „Gourmet” nie mógł jej pomóc. Miała do dyspozycji tylko własną szpiarnię i zdana była na siebie.

Niepokoilem się o rzepę, chociaż matka uspokajała mnie, że mięso dzikiej kaczki jak żadne inne potrafi zachować swą tożsamość na przekór rzepie. Mało mnie to obchodziło, po prostu nie znosiłem rzepy i tyle. Tymczasem owoce stonowały gorycz rzepy, ona zaś zrównoważyła

nadmierną słodycz winogron. Mięso miało barwę dzikich róż i nawet ojciec zaprzestał swych wieczornych lamentów nad zaletami prostej smażeniny i w milczeniu się delektował. Był to własny twór matki, wspaniały i niepowtarzalny, a po skończeniu zgotowaliśmy jej owację na stojąco. Była to siódma owacja tego lata.

Mama krygowała się, przesyłała nam pocałunki, a jej oczy promieniały rzadką u niej przyjemnością. W niezwykłym przypływie czułości obeszła stół i pocałowała każde z nas po kolei, Nie ominęła nawet ojca i w rytm walca zaczęli się przesuwac do saloniku, a matka chichotała i nuciła melodię zapamiętaną z czasu ich romansu w Atlancie. W rękach ojca wydawała się zupełnie naturalna i rozluźniona, a ja po raz pierwszy zauważyłem, jaka ładna z nich para. Dla nas wszystkich było to lato ekstrawaganckiego, niemal elegijnego szczęścia. W kuchni matka rezydowała niczym natchniony mag, ojciec zaś po brzegi wypełniał ładownie kutra. W domu zapanowała na chwilę atmosfera, jakiej od domu się oczekuje, i tego poczucia zakotwiczenia szukałem potem przez całe życie. Lato słoneczne i pełne radości. Rodzice byli piękni, a ja po dniu spędzonym na łowieniu w morzu krewetek jadłem jak król. Po kolacji uśmiechała się do siebie, adresując kopertę. Drzwi wejściowe były otwarte i wiatr od rzeki przelatywał przez pokoje. Patrzyłem, jak matka liże znaczek i przyciska go do rogu koperty. Wtedy zobaczyłem, że i Savannah przypatruje się jej, ale z wyraźnym smutkiem. Siostra pochwyliła mój wzrok i przez chwilę trwaliśmy w przeczuciu przyszłości, owym momencie telepatii, które niekiedy przydarzają się bliźniakom. Czuliśmy, że matka sama wystawia się na cios, i nic na to nie mogliśmy poradzić.

Odpowiedź przyszła po tygodniu. O tym, że nadeszła, poinformował nas brak jakichkolwiek aromatów, kiedy zbliżaliśmy się do domu. Dom był pusty, kiedy po chwili wyszliśmy z Lukiem do ogródka, zastaliśmy tam Savannah pocieszającą matkę, która poszła tu, żeby wypłakać się w samotności, kiedy przeczytała list. Savannah wręczyła nam kartkę.

Droga Pani Wingo!

Cały komitet i ja osobiście jak najgoręcej dziękujemy pani za przekazanie nam „starej rodzinnej receptury” na Canard Sauvage de Casa de Wingo. Niestety, wszystkie jesteśmy zdania, że nasza książka kucharska musi przedstawić najlepsze potrawy regionalne i nie starczy w niej miejsca na egzotyczne propozycje naszych najwybitniejszych mistrzyń smaku. Raz jeszcze dziękujemy za pani zainteresowanie i czas nam poświęcony.

Z wyrazami uszanowania Isabel Newbury

PS Lila, musisz mi zdradzić, w jakiej książce znalazłaś ten przepis. Wydaje się wręcz niebiański.

LN.

Nie wytrzymałem i zawołałem,

- Odpisz jej, że przepisałaś go z Przewodnika po trujących grzybach Ameryki i że z chęcią ją poczęstujesz podczas najbliższej herbatki.

- Za mało - warknął z pasją Luke. - Tak zleję jej syna, że się zesra w gacie.

- Proszę, błagam - odezwała się matka przez łyż. - Nie chcę słyszeć żadnych wulgaryzmów, a Todd Newbury nie ma z tym nic wspólnego. Jestem pewna, że chcą mieć w tej książce tylko określone nazwiska i określone rodziny. Jestem zadowolona z samej możliwości przedstawienia propozycji. Nie będę się przecież przejmowała takimi drobiazgami. Jestem za dumna na to, aby zobaczyły, że mnie dotknęły. A może ktoś widzi coś śmiesznego w nazwie potrawy? Obawiałam się przez cały czas, że jest może za bardzo pretensjonalna.

- W ogóle jej nie rozumiem - powiedział Luke. - Myślałem, że zdecydowałaś się na kaczkę.

- Sądziłam, że po francusku będzie wyglądała bardziej elegancko - powiedziała mama i otarła łyż.

- To znakomita nazwa dla przepysznej potrawy - oznajmiła Savannah.

- Myślę, że je zachwyciła, skoro w ogóle dali jej szansę, prawda, kochanie? - powiedziała matka.

- Trudno by im było ją spróbować, gdyby się znalazła tam, gdzie bym ją najchętniej umieściła - oznajmiła siostra.

- Najchętniej włożyłaby ją im w tłuste dupska - radośnie skonkretyzował Luke.

- Może wiedzą, że mam wulgarne dzieci - powiedziała matka i wstała z ławki. - Może uznają, że skoro nie potrafię sprawować nad nimi kontroli, nie mogę też należeć do Ligi.

Luke podszedł, chwycił ją i wziął na ręce, delikatnie całując w oba policzki. W jego ramionach wydawała się manekinem w sklepie z zabawkami.

- Mamo - powiedział. - Bardzo mi przykro, że tak cię uraziły. Jeśli jeszcze raz to zrobią, wedrę się na któreś z ich spotkań i nakopię im po tyłkach, a potem każę tak długo jeść dzikie kaczki w rzepie i winogronach, aż same na zimę polecą na południe.

- To po prostu klub, Luke - powiedziała matka i otrzepała sukienkę, kiedy ostrożnie postawił ją na trawie. - Przy sięgam wam, że bardziej się tym przejęliście ode mnie. Próbuję tylko przesunąć całą rodzinę o kilka kroków, żebyście wy mieli odrobinę lżej. Płakałam tylko dlatego, że wydaje się, iż coś pomyliłam w nazwie potrawy, że coś jest nie w porządku, zobaczyłam, kiedy Isabel przepisała całą nazwę, jakby drwiła, jakby strasznie się z niej uśmieła. Casa to po francusku „dom”, prawda?

- Tak - odpowiedzieliśmy chórem, chociaż nikt z nas nie znał nawet słówka po francusku.

W nocy leżeliśmy zasłuchani w wiatr z rykiem nadlatujący z północy i fale walące w ścianę drzew wzdłuż rzeki. Poprzez te dźwięki słyszeliśmy płacz matki i szorstki głos ojca, który na próżno usiłował ją uspokoić. Po kolacji odkryła, że powinna była użyć słowa chez. Była w stanie znieść każde upokorzenie z wyjątkiem tego, które dowodziło zasadniczych zaniedbań w jej edukacji.

- Czy ktoś może mi wyjaśnić, dlaczego mama tak bardzo chce się dostać do tej Ligi? - spytałem.

- Nie lubi tego, kim jest - odparła Savannah.

- A skąd brała te wszystkie pomysły? Tego właśnie nie mogę zrozumieć - odezwał się Luke. - Skąd?

- Zbierała to tu, to tam - wyjaśniła Savannah.

- Do diabła, w przyszłym roku chce zostać przewodniczącą Garden Club. Może to ją chociaż trochę uszczęśliwi.

- Do Garden Club może należeć każdy, kto jest biały i potrafi zasadzić nasiona. Nie, mama musi mieć to, czego nie może dostać. Tylko takie rzeczy mają dla niej jakiegokolwiek znaczenie.

A potem przyszedł zły okres dla mojej rodziny, morderczy czas, gdy rzeka zdradziła nas i w ogóle wszystkich, którzy utrzymywali się z morza. Wszystko zaczęło się w styczniu, sześć miesięcy po kaczkach, nastąpiły takie chłody, jakich jeszcze nie znaliśmy. Po raz pierwszy w naszym życiu po zbudzeniu się zobaczyliśmy za oknami gruby na cztery cale śnieg, który pokrył wszystko, ciemna woda w jeziorze pośrodku wyspy zamarzała. Trzęsawiska obleczone były białymi granicami, a szukające pożywienia króliki i myszy polne stały się łatwym łupem dla jastrzębi. Niebo było nieprzyjemne i szare, a temperatura przez cały tydzień wahała się około 10°F. Rury zamarły, a potem popękały i w domu musieliśmy się obywać bez wody przez dwa tygodnie. Przewody elektryczne idące na wyspę zostały przerwane przez zlodowaciałe drzewo, pograżyliśmy się przeto w ciemności, którą rozpraszał miękki blask lamp naftowych. Mocno paliliśmy

w domu, a kiedy wracaliśmy z lasu z zebraniem drewnem, matka ustawiała buty na piecu, aby odtajały. W domu panował nastrój radości, a także zaskakującego, nielegalnego święta, szkołę zamknięto na pięć dni. W całym stanie nie było ani jednego odśniezacza, ani jednych sań w całym hrabstwie. Po raz pierwszy stoczyliśmy w ogrodzie walkę na śnieżki, tam też ulepiliśmy pierwszego bałwana.

Stary, nękany artretyzmem Murzyn, Ciem Robinson zamarzył niecałe trzy mile od naszego domu. Zanim śnieg zaczął topnieć, nadeszła burza śniegowa i poznaliśmy zdradliwość lodu. W nocy słyszeliśmy, jak drzewa pękają pod skrzącym się brzemieniem. Gałęzie trzaskały tak gwałtownie jak zdrowe kości. Nie wiedzieliśmy, że drzewa mogą umierać w bezlitosnych uściskach mrozu, nie wiedzieliśmy, że mogą umierać” głośno, informując o tym w ostrych, defiladujących raportach, które sprawiały, że cały las rozbrzmiewał widmową kanonadą uzbrojonej zimy. W Atlantyku temperatura wody zaczęła spadać poniżej 45°F i krewetki, z którymi ojciec był umówiony na wiosenne połowy zaczęły umierać. Zdychały milionami, ale wieści o ich hekatombie były nie potwierdzone do chwili, gdy w marcu poławiacze zaczęli powracać z pustymi sieciami. Krewetki nie wpłynęły do ujść i strumieni niezliczonymi, wrzącymi gromadami. Pojawiały się pojedynczo lub parami, a brzemiennie samice, które jajami zraszały bagniska, niosły na sobie straszliwą odpowiedzialność za podtrzymanie gatunku. Tego właśnie roku bank zajął siedemnaście kutrów i sprzedał je na aukcji. Po dwóch tygodniach nieustannych połowów od świtu do zmroku, podczas których z trudem prostowało się krzyże, łódka ojca mogła się pochwalić tylko czterdziestoma funtami. Morze było puste. Ryby i ptaki morskie zachowywały się dziwnie, przypląwy niemal nic ze sobą nie niosły. Po raz pierwszy w czasach współczesnych krewetki stały się rzadkim i cennym przysmakiem na stołach w Colleton.

W maju ojciec po raz pierwszy nie zapłacił raty za łódkę i następnego dnia skierował się na południe na wody Georgii. Ale i tutaj zdobycz była tak nędzna, że krewetek nie starczyło nawet na pokrycie kosztów paliwa. Płynął dalej na południe i rozmawiając z krewetkarzami, słyszał o bajecznych połowach na Florida Keys i w Zatoce. W Saint Augustin został złapany, kiedy ciągnął sieci w kanale rzeczny, który z powodu mrozów został zamknięty dla poławiaczy krewetek. Z jego strony było to ryzyko i akt desperacji, który kosztował go zarekwirowanie łodzi i grzywnę w wysokości pięciuset dolarów. Zatrudnił się jako mechanik w stacji obsługi przy Highway 17, musiał pracować pół roku, aby zapłacić karę i wrócić łódką na wody Karoliny. Zadzwoił do matki i powiedział, że to my

musimy się zatroszczyć o płacenie rat Luke, Savannah i ja zaczęliśmy wstawiać o piątej rano, żeby ustawiać na rzece saki na kraby. Wybieraliśmy z sieci kieszeńce, wrzucaliśmy je do beczki ustawionej na środku łódki, a potem wkładaliśmy do saków przynętę w postaci walamugili i innych marnych rybek. Zaczynaliśmy od dwudziestu pułapek, pod koniec lata mieliśmy ich już ponad pięćdziesiąt rozrzuconych na przestrzeni dwudziestu mil wzdłuż rzeki i przypluwów. Ponieważ byliśmy nowicjuszami na rzece, musieliśmy uszanować pierwszeństwo zawodowych łowców krabów i dlatego przyszło nam rozstawiać saki w kanałach odległych od Colleton. Uwijaliśmy się po całym hrabstwie, zostawiając po sobie ślad w postaci drucianych sieci. Przywiązaliśmy do liny białe pływaki i ciągnęliśmy saki z przynętą naprzeciw odchodzącej lub przychodzącej wody. Można nas było zobaczyć w najdalszych, najbardziej niedostępnych okolicach. Z początku pracowaliśmy wolno, wykonywaliśmy wiele nieporadnych, zbytecznych ruchów. Szybko jednak wciągaliśmy się do pracy, nauczyliśmy jej rytmu i za sprawą początkowych błędów stawiliśmy się ekspertami. W pierwszym miesiącu potrzeba nam było dziesięciu minut, żeby opróżnić sak z krabów i umieścić w nim przynętę. W drugim miesiącu cała ta operacja zabierała nam nie więcej niż dwie minuty. Cały problem polegał na doskonaleniu powtarzanych czynności. Uczyliśmy się ekonomii i płynności ruchów, dowiadaliśmy się, że jak wszystko inne, także i łowienie krabów miało swe naturalne piękno, własny rytm elegancji. W pierwszym miesiącu wyszliśmy na zero, gdyż cały zarobek poszedł na nowe pułapki, w drugim - zapłaciliśmy ratę za łódkę ojca. Starzy poławiacze badawczo przyglądali się naszym postępom, kiedy przynosiliśmy połów do zważenia. Zrazu byliśmy obiektem kpin i dowcipów, a w sierpniu zostaliśmy przyjęci do ich bractwa na równych prawach. Otaczali kołem Savannah i z aprobatą spoglądali na jej szorstkie, pokryte stwardnieniami dłonie. Udzielali porad. Ujawniali sekrety swego rzemiosła. Potem, kiedy przyswoiliśmy sobie rzeczy najważniejsze, nagrodą było milczenie z ich strony. Urodziliśmy się nad rzeką i oczekiwali, że będziemy sprawdzali się w tym, co z rzeką się wiązało.

Niezależnie jednak od tego, jak bardzo uwijaliśmy się na rzece, matki nie odstępowała trwoga. Brakło pieniędzy na zapłacenie wszystkich rachunków. W sierpniu wyłączono na wyspie elektryczność. W pastelowym świetle lampy naftowej widzieliśmy wydłużoną, strapioną twarz matki. We wrześniu nie było na opłacenie ubezpieczenia kutra. Telefon ogłuchł i oniemiał. W szkole śmiano się z moich spodni, o wiele dla mnie za krótkich. Matka pytała o pracę w każdym sklepie w Colleton, ale nigdzie nie było nic



wolnego. Każdego wieczoru szedłem nad potok i łowiłem coś na kolację. Polowaliśmy na jelenie poza sezonem, zabijaliśmy nawet małe sarenki, żeby tylko mieć mięso. Do rozpacz doprowadzało nas milczące, lecz wyraźne przerażenie matki. Nikomu, nawet dziadkom nie wolno było powiedzieć o naszych kłopotach. Żar niewygasającej dumy nie pozwalał jej poprosić o pomoc sąsiadów. Wycofanie się z życia miasteczka miało w sobie coś zupełnie pierwotnego, prymitywnego. Nie mogła zapłacić w sklepie spożywczym czy z artykułami żelaznymi, więc po prostu przestała się pokazywać w Colleton. Pogrążyła się w sobie, a okresy milczenia stawały się coraz dłuższe i bardziej kłopotliwe. Zajmowała się ogrodem z kompulsywną wściewością. W domu zamieszkał nastrój tymczasowości, czekaliśmy, aż odmieni się los. W rzece na powrót pokazały się krewetki, a sieci wynurzały się ciężkie od białych skorupiaków, ojciec jednak ciągle odkładał pieniądze na wykupienie łódki z suchego doku na Florydzie.

W przeddzień Dziękczynienia na grobli po przeciwnej stronie wysepki usłyszeliśmy samochód, który dziesięć minut później zahamował na naszym podwórzu. Cztery nienagannie ubrane kobiety zbliżyły się do wejścia. Otworzyłem drzwi, za progiem stały cztery reprezentantki Ligi Colleton: Bettina Potts, Martha Randall, Thelma Wright oraz Isabel Newbury. Ta ostatnia spytała, czy mogą porozmawiać z matką.

Matka podeszła do drzwi, a kiedy zobaczyła przybyłe, oczy jej nagle zmatowiały. Wytarła ręce w fartuch i poprosiła, żeby weszły.

- Nie mamy wiele czasu, Lila - powiedziała ze słodyczą w głosie Isabel. - Przed zmrokiem musimy rozwiązać jeszcze trzy indyki.

- Nie rozumiem - wycedziła matka, podczas gdy cztery niewiasty sadowiły się niewygodnie w saloniku, obrzucając wzrokiem pomieszczenie.

- Słyszałaś z pewnością, lila, że jedną z funkcji Ligi jest wręczanie indyków na Dziękczynienie tym rodzinom w naszym hrabstwie, którym gorzej się powiodło. Między innymi chciałyśmy zadbać o to, aby tobie i twojej rodzinie nie zabrakło tej świątecznej potrawy - oznajmiła Bettina Potts.

- Musiała zająć jakaś pomyłka, Bettino. My sobie świetnie damy radę.

- Lila, czy nie można by włączyć światła? Trudno rozmawiać tak po ciemku.

- Bardzo dziękuję paniom za łaskę - ciągnęła matka, z trudem panując nad sobą - ale jest w hrabstwie wiele rodzin, którym jest ona o wiele bardziej potrzebna.

- Nie, Lila, nie traktuj tego jako żadnej łaski - odezwała się Thelma Wright. - Uznaj to za akt dobrej woli ze strony przyjaciółek, które martwią



się o ciebie, - Proszę, nie róbcie mi tego - powiedziała matka. - Bardzo proszę.

- Lila, pomyśl o dzieciach, o tym, jakie to będzie dla nich święto - przemówiła pani Potts. „- Nie możesz skupiać się tylko na sobie.

Wtedy usłyszałem drżący z morderczej wściekłości głos Luke'a, który wypadł z kuchni, krzycząc:

- Wynocha z domu mojej matki!

- Cóż za źle wychowany młody człowiek - powiedziała Martha Randall w chwili, kiedy wraz z Savannah wychodziliśmy z sypialni, w której schroniliśmy się w pierwszym odruchu.

- W tym świetle nie widzę twarzy twoich dzieci, Lila. Zapal, proszę, lampę - powtórzyła Isabel Newbury.

- Syn poprosił, żebyście sobie poszły, Isabel.

- Wychodzimy natychmiast, jak tylko sprezentujemy ci indyka - obiecała Bettina Potts.

- To zostawcie go w ogródku, wychodząc. Potem któryś z chłopców go weźmie - odparła matka, powoli odzyskując zimną krew.

- Wcale nie ułatwiasz nam tej sprawy, Lila - stwierdziła pani Randall.

- Z pewnością dla mnie jest jeszcze trudniejsza.

Kobiety zebrały się do wyjścia.

Położyła na trawie zamrożonego indyka, a w chwilę później usłyszeliśmy ruszający samochód.

Matka ze łzami w oczach podeszła do stojaka w saloniku i wyjęła z niego strzelbę, z szuflady zacerpnęła garść naboji, załadowała broń, a pozostałe pociski wsunęła do kieszeni. Stała za progiem i zapatrzyła się na indyka, którego w akcie wielkoduszności i upokorzenia otrzymała od Ligi Colleton.

- Czekają na ten moment Siedziały i cierpliwie czekały - powiedziała i przyłożyła kolbę do ramienia. Pierwszy wystrzał cisnął indyka aż na koniec trawnika, drugi rozerwał go na setki kawałków. - Chcę, dzieci, żebyście to dobrze zapamiętały. Wszystkie są takie same. Oni wszyscy są tacy sami.

Matka opuściła broń i wróciła do domu.

Nie pamiętam, co jedliśmy na obiad w to Święto Dziękczynienia.

Pod koniec grudnia, kiedy ojciec wrócił z Florydy, trzęsawiska koło naszej przystani wyrzuciły na powierzchnię karettę. Był już zdechły, gdy znaleźliśmy go wraz z Lukiem, ojciec kazał, żebyśmy go usunęli, zanim zaśmierdnie całe podwórze. Rano przy śniadaniu Savannah odczytała nam z rubryki towarzyskiej, że doroczne wakacje zimowe Reese, Isabel i Todd Newbury spędzą na Barbados. Razem z Lukiem umieściliśmy zółwia w „Boston Whaler”, a zanim zasnęliśmy, Luke przedstawił nam swój plan.

Obudziliśmy się o trzeciej i przez okno sypialni wymknęliśmy się z domu. Bezgłośnie przekradliśmy się na przystań, dopiero ćwierć mili od domu Luke włączył silnik. Wy płynęliśmy na główny kanał i Luke skierował łódkę ku światłom Colleton. Dodał gazu i na fali odpływu przemknęliśmy przez jasne, falujące morze. Śmialiśmy się, przepływając pod mostem, ale potem ucichliśmy, zbliżając się do przystani na końcu Street of Tides. Luke wyłączył silnik i na samej fali przepłynęliśmy ostatnich sto stóp dzielących nas od brzegu, gdzie wyskoczyłem i przywiązałem łódkę do pachołka. Wydobyliśmy żółwia i często zatrzymując się dla odpoczynku, przekradliśmy się ciemnymi ulicami do domu Newburys, potem pomaszzerowaliśmy pod zieloną kopułą dębów stojących wzdłuż najbardziej okazałego rzędu rezydencji między Savannah i Charleston. Gdzieś w głębi miasta czekały psy. Przeciąłem sobie rękę na jednej paku, która przywarła do skorupy żółwia. Powietrze było zimne, w kilku oknach migotały choinki.

Zanieśliśmy żółwia na tył posiadłości Newburys, a Luke poszedł sprawdzić okna. Wspiął się po kolumnie i na pierwszym piętrze znalazł otwarte okno do łazienki. Po chwili zobaczyliśmy go, jak macha do nas z otwartych tylnych drzwi. Porwaliśmy żółwia i tak szybko, jak tylko mogliśmy, wnieśliśmy po schodach wprost do sypialni, gdzie Luke starannie odgiął kołdrę na wielkim łóżku o czterech kolumnach. Ułożyliśmy gada starannie z łbem na poduszce, a potem dokładnie przykryliśmy. Savannah włączyła pełne ogrzewanie, Luke znalazł jeden z czepków Isabel Newbury i przyodział weń wielką żółwią głowę. W pokoju śmierdziało jak w ładowni kutra, żółw zaczynał się już rozkładać. Zdążyliśmy do łóżek, zanim matka zaczęła nas wzywać na śniadanie.

Newbury nie mogli mieszkać w swym domu przez pół roku po powrocie z Barbadosu, nigdy już zresztą tam nie pojechali. W ogromnym upale dokonał się straszliwy rozkład żółwia. Łóżko i materace zostały spalone, przez miesiąc żadna służąca nie mogła wejść do pomieszczenia, nie dostając torsji. Reese Newbury wyznaczył nagrodę w wysokości tysiąca dolarów dla tego, kto poda informacje pozwalające zidentyfikować osobę sprawcy. W „Colleton Gazette” ukazał się artykuł redakcyjny, który napiętnował obrzydliwy czyn. Nie widziałem chyba matki bardziej szczęśliwej niż wtedy, kiedy czytała ten artykuł.

Na następne urodziny Savannah kupiła matce egzemplarz książki kucharskiej Ligi Colleton, ale był to prezent od nas trojga. Zobaczyłem w jej oczach wyraz przykrości i rozczarowania, kiedy trzymała w ręce książkę. Prezent sprawił ją w zakłopotanie, nie wiedziała, czy nie nabijamy się z niej.

- Otwórz, mamó, na ostatniej stronie - powiedziała Savannah. - Luke, Tom i ja wpisaliśmy ci tam przepis.

Na ostatniej stronie była wypisana receptura Canard Sauvage ChezWingo, na pierwszej znalazł się przepis naszego pomysłu:

Weź karetkę, możliwie jak najbardziej dojrzałą. W ciemną noc przewieź żółwia przez rzekę, kiedy rodzice będą spać. Uważaj, żeby nikt cię nie zobaczył. Znajdź otwarte okno. Otwórz tylne drzwi. Umieść żółwia w łóżku i włącz pełne ogrzewanie. Podpiekaj żółwia, aż dojdzie, najlepiej około dwóch tygodni. Podawaj z pieczonymi bobkami i mocnym czerwonym winem. Złóż mamie życzenia urodzinowe. Powiedz, że ją kochasz. Pamiętaj o indyku.

Całujemy i kochamy Savannah, Luke i Tom

Zawsze będę zdania, że był to pierwszy prawdziwy wiersz mojej siostry. Matka najpierw rzuciła się na nas z wyzwiskami, krzyczała, że chciała nas wychować na uczciwych, praworzędnych obywateli, a nie na włamywaczy. Zagroziła, że zgłosi się do szeryfa po odbiór tysiąca dolarów, uzalała się, że zhańbiliśmy rodzinę, a ją uczyniliśmy pośmiewiskiem całego Colleton. Nagle urwała, raz jeszcze przeczytała przepis, a kiedy zaczęła chichotać jak uczennica, nie mogła już się powstrzymać. Potem całą naszą trójkę porwała w gwałtowny uścisk i tuląc z rzadką u niej wylewnością, szeptała, a była w tym wściekłość i uniesienie:

- Wspaniałe dzieciaki! Lila Wingo może być niczym, ale jej dzieci są wspaniałe.

## ROZDZIAŁ 12

Znalazłszy się w martwym punkcie dojrzewania, Bernard Woodruff uczynił futbol przyjemnością dla trenera. Był jednym z tych nieufnych, zrażających do siebie innych chłopaków, którzy muszą się tylko odrobinę otworzyć, aby zdobyć podziw rówieśników. Gorąco pragnął być sportowcem i niezależnie od tego, ile od niego wymagałem, on chciał jeszcze więcej. Część treningu stanowiła twarda nauka, w jaki sposób przypodobać się trenerom i zdobywać ich uznanie. Trenerzy, mówiłem mu, to prości osobnicy, którzy chcą, żeby ich zawodnicy zachowywali się na boisku jak dzikie bestie, a w klasie - jak dobrze ułożeni dżentelmeni. Na boisku trenerzy cenią sobie postawę brawurowej odwagi, poza nim - cnotę uprzejmości i ogłady. Chcą, abyś bez żadnych względów natarł na człowieka z piłką, potem jednak pomógł znieść go z boiska i napisał bezbłędny gramatycznie list z życzeniami do szpitala. - Jeśli nie jesteś wielkim sportowcem, mówiłem Bernardowi, udawaj, że nim jesteś. Wielcy sportowcy nie muszą być aktorami, ale większość z nas musi, tłumaczyłem Bernardowi podczas naszych pierwszych spotkań i pokazywałem, jak powinien się nosić i myśleć.

Wyłożyłem mu podstawowe zasady gry, a potem wolno i stopniowo uczyłem go wszystkiego, co wiedziałem o futbolu. Pierwszego dnia zaczęliśmy od postawy trypunktowej i przez godzinę ćwiczyliśmy różne kontynuacje. Pokazałem mu, jak ciskać piłkę, jak odchyłać ramię, ile należy się cofnąć, aby chronić kieszeń, jak zwracać się w kierunku chwytającego przy podaniu, jak chronić piłkę, kiedy złamana została ochrona podania. Rozpoczął się długi proces nauki Bernarda, jak grać na każdej pozycji ofensywnej i defensywnej. Siostra nadal nie chciała mnie widzieć i czasu miałem pod dostatkiem. Dobrze się czułem, znowu trenując, i z radością stwierdzałem, że Bernard ma dobry start, potrafi ładnie podać i potrzebuje trenera, tak jak ja potrzebowałem drużyny.

Uczyłem go, jak podawać, gdy ma się przed sobą szybkich obrońców, i jak omijać szarżującego bocznego obrońcę. Ćwiczyliśmy wszystko powoli i metodycznie, powtarzając ruchy do chwili, gdy stawały się instynktowne, a nie wyuczone.

Spotykaliśmy się codziennie o ósmej, zawsze czekał już, gdy nadbiegałem od strony Village. Kończyliśmy serią czterdziestojardowych sprintów. Pierwszego dnia wygrałem sześć na dziesięć. Jeszcze w piątek tego samego tygodnia Bernard zwyciężył w siedmiu. Po treningu kupowałem mu colę i kazałem iść szybko pod prysznic, zanim zabierze się

do lekcji skrzypiec. Przyzwyczajając go do posłuszeństwa wobec surowej, nieubłaganej dyscypliny. Tak bardzo pragnął być sportowcem, że ku swemu radosnemu zdziwieniu stwierdził, że to lubi. Pod koniec pierwszego tygodnia zaczął myśleć o sobie jako futboliście. Przemieniałem go w kogoś, kogo obecności w sobie nawet nie podejrzewał, on zaś w zamian pozwalał mi się znowu poczuć trenerem. Ciągle był zbyt gadatliwy i zadawał zbyt wiele pytań. Był zaskoczony długością nauki samych podstaw gry, nie zniechęcał się jednak i coraz bardziej pogłębiała się jego miłość do sportu. Potrafiłem rozpaść w nim ogień, którego będą mu zazdrościli jego towarzysze na boisku. Już teraz spokojnie mogłem przepowiadać, że są chłopcy z Phillips Exeter, którzy teraz spali spokojnie w Newport albo w Westchester, a na jesieni z wielką przykrością będą widzieli efekty tego, iż Bernard Woodruff całe lato spędził w Central Parku na nauce gry. Przez dziesięć dni ciężko pracowaliśmy nad formą, następnie przyszedł czas, by porozmawiać z jego matką o kupnie stroju.

Ileokroć teraz wchodziłem do gabinetu Susan Lowenstein, za każdym razem zastanawiałem się, które ze swych cech przekazała synowi. Bernard przejął po niej długie nogi, pełne wargi, wyraziste oczy, cerę gładką niczym owoc. Gdyby nie ciągle nachmurzenie, można by go nazwać niezwykle przystojnym chłopcem. Każdego dnia zaczynaliśmy od tego, iż musiał się do mnie uśmiechnąć. Zachowywał się tak, jak gdyby chodziło o bardzo trudne ćwiczenie gimnastyczne, był to jedyny fragment treningu, którego nienawidził.

Zaczynał się czwarty tydzień mego pobytu w Nowym Jorku, a Sallie ani nie pisała, ani nie dzwoniła. Planowałem, że wezmę się do odmalowania mieszkania Savannah, zapisałem jeden dziennik i zacząłem drugi. Każdego tygodnia pisałem do Savannah w Bellevue i załączałem pocztę, która nadeszła. Ranek zaczynał się od ćwiczeń i treningu z Bernardem, wczesnym popołudniem udawałem się do gabinetu jego matki, gdzie kontynuowałem opowieść, która zapisane na taśmie okrzyki siostry łączyła z wydarzeniami z jej dzieciństwa. Czytałem wspaniałe dzieła z biblioteczki siostry, liczącej sobie trzy tysiące książek. Zaczynałem zaprowadzać porządek w moim poharatanym życiu. Po raz pierwszy w tym roku miałem sen o nauczaniu. Byłem w klasie i prowadziłem lekcję, której tematem był Tołstoj, ja zaś grupie złożonej z tych wszystkich uczniów, którzy lubili mnie jako nauczyciela, tłumaczyłem, że Tołstoj był wielki z tej przyczyny, że miał pasję. Dlaczego, zastanawiałem się, z największym entuzjazmem mówię o książkach, które najbardziej kocham? We śnie było to proste. Te właśnie książki przydawały mi godności, zmieniały mnie. Najwięksi pisarze

towarzyszili mi i swymi własnymi głosami mówili mi wszystko, co należało wiedzieć o świecie. Kiedy zbudziłem się, nie miałem żadnej klasy, której mógłbym przekazać swą fascynację nową książką. Potrzebowałem uczniów, aby spełniać siebie. Znowu zasiadłem do pisania ofert skierowanych do wszystkich szkół w Charleston. Jako nauczyciel byłbym szczęśliwym człowiekiem - na razie miałem poczucie niższości.

Kiedy skończyłem opowiadać o nieudanych zabiegach matki, aby dostać się do Ligi Colleton, Susan Lowenstein spojrzała na zegarek.

- Na dzisiaj już chyba starczy, Tom - powiedziała, a po chwili przerwy dorzuciła: - A wiesz, co mnie najbardziej zaskoczyło w tej historii? Że twoja rodzina prenumerowała „Gourmet”.

- Musisz pamiętać, że babka odbyła trzyletnią podróż po świecie, podczas której nabrała dziwnych zwyczajów. Dla mnie jeszcze dziwniejsze było to, iż wykupiła Savannah prenumeratę „The New Yorkera”. Kto by przypuścił, że Savannah spędzi znaczną część swego dorosłego życia w jednym z najbardziej sławnych nowojorskich oddziałów psychiatrycznych.

- Pisziesz listy do Savannah.

- Racja, doktor Lowenstein - odrzekłem, zły na jej karzący ton. - Widzi pani, to moja siostra, a w naszej rodzinie istnieje tradycja pisania listów, gdy chcemy komuś powiedzieć, że go kochamy i dobrze mu życzymy.

- Listy źle na nią wpływają. Wczoraj otrzymała jeden od matki i trzeba jej było podawać środki uspokajające.

- To zrozumiałe - powiedziałem. - Na czytelnika listu od mojej matki spływa poczucie winy. Natomiast moje listy mogłyby być wzorem układności. Mam długoletnią praktykę, jak nie denerwować świrów, nawet jeśli są ze mną spokrewnieni.

- Savannah nie jest świrem, Tom. To bardzo udęczonego kobieta.

- Chciałem sobie zażartować, doktor Lowenstein.

- To nie był zabawny żart - Zgodzę się z tym, że nie był może najprzedniejszy, ale, na litość boską, trudno rozbawić kogoś, komu amputowano poczucie humoru.

- Mało rzeczy mnie bawi i nic na to nie poradzę.

- Wprost przeciwnie, możesz coś poradzić. Ponieważ tak się stało, że spotykamy się codziennie, mogłabyś skorzystać z okazji i popracować nad swoim charakterem.

- A pan, panie Tomie Wingo z Karoliny Południowej, może mi w tym pomóc? - spytała, a jej głos wprost ociekał ironią.

- Proszę zwrócić uwagę, że ignoruję złośliwe aluzje do mojego rodzinnego stanu i trzymam się zasadniczego tematu. Otóż widzi pani,

Lowenstein, jestem bardzo zabawnym mężczyzną. Od czasu do czasu opowiadam dowcip albo wyskakuję z jakimś olśniewającym powiedzeniem, na które mogłaby pani zareagować czymś tak prostym jak śmiech. To nie musi zaraz być rehot Poza tą jedną wadą wydaje mi się pani istotą wręcz doskonałą.

- Bernard opowiadał mi, że każdego dnia każesz mu się uśmiechać - powiedziała i sama się uśmiechnęła.

- Skąd to rozbawienie? - spytałem.

- Ponieważ bardzo się na to uskarża, że jak idiota musi wyszczerzyć zęby dwadzieścia pięć razy, zanim pozwolisz mu wziąć się do ćwiczeń.

- Staje się bardzo przystojny, kiedy się uśmiecha. Z posepną miną wygląda jak notoryczny morderca, - Czy chcesz, żebym i ja uśmiechała się dwadzieścia pięć razy przed rozpoczęciem każdej z naszych sesji.

- Z uśmiechem na twarzy wygląda pani wystrzałow, pani doktor.

- A bez niego?

- Jest pani olśniewająca. Wolałbym jednak, żebyście oboje, pani i Bernard, uśmiechali się trochę więcej. Nawiasem mówiąc, Susan, czy mogłabyś mnie zaprosić do siebie na kolację któregoś dnia, kiedy nie będzie Herberta?

- Dlaczego pod jego nieobecność? - spytała zakłopotana.

- Ponieważ Herbert nie wie o treningach syna i zapewne nie chcesz, aby się dowiedział.

- Jutro wieczór ma koncert w Bostonie. Pasuje ci?

- Przygotuję wspaniałe danie. Będzie to prawdziwie królewska uczta.

- Czy mogę cię o coś spytać, Tom?

- W związku z potrawą?

- Nie, w związku z synem. Czy ma w ogóle jakieś uzdolnienia piłkarskie?

- Tak - odrzekłem. - Ku memu zdziwieniu Bernard wcale nie jest taki zły.

- Dlaczego ku twemu zdziwieniu?

- Bo nie wychował się w domu Misia Bryanta, prawda?

- A kto to taki Miś Bryant?

- Czy pani żartuje, doktor Lowenstein? Nabiera mnie pani, prawda? - spytałem zaskoczony, ale zaraz się zreflektowałem. - Przepraszam, w moim otoczeniu niewiedza, kim był Miś Bryant, podobna byłaby do niewiedzy twego męża, kto to taki Yehudi Menuhin. Bryant to trener piłkarski. [Paul William Bryant (1913-1983) - najslawniejszy amerykański trener futbolowy.]

- A co to są linie zagrywki? - spytała.



- Skąd takie pytanie, Susan?
- Ponieważ Bernard uważa mnie za ostatnią idiotkę, kiedy nie mogę się połapać w piłkarskiej terminologii. Ostatnio chce rozmawiać tylko o takich dziwactwach, jak rozszerzanie pola gry, o obrońcach wysuniętych przed piłkę, podaniach pod osłoną, grze na zapinkę. Zupełnie, jak gdyby wrócił z całkiem obcego kraju.
- Którego narzecze nieźle pani opanowała, pani doktor.
- Czy to konieczne, żeby zrzucił wagę, Tom?
- Tak. To część treningowej dyscypliny, Susan.
- Co sądzisz o Bernardzie, Tom? Chcę szczerzej odpowiedzi. Jej głos był surowy i natarczywy.
- Jak szczerzej?
- Tak szczerzej, na jaką możesz sobie pozwolić bez wprawiania mnie w gniew - odrzekła i myślałam, że się przy tym uśmiechnie, ale nie zrobiła tego.
- Fajny chłopak, Susan, - W takim razie więcej szczerości. Dobrze wiesz, że mogę znieść trochę więcej.
- Jest nieszczęśliwy, Susan. Wydaje się bardzo nieszczęśliwy z powodów, których nie znam. W pewien sposób porusza mnie, częściowo może dlatego, że to także mój stan ducha, a częściowo z tej przyczyny, że dla Bernarda widzę lekarstwo, które dla mnie jest niedostępne., - Opowiadała mi o pierwszym dniu, a ja myślałam, że cię rozszarpie. Dwa razy doprowadziłeś go do płaczu.
- Zachowywał się obraźliwie wobec mnie. Jak miałem trenować chłopaka, który nie przestrzega elementarnych norm grzeczności. Zażądałem, żeby zachowywał się przyzwoicie. Gwarantuję, że to nie powoduje trwałych szkód.
- Przez trzy lata podlegał terapii, Tom - szepnęła.
- Która nie bardzo podziałała, pani doktor - stwierdziłem. - Coś jest nie w porządku. Wystarczy spojrzeć, a natychmiast się widzi, że to chłopak, któremu straszliwie zależy na aprobacie. Przez lata nikt go nie pochwalił. Czasami odbiera mu to oddech.
- Wiem - powiedziała. - Dlatego myślałam, że dobrze mu robi, kiedy znajdzie się w szkole z internatem, bo może nawiąże jakieś przyjaźnie. Czy uwierzysz, że on nigdy nie spędził nocy poza domem, u jakiegoś kolegi? Był trudnym dzieckiem od pierwszej chwili. Nigdy nie był taki przymilny i słodki jak dzieciaki, które widywałam w parku. Jest w nim takie miejsce, do którego nigdy nie udało mi się dotrzeć, jakaś straszliwa samotnia.
- A czy to pochodzi od ciebie czy od Herberta? - spytałem.

- Ode mnie.

- Futbol to gra, w którą nie sposób grać samotnie. Być może dlatego tak pociąga Bernarda. Wiem, że nie bardzo się wam podobają jego pasje futbolowe, ale kiedy daje im upust, wyzwala się w nim jakieś nowe piękno. A na dodatek to jego własna decyzja, podjęta bez rodziców. Nie kłamię, kiedy mówię, że wydaje mi się straszliwie nieszczęśliwym dzieciakiem, ale jest uradowany jak niedźwiedź w barci, gdy ma serię ciężkich ćwiczeń albo trenujemy dalekie przerzuty.

- Tom - powiedziała widocznie stropiona. - Przyznam ci się, że nigdy w życiu nie widziałam meczu futbolowego.

- To cholernie dużo pani straciła, doktor Lowenstein.

- Tak czy owak w najbliższej przyszłości także nie zamierzam obejrzeć żadnego.

- A może się założymy. Razem z Herbertem pojedziecie, żeby zobaczyć Bernarda w reprezentacji Phillips Exeter. Jęknęła głucho i spytała:

- To jeszcze przed rozwodem czy już po?

Sięgnąłem po torebkę, która stała na półce z książkami za jej biurkiem, i ustawiłem na środku pokoju. Zmusiłem Susan do powstania, umieściłem ją po jednej stronie torebki, sam zająłem pozycję po drugiej stronie.

- OK, Susan – powiedziałem, wskazując na torebkę i przyjmując pozycję trójpunktową. - To jest piłka. Ty jesteś drużyną broniącą, ja atakującą. Próbuję przejąć piłkę i umieścić za linią punktową, która znajduje się za tobą. Ty usiłujesz mnie powstrzymać. Zanim moja drużyna nie dotknie piłki, twoja musi się w całości znajdować po tej stronie, a moja po tej.

- Tom, to straszliwie nudne - powiedziała ze śmiechem.

- Lowenstein, ani słowa więcej, kiedy mówi trener, albo będziesz biegać karne rundy wokół stawu. Linia prostopadła do boków boiska, a przechodząca przez punkt, w którym w danej chwili spoczywa nieruchomo piłka, nazywa się linią zagrywki. Rozumiesz?

- Ani w ząb.

- Lowenstein, nieznamość terminu „linia zagrywki” jest przejawem postawy anty amerykańskiej.

- Może twoja wiedza trenerska jest już nieco przebrzmiała.

- Niewykluczone - zgodziłem się - ale jest jeszcze parę rzeczy, które wiem. Zwróć uwagę na wzrok Bernarda jutro wieczorem, po tym, jak przeżyje wielką niespodziankę.

- Jaką?

- To wielki dzień dla każdego sportowca. Jutro wieczorem rozdram kostiumy chłopakom, którzy wejdą do drużyny. Bernard dostał się do

reprezentacji. Czy może chcesz, Susan, otrzymać książkę o podstawach futbolu?

- Nie, dziękuję - powiedziała i zrobiła krok nad torebką, kiedy się prostowałem, aby lekko pogłodzić mnie po ramieniu.

- Spalony - mruknąłem i poczułem, jak odzywa się we mnie pragnienie, podobne niemal jak u zagubionego dzikiego zwierza, który budzi się z długiego i męczącego snu zimowego.

RS

## ROZDZIAŁ 13

Moje życie zaczęło się naprawdę dopiero wtedy, kiedy znalazłem w sobie siły, aby wybaczyć ojcu, że moje dzieciństwo uczynił marszem przez trwogę. Sprzeniewierzenie nie jest przestępstwem trudnym do wybaczenia, chyba że dobrem sprzeniewierzonym jest dzieciństwo. Niczego nie ukrywając, powiem wam, jaki to był straszliwy, destrukcyjny ojciec, a przecież jedną z niewyjaśnionych tajemnic mojego życia będzie moment, w którym poczuję głębokie współczucie dla tego człowieka, a także miłość nerwową i pogmatwaną. Pięści były okrętami flagowymi jego władzy i potęgi, ale oczy były oczyma mojego ojca i kryło się w nich coś, co zawsze mnie kochało, nawet jeśli nie potrafiły tego wyrazić dłonie. Nie miał żadnego wrodzonego talentu, który pozwalałby mu rozwiązać problem, jak właściwie kochać rodzinę, nie rozwinął w sobie daru ojcowskiej czułości, jeśli w ogóle taki otrzymał. Jego pieśni miłosne uznawaliśmy za hymny bojowe, kroki pojednawcze traktowaliśmy jak krótkie i niepewne okresy zawieszenia broni w wojnie na wyniszczenie. Brakło mu jakiegokolwiek czułości i delikatności, zaminował przed nimi wszystkie drogi dojazdowe do serca. Dopiero wtedy, kiedy świat powalił go na kolana, mogłem pogłaskać go po twarzy bez obawy, że skatuje mnie do krwi. W wieku lat osiemnastu znakomicie znałem wszystkie sekrety państwa policyjnego i dopiero trzeba było, abym opuścił dom, by skończył się stan oblężenia.

Kiedy urodziła się moja pierwsza córka, Jennifer, Savannah przyleciała z Nowego Jorku, aby pomóc Sallie, która opuszczała właśnie szpital. Wznieśliśmy koniakiem toast za zdrowie Sallie, a potem Savannah spytała mnie głosem przepełnionym bezbrzeżnym smutkiem:

- Tom, czy ty kochasz tatę?

Potrzeba mi było kilku chwil, bym zdobył się na odpowiedź, która brzmiała:

- Tak. Tak, kocham tego dupka. A ty, Savannah?

Także i ona potrzebowała czasu, by rzec:

- Tak, Tom. To rzecz najdziwniejsza z dziwnych. Także i ja go kocham i nie mam najmniejszego pojęcia, dlaczego.

- Może to jakiś bliźniaczy defekt mózgu? - zasugerowałem.

- Może tylko świadomość, że nie mógł nic poradzić na to, kim był. Kochając go, z kolei my jesteśmy tym, kim jesteśmy, i także nic na to nie możemy poradzić.

- A ja myślę, że to defekt mózgu - obstawałem przy swoim.

Kiedy Henry Wingo, wielki, rumiany, tryskający energią mężczyzna wkraczał do jakiegoś pomieszczenia, wydawało się, że całe je wypełnia. Uważał, że wszystko zawdzięcza tylko sobie i południowej ziemi, której był solą. Brakowało mu tych niewypowiedzianych, przejrzystych toni, do których docierać potrafi introspekcja. Lekkomysłny, w świat wjeżdżał na pełnym gazie, ożywiany wybujałymi pasjami, rozkołysany w wichurach, które ciągnęły jego śladem. Bardziej był siłą przyrody niż ojcem, a ilekroć zbliżał się do domu mego dzieciństwa, tylekroć na skali Beauforta pojawiały się ostrzeżenia o huraganie.

Ponieważ jednak nie było żadnej skali, która odmierzałaby moją sekretną do niego nienawiść, więc nauczyłem się strategii przemilczeń i uników. Od matki pobierałem lekcje manewrów okrążających i posiadałem zabójcze talenty snajpera, czujnymi, bezlitosnymi oczyma skrzywdzonego dziecka podglądając ojca z ukrycia. Patrzyłem na niego w siatce teleskopowego celownika, który mierzył w jego serce. Wszystko, co wiem o ludzkiej miłości, zaczerpnąłem głównie od rodziców, u których oznaczała ona grabież i wyniszczenie. Moje dzieciństwo to chaos, krzywda i małe ostrzeżenia przed katastrofą.

Każda porażka stawała się dla ojca kolejnym bodźcem do działania, co siostra nazwała „dotykem Sadima”. Nie wiem, kiedy dokładnie ukuła to powiedzenie, ale musiało to być już w szkole średniej, kiedy odkryła, że bluźnierstwo pozwalało klarowniej wyrażać opinie i poglądy. Kiedy na jesieni kończył się okres krewetkowy, ojciec uwagę swą przeniósł na inne, bardziej twórcze sposoby zarabiania na chleb dla rodziny. W jego umyśle kipiało od niewykonalnych projektów, jak szybko i łatwo zarobić. Plany, szkice, zarysy płynęły z niego niewyczerpanym strumieniem i wszystkim nam obiecywał, że zanim skończymy szkoły, będziemy milionerami. Całe swe życie oparł na założeniu, że jego błyskotliwe, niekonwencjonalne idee doprowadzą nas do niewyobrażalnych bogactw i zaszczytów. Do amerykańskiej przedsiębiorczości wniósł też dar bardzo rzadko występujący u innych - niczego się nie uczył na błędach. Każda klęska, a poniósł ich kilkanaście, umacniała go tylko w przekonaniu, że jego moment jest już bliski i czeladnictwo w surowym świecie interesów dobiega wreszcie kresu. Nieustannie powtarzał nam, że jedyna rzecz, której mu brakuje, to szczęście.

Kiedy jednak ojciec stawał za sterem łódki, świt kładł swe oleiste farby na wodę, a kołowroty stękały pod ciężarem sieci, wtedy stawał się rzeczywistym panem świata. Czas spędzony na rzece pozostawił swe ślady i dlatego ojciec zawsze będzie wyglądał dziesięć lat starzej niż w rzeczywistości. Każdego roku jego poorana wichrami twarz będzie odrobinę

bardziej obwisać, a słońce karolińskie będzie pogłębiać worki pod oczami. Skórę miał twardą, jakby nie wygarbowaną, i można było przypuścić, że o policzek dałoby się skrzesać zapalkę. Ręce były szorstkie, pokryte kilkoma warstwami zrogowaceń barwy welinu. Był ciężko pracującym, szanowanym rybakiem, ale talenty te nie miały w sobie nic z amfibii - nie podążały za nim na ląd. Bardzo wczesnie ojciec obsesyjnie wręcz zapragnął uciec od rzeki. Połów krewetek był dla niego niezmiennie zajęciem „tymczasowym”. Żadne z mych rodziców nie było w stanie uznać, że krewetki to znakomity sposób na życie. Trzymali się z dala od wspólnoty rybackiej i odcinali się od wszystkich naturalnych związków koleżeńskich. Krewetkarze i ich żony byli, oczywiście, zbyt prostacy dla specjalnie kultywowanych i wysubtelnianych gustów matki. Rodzice nie mieli żadnych bliskich przyjaciół. Całe życie czekali na odmianę losu, co miało się dokonać jak cudowny przypływ, który pewnego dnia zaleje trzęsawiska i uświęci je, namaszczając olejkami wspaniałego przeznaczenia. Jednym z podstawowych artykułów wiary Henry’ego Wingo było to, iż jest genialnym biznesmenem, i nigdy czyjeś przeświadczenie na własny temat nie było bardziej mylne i nie skazało jego i jego rodziny na tak długotrwałe i bezsensowne cierpienie.

Z dala od rzeki ojciec mógł mieć znakomite pomysły i realizować je z zabójczymi konsekwencjami, przy czym wydawało się, że jego własny w tym udział jest znikomy: Każdy mógł przyznać, że niektóre z jego idei powinny były się spełnić - obmyślił i skonstruował maszyny do dekapitacji krewetek, czyszczenia krabów, patroszenia ryb, każda z nich jakoś tam funkcjonowała. Nie były to kompletne porażki, ale też nie gigantyczne sukcesy, po prostu trochę śmiesznie wyglądających maszyn, które stłoczyły się w kącie warsztaciku na tyłach domu.

To jednak na rzece, kiedy w porannej szarości prowadził łódkę wąskimi kanałami, jakby w nie kończącej się grze językowej, ojciec snuł najbajeczniejsze i najbardziej poronione pomysły. Siedział wtedy za kołem sterowym, wsłuchiwał się w - mruczenie diesla i nie oznakowanymi kanałami kierował się ku głównemu nurtowi rzeki. Mokrada była wielkim, niewidocznym świadkiem, on zaś toczył długie monologi w ciemnej alkwie sterówki w tej słodkiej godzinie porannej, gdy słońce wstające nad Atlantykiem nie zbudziło jeszcze ptaków. Na przekór zwyczajom poławiaczy krewetek, często zabierał na łódkę naszą trójkę, raz, aby wyrwać nas spod kontroli matki, dwa - aby zagłuszyć samotność rybaka.

W letnie przedświt, w gwieździstej ciemności, ojciec delikatnie nas budził, my zaś ubieraliśmy się bezgłośnie i opuszczaliśmy dom, zostawiając

wyraźne ślady na zroszonym podwórku. Siedząc z tyłu pickupa, wysłuchiwałem wiadomości porannych, podczas gdy ojciec zapiaszczoną drogą jechał do drewnianego mostku po przeciwnej stronie wyspy. Wdychaliśmy bagienne powietrze, podczas gdy spiker podawał prognozy, ostrzeżenia dla małych jednostek od Gapę Hatteras po Saint Augustine, określał kierunki wiatrów i ich szybkości i wszystkim poławiaczom krewetek w promieniu stu mil podawał wszystkie liczby, które były im potrzebne. Każdego ranka, kiedy ojciec jechał pięć mil do przystani, ja czułem ów cudowny przypływ sił, który jest nagrodą dla wcześniej zrywających się z łóżka. Kiedy pojawiał się pickup, Lester Whitehead, pomocnik, który pracował dla ojca od piętnastu lat, był już w trakcie zwalania do ładowni pięciuset funtów lodu. Sieci zwieszały się z podniesionych wysięgników niczym ciemne komże. Idąc długim przejściem od parkingu do przystani, wdychaliśmy zapach paliwa, kawy parzonej w kambuzach, a nad wszystkim wisiał aromat owoców morza. Mijaliśmy wielkie łuski srebrzące się w wątłym świetle w miejscu, gdzie na nasz połów dzienny oczekiwać będą czarnoskóre kobiety, które pozbawiały krewetki łebków ruchami szybszymi niż mgnienie oka. Ten ostry zapach ryb i krewetek sprawiał, że czułem się, jakbym zmierzał do łódki pogrążony w wodzie, porami skóry wchłaniając nieskalane słone pływy. My, dzieci krewetkarza, byliśmy tylko jeszcze jedną formą morskiego życia tej krainy.

Ojciec wydawał komendę, słyszeliśmy, jak z nagłą ożywa silnik, zwalnialiśmy cumy i wskakiwali na pokład, podczas gdy on wypływał na przestwór wodny upstrzony wysepkami. Po prawej przesuwało się śpiące Colleton z rezydencjami i sklepami wzdłuż Street of Tides, ojciec zaś dawał znak operatorowi mostu, aby go podniósł przed „Miss Lilą” majestatycznie wypływającą w morze. Łódka ojca to była pięćdziesięcioośmiostopowa piękność o niewiarygodnie małym zanurzeniu jak na tak dużą jednostkę. Każde z nas w bardzo wczesnym wieku musiało nauczyć się podstawowych danych dotyczących łódki, zanim został nam przyznany status członków załogi. Łowienie krewetek łączy się z niezłomną czcią dla numerologii i kiedy właściciele rozmawiają o swoich kutrach, przerzucają się liczbami, które charakteryzują możliwości ich jednostek. Główny silnik łódki ojca, 6-DAMR-844 Buda, wyprodukowany został przez Allis-Chalmers Company w Bostonie. Miał moc 188 KM i 2100 obr./min, a przekładnia redukcyjna była 3,88:1 Capitol. Na mosiężnym wałku obracała się czteroskrzydłowa śruba napędowa Federal 44 na 36 cali. Jabsco 1 i 1/4 cala to główna pompa zęzowa. W sterowni znajdowało się 42 - calowe koło Marty'ego, kompas Ritchie, panel gaźnika i sprzęgła Marmaca, i automatyczny pilot Metal



Marinę. Był głębokościomierz Bendix DR16 oraz radio Pearce Simpson Atlantic 70. Na pokładzie „Miss Lila” nosła podnośnik Stroudsburg 515 i 1/2, kable Wickwire, olinowanie Wall Manila. Kotwica ważyła 65 funtów i była marki Danforth, buczek to 32 - woltowy Spartan. W języku krewetkarzy występowały też inne nazwy markowe, które nosły ze sobą ważne informacje: suwaki Oil City Brass, baterie Surette Marinę, łożyska ślizgowe Dodge, panewki Tirnken i wiele, wiele innych. Jak wszystkie inne zawody, także poławianie krewetek wymagało własnego żargonu, który ułatwiał sprawną komunikację. Dla mnie był tak kojący jak matczyne mleko i stanowił tło muzyczne dzieciństwa spędzonego na wodzie.

Wszystko to znaczy, że właściwie użytkowana, łódź ojca mogła nałapać mnóstwo krewetek.

W świetle gwiazd gromadziliśmy się wokół niego i wpływaliśmy w tysięczne lśniące poranki. Kiedy byliśmy jeszcze mali, brał jedno z nas na kolana i pozwalał kręcić kołem, lekkim naciskiem na nie korygując nasze błędy. - Myślę, kochanie, że powinniśmy odrobinę odbić na prawą burtę - szeptał do ucha Savannah.

- Powinieneś sobie może przypomnieć, Tom, o tej mieliźnie przy Gander's Point. To tam. Uważaj na nią.

Ale najczęściej mówił do siebie: o polityce, marzeniach, rozczarowaniach. Ponieważ byliśmy dziećmi cichymi i nieufnymi wobec człowieka, którym się stawał, wracając na ląd, wiele dowiadywaliśmy się o ojcu, wsłuchując się w jego głos, kiedy przemawiał do ciemności, rzeki, światła innych kutrów wyruszających na spotkanie z wrzącymi ławicami krewetek. Rankiem jego głos był niestrudzony, kiedy powoli zmierzaliśmy do barykady wysp. Podczas sezonu każdy jego dzień był duplikatem dnia poprzedniego, nazajutrz zawsze oznaczało powtórzenie dzisiejszego mozołu, wczoraj niezmiennie było próbą kostiumową do tysiąca dni następnych, upartym powtarzaniem nabytych umiejętności, w którym się one doskonaliły.

- Słuchajcie, dzieciaki - powiedział któregoś z tych długich poranków. - Mówi wasz kapitan. Kapitan i pierwszy oficer „Miss Lili”, pięćdziesięcioosmioletni kutra krewetkowego, któremu stan Karolina Południowa zezwolił na połowy na wodach od Grand Strand do Daufuskie Island. Dzisiaj płyniemy na wschód od latarni morskiej na Gatch's Island, sieci postawimy na głębokości piętnastu stóp o pół mili na prawo od wraku „Windward Mary”. Wczoraj złowiliśmy dwieście funtów białych krewetek w przedziale trzydzieści - pięćdziesiąt. Savannah, co mam na myśli, mówiąc „w przedziale trzydzieści - pięćdziesiąt”?

- To znaczy, że w każdym funcie było od trzydziestu do pięćdziesięciu krewetek, tato.

- Świetnie, córeczko. Wiatr będzie wiał od północy z prędkością ośmiu mil na godzinę, małe jednostki mogą więc bezpiecznie pływać na południe aż do Brunswick w stanie Georgia, na północ do Wilmington w stanie Delaware. Kurs giełdowy spadł wczoraj o pięć punktów przy średnich obrotach, albowiem inwestorzy lękają się tego, czego zwykli się lękać inwestorzy. Reese Newbury nabył wczoraj od Glovisa Bishopa dwieście akrów ziemi uprawnej po pięćset dolarów za akr, co Melrose Island czyni wartą około pół miliona dolarów. Sukinsyn w zeszłym roku za całą wyspę ofiarował dwadzieścia pięć patoli, na co odpowiedziałem mu, że to obelga. I miałem rację. Myśli, że Henry Wingo nie zna ceny nieruchomości w tym hrabstwie. Mam najlepszy kawałek gruntu w całym stanie i wiem o tym. Podobnie wasza matka.

O tyle jestem w przedzie W stosunku do Newbury'ego i tych innych dupków, że to właściwie kryminał. Możecie mi wierzyć, dzieciaki, mam świetne plany dla naszej wysepki. Wielkie, dalekosiężne plany, które zacznę realizować, jak tylko dostanę malutki zastrzyk kapitału na początek. Nic na razie nie mówcie matce, ale koło domu zamierzam założyć hodowlę szynszyli. W całym tym hrabstwie różni durnie bogacą się na szynszylach, a ja z pewnością nie należę do tych, którzy puszczą taką okazję koło nosa. Moglibyście na zmianę karmić ten drobiazg, podczas kiedy ja dobiję interesu w Nowym Jorku z wielkimi futrzarzami, a potem, zaśmiewając się, pójde do banku. Co o tym myślicie, sprytnie, nie? Sprytnie jak cholera. Myślałem też o norkach, ale szynszyle dają większy zysk. Odrobiłem pracę domową. Tak, tak, kochani, kto nie odrobi pracy domowej, nie ma co startować do interesów z wielkimi rybami. Wasza matka śmieje się ze mnie, a ja sam przyznam, że zrobiłem kilka błędów, ale to były pomyłki w wyliczeniu czasu, bo same pomysły były pierwsza klasa. Trzymajcie się mnie, dzieciaki, a nie zginiecie. Jestem o tyle lepszy od przeciętnego Joe, że to pachnie kryminałem. Mnie z głowy pomysły po prostu Wyciekają, kotłuje się we mnie od planów. Czasami budzę się w środku nocy i zaczynam je zapisywać. Ej, lubicie cyrk?

- Nigdy nie byliśmy w cyrku - powiedział Luke.

- No to będzie teraz pierwszy na liście. Koniecznie. Następnym razem, jak będzie jakaś sprawa koło Charlestonu czy Savannah, ładujemy was wszystkich do pickupa i wykupujemy miejsca w pierwszym rzędzie. Widzieliście tylko tych magików, co to się kręcą po jarmarkach, ale teraz załatwimy coś prawdziwego. Ja najbardziej lubię cyrk Barnuma i Bailey a.

To prawdziwy McCoy. Ale nikomu ani pary z gęby. Jak znajdę gdzieś kurek złotonoską, sam chcę jej podbierać jajka. Żle mi się robi na myśl o tych wszystkich dupkach, którzy dzięki moim pomysłom stają się milionerami. Uważaj, Luke. Przed nami boja. Za nią pójdź przez rzekę pod kątem czterdziestu pięciu stopni prosto na Gwiazdę

\* Real McCoy - potoczne określenie na coś autentycznego.

Polarną. Dobrze, synu. Masz to we krwi. Tam z przodu jest rafa, na której stary Winn rozpruł się parę lat temu. Kiedyś z tego strumyka wyciągnąłem na przyływie dwieście funtów, ale na ogół nie idzie tu dobrze. Nigdy nie zrozumieję, dlaczego jedna odnoga każdego roku daje więcej krewetek niż inna, ale tak to już jest. Krewetki są śmieszne. Zupełnie jak ludzie mają swoje naturalne upodobania.

I tak płynęło jego ciągnące się przez całe życie solilokwium, luźno zorganizowany monolog o wysokiej oktawie nie kierowany do nikogo konkretnego. Perory te tak były płynne i swobodne, że wyobrażałem sobie, iż rozwija je także wtedy, gdy na łódce nie ma nikogo bo przecież podczas tych rozważań i dysput nie większą zwracał uwagę na nas, milczących świadków, niż na gwiazdy w pasie Oriona. Równie dobrze mogły naszą rolę odgrywać krajobrazy czy martwe przedmioty. Z kambuza pod pokładem zaczynały dochodzić do nas zapachy śniadania, współzawodnicząc z przemową ojca. Lester Whitehead przygotowywał posiłek, a zapach kawy, bekonu i pieczywa ogarniał łódkę niewidzialnymi, wonnymi ramionami. Kiedy zbliżaliśmy się do głównej cieśniny, nakrywaliśmy do śniadania, wkraczając może w sny tych, którzy spali przy otwartych oknach wychodzących na rzekę. Silnik mrucał pod nami, muzyka przedzierała się przez wibrujące drewno łódki, rzeka przed świtem miała barwę pantery i wyśpiewywała pod adresem miasta miękkie kantyczki nurtu, który niósł nas chwalebnie ku rafom szczerzącym się za rzędem najpiękniejszych na świecie wysp morskich. Tutaj ojciec czuł się spokojnie i był najbardziej odprężony. Tylko na rzece mogliśmy go bezpiecznie odwiedzać. Na łódce nigdy nie uderzył żadnego z nas. Tutaj wspólnie pracowaliśmy, tworzyliśmy sieciowe bractwo, traktował więc nas z szacunkiem, z jakim odnosił się do każdego, kto życie swe związał z wodą.

Jednakże nic, co ojciec mógł uzyskać jako poławiacz krewetek, nie mogło zadowolić mojej matki. W jej oczach ojciec był słaby, nieporadny, robiący bez potrzeby wiele wrzawy wokół siebie. Bardzo zabiegał o to, aby stać się takim człowiekiem, jakim jego zdaniem ona chciałaby go widzieć. Gorąco pożądał bezwarunkowego poważania ze strony matki, Były to wysiłki patetyczne i skazane na niepowodzenie, ale nie mógł ich nie

podejmować. Był to związek pełen niezgody i tarć. Sukcesy, które odniósł jako rybak, pozwalały mu porywać się na samobójcze przedsięwzięcia w innych dziedzinach. Urzędnicy bankowi za jego plecami śmiali się w kułak. Stał się przedmiotem żartów całego miasta. Dzieci słyszały je w szkole, żona na ulicach Colleton.

Na rzece jednak Henry Wingo znajdował się w stanie harmonijnej zgody z planetą, a krewetki, zdawać by się mogło, z przyjemnością pchały się do jego sieci. Każdego sezonu łowił całe tony krewetek, a wynik każdej wyprawy starannie rejestrował. Zaglądając do książki pokładowej, mógł powiedzieć, gdzie złowił każdy funt krewetek, jak wysoki był wtedy przypływ i jaka panowała pogoda. Nazywał to „bananem ze skórką”. Rzeka stanowiła mroczny tekst, którego ojciec rad uczył się na pamięć. Można mu było zaufać, gdy pod kilem mieliśmy wodę, a w sieciach kotłowało się od krewetek, ale to na tych właśnie wodach układał plany, które oznaczały rozpaczliwe chwianie się na linie prowadzącej do krainy rychłego bogactwa, ale prowadzącej nad otchłanią katastrofy.

- Myślę o tym, żeby w następnym roku założyć hodowlę arbużów - oznajmił pewnego wieczoru przy kolacji.

- Nie, Henry, błagam - zaprotestowała matka. - Jeśli weźmiesz się za arbuzy, na Colleton spadnie grad, powódź albo szarańcza. Proszę, Henry, żadnych roślin. Wymyśl sobie jakiś inny sposób na przepuszczenie naszych wszystkich pieniędzy. Jesteś jedyną znaną mi osobą, która nie może uprawiać nawet ogórków.

- Masz rację, Lila, jak zwykle masz całkowitą rację. Lepszy ze mnie technokrata niż ojciec. O wiele lepiej czuję się tam, gdzie chodzi o zdrowy biznes czy kwestie ekonomiczne, niż w rolnictwie. Dobrze o tym wiem, ale kiedy widzę, jak ci wszyscy mądrale od dziesięciu bołści robią forszę na pomidorach, to myślę, że może i ja powinienem wskoczyć do wagonu.

- Henry, nie wskakuj już do żadnych wagonów. Lepiej zainwestuj pieniądze w jakieś sprawdzone akcje, jak South Carolina Electric czy Gas.

- Lila, dzisiaj kupiłem w Charleston kamerę filmową Bell and Howell.

- Na miłość boską, po co, Henry?

- Przed filmem jest przyszłość - odparł ojciec z roziskrzonymi oczyma.

Kiedy matka zaczęła głośno protestować, ojciec spokojnie wyciągnął z futerału nową kamerę, włączył ją do kontaktu, włączył reflektor i całą kwestię uwiecznił dla potomności. Przez następne lata niestrudzenie korzystał z kamery. Filmował śluby, chrzciny i powroty marnotrawnych synów czy ojców. W miejscowej gazecie reklamował się pod obiecującym znakiem firmowym: „Profesjonalne zdjęcia filmowe Wingo”. W biznesie

filmowym zmarnował znacznie mniej pieniędzy niż w jakimkolwiek innym. Kiedy patrzył w wizjer kamery, był człowiekiem prawdziwie szczęśliwym i rozbawionym.

Ojcu nigdy nie zbrakło śmiałości pomysłów i Savannah pierwsza zauważyła, iż ta cecha była jego największą wadą.

Kontynuował więc swą znakomitą passę na rzece, a efekty konsekwentnie umniejszał namiętnymi i czczymi poczynaniami w sferze wolnej przedsiębiorczości. O wielu z jego nieudanych planów dowiedzieliśmy się dopiero w wieku dorosłym. Był cichym współnikiem pola golfowego na Myrtle Beach, które działało tylko jeden rok. Zainwestował w budkę z taco, którą prowadził rodowity Meksykanin kaleczący angielski i nie potrafiący przyrządzać taco. Rodzice stacali straszliwe boje o pieniądze i sposób ich wydatkowania. Matka sztydziła z ojca, krzyczała na niego, karciała, prosiła, błagała - wszystko bez najmniejszego skutku. Obca mu była jej skłonność do ograniczeń i umiarkowania. Kiedy dyskutowali, zaczynała zawsze od przytoczenia pewnej ostrzegawczej historyjki, a kiedy ta nie skutkowała, z krzykiem roztaczała obraz apokalipsy, która nastąpi, jeśli nadal bez umiaru będzie szastał ich pieniędzmi. Jeśli w ogóle bywały w naszym domu jakieś momenty spokoju, to szybko niszczyły je kataklizmy ich kłótni. Ponieważ te były niezwykle częste, nie zauważyliśmy, w którym dokładnie momencie podejrzliwość matki i jej niewygasająca uraza zmieniły się w śmiertelną nienawiść do ojca. Z pewnością jednak ataki jej bezsilnego gniewu pojawiły się bardzo wcześnie, a po długim okresie metamorfozy matka sama wkroczyła na ogniste pola, aby wziąć odwet. Henry Wingo był zdania, że kobiety nie powinny zabierać głosu w interesach. Były dwa typy południowców: jedni słuchali swych żon, drudzy - nie słuchali, ojcu należał się czarny pas, jeśli chodzi o umiejętność głuchnięcia na wszelkie argumenty jego połowicy.

Kiedy wzrastasz w domu człowieka, który zarówno cię kocha, jak i gnębi, i który nie dostrzega paradoksalności swego zachowania, w imię samoobrony stajesz się czujnym obserwatorem jego zwyczajów, prognozą jego pogody emocjonalnej. Bardzo szybko ułożyłem sobie rejestr podstawowych wad ojca i zorientowałem się, że jest i postacią z komedii buffo, i tępym gwałtownikiem. Gdyby Henry Wingo nie był okrutny, dzieci chyba by go uwielbiały, a ten podziw potrafiłby się utrzymywać na przekór wszystkim zmiennym kolejom fortuny. Nader jednak wcześnie ulokował się w moim życiu jako złośliwy i nierzetelny władca w domu, gdzie dla żony i dzieci najrozsądniej było bać się go. Jego zachowanie było nieobliczalne i

niekonsekwentne. Tam, gdzie chodziło o wychowanie dzieci i poskromienie obdarzonej silną wolą żony, stosował taktykę spalonej ziemi.

W jednym z pierwszych wierszy Savannah nazwała go „władzką burz, panem wiatrów”, a kiedy przybyła do Nowego Jorku, z uśmiechem powtarzała, że ją i braci zrodził Blitzkrieg. Unikał czułości, lękał się delikatności, jak gdyby bał się, że podważą one wszystkie święte dla niego zasady.

Brakuje mu tylko i wyłącznie rozumu, mówiła matka przez łyż.

„Dotyk Sadima”, szepnęła mi Savannah do ucha za zamkniętymi drzwiami, kiedy pewnego Bożego Narodzenia matka odkryła, że ojciec ma trzy tysiące pudełek z nie sprzedanymi kartkami świątecznymi, które wzięł w komis. Chodząc od domu do domu, sprzedał w Charleston raptem siedemdziesiąt pięć pudełek.

- Dokładne przeciwieństwo Midasa - ciągnęła Savannah. - Czegokolwiek tata dotknie, zamienia się w gówno.

- Nawet nie powiedział mamie, że kupił też tysiące kart na Wielkanoc - powiedział Luke. - Znalazłem je w stodole.

- Wyrzuca w błoto ogromne sumy - rzekła Savannah.

- A widzieliście te kartki gwiazdkowe? - spytał ze swojego łóżka Luke.

- Nie.

- Jezus, Maria, Józef, pasterze, królowie, anioły - wszyscy są kolorowi.

- Cooo?

- To, co słyszysz. Tata sprzedał je tylko rodzinom czarnuchów. Słyszał, że na Północy idą jak gorące buleczki, więc sądził, że tutaj wskoczy na karuzelę.

- Biedny tata - mruknąłem. - Taka głupota.

- Jak tylko sobie przypomnisz, że jego krew krąży w twoich żyłach, natychmiast nabierasz do siebie zaufania - powiedziała Savannah. - Co za wstyd!

- Czy kiedykolwiek zarobił na czymś?

- Na krewetkach - powiedział Luke. - Nigdy nie było lepszego niż on. Co za szkoda, że żadnemu z nich to nie wystarcza.

- Gdyby mu wystarczało, świat nie zobaczyłby dotyku Sadima.

- Możesz sobie żartować z niego, ile chcesz - zauważył Luke - ale zawsze musisz pamiętać, że kiedy zarzuca sieci, staje się Midasem.

Zastanawiam się, czy małżeństwo rodziców nie przetrwałoby mocą samego przyzwyczajenia, gdyby ojciec nie kupił stacji benzynowej i nie udał się do wędrownego cyrku, który po raz pierwszy w dziejach Colleton zatrzymał się w pobliżu. Sądzę, że ich współzycie, chociaż może nie



ekstacyczne, byłoby jednak znośne, gdyby ojciec nauczył się panować nad impulsami, które popychały go do takich przesadnych i bezużytecznych gestów. Na dodatek najbardziej zawadiackie ze swych decyzji podejmował, nie dając matce tej chociażby satysfakcji, iż spytał ją o zdanie. Ojciec nigdy nie utracił wiary w zdolność do ostatecznej realizacji marzeń, gdyż w jego przekonaniu musi w końcu się udać któraś z jego niezwykłych improwizacji. Interesy były dla niego chorobą i azylem, formą hazardu i samounicestwienia. Mam wrażenie, że gdyby ktoś ofiarował mu milion dolarów, znalazłby niezliczone sposoby na to, aby przepuścić wszystko do ostatniego pensa. Wada ta, chociaż nie jedyna - miał ich co najmniej tuzin - była najbardziej dramatyczna i to ona utrzymywała rodzinę w sytuacji uciążliwej tymczasowości. Miał wrodzoną, nieuleczalną, niewzruszoną wiarę w siebie. Aby chronić siebie i nas, matka z wielkim sprytem operowała pieniędzmi i niejawnie sterowała ojcem. Ową chwiejną budowlę swej miłości podminowali trwającymi przez całe życie potyczkami i wojnami podjazdowymi. Stali się mistrzami we wzajemnym niszczeniu swoich najlepszych cech. W jakimś stopniu ich małżeństwo ucieleśniało pewną klasyczną kwintesencję amerykańskości. Na początku była miłość, ale skończyło się wszystko okropną, nie dającą się zażegnać wrogością. W miłości poczęli dzieci, jako wrogowie uczynili ich dzieciństwo kalekim i wystawionym na udręki.

Jak zwykle przy tego typu oświadczeniach, ojciec poczekał do kolacji z wiadomością, iż nabył zdezelowaną stację Esso w pobliżu Colleton Bridge. Zakładał milcząco, że w czasie posiłku matki nie opuszczą dobre manieri.

- Mam wielką nowinę - powiedział ojciec, ale w jego głosie pobrzmiwała rzadka u niego niepewność. - Szczególnie dla chłopaków.

- W związku z czym dziewczęta nie mogą usiedzieć z niecierpliwości - mruknęła Savannah i spokojnie dalej jadła zupę.

- Co to takiego, tato? - spytał Luke. - Czyżbyś kupił mi nową rękawicę baseballową?

- Nie, stara jest jeszcze zupełnie dobra. Kiedy ja grałem, byliśmy twardsi, nie piszczeliśmy każdego roku o nową rękawicę.

- Ale Luke'owi nie wchodzi już na rękę - wtrąciłem się. - Mnie zresztą też. Ma ją jeszcze od czasów Ligi Maluchów.

- Dzisiaj sprawiłem nam nową okazję do zarabiania pieniędzy - powiedział, unikając wzroku matki. - Zawsze byłem zdania, że kluczem do sukcesu jest różnorodność poczynań. A po tym fatalnym sezonie krewetkowym pomyślałem, że musimy zdobyć jakąś inną kurę złotonioskę, żeby mieć się na czym oprzeć w trudnych momentach na rzece.



- Co to jest tym razem, Henry? - spytała matka i widać było, że z trudem panuje nad sobą. - Co nam tym razem zrobiłeś, to po pierwsze, a po drugie, czy ty kiedykolwiek pójdziesz po rozum do głowy? Kiedy wreszcie uznasz, że już dość? Nie mamy nawet pięciu centów na koncie, więc jak mogłeś w ogóle myśleć o kupnie czegokolwiek?

- Banki są po to, aby udzielały kredytu, kochanie. Tym się zajmują.

- Ale pożyczają pieniądze tylko tym, którzy je mają. Tym się naprawdę zajmują. Co dałeś pod zastaw, Henry? Znowu swoją łódź?

- Nie - odparł. - Jeszcze nie skończyłem jej spłacać. Musiałem wykazać się pewną pomysłowością, żeby dobić targu. Nazywają to kreatywnym finansowaniem.

- Kto tak nazywa i co tak nazywa?

- Ludzie interesu. Oni.

- Ponieważ jesteśmy niemalże nędzarami, więc musiałeś wpaść na jakiś naprawdę twórczy pomysł, Henry - powiedziała matka i zacisnęła usta tak mocno, że wydawały się kreską pozostawioną przez nóż na skórce owocu. - Mam nadzieję, że nie zastawiłeś wyspy, Henry? Powiedz mi, że nie zastawiłeś jedynej rzeczy, która jeszcze do nas należy. Powiedz, że nie zastawiłeś przyszłości mojej i naszych dzieci. Nawet ciebie nie byłoby stać, na taki idiotyzm, Henry.

- Nie, nie zastawiałem całej wyspy - oznajmił ze sztucznym wigorem. - A tylko czterdzieści akrów koło mostu. Jest tam tak mokro, że nawet kapusty nie wyhodujesz. Moim zdaniem, dostałem za nie całkiem dobrą cenę, a poza tym uznałem, że najwyższy już czas uruchomić jakąś nową gałąź. Ze stacją benzynową nie mam teraz kłopotu z paliwem do łódki.

- A jak zamierzasz doprowadzić łódź do pompy benzynowej przez trzysta jardów grząskiej trawy? - spytała z furią matka. - Nie zniosę tego więcej, Henry. Nie mogę tolerować tych twoich wybryków. Tylko patrzeć, a dzieci pójdą do college'u.

- Do college'u? - powtórzył ojciec. - Ja tam nie chodziłem do żadnego college'u. Proszę bardzo, niech idą i sobie zarobią, jeśli tak bardzo ci zależy.

- Nasze dzieci pójdą do college'u. Od chwili urodzenia płacimy dlatego za nich ubezpieczenie i przynajmniej to chcę im zapewnić. Musimy dać im szansę, której sami nie mieliśmy, Henry. Nie pozwolę, żeby wpadły w taką samą pułpkę jak my. Rozmawialiśmy o tym zaraz po ślubie i wtedy zgodziłeś się ze mną w stu procentach.

- Musiałem sprzedać te polisy - poinformował ojciec. - Żeby nabyć tę stację, musiałem mieć trochę gotówki. Ale jeśli rzeczywiście chcą college'u, zarobię tyle pieniędzy, żeby im to zapewnić.

- Henry, edukację swoich dzieci zamieniłeś na stację benzynową? - spytała matka i tym razem jej niedowierzenie było jak najprawdziwsze.- Sprzedałeś ich ziemię i przyszłość, aby móc sprzedawać benzynę i sprawdzać poziom oleju?

- W lecie mogą na niej pracować chłopcy. Lanny Whittington przyrzekł mi, że poprowadzi stację. Teraz to my zaczynamy zatrudniać ludzi, Lila. Chłopaki pewnego dnia przejmą interes.

- Myślisz, że chcę, aby Tom i Luke zarabiali na stacji benzynowej?

- Mnie to nic nie przeszkadza, mam - powiedział Luke.

- Mam dla ciebie ambitniejsze plany, Luke. Dla was wszystkich.

- Pragnie, żeby jej wspaniali synowie pompowali tylko wysokooktanową benzynę - rzucił szydlerczo ojciec. - Zresztą, nie ma co na razie pytać na ten temat, wielkie otwarcie Esso Wingo nastąpi za tydzień od wtorku. To będzie naprawdę huczna impreza. Balony, cola darmo, wstęgi, ognie sztuczne. Z wędrownego cyrku wynająłem kłowna, żeby bawił dzieci.

- Niepotrzebnie, Henry. Masz już jednego pajaca - tego, który kupił stację.

- Zawsze brak ci wyobraźni, Lila - powiedział urażony ojciec. - Sam nie wiem, ile udałooby mi się osiągnąć, gdybym poślubił kobietę, która wierzyłaby we mnie.

- A ja wiem, Henry. Wiem bardzo dobrze. Żadnej najmarniejszej rzeczy - powiedziała matka, wstała od stołu i szybko poszła do sypialni, z trzaskiem zamykając za sobą drzwi.

Ojciec potoczył po nas wzrokiem i spytał:

- Czy naprawdę nikt mi nie pogratuluje? To wielki moment w dziejach rodziny Wingo.

- Gratulacje, tato - powiedziała Savannah i uniosła w górę szklankę z mlekiem.

- To wielka szansa, na którą czekałem od dawna - ciągnął ojciec. - Nie zwracajcie uwagi na matkę. Tak naprawdę bardzo się cieszy, ale zawsze miała kłopoty z wyrażaniem swoich uczuć, - Tym razem wcale nie miała jakichś specjalnych kłopotów, tato - zauważyła Savannah. - Po prostu uważa, że nie zostanie ci nawet koszula na grzbiecie.

- To nie ma racji. Tym razem czuję, że zgarniemy główną nagrodę. Tym razem wyjdzie numer Henry'ego Wingo. Tylko poczekajcie. Stacja musi wystartować i się rozpedzić, a matka będzie chodziła w karakułach, a sznury pereł będą jej zwisały do samych kostek. Nie rozumie, że tylko wtedy się wygrywa, kiedy się ryzykuje. To ja w tej rodzinie podejmuję ryzyko. Jestem

urodzonym hazardzistą, obstawiam szansę, o których przeciętny Joe nawet nie pomyśli.

Stacja Esso, którą nabył ojciec, znajdowała się dokładnie naprzeciw stacji Ferguson's Gulf, jak na razie najbardziej dochodowej w całym hrabstwie Colleton. Trzech ludzi usiłowało wycisnąć coś ze stacji należącej obecnie do ojca i wszyscy trzej się poddali. Nie było żadnej logicznej przyczyny, dla której ludzie woleli zatrzymać się przy Gulf, a nie Esso, z wyjątkiem czegoś tak tajemniczego jak lokalizacja. We wszystkich małych miasteczkach jest coś takiego, jak dobre i złe rogi ulic, co ma związek bardziej z metafizyką niż geografią. Ojciec kupił stację na rogu, który nie był dobry. Był przekonany, że jego czar i talent aktorski zapewnią mu sukces tam, gdzie trzech poprzedników poniosło sromotną porażkę.

Miał wyjątkowy talent do ostentacji, więc otwarcie Wingo Esso odbyło się z takim hałasem i rozmachem, że wystarczyło to, by ściągnąć pół miasta na jego róg świata. Namówił dyrektora orkiestry szkolnej, aby w samo południe przemaszzerowała Street of Tides poprzedzana przez dziewczyny wywijające pałeczkami oraz przez pana Fruita, który improwizował swój własny taniec, pogwizdując, prostując się sztywno w promieniach słońca, a potem kłaniając tak, że jego nos niemal ocierał się o sznurowadła. Kiedy orkiestra dochodziła do stacji, ojciec wypuścił trzysta napełnionych helem balonów, które pomknęły w powietrze i zawisły nad miastem niczym zgubione kwiaty. Dzieciom rozdawał lizaki i gumę do żucia. Na dachu eksplodowały sztuczne ognie i wszystkich obsypały iskrami. Cyrkowy kłown spóźnił się, a ku zdziwieniu i zachwytowi ojca okazał się liliputem. Przyszedł pijany, przyniósł ze sobą tuzin butelek po coli, którymi nieudolnie usiłował żonglować na skrzyni naszego pickupa. Burmistrz Colleton, Boogie Weiters, dokonał ceremonialnego przecięcia wstęgi i bez specjalnego entuzjazmu wygłosił przemówienie o potrzebie pojawiania się w hrabstwie Colleton nowych inwestorów. Pijany kłown zawołał, że to nie powinno być trudne, bo jak dotąd niewielu inwestorów chciało pchać się na takie zadupie. Tłum odpowiedział aplauzem, kłown stanął na rękach na dachu kabiny. Zajechał nowy wóz ochotniczej straży pożarnej, ojciec zaś za darmo napełnił bak do pełna, w ten bowiem sposób, jak oznajmił, chciał podkreślić to, jak wysoko Henry Wingo ceni sobie ich trud ochrony własności obywateli Colleton. Reporter z „Colleton Gazette” przeprowadził wywiad z ojcem i zrobił mu zdjęcie, do którego na ramieniu usiadł mu kłown. Orkiestra szkolna odegrała mieszankę patriotycznych utworów, kiedy zaś doszła do hymnu Gwiazdzysty sztandar, zawiesił na dachu stacji

flagę narodową. Pod koniec dnia zajęła się od ognia sztucznego i została ugaszona przez członków straży ochotniczej.

Wieczorem otwarcie stacji Wingo Esso uczciliśmy wizytą w cyrku. Chociaż matka odmówiła uczestnictwa w ceremonii inauguracyjnej i obejrzenia popisów cyrkowych, nigdy jeszcze nie widziałem ojca równie ożywionego i tryskającego humorem. Gdyby nie waga, jestem pewien, że drogę do cyrku odbyłby na rękach. Z nową dumą i zawadiackością kroczył w tłumie falującym do dźwięków karnawałowej muzyki. Przed cyrkiem tak długo ciskał piłką baseballową w dodatkowo obciążone kręgle, aż wygrał matce pluszowego misia. Oklaskiwał Luke'a i mnie, gdy z rzutu wolnego trafiliśmy do zawieszanej w górze obręczy koszykarskiej.

Potem weszliśmy do namiotu, gdzie podnieceni patrzyliśmy, jak brodata kobieta popluwa tytoniowym sokiem do butelki po Dr. Peperze. Luke podał rękę stuletniemu niemowlęciu, potem słuchaliśmy, jak bracia syjamscy śpiewają Jezus jest naszym przyjacielem. Wiwatowaliśmy, gdy Altus Rossiter, miasteczkowy osiłek, został znokautowany przez kangura z rękawicami bokerskimi na łapach.

Właściciel cyrku, Smitty Smith, przyszedł porozmawiać z ojcem. Spotkali się na przystani w dniu przyjazdu cyrku, Smitty kupił wszystkie złowione ryby, aby nakarmić pięć fok, które nazwał kręgosłupem cyrku. Oznajmił, że ma najlepszy na południowym wschodzie numer z fokami, ale najgorszy ze słoniem i tygrysem. Słoń jest za stary, wyjaśnił, a tygrys za młody. Nie ma nic gorszego niż cyrk z jednym kłownem, oznajmił ojciec, kiedy trefniś zasnął na naszym pickupie, teraz jednak zobaczyliśmy go przy wejściu do namiotu, zataczał się odrobinę, ale całkiem dobrze stawał na rękach.

Odciągnęliśmy ojca i zajęliśmy najtańsze miejsca w ostatnich, najwyższych rzędach. Kobieta odziana w krótką sukienkę ze złotymi cekinami jeździła wokół areny na słoniem. Słoń był cały pomarszczony ze starości, a kiedy przyklęknął, aby ukłonić się publiczności, w powstaniu musieli mu pomagać ujeżdżaczka, kłown i Smitty. Zwierzę wydawało się tak wymęczone i słabowite, jakby zaraz miało paść trupem. Kłown popisał się zonglerką dwiema piłkami, co Savannah skomentowała, że dwiema piłkami to i ona potrafi zonglować.

- Ciekaw jestem, ile by chciał za słonia - zastanawiał się głośno ojciec. - Na stacji byłby prawdziwą atrakcją.

- Pewnie - powiedział Luke. - Nalewałby benzynę trąbą.

Reflektory skupiły się na Smittym, który w cylindrze i krzykliwie czerwonym fraku przemówił do skrzeczącego mikrofonu.

Echo sprawiło, że czterech mężczyzn egzorcyzmowało zebranych, głos nakładał się na siebie jak fale wodne.

- Panie i panowie, za chwilę wejdę do klatki z wielkim tygrysem bengalskim, Cezarem, którego zabrano z rodzinnych Indii, gdy zabił trzech radżów i trzynastu wieśniaków. Radżowie byli bardzo tłuści, a wieśniacy bardzo wolni. Cezar to nowy nabytek w mojej cyrkowej rodzinie i w obliczu dużego zgromadzenia robi się trochę nerwowo, dlatego podczas następnego numeru proszę o absolutną ciszę. W Aiken w tym samym stanie Karolina Południowa Cezar poturbował naszego dotychczasowego tresera i ja musiałem zająć jego miejsce, bo, jak wiecie, panie i panowie, przedstawienie musi się toczyć dalej.

Słoń mógł być istotnie za stary, a kangur trochę zaniedbany, ale tygrys był zwierzęciem młodym i wspaniałym. Wlepił ślepią w Smitty'ego, kiedy ten wszedł do klatki zbrojny w bicz i krzesło. Tygrys był jedną ucieleśnioną groźbą, nie miał w sobie nic z potulności cyrkowych zwierząt, brakło mu tej pokory i usłużności, które przychodzą po latach tresury i występów w świetle reflektorów. Wzrok tygrysa był kwintesencją dzikości. Smitty strzelił mu z bicia nad uchem i kazał obieć klatkę. Zwierzę ani drgnęło, gapiło się natomiast na dyrektora z taką intensywnością, że publiczność zamarła ze zgrozy. Znowu strzelił pejcz i głos tresera wzbił się ponad pomruk widowni. Tygrys zeskoczył ze swego podium i z ociąganiem obiegił klatkę, z niezadowoleniem marszcząc pysk. Smitty cisnął cylinder przed tygrysa i krzyknął: „Przynieś!”, ale bestia skoczyła na cylinder, cisnęła go w powietrze, a następnie porwała na strzępy pazurami, zanim zdążył opaść na piasek. Bicz chlasnął tygrysa w plecy, Smitty odegnał go w kąt klatki i ze złością nachylił się, aby obejrzeć nędzne resztki swego eleganckiego nakrycia głowy. Widać było, że ta strata nie wprawiła go w dobry nastrój. Cały występ stał się teraz przede wszystkim zapierającym dech w piersiach pojedynkiem nienawiści zwierzęcia i tresera.

Smitty podpalił koło i kilka razy podciąwszy tygrysa batem, zmusił go do przeskoczenia przez płonąca obręcz. Publiczność wiwatowała. Smitty, cały pokryty potem, zbliżył się do bestii, wystawiwszy przed siebie nogi krzesła, strzelił z bata tuż przed żółtymi ślepiami i wydał jakiś rozkaz, ale Cezar zrobił krok w jego kierunku i ciał powietrze odsłoniętymi pazurami. Smitty zaczął się cofać w popłochu, tygrys napierał na niego, a każde kolejne machnięcie groźną łapą budziło jęk przerażenia pośród publiczności. Smitty uciekał, do obrony mając tylko krzesło, i było pewne, że nie wyjdzie z tego cało. Do boków klatki przypadło dwóch pomocników, którzy długimi żerdziami powstrzymali pełen furii atak drapieżnika, co dyrektorowi cyrku

pozwoiliło wyskoczyć na arenę i zamknąć za sobą drzwiczki. Cezar wyrwał jedną z żerdzi, przegryzł ją na pół, a następnie zasiadł na podium w majestatycznej pozie. Sfrustrowany Smitty zaczął okładać pejcem pręty klatki, a tłum zerwał się, oklaskując namiętnego pogromcę. Tygrys zeskoczył z podium i zaczął tarzać się w piachu, nagle znieruchomiał, słysząc poszczekiwanie fok, które wprowadzano właśnie na arenę. Pogasły światła i tygrys zniknął w mroku.

Foki były pełne wigoru, entuzjazmu i, zdało się, wrodzonej pasji aktorskiej. Wśliznęły się na arenę, balansując czarnymi nozdrzami, na których kołysały się żółte piłki. Smitty odzyskał dawną godność i poprowadził występ gładko jak tkacz krosno. Po każdej sztuczce rzucał fokom po rybie, które one nieomylnie chwyciły i gładko połykały. Łby miały zręczne, anielskie, lśniące, z zapalem oklaskiwały same siebie przednimi płetwami.

- Wiecie, dzieci, że zjadają moje ryby? Moje ryby. Chyba powinni o tym wspomnieć.

Foki nazywały się Sambone, Helena Trojańska, Nabuchodonozor, Kleopatra i Naszua, niewątpliwą gwiazdą w tej piątce była Sambone. Wydawały się potomkami związku wydry z delfinem, a ich uduchowione popisy odznaczały się niezrównaną gracją. Cała piątka wykonała zonglerkę piłką wirującą na jednym czarnym nosie, który wyciągnawszy się wysoko, z bezbłędnym znawstwem wysyłał ją w powietrze, płynęła lśniaca w światłach, bezbłędnie lądowała na następnym nozdrzu, tu się zakręciwszy, znowu wzlatywała, lądowała... i tak od jednej foki do drugiej. Kleopatra opadła osowiała na swoje podium, kiedy ominęła ją

ryba, gdy za sprawą jej pomyłki piłka potoczyła się gdzieś w mroczny skraj areny. Potem foki zagrały w kręgle i baseball, aż wreszcie Sambone wspięła się na szerszą od innych platformę i na rzędzie różków zaczęła wygrywać Dixie. Pozostałe poszczekiwały jej do wtóru, a cała widownia podchwyciła piosenkę. Dotarliśmy ledwie do, „Jjook away, look away”, kiedy z niewidocznej w ciemności klatce dobiegł nas ryk Cezara. Kiedy piosenka się skończyła, reflektor przesunął się i zobaczyliśmy tygrysa, który z pyskiem wciśniętym w kraty i łapą wysuniętą na zewnątrz dawał głośny wyraz swej nienawiści do fok. Ciągłe wydając polecenia fokom, Smitty cofnął się nieco i razami bata zmusił Cezara, aby mimo powarkiwań cofnął się w głąb klatki.

- Albo nie lubi fok, albo te rogi ranią mu uszy - wyraził przypuszczenie ojciec.

- Po prostu może nie lubić Dixie - powiedziała Savannah.



Na wielki finał foki utworzyły szerokie koło i znowu miały ciskać do siebie piłkę, tym razem jednak zaczęły od wysokości dwudziestu stóp, a każda następna usiłowała rzucić piłkę jeszcze wyżej, odsuwając się jednocześnie odrobinę w tył. I za każdym razem, kiedy wydawało się, że piłka za bardzo poleciała w bok, foka wykonywała widowiskową pogoń, chwyciła błyszczącą kulę na czubek nosa, chwilę nią balansowała, a następnie wysokim łukiem ciskała na przeciwną stronę areny. Raz jeszcze to Kleopatra popełniła błąd kończący cały popis. Naszua posłała piłkę aż na wysokość trapezu, ta dotknęła wprawdzie pyska Kleopatry, ale się na nim nie utrzymała i poleciała w ciemność. Sambone, która oddawała się zabawie z pasją środkowego napastnika, rzuciła się w ślad za piłką w tej samej chwili, gdy rozległ się gwizdek Smitty'ego, przyzywający foki, aby złożyły publiczności pożegnalny ukłon.

Ponad oklaski i pochwalne okrzyki wzbil się śmiertelny krzyk Sambone. Światło reflektora przeskoczyło w tym kierunku i zobaczyliśmy, jak przyciskając fokę do kraty, tygrys odgryza jej łeb. W jednej chwili znalazł się przy nim Smitty, wściekle go chłoscząc, dzieci rzucały się w objęcia rodziców, cały tłum wydał z siebie zbiorowy jęk grozy. Cezar przycisnął Sambone do piachu i jednym machnięciem łapy rozpruł jej brzuch. Lśniącym potokiem wypłynęły na arenę wnętrzności, pysk tygrysa lśnił czerwono. Matki rękami zakrywały pociechom oczy, część widzów rzuciła się do wyjścia. W obecności trzystu dzieci tygrys zaczął pożerać fokę.

Tego wieczoru ojciec kupił tygrysa.

Myślałem, że matka zerwie karabin ze stojaka i na miejscu zabije ojca i tygrysa, kiedy dotarliśmy do domu z klatką kołyszącą się z tyłu pickupa. Cezar nadal zajmował się resztkami foki, kiedy matka zaczęła krzyczeć na ojca. Była w nastroju nie tyle gniewnym, co morderczym. Smitty chciał zastrzelić Cezara zaraz po spektaklu, ale przeszkodził mu w tym ojciec, który zaoferował się, że sam przejmie pieczę nad bestią. Ktoś zapomniał ją nakarmić przed występem, więc - argumentował ojciec - zwier zachował się zgodnie ze swoją naturą. Tato wystawił Smitty'emu czek na dwieście dolarów, ten zaś zatroszczył się już o to, aby na skrzyni samochodu znalazła się klatka z tygrysem, bicz i ognista obręcz na dokładkę. Sambone była duszą całego przedsięwzięcia, jedyną, która potrafiła zagrać Dixie. Inne foki, tłumaczył rozhisteryzowany Smitty, potrafiły tylko ciskać piłkę i połykać ryby. Kiedy kłown zaczął pokpiwać z kwalifikacji dyrektora jako tresera, ten powiesił go za kołnierz na wieszaku w swoim wozie. Upokorzenie kłowna pogłębiło jeszcze irrealizm nabycia Cezara. Staliśmy w ciemności i patrzyliśmy, jak tygrys pożera resztki foki, które wciągnął do



środku klatki. Luke spekulował, czy aby Sambone nie jest pierwszą w dziejach foką zabita i spożytą przez tygrysa..

- Foki na wolności nie bardzo przejmują się tygrysami - mówił Luke, a podczas gdy my obserwowaliśmy Cezara, ojciec dobijał targu ze Smittym. - To nie jest ich główny problem.

- Ciekawa jestem, czy wszystkim fokom świata zostanie przesłana taka właśnie wiadomość: „Kiedy grasz Dixie, uważaj na tygrysa” - powiedziała Savannah. - Na tym chyba polega ewolucja, prawda?

- Ja zwracałbym uwagę na wszystko tej wielkości - powiedziałem z lękiem. - Niech mi ktoś powie, po co ojcu, na miłość boską, tygrys bengalski!

- Od śmierci Joopa nie mamy w domu żadnego zwierzątka - wyjaśniła Savannah. - Sam wiesz, jaki tata jest sentymentalny.

- Więc znowu to samo, Henry - krzyknęła matka, z daleka zlustrowawszy tygrysa. - Po raz kolejny staniemy się pośmiewiskiem całego Colleton - Zanim słońce wstanie, tygrysa ma tu nie być. Nie chcę, żeby znowu zaczęto powtarzać, że wyszłam za największego idiotę w Karolinie Południowej.

- Przecież nie mogę po prostu wypuścić dzikiej bestii, Lila. Może pożreć którąś z tych ślicznych rodzynek właśnie wtedy, kiedy będą się naśmiewać z nas, Wingo. Zabił tę fokę, którą teraz zjada. To dlatego dostałem go tak tanio.

- Rozumiem, że nie mogłeś puścić koło nosa takiej gratki, Henry?

- Znakomita reklama dla stacji benzynowej - oznajmił z dumą ojciec. - Natychmiast zdałem sobie z tego sprawę, ledwie usłyszałem ryk tej foki. Uderzyło to we mnie nagle jak grom: on przyciągnęci tłumy klientów.

- Tata nauczył tygrysa grać &ixie na rogach - wyjaśniła Savannah.

- Nie, co wieczór będzie mu wpychał do klatki fokę i przyjmował zakłady, kto wygra - wykrztusił Luke, dusząc się ze śmiechu.

- Będę go karmił swoimi pyskatymi dziećmi, jeśli nie zamkną paszczęki i nie będą z większym szacunkiem wypowiadać się o ojcu. Nie jestem w najlepszym nastroju i dlatego lepiej nie wchodzić mi na odcisk. Jasne? A teraz posłuchajcie, bo wyjaśnię wam coś z tego, jak działa współczesny świat Kupiliśmy właśnie stację Esso, tak?

- Tak - potwierdził Luke.

- Esso reklamuje się na całym świecie, tak? Jasne? Wydają miliony dolarów na reklamę swoich produktów, aby jeden dupek z drugim zatankował właśnie na stacji Esso, chociaż równie dobrze może to zrobić u Shella, Texaco czy w Gulfie. Jeszcze się nie zgubiliście?

- Nie, proszę pana.

- Wspaniale, nektarynki. A jak brzmi ich reklama, którą w tej właśnie chwili nadaje jakaś stacja telewizyjna czy radiowa? - spytał w podnieceniu.  
 - Każda stacja wolnego świata? Jak brzmi reklama, która ma nakłonić ludzi, aby kupowali w Esso, a nie gdzie indziej? Jak brzmi reklama, która ma podświadomie zmusić klienta, aby zostawił swoje pieniądze w Esso, gdyż tylko tutaj nabędzie jedyną odpowiednią benzynę? No? No?

- O nie - jęknęła Savannah. - Chyba rozumiem.

- Co takiego, Savannah? - spytała zniecierpliwiona matka.

- Kiedy kupujesz w Esso, mamó, wkładasz sobie tygrysa pod maskę, - Właśnie!!! - wykrzyknął rozentuzjasmowany ojciec. - A jak brzmi nazwisko jedyne w całym kraju właściciela stacji Esso, gdzie obok pompy siedzi tygrys? Henry Wingo, właściciel Wingo Esso. Henry Arcygeniusz Wingo.

Minęło pół roku prowadzenia stacji przez Henry'ego Arcygeniusza Wingo, okazało się, że miał rację z tygrysem. Klatkę umieścił w rogu od strony mostu, tak że każdy kierowca, czekając na obsłużenie, mógł sobie popatrzeć na bestię krążącą z niezadowoleniem. Nawet jeśli benzyny było w baku jeszcze całkiem sporo, rodzice zajeżdżali, gdyż dzieci chciały zobaczyć tygrysa. U Cezara najwidoczniej dzieci były w tak samo wysokiej cenie jak foki i z początku żywiliśmy nawet obawy, że pewnego dnia schrupie na śniadanie kogoś z przedszkolaków, ale zwierzę wyzwoliło w matkach z Colleton niezwykłą wprost czujność i ostrożność. Apatia i furia stanowiły dwa zasadnicze nastroje Cezara, ale pojawienie się dziatwy wyzwalalo w nim niesłychaną wręcz dzikość. Rzucił się na kratę, wyciągał przez nią łapę z wysuniętymi pazurami, a dzieci wraz z rodzicami odskakiwały do tyłu, przeżywając cudowne emocje. Ojciec powiadał, że jego tygrys zachowuje się jak wściekły pies, tyle że od największego psa był cięższy co najmniej o czterysta funtów.

Zadanie karmienia Cezara ojciec z radością scedował na swych synów. Nie miałem nic przeciwko tygrysowi do chwili, kiedy uświadomiłem sobie, że zjadłby mnie z równą chęcią i łatwością jak kurczaka. A zbliżenie się do jego klatki w porze karmienia stanowiło problem sam w sobie. Pomiędzy mną a Cezarem ułożyły się proste, klarowne stosunki wzajemnej antypatii. Cezar miał pokochać Luke'a i nawet pozwalał mu drapać się po grzbiecie przez kraty, ale ta ich relacja budowała się powoli i nie istniała jeszcze w pierwszych miesiącach działania Wingo Esso. Luke dawał mi znak, bym zbliżył się do klatki od frontu, zaczynałem więc przemawiać łagodnie do Cezara, on usiłował pozbawić mnie głowy swymi wspaniałymi pazurami, a podczas kiedy ja ryzykowałem swe życie, Luke zakradał się od tyłu i wsuwał między prętami kołpak samochodowy, na którym znajdowały się

szyjki kurczące i sucha karma dla kotów. Słyszając Luke'a, Cezar przestawał się mną interesować i ruchem całkowicie nieprzewidywalnym, tak szybkim, jakiego jeszcze nigdy nie widziałem w świecie zwierzęcym, rzucał się, aby dopaść Luke'a, ten zaś gwałtownie odskakiwał i lądował na plecach.

- Musisz go bardziej zająć, Tom - mówił z wyrzutem Luke.

- A jak to sobie wyobrażasz? Dać mu pięść, żeby sobie poszał?

- Wymyśl coś, gwizdź mu Dixie - sugerował brat, otrzępując się ze żwiru.

- Nie chcę, by w jakikolwiek sposób kojarzył mnie z foką.

Luke stawał obok mnie i patrzył, jak Cezar pożera szyjki drobiowe, zupełnie jakby rozcierał sobie masło na języku.

- To prawdziwy książę - mówił. - Najpiękniejsze zwierze na świecie.

- Czy Esso nie mogło wymyślić sobie jakiegoś innego hasła reklamowego, Luke? Na przykład: „Wiewiórka pod maską” albo „Chomik w silniku”?

- To nie są ciekawe zwierzęta, Tom. Nie tak jak Cezar. Ten nie poddaje się łatwo i ja to lubię. Naprawdę lubię. To dzięki niemu zarabiamy.

Ferguson ze swoją stacją Gulf rozpoczął pierwszą w dziejach Colleton wojnę naftową. Obniżył cenę benzyny o pięć centów na galonie i ojcu nie pozostawało nic innego, jak pójść za jego przykładem. Robił wszystko, aby nie zamykać stacji, ale na próżno, krążyły pogłoski, że za Fergusonem stał potężny sponsor. W chwili, kiedy bank przejął Wingo Esso, cena galonu benzyny spadła z trzydziestu centów do dziesięciu. Ojciec usiłował do aktywów zaliczyć także tygrysa, ale bank się nie zgodził. I znowu w domu Wingo doszło do straszliwych, smutnych i nie kończących się kłótni. Ojcu udało się spłacić hipotekę na wyspę, ale stracił całą resztę. Ponownie znaleźliśmy się w straszliwych tarapatkach finansowych i ponownie ratunkiem okazało się to, iż przyszedł znakomity rok krewetkowy. Wkrótce po tym Jak straciliśmy stację benzynową, przed dom zajechał cadillakiem Reese Newbury i zgłosił chęć kupna wyspy za pięćdziesiąt tysięcy dolarów, chociaż nikt nie proponował jej sprzedaży. Ojciec odmówił, a tydzień później dowiedział się, że to właśnie Newbury był cichym wspólnikiem Fergusona w wojnie cenowej.

- Myślał, że położy łapę na wyspie - powiedział ojciec, - Zrujnował mnie, gdyż chciał mieć wyspę, ale się przeliczył.

Ojciec wrócił przeto na rzekę, matka stała się jeszcze bardziej milcząca i zgorzkniała, rodzina Wingo była jedyną w całym hrabstwie Colleton, która jako zwierzątko domowe miała tygrysa skaczącego przez płonącą obrycz.

Ilekróć w dzieciństwie zdarzało się, że rodzice byli spokojni i w domu panowała cisza, zaczynałem przyglądać im się badawczo. Starałem się dociec, co sprawiało, że to małżeństwo jednak trwało, jakie złowrogie czy dobroczynne siły zachowywały ich wojowniczy sojusz, jakie tkliwe czy wybuchowe elementy leżały pod powierzchnią ich dziwnej, gorejącej miłości, albowiem nawet w najgorszych, najbardziej niebezpiecznych momentach mogłem wyczuć żar jakiegoś bardziej wzniosłego uczucia między nimi. Ale to mogłem tylko wyczuć, nigdy nie udało mi się tego dotknąć. Nie mogłem zrozumieć, co matka widziała w ojcu i dlaczego godziła się pozostać w domu, w którym była jednocześnie władczynią i więźniarką. Wysyłali sygnały pomieszane i niejasne, a ja nigdy nie potrafiłem określić głębokości ich tak kapryśnego uczucia. Było jasne, że ojciec uwielbiał matkę, absolutnie natomiast niejasne, dlaczego człowiek miałby się czuć zmuszony do pomiatania obiektem swojej miłości. Często wydawało się, że matka gardzi tym wszystkim, co było ważne dla ojca, czasami jednak zdarzało mi się pochwycić spojrzenie tak pełne namietności i uznania dla drugiej osoby, że czerwieniłem się zawstydzony, że przypadkiem w tym uczestniczyłem. Zastanawiałem się, jak też ja zakocham się w kobiecie, czemu towarzyszyła pełna przyjemności i przerażenia myśl, że gdzieś w świecie śmieje się i śpiewa dziewczyna, która kiedyś zostanie moją żoną. Oczyma duszy mogłem ją zobaczyć, jak tańczy, bawi się i flirtuje w przygotowaniu na ten dzień pełen bojaźni i zachwytu, kiedy spotkamy się i w obopólnej ekstazie zawołamy: „Zawsze już będziemy żyć razem!” Jak wiele ze swego ojca przyniosę swej dziewczynie? Jak wiele z matki? I ile minie czasu, zanim ja, Tom Wingo, dziecko burzy, na zawsze uciszę jej śmiech i śpiew? Jak długo to potrwa, zanim zatrzymam taniec tej roześmianej dziewczyny, która nic nie będzie wiedziała o wszystkich wątpliwościach i ułomnościach, z jakimi wiąże się dla mnie kochanie kobiety? Obraz tej dziewczyny pokochałem na długo przedtem, zanim ją spotkałem, i chciałem jej powiedzieć, aby strzegła się dnia, kiedy pojawię się w jej życiu. Gdzieś w Ameryce przeżywała swoje dzieciństwo, niewinnie nieświadoma swego losu. Nic nie wiedziała o tym, że czeka ją zderzenie z chłopakiem tak poturbowanym i ogłupiałym, iż całe swe życie strawi na zgłębianiu tego, jak odczuwa się miłość, jak ona się przejawia między dwojgiem osób i jak można ją urzeczywistnić bez furii, bólu i krwi. Miałem trzynaście lat, kiedy uznałem, że ta cudowna dziewczyna zasłużyła na lepszy los i że ostrzegę ją na długo przedtem, zanim zakłócę jej wdzięczny krok przekształcający w taniec wszystko dookoła.

Podczas tych medytacji nad naturą miłości niezmiennie trzymałem się pewnej opowieści o rodzicach, do której ojciec niezmiennie powracał, gdy w ciemności kierował się na przejścia atlantyckie. Była to opowieść o pierwszym spotkaniu w Atlancie, gdy on był młodym porucznikiem, po raz pierwszy odwiedzającym miasto, ona zaś na Peachtree sprzedawała dziecięce ubranka na stoisku u Davisona. Twarz ojca nagle się zmieniała, a głos pogodniał, gdy zaczynał mówić o tym ich przypadkowym spotkaniu. Nie znał nikogo w mieście i chciał poznać jakąś dziewczynę z Atlanty, fryzjer powiedział mu, że najpiękniejsze dziewczyny Południa można spotkać na Peachtree Street. Ojciec miał na sobie mundur i czuł się tak przystojny, jak każdy mężczyzna, który za chwilę ma ruszyć na wojnę. Matkę zobaczył, gdy skończyła pracę, jak powiedział, nigdy w życiu nie widział piękniejszej kobiety. Z torbą z zakupami i czerwoną torebką, lawjrując między samochodami, przeszła na przystanek autobusowy. Poszedł za nią, zastanawiając się, jak zacząć, co powiedzieć, jak spytać o imię. Nie był specjalnie śmiały w stosunkach z dziewczynami, bał się jednak, że zaraz nadjedzie autobus, a wtedy zniknie na zawsze z jego życia, zanim zdąży głośno zachwycić się jej urodą lub dowiedzieć się imienia. Zebrawszy się na odwagę, podszedł i oznajmił, że jest pilotem wojsk lotniczych, przyjechał do Atlanty na urlop i byłby szczęśliwy, gdyby zechciała mu powiedzieć, co warto zobaczyć w mieście. Nic nie odrzekła i patrzyła w dół Peachtree, czy nie widać autobusu. Zdesperowany wytknął jej niepatriotyczną postawę, gdyż za rok lub dwa zostanie wysłany na wojnę, gdzie najpewniej zginie, ale ze spokojem przyjmie swój los, jeśli ona pozwoli zaprosić się na kolację. Usiłował ją rozbawić, oznajmił, że jest młodszym bratem Errola Flynna, Davison's należy do jego ojca, on zaś nie posiada się z żalu, że nie pada deszcz, wtedy bowiem mógłby cisnąć swój płaszcz na kałużę, aby ona mogła przejść suchą stopą. Z daleka widać było autobus, ojciec więc za nic nie mógł zamilknąć. Jak każda dobrze wychowana dziewczyna z Południa, matka ignorowała natręta, ojciec zauważył jednak, że jest rozbawiona. Z tylnej kieszeni spodni wyciągnął list od swej matki i odczytał go jako rekomendację od Franklina D. Roosevelta, który zaręczał, iż porucznik Henry Wingo jest mężczyzną kryształowego charakteru, któremu może zaufać każda amerykańska dziewczyna, a szczególnie najpiękniejsza niewiasta, jaką kiedykolwiek widziano na Peachtree Street w Atlancie. Matka poczerwieniała, wsiadła do autobusu i zapłaciła za bilet. Nie oglądając się, znalazła sobie wolne miejsce przy oknie, pod którym natychmiast znalazł się ojciec, błagając, aby dała mu swój numer telefonu. Uśmiechnęła się i zaczęła zastanawiać nad

propozycją. Autobus ruszył, podobnie zrobił ojciec, chociaż jednak biegł najszybciej jak potrafił, kiedy kierowca wrzucił drugi bieg, został z tyłu. Nie stawał, ale kiedy widział już tylko tylne światła, matka wychyliła z okienka głowę i zawołała: „Macon trzy, siedem, dwa, osiem, cztery”.

Ilekróć ojciec powtarzał tę historię, Savannah szeptała: „Podaj mi zły numer, mam, proszę, podaj zły” albo: „Zapomnij go, tato, zapomnij, błagam”.

Zapamiętał jednak. Henry Wingo pamiętał go nawet teraz, za kołem sterowym na „Miss Lili”.

Tygrys na tyłach domu stał się utrapieniem mej matki i źródłem radości dla Luke'a. Cezar był symbolem najbardziej zwariowanego i bezsensownego pomysłu ojca, żywym herbem porażki sterczącym nad kupą kości. Luke odkrył u siebie naturalne i proste upodobanie do tygrysów i zaczął długą praktykę, która miała na celu zdobycie zaufania i przyjaźni Cezara. Był przekonany, że Smitty znęcał się nad zwierzęciem, które, jak każde inne stworzenie, odpowie sympatią na delikatność i łagodność. Tylko on karmił Cezara, ale dopiero po dwóch miesiącach mógł się zbliżyć do klatki bez obawy, że drapieżca spróbuje wciągnąć go przez kraty. Potem zastałem kiedyś Luke'a, jak drapał tygrysa po grzbiecie grabiami, tygrys pomrukiwał z zadowolenia, a ja zobaczyłem w przerażeniu, jak Luke odkłada na bok grabie, wsuwa rękę i sam zaczyna gładzić Cezara.

Trzy miesiące po tym, jak przywieźliśmy tygrysa do domu, Savannah zbudziła mnie podczas burzy i szepnęła: - Wstawaj, nie uwierzysz własnym oczom.

- Jest druga w nocy, Savannah - odpowiedziałem ze złością. - Są niewinnia oskarżonych, którzy zabili swoje siostry za to, że budziły ich o drugiej w nocy.

- Luke jest u Cezara.

- Niech sobie będzie z trzema Napoleonami, nic mnie to nie obchodzi. Daj mi spać.

- Wypuścił go z klatki. W stodole.

Wymknęliśmy się przez okno i po cichutku zakradli do stodoły. Przez pęknięcie w drzwiach zobaczyłem, jak w świetle lampy Luke z łańcuchem i bitem w rękę przygląda się Cezarowi wolnym truchtem obiegającemu stodołę. Potem Luke podpalił szmatę zanurzoną w nafcie i oplecioną wokół koła. „No, Cezar”, powiedział, a tygrys śmignął przez obręcz niczym promień słońca przez szybę okienną, potem obiegł stodołę i znowu skoczył przez płomienie, zwinny, potężny, silny. Teraz Luke strzelił trzy razy z bata

i tygrys posłusznie wszedł do klatki, brat uraczył go ochłapem sarniny i wtulił się w jego szyję, podczas gdy mięso znikало w straszliwym pysku.

- To wariat! - szepnąłem do Savannah.
- To twój brat Luke. I jest cudowny.

RS



## ROZDZIAŁ 14

Wzrastałem, nienawidząc Wielkich Piątków. Niechęć ta nie miała nic wspólnego z teologią, wiązała się natomiast z kultem oraz dziwnym entuzjazmem, z jakim dziadek oddawał się upamiętnianiu męki Chrystusa.

Wielki Piątek był dniem, kiedy Amos Wingo udawał się do szopy na zapleczu domu w Colleton i odkurzał dziewięćdziesięciofuntowy drewniany krzyż, który wykonał w nagłym przypływie pasji religijnej w wieku lat czternastu. Każdego roku od południa do trzeciej tego pamiętnego dnia dziadek paradował z krzyżem w górę i dół Street of Tides, aby przypomnieć występny i grzesznym obywatelom mego rodzinnego miasta o niewyobrażalnych cierpieniach Jezusa Chrystusa na posępnej górze wznoszącej się nad Jerozolimą. Było to ukoronowanie i Grand Guignol [przen. okropność, makabra, niesamowitość, nazwa teatru na Montmartre w Paryżu, gdzie wystawia się krótkie sztuki o treści makabrycznej.] liturgicznego roku dziadka, ucieleśnienie świętości i szaleństwa. Jego marsz znamionowało jakieś obłędne piękno.

Zawsze marzyłem o tym, iż dziadek będzie celebrował Wielki Piątek w jakiś spokojniejszy, bardziej kontemplacyjny sposób. Wprawiało mnie to zawsze w zakłopotanie, gdy widziałem jego szczupłą, kościstą postać zgiętą pod ciężarem krzyża, kiedy przepycha się przez tłum i zatrzymuje na skrzyżowaniach, jakby nieświadom mieszaniny pogardy i bojaźni w spojrzeniach przechodniów, podczas gdy pot rozlewa się po ubraniu coraz wyraźniejszymi plamami, a wargi bez przerwy bezgłośnie wychwalają Stwórcę. Dla jednych był postacią majestatyczną, dla innych - kompletnym pajacem. Każdego roku szeryf wlepił mu mandat za zakłócanie ruchu drogowego i każdego roku parafianie kościoła baptystycznego robili dodatkową zbiórkę na uregulowanie należności. Z biegiem lat jego niezwykły marsz pamięci stał się jednym z wyczekiwanym dorocznych zdarzeń i stopniowo coraz więcej pielgrzymów i turystów gromadziło się na Street of Tides, aby się modlić i czytać Biblię, podczas gdy dziadek Wingo, sapiąc i dysząc, człapał dla upamiętnienia innego przemarszu, który zmienił dzieje Zachodu. Każdego też roku „Colleton Gazette” zamieszczała zdjęcie dziadka w numerze wychodzącym po Wielkim Tygodniu.

Dopóki byliśmy mali, ja i Savannah błagaliśmy go, aby aktu swego dokonywał w Charlestonie czy Columbii, miastach, które, naszym zdaniem, były marniejsze i bardziej karygodne w oczach Pana niż małe Colleton. Babka umartwiała się na swój własny sposób, wycofując się na Wielki Piątek do sypialni z butelką dzinu Beefeater i zszywką starych numerów

„Police Gazette”, którą polecała sobie przynieść z salonu fryzjerskiego Fendera. Koniec procesji dziadka o trzeciej zbiegał się też z wykończeniem butelki, i babka leżała bez ducha aż do wczesnego przedpołudnia Wielkiej Soboty. Kiedy budziła się z dorocznym bólem głowy, jej wzrok natychmiast napotykał dziadka, który na klęczkach modlił się za jej słodką, pijacką duszę.

Przez cały czas wielkanocnego czuwania dziadek wpatrywał się w bezwładne, nieruchome ciało babki, która rytuał ten wypracowała w akcie samoobrony, aby w ten sposób zaprotestować przeciw ceremonii i swemu w niej uczestnictwu, na co dziadek solennie nastawał. Była jakaś dziwna harmonia w tym, jak ich duchy szukały równowagi. W niedzielny poranek babka czuła się wprawdzie niedobrze po swym występku, niemniej jak co roku dopiąwszy swego, „z cholernych martwych”, jak to określała, wstawiała na czas, aby towarzyszyć dziadkowi do kościoła na niedzielne nabożeństwo, a że robiła to tylko raz w roku, stało się to równie tradycyjnym wydarzeniem w życiu duchowym miasteczka, jak dziadkowe dźwiganie krzyża.

Byliśmy w przedostatniej klasie liceum, gdy w Wielką środę poszliśmy z Savannah po szkole do domu dziadka. Po drodze wstąpiliśmy do apteki Longa, gdzie kupiliśmy colę wiśniową, którą wypiliśmy nad morzem, patrząc, jak kraby wymachują w błocie szczypcami.

- I znowu Wielki Piątek - powiedziałem do siostry. - Nienawidzę tego dnia.

Uśmiechnęła się, szturchnęła mnie w ramię i powiedziała:

- Każdej rodzinie wychodzi to na zdrowie, jeśli raz do roku zostanie kompletnie upokorzona. Ćwiczy ci się charakter, kiedy całe miasto śmieje się z twojego dziadka, a potem z ciebie.

- Nie miałbym nic przeciwko temu, gdybym nie musiał być tutaj na miejscu - odrzekłem zapatrzony w hipnotyzujący ruch krabów pod nami, - W tym roku ojciec ciebie postawi przy lemoniadzie, bo sam zamierza znowu filmować najważniejsze momenty procesji dziadka.

- Bardzo śmieszne - mruknęła. - Filmuje tak już od pięciu lat. Ma na taśmie pochodzący z pięciu lat dowód dla sądu, że dziadek jest świrem.

- Tata mówi, że to do archiwum rodzinnego i że kiedyś będziemy mu wdzięczni, że utrwalił nasze dzieciństwo.

- Jasne - prychnęła. - O niczym innym nie marzę. Sfilmowana historia Oświęcimia. Bo dla ciebie, zdaje się, to normalna rodzina.

- Nie wiem, czy to jest normalna rodzina - odparłem. - To jedyna, w jakiej żyłem.

- To fabryka wariatów. Zapamiętaj moje słowa.

Dom dziadka w Colleton był prostym, parterowym budynkiem, pomalowanym na biało z czerwonymi obwódkami wokół okien i drzwi, a wzniesionym na pół akrowej działce nad Colleton River. Babkę zastaliśmy w kuchni, skąd przyglądała się, jak dziadek na podwórzu oporządza krzyż.

- Oto i on - powiedziała na nasz widok pełnym rozpacz, zrezygnowanym głosem i kiwnęła głową w kierunku podwórka.

- Wasz dziadek, mój mąż, wioskowy głupek. Przez cały dzień pracuje przy tym swoim drągu.

- Coonrobi, Tolitha? – spytałem, zgodnie z jej życzeniem zwracając się po imieniu.

- Kółko!

Savannah ze śmiechem podbiegła do okna.

- Powiedział, że ludzie nie powinni mieć za złe sześćdziesięciolatkowi, jeśli swój krzyż oprze na kółku. Dodał także, że Jezus miał trzydzieści trzy lata, kiedy niósł swój krzyż na górę, więc trudno się dziwić, że człowiek niemal dwa razy starszy będzie trochę słabszy. Z każdym rokiem w głowie robi mu się coraz gorzej. Nie ma o czym gadać, wkrótce będę go musiała oddać do domu dla umysłowo chorych. W tym tygodniu znowu był tutaj policjant z drogówki i usiłował nakłonić go do oddania prawa jazdy. Mówią, że jak wyjeżdża fordem na drogę, wszyscy są w niebezpieczeństwie.

- Dlaczego za niego wysłaś, Tolitha? - spytała Savannah.

- To śmieszne, żeby żyło ze sobą dwoje ludzi, którzy tak są od siebie różni pod każdym względem.

Babka spojrzała na podwórze, a w okularach odbiło się okno i to, co za nim widziała. Pytanie zaskoczyło ją i zrozumiałem, że Savannah zadała jedno z tych wzbronionych pytań, które miało straszliwe implikacje, gdyż wiązało się z tajemnicami sięgającymi przed nasze urodzenie.

- Dam wam mrożonej herbaty - powiedziała w końcu Tolitha. - On tam zabawi jeszcze dobrą chwilę, a ja teraz mogę sobie z wami porozmawiać, kiedy jesteście tacy wyrośnięci, rozgarnięci i w ogóle.

Nalała nam trzy wielkie kubki herbaty, a do kostek lodu dodała liście mięty. Usiadła z powrotem na stołku i poprawiła okulary na nosie.

- Kiedy poznałam waszego dziadka, wiedziałam, że jest chrześcijaninem, a to dlatego, że wtedy wszyscy w miasteczku byli chrześcijanami. Także i ja byłam chrześcijanką, tyle że jak się pobieraliśmy, miałam czternaście lat i nie miałam żadnego pojęcia o świecie. Dopiero później zorientowałam się,

że jest fanatykiem. Jakby to przede mną ukrywał, kiedy flirtowaliśmy, bo taki był napalony, żeby się do mnie dobrać.

- Tolitho - powiedziałam z wyrzutem w głosie, cały w pasach.

- Czasami taki z ciebie dzieciak, Tom - obruszyła się Savannah. - Wystarczy by ktoś wspomniał o seksie, a ty reagujesz, jakby cię wąż ukąsił.

Babka roześmiała się i ciągnęła:

- Nieźle go podniecałam jako dziewczynka, a przez te pierwsze lata nigdy pod kołdrą nie słyszałam ani słówka o Jezusie.

- Tolitha, zmiłuj się, na litość boską - jęknąłem. - Nie chcemy tego słuchać.

- Wprost przeciwnie - sprzeciwiła się Savannah. - To fascynujące, - Kto poza takimi zбочeńcami jak wy chce słuchać dokładnych opisów, jak dziadkowie uprawiali seks ze sobą.

- Z biegiem lat znudził się mną, jak wszyscy mężczyźni, i zaczął modlić się do Boga dwadzieścia cztery godziny na dobę, aż w głowie mu się od tego pomieszało. Nic dobrego w życiu nie działał. Nic, tylko strzygł włosy, sprzedawał parę Biblii i gadał o niebie, piekle i wszystkim, co między nimi.

- Ale to taki dobry człowiek - zaprotestowałem.

Obróciła się i spojrzała na podwórze. W jej wzroku nie było gniewu, a tylko łagodność i zniewalająca tkliwość. Dziadek dalej nachylał się nad krzyżem i do jego spodu mocował gumową trzykółkę.

- Ludzie ciągle mnie pytają, jak to jest być żoną świętego. Nudno, odpowiadam. Lepiej już poślubić diabła. Zakosztowałam w życiu trochę nieba, zakosztowałam piekła i w każdym przypadku wołałabym piekło. Ale masz rację, Tom. To bardzo piękny człowiek.

- To dlaczego go zostawiłaś podczas kryzysu? - spytała Savannah, ośmielona jej otwartością i bezceremonialnym ujawnianiem dawnych sekretów. - Tata nie chciał nawet o tym mówić.

- Chyba jesteście już dostatecznie duzi, żeby wiedzieć - powiedziała, obracając się ku nam, a jej głos stał się o wiele mniej pewny, jakby senny. - W samym środku kryzysu porzucił pracę i zaczął głosić słowo Boże przed wejściem do apteki Baitery'ego. Było z tego jeszcze mniej pieniędzy niż z fryzjerki. Wbił sobie do głowy, że kryzys jest znakiem, iż świat zszedł na psy. Wtedy nietrudno było o takie myśli, wielu ludzi mówiło to samo. Zaczęliśmy głodować albo przynajmniej byliśmy już bardzo blisko tego. Ja tam za tym nie przepadam. Powiedziałam Amosowi, że odchodzę od niego. Oczywiście, nie uwierzył mi, bo ludzie wtedy nie rozwodzili się jak dzisiaj. Zagroziłam, że wrócę i zabiję go, jeśli nie będzie się opiekował ojcem, wysłałam na szosę i złapałam samochód do Atlanty. W tym samym tygodniu

zaczęłam pracować u Richa. Niedługi czas potem poznałam Papę Johna i parę dni później wyszłam za niego.

- To okropne, Tolitho - powiedziałem. - To najgorsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem.

- Święty jest tam, na podwórzu, Tom - powiedziała i zmrzyła oczy za okularami, a jej brwi zetknęły się niczym dwie gąsienice. - Tutaj w kuchni siedzi kobieta. Nie jestem dumna ze wszystkiego, co zrobiłam, ale o wszystkim wam opowiem.

- I co tu się dziwić, że ojciec jest taki narwany - mruknąłem.

- Zamknij się, Tom - ofuknęła mnie Savannah. - Taki z ciebie tradycjonalista. Nie masz najmniejszego pojęcia, jak trzeba walczyć o przeżycie.

- Postąpiłam najlepiej, jak mogłam w tamtych warunkach. Wydawało się wtedy, że cały świat dostał odrobinę kręcka, co i mnie dotknęło.

- Mów dalej - popędziłem babkę - bo dziadek zaraz wróci.

- Dziadkiem nie masz się co przejmować. Będzie marudził przy tym krzyżu do kolacji. Zgodzę się, że najgorsze to było dla waszego ojca. Miał dopiero jedenaście lat, kiedy przywiozłam go do Atlanty, a wcześniej nie widział mnie przez jakieś pięć lat. Prawie mnie nie poznał, nie mógł pojąć, dlaczego go zostawiłam i dlaczego ma się teraz do mnie zwracać „Tolitha”, a nie „mamo”. Krzyczał przez sen „mamo, mamo, mamo”, a Papie Johnowi serce pękało, wstawał więc i śpiewał waszemu ojcu greckie piosenki tak długo, aż ten zasnął. Wasz ojciec nie znał i nie chciał znać żadnej Tolithy, dzisiaj już tak bym nie zrobiła. Mówię szczerze. Ale dzisiaj to nie wczoraj. I tego, co stało się wczoraj, nie można już odwrócić.

- To tak trudno pomyśleć, że tata przeżył jakąś tragedię. A już szczególnie, że miał tragiczne dzieciństwo. Ja w ogóle nie potrafię go sobie wyobrazić jako dziecka.

- A miałaś jeszcze innych mężów, Tolitho? - spytałem.

- Zupełnie jakbym słyszała waszą matkę - roześmiała się.

- Nie, nie - zapewniłem pospiesznie. - Tak ludzie plotkują na mieście.

- Kiedy umarł Papa John, byłam na pół obłąkana z żalu. Wzięłam pieniądze, które mi zostawił, a było tego trochę, powiem wam, i pojechałam obejrzeć wszystkie te miejsca, o których dotąd tylko słyszałam. Hongkong, Afryka, Indie. Popłynęłam statkiem dookoła świata, od portu do portu. Pierwszą klasą. No i miałam problem z tym, że wszyscy zawsze mnie kochali, a szczególnie mężczyźni. Po prostu taka już jestem. Mężczyźni zawsze lubią kręcić się koło mnie, jakbym wydzielala jakiś przyjemny zapach. Po prostu sobie siedzę, a ci się przepychają, starają się mnie

zabawić, rozśmieszyć, stawiają drinki. Wysłałam za kilku z nich. Najdłuższy związek trwał pół roku, dokładnie tyle, ile trzeba było na przepłynięcie z Madagaskaru do Capetown. Chciał, żebym z nim robiła różne świństwa.

- Jakie, jakie? - spytała gorączkowo Savannah i nachyliła się do babki.

- Nie, nie pytaj jej, błagam - prosiłem. - Nie pytaj!

- Dlaczego?

- Bo nam powie, Savannah. Powie nam, a to będzie coś okropnego i nie będzie potem wiadomo, gdzie oczy podziać.

- Chciał, żebym mu ssała i lizała to miejsce, gdzie się schodzą u mężczyzny nogi - wyjaśniła babka, muszę przyznać, dość oględnie jak na nią. Najczęściej mówiła trochę więcej, niż się chciało.

- Ale obrzydlistwo - skrzywiła się Savannah.

- Miał takie zwierzęce pragnienia - powiedziała Tolitha. - To było jak zmora.

- A dlaczego wróciłaś do dziadka? - spytałem, aby odciągnąć rozmowę od zwierzęcych pragnień.

Popatrzyła na mnie i podniosła do ust mrożoną herbatę. Przez chwilę myślałem, że nie chce czy nie może odpowiedzieć.

- Zmęczyłam się, Tom. Byłam naprawdę zmęczona. A poza tym zaczynałam się starzeć - wyglądałam staro, czułam się staro, wiedziałam zaś, że Amos trwa tu nad rzeką i zawsze na mnie czeka. Wiedziałam, że mogę tu wylądować, a on nie powie mi złego słowa, tylko będzie wdzięczny, że wróciłam. Tak samo jest z waszym tatą i Lilą. Przez całe życie istnieje dla niego tylko ta jedna kobieta, podobnie jak dla jego ojca. Widać z tego, że krwi łatwiej jest przekazać z pokolenia na pokolenie fanatyzm niż to coś, co sprawiło, że każdy mnie kochał.

- Ale przecież wszyscy kochają także dziadka - powiedziałem, czując nagle, jak żal mi mężczyzny krzątającego się przy krzyżu.

- Kochają go, Tom, bo jest fanatykiem. Bo każdego roku ugina się pod krzyżem. Ale powiedz mi, kto potrzebuje świętego? Ja wolę drinka i trochę zabawy.

- Ale kochasz dziadka, prawda, Tolitho? - nalegałem.

- Miłość - powiedziała i zamilkła, jak gdyby obracała to słowo w ustach niczym mdłą tabletkę. - Tak, chyba go kocham. Musisz kochać kogoś, do kogo zawsze można wrócić, kto będzie na ciebie czekał w domu. Niedawno myślałam o czasie. O czasie, nie miłości, ale one jakoś się ze sobą łączą, a ja nie jestem na tyle mądra, żeby powiedzieć, jak dokładnie. Byłam razem z waszym dziadkiem niemal tyle samo czasu co z Papą Johnem, ale kiedy spoglądałam teraz na swoje życie, wydaje mi się, że moje małżeństwo z Papą

Johnem trwało tylko kilka dni. Tyle w nim byłam szczęśliwa. A żoną waszego dziadka jakbym była tysiąc lat.

- To jest dorosła rozmowa - powiedziała z dumą Savannah. - Od długiego czasu czekałam na dorosłą rozmowę.

- Wasi rodzice usiłują was chronić, Savannah, przed rzeczami, których, jak sądzą, dzieci nie powinny wiedzieć. Nie aprobują życia, które prowadziłam. Ponieważ jednak jest to dorosła rozmowa, więc chyba nie muszą się o niej dowiadywać.

- Ja im nic nie powiem - oznajmiła Savannah. - Ale z Toma jest czasem taki dzieciak.

Zignorowałem uwagę siostry i spytałem:

- Myślisz, Tolitho, że ojcu udało się jakoś wygrzebać z tego, że go zostawiłaś?

- Chodzi ci o to, Tom, czy mi wybaczył? Chyba tak. W rodzinie nad wszystkim można przejść do porządku. To jedna z tych rzeczy, których nauczysz się jako dorosły. Będziesz musiał się nauczyć jeszcze wielu gorszych rzeczy. Nawet nie pomyślałbyś, aby wybaczyć przyjacielowi to, co wobec ciebie robią rodzice. Ale z przyjaciółmi jest inaczej, to nie jak rzut kośćmi.

- Muszę pomóc dziadkowi nieść krzyż - powiedziałem.

- Mhm. Ja muszę do sklepu z alkoholem.

- Znowu chcesz się upić na Wielki Piątek? - spytałem.

- Tom, ale z ciebie grubianin - obruszyła się Savannah, ale Tolitha tylko się roześmiała.

- Żadna inna cywilizowana odpowiedź na jego procesje nie przychodzi mi do głowy. Poza tym to mu przypomina, że nie jestem i nie będę jego własnością. W ten sposób usiłuję mu powiedzieć, jaki jest śmieszny. Oczywiście, kilka dni temu rzecz całą obgadał z Bogiem i dostał zielone światło, nie sposób więc teraz czegokolwiek mu wyperswadować.

- Jest po prostu dobrym chrześcijaninem, tak mi powiedział - oznajmiłem. - Mówi, że gdyby świat był jak należy, całe Colleton wraz z nim dźwigałoby krzyże.

- Wtedy zamknęliby całe miasto. Nie, Tom. Nie mam nic przeciwko byciu dobrym chrześcijaninem. Uwierz mi. Chcę, żebyś i ty był dobrym chrześcijaninem, ale nie podchodź do tego z taką powagą.

- Tolitha, a ty jesteś dobrą chrześcijanką? - spytała Savannah. - Myślisz, że pójdziesz do nieba?

- Nie zrobiłam w całym życiu ani jednej takiej rzeczy, za którą zasługiwałabym na wieczne palenie się w ogniu. Żaden bóg, który robi coś



takiego, nie zasługuje na to, aby być bogiem. Bardzo starałam się mieć ciekawe życie i nie widzę, dlaczego miałyby to być złe.

- A myślisz, że dziadek także miał ciekawe życie? - spytałem.

- Ale ty zadajesz głupie pytania, Tom - po raz kolejny zirytowała się Savannah.

- Posłuchaj, Tom, ilekroć będziesz się zastanawiał, jakie życie jest ciekawe, pamiętaj o jednym. Kiedy twój dziadek obcinał włosy, a mama i tata zbierali kraby i obcinali główki krewetkom, ja wjeżdżałam do Afganistanu przez przełęcz Khyber przebrana za afgańskiego wojownika. Przypuszczam, że nie spotkasz żadnej innej osoby, która to zrobiła.

- Ale wróciłaś tutaj, Tolitho. Co w tym było dobrego, skoro i tak na koniec wylądowałaś w Colleton? Tam, skąd wyruszyłaś? - nastawałem.

- Skończyły mi się pieniądze. Nie udało mi się zrobić tego, co sobie zamierzyłam.

- A ja myślę, że z całej rodziny tylko ty odniosłaś sukces - powiedziała Savannah. - Mówię prawdę. Tylko dzięki tobie wiem, że mogę stąd uciec.

- Widać w tobie Tolithę, Savannah, jeszcze od czasu, jak byłaś małą dziewczynką. Ale rozegraj to mądrzej niż ja. Nie byłam zbyt sprytna. Kobiety wtedy miały znacznie gorzej. Trudniej. W każdym razie staraj się wyrwać, jeśli tylko będziesz mogła. Colleton to trucizna, słodka, ale trucizna, kiedy cię raz dotknie, trudno ją usunąć. To śmieszne. Widziałam w Europie, Afryce i Azji miejsca tak piękne, że chciało mi się płakać, ale żadne nie było piękniejsze od Colleton, mówię prawdę. Żadne nie sprawiło, bym zapomniała widok naszych bagien i naszej rzeki. Zapach Colleton niesie się w kościach, gdziekolwiek człowiek wyjedzie. Nie wiem, czy to dobrze czy źle.

Wstała i rozpalila w piecyku. Było spokojne popołudnie, powietrze chłodne i jedwabiste. Barka z drewnem popłynęła w górę rzeki, dziadek pomachał komuś na pokładzie. Róg odpowiedział basowym pomrukiem i jednocześnie most nad rzeką pękł i zaczął się rozdwajać.

- Wyjdźcie porozmawiać z dziadkiem - powiedziała. - Przygotuję coś do zjedzenia, a wy możecie skoczyć nad rzekę i przynieść parę ostryg, to je zrobię, zanim kurczak się upieczce.

Wyszliśmy na podwórze i znaleźliśmy się w zupełnie innym świecie dziadka Wingo. Stawiał właśnie krzyż, aby potem oprzeć go sobie na plecach i pociągnąć przez trawę, sprawdzając, jak działają kółka, ośki lekko skrzypiały.

- Jak się macie, szkraby - uśmiechnął się na nasz widok. - Nie wiem już, co zrobić, żeby tak nie piszczwały.

- Cześć, dziadku - zawołaliśmy i pobiegliśmy, aby ucałować go, obciążonego krzyżem.

- No, powiedzcie, jak to wygląda - rzekł z niepokojem. - Ale szczerze. Nawet jakby to miało dziadka zabołec. Sądzicie, że te kółka są w porządku?

- Wygląda świetnie, dziadku - oznajmiła Savannah - chociaż nigdy przedtem nie widziałam jeszcze krzyża na kółkach.

- W zeszłym roku cały tydzień przeleżałem w łóżku po tym marszu wielkopiątkowym - wyjaśnił. - Pomyślałem, że z kółkiem będzie mi trochę lżej, ale boję się, że ludzie źle to rozumieją.

- Dobrze rozumieją - zapewniłem.

- A dlaczego nie dasz sobie z tym spokoju, dziadku? - spytała Savannah.

- Niech ktoś młodszy cię zastąpi.

- Sam się nad tym zastanawiałem, dziecino. Zawsze miałem nadzieję, że jak już mnie nie będzie, wezmą krzyż Luke albo Tom. O to się modłę do dobrego Pana Boga. To byłoby piękne, gdyby cała rzecz została w rodzinie, prawda?

- Tom na pewno zrobi to z ochotą - wielkodusznie oznajmiła Savannah. - Mówiąc szczerze, ja także modłę się o to samo do dobrego Pana Boga.

Uszczyptałem Savannah w ramię i powiedziałem:

- Babcia chce, żebyśmy poszli nad rzekę i zebrali kilka ostryg. Pójdziesz z nami, dziadku?

- Z przyjemnością, kochani. Tom, bądź tak dobry i pójdź z krzyżem do garażu. Muszę jeszcze popróbować, czy nie da się czegoś zrobić z tym skrzypieniem.

- Zrobi to z radością - zapewniła Savannah. - A poza tym niech już się przygotowuje, żeby od ciebie przejąć to zadanie.

Wziąłem krzyż od dziadka i jak najszybciej poszedłem z nim przez trawę. Słyszałem, jak babka zaśmiewa się w kuchni.

- Jeszcze chwilkę, kochanie - powiedział dziadek. - Zaraz zobaczymy. - Nachylił się i z zardzewiałej bańki polał trochę oleju na kółka. - No a teraz?

Podjąłem marsz, starając się nie dostrzegać uśmiechu Savannah i twarzy babki za kuchenną szybą. Dziadek był oczywiście immunizowany na coś takiego jak śmieszność czy upokorzenie.

- Dobrze wygląda z tym krzyżem, jak myślisz, dziecino? - spytał dziadek Savannah.

- Bosko, dziadku - zgodziła się siostra. - On jest chyba wprost urodzony do noszenia krzyża. - Ciężki - poskarżyłem się.

- A spróbowałbyś bez kółek. To męska sprawa. Pomyśl jednak o cierpieniu Pana naszego i tym wszystkim, co zniósł dla mnie i dla was.

- Tak, tak, Tom. Przestań się uzalać. Zastanów się, ile wycierpiał Zbawiciel - drwiła Savannah.

- Przejdź się jeszcze raz, chłopcze - powiedział dziadek. - Chcę być zupełnie pewny, że już nie skrzypi.

Kiedy wreszcie odstawiliśmy krzyż do garażu, cała nasza trójka poszła nad rzekę i załadowała się do małej zielonej łódki dziadka. Ręcznie zapaliłem motor, pozbierałem cumy i popłynęliśmy na ostrygowy brzeg St. Stephen's Island naprzeciw wraku „Hardeville”, promu z kołami łopatkowymi, który zatonął podczas tego samego huraganu, kiedy my przychodziliśmy na świat. Jego wielkie koła zaryły się w muł i z daleka wyglądały jak połówki zegarów. Na spodzie kadłuba osiadły tysiące ostryg, a podczas przyływu było to jedno z najbardziej rybnych miejsc w całym hrabstwie. Od kiedy pamiętam, w brązowym wraku mieszkała rodzina wydr. Tradycja uświęciła je, uczyniła nietykalnymi i żaden myśliwy nie ośmielił się zastawiać na nie sideł. Dwoje wydrzątek uganiało się między wręgami promu, kiedy dziadek wyłączył silnik i z rozpędu wjechaliśmy na odsłonięte przez odpływ ławice.

- Czy to nie miłe, że Jezus umieścił ostrzygi tak blisko domu? Dobrze wie, jak je lubimy - mówił dziadek, podczas gdy ja i Savannah wychyliliśmy się za burty i odrywaliśmy ostrzygi od brzegu. Wyciągnęliśmy z tuzin dużych, wielkości męskiej dłoni, a potem dziesięć mniejszych szepionych razem i rozdzieliliśmy je młotkiem na przodzie łódki. - Zawsze mi się wydaje, że ostrzygi się modlą - ciągnął dziadek. - Dwie dłonie złożone w podzięce.

Były jednak również ostre i niebezpieczne, poruszałem się więc niepewnie, chwiejnie jak na poletku żyletek. Czulem pod tenisówkami muszle martwych ostryg, kiedy szczypcami wydobywałem inne z wody na mdłe światło dnia.

Kiedy zebraliśmy już czterdzieści ostryg, przeszedłem przez burtę i znowu zepchnąłem łódź w nurt rzeki. Dziadek nie mógł uruchomić motoru, więc niczym liść dębowy miękko sunęliśmy po perłowej wodzie, podczas gdy wydry zataczały wokół nas lśniące kręgi. Wzburzona ich ruchami woda nabierała głębszego odcienia perły, a dziadek z kroplami potu na czole raz za razem ciągnął za sznur rozrusznika. Tymczasem dorosła wydra ze srebrnym pyskiem wdrapała się na jedną z wręg wraku, trzymając w zębach dygoczącego jeszcze pstrąga. Ułożyła go między łapami, przypatrywała się przez chwilę, a potem zaczęła pożerać, tak jak człowiek je kukurydzę. To Savannah pierwsza zobaczyła Śnieg - Śnieg! - wrzasnęła i zerwała się tak gwałtownie, że o mało nie wywróciła łódki. Położyłem ręce na obu burtach i przerzucałem ciężar ciała z jednej nogi na drugą, aż wreszcie kolebanie

ustało. Dziadek na chwilę dał spokój silnikowi i spojrział w dół rzeki, tam gdzie wskazywała Savannah. Dwieście jardów od nas zobaczyliśmy, jak biały morświn wzbija fale, sunąc w naszym kierunku.

Miałem dziesięć lat, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem białego morświna, znanego jako Śnieg Karoliny, który płynął za naszą łódką wracającą z całodziennego połowu wzdłuż Spaulding Point. Nikt z krewetkowej braci nie pamiętał, by na wybrzeżu atlantyckim widziano kiedyś białego morświna, niektórzy posuwali się do sugestii, że to jedyny na świecie. W całym hrabstwie Colleton, gdzie było bez liku słonych rzek i strumieni przypiływowych, widok Śniega zawsze stanowił wydarzenie. Nigdy nie widziano go w towarzystwie innych morświnów i niektórzy rybacy, w tym także mój ojciec, powiadali, że podobnie jak ludzie, także i morświny nie lubią odmieńców, więc z racji swej białości Śnieg został skazany na banicję i samotnie błakał się po zielonych wodach Colleton. Owego pierwszego dnia odprowadził nas niemal do samego mostu, zanim zawrócił do morza. Śnieg był jednym z elementów, które pozwalały Colleton czuć się miejscem wyjątkowym, i każdy z mieszkańców już do końca życia pamiętał moment, kiedy go po raz pierwszy zobaczył. Stanowił jakby żywe przypomnienie, że morze nigdy nie traci swej zdumiewającej twórczej siły.

Z biegiem czasu Śnieg stał się w miasteczku symbolem szczęścia. Colleton będzie rozkwitać i opływać w dostatki, jak długo biały morświn będzie odwiedzać jego wody. Bywały okresy, kiedy znikał na długo, a potem nagle znowu pokazywał się między morskimi wysepkami Karoliny. Nawet gazeta odnotowywała jego znikanie i pojawianie się. Jeśli wpłynął w główny kanał i majestatycznie sunął przez miasto, na brzegach gromadzili się wszyscy mieszkańcy. Zamierały wszystkie interesy, gdyż obywatele Colleton chcieli uczcić fakt, iż Śnieg ich nie porzucił. Z rzadka pojawiał się w głównej odnodze rzeki i dlatego każdy taki przypadek sprawiał, iż miasto zastęgało. Nadpływał jako symbol, dar, władca, zawsze samotnie, więc ludzie, którzy z brzegów pozdrawiali go, wołali po imieniu, sławili białą obecność, stanowili jedyną rodzinę, jaką kiedykolwiek poznał.

Dziadek wreszcie zapalił silnik i skierował łódkę w kierunku kanału. Śnieg rósł przed nami, jego grzbiet lśnił w zamierającym świetle.

- Płynie w naszym kierunku - oznajmił dziadek, korygując odrobinę ster.  
 - Jeśli to nie jest żywy dowód na istnienie Pana Boga, to nie wiem, co jeszcze mogłoby nim być. Przecież mógłby poprzestać na normalnym morświnie, stworzeniu tak samo pięknym jak wszystkie inne. Ale nie, ciągle obmyśla rzeczy coraz piękniejsze, aby nimi uradować ludzkie oko.

- Jeszcze nigdy nie widziałam go z tak bliska - powiedziała Savannah. - Jest śnieżnobiały jak obrus.

Kiedy jednak wynurzył się o dwadzieścia jardów od nas, nie była to tylko śnieżna biel, przepłynął tuż obok i na grzbiecie zobaczyliśmy delikatne wstęgi różnych kolorów, srebrzyście błysnęły płetwy, natychmiast wiedziało się, że nigdy nie ma tej samej barwy.

Okrzyknął nas, przepłynął pod dnem, niczym struga mleka w rzece, potem zawisł tuż pod powierzchnią, podobny do brzoskwini czy wysoko wzeszłego księżyca, potem znowu zmleczniał.

Wspomnienia z dzieciństwa, których nie mogę odtworzyć w całości, są podobne błyskom rtęci. Nieodparte, symboliczne, przychodzą tylko we fragmentach, nieustannie budząc drżenie serca. Rzeka, miasto, dziadek prowadzący łódkę przez kanał, siostra zastygła w radosnym olśnieniu, które potem przełoży na najlepsze ze swoich wierszy, zapach zebranych ostryg, dźwięczne głosy dzieci na brzegu... Kiedy nadpływa biały morświn, jest to wszystko, ale jest także przemiana. W snach morświn pozostaje w wodach pamięci, blady bóg, który ożywia ogień i najgorszy mróz wszystkich ciemnych wód mej historii. Wiele było złych rzeczy w moim dzieciństwie, ale rzeka do nich nie należała, a jej nieocenionych darów nie da się zamienić ani sprzedać.

Kiedy przepływaliliśmy pod mostem, spojrzałem wstecz i zobaczyłem cienie ludzi, którzy zbiegli się, aby oglądać Śniega. Nad cementową balustradą widać było ich głowy zebrane w grupy poprzedzielane przerwami jak paciorki zniszczonego różańca. Usłyszałem głos jakiejś dziewczynki, która prosiła Śniega, żeby wrócił pod most. Mężczyźni i kobiety wybiegli na pływające pomosty, które kołysały się na fali przyływu, wszyscy pokazywali miejsce, w którym morświn pojawił się po raz ostatni.

Biały morświn dla dziadka był białym uśmiechem Boga wynurzającym się z głębin.

- Dzięki Ci, Panie - postyszałem za nami głos dziadka wygłaszającego jedną z nieprzygotowanych wcześniej modlitw, które spontanicznie wyrwały mu się z ust, gdy głęboko poruszył go świat zewnętrzny. - Serdeczne dzięki za ten raz.

Odwrociłem sieja, odwróciła się siostra, a ów dobry człowiek uśmiechnął się do nas promiennie.

Potem, długo już po śmierci dziadka, będę żałował, że nigdy nie uda mi się być kimś takim jak on. Chociaż jako dziecko uwielbiałem go i przyciągała mnie subtelna opiekuńczość jego łagodnej, niekrytycznej

męskości, to jednak nie cenilem go bardzo wysoko. Nie wiedziałem, jak radować się świętością, nie przychodziło mi do głowy, aby swój wątył głos przyłączyć do wielkiej pochwały, która wyrastała z jego naturalnej niewinności i wielkodusznej prostoty. Dzisiaj wiem, że jakaś część mego Ja chciałaby jak on wędrować przez świat - pajac płomiennej wiary, tępy książę lasu, promieniejący miłością do Boga. Bardzo bym chciał przemierzać jego świat Południa, dziękując Bogu za ostrygi i morświny, wychwalając Go za śpiew ptasi i zorze, widząc Go w rozlewiskach strumienia i ślepiach bezdomnego kota. Chciałbym i ja rozmawiać z psami podwórzowymi i trznadłami, jak gdyby byli moimi przyjaciółmi i towarzyszami drogi po wyprazonych słońcem autostradach, chciałbym i ja być tak porażony miłością Boga i przepelniony dobrocią niczym tęcza, która bezwiednie zlewa różne barwne odcienie i wspaniałym łukiem łączy dwa dalekie pola. Chciałbym i ja widzieć świat oczyma zdolnymi tylko do zachwytu i mówić o nim językiem zdolnym tylko do pochwały.

Morświn pozeglował w górę rzeki, samotny, wyobcowany jak każdy wyrzutek, a ja poczułem głębokie z nim pokrewieństwo, ale dziadek - o nie, dobrze wiedziałem, co czuje dziadek, kiedy widzi Śniega w drodze pod prąd. Odprowadzał go wzrokiem, jednocześnie zważając na tor wodny kanału, aż wreszcie morświn mignął raz jeszcze, a potem zniknął za zielonym parawanem brzegu w miejscu, gdzie rzeka bierze ostry skręt w prawo.

Luke czekał na nas na przystani. Słońce miał z tyłu, zwrócony ku nam stał więc z ciemną twarzą - ciemna sylwetka, pomnik z cienia ozłoconego blaskiem. Dziadek wyłączył silnik, a Luke nogą przytrzymał łódkę i wziął ode mnie cumę.

- Widzieliście Śniega? - spytał.
- Był rozbrykany jak szczeniak - powiedział dziadek.
- Tolitha wszystkich zaprosiła na kolację.
- Ostryg wystarczy - zapewniłem.
- Tata przyniósł ponad pięć funtów krewetek i Tolitha chce je usmażyć.
- Wydawałeś mi się gigantem, jak patrzyłam na ciebie od strony rzeki - powiedziała Savannah. - Założę się, że jeszcze rośniesz.
- Bo i rosę, siostrzyczko. Ale nie ma mowy, żeby jakieś liliputy wdrapywały się po mnie.

Zacząłem zbierać ostrygi i wyrzucać je na pomost, a Luke zbierał je do wiadra. Potem przywiązaliśmy łódkę i poszliśmy do domu.

Razem z Savannah i Lukiem zostaliśmy na tylnym ganku i otwieraliśmy ostrygi, wrzucając je do miski, którą babka podała od kuchennych drzwi.

Otworzyłem jedną wielką muszlę, wyssałem ostrygę, przez chwilę trzymałem w ustach, delektując się jej smakiem i zapachem, a potem pozwoliłem jej spłynąć do przełyku. Nie znam niczego doskonalszego od świeżości i aromatu surowej ostrygi. To woń oceanu, która ledwie nabrała ciała. Słyszeliśmy z kuchni głosy matki i babki, beczasowe, poważne głosy kobiet, które przygotowują jedzenie dla swej rodziny. Na wschodzie pokazała się Wenus, nugat białego srebra, w drzewach cykady rozpoczęły obrady zwariowanego parlamentu. Ktoś włączył w domu telewizor.

- Rozmawiałem dziś z trenerem Samsem - oznajmił Luke i zgrabnym ruchem przegubów rozwarł ostrygę. - Mówi, że ten kolorowy chłopak rzeczywiście przychodzi do szkoły.

- Benji Washington. Syn przedsiębiorcy pogrzebowego.

- Widziałam go już - obwieściła Savannah.

- To czarnuch - odezwałem się.

- Nie waż się tak mówić, Tom. - Savannah patrzyła na mnie oburzona. - Nie lubię tego słowa. Po prostu go nie znoszę.

- Mogę mówić, co mi się żywnie podoba - zaoponowałem.

- Nie muszę prosić cię o pozwolenie, żeby mówić to, co mi się podoba. Będą z jego powodu tylko same kłopoty i rozwali nam ostatnią klasę.

- To wstrętne, obrzydliwe słowo, a kiedy go używasz, sam stajesz się nikczemnikiem.

- Savannah - odezwał się łagodnie w ciemności Luke - Tom nie ma na myśli nic złego. On tylko zawsze chce udawać większego twardziela, niż jest.

- Po prostu czarnuch. I co niby w tym złego, że mówię o nim tak, jak jest? - upierałem się, twardej większy niż kiedykolwiek dotąd.

- Bo dobrze wychowani ludzie nie używają tego słowa, ty mały skurwysynku.

- Proszę, proszę - obruszyłem się. - Rozumiem, że w ustach naprawdę dobrze wychowanych ludzi słowo „skurwysyn” brzmi pieszczotliwie.

- Czas kolacji, a wy znowu musicie się kłócić - powiedział ponuro Luke.

- Dajcie spokój, na miłość boską. Żałuję, że w ogóle zacząłem ten temat.

- Ostrzegam cię, Tom, nigdy więcej nie używaj przy mnie tego słowa - uprzedziła Savannah.

- A od kiedy to stałaś się królową piękności NAACP?

- A nie moglibyśmy po prostu otwierać ostryg i słuchać żab - znowu spróbował interweniować Luke. - Nie znoszę, jak się oboje kłóćcie.

- Nie wolno ci go używać przy mnie, Tom. Nienawidzę tego słowa, podobnie jak ludzi, którzy go używają.



- Tata używa go nieustannie.

\* NAACP (National Association for Advancement of Coloured People - Narodowe Stowarzyszenie Wspierania Ludności Kolorowej) - założona w 1909 roku organizacja przeciwdziałająca praktykom segregacji rasowej, za jej sprawą Sąd Najwyższy USA wydał w roku 1954 dekret zabraniający segregacji w szkołach.

- Jego można usprawiedliwić, bo jest idiotą. Ciebie nie.

- Ja wcale się tego nie wstydzę, że jestem południowcem, Savannah - powiedziałem. - W przeciwieństwie do pewnych osób, które co tydzień czytają „New Yorkera”.

- Powinieneś wstydzić się tego, że jesteś takim południowcem. Mały śmierdziel.

- Przepraszam Waszą Królewską Wysokość.

- Uciszcie się wreszcie - syknął Luke, patrząc w kierunku kuchennego okna. W powietrzu rozszedł się zapach ciasta. - Dobrze wiesz, Tom, że mama nie pozwala nam używać tego słowa.

- Nie wolno ci myśleć tak jak najgorsza część Południa. Nie pozwolę, żebyś tak schamiał. Wytrzaskam cię po twarzy, żeby tak się nie stało.

- Mogę tak ci przyłożyć, Savannah, że się sfajdasz - powiedziałem zaczepnie i popatrzyłem na nią odpowiednio. - Dobrze o tym wiesz.

- Jasne, możesz, damski bokserze, ale jeśli tylko tkniesz mnie palcem, Wielki Luke dopiero da ci popalić. A w porównaniu z Lukiem jesteś słaby jak mrówka.

Popatrzyłem na brata, który przypatrywał nam się z uśmiechem, a teraz pokiwał głową.

- Ma rację. Nie pozwolę, żebyś zrobił jakąś krzywdę naszemu cukiereczkowi.

- Ale Luke, przyznasz chyba, że to ona zaczęła całą kłótnię? Ja tylko coś sobie niewinnie mruknąłem o czarnuchu.

- Tak - zgodził się. - Ona zaczęła i ona wygrywa, braciszku.

- Jesteś stronniczy.

- Jestem po prostu większy.

- Mój książę - wykrzyknęła Savannah, zawieszając się na szyi Lukowi i całując go w usta. - Mój byczkowaty książę, władca bocznych linii.

- No, no, Savannah, tylko bez tego - powiedział Luke i zaczerwienił się. - Ciało jest tylko ciałem i nie zna się na rodzinnych subtelnościach.

- No, a powiedzmy, że przywaliłbym Savannah - postawiłem problem. - Rozważmy to czysto teoretycznie. Załóżmy, że w samoobronie klepnąłbym ją w policzek. Przecież nic byś mi nie zrobił, prawda, Luke?

- Kocham cię aż do bólu, Tom - powiedział Luke i otworzył ostrygę - i dobrze o tym wiesz. Ale jeśli tylko tkniesz Savannah, dupę będziesz miał w strzępach. Będzie mnie to bolało o wiele bardziej niż ciebie, ale połamię ci wszystkie kosteczki co do jednej.

- A ja się wcale ciebie nie boję, Luke - powiedziałem.

- Boisz się, Tom - powiedział łagodnie. - I nie masz się czego wstydzić. Po prostu jestem o wiele silniejszy od ciebie.

- Tom, pamiętasz, jak mama czytała nam Dziennik Anny Frank? - spytała Savannah.

- Oczywiście.

- Pamiętasz, jak płakałeś na końcu?

- To nie ma nic wspólnego z tym, o czym teraz mówimy. W całym Amsterdamie nie było z pewnością żadnego czarnucha.

- Ale byli naziści, Tom, a, oni używali słowa „Żyd” tak jak ty teraz „czarnuch”.

- Daj mi spokój, Savannah.

- A kiedy Benji Washington po raz pierwszy wejdzie w drzwi szkoły na początku roku, masz pamiętać o Annie Frank.

- Jezus Maria, daj mi w spokoju otwierać ostrygi.

- Załatwiła cię na amen, Tom. Tak naprawdę, to lubię słuchać, jak się kłócicie. Zaczynasz zawsze tak, jakbyś posiadał wszystkie rozumy, a na końcu sam nie wiesz, co powiedzieć.

- Ja po prostu nie przepadam za sprzeczką. To główna różnica między mną i Savannah.

- Wcale nie główna, Tom - powiedziała siostra, wstając i kierując się do drzwi.

- Więc jaka niby jest główna? - spytałem i spojrzałem w ślad za nią.

- Naprawdę chcesz wiedzieć? Nie martwisz się, że cię to zaboli?

- Nie możesz powiedzieć czegoś takiego, co mnie zaboli. A poza tym, wiem dobrze, co możesz sobie pomyśleć. Pamiętaj, że jesteśmy bliźniakami.

- Ale o tej różnicy jednak nie wiesz.

- No to powiedz.

- Jestem o wiele mądrzejsza od ciebie, Tomie Wingo.

Zniknęła w drzwiach kuchni, zostawiając w ciemności mnie, Luke' a i ostrygi do otwarcia. Śmiech brata zadudnił na werandzie.

- Załatwiła cię na cacy. Po prostu złoła ci twoją wiejską dupę.

- Miałem kilka dobrych wejść.
- Nie, kochany. Ani jednego.
- Anna Frank gówno ma do tego.
- A jednak Savannah pokazała, że ma.

Był Wielki Piątek, południe, dziadek postawił krzyż i ułożył go na prawym barku. Miał na sobie białą komżę, a na nogach sandały, które kupił w Charlestonie w Kids Mart. Luke szczypcami poprawiał coś jeszcze w trykółku.

Pan Fruit kierował ruchem i czekał, aż dziadek da znać, że czas zacząć przemarsz. Ponieważ kierował ruchem i przewodził wszystkim parodom, w Wielki Piątek musiał wy stąpić w podwójnej roli. Z przyczyn znanych tylko jemu, pan Fruit uznał mozolną procesję dziadka za paradę. Paradę niewielką, niezbyt może wesołą, tak czy owak jednak - paradę.

Pan Fruit włożył gwizdek do ust, a dziadek poważnie przytaknął. Fruit dmuchnął, a potem zdecydowanym ruchem odwrócił się i pomaszzerował w górę Street of Tides, stąpając zamasyście jak oficer na przegładzie, kolana niemal dotykały piersi. Dziesięć jardów za nim kroczył dziadek. Słyszałem, jak kilka osób zaśmiało się na widok kólek. Pod apteką Baitery'ego zobaczyłem ojca kręcącego początek procesji.

W połowie ulicy dziadek upadł po raz pierwszy. Upadek był widowiskowy - dziadek padł plackiem na chodnik, a krzyż zwałił się na niego. Z całego trzygodzinnego przemarszu najbardziej kochał upadki. Tłum zawsze był zaszokowany, a poza tym dziadek był naprawdę niezły w padaniu. Ojciec zawsze robił zbliżenie i nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że obaj wypracowali system sygnałów zapowiadających, kiedy ma się zdarzyć to, co najciekawsze. Dziadek był też niezły w podźwiganiu się - kolana niezmiennie odmawiały mu posłuszeństwa, gdy usiłował powstać. Nic nie wiedząc o teatrze absurdu, dziadek rok po roku rozwijał jego tajniki.

Po pierwszej godzinie kółka odłączyły się od reszty krzyża i trzeba je było wyrzucić. Szeryf Lucas pojawił się na skrzyżowaniu przed mostem z corocznym mandatem za zakłócanie ruchu drogowego. Pan Fruit wykorzystał ten czas na pokierowanie pojazdami, kilka osób z tłumu wznosi okrzyki na cześć szeryfa. Pan Kupcinet, dziekan z kościoła dziadka, głośno czytał z Biblii o przejściu Jezusa ulicami Jerozolimy, ukrzyżowaniu na Kalwarii wraz z dwoma łotrami, ciemnością nad miastem, bolesnym okrzyku Eli, Eli lema sabachthani („Boże mój, Boże, czemuś Mnie opuścił?”) i o setniku wymawiającym słowa, które będzie powtarzał przez wszystkie następne stulecia: „Prawdziwie ten człowiek był Synem Bożym”.

I dziadek szedł wzdłuż wystaw sklepów, w których jak zwykle sprzedawano się buty, nieruchomości, bieliznę, a chociaż z czoła ściekał mu pot, w oczach miał błogość, wiedział bowiem, że służy Bogu najlepiej, jak potrafi. Ja i Savannah sprzedawaliśmy lemoniadę przed sklepem odzieżowym Sarah Poston. Luke natomiast zatrzymywał dziadka w połowie drogi i podawał mu w plastikowym kubku ocet, a potem odgrywał Szymona z Cyreny i przez jeden nawrót pomagał nieść krzyż. O trzeciej dziadek naprawdę się zataczał, a kiedy runął ostatni raz, powstać mógł dopiero z pomocą Luke'a, który najpierw zdejmował z niego krzyż. Na ramieniu komży widać było cieniutką strużkę krwi. Dziadek podniósł się z uśmiechem na twarzy i podziękował Luke'owi, obiecując, że jeszcze tego dnia podstrzyże mu włosy.

Nie wiedziałem wtedy i dzisiaj nie wiem, co sądzić o tej budzącej grozę miłości dziadka do Słowa Bożego. Gdy byłem nastolatkiem, wstydziłem się jego występu w Wielki Piątek, ale Savannah opisała to w wierszu niebywale pięknie, sławiąc „ciche Oberammergau\* prostego fryzjera”.

\* Oberammergau - miasto w południowej Bawarii słynne z wystawianej tam od XVII wieku Pasji.

Kiedy Amos Wingo zakończył swą trzygodzinną pielgrzymkę, a my podskoczyliśmy do niego i poprowadzili do stoiska z lemoniadą, gdzie natarliśmy mu twarz lodem i zmusili do wypicia płynu, czułem, że świętość to najbardziej przerażająca i nieuleczalna choroba na świecie.

Dygotał na całym ciele i mamrotał coś bez sensu, gdy układaliśmy go na chodniku, a dokoła cisnęli się ludzie, wyciągając Biblie do podpisu, co z zapalem filmował ojciec.

Potem Luke i ja podnieśliśmy dziadka i zarzuciliśmy sobie na barki jego ręce, wspólnie ponieśliśmy go do domu, brat zaś powtarzał przez całą drogę: „Jesteś taki piękny, dziadku. Taki piękny”.

## ROZDZIAŁ 15

Portier, który strzegł wejścia do domu doktor Lowenstein, już z daleka przypatrywał mi się nieufnie, jak gdyby podejrzewał u mnie najgorsze kryminalne intencje, no ale w końcu na tym polegała jego funkcja. Potężny mężczyzna w antycznej liberii z wielkim namaszczeniem zapisał moje nazwisko i zadzwonił na górę. W hallu stały błyszczące skórzane meble, które nadawały mu charakter posepnej elegancji, jak w męskim klubie, który aż się dopraszał tego, by w końcu umożliwiono członkostwo kobietom.

Portier kiwnął głową w kierunku wind i powrócił do lektury „New York Post”. Miałem wprowadzić ze sobą dwie wielkie torby z zakupami, udało mi się jednak nacisnąć właściwy guzik, a winda z leciutkim drżeniem napiętych lin poniosła mnie wzwyż tak wolno, jakbyśmy się przedzierali przez morską wodę.

Bernard czekał na mnie przed drzwiami.

- Dobry wieczór, Bernardzie - powiedziałem.

- Cześć, trenerze. Co pan ma w tych torbach?

- Kolację i parę innych rzeczy - powiedziałem i wszedłem do przedpokoju, a znalazłszy się w nim, zagwizdałem: - Ale dom. Wygląda jak pałac.

W przedpokoju stały pokryte aksamitem krzesła, porcelanowe wazy, dwa małe stoliki, z sufitu zwieszał się żyrandol Waterford, a ze ścian spoglądała markotnie para osiemnastowiecznych portretów. We fragmencie salonu, który stąd widziałem, znajdował się fortepian i obraz grającego na skrzypcach Herberta Woodruffa.

- Nie znoszę tego - mruknął Bernard.

- Nic dziwnego, że matka nie pozwala ci podnosić tutaj sztangi.

- Wczoraj wieczorem ogłosiła zmianę reguł. Mogę teraz ćwiczyć, kiedy ojca nie ma w domu. Ale tylko u siebie w sypialni. Hantle muszę trzymać pod łóżkiem, żeby nie zobaczył.

- Gdyby zechciał - powiedziałem wpatrzony w portret nad kominkiem - także i jemu przepisałbym serię ćwiczeń, tak że moglibyście trenować razem.

Był przystojnym mężczyzną o szczupłej posturze z wąskimi ustami, które sugerowały subtelność albo okrucieństwo.

- Mój ojciec? - spytał z niedowierzaniem Bernard.

- Dobra, ruszmy się, Bernard. Zaprowadź mnie do kuchni, a potem pokaż swoją sypialnię. Chcę, żebyś się wystroił, zanim przyjdzie matka.

Sypialnia Bernarda znajdowała się po drugiej stronie apartamentu, urządzone równie gustownie i kosztownie, jak wszystkie inne pomieszczenia, które minęliśmy po drodze. W niczym nie przypominała pokoju przeciętnego nastolatka: żadnych plakatów ze sportowcami czy gitarzystami, żadnego bałaganu i zamętu. Postawiłem na łóżku jedną z toreb i powiedziałem:

- Dobra, tygrysie, do dzieła. Rozbieraj się.  
 - Po co, panie trenerze? - spytał.  
 - Ponieważ lubię oglądać nagich chłopczków.  
 - Nie mogę - powiedział speszony.  
 - Czy mam cię uczyć także rozbierania? Tego nie ma w kontrakcie.  
 - Jest pan gejem, panie trenerze? - spytał nerwowo. - To znaczy, ja nie mam nic przeciwko gejom. Nic mi do tego. To znaczy, jak pan jest. Uważam, że każdy powinien robić to, co mu odpowiada.

Nic nie odrzekłem, natomiast rozpakowałem piękny komplet ochraniaczy na ramiona marki Wilson.

- To dla mnie? - spytał.  
 - Nie. Ale chciałem, żebyś ty najpierw przymierzył, zanim ofiaruję twojej matce.

- A po co one mamie, panie trenerze? - zdziwił się, jednocześnie przeciągając ochraniacze przez głowę i umieszczając na ramionach.

- Wiesz co, Bernardzie, na razie chyba damy sobie spokój z podaniami, a popracujemy trochę nad twoim poczuciem humoru. Codziennie dwie godziny poświęcimy na rozpoznawanie żartów.

- Przepraszam, panie trenerze, że spytałem, czy jest pan gejem. Chyba mnie pan rozumie, że byłem trochę zakłopotany, mam się rozbierać, jesteśmy tutaj sami i... w ogóle.

- Jasne, rozumiem. Ale teraz wyskakuj z tych ciuchów, bo mam jeszcze posiłek do przyrządzenia, a najpierw chcę ci pokazać, jak futbolista się ubiera.

Susan Lowenstein zjawiła się późno. Siedziałem w głębokim fotelu w jej salonie i patrzyłem na Central Park, podczas gdy za moimi plecami słońce zaczęło się opuszczać za Hudson River. Z piecyka dochodził brązowy zapach udźca jagnięcego i aromatem napełniał całe mieszkanie. W panoramicznym oknie widziałem swoje blade odbicie, a także barokowe światła żyrandoli oświetlających pokoje za mną. W zapadającym zmierzchu okno stało się jednocześnie lustrem i portretem ciemniejącego miasta. Wielkie budowle w oddali stawały się szafirowe i różowe w blasku zachodzącego słońca, odpowiadając na to światłami z własnego wnętrza.

Miasto rozpościerało się przede mną niczym architektoniczny las, pełne nabożności i świetności. Wyczerpane słońce uczepiło się jednego budynku i cały odziało koralowymi barwami, którymi zaiskrzyły się wdzięczne okna, potem zaś poczęło się po nim osuwać, podczas gdy całe miasto niczym ognisty ptak wzbijało się w noc, aż strząsnawszy z siebie ostatnie resztki słonecznej poświaty, w jakiejś przesadnej ekstazie przekształciło się w zdumiewający kandelabr asymetrycznych świateł. Z kompletnej ciemności, w jakiej teraz siedziałem, wydawało się, iż miasto przedzierzgnęło się w bezlik szklanych świec ofiarnych, małych błyskawic i stosików żaru. Można by pomyśleć, że zainspirowane zachodem słońca, improwizuje go teraz i ulepsza na własny rachunek, bogate w geometryczne symetrie i bajeczne metafory kształtów.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedziała Susan Lowenstein, stając w drzwiach. - Nagły problem z pacjentem w szpitalu. Czy znalazłeś barek?

- Czekałem na ciebie.

- Baranina pachnie bosko - oświadczyła, potem stanęła obok mnie, spojrzała przeciągle na miasto i rzekła głosem pełnym zachwytu:- I może powiesz mi, że to nie jest jeden z najpiękniejszych widoków w twoim całym życiu? Chciałabym posłyszeć, jak to wydziwiasz na Nowy Jork w momencie, gdy odsłania to, co w nim najpiękniejsze.

- Oszałamiający - przyznałem. - Nieczęsto mam okazję widzieć coś takiego.

- Ja widzę to co wieczór i za każdym razem jestem urzeczona.

- Trzeba powiedzieć, że mnóstwo tutaj miejsca na oglądanie zachodów słońca i innych rzeczy - zauważyłem z podziwem. - Trzeba powiedzieć, doktor Lowenstein, że ty i mąż macie świetny gust. I kupę forsy.

- Mamo - odezwał się głos za nami.

Oboje odwróciliśmy się i zobaczyliśmy, jak Bernard wkracza niepewnie do salonu, w pełnym rynsztunku futbolowym. Na nogach miał tylko skarpety, gdyż nowe buty z lśniącymi metalowymi okuciami trzymał w ręku. W osobliwej poświacie wieczoru wydawał się ogromny, obdarzony nową postacią, na nowo zrodzoną do jakichś przedtem niewyobrażalnych zadań.

- Trener Wingo dał mi to dzisiaj. Pełny strój.

- O mój Boże!

Susan Lowenstein nie potrafiła wykrztusić nic więcej, - Mamo, nie podoba ci się? No, powiedz! Powiedz, że źle wyglądam. Wszystko świetnie pasuje z wyjątkiem hełmu, ale trener Wingo powiedział, że bez trudu da się go poprawić.



- Doktor Lowenstein - powiedziałem. - Pani pozwoli, że przedstawię jej syna, Bernarda Niestopa. Nazywają go także Hazardzistą z Missisipi, gdyż przy pierwszej i czwartej zagrywce idzie głęboko z własnych tyłów na długi przerzut zwany „bombą”.

- Ojciec rozwiedzie się z mną, jeśli kiedykolwiek cię zobaczy tak ubranego - powiedziała. - Musisz mi przysiąc, że nigdy mu się w tym nie pokażesz.

- Ale jak ci się podoba, mammo? Jak wyglądam?

- Jakiś pokrzywiony - powiedziała ze śmiechem.

- Dobra, Bernard - wtrąciłem się. - Idź się przebrać, bo za trzy kwadranse zaczyna się królewska uczta. Dźwigałeś coś dzisiaj?

- Nie, panie trenerze - odparł Bernard, który, zły na matkę, z trudem nad sobą panował.

- Spróbuj wycisnąć siedemdziesiąt pięć funtów i Myślę, że powinieneś sobie poradzić.

- Dobrze, panie trenerze.

- Aha, a jak już siądziemy do stołu, na imię mam Tom. Nie lubię, kiedy podczas kolacji ktoś zwraca się do mnie per „panie trenerze”.

- Wyglądałeś zupełnie inaczej niż zwykle - powiedziała matka. - Nie chciałam cię urazić. Musi trochę potrwać, zanim przywyknę do tego twojego nieco dzikiego wyglądu.

- Więc wyglądam dziko? - spytał uszczęśliwiony Bernard.

- Synu, wyglądasz jak zwierz.

- Dzięki, mammo - zawołał Bernard i ruszył sprintem przez orientalny dywan do swojej sypialni.

Kolacja rozwijała się powoli i zrazu nic nie zapowiadało jej dalszego ciągu. Bernard mówił przede wszystkim o piłce, ulubionych zespołach i graczach, a matka patrzyła na niego tak, jakby zobaczyła przy swym stole zupełnie nowe dziecko. Zadała kilka pytań dotyczących gry, zdradzając się z tak kompletną ignorancją, że w paru przypadkach po prostu zabrakło mi słów.

Zauważyłem jednak, że matka i syn reagują nerwowo na swoje wypowiedzi i jak gdyby cieszyli się, iż mają kogoś do towarzystwa, dzięki temu bowiem mogą ukryć istniejące między nimi napięcie. Chociaż niejawnie, jednak podziało inspirująco na mój gruczoł aktorski i przyjąłem na siebie rolę mistrza ceremonii, wieczornego pajaca z kartami w każdym rękawie i anegdotami zaklejającymi dziury kłopotliwej ciszy. Nie znosiłem wprawdzie siebie tak upozowanego, ale nic na to nie mogłem poradzić. Nic bardziej mnie nie drażni niż cicha wrogość pomiędzy osobami, które się

kochają. Cały wieczór więc tryskałem dowcipami, dzieliłem mięso z namaszczeniem chirurga, rozlewałem wino niczym komediowy sommelier, z pasją nakładałem sałatę. Kiedy dotarliśmy do creme brulee i kawy, byłem wycieńczony przez własne popisy. Podczas deseru górę wzięły momenty napiętego milczenia, w którym złowieszczo podzwaniały srebra uderzające o kryształowe czarki.

- Trenerze, gdzie pan się nauczył gotować? - spytał w końcu Bernard.

- Żona studiowała medycynę i na mnie spadło gotowanie, kupiłem więc dobrą książkę kucharską i przez trzy miesiące wyczyniałem nieprawdopodobne sztuki nad pięknymi kawałami mięsiwa. Robiłem ciasta, których nawet ptaki nie chciały tknąć. Z czasem jednak zobaczyłem, że jeśli czytam uważnie i stosuję się do przepisu, także i gotowanie się udaje. Ku swojemu zdziwieniu polubiłem je.

- A pana żona w ogóle nie gotuje? - spytał.

- Gotuje znakomicie, ale nie miała na to ani chwili czasu podczas studiów. Nie miała nawet czasu wyjść za mąż. Mówiąc prawdę, niewiele się zmieniło także potem, gdy została już lekarką i urodziła trzy córki.

- To one także nie widziały matki zbyt często, jak były małe? - naciskał Bernard, zerkając przy okazji na matkę.

- Sallie dużo czasu spędzała poza domem, Bernardzie - odrzekłem, starannie dobierając słowa - ale nie byłaby szczęśliwa, stojąc w fartuchu przy kuchni. Była zbyt uzdolniona i ambitna, a poza tym kocha swój zawód. Dzięki temu jest także lepszą matką.

- A jak często teraz pan gotuje?

- Przygotowuję wszystkie posiłki, Bernardzie, bo od roku jestem bez pracy.

- To znaczy, że nie jest pan naprawdę trenerem? - spytał, a w jego głosie słychać było ton zawodu. - Nie stać cię było nawet na prawdziwego trenera, mamó?

Doktor Lowenstein przygryzła wargi i powiedziała zimno:

- Wystarczy, młody człowieku.

- Więc dlaczego pan teraz nie trenuje? - nie dawał za wygraną Bernard.

- Wyrzucili mnie - rzuciłem krótko i podniosłem do ust filiżankę z kawą.

- Za co?

- To długa historia. Niechętnie ją opowiadam, a szczególnie dzieciom.

- Udawacz - powiedział ze złością do matki. - Trenuje mnie tylko dlatego, że udaje kogoś, kim nie jest.

- Bernardzie, masz natychmiast przeprosić Toma - zażądała matka.

- A za co? Udaje, że jest trenerem, a ja dopiero teraz dowiaduję się, że to nieprawda. Nie widzę powodu, żeby go przepraszać.

- W takim razie ja przepraszę,. Bernardzie - powiedziałem i dziobnąłem łyżeczką w deser. - Nie wiedziałem, że tak ci zależy na pełnoetatowym trenerze.

- Dorosli są wstrętnei. Obrzydliwi. Mam nadzieję, że sam nigdy nie będę dorosły.

- Może ci się to udać, Bernardzie - powiedziałem. - Zostaniesz wiecznym szczeniakiem.

- Przynajmniej nie kłamię na swój temat - odciął się.

- To pięknie, ale co powiedziałeś rodzicom na temat gry w drużynie szkolnej? Powiedziałeś, że grałeś, a to nieprawda. Małe kłamstewko z rzędu tych, które pozwalają nam dyktować reguły gry.

- Dlaczego zawsze musi się to powtarzać, Bernardzie? - spytała matka bliska płaczu. - Dlaczego rzucasz się wściekle na każdego, kto próbuje się do ciebie zbliżyć i ci pomóc?

- Jestem twoim synem, mamo, a nie pacjentem. Nie musisz mi wciskać tego psychiatrycznego kitu. Dlaczego nie rozmawiasz ze mną zwyczajnie?

- Nie wiem, jak mam to zrobić, Bernardzie.

- Ja wiem, Bernardzie.

Popatrzył na mnie z furją, na górnej wardze lśniły kropelki potu.

- Co niby wiesz?

- Jak z tobą rozmawiać. Mama nie wie, ale ja wiem, bo cię rozumiem. Nienawidzisz siebie za to, że zepsuleś ten wieczór, ale nic na to nie mogłeś poradzić. Tylko w ten sposób mogłeś urazić matkę, a to musiałeś zrobić. No i dobrze, to sprawa między wami dwojgiem. Ale nadal jestem twoim trenerem, Bernardzie. Jutro rano spotkamy się o tej samej porze, w tym samym miejscu, tyle że tym razem będziesz w kompletnym stroju.

- Mam ci pozwolić, żebyś mnie trenował, skoro sam przyznałeś, że jesteś do niczego?

- Sam stwierdzisz, czy jestem do niczego, czy nie - odparłem, patrząc na ponurego chłopaka, który dopiero walczył o swoje Ja. - A jutro rano ja stwierdzę to w odniesieniu do ciebie.

- O co ci chodzi?

- Jutro zobaczę, czy boisz się uderzyć. To jest prawdziwy egzamin. Czy potrafisz przyjąć cios i oddać. Jutro po raz pierwszy w swoim życiu, Bernardzie, poznasz sport kontaktowy.

- No proszę, a kogo to będę bił? Drzewa, krzaki, czy może jakiegoś pijaczka, jeśli będzie pod ręką?

- Mnie. Jutro będziesz próbował powstrzymać mnie, a ja będę próbował powstrzymać ciebie.

- Ale przecież ty jesteś dużo większy ode mnie.

- A czemu miałbyś się mnie bać? - spytałem chłodno. - Przecież nic nie jestem wart.

- Uczciwa gra, nie ma co.

- Masz stracha, kiedy mówię, że będę cię blokował?

- Gdzie tam - zaperzył się. - Ani trochę.

- A wiesz, dlaczego nie masz stracha?

- Nie.

- No to ja ci powiem, Bernardzie. Bo nigdy nie grałeś naprawdę w futbol. Gdybyś grał, to wiedziałbyś, że jest się czego bać. Ale ja na dodatek wiem jeszcze tyle, że chcesz grać. Nie wiem, z jakich pokrętnych powodów, ale pragniesz tego bardziej niż czegokolwiek innego na świecie, mam rację?

- Chyba tak - mruknął niechętnie.

- Kiedy nauczysz się mnie blokować, a także akceptować to, że ja ciebie chcę blokować, w przyszłym roku wejdiesz do drużyny. Przrzekam ci.

- Tom, między wami jest chyba zbyt duża różnica rozmiarów, żebyście grali na poważnie.

- Mamo, daj spokój - zachnął się Bernard. - W ogóle się nie rozumiesz na futbolu.

- Dobra, a teraz pomóż mi sprzątnąć ze stołu i zmyć naczynia - powiedziałem do chłopaka i wstałem - a potem kładź się spać, żeby odpocząć przed jutrem.

- Niczego nie będę zmywać, bo od tego jest służąca.

- Synu, nigdy więcej tak do mnie nie pyskuj. I nigdy już więcej nie wykręcaj takich numerów, jak dzisiaj zrobiłeś mnie i swojej matce. A teraz łap parę talerzy i jazda do kuchni.

- Tom, to dom Bernarda, a jutro przychodzi sprzątaczką.

- Doktor Lowenstein, czy nie zechciałaby pani się zamknąć? Błagam - powiedziałem zniechęcony i poszedłem do kuchni.

Kiedy pożegnałem się z Bernardem, wróciłem do salonu i poczułem straszliwą samotność tego harmonijnego, obsesyjnie uładzonego miejsca - każda rzecz kosztowna, żadna osobista. Nawet portret Herberta bardziej wyglądał na wyidealizowaną wizję niż rzetelny obraz. Grał na skrzypcach, a chociaż nie sposób było odgadnąć rodzaj charakteru i jego głębi, to przecież widziało się pasję oddania muzyce. Drzwi na taras były rozsunięte i tam zastałem doktor Lowenstein. Naląła nam obojgu koniak, opadłem na fotel i

wchłonałem aromat Hennesseya, rozkwitł w mej głowie niczym róża. Wziąłem mały łyk, a on spłynął po gardle, na pół jedwab, na pół ogień.

- No i jak ci się podobał spektakl w wydaniu Susan i Bernarda? - spytała.

- Często go odgrywacie?

- Nie - odrzekła. - Najczęściej usiłujemy ignorować się wzajemnie, ale zawsze między nami spoczywa nagie ostrze. Nawet wzajemna grzeczność jest zabójcza. Kiedy jemy we dwoje, czuję ucisk w dołku. To bardzo trudne, Tom, znieść myśl, że jedyne dziecko cię nienawidzi.

- A kiedy jest Herbert?

- Bernard boi się ojca i dlatego rzadko dochodzi do takich scen jak dzisiejsza - powiedziała w zamyśleniu. - A poza tym Herbert nie pozwala rozmawiać przy jedzeniu.

- Słucham? - spytałem i popatrzyłem na nią z niedowierzaniem.

Uśmiechnęła się i wzięła duży łyk koniaku.

- Sekret rodzinnej ceremonii. Przy stole Herbert chce być całkowicie odprężony, podczas kolacji słucha muzyki, aby w ten sposób rozładować stres całego dnia. Z początku usiłowałam z tym walczyć, ale potem przywykłam. A kiedy Bernard wszedł w ten agresywny okres, jest mi to nawet pomocą.

- Mam nadzieję, że wybaczysz mi, iż przy twoim synu kazałem ci się zamknąć - powiedział do ciemnej sylwetki. - Przez cały czas dręczyłem się w kuchni myślą, że kiedy umyję już wszystko i wytrę, każesz mi się wynosić gdzie pieprz rośnie i nigdy nie wracać.

- A dlaczego kazałeś mi się zamknąć?

- Chciałem na powrót odzyskać kontrolę nad Bernardem, a bałem się, że zniszczysz z trudem wywalczoną relację, gdyż nie możesz znieść tego, iż ktoś obcesowo traktuje twojego syna.

- Jest bardzo wrażliwy. Widziałam wyraz jego twarzy, kiedy zwróciłeś się do niego tak ostro. Bardzo łatwo go zranić.

- A czy z nami jest inaczej, pani doktor? Przez dziesięć minut nie byliśmy pod ochroną, ale mnie już wystarczyło.

- Jest bardzo podobny do ojca. Myślę, że najbardziej go ubódl fakt naszej przyjaźni. Podobnie byłoby z Herbertem. Zawsze okazuje wgardę każdemu mężczyźnie, którego poznaję nie za jego pośrednictwem. Do moich najbardziej serdecznych przyjaciół odnosił się tak, że musiałam przestać ich zapraszać i na dobrą sprawę pozrywałam bardzo wiele dawnych kontaktów towarzyskich. Oczywiście, Herberta otacza mnóstwo fascynujących osób, z którymi się zaprzyjaźniłam, ale lekcja była wyraźna. To Herbert ich

aprobuje i wprowadza do kręgu znajomych rodziny. Czy to brzmi jakoś dziwnie dla ciebie, Tom?

- Nie - odparłem. - Po prostu małżeństwo.

- Czyżbyś ty tak samo postępował z Sallie?

Zaplotłem ręce za głowę i wpatrzyłem się w gwiazdy nad Manhattanem, które wydawały się pociemniałymi guzikami nad feerią świateł miasta.

- Chyba tak - powiedziałem w końcu. - Byłem arogancki wobec lekarzy i ich żon, których przez lata zapraszała na kolacje. Jeśli jeszcze raz w życiu usłyszę lekarza, który rozprawia o podatku dochodowym albo uspołecznionym leczeniu w Anglii, na jego oczach dokonam rytualnego samobójstwa. Z kolei jednak, kiedy przyprowadzałem do domu kolegów z branży trenerskiej, którzy przez cały czas rysowali na serwetkach schematy gry albo opowiadali o „gigantycznym talencie”, jaki im się trafił w szkole, widziałem, jak oczy Sallie zachodzą mgielką znudzenia. Doszliśmy więc wreszcie do tego, że ustaliliśmy grono znajomych akceptowalnych dla nas obojga. Jest jeden trener szkolny, za którym Sallie przepada, jest dwóch lekarzy, których uważam za ekstra facetów. Oczywiście, jeden z nich został teraz kochankiem Sallie, więc może mój ranking się zmieni, kiedy wrócę do domu. Właściwie coraz bardziej przekonuję się do systemu Herberta.

- Czy kochanek Sallie jest twoim przyjacielem?

- Był. Lubilem sukinsyna, a chociaż udawałem bezbrzeżne zdziwienie, że Sallie mogła sobie wybrać na zalotnika takiego dupka, to w gruncie rzeczy dobrze ją rozumiem. Jest bardzo przystojny, błyskotliwy, zabawny, odnosi sukcesy. Kolekcjonuje brytyjskie motocykle i fajki z pianki morskiej, co natychmiast wytknąłem Sallie, kiedy mi powiedziała, o kogo chodzi, ale tak naprawdę nie mogę mieć do niej wielkich pretensji.

- Nie?

- Rozumiem, dlaczego Sallie może go woleć ode mnie. Jack Cleveland jest mężczyzną, którym pewnie bym był, gdybym nie wyleciał z toru. Mężczyzną, który stanowił moją możliwość.

- A kiedy wyleciałeś?

- Myślę, że wszystko zaczęło się od wyboru absolutnie nieodpowiednich rodziców. Myślisz zapewne, że dzieci niewiele tu mają do powiedzenia, ale ja nie jestem pewien. Mam takie intuicyjne poczucie, że sam sobie wybrałem rodzinę, w której mam się urodzić. A potem spędza się całe życie na przyjmowaniu fałszywych nałożeń i wykonywaniu niewłaściwych posunięć, człowiek sam sobie gotuje katastrofę. Czujesz strach i zgrozę, widzisz czyhającą zgubę, a wszystko z racji błędnych wyborów. Potem stwierdzasz, że także los robi, co może, aby cię wystawić na strzał,

zaprowadzić w regiony, których lepiej byłoby nie odwiedzać. Kiedy to sobie uświadamiasz, masz już trzydzieści pięć lat i najgorsze jest już za tobą. Nie, nieprawda, najgorsze jest jeszcze przed tobą, gdyż teraz znasz już rozpaczliwość przeszłości. Wiesz już, że żyć trzeba będzie z pamięcią tego, co zgotował los, i z całą swoją historią. Pozostaje już tylko Wielki Smutek, a ty wiesz, że to właśnie było ci przeznaczone. - Sądziś, że tak samo jest z Savannah?

- Ona dostała Wielkiego Pokera. Spójrzysz tylko, gdzie teraz jest: z pokaleczonym całym ciałem w domu wariatów, gdzie odwarkuje się psom, które tylko ona może zobaczyć. Jestem jej marnym bratem, próbującym opowiadać ci historie, które rzucą światło na jej przeszłość i może pomogą ci poskładać na nowo Humpty Dumpty'ego. A przecież, ilekroć myślę o przeszłości, trafiam na te ciemne miejsca, czarne dziury pamięci, lecz nie wiem, jak się dostać w te sfery. Potrafię ci opowiedzieć o wszystkich zdarzeniach, kryjących się za tymi zbołałymi okrzykami z taśmy, najczęściej wiem, jak się narodziły. Ale co z rzeczami, które ona zapomniała, co z jej czarnymi dziurami? Dręczy mnie przez cały czas uczucie, że jest znacznie więcej do opowiedzenia.

- Czy będziesz bał się opowiedzieć mi o tym, Tom? - spytała, a ja w ciemności nie mogłem dojrzeć jej twarzy i tylko za jej mroczniejącą sylwetką widziałem brzeszczoty budowli sterczące w łunie wielkomiejskiego światła.

- Pani doktor, powiem wszystko, teraz natomiast usiłuję przestrzec, że nie wiem, czy to wystarczy.

- Jak dotąd, Tom, stanowisz dla mnie wielką pomoc, to mogę ci zareczyć. Wyjaśniłeś już kilka kwestii, które ogromnie mnie zastanawiały w związku z Savannah.

- Co z nią jest nie w porządku? - spytałem i pochyliłem się w kierunku Susan.

- Ile razy ją widziałeś w ciągu ostatnich trzech lat?

- Rzadko - mruknąłem, ale zaraz poprawiłem się: - Ani razu.

- Dlaczego?

- Oznajmiła, że bliskość rodziny wpędza ją w depresję. Nawet moja obecność.

- Cieszę się w każdym razie, że jednak się zjawiałeś, Tom. - Podniosła się, poruszyła na świetlistym tle i sięgnęła po mój kieliszek. - Należę jeszcze.

Patrzyłem, jak wchodzi do mieszkania, i zobaczyłem, że zerka na portret męża, ale natychmiast odwraca głowę. I wtedy poczułem smutek spowijający tę pełną rezerwy, panującą nad sobą kobietę, która tego lata



stanowiła tak ważny i nieodzowny składnik mojego życia. Była słuchaczką, rzeczniką, uzdrowicielką - wyobrażałem sobie, jak budzi się każdego ranka i wstaje, wiedząc, że szykuje się do wyjścia na świat, gdzie otworzą się przed nią bóle i cierpienia tych, którzy do niej trafią za sprawą przypadku czy namowy. I zaczynałem wątpić, czy przykład pacjentów w czymkolwiek pomaga jej w kręgu własnych problemów. Czy wniknięcie w mądrości Freuda jej samej zagwarantowało szczęście? Wiedziałem, że nie, zastanawiałem się jednak, dlaczego jej opanowana, beznamiętna twarz ożywała tak bardzo, gdy obserwowałem ją ukradkiem. Na tej cudownej twarzy odbijała się każda pokrętna historia, którą usłyszała, każda opowieść o bólu i krzywdzie. Odnosiłem wrażenie, że we własnym domu jej samotność pogłębia się, że w gabinecie jest bardziej odprężona, chroni ją bowiem sława zawodu i wielkich poprzedników, a także ten prosty fakt, iż sprawy jej pacjentów, które ich prowadziły na skraj wytrzymałości, ją przestawiały angażować o godzinie osiemnastej. W domu jednak własne porażki i smutki w widmowym pochodzie nie odstępowały jej na krok. Susan i Bernard stawali naprzeciw siebie jak posłowie wrogich armii. Wszędzie odczuwało się potężną osobowość męża, aurę jego sławy. Na podstawie tego, co o Herbercie Woodruffie usłyszałem od jego żony i syna, nie potrafiłem sobie wyrobić żadnego klarownego obrazu jego osoby. Oboje podkreślali, że jest geniuszem, oboje bali się jego niezadowolenia i nagany, oboje także nie wiedzieli, co może ją spowodować, i jaki kształt może przybrać. Podczas posiłku słuchał muzyki zamiast rozmawiać z rodziną, ale potrafiłem go zrozumieć po tym, jak stałem się świadkiem potyczki między Susan i Bernardem. Dlaczego doktor Lowenstein powiedziała mi, że podejrzewa męża o romans z oszałamiającą, zrozpaczoną kobietą, którą zobaczyłem w jej gabinecie?

Seks, najstarszy zrównywacz i destruktor, swe niecne, wspaniałe ziarna siał także w domach pełnych oglądy i przepychu - któż potrafiłby zgadnąć, jakie potworne hybrydy czy zabójcze orchidee rozkwitają w ich zacisznych salonach? Dostatecznie odrażające były już kwiaty mojego prywatnego ogrodu, południowa zbieranina, wszystkie ogłuszone i nieoryginalne. Sądziłem, że nigdy już nie pomyślę o seksie po zawarciu ślubu, czy, mówiąc precyzyjniej, że będę o nim myślał jedynie w związku z żoną. Tymczasem okazało się, że ślub dopiero otworzył przede mną świat fantazji przerażający z racji gwałtownych wybuchów, sekretnych zdrad, nieposkromionego pragnienia wszystkich kobiet na świecie godnych miłości. Szedłem przezeń, płonąć miłością do nieznanomych kobiet, i nic na to nie potrafiłem poradzić. W snach spałem z tysiącami kobiet W ramionach

żony kochałem się z niewiastami, które nigdy nie wymówiły mojego imienia. Żyłem, kochałem się i cierpiałem w nierzeczywistym świecie, który istniał jednak w jakiejś dzikiej krainie tuż pod powiekami. Za wykuszami brwi szalały i skomlały kozioł, satyr, bestia. Gardziłem tą częścią siebie, dygotałem, gdy inni mężczyźni z lubieżnym chichotem przyznawali się do tych samych lubieżności. Miłość cielesna była dla mnie równoznaczna z panowaniem i nienawidziłem tego miejsca w sobie, gdzie mieszkała owa wszeteczna, groźna myśl. Marzyłem o stałości, czystości, rozgrzeszeniu, a tymczasem wnosilem w seks dar zabójczy. Wszystkie kobiety, które mnie kochały, przyciskały do swych piersi, przyjmowały w siebie i pozwalały w nich poruszać, podczas gdy szeptałem ich imiona, krzyczałem do nich w ciemności, otóż wszystkie te kobiety zdradzałem, gdyż powoli i stopniowo z kochanek zamieniałem je w przyjaciółki. Zrazu były kochanki, a potem przemieniałem je w siostry i obdarzałem oczyma Savannah. Kiedy wchodziłem w kobietę, ku swemu przerażeniu słyszałem głos matki i chociaż moja kochanka wołała „tak tak tak”, było to znacznie słabsze od zimnego „nie” z ust matki. Każdej nocy mego życia zabierałem matkę do łóżka i nic na to nie mogłem poradzić.

Wszystkie te myśli nadeszły znienacka, nieproszone. Seks, myślałem, patrząc, jak Susan Lowenstein zmierza na taras z dwiema lampkami koniaku w dłoniach, seks - sedno mojej zawilej, niespełnionej męskości.

Podawała mi kieliszek, zsunęła pantofle i z podkulonymi nogami usiadła w wiklinowym fotelu, Przez chwilę milczała, zanim rzekła:

- Tom, czy pamiętasz naszą rozmowę o tym, jak zamkniętym jesteś mężczyzną?

Poruszyłem się niespokojnie i spojrzałem na zegarek.

- Doktor Lowenstein, proszę brać pod uwagę moją zadawnioną pogardę dla psychoanalizy. Godziny pracy już dawno się skończyły.

- Przepraszam, ale kiedy nalewałam koniak przyszło mi do głowy, że kiedy tak przedstawiasz jedną historię po drugiej, powoli odsłania się Savannah, Luke, także twój ojciec, natomiast zupełnie nie znam ani nie rozumiem twojej matki, a już zupełną zagadką pozostajesz ty sam, Tom. Niemal nic nie odsłaniasz z siebie.

- Przypuszczam, że to dlatego, iż nie mam pewności, kim jestem. Nigdy nie byłem po prostu jedną osobą. Zawsze próbowałem być kimś innym, żyć czymś obcym życiem. Aż nazbyt łatwo przychodzi mi podszywanie się pod innych ludzi. Dobrze wiem, co to znaczy być Bernardem, i to dlatego tak mnie dotyka jego cierpienie. Bez trudu staję się Savannah i wiem, jak to jest, kiedy psy zasadzają się na nią. Chcę odebrać jej chorobę i złożyć ją w

swojej duszy. Natomiast bardzo trudno jest mi być sobą, gdyż nie znam tego obcego dżentelmena. Ta skłaniająca do torsji informacja powinna zadowolić nawet najbardziej wymagającego terapeutę.

- A czy potrafisz być mną, Tom? - spytała. - Czy wiesz, jak to jest być mną?

- Nie - odrzekłem speszony i poszukałem ratunku w koniaku. - Nie mam najmniejszego pojęcia.

- Kłamiesz, Tom - sprzeciwiła się. - Moim zdaniem bardzo uważnie mnie obserwujesz.

- Spotykamy się u ciebie w gabinecie, gdzie ja przez godzinę nawijam. Czasami wyskoczymy na drinka. Mieliśmy trzecią wspólną kolację. To za mało czasu, aby wyrobić sobie jakikolwiek jasny obraz ciebie. Przedtem sądziłem, że ci się udało. Jesteś piękna, masz ceniony zawód, twój mąż jest sławnym muzykiem, nie cierpisz biedy, żyjesz jak królowa. Bernard, oczywiście, stanowi pewną skazę na tym wizerunku, ale w sumie dotarłaś na szczyt, na którym żyje jeden procent całej harującej ludzkości.

- Nadal kłamiesz - odezwała się w ciemności.

- Bardzo smutna z ciebie kobieta, pani doktor. Nie rozumiem, dlaczego, i jest mi bardzo przykro z tego powodu. Gdybym wiedział, jak ci pomóc, zrobiłbym to, ale jestem tylko trenerem, a nie kapłanem czy lekarzem.

- Teraz nareszcie nie kłamiesz i jestem ci za to wdzięczna. Mam wrażenie, że jesteś pierwszym od długiego czasu przyjacielem, jakiego zyskałam, Czuję się okropnie zakłopotany.

- Bardzo ci jestem wdzięczny za to, co robisz dla Savannah, naprawdę.

- Czy czujesz się samotny?

- Doktor Lowenstein, mówi pani do księcia samotności, jak Savannah nazwała mnie w jednym ze swych wierszy. Miasto tak pogłębia moją samotność, jak woda sprawia, że Alka-Seltzer się rozpuszcza.

- Mnie od pewnego czasu samotność wprost zabija - powiedziała i czułem na sobie jej wzrok.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Bardzo mnie pociągasz, Tom. Nie, proszę, siedź spokojnie, wysłuchaj mnie do końca.

- Nie, nie mów nic więcej - powiedziałem, wstając do wyjścia. - W tej chwili nawet nie potrafię o tym myśleć. Przez tak długi czas myślałem, że jestem już niezdolny do miłości, iż w tej chwili sama ta myśl przeraża mnie. Zostanemy przyjaciółmi, dobrymi przyjaciółmi. Byłbym straszliwym przydatkiem do twego życia romantycznego. Chodzący Hindenburg [Paul von Hindenburg (1847-1934) - polityk niemiecki.] - oto ja. Żywa katastrofa,

z którejkolwiek strony na to spojrzeć. W tej chwili staram się wymyślić sposób na ratowanie małżeństwa, którego chyba nie sposób wyratować. Nie mogę nawet dopuścić do siebie myśli o tym, aby zakochać się w osobie tak pięknej i tak ode mnie odmiennej. To zbyt niebezpieczne. Muszę już iść, ale bardzo ci dziękuję za te słowa. Bardzo ich potrzebowałem od chwili, kiedy znalazłem się w Nowym Jorku. Ogromnie ważna jest świadomość, że ktoś mnie pragnie, że jestem dla kogoś pociągający.

- Nie najlepiej wypadam w tej roli, prawda, Tom? - spytała z uśmiechem.

- Wypadasz znakomicie, jak we wszystkich innych, doktor Lowenstein.

Wyszedłem z tarasu, zostawiając ją zapatrzoną w światła metropolii.

RS

## ROZDZIAŁ 16

Nastało już niemal lato, kiedy łódka przywiozła do Colleton przybyszów, którzy rozpoczęli długie, niezmordowane łowy na białego morświna. Matka piekła właśnie chleb, a cudowne połączenie zapachu bochenków i róż uczyniło z domu flakon najbardziej harmonijnego aromatu. Wyjęty z pieca chleb pokroiła na wielkie pajdy, które pokryła masłem i miodem, a my ponieśliśmy je, dymiące, aby zjeść na przystani, a strugi masła zmieszanego z miodem spływały nam po rękach. Staliśmy się niebywałą atrakcją dla wszystkich os na podwórku i trzeba było sporo zimnej krwi, żeby pozwolić im brodzić w tych smakowitych strumyczkach. Nasze ręce stały się sadami i ulami. Matka przyniosła na przystań pokrywę po słoju na majonez napełnioną osłodzoną wodą, aby zwabić osy i pozwolić nam jeść w spokoju.

Skończyliśmy już niemal chleb, kiedy na Colleton River pojawiła się łódź z rejestracją Florydy, „The Amberjack”. Nie ciągnęły za nią mewy, nie ulegało zatem wątpliwości, że nie jest to jednostka rybacka. Brakło jej czystej, luksusowej linii jachtu, niemniej jednak na pokładzie można było zobaczyć sześciu mężczyzn, w których ciemna opalenizna kazała się domyślać marynarzy. Jeszcze tego samego dnia mieliśmy się dowiedzieć, że to pierwsza w dziejach jednostka, która na wody Karoliny Południowej wpłynęła z zadaniem złapania żywcem stworzenia wodnego.

Załoga „The Amberjacka” nie zamierzała otaczać tajemnicą swej misji, która już po południu była znana całemu Colleton. Kapitan Otto Blair oznajmił reporterowi „Gazette”, że morskie akwarium w Miami otrzymało list od mieszkańca Colleton, który chciał zachować anonimowość, a poinformował o tym, że na wodach wokół miasteczka uwija się morświn albinos. Kapitan Blair oraz jego załoga zamierzali pojmać morświna i zawieźć go do Miami, gdzie stanie się atrakcją turystyczną, a także obiektem badań naukowych. Załogę, którą stanowili badacze morza, zwabiła do Colleton pasja naukowa, gdyż podekscytowała ich wiadomość, że stworzenie niespotykane nigdzie indziej na świecie stanowi codzienny widok dla mieszkańców tej okolicy.

Nie należy wykluczać, że wiedzieli wszystko, co można wiedzieć o morświnach i ich obyczajach, z całą jednak pewnością błędnie ocenili - charakter ludzi zamieszkujących wybrzeża Karoliny. Obywatele Colleton gotowi byli za darmo udzielić im lekcji w tej kwestii. Zbiorowy, a niewidzialny dreszcz gniewu przeniknął całe miasteczko, które natychmiast przybrało postawę czujnej gotowości. Spisek, mający na celu wykradzenie Śniega Karoliny, wydał nam się aktem niewypowiedzianie wstrętnym. I tak,

za sprawą przybyszów zapanowała pośród nas rzadka solidarność, obcy zaś mieli odczuć cały ciężar naszej niechęci.

Dla nich biały morświn był ciekawostką naukową, dla nas - wyrazem niewysłowionego piękna oraz Bożej łaskawości wobec nas, był magicznym dziwem i ekstatycznym dziełem sztuki.

„The Amberjack”, naśladowując zwyczaje poławiaczy krewetek, wypłynął nazajutrz wczesnym rankiem, tego jednak dnia nikt nie widział morświna, nie zarzucono więc sieci. Marynarze rozczarowani wysiedli na przystani krewetkowej, rozpytując się o morświna, ale wszędzie trafiali na mur milczenia.

Na trzeci dzień Luke i ja napotkaliśmy ich łódź, załoga zaliła się na bezowocne godziny wypatrywania morświna na rzece. Co więcej, ludzie z „The Amberjacka” zaczęli już czuć ciężar ostracyzmu miasteczka, przeto nas obu uznali za okazję do uzyskania informacji, których nie chcieli udzielić im inni.

Kapitan Blair zaprosił nas na pokład i pokazał ładownię, w której okazy były przechowywane, zanim dostarczono je do Miami. Zademonstrował pół mili sieci, którymi chcieli osaczyć Śniega, oka były tak duże, że swobodnie przechodziła przez nie dłoń dorosłego mężczyzny. Kapitan był kordialnym mężczyzną w średnim wieku, słońce wryło mu na twarzy zmarszczki głębokie niczym koleiny, Cichym, ledwie słyszalnym głosem opowiedział nam, jak schwytanego morświna uczyli jeść martwe ryby. Zwierzę dopiero po co najmniej dwóch tygodniach godzi się jeść karmę, którą wzgardziłoby na wolności. Największe niebezpieczeństwo przy chwytaniu morświna polegało na tym, że może się zaplątać w sieci i utonąć. Polowanie na morświny wymagało zręcznej i doświadczonej załogi, która zapobiegnie takiemu fatalnemu zdarzeniu. Pokazał nam na koniec materace piankowe, na których układali morświna po wyciągnięciu go na pokład.

- A dlaczego nie wrzucić ich po prostu do basenu, panie kapitanie? - spytałem.

- Najczęściej tak robimy, czasami jednak mamy już w basenie rekina, a przy niektórych morświnach lękamy się, że mogą się poranić, szamocząc w tak niewielkim akwarium. Wtedy lepiej zostawić je na materacach i tylko spryskiwać regularnie morską wodą, aby im skóra nie wyschła. Poza tym przewracamy je z boku na bok, aby była dobra cyrkulacja krwi, i to już wystarcza.

- Jak długo mogą wytrzymać poza wodą? - spytał Luke.

- Nie wiem dokładnie, synu - odparł kapitan. - Jednego trzymałem na pokładzie całe pięć dni, a do Miami dotarł w całkiem dobrym stanie. To twarde sztuki. A kiedy ostatni raz widzieliście tutaj Moby'ego, chłopcy?

- Moby'ego? - powtórzył zdumiony Luke. - Chyba chodzi panu o Śniega. Tak się nazywa: Śnieg Karoliny.

- W Miami nazwali go Moby Morświn. Wymyślili to w dziale reklamy i kontaktów.

- Nigdy jeszcze nie słyszałem głupszego imienia - powiedział Luke., - Przyciągnie turystów, synu - rzekł z przekonaniem kapitan.

- Jeśli już o turystów chodzi, pasażerowie statku wycieczkowego, który z Charleston Harbor wypływał do Fort Sumter, widzieli Śniega - poinformował Luke.

- Jesteś pewien, synu? - spytał kapitan, a jeden z członków załogi zainteresowany podszedł bliżej.

- Ja sam tego nie widziałem - wyjaśnił brat - ale słyszałem przez radio.

Następnego ranka „The Amberjack” skierował się do Charleston Harbor, by na rzekach Ashley i Cooper szukać śladów białego morświna. Przez trzy dni przetrząsali wody wokół Wappoo Cut i Elliott Cut, zanim zrozumieli, że Luke ich okłamał. W każdym razie nauczyli go, jak zachować morświna przy życiu, gdyby się zdarzyła taka potrzeba.

Prawdziwa wojna między załogą „The Amberjacka” a miasteczkiem wybuchła jednak dopiero owego czerwcowego wieczoru, gdy maryniści na oczach wszystkich miejscowych chcieli złapać białego morświna. Wypatrzyli Śniega w Colleton Sound, gdzie woda była zbyt głęboka, aby mogli cokolwiek zdziałać swoimi sieciami. Przez cały dzień cierpliwie podążali jego śladem, zachowując ostrożnie odpowiedni dystans, aż wreszcie zobaczyli, że morświn wpływa w płytsze koryto rzeki.

Ledwie Florydyjczycy namierzyli morświna, krewetkarze zaczęli przez krótkofalówki informować się o aktualnym położeniu „The Amberjacka”. Wystarczyło, by łódź marynistów zmieniła kurs, a natychmiast było to rejestrowane przez flotyllę obserwatorów i przekazywane z kutra na kuter, a z kutrów do miasteczka. Tutaj marynarskie żony odbierały komunikaty na własnych radiodbiornikach, a potem dalej przekazywały wiadomość telefonicznie. Najmniejsze poruszenie „The Amberjacka” natychmiast było rejestrowane przez armię milczących obserwatorów, którzy pilnie oznaczali jego obecne położenie.

- „Arnberjack” wpływa do Yemassee Greek - słyszeliśmy poprzez trzaski z radia, które matka ustawiła nad zlewem w kuchni. - Nie wygląda na to, żeby dzisiaj znaleźli Śniega.



- Miami Beach opuścili Yemassee Creek - brzmiała następna wiadomość - i chyba chcą powęszyć na Harper Dogleg koło Goatlsland.

Całe miasteczko przysłuchiwało się tym raportom wywiadowczym. Biały morświn zniknął na cały tydzień, a kiedy się pojawił, natychmiast jeden z krewetkarzy zaalarmował wszystkich mieszkańców.

- Mówi kapitan Willard Plunkett, Miami Beach mają Śniega w zasięgu wzroku. Płyną za nim w górę Colleton River i widać, jak na pokładzie szykują sieci. Wygląda na to, że Śnieg chce złożyć wizytę w mieście.

Wieść lotem błyskawicy rozeszła się po Colleton, a jakaś nieprzeparata moc wypchnęła wszystkich na brzeg rzeki. Ludzie cicho rozmawiali i patrzyli na wodę. Szeryf zaparkował na parkingu koło nabrzeża i czujnie śledził informacje krewetkarzy. Wszystkie oczy zwróciły się w kierunku zakrętu, gdzie powinien się pokazać „The Amberjack”. Zakręt znajdował się o milę od miejsca, gdzie Colleton River łączyła się z trzema innymi dopływami i rozlewała w zatokę.

Czekaliśmy dwadzieścia minut, a kiedy wreszcie zobaczyliśmy łódkę, z gardeł wydarł się zbiorowy jęk. „The Amberjack” na fali przyływu sunął wysoko nad niewidocznymi teraz trzęsawiskami. Jeden z załogantów stał na dziobie z lornetką i śledził wodę przed łodzią. Nieruchomy niczym z żelaza, stawał się pomnikiem swej zawodowej pasji.

Luke, Savannah i ja staliśmy na moście i podobnie jak kilkanaście setek innych mieszkańców oczekiwaliśmy na moment, gdy pojmany zostanie talizman szczęścia naszego miasta. Była w tym tylko ciekawość, do chwili, gdy morświn minął zakręt i zaczął swą jedwabistą, bajeczną paradę w kierunku miasta. Zasrebrzył się w słońcu, gdy blade płetwy rozciąły niewielkie fale. Była w jego ruchach jakaś niezwykła wzniosłość, gdy tak sunął ku nam nieświadom niebezpieczeństwa. Po raz kolejny olśnił nas swym absolutnym pięknem. Tylna płetwa ponownie rozcięła wodę niczym biały klin i ku naszemu zdumieniu całe miasto wydało zbiorowy okrzyk zachwytu, sławiąc białego morświna. Sztandar gniewu Colleton zatrzepotał na niewidzialnym wietrze i nie wiadomo kiedy przestaliśmy być biernymi obserwatorami, a nasze wargi ułożyły się w bojowe zawołanie. Wszystkie wojenne hasła i odzewy niczym dzikie graffiti rozbłysły na rodowych tarczach nieświadomości Colleton. Morświn zanurzył się i ponownie wzbil pod powierzchnię, ku witającym go okrzykom. Był mistyczny i nieziemski, jego barwa była alchemicznym stopem lilii i macicy perłowej. Sunął wysrebrzony pod zalaną słońcem wodą. Potem podnieśliśmy wzrok i zobaczyliśmy doganiającego Śniega „The Amberjack”, załoga pakowała sieci do szalupy, którą chciała zaraz spuścić.

Potrzebny nam był bojownik i zaskoczony stwierdziłem, że ktoś taki stoi tuż obok mnie.

Na moście zrobił się korek, gdyż kierowcy po prostu stawali i biegli do balustrady, żeby śledzić moment pojmania. Załadowana pomidorami ciężarówka z jednej z farm Reese'a Newbury'ego nie mogła się precyzyjnie zatrzymać, kierowca zaczął więc naciskać klakson, żeby wezwać kierowców do pojazdów, ale na próżno.

Posłyszałem, jak Luke szepcze do siebie: „Nie, tak nie wolno”, a potem odbiega ode mnie, wskakuje na skrzynię ciężarówki i zaczyna ciskać w dół skrzynki z pomidorami. W pierwszej chwili pomyślałem, że zwariował, ale szybko połapałem się i wraz z Savannah otworzyliśmy pojemnik i zaczęliśmy przekazywać owoce wzdłuż barierki. Kierowca wyskoczył z szoferki i krzychał na Luke'a, żeby przestał, ale brat nie zwracał na niego uwagi i dalej podawał skrzynki w wyciągnięte ręce przyjaciół i sąsiadów. Głos kierowcy stawał się coraz bardziej rozpaczliwy, gdyż ludzie chwycili za łyżki do zdejmowania opon, żeby za ich pomocą szybciej rozwałać paki. Wóz szeryfa opuścił parking i skierował się ku autostradzie, która po drugiej stronie miasta biegła do Charleston.

Kiedy „The Amberjack” zbliżył się do mostu, salwa dwustu pomidorów ugodziła w pokład, ciskając na kolana marynarza z lornetką. Pomidory były zielone i twarde, drugi z załogantów pochylał się nad rufą z nosem w dłoni, z której ściekała krew. Za pierwszą rychło nastąpiła druga salwa i wszyscy ludzie z „The Amberjacka” oglupiali i zdumieni rzucili się do schronienia w nadbudówkach i lukach pokładowych. Łyżka oponowa zagrzechotała o szalupę, co tłum powitał aplauzem. Dokonywał się dalszy rozładunek ciężarówki, kierowca nie przestawał się drzeć, ale absolutnie nikt nie zwracał na niego uwagi.

„The Amberjack” zniknął pod mostem i dwieście osób, jak wyszkolone, zgodnym ruchem rzuciło się do drugiej balustrady. Kiedy łódź wynurzyła się, zasypaliśmy ją pomidorową kanonadą niczym łucznicy, którzy z wyniosłych stanowisk rażą źle rozstawioną piechotę. Savannah ciskała mocno i celnie, znajdując własny rytm i styl. Z jej ust dobywał się okrzyk czystej przyjemności. Luke całą skrzynką pomidorów ostrzelał tylny pokład, one zaś, zdefasonowane i miękkie niepewnie toczyły się do otwartego luku.

„The Amberjack” był już tylko w zasięgu rzutu najsilniejszych ramion, kiedy morświn w bezwiednym geście samozachowawczym zmienił kurs, zawrócił do miasta i minął goniącą go łódź po prawej burcie. Zawrócił ku naszemu zachwytowi i przy aplauzie. Patrzyliśmy, jak przepływa pod mostem, rozcinając promienne wody niczym sen z kości słoniowej. Kiedy

wykręcił także „The Amberjack”, między stojącymi rozeszły się jeszcze liczniejsze skrzynki z pomidorami. Teraz także i szofer uległ masowej hysterii i z ręką zbrojną w pomidora czekał na nieuchronne przybycie łodzi pościgowej, tymczasem jednak „The Amberjack” znieacka skręcił pod kątem prostym, podczas gdy Śnieg Karoliny, jedyny biały morświn na planecie spokojnie płynął ku Atlantykowi.

Następnego dnia rada miejska podjęła uchwałę, mocą której Śnieg stawał się obywatelem hrabstwa Colleton, a wszelka próba zabrania go przemocą poza jego granice uznana została za przestępstwo. Jednocześnie stan Karoliny Południowej ogłosił przestępstwem każde działanie polegające na chwytaniu i zabieraniu z wód hrabstwa Colleton zwierząt należących do gatunku Phocaena lub Tursiops. Nie upłynęły dwadzieścia cztery godziny, a nasze hrabstwo stało się jedynym miejscem na świecie, gdzie zbrodnią było chwywanie morświnów.

Kapitan Blair prosto z przystani udał się do siedziby szeryfa i zażądał, aby ten aresztował winnych obrzucenia „The Amberjacka” pomidorami. Niestety, kapitan nie potrafił podać ani jednego nazwiska osoby podejrzanej o przestępstwo, a z kolei szeryf po odbyciu kilku rozmów telefonicznych miał do dyspozycji czterech świadków, którzy pod przysięgą gotowi byli zeznać, że w chwili, gdy łódź przepływała pod mostem, nie było na nim żywej duszy.

- To skąd na moim pokładzie wzięło się kilkaset funtów pomidorów? - spytał oburzony kapitan.

Lakoniczna odpowiedź udzielona przez szeryfa została powtórzona w każdym domu w Colleton. A brzmiała:

- Jak nadchodzi sezon pomidorowy, drogi panie, to cholerstwo rośnie wszędzie.

Wszelako ludzie z Miami nie upadli na duchu i szybko ułożyli nowy plan schwytania morświna. Trzymali się z dala od miasta i głównego nurtu Colleton River, więcej - usunęli się poza granice wód hrabstwa, gdzie chcieli poczekać na moment, gdy Śnieg znajdzie się poza zasięgiem obowiązywania praw hrabstwa i stanu. Tymczasem nie odstępowały ich na krok jednostki karolińskiej Komisji Łowiectwa Leśnego i Wodnego oraz flotylla małych łódek, na których znajdowały się kobiety i dzieci z Colleton. Ilekroć „The Amberjack” chwytał trop, szybkość jego ruchu natychmiast spowalniały niemrawo manewrujące łódki, które pojawiały się między nim a morświnem.

Każdego dnia także nasza trójka wsiadała do łódki i przyłączała się do flotylli oporu. Luke wpływał przed dziób „The Amberjacka” i nie zważając

na wycie rogu, z każdą chwilą odrobinę zwalniał bieg łódki. Jakichkolwiek subtelnych manewrów chwycił się kapitan Blair, nie udawało mu się pozbyć Luke'a. W tym czasie ja i Savannah zarzucaliśmy sieci na tuńczyki. Bardzo często na dziobie pojawiał się ktoś z załogi, aby nas postraszyć albo wyśmiać.

- Ej, szczeniaki, zjedźcie nam z drogi, zanim się wściekniemy.
- Po prostu sobie łowimy, - wołał Luke.
- A co takiego niby łowicie?
- Podobno kręci się gdzieś tutaj biały morświn - odpowiadał Luke i delikatnym ruchem przeguba przymykał odrobinę gaźnik.
- Tak, mądralo? Kiepsko się jakoś do tego zabieracie.
- Nie gorzej niż wy, proszę pana - odpowiadał grzecznie brat.
- Gdybyśmy byli na Florydzie, wzięlibyśmy was pod kil.
- Ale to nie jest Floryda, proszę pana. Czyżby pan nie zauważył?
- Wsioki - wrzasnął rozwścieczony mężczyzna.

Luke przymknął gaz tak zdecydowanie, że stanęliśmy niemal w miejscu, usłyszeliśmy, jak „The Amberjack” wrzuca wsteczny bieg, a jego dziób zawisł złowrogo nad nami.

- Nazwał nas wsiokami - powtórzył Luke.
- Ja mam być wsiokiem? - spytała Savannah.
- Czuję się głęboko dotknięty - powiedziałem.

Przed nami biały morświn wykręcał właśnie w Langford Creefc, alabastrowy błysk płetwy zniknął za zielonym cyplem trzęsawisk. Trzy łódki czekały u ujścia strumienia, aby kontynuować działania Luke'a, gdyby „The Amberjackowi” udało się go wyprzedzić.

Po trzydziestu dniach nieustannego zmagania się z przeszkodami i sabotażem „The Amberjack” przekroczył południowe granice wód Colleton i powrócił do swej bazy w Miami bez białego morświna. Kapitan Blaire na pożegnanie udzielił „Gazette” pełnego gorzkiego wywiadu, w którym wyliczył wszystkie trudności, jakie mieszkańcy Colleton stworzyli, aby udaremnić jego misję, trudno się pogodzić - mówił - z takim obskurantyzmem, który ogranicza swobodę badań naukowych”. A kiedy jeszcze jego statek został ostrzelany z Freeman Island, kapitan musiał podjąć decyzję o ostatecznym poniechaniu łowów. Krewetkowa flotylla uważnie śledziła kurs „The Amberjacka” do chwili, gdy minąwszy najdalsze wysepki, zrobił zwrot i wziął kurs na pełne morze.

„The Amberjack” nie wrócił jednak do Miami. Oddalił się czterdzieści mil na południe, a potem wpłynął w ujście Savannah River, gdzie zacumował przy przystani krewetkowej w Thundebolt. Pozostał tam przez

siedem dni, uzupełniając zapasy i czekając, aż nastroje w hrabstwie Colleton nieco przygasną. Załoga nieustannie prowadziła nasłuch na krótkich falach, dzięki temu mogła śledzić trasę morświna, o której szczegółowo informowali siebie poławiacze krewetek. Po tygodniu łódź porzuciła nurt Savannah w środku nocy i poza trzymilowym pasem przybrzeżnym popłynęła na północ, starannie dbając o to, aby nie wpaść w oko kutrom trzymającym się bliżej brzegu.

Czekali przez trzy dni, aż wreszcie usłyszeli interesującą ich wiadomość.

- Krewetkarze, w Zajac Greek złapałem w sieci wielką kłodę. Kto z was plynie w tę stronę, niech uważa. Odbiór.

- Ale na Zajac i tak nie ma krewetek, kapitanie - odezwał się głos innego z rybaków. - Daleko coś od domu, kapitanie Henry, prawda?

- Szukam krewetek, gdzie się da, odbiór - odparł ojciec, przypatrując się, jak Śnieg Karoliny gna ławicę ryb na mieliznę.

Zajac Greek nie leżał już w granicach hrabstwa, „The Amberjack” wziął więc kurs na zachód i pełną parą popłynął w tamtym kierunku. Załoga zaczęła przygotowywać sieci i kapitan Blair bez żalu spoglądał na ostatnie fragmenty wybrzeża Karoliny Południowej. Poławiacz z Charleston był świadkiem schwywania białego morświna o godzinie 11.30 - widział jego panikę, gdy otoczyły go sieci, widział, jak się w nie zaplątał, podziwiał ostrożność i zręczność marynarzy, którzy obwiązali Śniega linami i trzymali jego łeb nad wodą, żeby się nie utopił, podczas gdy inni wsadzali go do motorówki.

Zanim wieść dotarła do Colleton, „The Amberjack” był znowu poza pasem trzymilowym i wziął kurs południowy, który po pięćdziesięciu ośmiu godzinach miał go doprowadzić do Miami. W miasteczku rozbrzmiały w proteście dzwony kościelne, dając wyraz bezsilnej złości. Zdawało się, że rzeka została odczarowana, raz na zawsze pozbawiono ją wszelkiej magii.

„Wielka kłoda” to hasło, które ojciec ustalił z kapitanem Blairem i załogą „The Amberjacka”. Umówili się, że ojciec będzie łowił na wodach leżących na granicy hrabstwa Colleton, aby dać znak, kiedy morświn skieruje się ku hrabstwu Gibbes na północy. To ojciec był owym anonimowym mieszkańcem Colleton, który poinformował akwarium morskie w Miami o obecności na naszych terenach morświna albinosa. Dwa tygodnie po schwyтaniu Śniega, a tydzień po tym, jak „Colleton Gazette” zamieściła zdjęcie naszego morświna umieszczanego w nowym morskim domu w Miami, ojciec otrzymał list z gratulacjami od kapitana Blaira, a także czek na tysiąc dolarów, stanowiący wynagrodzenie za pomoc.

- Brzydę się tym, co zrobiłeś, Henry - powiedziała matka, ledwie nad sobą panując, kiedy ojciec triumfalnie zamachał przed nami czekiem.

- Zarobiłem tysiąc pięknych zielonych, Lila, i nigdy w życiu nie przyszło mi to z taką łatwością. Modlę się o to, żeby każdy mijany przeze mnie morświn był albinosem, bo wtedy nic, tylko objadałbym się czekoladą i kupował kolejne banki.

- Jeśli jeszcze została w tym mieście chociaż jedna osoba z charakterem, to pojedzie do Miami i uwolni to zwierzę. A ty uważaj, Henry, żeby nikt nie dowiedział się, że to twoja wina. W Colleton wszyscy kipią wprost ze złości.

- Tato, jak mogłeś sprzedać naszego morświna? - spytała Savannah.

- Posłuchaj, kochanie, teraz będzie sobie mieszkał w bogatym mieście, wcinał pyszne makrele i skakał przez kółka, żeby zabawić dzieciarnię. Śnieg już do końca życia nie musi przejmować się rekinami, w Miami poszedł na emeryturę. Trzeba na całą sprawę spojrzeć także od korzystnej strony.

- A ja myślę, tato - powiedział Luke - że popełniłeś grzech, którego nawet Bóg nie może ci odpuścić.

- Co ty powiesz? - powiedział szyderczo ojciec. - Jakoś nigdy nie widziałem, żeby miał wytatuowane na grzbiecie „Własność Colleton”. Napisałem jedynie do akwarium morskiego, że w Colleton występuje pewien dziw natury, który może przyciągnąć tłumy, a oni wynagrodzili mnie za to, że nadstawiałem oczu i uszu.

- Na pewno by go nie znaleźli, gdybyś ich przy każdej okazji nie informował, gdzie go widziałeś - powiedziałem.

- Byłem ich oficerem łącznikowym na tym terenie. Nie ma w tym roku specjalnego urodzaju krewetek. Za ten tysiączek dolarków będziemy mieli co zjeść i włożyć na siebie. Mógłby wystarczyć na college dla jednego z was.

- Nie tknę nawet kęsa jedzenia ani nie naciągnę na tyłek majtek, które kupisz za te pieniądze - prychnął Luke.

- Przyglądałam się Śniegowi od pięciu lat - powiedziała matka. - Pamiętasz, Henry, zabiłeś kiedyś Toma, za to, że zabił orła, a tymczasem tych jest na świecie znacznie więcej niż białych morświnów.

- Zaraz, Lila, przecież nie zabiłem morświna. Pomogłem go dostarczyć do bezpiecznej przystani, gdzie niczego nie będzie się już musiał lękać. Ja uważam, że znakomicie spisałem się w całej tej historii.

- Zaprzedałeś Śniega w niewolę - oznajmiła z namaszczeniem matka.

- I teraz zrobią z niego cyrkowego morświna - dodała Savannah.



- Zdradziłeś siebie i swoje korzenie - powiedział Luke. - Gdyby chodziło o biznesmena, mógłbym to zrozumieć. Mały, nędzny facecik z Chamber of Commerce z przy lizanymi włosami. Ale rybak, tato? Poławiacz krewetek, który za pieniądze sprzedaje Śniega!

-> Za pieniądze to ja sprzedaję krewetki - wrzasnął ojciec.

- To nie to samo - sprzeciwił się Luke. - Nie chodzi wtedy o to, czego nie można już potem zastąpić.

- Dzisiaj widziałem w rzece dwadzieścia morświnów.

- I idę o zakład, tato, że żaden z nich nie był biały, żaden nie był niezwykły - rzekł Luke.

- To nasza rodzina jest winna temu, że złapali Śniega - powoli wycedziła Savannah. - Czuję się jak córka Judasza Iskarioty, tyle że pewnie Judasz byłby mniej wstrętny.

- Nie powinieneś był tego robić - powtórzyła matka. - To tylko przyniesie nieszczęście.

- Trudno, żeby coś jeszcze mogło mi się pogorszyć - powiedział ojciec. - Tak czy owak, co się stało, to się nie odstanie i nic już nie można poradzić.

- Jeszcze zobaczymy - mruknął pod nosem Luke.

Trzy tygodnie później, w noc niemrawą i gwieździstą, kiedy rodzice spali i z ich pokoju dochodziło miękkie pochrapywanie ojca, Luke zapoznał nas ze swoim planem. Właściwie nie powinno to nas było zdziwić, ale jeszcze lata potem zastanawialiśmy się z Savannah nad tym, kiedy dokładnie nasz brat z rozmarzonego idealisty przemienił się w człowieka czynu. Oboje byliśmy przerażeni i olśnieni śmiałością propozycji, ale żadne z nas nie chciało wziąć udziału w jej realizacji. Luke jednak nie ustawał w łagodnych namowach, aż zostaliśmy całkowicie usidleni przez jego magnetyczną, elegancką elokwencję. Decyzję już podjął, a teraz pół nocy spędził tylko na tym, aby uczynić z nas współników jego pierwszego prawdziwego tańca po stronie bezprawia. Od tej nocy, kiedy zobaczyliśmy, jak stoi w stodole naprzeciw tygrysa, wiedzieliśmy, że jest odważny, ale teraz musieliśmy liczyć się z tym, że jest pozbawiony instynktu samozachowawczego.

Trzy dni później, kiedy Luke zakończył już wszystkie przygotowania, znaleźliśmy się na autostradzie numer 17 i jak strzała pomknęliśmy na południe. Luke dociskał gaz do dechy, radio ryczało na cały regulator, Ray Charles śpiewał: Hit the Road, Jack my zaś pomagaliśmy mu ze wszystkich sił. Kiedy znaleźliśmy się na Eugene Talmadge Memorial Bridge w Savannah, popijaliśmy właśnie schłodzone piwo, a radio mieliśmy nastawione na Big Ape, stację z Jacksonville. Zatrzymaliśmy się przy bramce i Luke wręczył dolara mężczyźnie sprzedającemu bilety.



- Jak tam, dzieciaki, jedziecie na zakupy do Savannah? - spytał.

- Nie, proszę pana - odparł Luke. - Jedziemy na Florydę, żeby wykraść morświna.

Podczas tej szalonej jazdy na łeb na szyję, moje zmysły były jak pięć rozgrzanych do białości palenisk. Miałem wrażenie, iż wystarczy, bym wskazał palcem palmę, a ta buchnie płomieniem. Byłem naelektryzowany, podekscytowany i porażony strachem. Wydawało się, że każda piosenka z radia ma na celu sprawienie właśnie mnie przyjemności. Mam okropny głos, teraz jednak wydawało mi się, że śpiewam wprost wspaniale, kiedy gnaliśmy nadbrzeżną autostradą, a potem drogami Georgii w szpalerach dębów. A Luke zmieniał biegi tylko wtedy, gdy trzeba było zwolnić przed miastem. Luke miał szybkość we krwi, i granicę Florydy mijaliśmy dwie godziny po wyjeździe z Melrose Island i nawet nie zatrzymaliśmy się na szklanekę darmowego soku pomarańczowego, którym stan witał przybyszów.

Jacksonville trochę nas opóźniło, ale St Johns River była wspaniała - pierwsza w naszym życiu rzeka, która płynęła na północ. Wystarczyło, że wydostaliśmy się na Al A, a porzuciliśmy puchnący w upale asfalt, opony znowu zaśpiewały na szutrze i po lewej od czasu do czasu błyskał ocean. Kiedy ciepły wiatr wpadł do kabiny, mieliśmy wrażenie, że morze razem z nami sunie na południe, świadome naszej misji, aprobujące ją i wspomagające.

Jechaliśmy więc na południe ze złodziejskim zamiarem w duszach i samopoczuciem wyrzutków i nawzajem czerpaliśmy od siebie występną energię. Spojrzałem przed siebie i zobaczyłem, że Luke zaśmiewa się z powodu jakiejś uwagi poczynionej przez Savannah, poczułem dotyk jej rozwianych włosów i ich zapach, a wtedy zniecka załaza mnie tak absolutna, nieodparta miłość do brata i siostry, że jeszcze dziś mam na języku jej smak, a w sercu czuję jej żar. Nachyliłem się, ucałowałem Savannah w szyję, a lewą ręką ucisnąłem ramię Luke'a. Pochwycił moją dłoń i ku memu absolutnemu zdumieniu przyciągnął ją do ust i z niezwykłą delikatnością ucałował: Rozparłem się na fotelu i w rozwodnionym świetle niedzieli wchłaniałem aromat stanu Floryda.

Po dziesięciu godzinach jazdy i dwóch postojach na zatankowanie paliwa minęliśmy drogowskaz na tor wyścigowy w Hialeah i zobaczyliśmy, jak z morza wynurza się miasto Miami. W ciepłej bryzie szeleściły palmy kokosowe, a zapach ogrodów pełnych bugenwilli wypełniał szerokie aleje. Nigdy dotąd nie byliśmy na Florydzie, a oto nagle krążyliśmy ulicami

Miami, szukając miejsca, gdzie pod drzewami limony i awokado moglibyśmy rozstawić swoje namioty.

- A co teraz, Luke? - spytałem. - Przecież nie możemy po prostu iść i powiedzieć: „Cześć, przyjechaliśmy rąbać waszego białego morświna, nie zechcielibyście go jakoś poręcznie zapakować?”

- Trzeba się rozejrzeć - odpowiedział Luke. - Trzeba się razem zastanowić. Mam pewien wstępny plan, ale musimy się zabezpieczyć. Na początek trzeba obejrzeć to miejsce. Na pewno musi być jakiś nocny stróż, który ma pilnować, żeby dzieciaki się nie zakradły i nie próbowały złapać delfina na wędkę.

- To co zrobimy ze strażnikiem? - spytała Savannah.

- Ja nie chcę go zabijać - powiedział beznamiętnie Luke. - A wy jak?

- Czyś ty zgłupiał, Luke? - zachnąłem się. - Coś ci padło na mózg?

- To tylko plan awaryjny.

- O nie, Luke - sprzeciwiła się Savannah. - Jeśli to jest w ogóle jakiś plan, awaryjny czy nie, to my nie mamy z tym nic wspólnego.

- Tylko żartowałem. Mają tutaj także orkę, więc jutro możemy zobaczyć, czy i z nią nie dałoby się czegoś zrobić.

- Nie przyjechaliśmy tutaj, żeby ratować Orkę - słowa Savannah grzmiały jak ostrzeżenie. - Znam ten ton w twoim głosie i dlatego mówię od razu: orka nie wchodzi w grę.

- A może tak dałoby się wypuścić na wolność wszystko, co tutaj trzymają - rozmarzył się Luke. - To byłby napad stulecia.

- A dlaczego nazywają je „orki - zabójcy”? - spytałem.

- Pewnie dlatego, że lubią komuś dobrać się do tyłka - wyjaśnił brat.

Pojechaliśmy ulicą prowadzącą do Key Biscayne, po prawej pojawiło się akwarium morskie. Przejeżdżając przez parking, Luke zwolnił, paliło się tylko jedno światelko na wartowni. W oknie pojawiła się jakaś twarz, ale mając za tło światło elektryczne, była pozbawiona rysów i absurdalna. Teren był ogrodzony ośmiostopowym metalowym płotem, na którego szczycie znajdował się drut kolczasty. Luke dodał gazu, a wóz przyspieszył gwałtownie, syjąc żwirem spod kół. O tym, że mijamy zoo, poinformował nas zapach jak z klatki Cezara, tyle że ustokrotniony. W ciemności zaryczał słoń, na co Luke odpowiedział mu klaksonem.

- To nie brzmiało jak słoń - powiedziała Savannah. - Szkoda, a jak brzmiało, twoim zdaniem?

- Jak ostryga pierdząca w mydle Crisco.

Luke ryknął śmiechem, objął prawą ręką Savannah i przyciągnął do piersi. Noc przespaliliśmy na ławkach w Key Biscayne, a kiedy się

zbudziliśmy, słońce stało już wysoko. Pozbieraliśmy swoje rzeczy i poszliśmy odwiedzić akwarium.

Zapłaciliśmy za bilet i weszliśmy przez turnikiet. Przez pierwsze pół godziny obeszliliśmy cały teren wzdłuż płotu, zwieńczonego wstrętnymi kłębami drutu. Koło przylegającej do parkingu kępy palm Luke zatrzymał się ze słowami:

- Tutaj zatrzymam wóz i wytnę dziurę.

- A co, jak nas złapią, Luke? - spytałem.

- Jesteśmy uczniakami z Colleton i założyliśmy się z kolegami, że wypuścimy na wolność Śniega. Będziemy udawali zupełnych ćwoków i mówili, że najgorszą rzeczą, którą dotąd zrobiliśmy, było plucie grochem przez rurkę na prześcieradła w ogrodzie.

- Ten strażnik przy wejściu był uzbrojony - zauważyła Savannah.

- Wiem, Savannah, ale przecież nie będzie do nas strzelał.

- A skąd wiesz? - spytała.

- Stąd, że Tolitha dała mi cały słoik tabletek nasennych. Wiesz, tych, które nazywa swoimi czerwonymi diabelkami.

- I co, poprosimy go, żeby powiedział: „A” i wrzucimy mu pastylkę do ust? - spytałem, czując, że odjazdowy plan Luke'a ma pewne istotne braki, jeśli chodzi o kwestie wykonawstwa.

- Nad tym się jeszcze nie zastanawiałem, braciszku. Na razie znalazłem miejsce, gdzie zrobię dziurę.

- A jak wyjmemy Śniega z wody? - nastawałem.

- W ten sam sposób: tabletki nasenne.

- Jasne - mruknąłem. - Wskoczymy do wody, pomoczymy dupska tak długo, aż wreszcie złapiemy morświna, na co specjalistom z ekwipunkiem potrzeba było miesiąca, a potem wepchniemy mu do pyszczka dwie pigułki. Dla mnie bomba, Luke.

- Więcej niż dwie, Tom. Musimy być pewni, że Śnieg zasnął na amen.

Savannah wrzuciła ramionami.

- I w ten sposób stanie się pierwszym morświnem, który zdechnie z przedawkowania.

- Nie, nie, przypuszczam, że Śnieg waży około czterystu funtów. Tolitha waży sto i starcza jej jeden proszek, więc jemu trzeba dać cztery, może pięć.

- Ale czy ktoś słyszał, żeby morświny brały tabletki nasenne? - powiedziała Savannah. - Luke, Tom ma rację.

- O tym nie słyszałem, słyszałem natomiast, że morświny jedzą ryby. Gdyby się teraz zdarzyło, że Śnieg połknie rybę, w której są tabletki, to wedle mojej teorii upłynie trochę czasu, a będzie gotów do snu jak dziecko.

- Ej, Luke, a czy one w ogóle śpią? - spytałem.

- Nie wiem. Tę naszą wycieczkę musimy wykorzystać do tego, żeby dowiedzieć się o morświnach bardzo wielu rzeczy.

- A jeśli się nie uda, Luke? - odezwała się Savannah.

Brat wzruszył ramionami.

- Nic się nie stanie, siostrzyczko, ale będziemy wiedzieli, że przynajmniej spróbowaliśmy. Zresztą już trochę się ubawiliśmy, prawda? Tam w Colleton siedzą i płaczą nad złapanym morświnem, a ty, ja i Tom jesteśmy w Miami i planujemy napad na więzienie. Będziemy o tym opowiadać swoim dzieciom. Jeśli uda nam się go oswobodzić, będzie wielka parada, my jedziemy w otwartej limuzynie, a ludzie sypią na naskonfetti. Aż do końca życia będziemy mieli czym się chwalić. Ale najpierw musicie to zobaczyć, bo jeszcze żadne z was nie widzi, a to jest naprawdę ważne. Pomogę wam. Zamknijcie oczy... - Savannah ija zamknęliśmy powieki i wsłuchaliśmy się w słowa brata. - Ja i Tom mamy Śniega w wodzie. Popychamy go do miejsca, gdzie Savannah czeka z noszami. Zarzucamy liny, delikatnie wyciągamy na brzeg i przywiązujemy do noszy. Strażnik śpi u siebie, bo parę godzin wcześniej zatruliśmy mu colę. Jasne? Teraz tylko morświna na pickupa, który czeka przy dziurze i - jazda! A teraz rzecz najważniejsza. Stoimy na przystani w Colleton, zdejmujemy liny ze Śniega i puszczamy go do rzeki, gdzie się urodził i gdzie jest jego miejsce. Widzicie, widzicie to?

Głos Luke'a miał moc hipnotyczną, oboje w jednej chwili otworzyliśmy oczy i pokiwaliśmy do siebie głowami - tak, zobaczyliśmy.

Poszliśmy dalej wzdłuż ogrodzenia i w południowym rogu terenu akwarium zobaczyliśmy zacumowanego „The Amberjacka”. Nigdzie nie było widać nikogo z załogi, ale na wszelki wypadek woleliśmy się nie zbliżać. Aby dotrzeć do pomieszczenia z morświnem, trzeba było przejść przez drewniany most wysoko zawieszony nad fosą, w której leniwie krążyły wielkie rekiny. Pływały w odstępach dwudziestojardowych i widać było, że nie mają specjalnej ochoty na wzajemne kontakty. W otoczeniu zamartwych z zachwytu widzów patrzyliśmy, jak przepływają, pod nami rekin młot oraz młody ostronos. Ruchy wielkich ogonów były tak monotonne, a ich swoboda improwizacji tak ograniczona, wytyczona, że wydały nam się całkowicie odarte ze swej morderczej wielkości. Tłum był wielki i dobrotliwy, w otoczeniu bermudów i sandałów plażowych sunęliśmy do rotundy, gdzie w południe miał się odbyć popis orki. Na podstawie pobieżnej obserwacji doszliśmy do wniosku, że Floryda to miejsce, gdzie gromady pocziwców zbierały się, aby demonstrować białe

sflaczałe ramiona i akry nieowłosionych nóg, które dawno nie widziały opalenizny. Słońce wyprażyło trawę do najbledszej zieleni, automatyczne zraszacze polewały trawniki poprzedzielane żwirowymi ścieżkami, kolibry o rubinowych szyjach uwijały się pośród lilii. W pobliżu rotundy zobaczyliśmy tablicę: „Obejrzyjcie Moby Morświna podczas karmienia”.

- Pewnie, że tak zrobimy - obiecał Luke.

Słuchaliśmy, jak turyści wymieniają uwagi o białym morświnie, zasiadając na widowni otaczającej wielki zbiornik o pojemności dwóch milionów galonów. Gdy wszyscy zajęli już miejsca, atletyczny, opalony młodzieniec wyszedł na kładkę sterczącą nad wodą i pomachał do tłumu. Z głośników kobiecy głos opowiedział historię Pancernika, orki, którą wyrwano ze stada dwunastu wielorybów w pobliżu QueenCharlotte Strait koło Vancouver Island, a do Miami dostarczono specjalnym samolotem. Akwarium zapłaciło za niego sześćdziesiąt tysięcy dolarów, tresura zabrała cały rok. Jego występu nie można było połączyć z pokazem morświna, gdyż te stanowiły ulubiony pokarm orek. Spikerka jeszcze mówiła, gdy w dniu otworzyło się przejście i pod wodą się zagotowało.

Chłopak wpatrzył się w wodę, z której jakaś wielka masa unosiła się w jego kierunku. Kładka znajdowała się dwadzieścia stóp nad powierzchnią, chłopak wpatrywał się w nią tak intensywnie, że na jego czole pojawiły się bruzdy, w wyciągniętej ręce trzymał za ogon tuńczyka. Zrobił nim w powietrzu zapraszające kółko, a w tej samej chwili woda w centrum akwarium wzburzyła się pod idącym od dołu naporem. Delfin zanurkował na dno, a potem, rozpedzony, wyrósł z wody niczym wysokościorzec i chwycił ulubioną rybę tak delikatnie, jak dziewczyna przyjmująca bukiet kwiatów, a potem opadł łagodnym łukiem. Na chwilę przesłonił słońce, a gdy runął w wodę, wydawało się, że nagle wyrosło z niej migotliwe drzewo. W konsekwencji wielka fala trysnęła znad brzegu basenu i skropiła morską wodą rzędy od pierwszego do dwudziestego trzeciego. Oglądanie Pancernika połączone było z kąpielą, woda spływała z włosów i szukało się w niej zapachu delfina.

Ponownie okrążył basen, zbierając energię do tej chwili, gdy w słońcu Florydy błysnę dwukolorowy czar, sunąc w kierunku ciężkiego aromatu cytrusów i bugenwilli, Widzieliśmy w wodzie błysk białego podbrzusza i zdumiewającą świetlistość łba tak czarnego, że przywodziło to na myśl parę eleganckich oksfordzkich trzewików. Płetwa grzbietowa przypominała czarną piramidę tnącą wodę tak, jak brzytwa tnie nylon. Miał czystą perfekcyjną linię, w mrocznej paszczy sterczały zęby, każdy wielki jak lampa stołowa. Nigdy jeszcze nie widziałem tak skoncentrowanej, zwartej

siły. Pancernik znowu wyskoczył i tym razem poruszył dzwonek zawieszony nad wodą, a potem trwał z wystawioną nad powierzchnię paszczką, pozwalając blondasowi oczyścić kły wielką szczotką. Na koniec delfin wyfrunął z wody, boki ociekały mu wodą i rozrzucały na obie strony całe jej galony, on zaś chwycił w zęby sznur i opadając wciągnął amerykańską flagę na wysoki maszt. Za każdym razem, kiedy Pancernik osiągał apogeum swego lotu, tłum zrywał się z wrzaskiem radości, a potem wystawiał na strugi wodne.

- Co za zwierzę!

Luke z podziwem pokręcił głową.

- Potrafisz sobie wyobrazić, że na ciebie poluje? - spytała Savannah.

Luke spojrzął jej prosto w oczy i powiedział:

- Kiedy ktoś taki zaczynacie szukać, Savannah, możesz zrobić tylko jedno. Poddać się. Czekać, jaki los jest ci przeznaczony.

- Ale byłoby fajnie, gdyby taki był w Colleton - roześmiałem się.

- Tak powinny wyglądać egzekucje przestępców - oznajmił zniechęca Luke. - Daje im się kostium, kilka makreli do slipów i każe płynąć przez basen. Jeśli się uda, wychodzą na wolność. Jak nie, to przynajmniej akwarium mniej wydaje na jedzenie.

- Prawdziwy z ciebie humanista, Luke - powiedziała Savannah.

- Chodzi mi o prawdziwych zbrodniarzy. Wiesz, masowych morderców. Hitlera. Takich, co zabijają dzieci. Prawdziwe wrzody planety. Nie o tych, co przechodzą przez ulicę na czerwonym i tak dalej.

- Wstrętna śmierć - oceniłem, patrząc, jak orka leci przez płonącą obręcz, a woda wyrzucona przezeń z basenu gasi potem płomienie.

- Można by na tym zrobić niezły interes. Tatę można zatrudnić na kierownika. Orka wyskakuje, uderza w dzwonek i w nagrodę dostaje do schrupania przestępcę.

Pancernik po raz ostatni zwałił się w wodę, po raz ostatni skąpały nas bryzgi wody i wraz z innymi zmoczonymi turystami pomaszzerowaliśmy do siedziby morświna.

Po orce morświny wydawały się malutkie i niepozorne, a ich popisy, chociaż o wiele bardziej wymyślne i trudne, jawiły się błahostką po wielkim piece de resistance. Ich sztuczki były zachwycające, to prawda, ale po prostu nie były delfinami. Z pewnością jednak wydawały się zachwyconym, rozpromienionym stadkiem, kiedy wystrzeliwały z wody niczym pociski artyleryjskie i leciały dwadzieścia stóp w powietrze, gładkie, nefrytowe. Łby niezmiennie były przecięte uśmiechem arlekina, co przydawało popisowi charakteru spontaniczności. Bawiły się piłeczką baseballową,

kręglami, okrążały na ogonach całe akwarium, przerzucały piłkę przez obręcz i zabierały trenerowi z ust zapalonego papierosa, w daremnej próbie oduczenia go palenia.

Śnieg Karoliny znajdował się w osobnym basenie, oddzielony od reszty morświnów. Wielka zaciekawiona gromada zebrała się na brzegach, a Śnieg zdeorientowany i z lekka znudzony, pływał od ściany do ściany. Na razie nie nauczył się jeszcze żadnej sztuczki, ale zarabiał z pewnością na swe utrzymanie jako atrakcja. Spiker opisał schwywanie morświna w słowach tak dramatycznych, jak gdyby chodziło o najbardziej niebezpieczną i egzotyczną wyprawę od czasu odkrycia Northwest Passage. O trzeciej dozorca przyniósł wiadro ryb. Cisnął jedną na przeciwną stronę basenu, a Śnieg odwrócił się i z niesłychaną delikatnością pomknął ku unoszącej się na powierzchni wody rybie. Przyszli wyzwoliciele, słuchaliśmy, jak widzowie starają się opisać jego kolor, i byliśmy dumni z tego, że ci obcy tak zachwycają się jego bladym czarem.

Przypatrując się karmieniu, zauważyliśmy, że mężczyzna zmienia sposób ciskania ryb i domyśliliśmy się, że to część treningu naszego morświna. Najpierw kierował go od ściany do ściany, potem rzucał jadło coraz bliżej swego stanowiska, aż na samym końcu Śnieg przyjął rybę z jego ręki. Treser robił to spokojnie i umiejętnie, a tłum wybuchnął owacjami, kiedy Moby wynurzył się z wody. Miałem wrażenie, że jestem świadkiem Pierwszej Komunii wstydliwego dziewczęcia, gdy ryba została włożona do nadstawionego pyska Śniega.

- Tom, musimy walić na targ rybny - szepnął Luke - a ty, Savannah, zawrzyj znajomość ze stróżem nocnym, zanim zaczną zamykać, ale to będzie dopiero o ósmej.

- Zawsze chciałam zagrać występną uwodzicielkę - oznajmiła.

- Nikogo nie będziesz uwodzić, masz się z nim tylko zaprzyjaźnić. A potem uśpić sukinkota. Na Coconut Grove kupiliśmy tuzin dorszy oraz wiaderko z Kentucky Frien Chicken. Kiedy wróciliśmy do akwarium, do zamknięcia było już tylko pół godziny, a Savannah rozmawiała ze strażnikiem, który dopiero co przybył, aby objąć służbę. - Braciszkiwie - powiedziała - poznałam najwspanialszego faceta pod słońcem.

- Bardzo się panu naprzykrza? - spytał Luke. - Dostała dzienną przepustkę z wariatkowa.

- Naprzykrza? Też coś, rzadko mi się zdarza rozmawiać z takimi ładnymi dziewczynami. Jak ja jestem tutaj, to ludzi już niema.

- Pan Beavers jest z Nowego Jorku.

- Chce pan może kurczaka? - spytał Luke.



- A pewnie, poczęstuję się - odrzekł pan Beavers i wyciągnął udko.

- Może pepsi?

- Ze mnie jest stary kawosz. Ale, ale, robi się późno i musicie zmykać, dzieciaki. Człowiek siedzi tutaj sam i to jedyna wada tej roboty.

Zadmuchał w róg mgłowy, w odpowiedzi na co z głośników popłynęła nagrana na taśmę prośba, aby wszyscy zwiedzający natychmiast opuścili teren akwarium, a z prawdziwą radością zostaną powitani nazajutrz rano. Pan Beavers odszedł od wartowni i przechadzając się między amfiteatrem a pomieszczeniem morświnów, obficie korzystał ze swojego gwizdka. W tym czasie Savannah nałapała mu kawy z dzbanka, otworzyła dwie kapsułki nasenne i mieszała tak długo, aż proszek rozpuścił się bez śladu.

Ja z Lukiem towarzyszyliśmy panu Beaversowi, gdy żartobliwie poganiał turystów do wyjścia, zapraszając ich na dzień następny. Zatrzymał się przy basenie, w którym Śnieg niespokojnie pływał od ściany do ściany.

- To anomalia - powiedział - ale jaka piękna.

W drodze powrotnej zobaczył chłopaka, który rzucił na ziemię opakowanie po Popsicle, i ruszył ku niemu ze słowami:

- Młody człowieku, śmieczenie to zbrodnia wobec Stwórcy tej zielonej planety.

Luke, korzystając z okazji, rzucił dorsza do basenu ze Śniegiem, który dwa razy przepłynął obok, a dopiero za trzecim chwycił śniętą rybę.

- Iloma pastylkami go nafaszerowałeś? - spytałem.

- Wystarczyłoby, żeby zabić ciebie lub mnie - odpowiedział.

Pan Beavers popijał kawę, kiedy pomachaliśmy mu na pożegnanie. W drodze do pickupa szepnąłem do Savannah:

- Dobra robota, Mata Hari.

Zza naszych pleców odezwał się Luke:

- Gorąco mi. A może byśmy się wykąpali w Key Biscayne?

- Kiedy przyjdziemy po Śniega? - spytałem.

- Koło północy - odparł.

Wschodził księżyc podobny do bladego znaku wodnego na niebie. Aż do zachodu słońca pływaliśmy w Atlantyku tak odmiennym od oceanu w naszej części wybrzeża, że wydawało się niepodobieństwem, by miała cokolwiek wspólnego. Na Florydzie woda była niebieściutka i przejrzysta, nigdy dotąd nie mogłem dojrzeć swej stopy, gdy woda sięgała mi do piersi. Luke dobrze wyraził moje uczucia, mówiąc:

- Z tą wodą coś jest nie w porządku.

Morze zawsze miało dla mnie w sobie coś kobiecego, ale tutaj było jeszcze bardziej miękkie i jedwabiste. Misterium Florydy pogłębiło się, gdy

na brzegu po raz pierwszy w życiu jedliśmy mango. Owoc smakował obco, a przecież swojsko, jak drzewo, które przeobraziła cierpliwość słonecznego światła. Nie przywykliśmy do morza, któremu można było zaufać, którego przyływy i odpływy były delikatne i niegroźne, a woda przezroczysta i spokojna u stóp palm. Księżyc rzucał na nią srebrzyste pasmo, które ciągnęło się setkami mil, aby wreszcie wczepić się we włosy Savannah. Luke wstał i wyciągnął zegarek z kieszeni džinsów.

- Słuchajcie, gdyby nas dzisiaj capnęli, wy się nie odzywajcie. Ja was w to wciągnąłem i na mnie spada odpowiedzialność, gdybyśmy znaleźli się w kłopotach. A teraz módlmy się, żeby pan Beavers spał smacznie i zdrowo.

Przez okno zobaczyliśmy, jak nocny stróż śpi z głową na biurku. Luke stanął pickupem w kępie palm i bez hałasu wyciął w płocie dużą dziurę. Przeszliśmy przez nią, a potem, trzymając się cienia, przemknęliśmy nad fosą z rekinami. Pod nami słyszeliśmy zwierzęta robiące mechaniczne rundy, bezlitośnie ukarane za fakt urodzenia się rekinami. Przebiegaliśmy koło amfiteatru, kiedy usłyszeliśmy oddech orki.

- Poczekajcie chwilę - powiedział Luke i wyjął z torby jedną z ryb, które przygotował na wypadek, gdyby Śnieg zgłodniał podczas podróży na północ.

- Nie, Luke - zaprotestowałem. - Nie mamy czasu na żadne wariactwa.

Ale Luke już gnał po schodach, więc mnie i Savannah nie pozostało nic innego, jak iść w jego ślady. W księżycowym świetle widzieliśmy, jak wspina się na kładkę, a w dole poruszyła się wielka płetwa. Luke poszedł na koniec pomostu i naśladując blond tresera, którego widzieliśmy za dnia, zrobił kolisty ruch ręką. Pancernik zanurkował, a wzburzona woda zachlupotała o brzegi basenu, kiedy orka nabierała rozpędu. Brat najdalej, jak potrafił, wysunął rękę z rybą.

Delfin z hukiem wystrzelił z wody i porwał dorsza, ledwie muskając palce Luke'a. Olbrzym majestatycznie opadł na bok, ukazując świetliście biały bok, a pogrążając się w toni, dwadzieścia trzy rzędy zalał strugami wody.

- Dureń, dureń - zaszeptalem, kiedy Luke dołączył do nas.

- Cudownie, cudownie - powiedziała w zachwycie Savannah.

Pobiegliśmy do „The Amberjacka” i z magazynku pokładowego zabraliśmy sprzęt, który, jak wiedzieliśmy, będzie nam potrzebny. Luke wydobył liny i nosze, potem rzucił Savannah gumowe materace. Zabrała je i zanosła do pickupa, aby zasłać nimi dno skrzyni. Ja wraz z Lukiem pospieszaliśmy do pawilonu morświnów i brat znowu utorował nam drogę, wycinając dziurę w płocie.

Czas już był najwyższy. Morświn niemal się już nie ruszał i przypuszczam, że gdybyśmy przybyli godzinę później, zdążyłby już utonąć. Kiedy weszliśmy do wody, był tak odurzony, że w ogóle nie zareagował. Wzięliśmy go pod łeb oraz brzuch i popchaliśmy tam, gdzie ustawiliśmy nosze. Był tak biały, że moje ręce w zestawieniu z jego głową wydawały się brązowe. Kiedy szliśmy z nim przez basen, wydał miękkie, ludzkie westchnienie. Savannah była już z powrotem, więc w trójkę podłożyliśmy w wodzie nosze pod morświna i w trzech miejscach przywiązaliśmy go do nich.

Znowu przemknęliśmy w cieniu palm i cytryn, ja i Luke, przygarbieni niczym sanitariusze na polu bitwy, szliśmy z noszami najszybciej, jak potrafiliśmy. Przeszliśmy przez dziurę, odwiązali Śniega i delikatnie umieścili na materacach. Savannah i ja spryskaliśmy go wodą z Key Biscayne, którą zabraliśmy do wiader i naszej chłodziarki piwa. Luke zamknął klapę, wskoczył do szoferki, włączył silnik, wytoczył się z parkingu, a następnie wziął kurs na migające światła Miami. I to chyba w trakcie tych pierwszych dwóch minut najbardziej groziło nam schwytnięcie, jadąc bowiem pustą o tej porze drogą, troje Wingo z Karoliny Południowej darło się w niebogłose Niebawem na zawsze opuściliśmy Miami, a Luke wcisnął pedał gazu niemal do oporu, ciepły wiatr rozwiewał nam włosy i z każdą milą byliśmy bliżej granicy Georgii. Oddech Śniega był z początku chrapliwy, jak darcie papieru, raz czy dwa wydawało się, iż się urywa, a wtedy nachylałem się i dmuchałem mu w nozdrza, on zaś odpowiadał swoim oddechem. Efekt pastylek zaczął mijać dopiero w DaytonaBeach, gdzie zatrzymaliśmy się, aby zatankować, od tej pory stan Śniega nie budził już żadnych obaw.

Po nabraniu benzyny Luke zajechał na plażę, ja i Savannah wyskoczyliśmy i zacerpnęliśmy do wiader i chłodziarki świeżej wody, a ledwie załadowaliśmy się z powrotem, Luke wystartował, wyrzucając piasek spod kół, i po chwili byliśmy znowu na autostradzie.

- Uda się, uda!!! - wrzasnął przez okienko w tyle kabiny. - Jeszcze pięć godzin i jesteśmy bezpiecznie w domu.

Polaliśmy morświna słoną wodą, natarli go od łba do ogona, aby ożywić krążenie krwi, i przemawialiśmy pieszczotliwymi słowami, które dzieci rezerwują zazwyczaj dla psów. Był w dotyku miękki, gładki i śliski niczym jedwab. Śpiewaliśmy mu kołysanki, recytowaliśmy wiersze i rymowanki, szeptaaliśmy, że zabieramy go do domu, gdzie już nigdy nie będzie musiał jeść śniętych ryb. Kiedy wjechaliśmy do Georgii, zatańczyliśmy z Savannah

pod plandeką, a Luke zwolnił w obawie, że jeszcze się wy tańczymy z samochodu.

Zaraz za Midway policjant z drogówki zmusił Luke'a do zatrzymania za przekroczenie limitu szybkości o ponad czterdzieści mil. Brat rzucił przez ramię:

- Przykryjcie Śniegowi łeb materacem, a ja wszystko załatwię.

- Przepraszam, panie sierżancie - usłyszeliśmy głos Luke'a, podczas gdy sami zajęci byliśmy maskowaniem morświna. - Naprawdę, strasznie mi głupio, ale taki byłem podniecony... złapaniem tego rekina i chciałem go pokazać ojcu, dopóki bestia jeszcze żyje.

Policjant zajrzał pod plandekę i gwizdnął z uznaniem.

- Faktycznie, niezła sztuka. Ale to jeszcze nie powód, żeby łamać przepisy, synu.

- Nic pan nie rozumie, panie sierżancie. To prawdziwy rekord świata. Złapałem go na normalną wędkę i kołowrotek. Biały ludojad. Złapałem go koło kamiennego mola na Saint Simons Island.

- A na co?

- Na pewno pan nie uwierzy: na normalną żywą krewetkę. A tymczasem, jak w zeszłym roku znaleźli ludojada na Florydzie, to w brzuchu miał but i ludzki piszczel.

- Muszę ci wlepić mandat, synu.

- Tak, rozumiem, panie sierżancie. Jechałem za szybko, taki byłem podniecony. A pan może złapał kiedyś coś tak dużego?

- Jestem z Marietta. Kiedyś w Lakę Lanier złapałem dwunastofuntowego suma.

- To na pewno pan rozumie, jak się w tej chwili czuję. Wie pan co, pokażę panu, jakie ma zęby. No naprawdę, jak brzytwy. Mój braciszek i siostra już prawie są nieżywi od tego trzymania. Ej, Tom, pokaż no panu sierżantowi te kły.

- Nie, nie, synu, nie bardzo chce mi się oglądać rekina. Ruszaj sobie, ale trochę zwolnij. Jasna sprawa, że jesteś podniecony. Tamtego dnia nikt na całym Lakę Lanier nie złapał większego suma ode mnie, ale nie zdążyłem pokazać ojcu, bo mi go kot zeżarł.

- Bardzo dziękuję, panie sierżancie. Na pewno nie chce pan sobie obejrzeć jego zębów? Ma ich pełną paszczkę.

- Wolalbym siedzieć za kółkiem, niż trzymać to cholerstwo - powiedział policjant do mnie i Savannah, a potem poszedł do swojego wozu.

Matka wieszała właśnie pranie, kiedy nadjechaliśmy pędem piaszczystą drogą, Luke kilkakrotnie zatrąbił triumfalnie i zahamowaliśmy. Matka podbiegła do pickupa, a potem z wyrzuconymi do góry rękami zatańczyła z radości na trawniku. Luke podjechał tyłem do murku i ostrożnie przełożyliśmy morświna na nosze. Matka zrzuciła buty i cała czwórka weszła do wody podniesionej przez przypływ, by ostrożnie przesuwając się dalej, ku większej głębini. Trzymaliśmy Śniega w ramionach, pozwalając mu na nowo przypomnieć, sobie rzekę. Kiedy puściliśmy go, wydawało się, że jest niepewny i nie potrafi złapać równowagi. Luke trzymał mu łeb nad powierzchnią, aż wreszcie poczułem, jak ogon odpycha się ode mnie i morświn, lekko się kolebiąc, odpłynął kawałek. Przez kwadrans wydawało się, że zdycha, i serca nam się krajały na ten widok. Staliśmy na przystani i modliliśmy się za Śniega, który przewalał się z boku na bok, miał trudności z oddechem, równowagą, koordynacją ruchów. I nagle na naszych oczach wszystko się odmieniło. Instykt odżył i Śnieg zanurkował ze starym wyczuciem rytmu i wdzięku. Po dłuższej minucie wynurzył się o dwieście jardów w dół rzeki.

- Udało mu się!!! Zuch! - wrzasnął Luke i cała nasza czwórka padła sobie w objęcia. Byłem zmęczony, spocony, głodny, ale jeszcze nigdy w życiu nie czułem się tak wspaniale.

Morświn zawrócił i przepłynął obok nas. Wołaliśmy z radości, tupaliśmy i płakaliśmy. Na pływającym pomoście odtanńczyliśmy też nowy taniec, a działo się to na najpiękniejszej z wysp świata najpiękniejszego dnia w życiu Toma Wingo,

## ROZDZIAŁ 17

Tego dnia, kiedy Benji Washington wstąpił w progi szkoły średniej w Colleton, ekipy telewizyjne z Charlestonu i Columbii utrwaliły moment, kiedy rodzice otworzyli od środka drzwi ich lincolna, chłopak zaś samotnie ruszył w kierunku pięciuset białych uczniów, którzy w milczeniu przypatrywali się jego marszowi. W szkole zapanowała niezwykła, napięta, groźna atmosfera, korytarze były naelektryzowane jak morskie powietrze przed burzą. W salach i pomieszczeniach przyciała się nienawiść. W każdej klasie, gdzie pojawiał się Murzyn, czekało na niego pospiesznie namazane słowo: „czarnuch”, na widok czego wchodzący nauczyciel podbiegał do tablicy i nerwowymi, szybkimi jak machnięcia ptasich skrzydeł ruchami ścierał napis. W każdej sali Benji wybierał miejsce na końcu rzędu pod oknem i większość pierwszego dnia spędził na beznamiętnym wpatrywaniu się w rzekę. Miejsca wokół niego pozostawały wolne, stanowiąc strefę zakazaną, do której żaden biały uczeń ani nie wszedł, ani nie chciał wejść. W męskiej ubikacji, gdzie najodważniejsi palili zakazane papierosy, wymieniano z ożywieniem uwagi i przechwałki. Jeden z chłopaków chętnie się tym, że popchnął czarnucha w kolejce w stołówce, inny twierdził, że dźgnął go widelcem. Tamten nie zareagował na żadną prowokację. Można by pomyśleć, że pozbawiony jest emocji, że oduczono go uczuć. Ściszonymi głosami omawiano plany, jak dopaść czarnucha poza szkołą. W szatni pojawiły się łańcuchy i pałki, krążyły niejasne pogłoski o rewolwerze. Sam słyszałem, jak Oscar Woodhead, lewy liniowy obrońca drużyny szkolnej, przysiągł, że zanim skończy się rok szkolny, zabije czarnucha. W tylnych kieszeniach spodni chłopaków o włosach gładko zaczesanych do góry odznaczały się zarysy noży sprężynowych. Jeszcze nigdy w życiu tak się nie bałem.

Miałem plan tak prosty jak wszystkie moje plany. Zamierzałem ignorować fakt istnienia Benjiego Washingtona, iść swoją drogą, i tak pogodnie, jak będę potrafił, lawirować między skażoną populacją zaalarmowanego liceum. Gdyby ktokolwiek chciał zakwestionować moją lojalność wobec plemienia, mogłem z najbardziej oburzonymi wydziwiać na czarnuchów albo dla uciechy otoczenia otworzyć rejestr tysięcy dowcipów o czarnuchach. Mój rasizm bardziej jednak wyrastał z głębokiej potrzeby przystosowania się niż z jakiegoś systemu klarownych przekonań. Potrafiłem żarliwie nienawidzić, ale tylko wtedy, kiedy byłem całkowicie pewien, że jest to echo powszechnych nastrojów. Obca mi była jakakolwiek

odwaga moralna i było mi z tym dobrze. Na nieszczęście bliźniaczka nie miała tego sekretnego daru powierzchowności.

Nie miałem pojęcia, że Benji Washington jest ze mną na angielskim, do chwili, kiedy zobaczyłem, że złowieszczy tłum, który niczym cień towarzyszył mu przez cały czas, zebrał się przed drzwiami. Rozejrzałem się za nauczycielem, ale tego nigdzie nie było widać. Przecisnąłem się przez zbiegowisko niczym na marnym westernie szeryf przez tłuszczę żądną linczu.

Czarnoskóry chłopak trwał na swym przeklętym ostatnim miejscu i patrzył w okno. Oscar Woodhead siedział na parapecie i mówił coś ściszym głosem. Usiadłem w pierwszej ławce i udałem, że notuję w zeszyte. Doleciały mnie słowa Woodheada:

- Jesteś wstrętnym czarnuchem, słyszysz mnie? Jesteś wstrętnym pieprzonym czarnuchem, ale to nic dziwnego, gdyż wszystkie czarnuchy są wstrętne, nie?

O tym, że do klasy weszła Savannah, poinformował mnie dopiero jej głos za plecami.

- Cześć, Benji - powiedziała z wigorem przewodniczącej entuzjastek drużyny szkolnej. - Nazywam się Savannah Wingo. Witaj w naszej szkole, i wyciągnęła rękę.

Washington, bez wątpienia najbardziej ze wszystkich zdumiony, uściśnął tę dłoń z ociąganiem.

- Dotknęła go - zapiszczała od drzwi Lizzie Thompson.

- Jakby coś było nie w porządku, Benji, daj mi znać - ciągnęła Savannah. - Będziesz potrzebował pomocy, wystarczy, że zawołasz. Oni wcale nie są tacy źli jak się w tej chwili wydaje. Za parę dni przyzwyczają się do ciebie. Wolne to miejsce?

Złożyłem głowę na pulpicie i bezgłośnie jęknąłem.

- Przez cały dzień nikt koło mnie nie siadał - powiedział Benji Washington i znowu zapatrzył się w rzekę.

- No to teraz ktoś siedzi - powiedziała i położyła swe książki obok niego.

- Siada obok czarnucha - oznajmił na głos Oscar Woodhead. - Nie wierzę własnym oczom.

Wtedy Savannah zawołała:

- Ej, Tom, chodźże tutaj ze swoimi książkami. Hu, hu, Tom, widzę cię, to przecież ja, twoja siostrzyczka. Ruszże tyłek i siadaj tu przy nas.

Wiedząc, że nie ma sensu wyklócać się z Savannah na oczach całej klasy, wściekły złapałem swoje rzeczy i poszedłem z nimi na tył klasy.



- No, no - prychnął Oscar. - Ja tam bym nie pozwolił, żeby dziewczyna tak do mnie mówiła.

- Żadna dziewczyna nie chce z tobą rozmawiać, Oscar - powiedziała Savannah - bo jesteś głupi jak but, a krost masz więcej niż w rzece jest krewetek.

- Ale za to z czarnuchami to będziesz gadać, tak, Savannah?! - wrzasnął rozwścieczony Oscar.

- Wiesz co, matole, a może byś tak się trochę przyłożył i spróbował osiągnąć dwucyfrowy wynik w teście na inteligencję - powiedziała Savannah i wstała.

- Nie warto, Savannah - odezwał się Benji. - Wiedziałem, że tak będzie.

- Czarnuchu, jak będzie, to ty nawet nie masz pojęcia - zagroził Oscar.

- Ej, Oscar, czemu nie zaczniesz sprzedawać tych krost? - spytała Savannah, podchodząc do niego z zaciśniętymi pięściami.

- Ty czarnuchowata dziwko.

Przyszedł czas na moją kwestię, a wygłosiłem ją niemrawo, przerażony, błagając w duchu, żeby nareszcie zjawił się pan Thorpe, który notorycznie zapominał na czas opuścić pokój nauczycielski.

- Nie zwracaj się tak do mojej siostry, Oscar - powiedziałem słabo jak eunuch tuż po operacji.

- Bo co mi zrobisz, Wingo? - warknął w moją stronę Oscar, rad, że ma nareszcie męskiego adwersarza.

- Zawołam Luke'a.

- Sam jesteś za malutki, żeby załatwiać swoje sprawy? - zadrwił Woodhead.

- Nie jestem taki wielki jak ty, Oscar, jak dojdzie do bójki, to na pewno mi dołożysz, ale wtedy Luke dobierze się do ciebie. Więc pomijam tylko ten etap z dołożeniem mi.

- Powiedz swojej pyskatej siostrze, żeby się zamknęła - polecił Oscar.

- Zamknij się, Savannah - powiedziałem.

Pocałuj mnie w dupę, Tom - odrzekła ze słodyczą w głosie.

- Już jej powiedziałem, Oscar - oznajmiłem.

- Nie lubimy białych dziewczyn, które gadają z czarnuchami - oświadczył stanowczo Oscar.

- Oscaruniu kochaniutki, będę rozmawiała, z kim mi się tylko spodoba.

- Dobrze wiesz, że na Savannah niczego nie wymusisz - zauważyłem pod adresem Oscara.

- Chodź no tutaj, Tom - poleciła siostra.

- Nie mogę, bo właśnie rozmawiam z moim drogim przyjacielem, Oscarem.

- Chodź tutaj - powtórzyła, podszedłem więc bez entuzjazmu i podałem rękę Washingtonowi.

- Dotknął jego ręki - zajęczała u drzwi Lizzie Thompson.

- Prędej bym umarła, niż dotknęła czarnucha.

- Prędej, Lizzie, umrzesz, niż ci jakaś myśl zaświta w głowie - powiedziała Savannah, a potem zwróciła się do mnie: - Siądź tam, zaraz przed Benjimą, Tom. Teraz tam będzie twoje miejsce.

- Siedzę już z przodu, Savannah, a ty nie będziesz mi rozkazywała, gdzie moje miejsce. I ani myślę słuchać wyzwisk od wszystkich byczych karków w szkole tylko dlatego, że w dzieciństwie czytałaś Annę Frank.

- Siadaj, mówię - syknęła złowieszczo. - Ja nie żartuję.

- Nie będę siedział koło Benjiego, Savannah, I możesz mi robić ile chcesz wstydu.

- Grywasz w piłkę, Benji? - spytała, odwracając się ode mnie.

- Tak.

- To cię zbijemy na boisku, cwaniaku - zagroził Oscar.

- Gdzie ten cholerny nauczyciel? - spytałem, zerkając nerwowo na drzwi.

- Nie zbijesz go, Oscar - zakpiła Savannah - bo chociaż taki strasznie jesteś mocny, to Tom mówi, że kompletna z ciebie fujara na boisku.

- Powiedziałeś tak, Wingo?

- Coś ty, Oscar - skłamałem. Oscar był jednym z tych wielkich brutalni, którzy swych nieprzyjemnych z punktu widzenia społecznego cech nie potrafili zamienić na zachowania sportowe. W szkołach Południa roilo się od uliczników i nożowników, którzy ani w ząb nie potrafili pojąć, na czym polega blokowanie czy przechwytywanie.

- Tom zaopiekuje się tobą, Benji, podczas treningu - oznajmiła Savannah.

- Prawda, Tom?

- Aż zbyt wiele czasu mi zajmie zaopiekowanie się samym sobą.

Savannah chwyciła mnie za przegub, w którym zostawiła cztery wyraźne, krwiste znaki.

- Zrobisz tak, prawda, braciszku?

I wtedy to nastąpiło - Oscar cisnął rękawicę.

- To dziwka, Wingo. Twoja siostra to dziwka dla czarnuchów.

- Odwołaj to, Woodhead.

- Ani mi się śni, Wingo, a gdybyś chciał coś z tym zrobić, będę po lekcjach czekał za salą muzyczną.

- On też tam będzie - oznajmiła Savannah - i nakopie ci w dupę.

- Savannah! - zawołałem.

- Nie zostanie z ciebie nawet tyle, żeby nakarmić kraba - ciągnęła. - Ej, Lizzie, zadzwoń no do szpitala Powiedz, że Oscarowi będzie dziś potrzebna karetka i chirurgia plastyczna twarzy.

- Daj spokój, gdzie on się nadaje do walki. Spójrz tylko, już w tej chwili ze strachu mało się nie zesra - odparł Oscar, nader trafnie oceniając moją kondycję duchową.

- Przez lato obaj z Lukiem dostali stopnie mistrzowskie karate. Czarne pasy. Jednym uderzeniem dłoni łamie deski na pół. Oscar, ja ci radzę, przyjrzyj się jego dłoniom. Są w rejestrach policyjnych. To dlatego nie pali się do walki. Jeśli cię tknie, grozi mu za to więzienie.

Podniosłem dłonie i badawczo im się przyjrzałem, jak gdybym oglądał parę pistoletów pojedynkowych.

- To podobne do dżudo? - spytał podejrzliwie Oscar.

- Dżudo kaleczy, karate zabija - wyjaśniła Savannah - W lecie uczył się w Savannah u najsławniejszego nauczyciela ze Wschodu.

- Czarnuchy i żółtki. Wy się jeszcze w ogóle zadajecie z białymi, Wingo? To widzimy się za salą muzyczną, Wingo. Przynieś no te swoje rejestrowe łapy.

Kiedy po południu stawiłem się ze swymi rejestrowymi łapami za salą muzyczną, czekał tam już spory tłum. Uwagę koncentrowałem na oddychaniu i myśleniu, analizując, jakie to są przyjemne czynności i jak mi ich będzie brakować, kiedy Oscar mnie zabije. Pojawiłem się chyłkiem, ale natychmiast rozbrzmiały wiwaty i zobaczyłem, jak biegnie ku mnie Savannah w towarzystwie dziewięciu innych entuzjastek. Kroczyłem przeto na spotkanie Oscara w otoczeniu dziesięciu paradnych batut podrygujących wokół mojej głowy do wtóru pieśni zwycięstwa gimnazjum w Colleton.

Dalej, dalej, Colleton Wzywa nas, stawaj śmiało ty do boju.

Mężnej walki zwycięski nadszedł czas, sława czeka cię po znoju.

W oczach Oscara widziałem zimną wściekłość. Stał w asyście synów krewetkarzy, chłopaków, których znałem od dzieciństwa, a którzy z podwiniętymi rękawami otaczali go teraz kręgiem milczącej solidarności. Naprzeciw Oscara stał Luke, podszedłem do niego, a batuty nadal podrygiwały wokół mnie niczym niespokojne chryzantemy. Miałem nadzieję, że zostanę zmasakrowany na oczach paru kościstych chłopaków znad rzeki, tymczasem Savannah postanowiła z tego uczynić całe widowisko.

- Podobno nazwałeś moją siostrę dziwką, Woodhead? - powiedział brat.  
 - Gadała z czarnuchem, Luke - wyjaśnił Oscar, spoglądając na mnie.  
 - Nie potrzebuje od ciebie pozwolenia na to, z kim ma rozmawiać. Przepróż ją, Woodhead.

- Wiem, o co ci chodzi, Luke - powiedział Oscar, o wiele bardziej ustepliwy i o wiele mniej pewny siebie w obliczu mego brata. - Chcesz mnie sprowokować, żeby ten twój braciszek nie bił się ze mną.

- Nie. Tom sam ci dołoży, a gdyby z jakiegoś powodu mu się to nie udało, dopiero wtedy będziesz miał do czynienia ze mną, co ci zepsuje całą resztę dnia, Woodhead. A teraz jazda, przepróż moją siostrę za to, że nazwałeś ją dziwką.

- Savannah, przepraszam, że nazwałem cię dziwką dla czarnuchów! - zawołał Oscar nad głowami zebranych. Chryzantemy znieruchomiały, a synowie rybaków zaśmiali się nerwowo.

- To mają być prawdziwe przeprosiny, Woodhead. Szczere. Jak nie zabrzmią szczerze, urwę ci głowę.

- Naprawdę przepraszam, Savannah. Głupio mi, że tak mi się jakoś wyrwało.

- Mnie się to wydaje szczerze, Luke - bąknąłem.

- Powiedz lepiej, że boisz się smarować - warknął Oscar.

- Tom, chcesz, żebym ja się z nim spróbował? - spytał Luke, wpatrując się w oczy Oscara.

- Mogę ci ustąpić i poczekać na swoją kolej.

- To twoja walka, Wingo - powiedział do mnie Artie Florence, jeden z chłopaków znad rzeki.

- Tom zaraz ci zerżnie dupsko - powiedział Luke - ale jeszcze muszę mu coś powiedzieć na boku.

Luke objął mnie ramieniem i pociągnął na stronę, podczas gdy Savannah z resztą dziewczyn znowu zaczęły podgrzewać atmosferę.

- Tom, wiesz, jaki jesteś szybki?

- Mam spieszać? - spytałem z niedowierzaniem.

- Nie, chodzi mi o ręce. Wiesz, jakie szybkie masz ręce? Jeśli będziesz się pilnował, nawet cię nie tknie. Trzymaj się z daleka. Skacz dookoła niego. Ośmiesz go. Jak zobaczysz lukę, przywal i zaraz odskocz. W miarę możliwości wal po ramionach.

- Po ramionach?

- Tak. Kiedy zaczną go boleć, nie będzie mógł utrzymać ich w górze. Wtedy mu przyłożysz.

- Boję się.

- Każdy boi się przed walką. On także.

- Nawet w połowie nie tak jak ja. Ciekawe, gdzie się podziewa Earl Cholerny Warren, [Earl Warren - przewodniczący Sądu Najwyższego USA w latach 1953-1969, za jego kadencji wydano orzeczenie zabraniające m.in. segregacji rasowej.] w chwili, kiedy by mi się tu bardzo przydał.

- Jesteś za szybki, żeby przegrać z tą parową. Nie pozwól, żeby cię dopadł i przewrócił na ziemię, bo wtedy unieruchomi ci ręce i zacnie walić po twarzy.

- A mogę przedtem raz przyłożyć Savannah? To ona mnie w to wrobiła. Dlaczego muszę pochodzić z jedynej w Colleton rodziny, która kocha czarnuchów?

- To później Na razie zajmij się Woodheadem. Trzymaj się z daleka. Wali cepami na oślep., Tłum rozsunał się, aby zrobić nam miejsce, a ja stanąłem twarzą w twarz z Oscarem Woodheadem. Miałem zostać złomotany z powodu orzeczenia Sądu Najwyższego z roku 1954, integracji, Benjiego Washingtona i mojej pyskatej siostry. Oscar z krzywym uśmiechem na twarzy zacisnął kulaki i ruszył w moim kierunku. Pierwszy cios mnie zaskoczył, prawy sierpowy zmiażdżyłby mi szczękę, gdybym się nie uchylił, tracąc przy tym równowagę. Rzucił się za mną, wywijając pięściami, jeden wściekły cios za drugim, podczas gdy ja cofałem się w popłochu.

- Tańcz - usłyszałem głos Luke'a.

Uciekłem w lewo od straszliwej prawej ręki. Jeden z ciosów musnął mi skroń, inny zablokował przedramieniem. Uciekałem i okrążałem go, kluczyłem tak jakieś trzy minuty, widząc, jak rośnie jego bezsilna wściekłość. Potem zacząłem go baczniej obserwować, śledząc ruchy ciała i wyraz oczu, odczytywałem zapowiedź ciosu, on natomiast niczego nie mógł przewidywać, gdyż jak na razie nie odważyłem się jeszcze na ani jedno uderzenie.

- Stań wreszcie, ty gówniany tchórze, i walcz - wysapał.

Znieruchomiałem i zaatakował, a wtedy znalazł się na moim terenie, gdzie byłem od niego znacznie lepszy. Od trzech lat, falami nacierali na mnie napastnicy drużyny przeciwnej. Zrobiłem unik, a kiedy przelatywał obok mnie, przylałem mu solidnie w ucho. Pod ciężarem impetu zwałił się na ziemię, tłum ryknął, a entuzjastki pod wodzą Savannah znowu zaintonowały pieśń bojową Colleton.

Tymczasem Oscar w jednej chwili zerwał się na nogi i z furią ponownie zaatakował. Dyszał ciężko i widziałem, że chce skończyć tę walkę jak najprędzej. Zadałem sześć następnych ciosów, czy, mówiąc ściślej,

punktowałem go, nieustannie odskakując i cofając się. Potem zacząłem walić w przeguby i bicepsy, a w pewnym momencie zaatakowałem sam, co go zupełnie zaskoczyło, tak że niezgrabnie odskoczył i zachwiał się, następnie wyprowadził kolejny nieskuteczny cios, podczas gdy zebrani zaszemrali. Powróciłem do obrabiania jego ramion.

Uspokoił się trochę i spróbował mnie przyprzeć do muru szkolnego, zaczął wyprowadzać ciosy z większą rozważą - jeden trafił pod okiem i prawa strona twarzy całkiem mi zdrętwiała.

- Tańcz! - wrzasnął Luke, zrobiłem więc zwód w lewo, a potem poszedłem w prawo, przy czym prawa pięść trafiła Woodheada w policzek. Zatoczył się do tyłu i opuścił gardę.

- Teraz - usłyszałem krzyk Luke'a.

Skoczyłem i zadałem kilka lewych prostych. Usiłował zasłonić się, ale ręce tylko drgnęły w górę, a potem opadły na piersi, z nosa i warg popłynęła krew. Osobą, która okładała Oscara, byłem ja, ale wcale nie miałem takiego poczucia, pozostałem bez związku z ową osobą, aczkolwiek czułem ponawiany ruch lewej ręki i demolujące twarz Woodheada ciosy. Nagle w polu widzenia pojawił się Luke i przerwał walkę.

Opadłem na kolana i zapłakałem z ulgi, lęku, a także z powodu pulsującego bólu wokół prawego oka. - Świetnie to załatwiłeś, braciszku - szepnęła Luke.

- Nigdy więcej tego nie zrobię - oświadczyłem, a łzy ciekły mi z oczu. - To wstrętne, obrzydliwe. Powiedz Oscarowi, że mi przykro.

- Sam mu powiesz później, teraz mamy trening. Mówiłem ci, że jesteś szybki.

Savannah zagrzechotała przede mną swą niby - chryzantemą.

- Co się dzieje, do cholery, Tom? Przecież wygrałeś.

- Znam Oscara od piaskownicy.

- Już wtedy był padalcem - zawyrokowała Savannah.

- Nie podoba mi się to - powtórzyłem, a potem znienacka poczułem się zażenowany tym, że mojemu płaczowi przygląda się dobre sześćdziesiąt osób.

- Quartebackowie nie płaczą - powiedział Luke. - Chodź, musimy zdążyć na trening.

Pierwszy trening skończył się, jak zwykle u trenera Samsa, przebieżkami czterdziestojardowymi. Na początek poszli środkowi i obrońcy, w swych niezgrabnych getrach startując z linii końcowej i biegnąc ku trenerowi, który dawał sygnał gwizdkiem. Potem poszli przechwytywacze, patrzyłem, jak Luke bez trudu przegania swych rywali.

Ja biegłem w gronie tylnych obrońców i koło siebie zobaczyłem Benjiego Washingtona.

- Podobno jesteś szybki - powiedziałem - ale to ja w zeszłym roku byłem najszybszy w drużynie.

- Byłeś - mruknął.

Rozbrzmiał gwizdek i ruszyliśmy. Miałem dobry start, za sobą słyszałem tupot nóg. Biegłem, najszybciej jak mogłem, z pewnością siebie chłopaka, który od pierwszej klasy liceum jest najszybszy w szkole, aż tu nagle po lewej wyłonił się Benji Washington, na mecie dokładając mi pięć jardów.

Podczas następnej tury tylnych biegłem z pewnością zawodnika, który już wie, że jest drugi w szkole. Zobaczyłem, że trener Sams patrzy na stoper. W zeszłym roku to on należał do najzacieklejszych przeciwników integracji. Teraz stoper rozszerzył horyzonty jego wizji społecznej. Benji pokonywał czterdzieści jardów w 4,6 sekundy, mój najlepszy wynik wynosił 4,9, a i tak uzyskałem go z wiatrem w plecy. Gwizdek, znowu pognałem ku trenerowi i znowu Benji minął mnie z łatwością i wdziękiem, - Ale ten asfalt lata - usłyszałem za sobą, ale więcej w tym było podziwu niż złości.

Na dziesięć sprintów Benji wygrał dziesięć, a ja dziesięciokrotnie byłem drugi. Kiedy trener Sams odgwizdał koniec treningu, wracaliśmy do szatni w nowych nastrojach. Zapowiadała się niezła drużyna z weteranami z zeszłego roku, tym razem jednak mieliśmy najszybszego zawodnika na całym Południu i całkiem serio myślałem o mistrzostwie stanu.



## ROZDZIAŁ 18

Jest wrzesień 1961 roku, najbardziej pamiętnego z lat przeżytych przez nas na Melrose Island. Połowy idą dobrze i łódź ojca każdego wieczoru przybija do przystani z lukami pełnymi srebrzących się ryb i krewetek. To najlepszy sezon od 1956 roku i dumna, hardo krocząca radość ojca jest milczącą podzięką za wielkoduszość morza. Cena utrzymuje się na wysokości dolara za funt krewetek, on więc po łusce trzeszczącej na pomoście stąpa krokiem bogacza. Wieczorami rozmyśla nad kupnem flotylli kutrów krewetkowych. Opowiada matce, że słyszał w banku, jak Reese Newbury mówi do grupki mężczyzn, iż Henry Wingo ma za żonę najpiękniejszą kobietę w hrabstwie Colleton. Mama zadowolona płoni się i mówi, że jest tylko kobietą w średnim wieku, która najlepiej jak potrafi dba o to, co otrzymała od Boga.

Z sypialni wychodzi Savannah w stroju przywódczyni chóru entuzjastek drużyny, nie potrafi ukryć radości. Jej przymglona uroda rodzi pole pełne wibracji i zakłóceń. Odwracamy się i miękko dopada nas oczarowanie. Aplauz wyraża się w zamilknięciu, w bezsłownym zachwycie. Otwiera się na naszych oczach, sekretnie dojrzewa, a kiedy teraz staje pośrodku pokoju, śledząc naszą reakcję, zaczyna się powoli okręcać, cudowna w tych miejscach, gdzie kobiety bywają cudowne, bujna świeżością pierwszego owocu, włosy wyczesane, błyszczące i jasne jak grzywa palomino. Luke wstaje z krzesła i zaczyna klaskać, przyłączam się do niego, wiwatujemy. Podnosi rękę i robi krok w naszym kierunku, myśląc, że się z niej nabijamy, ale nagle przystaje, gdyż widzi, iż to naprawdę. I oczy napełniają jej się łzami. Jest dziewczyną rozmarzoną, ale nigdy nie ośmieliła się marzyć o dniu, kiedy będzie piękna. Po raz kolejny zawiązuje się wspólnota uczuć. Przepelnia mnie miłość do siostry i brata, wdzięczność za ich miłość do mnie. Matka spogląda od kuchenki i wie, że nie jest to jej moment, ojciec nie wie nawet tyle, by chcieć takiego momentu. To początek długiego i mistycznego okresu w domu Wingo. Rodzenie się poczucia honoru, godności, wyczuwania wartości nas jako osób, wartości dużych lub może małych. Będzie chwila grozy, która na zawsze zmieni nasze życie. Będzie rzeź, morderstwo i katastrofa. Kiedy wszystko się skończy, pomyślimy, że doświadczyliśmy chwil najgorszych z możliwych, odegraliśmy najbardziej ponury ze scenariuszy, jakie świat mógł dla nas przygotować. Pomylimy się. A wszystko zaczyna się od chwili, kiedy siostra okręca się dla swych braci w bajecznym piruecie. Początek jest niebywale piękny. Za trzy godziny rozegramy pierwszy mecz, na Melrose Island nastał wrzesień.

Ojciec pierwszy zauważył związek pomiędzy Tygryсами Colleton a bengalskim tygrysem, który każdej nocy porykiwał ze stodoły. Na każdy mecz wynajmował go za dziesięć dolarów, co opłacał Komitet Rodzicielski, suma była dość marna, z ledwością wystarczała na pokrycie tygodniowej porcji kurzych szyjek, niemniej transakcja ta natchnęła ojca nadzieją, że da się może zarabiać na Cezarze.

- Ej, dzieciaki, co wy na to? - spytał, gdy zbieraliśmy się do wyjścia na mecz. - Mógłbym wynajmować Cezara na przyjęcia urodzinowe. Na Halloween. Mógłbym robić mu zdjęcia, jak zjada tort urodzinowy albo jak dzieciak jeździ na jego grzbiecie. Do tego trzeba by chyba zrobić siodło.

- Cezar nie je słodczy - zauważył Luke.

- Ale lubi dzieci. Moglibyśmy zrobić zdjęcie, jak zjada solenizanta podczas urodzin. A także rozhisteryzowanej matki, która usiłuje mu odebrać jedyne dziecko. No i na koniec Cezara rozszarpującego matkę - dorzuciłem.

- Najlepsza rzecz, jaką możemy zrobić z Cezarem, to go uśpić - wtrąciła matka, którą ten temat zawsze doprowadzał do furii. - Nas nie stać nawet na złotą rybkę, a co dopiero na tygrysa.

- Tak? A nie dostaje dziesięciu dolarów za mecz? Sześć meczów u siebie razy dziesięć, to daje sześćdziesiąt dolarów czystego zysku. Dołóżcie jeszcze dwadzieścia pięć dolarów, które dostaję za filmowanie gry, a robi się z tego całkiem niezły pieniądz.

- Tato, a dlaczego ty nie pojeździsz na tygrysie? - spytałem.

- Ja jestem człowiekiem pomysłów - odparł ojciec najwyraźniej oburzony samą myślą. - Poza tym złamałbym mu grzbiet, bo co jak co, ale nie mam figury dżokeja. Ale wiecie, jak już o tym mówimy, to najłżejsza z całej rodziny jest Savannah.

- Mowy nie ma, tato - powiedziała Savannah. - Ja będę jeździć na słoniu. Tygrysa zostawimy Tomowi.

- Na jakim znowu słoniu? - zainteresowała się matka.

- Jestem pewna, że tata niedługo kupi słonia - wyjaśniła Savannah. - Wiesz, żeby wynajmowali go republikanie na swoje kampanie wyborcze. Albo w jakimś podobnym celu.

- A ja uważam, że powinniśmy zlikwidować Cezara - upierała się matka. - To najbardziej ludzki sposób potraktowania go.

- Nie zabijemy Cezara - stanowczo powiedział Luke.

- Dobrze, pomyślę o czymś innym - obiecał nam ojciec.

- Z tymi urodzinami to może rzeczywiście nie najlepszy pomysł. Teraz już czas na mecz. Muszę umocować klatkę z Cezarem na pickupie.

- Ja pojedę z dziećmi - oznajmiła matka.

- Dlaczego?

- Bo ciągle jeszcze pozostało mi trochę godności. Nie zamierzam udawać się na każdy mecz, ciągnąc za sobą tygrysa. Już i tak jesteśmy dostatecznym pośmiewiskiem całego miasteczka.

- Lila, przecież chodzi tylko o to, żeby chłopakom dodać ducha - upierał się ojciec. - Żeby im pomóc pokonać North Charleston.

- Pamiętasz, Tom, ten nasz mecz z nimi, jak dopiero zaczęliśmy? - spytał Luke.

- Czy pamiętam? A jak można zapomnieć przegraną siedemdziesiąt dwa do zera?

- Jak mecz się skończył, ich orkiestra zaczęła grać The Tennessee Waltz, a tamci tańczyli dookoła nas zbitych w gromadkę.

- Gotowy, kapitanie? - spytałem.

- Tak jest, kapitanie - odpowiedział. - Jak dzisiaj skończymy, ja chcę być pośród tańczących.

- A my będziemy krzyczały wniebogłosy - obiecała Savannah i dała Luke'owi kuksańca. - Na całym świecie kobiety otrzymują drugoplanowe role.

Drużyna, cała czterdziestka w pełnych strojach, przemaszerowała długim korytarzem z szatni do pokoju odpraw. Kolce szorują o cement i nasz przemarsz brzmi jak przejście stada bizonów po żwirze. W świetle zwisających lamp połyskują nasze białe kostiumy, a ogromne cienie tańczą po ścianach, w nieziemskich strojach naszego brutalnego sportu.

W sali odpraw powoli usadowiliśmy się na składanych krzeselkach. Na zewnątrz słychać było szum tłumu, orkiestra szkolna grała mieszankę bojowych pieśni. Potem usłyszeliśmy ryk Cezara i na znak Luke'a odpowiedzieliśmy podobnym rykiem, a następnie przemówił nasz trener.

- Dzisiaj ja i całe miasto dowiemy się, czy jesteście chojrakami. Na razie wiem tyle, że potraficie nałożyć ochraniacze, a po treningu iść potrząść się w tańcu z panienkami, ale do chwili, kiedy nie zobaczę was w akcji, nie wiem, czy jesteście chojrakami, czy nie. Prawdziwymi wojownikami. Prawdziwy wojownik to łowca głów, który nie waha się wyrznąć łbem w pierś przeciwnika i jest niezadowolony, jeśli ten jeszcze dycha po zakończonym meczu. Chojrak wie, co to lęk, tylko wtedy, kiedy widzi go w oczach faceta leżącego z piłką, którego on właśnie ma zamiar rozwalić na dwie połówki: Uwielbia ból, wrzaski, pot, bójkę i nienawiść w tłoku napierających na siebie ciał. Lubi być tam, gdzie leje się krew i sypią się zęby. O to tylko chodzi w tym sporcie, kochani. To walka, czysta i prosta. A teraz idźcie i nakopcie wszystkimu, co zobaczycie na boisku. Jeśli coś się

rusza - walcie. Jeśli coś oddycha - walcie. A jak coś ma cycki - to pierdolcie.

Było trochę śmiechów, ale niewiele. Czwarty rok z rzędu trener Sams wygłaszał tę samą przemowę przed meczem i nie zmieniał się nawet obowiązkowy dowcip. Kiedy zaczynał mówić o futbolu, wydawało się, że jest w końcowym stadium wściekłości.

- To jak, mam tutaj paru chojraków? - wrzasnął, a żyły pulsowały mu na skroniach.

- Tak, panie trenerze! - odkrzyknęliśmy.

- Czy mam zajebistych chojraków?

- Tak, panie trenerze!

- Czy mam cholernych łowców głów?

- Tak, panie trenerze!

- Zobaczą krew?

- Tak, panie trenerze!

- Czy zobaczą, jak im mózgi wypływają z hełmów?

- Tak, panie trenerze!

- Czy zobaczą ich kości rozrzucone po całym boisku?

- Tak, panie trenerze!

- A teraz się pomódlmy - powiedział trener i razem z nami wzniosł modły do Pana na wysokościach, a potem ustąpił miejsca Luke'owi i wyszedł, by poczekać na nas na zewnątrz.

Luke rozejrzał się po sali. W kostiumie wyglądał jeszcze potężniej niż zwykle, chociaż ze swymi dwustu czterdziestoma funtami i tak należał do największych i z pewnością najsilniejszych mężczyzn w hrabstwie Colleton. Jego obecność dodawała otuchy, jego spokój uspokajał.

- Wy, nowi - zaczął - nie przejmujcie się tak bardzo tym, co mówi trener Sams. Lubi takie duże słowa, ale one tak dużo nie znaczą, a przy okazji zapomniał powiedzieć o jednej ważnej rzeczy. Gramy w to, żeby mieć ubaw. I to wszystko, koniec, kropka. Wyjdziemy na boisko, żeby się zabawić, blokować, chwytać i biec najlepiej jak potrafimy, a wszystko robimy jako zespół. Ale w tej sprawie chcę powiedzieć coś jeszcze, co wymaga powiedzenia od początku sezonu. Musimy porozmawiać o Benjiminie.

W sali rozległy się pomruki niezadowolenia i wszyscy odwrócili się, żeby spojrzeć na Murzyna, Siedział sam z tyłu sali. Spojrzał w twarze kolegów z drużyny z tą samą milczącą, stanowczą godnością, z jaką kroczył korytarzami szkolnymi. Zatrzymał beznamiętny wzrok na Luke'u.

- Nikt z nas nie chciał, żeby Benji zjawił się w szkole, on jednak to zrobił. Nie chcieliśmy także, żeby zgłaszał się do drużyny, ale to zrobił. Na

treningach dopiekaliśmy mu tak, jak tylko potrafiliśmy. Atakowaliśmy go grupą, popychaliśmy go, biliśmy, użyliśmy wszystkich sposobów, żeby zrezygnował. Także i ja to robiłem. Przyjmował wszystko bez zmruczenia oka. Ale teraz chcę, żebyś usłyszał, Benji, że jesteś członkiem naszej drużyny futbolowej, a ja jestem z tego dumny. Dzięki tobie to znacznie lepsza drużyna i każdemu, kto myśli inaczej, na miejscu jestem gotów jestem przyłożyć. Benji, chodź tutaj i usiądź na przedzie. - Benji zawahał się i poczułem, że cała sala znowu oddycha. Wstał i poszedł środkiem, czując na sobie wszystkie spojrzenia, on zaś nie spuszczał wzroku z Luke'a. - Na dzisiejszym meczu całe North Charleston uweźmie się na Benjiego. Będą cię nazywali czarnuchem, i różnych innych słów będą używali, a my nic na to nie poradzimy. Ale tutaj oświadczam wszystkim, że z chwilą opuszczenia tych drzwi Benji nie jest żadnym czarnuchem, jest natomiast kumplem z zespołu, a dla mnie to naprawdę coś znaczy. Nie jest czarnuchem i nie będzie nim do końca roku. Jest Tygrysem ze szkolnej drużyny Colleton, tak jak reszta z nas. I jak oni rzucą się na niego, to my rzucimy się na nich. Tak to widzę. Mam nadzieję Benji, że nie czułeś się nieswojo, ale uważałem, że trzeba to powiedzieć. Wyłożyć kawę na ławę. Ktoś się ze mną nie zgadza?

Słychać było orkiestrę, tłum, nerwowe postukiwanie korków o podłogę, ale ani jednego głosu sprzeciwu.

- Chciałbyś coś powiedzieć, Tom?

Wstałem i w ciszy pełnej podniecenia zawołałem:

- Wygramy!!!

Zawsze niosę w sobie wspomnienia czasów, kiedy byłem sportowcem, i tych odmieńających życie, oszałamiających wieczorów, gdy wychodziłem na boisko, aby z innymi chłopakami zmierzyć swą siłę, szybkość i charakter. Żyłem dla okrzyków i wiwatów tłumu, dodającej ducha muzyki orkiestry, wysokich głosów dziewczyn, które do rytmu wyśpiewywały z erotyzmem i religijnym przekonaniem banalne sportowe hasła. Widok drużyny przeciwnej, w czarnych hełmach, poważnej, sprawiał, iż po krzyżach spływał mi rozkoszny dreszcz. Wsłuchiwałem się w szczęsne kadencje ich bojowych wołań na podobieństwo ślepcy nachylającego się do okna, za którym pełno jest ptaków. Mecz, mecz, mecz, śpiewało mi w duszy, gdy razem z bratem wyprowadzaliśmy drużynę z szatni. Na zielonym boisku Colleton po raz pierwszy i ostatni w życiu poczułem nieśmiertelność. Czulem słone powietrze napływające od rzeki, pikantny aromat terenów zalewanych niezliczonymi przypiływami, na który nakładał się jeszcze zapach roślin hodowanych na przybrzeżnych wyspach. Moja zmysłowa wrażliwość pogłębiała się, wyostrzała, a życie we mnie pulsowało, jak w nie

całkiem jeszcze ludzkiej istocie spoglądającej w oczy Boga w pierwszym dniu Edenu. Czuję, jak moją krew tchnienie Boże przenika niczym światło. Krzychałem, zagrzewałem kolegów, pysniłem się tym, iż jestem chłopakiem oddającym się ulubionej grze, a kiedy sędzia zagwizdał, szliśmy razem z Lukiem, aby asystować przy rzucie moneta. Sędzia cisnął pieniążek wysoko w powietrze, Luke krzyknął: „Reszka” i wypadła reszka. Wybieraliśmy odbiór,

Tego wieczoru podniosłem pięść w geście pozdrawiającym Benjiego Washingtona, a potem zajęliśmy pozycje z samego tyłu i czekaliśmy na wykop Niebieskich Diabłów z North Charleston. Ich kopacz podbiegł, gracze jego drużyny rozbiegli się, piłka pofrunęła, koziołkując w światłach, a ja usłyszałem swój głos mówiący: „Twoja, Benji”.

Chwycił ją w strefie końcowej i dobiegł do linii 35., zanim z rozmachem zderzyło się z nim dwóch zawodników z North Charleston, zniknął pod stosem niebieskich kostiumów. Z ławek poderwała się cała drużyna przeciwników oszalała, rozbawiona i zaczęła wrzeszczeć na Benjiego, a do tego przyłączyło się pięciuset ich kibiców, którzy przyjechali z północy, aby obejrzeć mecz. Od strony gości ryknął zbiorowy hymn: „Czarnuch! Czarnuch! Czarnuch!”

- Zabijemy cię, czarnuchu! - wrzasnął ich bezpieczniak, numer 28, kiedy Benji powoli podnosił się z ziemi. Zbiegli się wokół Benjiego i dziką, dyszącą nienawiścią gromadą szli za nim niemal aż do miejsca naszej zbiórki.

- Czarnuch! Czarnuch! Jebany czarnuch!

Ciągle jeszcze się darli, kiedy zwoływałem drużynę do pierwszej w sezonie zagrywki. Wszyscy byli wstrząśnięci. Benji był w szoku.

Ustawiliśmy się, a ci z North Charleston wrócili za linię z okrzykiem: „Zabić czarnucha!” Kiedy nachyliłem się nad centrem, ich bezpieczniak wrzasnął do mnie: - Daj mi tu tego pieprzonego asfalta!

Wyprostowałem się, pokazałem mu palucha i odkrzyknąłem:

- Pierdol się, kutasie!

- Rozległ się gwizdek i główny liniowy nakazał piętnastojardowego karnego przeciw nam za niesportowe zachowanie. „Niesportowe zachowanie” powiedział takim nosowym głosem, jakby był facetem z Klanu na gościnnych występach. Nie było żadnego sędziego w rolniczej Karolinie Południowej, który przejmowałby się Sądem Najwyższym.

- Panie sędzio! - zawołałem. - A może również nakazałby pan im, aby przestali wyzywać numer 44?

- Nie słyszę, by ktokolwiek kogokolwiek wyzywał.

- Więc nie słyszał pan także, że zawołałem „Pierdol się, kutasie” do tego z syfem na twarzy.

Gwizdek rozległ się po raz drugi i sędzia wskazał miejsce w połowie drogi do linii punktowej. Jak na razie jako quarterback załatwiłem mojej drużynie stratę dwudziestu pięciu jardów, a jeszcze nie ruszyliśmy centra.

- Zamknij ryło i graj! - polecił sędzia.

- Chodź tu, a dostaniesz za swoje, czarnuchu - wrzeszczał ich bezpieczniak. - Jaja ci zmiażdżę, czarnuchu. Zabijemy dziś czarnucha, zrec będziemy czarne mięso!

Kibice z North Charleston coraz głośniej krzyczeli: „Czarnuch!” Ludzie z Colleton byli cisi i niepewni. W ostatnim rządzie zobaczyłem rodziców Benjiego. Matka odwróciła głowę i nie patrzyła na boisko. Ojciec spoglądał ze stoickim spokojem i teraz już wiedziałem, po kim Benji wziął beznamiętną, majestatyczną pozę.

Zażądałem przerwy.

Moja drużyna zbiła się w bojaźliwą grupkę niczym psy śmietniskowe wałęsające się po nędzarskich osiedlach. Jako przenikliwy quarterback widziałem, że mój zespół jest rozbity duchowo. Letarg kolegów zwiększył moją wściekłość. Gotów byłem wgrzyźć się w słupek bramki albo wytraskać kogoś po twarzy. Daleko obok bieżni zobaczyłem klatkę, w której spokojnie spał Cezar nieświadom raniących funkcji języka.

Przyklęknąłem i powiedziałem do swoich:

- Dobra, chłopaki, to ja, wasz quarterback, cudowna chłopczyna, Tom Wingo, chcę wam powiedzieć coś do słuchu. - „Czarnuch! Czarnuch! Czarnuch!” Okrzyk odbijał się echem od murów szkoły, podczas gdy strona Colleton trwała w milczeniu. - Benji, musisz się odprężyć. Wiem, że to niełatwe i pewnie trochę się boisz. Zanim jednak pokażemy, że jesteś najszybszym czarnodupcem na świecie, trzeba się zająć innym drobiazgiem. Wy, chłopaki, wyglądacie jak śnięci. Trzeba trochę życia. Chcę słyszeć trochę hałasu. - Drużyna wydała z siebie okrzyk, który na nikim nie mógł zrobić wrażenia. - Luke - powiedziałem, obejmując ramiona brata pogrubione przez ochraniacze i klepiąc go dłonią po helmie. - Luke, niech Cezar zaryczy.

- Co?

- Niech Cezar zaryczy - powtórzyłem.

Luke poszedł w kierunku charlestończyków i spojrzał w stronę majaczącej w ciemnościach klatki. Stał niemal przy linii zagrywki i ponad wrzeszczącym tłumem spojrzał na domowego tygrysa Wingów, który znudzony światłami i futbolem, drzemał pośród rybich ości i resztek szyjek



drobiowych, aż usłyszał, jak potężny głos najbardziej przez niego ukochanego człowieka wzywa:

- Rycz, Cezar, rycz!!!

Cezar rzucił się na pręty klatki nie jak zabawka domowa, maskotka, lecz jak bengalski tygrys, który pozdrowił z admiracją najpotężniejszego w całym stanie prawego przechwyta, a Luke odpowiedział mu własnym wrzaskiem.

Cezar ryknął ponownie, a jego głos przeleciał nad boiskiem niczym samolot, zgasił podły zaśpiew „czarnuch”, przydusił harmider tłumu, przekroczył linię pięćdziesięciu jardów, wyrznął nas w oczy, przetoczył się po parkingu, odbił od ceglanych ścian gimnazjum i powrócił, jak gdyby za naszymi plecami narodził się drugi tygrys. Cezar odpowiedział na własne echo, a ja krzyknąłem do reszty zespołu:

- Dawajcie, jebańcy, strachliwe wypierdki, smrody. Ryknijcie, ryknijcie na Cezara!

Cała drużyna jak stado tygrysów odpowiedziała prawdziwemu tygrysowi i zrobiła to jeszcze kilkakrotnie, a Cezar, dla którego światła nie były pierwszą, występował już przed ludźmi i zachował w sobie ducha areny, wydał z siebie ten straszliwy głos, który narodził się w parujących puszcach Indii. On, którego rodzice budzili po nocach hinduskie plemiona, podnosząc im poziom adrenaliny we krwi, teraz dodał ducha mojej drużynie. Wtedy rozpałił się tłum colletończyków - przypomnieli sobie ducha gry, przez ich szeregi przemknął tygrys i stadion zatrzęsł się od krzyku.

Podbiegłem do linii bocznej i krzyknąłem panu Chappelowi, żeby zagrał Dixie. Kiedy rozbrzmiała orkiestra, Cezar wpadł w furję. Cały zespół z North Charleston patrzył na wielkiego tygrysa bengalskiego, który z wyszczerzonymi kłami atakował pręty klatki i wyrzucał za nie łapy z wyciągniętymi pazurami - znakomity okaz dzikości. Luke podskoczył do mnie zagniewany.

- Co ty wyrabiasz, Tom? Dobrze wiesz, jak ten kawałek działa na Cezara.

- Rozgląda się, gdzie jest któraś z tych cholernych fok - odrzekłem pełen dumy. - Uszy do góry, Luke. Największa przerwa w dziejach futbolu. - Podeszedłem do naszych przeciwników, z których nagle uszedł gdzieś dawny wigor wraz z tym, jak przycichli ich kibice.

- Ej! - krzyknąłem ponad pomrukiem tłumu, - Jak mnie jeszcze raz zdenerwujecie, to wypuszczam tygrysa z klatki.

Znowu gwizdek i kara, tym razem za odwlekanie zagrywki.

Raz jeszcze zebraliśmy się, ale teraz widać było działanie jakiejś magii. W oczach współgraczy zobaczyłem święty ogień jedności, solidarności, braterstwa, a nie ma nic wspanialszego w królestwie sportu. Duch ten mieszka w sercu, ale ujawniają go oczy. Chłopaki łączyli się, zbierali w zespół.

- Czarnuch! Czarnuch! Rycz! Rycz!

- Pierwsza ofensywna zagrywka Colleton Tiger w tym sezonie - zapowiedziałem - to Wślizg Quarterbacka. Tylko że nikt dla mnie nie blokuje. Kiedy ci durnie będą mi obrabiać dupę, chcę, żeby wszyscy z wyjątkiem Benjiego zabrali się do tego bezpieczniaka. Trochę sobie polatam po boisku, żeby dać wam dość czasu.

- Czarnuch! Czarnuch! Rycz! Rycz! - darł się tłum.

Dostałem podanie i zrobiłem drobny nieelegancki zwrot w kierunku małej luki na prawo od lewego strażaka, kiedy pięćset funtów chłopięcego ciała powaliło mnie jednocześnie na ziemię, wbijając twarz w trawę i wapno naszej linii pięciu jardów. Rozległ się gwizdek, a kiedy wstawałem, zobaczyłem, jak ich bezpieczniak leży na plecach, trzymając się za twarz i kolano. Nasza drużyna została ukarana następnymi piętnastoma jardami za nieuzasadnioną brutalność i sędzia znowu odmierzył połowę odległości do linii punktowej. Skutecznie zatem udało mi się doprowadzić do tego, że znaleźliśmy się trzydzieści dwa jardy za linią początkowej zagrywki, z zadowoleniem jednak patrzyłem, jak znoszą z boiska bezpieczniaka, który krwawił, jak to zręcznie określił Luke, ze wszystkich otworów ciała. - Czarnuch za to zapłaci - wrzasnął któryś z ich tylnych liniowych.

Znowu zbiliśmy się w gromadkę, ukląknęłam i powiedziałam:

- Dobrze chłopaki, dobre. Bardzo lubię, jak słuchacie swojego Wuja Toma. Teraz pójdziemy na przyłożenie.

- Pora na Benjiego - zachichotał Luke.

- Jeszcze nie - rzekłam. - Mistrz strategii nie użyje jeszcze Benjiego, ale wykorzysta go jako przynętę. Poślę cię, Benji, w sam środek piekła. Powiem im, że dostaniesz piłkę, i pokażę, którądy będziesz się przedzierał.

- Jezu - mruknął Benji.

- To idiotyzm, Tom - wzruszył ramionami Luke.

- Ale nie dam ci piłki. Przemycę ją lewą stroną. Potrzeba mi tam para bloków. Na dwójce. Jazda.

Zbliżyłem się do linii, a zanim ułożyłem dłonie na ziemi za wydatnym zadkiem Millege'a Morrisa, poszedłem w kierunku monotonnego buczenia: „Czarnuch” i powiedziałem do tych z North Charleston.

- Chcecie czarnucha? Poślę go przez tę dziurę - wskazałem lukę między centrem a lewym obrońcą - a żaden z was nie ma tyle ikry, żeby go złapać.

Patrzyłem, jak ich defensywa przesuwana się w bok i nieco w kierunku luki, kiedy dotarły do nich moje słowa.

Wyszedłem z piłką nisko, za sobą usłyszałem szcęk hełmów i ochraniaczy, przygarbiłem się i wbiłem piłkę w brzuch przelatującego obok Benjiego, popatrzyłem, jak znika - w luce, a kiedy znalazł się w rękach białych południowców, poderwałem się.

Z piłką na biodrze obejrzałem się, na pozór zwolniłem na widok kupy białych strojów wgniatających Benjiego w ziemię, ale kiedy dotarłem do narożnika, pognałem wzdłuż linii bocznej, ku przerażeniu kibiców North Charleston, którzy nagle przypomnieli sobie, że w drużynie Colleton są także biali. Na dwudziestą dołączył do mnie Luke, gnaliśmy, zezując jednocześnie na tylnego defensora, który miał tę zaletę, że nie wierzył łgarzom. Wykonał ruch, jakby chciał mnie przechwycić na bocznej linii, zrobiłem zwód w lewo, sugerując, że zmieniam pas. Zwolnił nieco i wyprostował się, a wtedy Luke niemal go zabił, idąc na bezpośredni stuk, a ja przeskoczyłem nad oboma ciałami i nie straciwszy rytmu, zbliżyłem się do naszej trzydziestki piątki.

Mam film ojca z tego meczu i setki razy oglądałem ten dziewięćdziesięciojardowy bieg, a przed śmiercią jeszcze pewnie nie raz go zobaczę. Patrzę na chłopaka, którym niegdyś byłem, i podziwiam jego szybkość, z jaką sunie na ziarnistym, nierealnym obrazie filmowym, a ręką przesuwam po przeredzonych włosach. Usiłuję przypomnieć sobie moment, gdy biegnę w kierunku strefy końcowej, na próżno już goniony przez przeciwników w niebieskich uniformach. Tłum zaczął mnie nieść od linii pięćdziesięciu jardów, w nogach czuję ten marzycielski szum głosów, które zmuszają mnie do szybkości, każą jak najwyżej ustawić poprzeczkę tego dnia ekstatycznych biegów. Biegłem jako chłopak, który całe Colleton poderwał na nogi, a nie ma na świecie niczego szczęśliwszego od biegnącego chłopca, niewinnego, niesplamionego. Byłem obdarzony talentem, młody, niedościgły, gdy gnałem tak wzdłuż linii bocznej, za sobą mając w obłoku kurzu biegnącego za mną sędziego. Śmigły, rączy sunałem w świetle, mignąłem przed oczyma rozwrzeszczanemu ojcu, który obiekty w przesuwiał w ślad za mną, minąłem siostrę bliźniaczkę podskakującą z krzykiem przy linii i sławiącą tę chwilę, gdyż w ten sposób sławiła mnie, minąłem matkę, której uroda nie mogła przesłonić wstydu z powodu tego, kim była i skąd się tu wzięła. W tym jednak momencie, mitycznym i elegijnym, była matką Toma Wingo i to ona dała światu dar tych nóg i

szybkości, a ja minąłem czterdziestkę, sekundy później trzydziestkę, a przez życie swe gnałem jak ten chłopak ku strefie końcowej. Kiedy jednak teraz oglądam ten film, myślę często, że ów chłopak nie wiedział, ku czemu biegnie, i że to wcale nie strefa końcowa go oczekiwała. W tym dziesięciosekundowym śmigie chłopak przemienił się w metaforę, co widzi dużo starszy od niego mężczyzna, ale nie on, wtedy. Na zawsze pozostanie dobry w biegu i wiecznie będzie uciekał od rzeczy, które go ranią. Od ludzi, którzy go kochają, i od przyjaciół, którzy potrafiliby mu pomóc. Dokąd jednak biegniemy, kiedy nie ma już tłumów, światła, stref? „Dokąd biegnie człowiek?“, spytał trener, oglądając na filmach siebie jako chłopca. Dokąd może biec człowiek, który nie ma już wymówki w postaci gry? Dokąd ma biec człowiek czy gdzie się skryć, kiedy spogląda w tył i widzi, że to tylko przed sobą samym ucieka?

Minąłem strefę końcową i cisnąłem piłkę na pięćdziesiąt stóp w powietrze. Padłem na kolana i ucałowałem trawę. Podbiegłem do klatki Cezara i zatrzęsłem prętami. „Ciesz się, ty żółty sukinsynu!” Majestatycznie mnie zignorował.

Potem Luke porwał mnie w ramiona, uniósł w górę i zaczął się ze mną kręcić w kółko. W ten sposób mieliśmy wreszcie i my swego walca.

Wykopaliśmy, a ze sposobu, w jaki zwaliliśmy się na faceta z piłką, wiedziałem już, że to nasz wieczór. Przy naszej pierwszej zagrywce Luke wszedł głową w ich fullbacka tak, że facet wrył się w trawę pięć jardów dalej. Wszystkich nas ogarnął jakiś płomienny zapach, klepaliśmy się po naramiennikach i hełmach, po każdym zagraniu padaliśmy sobie w objęcia i wzajemnie zachęcaliśmy okrzykami. Boisko ogarnęła nie dająca się ugasić pożoga, wszyscy mieliśmy poczucie jasnego celu, przeznaczenia i - rewanzu.

Gdy przyszła na nas kolej, chciałem wypuścić Benjiego. Kiedy ja zaliczałem przyłożenie, czarnoskóry chłopak znalazł się pod stosem ciał, które wbijały mu kciuki w oczy, kopały po nogach, miażdżyły zębra.

- Benji, pokażemy tym sukinsynom, dlaczego raczej miał Brown w sprawie przeciw Board of Education. Na czwórce dziura. Ruszamy.

Zawsze było mi trochę szkoda faceta, który grał naprzeciwko Luke'a. Na początku gry był to rostry, zdrowy chłopczyzna, po jej zakończeniu - biedak z paraliżem dolnych kończyn przynajmniej na jeden dzień. Przy rozmiarach i rączności Luke'a trudno się było dziwić, że odnalazł w sobie naturalne pokrewieństwo z tygrysem.

Kiedy podszedłem do linii, zauważyłem, że słowo „czarnuch” na czas jakiś zniknęło ze słownika Niebieskich Diabłów z North Charleston.

Cisnąłem piłkę Benjiemu Washingtonowi i był to pierwszy przypadek w mojej części świata, kiedy biały chłopak podał do czarnego. Benji przemknął obok przechwyta (Luke zrobił coś, co można by porównać z pożarciem chłopaka znajdującego się naprzeciw), zgrabnym obrotem odbił się od bocznego tylnego, który wpadł na niego barkiem, odskoczył od końcowca, który usiłował go chwycić, by potem w serii zwodów o nieźrównanej płynności wpaść na ich tyły, zrywny, ręczy, niepochwytny. Trzech przeciwników usiłowało się z nim zderzyć, ale żaden nie docenił jego szybkości. My żmudnie przebieraliśmy za nim nogami do linii punktowej, którą on minął już dawno, zaliczając dla nas drugie przyłożenie w przeciągu dwóch minut Tłum kibiców z Colleton ogarnęły ambiwalentne uczucia, wiwaty były osobliwie ugrzecznione i niemrawe. Było to zbiorowisko białych południowców do szpiku kości pograżonych po szyje w niehumanistycznej tradycji i coś w nich pragnęło, żeby Benjiemu się nie udało, nawet gdyby miało to oznaczać porażkę całego zespołu. Niektórzy może nawet z chęcią zobaczyliby, jak Benji pada trupem. Niemniej jednak w trakcie owego siedmiosekundowego zrywu opór w Colleton wobec integracji odrobinę zmalał. I tego wieczoru za każdym razem, kiedy Benji Washington mknął z piłką, ogromna miłość mieszkańców Południa do sportu brała górę nad pełną bliźni historią, która najszybszą istotę w tej części Stanów Zjednoczonych wprowadziła do naszych tylnych formacji.

Kiedy drużyna dopadła Benjiego, niemal go uśmiercając szturchańcami i poklepywaniami, ten mruknął do Luke'a:

- Rany, ale ci biali są wolni.

- E, tam - odparł brat. - Po prostu się bałeś, że cię złapią.

Zobaczyłem tego wieczoru, że mając na tyłach Benjiego Washingtona, staję się o wiele lepszym quarterbackiem, niż miałem sobie czelność kiedykolwiek wyobrazić. Tego wieczoru trzydzieści razy posyłałem go do szarzy przez linie i na obejście końca. W trzeciej ćwiartce, mając opcję podania lub biegu, pogałem w prawo, zamarkowałem podanie do Benjiego, a kiedy koncowiec obrony skoczył w tym kierunku, ja rzuciłem się w powstałą dziurę, przemknąłem obok lewego wychwyta i pogałem do linii bocznej, aż wreszcie zwałił mnie zewnętrzny tylny liniowiec. Padając, rzuciłem piłkę Benjiemu, ten chwycił ją i niczym ucieleśniona szybkość pokonał osiemdziesiąt jardów nie tknięty niczyją ręką.

W czwartej ćwiartce North Charleston zaliczył dwa przyłożenia, ale zostały ciężko zdobyte po pełnej furii walce. Za każdym razem wymagało to od nich długiego marszu przez boisko i za każdym razem ich fullback zaliczał punkty, startując z linii jednego jarda, wcześniej po dwakroć

powstrzymany. Kiedy zegar zbliżał się do sześćdziesiątej minuty, prowadziliśmy 42 do 14, nasza orkiestra zagrała The Tennessee Waltz, a przeciwnicy z North Charleston zobaczyli, jak hełm przy hełmie tańczymy na linii zagrywki, podczas gdy kibice śpiewają chórem na trybunach.

Kiedy zabrzmiał gwizdek kończący grę, rzuciło się na nas całe miasto. Tłumy wyległy na boisko i wracaliśmy do szatni duszeni i poszturchiwani przez tysiące uczniów i kibiców. Dopadła mnie Savannah i ucałowała w usta, śmiejąc się na widok mojego rumieńca. Luke schwycił mnie z tyłu i przewrócił na trawę. Trzech liniowych z North Charleston przepchnęło się przez tłum i uściśniło rękę Benjiemu. Środkowy przeproszał za swojego „czarnucha”. Cezar znowu zaczął ryczeć, a tłum mu zawtórował, ojciec kręcił wszystko. Matka wpadła w ramiona Luke’a, on zaś poniósł ją do samej szatni niczym oblubienicę, podczas gdy ona obejmowała go za szyję i szeptała mu, jaki jest wspaniały i jak jest z niego dumna.

W szatni drużyna wrzuciła ubranego trenera Samsa pod prysznic. Oscar Woodhead i Chuck Richards usadzili sobie Benjiego na ramionach i tak ponieśli do szatni, gdzie został ochrzczony w wodach Wiktorii. Także Luke’a i mnie porwano w powietrze, a potem cały zespół, zwycięski, zachwycony, stał na posadzce, ociekając wodą i krzycząc, podczas gdy fotografowie robili zdjęcia, a ojcowie palili na zewnątrz papierosy i rozmawiali o meczu.

Po wzięciu prysznica usiadłem na długiej drewnianej ławie obok brata i bez pośpiechu ubieraliśmy się, a ja czułem, jak słodki pomeczowy ból zaczyna się rozchodzić po ciele niczym wolno działający narkotyk. Nałożyłem koszulę i miałem trudności z podniesieniem ręki, aby zapiąć górny guzik. Koledzy nakładali okrycia, w pomieszczeniu unosił się zapach pary, potu i płynów po goleniu. Jeff Galloway, lewy koniec, podszedł do mnie, zaczesując do tyłu ciemne włosy.

- Idziesz potańczyć, Tom? - spytał.

- Wpadniemy chyba na chwilę.

- Ale chyba nie w tym? - powiedział, spoglądając znacząco na moją koszulę.

- Wiesz, prawdziwe ciuchy wiszą w klatce Cezara, więc nic innego mi nie pozostaje, jak iść w tym, co mam na sobie.

- Macie chyba najgorszy gust na świecie. Zastanówcie się trochę i kupcie sobie parę koszul Ganta. Poza tym wy dwaj jesteście jedynymi facetami w szkole, którzy nie noszą weejunsów. Kurcze blade, wszyscy w drużynie mają weejunsy.

- Ja tam ich nie lubię - powiedział Luke.



- Jasne, o wiele bardziej wolicie te gówniane tenisówki - prychnął Jeff, wskazując palcem na buty, które właśnie sznurowałem. - Co to właściwie za koszulę masz na grzbiecie, Tom? - spytał, odciągnął kołnierz i spojrzał na metkę. - Belk's. - Pokręcił głową z niedowierzaniem. - Koszulka polo Belksa. Chryste Panie, ale numer. Ogłaszam was parą Największych Elegantów Liceum w Colleton. Nawiasem mówiąc, już od dwóch tygodni masz te same spodnie, Tom.

- Nieprawda - zaprotestowałem. - Po prostu mam dwie identyczne pary. Noszę je na zmianę.

- Rany, co za plama. Po prostu plama, nic innego. Ani odrobiny gustu. Kompletnie nie pasujecie do reszty.

- A co ci się nie podoba w naszych ubraniach, Jeff? - spytał Luke.

- Nic w nich nie może się podobać, Luke - rzekł Jeff. - Wy po prostu nie przywiązujecie uwagi do swego ubioru. Prawie wszyscy po meczu ubierają się jakoś lepiej. Nie tylko gramy dobry futbol, ale także narzucamy swój styl całej szkole. Razem wchodzimy na salę, a wszystkie panny i cała reszta mówią: „Idzie nasza drużyna, ludzie, idzie nasza cholerna drużyna i tylko spójrzcie, jak ekstra oni wyglądają”. Nawet Benji potrafi się porządnie ubrać, a przecież to tylko...

- Czarnuch - zakończył za niego Luke. - Już sobie poszedł. Nie przejmuj się, wprawdzie wygrał dla nas ten pieprzony mecz, ale teraz możesz go znowu nazywać czarnuchem.

- Benji jest kolorowy - sprostował Jeff. - Po prostu chłopak przez całe życie był i będzie kolorowy, ale w porównaniu z wami ubiera się jak książę. Belk's, słuchajcie, to dla nas cholerny wstyd, że dwóch najważniejszych graczy kupuje sobie ciuchy u Belka.

- A gdzie ty kupujesz swoje? - spytał Luke. - W samym zajebistym Londynie?

- Nie. Ja i paru innych chłopaków jedziemy do Charlestonu i cały dzień spędzamy na zakupach w Berlin's albo Krawcheck's. Specjalne sklepy dla mężczyzn, chłopie, wyspecjalizowane. Żaden tam Belk's. Nie można nosić niczego seryjnego, każdy ci to powie. U Berlina tyle wisi pasków ze skóry krokodyla, że muszą chyba mieć własną farmę aligatorów. Musicie się po prostu przejechać tam i rzucić okiem. Zacząć wyrabiać w sobie dobry gust.

- A ja tam się cieszę, Jeff, że mam inny gust niż ty. Nikt ci nie każe nosić naszych ciuchów, więc przestań się do nich przypieprzać - powiedział Luke.

- Zaraz, chwilę, to była tylko przyjacielska porada - zachnął się Jeff. - Muszę patrzeć na te wasze łachy, to mam chyba także prawo wypowiedzieć swoją opinię, co? Trener narzucił taki zwyczaj, żebyśmy w dniu meczu



przychodzili do szkoły odpowiednio ubrani. Nie podoba się wam? Marynarka w dzień, potem pocisz się w kostiumie podczas gry, prysznic, troszkę pachnidel na ciało, a na tańcach panny mdleją na widok ubioru. Ja swój kupiłem w Krawcheck's za jakieś sto dolców.

- Kiepskie gówno - powiedział Luke, wcześniej oceniwszy błękitny garnitur Jeffa.

- Niczego lepszego za te pieniądze nie kupisz. Ale wy na pewno wolicie te swoje spodnie z demobilu.

- Lubię khaki - mruknął kwaśno Luke.

- To zobaczymy, jak wam się to sprawdzi na tańcach. Chyba się nie zobaczymy, chłopaki, bo będę otoczony przez setkę lasek, broniąc się, żeby wszystkiego ze mnie nie zerwały. Tak czy siak, graliście świetnie - powiedział Jeff i wyszedł z szatni.

Słyszeliśmy nasz zespół w szkolnej stołówce grający rock and rolla. Zamknąłem szafkę i ustawiłem kombinację zamka, Luke zrobił to samo.

- Chcesz iść potańczyć, Luke?

- A ty?

- Niespecjalnie.

- Ani ja. Szczególnie teraz, gdy każdy skurwiel będzie na mnie patrzył i myślał: „Ach, to ten biedny buc w poło od Belka”.

- Nie zależy mi - powiedziałem. - Zresztą i tak nie tańczę.

- Ani ja.

Trener Sams wystawił głowę zza rogu i powiedział:

- Gasić światło, chłopaki. Ej, Luke, Tom, myślałem, że już jesteście na górze na tańcach. Po dzisiejszym meczu dziewczuchy mogą was zgwałcić.

- Właśnie się wybieraliśmy, panie trenerze - powiedziałem.

- A gdzie wasze marynarki? - spytał Sams. - Przecież mówiłem, żeby się każdy porządnie ubrał w dniu meczu. Do jasnej cholery, jesteście moimi kapitanami.

- Zapomnieliśmy, panie trenerze - bąknął Luke. - Nic, tylko myśleliśmy o meczu.

- Ej, ale był mecz, co - powiedział Sams i uderzył Luke'a w ramię. - Ale mecz.

- Ale mecz - zawtórowałem.

- Ale mecz - powtórzył. - Co nie? Ale mecz. - Uśmiechał się do nas szeroko. - Co nie?

Poszliśmy z nim na tył szatni, gdzie wyłączył światła oświetlające boisko.

A potem wraz z Lukiem ruszyliśmy do stołówki.

Kiedy usiłuję sobie przypomnieć głos matki z okresu dzieciństwa, jest to zawsze ponury, natchniony lament nad naszą sytuacją materialną. Słyszę treny i pieśni żałobne dające wyraz jej niewzruszonemu przekonaniu, że żyjemy w najbardziej upokarzającej nędzy. Nie mogę w związku z tym powiedzieć, czy naprawdę żyliśmy w biedzie, czy nie. Nie wiem, czy matka była uboga czy tylko oszczędna, a w każdym razie wolałbym już poprosić, żeby dała possać swoją prawą pierś niż o dziesięć dolarów. Kiedy stawała sprawa pieniędzy, w jej duszy rodziła się inna kobieta, co ogromnie ją umniejszało w oczach dzieci. Nie dlatego, że nie miała forsy, ale z powodu tego, jak kazała nam się czuć, kiedy o nią prosiliśmy. Zawsze podejrzewałem, że było ich więcej, niż twierdziła. Obawiałem się, że po prostu kocha je bardziej ode mnie. Nigdy nie byłem pewien, jak z tym jest.

Sprawa marynarki zaczęła mi doskwierać i nazajutrz po meczu z North Charleston zagadnąłem po śniadaniu.

- Mamo, możemy porozmawiać?

- Oczywiście, Tom. - Staliśmy na tylnym podwórku, gdzie właśnie wieszala pranie. - Zawsze możesz się ze wszystkim do mnie zwrócić.

- Czy mógłbym coś porobić wokół domu?

- Ale przecież masz już swoje wyznaczone prace.

- Chodziło mi o coś, przy czym mógłbym odrobinę zarobić.

- Posłuchaj, Tom, mnie nikt nie płaci za to wszystko, co robię dla domu, zastanów się nad tym. Gdybym chciała brać pieniądze za gotowanie, sprzątanie, doglądanie waszych ubrań, nic by już nie zostało na jedzenie, rozumiesz? Ale nigdy nie myślałam o wynagrodzeniu za moją pracę. Wykonuję ją dlatego, że kocham swoją rodzinę.

- Także i ja kocham naszą rodzinę - powiedziałem.

- Dobrze wiesz, że mamy trochę kłopotów, prawda? - spytała szeptem, jednym z tych głosów intymnych i konspiracyjnych, który dopuszczał rozmówcę do najbardziej tajemnych myśli matki. - Z krewetkami idzie nie najgorzej, ale ojcu zachciało się kupić stację benzynową i tygrysa, więc nasza sytuacja wygląda bardzo niedobrze. Mówię ci o tym bardzo niechętnie, bo wiem, jak bardzo martwisz się o mnie. Prawda wygląda tak, że w każdej chwili możemy zostać bankrutami. Na próżno usiłuję to uzmysłwić ojcu. Co jeszcze mogę zrobić?

- Muszę kupić marynarkę.

- To śmieszne - powiedziała, trzymając w ustach kilka kłamek. - Niepotrzebna ci żadna marynarka.

- Właśnie, że potrzebna - sprzeciwiłem się, chociaż czułem się tak, jakbym poprosił o jacht żaglowy. - Trener Sams chce, żebyśmy w dniu meczu przychodzili do szkoły dobrze ubrani. Taka zasada. Wczoraj w szkole z drużyny tylko ja i Luke nie mieliśmy marynarek.

- To śmieszna zasada, a my z pewnością nie będziemy się do niej stosować. Tom, dobrze wiesz, jaki w zeszłym roku był kiepski sezon krewetkowy, a na dodatek ojciec jeszcze tyle pieniędzy utopił w stacji benzynowej. Wiesz o tym wszystkim, a mimo to bez skrpułów narażasz mnie na przykrość, że muszę ci odmówić. Nie wiesz natomiast nic o tym, ile wysiłków mnie kosztuje utrzymanie nas wszystkich na powierzchni. Nie Chodzi o to, że nie stać nas na marynarkę, chodzi o priorytety. Ojciec wyskoczyłby przez dach, gdyby dowiedział się, o co prosisz. Sama myśl o tym jest bardzo egoistyczna. Mówiąc szczerze, jestem zdziwiona i dosyć rozczarowana.

- Wszyscy inni mają szykowne marynarki. Można by kupić jakieś używane.

- Ty nie jesteś taki jak inni. Nazywasz się Tom Wingo i przerastasz wszystkich o głowę, patrzysz na nich z góry. Może tamci inni są lepiej ubrani, ale to moi chłopcy są kapitanami drużyny.

- Jak to się dzieje, że Savannah ma zawsze ładne ciuchy, a my z Lukiem musimy wyglądać tak, jak byśmy wracali z kutra?

- Bo Savannah jest dziewczyną, a dla dziewczyny ważne jest, żeby pokazywać się od jak najlepszej strony. Nie czuję się ani odrobinę winna za to, że wszystko poświęcam temu, żeby moja córka była jak najładniej ubrana. Dziwi mnie natomiast, że ty masz o to pretensje i nie rozumiesz, dlaczego tak być musi.

- A dlaczego musi? Wyjaśnij mi to, mamó.

- Jeśli ma poślubić właściwego dżentelmena, jej ubiór musi się rzucać w oczy. Dżentelmeni z dobrych rodzin nawet nie pomyślą o flircie z dziewczyną, która nie wie, jak się przystroić. Tom, ubiór jako pierwszy przyciąga mężczyznę do kobiety. Może nie całkiem pierwszy, ale w każdym razie to jedna z najważniejszych rzeczy.

- A na co w pierwszej kolejności spogląda dziewczyna, kiedy patrzy na chłopaka, mamó?

- Z pewnością nie na ubranie - skrzywiła się. - U mężczyzny nie ma ono znaczenia, chyba że chodzi o interesy albo kancelarię adwokacką. Młoda dziewczyna szuka chłopaka z charakterem, perspektywami, ambicjami, z dobrej rodziny.

- To tym się kierowałaś, kiedy wychodziłaś za tatę?

- Myślałam, że wychodzę za zupełnie innego człowieka, niż okazał się naprawdę. Byłam głupia i ceniłam się o wiele za nisko. Nie chcę, żeby Savannah powtórzyła ten sam błąd.

- Więc nie uważasz, że jakaś dziewczyna będzie zwracała uwagę na to, jak się ubieram?

- Oczywiście, że nie, chyba że ma pusto w głowie, jest płytka i nic nie warta.

- To dlaczego dla mężczyzn tak ważny jest strój kobiet?

- Bo są zupełnie inni niż kobiety, mają znacznie mniej skomplikowaną naturę.

- Naprawdę tak uważasz, mamó?

- Naprawdę. Ostatecznie dłużej od ciebie jestem na świecie.

- Dasz mi jakieś pieniądze, żebym sobie resztę uzbierał?

- Nie dostaniesz ode mnie nawet dziesięciu centów, Tom. Musisz nauczyć się zapracować na wszystko. Wszystko, co naprawdę chcesz mieć. Zobaczysz, ile warta będzie dla ciebie ta marynarka, kiedy okupisz ją swoją krwawicą. Zarób na nią, Tom. Nigdy nie ceni się odpowiednio tego, co dostaje się podane na srebrnej tacy.

- Nikt mi jeszcze niczego nie podał na srebrnej tacy.

- Zgoda, Tom. I nie oczekuj tego, a w każdym razie nie ode mnie. Na pewno myślisz, że jestem skąpa.

- Tak, mamó. I nic na to nie poradzę.

- Wcale się tym nie przejmuję, a to dlatego, że wiem coś, o czym ty nie wiesz. Wiem, że po latach, kiedy twoi koledzy z drużyny będą wspominać ten czas, żaden z nich nie będzie już nawet pamiętał, co miał na sobie.

- I co z tego?

- Nie będą znali wartości rzeczy, natomiast ty, cofając się pamięcią do tego roku, dobrze będziesz pamiętał kolor marynarki, której nie dostałeś. Będziesz ją widział, czuł jej dotyk, zapach.

- Nie rozumiem, mamó.

- Naprawdę docenisz marynarkę, którą sam zdobędziesz. Wkładając ją, zawsze będziesz sobie przypominał matkę. Będziesz pamiętał, że ci odmówiłam i że musiałeś sam sobie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego.

- Więc już teraz cię pytam: „Dlaczego?”

- Uczę cię cenić to, czego nie posiadasz, co jest poza twoim zasięgiem.

- Jakie, to głupie., - Być może, Tom. Ale z pewnością pokochasz swoją marynarkę. O tym cię mogę zapewnić.

- Mamó, jest najlepszy sezon na krewetki od 1956 roku. Z pewnością nie brakuje nam pieniędzy.

- Ale nie możemy ich tracić na wytworne garnitury, Tom. Muszę je odkładać na kolejną zwariowaną inwestycję twego ojca, Tom. Gdyby nie on, mógłbyś mieć, co tylko byś zechciał. Wszyscy byśmy mogli.

RS

## ROZDZIAŁ 19

W mieszkaniu Savannah zacząłem szukać wskazówek, które pozwoliłyby mi dowiedzieć się nieco o jej sekretnym życiu, które prowadziła, zanim podcięła sobie żyły. Jej nieobecność pozwoliła mi nie bez poczucia winy stać się podglądaczem jej codziennej egzystencji. Oznaki zaniedbania były śladami jej powolnego osuwania się w kierunku granic szaleństwa. Znalazłem stos nie tkniętej poczty, w tym listy od matki, ojca i ode mnie. Otwieracz do puszek nie działał. Miała na półce dwa słóeczki cayenne, ale żadnego majeranku ani rozmarynu. W sypialni znalazłem parę butów Nike, których ani razu nie miała na nogach. W łazience brakowało aspiryny i pasty do zębów. W chwili mego przyjazdu w szuflarce stała jedna puszka tuńczyka, a lodówka nie była rozmrażana od lat. Savannah przez całe życie obsesyjnie przestrzegała czystości, teraz jednak kurz na półkach zbierał się przez całe miesiące. Było to mieszkanie kogoś, kto pragnął śmierci.

Były w nim jednak tajemnice, które z pewnością odsłonią się przede mną, jeśli tylko będę odpowiednio cierpliwy. Czujnie śledziłem wszystkie ślady, które mogły rzucić jakiegokolwiek światło na syntaktykę jej szaleństwa.

W niedzielne popołudnie szóstego tygodnia mojego pobytu w Nowym Jorku, przeczytałem kilka razy wszystkie wiersze Savannah, opublikowane i te, które znalazłem tylko w rękopisie. W jej bujnych jambach szukałem tropów, wpisanych w nie tajemnic. Znałem wprawdzie główne wydarzenia i katastrofy w życiu siostry, miałem jednak wrażenie, że umyka mi coś nader istotnego, że przez trzy lata odosobnienia stworzyła życie pełne tymczasowości i dramatyzmu, a ja pozostawałem od niego odgradzony.

W dzieciństwie Savannah miała zwyczaj starannego ukrywania swych prezentów. W poranek bożonarodzeniowy nigdy nie znajdowały się pod choinką, każdy otrzymywał jednak zawiłe wskazówki, jak dotrzeć do swego подарunku. Pewnego razu opalowy pierścionek, który za poradą babki kupiła matka, ukryła aż nazbyt dobrze w czarnym trzęsawisku blisko centrum wyspy. Prezent owinęła w różnobarwne opakowanie i upchała w mchach starej dziupli. Zarazem jednak instrukcje sformułowała tak aluzyjnie i niejednoznacznie, że nawet sama nie potrafiła poprowadzić matki do skrytki. Odtąd opale stały się dla niej symbolem straconych świąt, ona zaś powróciła do bardziej tradycyjnych sposobów wręczania подарunków.

Później miała pisać o tym pierścionku, przedstawiając go jako doskonały, najwspanialszy dar. Dar doskonały, napisała, zawsze jest schowany zbyt dobrze, ale nie przed poetą. W zwrocie kluczowym dla zrozumienia jej

utworów siebie jako poetkę nazwała „kochanką sów”. Przymykała oczy, a rozłożone skrzydła ogromnej sowy rzucały brązowawy cień na zielone przestrzenie boru. Sowa wracała między zapomniane kryjówki, w których przy warowały barwne pakunki, bezbłędnym kołem opadła między kępę cyprysów i znalazła zawieruszony opal, koloru maślanki upstrzonej płaskimi kropkami fioleto. Sowa, szponiasta królowa o nieomylnym instynkcie, chwyciła pierścionek w dziób poplamiony krwią nieostrożnych królików i poprzez koronki bajecznych snów, poprzez powietrze nabrzmiałe słowami i nimi pachnące, wiersz po wierszu przenosiła go poetce. Savannah niczego nie gubiła: wszystko przetwarzała w tajemnicze, zmysłowe ogrody języka. W poezji zachowała upodobanie do gry - skrywała swe dary za kratownicami słów, swe porażki i zmory splatała w bukiety. Nie było wcale mrocznych wierszy, tyle że okolone kwieciami owoce mogły smakującego na zawsze uśpić kolcami spryskanymi cyjankiem. Nawet jej róże były mordercze. We wszystkich utworach kryły się zagadki, fałszywe tropy, pozorujące manewry, gesty iluzjonistki. Niczego nie próbowała stwierdzić wprost, na trwałe pozostał jej nawyk skrywania darów. Nawet tam, gdzie pisała o swoim szaleństwie, czyniła je pociągającym, piekło zarażone rajem, pustynia pełna owoców chlebowca i mango. Potrafiła pisać o zabójczym słońcu, ze skwaru którego wychodziła triumfująca, dumna z opalenizny. Ujawniała szczególną słabość - mogła stąpać po grani Alp, swej ojczyzny, ale nie umiała stulić skrzydeł, które wyrwały ją w powietrze i jego wiry. Pierścionek niezmiennie do niej powracał, ilekroć oznajmiała, że go zgubiła. Nawet jej krzyki były przytłumione i wplecione w blade harmonie, niczym szum morza uwięzły w konsze muszli. Udawała, że słyszy w nich muzykę, ja jednak wiedziałem, że to nieprawda. Słyszała w nich wilki, czarne nuty, wszystkie madrygały diabelskie, które jednak tak piękniały, kiedy opisywała je za pomocą swej widmowej sowy i sennego opalu. Śpiewała o wodnych liliach, które płynęły niczym łabędzie dusze po stawach azylu dla obłąkanych. Moja siostra zakochała się w dostojności szaleństwa. Ostatnie wiersze, które odnajdywałem rozsiane po całym mieszkaniu w sekretnych skrytkach, były przybytkami niebywalej piękności. Pragnienie własnej śmierci nadawało jej dziełu niezwykle wymiary.

Opłaciłem jej mieszkanie, także inne rachunki, odbierałem pocztę. Korzystając z pomocy sąsiada, Eddiego Detreville'a, pomalowałem jej mieszkanie na kolor lnu, poukładałem książki w biblioteczkę wedle tematyki. Zbiory byłyby prawdziwą gratką dla bibliofila, gdyby nie traktowała książek z taką nonszalancją. Nie wiem, czy udałoby się znaleźć jedną, w której nie byłyby zakreślone długopisem interesujące ją fragmenty.



Kiedyś powiedziałem jej, że wolałbym już zobaczyć zbombardowane muzeum niż książkę pokrytą zapiskami, wzruszyła tylko ramionami i nazwała moją uwagę sentymentalizmem. Musiała zaznaczać w książkach, aby nie umknęły jej idee i obrazy. Czytanie i pisanie Savannah pozostawały w relacji owocnej wymiany. Nabrała zaskakującego zwyczaju kolekcjonowania książek z dziedzin, o których nic nie wiedziała. Jedna, na przykład, silnie pokreślona, opisywała cykl życiowy paproci, inna nosiła tytuł Język migowy Indian równinnych. Sześć książek traktowało o różnych problemach meteorologii, trzy o dewiacjach seksualnych w XIX stuleciu, jedna informowała o hodowli i karmieniu piranii, znalazło się też miejsce dla Słownika marynarskiego i pracy o motylach Georgii. Napisała kiedyś wiersz o motylach, które sfrunęły na Ogród matki, a z notatek na marginesach dowiedziałem się, jak siostra zdobywała wiedzę o paziach królowej czy modraszki. Bardzo wiele korzystała z książek i żaden fakt nie wydawał się dostatecznie zawiły, aby oparł się jej badawczej pasji. Jeśli chciała mieć w wierszu biedronkę, kupowała dziesięć prac z zakresu entomologii, aby zdobyć kompletną wiedzę o biedronkach. Tworzyła tajemnicze światy, wykorzystując do tego bezcenne informacje, które zbierała w zapomnianych książkach. Ponieważ jej przemarsz przez nie pozostawiał dobrze widoczne ślady, mogłem tropić historię lektur, patrząc, które są poznaczone, a które dziewiczo czyste. Myślę, że był to dobry pomysł zdobywania wiedzy o mojej siostrze: zanurzyć się w jej biblioteczkę i uważnie śledzić, które kwestie oznacza notatkami i podkreśleniami. Naruszałem w ten sposób jej prywatność, ale nie widziałem innego sposobu nadrobienia owych trzech lat, podczas których nie zamieniliśmy ze sobą nawet słowa.

Rozpocząłem lato od przeczytania wszystkich dzieł poetów, którzy należeli do grona znajomych Savannah i tomiki swe opatrzyli dedykacjami dla niej. Z tonu owych przyjaznych, acz formalnych fraz wywnioskowałem, że większość z nich podziwiała wiersze, ale zupełnie jej nie znała. Wielu z owych poetów wiodło życie dumnych z tego, iż są nieznanymi, a kiedy przeczytałem ich utwory, zrozumiałem, dlaczego. Wszyscy oni byli trubadurami mikroskopijnych epifanii. Pisali o fiołkach i owocach granatu, ale temat był dla nich w istocie bez znaczenia. Savannah była niezmiernie szczęśliwa, kiedy wyznałem jej kiedyś, iż nie rozumiałem jakiegoś jej wiersza - dzięki temu mogła być pewna, że pozostała wierna swemu darowi. Po przeczytaniu utworów jej przyjaciół pomyślałem, że wszyscy współcześni poeci winni być zaszczerpieni przeciw niezrozumiałości, tak czy owak w podkreślonych przez nią wersach było mroczne” niepojęte piękno, a

ja wynotowałem je wszystkie i próbowałem odtworzyć życie siostry z jej podróży poprzez książki.

Z wierszy zorientowałem się, że Savannah żegnała się już z Południem jako tematem. Nadal mogłem rozpoznać jakieś przebliski przeszłości, niemniej siostrze udało się zostać tym, czym zawsze chciała być: poetką nowojorską. Trafiłem na serię wierszy z metra, które stanowiły zaśnieżone, hojne, symetryczne uzupełnienie dla widm przesuwających się przez nocne miasto. Były wiersze znad Hudsonu i wiersze z Brooklynu. Przestała podpisywać utwory zaraz po ich ukończeniu. W anonimowych stosach leżały rozrzucone po całym mieszkaniu. Niekiedy tylko połyskliwa, nieuchwytna magia pozwalała rozpoznać wiersz przez nią niewątpliwie napisany. W ostatnich latach jej utwory przybrały na sile, melancholii i - pięknie. Wyczuwałem w nich jednak coś zagadkowego, niejasnego, co nadal by mnie nękało, gdybym na jej nocnym stoliku nie natknął się pod Biblią na niebiesko - białą książkę pamiątkową. Na zielonym rombie pośrodku białej wstęgi przeczytałem „Gimnazjum Seth Low”. Rozsunąłem zardzewiały zamek i otworzyłem pierwszą stronę, na której znajdowała się fotografia maturalna Renaty Halpern. Nazwisko to coś mi przypominało, ale nie byłem pewien, co. Miała ładną, pewną siebie twarz, którą szpeciły źle dobrane okulary. Prezentowała uśmiech nienaturalny, oficjalny i niemal mogłem zobaczyć skrytego w mroku fotografa, który usiłuje zarazić ją grymasem, szczerząc swe zepsute zęby. Na następnej stronie znajdowała się informacja, że uczyły ją panie Satin, Carlson i Travers. Renata Halpern ukończyła Seth Low 24 czerwca 1960 roku. Nie należała do starszyny klasy, której wielce szanowanym przewodniczącym był Sidney Rosen. Sidney napisał w książce: „Dla Renaty, co czaru ma - tyle: osobowym czy ekspressem gnaj odważnie za sukcesem”. Najlepsza przyjaciółka Renaty, Shelly, którą natura obdarzyła piśmem miękkim jak jedwab, nakreśliła słowa: „Dla Renaty, szczęścia do końca życia, lśnij jak gwiazda, śliczna moja, trochę pudru, krem ze słoja, tusz do rzęs, czar makijaży - cały świat u stóp ci leży. Gratulacje dla Królowej Serc Seth Low”.

To znakomicie, pomyślałem, że moja nowa znajoma, Renata Halpern, była kiedyś Królową Serc w szkole średniej Seth Low, w jaki jednak sposób jej droga życiowa przecięła się z drogą Savannah? Jedna półka zapelniona była maturalnymi książkami pamiątkowymi, które wyszukiwała w antykwariatach po całym mieście. Uwielbiała zerkać w życie zupełnie obcych osób. To jednak nazwisko rozbrzmiało echem w pamięci, byłem pewien, że już wcześniej się z nim spotkałem. Wróciłem do saloniku i przebiegłem wzrokiem grzbiety tomików zaprzyjaźnionych z nią poetów.

Potem oczy spoczęły na poczcie, która nadeszła w ciągu ostatnich tygodni i przypomniałem sobie, że to tam musiałem widzieć nazwisko Halpern.

„Kenyon Review” na adres Savannah przesłał najnowszy numer przeznaczony dla Renaty Halpern. Kiedy przerzucałem przesyłki pomyślałem, żeby podwędzić czasopismo, zaraz jednak się zreflektowałem, że wyrządę w ten sposób przykrość znajomej Savannah, która do korespondencji podała jej adres. Otworzyłem brązową kopertę, między stronice magazynu wetknięty był list od wydawcy „Kenyon Review” do Renaty.

Droga Pani Halpern!

Raz jeszcze chciałbym powiedzieć, jak dumni jesteśmy z tego, że „Kenyon Review” może opublikować pani pierwszy wiersz, a zarazem podkreślić, że z najwyższym zainteresowaniem przeczytamy każdy pani następny utwór. Chcielibyśmy wydrukować ich jak najwięcej, zanim podkradnie nam panią któryś z „gigantów”. Mam nadzieję, że pisanie idzie dobrze.

Z wyrazami szacunku Roger Murrell PS Mazeltow z powodu książki dla dzieci.

Spojrzałem na spis treści „Kenyon Review” i przeskoczyłem na stronę trzydziestą drugą, gdzie znajdował się wiersz Renaty Halpern. Wystarczyło osiem pierwszych linijek, bym się zorientował, że napisała go moja siostra.

Płaszcz to muzyka al fresco, którą wydobywają moje sennie dłonie, ale tylko myśliwi wiedzą naprawdę, jak groźne jest jutro.

Narzuca wielosłupny płaszcz tygrysi i zanurza twarz w łunie gwiazd i sile tysięcy bengalskich nocy.

Ta skóra jest perfekcyjnym tekstem stworzenia, darem świętej dzikości.

Miękka krawędź jej piękna ożywa złotem na ciałach próżnych kobiet Gronostaj jest dowodem rozbawienia Boga, gdy ożywia swe mleczne sny o piórach i śnieżycy, atoli strój tygrysi jest ślubnym synem wspaniałości kling.

Córko, pozbieraj wszystkie słowa pełne krwi, lawendy i czasu.

Świetliste i czyste wynieś je na powietrze.

Starannie zbadaj, czy nie ma w nich skaz.

Wiedz, że tygrys zastanawia się nad sztuką dobrego rozmieszczenia pałapek, gdy jego nozdrza napelniają się kadzidłem śmierci.

Bez lęku spogląda na obcych, którzy skradają się z nożami w dłoni.

Jakże władcza i poważna będzie kobieta, która odzieje się w jego futro.

Własnymi dłońmi układam te obfite szaty i wysyłam je jak listy miłosne od Sigmunda Halperna do owych wiotkich, chętnych kobiet, które składają hołd mej sztuce ilekroć suną w niezrównanym przepychu futer.

Dla ciebie, córko, wybrałam me najlepsze dzieło, jedyny wiersz kuśnierza.

Ten dar to pismo, które zabrałam z grzbietu norki, kiedy starałam się wymierzyć długości twych czujnych kształtów.

Moje skóry to nowe powiernice twojej urody.

Zanim poetka zamarzy o szacie, musi zapanować nad wystawnością futra i nauczyć się budować dzieło sztuki z krwi braci i tygrysów.

Kiedy skończyłem czytać wiersz, pomyślałem, że wszystkie jego słowa można wyjaśnić, że musi istnieć jedno jedyne rozwiązanie, które z czasem mi się odsoni. Z tego, co wiedziałem, siostra niewiele miała wspólnego z Żydami, a jeszcze mniej z futrzarstwem, jednak nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że to ona napisała ten wiersz. Zdradzał ją tygrys, żeby już nie wspominać o niemożliwym do podrobienia rytmie jej poezji. Otworzyłem książkę pamiątkową i raz jeszcze przyjrzałem się pierwszej stronie. Przynajmniej jedna zagadka szybko się wyjaśniła. Zawód matki: prowadzenie domu. Zawód ojca: kuśnierz.

Wiedziałem, że dotykam jakiegoś ważnego fragmentu z życia siostry, ale nie miałem pojęcia, jaki jest jego sens. Musiał mieć coś wspólnego z żarliwą chęcią Savannah, aby odrzucić całą przeszłość związaną z Karoliną Południową. Kuśnierz na powrót skierował głos poetki ku wyspie i dzieciństwu, a ich obrazy były czyste i przejmujące. Podejmowała opowieść, której nikt z nas by nie opowiedział, ale pośredniość osłabiała siłę jej sztuki, zmyślanie nie należało do jej mocnych stron, a tutaj język był okólny, wykrętny. Sugerował swój obiekt, ale nie atakował go wprost. Jeśli chcesz pisać o tygrysie, Savannah, myślałem, to, do cholery, pisz o pieprzonym tygrysie i nie szukaj ucieczki w sztuce kuśnierza. Nie otulaj swych wierszy w skóry zwierząt zgruchotanych przez okrutne pułapki. Kuśnierz zapewnia błogie ciepło, poetka gotuje w swych wyborynych eliksirach. Kuśnierz sporządza płaszcze, skórę norki wszywając w błamy z leoparda, poetka przy wraca norce życie i umieszcza w jej pysku trzepoczącą rybę, a leoparda stawia na równinie i nozdrza napełnia mu zapachem gnijących pawianów. A ty, Savannah, chowasz się za futrami i finezyjnie uszytymi płaszczami. Grozę czynisz ciepłą, upiększasz, owijając

ją w miękkie gronostaje, norki i szynszyle, podczas kiedy naga i brutalna powinna stanąć na chłodzie.

Chociaż krętymi drogami, zbliżasz się jednak, kochana siostró, do swej opowieści, a wraz z tobą zbliżam się i ja.

Raz jeszcze wróciłem do listu wydawcy „Kenyon Review” i przeczytałem PS: „Mazel tow z powodu książki dla dzieci”. Czy miała na myśli książkę dla dzieci rzeczywistej Renaty Halpern czy też o książkę napisaną pod tym samym pseudonimem co wiersz? Godzinę spędziłem na przeszukiwaniu wszystkich półek w mieszkaniu, szukając książki napisanej przez Renatę Halpern. Na nic takiego nigdzie się nie natknąłem, byłem ciekaw, jak siostra zamierzała wyrazić się w tej formie. Zniechęcony chciałem już dać sobie spokój, gdy przypomniało mi się, że „Kenyon Review” zamieszczało na końcu krótkie notki biograficzne o autorach. Zajrzałem na ostatnią stronę i tam pod literą „H” znalazłem:

Renata Halpern mieszka w Nowym Jorku, w Brooklynie i pracuje jako bibliotekarka w Brooklyn College. Zamieszczony tutaj wiersz jest pierwszym, jaki publikuje. Jej książka dla dzieci Styl Południa została wydana w zeszłym roku przez Random House. Obecnie pracuje nad tomikiem poezji.

Kiedy w dziale dziecięcym Scribner Book Store sprzedawca wręczał mi książkę, ręce drżały mi tylko trochę. Na tylnej stronie okładki nie było zdjęcia autorki, natomiast widniała ilustracja z trzema dziewczynkami, które w towarzystwie psa karmią mewy. Daleko za nimi widniał na tyle nieba dom identyczny do tego, w którym dojrzywałem. Stodoła była tak samo umieszczona, tyle samo było okien na frontowej ścianie.

Po przeczytaniu pierwszej strony nie miałem najmniejszej wątpliwości, że to Savannah napisała tę książkę.

Było oczywiste, że natknąłem się na coś niesłychanie cennego i istotnego, niemniej odkrycie bardziej mnie zdetonowało niż oświeciło. Stopień się Savannah z Renatą wydało mi się kolejną formą ucieczki, próbą ominięcia wyspy, zamiast ryzyka wylądowania na jej brzegu. Głośno zastukałem do drzwi Eddiego Detreville’a. Otworzył ze słowami:

- Kolacja jest o ósmej, więc pospieszyłeś się tylko cztery godziny. Ale wejdź, proszę.

- Starasz się nie okazywać swoich uczuć do mnie, Eddie - powiedziałem i ciężko osunąłem się na wiktoriańską kanapę.

- Istotnie - rzekł ironicznie. - Najpierw zrobię ci drinka, a potem wysłuchasz sekretów Wuja Eddiego. Co powiesz na martini?

- Kim jest Renata, Eddie? - spytałem, podczas gdy on zajął się przy barku nalewaniem. - I dlaczego nic mi o niej wcześniej nie wspomniałeś?

- Jest bardzo ważna przyczyna, dla której tego nie zrobiłem - odpowiedział z denerwującą beznamietnością. - Nie znam ani jednej osoby o imieniu Renata.

- Kłamiesz, Eddie. To przyjaciółka Savannah, której imię i nazwisko moja siostra wykorzystuje do sygnowania swoich utworów.

- Więc przedstaw mnie jej, z wielką ochotą ją poznam. Masz tu drinka, Tom. Proponuję, żebyś wziął niezłego łyka, poczekał, aż alkohol rozejdzie się we krwi, a potem mi wytłumacz, czemu jesteś na mnie taki wściekły.

- Bo niemożliwe, żebyś nic nie wiedział o Renacie. Musiała odwiedzać Savannah, w ogóle musiały wiele ze sobą przebywać i jestem pewien, że moja siostra musiała ci opowiadać o tej wspaniałej, nowej znajomości. Nie wyobrażam sobie, żeby przyjęła czyjeś imię bez odczucia silnej więzi z tą osobą.

- I ja, i Savannah nie uważamy za konieczne odwiedzać swoich sypialni, a przyczyn tego nawet ty mógłbyś się domyślić.

Otworzyłem książkę pamiątkową z Seth Low i pokazałem fotografię Renaty.

- Widziałeś kiedyś tę dziewczynę, Eddie? Przy skrzynce pocztowej albo pod windą?

Długo wpatrywał się w fotografię, potem pokręcił głową i rzekł:

- Nigdy w życiu jej nie widziałem. Chociaż całkiem, całkiem. Szkoda, że kobieta.

-, Zdjęcie zostało zrobione ponad dwadzieścia lat temu. Raz jeszcze przypatrz się uważnie. Teraz twarz jest już starsza. Mogła posiwieć, dostać zmarszczek.

- Nigdy nie widziałem nikogo podobnego, Tom.

- A co o tym powiesz? - spytałem, pokazując mu książeczkę dla dzieci. - Sądzę, że napisała ją Savannah. Pokazywała ci kiedyś?

- Nie bardzo mnie interesuje literatura dziecięca, Tom. Mogło umknąć twojej uwadze, że mam czterdzieści dwa lata. Widocznie w tym świetle wyglądam młodziej. Bogu niech będą dzięki za potencjometry i płynną regulację jasności.

- Powiadasz zatem, że twoja najbliższa przyjaciółka, Savannah, nigdy nie pokazywała ci tej książki?

- Tak, Sherlocku. To właśnie powiadam.

- Nie wierzę ci, Eddie. Po prostu, nie wierzę.

- Mówiąc szczerze, nie bardzo się tym przejmuję, czy mi wierzysz, czy nie, dlaczego jednak miałbym kłamać, Tom?

- Aby chronić moją siostrę.

- Chronić przed czym, najmilszy?

- Czy ja wiem, może pozostaje w lesbijskich układach z Renatą, a ty sądzisz, że tego nie potrafiłbym znieść.

- Posłuchaj mnie, Tom - powiedział. - Byłbym zachwycony, autentycznie zachwycony, gdyby była w lesbijskich układach, i guzik by mnie obchodziło, czy potrafisz znieść taką informację, czy nie. Wyświadczy mi jednak tę grzeczność i uwierz w prawdziwość mych słów, kiedy mówię, że nic nie wiem na temat Renaty ani tej książki.

- Sam już nie wiem. Myślałem, że pomożesz mi rozwikłać tę zagadkę. Tak często już widziałem, jak ktoś wykorzystuje Savannah, że zaczynam się trząść ze strachu, kiedy znajduję jakąś sugestię, że być może jest wykorzystywana jak nigdy przedtem.

- Trzy ostatnie lata były dla niej okropne. Nawet ze mną nie bardzo chciała się widywać, Tom. Prawdę mówiąc, niewiele się przez ten czas zadawaliśmy ze sobą. Coś się zmieniło, kiedy mój niestały kochanek ulotnił się w poszukiwaniu młodszych ciał.

Wtedy okazała się cudowna. Jest niezrównana, kiedy przyjaciel jest w dołku.

- To samo można powiedzieć o tobie, Eddie. Wrócę o ósmej. Co będzie na kolację?

- Dwa homary dygoczą z zimna w lodówce. Będę musiał je zamordować, a wtedy ty będziesz musiał spożyć efekt mojej zbrodni.

- Serdeczne dzięki, Eddie. Przepraszam, że tak na ciebie nastawałem.

- To trochę przyprawiło dosyć nudnawy dzień.

W mieszkaniu Savannah podniosłem słuchawkę i wykręciłem numer informacji. Kiedy zgłosiła się telefonistka, powiedziałem:

- Czy mogłaby mi pani podać numer telefonu rodziny Halpern, która mieszka lub mieszkała na Brooklynie, Sixty - fifth Street numer dwadzieścia cztery zero trzy.

- A jak pierwszy inicjał?

- Niestety nie wiem. Chodzi o dawną koleżankę ze szkoły, nie wiem nawet, czy jeszcze tam mieszka.

- Pod tym adresem mam Sigmunda Halperna. Numer 2-3-2-7-3-2-1.

Wykręciłem podany numer. Po czwartym dzwonku odezwała się kobieta.

- Halo, czy rozmawiam z panią Halpern?



- Może tak, może nie - powiedziała podejrzliwym głosem, a wymowa wskazywała na Europę Wschodnią. - A kto mówi?

- Sidney Rosen, pani Halpern. Nie wiem, czy mnie pani pamięta, ale byłem przewodniczącym klasy w szkole Renaty.

- Oczywiście, że cię pamiętam, Sidney. Renata tyle o tobie mówiła. Czowała coś do ciebie, ale sam wiesz, jaka była nieśmiała.

- Dzwonię, żeby się dowiedzieć, co u Renaty, pani Halpern. Spotkałem niedawno paru starych znajomych z czasów Seth Low, a zawsze mnie ciekawiło, jak poszło Renacie.

Nie było żadnej odpowiedzi.

- Pani Halpern?

Rozpląkała się i minęło parę chwil, zanim wydobyła z siebie zrozumiałe słowa..

- Więc nic nie wiesz, Sidney?

- O czym, pani Halpern?

- Nie żyje, Sidney. Dwa lata temu Renata popełniła samobójstwo, rzucając się pod pociąg na East Village. Przeżywała straszne depresje, usiłowaliśmy jej pomagać, jak mogliśmy, ale nic to nie dało. Myślałam, że serce mi pęknie. I mężowi., - Była cudowną dziewczyną, pani Halpern. Tak mi przykro.

- Dziękuję ci bardzo. Podkochiwała się w tobie.

- Proszę przekazać panu Halpernowi moje wyrazy współczucia.

- Przekażę. To bardzo ładnie, że zadzwoniłeś. Renata tak by się ucieszyła. Nikt więcej z klasy do niej nigdy nie zadzwonił. Dzięki przynajmniej za to.

- Do widzenia, pani Halpern. I wszystkiego najlepszego. Strasznie mi przykro. Renata była taka słodka.

- Ale też i smutna, Sidney. Taka smutna.

Rozłączyłem się i natychmiast wykręciłem numer Susan Lowenstein. Odpowiedziała po trzech dzwonekch.

- Doktor Lowenstein, jutro nie będziemy rozmawiać o mojej rodzinie - oznajmiłem.

- Dlaczego, Tom? Co się stało?

-. Jutro to pani opowie mi o Królowej Serc, Renacie Halpern.

- Dobrze, porozmawiamy o tym.

Odłożyłem słuchawkę i raz jeszcze zabrałem się do książki dla dzieci, czytając ją powoli i robiąc notatki.

R. Halpern Styl Południa

Na wyspie u wybrzeży Karoliny Południowej czarnowłosa matka mieszkała ze swymi trzema córkami o brązowych lokach. Matka nazywała się Blaise McKissick i była piękna w sposób, który małe dzieci napęla radością.

Na początku czerwca sztorm zabrał Blaise męża, Gregory'ego. Wypłynął na Golsztrum, aby łowić tuńczyki i delfiny, i po prostu nie wrócił. Kiedy nie zjawił się w domu, Blaise postawiła na nogi Straż Przybrzeżną, a ludzie z miasteczka wypłynęli na poszukiwanie jej męża. Przez dwa miesiące wszystkie łodzie z hrabstwa przeszukiwały Atlantyk, wszystkie zatoki, cieśniny i przesmyki, w nadziei, że natrafią na jakiś ślad Gregory'ego McKissicka i jego załogi. Każdego wieczoru trzy dziewczynki oczekiwały matki na przystani, oczekiwały przy czystym niebie i przy deszczu i patrzyły, jak wyłania się z mgły, która gęstniała w chłodnym powietrzu.

Kiedy po czternastu dniach nic nie znaleziono i nie było już żadnej nadziei, Gregory'ego uznano za zmarłego. Odbyła się msza żałobna, a potem, zgodnie ze zwyczajem rybaków, w pustej trumnie pochowano Gregory'ego McKissicka pod dębem nieopodal białego domu. Na pogrzebie zjawilo się całe miasteczko, gdyż małe miłośnicy mają dobre serca.

Ale po pogrzebie wszyscy ludzie wrócili do swojego życia i swoich domów. Biały domek na wyspie stał cichy, podczas gdy dawniej pełen był śmiechu. Dziewczynki każdego wieczoru patrzyły, jak matka wychodzi, aby odwiedzić grób. Powietrze wokół niego pachniało niczym wokół toaletki matki, gdzie stały kryształowe fiołki z ich tajemniczymi aromatami. Matka zawsze siadała do toaletki, zanim wyprawiła się na grób. W domu pozostawiała za sobą wonną, smutną smugę. Ale dziewczynki najbardziej trwożyło to, że po śmierci ojca matka przestała mówić. Ilekroć do niej się zwracały, usiłowała odpowiedzieć, ale nie mogła.

Wkrótce jednak nawykły do milczenia i same zaczęły w ten sposób oplakiwać ojca. Jeśli odzywały się do siebie, to tylko szeptem. Czuły, że dźwięk ich głosów przypominałby matce czas, gdy ojciec był z nimi, a nie chciały pogłębiać jeszcze jej żaloby. I tak bez słów upływał im dzień po dniu.

Trzy dziewczynki tak się od siebie różniły jak to tylko możliwe. Rose McKissick była najstarsza, najpiękniejsza i najbardziej rozmowna. Cisza, która zapanowała w domu, bardzo ją trapiła, podobnie jak śmierć ojca. Znała go dłużej od sióstr i była jego ulubienicą, gdyż pierwsza przysłała na świat. Chciała porozmawiać o ojcu, aby jasno dowiedzieć się, gdzie jest niebo, co tam robi jej ojciec, a także, czy ktoś był zdania, iż ma tam czas rozmawiać z Bogiem, a jeśli tak, to czego mogą dotyczyć ich rozmowy.

Tymczasem nie miała kogo spytać i to napełniało ją lękiem. Miała dwanaście lat, zaczęły jej rosnąć piersi i pragnęła o ten zdumiewający fakt zapytać matkę, gdyż chciała zrozumieć, co on znaczy. Ponadto chciała spytać matkę, dlaczego tak łatwo jest zapomnieć twarz ojca. Rosę zauważyła, że coraz trudniej było jej sobie przypomnieć, jak to było z ojcem w domu. Niekiedy w snach widziała to wyraźnie. Śmiał się, tulił ją, opowiadał jedną ze swych zabawnych historyjek i łaskotał ją pod żebrami. Za jego plecami widziała nadciągające ku nim chmury burzowe i dobrze wiedziała, że w jednej z nich zgromadziła się moc światła, które zabije jej ojca. Teraz ciemne chmury były nieprzyjaciółmi małych McKissick i cały dom żył w strachu przed burzą. Szczególnie zaś Rosę trudno było czuć się szczęśliwą w domu pełnym ciszy.

Lindsay McKissick milczenie przychodziło natomiast bez najmniejszego trudu. Urodziła się z tym darem i rozwinęła go jeszcze przez następne dziesięć lat. Podobnie jak matka, uważnie ważyła każde słowo, które miała wypowiedzieć, co trudno nawet byłoby nazwać nawykiem. Po długim namyśle wyjaśniała to: Po prostu taką już jestem dziewczynką”. I dodawała: „A poza tym, jak ktokolwiek mógłby przy Rosę dojść do głosu?” Nawet jako niemowlę mało płakała. Był w niej spokój, który niepokoił i urzekał dorosłych, gdyż stale podejrzewali, że osądza ich i uznaje za zabawnych. Nie bardzo się w tym mylili, uważała, że są zbyt wielcy i zbyt głośni. Jako dziecko czuła się całkiem szczęśliwa, z niespieszną uwagą obserwując rzeczy. Martwiła się, że zbyt wiele na to poświęciła czasu za życia ojca, który w efekcie umarł, nie wiedząc, jak bardzo go kochała. Ta myśl trapiła ją i sprawiła, że spokojna z natury dziewczynka stała się jeszcze bardziej zamknięta w sobie i zamyślona. Wylegiwała się w hamaku na podwórzu przed domem i wpatrywała się w rzekę. Jej niebieskie oczy stawały się wtedy dzikie i wydawało się, że płonie w nich szal czystej wody lub dzikich kwiatów wystawionych na burzę.

Wcale to jednak nie był szal, a jedynie miłość do ojca, którego już nigdy nie zobaczy, a który nie znał jej dobrze i nigdy już nie pozna.

Sharon McKissick miała osiem lat i dobrze poczuła ciężar bycia najmłodszą. Myślała, że nikt w rodzinie nie traktuje jej poważnie, gdyż taka jest mała i krucha. Wszyscy nazywali ją „Malutką” McKissick, aż kiedy skończyła sześć lat, przypomniała wszystkim, że ma imię, a brzmi ono Sharon. Nikt nie pomyślał o tym, aby wyjaśnić jej cokolwiek w związku ze śmiercią ojca, wszyscy bowiem uważali, że jest za mała, aby to zrozumieć. W dniu pogrzebu ojca matka przysłała do jej pokoju i oznajmiła, że tata poszedł spać, lecz wybuchnęła płaczem, kiedy córeczka spytała: „A na

długo?” Sharon bała się pytać o cokolwiek więcej. Patrzyła, jak trawa zarasta grób jej ojca. Najpierw było to kilka źdźbeł wyrastających z ziemi, potem całe miejsce się zazieleniło, jak gdyby piękna kapa przykryła miejsce jego snu. Mogiłę widziała ze swego okna i martwiła się, że ojciec może czuć się samotny. Kiedy zrywał się wiatr od rzeki, wyskakiwała z łóżka i wpatrywała się w grób. Widziała go w poświęcie księżycowej, chociaż nie wydawało się, by miał cokolwiek wspólnego z ojcem. Chciała wyobrazić sobie anioły zbierające się wokół kamiennej płyty, aby uchronić go przed samotnością wietrznych nocy, nic z tego jednak nie wychodziło i wtedy poprzysięgła, że jeśli sama będzie kiedyś miała ośmioletnią córkę, dziecko będzie wiedziało wszystko o życiu, śmierci i tym, co wydarza się pomiędzy nimi. Kiedy będzie miała dziewięć lat, wszystkim im pokaże. Wtedy będą już jej słuchać, a ona z pewnością będzie miała coś do powiedzenia. „:

Wyspa nazywała się Yemassee od plemienia indiańskiego, które mieszkało tutaj, zanim przyszedli biali i wszystko wzięli dla siebie. Za życia Gregory McKissick opowiadał córkom historie o widmowym plemieniu, które nadal nocami nawiedzało lasy. Kiedy słychać hukanie sowy, w istocie jest to zawołanie wodza. W odgłosie cykad wokół domu można było posłyszeć plotkujące kobiety. Indiańskie dzieci dosiadały grzbietów saren, które milczącymi stadami przemykały przez wyspę. Na wyspie nie było jednak Indian i pozostały tylko grotby strzał, które wychodziły wiosną na powierzchnię ziemi, gdy ojciec orał akry urodzajnego gruntu pośrodku wyspy. Były niczym ciśnięte modlitwy za zmarłych. Każda z dziewczynek miała własną kolekcję grotów, pamiątek wytrzebień, zbieranych przez blade dziecięce dłonie. Ojciec powiedział im jednak, iż plemię mimo wszystko przetrwało na płaskich nabrzeżnych terenach Karoliny Południowej, przetrwało w słowach. Pozostałości ich języka wiodły dalej pokawałkowane życie, w symetrycznych formach, niczym grotby strzał, niczym poetyckie frazy ostre jak brzytwa. „Yemassee”, mówił ojciec, „Yemassee i Kiawah. Combahee”, szeptał. „Combahee i Edisto, i Wando, i Yemassee”. Dziewczęta wyrastały na wyspie pełnej grotów strzał i zagubionych słów indiańskich.

Każda z dziewcząt myślała o ojcu, gdy przeglądały swe kolekcje grotów. Plemię wyginęło, zginął też ojciec. Nie pozostało po nim żadne ostrze, które byłoby namacalną pamiątką. Kiedy trwać będą w ciszy, może raz jeszcze usłyszą jego głos. Nadpłynie jako sowa, przedrzeźniacz lub jastrząb. I wtedy znowu go usłyszą. Wtedy znowu go zobaczą. Tego były pewne. Wiedziały ze słów ojca, że szamani rzucili czar na te wyspy. Starzały się

wypatrzeć ojca na grzbiecie jelenia czy wielkiego delfina igrającego w falach przyływu osaczającego wyspę,

Wierzyły w magię i ją znalazły. Każda z nich na własną rękę, w swoim czasie, na swój sposób, w kręgu swego świata. Znalazły, gdyż były uważne i ciche.

Rosę odnalazła, gdy pewnego dnia opatrywała skrzydło ptaka w swym szpitalu dla zwierząt. Założyła go, znalazłszy szczenięta dzikiego psa rozjechanego pewnego wieczoru przez samochód ojca. Zabrała je do domu, karmiła pipetą i wychowała na grzeczne domowe stworzenia o dobrych manierach. Kiedy podrosły, umieściła je w odpowiednich domach, gdzie ludzie wiedzieli, jak postępować z dobrze ułożonymi psami. Ale to był dopiero początek. Okazało się, że całe królestwo przyrody wręcz oczekuje na jej pomoc. Małe wiewiórki i pisklęta nieustannie wypadały z gniazd. Myśliwi polujący poza sezonem zabijali samice oposów i szopów, skazując małe na śmierć w ich ziemnych kryjówkach.

Coś nieomylnie prowadziło ją w gąszcza i zarośla, gdzie małe sieroty daremnie czekały na powrót rodziców. „Kawałek dalej, Rosę. Odrobinę na lewo, Rosę. Koło stawu, Rosę”. Aona szła za wskazaniem tych głosów, którym nie mogła się przeciwstawić. Dobrze wiedziała, co to znaczy być porzuconą. Odkryła w sobie talent leczniczy, dar kojenia lęku małych stworzeń i łagodzenia bólu. Nie to ją zdziwiło, lecz fakt, że potrafiła rozmawiać ze swoimi podopiecznymi. Pewnego razu zobaczyła w wodzie rannego lisa, tropionego przez psy, płynął w kierunku wyspy Yemassee. Psy były już nieopodal, kiedy lis zwrócił trzymany nad wodą pyszczek i powiedział do Rosę:

- Pomóż mi.

Poczuła w gardle jakiś dziwny pomruk, nienaturalny, nieludzki.

- Dość! - nakazała psom.

Popatrzyły na nią zdziwione.

- To nasze zajęcie.

- Ale nie dzisiaj. Wracajcie do swego pana.

- To Rosę - jeden z psów poinformował pozostałe. - Dziewczynka o brązowych włosach, która nas uratowała, gdy zabili naszą matkę.

- Ach, Rosę - potwierdził drugi.

- Dzięki, Rosę - odezwał się trzeci. - Zaopiekuj się tym lisem. Dobrze było cię zobaczyć.

- Dłaczego na niego polujecie?

- Taka już nasza natura - wyjaśnił pierwszy, po czym wszystkie trzy zawróciły i popłynęły na drugi brzeg.

Lis z trudem wygramolił się z rzeki i padł u stóp Rosę. Zaniósła go do stodoły, oczyściła rany i pielęgnowała go przez całą noc. Był już pięćdziesiątym zwierzęciem, które przechodziło przez jej ręce. Opowiedział jej o swoim lisim życiu, co wielce ją zainteresowało. W domu czuła się samotna i smutna, ale nie w stodole.

W bezsłownym domu Lindsay nasłuchiwała pieśni pól. Myślała o stadzie chodzącym po pięknych pastwiskach na południowej stronie wyspy. Wskakiwała na skrzynię matczynego pickupa i rzucała bele siana co trzydzieści jardów odmierzanych zatrzymaniem się samochodu. Zwierzęta zbiegały się do wozu, z białymi pyskami pełnymi - spokoju i wdzięku, a tylko wielki byk, Nieustraszony, przyglądał się wszystkiemu z oddali, mierząc Lindsay spojrzeniem czarnych, wilgotnych ślepi. Nieustraszony był silny i groźny, ale dziewczynka wytrzymywała jego spojrzenie. Wiedziała, że jest panem tych pól, zarazem jednak chciała go przekonać, że z jej strony nie ma się czego lękać. Jej oczy oznajmiały, że kocha całe stado, a on też należy do niego. Nic nie poradzę na to, kim jestem. Ani ja, odpowiedziały jej oczy byka,

Przechadzała się po pastwiskach samotnie, bawiąc się z cielakami i nadając im imiona, które dźwięczały jej w uszach. Była Petunia i Casper, Belzebub i Karczoch, Rumpelstiltskin i Washington, D.C. Zawsze trzymała się na dystans od Nieustraszonego, który ongiś na farmie koło Charleston omal nie zabił przypadkowego przechodnia. Najpierw zamykała ogrodzenie, za którym się znajdował, a następnie bez strachu już przechadzała się między krowami i cielętami, chętnie przez nie widziana. Ilekroć krowa wydawała na świat cielę, Lindsay dotrzymywała jej towarzystwa, szepcząc uspokajające słowa i w razie potrzeby pomagając przy porodzie. Podziwiała wytrwałość tych wielkich, cierpliwych zwierząt, były dobrymi matkami i życie swe układały możliwie jak najprościej. Ale to majestatyczna obecność Nieustraszonego najbardziej ją fascynowała. Był milczący jak jej ojciec i tylko oczy przemawiały. A pewnej nocy ożyła magia.

Spała, a deszcz grał na blaszanym dachu. Śniło jej się, że jest cielęciem brykającym na słońcu pierwszego dnia życia. Jej matką była krowa o pięknym białym pysku, ojcem - łagodniejsza, mniej groźna wersja Nieustraszonego. Usłyszała głos, który jej nie zdziwił, zdumiała ją natomiast własna odpowiedź, wspaniały pomruk, który niczym dym wzniósł się z jej snu i wypełnił pokój W bydłowym języku.

- Musisz przyjść - oznajmił niski głos. - Jesteś potrzebna.
- Kto mnie woła?
- Pan stada. Pospiesz się.



Otworzyła oczy i zobaczyła zaglądający do okna wielki, srogi łeb Nieustraszonego, po którym ściekały strugi deszczu. Ich oczy się spotkały. Wstała z łóżka i podeszła do okna. Otworzyła je i deszcz ciepło zalał jej twarz. Wspięła się na parapet, a stamtąd na grzbiet Nieustraszonego. Otuliła mu szyję rękami, palce wczepiła w jego sierść, a byk ruszył przez podwórze, potem zaś piaszczystą drogą prowadzącą na pastwisko. W ciemności czuła jego ogromną siłę. Kiedy mijali cień zaległy pod dębami, zwieszające się mchy dotykały jej, jakby przeciągali przez pralnię leśnych aniołów. Ziemia przesuwiała się dołem, i między rogami Nieustraszonego Lindsay zobaczyła łuk drogi oddalającej się od trzęsawisk. Jej pięty wbiwały się w boki byka, jej ciało poruszało się wraz z jego masywnym korpusem i czuła rogi wyrastające z włosów - czuła, że sama w części staje się bykiem, obdarzonym kopytami i groźnym, ale także majestatycznie panującym nad południowymi łąkami. Jechała na Nieustraszonym i przez magiczną milę była Nieustraszonym. Dotarłszy na łąkę, zwolnił, a potem zatrzymał się przy kępie trzech palm na wschodnim skraju pastwiska. Młoda krowa, Margarita, rodziła swe pierwsze cielę. Poród przyszedł za wcześnie i coś było niedobrze. Nieustraszony przyklęknął, Lindsay zeskoczyła i podbiegła do Margarity. Odbywał się tylny poród, widać było, jak pod dziwacznym kątem wychodzą z matki nogi cielęcia, a Lindsay wyczuła zaciekle i rozpaczliwe wysiłki krowy. Chwyciła za nogi i zaczęła je delikatnie ciągnąć do siebie. Przez ponad godzinę usiłowała wydobyć cielę. Włosy miała mokre, obok siebie czuła obecność Nieustraszonego. Patrzył w milczeniu, ale moc z niego promieniowała. Dziewczynka nie wiedziała już, co robi, ale na koniec poczuła, że coś wreszcie układa się jak należy, wślizguje się na właściwe miejsce. Na trawie pojawiła się mała krówka, wycieńczona, ale żywa. Margarita lizała dziecko swym wielkim, srebrzystym jęzorem, deszcz padał nieprzerwanie. Lindsay nazwała noworodka Batszebą i przytuliła do niego policzek.

Nieustraszony znowu ukląkł i Lindsay ponownie go dosiadła, chwytając się prawego rogu niczym drążka. Triumfalnie wracała do domu, a wszystkie krowy zegnały ją z pastwiska łagodnym muczeniem. Wielki byk nie odzywał się w drodze powrotnej, ale Lindsay nie martwiła się tym. Oparła nos na jego łbie i wdychała wilgotną moc, przyjemność sprawiała jej woda spływająca po jego karku. Do domu wróciła odmieniona, było w niej coś nowego: dzikiego i pięknego. Wśliznęła się przez okno do sypialni, starannie osuszyła i nic nie powiedziała nikomu z rodziny.

Nazajutrz poszła na łąki tą samą drogą, którą w nocy jechała. Kopyta Nieustraszonego pozostawiły wyraźne ślady w miękkiej ziemi. Zrobiła



wianek z kwiatów polnych, aby nałożyć go na szyję Margarity. Kiedy jednak przechodziła obok mokradeł, usłyszała chrapliwy, przeraźliwy krzyk, jakiego jeszcze nigdy dotąd nie słyszała na wyspie. I wtedy powrócił nocny nastrój, a z jej gardła wyrwała się odpowiedź. Tym razem nie była zdziwiona, przepełniała ją ufność. Czuła w sobie związek z dzikością, która uczyniła ją nietykalną. Czuła, jak pulsuje w niej życie i otwiera na wszystkie rzeczy.

Z krtani wyrwał się przeraźliwy dźwięk, demoniczny pomruk, który ją zdumiał, była to jednak odpowiedź na wzywający ją, jakby dymem przeniknięty głos.

- Proszę - wołał głos, a ona rzuciła się w tę część lasu, którą ojciec zabronił córkom odwiedzać. Trzymała się twardych miejsc, śmigła nad wodą, omijała niebezpiecznie podmokłe kępy. Z wody starczały łby mokasynów niczym małe, czarne peryskopy. Nie mówiły do niej, gdyż nie stanowiły części jej magii.

W centrum trzęsawiska słyszała głośnie trzaski, a kiedy okrążyła gęsty krzak, zobaczyła wielkiego dzika, Pancernika, który aż po grzbiet zapadł się w bagno. Jej ojciec przez lata polował na Pancernika, nigdy go jednak nie spotkał. Grunt zapadał się przy każdym szarpnięciu zwierzęcia, co sprawiało, że odyniec pogrążał się coraz bardziej. Sytuacja była podobna do ratowania cielęcia, które nie mogło się narodzić. Kły lśniły wściekle w promieniach słońca. Ślepią żółciły się, a sierść na grzbiecie przypominała jodły sterczące na górskiej grani. Lindsay chwyciła konar leżący pod platanem i zaczęła się czołgać po miękkim podłożu, aż wreszcie poczuła, że sama się ześlizguje. Odzyskała równowagę i jeszcze trochę podsunęła się w kierunku Pancernika, wysuwając gałąź.

- Proszę - znowu dotarł do niej głos.

Pełzła ostrożnie dalej, aż konar znalazł się tuż koło pyska dzika, chwycił go wściekłym kłapieniem, a Lindsay powolutku zaczęła się cofać.

- Ostrożnie - przestrzegła. - Płyn tak, jakby to była woda.

Odyniec się rozluźnił i sierść położyła się gładko na grzbiecie.

Przesuwał się w morderczym błocie, czując na dziąsłach ucisk powodowany przez ruch dziesięcioletniej dziewczynki. Poruszała się rozważnie, za każdym pociągnięciem przesuwając go tylko o kilka cali. Za nią zebrały się wszystkie dziki z wyspy, aby oglądać śmierć swego króla. Lindsay ciągnęła, kiedy to było możliwe, a zastygła, gdy napotykała przeszkodę. Ciało bolało ją z wysiłku, ale są obowiązki związane z magią. Na koniec Pancernik oparł nogę na zwałonej kłodzie i drząc cały, wydobył się z błota, a potem cały las zadygotał od jego ryku radości i ulgi. Ostrożnie

przeszedł po kłodzie, nieufnie badając grunt pod sobą, zanim stanowczo postawił racicę. W rozlewisku wodnym pojawił się Lucyfer, piętnastostopowy aligator, i patrzył, jak Pancernik wydobywa się na twardy grunt.

- Za późno, Lucyfer - krzyknął odyniec.

- Będzie jeszcze okazja, Pancerniku. W zeszłym tygodniu zjadłem jednego z twoich synów.

- A my zjedliśmy jaja z tysiącami twoich synów.

Teraz Pancernik obrócił się do Lindsay. Jedno targnięcie kłem mogło ją rozorać od stóp do głów. Otoczona przez dziki, zaczynała nawet tracić wiarę w magię. Zanim jednak władca oddalił się na czele swego stada, powiedział:

- Jestem twoim dłużnikiem, córciu. Dzięki za uratowanie życia.

Dziki niczym cienie rozpląnęły się w lesie, a wszystkie węże w popłochu umykały przed nimi. Lindsay usiłowała przemówić do Lucyfera, ten jednak pograżył się w wodzie, nie pozostawiając po sobie nawet jednej zmarszczki na powierzchni. „A więc nie potrafię rozmawiać z aligatorami”, pomyślała. „Trudno”. Po raz pierwszy zorientowała się, że jej dar ma swoje granice.

Panująca w domu cisza największym zmartwieniem napełniała Sharon, najmłodszą z McKissick. Chciała rozmawiać o ojcu, opowiedzieć swoje ulubione historie o nim. Jak będzie już miała dziewięć lat, wszyscy będą jej słuchać, to pewne.

Należała do tych dziewczynek, które uważnie wpatrują się w ziemię lub śledzą to, co dzieje się na niebie. Czuła się o wiele za mała wobec tego, co znajdowało się pomiędzy nimi. Nierzadko zdarzało się, że wpadała na drzewa, kiedy idąc, przypatrywała się dzikim kaczkom sunącym na północ lub południe. Urzekła ją swoboda ptaków i uważała za jedno z Bożych niedopatrzeń, że Adama i Ewy nie obdarzył skrzydłami. Codziennie przed zachodem słońca dźwigała na przystań skórki chleba i okruchy, aby nakarmić mewy. Rzuciła kawałki w powietrze, a ptaki chwyciły je w locie. Otaczał ją nerwowy trzepot skrzydeł i okrzyki mew. Każdego wieczoru całe ich setki oczekiwały na jej przybycie. W tym czasie matka i siostry z niepokojem przyglądały jej się z ganku, niekiedy zdarzało się, że zupełnie zniknęła w lotnej chmurze skrzydeł i piór. Ptaki czyniły Sharon szczęśliwą.

Podobnie jak owady. Matka hodowała pszczoły i tylko Sharon towarzyszyła jej, gdy przychodził czas zbierania miodu z uli. Sharon uważała pszczoły za stworzenia doskonałe - nie tylko potrafiły latać, ale miały też cudowną pracę: całe dnie spędzały na wizytach u kwiatów w ogrodach, a kiedy wracały do ula, mogły wieczorami gawędzić z przyjaciółkami przy robieniu miodu. Kiedy zaś jej uwagę przykuły

pszczoły, zaczęła też baczniej przyglądać się różnym ich krewnym. Pokój wypełnił się pudełeczkami z chrząszczami, modliszkami, świerszczami, które spluwały na dłoń sokiem tytoniowym, całą kolonią mrówek za szkłem, motylami. Zachwycała ją ekonomia życia owadów. Niewiele potrafiły, ale to, co potrafiły, wykonywały perfekcyjnie. Siostry ze wzgardą odnosiły się do jej hobby.

- Faj, robaki! - powiedziała kiedyś Rose, wchodząc do pokoju Sharon.

- Każdy, ale to dosłownie każdy może lubić psa lub krowę - odrzekła siostra. - Trzeba mieć naprawdę charakter, aby polubić owady.

I Rose zaśmiała się.

Wydarzyło się to podczas spaceru Sharon po lesie, gdy szukała nowej kolonii mrówek. Miała ze sobą torebkę pełną czekoladowych wafelków. Ilekroć znalazła jakieś mrowisko, układała w pobliżu ciastko i z radością obserwowała, jak robotnice odkrywają skarb, wysyłając jedną z okruczem słodkiej informacji. Potem mrówki wylewały się ze swej siedziby podnieconym tłumem, rozkładały wafelek na drobne kawałeczki, które mozolnie niosły do mrowiska, aż wszystko zniknęło z ziemi. Tego dnia znalazła dwa nowe mrowiska i rozglądała się za następnym, kiedy usłyszała, jak po imieniu woła ją jakiś wątył głosik.

Popatrzyła w tamtym kierunku i zobaczyła osę, która uwięzła w srebrnej pajęczynie. Krzyżak ześlizgiwał się do niej po nitce niczym żeglarz zsuwający się po linie. Osa ponownie krzyknęła i rozpaczliwie szarpnęła się w sieci. Sharon poczuła, jak z jej języka spływają dziwnesłowa, które właściwie nie były słowami, lecz sekretnymi dźwiękami. Pełna bojaźni usłyszała, jak w języku nigdy dotąd nie użytym przez człowieka pada rozkaz:

- Stój!

Pająk znieruchomiał, z jedną czarną łapą umieszczoną na brzuchu osy.

- Robię to, co zawsze - oznajmił.

- Ale nie tym razem.

Wyjęła szpilkę z włosów i uwolniła osę. Wstęgi pajęczyny podobne do misternego muślinu osunęły się na drzewa. Osa krążyła nad jej głową i snuła pieśń miłosnego zachwyty.

- Przepraszam - powiedziała Sharon do pająka.

- To nie w porządku - mruknął tamten. - Taka jest moja rola.

Sharon znalazła w liściach nieżywego świerszcza i umieściła go wysoko w pajęczynie, która pod dotknięciem zadrgała niczym harfa.

- Przepraszam, że zerwałam twoją sieć, ale nie mogłam ci pozwolić, byś to zrobił. To zbyt okropne.

- Widziałeś kiedyś, jak osa zabija? - spytał pająk.
- Tak.
- To wcale nie jest piękniejsze. Ale tak postępują osy.
- Tak bym chciała pomóc ci w naprawie sieci.
- Potrafisz. Teraz już potrafisz.

Poczuła wibrację w palcach i moc. Krew w jej dłoniach napełniała się jedwabiem. Sięgnęła do miejsca, gdzie pajęczyna została zerwana, i srebrzyste nitki zaczęły się wysnuwać spod jej palców. Zrazu nic jej się nie udawało. Zamiast prostych strun powstawały pętle. Pająk był jednak cierpliwy i wkrótce już pomiędzy drzewami zawisła sieć skrzętna jak rybacka. Potem rozmawiali z pająkiem o jego samotnym trudzie, dowiedziała się, że pod dębowym pniakiem nieopodal żyje jaszczurka, która dwa razy omal go nie pożarła. Sharon zasugerowała, by przeniósł się bliżej jej domu, wtedy bowiem będą mogli widywać się częściej. Zgodził się i po ręce pomaszerował jej na ramię. Kiedy wracała wraz z nim do domu, słyszała, jak pod ziemią śpiewają kolonie mrówek, sławiąc ją i czekoladowe wafelki. Podlatywały osy i całowały ją w usta, podczas gdy skrzydełkami muskały nos. Sharon jeszcze nigdy dotąd nie była taka szczęśliwa.

Znalazła pająkowi miejsce, gdzie nie groziło mu nic ze strony jaszczurek. Umieściła go między dwoma krzewami kamelii i wspólnie upletli sieć piękniejszą nawet niż wcześniej. Pożegnała się, gdy zobaczyła, że słońce chyli się ku zachodowi, od przystani dobiegały krzyki mew.

Czekały na nią, unoszone przez prądy powietrzne nad rzeką i przywodziły na myśl setki latawców na niewidzialnych sznurkach różnej długości. Z domu wybiegła z torbą na zakupy pełną resztek pieczywa odkładanych dla niej przez matkę. Biegąc, słyszała głosy chrząszczy i koników polnych, które ostrzegały, by patrzyła, gdzie stawia nogi. Okazało się, że bardzo trudno dotrzeć do przystani bez skrzywdzenia żadnego z małych stworzonek.

Na skraju pomostu cisnęła w powietrze całą garść kawałków Chleba, z których żaden nie spadł do wody, wcześniej schwyty w locie. I tak rzucała porcję za porcją, aż w powietrzu zrobiło się gęsto od chleba i skrzydeł. Zupełnie nie zdziwiło jej to, że doskonale rozumiała, co mewy mówią do siebie. Były kłótniwe, obraźliwe, moc było skarg, że jedne ptaki dostają więcej od innych. Wysoko nad nimi czatował rybołów. Mała makreła musnęła powierzchnię, a wtedy Sharon usłyszała: „Teraz!” i zobaczyła, jak drapieźnik pikuje z nieba w wodę, od której zaraz się oderwał, trzymając w szponach trzepoczącą się rybę.

Dziewczynce przypatrywała się uważnie dziwna mewa, większa od innych, z czarnym grzbietem, nieprzyjazna, dobrze obeznana z morzem. Unosiła się nieruchomo w powietrzu i wpatrywała w Sharon. Zawołała do ptaka, ten jednak nie odpowiedział. Skończyła karmić podopieczne i wszystkim życzyła dobrej nocy. Wielka mewa pofrunęła na koniec przystani i tam zagroziła drogę dziewczynce. W jej oczach widać było trud dalekiej podróży.

- Czego chcesz? - spytała Sharon.

- Twój ojciec żyje.

- Skąd wiesz?

- Widziałam go.

- Coś mu grozi?

- Wielkie niebezpieczeństwo.

- Wracaj, proszę. Pomóż mu.

Mewa z trudem uderzyła wielkimi skrzydłami, wzbijała się w powietrze i pofrunęła na południe, Sharon odprowadzała ją wzrokiem, aż ptak zniknął na horyzoncie. W trawie rozbrzmiewały świerszcze, a ona rozumiała każde słowo.

W domu zastała matkę stojącą przy piecu, na którym gotowała kolację. Pomieszczenie pełne było zapachu szklącej się na maśle cebuli. Chciała powtórzyć matce, co powiedziała mewa, ale nie wiedziała, jak ma wyjaśnić swój dar. Była szczęśliwa, że wie, iż ojciec żyje. Pomogła siostrom nakrywać do stołu. W kuchni grało radio, Blaise nie wyłączała go przez cały dzień, na wypadek gdyby pojawiła się wiadomość o mężu. Podawano jednak tylko same mało ją interesujące informacje. Ceny wieprzowiny spadały. Zbiory pomidorów będą gorsze z powodu deszczów. Trzech mężczyzn uciekło ze stanowego ośrodka resocjalizacji w Columbii po uprzednim zabiciu strażnika. Przypuszczalnie udali się w kierunku Karoliny Północnej.

Wydarzyło się to nazajutrz późnym popołudniem. Las był cichy i spokojny, a trzech ukrytych w nim mężczyzn uważnie obserwowało dom. Każdy z nich miał twarz, która już zapomniała, co to uśmiech. Patrzyli, jak do domu wchodzi i z niego wychodzą trzy dziewczynki i kobieta. Nie zauważyli żadnego mężczyzny. Niepostrzeżenie zaczęli się przekradać ku domowi, byli jednak śledzeni. Pająk obserwował ich ze swego miejsca między krzewami kamelii. Spostrzegła ich dzika świnka, córka Pancernika. Mewy rejestrowały każde ich poruszenie. Osa krążyła nad nimi między gałęziami. W stodole szczeniak, niedawno znaleziony przez Rosę, uniósł pyszczek i zastanawiał się nad dziwnym zapachem - była to woń

niebezpieczeństwa wpełzająca w bezpieczne schronienie. Trzech mężczyzn było już przed domem.

Wtargnęli, każdy innymi drzwiami, wtargnęli brutalnie, nie zostawiając możliwości ucieczki.

Rosę krzyknęła na widok ich twarzy i pistoletów. Wszystkie trzy dziewczynki rzuciły się do krzesła, na którym matka czytała książkę.

Niski mężczyzna podskoczył do stojaka z bronią, porwał trzy karabiny oraz pudełka z amunicją i wrzucił do torby. Grubas pognął do kuchni i zaczął napełniać plecak puszkami konserw. Najwyższy mierzył z pistoletu do Blaise i córek. Nie spuszczał oczu z matki.

- Czego chcecie? - spytała Blaise, a dziewczynki wyczuły strach w jej głosie.

- Ej! - krzyknął ten, który znajdował się w kuchni. - Trzeba się zmywać.

- Zanim je zabijemy - powiedział wysoki, nie odwracając wzroku - chcę iść z tą kobietą do sypialni.

- Nie mamy czasu - zapiszczał grubas.

Mężczyzna z pistoletem podszedł do Blaise, chwycił ją za przegub i mocno pociągnął ku sobie. Raptownie z furią rzuciła się na niego Rosę. Zakrzywionymi palcami wpiła się w jego policzek i rozdrapała go do krwi. Z całej siły uderzył ją w twarz i dziewczynka padła na kolana. W oczach pojawiły się łzy, przywarła jednak do podłogi, a z jej krtani dobył się pełen gniewu i przerażenia przedziwny głos, tak nieludzki, że mężczyźni słysząc go, zarechotali.

Nie śmiał się jednak szczeniak w stodołę. Rano przyniosła go tutaj Rosę. Znalazła go porzuconego na schodach przed szkołą i wzięła do domu. Psiak wyskoczył ze stodoły i pognął ku rzece. Obwisłe uszy i przesadnie wielkie łapy przeszkadzały w biegu. Zadyszany dopadł przystani i zatrzymał się, żeby nabrać tchu. A potem nad rzeką poniósł się wysoki skowyt błagania o pomoc. Rozszedł się daleko, ale nie było żadnej odpowiedzi. Raz jeszcze zawył, tym razem także bez skutku, Szczeniaka postyszał jednak lis, którego Rosę ongiś uratowała przed psami, i teraz on obok swej jamy wszczął alarm. Psy z farmy po drugiej stronie rzeki, podjęły wezwanie, które przenosząc się od domu do domu, dotarło do miasta. Rosę nadal krzyczała z ustami nad podłogą, pewna, że nikt jej nie słyszy.

Ale w tej właśnie chwili podniecenie ogarnęło wszystkie psy w całej okolicy. Wszystkie naraz zaczęły kopać pod płotami, zrywały się z łańcuchów, wyskakiwały przez okna z domów swoich panów. Ruch na drogach hrabstwa został zatamowany przez watahy psów. U raka, gdzie czekały na egzekucję, jeden z wielkich, bezdomnych włóczęgów wygryzł

dziurę w drucianej siatce i cała pięćdziesiątka psów, które miały być wybite w ciągu tygodnia, rzuciła się do szaleńczego biegu. Tworzyły dzikie, zgrane stado ogarnięte pasją. Jakiś zły człowiek chciał zrobić krzywdę Rosę, która dopiero zaczynała dojrzewać, była miłośniczką psów i tyle trudu włożyła w nauczanie się ich języka. Cała sfora ogarnięta była poczuciem misji.

Lindsay, widząc siostrę łkającą na podłodze, chwyciła popielniczkę i cisnęła nią w wysokiego mężczyznę, a potem z pochyloną głową rzuciła się na jego nogi. „Nie pozwolę ci skrzywdzić mamy”, krzyknęła. Zaatakowany chwycił ją pod brodę i na odlew uderzył w policzek, grzebień wysunął się z włosów i stuknął o ścianę, krew popłynęła z nosa. Lindsay nie zapłakała jednak, czego oczekiwał zbir, natomiast z jej ust popłynął głos pełen pasji, zdumiony i wściekły, jakiego mężczyźni nigdy jeszcze nie słyszeli. Nie było w nim ani odrobiny delikatności, był to głos rogów, kopyt i kłów. Wzywała stado pasące się w pobliżu starego pola ryżowego i wszystkie dziki z lasu pośrodku wyspy.

Niedaleko domu znalazła się Batszeba, której Lindsay pomogła przyjść na świat. Odeszła daleko od matki, a chociaż dopiero uczyła się języka, w którym przemawiał głos, i знаła dopiero parę słów w tym tajemnym dialekcie pastwisk i łąk, natychmiast wiedziała, że coś bardzo złego dzieje się w białym domu, więc na cienkich, nie całkiem jeszcze pewnych nogach pobiegła drogą wiodącą środkiem wyspy. Tak szybko jak mogła przemierzyła las, a zobaczywszy pasące się stado, pobiegła wprost do Nieustraszonego, który stał nieco na uboczu. Byk spojrział na nią groźnie.

- Co to ma znaczyć, córko? Wracaj natychmiast do matki!
- Dziewczynka - sapnęła Batszeba, której brakło tchu.
- Dziewczynka? Jaka dziewczynka? Masz na myśli siebie? - spytał byk i uderzył kopytem w ziemię.
- Z niebieskimi oczami.
- Lindsay. Nasza dziewczynka.
- Tak. Nasza dziewczynka.
- Co z nią? Mów wyraźnie. No, szybciej.
- Pomóc.
- Komu pomóc? Jak? Kiedy?
- Dziewczynka mówi: pomóc. Potrzebuje nas.

Stado poruszyło się niespokojnie, a kiedy Nieustraszony obejrzał się, zobaczył, jak w ich kierunku gna Pancernik. Byk postąpił tak, by znaleźć się między krowami a dzikiem i ostrzegawczo nastawił rogi.

Stać! - polecił.



Znienawidzony przez krowy odyniec, wstrętny i okrutny, zatrzymał się. Za nim z lasu wynurzyło się stado, połyskując kłami.

- Też słyszałeś? Co z dziewczynką?
- To nasza dziewczynka. Należy do stada - oznajmił byk.
- Ona kocha dziki - parsknął Pancernik.
- Ona kocha krowy - obruszył się Nieustraszony.
- I to, i to - wtrąciła się Batszeba. - Tak powiedziała. Kocha nas i was. I żeby pomóc.

Języki dzików i krów zlały się ze sobą i oba stada z tupotem rzuciły się ku domowi nad rzeką. Na przedzie gnali Pancernik i Nieustraszony. Przed sobą słyszeli ujadanie psów, które znalazły się właśnie na moście wiodącym na wyspę.

Blaise spojrzała na Lindsay, która leżała zakrwawiona na podłodze, a potem popatrzyła na trzech uzbrojonych mężczyzn, którzy cuchnęli złym niczym gnijący kwiat. Za oknem rzeka płynęła spokojna jak zawsze.

- Pójdę do sypialni z wami wszystkimi, jeśli zostawicie moje córki w spokoju - powiedziała. - Jeśli nie zrobicie nam krzywdy.

- I tak nie masz wyboru - powiedział wysoki mężczyzna, a pod jego szarpnięciem koszula Blaise rozdarła się na plecach.

- Idźcie sobie stąd - powiedziała najmniejsza, Sharon, i zrobiła krok do przodu, a jednocześnie przemówiła w języku, którego dopiero co się nauczyła, a który był zupełnie niezrozumiały dla ludzi. Pająk niczym baletmistrz pomknął po nitkach sieci, wspiął się na framugę okna i zajrzał do środka. Usłyszał słowa Sharon, wiedział, że trzeba wszcząć alarm. Poczul, jak gwałtownie drży pod nim pajęczyna, i zobaczył, że to pawica zaplątała w sieć swe skrzydła z okami. W pradawnym, złowrogim pędzie zsunął się ku motylowi, który rozpoczął żałobną pieśń śmierci. Pająk dotknął go czarnymi odnóżami i delikatnie uwolnił z więzów. Zdumiony motyl wzbil się w powietrze.

- Wezwij pomoc. Dziewczynce grozi niebezpieczeństwo.

Motyl wzleciał wysoko i na las spłynęła melodia grozy, którą wspomagał pająk ze swej sieci. Usłyszały ją mrówki, usłyszały cykady, miliony pszczoł porzuciły ule i kwiaty, frunąc w kierunku domu. W drzewach niczym bombowce zabuczały osy. Mewa usłyszała apel motyla i przełożyła go na język ptasi i natychmiast niebo nad wyspą poczerniało od gniewnych skrzydeł.

Dziki, krowy i psy biegły co sił w nogach w kierunku domu, widząc jednocześnie, jak poruszają się wszystkie - liście oraz ziemia, gdyż w

drzewach i pod nimi aż tętniło od owadów ciągnących w tę samą stronę. Pełen ruchu był i las, i ziemia.

Wielki mężczyzna brutalnie popchnął Blaise ku sypialni na tyłach domu, trzy dziewczynki krzyczały, żeby przestał. Napastnicy śmiali się tylko, rechotali wniebogłose, co trwało do chwili, gdy ich uwagę zwróciły odgłosy z zewnątrz. Zrazu był to pomruk niski i cichy, stopniowo jednak stawał się ostrzejszy i głośniejszy.

Można było pomyśleć, że to świt stworzenia, gdy wszystkie istoty po raz pierwszy próbują właściwych im głosów. Cała trwoga i wspaniałość Edenu zawarły się w wielkim hymnie zemsty, który otoczył dom. Brzegu rzeki pilnowały śmigłe sarny z duchami indiańskich chłopców „na grzbiecie. Niebo ledwie było widać spoza skrzydeł. Trawę pokryły najrozmaitsze owady. Krowy ryczały. Dzikie wściekle chrząkały. Ptaki wrzeszczały.

Mężczyźni znieruchomieli.

Dziewczynki, w znanych sobie językach wydały to samo polecenie: „Zabić ich. Zabić”.

Wielgas z pistoletem gotowym do strzału podskoczył do okna, wyjrzał na zewnątrz i krzyknął. Był to krzyk łatwo zrozumiały: odgłos trwogi. Dwaj pozostali stanęli przy nim i również zawyli.

- Są moi - dudnił Nieustraszony.
- My ich weźmiemy - domagał się odyniec Pancernik.
- Pszczoły i osy w mig się z nimi rozprawią - buczało w powietrzu.
- Psy rozszarpią ich na kawałki!
- Ptaki rzucą ich ścierwo rybom na pożarcie - obiecywała z góry mewa.

Mężczyźni zobaczyli przez okno, jak powstaje przeciw nim całe królestwo natury. Nie widzieli natomiast potoków mrówek wlewających się przez szczeliny w drzwiach i ciekących ku nim, by wpełznąć pod ubrania. Nie widzieli pajaków, które niczym komandosi spuszczały się z sufitu i osiadały we włosach, ani os, które żywą tarczą obsiadły im plecy.

Mężczyźni zastygli, porażeni bliskością śmierci. Powietrze pełne było straszliwych okrzyków zwierząt, łopotu skrzydeł, tupotu kopyt, zgrzytu rogów, chrzęstu owadów, wściekłości pszczół, dyszenia psów. Mieli czas na to, żeby wszystko zobaczyć i ocenić, ale nie zdążyli zareagować. Las nie zna litości. Litość to nie jego sprawa.

Krzyżak wpełzł pod koszulę wysokiego, wspiał się po jego karku, a kiedy znalazł się na szyi, poszukał miękkiego miejsca za uchem. Pożegnał się z Sharon i wstrzyknął jad w krew swojej ofiary. Mężczyzna krzyknął i zabił pajaka jednym uderzeniem, ale na ten sygnał wszystkie osy zapuściły żądła, a wszystkie mrówki rozpały ogień na skórze zbirów. Zaczęły skakać

po pokoju, okładając się rękami po ciałach, ale już po chwili ruszyli do drzwi wyjściowych, ku straszliwemu hałasowi, i kiedy je otworzyli, dostali się między kopyta, kły, skrzydła i dzioby.

Blaise i córki przytuliły się do siebie na sofie, słuchając wrzasków swych niedawnych prześladowców. Matka nie pozwoliła dziewczynkom zbliżyć się do okna. Współczuły cierpiącym ludziom, ale w żaden sposób nie mogły tego teraz zmienić. Po niedługiej chwili okrzyki ucichły i na wyspie znowu zapanowała cisza.

Kiedy Blaise niepewnie podeszła do okna, zobaczyła za nim tylko trawę, wodę i niebo. Nie było żadnego śladu mężczyzn, ani strzępu ubrania, ani odłamka kości, ani kłębka włosów.

Wieczorem pochowały pająka na domowym cmentarzu dla zwierząt. Modliły się za jego duszę, za to, by jego sieci ciągnęły się tysiącami mil, łącząc planety i gwiazdy, dając jedwabiste oparcie aniołom i zawsze sprawiając przyjemność Bogu.

Dwa dni później łódź Gregory'ego McKissicka zawinęła na Cumberland Island w stanie Georgia. Umarłby z pewnością z głodu, mówił, gdyby nie wielka mewa o czarnym grzbiecie, która rzucała mu na pokład ryby.

Teraz dom znowu się zapełnił. Dziewczęta rosły i powoli traciły swe talenty. Nigdy nie powracały do tego dnia, gdy pojawiło się trzech obcych. Rosę do końca życia opiekowała się psami, Lindsay nigdy nie straciła sympatii do dzików i bydła, Sharon niezmiennie kochała ptaki i owady. Wszystkie kochały przyrodę i kochały swoją rodzinę. I znowu słyszały śpiew matki. Wszystkim dobrze ułożyło się życie.

Tak to z nimi było.

## ROZDZIAŁ 20

Ilekoć jestem zły, wypisane to jest na mych ustach, w ich cienkim, zakrzywionym w dół łuku. Doskonale panują nad całą resztą twarzy, ale usta są renegatem, który ujawnia moją irytację i gniew światu zewnętrznemu. Przyjaciele, którzy nauczyli się czytać z moich ust, bezbłędnie potrafią odgadywać stan mych nastrojów. Z tego powodu ani kompanów, ani wrogów nigdy nie mogę wziąć z zaskoczenia, niezależnie od tego, o jak ważną by sprawę chodziło. To od nich zależy, czy się wycofają, czy podejmą wyzwanie. W gniewie usta mnie zdradzają.

Nawet jednak kiedy nie rozsadzało mnie oburzenie, w żaden sposób nie mogłem sobie poradzić z nieprzeniknioną powierzchownością doktor Lowenstein. Potrafiła zneutralizować wszelki mój gniew, strategicznie wycofując się za parawan swych nienagannych manier. Ilekoć ją atakowałem, tylekoć chroniła się w okopach i murach swej inteligencji. Potrafiła osadzić mnie spojrzeniem swych brązowych oczu, które wtedy wydawały się tafelkami przesłaniającymi wspomnienia epoki nad wyraz lodowcowej. Kiedy traciłem panowanie nad sobą, oczy te powiadały, że jestem jakimś dziwem natury, huraganem nadlatującym nad czujnie zakotwiczone miasto nabrzeżne. Jak długo byłem spokojny, miałem poczucie, że mogę potykać się z doktor Lowenstein na równych prawach, wystarczyło, by górę wzięły nerwy, a mogłem być pewien, że wystrychnie mnie na południowego dupka.

Usta drgały mi w tiku gwałtownej irytacji, gdy cisnąłem dziecięcą książeczkę na blat stolika do kawy, za którym siedziała terapeutka.

- Pani Lowenstein - powiedziałem, zajmując miejsce w fotelu - darujmy sobie wszystkie grzecznościowe trele - morele, typu „Jak minął weekend”, i przejdźmy od razu do rzeczy. Do jasnej cholery, co to za Renata i co ona ma wspólnego z moją siostrą?

- Miałaś przyjemny weekend, Tom? - spytała.

- Zamierzam zwrócić się do odpowiednich władz, aby odebrano pani uprawnienia zawodowe. Nie ma pani prawa ukrywać przede mną czegokolwiek, co wiąże się z moją siostrą, - Rozumiem.

- Niechże więc pani to z siebie wypluje, pani doktor. Jasno i wyraźnie, a może w ten sposób uratuje pani swoją karierę zawodową.

- Powinieneś wiedzieć, Tom, że w normalnych warunkach bardzo cię lubię, ale kiedy czujesz się zagrożony, niepewny, stajesz się dość odpychający.

- Zagrożony i niepewny czuję się dwadzieścia cztery godziny na dobę, pani doktor, ale nie w tym rzecz. Chcę wiedzieć, co to za Renata. To ona stanowi klucz do całej zagadki, prawda? Kiedy zrozumieni, o co chodzi z Renatą, dowiem się wreszcie, dlaczego spędzam lato w Nowym Jorku. Przez cały ten czas wiedziałas o Renacie, Susan? Wiedziałaś przez cały czas, ale nawet słowem o niej nie wspomniałaś.

- To Savannah nie chciała ci mówić, Tom - odparła Lowenstein. - Ja tylko szanowałam jej wolę.

- Ale to pomogłoby mi zrozumieć, co się z nią dzieje, mam rację, Susan? Chyba nie zaprzeczysz?

- Może ułatwiłoby trochę, ale nie jestem pewna.

- Czekam na wyjaśnienie, doktor Lowenstein.

- Kiedy przyjdzie czas, Savannah sama będzie ci mogła powiedzieć, ja jednak musiałam jej przyrzec, że nawet słowem nie wspomnę ci o Renacie.

- To jednak było, zanim dowiedziałem się, że jakaś Renata pozostaje w osobliwym związku z moją siostrą. W bardzo osobliwym, doktor Lowenstein. Swoje książki i wiersze Savannah publikuje teraz pod nazwiskiem Renaty.

- Kto ci powiedział o tej książeczce, Tom?

Zignorowałam jej pytanie i powiedziałam:

- Zadzwońiłem do domu Renaty na Brooklynie i dowiedziałem się, że dwa lata temu skoczyła na tory i poszła na czołowe zderzenie z nadjeżdżającym pociągiem. O samobójstwie powiedziała mi jej matka. Możliwych jest kilka rozwiązań. Albo Renata upozorowała samobójstwo, gdyż uwielbia dręczyć swoją miłą mateczkę z Brooklynu, albo coś dziwnego dzieje się w głowie mojej siostry.

- Przeczytałaś tę książkę, Tom? - spytała Lowenstein.

- Oczywiście.

- I co o niej myślisz?

- A jak ci się wydaje, do jasnej cholery? - obruszyłem się. - To o mojej pieprzonej rodzinie.

- Dlaczego tak przypuszczasz?

- Bo jeszcze nie jestem idiotą. Bo potrafię czytać i zobaczyłem w tej historyjce setki rzeczy, które mogła wiedzieć tylko i wyłącznie Savannah. Mogę zrozumieć, dlaczego wydała to pod pseudonimem, Susan, matka dostałaby szału, gdyby to kiedykolwiek przeczytała. Savannah wcale nie musiałaby próbować samobójstwa, jej rodzicielka własnymi zębami wygryzłaby jej trzustkę. Co to za Renata? Chcę wiedzieć, w jakich jest relacjach z Savannah. Są kochankami? Może mi pani śmiało powiedzieć.

Savannah już wcześniej miała intymne przyjaciółki. Spotykałem się z nimi, łałem chlebem, podawałem kanapki z sosem fasolowym i serwowałem kartoflanekę. Zawsze ciągnęło ją do najgorszych męskich i kobiecych łazek na całym kontynencie. Mało mnie to obchodzi, z kim się pieprzy, natomiast oczekuję wyjaśnień. Od tygodni nie pozwalasz mi się widzieć z Savannah. Dlaczego? Musi być jakiś powód! Czy Renata jest jedną z tych, którzy dręczą Savannah? Jeśli tak, to odszukam ją i tak ją skopię, że się zesra.

- Zbiłbyś kobietę? - Lowenstein uniosła brew. - No, no.

- Jeśli by się okazało, że wyrządza krzywdę mojej siostrze, wyprułym z niej pieprzone flaki.

- Renata była przyjaciółką Savannah. Tylko tyle mogę ci powiedzieć.

- Cholera jasna! Nie zasłużyłem sobie na takie traktowanie. Robiłem wszystko, o co mnie poprosiłaś. Opowiedziałem ci o mojej rodzinie wszystko, co mogłem sobie przypomnieć i...

- Kłamiesz, Tom - powiedziała beznamiętnym tonem.

- Jak to kłamię?

- Wcale nie opowiedziałeś mi wszystkiego. Nie opowiedziałeś mi o wszystkich naprawdę ważnych zdarzeniach. Przedstawiłeś mi historię swojej rodziny taką, jaką chciałbyś ją pamiętać i zachować. Dziadek był facetem z charakterem, babka odrobinę ekscentryczna, tata był trochę pokręcony i bił nas, kiedy się upił, ale mama, niczym prawdziwa księżna, trzymała nas razem w korbach swej miłości.

- Nie dotarłem jeszcze do końca, Susan - sprzeciwiłem się.

- Staram się wszystko umieścić w odpowiednim kontekście. Kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz, dałaś mi taśmę, a na niej niezrozumiały dla ciebie bełkot Savannah. Także i ja nie widzę sensu w niektórych elementach, tak czy siak, próbuję to jakoś uporządkować, ale nie zrozumiesz końca, jeśli nie będziesz znać początków.

- Ale także co do nich kłamiesz.

- A skąd ta pewność? Przynajmniej jednej rzeczy jestem pewien - wiem o swojej rodzinie znacznie więcej od ciebie.

- Może po prostu znasz lepiej jedną z jej wersji i to wszystko. To wersja bardzo intrygująca i okazała się bardzo pomocna, ale to, co opuszczasz, jest tak samo ważne, Tom, jak to, co zachowujesz. Opowiadaj mi trochę mniej o Huckach Finnach, jakimi byliście wraz z bratem, a więcej o dziewczynce, która życie spędziła na nakrywaniu do stołu. To o niej chcę się dowiedzieć jak najwięcej, Tom.

- Więc ona zaczęła mówić. Savannah mówi, a ty nie pozwalasz mi się z nią zobaczyć.

- Dobrze wiesz, że to Savannah podjęła decyzję, że nie chce się z tobą widzieć. Natomiast twoje opowieści o jej dzieciństwie okazały się wielką dla niej pomocą. Pomogły jej przypomnieć sobie rzeczy, które dawno temu wyparła z pamięci.

- Nie słyszała ani jednej z tych historii, które pani opowiedziałam.

- Wprost przeciwnie, słyszała. Nagrywałam je wszystkie i odtwarzałam ich fragmenty podczas wizyt w szpitalu.

- Watergate! - wrzasnąłem. - Dawać mi tu sędziego Sirica. Chcę, żeby te taśmy zostały skasowane albo co najwyżej wykorzystane do rozpalenia paleniska na barbecue.

- Często nagrywam sesje z moimi rozmówcami, Tom. Nie ma w tym nic niezwykłego, a ty oświadczyłeś, że zrobisz wszystko, aby pomóc swojej siostrze. Potraktowałam twoje słowa poważnie. Zechciej zatem usiąść i przestań się na mnie wydzierać.

- Nie wydzieram się na ciebie. Mam ochotę sprać cię na kwaśne jabłko.

- Usiądź sobie, Tom - powiedziała Lowenstein - i wszystko spróbujemy rozważyć na spokojnie.

Ciężko klapnąłem na fotel i wpatrzyłem się w niewzruszoną aparycję pani doktor.

- Kiedy dojdzie już do tego, że zobaczysz się z Savannah, Tom, najbardziej obawiam się tego twojego pełnego rozżalenia nad sobą męskiego ego.

- Jestem mężczyzną w stanie kompletnej klęski - powiedziałem z irytacją - więc nie ma się pani o co lękać. Zostałem zneutralizowany przez życie i okoliczności.

- Gadanie. Nigdy jeszcze nie widziałam mężczyzny, którym nie powodowałyby konieczność wykazania swej męskości za wszelką cenę. A ty jesteś jednym z najgorszych znanych mi przypadków.

- Nic nie wiesz o mężczyznach - oznajmiłem kategorycznie.

Roześmiała się.

- To powiedz mi wszystko, co ty wiesz. Masz dziesięć minut.

- Całe dziesięć minut? To ograniczę się do tego, że o wiele trudniej jest być mężczyzną, niż ci się wydaje.

- Tę żalną piosenkę słyszałam już wiele razy, Tom. Połowa moich pacjentów usiłuje sobie zyskać moją sympatię, snując ten lament. Także mój mąż stosuje tę samą strategię, najwyraźniej nieświadom tego, że podobnych elegii wysłuchuję pięćdziesiąt razy na tydzień. Teraz powinieneś mi coś opowiedzieć o dylematach wodzostwa. Jakżeż samotni są ci, co na szczycie,



maleńka. Ta straszliwa odpowiedzialność głowy domu. Ileż razy byłam tym faszzerowana.

- Pani Lowenstein - powiedziałem - jest tylko jedna jedyna racja, dla której trudno być mężczyzną, a której zupełnie nie rozumieją współczesne kobiety. A w każdym razie nie rozumiała jej Savannah i jej radykalne przyjaciółki feministki. Wszystkie nic tylko pokrzykiwały na mnie i na Luke'a, kiedy odwiedziliśmy Savannah w Nowym Jorku. Wydaje się, że moja siostra uważała, że będzie dobrze dla jej braci, prostaków z Południa, jeśli ktoś zdecydowanym tonem im uświadomi zło posiadania penisa we współczesnym świecie. Radykalne feministki! Uchowaj Boże! To z powodu Savannah żaden inny z mieszkańców Południa nie został poddany równie bezlitosnej obróbce przez radykalne feministki. Są przekonane, że jeśli będą na ciebie wrzeszczeć przez czterdzieści osiem godzin bez przerwy, to z wdzięczności sam wepchniesz kutasa do robota domowego i włączysz przycisk „Start”.

- Zdawało mi się, Tom, że przy pierwszym naszym spotkaniu oznajmiłeś, że sam jesteś feministą.

- Bo jestem - powiedziałem. - Jestem jednym z tych żalonych nieudaczników, którzy uczyli się przyrządzać suflet i perfekcyjny sos bernaise, podczas gdy moja żona otwierała jamy brzuszne i niosła pocieszenie pacjentom chorym na raka. Mówię to, dobrze wiedząc, jak żalowaną postacią w naszych głupich czasach jest mężczyzna, który sam nazywa siebie feministą. Moi przyjaciele chichoczą w odpowiedzi i opowiadają mi najnowsze pieprzne kawałki. Kiedy powtarzam to moim kobietom z Południa, patrzą na mnie z politowaniem i informują, jak bardzo je cieszy to, że są kobietami, i jak bardzo lubią, kiedy otwiera się przed nimi drzwiczki samochodu. Ale najbardziej wrogo reagują na taką informację feministki. Uważają to za afektowany, protekcyjnalny gest wykonywany przez owłosionego szpiega z wrogiego obozu. Tyle że ja naprawdę jestem feministą, do jasnej cholery, proszę mi wierzyć, doktor Lowenstein. Nazywam się Tom Wingo i jestem feministą, konserwatystą, białym liberałem, pacyfistą, agnostykiem i z tego powodu w ogóle mogę traktować siebie poważnie, czego nie robi nikt inny. Aby zapewnić sobie odrobinę szacunku do siebie, zamierzam poprosić o dożywotnią przynależność do klubu południowych prostaków.

- Myślę, że niezależnie od wszystkich protestów, Tom, i tak już do niego należysz.

- Nie, bo prostak z Południa ma spójną osobowość.

- Miałaś mi powiedzieć coś na temat bycia mężczyzną. Słucham, co to takiego? - spytała Lowenstein.

- Będiesz się ze mnie śmiała - powiedziałem ze zmarszczonymi brwiami.

- Zapewne - przyznała.

- Jest tylko jedna przyczyna, która sprawia, że tak trudno być mężczyzną. Jedna, nie więcej. Nikt nas nie uczy, jak kochać. To sekret, który wszyscy trzymają przed nami w ukryciu. Całe życie spędzamy w poszukiwaniu kogoś, kto by nas nauczył, i nigdy nie znajdujemy. W efekcie potrafimy kochać jedynie mężczyzn, gdyż rozumiemy samotność narzuconą przez ów brak. Kiedy kobiety nas kochają, czujemy się tym przytłoczeni, wylęknieni, bezradni i zagonieni w kąt. Kobiety nie rozumieją nas dlatego, że nie potrafimy w pełni odwzajemnić ich miłości. Nie mamy niczego, co moglibyśmy dać w zamian. Nigdy nie uzyskaliśmy tego daru.

- Ilekroć mężczyźni zaczynają mówić o dramacie bycia mężczyzną, nigdy nie potrafią oderwać się od wiecznego tematu, którym jest uzalanie się nad sobą.

- Ilekroć zaś kobiety mówią o byciu kobietą, nigdy nie potrafią się oderwać od wiecznego tematu, którym jest wyrzekanie na mężczyzn.

- W tym społeczeństwie niełatwo być kobietą.

- No proszę. To ja coś pani powiem, doktor Lowenstein. Bycie mężczyzną jest obrzydliwe. Jest mi już tak niedobrze od bycia silnym i opiekuńczym, mądrym i władcym, że mógłbym się przyzgać, gdybym chciał jeszcze raz coś z tego udawać.

- Jakoś żadnej z tych cech u ciebie nie dostrzegłam - oznajmiła nieubłagana Lowenstein. - Najczęściej w ogóle nie wiem, kim jesteś, na czym polega twoja odpowiedzialność, za czym obstajesz. Bywają chwile, gdy jesteś najmilszym mężczyzną, jakiego poznałam. Ale potem przychodzą inne, kiedy stajesz się zgorzkniały i napastliwy. Teraz powiadasz mi, że nie potrafisz odczuwać miłości, ale innym razem gotów będziesz twierdzić, że kochasz każdego, kto się nawinie pod rękę. Niezmiennie deklarowałaś swą miłość do siostry, ale kiedy staram się zrobić coś, aby jej pomóc, wpadasz we wściekłość na mnie. Nie mogę ci zaufać bez reszty, Tom, gdyż nie wiem, kim ostatecznie jesteś. Gdybym powiedziała ci wszystko o Savannah, nie jestem pewna, czy potrafiłbyś sobie z tym poradzić. Tak więc proszę cię tylko o to, żebyś wreszcie zaczął zachowywać się jak mężczyzna. Żebyś był silny, mądry, odpowiedzialny i spokojny. Ja tego potrzebuję, potrzebuje tego także Savannah.

- Zacząłem całą tę rozmowę - wyszeptalem - pytając o związki między Renatą a moją siostrą. Uważałem, że to zasadne pytanie, a pani na skutek jakichś sztuczek retorycznych udało się zepchnąć mnie do defensywy i uczynić ze mnie dupka.

- Zacząłeś tę rozmowę - skorygowała mnie - wpadając do pokoju i ciskając mi na stolik książkę. Potem zaczęła się na mnie wydzierać, a ludzie płacą mi nie za to, żeby mogli na mnie krzyczeć.

Zakryłem oczy dłońmi, ale i tak czułem, jak spokojne, badawcze spojrzenie na nich spoczęło. Kiedy spuściłem ręce, napotkałem jej wzrok. Jej ciemna, niepokojąca uroda jak zawsze wprawiała mnie w stan niepokoju.

- Chciałbym się zobaczyć z Savannah, pani doktor. Nie ma pani prawa rozdzielać nas. Nikt na całym świecie nie ma takiego prawa.

- Jestem jej lekarką, Tom, i do końca życia nie dopuszczę cię do niej, jeśli będę zdania, że mogłoby to zaszkodzić Savannah. A na razie tego się boję.

- O czym ty mówisz?

- Savannah sądzi, a ja zaczynam dostrzegać racje tego poglądu, że jeśli ma z tego wyjść, musi zerwać wszelkie kontakty z rodziną.

- To najgorsze, co mogłaby zrobić.

- Ja nie byłabym taka pewna.

- Jestem jej bratem bliźniakiem - powiedziałem z goryczą - a pani jest tylko jej łapiduchem, niczym więcej. Więc co to za Renata? Chcę się tego dowiedzieć, do czego mam prawo.

- Renata była bliską przyjaciółką Savannah - zaczęła Lowenstein, - Bardzo krucha, wrażliwa i gniewna. Była lesbijką, radykalną feministką i Żydówką. Obawiam się, że nie bardzo przepadała za mężczyznami.

- O rany - jęknąłem: - To opis przynajmniej połowy tych pokręconych osób, które zawsze kręciły się wokół Savannah.

- Zamknij się, Tom, albo nic więcej nie usłyszysz.

- Przepraszam. Tylko tak mi się wyrwało.

- Nieco ponad dwa lata temu Savannah miała mały napad psychozy i Renata wtedy się nią zaopiekowała. Spotkały się na warsztatach poetyckich, które Savannah prowadziła w New School. Kiedy przyszedł czas załamania, Renata nie pozwoliła Savannah iść do szpitala i upierała się, że sama ją z tego wyprowadzi. Twoja siostra była wtedy w stanie bardzo podobnym do tego, w jakim zobaczyłeś ją w szpitalu - Tom, tymczasem Renata pomogła jej wybrnąć z najgorszej fazy. Savannah mówi, że w Renacie miała anioła stróża. Trzy tygodnie później, jak Savannah mogła już powrócić do swego mieszkania, Renata rzuciła się pod pociąg.

- Dlaczego? - spytałem.

- Kto to może wiedzieć? Z tego samego powodu, dla którego ktokolwiek popełnia samobójstwo. Życie staje się nie do zniesienia i nie widać żadnego wyjścia z tej sytuacji. Podobnie jak Savannah, także i Renata już wcześniej podejmowała takie próby. Po jej śmierci twoja siostra miała następną długotrwałą zapaść. Zaczęła wahać się po ulicach bez celu i bez żadnej kontroli nad sobą. Budziła się w jakiejś obcej bramie, całą noc błędząc gdzieś po mieście. Nic nie pamięta z tego czasu. Kiedy odrobinę jej się poprawiło, wróciła do swojego mieszkania i usiłowała odtworzyć, co się z nią działo: Bez skutku. Starła się przypomnieć sobie wydarzenia z dzieciństwa, Tom, i żadne nie wracały. Zostały tylko same dziecięce zmyły. Którejś nocy przyśniło jej się, że na waszej wyspie zjawia się trzech mężczyzn. Wiedziała, że to ważny, istotny sen, że istotnie wydarzyło się coś takiego, ale co konkretnie - tego w żaden sposób nie mogła zrekonstruować. W tej książce zapisana została historia ze snu. Zatem Savannah zdecydowała się opatrzyć książkę dla dzieci nazwiskiem Renaty, gdyż w ten sposób uhonorowała jej pamięć. Kontaktowała się z różnymi wydawnictwami, czy uda się tekst wydać. I wtedy wpadła na pomysł, który uważa za najznakomitszą ideę w swoim życiu, gdyż tylko on może ją uratować.

- Aż boję się usłyszeć, jaki.

- Postanowiła zostać Renatą Halpern - powiedziała Susan Lowenstein i nachyliła się lekko ku mnie.

- Co takiego?

- Postanowiła zostać Renatą - powtórzyła psychiatra.

- Chwileczkę, pani doktor. Coś mi chyba umknęło.

- Tom, kiedy Savannah po raz pierwszy zjawiała się u mnie jako pacjentka, przedstawiła mi się jako Renata Halpern.

- Wiedziałaś, że naprawdę nazywa się SavannahWingo? - spytałem.

- Nie. Skąd niby miałam wiedzieć.

- Masz jej książki w swojej poczekalni.

- Mam tam także książki SaulaBellowa, ale nie poznałabym go, gdyby wszedł i oznajmił, że nazywa się George Bates.

- Boże, dusza ma jest strwożona - mruknąłem. - Błagam cię, powiedz mi, kiedy dowiedziałas się, że Savannah to Renata, Renata to Savannah, czy Savannah to Saul Bellow, jakkolwiek to było?

- Trudno mnie oszukać, że ktoś jest Żydówką, kiedy nią nie jest - Powiedziała, że jest Żydówką? - spytałem.

- Mówiłam już, że przedstawiła się jako Renata Halpern. Opisując rodziców, stwierdziła, że obojgu udało się przeżyć holocaust. Pamiętała nawet numery, jakie mieli wytatuowane na ramionach. Powiedziała, że ojciec jest kuźnikiem.

- Nic z tego nie rozumiem. Czy ludzie najczęściej nie dlatego szukają terapeutów, żeby im pomogli? Rozumiesz, dlaczego przyszła do ciebie, udając kogoś innego? Dlaczego nie chciała znaleźć pomocy, przedstawiając swą własną historię, natomiast podszyła się pod cudzą?

- Przypuszczam, że chciała wypróbować swą nową tożsamość i zobaczyć, czy jej obecna historia jest bez zarzutu. Poza tym, niezależnie od tego, za kogo się podawała, była w bardzo trudnym momencie. Puszczały już szwy i w tej sytuacji, Tom, naprawdę było obojętne, jak się przedstawiała. Jej położenie było rozpaczliwe, czy uważałyby siebie za Savannah czy za Renatę. Przyjęcie tego drugiego rozwiązania stanowiło część tej strasznej sytuacji.

- Dlaczego ci powiedziała, że nie jest naprawdę Renatą?

- Zadałam jej kilka pytań co do przeszłości, na które nie potrafiła odpowiedzieć. Spytałam o jej synagogę, nie potrafiła odpowiedzieć. Podobnie nie potrafiła powiedzieć, jak nazywał się rabin. Twierdziła, że matka prowadziła kuchnię koszerną, ale nie rozumiała, kiedy spytałam, czy kiedykolwiek jadła coś trefnego. Znała zaledwie kilka słów w jidisz, aczkolwiek zgodnie z jej słowami rodzice mieli pochodzić z Galicji. Na koniec oświadczyłam zatem, że nie wierzę w jej historyjkę i że jeśli rzeczywiście mam jej pomóc, muszę poznać prawdę. Poza tym powiedziałam, że dla mnie w ogóle nie wygląda na Żydówkę.

- Z tego, że pani jest rasistką, doktor Lowenstein, zdawałem sobie sprawę od pierwszego wejrzenia.

- Twoja siostra ma rysy klasycznej sziksy.

- To rzecz nie do wybaczenia?

- Nie. Po prostu niepodważalny fakt.

- Co zrobiła po tym pani ataku?

- Zerwała się i bez słowa wyszła z gabinetu. Nie zjawiała się na następną wizytę, ale wcześniej telefonicznie o tym uprzedziła. Kiedy przyszła następnym razem, powiedziała, że ongiś nazywała się Savannah Wingo, ale teraz chciała zyskać nową tożsamość, przenieść się na zachodnie wybrzeże i już do końca życia pozostać Renatą Halpern. Już nigdy więcej nie chciała mieć żadnej styczności z kimkolwiek ze swojej rodziny. Nigdy, jak długo będzie żyła. Widok kogokolwiek z nich jest zbyt bolesny, oznajmiła. Nie mogła już znieść wspomnień i te istotnie zaczęły ją opuszczać. Nie mogła

już znieść bólu wokół siebie, nazbyt długo trwała w poczuciu beznadziejności. Miała nadzieję, że jako Renata Halpern będzie mogła rozpocząć życie bardziej uporządkowane i rozsądne. Życia Savannah Wingo nie liczyła już nawet na rok.

- O Boże - jęknąłem, zamknąłem oczy i spróbowałem sobie przypomnieć nas jako małych, szczupłych blondasów pod słońcem Karoliny. Pojawił się przede mną obraz rzeki: błotne ptaki czatowały na ryby na rozlewiskach, a nasza trójka pływała w zielonej rzece, wysokiej w przypiływie i gładkiej niczym płachta lnu. Jeszcze jako malcy stworzyliśmy rytuał, którego nie ujawniliśmy przed nikim obcym. Ilekroć stała nam się jakaś krzywda, coś zgubiliśmy albo byliśmy smutni, ilekroć rodzice ukarali nas lub zbili, wszyscy troje szliśmy na - koniec przystani, nurkowaliśmy do przesyconej słońcem wody, wypływaliśmy dziesięć jardów, bliżej środka koryta i tam tworzyliśmy krąg, trzymając się za ręce. Pływaliśmy w kółko, wiosłując rękami, ale nie zrywając uścisku. Z jednej strony trzymałem dłoń Savannah, z drugiej - Luke'a. Zamknięty krąg ciała, krwi i wody. Na znak Luke'a wszyscy nabieraliśmy powietrza i ze splecionymi nadal rękami nurkowaliśmy do dna, gdzie pozostawaliśmy tak długo, aż jedno z nas ścisnęło pozostałą dwójkę i wyskakiwaliśmy na powierzchnię, gdzie czekało na nas słońce i oddech. Ale kiedy byliśmy jeszcze pod wodą, otwierałem oczy na sól i cienie, a wtedy widziałem rozmyte sylwetki brata i siostry, unoszące się obok mnie niczym embriony. Czulem wtedy zadziwiająca więź między nami, trójką bezsłownej, podniosłej miłości, podczas gdy czując pod palcami swe pulsy, wzbijaliśmy się ku światłu i przeraźliwości naszej egzystencji. Kiedy spływaliśmy do dołu, wiedzieliśmy, że czeka nas bezpieczeństwo i cisza świata bez matki i ojca, dopiero kiedy płuca nas zdradzały, wypływaliśmy ku wrakowi świata. Miejsca bezpieczne można było tylko odwiedzić, tylko na chwilę można było zaznać azylu. Doświadczaliśmy go właśnie w chwili, gdy musieliśmy powrócić do rzeczywistego świata, gdzie trzeba było spojrzeć w twarz cierpieniu i bólowi, nieodłącznym od naszego domu nad rzeką.

Teraz, w gabinecie doktor Lowenstein, zapragnąłem znaleźć się w ustroniu głębokich prądów, miejsc daleko pod powierzchnią rzeki. Tak bardzo chciałem wziąć siostrę w objęcia, przygarnąć ją do siebie i opaść na dno lazuruowego morza, aby tam trzymać ją blisko siebie. Tamten nowy człowiek zniszczyłby wszystko, co groziłoby jej krzywdą. Kiedy myślałem lub śniłem o Savannah, zawsze mogłem sobie wyobrazić zestaw najbardziej wymyślnych broni, które pozwoliłyby ją ochronić. Tymczasem w

rzeczywistym życiu nie potrafiłem nawet ochronić jej miękkich zył przed wojnami, które się w niej rozgrywały.

- Powiedziałaś Savannah - ciągnęła doktor Lowenstein - że zrobisz wszystko, aby jej pomóc. Nie uda mi się to jednak, jeśli nie będę wiedziała, co takiego tkwi w jej przeszłości, przed czym ucieka. Nie przypuszczałam, by Renata Halpern miała jakąś szansę, zanim nie rozwiąże się problem Savannah Wingo.

- Dlaczego miałyby pani pomagać komuś, by stał się inną osobą - spytałem. - Jaka etyka za tym przemawia, a jeśli już nie etyka, to na jakie przynajmniej statystyczne prawidłowości może się pani powołać? Skąd pani wie, że to istotnie jest najlepsze dla Savannah? A jeśli pani się myli, doktor Lowenstein?

- Nie zetknęłam się dotąd z takim przypadkiem, dlatego też nie miałam żadnego oparcia w profesjonalnej literaturze. Nie było też tak, że obiecałam Savannah pomóc w staniu się Renatą Halpern. Powiedziałam jedynie tyle, że pomogę jej uzyskać taką integrację osobową, jak to będzie możliwe. Musiała podjąć trudne decyzje, a ja zgodziłam się pomóc jej w tym, aby były to decyzje najlepsze dla niej.

- Nie ma pani prawa robić tego Savannah, doktor Lowenstein. Nie ma pani prawa pomagać jej stać się kimś, kto nigdy już nie zobaczy swojej rodziny. Nie mogę się zgodzić na żadną terapię, która przyczyni się do tego, że moja siostra, dziewczyna z Południa, przemieni się w żydowską pisarkę. Tego, co pani teraz robi, niepodobna nazwać terapią. To czarna magia, czary, praktyki czarnoksiężskie. Jeśli Savannah chce zostać Renatą Halpern, to najlepszy dowód jej szaleństwa.

- Równie dobrze może to być objawem jej zdrowia. Po prostu nie wiem.

Nagle poczułem się wyczerpany, porażony niemocą aż po najgłębsze centrum duszy, oparłem głowę na oparciu krzesła, przymknąłem oczy i spróbowałem uspokoić myśli. Za wszelką cenę chciałem sformułować jakieś racjonalne argumenty przeciw Susan Lowenstein, czułem jednak, że nazbyt jestem zmęczony i sfrustrowany, aby pokusić się o racjonalność, w końcu zebrałem się w sobie i powiedziałem:

- To dlatego, doktor Lowenstein, gardzę stuleciem, w którym się urodziłem. Dlaczego musiałem przyjść na świat w wieku Zygmunta Freuda? Nienawidzę jego gadaniny, fanatycznych zwolenników, wyszukanych przemów do duszy, wyspekulowanych, nie dających się dowieść teorii, nie kończących się kategoryzacji wszystkich spraw ludzkich. Pierdołę Zygmunta Freuda, Pierdołę jego matkę, ojca, dzieci, dziadków. Pierdołę jego psa, kota, papugę i wszystkie zwierzęta w wiedeńskim zoo. Pierdołę



jego książki, idee, teorie, marzenia senne, brudne fantazje, fotel, w którym siadywał. Pierdolę to stulecie, dzień po dniu, rok po roku, a potem chwytam wszystko, co składa się na tę stuletnią aborcję czasu i spuszczam w wonnym kiblu Zygmunta Freuda. I wreszcie, pierdolę ciebie, Lowenstein, Savannah, Renatę Halpern i każdą osobę, którą moja siostra zechce jeszcze zostać w przyszłości. Kiedy zbiorę już w sobie siły, żeby się ruszyć, wyjdę z pani gustownego gabinetu, spakuję swe nędzne graty, zatrzymam kogoś z tych niewymownie obrzydliwych taksówkarzy i każę się zawieźć na La Guardię. Stary poczciwy Tom wraca do domu, gdzie jego żona kocha się z kardiologiem. A jakkolwiek może to być dla mnie okropne, ma przynajmniej jakiś sens, w przeciwieństwie do tych wszystkich spraw z Savannah i Renatą., - Skończyłeś już może, Tom?

- Nie. Jak tylko przyjdzie mi do głowy coś, czym mógłbym cię dotknąć, natychmiast zacznę następną długą przemowę.

- Być może popełniłam błąd, nie mówiąc ci wszystkiego na samym początku, ale taka była moja decyzja. Przestrzegano mnie przed tobą, Tom. Savannah zna cię bardzo dobrze. Wie, że chociaż udajesz wielką gotowość do pomocy, w istocie głęboko wstydzisz się jej problemów, boisz się ich, zrobiłbyś niemal wszystko, żeby tylko nie mieć z nimi nic wspólnego, unicestwić je, skryć w mroku. Zna także siłę twego przywiązania do rodziny i poczucia obowiązku. Moje zadanie polegało na tym, aby znaleźć rozwiązanie pośrednie. Gdybym mogła się obejść bez twojej pomocy, zrobiłabym tak, Bóg mi świadkiem. Bardzo się bałam chwili, kiedy odkryjesz prawdę, bałam się twojej urażonej ambicji i gniewu.

- A myślałaś, że jak niby się zachowam? - spytałem. - A gdybym ja tak samo postąpił z Bernardem? Gdybym wziął tego straszliwie nieszczęśliwego dzieciaka i zamiast trenować go, zacząłbym go uczyć, jak się wymknąć z okropnej rodziny? Zmień nazwisko, Bernardzie. Jedź ze mną do Karoliny Południowej. Wejdiesz do składu dobrej drużyny, umieścimy cię też w dobrej rodzinie, która pomoże ci zacząć wszystko od nowa.

- To nie to samo i dobrze o tym wiesz. Mój syn nie usiłował popełnić samobójstwa.

- Dajmy mu trochę czasu, doktor Lowenstein. Poczekajmy odrobinę.

- Ty skurwysynu - syknęła i zobaczyłem, jak ze stolika do kawy chwyta gruby Słownik dziedzictwa amerykańskiego i nader celnie ciska w moim kierunku. Książka uderzyła mnie w nos, odbiła się od kolan i wylądowała na podłodze. Otworzyła się na stronie 764, a kiedy odruchowo nachyliłem się, wzrok mój padł na hasło „lewitacja”, lecz w następnej chwili zobaczyłem, jak krople mej krwi zaczynają pokrywać hasło poświęcone Gottfriedowi

Wilhelmowi Leibnizowi. Zacisnąłem nos, ale krew zaczęła mi przeciekać między palcami.

- O mój Boże - zawołała przerażona moją kontuzją i swoim brakiem opanowania. - Bardzo cię boli?

- Tak - powiedziałem. - Zaraz zwariuję.

- Dam ci valium.

Nerwowo przeszukiwała torebkę.

Zacząłem się śmiać, ale to sprawiło tylko, że krew popłynęła jeszcze mocniej.

- Czy myślisz, że zatamuję krwotok, wsadzając sobie valium do dziurek nosa? Chwalić Boga, że nie postanowiłaś zostać internistką.

- Valium cię uspokoi.

- Nie jestem specjalnie zdenerwowany, pani doktor. Po prostu krwawię, gdyż mnie pani skaleczyła, w czym ujawnił się nieoczekiwanie jakiś brzydki nawyk.

- Dotarłeś do granic mojej cierpliwości. Jeszcze nigdy w życiu nie zachowałam się brutalnie.

- No to pierwsze koty za płoty. Bardzo dobry rzut.

- Ciągłe krwawisz.

- Trudno się dziwić, skoro niemal urwałaś mi nos - powiedziałem i ułożyłem głowę na fotelu. - Wystarczy, że wychodząc, cicho zamknij pani drzwi za sobą, pani doktor, a ja już się spokojniutko wykrwawię na śmierć.

- Chyba powinien cię opatrzeć jakiś lekarz.

- Byłem przekonany, że jestem właśnie u lekarza.

- Wiesz, o co mi chodzi, do cholery.

- Dlaczego nie zadzwoni pani do kliniki psychiatrycznej, żeby przysłali tutaj jakiegoś katatonika. Przycisnę go do nosa na godzinę czy dwie. W porządku, pani doktor, niech się pani tak nie przejmuje. Miewałem już krwotoki z nosa, także i ten się skończy.

- Bardzo przepraszam, Tom. Czuję się bardzo niezręcznie.

- Nigdy ci nie wybaczę - oznajmiłem, a idiotyczność tej sceny omal nie przyprawiła mnie o chichot. - Co za dzień, niech to diabli. Zostaję okaleczony słownikiem i dowiaduję się, że moja siostra postanowiła zostać Żydówką z Brooklynu. Co za dzień.

- Kiedy krwotok ustanie, Tom, zapraszam cię na kolację.

- Nie dam się zbyć niczym tanim. Żadnych hot dogów u Nathana. Żadnych pizz z serem. Tak, pojawiają mi się pewne propozycje. „Lutece”, „La Côte Basque”, ewentualnie „FourSeasons”. Zamawiać będą tylko to, co

przyrządza się przy stoliku. To będzie kosztować, doktor Lowenstein. Słono kosztować.

- Podczas kolacji chcę porozmawiać poważnie i rozsądnie, Tom. Muszę coś jeszcze ci wyjaśnić w związku z Savannah, Renatą i mną...

Nie dokończyła, gdyż jej słowa zagłuszył mój śmiech.

Kiedy stanąłem w drzwiach „Lutece”, miałem wrażenie, że sam poruszam się w półśnie, tak bardzo czułem się rozchwiany wewnętrznie i nierealny po krwotoku z nosa i rewelacji związanej z Renatą. Madame Soltner osobiście powitała Susan i kilka chwil rozmawiały w płynnej francuszczyźnie, a ja po raz kolejny zachwyciałem się tym, jak sprawnie udało się Susan opanować zasady i gesty jej czarownego, cywilizowanego życia. Bez najmniejszego wysiłku przybierała właściwą, nienaganną pozę, była urzekającą istotą wyuczoną we wszystkich sztukach, które można było kultywować, jeśli miało się dostęp do odpowiednich kręgów i dysponowało harmonią pieniędzy. Była pierwszą osobą, jaką spotkałem w Nowym Jorku, która nie została umniejszona i ośmieszona przez pełen wrzasku i potęgę autorytet tego miasta. Ulice metropolii stanowiły jej naturalne środowisko, gesty były pełne umiaru i adekwatności. Jej pewność siebie wydawała mi się jakimś niebywałym darem, tyle że zawsze miałem do czynienia z przybyszami, Susan Lowenstein była pierwszą osobą, dla której wyspa była domem rodzinnym, pierwszą rodowitą mieszkanką Manhattanu. Dowiedziałem się, że pod nienagannie utrzymanymi trawnikami jej zachowań mieściły się całe warstwy namiętych pasji, czego dowodnym poświadczeniem był mój pulsujący nos.

Sama madame Soltner poprowadziła nas do upatrzonego stolika, tylko jednym uważnym spojrzeniem obrzuciwszy wacik tkwiący w moim lewym nozdrzu. Przypuszczałem, że nieczęsto zdarzało się, by w zaciszne wnętrza „Lutece” osobiście wprowadzała gości, którym niedawno przytrafił się krwotok z nosa. Przeprosiłem i oddaliłem się do toalety, gdzie usunąłem kłopotliwy opatrunek, a uspokojony, że krew już nie cieknie, obmyłem twarz i wróciłem na salę. Nos napuchł mi jak przerośnięte ciasto pączkowe. Nie wyglądałem nazbyt urodziwie, ale byłem głodny.

Kelner, który sprawiał wrażenie wykrochmalonego w arogancji, spytał o drinki i zniknął. Nachyliłem się nad nieskazitelnie białym obrusem i szepnąłem:

- Kiedy już je poda, czy nie będziesz miała nic przeciwko temu, że na kilka chwil zanurzę nos w swoim drinku? Alkohol zdezynfekuje ranę.

Zapaliła papierosa i dmuchnęła na mnie dymem.

- Przynajmniej tyle, że żartujesz. Ciągłe nie mogę uwierzyć w to, że cisnęłam w ciebie książką. Czasami potrafisz być bardzo irytujący, Tom.

- Czasami wyłazi ze mnie prawdziwy sukinsyn. Powiedziałem coś wstrętnego o Bernardzie i w pełni zasłużyłem na to, żeby słownik przypłaszczył mi kulfona. Winien ci jestem przeprosiny.

- Fakt, że nie udało mi się być dla Bernarda dobrą matką, ciągle mnie dręczy.

- Wcale nie jesteś złą matką. Bernard, jak każdy nastolatek, nie bardzo nadaje się do harmonijnego życia społecznego. Na tym polega ich zadanie, żeby się zachowywali jak dupki i zadreżali swoich rodziców.

Pojawił się kelner z kartami, zagłębiłem się w swoją z mieszaniną staranności i niepokoju. Po raz pierwszy miałem zamawiać posiłek w sytuacji, gdy w zasięgu słuchu znajdowała się jedna ze znanych na cały świat restauratorek i nie chciałem zepsuć tej okazji wyborem bezmyślnym i pozbawionym finezji. Ostrożnie wypytałem Susan o danie spożywane już przez nią w „Lutece” i wyznałem, że zepsuje mi ucztę, jeśli ja zamówię coś wprost imponującego, podczas kiedy ona każe sobie podać coś niesłychanie subtelnego jak ambrozja. Na koniec zaferowała się, że skomponuje moje zamówienie, siadłem więc sobie spokojnie i słuchałem, jak Lowenstein wybiera na początek krem z mięsa kaczki z jagodami jałowca. W następnej kolejności miałem zostać uraczony soupe de poisson au crabe, a znaczące mrugnięcie okiem pani doktor gwarantowało jakość tej przygody. W głowie zawirowało mi pogodnie, gdy wymieniła listę dań głównych, które uważała za bezbłędne, widząc moje wahanie i niepewność, poleciła kelnerowi, by kucharz przygotował rabie de lapin.

- Królik! – powiedziałem zdumiony. - Wszystkie poradniki kulinarne przedstawiają to miejsce jako świątynię gastronomiczną, a - ty chcesz mnie upokorzyć, zamawiając durnego królika?

- Będzie to najlepsza rzecz, jaką jadłeś w całym swoim życiu - powiedziała ze spokojem. - Możesz mi zaufać.

- Czy pozwolisz, że poinformuję kelnera, iż dokonuję oceny lokali dla „The New York Timesa”? - spytałem. - Chciałbym, żeby Andre” spróbował tam w kuchni przejść sam siebie.

- Nie pozwolę, Tom. Wybioreę teraz dla nas wino, a potem porozmawiamy trochę o Savannah.

- Może jednak wcześniej poprosilibyśmy kelnera, żeby uprzątnął ze stołu każdy drobiazg, który mógłby pofrunąć w moim kierunku? Czy może powinienem wystąpić w masce baseballowego chwytacza?

- Tom, czy rodzina i przyjaciele nie mają czasami dość twojego dowcipkowania?

- Mają go po uszy. Będę ponury jak chmura gradowa aż do końca kolacji. Przysięgam, pani doktor.

Na stole pojawiła się butelka Chateau Margaux, jednocześnie zmaterializował się także mój krem. Spróbowałem wina - było tak wyraziste w smaku, że poczułem, jak (kiszą śpiewa z radości, gdy odejmowałem od ust lampkę. Smak niczym chorał rozbrzmiewał na języku, usta zdały mi się ukwieconą łąką, Krem jeszcze przyczynił się do spotęgowania radości życia.

- Mój Boże. Pani doktor, ten krem jest naprawdę bajeczny - jęknąłem. - Czuję, jak całe bataliony kalorii maszerują mymi żyłami. Czułbym się szczęśliwy, gdyby ktoś zatrudnił mnie tutaj, abym na pokaz przybierał na wadze.

- Savannah wyparła większość swego dzieciństwa, Tom - przerwała mi Susan.

- Co to ma wspólnego z tym znakomitym kremem? - spytałem.

- Są całe partie jej życia skryte w ciemności. Nazywa to białymi pauzami. Wydaje się, że są to okresy, gdy jej halucynacje wymykają się spod kontroli, okresy, które wymykają się czasowi, przestrzeni i rozumowi.

- Zawsze miała kłopoty z pamięcią.

- Tak, powiedziała mi, że problem ten pojawił się u niej w okresie dojrzewania, ale nikomu o tym nie wspominała. To był jej straszliwy sekret. Mówiła, że zawsze z tego powodu czuła się inna, zagrożona, samotna. Stała się więźniarką czasu utraconego, dni zapoznanych. Jeszcze bardziej zaczęła się niepokoić, kiedy stało się to zagrożeniem dla jej poezji. Czuła, że szaleństwo bierze nad nią górę, atakując z olbrzymią siłą. Najbardziej przerażała mnie myśl, że wejdzie w którąś z faz nieutralizowanych przez pamięć i nigdy już z niej nie wyjdzie.

Śluchając tych słów, wpatrywałem się w Susan Lowenstein, której twarz niedostrzegalnie złagodniała, czego przyczyną była pasja zawodowa. Była to jedna z tych nielicznych okazji, kiedy mogłem poczuć zapach, jaki wносиła do swego gabinetu i z jakim podejmowała rolę pocieszycielki dusz poranionych i porażonych niemocą. Pełnym ożywienia głosem opowiadała o tych pierwszych miesiącach, gdy Savannah pojawiała się u niej w gabinecie i opowiadała o swym życiu, młodości, pracy, zawsze jednak pojawiały się niewiarygodne plamy, przerwy i luki w pamięci, które przyprowadzały ją o rozpacz, gdyż grzęzła w ślepych zaułkach.

W głębinach nieświadomości Savannah pojawiło się coś, co całkowicie cenzurowało jej dzieciństwo. Ilekroć usiłowała się w nie zagłębić, przypominała sobie tylko oderwane fragmenty, a z wszystkimi wiązało się niejasne, obezwładniające uczucie strachu. Zdarzało się, że jakiegokolwiek obrazu z przeszłości się uczepliła - ptak podrywający się do lotu z bagien, ruszający silnik łodzi, głos matki w kuchni - wkraczała w obszar ciemności, beczasowości, w życie, które nie do niej należało. Trwało to od mniej więcej dwóch lat i wysiłkiem woli usiłowała się skoncentrować na życiu w Nowym Jorku. Cykl wierszy Wokół Manhattanu powstał w okresie ledwie trzech miesięcy, kiedy poczuła, że wraca jej siła twórcza - poczuła dawną moc języka i raz jeszcze zobaczyła siebie w centrum świata, w który wysłała swe pieśni miłosne i rekwiem..

To pisanie książki dla dzieci na powrót odesłało ją w melodyczne struktury szaleństwa. Sen sprawił, że na osiemdziesiąt godzin rzuciła się do pisania, przedstawiając historię tak, jak jej się ukazała. W trakcie zdała sobie sprawę z tego, że opisuje jeden z utraconych fragmentów życia. Czowała, że w opowieści czegoś brakuje, i to czegoś znacznie potężniejszego od elementów, które zamknęła w słowach. Wtargnięcie trzech mężczyzn trąciło w niej jakiś szczególnie bolesny akord, coś w niej się poruszyło i miała wrażenie, jakby słyszała dźwięk dzwonu w jakimś zagubionym kościele. Własną opowieść zaczęła studiować tak, jakby to był dawny święty tekst, pełen niezrozumiałych aluzji do tajemnic jej życia. Coś jej się przydarzyło, ale utrwalaona w książce historia w pamięci obudziła tylko jeden z brakujących elementów - przywiezioną przez ojca z II wojny figurkę Dzieciątka Praskiego, która stała na stole koło drzwi frontowych. Nie wiedziała, jaką rolę w tym zdarzeniu odegrała figurka, niemniej jednak jakoś się w nim mieściła. Po śmierci Renaty posążek niezmiennie pojawiał się w halucynacjach, które wiązały się z okresami zapaści. Dzieciątko Praskie przyłączyło się do chóru rozbrzmiewających w niej głosów, wzmocniło szeregi psów samobójstwa i aniołów negacji. Wszystkie te zjawy snuły osaczającą litanię, którą знаła od czasów dzieciństwa, prześladując swą niewymownością, biorąc ją w okowy morderczych hymnów i zaśpiewów, wzywając do śmierci. Zaczęła widzieć psy w śmiertelnej agonii zwieszające się z haków rzeźnickich wbitych w ściany jej mieszkania. Splecione wycie setek tych udręczonych psów wzywało ją, aby się zabiła. „To nieprawda, to nieprawda”, powtarzała sobie Savannah, ale jej głos ginął w oskarżającym, przenikliwym skowycie. Zrywała się z fotela w saloniku i uciekała przed psami do łazienki, tam jednak czekały na nią miesiączkujące anioły, które z przetrąconymi karkami zwisały z prysznicą i

sufitu, jęcząc w straszliwych męczarniach. Ich głosy, delikatne i miękkie, prosiły ją, aby poszła wraz z nimi w bezpieczne przestronne miejsca, w korytarze nieprzerwanego snu, w długie noce ciszy, bezgłosu, gdzie anioły trwają całe, nienaruszone, przyjazne. Wysuwały ku niej ramiona w geście solidarności i zawłaszczenia. Ich oczodoły były czarnymi dziurami, z których toczyła się ropa. Pomiędzy aniołami dostrzegła małe stopy Dzieciątka Praskiego, które powieszono na suficie, z twarzą wykrzywioną i poranioną, głosem matki domagało się, aby trwała w milczeniu. Ilekroć wyjmowała brzytwy i zaczynała je liczyć, czuła radość psów wiszących na hakach, ekstazę zmasakrowanych aniołów o melodyjnych, kuszących głosach. Każdego wieczoru liczyła ostrza i każdego wieczoru słyszała, jak ta ponura gromada recytuje prawa burzy, szepcze godzinki samobójstwa.

- Spotykałam się z Savannah zaledwie od kilku miesięcy, kiedy podjęła próbę samobójstwa - ciągnęła Susan Lowenstein. - Nie uświadamiałam sobie w pełni niebezpieczeństwa, że targnie się na siebie. Terapia była tak fascynująca, a przecież terapeuta nie powinien poddawać się emocjom. Powinien zachować profesjonalny spokój i dystans. Ale Savannah była poetką, która przemawiała do mnie przy użyciu zawrotnych słów i obrazów. Muszę ci się przyznać, Tom, do błędu. Chciałam zasłynąć jako terapeutka, która przywróciła poetce zdolność pisania. Pozwoliłam opanować się zarozumiałstwu.

- Nie wiem, czy to właściwe słowo, Susan - powiedziałem, jednocześnie nakrawając mięso królika. - Było to dla ciebie nazbyt dziwaczne, podobnie jak jest nazbyt dziwaczne dla mnie.

- Nierozumiem.

- Spróbuję wyjaśnić. Dowiaduję się, że moja siostra podcięła sobie żyły na szczęśliwej wyspie Manhattanu. Pospiesznie zjawiam się tutaj, aby odegrać rytualną rolę zbawiciela, dwudziestowiecznego Chrystusa, którą, nawiasem mówiąc, mogę odgrywać w snach, maszerując z opaską na głowie czy z rękami związanymi na plecach. Wtedy czuję się potrzebny, co wprawia mnie w znakomity nastrój. Złocisty bliźniak dosiada swego rumaka, aby ruszyć na ratunek ukochanej siostrze: poetce, wariatce, niedoszłej samobójczyni.

- I co byłoby dalej, gdybym ci tego pierwszego dnia oznajmiła, że Savannah chce po prostu zniknąć z Nowego Jorku, aby w jakimś, innym miejscu żyć pod nazwiskiem Renaty Halpern? - spytała.

- Być może tyłek by mi się urwał ze śmiechu - przyznałem.



- Bez wątplenia zdarzyłoby się coś w tym stylu. Tego pierwszego dnia, gdy się poznaliśmy, nie ukrywałeś swojej pogardy dla terapii psychiatrycznej.

- Wychowałem się w szczęśliwym miasteczku, pani doktor. Nie wiedzieliśmy nawet, kto to taki: psychiatra.

- O, tak, bardzo szczęśliwa miejscina. Na podstawie twoich opisów Colleton można dojść do wniosku, że wszyscy tam cierpią na jakąś zbiorową psychozę.

- W każdym razie teraz nikt już tam na nic nie cierpi - powiedziałem i zanim zacząłem mówić dalej, spróbowałem królika. - Ciągłe jeszcze nie wiem, dlaczego Savannah nie może opowiedzieć ci tego samego, co słyszysz ode mnie.

- Próbowałam ci wyjaśnić, Tom, ale ty albo nie słuchasz, albo nie wierzysz w to wyjaśnienie. W jej pamięci zieją wielkie czarne luki, ogromne wyparte obszary, które niekiedy obejmują cały rok. To Savannah kiedyś mi zasugerowała, że ty mógłbyś wypełnić te plamy. Parę razy wspominałeś o osobliwej bliskości, która was wiąże jako bliźnięta. Z początku nie całkiem na to liczyłam, podejrzewałam bowiem, że sam możesz stanowić składnik jej problemów. Obserwując cię, wyzbyłam się tego podejrzania.

- Dzięki.

- Byłeś dla Savannah bardzo ważną osobą w czasach, kiedy dorastaliście. Ty i Luke stanowiliście dla niej ochronę przed światem, a zwłaszcza jej światem. Chociaż od samego początku była inna, bracia pozwalali jej zachowywać pozory normalności. Obydwaj pomagaliście jej przemierzać trudną drogę dzieciństwa. Szczególnie tobie, Tom, przypadła w udziale kluczowa rola. Bardzo wcześnie rozpoczął się u niej proces blokowania wspomnień, usuwania tych najbardziej zabójczych. Z chęcią nazwałabym to wyparciem, gdybym nie znała twojej niechęci do terminologii freudowskiej. Bardzo wcześnie wyznaczyła ci zadanie do wypełnienia: stałeś się jej pamięcią, oknem w przeszłość. Zawsze ilekroć wynurzała się z ciemnych faz, to ty mogłeś jej powiedzieć, co się stało, gdzie była, co mówiła.

- Skoro utraciła pamięć, jak mogła być poetką? - spytałem.

- Ponieważ ma poetycki geniusz, a jej wiersze wyrastają z bólu bycia człowiekiem i bólu bycia kobietą w naszym społeczeństwie.

- Jak sądzisz, kiedy zaczęła na mnie polegać w sprawach pamięci?

- Jeśli chodzi o najwcześniejsze dzieciństwo, pamięta o wiele więcej od ciebie, Tom. Pamięta na przykład, jak brutalna była matka, kiedy byliście bardzo mali.

- Gówno prawda. Mama nie była nadzwyczajna, ale też nigdy nie była brutalna. Miesza mamę z tatą - powiedziałem i powoli przeżulem kęs.

- A skąd wiesz?

- Bo byłem tam, doktor Lowenstein. Naoczny świadek, by tak rzec.

- A czy zwróciłeś uwagę, że przedstawiając mi waszą kronikę rodzinną, zacząłeś od waszych narodzin podczas burzy, a więc wydarzenia, którego w żaden sposób nie mogłeś pamiętać? Po prostu przedstawiłeś mit rodzinny, tak jak ci go opowiedziano, co zresztą jest zupełnie naturalne. Ale następnie przeskoczyłeś do pierwszego roku w szkole w Atlancie. Co działo się podczas sześciu lat, które upłynęły między jednym a drugim?

- Byliśmy gówniarzami. Rzygaliśmy, fajdaliśmy, piliśmy matczyne mleko, rośliśmy. Jak mam cokolwiek z tego pamiętać.

- Savannah pamięta, Pamięta aż za wiele.

- Co za bzdury, pani doktor. Kompletne bzdury - powiedziałem, ale jedyne, co mogłem sobie przypomnieć z tych czasów, to księżyc na wezwaniu matki wstający na wschodzie.

- Może i tak, ale mama terapeutka, którą jestem, wyczuwa w tym coś z prawdy.

- Proszę się przede mną tak nie mizdrzyć, doktor Lowenstein. Życzę sobie opuścić to miasto z nienaruszoną głęboką pogardą, jaką żywię dla pani profesji.

- Posłuchaj, Tom, mnie twoja niechęć do mojego zawodu ani ziębi, ani grzeje. Przedstawiłeś sprawę bardzo klarownie, czym się specjalnie nie przejęłam. W rzeczy samej, zaczynam myśleć, że jesteś czarujący, a w kwestiach terapii jesteś po prostu ignorantem.

- Posłuchaj, odłóżmy tę kwestię na później - powiedziałem i zatoczyłem szeroki gest. - Jesteśmy w „Lutece”. Zawsze marzyłem o tym, żeby tutaj zjeść. Ileż czytałem o tym lokalu, „The New York Times” nazywa go gastronomicznym rajem. Bardzo mi to odpowiada, żeby siedzieć w gastronomicznym raju i pojękiwać nad smakołykami. To wino to najlepszy płyn, jaki kiedykolwiek splukał moje usta. Otoczenie jest cudowne. Dyskretna elegancja, chociaż ja, oczywiście, jako południowy prostak wolałbym elegancję nieco bardziej krzykliwą, nie jestem bowiem na tyle wyrobiony towarzysko, aby docenić zalety dyskretnej subtelności. Tak czy owak, ładniej tutaj. Bardzo ładnie. Otóż kiedy po raz pierwszy i ostatni je się w „Lutece”, chciałoby się rozmawiać o sztuce, poezji, kuchni, może nawet przydałoby się odrobinę pofilozofować. Niszczysz trochę czar, kiedy zaczynasz opowiadać, jak to Savannah widziała anioły, którym ropa cieknie z oczodołów. Rozumiesz, o co mi chodzi? To gastronomiczny raj, boli mnie

nos i minie trochę czasu, zanim przetrawię wszystkie te nowiny. Jeszcze trzy godziny temu myślałem, że Savannah jest po prostu zdziwaczka. Bardzo trudno zmienić tak radykalnie swój punkt widzenia, doktor Lowenstein. Proszę spojrzeć na to moimi oczyma. Dzisiaj rano przedstawiła mi pani moją siostrę bliźniaczkę, którą znałem dość dobrze od trzydziestu sześciu lat. Mamy jednak małą niespodziankę dla Tommy'ego. Tak naprawdę to nie jest twoja siostra, Tom, ale Renata Halpern. Ale chwilę, Tom, ty południowy przygłupie, to jeszcze nie wszystko. Pragnie się stąd wynieść i już nigdy nie widzieć cię na oczy. A kiedy wpadam w niejaką irytację, że tak długo trzymano mnie w błędzie, jej wysoce kwalifikowana, ceniona w swym zawodzie terapeutka ciska słownikiem w mojego nochała, w efekcie czego tracę pint krwi. Ta kolacja jest z twojej strony aktem rekompensaty za utoczenie mojej drogocennej krwi, więc może porozmawiajmy teraz o najnowszych filmach czy też o kandydatkach do tytułu Książki Miesiąca.

- Porozmawiajmy o tej jej opowieści dla dzieci - zasugerowała Lowenstein.

- Ach! Kamień z Rosetty. Savannah próbowała opisać zło, ale nie udało jej się. Uczyniła je pięknym. Zdradziła się i ujawniła swój talent, gdyż wszystko stało się w jej rękach czarowne.

- To fikcja, Tom. Opowiadanie, nic więcej.

- Właśnie to nie powinno być fikcją. Zdarzenie powinno być opisane jak surowy fakt. Savannah jest dostatecznie dobra, by tak opisać to wydarzenie, aby wstrząsnęło światem. Nie zasługuje ono na to, aby je upiększać i czytać o nim dzieciom do poduszki. Ta opowieść powinna dorosłe kobiety i dorosłych mężczyzn, drżących z grozy i wściekłości, rzucić na kolana. Savannah nie wolno było tak tego ująć. To zbrodnia opisać to tak pięknie i dać szczęśliwe zakończenie. Każdy powinien lkać nad tą opowieścią. Jutro ci ją przedstawię. Nie będzie żadnych rozmownych pajaków, sprytnych psów czy tępowych cieląt, które seplenią swą wiadomość przed Królem Byków. Żadnych takich bzdur.

- Od artysty nie wymaga się, aby mówił prawdę.

- Ja wymagam tego od Savannah.

- Wiesz, o co mi chodzi. Artysta mówi prawdę na swój własny sposób.

- Albo kłamie na swój własny sposób. I zapewniam cię, że Savannah zęgała tę opowieść.

- Może powiedziała tyle prawdy, ile potrafiła.

- Gówno prawda, dobra pani doktor. Zawsze wiedziałem, że kiedyś to opisze. Matka z całą pewnością przez cały czas żyła w strachu, że Savannah

kiedyś przeleje to na papier. Nikt z nas jednak nigdy nie wspomniał ani słówkiem o tym, co tego dnia wydarzyło się na wyspie. Kiedy zacząłem czytać tę książeczkę, pomyślałem, że w końcu postanowiła wydobyć wszystko na jaw. Potem zobaczyłem, jak opuszcza ją odwaga. To wtedy, kiedy dziewczynki nabywają magicznych umiejętności. Nie mieliśmy żadnej magii, która mogłaby nas ocalić.

- Tom - zaprotestowała Lowenstein - Savannah powiedziała w tej historii tyle prawdy, że popchnęło ją to do próby samobójstwa.

- Masz rację - pokiwałem głową. - Ale przyrzeknij mi, że coś jej przekażesz, dobrze? Powiedz jej, że jeśli zdecyduje się zostać Renatą Halpern, odnajdę ją w San Francisco, Hongkongu, czy gdziekolwiek zdecyduje się osiąść, i niczym się nie zdradzę, że jestem jej bratem. Będę po prostu znajomym z Południa, którego spotkała na wieczorze poetyckim czy na wernisażu. Dla mnie najgorszą rzeczą byłoby jej całkowite zniknięcie. Tego nie potrafiłbym znieść. Po prostu nie potrafiłbym znieść i nikt nie może zrozumieć tego lepiej niż Savannah. Chcę, żeby żyła. Chcę, żeby była szczęśliwa. Potrafię ją kochać, nawet jej nie widząc. Potrafię ją kochać niezależnie od tego, co będzie robiła.

- Powtórzę jej, Tom. Obiecuję. Jeśli nadal będziesz mnie wspierał, pomogę ci ją odzyskać. Robi wszystko, żeby się uratować. Stara się o to ze wszystkich sił.

Susan nachyliła się nad stołem i wzięła moje dłonie w swoje ręce. Włożyła końce moich palców do ust i przygryzła je. Oto, co najbardziej zapamiętałem z wizyty w „Lutece”.

## ROZDZIAŁ 21

Tego samego wieczoru, kiedy jedliśmy w „Lutece”, zatelefonowałem do domu w Charleston. Wystarczyły mi dwie szklaneczki bourbona zanim wykręciłem ponurą kombinację cyfr, która w terażniejszości miała przyzwać głos matki, mnie zaś bez żadnej kontroli posłać koziołkującego w przeszłość.

Resztę wieczoru spędziłem na czytaniu historii przeróżnych psychotyków, które pożyczyła mi doktor Lowenstein. Wszyscy mieli poranione, zbolące dusze, straszliwie okaleczone w dzieciństwie, wszyscy budowali misterne palisady, aby się odgrodzić od nieznośnych wykoślawień. Rozpostarło się przede mną targowisko halucynacji i bólu. Wszystkim dopisało to szczęście, że urodzili się w ciepłych uściskach monstualnych rodzin. Z tekstów i komentarzy opowiadających psychiatrów wionął duch znużonego samozadowolenia. Lekarze wydawali się wspaniałymi cudotwórcami, którzy zabierali się do tych pokawałkowanych dusz i na tyle je naprawiali, aby na nowo mogły zająć się sadzeniem geranium w podmiejskich ogródkach. Ten popis triumfu i samozadowolenia, ta orgia pozytywności przyprawiły mnie o mdłości, zrozumiałem jednak, co chciała mi zasugerować Lowenstein. Niezależnie od tego, jak szokująca mogła się wydać sytuacja Savannah, zawsze jeszcze była nadzieja. Jeśli Savannah będzie miała szczęście, Lowenstein okaże się odpowiednio dobra, a wszystkie karty znajdą się w końcu na stole, moja siostra mogła wyjść z tego i zostawić za sobą całą rozpaczliwie dudniącą demonologię jej życia.

Wypiłem przeto drugiego bourbona i usłyszałem, jak telefon dzwoni w Charleston.

- Halo - odezwała się matka.
- Cześć, mamó - powiedziałem. - Tutaj Tom.
- Och, Tom, kochanie. Jak Savannah?
- Całkiem dobrze, mamó. Wszystko chyba będzie dobrze.
- Właśnie przeczytałam, że dokonał się jakiś zdecydowany przełom w leczeniu chorób umysłowych. Mam wycinki i chcę być pewna, że przekażesz je osobie zajmującej się Savannah.
- Tak, mamó.
- I masz stanąć nad nią i przypilnować, żeby przeczytała wszystko. Czy mogę już zadzwonić do Savannah?
- Może już niedługo. Kiedy, tego nie jestem pewien.

- No dobrze, a co ty tam porabiasz całe lato? Coś mi się wydaje, że zanedbujesz żonę i dzieci.

- Cóż, może masz rację, mamó. Ale niebawem chyba wracam... Mamó, dzwonię do ciebie z tego powodu, że opowiem tej lekarce, co zdarzyło się u nas na wyspie tamtego dnia.

- Tamtego dnia nic się nie wydarzyło - powiedziała matka wyraźnie i spokojnie. - Złożyliśmy obietnicę, Tom. I oczekuję, że jej dochowasz.

- To była głupia obietnica, mamó. Wiem, że to jedna z tych rzeczy, którymi się dręczy Savannah, i sądzę, że pomoże to jej i lekarce, jeśli wszystko opowiem. Wszystko będzie w absolutnym zaufaniu, a poza tym to już miniona historia.

- Nie chcę w ogóle słyszeć o tym, że zrobisz choćby najmniejszą aluzję.

- Mamó, wiedziałem, że będziesz starała się nie dopuścić do tego. Wcale nie musiałem dzwonić i cię informować o czymkolwiek, mogłem po prostu opowiedzieć wszystko doktor Lowenstein. Uważałem jednak, że pomoże to nam wszystkim, włącznie z tobą, kiedy wreszcie cała sprawa wyjdzie na jaw.

- Nie! - krzyknęła. - Nie wolno ci! I tak już to zrujnowało nasze życie.

- Zrujnowało część naszego życia, mamó. Nawet nie wolno mi było powiedzieć na głos, co się zdarzyło tego dnia. Sallie tego nie wie, Luke nigdy o tym nie mówił, Savannah nawet nie pamięta. Tkwi to w nas, obrzydliwe i odpychające, i czas najwyższy, żeby to wreszcie wypłuć.

- Zabraniam.

- I tak to zrobię, mamó.

Nastała cisza i wiedziałem, że matka zbiera siły.

- Tom - powiedziała, a w jej głosie pojawiła się znajoma zawołowana groźba, zebrałem się więc w sobie, aby wytrzymać atak - czuję się obrzydliwie, że jako pierwsza muszę ci o tym powiedzieć, synu, ale Sallie dość ostentacyjnie romansuje z innym lekarzem ze szpitala. Głośno się o tym mówi w całym Charleston.

- Mamó, wiem, że jesteś zachwycona, iż jako pierwsza możesz mi o tym powiedzieć, i bardzo ci dziękuję za ten smakowity kąsek, ale o całej sprawie wiem już od Sallie. Co mam ci powiedzieć? Jesteśmy nowoczesnym małżeństwem. Lubimy saunę, chińskie jedzenie, zagraniczne filmy, lubimy pieprzyć się z obcymi. To sprawa Sallie, mamó, a nie twoja.

- Ale to, co zamierzasz ujawnić, z pewnością jest moją sprawą. Jeśli opowiesz o tym, wtedy Savannah prędzej czy później o tym napisze.

- A więc o to ci chodzi przede wszystkim?

- Nie - powiedziała - boję się, że wtedy otworzą się nowe straszliwe rany, Tom. Ja zapomniałam już o wszystkim, nigdy nie wracam do tego myśla. A ty obiecałeś, że nigdy nic nie powiesz o tamtym dniu.

- Teraz nikomu to już nie zaszkodzi.

- Zaszkozi i to bardzo. Mogę stracić wszystko, co mam. Mogę stracić męża, kiedy się dowie. Gdybym była tobą. Tom, miałabym jednak odrobinę więcej dumy. Będziesz musiał także powiedzieć, co z tobą stało się tamtego dnia.

- Powiem, mamó. No cóż, miło nam się gawędziło. Jak moje dziewczynki? Widziałaś się może z nimi ostatnio?

- Mają się chyba dobrze, przynajmniej jak na trzy cudowne dziewczynki porzucone przez obydwójce rodziców. Czy chcesz, żebym porozmawiała z Sallie i wyjaśniła jej, jak obrzydliwe jest jej zachowanie?

- Proszę, nie rób tego. To najgorsze, do czego możesz się posunąć. Niech ten romans się toczy. Przez ostatnie kilka lat nie byłem najwspanialszym z mężów.

- Jesteś obrzydliwą kopia swego ojca.

- Wiem, mamó, że przełożone na mniej obrazowy język znaczy to, że jestem gównó wart, w każdym razie będę ci wdzięczny, jeśli Sallie zostawisz w spokoju.

- No cóż, wydaje się, że moglibyśmy dobić targu - powiedziała matka. - Ja będę siedzieć cicho tutaj, a ty tam.

- Mamó, robię to, żeby pomóc Savannah, chociaż ty jesteś przekonana, że chodzi tylko o to, aby dopiec tobie, całkiem niesłusznie.

- Nie wiem, którym słowom wierzyć, kiedy pochodzą od moich dzieci. Tak wiele razy zaznawałam od was bólu, że nie ufam wam nawet wtedy, kiedy jesteście słodcy jak cukierek. Przez cały czas zadreżam się myśla, co teraz sobie obmyśliliście i w jaki jeszcze sposób postanowiliście mnie zdradzić. Gdybym wiedziała, co z was wyrośnie, zamordowałabym was jeszcze w kołyskach.

- Jeśli zważyć na to, jakie czekało nas dzieciństwo, byłby to wspaniałomyślny akt łaski - powiedziałem, czując, jak krew zaczyna galopować w żyłach, i na próżno usiłując poskromić język. - Mamó, zaczynamy tracić panowanie nad sobą, więc lepiej na tym skończmy, zanim poleje się krew. Zadzwoiłem tylko dlatego, że miałem poczucie, iż winien ci jestem jakieś wyjaśnienie. Wszystko zdarzyło się ponad dwadzieścia lat temu, nie zawinione przez żadne z nas, Tak chciał Bóg.

- Powiedz raczej: szatan. Ja radziłabym ci zachowywać się nadal tak, jak gdyby tego w ogóle nie było. Z pewnością tak lepiej byłoby dla Savannah.



Wiesz, do jakich reakcji jest zdolna. Lepiej byłoby także dla ciebie i dla mnie.

- A jak doszłaś do takich teorii, mamó? Skąd to przekonanie, że jeśli będziemy udawać, że coś się nie wydarzyło, wtedy to traci wszelką władzę nad tobą?

- To żadne teorie, po prostu zdrowy rozsądek. Na twoim miejscu, Tom, nie zajmowałabym się tyle przeszłością, a myślałabym raczej o przyszłości. Tak bym postąpiła. Przestałabym się oglądać wstecz. Czy uwierzysz, że przez ostatnie dwa lata ani razu nie pomyślałam o twoim ojcu?

- Byłaś jego - żoną ponad trzydzieści lat, mamó, nie wątpię więc, że w snach musi się pojawiać jako Dracula czy ktoś podobny.

- Nie pojawił się ani razu - zapewniła. - Kiedy żegnaj się z czymś z przeszłości, zamykam drzwi i nigdy już do tego nie wracam.

- A jak z Lukiem, mamó?

- Co takiego? - spytała.

- Myślisz o nim kiedyś? - spytałem, żałując swych słów i ich nieskrytego okrucieństwa już w chwili, gdy opuszczały me usta, aby po bucującym drucie pognać do Charleston.

- Jesteś podły, Tom - powiedziała matka złamanym głosem i odłożyła słuchawkę.

Przez chwilę chciałem zadzwonić raz jeszcze, ale dałem temu spokój - zbyt wiele leżało między nami nieprzetrawionych historii. Jeśli miałem w ogóle udobruchać matkę, mogło to nastąpić tylko w trakcie żmudnego procesu, wymagającego delikatności i subtelności, o które nie potrafiłem pokusić się przez telefon. Wiele czasu upłynęło od momentu, kiedy po raz ostatni spoglądaliśmy z matką na siebie przyjaźnie, od wielu lat każde jej słowo traktowałem jako fragment jakiejś przebiegłej Strategii, która miała pozbawić mnie wszelkiej obrony przed kolejnym z jej łagodnych, uperfumowanych ataków na moją duszę. W mej nienawiści do niej krył się niełatwy podziw, coś na kształt uwielbienia. Ponieważ nie rozumiałem matki, wszystkie kobiety świata traktowałem jako przeciwniczki i napastniczki. Ponieważ nie rozumiałem jej przenikniętej dzikością i zdradliwością miłości do mnie, nigdy nie potrafiłem przyjąć kobiecej miłości bez poczucia trwogi. W miłości zawsze dopatrywałem się jakiejś grozy zamaskowanej przez piękno i oszukującej delikatnością. Są na świecie rzeczy gorsze od wroga w osobie matki, ale nie jest ich wiele.

Znowu wykręciłem numer. Po czwartym dzwonku zgłosiła się Sallie.

- Cześć, Sallie. Mówi Tom.

- Cześć, Tom - powiedziała siostrzanym tonem. - Dzisiaj dostałyśmy twój list i dziewczynki zaraz usiadły, żeby ci odpisać.

- Cudownie. Posłuchaj, Sallie, matka właśnie zagroziła mi, że zadzwoni do ciebie, aby dać wyraz swemu moralnemu oburzeniu. Dowiedziała się jakoś o tobie i twoim kardiologu.

- Ale nie od ciebie, Tom, mam nadzieję? O Boże. Jeszcze tylko tego mi było potrzeba.

- Nie, oczywiście, że nie ode mnie.

- Czy powiedziałeś jej, że to tylko złośliwe plotki i jesteś absolutnie pewny mego cnotliwego prowadzenia się?

- Nie, chociaż może powinienem był o tym pomyśleć. Dałem jej raczej do zrozumienia, że jesteśmy podobni do pary nastolatków, którzy pieprzą się gdzie się da i z kim się da. Powiedziałem, że wiem o wszystkim.

- Jak zareagowała?

- Doznała malutkiej ekstazy, widząc syna w sytuacji rozanielonego rogowca, ale potem zagroziła, że zadzwoni do ciebie i powie, co o tym myśli. Twierdzi, że całe Charleston wie o waszym romansie. - Sallie milczała. - Podjęłaś już jakąś decyzję? - spytałem, rozpierając się w ulubionym fotelu siostry. - Co do nas? Mnie. Jego. Co do końca tego pieprzonego świata, w którym przyszło mi żyć?

- Daj spokój, Tom.

- Sallie, a czy on poinformował już swoją żonę? To będzie dopiero wielka chwila.

- Chce to zrobić w przyszłym tygodniu.

- Zatem powinienem wracać.

- Nie wiem, czy to najlepsze posunięcie.

- No cóż, przecież zawsze możesz się przenieść do Francis Marion Hotel. Nie, Sallie, chcę, żebyś pozostała, żebyś była moją żoną. Chcę zalecać się do ciebie, pieprzyć się z tobą na plaży, stole kuchennym, na dachu samochodu zwieszającego się z mostu na Cooper River. Poleję całe twe ciało słodką śmietaną, a potem będę powolutku zlizywał. Zrobię wszystko, co zechcesz, obiecuję. Wiele rzeczy sobie tutaj przemyślałem, a jedną z nich jest to, że kocham cię i będę o ciebie walczył.

- Nie wiem, nie wiem, Tom! - krzyknęła.

- Nie wiesz!!! - odpowiedziałem okrzykiem.

- Tom, brzmi to wspaniale, ale byłoby jeszcze wspanialej, gdybyś mógł to powiedzieć bez wszystkich swoich sztuczek i żarcików. Nie przypominam sobie, byś chociaż raz powiedział, że mnie kochasz, tak żeby zaraz tego nie zamienić w żart.

- To nieprawda, Sallie, i dobrze o tym wiesz. W nocy powtarzałem ci, że cię kocham, nieśmiało i z zakłopotaniem. Działo się tak wiele razy.

- Jack mówi mi to nieustannie, Tom, a nie jest przy tym onieśmielony czy zawstydzony. Mówi to prosto, szczerze i cudownie.

- Trudno o tym rozmawiać przez telefon. Uściskaj ode mnie dziewczynki. - Zadzwoń jutro wcześniej, to z nimi porozmawiasz.

- Dobrze. Trzymaj się, Sallie. Zastanów się nad wszystkim. Bez pośpiechu i starannie.

- Rzadko robię cokolwiek innego.

- Cześć, Sallie.

Odłożyłem słuchawkę i powiedziałem: „Kocham cię, Sallie”. Powiedziałem to w mrok pustego pokoju prosto, szczerze i cudownie, bez żadnych sztuczek i żarcików.

RS

## ROZDZIAŁ 22

W wieczór poprzedzający wręczanie dyplomów, kiedy wraz z Lukiem próbnie stroiliśmy się na uroczystość, matka wręczyła nam dwa duże pudła, prezent dla Savannah był mały i elegancko opakowany.

- Gdybym była bogata, na trawniku stałyby zaparkowane trzy cadillaki - powiedziała matka głosem pełnym znużenia i nostalgii. - A teraz wręczyłabym każdemu z was kluczyki.

- Jeśli już mowa o bogactwie, wpadł mi do głowy znakomity pomysł... - odezwał się ojciec, ale natychmiast umilkł, zmrożony jej spojrzeniem.

Savannah pierwsza otworzyła pakunek i znalazła pozłacane pióro wieczne, które podniosła do światła.

- Żebyś miała czym napisać swoją pierwszą książkę - powiedziała matka. - W Nowym Jorku.

Savannah mocno ją przytuliła i powiedziała:

- Bardzo dziękuję, mamó. Jest piękne.

- Było bardzo drogie, ale wytrzymałam je na przecenie. Pomyślałam, że im ładniejsze pióro, tym ładniejsze będziesz pisać wiersze.

- Napiszę - nim przepiękny poemat, mamó. Obiecuję.

- Napisz coś o Znakomitym Tacie - odezwał się ojciec. - Wielki wiersz wymaga wielkiego przedmiotu. Jak ja.

- Co ty za głupoty wygadujesz, Henry - powiedziała matka.

- Jestem pewna, że napiszę mnóstwo wierszy o was wszystkich - zapewniła z promiennym uśmiechem Savannah.

- Otwórzcie swoje - powiedziała matka do mnie i Luke'a.

Posłuchaliśmy, ja pierwszy uwinąłem się z opakowaniem i wyjąłem z pudła błękitną marynarkę, którą uszyła matka. Podobną marynarkę, tylko dużo większą dostał w prezencie Luke. Przymierzyliśmy je i leżały jak ulał. Przez całe miesiące, kiedy byliśmy w szkole, matka siedziała przy maszynie do szycia i wyobrażała sobie ten moment. Poszedłem do jej pokoju i obejrzałem się w wielkim lustrze. Po raz pierwszy w życiu wydałem się sobie przystojny.

Przesunęła się za mną bezszelestnie, nierealna, mgławicowa, i szepnęła:

- Pamiętasz, powiedziałam ci, że na zawsze zapamiętasz pierwszą marynarkę.

- Jak w niej wyglądam?

- Gdybym była młodsza, sama zaczęłabym się do ciebie przystawiać.

- Mamó - zachnąłem się i splonilem rumieńcem - nie mów takich rzeczy.

- Mówię tylko prawdę. Wyglądasz lepiej niż twój ojciec w najlepszym dniu swego życia.

- Wszystko słyszę - krzyknął ojciec z saloniku. - To cholerne kłamstwo.

Wręczanie dyplomów odbyło się w sali gimnastycznej, do której absolwenci wchodzili głównym wejściem parami przy dźwiękach Pomp and Circumstance. Kiedy Savannah została wywołana do złożenia podziękowania szkole w imieniu wszystkich kończących ją uczniów, matka, babka i dziadek zerwali się na równe nogi i głośno wiwatowali, podczas gdy Savannah zmierzała ku podium. Ojciec stał już u jego podnóża, aby utrwalić dla potomności przemowę córki. Zaczęła słowami: „Wychowywaliśmy się przy wtórze rytmu rzeki, niewinni i nieświadomi siebie, urzeczeni czarem najpiękniejszego miasta nadbrzeżnej Karoliny”. Jej mowa pełna była impresji i we wszystkich z nas wyrwała niezatarte obrazy. Po raz pierwszy poetka wystąpiła na forum publicznym, a majestatyczne słowa poddawały się jej ulegle, ona zaś spinała je przed nami w pęki, przywodzące na myśl bujny ogon pawia rozłożony w radosnej ostentacji. Savannah była geniuszem, jeśli chodzi o akty końcowe i pożegnalne gesty. Powiedziała do widzenia” światu, który zostawialiśmy za sobą, i zrobiła to na właściwy sobie sposób, niemożliwy do podrobienia i niezapomniany.

Kurator hrabstwa, Morgan Randel, wręczał każdemu z nas dyplom i życzył szczęścia w dalszej naszej drodze przez świat. Przepełniony tłum obdarzał każde z nas mdłym aplauzem, ale przetoczył się przezeń pomruk, kiedy ku Randelowi pomaszerował Benji Washington. Nikt z uczniów ostatniej klasy nie mruczał, wszyscy natomiast powstali i zgotowali owację Benjiemu, który dyplom odebrał z powagą i z tą swoją nieźrównaną godnością powrócił na miejsce. Był wyraźnie zaskoczony oklaskami, a kiedy obróciłem się za nim, zobaczyłem, jak jego matka kryje twarz w ramieniu męża, pełna ulgi, że skończyła się wreszcie długa próba, na którą został wystawiony jej syn. W istocie wiwatujemy teraz na cześć historii, myślałem, oklaskując Benjiego Washingtona, historię, zmianę przekonań i odwagę tak nadludzką, że nigdy później już takiej nie zobaczę, nigdy nie poczuję tak płomiennego dążenia do ideału. Myślałem też, ilu Benjich Washingtonów było tego wieczoru na Południu, ile było czarnoskórych synów i córek o godnym zachowaniu, którzy sprawdzili się we wrogim otoczeniu białych nastolatków, od chwili urodzin przyuczanych, by z całego serca kochać Jezusa, a nienawidzić czarnuchów.

Przy dźwiękach ponownie rozbrzmiałej muzyki wymaszzerowaliśmy na czerwcowy skwar. Ociekałem potem, gdyż uparłem się, by pod togą absolwenta mieć swą nowiutką marynarkę.

Jest północ po rozdaniu dyplomów, a my siedzimy na drewnianym moście, który łączy naszą wyspę z kontynentem Stanów Zjednoczonych. Księżyc drży w przybierającej wodzie przyływu, jego błada tarcza podryguje w nurcie. Nad nami gwiazdy są w połowie swego perfekcyjnego przemarszu przez noc i odradzają się w połyskliwym lustrze przyływu pod nami. Na lewo i na prawo od nas mokradła przyjmują w siebie napływające wody w roślinnym zachwycie, czuć prastary zapach błogości i odnowy. Dla przybysza z zewnątrz woń trzęsawisk jest odpychająca, dla miejscowych natomiast jest aromatyczną esencją planety. Nozdrza wypełnia nam rześki zapach rodzinnej okolicy. Ciasne szeregi palm na froncie każdego cypla, i potoki dzielące się na jeszcze mniejsze strumyczki wyglądają niczym arteria rozdzielająca się na coraz mniejsze żyły i naczynia. Ogoncza unosi się tuż pod powierzchnią niczym ptak ze snu. Od wyspy wieje wiatr, który porywa ze sobą wieść w postaci kapryfolium i jaśminu. Na chwilę zapach nocy zmienia się, gaśnie, nabiera mocy, znowu gaśnie, jest ostry niczym ocet, niepowtarzalny jak olejek laurowy. Savannah siedzi pomiędzy swymi braćmi, cudowna w ekonomii swej giętkiej sylwetki. Jedna moja ręka opasuje siostrę, druga spoczywa na masywnym karku Luke'a. Luke pociąga łyk Wild Turkey i podaje nam. Bourbona Dziki Indyk kupił nie dlatego, że jest drogi, lecz dlatego, że kojarzy się z polowaniem na indyki w chłodne zimowe poranki.

- Już po wszystkim - mówi Savannah. - Co to właściwie znaczy?

- Znaczy tyle, że musieliśmy przez to przejść, zanim puszcza nas wolno.

Bourbon przydaje mi łagodności, powiadam więc:

- Nie było wcale tak źle. Idę o zakład, że będziemy ten czas wspominać jako najlepszy okres w naszym życiu.

- Było okropnie - obruszyła się Savannah.

- Daj spokój, ty zawsze patrzysz na wszystko od najgorszej strony - powiedziałem i podałem butelkę Savannah. - Nawet jak niebo jest bez jednej chmurki, ty zaczniesz się martwić burzą.

- Jestem realistką - odrzekła, dając mi kuksańca w brzuch - a z ciebie jest tępy prostak. Nie znam nikogo innego, komu podobałoby się w szkole.

- I pewnie dlatego jestem okropny?

- Nie mam zaufania do nikogo, kto lubi szkołę - ciągnęła Savannah, ignorując moje pytanie - nie mam zaufania do nikogo, kto choćby ją toleruje. Nie zamierzam się zadawać z nikim, kogo można by podejrzewać, że grał w szkolnej drużynie futbolowej.

- Ja grałem w szkolnej reprezentacji - powiedziałem urażony.

- A ja obstaję przy swoim - oznajmiła Savannah i zaśmiała się z twarzą uniesioną ku niebu.

- Nie rozumiem, dlaczego tak nienawidzisz szkoły, Savannah - mruknąłem. - Przecież szło ci w niej bardzo dobrze, wystąpiłaś w imieniu wszystkich absolwentów, byłaś przewodniczącą ostatniej klasy, wygrałaś w plebiscycie na najciekawszą osobowość...

- Najciekawsza osobowość! - wrzasnęła pod adresem mokradeł, a w jej głosie słycać było wpływ bourbona. - Straszna miałam konkurencję, nie ma co. Byłam jedną z nielicznych postaci w tej szkole, które w ogóle miały jakkolwiek osobowość.

- Ja mam bardzo piękną osobowość - zaprzylem się.

- Dobrze podajesz i zaliczasz przyłożenia - powiedziała Savannah. - Ale trudno powiedzieć, żebyś olśniewał świat swą osobowością.

- Ma rację, Tom - dorzucił szyderczo Luke. - Figę masz, a nie osobowość.

- Savannah, a co to za wielka masa po twojej lewej stronie? - spytałem i ścisnąłem palcami szyję Luke'a. - Za wielka na to, żeby być człowiekiem, a za tępa, aby być hipopotamem. A teraz spróbuj powtórzyć to, co powiedziałeś. Spróbuj zaprzeczyć, że we mnie macie do czynienia z osobowością na miarę świata.

- Mówiąc szczerze, nie miałbym nic przeciwko temu, żeby być hipopotamem - oznajmił Luke. - Nic tylko siedzisz sobie na dnie rzeki i od czasu do czasu komuś przykopiesz.

- Szkoda, że przez cały ten czas w szkole nie zadałeś sobie pytania, kim jesteś, Tom - powiedziała Savannah. - Dlaczego nigdy nie zastanowiłeś się, kto znajduje się pod ochraniaczami?

- Doskonale wiem, kim jestem. Tom Wingo, z urodzenia i charakteru południowiec, normalny facet, który chce przeżyć normalne życie. Chcę poślubić normalną żonę i mieć normalne dzieci. Zupełnie niezależnie od tego, że pochodzę z pokręconej rodziny, a brat marzy o tym, aby zostać hipopotamem.

- Jesteś taki płytki, że polecisz na pierwszą pannę z dużymi cyckami, jaka się nadarzy.

- Niezła perspektywa - mruknął Luke i pociągnął łyk bourbona.

- Właśnie, a co z tobą, Luke? - spytała Savannah. - O co w tym chodzi?

- W czym?

- W życiu. Mamy noc po skończeniu szkoły, trzeba mówić o przyszłości, układać plany na resztę życia.



- Będę miał kuter krewetkowy, jak tato - powiedział Luke. - Z końcem lata ojciec pójdzie do banku i pogada o sfinansowaniu dla mnie łodzi.

- Zajmuje bardzo wysoką pozycję w bankowym rankingu kredytobiorców - zakpiłem. - Idę o zakład, że nie pożyczą mu nawet na wędkę i podbierak.

- Zanim pójdziemy, musi zrobić porządek z niektórymi kredytami.

- Możesz zdobyć o wiele więcej, Luke - powiedziała Savannah. - Możesz zejść o wiele dalej. Tyle że przez cały czas słuchasz tego, co mówią o tobie inni, i wierzysz w to.

- Luke, czemu nie zadzwonisz do trenerów w Clemson albo Karolinie i nie powiesz, że chciałbyś u nich grać? Posikaliby się z radości, gdyby się dowiedzieli, że będą cię mieć w swojej drużynie.

- Dobrze wiecie, że w college'u nie dałbym sobie rady ze stopniami. Przez ogólniak bym się nie przepchał, gdybyście różnych rzeczy nie robili za mnie. Nie muszę iść do college'u, żeby się dowiedzieć, że mądrała to ja nie jestem.

- Wcale nie jesteś głupi, Luke - sprzeciwiła się Savannah. - To właśnie gówno, którym cię karmiono, a ty je łykałeś z ochotą.

- Dzięki za te słowa, Savannah, ale spójrzmy prawdzie w oczy. Bóg zapomniał do mięśni dodać trochę więcej mózgu. Jestem drugi od końca w klasie. Gorszy był tylko Viryn Grant.

- Pod koniec roku pomagałam panu Lopatka wpisywać stopnie do naszych akt, a kiedy wyszedł na obiad, zajrzałam, jakie mamy ilorazy inteligencji.

- Nie bujaj - powiedziałem. - Te informacje są objęte absolutną tajemnicą.

- A jednak zajrzałam. I było to bardzo ciekawe, szczególnie jeśli chodzi o Luke'a. Czy wiesz, że masz wyższy iloraz niż Tom, Luke?

- Co takiego?! - wrzasnąłem dotknięty do żywego.

- Uuu!!! - zawył Luke, płosząc dziką kaczkę z jej siedziby w wysokich trawach. - Daj bourbona Tomowi. Taka wiadomość zepsuje mu całą radość z dyplomu.

- A czemu? - wzruszyła ramionami Savannah. - Wszyscy wiedzą, że iloraz inteligencji nic nie znaczy.

- A ile ty miałaś? - spytałem?

- Sto czterdzieści, co stawia mnie w szeregu geniuszy. Rozumiem, że nie jest to żadnym zaskoczeniem dla wielbiących mnie braci.

- A jaki mam ja? - spytał Luke, a w jego głosie wyraźnie wyczułem nutkę triumfu.

- Sto dziewiętnaście, podczas gdy Tom sto piętnaście.  
 - Jestem twoim bliźniakiem, do jasnej cholery - rzuciłem z irytacją. - Na pewno się pomyliłaś.

Luke wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Zawsze mi się wydawało, że Tom jest troszkę powolny.

- Pocałuj mnie w dupsko - prychnąłem. - Zawsze byłem pewien, że bliźnięta mają automatycznie taki sam iloraz inteligencji.

- Nawet jednojajowe nie mają takiego samego, Tom - pouczyła mnie Savannah. - W każdym razie nie ulega wątpliwości, że tobie dostał się krótszy kawałek kija.

- No i pomyśl tylko, Tom. Jestem mądrzejszy od ciebie. Trzeba za to wypić.

- Przynajmniej z tego, co otrzymałem, potrafię zrobić lepszy użytek - powiedziałem nadąsany.

- I tu masz rację, mały braciszku. Jak na tak kiepski IQ, dajesz sobie radę całkiem niezłe - powiedział Luke i oboje z Savannah zaczęli się tarzać po moście ze Śmiechu.

- Ja w każdym razie postanowiłem zostać trenerem - oznajmiłem, sięgając po bourbona - więc niepotrzebny mi jakiś wszechświatowy umysł.

- Właściwie mógłbyś się w ogóle obyć bez mózgu, Tom - zauważyła Savannah. - Będzie ci tylko przeszkadzał.

- Dlaczego tak mówisz?

- Bo ja z chęcią zorganizowałabym grupę zamachowców, którzy wykończyliby wszystkich trenerów. Jeździlibyśmy po całym świecie i torturowali każdą osobę niezależnie od płci, która miałaby dres na sobie i gwizdek w ustach.

- A jakich tortur byś użyła? - zainteresował się Luke.

- Po pierwsze, musieliby słuchać muzyki poważnej. Potem przez tydzień pobieraliby lekcje baletu. Potem, zaraz potem kazałabym im przeczytać dzieła zebrane Jane Austen. A skończyłabym na przymusowej zmianie płci przeprowadzonej bez znieczulenia.

- Cóż za okrucieństwo, Savannah - powiedziałem. - Jakież to dziwne myśli kłębią się w twojej ślicznej główce.

- Jeśli Tom chce być trenerem, to niech będzie trenerem - odezwał się Luke. - Dlaczego nie wolno mu robić tego, co chce?

- Ponieważ stać go na znacznie więcej - wyjaśniła Savannah. - Póldarmo sprzedaje siebie Południu. Przykro mi, Tom, ale jesteś chory na południową niemoc, a na nią nie pomoże żadna szczepionka.

- A ty na pewno staniesz się wielką gwiazdą w Nowym Cholernym Jorku  
- mruknąłem z lekką goryczą w głosie.

- Stanę się - oświadczyła po prostu.

- Mama bardzo chce, żebyś wzięła to stypendium z Converse College - poinformował Luke. - Słyszałem, jak wczoraj rozmawiała o tym z Tolithą.

- Wolę umrzeć, niż zostać w Karolinie Południowej dzień dłużej niż to konieczne. Wyobrażacie sobie, co mama dla mnie obmyśliła? Że wyjdę za jakiegoś prawnika albo lekarza, którego poznam w college'u, potem osiądę w jakiejś cichej mieścinie, o której mało kto w całym stanie słyszał, i wydam na świat czworo lub pięcioro dzieci. Jeśli będą to dziewczynki, mama oczekuje, że wychowam je tak, aby wyszły za lekarzy lub prawników. Nawet jej marzenia mają dla mnie zapach śmierci. W każdym razie nie akceptuję jej programów. W Colleton każdy oczekuje od ciebie określonego rodzaju zachowania i wszyscy bardzo pilnują, aby nikt za bardzo nie zboczył od podstawowej wizji. Dziewczeta są piękne i pogodne, chłopaki nie dają sobie dmuchać w kaszę.

Rzygać mi się już chce od tego ukrywania, kim naprawdę jestem i co czuję. Wyjeżdżam do Nowego Jorku, gdzie nie będę się bała odnaleźć w sobie wszystkiego, co się tam kryje.

- A czego się bać? - spytał Luke, podczas gdy czapla niepewna jak ćma przeleciała nad trzęsawiskami.

- Boję się, że jeśli zostanę tutaj, skończę jak pan Fruit. Zwariuję albo zostanę przygłupem, zebrzącym o kanapki przy wyjściu z restauracji czy baru. Chcę znaleźć się w miejscu, gdzie jeśli nawet popadnę w chwilowe szaleństwo, przejdzie to niezauważone. Samo to miasto wpędza mnie w wariactwo na skutek prób, jakie muszę podejmować, aby udawać, że jestem taka jak wszyscy. Ja zawsze wiedziałam, że jestem inna. Urodziłam się na Południu, ale przez najkrótszą chwilę życia do niego nie należałam. To mnie nieomal zabija, Tom, Luke. Jestem chora, umyślowo chora od czasu, gdy byłam małą dziewczynką. Widzę dziwne rzeczy. Słyszę dziwne głosy. Mam straszne sny. Ilekroć mówiłam o tym mamie, ona odpowiadała: „Weź dwie aspiryny i zrezygnuj z deseru”. Ile mnie kosztowało wysiłku, żeby wytrzymać do tego dnia.

- Dlaczego nic nam nie powiedziałaś? - spytał Luke.

- A co byście na to poradzili? - odparła.

- Kazalibyśmy ci wziąć trzy aspiryny i zrezygnować z deseru - powiedziałem.

- Wiecie, co widzę, kiedy patrzę teraz w wodę? - rzekła cicho Savannah.

- Setki utopionych psów, których ślepia wpatrują się we mnie.

Spojrzałem w wodę i zobaczyłem tylko wodę.

- Tak - mruknąłem. - Może rzeczywiście powinnaś wyjechać do Nowego Jorku.

- Zamknij się, Tom - powiedział Luke i objął Savannah opiekuńczym ramieniem. - Nie ma tam żadnych psów, malutka. To tylko twój umysł robi sztuczki.

- Czasami widzę Dzieciątko Praskie. Wiecie, ta statuetka, którą ojciec przywiózł z Niemiec. Jezusowi ropa cieknie z oczu” a on kiwa na mnie, żebym do niego dołączyła. Czasami mama i tata zwieszają się nadzy z rzeźnickich haków, warcząc na siebie, szczerząc kły i ujadając.

- Nie jest łatwo mieć iloraz sto czterdzieści, co, Savannah? - powiedziałem.

- Zamknij się, Tom - powtórzył Luke bardziej stanowczo niż poprzednio i istotnie się zamknąłem.

Cała nasza trójka zastygła w ciszy, niezręcznej, nieprzyjemnej ciszy.

- Chryste Panie, ale historia. Podaj dalej bourbona, Luke, i sugeruję, żebyś wypila połowę, Savannah, kiedy dotrze do ciebie. Mówiąc prawdę, gdybym widział te rzeczy i słyszał te głosy, wołałbym nie trzeźwieć. Rozumiecie, zbudzić się z rana i walnąć łufę. I walić je jedna za drugą, aż padnę z wieczora.

- To może lepiej zostań lekarzem, a nie trenerem, Tom - powiedział Luke. - Nasza siostra ma poważne kłopoty i usiłuje nam powiedzieć coś ważnego, a ty sobie siedzisz i po swojemu żartujesz. Musimy jej pomóc, a nie dowcipkować.

- Nic nie poradzisz, Luke - powiedziała. - Już od dłuższego czasu żyję z tym samotnie. Próbowałam namówić mamę, żeby poszła ze mną do psychiatry z Charleston, ona jednak była oburzona, że specjalista bierze czterdzieści dolarów za godzinę.

- Czterdzieści za godzinę - powtórzyłem i gwizdnąłem. - Cholera, trzeba chodzić w surducie i palić grube cygara, żeby być wartym czterdzieści zielonych za godzinę. Do diabła, a może zostanę psychiatrą. Powiedzmy, że pracuję dziesięć godzin dziennie, sześć dni w tygodniu, pięćdziesiąt tygodni w roku, pomagając ludziom, którym przywidują się mamusi wiszące na haku rzeźnickim. Wyciągałbym, mój Boże, sto dwadzieścia tysięcy dolarów rocznie brutto. Nigdy nie przypuszczałem, że można stać się bogaczem, pomagając świrom.

- Upiłeś się, Tom - powiedział Luke. - Powtarzam ci, zamknij pysk, bo inaczej wrzucę się do wody, żebyś otrzeźwiał.

- Grozisz, że mnie wrzucisz do wody? - zaśmiałem się i nie bardzo już panowałem nad słowami. - Uważaj, do kogo mówisz. Nie do byle kogo, ale do faceta, który potrafi sobie poradzić na boisku. Nie myśl, że ze mną pójdzie ci tak łatwo jak z tymi lalusiami, którzy boją ci się spojrzeć w oczy.

- Przepraszam cię, kochanie - powiedział Luke i delikatnie uszczypnął Savannah w policzek - ale muszę mojego małego braciszka nauczyć szacunku dla starszych.

- Tylko nic mu nie zrób, Luke. Po prostu ma słabą głowę.

- Ja mam słabą głowę? - zawołałem, czując, jak rozpięra mnie moc, i pociągając kolejnego łyka z butelki. - Przepiję każdego faceta w tym hrabstwie. Siadaj, Luke, bo nie chcę cię kompromitować na oczach damy.

Luke wstał, także i ja chwiejnie się podniosłem. Czułem w sobie pijacką nieustraszoną, ale kolebałem się, idąc mu naprzeciw. Nieporadnie usiłowałem założyć mu pytona, ale chwycił mnie i przekoziółkował do rzeki. Wynurzyłem się, rozpaczliwie chwytając powietrze i kaszląc, a nad mokradłami niósł się śmiech Savannah.

- Strasznie jacyś marni są ci twardziele z boiska - powiedział Luke, podczas gdy ja płynąłem do brzegu.

- Módl się, żeby się nie zniszczyła moja marynarka, Luke, bo inaczej codziennie będziemy przez całe lato walczyć na pięści.

- Nie powinieneś nosić marynarki na taki upał - zauważył Luke i skoczył do wody, gdzie zaczął się ze mną mocować i kilka razy przytopił, zanim uznałem się za pokonanego.

- Chodź, Savannah - zawołał Luke. - Zdejmij buty, z powrotem do domu popłyniemy, jak dawniej..

Ściągnąłem buty, spodnie i marynarkę, a potem podałem je Savannah, która położyła je na brzegu, a potem zrzuciła bawełnianą sukienkę, by posągowo piękna stanąć w majteczkach i staniku w księżycowej poświacie. Po chwili uniosła do góry rękę z butelką i resztką bourbona w środku.

- Ostatni toast będzie za naszą przyszłość. Najpierw za Toma. Powiedz, czego chcesz od życia, quarterbacku?

Leżąc na plecach, spojrzałem w twarz siostry i powiedziałem:

- Chcę być normalnym dobrym obywatelem.

- Zatem za normalność. - Savannah pociągnęła z butelki. - A ty, Luke?

- Będę rybakiem. Chcę być solidny.

- Więc toast także za solidność.

- A ty, nowojorko? - spytałem. - Za co ty wzniesiesz toast?

- Chcę pisać poezje i być dzika, wręcz rozpustna. Rozbiore się do naga i będę się przechadzać po Fifth Avenue. Będę miała romanse z mężczyznanami,

kobietami i zwierzętami. Kupię sobie papugę i nauczę ją przeklinać. I jak ojciec wszystko będę nagrywać kamerą, a taśmy wysyłać do domu.

- Podaj mi butelkę - powiedział Luke, płynąc w kierunku mostu. Wziął flaszkę od Savannah i upił, przesuwając się jednocześnie w moim kierunku.

- Za dzikość - powiedział i przekazał mi bourbona.

- Za Savannah Wingo - krzyknąłem. - Za najdzikszą kobietę, jaka kiedykolwiek przebyła Holland Tunnel.

- Żegnaj, Colleton - wrzasnęła siostra w kierunku Atlantyku. - Do widzenia, Południe. Koniec z futbolem. Koniec z byczokarkimi prostakami. Żegnaj, mamó. Żegnaj, tato. Witaj Big Apple.

I pozwoliliśmy, by nurt poniósł nas do domu.

Było to najlepsze lato, jakie spędziłem na wyspie, i powoli zaczynałem się zbierać do wyjazdu. Z pewnym zdziwieniem stwierdziłem, że nie bardzo potrafię sobie wyobrazić życie bez rodziny dookoła. Dotychczas ledwie parę razy zdarzyło mi się spędzić noc z dala od głosów śpiącego domu rodzinnego. Nie byłem całkiem gotów porzucić tego jedyne go życia, które znałem, czy też jedyne go, którego pozwolono mi dotąd zaznać. Nie można było odwołać dorastania, a strach przed rozłąką przejawiał się w niepewnym rytmie gestów pożegnania. Usiłowałem znaleźć sekretne słowa, w których wyraziłaby się rozdierająca moje serce pasja. Trwające osiemnaście lat widowisko pełne blasku i bólu dobiegało końca, a ja nie mogłem tego znieść, chociaż też nie potrafiłem nikomu powiedzieć, co czuję. Rodzina to jedna z naturalnych substancji rozpuszczalnych - rozmywa się w czasie niczym cukier w wodzie. Jest lato, a cisza i skwar majestatycznie zapanowały nad brzegami rzeki. W gazecie czytamy, że jadowite mrówki przekroczyły Savannah River i osiedliły się w Karolinie Południowej. Koło wyspy Kiawah Luke schwytał pierwszego tarpona. Wielka ryba walczyła zażarcie, wyskakując z wody i znikając pod powierzchnią, a kiedy wreszcie wydobyliśmy ją na łódkę, Luke ucałował ją, po czym w geście szacunku i wdzięczności wypuścił z powrotem. Savannah spędziła lato na malowaniu akwael i pisaniu wierszy imitujących Dylana Thomasa. Dni kończyły się bezgłośnie, a w mroku świetliki kreśliły szyfry błędnych ogników.

Próbowałem poskładać fragmenty wiedzy, którą uzyskałem jako wyspiarskie dziecko, i uporządkować je niczym wiadomości o nowo odkrytym archipelagu, do którego będę mógł powrócić, kiedy zechcę. Liczyłem nieubłagane upływające dni, jak gdyby były paciorkami rozsypującego mi się w dłoniach różańca. Budziłem się wcześniej rano i patrzyłem, jak ojciec wychodzi na przystań. W nocy świetliki budowały

swoje nietrwale zodiaki. Skupieni, świadomi tego, co upływa, okazywaliśmy sobie sympatię, podczas gdy czerwiec wyletniał się zielono.

W oczach matki dostrzegaliśmy treść, którą interpretowaliśmy jako trwogę wieku średniego, utratę celu w życiu. Nie wiedziała, jaką postawę zająć wobec świata, kiedy przestawała już być matką. Postawiona wobec nowej wolności, nie potrafiła się określić. Także i my z niepokojem myśleliśmy o tym, że kiedy ją opuścimy, zostawimy ją tylko z ojcem. Była na nas zagniewana i fakt naszego dorostania traktowała jak niewybaczalną zdradę. Ani razu nie pozwoliła nam zabrać się na łódkę z ojcem, stwierdziła, że tego pamiętnego lata musimy być bez reszty jej dziećmi. Kończyła swoją rolę matki w wieku trzydziestu siedmiu lat i nie mogła znieść myśli, że oto królować będzie w domu wyzbytym śmiechu i łez dzieci. Niemal całe dni spędzaliśmy z nią, a tymczasem w strumieniach zaroiło się od krewetek, a pośrodku wyspy czaple tworzyły niewielkie kolumnady niczym słupy świeżej soli. Wszystko było jak zawsze, a przecież ze straszliwą nieuchronnością musiało się zmienić. Zbliżała się chwila, gdy wszystkie liturgie codzienności zbiegną się w jednym, przekształcającym całe życie wydarzeniu.

Dziewiętnastego czerwca matka obchodziła trzydzieste siódme urodziny i na jej cześć wydaliśmy przyjęcie. Savannah zrobiła tort czekoladowy, a ja z Lukiem popłynęliśmy łódką do miasta, gdzie kupiliśmy największą butkę Chanel No 5, jaką miała w swoim sklepie Sarah Poston. Zapewniła nas, że Chanel używają jedynie kobiety tres elegante, umiejętności kupieckie były bez wątpienia lepsze od francuszczyzny, kazaliśmy zapakować prezent i patrzyliśmy, jak znika w jasnoławendowym papierze.

Podczas wieczery urodzinowej matka musiała dmuchać trzy razy, zanim zgasła wszystkie świece, a kiedy cała rodzina z niej dowcipkowała, ona zastanawiała się, czy aby nie rozwija się w niej jakaś straszliwa choroba płuc związana z wiekiem. W złocistym blasku świec twarz matki wydawała się niebywale piękna. Kiedy uśmiechnęła się do mnie, czułem się oczyszczony przez płomień jej afektacji. Ucałowała mnie i czułem zapach Chanel, łagodzący widok drobniutkiej zmarszczki na szyi. Trwając w jej uścisku, chciałem wybuchnąć gwałtownym i czułym płaczem chłopca wychowanego w miłości do matki. Chciałem jej powiedzieć, że rozumiem wszystko i że ani do niej, ani do ojca nie mam pretensji za życie na wyspie, milczałem jednak z głową wtuloną w jej ramię, wdychając słodki zapach jej włosów.

Tego wieczoru Luke zaskoczył wszystkich nagłym wybuchem, kiedy przysłuchiwał się, jak z Savannah rozmawiamy o opuszczeniu wyspy.



Podobnie jak matka nie chciał przyjąć do wiadomości, że teraz nasze życie się odmieni, że dzieciństwo minęło nieodwołalnie, stając się melodią zagubioną w kontinuum czasu, bezsilną, niemą. Lukiem wstrząsnęło łkanie, łagodne adagio cierpienia, ale jego smutek przenikała siła. Kiedy widziało się płaczącego Luke'a, doświadczało się królewskiej melancholii, samotności okaleczonego lwa, którego opuściła duma. Chciałem objąć brata i przyłgnąć twarzą do jego twarzy. Ale nie potrafiłem. To Savannah przygarnęła go i obiecała, że nic się nie zmieni. Luke należał do wyspy, ona i ja tylko się na niej urodziliśmy, nie stanowiliśmy jej żadnej istotnej, żywotnej części. Tak przynajmniej głosił mit, który nas podtrzymywał, którym karmiły się nasze pogodne wizje wyprawy poza ograniczenia i zapaści rodziny.

- A co to za beczenie? - spytał ojciec.

- Po prostu Luke'owi jest przykro, że go opuszczamy - wyjaśniła Savannah.

- Do diaska, synu, musisz panować nad sobą - powiedział ojciec. - Jesteś teraz krewetkarzem. A krewetkarze nigdy nie beczą.

- Daj spokój, Henry - wtrąciła się matka. - Daj mu spokój.

- Z pewnością dorobiłem się cholernie czułości w rodzinie - oznajmił ojciec, po raz kolejny wyizolowany. - A niczego w życiu nienawidziłem bardziej niż czułości.

Tego wieczoru leżeliśmy na przystani i czuliśmy wielkość zżywania się rzeki z prądami przyływu. W mdłym świetle dojrzewającego księżyca mogliśmy widzieć każdą gwiazdę, którą Bóg zechciał odsłonić przed ludzkim spojrzeniem w tej części świata. Nad sobą widziałem białą rzekę Drogi Mlecznej, a podniósłszy do góry rękę, mogłem dłonią unicestwić jej połowę. Odpływ obniżał poziom wody i skrzyplące wynurzyły się ze swoich jam w błocie, samce w zdumiewającej harmonii poruszały hałaśliwymi kleszczami, a była to synchronia wody, gwiazd i wiatru. Swymi zbrojnymi odnóżami dawały do zrozumienia, że świat jest taki, jak być powinien. Tysiące krabów dawały Bogu znać, że nastąpił przyływ, że Pegaz lśnił odpowiednio mocno, że delfiny snuły łowiecką pieśń w opadającej wodzie, że Księżyc służył wypelniał swe obowiązki. W ich ruchach widziało się taniec, ufność, ceremonię boskiej afirmacji. Także i ja na wzór krabów podniosłem rękę i pomachałem do dzielnego piechura, Oriona, który swym niespiesznym krokiem szedł w pełnej zbroi. Jego pas odległy był o miliony mil od moich oczu, a przecież wydawał się bliższy od gwiazd domu.

Trzeciego sierpnia znowu spałem na pomoście, zerwał się wiatr z południowego wschodu. W południe fala przyływu osiągnęła szczyt, ale wiatr ją powstrzymywał i rozpoczęło się gigantyczne starcie. Gięły się drzewa w sadach, szarpała fasola na tyczkach. Po obiedzie Luke chciał zabrać mnie i Savannah na południowy skraj wyspy, gdzie miał zamiar spędzić wieczór, okopując pekany, które od dwóch lat nie dawały owoców. Wesoło odpowiedziałem mu, że mnie to nie obchodzi, czy choćby jeden orzech pekanowy pojawi się na Melrose Island przez następne pięćdziesiąt lat i że w taką pogodę ani myślę włączyć się po wyspie. Savannah i ja zostaliśmy więc z matką, Luke wyszedł tylnymi drzwiami i ruszył przez mokradła, mając wiatr w plecy.

Radio nastawione było na stację w Georgii i cała nasza trójka podśpiewywała ulubione kawałki w daremnej próbie zharmonizowania głosów. Rozpoczęła się piosenka stanowiąca dla matki przebój lata i wszyscy głośno śpiewaliśmy, udając, że drzemy się do niewidzialnych mikrofonów ku uciechu rozanielonych tłumów. Kiedy melodia się skończyła, oklaskiwaliśmy siebie nawzajem i kolejno każde z nas kłaniało się w podzięcie rozentuzjasmowanym fanom.

Wiadomości przerwały audycję muzyczną. Informacje ogólnokrajowe płynnie przeszły w lokalne. Gubernator Georgii zwrócił się do rządu federalnego o fundusze na ochronę plaży Tybee, poza tym z więzienia w Reidsville w środkowej Georgii uciekło trzech mężczyzn. Byli niebezpieczni, najprawdopodobniej uzbrojeni, jak przypuszczano, skierowali się w stronę Florydy. Podczas ucieczki zabili jednego ze strażników. Towarzystwo Historyczne z Savannah wystosowało protest w związku z udzieleniem przez władze pozwolenia na budowę hotelu na terenie zabytkowym. W lokalu na River Street aresztowano barmana za sprzedawanie alkoholu nieletnim. Wiadomości zlewały się z radosnym głosem matki.

Deszcz zaczął padać w chwili, gdy spiker oznajmił, że prawdopodobieństwo opadów w rejonie Savannah wynosi czterdzieści procent.

Informacje się skończyły i rozbrzmiewała muzyka The Shirelles, matka z chichotem rzuciła się do tańca z Savannah. Jak większość licealistów z mojego pokolenia, figury futbolowe poznałem o wiele wcześniej od figur tanecznych, przyglądałem się więc ich płynnym ruchom z zachwytem, ale i zazdrością. Jakaś nieśmiałość nie pozwalała mi poprosić siostrę czy matkę, aby nauczyły mnie tańczyć. Z zakłopotaniem myślałem o samym trzymaniu

ich za ręce. Prowadziła matka i wdzięcznie wirowały z Savannah po saloniku.

Nie wiedzieliśmy, że dom jest obserwowany. W szczęśliwej nieświadomości matka tańczyła z siostrą, a ja podśpiewywałem do wtóru The Shirelles, rytmicznie klaszcząc w dłonie. Od rzeki zagrzmiało, ale nasz dom pełen był muzyki, tańca i miękkiego stukotu deszczu o dach. Mieliśmy się dopiero dowiedzieć, że trwoga to tajemna sztuka, która wymaga odpowiedniego nauczyciela. Krwią mieliśmy wypisać swoje imiona na obojętnych stronicach księgi godzin. Zjawił się nasz odpowiedni nauczyciel, ale wszystko rozpoczęło się od muzyki.

Rozległo się pukanie do frontowych drzwi i cała trójka popatrzyła na siebie pytająco, nie słyszeliśmy bowiem, aby przed dom zajeżdżał jakiś samochód. Wzruszyłem ramionami i poszedłem do drzwi.

Kiedy je otworzyłem, poczułem zimny dotyk stali na skroni. Spojrzałem na mężczyznę, był bez brody, ale poznałem go natychmiast. W oknie czasu zobaczyłem okrucieństwo i magnetyzm tego spojrzenia.

- Callanwolde - powiedziałem i usłyszałem za sobą krzyk matki.

Dwaj pozostali wdarli się przez tylne drzwi dokładnie w chwili, gdy radio powtarzało informację o ucieczce z Reidsville trzech więźniów, którzy mieli się ponoć udać na Florydę. Podano ich nazwiska. Otis Miller, przez nas zwany Callanwolde. Floyd Merlin. Randy Thompson. Poczulem tak wielką niemoc, strach i tchórzostwo, że opadłem na kolana i zaskomlałem bez słów.

- Nigdy cię nie zapomniałem, Lila - powiedział olbrzym. - Przez wszystkie te lata w więzieniu wspominałem tylko ciebie. A to sobie zachowałem na pamiątkę.

Podniósł do góry zabłocony kawałek listu, który matka napisała podczas wojny koreańskiej do dziadka, a który nigdy nie dotarł na wyspę.

Grubas chwycił Savannah za szyję i ciągnął w kierunku sypialni. Siostra szarpała się i krzyczała, ale złapał ją za włosy i przepchnął przez próg.

- Trochę się razem zabawimy - powiedział i mrugnął do pozostałych, a potem zamknął drzwi.

- Kobieta jest moja - obwieścił Callanwolde i objął matkę spojrzeniem pełnym tak pierwotnego pożądania, iż wydawało się, że przesiąknęło nim całe powietrze.

- Tom - krzyknęła matka. - Pomóż mi, proszę.

- Nie mogę, mam - szepnąłem, ale na przekór słowom rzuciłem się w kierunku stojaka z bronią.

Drogę zagroził mi Callanwolde i jednym ciosem powalił na ziemię, a wracając do matki z pistoletem wymierzonym w jej twarz, powiedział słowa, których nie rozumiałem.

- Chłopak jest twój, Randy. Wydaje się całkiem milutki.

- Młode mięsko - mruknął Randy i postąpił w moim kierunku. - To lubię najbardziej na świecie.

- Tom - powtórzyła matka z histerią w głosie. - Musisz mi pomóc.

- Nie mogę, mam - wychrypiałem, czując na grdyce ostrze noża Randy'ego, podczas gdy Callanwolde poniósł matkę przed drzwi i cisnął na łóżko, na którym zostałem poczęty.

Randy od tyłu rozciął mi koszulę i kazał rozpiąć pasek. Nie wiedząc, o co mu chodzi, spełniłem polecenie i spodnie opadły na podłogę. Pochodziłem z zapadłej prowincji Karoliny Południowej. Nie wiedziałem, że można zgwałcić chłopaka. Ale w domu zjawił się nauczyciel.

- Ślicznie. Naprawdę ślicznie. Jak ci na imię, chłopczyku? No, powiedz Randy'emu...

Nacisnął mocniej ostrzem na gardło, podczas gdy cały dom przepełniały krzyki matki i siostry. Miał oddech kwaśny i metaliczny. Poczułem na karku dotyk jego ust. Zaczął ssać moją skórę i poczułem, jak jego wolna ręka ścisła moje genitalia.

- Powiedz mi, jak się nazywasz, chłopczyku, bo ci podetnę jebane gardziółko.

- Tom - powiedziałem głosem, który wydał mi się zupełnie obcy.

- Miałeś już kiedyś chłopca, Tommy? - spytał Randy, z sypialni dochodziło łkanie Savannah. - Nie, oczywiście, że nie, Tommy. Ja będę twoim pierwszym. Wypierdolę cię aż miło, zanim poderżnę ci gardło.

- Proszę - jęknąłem, ale w tej samej chwili ścisnął mi tchawicę tak mocno, że poczerwieniało mi w oczach. Ostrze przesunęło się po kręgosłupie i rozcięło ślipy. Chwycił mnie za włosy i zmusił do ukłęknięcia. Nie wiedziałem, co chce zrobić, aż poczułem dotyk członka koło odbytnicy.

- Nieee! - zawylem.

Odciągnął mi głowę do tyłu, nożem naciął do krwi pośladek i szepnął:

- Ja będę cię pierdolił, a ty się wykrwawisz na śmierć, Tommy. Gównu mnie to obchodzi.

Kiedy we mnie wszedł, próbowałem krzyknąć, ale nie mogłem. Nie mogłem wydobyć z siebie głosu, tak straszne były upokorzenie i wstyd. Miał olbrzymiego członka, który rozrywał mi odbytnicę. Poczułem wilgoć na udach i pomyślałem, że już się spuścił, tymczasem była to moja własna

kw. Wbijał się coraz głębiej we mnie, a ja słyszałem, jak matka i siostra wzywają mnie, abym je ratował.

- Tom, Tom - dyszała Savannah. - On tak mnie boli, tak boli.

Oczy napełniły mi się łzami, gdy zaczął jeździć we mnie.

- Powiedz, że to kochasz, Tommy - szepnął. - Powiedz, jak bardzo to lubisz.

- Nie - wychrypiałem.

- To ci poderżnę gardło, Tommy, i zleję się w tobie, a ty będziesz się wykrwawiał na śmierć. Powiedz, że to kochasz.

- Kocham.

- Czulej.

- Kooocham.

Ponieważ dopełniły się bezsilność i upokorzenie, drgnęło, we mnie zupełnie inne uczucie, podczas gdy Randy mruczał, poruszając się głęboko we mnie. Nie zauważył momentu, gdy zapłonęła we mnie mordercza pasja. Usiłowałem otrząsnąć się z przerażenia. Uniosłem głowę, rozejrzałem się po pokoju, aż wreszcie wzrok zatrzymał się na lustrze wiszącym nad kominkiem. W nim zobaczyłem twarz Luke'a, który zaglądał przez południowe okno. Pokręciłem lekko głowę i bezgłośnie poruszyłem ustami: „Nie”. Wiedziałem, że wszystkie karabiny są w domu i jedyna nadzieja w tym, iż Luke pobiegnie po pomoc. Kiedy spojrzałem znowu, Luke'a już nie było.

- Mów do mnie, Tommy - znowu wyszeptał Randy. - Mów do mnie, kochanie.

Potem usłyszałem to pomimo wiatru. Dźwięk poruszył jakieś wspomnienie, ale nie potrafiłem go zidentyfikować: Przypominał trochę pisk królika, który ulatuje z łąki w szponach jastrzębia. Wiatr szarpał drzewa i gałęzie łomotały o dach. I znowu dobiegł mnie dźwięk, którego nazwać ani zlokalizować nie potrafiłem. Czy i mężczyzna mógł go usłyszeć, zastanowiłem się i jęknąłem głośno.

- Tak, dobrze, lubię, kiedy jęczysz, Tommy - powiedział Randy Thompson. -: Bardzo nawet lubię.

- Proszę, błagam - krzyczała matka, a kiedy tym razem usłyszałem dźwięk poprzez deszcz, już wiedziałem. Odgłos koła obracającego się na nie natłuszczonej osi. Dźwięk późnego lata, dni czupurnych, gdy wraz z Lukiem rozpoczynaliśmy niezmordowane przygotowania do ostatniego sezonu futbolowego. Dźwięk sierpnia, kiedy nakładaliśmy ochraniacze, aby w nader osobliwy sposób wzmacniać ciała przed wrześnieowymi grami. Zajmowaliśmy pozycje za klatką tygrysa i tak długo pchaliśmy ją w górę i

dół drogi, aż wreszcie padaliśmy ze zmęczenia. Docieraliśmy do granic naszej wytrzymałości, aby stać się silniejszymi od wszystkich tych chłopaków, którzy będą na nas szarżować zza linii zagrywki. Codziennie dręczyliśmy swe ciała, aby w surowej dyscyplinie stwardniały jak najbardziej. Tak długo zmagaliśmy się z klatką na drodze, aż nogi zaczynały pod nami dygotać. W pierwszym tygodniu mogliśmy ją popchnąć zaledwie o kilka jardów bez odpoczynku. Gdy nadszedł czas treningów z drużyną, dopiero po ćwiartce mili bez tchu waliliśmy się w sierpniowy kurz drogi.

Teraz słyszałem, jak Luke samotnie pcha klatkę ku domowi, koła grzęzły w mokrej ziemi, ruch zdradzało skrzywienie lewej osi. - Krzyknąłem głośno, gdy Randy doznał wytrysku, łącząc swe nasienie z moją krwią.

Po chwili powstał i mocno przyciskając mi nóż do gardła, powiedział:

- A teraz, jak chcesz umrzeć, Tommy? Czego się bardziej boisz, noża czy spluwy?

Popchnął mnie do ściany, pistolet dotykał głowy, ostrze skierowane było w krocze. Trącił nim jądra i mruknął:

- Nóża? Tak, Tommy? Tak też myślałem. Odetnę je i dam ci do rączki. Jak ci się to podoba, Tommy? Pokroję cię na drobne kawałki. Właśnie wypierdoliłem cię w dupę, Tommy, i teraz do mnie należysz. Kiedy cię znajdą, będziesz miał w dupie moje mleczko, Tommy.

Zamknąłem oczy i szeroko rozłożyłem ręce, a on nachylił twarz ku mnie. Kiedy zaczął mnie całować i poczułem jego język w swoich ustach, moja prawa ręka znieruchomiała na zimnym marmurze. Całując mnie, nie zamykał oczu, niemniej jednak moje palce zacisnęły się na statuetce Dzieciątka Praskiego, którą ojciec ukradł po wojnie z kościoła wielebnego Krausa.

Savannah i matka zawodziły w swoich pokojach.

Matka raz jeszcze zawołała: „Tom!!!”, a jej głos rozdzierał mi serce.

Raz jeszcze zabrzmiało obracające się koło, a następnie rozległo się lekkie pukanie do tylnych drzwi. Pukanie powtórzyło się, tym razem silniejsze, jakby dobijał się ktoś z sąsiedztwa.

- Nie ruszaj się, Tommy, ani pary z gęby, bo inaczej zdechłeś - szepnął Randy Thompson.

Callanwolde wypadł z sypialni matki, zaciągając suwak spodni. Matka leżała naga na łóżku i dłonią zasłaniała oczy. Do Callanwolde'a dołączył gwałcieciel siostry, przez slipy widać było zarys słabnącej erekcji. Obaj rozbiegli się na przeciwne strony i wymierzili w drzwi.

- Uciekaj, Luke, uciekaj! - krzyknęła matka. Callanwolde otworzył szybko drzwi i zobaczyłem, jak rozsuwają się pręty klatki.

Człowiek, który przed chwilą zgwałcił moją matkę, stał na wprost tygrysa.

Randy Thompson, który przed chwilą mnie zgwałcił, jak oniemiały wpatrywał się w otwór klatki, Cezar ryknął w półmroku i posunął się do światła. A potem zobaczyłem smugę jego tułowia, rozległ się strzał i Callanwolde zawył. Z wrzaskiem zatoczył się do tyłu, jego twarz uwieźła w paszczęce tygrysa. Randy Thompson poderwał pistolet, ale w tej samej chwili chwyciłem statuetkę i uniosłem w górę tak, jakby to był poświęcony kij baseballowy, słynny Louisville Slugger. Cezar rozszarpywał twarz mężczyzny, który zgwałcił moją matkę, a fragmenty mózgu Randy'ego Thompsona chlusnęły na przeciwną ścianę saloniku. Ciągle czując w ustach poruszenia jego języka, omal nie urwałem mu głowy od jednego ciosu. Zapomniawszy o tygrysie i trzecim mężczyźnie, waliłem w twarz Randy'ego Thompsona, aż w niczym już nie przypominała ludzkiej twarzy. Z pełnym rozmysłem fragmenty czaszki wgniatałem w mózg.

Floyd Merlin krzyczał i strzelał na oślep z pistoletu, ale co najmniej jedna kula trafiła Cezara, gdyż z barku ciekła mu krew. Callanwolde jęczał głucho pod ciężarem zwierzęcia, aż tygrys uderzeniem łapy rozerwał mu szyję. W domu zapanowało prawdziwe szaleństwo: zapach śmierci, słodki odór mózgu, radio pogodnie odgrywające kawałek Jeny'ego Lee Lewisa - wszystko to sprawiło, że Floyd Merlin zdążył jeszcze przed zgonem poczuć, że popełnili wielki błąd, wybierając tego dnia dom rodziny Wingo. Cofając się, wystrzelił ostatni nabój i zobaczył mnie, jak prostuję się z marmurową figurką w rękę. Przemknąłem w lewo i odciąłem mu drogę do tylnych drzwi. Savannah pobiegła do swojej komórki, z jasną świadomością tego, co robi, załadowała karabin i wypadła z pokoju jak najbardziej dzika kobieta na świecie. Dziewczyna zgwałcona przez Floyda Merlina przyłożyła lufę do jego krocza i pociągnęła za cyngiel. Rozerwała go w połowie, krew i resztki jelit oślepiły mnie i w tej samej chwili Luke chwycił krzesło i skoczył przed pysk tygrysa.

- Nie ruszajcie się - polecił Luke. - Muszę go zagnać do klatki.

- Jak nie będzie chciał wrócić, pošlę go do nieba - zaszlochała Savannah.

Krwawiący tygrys okręcił się i zrobił chwiejny ruch w kierunku Luke'a. Miał zakrwawiony pysk, był obolały i zdezorientowany. Zaatakował krzesło i oderwał jedną nogę, ale Luke napierał na niego i cofał w kierunku klatki.

- Spokojnie, spokojnie. Do klatki, Cezar. Świetnie się spisalesz.

- On zdycha, Luke - odezwała się matka.

- Nie, mamó, nie mów tak. Proszę, nie mów. On nas uratował, więc teraz my musimy uratować jego.



Wycofujący się tygrys zostawiał na gładkim drewnie krwawe ślady, niczym groteskowe, zaskakujące róże. Obejrzał się raz za siebie, ale wreszcie wycofał w zacisze klatki. Luke zamknął za nim drzwiczki i zasunął je..

A potem cała rodzina pograżyła się w rozpacz, łkając niczym poranione anioły, podczas gdy wiatr łomotał o ściany domu, a radio bez cienia współczucia ogrywało swoją muzykę. Szlochaliśmy, a posoka naszej furii była wszędzie: na naszych rękach, twarzach, ścianach, meblach, podłodze. W niecałą minutę uśmierciliśmy trzech mężczyzn, którzy wnieśli do naszego domu gwałt i ruinę, zostawiając zasiew nie kończącego się pochodu zmór nocnych. Po nocach mieli się wynurzać z szarości zapomnienia i gwałcić nas jeszcze tysiące razy. Wymykając się śmierci, mieli składać na powrót swe rozszarpane ciała i wpadać do naszych pokoiów niczym władcy zła, maruderzy, zdobywcy, a my mieliśmy znowu czuć ich oddechy mieszające się z naszymi i czuć, jak zrywają z nas ubrania. Gwałt to zbrodnia przeciw snowi i pamięci - jego obraz utrwala się niczym nieusuwalny negatyw z sennej camera obscura. Już do końca życia owi trzej zamordowani mężczyźni będą nieprzerwanie uczyli nas swej nieustępliwej obecności, która wiąże się z ranami ducha. Nasze ciała wydobreją, ale dusze nigdy już nie zazną ulgi. Przemoc zapuszcza korzenie w sercu i nie znając żadnych sezonów, jest zawsze dojrziała, wiecznie zielona.

Szloch wstrząsał moim ciałem, nieświadomie podniosłem ręce do twarzy, którą nazaczyłem w ten sposób krwią Randy'ego Thompsona. Czulem, jak wycieka ze mnie jego sperma. Przed śmiercią zdążył jeszcze powiedzieć mi coś prawdziwego: jakaś cząstka mnie już na zawsze miała należeć do niego. Odebrał mi cząstkę mojej chłopięcości, ukradł wiarę w rządu Boga, który mnie kochał i który niebo i ziemię stworzył w akcie czulej radości. Randy Thompson naruszył mój obraz wszechświata, aż nazbyt dobrze pouczył o czczości gorącej wiary w Ogród Rajski.

Przez kwadrans leżeliśmy na podłodze rzeźni, która była dotąd naszym domem i miejscem schronienia. Pierwszy odezwał się Luke.

- Mamo, zadzwonię po szeryfa.

- Ani się waż - powiedziała głosem pełnym wściekłości. - Nazywamy się Wingo i zbyt wiele w nas dumy, abyśmy mieli wyjawić komukolwiek, co się tutaj dziś stało.

- Musimy, mamo. Mamy tutaj trzech martwych ludzi i musimy wyjaśnić, jak do tego doszło.

- To nie ludzie - odparła twardo. - To zwierzęta, bestie w ludzkiej skórze. Splunęła na ciało mężczyzny, który zgwałcił Savannah.

- Mamo, trzeba zawieźć Toma do lekarza - upierał się Luke. - Jest ranny.  
 - Gdzie jesteś ranny, Tom? - spytała matka, ale jej głos był beznamiętny i daleki, jak gdyby przemawiała do kogoś obcego.

- Tom krwawi, gdyż ten człowiek go zgwałcił.

Roześmiała się w jakiś osobliwy, szaleńczy sposób i oznajmiła:

- Mężczyzna nie może zostać zgwałcony przez mężczyznę, Luke.

- Szkoda, że nikt tego nie powiedział tamtemu. Widziałem, co robił z Tomem.

- Trzeba usunąć te ciała z domu. Chłopcy, macie je wziąć głęboko do lasu i tam spalić tak, żeby nikt nigdy nie znalazł najmniejszego śladu. Ja i Savannah umyjemy cały dom. Kiedy ojciec wróci wieczorem, ma tutaj nie być żadnego znaku. Savannah, musisz zapanować nad sobą. Już minęło. Myśl o czymś przyjemnym, na przykład o kupnie nowej sukienki. I narzuć coś na siebie. Stoisz goła przed swoimi braćmi. Tom, proszę się natychmiast ubrać. Musicie zabrać te trupy. Przestań płakać, Savannah, mówię ci. Musicz wziąć się w garść. Radzę ci, pomyśl o czymś przyjemnym, na przykład o romantycznej podróży statkiem w dół Missisipi. Gra muzyka, w kieliszkach perli się szampan, a wiatr chłodzi ci twarz. W świetle księżyca pojawia się dystyngowany dżentelmen i prosi cię do walca. Widziałaś jego twarz w czasopiśmie i wiesz, że należy do śmietanki towarzyskiej Nowego Orleanu. Hoduje pełnokrwiste konie, a nie tyka niczego innego niż ostrzygi i szampan.

- Mamo, mówisz jak obłąkana - cicho odezwał się Luke. - Pozwól, że zadzwonię po szeryfa, a on będzie już wiedział co zrobić dalej. Muszę też wezwać weterynarza, żeby zobaczył, czy może pomóc Cezarowi.

- Po nikogo nie będziesz dzwonił - obruszyła się z furją.

- Nic się nie zdarzyło, nie rozumiesz tego? Czy wszyscy mnie rozumiecie? To się nie wydarzyło! Wasz ojciec już nigdy mnie nie dotknie, jeśli się dowie, że miałam stosunek z innym mężczyzną. Żaden porządny młody człowiek nie poślubi Savannah, jeśli będzie wiedział, że nie jest dziewczicą.

- Jezus Maria - powiedziałem, spoglądając z niedowierzaniem na nagie ciała matki i siostry bliźniaczki. - Boże, powiedz mi, że to tylko okrutny żart.

- Ubieraj się, Tom - poleciła matka. - Mamy wiele rzeczy do zrobienia.

- Mamo, musimy o tym komuś powiedzieć - błagał Luke.

- Wszystkich nas musi obejrzeć lekarz. Musimy też pomóc Cezarowi. Uratował nam wszystkim życie. Oni chcieli nas zabić.

- Muszę myśleć o pozycji naszej rodziny w mieście. Nie możemy tego zrobić Amosowi i Tolicie. Nie możemy tego zrobić samym sobie. Jak będę mogła przejść ulicą, wiedząc, że każdy się zastanawia, czy aby nie wysłałam temu potworowi listu do więzienia. Wykorzystają go przeciwko mnie. Powiedzą, że dostałam to, na co sobie zasłużyłam. Ale ja nie dam im takich argumentów do rąk.

- Mamo - powiedziałem - ja mam rozerwaną dupę.

- Nie pozwalam na używanie takiego języka w moim domu. Żadnych wulgarnych słów w ustach moich dzieci, wychowałam ich bowiem na dobrych i subtelnych obywateli.

Razem z Lukiem zanieśliśmy zwłoki trzech napastników do pickupa i jedne na drugich ułożyliśmy je na skrzyni. Matka dała mi kotex, który umieściłem w slipach, aby zatamować krwawienie. Kiedy ruszaliśmy, wraz z Savannah łąły wiadra wody z mydłem na podłogę, a matka na tyłach domu rozpałała ognisko, do którego cisnęła porwane ubranie i zdemolowane krzesło. Wydawała się na pół dzika i obolała, kiedy wykrzykiwała pod naszym adresem rozkazy. Cezar, poważnie ranny, nie pozwalał zbliżyć się do klatki nawet Luke'owi, który chciał go opatrzeć. Savannah tylko łkała i nie wymówiła nawet słowa od chwili, gdy skończyła się jej udręka.

Pochowaliśmy ich w płytkim grobie daleko w lesie, pod drzewem otoczonym przez kudzu. Wiedzieliśmy, że następnego lata roślina porośnie ich grób, a jej korzenie wślizną się między ich żebra. Nieśmiało spoglądałem na brata, zawstydzony tym, że widział to, co widział, dlatego też pracowaliśmy w zupełnym milczeniu. Kiedy opadł szok popołudniowego zdarzenia, ogarnęło mnie zmęczenie tak straszliwe, jakbym wstrzyknął sobie do krwi jakiś środek nasenny. Siadłem obok mogiły i dygotałem, bezsilny, upodlony. Luke musiał mnie wziąć na ręce i zanieść do pickupa.

- Tom, tak mi przykro, że was napadli. Tak mi przykro, że nie wróciłem wcześniej. Ale wróciłbym jeszcze później, gdybym czegoś nie zapomniał, teraz już nawet nie pamiętam, co to było. Zobaczyłem ich ślady na drodze.

- Mama zwariowała, Luke.

- Nie. Jest tylko przerażona. Nie można jej się przeciwstawiać.

- Mówi tak, jak gdyby to była nasza wina czy coś takiego. Przecież nikt nie mówiłby o naszej winie. Wszyscy by nas żalowali, gdyby się dowiedzieli. Pomogliby nam.

- Tom, mama by tego nie zniosła, że ktoś się nad nią lituje. Sam dobrze wiesz. I od nikogo nigdy by nie przyjęła żadnej pomocy. Taka już jest. Pomóc musimy sobie sami. Musimy się zatroszczyć o Savannah.

- Tak nie można - powiedziałem. - Dlaczego ta cholerna rodzina nie może chociażby jednej rzeczy zrobić jak należy?

- Nie wiem. Tak już z nami jest - Cała rodzina została zgwałcona, a my zabiliśmy trzech facetów, którzy to zrobili. A zabiliśmy ich jak jasna cholera. Ona każe nam udawać, że nic się nie stało, podczas gdy flaki tych bandziorów rozrzucone są po całym domu.

- Tak już z nami jest - powtórzył.

- To idiotyzm. To szaleństwo. To obłąd. A ponieważ mamusia i tatuś mają świra, mamy dostawać łomot przez całe życie, potem będą obrywać nasze dzieci i tak aż po Sąd Ostateczny? Savannah już miała kłopoty ze sobą, a co będzie teraz, Luke? Pomyśl tylko. Wystarczyło samo mieszkanie z mamusią i tatką, żeby zaczęła widzieć anioły wiszące na rzeźnickich hakach.

- Zrobi to, co musi zrobić. Tak jak reszta z nas.

- A ja? Co będzie ze mną? - Wybuchnąłem płaczem. - Taki dzień nie może zostać bez śladu. Dwie godziny temu, Luke, facet pieprzył mnie, przystawiwszy nóż do gardła. Myślałem, że w rodzinnym domu zarżnie mnie jak prosiaka. Całował mnie, Luke, a potem chciał zamordować. Potrafisz sobie to wyobrazić: zabić kogoś, kogo właśnie całujesz?

- Nie, nie potrafię.

- Nie, nie można poddać się mamie, Luke. To nie w porządku.

- Już to zrobiliśmy, Tom. Usunęliśmy wszystkie dowody. Zbyt wiele trzeba by teraz było tłumaczyć.

- Ludzie zrozumieją, Luke. Byliśmy w szoku.

- Za miesiąc już w ogóle nie będziesz o tym pamiętał.

- Luke, nawet gdybym miał żyć pięćset lat, zawsze będę pamiętał.

- Najlepiej przestańmy o tym gadać. Zdarzyło się, minęło i to wszystko. Muszę wymyślić coś, jak pomóc Cezarowi.

Kiedy znaleźliśmy się w domu, Cezar zdychał w klatce. Dyszał z wielkim trudem, a żółto - czarne cielsko leżało bezsilne wzdłuż kraty. Kiedy Luke pogłaskał go po łbie, tygrys się nie sprzeciwił. Luke wtulił głowę w jego sierść i przesunął dłonią po grzbiecie.

- Byłeś wspaniały, Cezar - szeptał. - Byłeś wspaniały, a my nie mieliśmy prawa trzymać cię w tej klatce. Ale wreszcie mogłeś pokazać, co z ciebie za tygrys. Niech mnie cholera, jeśli nie pokazałeś, że jesteś najlepszy na świecie. Spisałeś się świetnie i okropnie będę za tobą tęsknił. Przysięgam, że nie było na świecie lepszego od ciebie tygrysa.

Ze łzami płynącymi po twarzy, Luke przytknął karabin do łba Cezara i wystrzelił mu kulę w mózg. Patrząc na brata, którego w żaden sposób nie

mogłem pocieszyć, dobrze wiedziałem, że nigdy już nie zobaczę chłopaka z Karoliny Południowej, który oplakuje śmierć bengalskiego tygrysa.

Zanim ojciec dotarł wieczorem z przystani do domu, pochowaliśmy Cezara, usunęliśmy wszystkie ślady popołudniowej rzezi, wszystko, co zakłócałoby obraz codziennej domowej rutyny. Wsiadłem do traktora i zajeżdżiłem ślady trzech bandziorów odcisnięte w miękkiej ziemi. Znaleźliśmy samochód skradziony w Georgii, na przednim siedzeniu leżała mapa z zakreśloną długopisem Melrose Island. Wraz z Lukiem zepchnęliśmy wóz z mostu i po chwili zniknął pod powierzchnią piętnastostopowego kanału. Dom aż błyszczał na skutek zaciekłych prób matki, aby zatrzeć wszelkie ślady obecności trzech mężczyzn. Szorowała podłogę z taką usilnością, że zaczęły jej krwawić kolana. Figurka Dzieciątka Praskiego legła w misce z amoniakiem. Savannah godzinę spędziła pod prysznicem i próbowała szczotką zeskrobać z siebie wszelkie wspomnienie gwałciela. Pod dyktando matki ja i Luke przestawiliśmy meble, nic bowiem nie mogło więcej przypominać tego popołudnia. Umyliśmy okna, wypraliśmy zasłony, zeskrobaliśmy zaschnięte krople krwi z framug i parapetów.

Kiedy ojciec pojawił się w drzwiach ze smętną wiadomością, iż tego dnia złowił tylko czterdzieści funtów krewetek, matka czekała na niego z drinkiem. W całym domu pachniało amoniakiem i płynem do szorowania, ojciec jak zwykle pachniał rybami i krewetkami, nic nie zauważył. Świat miał dla ojca tylko jeden zapach. Koło zlewu zostawił, dla mnie i Luke'a wiadro ryb do oczyszczenia, a sam udał się pod prysznic.

Matka starannie przyrządziła ryby, a podczas posiłku rozmowa między rodzicami była tak mrukliwa, że tylko za cenę najwyższego wysiłku nie poderwałem się z krzykiem i nie przewróciłem stołu. Savannah została w swoim pokoju, a matka poinformowała obojętnie, że córka ma chyba początki przeziębienia. Ojciec nie wykrył niczego niezwykłego. Miał za sobą wyczerpujący dzień na łódce, trzeba było zaciekle walczyć z wiatrem, który nadszedł z południowego wschodu. Musiałem sięgnąć do najgłębszych rezerw dyscypliny, żeby nie opowiedzieć wszystkiego. Chyba nawet sam gwałt nie dotknął mnie tak głęboko, jak konieczność trzymania się narzuconego przez matkę zakazu. Podczas owej godzinnej kolacji nauczyłem się, że milczenie może być o wiele bardziej wymowne od perlistych słów. Ilekroć też potem jadłem flandrę, zawsze myślałem o krwi Randy'ego Thompsona na moich rękach i języku w moich ustach.

Przed przyjściem ojca matka zgromadziła nas wszystkich w saloniku i od każdego wydo była przyrzeczenie, że nigdy nikomu nawet słówkiem nie

wspomnimy o tym, co się wydarzyło tego dnia. Głosem bezbarwnym, a zarazem nie dopuszczającym sprzeciwu oznajmiła, że jeśli ktoś z nas złamie tę obietnicę, przestaje być naszą matką i nigdy już się do nas nie odezwie. Nie interesowało ją to, czy rozumiemy jej racje czy nie. Znając charakter małych miasteczek, wiedziała, że ludzie zawsze w nich litują się nad zgwałconymi kobietami, ale także i gardzą nimi, ona więc nie chciała należeć do grona tych ofiar. Nikt z nas nigdy nie złamał tego przyrzeczenia. Było to porozumienie tajne i wiążące, które zawarła wiejska rodzina odznaczająca się głupotą i uporem zaprzeczeń, co miało ją przywieść do zguby. W ciszy honorowaliśmy swą hańbę i pozostawialiśmy ją niewysłowioną.

Wyłamała się tylko Savannah, ale zrobiła to ze swą cichą, majestatyczną godnością. Trzy dni później po raz pierwszy podcięła sobie żyły.

Matka dochowała się córki, która potrafiła zachować milczenie, ale nie potrafiła kłamać.

Skończyłem opowiadać i spojrzałem przez pokój na Susan Lowenstein. Przez jakiś czas żadne z nas się nie odzywało, potem powiedziałem:

- Czy teraz rozumiesz, dlaczego tak się wściekłem na tę opowiadkę dla dzieci Savannah? Nie wierzę, by nie pamiętała tego dnia, i nie chcę, aby ślicznie o nim pisała.

- Cała rodzina mogła zostać zabita.

- Może nie byłoby to takie najgorsze.

- Nie potrafię sobie wyobrazić niczego bardziej strasznego.

- Cóż, ja też tak myślałem, i niestety myliłem się. To była dopiero rozgrzewka.

- Nie rozumiem, Tom. Chodzi ci o Savannah i jej chorobę?

- Nie, doktor Lowenstein. Nie opowiedziałem jeszcze o wyjeździe z miasteczka. Ani o Luke'u.

## ROZDZIAŁ 23

Trener zajmuje ważne miejsce w życiu chłopaków. To jeden z istotnych argumentów za mą dość bezużyteczną, może profesją. Mając szczęście, trenerzy mogą się stawać doskonałymi ojcami, których dojrzewiający młodzieńcy tak rzadko znajdują w rodzinnych domach. Dobrzy trenerzy kształtują, doradzają, wymagają. Jest coś cudownego w procesie rozwijania fizycznych sił. Większość jesieni swego życia spędziłem, przeganiając tłumy młodych ludzi przez akry boiskowej trawy. W sierpniowym słońcu wsłuchiwałem się w rytm ćwiczeń, patrzyłem na początkową ociążałość niewytrenowanych chłopaków, w oczach malców widziałem zmaganie się ze strachem, interweniowałem przy zagraniach złośliwie brutalnych. Mogę odmierzać swoje życie opowieściami o szkolonych drużynach, mogę po imieniu i nazwisku wymienić każdego gracza, który znalazł się pod moją opieką. Każdego roku cierpliwie czekałem na moment, gdy roztoczyłem już pieczę nad wszystkimi umiejętnościami i słabościami moich podopiecznych, a potem wypatrywałem cudownej syntezy. Kiedy zaś do niej dochodziło, rozglądałem się po boisku, przypatrywałem swoim chłopakom i chciało mi się krzyknąć w nagłym poczuciu wszechmocy: „Boże, ależ stworzyłem zespół!”

Chłopak jest zawsze skarbem, gdyż stoi na progu swojego życia i zawsze jest pełen lęku. Trener wie, że niewinność jest święta, trwoga jednak nie. Poprzez sport trener może zaoferować chłopcu sekretną drogę, pozwalającą zagłębić się w tajemnice męskości.

Przez całe lato uczyłem Bernarda Woodruffa wszystkich sekretnych dróg. Podczas owych dwugodzinnych zajęć pośrodku Central Parku przekazałem mu wszystko, co wiedziałem o futbolu. Nauczył się zatrzymywać, gdyż musiał zatrzymywać mnie, i zaczął robić to naprawdę dobrze. Nie był zapewne utalentowanym sportowcem, ale nie należał do osób, które boją się sprawić ci ból. Niejeden raz dał mi się we znaki podczas treningów, aleja z pewnością dałem mu się we znaki o wiele, bardziej. Trzeba rzeczywiście niezłej pasji, żeby stuczterdziestofuntowe ciało chłopaka zderzyć z rozpędzonym ciałem dojrzałego mężczyzny. Nasze starcia odbywały się przed trybunałem wielkich budowli, które sterczą wokół parku.

Nasze treningi urwały się raptownie tego dnia, gdy uczyłem go, jak blokować próby przedarcia. Ustawiłem się naprzeciw niego w pozycji czteropunktowej.



- Drzewo za tobą to quarterback - powiedziałem. - Jeśli go dotknę, znaczy, że udupiłem ci quarterbacka. - Miał na sobie pełny uniform, ale byłem od niego cięższy o sześćdziesiąt funtów. - Nie odrywaj stóp, zachowaj równowagę, trzymaj mnie jak najdalej od quarterbacka.

- Ja chcę grać na quarterbacku - powiedział.

- Na razie uczymy cię doceniać ofensywnego bocznego. Przemknąłem przez linię, pchnąłem ręką w jego hełm i zwałem go na ziemię. Po chwili dotknąłem drzewa ze słowami:

- Twój quarterback jest wściekły jak jasna cholera.

- Naprawdę wściekły jest teraz ofensywny boczny. Spróbujmy jeszcze raz.

Tym razem uderzył mnie hełmem w pierś. Usiłowałem obieć go z lewej, ale nieustannie miałem go przed sobą - na ugiętych kolanach, czujnie pamiętającego o środku ciężkości. Zrobiłem zwód i nagle przyspieszyłem, ale wtedy mnie zaskoczył, gdyż rzucił się szczupakiem i podciął mnie, tak że ciężko zwałem się na ziemię i poczułem, że brak mi tchu.

- No jak, trenerze Wingo, quarterback teraz zadowolony?

- Kontuzjowałeś trenera - mruknąłem i z trudem wstałem na nogi. - Chyba już robię się za stary na ten sport. Świetne zagranie, Bernardzie. Teraz masz prawo na quarterbacka.

- To co, dałem panu teraz popalić, trenerze, prawda? - spytał z dumą. - A dlaczego pan kuleje?

- Gdyż boli mnie noga - powiedziałem i starałem się rozmasować kolano.

- Naprawdę dobrzy gracze nie przejmują się małymi kontuzjami - zakpił Bernard.

- Od kogo się tego nauczyłeś?

- Od pana. Trzeba to rozbiegać trenerze. Tak samo jak mi pan poradził, kiedy skręciłem kostkę.

- Działasz mi na nerwy, Bernardzie - uprzedziłem.

- To zobaczymy, czy tym razem dotknie pan tego drzewa - powiedział, uśmiechając się z nieznośną arogancją.

Znowu ustawiłem się naprzeciw niego i oddalony ledwie o kilka stóp uprzedziłem:

- Tym razem postaram się ciebie zabić, Bernardzie.

Ponownie poszedł na kontakt, ale pchnięciem ręki udało mi się wytrącić go z równowagi, szybko ją jednak odzyskał i zagroził mi drogę do drzewa. Naparłem na niego i czułem, jak drży pod moim ciężarem, ale właśnie w chwili, gdy miałem ominąć z prawej, zanurkował mi do kostek i raz jeszcze

znalazłem się na ziemi, a Bernard zachichotał spode mnie. Przez chwilę leżeliśmy, wymieniając przyjacielskie szturchnięcia.

- Wiesz co, szczeniaku, chyba zrobił się z ciebie całkiem niezły futbolista - powiedziałem, - Istotnie - odezwał się męski głos za moimi plecami.

- Tata! - zawołał Bernard.

Obróciłem się i zobaczyłem Herberta Woodruffa, który przyglądał się naszym zmaganiom z czymś, co może nie do końca było zachwytem. Ręce skrzyżował na piersi, jakby to były dwa ostrza szwajcarskiego scyzoryka. Stał w eleganckiej pozie tancerza flamenco, co dobrze korespondowało z jego ciemnymi rysami. Twarz miał pełną chłodnej rezerwy.

- A więc to na to matka pozwala ci marnować całe lato - zwrócił się zimno do syna. - Wyglądasz absolutnie żałośnie. - - Bernard wyglądał na skrajnie zakłopotanego, nic nie odpowiedział ojcu, który demonstracyjnie mnie ignorował. - Profesor Greenberg zadzwonił do mnie i poinformował, że opuściłeś już dwie lekcje w tym tygodniu. Był to z jego strony gest pod moim adresem, że w ogóle zechciał cię uczyć.

- Jest okropny - mruknął Bernard.

- Jest rygorystyczny - sprostował Woodruff. - Wielcy nauczyciele zawsze są wymagający. Braki talentu, Bernardzie, trzeba nadrabiać pracowitością.

- Dzień dobry - wtrąciłem się do rozmowy. - Nazywam się Tom Wingo, panie Woodruff. Daję Bernardowi lekcje futbolu.

Wyciągnąłem rękę, ale w odpowiedzi usłyszałem:

- Nikomu nie podaję dłoni. - Podniósł smukłe, piękne dłonie w górę i oświadczył z dumą: - Jestem skrzypkiem.

- To może potrzebujemy się nosami na powitanie? - spytałem, pragnąc odwrócić jego uwagę od Bernarda.

Zignorował tę propozycję i rzekł:

- Służąca mi powiedziała, że tu jesteś. Wracaj do domu, zadzwoń do profesora Greenberga z przeprosinami, a potem przez trzy godziny masz ćwiczyć w swoim pokoju.

- Jeszcze nie skończyłem tego treningu - sprzeciwił się Bernard.

- Skończyłeś. Skończyłeś raz na zawsze. Oto kolejna intryga uknuta przez ciebie i twoją matkę.

- Dobra, uznajmy, że na dzisiaj to koniec, Bernardzie - powiedziałem. - Wracaj do domu i poćwicz na skrzypcach, a my tutaj może znajdziemy jakieś polubowne rozwiązanie.

Bernard potruchtał przez Central Park, a ja zostałem sam z Herbertem Woodruffem.

- Całkiem nieźle daje sobie radę z piłką, panie Woodruff - powiedziałem, podczas gdy obaj odprowadzaliśmy wzrokiem chłopaka.

- A kogo to w ogóle obchodzi?

- Bernarda, na przykład - odrzekłem, z trudem zachowując kontrolę nad sobą. - Pańska żona prosiła mnie, abym przez lato trenował chłopaka.

- Ze mną tego bynajmniej nie omówiła, ale teraz nie ma już chyba co do tego wątpliwości, panie... Jak pan się nazywa, bo nie pamiętam?

- Wingo. Tom Wingo.

- Ach, to o panu żona tak często wspomina. To pan jest tym jej południowcem, prawda?

- Widziałem pana podczas Spoletto Festival w Charlestonie - powiedziałem. - Był pan wspaniały.

- Tak. Dziękuję. Czy zna pan Chaconne Bacha?

- Nie bardzo znam się na muzyce, muszę przyznać ze wstydem.

- Szkoda. Gdy miałem dziesięć lat, potrafiłem bezbłędnie wykonać Chaconne, panie Wingo. Bernard dobrze o tym wie. Obawiam się, że futbol wydaje mu się egzotyczny w porównaniu z salami koncertowymi, w których atmosferze wyrastał.

- Nie sądzę, aby kontakt z futbolem mógł mu trwale zaszkodzić.

- Może w nim na trwale zabić chęć zostania skrzypkiem.

- Susan uprzedziła mnie, że nie będzie pan zachwycony, dowiedziawszy się, że ćwiczę z Bernardem.

- W przeciwieństwie do mnie moja żona bywa dość sentymentalna w odniesieniu do naszego syna. Ja także poznałem trudy dojrzewania, ale rodzice mi nie pობłżali. Byli zdania, że dyscyplina jest najwyższą formą miłości. Jeśli Bernardowi brak fizycznych zajęć, zawsze pozostaje Chaconne.

Podniosłem z ziemi piłkę i spytałem:

- A dlaczego nie przyjdzie pan tutaj z synem przed kolacją, żeby mu parę razy rzucić piłkę na dobieg?

- Ma pan osobliwe poczucie humoru, panie Wingo.

- Mówię całkiem poważnie, panie Woodruff - powiedziałem. - Futbol jest w tej chwili przelotną pasją Bernarda, idę jednak o zakład, że byłby zachwycony, gdyby okazał pan temu odrobinę zainteresowania. Być może to najpewniej sprawiłoby, iż jego zainteresowania odwróciłyby się od sportu.

- Podjąłem już kroki, które przyspieszą ten proces - zapewnił Woodruff. - Na resztę lata wyjeżdża na obóz muzyczny w Adirondacks. Żona pozwoliła niestety na to, aby odciągnął pan jego uwagę od muzyki.

- To nie moja sprawa, ale ja tak bym nie postąpił.
- Ma pan najzupełniejszą rację, panie Wingo - powiedział z obraźliwą wyniosłością. - To nie pańska sprawa.
- Jeśli wyśle go pan na ten obóz, nigdy nie zostanie takim skrzypkiem, jakim chciałby go pan widzieć.
- Jestem jego ojcem i zapewniam, że będzie takim skrzypkiem, jakim chcę go widzieć.
- Z tymi słowami odwrócił się i z godnością ruszył do wyjścia z parku.
- A ja jestem jego trenerem - zawołałem Woodruffowi w plecy. - I zapewniam, że dzięki panu rośnie właśnie futbolista.
- Kiedy wróciłem do mieszkania siostry, zadzwonił telefon. Nie byłem zdziwiony, słysząc po drugiej stronie Bernarda.
- Wyrzucił mój kostium.
- Nie powinieneś być opuszczając lekcji skrzypiec.
- Chłopak milczał przez chwilę, a potem spytał:
- Panie trenerze, czy słyszał pan kiedyś, jak ojciec gra na skrzypcach?
- Jasne - odparłem. - A w przyszłym tygodniu idę na jego koncert z twoją matką.
- Jest jednym z piętnastu najlepszych na świecie. Tak przynajmniej twierdzi Greenberg.
- Co to ma wspólnego z wagarowaniem?
- Panie trenerze, ja nie będę nawet w pierwszej dziesiątce na obozie, rozumie pan, co mam na myśli?
- Tak. Kiedy wyjeżdżasz?
- Jutro.
- Odprowadzić cię na dworzec?
- To byłoby świetne.
- Nazajutrz pojechaliśmy taksówką na Grand Central, a ja popilnowałem bagażu, podczas gdy Bernard kupował sobie bilet. Poszliśmy na peron, skąd miał odejść pociąg. Chłopak niósł futerał ze skrzypcami, ja - walizkę.
- Rozrosłeś się przez lato - powiedziałem, gdy siedliśmy na ławce.
- Półtora cala wzrostu, osiem funtów wagi.
- Napisałem do trenera w Phillips Exeter.
- Po co?
- Poinformowałem go, że przez całe lato trenowałem z tobą, i zasugerowałem, żeby spróbował wstawić cię do młodzieżówki.
- Ojciec zabronił mi jakichkolwiek gier.
- Szkoda. Jestem pewien, że byłby teraz z ciebie całkiem niezły zawodnik.

- Naprawdę?
- Zrobił się z ciebie prawdziwy twardziel, Bernardzie. Kiedy wczoraj dwa razy sprowadziłeś mnie do parteru nie dawałem ci żadnych forów, szedłem na całego.
- Niech pan to powtórzy, trenerze.
- Co takiego?
- Że jestem twardzielem - powiedział. - Od nikogo jeszcze tego nie słyszałem.
- Prawdziwy z ciebie twardziel, Bernardzie. W pierwszym tygodniu byłem pewien, że wdepczę cię w ziemię. Zaskoczyłeś mnie. Wykonywałeś wszystko, co dla ciebie przygotowałem, i domagałeś się więcej.
- Jest pan najlepszym trenerem, jakiego miałem.
- Jedynym, jakiego miałeś.
- Jest pan najlepszym nauczycielem - poprawił się Bernard. - Miałem już pięciu nauczycieli muzyki, ale pan jest najlepszy, trenerze Wingo.
- Jego słowa wzruszyły mnie i na chwilę zamilkłem, ale wreszcie powiedziałem:
- Dzięki, Bernardzie. Już od bardzo dawna nikt mi tego nie mówił.
- Dlaczego pana wywalili? - spytał Bernard.
- Przechodziłem kryzys nerwowy.
- Przepraszam - rzucił pospiesznie. - To właściwie nie moja sprawa.
- Nic nie szkodzi.
- A jak to jest, gdy się ma nerwowy kryzys? Jak pan nie chce odpowiadać, to niech mi pan każe się zamknąć.
- To bardzo nieprzyjemne - - mruknąłem, wpatrując się w pociąg.
- A dlaczego pan go miał?
- Zmarł mój brat.
- Bardzo mi przykro, naprawdę. Byliście blisko ze sobą?
- Uwielbiałem go.
- Napiszę list - oznajmił Bernard.
- Do kogo.
- Napiszę, że jest pan znakomitym trenerem. Tylko musi mi pan powiedzieć, gdzie go wysłać.
- Daj sobie spokój z listem - odrzekłem i uśmiechnąłem się. - Jest natomiast jedna rzecz, którą mógłbyś dla mnie zrobić, Bernardzie.
- Co takiego?
- Chciałbym usłyszeć, jak grasz na skrzypcach.
- Jasne - powiedział i zaczął rozpinąć futerał. - A co chce pan usłyszeć?

Grał ją jeszcze, kiedy nadjechał jego pociąg, a grał tak pięknie i z taką pasją, że całkowicie mnie to zaskoczyło. Kiedy skończył, powiedziałem:

- Bernardzie, gdybym potrafił tak grać na skrzypcach, nawet nie tknąłbym piłki.

- A dlaczego nie robić jednego i drugiego?

- Napisz do mnie. Chcę, żebyśmy korespondowali przez cały rok.

- Na pewno, panie trenerze - obiecał i włożył instrument do futerału.,  
Podaliśmy mu torbę od Macy's.

- Co to takiego?

- Piłka. Będziesz musiał znaleźć gdzieś pompkę i faceta, który będzie ci rzucał. Znajdź sobie przyjaciół, Bernardzie, bądź dla nich miły, uważaj na nauczycieli. Rozglądaj się wokół siebie.

- Mój ojciec pana nienawidzi, panie trenerze.

- Ale ciebie kocha. Cześć, Bernardzie.

- Dzięki za wszystko - powiedział Bernard Woodruff i padliśmy sobie w objęcia.

Po powrocie do mieszkania miałem telefon od Herberta Woodruffa, który zaprosił mnie na kolację po niedzielnym koncercie.

Nie bardzo rozumiałem, dlaczego chce się spotkać z kimś, kogo nienawidzi, pochodziłem jednak z Karoliny Południowej i nie znałem się na regułach wielkiego świata.

Susan Lowenstein była już na miejscu, gdy na kilka minut przed rozpoczęciem koncertu odszukałem swe miejsce. Miała na sobie gładką, długą, czarną suknię, a kiedy siadałem na fotelu, nachyliła się i pocałowała mnie. Czarny kolor jeszcze bardziej podkreślał subtelną urodę Susan.

- Tom, nie znasz jeszcze naszych przyjaciół, Madisonsa i Christine Kingsleyów, prawda? - spytała, podczas gdy wymieniałem uścisk dłoni z jednym z najslawniejszych dramaturgów amerykańskich i jego żoną.

- Czy wielu jeszcze znasz takich sławnych ludzi? - szepnąłem. - Poznaj mnie z nimi wszystkimi, żebym miał się czym chełpić po powrocie do Karoliny.

- Mieszkają na drugim piętrze w naszym budynku. Madison chodził do szkoły razem z Herbertem. Aha, Herbert powiedział, że przerwał Wam trening.

- Nie wydawał się szczególnie rozbawiony.

- Uważaj dzisiaj na niego, Tom - powiedziała, lekko ściskając moje ramię. - Może być grzeczny, ale równie dobrze może okazać się napastliwy, z góry niczego niepodobna przewidzieć.

- Będę uważał. Czy zaskoczyło panią, doktor Lowenstein, że mnie zaprosił?

Odwrociła się do mnie, ciemne włosy spływały na białe ramiona. Gładkość skóry przywodziła na myśl chińską porcelanę.

W gabinecie skrywała swe piękno pod maską zawodowego obiektywizmu. Teraz jednak jej uroda nie była przez nic przesłaniana. Czerń na ciele pięknej kobiety sprawiała, że wszystkie inne kolory wydawały się nieodpowiednie. W jej oczach czaiła się niejasna melancholia, do której już przywykłem, teraz jednak, w przyćmionym blasku sali koncertowej, urzekły mnie one swą szczodłą kobiecością. Zapach jej perfum wzbudzał we mnie silne pożądanie, ale niewielki tylko wstyd odczuwałem z tego powodu, że takie uczucie nawiedzało mnie wobec psychiatry mojej siostry.

- Tak, całkowicie. Musiałeś mu się spodobać.

Zza kotary dobiegały dźwięki strojenia instrumentów. Kiedy zasłona się uniosła, na przedzie stał, majestatyczny i wyniosły, Herbert Woodruff, który pozdrowił publiczność i dał znać orkiestrze, aby powstała i ukloniła się widowni.

O istnieniu blond flecistki podatnej na stresy przypominałem sobie dopiero wtedy, kiedy zobaczyłem, jak powstaje wraz z innymi muzykami. Przypominałem sobie także, że spotkałem ją w poczekalni Susan, na imię miała Monique, skłamałem jej, że jestem prawnikiem, oraz że Susan podejrzewała ją o romans z Herbertem. Usiadła, a ja patrzyłem, jak płynnym, wdzięcznym ruchem unosi do ust flet. Miała pełne usta, a kiedy teraz zaczerpnęła tchu, z instrumentu popłynęły czarowne dźwięki. Przy użyciu swych palców, oddechu i ust Monique pozwalała na nowo rodzić się Vivaldiemu, a na to Herbert Woodruff odpowiedział jej nagłymi, pełnymi pasji ruchami ramienia, gdy w języku Vivaldiego prowadzili erotyczny dialog między fletem a skrzypcami. Muzyka płynęła z nich tak, jak gdyby jedwab spływał ze stołu bławatnika. Broda Woodruffa spoczywała na kobiecym kształcie skrzypiec i wydawało się, że dźwięki przepełniają jego mięśnie i krew. Zwinna siła mieszkała w jego ramionach i przegubach, a w swym występie na poły był tancerzem, a na poły atletą. Muzyka stapała się i splatała, stawiała pytania we frazach z miodu i mleka, odpowiadała głosem nawalnicy. Orkiestra zamieniła salę koncertową w miejsce, gdzie powinny się rodzić motyle i anioły. Przez dwie godziny przysłuchiwaaliśmy się rozmowie znakomitych instrumentów. Patrząc na Herberta Woodruffa, wiele można się było dowiedzieć o sile i rozległości geniuszu. Każdy ton jego skrzypiec należał do świętego porządku. Był kapłanem techniki, który porywał publiczność swą pasją i dyscypliną. Nigdy w życiu nie



zazdrościłem tak innemu mężczyźnie. Kiedyś potrafiłem podać piłkę na pięćdziesiąt jardów, nigdy przedtem jednak ta umiejętność nie wydała mi się tak groteskowa i błaha. Nikt w mojej rodzinie nie potrafił nawet czytać nut, myślałem, podczas gdy finałowa suita Bacha zapłonęła w sali niczym mocny, kwiecisty wschód słońca.

Wszyscy wstali, wiwatowali Herbertowi Woodruffowi, cała reszta muzyków stała się tylko tłem, które jedynie uwydatniło skalę jego talentu. Do domu Susan pojechaliśmy taksówką wraz z Kingsleyami i dopiero wtedy uświadomiłem sobie, jak niewielkie będzie to przyjęcie. Susan wyglądała na roztargnioną i większość czasu spędziła na doglądaniu przygotowań w kuchni. Zrobiłem drinki Christine i Madisonowi i właśnie opowiadałem im o życiu w Karolinie Południowej, kiedy w drzwiach stanął Herbert, trzymając pod rękę Monique. Jego szczupła sylwetka promieniowała jeszcze pasją występu, adrenalina zaś nie całkiem jeszcze opadła w żyłach. Często widywałem takie podniecenie w oczach sportowców, którzy rozegrali mecz życia. Także i w żenicach Herberta lśniła ekstaza niepowtarzalnej chwili.

Powitał mnie zdumiewająco czarującym uśmiechem i powiedział:

- Cieszę się, że mógł pan się zjawić, południowcze.  
 - Graliście wspaniale - powiedziałem.  
 - Jeszcze nigdy nie poszło nam tak dobrze - przyznała Monique'a kiedy Herbert chciał mnie przedstawić, rzuciła: „Znamy się już”, a z tonu głosu odgadłem, że nie zamierza rozwodzić się nad tą kwestią.

- Czy mogę podać coś do picia? - spytałem.  
 - Szkocka z lodem dla mnie, Tom - powiedział Herbert - a lampka białego wina dla cudownej Monique. A kiedy będziesz szykował drinki, chciałbym coś dla ciebie zagrać, Tom. Powiedz mi, co chcesz usłyszeć. Jeszcze nie pora, żeby stradivarius układał się do snu.

- Nie bardzo znam się na muzyce poważnej, Herbercie - powiedziałem, odkręcając butelkę z whisky. - Cokolwiek wybierzesz, na pewno mi się spodoba.

- Monique, nasz przyjaciel Tom jest trenerem futbolowym z Karoliny Południowej - poinformował Herbert, umieszczając skrzypce pod brodą.

- Myślałam, że jest prawnikiem - zdziwiła się Monique.  
 - Nie mogłem zrozumieć, dlaczego Bernardowi tak marnie idzie ze skrzypcami - ciągnął Herbert - do chwili, gdy odkryłem, że Tom wprowadza mego syna w arkana męskiej gry, jaką jest futbol.

- Nie miałem pojęcia, że Bernard w ogóle wie, jak wygląda piłka - zdziwił się Madison Kingsley.

- A ja myślę, że to dobrze, iż wreszcie czymś się zainteresował - dorzuciła Christine.

Poczułem, iż atmosfera odrobinę zgęstniała, ale z uśmiechem podałem Monique lampkę wina, a szklaneczkę Herberta umieściłem obok niego na stoliku do kawy. Mieszkańcy Południa zawsze popełniają ten sam błąd, wierząc, że potrafią podchwycić wyszukane maniery i dzięki temu stać się niewidocznymi w gronie, które czuje się przez nich zaniepokojone. W śledzącym mnie wzroku Herberta wyczuwałem jakieś zagrożenie. Nagle uzmysłowiłem sobie, że źle zrobiłem, przyjmując jego zaproszenie, teraz jednak nic już nie można było na to poradzić, z zamkniętymi oczyma trzeba było brnąć dalej. Sądziłem, że mam talent kameleona i zdolny jestem do mimesis, która mnie samego unie widoczni. Uważałem się za znakomitego słuchacza, wielkiego znawcę dowcipu innych i jak każdy południowiec wierzyłem w swój instynkt rozpoznawania właściwych miejsc. Teraz jednak bez wątpienia mnie zawiódł.

W głębi bowiem kryła się intensywna emocja - świadomość opanowała wyjątkowa ekspansywność. Zbyt wiele nocy spędziłem w mieszkaniu Savannah, a samotność dawkowana w tygodniowych porcjach okazała się trudna do zniesienia. Muzyka ludzkich głosów, przyciszonych i łagodnych, wniknęła mi w żyły i złagodziła widok owych szkieletów samotności, które wielkie miasto zawsze rozwieszało obok mego serca. Była też we mnie ciekawość obcego, który chciał się dowiedzieć, co też bez skrępowania mówi na jego temat wielki świat. Chciałem uczestniczyć w tym spotkaniu i zawojować resztę, ukazując im skarby swego charakteru.

Herbert Woodruff zagrał na swym stradivariusie Dixie. Nigdy jeszcze tej melodii nie odegrano tak bezbłędnie i z równą ironią. Aby ją podkreślić, Herbert prowadził smyczek przesadnymi gestami. Kiedy skończył, spojrzął na mnie kpiąco, a ja zobaczyłem Susan, która wyszła z kuchni z wyrazem niepokoju i gniewu na twarzy.

- No i co na to powiesz, Tom? - spytał Woodruff.

- Że ten Beethoven pisał całkiem niezłe kawałki.

Wszyscy się roześmiali, a Susan zaprosiła nas do jadalni, każąc drinki zabrać ze sobą, Herbert wychylił swoją whisky i na drogę nalał sobie jeszcze jedną. Usiadł u szczytu stołu, mając Monique po lewej, a Christine Kingsley po prawej. Jedzenie było starannie ułożone na porcelanowych półmiskach z wyraźną dbałością o kompozycję barw, wyglądało lepiej, niż smakowało. Wino z regionu Bordeaux znalazło jednak wysoką aprobatę mego języka. Ku wielkiej mej uldze wydawało się, że napięcie gdzieś się ulotniło. Herbert zapomniał o mnie, zafrapowany rozmową prowadzoną na

boku z Monique. Po chwili Nowy Jork zaprezentował się z najlepszej swej strony i potoczyła się błyskotliwa i swobodna wymiana zdań między Herbertem i Madisonem Kingsleyem.

Nie schlebiali w niej sobie i wyraźnie była to wymiana ciosów. Każde słowo wydawało się starannie, choć błyskawicznie dobrane. Odrobinę za głośno śmiałem się ze złośliwych uwag na temat dramaturgów nawet w połowie nie tak sławnych jak on. Kobiety wtrącały tylko krótkie uwagi, najczęściej stanowiące jakiś komentarz do uwag formułowanych przez mężczyzn. Na przekór silnemu postanowieniu zacząłem - a przynajmniej starałem się - zapamiętywać długie fragmenty wypowiedzi pisarza i muzyka. Kiedy Herbert opowiadał o koncercie dobroczynnym, jaki dał razem z Yehudi Menuhinem, wszyscy ucichli, aby nie utracić żadnego szczegółu tego spotkania. Mówiąc o swej sztuce, Herbert natychmiast nabierał powagi. Kiedy skończył, Madison Kingsley zaczął opisywać trudności z inscenizacją jego najnowszej sztuki. Rozbawieni zaczęli się przerzucać słowami i nie wiadomo kiedy znowu powrócił nastrój rywalizacji. Obu otaczała aura sukcesu i obaj czuli, że wszyscy oczekują od nich wypowiedzi dowcipnych i celnych, ja zaś byłem zachwycony, że mogę uczestniczyć w tej rozmowie chociażby jako słuchacz. Pochwyciłem spojrzenie Susan i uśmiechnąłem się, kiedy mrugnęła do mnie. Byłem zupełnie nie przygotowany na atak ze strony Herberta Woodruffa. Madison Kingsley pokrótce naszkicował akcję swojej sztuki, Czas suszy, która traktowała o antysemityzmie w Wiedniu przed Anshlussem Austrii. Zastanawiał się, jak przedstawić na scenie życie porządnego człowieka, który uległ jednak fascynacji nazizmem. Nagle Herbert przerwał mu w pół zdania, zwracając się wprost do mnie.

- Czy wielu jest antysemitów tam, gdzie mieszkasz, Tom, w Charleston?

- Zatrzęsienie - odparłem. - Ale oni nie czynią żadnych odróżnień, Herbercie. Nienawidzą wszystkich tak samo.

- Nie mogę sobie wprost wyobrazić, jak można mieszkać na Południu - powiedziała Monique. - Jak w ogóle ktoś może tam wytrzymać.

- Jeśli się tam urodzić, to człowiek się przyzwyczaja - wyjaśniłem.

- Ja jakoś nigdy nie przyzwyczaiłam się do Nowego Jorku - oznajmiła Christine Kingsley - chociaż całe życie tylko tu spędziłam.

Herbert jednak nie zamierzał dać mi tak łatwo spokoju.

- Dobrze, ale co ty sam z tym robisz, Tom? Rozumiesz, kiedy bestia podnosi głowę. Co robisz, na przykład, kiedy przyjaciel mówi coś, co sugeruje, że nienawidzi Żydów?

- Herbercie - odezwała się Susan i odłożyła widelec. - Daj spokój Tomowi.

- To dobre pytanie - wtrącił się Madison. - Związane z problemem, który staram się rozwiązać w mojej sztuce. Rozumiecie, ten mój bohater, Horst Workman, nie jest antysemitą, chociaż jest nazistą. Więc jak reagujesz, Tom?

Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, głos zabrała Monique.

- Kiedy mam do czynienia z jakąkolwiek odmianą rasizmu, natychmiast wychodzę z pokoju.

- Chodzi jednak nie o ciebie, lecz o Toma - powiedział Herbert. - Co robi Tom Wingo? Co robi nasz miły gość, trener futbolu z Karoliny Południowej?

- Czasami też wychodzę - powiedziałem, spoglądając nerwowo na Susan. - Ale w innych sytuacjach rzucam się na nich. Biorę ich z zaskoczenia, ciskam na podłogę i zanim jakiś inny antysemita obecny w pokoju zdąży skoczyć na pomoc, wyszarpuję im grdyki zębami i wypluwam na dywan. Jestem bardzo twardy dla antysemitów.

- Znakomicie, Tom - powiedziała z uśmiechem Christine. - Sam się dopraszałeś, Herbercie.

- No proszę, jak zręcznie, Tom - zawołał Herbert i zaklaskał. - No a teraz, jak już zebrałeś brawa za popisy, to powiedz, jak naprawdę się zachowujesz. To doprawdy interesujące.

- Naprawdę interesujące byłoby, gdybyś się wreszcie zamknął - powiedziała z irytacją Susan.

Herbert nachylił się i z łokciami na blacie zastygł w pozycji warana czatującego na ofiarę. Jego oczy przypominały ślepią drapieżnika. Miałem niewyraźne wrażenie, że jestem obserwatorem i uczestnikiem starego, melancholijnego tańca Herberta i Susan. Zdaje się, że starannie prowadził rozmowę do tego punktu. W powietrzu znowu pojawiło się napięcie, a ja zastanawiałem się, jak grzecznie wycofać się z pułapki. Na pięknych ustach Monique zobaczyłem zaczątek uśmiechu, gdyż rozbawiło ją moje stropienie. Usiłowałem zrozumieć, o co tutaj może chodzić. Dlaczego mężczyzna przychodził na kolację z kochanką i dlaczego żona się na to zgadzała? Dlaczego Herbert tak uparcie dążył do starcia? Popełniłem niewybaczalny błąd, jakim było trenowanie jego syna i zaprzyjaźnienie się z żoną, ale teraz nieodwołalnie byłem zaproszony do tańca, w którym - nie wątpiłem - Herbert miał mnie nauczyć wszystkich kroków.

- Czyżby cię замуrowało, Tom? - przerwała ciszę Monique.

- Chyba już muszę iść, Susan - powiedziałem i podniosłem się od stołu.

- Ach, nie, Tom, nazbyt ambicjonalnie do tego podchodzisz - zaprotestował Herbert. - Jesteś przecież trenerem, wyobraź sobie, że to takie ćwiczenia po jedzeniu. Sport przemądrzałych nowojorczyków. Nigdy przy tym stole nie zasiadł żaden trener ani żaden gość z Południa, więc bardzo jesteśmy ciekawi twoich opinii. Moja żona jest Żydówką, Tom, chyba mogłeś to podejrzewać. Czy nie sądzisz, że to urocze, iż tak uparcie trzymasz się tej resztki swojej żydowskiej tożsamości, która zawiera się w niedwuznacznym brzmieniu jej panińskiego nazwiska? Powiedziałem jej, że nie zdziwiłbym się, gdybyś okazał się antysemitą. Na Południu jest ich przecież pełno.

- A ty skąd pochodzisz, Herbercie? - spytałem, na powrót siadając na fotelu.

- Z Filadelfii, Tom - odparł. - To miło, że spytałeś.

- Herbercie, już starczy - powiedziała ostrzegawczo Christine.

- Och, proszę, Christine. Przecież musimy dać Madisonowi nowy materiał, bo inaczej będzie w kropce - zaśmiał się Herbert.

- Nie jestem antysemitą, Herbercie - oznajmiłem - ale nienawidzę wszystkich ludzi z Filadelfii.

- Ślicznie, trenerze Tomciu. - Herbert wydawał się naprawdę zadowolony. - Może nawet trochę nie doceniłem naszego chłopczyka z Południa. Wróćmy jednak do kwestii, której uporczywie unikasz. Co robisz, kiedy słyszysz tam u siebie jakąś antysemitkę uwagę?

- Nic, Podobnie jak nic nie robię w otoczeniu ludzi, którzy nienawidzą Południa. Po prostu siedzę sobie i słucham.

- Dla mnie, Tom, Południe to jak nazistowskie Niemcy. Kraina zła. To właśnie czyni je tak interesującym. Nawiasem mówiąc, brałem udział w marszu z Selmy do Montgomery, wiem zatem trochę o Południu. Nie zawahałem się ryzykować życia, aby tylko coś zmienić na Południu.

Uśmiechnąłem się i powiedziałem:

- Oczywiście wszyscy biali i czarni mieszkańcy Południa są panu za to dozgonnie wdzięczni, panie Woodruff.

- Proponuję zmienić temat - rzekła Susan głosem przenikliwym i pełnym desperacji.

- Dlaczego, kochanie - sprzeciwił się Herbert. - To fascynujący temat, o wiele ciekawszy od paplaniny najczęściej wypełniającej kolację w Nowym Jorku. Zgodzisz się ze mną, prawda? A możliwość tę zawdzięczamy tobie, Susan. To ty wyszukałaś Tomcia Południowca i wprowadziłaś go w nasze życie, oto człowiek, który niesie ze sobą prawdziwe napięcie i prawdziwą wrogość, prawdziwe uczucia, jak określiłaby to moja żona, psychiatra.

Teraz wszyscy czujemy prawdziwe uczucia, a wszystko to zawdzięczamy naszemu przyjacielowi Tomowi. Powiedzmy sobie szczerze, kolacja była nudna do chwili, gdy udało się otworzyć Toma. Któż jest w stanie przewidzieć, jakie głębie przeciętności uda nam się wspólnie spenetrować.

- Madison, zrób coś, żeby Herbert przestał - odezwała się Christine.

- Są już dużymi chłopcami, kochanie - powiedział Madison, a w jego twarzy dostrzegłem sekretną żądzę podglądacza, co pozwoliło zgadywać, że już wcześniej zachęcał do takich scen. - Sami mogą przestać.

- A co cię tak niby ciekawi? - spytała Monique Herberta, nie spoglądając nawet w moim kierunku.

- Mały Tom jest doprawdy fascynujący - odrzekł Herbert, a ja zacząłem kurczyć się pod ciężarem jego słów. - Moja żona wprost nie mówi o niczym innym. Powtarza mi niektóre z jego powiedzonek i dowcipasów, co czyni go współczesnym Markiem Twainem o południowym akcencie. I lubię go oglądać. Ta jego duma niczym władców z Tara. Dziarskość.

- Po prostu nie zwracaj na niego uwagi, Tom - powiedziała Susan. - Herbercie, Tom jest gościem w naszym domu i żądam, żebyś dał mu spokój.

- Masz rację, kochanie - zgodził się Herbert. - Ależ ze mnie gbur. Przecież Tom zjawił się w Nowym Jorku z powodu swojej siostry, słynnej prowincjonalnej poetki feministycznej, która znajdując się pod opieką mej żony, usiłuje sobie odebrać życie.

- Tom, przepraszam cię za ujawnienie tych szczegółów - powiedziała zgnębiona Susan. - Popełniłam błąd, zapomniałam, że nie mogę ufać swemu - mężowi.

- W kontekście całego tego wieczoru, Susan, to naprawdę drobiazg - mruknąłem.

- Po co te melodramaty, kochanie - zakpił Herbert, nachylając się lekko w kierunku żony. - Wszyscy dobrze wiedzą, jak lubisz mieć w gronie pacjentów tych bazgrzących psychotyków. Widzisz, Tom, moja żona jest sławna pośród głośnych artystów nowojorskich. Bardzo lubi mimochodem rzucić takie czy inne głośne nazwisko. Wszyscy uważamy to za czarujący zwyczaj.

- Susan jest znakomitym psychiatrą - wtrąciła się Monique. - Wiem to z własnego doświadczenia.

- Daj spokój, Monique, nie musisz mnie bronić przed Herbertem - powiedziała ostro Susan. - Herbert należy do tych małżonków, którzy czekają na jakieś większe grono, na oczach którego będzie mógł zaatakować i upokorzyć swoją żonę. To o wiele częstsza sytuacja, niż mogłoby ci się wydawać, podczas terapii słyszę o tym bardzo często. Tom, przepraszam cię

za zachowanie mojego męża. Jesteś moim przyjacielem, a w oczach Herberta nie ma większej zbrodni. Podobnie jak to, że także nasz syn darzy cię miłością.

- Jakoś nie mogę uwierzyć w to, żebyście oboje byli rzeczywiście przyjaciółmi - oznajmiła Monique i końcami palców wykonała gest dezaprobaty.

- Zamknij pysk, Monique - krzyknęła Susan i zerwała się na równe nogi. Monique nie posiadała się ze zdumienia:

- Co takiego? Wyraziłam tylko swoją opinię.

- Powiedziałam: zamknij pysk. - Głos Susan nie obniżył się ani odrobinę.

- A jeśli ty, Herbercie, nie przestaniesz czepiać się Toma, rozwałę wszystkie talerze na twojej głowie.

- Kochanie, kochanie, uspokój się - rzekł uśmiechnięty Herbert. - Nasi goście gotowi jeszcze pomyśleć, że w naszym małżeństwie, są jakieś niesnaski. Nie należy budzić fałszywych pozorów.

- I jeszcze jedno, Monique! - Susan aż wrzała ze wściekłości. - Puść no kutasa mojego męża. Zrób to dyskretnie, tak żeby nikt się nie domyślił, że waliłaś mu konia pod stołem przez cały czas, kiedy obrażał mojego przyjaciela. Chyba już ze dwadzieścia razy widziałam, jak odwalasz te robótki ręczne, i rzygać już mi się chce od tego. To dlatego zwykle staram się usadzić cię jak najdalej od niego. Mogę jeszcze jakoś znieść myśl, że pieprzysz się z nim na osobności, ale w sytuacjach publicznych... Nie, tego już za wiele.

Monique zerwała się z krzesła, spojrzała na Susan, potem na Herberta, aż wreszcie gwałtownie odwróciła się i wyszła do przedpokoju. Odniosłem wrażenie, że Woodruff stracił kontrolę nad wydarzeniami. Kiedy nasze oczy zetknęły się, rozłożyłem dłonie ze słowami:

- Zmienił się kierunek wiatrów, przyjacielu.

Nie zwracając na mnie uwagi, zwrócił się do Susan:

- Idź i natychmiast przeproś Monique! Jak śmiesz obrażać w naszym domu osobę, która jest tu... Nie dała mu dokończyć.

- Pewnie, oczy wiście: która jest gościem w naszym superuprzejmym domu, tak? Przed chwilą za wszelką cenę starałaś się upokorzyć Toma, podobnie jak wcześniej robiłaś z każdą zaprzyjaźnioną ze mną osobą, którą tu zaprosiłam. Ani Christine, ani Madison, ani ja nie mamy siły, żeby cię powstrzymać, gdyż boimy się, że wtedy wylejesz swoją żółć na nas. Idź i sam przeproś tę durną cipę.

- Susan, uprzedzam cię, to ty powinnaś naprawić powstałą sytuację.



- Wy też się tak świetnie bawicie jak ja? - spytał Kingsleyów, którzy siedzieli z oczyma wbitymi w talerze.

- Ale co to, Herbercie, nie możesz się ruszyć od stołu? - spytała drwiąco Susan. - Powiedz wszystkim, dlaczego, bo ja dobrze wiem, Ciągle ci jeszcze stoi po tym, jak ci go waliła pod stołem. Wstań, Herbercie, popisz no się przed wszystkimi. Świetnie obsługuje flet, więc pewnie także wszystko, co go w jakiś sposób przypomina. Wszyscy tutaj wiedzą, że masz z nią romans od prawie dwóch lat. Wszyscy z wyjątkiem Toma. Poza nim tworzymy takie miłe kółko samopomocy. Tak usłużne, że Christine i Madison w zimie gościli was w swoim domku na Barbados.

- Susan, nie wiedzieliśmy, że ona z nim będzie - zapewnił Madison.

- Porozmawiamy o tym później - ostro rzucił Herbert.

- Porozmawiamy wtedy, jak wreszcie skończysz z tą flecistką - odcięła się Susan.

- Malutka znajomość - wycedził, powoli wracając do równowagi. - W każdym razie z o wiele większym smakiem dobieram sobie przyjaciółki niż ty przyjaciół.

- Jest drobna różnica, Herbercie - zauważyła Susan. - Ja i Tom nie pieprzymy się ze sobą.

- Przynajmniej tyle pozostało ci gustu!

- Na Boga, Herbercie! - jęknął Kingsley.

- Zamknij się i ty, Madison - prychnął Woodruff. - Nie udawaj takiego niewiniątka. Nie po raz pierwszy jesteś świadkiem naszej kłótni z Susan. - A zwracając się do żony, ciągnął: - Tak naprawdę kochasz bycie żoną Herberta Woodruffa. Tak, podziw dla sławy to jedna z twych słabości, kochanie. Rozumiesz, Tom, trochę zastanawiałem się nad charakterem mojej żony. Kocha tylko sławnych i bogatych. Ty nie jesteś ani jednym, ani drugim, ale za to masz siostrę. Tak, to siostra czyni cię jednak wartym uwagi, ale sam w sobie, powtarzam, nie znaczysz nic. A teraz, Susan, jazda przeprosić Monique.

- Najpierw ty przeprosisz Toma.

Herbert wzruszył ramionami.

- Nie mam mu nic więcej do powiedzenia.

Przerwałem zapadłą ciszę.

- Susan, potrafisz chyba nakłonić Herberta, żeby przeprosił nas obydwoje.

- Jeszcze tu jesteś, Tomciu? - Herbert uniósł brwi. - Nie do wiary. No, ale słucham, jak chcesz mnie zmusić do tak zwariowanego gestu.

- Muszę wyznać, Herbercie, że rozważyłem różne możliwości. Najpierw pomyślałem, że zrzucę cię kopniakami ze schodów, zrezygnowałem jednak,

w ten bowiem sposób dowiodłbym jedynie, że jestem dokładnie takim barbarzyńcą, jakim chciałeś mnie zrobić. Osobiście z chęcią bym ci przy walił, ale z towarzyskiego punktu widzenia byłaby to niewyobrażalna gafa. Wpadłem więc na inny pomysł. Sprytniejszy i bardziej chyba pełen kultury.

- Herbert nigdy nikogo za nic nie przeprosił - powiedziała Christine.

Podszedłem do stolika w rogu pokoju i nalałem sobie dużą lampkę koniaku.

- Muszę być odrobinę bardziej pijany – wyjaśniłem.

Trunek wszedł gładko, poczułem jego żar we krwi. Z jadalni przeszedłem do salonu, tam z fortepianu zdjąłem futerał ze stradivariusem i otworzyłem. Dobrze, pomyślałem, że mam już trochę w czubie.

- Herbercie - zawołałem. - Tomcio Południowiec dorwał się do twoich skrzypek, więc chyba lepiej szybko to sobie obejrzyj!

Kiedy wszyscy stanęli w wejściu na taras, trzymałem za balustradą rękę, a instrument zwieszał się osiem pięter nad Central Park West.

- Tom, to stradivarius - ostrzegł Madison Kingsley.

- Wiem, dzisiaj wspomniano o tym pięćdziesiąt, a może sześćdziesiąt razy - odparłem wesoło. - Śliczne cacuszko, nieprawdaż?

- Wingo, to cacuszko jest warte trzysta tysięcy dolarów - powiedział Herbert i po głosie można było poznać, że gardło ma odrobinę ściśnięte.

- Jeśli je zrzucę, Herbie, nie będzie warte nawet dziesięciu centów.

- Tom, czyś ty zwariował? - krzyknęła Susan.

- Czasami mi się to może zdarzało, ale nie tym razem - odrzekłem. - No, Herbert, przepros swoją żonę. Kocham ją i myślę, że moglibyśmy zostać najlepszymi na świecie przyjaciółmi.

- Tylko blefujesz, Tom - powiedział z odrobinę większą pewnością siebie.

- Może i tak - mruknąłem - ale chyba nie będziesz chciał tego sprawdzać, dupasie?

Wyrzuciłem skrzypce w powietrze i złapałem je w locie daleko od balustrady.

- Są ubezpieczone - oznajmił Herbert.

- Jasna sprawa, Herbie, ale nigdy nie będziesz już miał własnego stradivariusa.

- To dzieło sztuki - odezwała się Christine.

- No, gnojku, przepros swoją żonę - powtórzyłem.

- Susan, bardzo mi przykro - wydusił z siebie Herbert. - A teraz oddaj mi skrzypce, Wingo.

- Jeszcze nie, tygrysku. Przeprós przyjaciół, że przywiozłeś swoją nałożnicę na Barbados.

- Christine, Madison, naprawdę bardzo mi przykro, że tak postąpiłem.

- Przeprosiny przyjęte - oznajmiła Christine.

- Teraz już lepiej, Herbercie. Jakiż uprzejmy z ciebie człowiek. Teraz kolej na mnie. Przeprós za obrzydliwe zachowanie przy stole. Nie podoba mi się to, że nie pozwalasz żonie mieć własnych przyjaciół, ale to w końcu wasz problem. Natomiast nie masz absolutnie żadnego prawa mnie tak traktować, ty marny kutasie.

Popatrzył na Susan, potem na mnie i wreszcie bąknął:

- Przepraszam, Tom.

- Za mało w tym skruchy, Herbercie - oznajmiłem ze smutkiem. - Postaraj się trochę bardziej. Jeszcze tylko jedno małe upokorzonko i na zawsze zniknę z waszego życia. W przeciwnym wypadku pijaczkowie zrobią sobie wykałaczkę z resztek twoich skrzypiec.

- Przepraszam, Tom. Bardzo mi przykro - powiedział Herbert, a potem dodał: - I jeszcze raz przepraszam ciebie, Susan. Robię to nie ze względu na groźbę.

- Widzisz, jaki porządny z ciebie chłopak, Herbie - powiedziałem i oddałem mu skrzypce. - Wybacz mi, jeśli cię obraziłem, Susan.

Oszczędzając sobie pożegnalnych kurtuazji, poszedłem do drzwi wyjściowych i ściągnąłem windę.

Przy Central Park West machałem na przejeżdżające taksówki, kiedy usłyszałem za sobą głos Susan Lowenstein.

- To dlatego zawsze byłaś taka smutna - powiedziałem, kiedy stanęła koło mnie. - A ja myślałem, że to taka poza.

- Czy kochałeś się kiedyś z psychiatrą, Tom? - spytała.

- Nie. A czy kochałaś się kiedyś z trenerem futbolowym?

- Nie - odrzekła - ale chciałabym, aby do jutra rano ta odpowiedź przestała być aktualna.

Nachyliłem się i pocałowałem Susan Lowenstein, piękną w czarnej sukni, staliśmy na krawężniku i był to wstęp do najpiękniejszej nocy, jaką kiedykolwiek spędziłem na Manhattanie.

Zbudziwszy się w niedzielny ranek, kochaliśmy się raz jeszcze, byliśmy razem, słońce padało mi na plecy, ugięło się pod nami łóżko siostry. Potem znowu zasnęliśmy i aż do dziesiątej spaliśmy w swych ramionach.

Wstałem pierwszy, podszedłem do okna w saloniku i zawołałem:

- Kocham Nowy Jork! Kocham to cholerne miasto! Kocham!

Nikt nawet nie podniósł głowy, udałem się więc do kuchni, aby przygotować dla Susan Lowenstein doskonały omlet.

- Co cię skłoniło do zmiany opinii o Nowym Jorku, Tom? - zawołała z sypialni Susan.

- Twoje występne, grzeszne ciało - odkrzyknąłem. - Twoje bajeczne ciało i sposób, w jaki się porusza, kazały mi dokładniej rozważyć tę kwestię. Nigdy dotąd podczas pobytu w Nowym Jorku nie byłem zakochany. Na tym polega różnica. Czuję się wspaniale i nic nie jest w stanie zepsuć mi dzisiaj tego nastroju.

Weszła do kuchni i pocałowaliśmy się, podczas gdy bekon zaczął skwierczeć na kuchence.

- Świetnie całujesz - szepnęła.

- A kiedy jeszcze spróbujesz mojego omleta, doktor Lowenstein, już nigdy mnie nie porzucisz. Pójdiesz za mną na kraj świata, błagając, bym nieustannie przyrządzał ci to чудо.

- Dobrze ci było ze mną, Tom? - spytała.

- Musisz pamiętać, że jestem katolikiem. Uwielbiam seks, ale tylko po ciemku i jeśli nie muszę o tym później rozmawiać.

Zresztą przez cały dzień będę miał wyrzuty sumienia, że było tak cudownie.

- Było cudownie? - powtórzyła z niedowierzaniem.

- A dlaczego cię to tak dziwi?

- Bo wszyscy mężczyźni w moim życiu raczej się na mnie uskarżali. Poza tym jestem neurotyczką i w sprawach seksu trzeba dodawać mi pewności siebie.

W saloniku zadzwonił telefon.

- Ciekawe, jaka mnie spotka okropność, kiedy podniosę słuchawkę?

- Nie odpowiesz? - spytała i widelcem przewróciła bekon na drugą stronę.

Podniosłem słuchawkę i mało nie padłem na kolana, kiedy po drugiej stronie usłyszałem matkę.

- O Boże - powiedziałem. - To ty, mamó?

- Jestem w Nowym Jorku - powiedziała matka. - Zaraz złapię taksówkę i jadę do mieszkania Savannah. Chcę z tobą porozmawiać.

- Nie - wrzasnąłem. - Nie, na Boga. Straszny tutaj bałagan, a nie jestem jeszcze ubrany.

- Jestem twoją matką - odparła - i dla mnie nie musisz być jakoś specjalnie ubrany.

- Czemu przyjechałaś do Nowego Jorku?

- Chcę porozmawiać z psychiatrą Savannah.  
 - Co? Chcesz porozmawiać z psychiatrą Savannah? - powtórzyłem.  
 - Powiedz jej, że muszę nałożyć majtki - syknęła Susan zza kuchennych drzwi.

- Mamo, jest niedziela. Lekarze najczęściej wyjeżdżają na weekend do swoich podmiejskich posiadłości. Dzisiaj w mieście nie znajdziesz żadnego psychiatry.

- Przepraszam - szepnęła Susan - tak się składa, że ja jestem psychiatrą.

- Muszę z tobą zaraz porozmawiać, Tom - powiedziała matka. - Nigdy dotąd nie widziałam mieszkania Savannah, a bardzo chciałabym je zobaczyć.

- Daj mi pół godziny, żebym trochę tu uprzątnął, mamo.

- Nie ma sensu, żebyś sobie robił tyle zachodu.

Usłyszałem, jak ktoś stuka do drzwi.

- Zobaczymy się za pół godziny, mamo.

Susan otworzyła drzwi, a za nimi zobaczyłem Eddiego Detreville'a z torbą świeżych rogalików.

- Cześć, Sallie - powiedział. - Nazywam się Eddie Detreville, mieszkam za ścianą. Wiele o tobie słyszałem od Toma i Savannah.

- Cześć, Eddie - odpowiedziała. - Nazywam się Susan.

Odwiesiłem telefon i usłyszałem głos Eddiego.

- Nic nie jest dla mnie bardziej wstrętne od taniego heteroseksualizmu, Tom.

Matka wkroczyła do mieszkania, ucałowała mnie w policzek i powiedziała:

- Czuję zapach kobiecych perfum.

Zamknąłem za nią drzwi.

- Sąsiad zza ściany jest homoseksualistą, mamo. Był tutaj przed chwilą, żeby pożyczyć trochę cukru.

- Ale skąd perfumy? - spytała podejrzliwie.

- Sama wiesz, jacy są homoseksualiści, mamo. Nic tylko się stroją, spryskują perfumami, kupują sobie afgańczyki.

- Wiem, że jesteś wściekły, bo przyjechałam do Nowego Jorku.

- Przeciwnie, mamo - powiedziałem, wdzięczny, że porzuciła temat perfum. - Jak tylko otrzymałem tę wspólną nowinę, wybiegłem, tańcząc, na ulicę. Czy zrobić ci doskonały omlet?

- Zjadłam już śniadanie w St Regis.

- Czy jest także z tobą twój mąż? - zawołałem z kuchni. - Czy też może pojechał kupować Indonezję albo coś podobnego?

- Wiedział, że nie ucieszysz się na jego widok, więc został w hotelu.
- Nadzwyczaj przenikliwy człowiek - powiedziałem i podniosłem w toaście filiżankę kawy. - Zgląda mi prosto w duszę.
- Jak długo będziesz karał go za to, co jak wiesz, jest moją winą? - spytała i zaraz dodała: - Bardzo dobra kawa.
- Przebaczę mu na pewno, jak będzie na łożu śmierci, mamó - powiedziałem. - Każdemu wtedy wybaczę.
- Nawet mnie?
- Tobie wybaczyłem już dawno temu.
- Z całą pewnością nie. Traktujesz mnie wstrętnie. Jesteś taki wściekły, że nie możesz mi spojrzeć w oczy.
- Nie jestem zły jakoś szczególnie na ciebie, mamó - powiedziałem spokojnie. - Jestem wściekły na wszystkich. We mnie wrze wszechogarniający, tytaniczny, niepowstrzymany gniew na wszystko, co znajduje się na tej planecie.
- Nie powinnam była mieć dzieci - poskarżyła się matka. - Robisz dla nich wszystko, całe życie poświęcasz dla ich dobra, a potem one zabierają się do ciebie. Najlepiej by było, jakby mi wycięli jajowody w wieku dwunastu lat. To będę odtąd zalecać każdej młodej dziewczynie.
- Mamó, za każdym razem, kiedy mnie widzisz, wydaje mi się, że z chęcią wezwałabyś jakiegoś lekarza, żeby zrobił wsteczną aborcję - powiedziałem i zakryłem dłońmi twarz. - Dobrze, dajmy już pokój tej grzecznościowej pogawędce, jakież to straszliwy pomysł przywiódł cię do Nowego Jorku? Przez jaki krąg piekielny chcesz mnie dzisiaj przeprowadzić?
- Czy ty słyszysz swoje słowa, Tom? - spytała. - Kto cię nauczył takiego okrucieństwa?
- Ty, mamó. Podobnie jak tego, że nawet jeśli zniszczysz komuś całe życie, nadal możesz żywić do tej osoby niewzruszoną miłość.
- Oto, jak ty traktujesz matczyne serce. Raz za razem wbijas w nie nóż.
- Moją jedyną bronią przed tobą, mamó, jedyną też, po którą rzeczywiście sięgam, jest gorzka szczerłość.
- Rozumiem, że dla ciebie nic to nie znaczy, że kocham swoje dzieci bardziej niż cokolwiek na świecie.
- Znaczy i wierzę w to gorąco, inaczej bowiem udusiłbym cię gołymi rękami.
- A przed chwilą mówiłaś, że mnie kochasz! - zawołała.

- To ty mi to przypisujesz. Powiedziałem, że ci przebaczyłem, ani słowem nie wspomniałem o miłości. W twojej zebraczej torbie miłości te słowa są tożsame, ale nie u mnie.

- Tom, Tom, jakież ty jesteś okrutny - powiedziała i łzy zakręciły jej się w oczach.

- Istotnie, było to niezwykle okrucieństwo, mamó, i przepraszam za nie. Trzeba jednak powiedzieć, że sporo razem przeżyliśmy, i to każe mi podejrzewać, że chowasz coś nieprzyjemnego w rękawie.

- Nie będziesz miał nic przeciwko temu, że zapalę? - spytała i wyjęła z torebki paczkę Vantages.

- Oczywiście, że nie mam nic przeciwko temu, żeby moja matka dostała raka płuc.

- Przypalisz mi?

- Mamó - powiedziałem ze znużeniem. - Jesteśmy w przededniu wyzwolenia wszystkich kobiet. Musiałbym być cymbałem, żeby przypalać ci papierosa, kiedy ty nawet nie jesteś przekonana, że kobietom powinno przysługiwać prawo głosu.

- To nieprawda - sprzeciwiła się - ale pod innymi względami jestem istotnie staromodna. Po prostu uwielbiam być kobietą. Lubię, kiedy otwiera się przede mną drzwi i kiedy dżentelmen przysuwa mi krzesło. Nie jestem zwolenniczką ani palenia staników, ani poprawek gwarantujących równość praw. Zawsze uważałam, że kobiety ogromnie górują nad mężczyznami, i nigdy nie chciałam uczynić niczego, co zapewniłoby im równość z nami. A teraz proszę mi przypalić papierosa.

Potarłem zapalną, a matka przytrzymała mój przegub.

- Teraz opowiedz mi wszystko o Savannah.

- Bardzo dobrze wygląda w kaftanie.

- Jeśli chcesz odgrywać komedianta, Tom - a mówiąc szczerze, bardzo byłabym uradowana, gdybyś znalazł sobie jakieś zajęcie - to może załatwię ci jakieś występy w kabarecie albo klubie nocnym, byleś tylko nie ćwiczył swoich dowcipów na mnie.

- Savannah jest w bardzo złym stanie, mamó - powiedziałem. - Od przyjazdu widziałem się z nią tylko raz. Opowiedziałem doktor Lowenstein historię dojrzwania Savannah, informując ją o wszystkich wstrętnych szczegółach naszego heroicznego dzieciństwa.

- I oczywiście uznałeś za konieczne opowiedzieć jej także o tamtym dniu na wyspie.

- Tak, uznałem za konieczne, gdyż wydawało mi się to ogromnie ważne.

- Uważasz, że zasługuje na takie zaufanie?



- Najczęściej kiedy doktor Lowenstein dowie się o jakiejś brzydkiej historii, tajemniczym zrzuceniu losu następnego dnia ukazują się ona w „The New York Timesie”. Oczywiście, że można jej zaufać, mamó. Na tym między innymi polega jej zawód.

- Ja mam zbyt wiele dumy na to, żeby ujawniać takie wstydliwe informacje osobie zupełnie obcej.

- Widzisz, mamó, ja natomiast mam taką obsesję, że lubię opowiadać o sobie ludziom zupełnie mi obcym. „Cześć, mówię, jestem Tom Wingo, zostałem wypieprzony przez zbiega z więzienia, ale potem zabiłem go figurką Dzieciątka Jezus”. Gwarantuje to szybkie nawiązanie bliskich związków.

Matka przyglądała mi się przez chwilę beznamyślnie, a potem spytała: - A czy opowiedziałeś doktor Lowenstein także o swoich problemach, Tom? Z chęcią ujawniasz tajemnice rodzinne, ciekawa jednak jestem, jak wiele ujawniłeś swoich?

- A co tu niby ujawniać, mamó? Każdy może zobaczyć, że jestem nieszczęśliwym wrakiem człowieka. Szczegóły są już nudne.

- Czy opowiedziałeś, że razem z Sallie musiałyśmy dostarczyć cię w zeszłym roku na dziesiąte piętro Medical College?

- Nie - skłamałem. - Pomyślałem, że lepiej, aby uważała, iż nienawiść do jej profesji wyniosłem z lektur, a nie z osobistych doświadczeń.

- Myślę, że powinna wiedzieć, iż wszystkie te historie opowiada jej ktoś, kogo przez pewien czas trzeba było trzymać w domu wariatów.

- Mówiąc szczerze, mamó, bardziej podoba mi się nazwa: „oddział psychiatryczny akademii medycznej” - powiedziałem i mocno zacisnąłem powieki. - To lepiej wpływa na moją samoocenę. Posłuchaj, wiem, że dla ciebie to żenujące, iż spędziłem tydzień na tym dziesiątym piętrze, ale dla mnie to jeszcze bardziej kłopotliwe. Miałem depresję. Co jeszcze mam powiedzieć? Depresja nie minęła, ale mam się coraz lepiej. Niezależnie od Sallie i jej kochanka lekarza, to lato okazało się dla mnie całkiem dobre. Przyjrzałem się całemu swojemu życiu i życiu rodziny, a w obecnych ponurych czasach taka możliwość to rzadki luksus. Bywały nawet takie chwile, gdy znowu zaczynałem lubić siebie.

- Zamierzam oznajmić doktor Lowenstein że wszystko, co opowiedziałeś jej o gwałcie i innych rzeczach, to kłamstwa. Potem poradzę jej, aby cię poddać elektrowstrząsom, żeby przyprowadzić cię do porządku.

- Dwa razy już mi to aplikowali, mamó, i sporo potem potrwało, zanim odzyskałem pamięć.

- Powiem tej Lowenstein, że z powodu wstrząsów pojawiły się u ciebie zaburzenia pamięci i zaczęłaś zmyślać - zapowiedziała matka i zgasiła papierosa, - Mamo - powiedziałem, przypalając jej drugiego - ludzie są gwałceni w Ameryce codziennie. To nie była nasza wina, natomiast przysłała nasza kolej. Każdego dnia tysiące kobiet zostaje w Ameryce zgwałconych. Mężczyźni, którzy to robią, są chorzy. Chłopcy gwałceni są w więzieniach bardzo często, to obrzydliwe i straszliwe zdarzenie, zmienia psychikę na zawsze. Ale żadnej korzyści nie ma z tego, że udaje się, iż nie nastąpiło.

- Mnie nikt nie zgwałcił - oznajmiła stanowczo matka.

- Co takiego?

- Nie widziałeś, co się działo w tamtym pokoju. Nie zgwałcił mnie, nie masz żadnych dowodów.

- Dowodów, a jakich jeszcze dowodów potrzeba? Jest chyba całkiem jasne, dlaczego nie miałem wrażenia, iż nie omawialiście bynajmniej filmów Bogarta. Kiedy wyskoczyłaś z pokoju naga, uznałem, że to całkiem mocny argument.

Matka rozplakała się i podałem jej chusteczkę.

- Ale pokazaliśmy im, Tom? Prawda? - zaszlochała.

- Pewnie. Nie tylko to, gdzie raki zimują.

- Jak on okropnie mnie potraktował tam w pokoju - łkała.

- Kiedy ostatni raz widziałem go żywym, sprawdzał, czy tygrysowi brzydko pachnie z pyska. W każdym razie zepsuło mu to całą resztę dnia, bo wieczorem wyrastała mu już z oka kudzu.

- Spójrz tylko, Tom, jak dziwnie układają się sprawy. Gdyby ojciec nie kupił tej stacji benzynowej Już byśmy nie żyli. Tylko tygrys nas uratował, - Luke by coś wymyślił, mamo - powiedziałem. - Luke zawsze wiedział, co zrobić.

- Nie zawsze - sprzeciwiła się i zawiesiła głos. - Czy Savannah zobaczy się ze mną?

- Mamo, w tej chwili nie chce widzieć nikogo z rodziny - powiedziałem,

- Zastanawia się, czy w ogóle powinna.

- Czy wiesz, że od trzech lat słowem się do mnie nie odezwała? - spytała matka.

- Także i do mnie się nie odezwała. Ani do ojca. Źle się działo w naszej rodzinie.

- Tak samo jak we wszystkich innych rodzinach na całym świecie.

- Savannah uważała natomiast, że należymy do najbardziej pokręconych rodzin w dziejach.

- Trudno uznać Savannah za bezstronnego świadka. Siedzi w szpitalu dla obłąkanych.

- Sądzę, że to tylko przydaje wiarygodności jej słowom. Dlaczego przyjechałaś do Nowego Jorku, mamó?

- Bo chcę, żebyście oboje znowu zaczęli mnie kochać, Tom - powiedziała i głos jej się załamał. Czekałem, aż znowu zapanuje nad sobą. Wydawała się kruchutka i bardzo zboląta. Trudno było mi uwierzyć, że mogę z adoracją spoglądać na kogoś, komu tak całkowicie nie ufam. - W żaden sposób nie mogę odmienić przeszłości - westchnęła. - Gdybym mogła, zmieniłabym każdą minutę, ale nie mam takiej władzy. Nie widzę żadnego powodu, abyśmy do końca życia pozostali nieprzyjaciółmi. Zrozumiałam, że nie mogę znieść tego, iż własne dzieci mną pogardzają. Chcę waszej przyjaźni, Tom, chcę waszej miłości, Chyba na to zasłużyłam.

- Przed chwilą byłem na ciebie zły, mamó, ale kochać cię nie przestałem. Nauczyłaś mnie, że nawet potwory są ludźmi. To był żart.

- Bardzo kiepski żart - powiedziała, chlapiąc.

- Chcę, żeby była między nami przyjaźń, mamó, mówię poważnie. Może to nawet bardziej potrzebne mnie niż tobie. Wiem, że wszystko, co mówię, irytuje cię, dlatego postaram się oszczędzić ci złych słów. Od tej chwili będę starał się odzyskać status cudownego syna.

- Czy zjadłbyś z nami wieczorem kolację? - spytała matka. - Dla mnie znaczyłoby to bardzo wiele.

- Z wami? Na Boga, mamó, wymagasz zbyt wiele. Dlaczego nie mogę zacząć cię kochać, zachowując jednak niewygasającą pogardę dla twego męża? Nie sądzę, by było to czymś niezwykłym w Ameryce. Jestem pasierbem i do moich obowiązków należy nienawiść wobec ojczyma. Takie wrażenie wyniosłem z literatury. Wiesz, Hamlet, Kopciuszek, te rzeczy.

- Proszę cię, Tom - powiedziała. - Zrób to dla mnie. Zostańcie przyjaciółmi z moim mężem.

- Świetnie, mamó. Z przyjemnością zjem z wami kolację.

- Tęskniłam za tobą, Tom - powiedziała i zaczęła zbierać się do wyjścia.

- Także ja za tobą tęskniłem.

Trwaliśmy w uścisku przez dłuższy czas i trudno byłoby powiedzieć, kto bardziej płakał, jako że ciężar minionych lat sprawił, iż desperacko chcieliśmy przyłgnąć do siebie.

- Nigdy już nie bądź dupkiem, mamó.

Zaśmiała się przez łzy i odrzekła:

- Mam całkowite prawo być dupkiem, gdyż jestem twoją matką.

- Tyle straconych lat, mamó.

- Nadrobimy wszystkie, Tom. Bardzo mi żal Luke' a. Wiem, że to dlatego mnie nienawdziłeś. Oplakuję go każdego dnia.

- Tak, z jego powodu mamy co oplakiwać.

- Sallie chce, żebyś do niej zadzwonił. Rozmawiałam z nią tuż przed wyjazdem.

- Postanowiła mnie zostawić. Czas w Nowym Jorku spędziłem między innymi na ćwiczeniu się w życiu bez Sallie.

- A ja nie byłabym taka pewna. Zdaje się, że on ją rzucił.

- Dlaczego sama nie sięgnie po telefon i do mnie nie zadzwoni? - spytałem.

- Nie wiem, Tom. Jej także może braknąć odwagi. Powiedziała mi, że przez telefon i w Ustach znowu zaczynasz przypominać dawnego Toma.

- Nowego Toma - powtórzyłem. - Nienawidzę starego Toma. Podobnie zresztą jak nowego.

- A ja kocham starego - oznajmiła matka - a nowy zje kolację ze mną i moim mężem, za co kocham także i jego.

- Ostrożnie ze mną, mamó - powiedziałem. - Większość tego, co mówisz, źle na mnie działa.

- Kiedy przyrzekliśmy sobie, że będziemy się kochać, reszta szybko przyjdzie sama.

- Jeśli twój mąż chce, żebym poczuł się dobrze, mamó, to chcę, żeby to pogodzenie słono go kosztowało. Chcę, żeby widok rachunku podwyższył mu ciśnienie i zmniejszył przewidywania co do dalszej długości życia.

- Mamy zarezerwowany stół w „Four Seasons” - oznajmiła. - Na trzy osoby.

- Ale z ciebie spryciara - pokręciłem głową. - Dobrze wiedziałas, że nie oprę się twemu podłemu czarowi.

Spotkałem się z matką w barze hotelu St Regis. Siedziała sama. Kiedy zająłem miejsce naprzeciw niej, podniosła nagle głowę. Obróciłem się i zobaczyłem, jak do baru wkracza jej mąż. Powstałem.

Cześć, Tom - powiedział. - Jestem wdzięczny, że znalazłeś czas.

- Byłem kompletnym durniem. Przepraszam.

I podałem rękę swemu ojczymowi, Reese'owi Newbury'emu.

## ROZDZIAŁ 24

Pod koniec sierpnia 1962 roku stawilem się na treningi futbolowe dla studentów pierwszego roku University of South Carolina, stając się w ten sposób pierwszym członkiem rodziny, który zjawił się na uniwersyteckim kampusie. W historiach rodzinnych nawet takie małe postępy nabierają monumentalnych rozmiarów. Tego samego dnia, gdy dotarłem na uniwersytet, Luke krążył po wodach Colleton w swej nowej łódce, którą ochrzcił „Miss Savannah”, i od razu zaczął łowić” więcej krewetek od ojca. Savannah miała wyjechać do Nowego Jorku dopiero w listopadzie, a zrobiła to na przekór zdecydowanym protestom rodziców, którzy chcieli, aby została w Colleton do czasu, „aż poprawi jej się w głowie”. Dotrzymywaliśmy obietnicy milczenia i treningi rozpoczynałem z nieprzyjemnym przekonaniem, że jestem jedynym chłopakiem w drużynie, który miał rzadkie szczęście zostać zgwałconym przez zbiegłego więźnia. Pod prysznicami zawsze czułem się speszony, obawiałem się bowiem, że coś może ujawnić moją hańbę kolegom. Poprzysiągłem sobie, że zaczne życie od nowa, odzyskam żarliwy entuzjizm, który utraciłem po napadzie na dom, i że odznaczę się we wszystkich dziedzinach życia uniwersyteckiego. Moje szczęście jednak zaczęło się już odmieniać, uczelnia miała mnie nauczyć, że należę do tych podróżników przez życie, którzy bardzo chcieliby górować nad innymi, ale brak im po temu talentów.

Po pierwszym tygodniu treningów trener oznajmił mi, że tutaj nie nadaję się na quarterbacka, i wyznaczył mi miejsce na obronie, najdalsze od linii zagrywki, tam miałem snuć swoje sny o karierze sportowej. Przez trzy lata wylapywałem wykopy i przekazywałem piłkę drugiej linii, na roku ostatnim przechwyciłem cztery podania i zostałem wyznaczony do drugiej drużyny na rozgrywki stanowe. Ani razu jednak nie rzuciłem żadnego podania ani też nie atakowałem przez linię zagrywki. Moje talenty okazały się umiarkowane, a pragnienia znacznie przekraczały możliwości. Stałem się znany z agresywności i z biegiem czasu trener był ze mnie coraz bardziej zadowolony. Kiedy przeciwnicy przedzierałi się przez linię obrony, dawałem im się nieźle we znaki. Atakowałem ich bez skrupułów, z zamierzoną brutalnością, tej bowiem nie przeszkadzał niedostatek talentu. Tylko ja wiedziałem, że owa dzikość wyrasta z przerażenia. Nigdy nie zniknął mój strach przed grą, ale tą tajemnicą nie podzieliłem się ze światem. Trwogę uczyniłem zaletą i to ona pomagała mi określać siebie przez te cztery lata spędzone pod jej ociężałymi rządami. Grałem z duszą na ramieniu, ale nie zamierzałem się skompromitować. To właśnie strach

spowodował, że tak bardzo pokochałem grę, a także i siebie za to, że otoczyłem ją zapalem czy nawet czcią.

Zanim znalazłem się na uniwersytecie, nie miałem pojęcia, za jakiego naiwnego prostaka mają mnie inni. Moi koledzy z drużyny pierwszoroczników pochodzili z całej Ameryki i niemal ze zdumieniem przysłuchiwałem się rozmowom czterech chłopaków z Nowego Jorku. Nigdy nie podejrzewałem, że ktoś z moich rówieśników może w sposób naturalny nabyć takiej pewności siebie i zarozumiałstwa. Wydawali mi się egzotyczni jak Turcy, a ich mowa ostra, szybka jak karabin maszynowy, robiła na mnie wrażenie obcego, niszczycielskiego języka.

Tak byłem przytłoczony nowością uczelni, wielkością przemiany chłopaka z wyspy na studenta, że na pierwszym roku bardzo niewiele zawarłem znajomości. Żwawy i czujny, język trzymałem za zębami, wszystkiemu się przypatrywałem i usiłowałem robić jak najlepsze wrażenie, naśladować tych wspaniałych, pewnych siebie chłopaków z południowych miast, których tak żarliwie podziwiałem. Mieszkańcy Charlestonu niezależnie od wieku stąpali jak królowie, a ja starałem się imitować elegancję ich manier, ich nieświadomą galanterię, niewysilony dowcip. Moim współlokatorem był chłopak z Charlestonu Boisfeuillet Gailliard, domagający się, by mówić na niego Bo. Biło od niego dobrym wychowaniem i dziedzicznymi przywilejami. Jego nazwisko brzmiało dla mnie niczym francuska potrawa, a jeden z hugonockich przodków był gubernatorem kolonii, zanim wybuchło powstanie przeciw królowi Jerzemu. Uważałem to za wspaniałe zrządzenie losu, że z kimś takim przyszło mi zamieszkiwać, matka zaś doznała nieomal ekstazy na wieść, że jeden z Wingo los swój związał z Gailliardami z Karoliny Południowej. Teraz wiem, że Bo przerażeniem napełniła perspektywa tak marnego towarzystwa w pokoju, zbyt dobrze jednak był wprowadzony w subtelności południowych manier, aby dać mi to odczuć. W istocie, po wstępnym szoku, potem jakby wziął mnie pod swoje skrzydła w ramach czegoś, co można by uznać za program pomocy społecznej. Wprowadził jedną tylko żelazną regułę: że nigdy, pod żadnym pozorem nie pożyczę sobie czegoś z jego ubrania. Jego szafa pełna była wspaniałych garniturów i marynarek, wydawał się zaskoczony ubóstwem mej garderoby, ale nic nie powiedział i tylko z niejakim zdziwieniem przyglądał mi się, gdy z dumą demonstrowałem mu marynarkę, którą matka uszyła na dzień rozdania dyplomów. Bo był uszczęśliwiony na wieść, że gram w piłkę, i spytał, czy mógłbym się dla jego rodziny wystarać o dodatkowe bilety na mecz z Clemson. Odrzekłem, że z najwyższą przyjemnością, i zaopatrzyłem go w

bilety na najbliższe cztery lata, chociaż o wiele wcześniej przestaliśmy dzielić pokój. Wtedy nie wiedziałem jeszcze, że w osobie Boisfeuilleta Gailliarda miałem do czynienia ze specjalnym gatunkiem południowca: urodzonym politykiem. Już pierwszego tygodnia oznajmił mi, iż w wieku lat czterdziestu zostanie gubernatorem stanu, i nie byłem przesadnie zdziwiony, gdy składał przysięgę na dwa lata przed wyznaczonym sobie terminem. Poprosił mnie, abym dawał mu znać, ilekroć na terenie campusa wpadnie mi w oko jakaś dziewczyna nadająca się na Pierwszą Damę Karoliny Południowej. Przyrzekłem mieć oczy szeroko otwarte. Nigdy wcześniej nie spotkałem nikogo podobnego do Bo Gailliarda. Byłem chłopakiem ze wsi niezbyt jeszcze dobrze wyczuwającym dupków.

To Bo natchnął mnie entuzjazmem dla bractw studenckich i podczas tygodnia zapoznawczego wędrowałem z jednej siedziby bractwa do drugiej, przy czym natychmiast zostawiał mnie samego, kiedy znaleźliśmy się już w zadymionym pokoju, pełnym eleganckich Greków, [Grek - określenie dla członka korporacji, której nazwa zaczyna się na grecką literę.] którzy wydawali się najbardziej przyjacielsko usposobionymi istotami, jakie kiedykolwiek poznałem. Równą miłością obdarzyłem wszystkie bractwa i wszystkich ich członków, ale Bo przekonał mnie, że najlepsze jest SAE i tylko o nim warto myśleć poważnie. Tak czy owak, udawałem się na wszystkie biesiady, na które zapraszano studentów pierwszego roku, zaśmiewałem się z każdego dowcipu i włączałem do każdej rozmowy, wygłaszając swoją opinię na wszystkie możliwe tematy.

Kiedy nadszedł czas wypełniania zgłoszeń, po długim i usilnym namyśle zdecydowałem się na pięć najbardziej popularnych bractw. Odpowiedzi miały być dostarczone o piątej po południu na pocztę kampusową, przy której zebrał się ogromny tłum chłopaków i dziewcząt. Co chwila słychać było okrzyki radości osób, które zostały przyjęte do upragnionej korporacji. Nastrój był tak radosny i świąteczny, że niemal bez tchu zaglądałem do swojej skrytki.

O siódmej nadal tam byłem, a widząc uparcie pustą skrzynkę, zastanawiałem się, co to za straszliwa awaria musiała nastąpić. Bo zastał mnie w tym samym miejscu, rozgorączkowanego i poirytowanego, o godzinie ósmej.

- Dostałem pięć zaproszeń, ale właściwie już się urodziłem jako członek SAE. Chodź, postawię ci na tę okoliczność piwo.

- Chyba nie, Bo. Czy jeszcze jutro będą dostarczać akceptacje?

- Nie, skądże - odpowiedział ze śmiechem. - Ludzie by powariowali, gdyby musieli czekać jeszcze do jutra.



- Ja nie dostałem żadnej.  
 - Chyba się nie dziwisz, Tom? - spytał bez żadnej złośliwości w głosie.  
 - Dziwię się, i to bardzo.  
 - Właściwie powinienem być cię ostrzec, ale nie chciałem ranić twoich uczuć, Tom. Stałeś się ulubionym bohaterem dowcipów. Wszyscy o tobie mówią.

- Dlaczego?  
 - W tej samej marynarce pokazywałeś się na każdej kolacji, spotkaniu, przy każdej możliwej okazji. Potem ktoś doszedł, że to matka ci ją zrobiła, i wszyscy dosłownie padli z wrażenia.

Dziewczyny z jednej ze swych korporacji uznały, że nigdy nie słyszały niczego wspanialszego, ale z tej przyczyny żaden z ciebie materiał na członka bractwa. Nikt nigdy nie słyszał, żeby należał do niego ktoś w marynarce własnej produkcji. To mogłoby jeszcze ująć na jakimś obrazie Normana Rockwella, ale nie w kampusie. Czy także Dekes nie odpowiedzieli?

- Sądząc po braku...  
 - Jeśli nie chcą cię przyjąć nawet do Dekes, to nie masz żadnych szans, Tom. Ale posłuchaj, w kampusie jest sporo ostrych facetów, którzy w ogóle sobie nie zwracają głowy żadnymi bractwami.  
 - Szkoda, że ja nie byłem taki mądry.  
 - Chodź”, postawię ci piwo.  
 - Muszę zadzwonić do domu.

Przy wejściu na pocztę stał rząd automatów telefonicznych, a ja usiadłem w jednej z budek i usiłowałem w ciemności zebrać myśli, zanim zadzwonię do domu. Pełen byłem cierpienia i wstydu. Przypominałem sobie swoje zachowanie podczas oszałamiającej wielości spotkań, w których uczestniczyłem. Czy śmiałem się za głośno, mówiłem niegramatycznie, byłem nazbyt nadskakujący? Zawsze uważałem za oczywiste, że ludzie mnie lubią. Nigdy się tym nie trapiłem, ale teraz nagle zobaczyłem poważny problem. Gdybym mógł porozmawiać z kimś z bractwa, wtedy wyjaśniłbym rolę tej marynarki w moim życiu i każdy by to chyba zrozumiał, zarazem jednak sam widziałem daremność takich żałosnych gestów. Po prostu nie znałem natury środowiska, w które wkroczyłem. Chciałem dostać się do bractwa, tymczasem okazało się, że na przeszkodzie temu stoi Liga Colleton. Matka w najmniejszym stopniu nie uprzedziła mnie o niebezpieczeństwach zbyt wysokich aspiracji.

Zadzwoniłem do matki, odebrała Savannah.  
 - Cześć, Savannah. Jak się masz? Tutaj Tom.

- Witaj, studencie - powiedziała głosem nadal słabym i chrapliwym. - Czuję się dobrze. Z każdym dniem coraz lepiej. Nie martw się. Wyliżę się z tego.

- Jest mama? - spytałem.

- W kuchni.

- Nie przyjęli mnie do bractwa, Savannah.

- Przejmujesz się tym, Tom?

- Tak, przejmuję. Próbuję to sobie - wyperswadować, ale nie potrafię. Lubilem wszystkich, wydawało mi się, że to najrówniejsi ludzie, jakich dotąd spotkałem.

- To gnidy, Tom. Skoro cię nie przyjęli, są gnidami - powiedziała, ścisząc głos, aby matka jej nie usłyszała.

- Musiałem zrobić jakiś błąd, ale nie wiem, jaki. Zaakceptowali mnóstwo facetów, o których myślałem, że są bez szans. Dziwnie jest na uniwersytecie, Savannah.

- Tak mi cię żal. Czy chcesz, żebym przyjechała w ten weekend? Blizny na przegubach już się zagoiły.

- Nie, chcę tylko, żebyś wiedziała, jak bardzo tęsknię za tobą i Lukiem. Bez was jest mi źle. I świat jest zły.

- Jestem z tobą, pamiętaj. Teraz mama.

- Nie mogę jej powiedzieć, Savannah.

- Rozumiem. Kocham cię. Ucz się pilnie.

- Tom - odezwała się matka. - Dzisiaj jest twój wielki dzień. Musisz być bardzo podniecony.

- Widzisz, mamó, od czasu jak tutaj przyjechałem, mam tyle różnych zajęć, że postanowiłem w tym roku nie wstępować do żadnego bractwa. To może poczekać rok albo dwa.

- No nie wiem, czy to najlepszy pomysł - powiedziała. - Pamiętaj, że kiedy po studiach wejdiesz w świat biznesu, pomoc najszybciej znajdziesz u kolegów z bractwa.

- Właśnie o to chodzi. Życie bractwa odrywa od studiów. Chodziłem na tak wiele imprez, że trochę zaniedbałem naukę.

- Teraz to brzmi już trochę bardziej rozsądnie, chociaż pamiętaj, że ja tego nie aprobuję. Uważam, że lepiej byłoby usadowić się w bractwie od pierwszego roku, ale jeśli mówisz, że w nauce zaczynasz odstawać...

- Tak, w zeszłym tygodniu zawałem parę testów i trener rozmawiał ze mną na ten temat.

- Tom, wiesz, że jak stracisz stypendium, nie będziemy w stanie płacić za twoje studia.

- Wiem, mamó, i właśnie dlatego myślę, że bractwo może poczekać. Studia muszą na chwilę wziąć górę nad życiem towarzyskim.

- No cóż, jesteś już mężczyzną i sam decydujesz o sobie. Z Savannah coraz lepiej, Tom. Zależałoby mi jednak na tym, żebyś napisał do niej list i spróbował jej wyperswadować wyjazd do Nowego Jorku. Dla dziewczyny z Południa to strasznie niebezpieczne chodzić tam po ulicach.

- Nie bardziej niż żyć na wyspie, mamó - rzekłem, robiąc najwyraźniejszą aluzję do gwałtu, na jaką odważyłem się zdobyć.

- Opowiedz mi, jakie masz zajęcia - powiedziała, zmieniając temat.

Po odłożeniu słuchawki siedziałem jeszcze w budce parę minut i zastanawiałem się, jak mam teraz patrzeć w oczy chłopakom, którzy tak gremialnie głosowali przeciw mnie. Pomyślałem, że może lepiej byłoby się przenieść do jakiegoś mniejszego college'u, bliżej domu. Rozmyślałem, o której zjawić się w bursie, tak żebym nie musiał widzieć twarzy kolegów, wiedzących o tym, że nie zaakceptowało mnie żadne bractwo.

Nie zauważyłem, że do sąsiedniej budki wchodzi dziewczyna, i dopiero usłyszałem, jak wrzuca monetę i pyta, czy może zamówić rozmowę na koszt rozmówcy. Zanim zdążyłem się ruszyć, usłyszałem płacz tak pełen bólu, że teraz nie ośmieliłem się nawet drgnąć, aby nie zorientowała się, że ktokolwiek to słyszał.

- Mamó - szlochała. - Nigdzie mnie nie chcieli. Żadna korporacja siostrzana. - Nie panując nad sobą, łkała w sąsiedniej budce, a ja oparłem głowę o ścianę i słuchałem. - Po prostu mnie nie lubią, mamó, nikt mnie nie chce. Nikomu nic nie zrobiłam. Byłam miła dla wszystkich, naprawdę miła, przecież znasz mnie, mamó. Och, mamó, tak strasznie się czuję, tak okropnie.

Przez dziesięć minut skarżyła się, łkała i słuchała pociech matki. Kiedy odwiesiła słuchawkę, pozostała w budce i dalej płakała. Wyjrzałem zza swojej przegródki i powiedziałem:

- Mnie przytrafiło się to samo. Może pójdziemy na colę?

Spojrzała zaskoczona, łzy toczyły jej się po twarzy.

- Nie wiedziałam, że ktoś jeszcze tu jest.

- Też przed chwilą dzwoniłem do matki, żeby jej powiedzieć, ale zabrakło mi odwagi. Więc nie powiedziałem jej, że nie chcieli mnie przyjąć do żadnego bractwa.

- Nie chcieli? A taki jesteś czarujący.

Zaczerwieniłem się, zupełnie nie przygotowany na podobny komplement.

- To jak z colą? - spytałem, zacinając się.

- Dobrze, ale najpierw muszę umyć twarz, - Nazywam się Tom Wingo.

- A ja Sallie Pierson - oznajmiła przez łzy. - Strasznie się cieszę, że cię poznałam. I tak spotkałem moją żonę.

Wspólne życie rozpoczęliśmy w momencie naturalnego poczucia rozżalenia nad sobą i porażki, co dla nas obojga pozostało pamiętnym wrażeniem. Odrzucenie upokorzyło mnie i wskazało właściwe miejsce w wielkim układzie rzeczy. Stałem się niepewny, podejrzliwy i sztywny. Nauczyłem się trzymać język za zębami, zawsze mieć gotową drogę odwrotu i z rezerwą spoglądać w przyszłość. W efekcie utraciłem zasadniczy optymizm, niefrasobliwą akceptację świata i wszystkiego, co mógł umieścić na mojej drodze, a cechy te decydowały dotąd o mojej sile i otwartości. Niezależnie od przeżyć dzieciństwa i gwałtu nadal uznawałem świat za cudowne miejsce, jednak tylko do czasu, gdy SAE odmówiło mi prawa członkostwa.

Sallie Pierson była z innej gliny. Dla córki dwojga robotników tekstylnych z Pelzer w Karolinie Południowej nieprzyjęcie do korporacji było jedynie kolejnym z towarzyskich niepowodzeń, których doznawała od wczesnego dzieciństwa. Tylko jej ignorancja sprawiła, że rodzina poławiacza krewetek wydała jej się egzotyczna i ważna. Na studia dostała się dzięki stypendium, które fabryka rodziców fundowała co roku temu z pracowniczych dzieci, które uzyskało najlepsze wyniki w szkole. W liceum miała wyłącznie oceny bardzo dobre, na uniwersytecie tylko dwa razy otrzymała notę dobrą. Kiedy się uczyła, w głowie rozbrzmiewała jej muzyka krosien, a przed oczyma miała obraz rodziców udręczonych przez wieloletnią harówkę i marzących o tym, by córce dać szansę, których oni nie mieli. Tego wieczoru, kiedy się poznaliśmy, powiedziała mi, że chce zostać lekarzem i mieć troje dzieci. Plan życia ułożyła jak kampanię bojową. Podczas drugiej wspólnej nocy oznajmiła, że nie chciałyby mnie przestraszyć, ale zdecydowała się wyjść za mnie za mąż. Nie przestraszyłem się.

Nigdy nie spotkałem takiej dziewczyny jak Sallie Pierson.

Każdego wieczoru spotykaliśmy się w bibliotece i czytaliśmy razem. Do studiów podchodziła poważnie, co także mnie się udzieliło. Z wyjątkiem niedziel, co wieczór siedzieliśmy od siódmej do dziesiątej przy jednym stoliku obok działu literatury. Każdego dnia pozwalała mi tylko na jeden miłosny list. W liceum nauczyła się, że swoiste korzyści płyną z usilnego studiowania i że jeśli nie zbraknie pilności, staną się naszym udziałem. Nie napisała mi ani jednego listu miłosnego, natomiast sporządzała długie wykazy oczekiwań wobec nas obydwójga.

Drogi Tomie!

Zostaniesz członkiem Pfai Beta Kappa, będziesz miał swoje miejsce w Who's Who in American Colleges and Universi ties, będziesz kapitanem drużyny futbolowej, a także pierwszym na Wydziale Anglistyki.

Kocham, Sallie

Droga Sallie! (odpisałem i kartkę podałem przez stół)

Co to takiego Phi Beta Kappa?

Kocham, Tom

Drogi Tomie!

To jedyne bractwo, do którego możesz się dostać ty, chłopak ze wsi. A teraz do roboty. Żadnych więcej listów.

Kocham, Sallie

Sallie, podobnie jak Savannah, rozumiała siłę słowa pisanego. Dwa lata później czekał nas na przykład zdumiewający wieczór, gdy byliśmy wprowadzani do Phi Beta Kappa. Ze zdziwieniem zorientowałem się, że w mojej grupie tylko ja słyszałem o Williamie Faulknerze, a co dopiero mówić o czytaniu go. Namiętnie uwielbiałem zajęcia z literatury angielskiej i nie mogłem uwierzyć swojemu szczęściu, że oto oddaję się zajęciu, które polega na czytaniu najlepszych książek, jakie kiedykolwiek napisano. Zaczął się mój długi romans z Wydziałem Anglistyki University of South Carolina, którego pracownicy nie mogli uwierzyć, że futbolista jest w stanie napisać zdanie po angielsku bez gwałtu na języku. Nie wiedzieli, że wychowywałem się w jednym domu z siostrą, która miała zostać najlepszą poetką amerykańskiego Południa, ani że po trzy godziny dziennie uczyłem się z dziewczyną, która za swoje najważniejsze zadanie na studiach postawiła sobie osiągnięcie pierwszego miejsca na liście absolwentów.

Matka absolutnie nie była oczarowana tym, że spotykam się z córką normalnych robotników, i robiła wszystko, aby wyperswadować mi ten związek. W całej serii listów wyłożyła mi, na jakie kobiety powinienem zwracać uwagę, rozglądając się za żoną. Odczytałem je Sallie, a ona zgodziła się z moją matką.

- Tom, nie możesz zapominać o moim pochodzeniu - powiedziała. - Z pewnością nie mogę dać ci tego wszystkiego, co mają do zaoferowania niektóre inne dziewczyny.

- Także i ty nie możesz zapominać, że ja cuchnę krewetkami.

- Lubię krewetki.

- A ja tkaniny bawełniane.

- No to pokażemy im wszystkim, Tom - rzuciła, całując mnie w usta. - Tom i Sallie jeszcze pokażą całemu światu. My nie będziemy mieć wszystkiego i zawsze będzie nam czegoś brakować, ale nasze dzieci będą już mieć wszystko. Wszystko, czego zapragną.

Na te słowa czekałem przez całe swoje dotychczasowe życie i teraz już wiedziałem, że trafiłem na właściwą kobietę.

Następne trzy lata toczyłem zmagania na boisku, mając poczucie, że to nieodpowiednie dla mnie miejsce. Otaczali mnie znakomicie wysportowani zawodnicy, którzy każdego dnia pokazywali dowodnie, ile traci na mnie gra. Niemniej jednak poza sezonem mnóstwo czasu spędzałem w siłowni i z powolną stanowczością wzmacniałem ciało. Rozpoczynając, studia, ważyłem sto sześćdziesiąt pięć funtów, na końcu roku czwartego - dwieście dziesięć. Na pierwszym roku wyciskałem w leżeniu sto dwadzieścia funtów, na roku ostatnim - trzysta dwadzieścia. Byłem blokującym podczas wykopów i grałem w trzeciej linii obrony na pierwszym i drugim roku do chwili, gdy w meczu z Clemson łapacz wykop, Everett Cooper, doznał kontuzji.

Clemson zaliczyli punkt, a ja usłyszałem, jak trener Bass wy wołuje moje nazwisko.

Od tego czasu nastaly dla mnie złote lata studenckie.

Kiedy szedłem na miejsce wyłupu, nikt na stadionie nie znał mojego nazwiska, z wyjątkiem Sallie, Luke'a i moich rodziców.

Zawodnik Clemson podszedł do piłki, żółte hełmy rzuciły się do biegu, usłyszałem ryk sześćdziesięciu tysięcy gardel i zobaczyłem, jak piłka wzbija się w czyste powietrze karolińskie i leci w powietrzu sześćdziesiąt jardów. Chwyciłem ją w strefie końcowej, a potem zrobiłem z nią to, co należało. „Panie i panowie, nazywam się Wingo”, krzyknąłem. Chwyciłem piłkę i pogałem wzdłuż lewej linii. Zostałem złapany na dwudziestym piątym, ale wyrwałem się, a drugi zawodnik Clemson, który rzucił się na mnie szczupakiem - chybił. Biegłem w kierunku końca ich linii defensywnych, dwóch naszych skosiło dwóch przeciwników i wraz z nimi potoczyło się po trawie. Skręciłem w kierunku środka boiska, aż wreszcie blokowy zaczął się też przesuwać, a wtedy powstała luka, o którą błagałem niebiososa. Teraz zrobiłem zwrot i pogałem ku otwartemu przejściu. Ktoś rzucił się pode mnie, zatoczyłem się, lewa ręka uchroniła mnie od upadku, odzyskałem równowagę i na ich trzydziestym zobaczyłem wykopa, ostatniego zawodnika Clemson, który mógł mnie jeszcze powstrzymać przed ich strefą końcową. Ale sześćdziesiąt tysięcy ludzi na stadionie zwanym Doliną Śmierci nie znało mojego nazwiska, a cztery osoby, które kochałem,

zagrzewały mnie, nie miałem więc najmniejszej ochoty zostać powstrzymanym. Pochyliłem głowę, hełm ugodził w jego numer na koszulce, a facet zmiękł jak śnieg pod spojrzeniem Pana i poleciał na trawę, powalony przez jedyne go gracza na boisku, który znał nie tylko nazwisko Byrona, ale i trochę jego poezji. Dwóch gości z Clemson dopadło mnie jeszcze na piątym i koziołkując, razem przeturlaliśmy się przez strefę środkową, co było końcem biegu, który odmienił moje życie na zawsze.

Wynik był trzynaście do sześciu, a do końca pozostała jeszcze jedna ćwiartka, kiedy z głośników popłynęły te słodkie słowa: „Numer czterdzieści trzy, Tom Wingo, pokonał w biegu ciągłym sto trzy jardy, ustanawiając rekord Konferencji Wybrzeża Atlantyckiego.

Pobiegłem do linii bocznej i wpadłem w objęcia kolegów i trenerów. Wyrwałem się z nich, przeskoczyłem przez ławki i jak oszalały zacząłem machać do wiwatujących na moją cześć Sallie, Luke’a i rodziców.

George Lanier kopnął za dodatkowy punkt i kiedy zajmowaliśmy pozycje do czwartej ćwiartki, Clemson Tigers mieli nad nami sześć punktów przewagi.

Kiedy do końca zostały już tylko dwie minuty, zatrzymaliśmy przeciwników na ich linii dwudziestu jardów. Usłyszałem, jak jeden z asystentów krzyczy do trenera Bassa: - Niech Wingo łapie tego woleja.

- Wingo! - wrzasnął trener Bass, a kiedy podbiegłem do niego, klepnął mnie i warknął: - Zrób to jeszcze raz! - Był to mój wielki dzień, trener Bass wypowiedział magiczne zdanie, a ja, zajmując miejsce na naszej linii trzydziestego piątego, zastanawiałem się, kiedy poprzednio słyszałem podobne słowa. Patrzyłem, jak center podaje do woleja, i w tej samej chwili przypomniał mi się odległy wieczór, kiedy miałem trzy lata, a matka prowadzi nas na przystań i wyczarowuje księżyc zza drzew naszej wyspy, siostra zaś cienkim głosikiem krzyczy w ekstazie: „Mamo, jeszcze raz!”

„Zrób to jeszcze raz”, powiedziałem do siebie i patrzyłem, jak piłka łukiem zmierza w ręce chłopaka, który raz w życiu miał swój wielki dzień. Chwyciłem ją, spojrzałem przed siebie i zrobiłem pierwszy krok w biegu mającym mnie uczynić najslawniejszym graczem Karoliny Południowej przez cały rok, który będę wielbił do końca życia. Piłkę złapałem na naszej czterdziestce i pobiegłem wzdłuż prawej bocznej linii, widziałem jednak sunący na mnie ogród żółtych hełmów. Trzech przeciwników gotowało się właśnie, aby dopaść mnie z lewej, gdy zatrzymałem się w miejscu i zawróciłem, biegnąc tym razem w kierunku naszej linii punktowej. Jeden z liniowych z Clemson niemal mnie dopadł na siedemnastym, zgiął się jednak jak scyzoryk dopadnięty przez naszego liniowego, Jima Landona. Dwóch



pozostałych bieгло za mną krok w krok, kiedy znowu zawróciłem. Przed oczyma miałem zadziwiający obraz. Po woleju nasze linie blokujące zupełnie się rozleciały, teraz jednak widzieli, że zawracając, mam przed sobą jedenastu graczy Clemson rozciągniętych w sznurek ciągnący się jakieś pięćdziesiąt jardów. Jeden z nich niemal już miał mnie złapać, kiedy nagle między mną a przeciwnikiem wyłonił się gracz Karoliny Południowej i zwałił tamtego padem pod nogi. I teraz miałem wrażenie, że mknę między kolumnadą. Jakaż lekkość mnie nawiedziła tego dnia! Wydawało mi się, że jestem najmiglejszym, najczarowniejszym młodzieńcem, jaki kiedykolwiek wdychał czyste powietrze Clemson. Kiedy biegnąc szybciej, niż kiedykolwiek bym przypuszczał, znalazłem się na ich linii trzydziestego jarda, nie miałem już przed sobą nikogo z przeciwników. A kiedy minąłem linię punktową, padłem na kolana i dziękowałem Bogu, że zechciał na jeden wspaniały, niepowtarzalny dzień mego młodego życia uczynić mnie królem świata.

Potem George Lanier zdobył dodatkowy punkt, zatrzymaliśmy szarżę Clemson na naszej linii dwudziestego trzeciego i rozległ się gwizdek. Myślałem, że nie przeżyję ataku kibiców Karoliny, którzy wdarli się na boisko, co byłoby śmiercią w najzupełniej właściwym momencie. Fotograf utrwalił moment, gdy Sallie odnajduje mnie w tłumie, chwytając w ramiona i całuje w usta, nie przestając krzyżeć. W całym stanie - nawet w Pelzer - zdjęcie to znalazło się w działach sportowych wszystkich gazet.

O północy, kiedy opuszczałem restaurację „Yesterday” na Rve Points, dokąd rodzice zabrali nas na kolację, czułem, że koniec tego cudownego dnia także i mnie umniejsza.

W następnym tygodniu na samochodach w całej Karolinie Południowej ukazały się napisy: „Clemson, kopnij do Wingo”. Kolejnej niedzieli Herman Weems z „Columbia State” napisał artykuł, w którym nazwał mnie uczonym atletą i najgroźniejszą tajną bronią w dziejach futbolu Karoliny Południowej. Zacytował słowa trenera Bassa: „Nie jest najwybitniejszym futbolistą, ale w to nikt w Clemson nie uwierzy”.

W ostatnim akapicie Herman wspomniął, że spotykam się z dziewczyną, która ma najlepsze wyniki w nauce i jest śliczna jak obrazek, Sallie zdecydowanie najbardziej podobał się ten fragment artykułu.

Kilka tygodni później złożyła mi wizytę delegacja SAE z Bo Gailliardem na czele, aby spytać, czy nie byłbym zainteresowany przystąpieniem do bractwa. Grzecznie odmówiłem, podobnie jak propozycjom siedmiu innych korporacji. Nigdy słowo „nie” nie wydawało wam się tak eterycznie piękne. Trzy Delty wysłały grupę najładniejszych i najbardziej popularnych

dziewcząt, aby zaprosić Sallie do członkostwa. Słowami, które niezmiennie mnie zachwycają, poradziła im, aby pocałowały ją w jej prowincjonalną dupcię.

Nigdy już nie miałem doświadczyć dnia, który tak radykalnie odmieniłby wszystko. Aż do końca kariery futbolowej w Karolinie grałem nieźle, ale zostałem pouczony o tym, że natura niezwykle oszczędnie rozmieszcza swe dary. Gdybym był prawdziwie utalentowany, przeżyłbym więcej takich dni, ale i tak uważałem się za szczęściarza, skoro udało mi się przeżyć chociaż jeden. W największym dołku poznałem dziewczynę, którą miałem kochać aż do końca życia, w momencie szczytowym osiągnąłem wyżyny swych możliwości sportowych i przez jeden dzień poznałem, co to znaczy być sławnym.

Po uzyskaniu dyplomów wzięliśmy z Sallie ślub, moim drużbą był Luke, Savannah wystąpiła jako druhna mej żony. Miesiąc miodowy spędziliśmy na Melrose Island w małym, dwupokojowym domku, zbudowanym przez Luke'a a na dwuakrowej działce, którą ojciec wydzielił mu koło mostu. Savannah spędziła tydzień z rodzicami, a Luke spał na swej łódce, podczas gdy ja przekazywałem Sallie wszystko, co wiedziałem o życiu na wybrzeżu.

W nocy leżałem w objęciach Sallie, ona zaś szeptała: „Kiedy skończę medycynę, będziemy mieć piękne dzieci, Tom, a na razie uczmy się tym cieszyć”.

Podczas tego długiego lata odtwarzaliśmy w słodkim uścisku najdelikatniejszy rozdział w dziejach świata. W czułości odsłaniailiśmy sobie nawzajem tajemnice sekretnie skrywane przez ciała, a było to jak wspólne układanie poematu z ognistych płomieni.

Kiedy skończył się miesiąc poślubny, pomagałem Luke'owi na łódce. Wstawaliśmy z Sallie przed świtem i spotykaliśmy mojego brata na przystani krewetkowej. Luke ruszał w ślad za kutrem ojca, ja zaś doglądałem, czy olinowanie jest w porządku. Kiedy ładownie były pełne i napełnione lodem, zmywałem pokład, a Luke prowadził „Miss Savannah” z powrotem do brzegu. Luke płacił mi dziesięć centów za każdy funt sprzedanych krewetek, kiedy więc zaczynałem pracę w szkole średniej w Colleton jako nauczyciel i trener, miałem już trochę pieniędzy na koncie bankowym.

Sierpniowy numer „Saturday Review” w dodatku poświęconym młodym poetom wydrukował pierwszy wiersz Savannah. Ukazał się tego samego dnia, kiedy Luke otrzymał informację, że jego kategoria wojskowa zmieniła się na 1-A. Savannah napisała wiersz antywojenny w tym samym momencie, gdy wojna pojawiała się w świadomości rodziny.

Następnego wieczoru Luke spytał nas w domu:

- Tom, Sallie, co myślicie o tej historii w Wietnamie?
- Martwi mężowie są kiepskimi ojcami - odparła Sallie. - Tom nie ma tam czego szukać.
- Nie dadzą mi się z tego wykręcić - mruknął Luke. - Zadzwońłem wczoraj do starego Knoxa Dobbinsa z komisji mobilizacyjnej i on powiedział mi, że dla poławiaczy krewetek nie przewiduje się żadnych zwolnień. Zresztą jego zdaniem za dużo jest ludzi na rzece.
- Jasne, i oto znalazł sposób, żeby część ich usunąć - parsknąłem ze złością.
- Czy powołają także i ciebie, Tom? - indagował Luke.
- Nie biorą nauczycieli z małych miasteczek. Płacą nam głodowe pensje i mają nadzieję, że nie będziemy się rozglądać za żadną porządną pracą.
- Znałeś może kogoś z Wietnamu? - dopytywał się Luke.
- W Kolumbii spotkałem raz właściciela chińskiej restauracji.
- Był Chińczykiem, Tom - zauważyła Sallie - a to nie to samo.
- Dla mnie to samo.
- Mama mówi, że muszę jechać, bo nauczono nas kochać Amerykę.
- Dobra, Kochamy Amerykę - rzekłem. - Ale co to ma do rzeczy.
- Ja jej odpowiedziałem, że nie Kocham Ameryki - oznajmił Luke. - Kocham hrabstwo Colleton, a resztę niech sobie biorą Wietnamczycy, co mi tam. Najgorsze jest to, że będę musiał sprzedać łódkę.
- Nie rób tego - sprzeciwiła się Sallie. - Tom może ją dla ciebie utrzymywać. Jak tylko skończą się zajęcia, przejmie ją i będzie zarabiał przynajmniej na pokrycie opłat.
- Tom nie po to poszedł na uniwersytet, żeby teraz miał się zajmować krewetkami - obruszył się Luke.
- Nie - powiedziałem. - Tom poszedł na uniwersytet, aby mógł decydować, czy zajmować się łódką, czy nie. Chciałem mieć możliwość wyboru i w tej sytuacji będzie to dla mnie zaszczytem, jeśli zaopiekuję się łódką podczas twojej nieobecności.
- Dzięki - rzekł po prostu. - Chciałem wiedzieć, że będzie na mnie czekać, jak wrócę.
- Nie jedź, Luke - pokręciła głową Sallie. - Powiedz, że nie pozwalają ci zasady moralne. Powiedz cokolwiek.
- Wsadzą mnie do więzienia, Sallie - powiedział. - A ja prędzej umrę, niż pójde do więzienia.

Kiedy nasze życie w Colleton zaczęło zapełniać się sennymi fragmentami życia prowincjonalnego nauczyciela z Południa, Luke został z tego życia wyrwany, aby odegrać swą małą rolę w owej jedynej wojnie, jaką Ameryce udało się sprokurować w naszym pokoleniu. Podczas gdy ja prowadziłem lekcje, a potem treningi na tym samym boisku, na którym wraz z Lukiem byliśmy kapitanami drużyny futbolowej, a Savannah uczestniczyła w każdej antywojennej demonstracji, jaka odbywała się na Wschodnim Wybrzeżu, Luke patrolował wietnamskie rzeki, zostawszy członkiem najbardziej tajemniczej i elitarnej formacji marynarki, SEAL. Marynarka nie była na tyle głupia, aby nie wykorzystać talentów najsilniejszego i najsprytniejszego chłopaka, który zgłosił się na ochotnika, w czasie gdy Ameryka była wystawiona na surową próbę. Podczas gdy ja uczyłem chłopaków sztuki blokowania, Savannah pisała wiersze, które miały wejść w skład jej pierwszego tomiku, Luke uczył się, jak niszczyć obiekty pod wodą, skakać na spadochronie z nisko lecącego samolotu, walczyć z partyzantami i bezgłośnie mordować na zapleczu wroga. W Ameryce wiedliśmy zwodniczo poskładane i harmonijne życie, które zostało wystawione na bolesną próbę, kiedy świat wymknął się spod kontroli, a gwiazdy zaczęły się układać w magiczne, bestialskie kształty i spiskować, aby wyciągnąć naszą rodzinę na zakola leniwej rzeki i tam pociąć na przynętę.

„SEAL!!! - napisała do mnie Savannah, gdy dowiedziała się o przydziale Luke'a. - Zły omen, Tom, bardzo zły omen! Pamiętasz, jak pisałeś mi o meczu w Clemson, kiedy jedyny raz w czasie swojej kariery zawodniczej zaliczyłeś dwa przyłożenia? Dzień ten upływał pod znakiem magicznego słowa: „tygrys”. Grałeś przeciwko Tygrysom z Clemson, a słowo „tygrys” zawsze było dla nas szczęśliwe. Ale „seal”, Tom, „foka”!!! Pamiętasz, co przytrafiło się focie w cyrku? Pamiętasz, co tygrysy robią z fokami? Obawiam się, Tom, że Luke niczym foka jedzie do kraju tygrysów. A to napęłnia mnie przerażeniem. Słowa są dla poetów znakami i symbolami. Wybacz mi, ale boję się, że Luke nie przeżyje tej wojny.

Wojnę Luke'a śledziłem za pośrednictwem listów, które adresował na gabinet trenera w szkole średniej Colleton. Inne listy pisał do rodziców, dziadków i Savannah - radosne i pełne miłych kłamstw. W tych opisywał zachód słońca nad Morzem Południowochińskim, potrawy, które jadł w Sajgonie, zwierzęta, które widział na skraju dżungli, dowcipy zasłyszane od przyjaciół. W listach do mnie wydawał się człowiekiem tonącym. Pisał o operacjach wysadzania mostów w Wietnamie Północnym, nocnych wypadach na pozycje przeciwnika, odbijaniu pojmanych Amerykanów,

napadach na małe konwoje dostawcze. Pewnego razu płynął pod prąd cztery mile, aby poderżnąć gardło wójtowi wioski, który współpracował z Wietkongiem. Jako jedyny przeżył atak przeprowadzony z zaskoczenia na wycofujące się oddziały regularnej armii Wietnamu Północnego. Najbliższy przyjaciel zmarł na jego rękach, wstąpiwszy na minę. Ale to nie mina go zabiła, lecz Luke. Przyjaciel błagał go, aby dał mu nadmierną dawkę morfiny, wołał bowiem umrzeć, niż żyć bez nóg i jąder. „W ogóle nie śpię po nocach, Tom - pisał. - Ale to właśnie wtedy, kiedy leżę z szeroko otwartymi oczyma, widzę najgorsze koszmary. W zabijaniu ludzi najgorsze jest to, że robi się to tak łatwo. Czy to nie przerażające?”

Zabiwszy człowieka, Luke zawsze informował mnie o tym w tonie rzeczowym i beznamytnym, prosząc zarazem, abym zapalił świeczkę za duszę zmarłego, kiedy będę w pobliżu katedry w Savannah. Wszyscy zostaliśmy tam ochrzczeni i katedra pozostała ulubioną świątynią Luke'a. Zanim Luke wrócił do domu, zapaliłem trzydzieści pięć świeczek przed figurą Marii Panny Nieustającej Pomocy i przy drżącym świetle odmawiałem modlitwy za ten pluton nieżywych ludzi. Przed całą resztą rodziny utrzymywał, że nie był w żadnej akcji bojowej. Listy do rodziców przypominały ulotki biura podróży namawiającego wahających się turystów do wyjazdu na Wschód. Zrywał w dżungli orchidee, wkładał je między stronice Biblii ofiarowanej mu przed wyjazdem przez dziadka i wysłał matce jako prezent urodzinowy. Biblia pachniała jak zapuszczony ogród, a kiedy matka otworzyła ją, wysunęły się zasuszone orchidee niczym zawstydzone ważki. Matka łkała, że to pierwsza Wigilia na wyspie, podczas której nie będzie Luke'a.

- Martwe kwiaty - pokiwał głową ojciec. - Zdziwaczał nam Luke w tym Wietnamie.

- Mój ukochany chłopiec - szlochała matka. - Dziękować Bogu, że nic mu nie grozi.

W Colleton zacząłem wchodzić w rytm regularnego życia nauczycielskiego. Przez pięć godzin dziennie zajmowałem się z uczniami literaturą angielską i kompozycją tekstów, zapuszczając się z nimi w zdradliwą architekturę angielskiej gramatyki i każąc im brnąć przez gęstwiny Silasa Marnera czy Juliusza Cezara. Dyrektor ukarał mnie za specjalizację w angielskim tym, że w pierwszym roku dał mi drugie klasy. Drugoklasiści buzujący hormonami i obciążeni zmianami cielesnymi, które ledwie rozumieli, siedzieli otepiali, z opadłymi szczękami, podczas gdy ja rozwodziłem się nad zaletami strony czynnej albo perfidią Kajusza. Takich słów jak „perfidia” zdecydowanie nadużywałem podczas owego

pierwszego, niepewnego roku. O wiele bardziej byłem słownikiem niż nauczycielem, a biedni drugoklasiści musieli ponosić konsekwencje mej niewprawności.

Obiad jadłem w stołówce nauczycielskiej, jednocześnie poprawiając upiorne prace uczniów, którzy wydawali się obdarzeni jakimś szczególnym talentem unicestwiania wszelkiego piękna językowego. Kiedy lekcje się kończyły przebierałem się w strój trenerski, zawieszałem gwizdek na szyi i trenowałem pierwszą drużynę juniorów aż do godziny szóstej. W domu byłem o siódmej i zaczynałem przygotowywać kolację, Sallie Zjawiała się znacznie później, wymęczona dodatkowo podróżą, gdyż Medical College of South Carolina znajdowała się w Charlestonie. Mieszkaliśmy w małym domku, który wynajęliśmy o przecznicy od domu dziadków. Luke chciał, abyśmy zostali w jego domu na wyspie, ale Sallie bardzo szybko oceniła charakter matki i uznała, że na Melrose jest miejsce tylko dla jednej kobiety. Domek był niewielki, ale znajdował się nad samym strumieniem, tak że podczas przyływu można było z niego wypłynąć łódką. Rano ustawiałem sieć na kraby, z końcem września łowiłem strzępice. Wieczorami po treningu uczestniczyłem w próbach teatryku studenckiego w jadalni, a w tym samym czasie Savannah w Central Parku demonstrowała przeciw wojnie, podczas gdy Luke minował dojścia do rzek w Wietnamie Północnym.

Podczas ferii wielkanocnych ustawiliśmy „Miss Savannah” na szynach prowadzących do suchego doku i wyciągnęliśmy ją z wody, Oskrobaliśmy ją z pąkli i starej farby, a następnie starannie na nowo pomalowaliśmy. Uporządkowałem sieci, których miałem używać w lecie, a potem tak długo pracowaliśmy nad silnikiem, że podczas próbnej przejażdżki po rzece mruczał jak zadowolony kot.

Latem po raz pierwszy w życiu wypłynąłem na rzekę jako samodzielny kapitan kutra, nowicjusz w tym bractwie ludzi szorstkich i ogorzałych na słońcu.

„Miss Savannah” była przycumowana do łódki ojca, musiałem więc przejść przez nią, aby się dostać na swoją.

- Dzień dobry, kapitanie - mówił ojciec.
- Dzień dobry, kapitanie - odpowiadałem.
- Zakładam się o piwo, że dzisiaj będę miał więcej krewetek na wadze od ciebie.

- Wstyd mi wyciągać piwo od staruszków. - To zdecydowanie za dobra łódka dla ciebie, kapitanie - mówił ojciec, spoglądając na „Miss Savannah”.

Każdego letniego poranka powtarzałem ten sam nieświadomy rytuał dzieciństwa i obserwowałem, jak mój gadatliwy ojciec snuł nieprzerwanie plany zarobienia miliona dolarów, zarazem tak sterując, by znaleźć się jak najbliżej bogatych ławic krewetek, które połyskiwały w wodzie. Tyle że teraz sam stałem za sterem, prowadząc łódź kanałami, które znałem jak obrysy własnych paznokci, jednym spojrzeniem oceniając informacje dostarczane przez boje całymi tysiącami mil wytyczające tory wodne lub nerwowo zerkając na głębokościomierz, gdy łowiłem w miejscach mi nie znanych. Każdego ranka płynąłem w ślad za ojcem i łowiliśmy w tandemie.

O wschodzie słońca uzgadnialiśmy swoje pozycje, redukowałem obroty z 1500 na minutę do 900 i wsłuchiwałem się w muzykę wyciągu, gdy Ike Brown, pomocnik, którego najałem, zaczynał rozkładać sieci i opuszczać je do wody. Kiedy wszystkie już się w niej znalazły, czułem, jak co najmniej o połowę zmniejszają ciąg łodzi i nadawałem jej właściwą prędkość: 1 i 1/2 węzła.

Pierwszego lata złowiłem trzydzieści tysięcy funtów krewetek, wypłaciłem niezłą pensję Ike'owi, sobie jeszcze lepszą i uregulowałem wszystkie opłaty. Zanim dwudziestego sierpnia musiałem rozpocząć treningi, przysposobiłem Ike'a Browna do samodzielnego kierowania łodzią, na pomocnika wziął swego syna, Irvina. Luke po powrocie z oceanu podżyrował wnioskiem o kredyt bankowy Ike'owi, ten zaś kupił własną łódkę i ochrzcił ją „Mister Luke”. W nazwach łodzi zawsze zawiera się szacunek i sentyment. W sierpniu, czasie mego powrotu na boisko, Savannah miała swój pierwszy wieczór autorski, Luke zaś szykował się do zakończenia żołnierki i powrotu nad rodzinną rzekę. W cichych kanałach otaczających rodzinę łowcy krewetek wszystkie sieci bezgłośnie zajmowały właściwe miejsca.

\* \* \*

Nad Morzem Południowochińskim zmierzchało i samoloty wracały na pokład lotniskowca, gdy centrum łączności odebrało wezwanie od pilota, który musiał przymusowo lądować na polu ryżowym niecałą milę od brzegu. Zanim kontakt się urwał, pilot zdążył dokładnie określić swoje położenie. Po krótkiej naradzie na mostku dowódca podjął decyzję o wysłaniu grupy ratunkowej, która spróbuje zabrać pilota.

Misję miał poprowadzić podporucznik Ghrisopher Blackstock, który na pytanie, kogo chce do pomocy, wymienił tylko jedno nazwisko: „Wingo”.



Kiedy zapadł mrok, spuszczone z pokładu ponton i w pełnym blasku księżycyca dwaj żołnierze powiosłowali przez trzy mile wzburzonego morza w kierunku brzegu. Pełnia nie była dla nich korzystna, ale bez żadnego incydentu udało im się dotrzeć do plaży, ponton ukryli w kępie palm kokosowych, sprawdzili swoją pozycję i ostrożnie zagłębili się w dżunglę.

Godzinę zabrało im znalezienie samolotu, który wylądował na środku pola ryżowego, które odbijało księżyc w tysiącach kałuż świeżej wody. Luke opowiadał mi potem, że pola ryżowe stanowią najpiękniejsze połączenie wody z roślinnością.

Czując lęk przed czającym się zagrożeniem, na brzuchach popęzli jedną z małych grobli, dzielących pole na lśniąca kałuże. Samolot stracił skrzydło i leżał na boku, a wyrosnięty ryż sięgał aż do kadłuba. Falujący na wietrze ryż przypominał Luke'owi słone mokradła Karoliny, zapach był jednak bardziej delikatny i aromatyczny.

- Tom, to ci dopiero był ryż. Nie to gówno Uncle Ben. W tej części świata jest paru niezłych farmerów.

- Sądziłście, że pilot przeżył?

- Kiedy zobaczyliśmy samolot, już nie.

- To dlaczego nie zawróciliście, żeby czym prędzej załadować się do pontonu?

Rok później, już w Colleton, Luke zaśmiał się serdecznie i rzekł: - Tom, przecież byliśmy z SEAL.

- To znaczy: świrami.

- Nie widziałem w życiu lepszego żołnierza niż Blackstock, Tom - powiedział Luke. - Gdyby mnie poprosił, czołgałbym się z nim aż do samego Hanoi.

Kiedy dotarli do wraku samolotu, Blackstock dał znak Luke'owi, żeby go krył, a sam wspiął się na nietknięte skrzydło i zajrzał do kabiny. O ćwierć mili od nich coś poruszyło się między drzewami, Blackstock rzucił się na podmokłą ziemię i dlatego nie trafiła go salwa z AK-47. Luke zobaczył, że w ich kierunku biegnie schylonych pięciu żołnierzy północnowietnamskich. Począł, aż wiatr zegnął zagon ryżu, wycelowwał z karabinka automatycznego i wystrzelił, a cała piątka ciężko zwała się w wodę. W następnej chwili rozpętała się taka zawierucha, jak gdyby cały Wietnam Północny chciał przeszkodzić w powrocie do pontonu.

Ledwie odskoczyli groblą nieco od samolotu, ten został rozerwany na kawałki pociskiem z moździerza. W mroku za sobą usłyszeli wykrzykiwane po wietnamsku rozkazy. Następne eksplozje targnęły resztkami maszyny, do

której zbliżali się żołnierze, bez przerwy ją ostrzeliwując. O kilkaset jardów od nich wybuchł granat ręczny.

- Jest ich tylko setka - szepnął Blackstock do ucha Luke'owi.
- Dziękować Bogu, przez chwilę myślałem, że mają przewagę.
- Biedne skurwysyny nie wiedzą, że mają do czynienia z chłopakami z SEAL.

- Chyba się tym jakoś specjalnie nie przejmują, panie poruczniku.  
 - Obyśmy się tylko dostali do drzew - szepnął Blackstock. - W ciemności już nie tak łatwo będzie im nas znaleźć.

W czasie gdy skradali się w kierunku gęstwiny, Wietnamczycy zorientowali się, iż Amerykanom udało się wymknąć z zasadki. Luke usłyszał chłopot wody pod nogami goniących ich nieprzyjaciół, ale pole było rozległe, a groble, miejscami niższe, miejscami wyższe, utrudniały systematyczne poszukiwania. Kiedy Wietnamczycy pojawili się na tym samym łanie, Luke i Blackstock instynktownie przetoczyli się na drugą stronę grobli, a kiedy mężczyźni w czarnych strojach niemal na nich nadepnęli, w ciągu trzech sekund zabili wszystkich siedmiu i pognali przed siebie, podczas gdy kule szarpały ryżem wokół nich. Dotarli do linii drzew, Blackstock skoczył między nie, dał się słyszeć wystrzał z AK-47, na co podporucznik odpowiedział ogniem, potem rozległ się odgłos padającego ciała. Luke gęsto się ostrzeliwując, dobiegł do martwego Blackstocka leżącego na ciele Wietnamczyka, który go zabił, i przykłęknawszy, zaczął strzelać we wszystkich kierunkach, a kiedy skończyła mu się amunicja, chwycił broń swego towarzysza i dalej prowadził kanonadę. Kiedy zbrakło nabojów także do drugiego karabinka, zaczął ciskać na lewo i prawo granaty ręczne. Jak sam potem przyznał, nie było z tego wielkiego pożytku, natomiast chciał czymś zająć uwagę nieprzyjaciela.

Bezbronny już, zarzucił sobie ciało Blackstocka na plecy i ruszył w kierunku Pacyfiku, mając za sobą licznych tropicieli. Szedł i nasłuchiwał. Ilekroć usłyszał swych prześladowców, zatrzymywał się i czekał, aż wszystko ucichnie. Odwrót swój potraktował jak długie polowanie na jelenia, w którym wykorzystał całą wiedzę uzyskaną dzięki wieloletnim kontaktom z leśną zwierzyną. Ruch mógł zabić samę albo ją uratować, a wszystko zależało od dokonanego przez nią wyboru, kiedy dobiegał do niej zapach myśliwych. Godzinę spędził ukryty między korzeniami zwalonego drzewa o przedziwnych owocach, których Luke jeszcze nigdy dotąd nie widział. Słuchał głosów, kroków, dochodziły do niego odgłosy wystrzałów, z bliska i z odległości mil. Znowu wziął na plecy ciało swego dowódcy i szedł z nim w kierunku fal uderzających o plażę. Na przebycie pół mili

potrzeba mu było trzech godzin, nie wpadał jednak w panikę. Nasłuchiwał, aby się upewnić, że nie ma w pobliżu nikogo, kto zarejestrowałby jego poruszenia. Znajdował się na terytorium przeciwnika, który miał nad nim ogromną przewagę, gdyż znał okolicę. Tyle że ta nie różniła się tak bardzo od karolińskiego wybrzeża, a Luke nauczył się wszak paru rzeczy jako dziecko.

O czwartej nad ranem zobaczył Pacyfik. Przyglądał się patrolowi, który z bronią gotową do strzału kierował się na północ. Pozwolił im oddalić się na trzy czwarte mili, a potem poszedł prosto w kierunku wody, nie rozglądając się na lewo ani prawo. Pomyślał, że jeśli ktoś go zobaczy, jest już martwy, gdyby jednak czekał na świt, utraciłby wszystkie szanse. Dotarłszy do wody, rzucił ciało Blackstocka na fale i zanurkował za nim. Po piętnastu minutach był na otwartym morzu. Teraz był już w swoim żywiole i nikt z północnych Wietnamczyków nie mógł sprostać Luke'owi Wingo w słonej wodzie.

Zbadał układ gwiazd i spróbował ustalić kurs. Płynął trzy mile, holując za sobą zwłoki podporucznika Christophera Blackstocka. O jedenastej przed południem został wyłowiony przez amerykańską łódź patrolową, spędziwszy w wodzie sześć i pół godziny.

Do złożenia raportu stanął przed admirałem Floty Pacyfiku. Poinformował go, że pilota nie było we wraku maszyny, co podporucznik Blackstock stwierdził na własne oczy. Nie wiedzieli, czy pilot zginął, został wzięty do niewoli czy może wyskoczył przed katastrofą. Zostali zaatakowani przez przeważające siły przeciwnika i podczas odwrotu musieli stoczyć walkę. Podczas wymiany ognia podporucznik Blackstock poległ. Luke, zgodnie z otrzymanymi rozkazami, powrócił do centrum, skąd wysłano ich na akcję.

- Marynarzu - spytał admirał - dlaczego holowaliście za sobą ciało podporucznika Blackstocka, skoro wiedzieliście, że nie żyje i nie jest to dla niego żadnym ratunkiem?

- Tego nauczyliśmy się podczas ćwiczeń, panie admirale.

- Czego?

- Żołnierze SEAL nie zostawiają swoich zmarłych - odparł Luke.

Kiedy Luke po odbyciu służby wrócił do Colleton, zasiedliśmy na tym samym drewnianym moście, na którym celebrowaliśmy ukończenie szkoły. Odnaczono go Srebrną Gwiazdą i dwiema Gwiazdami Brązowymi.

- Luke, czy nauczyłeś się nienawidzić Wietnamczyków, tych z Północy?  
- spytałem, podając mu butelkę Wild Turkey. - Czy nienawidzisz Wietkongu?

- Nie, Tom - odrzekł. - Podziwiałem ich. To dobrzy farmerzy. A także dobrzy rybacy.

- Ale zabijali twoich przyjaciół. Zabili Blackstocka.

- Kiedy znalazłem się na tym polu ryżowym, Tom, wyobraziłem sobie, że jestem pierwszym białym, który tam się zjawiał. Przybyłem tam z karabinkiem automatycznym. Mieli rację, że starali się mnie zabić. Nie miałem tam żadnej własnej sprawy.

- To o co walczyłeś?

- Walczyłem, ponieważ żyję w kraju, gdzie pakują cię do więzienia, jeśli powiesz im, że nie pójdziesz się bić. Zdobyłem sobie prawo powrotu do Colleton. I już nigdy więcej nie opuszczę wyspy. Zdobyłem prawo, żeby zostać tutaj aż do końca życia - Tutaj, w Ameryce, mamy szczęście - powiedziałem. - Nie musimy się martwić o to, że ktoś nas najedzie.

- Nie wiem, Tom - odrzekł. - Świat to kurewskie miejsce.

- Ale Colleton nic się nie przydarzy.

- Dlatego kocham Colleton. Zupełnie jak gdyby świat wydarzał się tutaj po raz pierwszy. Jakbyśmy urodzili się w raj.

## ROZDZIAŁ 25

Chociaż małżeństwo rodziców mogło służyć jako podręcznikowy przykład mezaliansu, sądziłem, że sama siła przyzwyczajenia uczyniła je nienaruszonym. Kiedy upływały lata, a ja już wychowywałem własne dzieci, zacząłem dostrzegać nieustanną erozję wszelkiego szacunku, jaki matka mogła kiedykolwiek żywić dla mego ojca. Gdy dzieci się usamodzielniały, matka swą niewyczerpaną energię poświęciła na wielkie projekty realizowane poza domem. Zbrodnia naszego dorostania polegała na tym, że zacieraaliśmy klarowność cech, przy użyciu których matka określała siebie, chociaż zarazem wyzwalaliśmy ją od ograniczeń związanych z tym samookreśleniem. Matka w istocie przez całe życie czekała na moment, gdy jej żądza władzy oraz intryganctwo będą mogły się zmierzyć z materią życia małomiasteczkowego. Kiedy chwila taka nadeszła, matki nie trzeba było zachęcać. Ze swą urodą Lila Wingo mogła spełnić nawet nader wyuzdane sny królewskie. Jej uroda w połączeniu z pomysłowością mogła poderwać do czynu rzesze anarchistów i królobójców, gotowych przynieść jej na porcelanowych półmiskach monarsze głowy przystrojone pietruszką i różami.

Później będziemy się głośno zastanawiać, czy matka od lat planowała widowiskowe zerwanie z przeszłością, czy też z genialną spontanicznością wykorzystała okazję, którą przyniósł niezależny bieg wydarzeń. Od dawna podejrzewaliśmy, że jest kobietą pełną inwencji, ale tylko Savannah nie była zaskoczona, gdy matka okazała odwagę i brak skrupułów. Za nic nigdy nie przeprosiła, nie czuła też potrzeby wyjaśnień. Zrobiła to, do czego popychała ją własna natura, a nie należała do osób, które w nagłym akcie szczerości zaczynają z uwagą wpatrywać się w siebie.

Wykazując znakomite rozeznanie w arkanach taktyki, okazała się terrorystką urody, królową bezkrwawego autodafe, a chociaż w efekcie żywcem schrupała Henry'ego Wingo, to jednak zapłaciła za to bardzo wysoką cenę.

W godzinie największego triumfu, kiedy zyskała wreszcie wszystkie honory i dostatki, kiedy zagrała na nosie wszystkim tym, którzy jej nie doceniali, ojciec na skutek ostatniej wielkiej próby zdobycia jej podziwu wylądował w więzieniu, a na talerzu podano jej głowę najstarszego syna. Los kazał jej zasmakować goryczy, nie zaś słodyczy spełnionych modłów.

Pewnego dnia roku 1971 łowiliśmy razem z Lukiem niedaleko Coosaw Flats, idąc kursem na wschód z lekkim odchyleniem na południe, kiedy z radia popłynął głos matki.

- Kapitan Wingo, kapitan Luke Wingo. Odezwij się, kapitanie. Odbiór.
- Słucham, mamó? Odbiór.
- Powiedz Tomowi, że lada chwila zostanie ojcem. Gratulacje. Odbiór.
- Zaraz tam będę, mamó - wrzasnąłem. - Odbiór.
- To znaczy także, że lada chwila zostanę babcią. Odbiór.
- Gratulacje, babciu. Odbiór.
- Ja w tym nie widzę nic śmiesznego, synu. Odbiór.
- Gratulacje, synu. Odbiór - odezwał się ojciec.
- Gratulacje, Tom - popłynęły z radia słowa innych rybaków, podczas gdy ja spieszenie wyciągałem sieci, a Luke zawracał łódkę w kierunku Colleton.

Kiedy znaleźliśmy się naprzeciw szpitala, który przysiadł nad rzeką na południowym skraju miasta, skoczyłem do rzeki, popłynąłem do brzegu i ociekając morską wodą, pogałem na oddział położniczy. Pielęgniarka dała mi ręcznik i szlafrok szpitalny, trzymałem Sallie za rękę do chwili, gdy doktor Keyserling oznajmił, że już czas i łóżko z Sallie potoczyli na salę porodową.

O godzinie 11.25 w nocy urodziła się Jennifer Lynn Wingo, ważyła siedem funtów i dwie uncje. Wszyscy poławiacze krewetek przysłali kwiaty, a nauczyciele szkolni przy szli obejrzyć dziecko. Następnego ranka dziadek przyniósł wnuczce Biblię, starannie wyrysowawszy w niej drzewo rodzinne.

Na korytarzu matka spotkała przerażoną Isabel Newbury, którą wysłano do szpitala na badania po tym, jak w stolcu znalazła ślady krwi, Pani Newbury była spanikowana, nie mogła jeść szpitalnego pożywienia, matka zaczęła jej więc przynosić jedzenie, ilekroć odwiedzała Sallie i jej córeczkę. Dopiero w Charlestonie potwierdzono wstępne podejrzenie raka jelit. To matka zawiozła Isabel Newbury do Charlestonu, to matka opiekowała się nią przed operacją i po niej. Ze wszystkich mych córek matka zawsze preferowała Jennifer nie tylko dlatego, że pierwsza przyszła na świat, ale także dlatego, że to jej narodziny doprowadziły do wielkiej i dość przypadkowej przyjaźni z Isabel Newbury.

Nikt nie potrafi stwierdzić z całą pewnością, kiedy ciche grupy mierniczych ze swymi taśmami i tyczkami nawiedziły nasze hrabstwo, starannie je wymierzając wzdłuż i wszerz, większość osób zgadza się jednak, że było to tego samego lata, gdy stanowy Wydział Ruchu

Drogowego odebrał dziadkowi prawo jazdy. Amos już jako młody człowiek był heroicznie złym kierowcą, kiedy jednak wraz z upływem lat jego umiejętności okazały się jeszcze bardziej znikome, stał się zagrożeniem dla każdej żywej istoty, która znalazła się na drodze. Z racji trudnej do wyjaśnienia próżności odmawiał noszenia okularów, a także nie sądził, żeby była jakakolwiek jego wina w tym, iż przejeżdża skrzyżowanie na czerwonym świetle, którego nie widzi.

- Umieszczają je za wysoko - mówił o sygnalizacji świetlnej. - Kiedy jadę, nie mogę obserwować ptaków. Oko trzymam na drodze, umysł zaś zajęty jest Panem.

- W zeszłym tygodniu o mało nie rozjechałeś pana Fruita - mówiłem. - Ludzie twierdzą, że musiał uciekać z jezdni, żeby nie dostać się pod koła.

- Nie widziałem żadnego Fruita. Poza tym to zbyt nieznaczna postać, aby pozwalać mu na kierowanie ruchem. Do tego zajęcia powinno się przyjmować tylko grubasów. Teraz na starość powinien już się - wyspecjalizować i ograniczyć do prowadzenia parad.

- Sasser z drogówki powiada, że zatrzymał cię, kiedy jechałeś do Charlestonu niewłaściwą stroną autostrady.

- Sasser! - prychnął dziadek. - Prowadziłem automobile, zanim zjawił się na świecie. Wyjaśniłem mu, że patrzyłem na pole pełne kwiatów, zachwycając się światem, który Pan rozpostarł przed oczyma człowieka. Poza tym nic nie nadjeżdżało tą stroną, więc o co cały ten krzyk?

- Powinnaś wreszcie zdobyć się na to, żeby go zamknąć w domu opieki - wtrąciła się babka. - Jeszcze kogoś zabije tym swoim samochodem.

- Jestem fizycznie sprawny, jakbym był dwa razy młodszy - obruszył się dziadek.

- Mówimy o szarych komórkach, Amos - wyjaśniła babka. - Pod tym względem, Tom, to zupełnie jakbym mieszkała z Matuzalemem. Nie potrafi zapamiętać, gdzie na noc odłożył szczękę. Któregoś razu znalazłam ją w lodówce.

- Chcą, żebyś dobrowolnie oddał im prawo jazdy, dziadku - oznajmiłem.

- Coś za bardzo się tu władza szarogęsi w Colleton - zauważył dziadek. - Nie tak kiedyś było.

- Więc dasz mi to prawo, dziadku? - spytałem. - Bo inaczej przyjedzie tutaj po nie Sasser.

- Skonsultuję to bezpośrednio z Panem - powiedział.

- Sam widzisz, Tom - westchnęła Tolitha. - Muszę go umieścić w zakładzie.



Po długiej dyskusji Jezus, jak można było oczekiwać, oznajmił, że dziadek może zachować prawo jazdy, ale wyjeżdżać zawsze powinien w okularach. Dla Amosa Bóg był wszystkim - kontrolerem ruchu drogowego, mediatorem, okulistą.

Dwa dni później na tym samym skrzyżowaniu dziadek wjechał na pana Fruita. Mając okulary na nosie, Amos zapatrzył się na grupę mierniczych, którzy wyznaczali granice posiadłości położonej na skrzyżowaniu Baitery Street oraz Street of Tides. Ani nie widział czerwonego światła, ani nie słyszał rozpaczliwych gwizdków Fruita i dopiero gdy ten z hukiem wylądował na masce forda, dziadek nacisnął na hamulec. Samozwąnczy regulator ruchu doznał tylko niewielkich obrażeń, ale policja drogowa nie chciała już nawet słyszeć o wyczynach dziadka za kierownicą. Sasser złapał jego prawo jazdy i pociął je na kawałki szwajcarskim scyzorykiem.

- Prowadziłem pojazdy, zanim się urodziłeś, Sasser, ty gówniarzu! - oświadczył dziadek.

- I ja chciałbym dożyć takiego wieku jak pan, panie Wingo - odparł Sasser - tymczasem, jeśli pozwolimy panu na dalszą jazdę, nikt w całym hrabstwie nie pozostanie przy życiu. Jest pan niedołączny i stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa publicznego.

- Niedołączny!!! - wykrzyknął z oburzeniem dziadek, podczas gdy Fruit kwilił wylękniony, a z oddali słychać było syrenę zdążającego mu na pomoc ambulansu.

- Mam na względzie pana bezpieczeństwo i bezpieczeństwo całej społeczności - wyjaśnił Sasser.

- Niedołączny!!! - powtórzył dziadek. - Spróbujmy się na rękę, Sasser, i sprawdzimy, kto tu jest niedołączny, a świadkami mogą być wszyscy mieszkańcy.

- Nie, proszę pana, muszę jechać z Fruitem do szpitala, aby się upewnić, że nic mu się nie stało.

Świadkiem całego zdarzenia była matka, która zmierzała właśnie do apteki Longa z receptą dla znajdującej się już w stanie krytycznym Isabel Newbury. Ledwie usłyszała krzyk Fruita i zobaczyła hamującego forda dziadka, natychmiast schroniła się do Woolwortha. Nie chciała rzucać się w oczy w momencie, gdy ktoś z Wingo publicznie robił z siebie durnia. Dopiero później miało okazać się, że była jedyną osobą na Street of Tides, która wiedziała, dlaczego mierniczy tak staranną uwagą zaszczyli hrabstwo Colleton.

W następnym tygodniu dziadek Wingo napisał do „Colleton Gazette” list, w którym skarżył się na ordynarne potraktowanie przez funkcjonariusza

Sassera, zniszczenie prawa jazdy przy użyciu szwajcarskiego scyzoryka, a także obwieścił, że aby dowieść Sasserowi i całemu Colleton, iż nikt nie może mu zarzucić niedołężności, zamierza przebyć na nartach wodnych odległość czterdziestu mil dzielących Savannah w stanie Georgia od Colleton. Jednocześnie rzucił „temu szczeniakowi” Sasserowi wyzwanie, by jechał obok niego na nartach. W przypadku pomyślnego odbycia próby dziadek oczekiwał przeprosin ze strony Wydziału Drogowego i natychmiastowego wydania nowego prawa jazdy.

Babka bezzwłocznie zaczęła badać, czy są jakieś wolne miejsca w stanowych domach opieki, natomiast ja i Luke cały weekend spędziliśmy w Boston Whaler” na przygotowywaniu do podróży. Dziadek był prostym człowiekiem, ale błyskotliwe pomysły sprawiły, że nigdy nie był postacią bezbarwną. Amos pierwszy w całym hrabstwie sprawił sobie narty wodne, pięćdziesięciolatek pierwszy w całej Karolinie Południowej się na nich przejechał i przez dziesięć lat dzierżył rekord stanu w skoku na nartach wodnych. Kiedy teraz jednak obwieszczał w gazecie swój pomysł, już od dziesięciu lat nie miał nart na nogach.

- Zamierzasz dorobić do nich kółka, dziadku? - zakpił Luke, kiedy Amos ładował nowiutką parę nart Head do łódki, którą mieliśmy pohołować do Savannah.

- Nie powinienem był montować tych kółek do krzyża - pokiwał głową dziadek. - To dlatego niektórzy zaczęli myśleć, że brak mi już pary.

- Ja cię zawiozę tam, gdzie twoje miejsce, Amos - wtrąciła się babka. - Po co dowodzić całemu światu, jaki z ciebie idiota? Wszyscy już wiedzą, że nie powinieneś jeździć nawet na hulajnodze, ale nie wszyscy się jeszcze zorientowali, że w głowie ci wymiękło.

- Muszę odrobinę bardziej koncentrować się za kierownicą, Tolitha - powiedział dziadek. - Wiem, że popełniam czasami błędy, ale taki jestem zajęty słuchaniem słów Pana.

- Czy to On kazał ci jechać na nartach z Savannah? - spytała babka.

- A jak myślisz, skąd przyszedł mi do głowy taki pomysł?

- Tak tylko spytałam, Amos. Uważajcie, chłopaki, na swego dziadka.

- Jasne, Tolitho - powiedziałem.

- Postawię na ciebie setkę dolców, tato - powiedział ojciec, klepiąc Amosa po ramieniu.

- Wiesz, że nie popieram hazardu - surowo zauważył Amos.

- Z kim się założyłeś, tato? - spytał Luke.

- Z tym małym sukinsynem Sasserem - zawołał z przejęciem ojciec. - Powiada, tato, że będzie czekał na przystani z gotowym prawem jazdy, gdyż jest pewny, że nie zajedziesz dalej jak do Stancil Greek.

- Przecież Stancil Greek jest ledwie milę od Savannah - zauważył dziadek.

- Powinieneś chociaż iść do doktora Keyserlinga, żeby wcześniej cię zbadał - powiedziała babka do Amosa, a nas poinformowała: - Przez całe życie nigdy nie był u lekarza.

- Uda ci się, Amos - usłyszałem głos Sallie. - Mówię, że ci się uda.

- Pomacaj tylko, Sallie - powiedział dziadek i dumnie naprężył biceps. - Pan może nie dał Wingo zbyt wiele rozumu, ale uczynił ich silnymi i obdarował subtelnym gustem, jeśli chodzi o kobiety.

- Szkoda, że mnie nie dał lepszego gustu, jeśli chodzi o mężczyzn - cierpko zauważyła Tolitha. - Znowu robisz z siebie głupka, Amos. Lila tak się wstydzi, że nie śmie nawet nosa wytknąć z domu.

- Nie - sprzeciwił się ojciec. - Troszczy się teraz o Isabel Newbury. Od czasu choroby Isabel, zachowuje się jak święta. Niemal nie widzę jej na oczy.

Luke sięgnął do portfela, wyciągnął z niego pięć banknotów dwudziestodolarowych i podał ojcu.

- Tutaj jest sto dolarów, tato. Załóż się z kimkolwiek chcesz o to, że Amos Wingo przejedzie na nartach wodnych całą drogę z Savannah do Colleton.

- Wasza siostra zadzwoniła do mnie wczoraj wieczorem - zwrócił się do nas dziadek. - Powiedziała, że jak tego dokonam, umieści mnie w jednym ze swych wierszy.

- W kostiumie będziesz wyglądał jak idiota, Amos - rzekła babka, kiedy wsiadaliśmy do samochodu.

- Na pewno nie, gdy w moim ręku znajdzie się nowiutkie prawo jazdy, Tolitha. Wtedy wsiądziemy i zabiorę cię na długą przejażdżkę.

- Wcześniej trzeba będzie uprzedzić Fruita.

Były takie momenty zaskoczenia i skupienia, za które aż do końca życia będę odczuwał wdzięczność życiu na Południu. Lękam się pustki w życiu, próżni, znużenia, beznadziejności życia wyzbytego czynu. Śmierć za życia, egzystencja jałowa i drętwa to coś, co wywołuje we mnie dreszcz zgrozy. Kiedy łapię rybę o bladym świetle, wtedy łączę się z głuchym poszumem planety. Kiedy nie mogąc znieść wieczoru w samotności czy z rodziną i włączam telewizor, wtedy przyznaję się do wspólnoty z żywymi trupami. To właśnie ta południowa częśćka mnie jest najbardziej żywotna, pełna

najgorętszej pasji. Głęboko południowe wspomnienia otaczają tę gwiazdę, której autentyczności nie jestem pewien, a którą ja wprowadzam w świat. Należę do rodziny, która ma fatalną skłonność do niezwykłych gestów. Arogancja i przesada zawsze stanowiły to upierzenie, które każdy Wingo ochoczo odsłaniał, jeśli uznał, że otacza go niezycziwy świat. Jako rodzina działaliśmy instynktownie, nie słuchając porad rozumu. Naszych przeciwników nigdy nie potrafiliśmy przechytrzyć, natomiast zawsze mogliśmy ich zaskoczyć pomysłowością reakcji. Najlepiej sprawdzaliśmy się jako koneserzy ryzyka i zagrożenia. Prawdziwie szczęśliwi byliśmy dopiero wtedy, gdy toczyliśmy swoją prywatną wojnę ze światem. Nawet w wierszach siostry można było wyczuć napięcie zbliżającej się grozy. Brzmiały tak, jakby tworzyła je z kruchego lodu i spadających kamieni. Był w nich ruch, ciężar, zaskoczenie i wirtuozeria. Jej poezja, dzika i nieokiełznana, hasała strugami czasu niczym ów starzec, który wchodził do Savannah River, aby czterdziestomilową jazdą udowodnić, że nadal jest mężczyzną.

- Będzie zimniej, niż zakładaliśmy, dziadku - krzyknąłem, rzucając do wody linę holowniczą. - Słońce schowało się za chmurami i w ogóle zanoszą się na deszcz. Może to przełożymy.

- Czekają na nas na przystani - uciał Amos, biorąc w dłonie uchwyt.

- Dobra - powiedziałem. - Nadchodzi przypływ, więc nie trzeba będzie tak bardzo przejmować się ławicami. Będziemy w miarę możliwości jechać prosto i tak szybko, jak będzie mogła tałódka.

- A nie sądzisz, że całą drogę do Colleton powinienem jechać slalomem? - spytał.

- Musisz do końca zachować dwie deski.

- To przynajmniej na mecie pokażę coś stylowego.

- Nie, dziadku - zaprotestowałem. - I pamiętaj, że po drodze będę ci rzucał pomarańcze.

- Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś jadł pomarańcze podczas przejażdżki na nartach wodnych.

- To nie jest jakaś „sobie przejażdżka, gdyż masz do pokonania czterdzieści mil i musisz przez ten czas uzupełniać ubytek płynów. Musisz uważać, gdyż jeśli jakaś pomarańcza cię trafi, pochowamy cię na dnie.

- Mnie to się podoba.

- Słuchasz teraz swojego trenera. No, jak tam, gotów, staruszk?

- Nie nazywaj mnie „staruszką” - sprzeciwił się.

- Nigdy już cię tak nie nazwę, jeśli nadal będziesz się trzymał na nogach, gdy przybędziemy do Colleton.

- A jak mnie wtedy będziesz nazywał, Tom?

- Cholernym staruszkiem - krzyknąłem, podczas gdy Luke włączył gaźnik i ruszyliśmy na południe. Na nabrzeżu zebrał się mały tłumek, aby obserwować początek podróży dziadka. Okrzykami radości powitano jego wynurzenie się z wody, Amos zaś zjechał w kierunku patrzących i spryskał ich strugą wody spod nart, by potem powrócić za łódź.

- Żadnych sztuczek - darłem się, podczas gdy Amos przeskakiwał nad wzburzonymi krawędziami kilwatera, a potem odjeżdżał w bok tak daleko, iż niemal zrównał się z nami.

- Niejedno jeszcze potrafię - zawołał, przekrzykując warkot silnika.

Dopiero kiedy wjechaliśmy na Stancil Creek i wody Karoliny Południowej, uspokoił się, grzecznie zjechał za łódkę i pozwolił, by to ona wykonywała za niego lwią część pracy. Ja obserwowałem dziadka, Luke śledził oznakowanie toru wodnego, a obok nas przepływały wysepki z zalesionymi brzegami, woda zaś zmieniała się z bladonefrytowej w metalicznoszarą. Czuło się, że słońce szuka jakiejś wyrwy w masywnych kumułusach, aby zerknąć na ziemię, ale na północy gromadziły się złowrogie chmury burzowe.

Za nami dziadek stał wyprostowany na nartach, ramiona i nogi cienkie i funkcjonalne, niczym komplet ołówków. Na jego ciele nie było słabych miejsc, a mięśnie brzucha przypominały postronki, Przedramiona i tricepsy napinały się, pokonując opór liny, twarz, szyja i barki były ciemne, ale plecy - wstydliwie blade. Kiedy dzień robił się coraz bardziej mroczny, a temperatura spadała, jego ciało nabrało niebieskawego odcienia, trochę podobnego do jaj dzikich ptaków. Po przebyciu dziesięciu mil był wymizerowany, drżący i stary, ale dzielnie nie zamierzał się poddawać.

Scyzorykiem wykroiłem ćwierćcałową dziurę w pomarańczy, stanąłem na rufie łódki, podniosłem owoc w górę, a dziadek kiwnął głową, że rozumie. Rzuciłem pomarańczę w górę, źle jednak oceniłem wysokość i przefrunęła wysoko nad głową dziadka, który omal nie zwałił się do wody, usiłując do niej doskoczyć.

- Dziadku, nie skacz! - wrzasnąłem. - Pozwól, żeby sama do ciebie przyleciała.

Zmarnowałem trzy pomarańcze, zanim właściwie oceniłem naszą szybkość i utrafiłem z wysokością, ale czwartą Amos złapał pewnie niczym baseballista. Luke podniósł rękę z wystawionym kciukiem, dziadek zaś dokładnie wyssał z pomarańczy sok i miąższ, zanim cisnął ją w wodę za sobą niczym żółtawą chusteczkę. Wyraźnie ożył, kilka razy przeskoczył nad

kilwaterem, potem trzymając uchwyt jedną ręką, przysiadł na nartach, w końcu jednak udało się nam przywołać go do porządku.

- Piętnasta mila - oznajmił Luke, kiedy mijaliśmy boję oznaczającą początek Hanahan Sound.

Bywają sytuacje, gdy wyraźnie można zaobserwować wartość materiału rodzinnego, i ta była jedną z nich. W oczach Amosa widzieliśmy niezłomność i stanowczość, które w wielkim stężeniu występowały w zasobach genetycznych rodziny Wingo, a my czuliśmy się dumni, że jesteśmy synami jego syna. Po przebyciu dwudziestej mili dygotał na całym ciele, a oczy miał zamglone jak zmętniała galareta, narty jednak nieprzerwanie pruły fale, rozcinając szmaragdową taflę. Miał dreszcze, był wyczerpany, ale nadal trzymał się na nogach i zmierzał do Colleton.

Upadł dopiero, kiedy wjechaliśmy na Colleton Sound, wody były wzburzone przed nadciągającym sztormem, a na północy widać było zygzaki błyskawic.

- Jest w wodzie - powiedziałem Luke'owi.

- Skocz do niego, Tom - polecił Luke, zatoczył szerokie koło i wyłączył silnik, kiedy zbliżaliśmy się do Amosa.

Rzuciłem się do wody obok niego, trzymając nad głową świeżo nakłutą pomarańczę, tak aby do środka nie dostała się słona woda, - Jak się czujesz, dziadku? - spytałem, kiedy byłem tuż koło niego.

- Sasser ma rację - wykrztusił Amos, a ja ledwie dosłyszałem jego głos. - Dostaję kurczy.

- Gdzie masz kurcze, dziadku? Nie przejmuj się. Nie każdy narciarz wodny ma do pomocy masażystę.

- Jestem jednym wielkim kurczem, od czubków palców po zęby. Wydaje mi się, że nie należą do mnie.

- Zjedz pomarańczę, ułóż się wygodnie, a ja już popracuję nad twoim ciałem.

- Nie ma sensu - mruknął. - Przegrałem.

Luke tak wymanewrował łodzią, że znalazła się tuż koło nas, ja zaś zacząłem masować dziadkowi barki i szyję. - Mówi, że się poddaje, Luke - poinformowałem.

- Nie, nie poddaje się - powiedział brat.

- Luke, jestem wykończony - oznajmił Amos.

- To masz poważny problem, dziadku - krzyknął Luke. - Nie rozumiem.

Dziadek jęczał z bólu pod naciskiem moich palców.

- Ja tam uważam, że łatwiej te dziesięć mil, które nas dzieli od Colleton pokonać na nartach niż wplaw - powiedział Luke, a potem wyciągnął swoje

prawo jazdy i dodał: - Kawalek w dół rzeki czeka na ciebie jedno takie, dziadku. I chciałbym zobaczyć minę tego gówniarza Sassera, kiedy dojedziemy do przystani.

- Zajmij się teraz nogami, Tom - krzyknął Arrfos. - Luke, rzuć mi jeszcze jedną z tych słodkich pomarańcz. Nigdy nie przypuszczałem, że mogą być takie smaczne.

- Odepnij narty, dziadku - poleciłem. - Wymasuję ci teraz stopy.

- Zawsze miałem najładniejsze stopy - powiedział nie całkiem przytomnie.

- I także mocne, dziadku - zauważyłem. - Na tyle, żeby dać radę jeszcze dziesięć mil.

- Pomyśl o Jezusie idącym na Kalwarię - zagrzmiał z góry Luke. - Pomyśl, co by się stało, gdyby on się poddał! Gdzie teraz byłby świat? Kiedy było trzeba, okazał siłę. Poproś Go o pomoc.

- Na Kalwarię nie jechał na nartach wodnych - westchnął dziadek. - To były inne czasy.

- Ale gdyby było trzeba, zrobiłby i to, dziadku - przekonywał Luke. - Zrobiłby wszystko, aby tylko zbawić ludzkość. Nie poddał się, w tym całą rzecz. Nigdy się nie poddał.

- Wymasuj mi znowu kark, Tom - poprosił dziadek z przymkniętymi oczyma i ustami wpiętymi w pomarańczę. - Jakbym tam miał jeden wrzód.

- Odpręż się, dziadku - powiedziałem i przemieściłem się, aby wymasować mu skronie i szyję. - Kamizelka cię unosi na powierzchni, więc leż i rozluźnij mięśnie.

- W Wielki Piątek zawsze szedłeś trzy godziny i nigdy tego nie skróciłeś. Nigdy w życiu nie uległeś. Jutro będziesz mógł wziąć całą rodzinę na przejażdżkę fordem.

- Mów za siebie, Luke - poradziłem, wbijając palce w dziadkowe plecy. - Rzuć mi tę manierkę, to dam dziadkowi trochę wody.

Leżał w moich ramionach niczym śpiący do chwili, gdy Luke powiedział: - No to włącz do łódki, dziadku. Sasser jest teraz najszczęśliwszym człowiekiem w Karolinie Południowej.

- Dajcie mi linę - prychnął, nagle otworzywszy oczy. - I nie chcę już słyszeć żadnych obelg z ust moich wnuków.

- Dalej woda jest trudniejsza - ostrzegłem.

- Tym większa będzie radość, kiedy przeciągniecie mnie przez miasto.

Wdrapałem się na łódkę i dłoń za dłonią podawałem linę, aż była wyprężona i, jak się wydawało, dobrze umocowana w pasie. Kiedy zobaczyłem, że narty sterczą po obu stronach liny, krzyknąłem: „Teraz!”



Luke uruchomił gaźnik i łódka pomknęła przez wzburzoną wodę. Tym razem Amos wynurzył się z wody jak człowiek umierający, skurczony, zbieleły z wycieńczenia. Walczył z liną, falami, sobą, burzą. Ta rozpętała się na dobre i zaczął lać deszcz tak gęsty, że za sobą wiedzieliśmy tylko niewyraźne zarysy sylwetki Amosa, niczym na rozmazanym zdjęciu. Grom uderzył w którąś z wysepek i rzeka zadygotała potężnym pomrukiem sprzeciwu. Woda zalewała mi oczy, Luke prowadził na ślepo, doskonale jednak znał zarys dna i głębokość wody, a ja czujnie wpatrywałem się w rozmytą postać dziadka, który walczył z czasem i burzą.

- Czy nie zabijamy go w ten sposób? - krzyknąłem do brata.

- Faktycznie go zabiję, jeśli tego nie dokona.

- Znowu leży - zawołałem.

Amos źle wjechał na pierwszą falę, zachybotał się i druga go podcięła.

Luke po raz wtóry zawrócił, a ja znalazłem się w wodzie obok dziadka, tym razem musiałem walczyć, żeby dopłynąć do niego i znowu zacząć masować kark i ramiona. Krzyczał z bólu, kiedy dotykałem mięśni. Miał chorobliwy odcień cery, jakby był wypchanym marlinem. Ciało miało bezwładne i mruczał coś od rzeczy, kiedy przesunąłem się ku jego nogom i stopom.

- Chyba trzeba go zapakować do łódki - krzyknąłem do nadpływającego ku nam Luke'a.

- Nie - zachrypiął dziadek. - Ile jeszcze?

- Siedem mil - odpowiedział Luke.

- Jak wyglądam? - spytał Amos.

- Jak śmierć - odrzekłem.

- Nie słuchaj Toma - wtrącił się Luke. - Wyglądasz jak milion dolarów.

- Ja jestem trenerem - zauważyłem.

- Ale to ja nauczyłem cię jeździć na nartach, synu - mruknął dziadek, unoszony na powierzchni przez kamizelkę.

- I uczyłeś między innymi, żeby nigdy nie jeździć w taką pogodę - przypomniałem, usiłując rozluźnić mu uda.

- To uczyłem cię dobrze, synu - zaśmiał się chrapliwie. - Uczyłem cię naprawdę dobrze.

- Więc wracajmy do łodzi - powiedziałem. - Zrobiłeś tyle, ile mogłeś, dziadku. Nikt nie będzie mógł powiedzieć, że nie próbowałeś.

- Pan chce, żebym jechał dalej - oznajmił Amos.

- Posłuchaj piorunów - poradziłem. - One mówią: „Nie”.

- Wcale nie - zaoponował. - Ja słyszę, jak mówią: „Nie stawaj, Amos”.

- Tom nigdy nie miał głowy do obcych języków, dziadku - zawołał Luke i wciągnął mnie do środka, podczas gdy dziadek na nowo zakładał narty.

- Nie podoba mi się to, Luke - oznajmiłem.

- Za siedem mil będziesz uszczęśliwiony - odparł brat, przyglądając się, jak Amos łapie linę i gotuje się do rozpoczęcia ostatniego etapu do Colleton.

Luke ruszył i znowu dziadek usiłował powstać w deszczu i spienionej wodzie i powstać mu się udało, siłą woli, pasji i czego tam jeszcze. Najpewniej diabelskiej żądzы rywalizacji, która przepełniła bez reszty jego duszę, a płomienia tego nie mogły ugasić wody ulewy i Atlantyku, chociaż ciało czyniły zmartwiałym i drętwym.

Dwie mile przed miastem pojawiły się samochody ustawione wzdłuż brzegu i czekające na nasz przyjazd. Kiedy ludzie zobaczyli Amosa ciągle trwającego na nartach, rozległa się symfonia klaksonów, a reflektory rozświeciły się na jego cześć. Dziadek odpowiedział na to dziarskimi ruchami ręki, a kiedy weszliśmy w ostatni zakręt, znowu zaczął się popisować w dawnym stylu. Klaksony wyły ogłuszająco, konkurując z grzmotami, gdy mknęliśmy wzdłuż Street of Tides. Na moście było pełno ludzi pod parasolami, huknęły wiwaty, gdy dziadek, machający i dumnie uśmiechnięty od ucha do ucha, przejeżdżał dołem. Luke skierował się ku przystani, na której też tłoczyli się ludzie. Rozwinął pełny ciąg, a potem nagle wykręcił ku środkowi koryta, dziadek zaś pomknął w stronę pomostu z szaleńczą szybkością, wypuścił uchwyt i niczym człowiek kroczący po wodzie sunął ku czekającym, aż wreszcie ojciec porwał go w ramiona.

Luke zrobił wiraż i dzięki temu także i my mogliśmy być świadkami tego wiekopomnego momentu, gdy otoczony przez wiwatujący tłum dziadek otrzymywał nowe prawo jazdy od funkcjonariusza Sizzera, który najwyraźniej także był pod wrażeniem wielkości tej chwili.

Ominęła nas natomiast bardziej kłopotliwa sytuacja, gdy dziadek ślania się i pada na parking, ojciec zaś wiezie go na ostry dyżur do szpitala. Doktor Keyserling zatrzymał go na dzień z powodu wyczerpania i wielogodzinnego wystawienia na działanie wiatru i chłodu.

Rok później Tolitha wysłała Amosa, aby kupił funt mąki do pieczenia ciast i butelkę sosu stekowego A-1. Niemal już dotarł do stelaża z sosami, gdy zniecka zatrzymał się, cicho krzyknął i zwałił się na ułożone w staranny stos konserwy rzepy z wieprzowiną, Amos Wingo był już martwy, kiedy dotknął podłogi, próżne przeto były próby funkcjonariusza Sizzera, aby utrzymać go przy życiu metodą usta - usta. Ludzie mówili, że policjant łkał niczym małe dziecko, kiedy karetka zabierała do szpitala ciało dziadka. Ale on był dopiero pierwszym z mieszkańców Colleton, którzy zapłakali

tego wieczoru. Całe miasteczko wiedziało, że utraciło jakiś swój wyjątkowy i nie dający się zastąpić fragment. Nic tak nie dotyka prowincji, jak odejście człowieka niezwykłego i delikatnego. Nic nie jest takim ciosem dla południowej rodziny jak śmierć człowieka, który, chociaż kruchy, zachował równowagę w świecie przepojonym stęchłymi wartościami. Jego wiara zawsze była formą monumentalnego szaleństwa, a jego miłość do świata była hymnem wylewnej pochwały wobec Pana, który go stworzył. Nie będzie już listów do redakcji „Colleton Gazette” z dokładnym zapisem pogawędek Pana z Amosem. Teraz dialogi te będą toczyły się bezpośrednio w domostwie pełnym śpiewu ptaków i aniołów. Tak mówił w dniu pogrzebu dziadka pastor Turner Bell, a słowa jego rozbrzmiewały w białym kościółku.

Tego dnia umarło dla mnie Południe, a przynajmniej straciło swą najważniejszą i najbardziej wymowną część. Straciło radosną magię, którą wiązałem z dziadka nieprzystawalnością do świata.

Łapał do słoika muchy i komary, a potem wypuszczał je na podwórku, nie mógł bowiem zabić żadnego z Bożych stworzeń.

- To część Jego trzody - mówił. - Część jego zamysłu.

Jego śmierć sprawiła, iż musiałem uznać sekretną mądrość, która naturalnie płynie z życia kontemplacyjnego. Amos był oderwany od świata materialnego i doczesnego. Jako chłopiec wstydzilem się niezmaconego zapachu, z jakim oddawał się modłom. Jako dorosły miałem zawsze zazdrościć prostoty i wielkości obrazu, jak być człowiekiem pełnym i przydatnym dla innych. Całe jego życie było podporządkowane i oddane niezachwianej wierze. Kiedy płakałem na pogrzebie, to nie z powodu mojej straty. Takiego człowieka jak Amos niesie się w sobie jako wspomnienie nieśmiertelnej róży w ogrodzie ludzkiego Ja. Płakałem dlatego, że nigdy go nie poznają moje dzieci, a wiedziałem, że nie jestem na tyle wymowny, abym w jakimkolwiek języku potrafił opisać doskonałą samotność i wielkoduszność człowieka, który głęboko wierzył w każde słowo książki sprzedawanej przezeń jak amerykańskie Południe długie i szerokie, albowiem jedyną nazwą dla dobroci jest właśnie „dobroć”, a to nie wystarczało do opisanego tego człowieka i jego życia.

Z okrzykami „Alleluja!” i „Chwała niech będzie Panu” sześciu mężczyzn ze świeżo zbitymi drewnianymi krzyżami zaczęło postukiwać ich podstawami o parkiet świątyni, oddając w ten sposób hołd Amosowi. Wybijali krzyżami zgodny rytm, w mrocznej muzyce krucyfikacji. Ojciec, podtrzymując opartą o niego Tolihtę, powstał i główną nawą podeszli obydwój do trumny, po czym babka po raz ostatni spojrziała Amosowi w

twarz. Z włosami gładko zaczesanymi i wypomadowanymi i z lekko upiornym uśmiechem na wargach (nieomylny znak zabiegów Winthropa Ogletree) dziadek wydawał się zasuszoną chórzystą. Biała Biblia otwarta była na stronie, gdzie Jezus wypowiadał podkreślone na czerwono słowa: „Jam jest zmartwychwstanie i życie”. Organista zagrał Błogosławiona niech będzie ta więź, która spaja, zgromadzeni podchwycili słowa, a Tolitha nachyliła się, aby po raz ostatni ucałować wargi Amosa.

Z kościoła przeszliśmy na cmentarz. Ja trzymałem pod rękę Sallie, a Luke siedł z matką. Tolitha szła pomiędzy Savannah a moim ojcem. Całe miasteczko odziane na czarno i biało kroczyło za nami w poważnym milczeniu. Mężczyźni z krzyżami ciągnęli je środkiem ulicy. Na czele szedł pan Fruit, wydawał rytmiczne sygnały gwizdkiem, a po twarzy spływały mu łzy. Funkcjonariusz Sasser był jednym z tych, którzy nieśli trumnę.

Pochowaliśmy dziadka w szarym świetle pochmurnego dnia. Kiedy spuszczone już trumnę do grobu, Luke, Savannah i ja własnoręcznie go zakopaliśmy, co zabrało nam prawie godzinę. Potem siedliśmy pod dębem rosnącym nad rodzinnym grobowcem Wingo. Płakaliśmy i przypominaliśmy sobie historie z dzieciństwa związane z Amosem. Z brzęczącego ula pamięci przemawiał do nas dziadek, który leżał pod nami w śnie wyzbytym wizji. Pożegnanie to pewna sztuka, na której opanowanie byliśmy jeszcze za młodzi, po prostu opowiadaliśmy sobie o człowieku, który od zawsze strzygł nam włosy, a życie swe ułożył w nieprzerwany psalm do Boga Stwórcy.

Na koniec Savannah oznajmiła:

- Z zachowaniem całego należącego szacunku muszę jednak powiedzieć, że dziadek był pomyłony.

- I to jest ten cały należny szacunek? - upewnił się Luke.

- Pamiętaj, Luke, że dziadek codziennie rozmawiał z Jezusem - przypomniała Savannah. - Psychiatrzy nie nazywają tego normalnym zachowaniem.

- Do cholery - zachnął się Luke. - Ty codziennie rozmawiasz z psami i aniołami. Rozmowa z Jezusem wydaje mi się czymś o wiele normalniejszym.

- To podle słowa, Luke - powiedziała Savannah z zachmurzonym wyrazem twarzy. - Nie dodawaj mi jeszcze problemów. Mam bardzo trudny okres, a będzie chyba jeszcze gorzej.

- Nie przejmuj się, Savannah - mruknąłem. - Ot, tak sobie tylko powiedział.

- Nie powinnam była przyjeżdżać tutaj - powiedziała. - Kontakty z rodziną są dla mnie niedobre, niebezpieczne.

- Dlaczego niebezpieczne? - spytałem. - Czy to dlatego prawie cię nie widzimy, Savannah?

- Życie naszej rodziny jest okropne. Kiedyś to dotrze do was, chłopaki, tak jak dotarło do mnie.

- Co ty wygadujesz, Savannah? - obruszył się Luke. - Fajnie nam się rozmawiało o dziadku, a ty musisz to zepsuć jakąś taką gadaniną, jakbym słyszał któregoś z tych mądrali psychiatrów.

- Ty będziesz następny, Luke - przestrzegła. - Masz to wypisane na twarzy.

- Następny do czego?

- Żadne z was nie widzi tak naprawdę, co się działo w naszej rodzinie, a ponieważ jesteście samcami z Południa, może nigdy tego nie zobaczycie.

- Bardzo przepraszam, że jestem samcem z Południa - powiedział gniewnie Luke. - A czym mam być, Eskimosem? Japońskim poławiaczem perel?

- Chciałabym tylko, żebyś uważnie popatrzył, Luke, na to, co dzieje się dookoła ciebie - rzekła beznamiętnie. - Ty i Tom nie zdajecie sobie sprawy nawet z tego, co dzieje się w tej chwili.

- Nie możesz nam tego mieć za złe, Savannah - wtrąciłem się równie poirytowany jak Luke. - Jesteśmy tylko samcami z Południa.

- Dlaczego nienawidzisz kobiet, Luke? - spytała. - Dlaczego nie umawiasz się z dziewczynami? Dlaczego nigdy nie miałeś żadnego poważnego związku z kobietą? Czy chociaż raz zadałeś sobie takie pytanie?

- To nie tak, że nienawidzę kobiet - odpowiedział, a w jego głosie słychać było ból. - Po prostu nie rozumiem ich, kochanie. Nie wiem, co myślą i dlaczego.

- A jak z tobą, Tom? - Savannah zwróciła się do mnie. - Jak ty się odnosisz do kobiet?

- Ja? Nienawidzę ich z głębi duszy. Uważam je za zakałę ziemi. To dlatego mam żonę i trzy córki. Tym, co mnie do tego popchnęło, była przede wszystkim nienawiść.

- Nie rozumiem, dlaczego od razu przybierasz postawę obronną - powiedziała Savannah, w pełni panując nad swym zachowaniem.

- Nie przybieram żadnej postawy obronnej - sprzeciwiłem się. - Obaj z Lukiem usiłujemy tylko jakoś zareagować na to twoje nieznośne zarozumiałstwo. Za każdym razem, kiedy się zjawiasz, musisz nas pouczyć, jak marnujemy sobie tutaj życie, podczas gdy ty w Nowym Jorku

prorowadzisz płodną, bajeczną, rozwijającą cię egzystencję pośród najwybitniejszych umysłowości naszych czasów.

- To nieprawda - odrzekła - ponieważ jednak zjawiam się w domu tylko raz na parę lat, więc mam lepszą perspektywę. Natychmiast zauważam rzeczy, których wy nie widzicie, gdyż jesteście zbyt blisko nich. Czy któryś z was rozmawiał ostatnio z matką?

- Jasne - powiedział Luke. - Każdego dnia.

- A czy wiecie, o czym ona myśli? Macie jakiegokolwiek podejrzenia, co planuje?

- Teraz każdą chwilę poświęca na pielęgnowanie tej durnej Isabel Newbury. Zwykle wraca do domu tak zmęczona, że jedyne, co może, to położyć się spać.

- Sallie nie wygląda dobrze, Tom - powiedziała Savannah, ani odrobinę nie zmieniając głosu. - Jest chyba wyczerpana.

- Jest lekarką i matką, Savannah - powiedziałem. - Każde z tych zajęć jest trudne, a co dopiero mówić o obydwóch. Szczególnie kiedy ojciec uczy w szkole, a także prowadzi treningi w trzech dyscyplinach.

- Przynajmniej jej jedyną perspektywą nie jest zajmowanie się domem do końca życia.

- A co, do diabła, masz przeciwko kobietom prowadzącym dom? - spytałem.

- Zostałam wychowana przez jedną, co niemal kompletnie zrujnowało mi życie.

- Jak byłem mały, parę razy dostałem wciry od krewetkarzy - powiedział Luke - ale nigdy nie miałem pretensji do krewetek.

- Matka chce się rozwieść z ojcem - oznajmiła Savannah.

- Powiedziała mi to wczoraj wieczorem.

- Też mi nowina - wzruszył ramionami Luke. - Ile już razy słyszałem to od niej, jak wam się zdaje?

- Wcale nie tak dużo - mruknąłem. - Nie więcej niż sześćdziesiąt osiem milionów razy.

- Ile to razy - ciągnął Luke - mama ładowała nas do samochodu, wyjeżdżała z wyspy i przysięgała, że nigdy nie spędzi już ani jednej nocy w domu Henry'ego Wingo?

- Niedużo - odrzekłem. - Za czasów naszego dzieciństwa najwyżej dwadzieścia, no może trzydzieści razy.

- A dokąd niby miała pójść? - spytała Savannah. - Jak miała nas wykarmić czy ubrać? Jak miała przeżyć bez mężczyzny? Południe złapało ją w swoje sidła i była na to zła. Ale tym razem chyba rzeczywiście zamierza

odejść. W przyszłym tygodniu ma wystąpić do sądu o rozwód. Wynajęła adwokata, który pisze dla niej pozew.

- A czy powiedziała o tym ojcu? - spytałem.

- Nie - odparła Savannah.

- Trzeba zachować odpowiednią kolejność, Tom - pouczył mnie Luke.

- A czy nie dziwi was, że mama podjęła tak ważną decyzję, a nikt z was o tym nie wie? - naciskała Savannah. - Czy to nie świadczy najlepiej, jakie jest porozumienie w tej rodzinie?

- Savannah - powiedział Luke - dlaczego zawsze zjawiasz się w Karolinie, żeby pouczyć mnie i Toma, jak mamy żyć? My w ogóle nie wtrącamy się do twojego życia, ale ty masz tysiące rzeczy do powiedzenia na temat naszego. Przyszliśmy tutaj pożegnać się z dziadkiem, tymczasem ty chcesz zamienić tę okazję w wielką sesję terapeutyczną. Jeśli mama postanowiła rzucić tatę, to ich sprawa, więc ja i Tom, najlepiej jak będziemy potrafili, spróbujemy pomóc im w rozwiązaniu tej sprawy, a ty będziesz dzwoniła z Nowego Jorku, żeby nam wyjaśnić, jaką główną robotę tutaj odwalamy.

- Mówiąc szczerze - odezwałem się - mam już po uszy porozumiewania się. Ostatnimi czasy, ilekroć usiłujemy się porozumieć, kończy się kłótnią. Jeśli tylko chcę się porozumieć z kimś z mojej rodziny, zawsze dowiaduję się o wiele za dużo albo o wiele za mało.

- Nic wam to nie przeszkadza, że mama rozwodzi się z tatą? - spytała.

- Ja tym się nie martwię - powiedziałem. - Teraz, kiedy ojciec już mnie nie bije i nie ma nawet funta przewagi nade mną, wydaje mi się już tylko żalony. Dorastałem, nienawidząc go serdecznie, gdyż zawsze się go bałem w domu, a poza tym trudno jest wybaczyć komuś, kto obrabował cię z dzieciństwa. Ostatecznie jednak wybaczyłem mu, Savannah, podobnie jak matce.

- A ja nie potrafię wybaczyć żadnemu z nich - rzekła Savannah. - Zbyt wiele uczynili szkód. Codziennie muszę się zmagać z ich pomyłkami.

- Nie mieli złych zamiarów - powiedział Luke, obejmując Savannah i przyciskając do piersi. - Byli dupasami i nawet niezbyt dobrze wiedzieli, jak można być dobrym dupasem. Tak jakoś z tym marudzili.

- Nie chciałam, chłopaki, tak na was naskakiwać - rzekła Savannah. - Zawsze tylko boję się, że ta cholerna miejscina ściągnie was do swojego poziomu.

- To żaden grzech kochać Colleton - zauważył Luke. - Prawdziwy grzech to nie kochać go należycie. To zawsze powtarzał dziadek.



- Sam zobacz, dokąd go to zaprowadziło - mruknęła Savannah i gestem głowy wskazała grób.

- Niebo, to wcale nie takie najgorsze miejsce - zauważył Luke.

- Przecież sam nie wierzysz w żadne niebo - obruszyła się Savannah.

- Wierzę - sprzeciwił się. - Jestem już w nim, Savannah. To jest ta wielka różnica między mną i tobą. Colleton jest wszystkim, czego kiedykolwiek pragnąłem i potrzebowałem.

- Nic tutaj podniecającego, oszałamiającego, żadnych tłumów, żadnych bodźców.

- A co pomyślałaś sobie podczas pogrzebu dziadka, gdy tych sześciu zaczęło stukać krzyżami o podłogę kościoła?

- Że to wariaci.

- A nie było to żadnym bodźcem? - spytał Luke.

- Nie, to wariactwo, które tyle tylko sprawiło, że chcę uciekać z tego miasteczka, tak szybko, jak nogi będą mogły mnie ponieść.

- Oni pokazywali każdemu, ile dla nich znaczył dziadek - oznajmił Luke.

- Obwieszczali wszystkim, że go kochali.

- Może i nadałoby się to na wiersz - mruknęła. - Nazwałbym go „Krzyżostukacze”.

- A skończyłaś już ten o wyprawie dziadka na nartach wodnych? - zainteresowałem się.

- Jest już spora część, ale ciągle wymaga dopracowania.

- A dlaczego to tyle trwa? - spytał Luke.

- Tworzenia nie można przyspieszyć - odpowiedziała.

- Właśnie - mruknąłem - ty głupi ćwoku. Tworzenia nie można przyspieszyć.

Savannah zignorowała nas obu, wstała i rzekła:

- Trzeba się pożegnać z dziadkiem.

- Gdzieś tutaj nas pochowają. - Luke zatrzymał się przy skrawku trawy. - Ta kwatera jest dla mnie, tamte dla was, a starczy nawet miejsca dla naszych żon i dzieci.

- Co za przygnębiająca, zła myśl, Luke - obruszyła się Savannah.

- Mnie jakoś uspakaja to, że wiem, gdzie zostaną pochowani, kiedy już wyciągnę kopyto.

- Moje ciało zostanie spalone, a prochy rozsypane nad grobem Johna Keatsa w Rzymie - oznajmiła Savannah.

- Cóż za skromność - mruknąłem z przekąsem.

- Nie, siostrzyczko - powiedział przyjaźnie Luke. - Przywiozę cię do Colleton i dopilnuję, żebyś krokiem się stąd nie ruszyła, bo dzięki temu będziesz miała nas na oku.

- Co za idiotyzm! - parsknęła.

- Wracajmy do domu - zaproponowałem. - Już i tak zamarzło nam na pewno sporo szarych komórek.

- Do widzenia, dziadku - powiedziała miękko Savannah i przesłała palcami pocałunek świeżo zasypanej mogile. - Gdyby nie ty i Tolitha, nie wiem, co by się z nami stało.

- Jeśli nie jesteś w niebie, dziadku - mruknął Luke, gdy skierowaliśmy się do wyjścia z cmentarza - to cały ten interes jest gównem wart.

Żyłem w hrabstwie, gdzie nie było śniegu i rododendronów. Do trzydziestki dociągnąłem jako trener chłopaków niezgrabnych i pobudliwych. Na jesieni była muzyka piłki szybującej z wykopu w chmury, w zimie skrzyp tenisówek o parkiet podczas zwodów pod koszem, późną wiosną mięsiste uderzenie kija o piłeczkę baseballową. Trenowanie nie było czczą namiętnością, w najlepszych sytuacjach pozwalało nadać sens okresowi dojrzwania. Nie byłem bardzo dobrym trenerem, ale nie byłem też najgorszy. Nie przypuszczam, żebym któremuś z podopiecznych pojawiał się jako bohater nocnych koszmarów. Nigdy nie udało mi się pokonać nieprawdopodobnie zdyscyplinowanej drużyny futbolowej wielkiego Johna McKissicka z Summerville. On wychował całe dynastie znakomitych graczy, ja miałem znacznie mniej błyskotliwe osiągnięcia. Nie miałem nie kończących się serii porażek, ale nie było też tak, by prowadzony przeze mnie zespół miał rekordowo długie pasmo zwycięstw. Moje drużyny ponosiły porażki i odnosiły zwycięstwa, a chociaż te drugie zawsze były lepsze, to jednak brakło im tej subtelnej namiętności, tej swoistej godności cechującej grę, w której jedna strona dała z siebie wszystko, ale jej umiejętności okazały się niewystarczające. Tak czy owak, uczyłem swoich podopiecznych, że piękna przegrana jest dowodem siły ducha, ale prawdziwa męskość wyraża się w pięknym zwycięstwie. Przegrana, mówiłem im, potrzebna jest, żeby nie stracić poczucia proporcji.

Stałem się przeto dobrze ułożyć sobie życie w tym hrabstwie bez śniegu i rododendronów. Obserwowałem ptaki, stałem się amatorskim kolekcjonerem motyli, zastawiałem sieci na ałozę, zbierałem utwory Bacha i muzykę plażową z Karoliny. Stałem się jednym z tych anonimowych Amerykanów, którzy starają się nie utracić bystrości i przenikliwości umysłu, a zarazem wykonują wszystkie upokarzające rytuały klasy średniej. Ze zniżką dla nauczycieli prenumerowałem pięć czasopism: „The New

Yorker”, „Gourmet”, „Newsweek”, „The Atlantic” i „The New Republic”. Sądziłem, że ich dobór wskazuje na myślącego liberała o szerokich zainteresowaniach. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że wybór ten ujawniał niewątpliwy fakt, iż jestem żartem swoich czasów i ich pasywnym odbiciem. Savannah nadsyłała mi paczki z książkami, które kupowała w Barnes&Noble. Uważała, iż przeżywam wielkie rozterki duchowe, gdyż zdecydowałem się pozostać na Południu, Pokładała w książkach taką wiarę, jaką sklepikarz pokłada w kuponach rabatowych, które mogły być zamienione na najróżniejsze dobra. Wiem, że Savannah bardzo martwiła się o mnie i mą fatalną skłonność do tego, co konwencjonalne i bezpieczne. Myliła się chyba jednak, gdyż moim problemem było przepojenie dorosłego życia nostalgią za straconym dzieciństwem. Chciałem wychować swoje córki na tym Południu, którego odmówili mi ojciec i matka. Pragnąłem życia pełnego pasji, zachwytu i radości. Chciałem córkom przekazać wiedzę, która nie miała nic wspólnego z wielkim miastem. Savannah nie rozumiała tego, że żarliwie pragnę jedynie być porządnym człowiekiem i niczego więcej. Chciałem, bym na łożu śmierci usłyszał z ust całującej mnie po raz ostatni Sallie: „Wybrałam właściwą osobę”. To był gorejący we mnie płomień, jedyna zasada mojego życia. Przyczyna tego, że mi się nie udało, bardziej, jak sądzę, leży we mnie niż w niekorzystnych warunkach zewnętrznych. Kiedy zdecydowałem się powrócić do Colleton, nie miałem najmniejszego przeczucia, że przestanie ono być dla mnie ucieleśnieniem miasteczka Karoliny Południowej, a wszelką taką sugestią głośno bym wyśmiał. Wiele jeszcze miałem się dowiedzieć o stuleciu, w którym przyszło mi żyć. A miała to być nader dotkliwa nauka.

Trzy tygodnie po pogrzebie dziadka, wróciwszy do domu po treningu futbolowym, zobaczyłem zaparkowany przed wejściem samochód ojca. Z tyłu pickupa przyklejony był znak pokoju, a obok napis: „Oto ślad amerykańskiego kurczaka”. Zastałem ojca w saloniku rozmawiającego z Sallie, na kolanach siedziała mu Jennifer, podczas gdy moja żona przewijała Lucy.

- Cześć, tato - powiedziałem. - Zrobić ci jakiegoś drinka?

- Jasne, synu. Cokolwiek dasz, będzie dobre.

Sallie poszła za mną do kuchni, przygotowując drinki, spytałem:

- Zrobić coś także i tobie, Sallie, czy wolisz poczekać do chwili, gdy nasze tygrysyce znajdą się już w łózkach?

- Coś się stało - wyszeptła Sallie. - Minutę temu płakał - Mój ojciec? Płakał? To niemożliwe. Tylko ludzkie istoty płaczą wtedy, kiedy są

emocjonalnie poruszone. Ojciec urodził się bez emocji, tak jak ludzie rodzą się czasami bez małych palców.

- Bądź dla niego miły, Tom. Naprawdę miły. Zabiorę dziewczynki do domu Tolithy. Chce porozmawiać z tobą sam na sam.

Kiedy powróciłem do saloniku, zastałem ojca z głową złożoną na oparciu fotela. Oddychał z trudem, nigdy dotąd nie widziałem go tak wzburzonego. Wyglądał, jakby siedział na krześle elektrycznym. Dłonie mu drżały, kostki palców były poczerwieniałe.

- Jak twoja drużyna? - spytał i wziął ode mnie drinka.

- Radzą sobie całkiem nieźle, tato - powiedziałem. - Myślę, że mamy spore szansę przeciw Georgetown.

- Czy możemy porozmawiać, synu?

- Oczywiście, tato.

- Kilka dni temu twoja matka na mnie naskoczyła - zaczął. - Z początku specjalnie się tym nie przejąłem. Rozumiesz, jak każda para, mieliśmy lepsze chwile i gorsze, ale zwykle dawaliśmy sobie z tym radę całkiem dobrze. Tymczasem dzisiaj szeryf wręczył mi pozew rozwodowy.

- Współczuję ci, tato.

- Czy mówiła ci coś o tym? Wiedziałaś, że coś takiego się zapowiada?

- Savannah coś mi wspomniała po pogrzebie dziadka - odparłem, - Ale wiele się nad tym nie zastanawiałem.

- To dlaczego nic mi nie wspomniałeś, synu? - spytał z wyrzutem w głosie. - Dałbym jej kwiaty albo zabrał do restauracji w Charleston.

- Nie sądziłem, że powinienem się mieszać. Uważam, że sami powinniście to załatwić między sobą.

- Nie chciałeś się mieszać! - wykrzyknął ojciec. - Ja jestem twoim ojcem, a ona matką. Jeśli ciebie to nie obchodzi, to kogo, do cholery jasnej, ma jeszcze obchodzić? Co mam zrobić, jak mnie porzuci? Powiedz mi! Co będzie warte moje pieprzone życie bez niej? Jak myślisz, dlaczego tak harowałem przez całe życie? Chciałem jej zapewnić to wszystko, o czym marzyła. Nie wszystko wyszło tak, jak chciałem, ale przynajmniej próbowałem.

- Próbowalesz, racja - potwierdziłem. - Nikt temu nie może zaprzeczyć.

- Gdyby szczęście chociaż raz się do mnie uśmiechnęło, nigdy by mnie nie chciała opuścić. Nie masz pojęcia, jak bardzo twoja matka kocha pieniądze.

- No, jakieś pojęcie to może mam, tato.

- I dlatego wróci. Nie wie, jak trudno utrzymać się samej, a jest już z całą pewnością za stara, aby teraz się tego uczyć.

- Mama jest bardzo sprytną kobietą, tato - powiedziałem.  
 - Jeśli zdecydowała się opuścić ciebie, to z pewnością ma jakiś plan.  
 - Może sobie mieć plany, jakie chce - odrzekł - ale nie ma ani odrobinki forsy, żeby je zrealizować. Dlaczego to zrobiła, synu? Proszę, pomóż mi. Dlaczego poszła i złożyła ten pozew?

Ukrył twarz w wielkich dłoniach i zapłakał tak gwałtownie, że łzy trysnęły mu z oczu i pociekły między palcami na przeguby. Załamał się, a byłem świadkiem nie żalu, lecz bólu kogoś, kto uświadamia sobie, że przyjdzie mu zapłacić za lata brutalnej tyranii. Miał ponieść konsekwencje trzydziestu lat cichej przemocy, a nie otrzymał daru skruchy.

- Cały problem wynikł z tego - oświadczył - że zawsze traktowałem ją jak królową. Byłem dla niej po prostu za dobry. Pozwoliłem jej bujać w obłokach i udawać kogoś, kim nigdy nie była. Pozwalałem na wszystko, podczas gdy powinienem był traktować ją bardziej stanowczo.

- Pomiałałeś nią, tato, tak jak nami wszystkimi - powiedziałem.

Spróbował zaoponować, ale nie mógł wykrztusić z siebie słowa, gdyż targnęło nim łkanie przypominające sztormowe fale walące o brzeg. Jeszcze chwila, a bym się nad nim użalił, ale przypomniałem sobie osiemnastoletnią praktykę w jego rzemiośle zastraszania i przemocy. Płacz raczej nad naszą matką, pomyślałem. Płacz nad moim bratem i moją siostrą. Także i mnie nie poskap łyzy. Nie starczyłoby w jego ciele łez, aby zmyć wszystkie bezmyślne występki, jakie popełnił jako mąż i ojciec. Trudno mi było wybaczyć człowiekowi, który w dzieciństwie dotykał mnie wyłącznie po to, aby zwalić ciosem na podłogę. Dlatego nie wierzyłem własnym uszom, kiedy uspokoił się wreszcie na tyle, by powiedzieć:

- Nigdy w życiu nie podniosłem ręki na waszą matkę ani na żadne z was.

- Cooo?! - wrzasnąłem, a on znowu się rozplakał. Kiedy trochę mu przeszło, uklęknałem obok jego fotela i wyszeptalem:

- Tego właśnie najbardziej nienawidzę w naszej rodzinie, tato. Mniejsza z tym, że nas lałeś. Naprawdę nie o to mi chodzi. To już minęło i nic tego nie odmieni. Natomiast nie mogę znieść tego, że kiedy wspominam jakiś fakt z życia rodziny, ty lub mama mówicie, że nic takiego nie miało miejsca. Ale mówię ci, tato, i mówię to jako kochający ciebie syn, że byłeś okropny dla mamy i dla nas. Nie przez cały czas. Nie każdego dnia, nawet nie każdego miesiąca. Nigdy jednak nie wiedzieliśmy, co cię może rozwścieczyć. Nigdy nie wiedzieliśmy, kiedy wybuchniesz i zaczniesz ciskać nami po całym domu, ty, najsilniejszy rybak na całym wybrzeżu. Dlatego nauczyliśmy się milczeć, dlatego nauczyliśmy się obchodzić cię na paluszkach. Nauczyliśmy się bać ciebie w milczeniu. A mama była zawsze

wobec ciebie lojalna i nie pozwoliła nam puścić nawet pary z ust o tym, że nas katujesz. Na ile pamiętamy, pod tym względem była do ciebie podobna i udawała, że nic takiego się nie zdarzyło.

Ojciec wyprostował się gwałtownie.

- Łziesz jak pies, Tom. Jesteś kłamcą, a jesteś nim, gdyż pozwoliłeś, by matka nastawiła cię przeciwko mnie. Byłem za dobry. Byłem za dobry dla was wszystkich i to mój jedyny błąd.

Chwyciłem jego prawą rękę, rozpiąłem mankiet i zawinałem koszulę aż po łokieć. Odwróciłem dłoń do góry i pociągnąłem palcem po purpurowej bliznie na przedramieniu. Wpatrzyłem się w tę rękę z wielką czułością. Ciężka praca nadała jej liryczne piękno. Żył nabrzmiewały na niej niczym korzenie starego drzewa wyzieraające z ziemi. Zaczął nosić na łódce kapelusz i koszule z długimi rękawami, wiedział bowiem, że matka podziwiała bladą cerę ludzi, którzy nie musieli oddawać się codziennej pracy. W żaden jednak sposób nie mógł zaradzić temu, że jego ręce były szorstkie i pociemniałe od smarów. Ostrze brzytwy musiało się zagłębić ćwierć cala w zgrubiałą skórę kciuka, aby pociekła krew. Te dłonie wymierzały mi razy, ale to one także pracowały na mnie i dzięki nim byłem nauczycielem.

- Skąd masz tę bliznę, tato? - spytałem. - Twój syn, kłamca, który cię kocha, chce się dowiedzieć, skąd masz tę bliznę?

Wzruszył ramionami.

- Skąd mogę wiedzieć? Jestem rybakiem i mam pełno blizn na całym ciele.

- Nie, tato, To kiepska wymówka.

- Poczekaj, synu. Co ty chcesz mi wmówić?

- Nigdy się nie zmienisz, jeśli nie przyznasz sam przed sobą, kim byłeś. Przemyśl to dobrze. Skąd masz tę bliznę? Pomogę ci. Savannah i ja siedzimy przy stole w jadalni. Są to nasze dziesiąte urodziny. Na stole stoi tort Nie, przepraszam, dwa torty. Mama zawsze dbała o to, żeby każde z nas miało swój tort.

- Zupełnie nie wiem, o czym mówisz. Powinienem być iść do Luke'a, bo ty za wszelką cenę chcesz mnie przekonać, że jestem podły.

- Spytałem cię tylko, skąd się wzięła ta blizna, tato. A jeśli nie możesz sobie przypomnieć, to pozwól, że ja ci opowiem o tamtym wieczorze. To ważne, tato, chociaż bowiem był to tylko jeden z tysiąca wieczorów, być może unaocznisz ci w jakiejś mierze, dlaczego mama od ciebie odchodzi.

- Nie prosiłem cię o żadne unaocznienie. Chciałem, żebyś mi pomógł.

- I właśnie ci pomagam.

Zacząłem opowiadać, a ojciec łkał w wielkie dłonie.

Wszystko zaczęło się jak zwykle bez ostrzeżenia i czasu na rejteradę. Ojciec szybko wstał od stołu i zaczął oglądać Ed Sullivan Show. Kończył się właśnie kiepski sezon połowowy, a to zawsze czyniło go wybuchowym i nieprzewidywalnym. Nie odzywał się podczas kolacji, a do saloniku wziął ze sobą butelkę bourbona, nic jednak w jego zachowaniu nie zwiastowało niebezpieczeństwa. Nawet milczenie można było uznać za uspokajający objaw zmęczenia, a nie wyraz tłumionej wściekłości. Matka zapaliła dziesięć świeczek na każdym torcie, a Savannah klasnęła w dłonie i zawołała:

- Tom, odtąd mamy po dwie cyfry i potrwa to aż do setki.

- Chodź do stołu, Henry - zawołała matka. - Dzieci chcą zdmuchnąć świeczki.

Czy kłócili się poprzedniej nocy? Czy był jakiś niezalagodzony konflikt między nimi? Nie wiem i w ogóle niewiele to znaczy.

- Henry, słyszysz mnie? - spytała matka i stanęła w progu saloniku. - Już czas, żeby zaśpiewać Heppy Birthday Savannah i Tomowi.

Ojciec nie ruszył się z fotela ani dał żadnego znaku, że słyszy matkę.

- Mamo, daj spokój - poprosiłem zza dziesięciu świeczek.

- Wstawaj i złóż dzieciom życzenia urodzinowe! - rozkazała, podchodząc do telewizora i gasząc go.

Nie widziałem jego oczu, zobaczyłem jednak, jak sztywnieją jego barki, a ręka ze szklaneczką wędruje do ust i po chwili odstawia ją pustą.

- Żeby mi się nigdy więcej to nie powtórzyło, Lila - usłyszałem jego głos.

- Nie pozwolę, żeby mi gaszono telewizor przed nosem, - Zupełnie jakbyś chciał dowieść dzieciom, że nie kochasz ich na tyle chociażby, żeby złożyć im życzenia.

- Jeśli zaraz nie włączysz aparatu, pożałujesz, że się w ogóle urodziłaś - powiedział głosem matowym i beznamiętnym.

- Mamo, daj spokój - zawołała Savannah. - Włącz z powrotem telewizor, bo zaraz się zaczniesz.

- Nie - oznajmiła stanowczo matka. - Niechaj wasz ojciec ogląda sobie telewizję, ile mu się żywnie podoba, ale najpierw musi pokroić torty.

Cała groza nadciągających zdarzeń zatrzepotała w sercu i krwi dziesięciolatka. Bezradnie patrzyłem, jak ojciec podnosi się, w oczach mając całą jałowość swego nieudanego życia, i ciągnie matkę pod telewizor. Tutaj chwycił ją za włosy, zmusił, aby uklekła, podczas gdy dzieci rozdierająco krzyczały oddzielone od sceny dwoma rzędami świeczek.



- Włącz, Lila - rozkazał. - I nigdy więcej nie mów mi, co mam robić w moim domu. To mój dom, a ty w nim mieszkasz dlatego, że ci pozwoliłem.

- Nie! - odparła z pasją.

Uderzył jej twarzą z takim rozmachem o ekran, że aż dziw, iż kineskop się nie rozleciał.

- Mamo, zapal! - błagałem.

Savannah podskoczyła, przepchnęła się obok rodziców i znowu rozbrzmiał głos Sullivana.

- To ona - zastrzegła się matka. - Nie ja!

Ojciec sięgnął i wyłączył aparat. Zapanaowała złowieszcza cisza.

- Powiedziałem ci, żebyś włączyła telewizor, Lila - powiedział z naciskiem. - Dajesz chłopcom zły przykład. Mają wiedzieć, że kobieta musi być w domu posłuszna mężczyźnie.

Savannah raz jeszcze włączyła telewizor, tym razem jednak nastawiła go zbyt głośno i głos Eda Sullivana wręcz zaryczał w całym domu. Ojciec na odlew uderzył córkę, która odbiła się od stolika do kawy i zwinęła na podłodze w pozycji płodowej.

Matka podskoczyła do Savannah i obie z łkaniem wtuliły się w siebie, podczas gdy ojciec wolno i z namysłem sunął ku nim. Nachylił się nad nimi groźnie, kiedy sześć strzałów z rewolweru kaliber 38 rozwalilo aparat w kaskadzie drewnianych i szklanych odprysków.

Obejrzałem się i w drzwiach naszej sypialni zobaczyłem Luke'a, który spokojnie ładował broń. Z lufy unosiła się strużka dymu.

- Czy teraz, kiedy nie ma już telewizora, zaśpiewasz swoim dzieciom Happy Birthday? - spytał Luke.

Ze zwierzęcym lśnieniem w bladych oczach ojciec zaczął się teraz skradać w kierunku najstarszego syna. Zbliżał się do niego pełen wrzącej furii, on, arcyprześladowca, dręczyciel synów, córki i żony. Luke z trzaskiem zamknął komorę naboju i skierował lufę w pierś ojca.

- Jak może się mężczyzna tak zachowywać? - warknął Luke. - Jak ktoś tak wielki jak ty może bić żonę i małą córkę? Czemu jesteś taki podły?

Ojciec szedł krok za krokiem, Luke z wycelowaną lufą w niego cofał się w kierunku kuchni. Cała nasza trójka, matka, siostra i ja, krzyczała w śmiertelnym przerażeniu.

Nagłym ruchem ojciec wykręcił Luke'owi przegub, tak że broń poleciała na podłogę, a potem pięścią wyrzwał go w twarz. Luke padł na kolana, ojciec jednak podniósł go za włosy i na wpół przytomnego uderzył raz jeszcze.

Znalazłem się na plecach ojca, wczepiony zębami w jego lewe ucho. Zawył, a ja poleciałem na kredens kuchenny, odbiłem się i wylądowałem na płycie kuchenki. Stoczyłem się na podłogę, w oczach mając obraz matki, która rzuca mu się do twarzy z rozczapierzonymi paznokciami. Usiłowałem ich rozłączyć, ale usłyszałem, jak bije ją po twarzy. Zacząłem go okładać kułakami po brzuchu i piersi, kilka razy zdzielił mnie z góry w głowę, a kiedy na wpół oszołomiony spojrzałem w górę, zobaczyłem wielki nóż, którego matka chciała użyć do krojenia tortów. Trysnęła krew, zalewając mi oczy, i nie wiedziałem, które z nich zostało ugodzone. Krzyczała Savannah, krzyczałem ja, matka wrzeszczała, byśmy uciekali z domu, ja tymczasem oślepiiony, nie wiedziałem, w którą stronę się ruszyć.

Luke poprowadził mnie do drzwi i przez czerwoną mgłę zobaczyłem, jak ojciec, zataczając się, zmierza w kierunku swej sypialni, a z przedramienia sika mu krew. Matka trzymała w dłoni zakrwawiony nóż i groziła ojcu, że wbije mu go w serce, jeśli jeszcze raz waży się tknąć którekolwiek z nas. Luke wypchnął mnie i Savannah za próg frontowych drzwi i kazał biec do pickupa..

- Jeśli zobaczycie w drzwiach ojca, uciekajcie do lasu. Pognaliśmy do samochodu, zawodząc z przerażenia. Jak potem dowiedziałem się od Savannah, była przekonana, że to ja zostałem zraniony nożem w twarz. Krew ojca pokryła me oblicze złowrogą maską, dłonie wyglądały jak rękawice chirurga. W świetle padającym z domu patrzyłem, jak Luke i matka wybiegają z drzwi. Kiedy matka pakowała się za kierownicę, w drzwiach pojawiła się sylwetka jęczącego i zataczającego się ojca. Luke jednym skokiem znalazł się na skrzyni, podczas gdy matka szukała w torebce kluczyków.

- Szybciej, mammo! - krzyknął Luke. - Zaraz nas złapie!

Ojciec brnął ku nam przez trawnik, każdy krok okupując plamą krwi, był jednak niezłomny, a matka szamotała się z kluczykami. „Mamo, mammo, on jest tuż - tuż!!!” - darła się przerażona Savannah, silnik zapalił niepewnie, zakrztusił się, ale zaraz odzyskał pewny rytm, a pojazd wystrzelił z podwórka, zostawiając z tyłu kuśtykającego, zakrwawionego mężczyznę. W drodze do mostu matka Oświadczyła:

- Dzieci, nigdy już do niego nie wrócimy, przyrzekam wam. Nigdy. Jakąż musiałabym być matką, żebym kazała dzieciom rosnać u boku takiego potwora?

Przez dwa dni pozostawaliśmy u Tolithy i Amosa, ale potem powróciliśmy na swoją wyspę. Przedtem matka zebrała naszą trójkę i nakazała, byśmy nikomu nie wspomnieli o tym, co się wydarzyło.

Oznajmiła, że lojalność rodzinna jest największą w świecie cnotą, a posiadają ją tylko najlepsi z najlepszych. Tego wieczoru oboje rodzice okazywali sobie bardzo wiele czułości. Minęło całe sześć miesięcy, zanim ojciec podniósł rękę na żonę czy któreś z dzieci.

- Do dzisiaj jestem przekonany - mówiłem szlochającemu ojcu - że gdybyś nas wtedy dopadł, zabiłbyś całą czwórkę.

- To nieprawda - zaprzeczył markotnie. - Ani słowa w tym prawdy. Jak możesz coś takiego opowiadać o rodzonym ojcu?

- Muszę wyznać, że przychodzi mi to całkiem łatwo, tato.

- Nic z tego nie pamiętam - oświadczył. - Jeśli doszło do czegoś takiego, musiałem być pijany. Nie wiedziałem, co robię. Musiałem być pijany do nieprzytomności, a przyznam, że nie najlepiej znosiłem alkohol.

- Także Savannah tego nie pamięta, tato. Kiedyś ją pytałem. Luke zaś nie chciał o tym ze mną rozmawiać.

- Więc może to, synu, tylko wymysł, wyobraźnia płata ci figle. Tak, z pewnością o to właśnie chodzi. Zawsze lubiłeś zmyślać różne historyjki. Założę się, że wymyśliście to razem z matką, żeby mieć na mnie haka przed sądem, co?

- To skąd ta blizna, tato?

- Mówiłem ci, łowienie to niebezpieczny zawód. Może kołowrót, może pękła lina...

- To nóż kuchenny - powiedziałem beznamytnie. - A co z telewizorem, tato? Nie pamiętasz także, że musiałeś kupić nowy? Jak wszystkie inne południowe rodziny, nie mogliśmy wytrzymać nawet dwudziestu czterech godzin bez telewizora, więc bardzo szybko wymieniliśmy ten rozwalony. Wydaje mi się nawet, że nowy stał już, kiedy wróciliśmy do domu. Nie było też ani śladu krwi czy jakiegokolwiek kłótni. Jak zwykle, zachowy waliśmy się dalej tak, jak gdyby nic się nie wydarzyło.

- Może i teraz powinniśmy tak postąpić, synu. Udawać, że nic takiego się nie zdarzyło, chociaż zdaje się, że żadne moje słowa cię o tym nie przekonają.

- Teraz jednak coś dzieje się naprawdę - powiedziałem. - Matka cię opuszcza i będziesz musiał spojrzeć prawdzie w oczy, i zobaczyć, kim byłeś. Nie będziemy mogli udawać, że to nie nastąpiło, prawda? Nareszcie doszliśmy do momentu, kiedy udawanie na nic już się nie zda.

- Dlaczego tak bardzo mnie nienawidzisz? - spytał, a w jego głosie znowu słychać było rozpacz.

- Tato, nietrudno nienawidzić człowieka, który lał cię przez całe dzieciństwo - rzekłem łagodnie. - Ale zaczynam cię nienawidzić tylko wtedy, kiedy przypominam sobie tamte chwile.

- Jeśli rzeczywiście to robiłem, to przepraszam cię, Tom - powiedział i spojrzał mi w oczy. - Mówię uczciwie, że niczego takiego nie pamiętam. Nie wiem, co mógłbym zrobić, żeby jakoś to naprawić.

- Mógłbyś zacząć od wręczenia mi jakiejś znacznej sumy, najlepiej w dwudziestkach - roześmiałem się, a kiedy spojrzał na mnie zdziwiony, wyjaśniłem: -Tak tylko próbowałem zażartować, drogi tato. Ale powiedz mi teraz, co ja mogę dla ciebie zrobić? Jak mam ci pomóc? Jedno jest pewne, w żaden sposób nie poradzisz już na to, że jesteś południowym dupasem. Taki już się urodziłeś.

- Mógłbyś z nią porozmawiać i zorientować się, czego chce? Powiedz jej, że zrobię wszystko, czego zażąda, byle tylko wróciła. Dostanie wszystko, czego zechce. Obiecuję.

- A jeśli w ogóle nie będzie chciała wrócić?

- Co ja wtedy pocznę? - spytał bezradnie. - Co ja zrobię bez twojej matki?

- Nadal pozostaniesz najlepszym krewetkarzem w okolicy. I właścicielem najpiękniejszej wyspy na świecie.

- Tyle że stracę najpiękniejszą kobietę na świecie.

- Bez wątpienia, ale od długiego czasu sam na to pracowałeś. Gdzie można ją znaleźć? Spróbuję z nią porozmawiać.

- Tam, gdzie zawsze ostatnio - powiedział. - Pilnuje tej skubanej Newbury. Nigdy nie pojmę, dlaczego twoja matka tak skacze nad kobietą, która zawsze traktowała ją jak gówna.

- A ja to rozumiem znakomicie. Mama przez całe życie czekała na chwilę, gdy Isabel Newbury będzie jej potrzebować.

- Ale to ja jej potrzebuję - zaskomlił.

- A powiedziałaś jej to kiedyś, tato? - spytałem.

- Nie potrzebowałem - obruszył się. - Przecież się z nią ożeniłem.

- Ach, rozumiem, przepraszam za tak niedelikatne pytanie.

Znowu zaczął płakać, a ja przyglądałem mu się, myśląc, że skrucza mogła być jednym z tych uczuć, które staną się ratunkiem dla Henry'ego Wingo. Chłodny obserwator we mnie zauważył jednocześnie, że jako rodzina zasłużyliśmy sobie na każdą z tych łez i że bardzo długo przyszło na nie czekać.

Pozbierał się wreszcie w sobie i spytał:

- Wiesz, że Tolitha zostawiła dziadka, kiedy byłem małym chłopcem?

- Tak.

- Jak miałem się nauczyć tego, jak mąż powinien traktować żonę? Myślałem, że Tolitha opuściła Amosa, bo był słaby. Zawsze uważałem, że żaden z niego mężczyzna. Nie chciałem, żeby mnie przytrafiło się to samo.

- Moja matka nie porzuciła ojca - powiedziałem i przysunąłem się bliżej do niego - dlatego nauczyłem się, jak traktować żonę, przyglądając się jego postępowaniu. Nauczyłem się, że to normalne, iż mężczyzna bije kobietę, tato. Nauczyłem się, że to normalne, iż ojciec bije dzieci, znęca się nad swoją rodziną, ilekroć przyjdzie mu na to ochota, a ponieważ jest od wszystkich silniejszy, nikt nie potrafi mu oddać i nie ma dokąd uciec. To od ciebie dowiedziałem się wszystkiego o mężczyznach, tato, i bardzo ci za to dziękuję, ponieważ zapragnąłem być taki jak twój ojciec, Amos. Chcę być słaby, łagodny i dobry dla każdego stworzenia na ziemi. Wolałbym umrzeć, niż zostać kimś, kim uczyłeś mnie być.

- Myślisz, że jesteś lepszy odemnie - powiedział. - Także twoja matka myślała przez cały czas, że jest lepsza odemnie, chociaż jej rodzice byli tylko wieśniakami, którzy chcieli podskoczyć wyżej nosa.

- Nie myślę, że jestem lepszy od ciebie, tato - sprostowałem. - Jestem łagodniejszy.

- Powinienem być rozmawiać z Lukiem, a do ciebie w ogóle nie zaglądać. Luke nigdy nie powiedziałby tak okropnych rzeczy swojemu ojcu.

- Ale także nie zgodziłby się iść rozmawiać z mamą.

- A ty ciągle chcesz?

- Tak - potwierdziłem. - Wydaje mi się, że po raz pierwszy w życiu masz szansę nauczyć się czegoś. Kto by przypuścił, że stary goryl zacznie płakać, kiedy zostawi go żona? A nawet jeśli cię zostawi, to przynajmniej może być z tego taka korzyść, że staniesz się dobrym ojcem. A ja nie miałbym nic przeciwko temu, żeby po raz pierwszy w życiu mieć ojca.

- Nie lubię prosić ludzi o cokolwiek.

- To dlatego tak trudno dać ci cokolwiek, tato - odrzekłem.

- Ej - zaprotestował - nie zapominaj, że to ja dałem ci życie!

- Serdeczne, cholera jasna, dzięki! - jęknąłem.

## ROZDZIAŁ 26

Stałem na werandzie siedziby Newburych i patrzyłem, jak księżycowe światło rozpala mokradła niczym sen o przemienionym złocie. Na pukanie zareagował Reese Newbury, a poświata zmieniła coś w jego twarzy, której rysy złagodniały od czasu, kiedy ostatni raz stałem przed tym progiem. Worki pod oczyma przywodziły na myśl znoszone walizy, ale same oczy nic nie utraciły z władczej siły, bo i ona nie opuściła pachnącego lawendą wypielegnowanego ciała.

- Chciałem porozmawiać z moją matką, panie Newbury - wyjaśniłem.

Przez chwilę mrużył oczy w świetle ganku i księżycy, zanim mnie rozpoznał.

- To prawdziwy anioł, Tom. Nie wiem, co byśmy bez niej zrobili. Twoja matka to niezwykła kobieta. Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę.

- Tak, proszę pana, zawsze o tym wiedziałem. Czy zechciałby pan zawołać ją na dół?

- Wejdz, bardzo proszę - powiedział i poszedłem za nim do wnętrza domu, w którym zaległa cisza. - Jest z Isabel - szepnął. - Niemal nie odchodzi od jej łóżka, nawet żeby się posilić. Lekarz mówi, że to już długo nie potrwa. Rak zajął już...

Nie mogłem dokończyć zdania, bezradnie poruszał wargami. Usiłował zapanować nad sobą, a wtedy metalicznie rozbrzmiały zegary, długimi wahadłami tnące jedwabie czasu. Staliśmy w półmroku, wszystkie były dziewiątą, w każdym pokoju swym głębokim głosem oznajmiając godzinę. Zastanawiałem się, czy to na pewno właściwe, by w domu, gdzie ktoś kona, tak dobitnie podkreślać upływ czasu.

- Poczekaj w moim gabinecie na piętrze - powiedział. - Tam będziecie mogli porozmawiać sobie w cztery oczy.

- Znam ten gabinet - przypomniałem i poszedłem za nim po schodach pokrytych dywanem.

Czekając na matkę, myślałem, czy wybrał to pomieszczenie celowo, potem jednak uzmysłowiłem sobie, że Reese Newbury popełnił w życiu tyle haniebnych rzeczy, że najpewniej w ogóle już nie pamiętał tego policzka wymierzonego dwunastolatкови za to, iż pobił jego syna. Na półkach nadal stały rzędy nietkniętych książek, na ścianie wisiała mapa hrabstwa z zaznaczonymi podbojami. Matka stanęła w progu i szepnęła:

- Isabel chciałaby cię zobaczyć, Tom. Bardzo się cieszysz, że przyszedłeś z wizytą. To wzruszające, prawda?

Dlaczego Isabel miałaby się cieszyć, to stanowiło dla mnie prawdziwą tajemnicę, matka jednak najwyraźniej była rada, iż pani Newbury przyjmuje do wiadomości fakt mego zamieszkiwania z nią tej samej planety. Wzięła mnie za rękę i poprowadziła mrocznym korytarzem.

- To tutaj - powiedziała matka, zapominając najwyraźniej, że raz już pomagałem wnieść dwustofuntowego żółwia do tej właśnie sypialni. Wszystkie możliwe anse natychmiast rozplynęły się, kiedy zobaczyłem wynędzniałą postać opartą o stos poduszek. Nienawiść nienawiścią, ale najgorszemu wrogowi nie życzyłbym takiej śmierci. Cerę miała bladoperłową, cała płonęła od gorączki. W pokoju unosił się ferment śmierci, mieszanina medykamentów, kwiatów i perfum utrwalona w kiepskim winie.

- Tylko twoja matka mi została - oznajmiła. - Wszyscy inni boją się na mnie spojrzeć.

- Nie, Isabel, to nieprawda - powiedziała matka. - Robię tylko to, czego można oczekiwać od przyjaciółki. A dostajesz tyle kartek z pozdrowieniami i kwiatów, że inni mogą o tym tylko pomarzyć.

- Byłam niedobra dla ciebie i twojej rodziny - wyznała chora, wolno dobierając słowa, - Już setki razy przepraszałam za to twoją matkę.

- A ja setki razy powtarzałam ci już, że nie masz za co przepraszać, Isabel - pospiesznie zapewniła matka. - Zawsze uważałam cię za jedną ze swoich najlepszych przyjaciółek, niewiele jednak mogłyśmy się spotykać, gdyż zajęte byłyśmy prowadzeniem swoich domów.

- Przyjmuję pani przeprosiny, pani Newbury - powiedziałem. - To bardzo szlachetne słowa z pani strony.

- Tom Jak możesz! - wykrzyknęła matka.

- Więc ja dziękuję za przyjęcie przeprosin. Przez ostatnie kilka tygodni wiele myślałam nad swym życiem. Popelniłam wiele rzeczy, których teraz nie rozumiem. Nie rozumiem tej osoby, która to robiła, wydaje się, że nie mam z nią nic wspólnego. Bardzo mi wstyd, że uświadamiam to sobie dopiero teraz, kiedy umieram.

- Cicho, kto mówi, że umierasz, Isabel!?! - obruszyła się matka. - Mówię ci, dasz sobie radę z tym chorobskim, a potem wyjedziecie z Reesem w wielką podróż.

- Jedyne podróz, jaka mnie jeszcze czeka, to przejażdżka do domu pogrzebowego Ogletree'ego.

- Nie mów tak, Isabel! - powiedziała matka i ukryła twarz w dłoniach. - Nie wolno ci się poddawać, musisz znaleźć w sobie siłę do walki - Śmierć



to po prostu ostatnia faza życia i wszyscy musimy przez nią przejść. Z pewnością nie jest to faza najpiękniejsza, o tym mogę cię zapewnić.

- Jak się miewa Todd, pani Newbury? - spytałem.

- Todd? Jak zawsze. Zepsuty egoista. Poślubił jedną z Lee z Wirginii i cały wolny czas spędza na kłótniach z nią. Od czasu mojej choroby zjawiał się wszystkiego dwa razy, ale przynajmniej dzwoni raz na miesiąc.

- Był tutaj w zeszły weekend - wtrąciła się matka. - Mówię ci, Tom, widać było, że choroba matki łamie mu serce. Bardzo cię kocha, Isabel, ale jak wielu innych mężczyzn nie potrafi wyrażać swoich uczuć.

- Wyraził to bardzo klarownie - mruknęła Isabel. - Nawet nie pofatygował się tu do mnie.

- Jesteś już zmęczona - powiedziała zatroskanym głosem matka. - Pożegnaj się z Tomem, a ja opatulę cię do snu.

- Mogłabyś mi przynieść więcej wody z lodem, Lila, kochanie? Tak mi się chce pić.

- Zaraz wracam - zapewniła matka.

Kiedy usłyszeliśmy na schodach kroki matki, Isabel Newbury zwróciła na mnie swój wynędzniały, schorowany wzrok i wypowiedziała słowa, które miały na zawsze zmienić moje życie.

- Mój mąż jest zakochany w twojej matce, Tom. A ja to aprobuję.

- Co takiego? - wyszeptalem kompletnie zaskoczony.

- Reeseem trzeba się zaopiekować. Sam nie da sobie rady - powiedziała rzeczowo, jak gdyby chodziło o problem zabezpieczenia się przed zmianą pogody. - A twoja matka jest dla mnie taka dobra. Także ja ją bardzo pokochałam.

- Jakież to cudowne! A czy pomyślała pani chociaż przez chwilę o moim ojcu?

- Sporo mi o nim opowiadała. Przypuszczam, że nienawidzisz go tak samo jak ona.

- Nie, proszę pani. Lubię go milion razy bardziej niż Reese'a Newbury'ego.

- To platoniczne uczucie, mogę cię o tym zapewnić. Twoja matka chyba nawet go nie zauważa.

- Pani Newbury, jakże mogła pani wpuścić do łóżka swego męża kobietę, która nie zasługiwała na to, żeby znaleźć się w pani pieprzonej książce kucharskiej?

- Nie życzę sobie takiej wulgarności - odrzekła, a jej słaby głos pełen był urazy.

- Ma pani czelność nazwać mnie wulgarnym, pani, która na łożu śmierci zajmuje się stręczycielstwem?

- Staram się przed odejściem załatwić wszystkie sprawy - oznajmiła z dumą. - Pomyślałam sobie, że powinieneś się dowiedzieć, żeby potem nie spadło to na ciebie jak grom z jasnego nieba.

- Rzeczywiście, nie przepadam za takimi niespodziankami. Ile wie moja matka?

- Nie. Przedyskutowałam to tylko z Reesem. My, sobie zawsze mówiliśmy o wszystkim.

- To proszę powiedzieć swojemu Reese'owi, że po moim trupie pójdzie z matką do ślubu. Wiele potrafię znieść" ale nie to, żebym był pasierbem Reese'a Newbury'ego i przyrodnim bratem Todda. Co się z panią stało. Odkąd pamiętam, traktowała pani moją rodzinę jak śmierzące gówno. Skąd ten gambit? Ostateczny gest pogardy?

Usłyszeliśmy pod drzwiami matkę. Pani Newbury przyłożyła palec do warg, matka weszła i naląła jej do szklanki wodę.

- Pogawędziliście sobie, kiedy mnie nie było? - spytała. - Opowiedziałam Isabel o tobie wszystko, Tom. Stwierdziła, że nigdy nie spotkała matki, która byłaby bardziej dumna ze swych dzieci, i chyba się nie myli. Dzieci zawsze stanowiły dla mnie cały świat.

- Dziękuję za wizytę, Tom. - Isabel uściśniła mi dłoń. - Zajrzyj jeszcze kiedyś.

- Mam nadzieję, że zaczniesz się pani czuć lepiej - powiedziałem oficjalnym tonem. - Proszę dać mi znać, gdybym mógł być w czymś pomocny. Dobranoc.

Zasiedliśmy naprzeciwko siebie w gabinecie, a ja rozważałem różne możliwości, jak odegrać rolę uśmiechniętego osła. Jeśli moja matka i Reese Newbury czulili się do siebie nad ciałem jego umierającej żony, nic mi do tego, szczególnie że nieboraczce, jak się wydawało, bardzo odpowiadała rola wielkodusznej swatki. Tę kwestię na razie postanowiłem zostawić na uboczu.

- Dlaczego nie leży w szpitalu, mamó? Przecież widać, że umiera.

- Chce umrzeć w domu, gdzie kończyli swój żywot wszyscy jej przodkowie. Postanowiła umrzeć we własnym łóżku.

- Jakiego ma raka?

- Teraz opanował całe ciało. Zaczęło się od raka odbytnicy.

- Mamó, proszę, nawet Pan Bóg nie ma takiego poczucia humoru.

- To jedno z najokrutniejszych słów, jakie kiedykolwiek usłyszałam od kogokolwiek - powiedziała matka i podniosła się żeby sprawdzić, czy na

pewno nikt nas nie słyszy. - Isabel Newbury i ja jesteśmy bardzo bliskimi przyjaciółkami i nie pozwolę, żebyś wyrażał się o niej bez należącego szacunku. Bardzo głęboko odczuła to, że w momencie próby większość przyjaciół odwróciła się od niej. Zjawia się raz, dwa razy w miesiącu, posiedzą godzinę, a ona dobrze widzi przerażenie na ich twarzach, gdy oglądają ją w łóżku.

- I prawdziwie zaskakujące, mamó, jest to, że właśnie Lila Wingo, jedna z jej największych nieprzyjaciółek, dogląda jej całymi dniami i, zdaje się, nocami.

- Zawsze powtarzałam, że co się stało, to się nie odstanie, i nigdy nie trzymałam w duszy zapiekłej urazy. A jakie to wszystko trudne dla biednego Reese'a. Jest strasznie przybity.

- To świetnie - powiedziałem. - Bardzo się cieszę, że jest przybity. Zawsze byłem zdania, że stopień człowieczeństwa danej osoby mierzy się tym, jak bardzo potrafi nienawidzić Reese'a Newbury'ego.

- Większość ludzi bardzo się myli co do niego.

- A ja myślę, że większość ludzi rozumie go bardzo dobrze - powiedziałem. - Jeśli teraz on dostanie raka odbytnicy, zacznę istotnie myśleć, że jest coś takiego jak boska Opatrzność.

- Nie chce więcej słyszeć, żebyś tak się wyrażał o Newburych, Tom - powiedziała z oburzeniem. - Ostrzegam cię. To teraz moi najbliżsi przyjaciele w całym Colleton. Wiem, że zabrzmi to dla ciebie dziwnie, ale z wielką wdzięcznością przyjęli moją pomoc. Ja nigdy nie wymagałam wdzięczności za wypełnianie normalnych sąsiedzkich powinności. Jeśli coś komuś dawałam, to ze szczerego serca i nigdy nie oczekiwałam za to żadnej zapłaty. A kiedy nadarzyła się okazja do prawdziwej pomocy, mogłam z bliska zobaczyć, jak w istocie samotni są Isabel i Reese. Mówię to jak najbardziej szczerze. Nie mają prawdziwych przyjaciół, tak jak ja i ty rozumiemy to słowo. Natomiast kręci się obok nich wielu ludzi, którzy chcą mieć jakąś korzyść z ich pieniędzy czy pozycji towarzyskiej. A przy ich wrażliwości fałsz wyczuwa się na milę.

- Jeśli jest, jak mówisz, lustra muszą ich doprowadzać do szału. Mamó, zjawilem się tutaj, gdyż dzisiaj odwiedził mnie tato.

- Tak też przypuszczałam. Spodziewałam się ciebie, Tom.

- Kazał mi przekazać ci jego przeprosiny, a także obietnicę, że zrobi wszystko, co zechcesz, żebyś tylko wróciła - oznajmiłem, czując, jak okropnie niezręcznie brzmią te ojcowskie frazy.

- - Już zbyt wiele lat straciłam u boku twego ojca - powiedziała. - Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że ja go właściwie nawet nie kochałam, wychodząc za niego?

- Dzisiaj otrzymał pozew, mamó. Dokument chyba go przekonał, że tym razem nie żartujesz.

- Reese i Isabel pozwolili mi zamieszkać w domku, który mają przy Lanier Street. Nic nawet nie muszę im za to płacić. Czy to nie ładnie z ich strony?

- Wróćmy do ojca, mamó. Co mam mu powtórzyć?

- Powtórz mu - powiedziała, wstając - że bardzo żałuję, iż kiedykolwiek go spotkałam, iż poczęłam z nim dzieci, a najszczęśliwszym dniem w moim życiu będzie ten, w którym raz na zawsze uwolnię się od Henry'ego Wingo.

- Nie chciałabyś tego może jakoś ostrzej sformułować?

- Co sprawia, że zaczynasz kwestionować moją decyzję? Tyle razy od ciebie słyszałam, że powinnam rozwieść się z ojcem. Dlaczego teraz zmieniłeś zdanie?

- Jest mi go strasznie żal, mamó, i nic na to nie mogę poradzić. Ile razy go widzę, tyle razy porusza się we mnie struna najgłębszego współczucia. Spowija go aura nieuniknionej klęski i nigdy nie potrafił się od niej wyzwolić. Nawet nie bardzo myślę o nim jako swoim ojcu, a bardziej wydaje mi się jakimś schorowanym wujem, którego odwiedza się dwa razy do roku z okazji świąt.

- Więc uważasz, że nie powinnam go opuszczać?

Nasze oczy spotkały się i powiedziałem:

- Uważam, że powinnaś zrobić to, czego najbardziej chcesz. To, co da ci szczęście, mamó.

- Naprawdę tak uważasz?

- Chyba nie, ale zdaje się, że takie właśnie słowa powinienem powiedzieć.

- Więc mogę na ciebie liczyć? - spytała.

- Oboje możecie na mnie liczyć.

- Zatem zgodzisz się wystąpić na moją korzyść przed sądem?

- Nie, nie wystąpię jako świadek żadnego z was.

- To w jakim sensie mogę na ciebie liczyć? - obruszyła się stała tak, że jedna część jej twarzy skryła się w cieniu lampy.

- Mamó - powiedziałem - posłuchaj uważnie. Dostateczną krzywdą było już to, że ciebie i tatę miałem za rodziców. Jestem już jednak dorosły i jeśli nie masz nic przeciwko, chciałbym widzieć, jak rozchodzicie się, ale bez konieczności

tego, bym choćby kroplę swojej krwi utoczył na miejscu zdarzenia. Jesteście na tyle dojrzałymi osobami, abyście mogli się rozstać, nie wplątując w to dzieci. Bardzo was do tego zachęcam.

- Nie zamierzasz potwierdzić, że bił mnie, kiedy byłeś mały?

- Nie, a w razie konieczności oznajmię, że nic nie pamiętam z tamtych czasów.

- Całkiem dobrze potrafię zrozumieć, dlaczego możesz nie pamiętać - oznajmiła z pasją. - Najczęściej obrywałam wtedy, kiedy usiłowałam go odciągnąć od ciebie albo Luke'a.

- Mamo, wiem, że tak było, ale proszę, abyś jeszcze raz nas przed tym uchroniła. Będzie to dla nas wielkim złem, jeśli będziemy musieli świadczyć za którymś z was lub przeciwko któremuś.

- Dobrze, obejdę się bez ciebie. Savannah już mi przyrzekła, że jeśli będę tego potrzebować, złoży zeznania w sądzie. Oświadczyła, że byłam jedną z najbardziej pomiatanych i wykorzystywanych kobiet, jakie znała, i zrobi teraz wszystko, żeby pomóc mi rozpocząć życie od nowa...

- Przykro mi, że nie mogę ci pomóc, mamo, ale musi być ktoś, kto pomoże ojcu pozierać się, gdy ciebie zabraknie.

- A kto mnie pomagał pozierać się po tym, kiedy lał cię jako malutkiego chłopczyka po twarzy?

- Mamo, dlaczego masz do mnie pretensje, że Henry Wingo został moim ojcem? Uważasz, że to moja wina?

- Mam do ciebie pretensje tylko o jedną jedyną rzecz i zawsze będę ci to wypominać, że kiedy raz poprosiłam cię o pomoc, ty odmówiłeś. Po raz pierwszy w życiu mam możliwość być szczęśliwa, a ty nie chcesz mi w tym dopomóc.

- Pani Newbury poinformowała mnie przed chwilą, mamo, że jej mąż jest w tobie zakochany - powiedziałem i zacisnąłem powieki.

- Często zaczyna teraz majaczyć i mówi rzeczy nie trzymające, się ładu ani składu. To rak i nic na to nie można poradzić.

Oboje z Resem śmiejemy się w kułak, kiedy zaczyna tak wygadywać. Nic sobie z tego nie robimy.

- To twoja sprawa, jak zamierzasz postąpić - powiedziałem... - a będę rad ze wszystkiego, co uczyni cię szczęśliwą. Naprawdę. Przyrzekam. Ale ty musisz mi obiecać, że nie zniszczysz ojca podczas procesu.

- Chcę tylko tego, na co zasłużyłam. Tego, co zdobyłam dzięki latom tego małżeństwa.

- Właśnie tego najbardziej się obawiam. Kiedy tak sobie rozmawiamy, mamo, moje oczy wędrują po tej mapie, która wisi za tobą. Widziałem ją

lata temu, kiedy przyprowadziłaś mnie do tego domu, abym przeprosił za to, iż pobitem Todda Newbury'ego. To on wyjaśnił mi, że zielone szpilki oznaczają tereny, które już należą do jego ojca, a czerwone - te, które dopiero chce dla siebie zdobyć. W mieście aż huczy od plotek, że rząd federalny ma jakieś wielkie plany związane z Colleton. Wszędzie kręcą się pośrednicy od handlu nieruchomościami. Chodzą słuchy, że będzie można zrobić wielkie pieniądze.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi, Tom - powiedział chłodno.

- Sądząc z rozmieszczenia zielonych szpilek na mapie, do Reese'a należy już większość hrabstwa.

- Wszyscy wiedzą, że jest największym posiadaczem ziemskim w całym Colleton - oznajmiła z dumą, która była odrobinę nie na miejscu.

- Powiedz Reese'owi, że nie uważam za najrozsądniejsze tego, iż umieszcza zieloną szpilkę na naszej wyspie, zanim stał się naprawdę jej posiadaczem. - Wskazałem palcem odpowiednie miejsce na mapie. - Jeśli obiecałaś mu ją, to też trochę przedwcześnie, gdyż prawnie do ciebie nie należy. Jeśli zaś ją dostaniesz, to tylko dzięki temu, że ją ukradniesz. Wiemy dobrze, że w tym miasteczku Reese Newbury może to załatwić. Ma wokół siebie więcej żab niż jest ich w stawie, a połowa to sędziowie.

Wzruszyła ramionami.

- Nic mnie nie obchodzi ta wyspa. Umierałam na niej z samotności i będę szczęśliwa, jeśli nigdy więcej nie będę musiała postawić na niej stopy.

- Ojciec nieustannie nadużywał swojej siły. Uważaj, żebyś i ty czasem nie poszła w jego ślady.

- Moim jedynym błędem w życiu było to, że zbyt wiele delikatności wykazywałam wobec innych.

- To śmieszne - zauważyłem. - Ojciec powiedział o sobie bardzo podobne słowa.

- Tyle że w moim przypadku to akurat prawda - Tak czy owak, mam - powiedziałem, wstając - uważam, że postępujesz słusznie. To nigdy nie był właściwy dla ciebie mężczyzna, - Myślę, że śmiało mogłabym być Pierwszą Damą - oznajmiła bez widzialnego związku z poprzednimi kwestiami.

- Co takiego?

- Czuję po prostu, że mam wszystkie kwalifikacje po temu, aby być Pierwszą Damą naszego kraju. Myślę, że byłabym nieocenioną pomocą jako towarzyszka życia prezydenta lub chociażby przynajmniej gubernatora. Mam prawdziwy talent, jeśli chodzi o występy publiczne, z czego nikt nie zdaje sobie sprawy. Uwielbiam poznawać ludzi, którzy się liczą. I czasami

tylko tak myślę sobie, dokąd mogłabym zajść, gdybym w Atlancie nie spotkała tamtego dnia twego ojca.

- Nie zamierzam w tej sprawie opowiadać się po którejkolwiek stronie, mamó - powiedziałem i skierowałem się do drzwi. - Znając was, przypuszczam, że oboje mnie za to znienawidzicie, ale tak to zamierzam rozegrać.

- Jesteś nieudacznikiem, Tom - rzekła ze smutkiem, kiedy całowaliśmy się na pożegnanie. - Jesteś nieudacznikiem, zupełnie jak twój ojciec. Przez lata łudziłam się myślą, że jednak jesteś bardziej podobny do mnie. Taki był w tobie potencjał.

- To które z nas jest teraz najbardziej do ciebie podobne?

- Luke. On walczy o to, czego chce. To urodzony wojownik, zupełnie jak jego matka.

Czas było się zbierać. Matka powiedziała na odchodne:

- Proszę cię, Tom, nie powtarzaj tego, co usłyszałeś od Isabel. Nikogo nie należy obwiniać za to, co mówi na łożu śmierci.

- Nie wspomnę nawet słowem, mamó - obiecałem i opuściliśmy gabinet pana domu.

Pocałowałem ją w holu, a potem przytrzymałem na długość ramion. Byłem głęboko poruszony jej urodą, czułem się dumny, że jestem jej synem, zarazem jednak zaczynałem się lękać przyszłości.

Chwyliła mnie za rękę i pociągnęła do salonu.

- Zobacz - szepnęła. - Jest tutaj osiem arcydzieł o wartości muzealnej. Osiem!

- Nielatwo Się odprężyć w takim otoczeniu, prawda?

- Niepokoi mnie twój ojciec - oznajmiła znienacka. - Boję się, że może mi zrobić krzywdę, kiedy będę się upierała przy rozwodzie.

- Nie skrzywdzi cię. Mogę ci to obiecać.

- A skąd ta pewność?

- Boja albo Luke zabilibyśmy go, gdyby dotknął cię chociaż palcem. O to nie musisz się bać. Nie jesteśmy już małymi chłopcami.

Matka już mnie jednak nie słuchała, gdyż jej oczy z lubością ślizgały się po wyposażeniu salonu.

- Spróbujesz zgadnąć, które to arcydzieła? - spytała.

Bez słowa odwróciłem się i opuściłem rezydencję Newburych.

Po wielkich cierpieniach Isabel zmarła we śnie. Podczas pogrzebu matka siedziała wraz z rodziną Newburych.

Ojciec nie zgodził się na rozwód, znienacka wysunąwszy argument, że jest katolikiem, a kościół katolicki nie uznaje rozwodów. Uznawał je jednak



niezależny stan Karoliny Południowej. Dzień przed rozprawą przyjechała Savannah, aby przygotować się do roli koronnego świadka matki.

Podczas swych zeznań Savannah łkała, podobnie jak Lila i Henry Wingo. Sędzia Cavender był długoletnim współnikiem Reese'a Newbury'ego. Proces był smutny, ale nie było żadnych zaskoczeń. Ojciec i matka mijali się na korytarzach sądowych, jakby zupełnie się nie znali. Zaczynali już przybierać maskę obcości na widok drugiego. Ich historia przypominała opowieść o dziecku zostawionym na śniegu. Proces przypominał czuwanie przy zwłokach, był abstrakcją, a żywymi emblematami wygaśnięcia uczuć była trójka dzieci, z bólem śledzących rozpad małżeństwa, które było okropne - co do tego nikt nie miał wątpliwości. Pięści Henry'ego Wingo i jego temperament nic nie znaczyły wobec żarliwej pogardy, z jaką prawo traktowało mężów maltretujących swoje żony. Na miejscu dla świadków ojciec zawodził, łkał i jak mógł próbował ułagodzić sędziego. Był w tym bardzo ludzki, a jego wystąpienie sprawiło, że omal nie pękło mi serce. Matka była piękna, opanowana i zachowywała się całkiem przyzwoicie, ale w jej głosie było coś sztucznego i nieprzekonującego. Wydawało się, że swoje słowa kieruje bardziej do jakiegoś sekretne go słuchacza za oknem niż do sędziego Cavendera.

Kiedy złożone zostały wszystkie zeznania, sędzia natychmiast orzekł rozwód. Potem dokonał podziału majątku. Henry Wingo pozostał właścicielem kutra rybackiego, domu na wyspie i umeblowania, całej gotówki i wszystkich aktywów na rachunkach bankowych, pojazdów mechanicznych, sprzętu gospodarskiego oraz wszelkich innych ruchomości. Nie spoczął na ojcu obowiązek płacenia jakichkolwiek alimentów, zwolniony też został od jakiegokolwiek odpowiedzialności za długi, jakie matka mogła zaciągnąć po wyniesieniu się z jego domu. I kiedy wydawało się, że matkę pozbawiono wszystkiego, sędzia przedstawił ostatnią i najbardziej zaskakującą część swego postanowienia.

Matka została jedyną i wyłączną właścicielką Melrose Island.

Rok później poślubiła Reese'a Newbury'ego, a ceremonię zaszczycił gubernator Karoliny Południowej. W tym samym tygodniu jako pełnoprawna członkini pojawiła się na zebraniu Ligi Colleton.

Rankiem w dniu ślubu ojciec przekroczył trzymilowy pas przybrzeżny i skierował się na południe ku Florydzie, przez sześć miesięcy nie dawał ani znaku życia, aż wreszcie przysłał Luke'owi kartkę z Key West. Napisał, że złowił tonę krewetek i nareszcie znalazł sposób na zarobienie furi pieniędzy. Nie wspomniał nawet słowem o matce ani nie zapowiedział, kiedy można się go znowu spodziewać w domu. Był na zachód od Jamajki,

kiedy rząd federalny oznajmił wreszcie, jakie ma plany wobec hrabstwa Colleton.

Podczas konferencji prasowej, która odbyła się w siedzibie gubernatora w Columbii, a w której uczestniczyli też Reese Newbury i moja matka, przedstawiciel Komisji Energii Atomowej Stanów Zjednoczonych oznajmił, że firma V.G. Mewshaw Company z Baltimore w stanie Maryland zaprojektuje, zrealizuje i uruchomi wielką inwestycję na terenie hrabstwa Colleton w stanie Karolina Południowa. Inwestycja, na tyle wielka, by objąć teren całego hrabstwa, zwać się miała Program Colleton River, a jej celem była produkcja materiałów, które będzie można wykorzystać albo do broni nuklearnej, albo jako surowce nieodczowne dla elektrowni atomowych. Kongres Stanów Zjednoczonych przeznaczył 875 milionów dolarów na sfinansowanie pierwszego etapu inwestycji.

Rzecznik Komisji oznajmił, że lokalizację ustalono po wszechstronnym rozważeniu ponad trzystu miejsc na terenie całego kraju. Podkreślił też, że aby rozpocząć budowę zakładów, a także zapewnić odpowiednią strefę bezpieczeństwa, w ciągu najbliższego półtora roku trzeba będzie przesiedlić około trzech tysięcy czterystu rodzin. Federalne i stanowe instytucje planowania przestrzennego zapewnią tym rodzinom nieodzowną pomoc. Mówiąc wprost, chodzi o przeniesienie miasteczka Colleton - po raz pierwszy w dziejach Stanów Zjednoczonych rząd federalny miał ingerować w losy organicznie powstałej wspólnoty. Wybudowane zakłady podejmą produkcję w ciągu trzech lat, a miłe Colleton stanie się głównym w świecie wytwórcą plutonu i największym poza granicami ZSRR producentem bomb wodorowych.

- Nie zawaham się porzucić swego rodzinnego miasta, aby ocalić mój kraj przed rosyjskimi komunistami - oznajmił Reese Newbury przed kamerami telewizyjnymi.

Rząd zachwalał program jako największe, najbardziej kosztowne przedsięwzięcie federalne kiedykolwiek podjęte na południe od Linii Masona-Dixona. Za jego sprawą miliardy dolarów napłyną do nabrzeżnej Karoliny Południowej i powstanie moc nowych miejsc pracy od Charlestonu po Savannah. Wykorzystując swoje uprawnienia, rząd Stanów Zjednoczonych chciał przejąć wszystkie ziemie w granicach hrabstwa Colleton, które - jak podkreślono - było najbiedniejszą i najrzadziej zaludnioną częścią stanu. Działający z ramienia państwa agenci mieli wycenić wszystkie posiadłości i nabyć je zgodnie z ich ceną rynkową. Specjalny sąd apelacyjny miał rozstrzygać sporne przypadki. Rząd

zobowiązał się też do przeniesienia na własny koszt każdego budynku na odległość nie większą niż dwieście mil od Colleton.

Ponieważ uznano, że samo miasteczko ma swą historyczną wartość, więc zaczęto już przygotowywać pod jego replikę cztery tysiące akrów na południu hrabstwa Charleston. Miejscowość miała się nazywać Nowe Colleton, a obywatele „starego” mieli bez żadnych dodatkowych opłat zajmować działki odpowiedniej wielkości. Wszystkie czasopisma stanowe zaczęły mówić o Colleton w czasie przeszłym. W artykułach redakcyjnych wychwalano decyzję o zlokalizowaniu w Karolinie Południowej tak wielkiej inwestycji, sławiono też mieszkańców Colleton za ich poświęcenie dla sprawy obrony narodowej. Nie było w stanie polityka, który z entuzjazmem nie popierałby projektu. Nastął czas najbardziej wrzaskliwych komunałów i strojnych kłamstw. Burmistrz Colleton z zapałem opowiedział się za Programem Colleton River i podobnie uczyniła rada miejska, nie inaczej zachowały się wszystkie instytucje władzy lokalnej. Reese Newbury przekupił wszystkich zanim całe zamierzenie zostało ogłoszone, wiele osób od dawna już zajmowało się wykupem ziemi w granicach hrabstwa.

Na posiedzeniach rady miejskiej dochodziło do gwałtownych scysji między urzędnikami a mieszkańcami, ale wielka machina biurokratyczna została już wprawiona w ruch, a my w niczym nie mogliśmy chociażby spowolnić postępów molocha. Obywatele Colleton ślali listy protestacyjne do redakcji gazet i swych przedstawicieli we władzach stanowych i federalnych, ale każdy z nich tęsknie już spoglądał ku chwili, gdy na miejscu małego prowincjonalnego miasteczka zarozi się od specjalistów i naukowców. Ze swymi miejscami zamieszkania miało się pożegnać tylko osiemdziesiąt dwa tysiące mieszkańców, a rząd obiecywał, iż rzetelnie i hojnie pomoże im w przeprowadzce. Decyzja została podjęta bez żadnego głosowania, referendum czy chociażby zapytania o opinię samych mieszkańców. Pewnego dnia obudziliśmy się, aby się dowiedzieć, że nasze miasteczko miało zniknąć bez śladu. Nie było sposobu na zmianę decyzji i nikt nie mógł liczyć na wyrozumiałość, jeśli nie akceptował postanowienia rządu, iż Colleton należy poświęcić w najświętsze imię postępu”.

Zorganizowano tylko jedno zebranie, na którym władza poinformowała mieszkańców, jak zostanie zorganizowana diaspora. Był upalny sierpniowy dzień, na miejsce spotkania wybrano salę gimnastyczną liceum. Na ulicach cisnęły się tłumy, wywieszono głościki, aby słyszeć mogli także ci, którzy nie mieszczą się w budynku szkolnym. Przedstawiciel Komisji Energii Atomowej miał przedstawić informację, a potem odpowiedzieć na wszystkie pytania. Nazywał się Patrick Flaherty, był szczupłym i

przystojnym mężczyzną o nienaganych manierach. Robił wrażenie człowieka skrupulatnego i pewnego siebie. Mówił głosem bezbarwnym, bez akcentu, po którym można by było poznać jego pochodzenie. W sferze prawa był rzecznikiem rządu i nauki, dwojga obcych, którzy bez żadnych skrupołów coraz szerszymi potokami zalewali okolicę, a wszystkie ich slogany i bojowe wyrażenia miały tylko upiększyć fakt, że mordowali nasze miasto.

Patrick Flaherty był znakomitym wzorem nowoczesnego Amerykanina. Urzeczony wsłuchiwałem się w jego słowa, porażony nieomylną swobodą, z jaką władał każdą utartą frazą językową. Jego język był kapłanem banalności. Każde zdanie i każde słowo dawało wyraz poczuciu wyższości. Czysty, schludny, pozbawiony jakiegokolwiek współczucia, Patrick Flaherty stał przed nami jak uosobienie obrzydliwości tego zwyrodniałego stulecia. Zalał salę potopem danych statystycznych. Głos metaliczny, bezosobowy, wydawało się, że każde słowo niesie na sobie pieczętę nieuchronności. W milczeniu słuchaliśmy jego wyjaśnień, jak nasze miasto zostanie przeniesione, dom po domu, cegła po cegle.

Na zakończenie powiedział:

- Chcę podkreślić, że moim zdaniem mieszkańcy Colleton są największymi szczęściarzami w całych Stanach Zjednoczonych. Macie okazję dowieść przed całym światem swego patriotyzmu, a zrobicie to z pełną świadomością faktu, iż dzięki waszej ofierze Ameryka będzie bezpieczniejsza. Ameryka potrzebuje plutonu, potrzebuje nuklearnych łodzi podwodnych, potrzebuje raket MIR V - gdyż Ameryka kocha pokój. W waszych ustach słowo „pluton” przekształca się w słowo „POKÓJ”. Wiemy, że wielu z was będzie bardzo przykro opuszczać swe domy, i możecie mi wierzyć, że wszystkie osoby związane z programem głęboko wam współczują. Mnie dotyka to aż tutaj, do wnętrza serca. Aż tutaj. Zarazem jednak dobrze wiemy, że chociaż kochacie swoje Colleton, to jeszcze bardziej kochacie Amerykę. A teraz nadstawcie ucha. Jeśli zdaje się wam, że kochacie Colleton, to poczekajcie, aż zobaczycie, co dla was przygotowaliśmy w Nowym Colleton, Nowa remiza straży pożarnej, sąd, posterunek policji, szkoły, parki. Obiecujemy, że kiedy wszystko doprowadzimy do końca, Nowe Colleton będzie jednym z najpiękniejszych miejsc w całych Stanach Zjednoczonych. Jeśli całym sercem związani jesteście z domem swoich przodków, na koszt państwa przeniesiemy go w nowe miejsce. Zależy nam na tym, żebyście byli szczęśliwi, a to przede wszystkim z tej przyczyny, że kiedy Ameryka potrzebowała pomocnej dłoni, wy powstałście i powiedzieliście swoje, tak” dla zgłoszonego przez

Komisję Energii Atomowej programu „Atom w Imię Pokoju”. Proponuję, byśmy teraz wszyscy wstali i uczcili to wydarzenie zbiorową owacją.

Nikt się nie ruszył, w całej sali gimnastycznej słychać było tylko samotne oklaski Patricka Flaherty'ego. Niezrażony ciszą, zapytał, czy ktoś z mieszkańców Colleton chce coś powiedzieć do swych krajan.

Z krzesła obok mnie podniósł się Luke i ruszył przez salę, ściągając na siebie uwagę całego miasteczka. Było coś niepokojącego w tym jego przemarszu. W ruchach czuć było skupioną siłę, twarz miała wyraz intensywnego bólu. Stał przed mikrofonem, nie zwracając uwagi na polityków, nie zaszczyciwszy nawet spojrzeniem matki, która siedziała na specjalnym podium dla gości honorowych. Starannie rozpostarł na pulpicie trzy kartki żółtego papieru i zaczął mówić.

- Kiedy walczyłem w Azji, wyjechaliśmy na kilkudniową wycieczkę do Japonii. Odwiedziłem między innymi dwa miasta: Hiroszime i Nagasaki. Rozmawiałem z ludźmi, którzy widzieli, jak działa Atom w Imię Pokoju, a mieli tyle szczęścia, iż to przeżyli. Rozmawiałem z ludźmi, którzy byli w tych miastach, gdy w 1945 roku zrzucono na nie bomby atomowe. Jeden z nich pokazał mi zdjęcie ciała dziewczynki zżeranej przez wygłodniałego psa. Zobaczyłem kobietę ze straszliwymi bliznami. Odwiedziłem muzeum w Hiroszime i dostałem mdłości na myśl, że jestem Amerykaninem. Pluton nie ma nic wspólnego z pokojem. To pseudonim apokalipsy, bestii Syjonu. Z całym światem uczyni to, co teraz zamierza zrobić z Colleton. Tylko czekać, a małe śliczne miasteczko zamieni się w miejsca, gdzie przygotowuje się zgubę całego wszechświata. A tymczasem nie słyszałem ani jednej kobiety, ani jednego mężczyzny, którzy powiedzieliby: „Nie”. I nieustannie zadaję sobie pytanie: „Ile owieczek może zrodzić jedno miasteczko?” Pytam sam siebie: gdzie są lwy? Czy tylko posnęły?”

Kiedy rząd federalny ogłosił, że zamierza ukraść moje rodzinne miasto, zrobiłem to, co robi w takiej sytuacji każdy mieszkaniec Południa - porady i pocieszenia zacząłem szukać w Biblii. Szukałem w niej pouczenia, które pozwoliłoby mi przetrwać tę próbę. Zajrzałem do opowieści o Sodomie i Gomorze, aby się przekonać, czy jest jakieś podobieństwo między tymi dwoma nikczemnymi miastami a Colleton. I nie znalazłem żadnego. Colleton to miasteczko ogrodów, łódek i dzwonów na niedzielne nabożeństwo. Nie widzę tu niczego, co mógłbym nazwać złem. Jedyne jego grzech, jaki potrafię dostrzec, to fakt, iż zrodziło ludzi, którzy nie kochają go dość silnie, którzy gotowi są je sprzedać za trzydzieści srebrników. Wertowałem więc Biblię, aby znaleźć Boże słowa, które pomogą mi znieść gniew Filistynów. Jeśli bowiem nie spróbuję ocalić tego jedyne miasto na

świecie, które naprawdę kocham, to niechże Bóg zamieni mnie w słup soli za to, że nie obejrzałem się za siebie. Wolę być martwym słupem soli w Colleton niż gdziekolwiek indziej Judaszem Iszkariotą pokrytym złotem i krwią swego miasta.

Podczas gdy Luke mówił, czuło się, jak ożywa zastygłe w letargu sumienie miasta. W tłumie zaczął nabrzmiwać pomruk sprzeciwu. Głos mojego brata wyzwolił odruch poparcia w duszy każdej kobiety, mężczyzny i dziecka, którzy darzyli miłością swój dom. Spokojny, równy ton stanowił jakby wyzwanie wobec bezsily, która opadła na miasto niczym pył zobojetnienia. Kiedy padło imię Judasza, można było poczuć, jak w płomieniu niezgody hartuje się siła buntu.

- I nie potrafiłem znaleźć tego, czego szukałem, aż zająrzałem na początek, wtedy bowiem posłyszałem Boga, którego zrozumiałem i któremu będę posłuszny. Wielu z was wierzy w dosłowną interpretację Biblii, także i ja w nią wierzę, wszyscy jednak wiemy, że na dwa sposoby Pan przemawia do nas i trzeba je odróżniać. Są w Biblii księgi objawienia i są księgi prorocze. Księgi objawienia to te, które opowiadają nam o wydarzeniach historycznych, takich jak narodziny Jezusa, jego ukrzyżowanie i śmierć. Sama księga Objawienia ma charakter proroczy, gdyż ewangelista przepowiada Sąd Ostateczny oraz nadejście Czterech Jeźdźców Apokalipsy. Żadna z tych rzeczy jeszcze nie nastąpiła, wiemy jednak, że nastąpią, gdyż zapisane zostały w imię Pana.

I kiedy czytałem opowieść o Stworzeniu, otworzyła się przede mną wizja. Księga Rodzaju jest prorocza, a nie objawiona. Sądzę, iż mówi o tym, co nastąpi w przyszłości, a nie o tym, co się wydarzyło. Czy tym, którzy wzrastali nad rzeką Colleton i poznali piękno pór roku mokradeł, czy wszystkim nam tak trudno sobie wyobrazić, że ciągle żyjemy w raju i dopiero teraz mamy zostać wygnani z jego ogrodów? Że Adam i Ewa dopiero mają się narodzić, że my wszyscy żyjemy w raju, nic o tym nie wiedząc?

Dobrze wiecie, że Jezus lubi mówić w Biblii w języku przypowieści. Możliwe, że także księga Genesis jest jeszcze jedną przypowieścią. Może przedstawiając nam tę opowieść, Bóg chciał nas przestrzec przed zagrożeniami, jakie niesie świat? A jeśli chociaż na chwilę zechcecie wraz ze mną założyć, że jest to przypowieść, to rozważcie coś takiego: może to, co chciał nam przekazać w obrazie Ewy, która sięga po zakazany owoc, traci raj i wieczyste szczęście, pojawia się dziś przed nami w Colleton? Czym jest to, co chce zburzyć nasze szczęście? Czym jest to, co gna nas z



raju na poniewierkę? Cóż takiego chce nam zabrać wszystko, co znaleźliśmy, ukochaliśmy i za co dziękowaliśmy Bogu każdego dnia?

Przestudiowałem Genesis, przyjaciele i sąsiedzi, i chyba znalazłem odpowiedź. Ta księga jest przypowieścią, a Bóg ponad wiekami chce za jej pośrednictwem przestrzec ludzi z Colleton i całego świata przed tym, co może zniszczyć raj dla nas wszystkich. To nie po jabłko sięgnęła Ewa. - Luke zawiesił głos. - Sięgnęła po pluton.

Za moimi plecami Lucy Emerson, kasjerka z banku, zerwała się na równe nogi i zawołała:

- Amen, bracie!

I wszyscy zebrani zakrzyknęli z aprobatą.

Patrick Flaherty podskoczył do podium i usiłował wyrwać mikrofon Luke'owi, ale z głośników popłynęły słowa mojego brata:

- Siadaj, eksperciku. Jeszcze nie skończyłem.

Tłum był teraz niespokojny, wzburzony usłyszczanymi słowami.

- Myślę - ciągnął Luke - że mamy w Colleton wszystko, czego tylko można zapragnąć. Moim zdaniem to miejsce, o które warto walczyć, a nawet za które warto zginąć. Jestem zdumiony, że daliśmy się otoczyć przez obcych, którzy obiecują zniszczyć nasze miasto, usunąć nasze domy, wydobyć z ziemi kości naszych zmarłych. Zylem w przekonaniu, że my, ludzie Południa, tak głęboko kochamy swoją ziemię, że właśnie to różni nas od reszty Amerykanów. Ale potem przypomniałem sobie, że to przecież właśnie ludzie Południa, mieszkańcy Colleton, sprowadzili tu obcych i sprzedali im nadrzeczne miasteczko za garść monet.

Spojrzał w kierunku matki, zaproszonych gości i polityków, by następnie machnąć na nich zniechęconym gestem.

- To nowi mieszkańcy Południa, którzy serca i dusze mają na sprzedaż i dlatego nietrudno ich kupić. Oni bez trudu przeniosą się do Nowego Colleton, a jak im dobrze zapłacić, pójdą wprost do piekła. Nie ma pośród nich moich braci i sióstr. Nie należą do tego Południa, które kocham.

Mam pewną propozycję. Jest ona dyktowana przez rozpacz, gdyż oto na mojej wyspie zaczyna się już ścinać drzewa. Przypomnijmy sobie, kim jesteśmy: potomkami tych, którzy niegdyś zatrzęśli światem, gdyż nie chcieli podporządkować się prawom narzuconym przez rząd federalny. Nasi pradiadawie ginęli pod Buli Run, Antietam i Chancellorsville. Walczyli o złą sprawę i ja nie chcę, by ktokolwiek był moim niewolnikiem. Nie chcę jednak również być czyimkolwiek niewolnikiem i nikomu nie pozwolę przegnać się z ziemi, na której Bóg dał mi się urodzić. Powiadają, że jeśli Luke Wingo w ciągu roku nie zbierze się i nie wyniesie z hrabstwa



Colleton, zostanie podany do sądu. - Raz jeszcze zawiesił głos i powiedział mocnym, zimnym tonem: - Oświadczam więc: Luke Wingo się stąd nie ruszy. I przyrzekam, że będą musieli pofatygować się i usunąć mnie stąd siłą, a to nie przyjdzie im tak łatwo.

Rozmawiałem z wieloma spośród was i wiem, że nie podoba wam się to, co się tutaj dzieje. Mamią was jednak słowami i przekonują, że to wasz patriotyczny obowiązek uciekać niczym zбитy pies przez most i iść w obce strony. Wiedzą, że jesteście południowcami i mają was za głupców, a nie pomyślały, jeśli odejdziecie bez walki. Mówią, że te bomby, łodzie podwodne i pociski posłużą do zabicia Rosjan. Nie ma tu na sali ani jednej osoby, która by widziała choć raz w życiu Rosjanina. Jak byście zareagowali, gdyby cholerni Rosjanie zjawili się u was w domu i powiedzieli: „Chcemy wszystkich was przegnać stąd o czterdzieści mil, a potem zburzyć wasze szkoły i kościoły oraz rozkopać groby”. Całe hrabstwo pokryłoby się wtedy trupami Rosjan i każdy wie to dobrze w głębi serca. Zamiast do Nowego Colleton mogą mnie równie dobrze posłać do Rosji. Dla mnie nie ma żadnego Nowego Colleton.

- Powiedz nam, co robić, Luke - zawołał ktoś.

- Powiedz, Luke - przyłączyli się inni.

- Nie wiem - przyznał - ale chodzi mi po głowie kilka pomysłów. Trudno powiedzieć, czy cokolwiek one zmieniają, ale można przynajmniej spróbować. Wystąpmy jutro z petycją odwołującą wszystkich naszych przedstawicieli pochodzących z wyborów. Wypieprzmy tych sukinsynów ze stołków. Potem prawnie zakazmy wszelkich nowych inwestycji federalnych na terenie hrabstwa. Oni oczywiście powołają się na swoje prawa i runie na nas cała machina federalna i stanowa.

Jeśli będą usiłowali nas zmusić, to wtedy proponuję, aby Colleton ogłosiło akt secesji od stanu Karolina Południowa, a w świetle historii żaden stan nie powinien lepiej rozumieć chęci secesji niż Karolina Południowa. Weźmy swój los we własne ręce i ogłośmy, że hrabstwo Colleton po wsze czasy nie chce mieć nic wspólnego z produkcją plutonu. Jeśli pojawi się taka potrzeba, ogłośmy Colleton niezależnym stanem. Dajmy rządowi federalnemu trzydzieści dni, w trakcie których ma się wycofać ze wszystkich działań mających na celu realizację Programu Colleton River oraz przesiedlanie ludzi. Powtórzmy głośno słowa Thomasa Jeffersona zawarte w Deklaracji Niepodległości. Zawołajmy je, kiedy staną pod naszymi drzwiami: „Ilekcroć jakikolwiek rząd staje się zagrożeniem dla tych celów - życia, wolności, dążenia do szczęścia - tylekcroć lud ma prawo go obalić i ustanowić nowy rząd”. Jeśli nie będą chcieli uszanować naszej woli,

wtedy trzeba będzie ogłosić stan wojny. Łatwo będzie nas pokonać, ale przynajmniej będziemy mogli porzucić swe domy z poczuciem honoru. Za sto lat w pieśniach będą opiewać naszą odwagę, gdyż nauczymy przeciwników siły niezgody.

Jeśli agenci rządu federalnego nadal będą was nachodzić w waszych domach i zmuszać do wyniesienia się z innymi z Colleton, to zwracam się do was, mych przyjaciół i sąsiadów, ze słowami: Walczcie! Nie poddawajcie się!

Czytałem gdzieś, że wraz z nastaniem w Anglii prawa zwyczajowego nawet królowi nie wolno było przekroczyć progu najuboższego wieśniaka, jeśli ten się na to nie zgodził. I mówię: Nie wpuszczajcie króla za próg. Nikt po prostu nie zapraszał sukinsyna.

Szeryf Lucas zaszedł Luke'a od tyłu i założył mu kajdanki na przeguby. Mając do pomocy dwóch swoich zastępców, brutalnie pociągnął go do drzwi, wszyscy zgromadzeni zaszumieli, a chociaż czuć było oburzenie i protest, nikt jednak nie zareagował czynnie.

Luke'a aresztowano pod zarzutem wzywania, do oporu wobec władz federalnych i stanowych, wzięto mu odciski palców i zamknięto w celi. Oskarżono go też o działania zagrażające integralności stanu Karolina Południowa. Luke oznajmił, że nie uznaje już władz stanowych ani federalnych i uważa się za jeńca w wojnie pomiędzy Colleton a Stanami Zjednoczonymi. Podał swoje nazwisko, stopień i numer książeczki wojskowej, potem jednak, powołując się na przepisy Konwencji Genewskiej, odmówił odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania.

Następnego dnia w „Charleston News and Courier” ukazał się ironiczny artykuł informujący, że szeryf Colleton musiał przerwać pierwsze w Karolinie Południowej od stu lat zebranie secesjonistów. W sklepach na Street of Tides nie wykładano do podpisu petycji odwołujących przedstawicieli, nikt nie nałożył zielonej opaski, aby protestować w ten sposób przeciw Programowi Colleton River.

Tylko jeden człowiek wziął sobie do serca słowa wypowiedziane w sali gimnastycznej, ten jednak siedział w celi, której okna wychodziły na rzekę.

Luke wyruszył na wojnę.

Z pewnym ociąganiem towarzyszyłem matce, kiedy następnego wieczoru poszła odwiedzić Luke'a w więzieniu. Wzięła mnie pod rękę i poszliśmy przez miasto rozświetlone lampami palącymi się w jadalniach. Siedziby, które ongiś wydawały mi się niezniszczalne, teraz robiły wrażenie tak niepewnych i kruchych jak listy miłosne pisane na śniegu. Pod latarnią stał buldożer, a jego przysadzista, milcząca sylwetka podkreślała nieubłagany

charakter fatum, które zawisło nad Colleton. Pojazd wydawał się na poły owadem, a na poły samurajem, a posoka pyłu mego miasta zakrzepła w bieżnikach jego opon. Szliśmy z matką w milczeniu, a ja czułem, jak miękka materia rodziny rozszczepia się pod moimi palcami. Ulice były mokre po deszczu, z mijanych ogrodów napływał zapach długich pasm wisterii i regularnych medalionów róż, a ja myślałem, co teraz stanie się z tymi ogrodami. Miałem bolesne uczucie nieuchronnej zguby. Cierpiałem z tego powodu, że nie mogłem powiedzieć matce ani jednego miłego słowa. Gdyby było we mnie dostatecznie wiele z mężczyzny, wziąłbym ją w ramiona i rzekł, że rozumiem ją doskonale. Kiedy jednak ma się do czynienia z Tomem Wingo, można być przekonanym, że znajdzie on już sposób na skompromitowanie wszystkich cnót, jakimi powinien odznaczać się mężczyzna. Pod tym względem podobny byłem do świetnej artylerii hrabstwa, które poddało się bez jednego wystrzału.

Zanim przekroczyliśmy więzienną bramę, matka uścisnęła mi ramię i powiedziała:

- Proszę, pomóż mi przynajmniej w tym, Tom. Wiem, że jesteś na mnie wściekły, ale strasznie niepokoję się o to, co Luke może jeszcze zrobić. Znam go lepiej niż ktokolwiek inny na świecie. Przez całe życie szukał takiej sprawy, za którą mógłby polec, a obawiam się, iż jest przekonany, że nareszcie ją znalazł. Jeśli go nie powstrzymamy, stracimy go na zawsze.

Pomieszczenie podzielone było na osiem cel, Luke spoglądał przez okno, kiedy szeryf pozwolił nam porozmawiać z nim przez drzwi. Światło księżycy wplatało się w jego włosy, a cienie prętów kraty podkreślały zarys jego głowy. Pomyślałem, że już nigdy nie zobaczę równie pięknego męskiego ciała: mięśnie długie, wyraźne, warstwami nakładające się na rusztowania kości. Spowijała go aura zimnej stanowczości i siły. Jego gniew natychmiast się wyczuwało lub odczytywało z graffiti napiętych pleców. Nie odwrócił się, żeby nas przywitać.

- Cześć, Luke - powiedziała matka.

- Cześć, mamó - odrzekł, zapatrzony w roziskrzoną rzekę.

- Na pewno strasznie jesteś na mnie wściekły - zagaiła, starając się nadać głosowi żartobliwy odcień.

- Zgadłaś. Od jak dawna o tym wiedziałaś? Kiedy Newbury dopuścił cię do tej tajemnicy? Kiedy wpadłaś na pomysł, żeby ukraść jedyną rzecz, którą ojciec naprawdę posiadał? - Miałam prawo do tej wyspy - oburzyła się, - Okupiłam ją swoją krwią.

- Lepiej powiedz: ukradłam ją z zimną krwią. Nie oczekuj więc od dzieci, że będą cię za to wielbić.

- Nic już na to nie można poradzić - oznajmiła matka. - Nie ma wyspy. Nie ma Colleton. Trzeba wszystko zacząć od nowa.

- A jak chcesz zaczynać od nowa, mammo? - spytał. - Jak chcesz zaczynać od nowa, kiedy nie możesz spojrzeć wstecz? Co dzieje się z człowiekiem, który nie może spojrzeć przez ramię, żeby przypomnieć sobie, skąd przyszedł, kim jest, a jeśli nawet zerknie za siebie, to zobaczy napis: „Wynocha!”

- Sam napisałeś tę mowę? - zainteresowała się matka. - Tę, którą wygłosiłeś wczoraj?

- Sam. Nikt nie myśli tak jak ja.

- Całe szczęście, że inni mają więcej rozumu. Ale kto ci pomoże? Mnie możesz powiedzieć.

- Mammo, przez całe życie uważałaś mnie za głupka i właściwie przekonałaś mnie o tym. Zawsze czułem się durniem w szkole i wtedy, kiedy koło mnie byli Savannah i Tom. A ja tylko widzę rzeczy inaczej niż większość ludzi, mam inne spojrzenie. Ludzie najczęściej znają się na setkach rzeczy, ja znam się na czterech czy pięciu. W jednym masz rację. To nie ja wpadłem na to, że Genesis to księga prorocza. Słyszałem, jak Amos wygłosił takie kazanie w swoim kościółku. Bardzo mi się ono podobało.

- Chcesz mi wmówić, że Amos uważał pluton za zakazany owoc? - spytała kwaśno matka.

- Nie, tę część zmieniłem - przyznał Luke. - Amos za owoc zakazany uważał klimatyzację, co nie pasowało do tego, co chciałem powiedzieć.

- Rząd najlepiej wyznaje się na tych sprawach - powiedziała łagodnie matka. - Potrzebny mu jest ten teren dla potrzeb obrony kraju.

- A od kiedy to rząd najlepiej wyznaje się na różnych sprawach? - sprzeciwił się Luke głosem pełnym znużenia i rozgoryczenia. - W czym to jest takim świetnym specjalistą? To samo mi powiedziałaś, kiedy wysyłali mnie do Wietnamu. Te same cholerne słowa. Więc przemierzałem daleki kraj wzdłuż i wszerz, żeby zabijać wieśniaków, tak biednych, mammo, że sama zapłakałabyś nad nimi. Zabijałem ich woły, żony, dzieci - wszystko, co się ruszało. Zabiłem też paru żołnierzy, to prawda, ale nie było ich wielu. A robiłem to, bo mój rząd wie najlepiej. Więc teraz stoję przed tobą, mammo, i mówię, że rząd gównu zna się na czymkolwiek. Władza jest zawsze podła, obojętna, taka czy owaka. Sam do tego doszedłem. Jeśli rząd daje coś biedakom, to tylko dlatego, że boi się, aby nie powstał i nie poderżnął im gardel. I cała ta gadanina o Rosji. Wiesz, co myślę o Rosji? Że gówno mnie ona obchodzi. Gówno mnie też obchodzi Ameryka. Gówno mnie obchodzi

ten rząd w Wietnamie, którego pomagałem bronić. Gównu mnie obchodzi Północny Wietnam. Wiesz, dlaczego walczyłem w Wietnamie, mamó? Bo gdybym nie walczył, to załadowałyby mnie do pudła. Piękny wybór, co nie? Także tylko z tego powodu płacę podatki. Jak nie będę płacił, to mnie załadują do pudła. A teraz, kiedy chcę zostać na miejscu, gdzie się urodziłem, mój kochany rząd grozi, że zapakuje mnie do pierdła, a kiedy wczoraj powołałem się na Deklarację Niepodległości, to natychmiast znalazłem się za kratkami.

- Nie możesz walczyć z prawem, synu - oznajmiła matka.

- A kto mówi, że nie mogę? Walczyłem z Wietkongiem, dlaczego więc nie mogę walczyć z prawem, powiedz mi?

- Luke, tobie się wydaje, że możesz sprawić, aby świat pasował do twoich wyobrażeń - powiedziała matka, opierając głowę o kratę w drzwiach.

- Jesteś taki zawzięty, uparty i...

- Głupi, mamó? - spytał i po raz pierwszy odwrócił się do nas. - Wiem, że to właśnie chciałaś powiedzieć.

- Nie, wcale nie tego słowa szukałam. Chodziło mi o czystość. Ale czystość to nie to samo, co wolność. Każę ci kochać beznadziejne sprawy.

- Nie wiem, czy ta sprawa jest beznadziejna - powiedział. - Wiem tyle, że ja mówię: „Nie”. I mam do tego prawo, do cholery, jest pełnoprawnym Amerykaninem, Poszedłem na wojnę i dlatego mam prawo powiedzieć „nie”. Wywalczyłem je sobie. Mój kraj toczył gównianą wojnę w gównianym kraju, a ja powiedziałem wtedy „tak”. Oznajmili nam jednak, że toczymy tę wojnę, aby bronić prawa ludzi do tego, by sami wybierali, jak chcą żyć. Powtarzali nam to na okrągło. Kłamali, oczywiście, ja jednak chciałem w to wierzyć. Kiedy ryzykowałem swoje życie na wojnie, nigdy bym nie przypuścił, że mój własny rząd zechce mi odebrać mój kraj. Gdybym o tym wiedział, walczyłbym po stronie Wietkongu. Savannah i Tom tamtej wojnie powiedzieli „nie”. Mogli to zrobić, gdyż ja walczyłem. W jeszcze jednym masz rację, mamó. Głupiec ze mnie. Wierzyłem we wszystko, co mi mówiono o Ameryce. Nikt nie kocha tego kraju bardziej ode mnie, chociaż nie chodzi o cały kontynent. Gównu mnie obchodzi Idaho czy Dakota Południowa. Nigdy tam nie byłem. Moim domem jest moje hrabstwo. To je widzę tam za oknem. Raptem czterdzieści mil kwadratowych z wielkiej planety. Aleje właśnie kocham i za nie walczyłem.

- Będziesz je jednak musiał opuścić, Luke - powiedziała ze smutkiem w głosie matka. - Słyszałeś może o tym biednym Eustisie? Nie wpuścił przedstawicieli rządu federalnego na teren swojej farmy nad Kiawah River. Wydał się, że bardzo wziął sobie do serca twoje wczorajsze słowa. Tego

samego spróbował stary Jones i teraz już mieszka w baraku. Obaj otrzymali nakazy aresztowania, - Mamo, jak wyjdę stąd, nie zamierzam krokiem ruszyć się z mojego domu - z dziką pasją oświadczył Luke.

- Luke, gadasz, żeby gadać - ofuknęła go. - Jeśli będziesz usiłował pozostać na wyspie, przyjdą po ciebie i zabiorą cię siłą, tak samo jak zrobią z Eustisem i Jonesem.

- Tyle, że ja to nie Eustis ani Jones.

- Próbowałam cię wychować na praworządnego obywatela.

- Tylko nie ma już miejsca, gdzie mnie wychowywałaś. Twój mąż i ta zgraja polityków uknuli spisek, żeby mnie pozbawić mojego domu.

- Reese nie knuł żadnego spisku i zabraniam ci tak mówić o moim mężu.

- Mamo, od lat skupuje ziemię - mówił Luke - i zmusza biednych farmerów, żeby się wynieśli z hrabstwa. Od dawna musiał wiedzieć o całej sprawie. Liczba mieszkańców hrabstwa spada od dziesięciu lat, gdyż on zmusza ludzi do wyjazdu. Poślubił cię, gdyż w inny sposób nie dostałby wielkiej parceli, na której sprzedaż ojciec by się nie zgodził.

Matka przełożyła rękę przez kratę i mocno uderzyła Luke'a w twarz.

- Poślubił mnie, gdyż czi ziemię, po której stąpam - rzuciła z wściekłością. - Moje dzieci nawet jednak nie zauważyły, że jestem warta tej czi.

- Jesteś, mamó - powiedział Luke. - Zawsze byłem o tym przekonany. Zawsze byłem zdania, że jesteś wspaniała, i bardzo mnie bolało, że ty i tata jesteście ze sobą tacy nieszczęśliwi. Bardzo mnie to cieszy, że teraz jesteś szczęśliwa, i rozumiem, że postąpiłaś tak, jak musiałaś postąpić, ale chcę, żebyś ty także zrozumiała, że i ja muszę postępować po swojemu. Przemyślałem wszystko bardzo dokładnie. Od chwili, kiedy ogłoszono plan, niczym innym się nie zajmowałem.

- Luke, jak ci się wydaje, co możesz zrobić? - spytała matka.

- Mogę ich powstrzymać.

- Masz świra, Luke - odezwał się po raz pierwszy od chwili, kiedy go zobaczyliśmy. - Zawarłem porozumienie z szeryfem. Wypuści cię, jeśli zgodzisz się iść do stanowego szpitala psychiatrycznego na dwutygodniową obserwację. Powinieneś tak zrobić.

- Dlaczego, Tom? - spytał.

- Ponieważ wygadujesz wariactwa, Luke. Nic nie możesz poradzić na to, co się stało. To fakt dokonany, wszystko skończone i trzeba zacząć myśleć o ułożeniu sobie życia na nowo.

- Wszyscy mi powtarzają, że nic nie poradzę - zachnął się Luke. - Okazuje się, że ludzie jak szczeniaki lubią się wylegiwać z łapkami do góry.

- Więc co zamierzasz zrobić? - spytałem.
  - Wystąpić z małym protestem - odrzekł, a jego włosy wydawały się jedwabiste w świetle księżyca.
  - Nic dobrego z tego nie będzie - powtórzyłem.
  - To prawda, Tom - potwierdził z uśmiechem. - No i co z tego?
  - Więc po co to robisz?
  - Abym mógł żyć po swojemu. Dlaczego się do mnie nie przyłączysz, Tom? We dwóch moglibyśmy sprawić, że trochę by się nabiegali za swoimi pieniędzmi. Nikt lepiej od nas nie zna tych lasów i strumieni. Przy nas Wietkongi wyglądałyby jak skauci.
  - Mam rodzinę - rzuciłem z gniewem, - To jakoś nie dotarło do ciebie? Moja sytuacja jest inna niż twoja.
  - Masz rację - przyznał. - Twoja sytuacja jest inna.
  - Nie podoba mi się ton, jakim to mówisz.
  - To nic nie zmienia. Wiesz, Tom, wydaje mi się, że z nas wszystkich ty się najlepiej zapowiadałeś, ale gdzieś po drodze wielkie obietnice zamieniły się w małe. A teraz masz spore szansę, żeby stać się nikim - Kiedy przepuścisz wszystkie swoje siły, co jeszcze ma zostać, jak masz powiedzieć: „Tak”?
  - Więc mówię ci oto: „Nie!” - krzyknąłem.
  - Nie, braciszku - odparł. - Mówisz: „Tak”, ale im.
  - Nie możesz stawiać oporu rządowi, Luke - włączyła się matka..
- Luke zatrzymał na niej smutne, wyraziste spojrzenie, podobne do wzroku potulnej pantery.
- Wiem, mamu. Ale będę chyba jego godnym przeciwnikiem.



## ROZDZIAŁ 27

I Luke Wingo stał się godnym przeciwnikiem.

Mówię teraz nie jak świadek, lecz jak ktoś, kto składa różne wątki i, fragmenty. Przez rok, który wystarczył na rozbitcie mej rodziny i miasta, uważnie wsłuchiwałem się we wszystkie plotki i insynuacje. Po dziś dzień zachowałem inwentarz katastrofy. Urocze było to miasteczko nad krętą rzeką, które postanowiono unicestwić w ciągu roku. Jakże piękniało Colleton tej swojej ostatniej jesieni, sypiąc azaliami niczym dziewczyna, która rzuca ryż na małżeństwo, przed którym nie ma przyszłości. W olśniewającej plenności otuliło się welonem ogródków i boleśnie przykryło się baldachimem obiecujących zapachów. Czaple trwały na bagnistych trawach, sztywne, ale czujne. Rodzina wydr hasała wokół wraku nieopodal mostu, a na wszystkich martwych drzewach wzdłuż - rzeki gęsto było od trznadli. Rybołowy niosły trzepoczące się pstrągi do małych czekających w podobnych do chat gniazdach na słupach telefonicznych. Morświny tańczyły w kanałach, krewetki wpływały w strumienie, aby złożyć ikrę.

Nie czekały na nie jednak żadne kutry ani też żadna sieć nie stanęła na przeszkodzie, kiedy przelewały się miliardami w kierunku trzęsawisk. Ze względów bezpieczeństwa wody Colleton zostały zamknięte dla poławiaczy ryb i krewetek. Tej wiosny miasteczko zaczęło się przemieszczać.

Przeglądałem się, jak znikają wielkie posiadłości rozłożone dotąd wzdłuż Street of Tides. Setki robotników z lewarami, kołowrotami i wielkimi arkuszami planów odłączały budynki od fundamentów, by potem, wykorzystując własny spryt i tajemnice fizyki, przenosić je na wielkie barki czekające na rzece. Unieruchomione grubymi stalowymi linami domy rozpoczynały podróż w górę rzeki w kierunku Charlestona. Zobaczyłem domek matki, który sunął na przekór odpływowi podobny do weselnego tortu dobrego władcy. Wraz z Reese'em Newburym stali na werandzie i machali ludziom przyglądającym się z brzegu. Wzniesli toast za miasto szampanem nalanym do kryształowych kieliszków, które potem cisnęli w wodę. Most podniósł się, matka wraz z nowym domem i nowym mężem przepłynęli między uniesionymi skrzydłami, a jak okiem sięgnąć rzeka cudownie pokryła się wędrownymi siedzibami. Jeszcze przez następne kilka tygodni, ilekroć spojrzano się w kierunku rzeki, zawsze w jakimś miejscu jej biegu widać było domostwo dumnie sunące nad mokradłami, aby bezpowrotnie zostawić za sobą przeszłość.

Także na autostradach zatłoczyło się od wielkich ciężarówek, które wiozły domy do różnych miejsc przeznaczenia na terenie Karoliny

Południowej. Pewnego dnia minął mnie budynek, w którym dopiero po chwili rozpoznałem domostwo mojej babki. Kilka minut później niczym dziwaczne pociski rakietowe przesunęły się obok mnie wieżyczki kościoła baptystów. Robiłem zdjęcia swoją minoltą i wysyłałem je Savannah, która napisała potem długi poemat o rozebraniu miasta. Okiem obiektywu podglądałem, jak w całości został przeniesiony kościół episkopalny, w świetle zmierzchu przesunął się z taką gracją, jak gdyby płynął w powietrzu. Sfotografowałem spoconych robotników, którzy wykopywali trumny, a potem resztki zmarłych przenosili w plastikowych torbach na nowe, pozbawione trawy cmentarze wzdłuż stanowej autostrady z Charlestona do Columbii. Jeśli jakiegoś budynku nie można było przenieść ani sprzedać, rozbierano go na fragmenty, które sprzedawano jako surowiec budowlany. Licencjonowani rakarze polowali na bezdomne psy. Wałęsające się koty chwytało i topiono. Dziko i bezużytecznie pieniły się pomidory. Obok porzuconych domków gniły arbuzy i melony. Dynamit rozsadził budynek szkoły i sądu. Z ziemią zrównane zostały wszystkie sklepy wzdłuż Street of Tides. Pierwszego września Colleton było tak wymarłe jak Pompeje czy Herkulanum.

Za przejęte ziemie rząd zapłacił w sumie 98967000 dolarów, z czego matka otrzymała za Melrose Island 2225500 dolarów.

Dbając o uczucia rozbitej rodziny, matka wypisała cztery czeki na sto tysięcy dolarów każdy. Savannah i ja przyjęliśmy je z wdzięcznością. Savannah nie była już skazana na odgrywanie upokarzającej roli artystki bez centa przy duszy. My z Sallie mogliśmy spłacić długi zaciągnięte w związku z jej studiami, a także wybudować dom na Sullivans Island. Ojciec nie dawał znaku życia od czasu ślubu matki z Reese'em Newburym, sumę tę więc umieściła na rachunku bankowym, aby czekała do chwili, gdy ojciec wreszcie się pojawi.

Luke rzucił czek w ogień na oczach matki, a kiedy ona zanosila się płaczem, przypomniał jej, że nazywa się Luke Wingo, pochodzi z Colleton, a został wychowany w przekonaniu, że chłopaka znad rzeki nie można kupić za żadne pieniądze.

W czerwcu kierownik programu wysłał na Melrose Island ekipę, aby rozebrała dom, w którym spędziłem dzieciństwo. Zadanie miało wykonać dwunastu mężczyzn, którym dano do pomocy trzy ciężarówki i dwa buldożery. Kiedy jeden z robotników wepchnął łom między drzwi i framugę, z lasu padł wystrzał, który odłupał drewno o dwa cale od jego głowy. Następne trzy strzały przedziurawiły oponę w każdej z ciężarówek, a mężczyźni rzucili się do ucieczki.

Luke wyszedł spomiędzy drzew i przy użyciu schowanego w stodole koktajlu Mołotowa wysadził w powietrze ciężarówki i buldozery, które miały zniszczyć jego dom.

Walka rozpoczęła się na serio.

Następnego dnia ekipa rozbiórkowa powróciła, tym razem jednak w towarzystwie batalionu Gwardii Narodowej, który najpierw przeczesał las wokół domu, zanim dał znać robotnikom, że mogą przystąpić do dzieła. Z drzewa po drugiej stronie rzeki Luke patrzył, jak kawałek po kawałku ulega zniszczeniu jego rodzinny dom, przy czym - jak mi później opowiadał - miał wrażenie, iż przygląda się wymordowaniu rodziny.

Miasto moje z rozmysłem zatem przemieniono w ruinę, w przeciwieństwie jednak do dawnych cywilizacji po Colleton nie pozostało żadnych zagrzebanych w ziemi świadectw życia. Z gleby wydarto nawet wspomnienie miasta. Teren po Colleton zaorano, a potem pod egidą Ministerstwa Gospodarki Ziemią Stanów Zjednoczonych posiano tutaj pinie. Każdego dnia sześć tysięcy pracowników, mających specjalne oznaczenia na samochodach osobowych i ciężarowych, przekraczało mosty prowadzące na place budów. Pierwszego października granice hrabstwa Colleton zostały zamknięte dla wszystkich, którzy nie byli pracownikami Komisji Energii Atomowej, a Rada Lotnictwa Cywilnego zakazała samolotom przelotu nad wydzielonym terenem. Na czterech wielkich budowach w różnych częściach kraju wrzała praca.

Gubernator Karoliny Południowej obwieścił, że ostatecznie wszyscy mieszkańcy Colleton zostali przeniesieni do miast i miejscowości na terenie całego stanu, a Program Colleton River ruszy za trzy lata.

Dawni mieszkańcy Colleton potulni jak owieczki zostali ciśnięci w nowe otoczenie i nawet żadne echo przeszłości nie podtrzymywało ich tożsamości. Stąpaliśmy po ziemi Karoliny, ale w godzinie niebezpieczeństwa czy szaleństwa nie mogła nas wspomóc mądrość naszych przodków czy ich skumulowane cierpienia. Dryfowaliśmy na bezimiennych obrzeżach miast. Byliśmy podobni do plemienia nie pokonanego, lecz niemal wygubionego, któremu pozostały już tylko czarne opaski żałobne. Pojedynczo i grupami porzucaliśmy ów archipelag zielonych wysepek, któremu oszczędzone zostały największe zwyrodnienia naszych czasów. Jako miasto popełniliśmy ten błąd, że nie walczyliśmy o rzeczy wielkie, a nie ma w Ameryce bardziej karygodnego przestępstwa. - W milczeniu robiliśmy to, czego od nas wymagano. Złamała nas hojność, a złamani - zostaliśmy rozesłani między obcych, aby odtąd żyć pośród nich. Popęliśmy przez mosty na kolanach, szlochając z wdzięcznością na widok

każdej łaskawej rekompensaty, którą ciśnięto w piach, abyśmy ją z niego wylizali. Byliśmy Amerykanami, byliśmy południowcami, ale ponad wszystko byliśmy patetycznie, nieodwracalnie głupi i pokorni. Ubodzy duchem być może posiadają ziemię, ale z pewnością nie hrabstwo Colleton.

Tylko jeden z nas zdecydował się wystąpić z małym protestem, Luke sprzedał łódkę rybakowi z Saint Augustine i za uzyskane pieniądze zaczął przygotowywać bazę do operacji mających na celu spowolnienie prac budowlanych. Planował małe akcje sabotażowe, które miały napsuć krwi Mewshaw Gompany i jej pracownikom, ale po pierwszych sukcesach zaczął: snuć śmielsze wizje. Podejmował coraz bardziej zawadiackie działania przeciw Programowi. Im bardziej chwacko sobie poczynał, tym większe odnosił zwycięstwa.

Szef Służby bezpieczeństwa czuwający nad całością przedsięwzięcia już w pierwszym miesiącu prac stwierdził, że z głównego placu budowy na zachodnim skraju hrabstwa zginęły cztery tony dynamitu, który, jak się okazało, zniknął powoli, porcjami. Na głównym parkingu przebito opony w sześćdziesięciu samochodach osobowych, którymi dojeżdżali pracownicy. Jednej nocy stanęło w płomieniach dziesięć buldożerów. Barak głównego inżyniera „wyleciał w powietrze. Cztery psy patrolowe zostały zastrzelone podczas obchodu terenów budowlanych.

W lesie znajdował się ktoś uzbrojony i groźny, dlatego teraz każdego ranka robotnicy z niepokojem przekraczali mosty prowadzące do hrabstwa.

Było to wówczas, gdy ojciec widowiskowo pojawił się w jednym z obskórnych portów Karoliny Południowej. Kiedy łowił krewetki w Key West, zaczął go mężczyzna z zegarkiem Accutron i diamentowym pierścieniem i zapytał ojca, czy interesowałoby go zrobienie dużych pieniędzy. Trzy dni później ojciec był już w drodze na Jamajkę, gdzie w Montego Bay w pretensjonalnym barze spotkał się ze współnikiem mężczyzny z pierścieniem. Ojciec nie omieszkiał zauważyć, że także ten drugi miał na małym palcu brylant wielkości sporej fasoli. Henry Wingo przez całe życie czekał na moment, gdy zetknie się z mężczyznami dostatecznie bogatymi i pozbawionymi gustu, aby stroić się w kobiecą biżuterię. Nigdy nie zainteresował się ich nazwiskami, bez reszty ufał ich stylowi.

- Klasa - miał powtarzać później. - Po nich od razu było widać klasę.

Dwóch Jamajczyków załadowało na kuter ojca tysiąc pięćset funtów marihuany najwyższej jakości, o czym ojciec wiedział, a także czternaście kilo czystej heroiny, o czym mu nie wspomnieli. Jeden z Jamajczyków był posługaczem w hotelu turystycznym, ale ilekroć nadarzyła się sposobność,

nie omieszkiał jej wykorzystać na załadowanie marihuany. Drugi, Victor Paramore, był informatorem Departamentu Skarbu USA i jako pierwszy został wezwany do złożenia zeznań, gdy sprawa ojca znalazła się na wokandzie sądu w Charlestonie. Kiedy lądował pomiędzy wyspami Kiawah i Seabook, na miejscu czekała większość działających w naszej części świata agentów od spraw narkotyków. Jak się okazało, miała to być ostatnia próba ze strony ojca, by okazać się rzutkiem przedsiębiorcą kapitalistycznym.

Na sali sądowej ojciec nie usiłował się bronić, nie wybrał też sobie adwokata. Popełnił niewątpliwe przestępstwo, oznajmił sędziemu, i nie ma nic na swoje usprawiedliwienie. Zasłużył na surowe ukaranie przez prawo, ściągnął bowiem hańbę na siebie i swoją rodzinę. Został skazany na dziesięć lat więzienia i grzywnę dziesięciu tysięcy dolarów.

Matka zapłaciła grzywnę z pieniędzy odłożonych dla ojca, a pochodzących ze sprzedaży wyspy. W ciągu jednego roku w więzieniu wylądowali mój brat i ojciec. Tyle że w momencie, gdy ojciec przekraczał bramę więzienia w Atlancie, niewielką już miałem nadzieję na to, że kiedykolwiek zobaczę Luke'a żywego.

„Odważniej, mocniej”, powtarzał sobie Luke, przemierzając po nocach teren hrabstwa. Był już ostatnim mieszkańcem Colleton, a obiecał sobie, że jego przeciwnicy będą musieli nabiegać się za pieniędzmi, zanim go złapią.

Przez pierwsze miesiące rebelii jedna kwestia bardzo mu pomagała. Władze nie były pewne, że to Luke dokonuje sabotaży w lesie. Był, rzecz jasna, głównym podejrzanym, ale nikt nie widział go w trakcie akcji. Podobnie jak żołnierze Wietkongu, których nauczył się tak podziwiać, zawłaszczył sobie godziny po północy i wtedy napelniał grozą słabo opłacanych strażników. Po opustoszałym hrabstwie poruszał się tylko w nocy, unikając spotkania z łodziami i samochodami patrolowymi. W trakcie owych samotnych tygodni zaczynał go nawiedzać nastrój misji, gdy przemierzał zapamiętane z czasów dzieciństwa zakątki leśne. Między drzewami słyszał głosy swojej rodziny, dostrzegał w gałęziach twarze bliskich. Wszystkie te mary - czy wizje, jak on wolał je nazywać - promieniały radością z powodu sukcesów jego działań i błogosławiły jego jednoosobowej armii wyzwoleńczej. Poczul pewien niepokój, kiedy zaczął z nimi rozmawiać.

W owych pierwszych tygodniach wojny z państwem miał przewagę nad przeciwnikiem w znacznej mierze wynikającą z doskonałej znajomości okolicy. Władza ścigała krajowca, który przyswoił sobie całą wiedzę o nadmorskim dorzeczu, jaką można zebrać w trakcie jednego żywota.

Kontrolę swą rozpostarł nad wielkim fragmentem terenu, którego poprzysiągł bronić przed hermetycznym zamknięciem. Poruszał się pieszo albo małą łódką. Rejestrował gęstość ruchu na rzekach i mostach, a także liczbę pociągów z węglem, nadjeżdżających dwoma liniami od północy. Jedno bezpieczne schronienie urządził sobie w Savannah, drugie - w Brunswicku w stanie Georgia. Po każdym uderzeniu zniknął z Colleton na mniej więcej trzy tygodnie, co było czasem dostatecznym, aby tropiciele znudzili się szukaniem z zimnymi już śladami. Na wyspach, w starych studniach i pod ruinami domostw - wszędzie miał składy żywności, broni, ubrań i sprzętu.

Na początku ograniczał się do aktów wyszukanego wandalizmu. Z biegiem czasu wypracował sobie odpowiednie nawyki, studiował wyniki akcji i zdobywał coraz większe umiejętności. Wyciągał wnioski i ze zwycięstw, i porażek, aby zebrane informacje wykorzystać do następnych poczynań i doskonalić wykorzystane techniki. Osamotnienie, skazanie tylko na siebie i konieczność ogromnej koncentracji sprawiły, że był ostrożny i zarazem nieuchwytny. W głębi lasów na skraju bagnisk polował z łukiem na jelenie, potrafiąc całymi godzinami nieruchomo wyczekiwać nieopodal wyłożonej soli. Czuł w sobie leśną magię, a serce jego przepełniała miłość do drzew, zwierząt i wysp. Polował z lekkością kogoś, kto cofnął się o tysiąc lat, wstąpił w czystą i beczasową dziedzinę plemion Yemassee, które w ten sam sposób zasadzały się na łanie. Był wdzięczny zwierzętom, że pomagają mu przeżyć, i rozumiał, dlaczego ludzie pierwotni wielbili jelenie jako bogów, malując je na ścianach jaskini w akcie zachwytu i modlitwy. Nigdy dotąd nie czuł takiej pełni życia, autentyzmu, nigdy dotąd nie był tak potrzebny. Wizje nie odstępowały go przez cały czas, przyjmując natarczywą intensywność snów. Spał w dzień i nucił przez sen. W tym czasie szukały go samoloty i helikoptery zwiadowcze. Przychodziły do niego obrazy olśniewające i cudowne, a kiedy budził się o zmroku, z radością stwierdzał, że wizje nie rozplywały się, lecz świetliście krwistymi smugami zapisane były na niebie. W jego piersi płonął zapalnik rewolucjonisty. W głowie rozpalaly się idee i niczym dzikie kwiaty przeświecały we włosach.

Czasami wydawało mu się, że jest już ostatnim zdrowo myślącym człowiekiem w Ameryce. Ilekroć nawiedzały go wątpliwości, tylekroć przypominał sobie - dane dotyczące Hiroszimy i Nagasaki. Gdyby udało mu się zapobiec budowie tysiąca głowic nuklearnych, teoretycznie można by przyjąć, że uratował życie setkom milionów ludzi. Zaczął wsłuchiwać się w wewnętrzny głos, który udzielał mu porad, a robił to tonem natarczywym i



zniewalającym. Ustanawiał reguły zachowania, wyznaczał dalekosiężne cele, dawał sygnał do rozpoczęcia akcji. Uznał, że to przemawia jego sumienie, i usilnie się w nie wsłuchiwał, żywy i wolny, podróżując przez bezpieczny stan i z przyjemnością stwierdzając, że samotnicze, szlachetne rozbójnictwo przychodzi mu całkiem łatwo. Podkrażał zapasy, broń, amunicję, raz udało mu się zabrać motorówkę. Stał się bezkompromisowym bojownikiem ukochanej i zagrożonej ziemi. Trudno mu poczytywać za winę, iż wizja ta z hrabstwa Colleton zaczęła rozrastać się na całą piękną planetę.

Często wślizgiwał się do surrealistycznie zniszczonego miasteczka Colleton i krocząc zniwelowanymi ulicami, wymieniał na głos nazwiska rodzin, które zamieszkiwały akry tej zmaltretowanej ziemi. Przechadzał się po sprofanowanych polach cementarzy, w zrównanej ziemi wyczuwając ślady otworów, w które ongiś składano ciała mieszkańców. Szedł wzdłuż Street of Tides, gdzie na zawsze ucichły odgłosy handlu i rozgwar głosów, a także zniknęły aromat kawy i połysk przemykających samochodów. Czasami wydawało mu się, że czuje pod stopami żywą obecność miasta, jak gdyby zdrowe i pełnokrwiste zaraz miało wychynąć z ziemi w czupurnym akcie zmartwychwstania. Śniąc na jawie, miał wrażenie, że słyszy pokrzykiwanie Colleton, jego długie elegie bólu, pełne buntu i sprzeciwu litanie unicestwienia. W nowiu ruszył na poszukiwania domku babki i pełen wściekłości nie mógł go zlokalizować, aż wreszcie znalazł dąb, na którym w pewną Niedzielę Wielkanocną Savannah i ja wyryliśmy swoje imiona. Palusznik i kudzu porastały miejsce, gdzie ongiś mieszkali Tolitha i Amos. Ruszył w kierunku przystani, ale potknął się o coś w trawie, a kiedy się pochylił, wiedział już, co znajdzie. Podniósł krzyż dziadka, zarzucił sobie na plecy i w akcie czci poniósł go Street of Tides, radośnie przypominając sobie tamte pochody. Czuł ciężar na barkach, drewno wrzynające się w skórę, obolałe ciało utwierdzało go w słuszności podjętej misji.

Kiedy tak szedł zgięty pod ciężarem krzyża, wszystkie głosy rozbrzmiały na nowo, dodając mu otuchy, jemu, chłopakowi znad rzeki, ich mistrzowi. Z aplauzem odpowiedziały na jego przysięgę, że on nie pozwoli, nie przystanie na śmierć miasta, które ukochał najbardziej na świecie. Poprzysiągł samemu sobie, wszystkim tym dźwięcznym i zapalczywym głosom, rzecze i zamordowanemu miasteczku, że upamiętni całą sprawę, że w tę zgwałconą ziemię tchnie nowe życie i wydobędzie z niej Colleton, podobnie jak kiedyś z martwych powstał Łazarz.



- Popamiętają mnie! - krzyczał Luke. - Nauczą się z szacunkiem wypowiadać moje imię. I zmuszę ich do tego, by odbudowali miasto takim, jakim ongiś było.

Przystanął i głosy ucichły. Złożył krzyż na ziemi i posłyszał, jak rozbrzmiewa w nim melodia wyzwolenia. Zaczął tańczyć pośrodku Street of Tides, wirując i przytupując. Nagle znieruchomiał i obwieścił:

- Tutaj stanie sklep z ubiorami męskimi Dannera. A dalej sklep spożywczy Scheina, obok niego galanteria Sarah Poston, kwaciarnia Bitty Wall i Woolworth. - Czuł pod sobą drżenie ziemi i wydawało się, że wszystkie te dumne dawne sklepy aż drżą z ochoty, żeby znowu zaistnieć. Miał wrażenie, że na dachy żywych niegdyś budynków wyległo całe miasto i wiwatuje na jego cześć. W myśli odtworzył ulicę w najdrobniejszych szczegółach. Kiedy opuszczał tego wieczoru Street of Tides, obejrzał się i zobaczył światła we wszystkich witrynach, bożonarodzeniowe ozdoby nad ulicą, chłopca malującego litery na afiszu przed kinem Breeze Theater, pana Luthera zamiatającego chodnik przed wejściem i szeryfa Lucasa, który wychodzi po obiedzie z restauracji Harry'ego, popuszczając pasa i bekając.

Nareszcie, myślał, jestem prawdziwym człowiekiem, pełnym zdecydowania i pasji.

Z dumą patrzył na miasto, które stworzył.

Za plecami usłyszał jakiś odgłos. Odwrócił się, wydobywając pistolet.

Wzdłuż rzeki z niekłamaną radością na twarzy szedł w jego kierunku mężczyzna.

Pan Fruit.

W marcu swym małym akcją sabotażowym nadał charakter jawnej wojny partyzanckiej, a ów symboliczny wedle niego czyn przez władze został oceniony zupełnie inaczej. O trzeciej nad ranem czternastego marca cztery amatorskie, ale wystarczająco potężne bomby eksplodowały pod mostami łączącymi północny i wschodni skraj Colleton z kontynentem. Godzinę później dwie następne bomby zniszczyły linie kolejowe, po których wjeżdżały do hrabstwa pociągi towarowe Southern Railway.

Jeden z nich, wiozący ładunek węgla, dwadzieścia minut po eksplozji wypadł z rykiem z nocnych ciemności od strony Charlestonu. Maszynista na prostej rozwinął pełną prędkość, pociąg więc przeleciał w powietrzu sześćdziesiąt jardów, zanim widowiskowo runął w ciemne wody Little Carolina River. Maszynista i trzy inne osoby z załogi zginęły na miejscu i w ten sposób po raz pierwszy została rozlana krew w tym, co prasa rychło zaczęła nazywać Wojną Secesyjną Colleton.

Luke wysłał list do piętnastu gazet ukazujących się w Karolinie Południowej, deklarując, że teren w promieniu czterdziestu mil od miasta Colleton - w jego obrębie znalazło się trzydzieści wysp i czterdzieści siedem tysięcy akrów łąd - jest wolny od produkcji plutonu. Przeprosił rodziny czterech ludzi poległych w katastrofie pociągu i oznajmił, że oddałby wszystko, aby wrócić im życie, albowiem walkę swą podjął w obronie ludzkiego istnienia, a nie przeciw niemu. List był skróconą wersją mowy, którą wygłosił do mieszkańców Colleton owego wieczoru, gdy Patrick Flaherty przedstawił im plan zagłady miasta. Luke obwieścił, iż teren znany przedtem jako hrabstwo Colleton staje się samodzielnym stanem z nim jako gubernatorem, szeryfem, dowódcą sił zbrojnych i jedynym mieszkańcem, do czasu aż populacja się powiększy, Rząd federalny stwierdził, że ziemia należy do obywateli Stanów Zjednoczonych, z czym Luke całkowicie się zgadzał, natomiast miał własną interpretację owego „należenia”. Nowy stan, stanowiący jedną dwudziestą Rhode Island, zwać się miał Colleton. Luke dawał władzom federalnym trzydzieści dni na zarzucenie prac budowlanych związanych z Programem Colleton River, a także zwrócenie właścicielom terenów zagrabionych. Jeśli władze nie zgodziłyby się na to żądanie, stan Colleton formalnie występował z unii i wypowiadał wojnę. Odtąd wszyscy pracownicy związani z Programem byliby traktowani jako członkowie armii najezdźczej i bez uprzedzenia poddani ostrzałowi.

Luke wzywał też ochotników, aby przyłączyli się do obrony granic stanu przed agentami federalnymi. Domagał się, by wkraczali na terytorium nowego stanu pojedynczo, z zielonymi rozpoznawczymi opaskami na ramionach i samodzielnie zajmowali posterunki obserwacyjne. Kiedy będzie ich już dostatecznie wielu na mokradłach i w lasach, skontaktuje się z nimi i zacząć działać jak mała armia. Zrazu jednak mieli na własną rękę ograniczać dopływ materiałów i spowolniać prace budowlane.

W całym stanie list ukazał się na pierwszych stronach, obok niego zaś zamieszczono zdjęcie moje i Luke'a, jak trzymamy puchar dla futbolowych mistrzów stanu wywalczony w klasie maturalnej, oraz fotografię Savannah z okładki jej Córki krewetkarza. Gwardii Narodowej kazano chronić wszystkie mosty na terenie hrabstwa, natychmiast też podjęto prace nad odbudową zniszczonych. Wszędzie wzmocniono strażę i został wydany nakaz aresztowania Luke'a. Po ukazaniu się listu poznałem chyba wszystkich policjantów i oficerów policji czynnych w Karolinie Południowej. W ich opinii Luke był uzbrojony, groźny i najpewniej chory umysłowo. W najważniejszych czasopiśmie ukazały się historyczne artykuły redakcyjne, często i gęsto cytowano słowa senatora Emetsa

Hollingsa, który dla „News and Courier” powiedział: „Być może koleś ma świra, ale nam niewiele już zostało mostów wiodących do Colleton”. Na University of South Carolina korporacja studencka zorganizowała przyjęcie z zielonymi opaskami na ramionach, aby zebrane pieniądze przeznaczyć dla dzieci upośledzonych. W „Columbia State” ukazał się list, którego autor nazywał Luke’a „ostatnim wielkim Karolńczykiem”.

Trzy tygodnie po ukazaniu się listu Luke’a, w pobliżu głównego placu budowy Programu zatrzymano siedemdziesięcioletniego Luciusa Tuttle’a, który dawniej trudnił się traperstwem. „News and Courier” poinformował o tym incydencie, ale nie dodał, że staruszek miał na rękawie zieloną opaskę, a dwunastu gwardzistów trzymał na odległość, dopóki nie wyczerpała mu się amunicja: Dziesięć członkiń organizacji „Kobiety Walczą o Pokój” ułożyło się na szosie, blokując przejazd autobusowi, który wiozł robotników na budowę, wiezione do więzienia śpiewały „Precz z bombami”.

Stanowi konserwatyści uważali Luke’a za mordercę i wariata, ale była niewielka grupka osób, upatrujących w nim radykalnego bojownika o środowisko naturalne, jedyne go człowieka w dziejach republiki, który rozsądnie odpowiedział na mrożące krew w żyłach absurdy ery nuklearnej. Kiedy opinia publiczna zaczęła skłaniać się do zmiany oceny odnośnie do Luke’a, stał się śmiertelnym zagrożeniem dla państwa. Jako sabotażysta okazał się sprytny i zręczny, ale jako symbol stanowił zagrożenie dla całego Programu Colleton River, Luke zaczynał być niewygodnym elementem świadomości zbiorowej, zwłaszcza że zaatakował sześć mostów, dowiódł swego zmysłu taktycznego. Do hrabstwa Colleton zaczęli przemykać się agenci FBI, oddział szkolony w Fort Bragg w Karolinie Północnej do walki z partyzantami po nocach przeczesywał wysepki. Luke oceniał, ile jeszcze zostało mu czasu, po jakości tych, których kierowano przeciw niemu. Nad rozlewiskami coraz częściej pojawiały się maszyny rozpoznawcze, na strumieniach gęsto się zrobiło od patroli Straży Przybrzeżnej. Ich pasja stanowiła pochwałę pod jego adresem. Doceniał zalety przeciwników, nie lekcewał ich zaangażowania, miał nad nimi jednak przewagę, gdyż całe życie spędził w tej okolicy i nauczył się w niej poruszać.

Nauczyłem się rozpoznawać agenta FBI na sto jardów i więcej, a umiejętność ta nigdy mnie nie zawiodła. Byli tak łatwi do rozpoznania jak grzechotniki. Zbyt wiele naoglądali się filmów i naczytali książek, które sławiły ich talenty wywiadowcze. Mocno wierzyli w całe to gówno, którym FBI hojnie raczyło swoich agentów. Nienawidziłem mężczyzn o kwadratowych szczękach i żelaznym uścisku dłoni, którzy zawsze sprawiali

wrażenie, jak gdyby naśladowali bohaterów drugorzędnych filmów. Wydawało się, że ich garnitury wisiały na tym samym stelażu w tym samym małym sklepie, najbardziej atrakcyjnym fragmentem ich stroju były plakietki identyfikacyjne. Całe tuziny agentów przesłuchiwały mnie w ciągu pierwszego roku prywatnej wojny Luke'a, a przyjemność miałem z tego doprawdy niewielką. Nie zawsze potrafiłem zapanować nad agresywnością, kiedy miałem do czynienia z ludźmi, którzy pewnego dnia mogli zabić mojego brata. Agenci FBI uznali mnie za osobę nieprzyjaźnie do nich nastawioną, a kiedy mam kiepskie dni i przypominam sobie tę ocenę, robi mi się odrobinę lżej na duszy.

Upłynął niemal rok, zanim sprawą Luke'a zajął się J. William Covington. Pojawił się podczas jednego z mych wiosennych treningów futbolowych, kiedy starałem się opracować nową taktykę ofensywną, która pozwoliłaby wykorzystać quarterbacka szybkiego niczym jeleń, ale nader łatwo rozmijającego się z podaniem. Bob March, asystent liniowy, którego świeżo wynająłem z The Citadel, wypatrzył Covingtona w służbowym chevrolecie, kiedy ćwiczyliśmy z chłopakami końcowe przebieżki.

- Znowu jakiś smród, Tom - powiedział.

- W następnym roku zapłacę już chyba te podatki - mruknąłem.

Ujrzawszy mnie, wysiadł z samochodu. Był znakomitym uosobieniem swej profesji, nawet gdyby tańczył nago na łące pełnej lilii, i tak rozpoznaloby się w nim agenta FBI.

- Proszę mi wybaczyć - zwróciłem się do niego - ale na boisku nie pozwalamy rozdawać broszurek Hare Kriszna. Lotnisko jest o piętnaście mil stąd na zachód.

Roześmiał się, a mnie zdziwiło to, że najwyraźniej zrobił to szczerze.

- Uprzedzano mnie o pańskim poczuciu humoru - powiedział i wyciągnął rękę.

- Nieprawda. Uprzedzono pana, że strasznie upierdliwy ze mnie dupek.

- W aktach jest wzmianka, że nie bardzo gotów pan jest do współpracy. Nazywam się J. William Covington, przyjaciele mówią do mnie Cov.

- A wrogowie?

- Covington.

- Miło pana poznać, Covington. Na przekór podejrzeniom, że niechętnie współpracuję, powiem panu wszystko, co wiem. Nie wiem, gdzie się ukrywa Luke. Nie miałem od niego znaku życia. Nie pisał do mnie, nie dzwonił, nie przysyłał telegramów. Nie dostarczam mu żywności, schronienia ani żadnej innej pomocy. Natomiast rzeczywiście ani myślę pomagać panu w śledztwie.

- Chciałbym pomóc Luke'owi wykaraskać się z tej sprawy - oznajmił Covington. - Bardzo mi się podoba jego postawa. Myślę, że udałoby mi się dobić targu z prokuratorem, żeby otrzymał wyrok trzech, maksimum pięciu lat.

- A czterech ludzi, którzy zginęli w katastrofie pociągu?

- To oczywiste, że nie miał pojęcia o nadjeżdżającym pociągu. W czasach, kiedy mieszkaliście w Colleton, linia ta nigdy nie była używana w nocy. Ja bym to nazwał nieumyślnym zabójstwem.

- Za same mosty powinien dostać więcej niż pięć lat. Dlaczego prokurator miałby się zgodzić?

- Postarałbym się go przekonać, że idąc na ugode, ocalimy mosty w południowej części hrabstwa - rzekł Covington.

- Dlaczego mi pan to mówi? Nie rozumiem, na czym miałyby polegać moja pomoc.

- Ponieważ dokładnie zapoznałem się z aktami Luke'a i wiem, że są tylko trzy osoby, które mogłyby go odnaleźć. Jedna z nich, pański ojciec, jest chwilowo, by tak rzec, niedysponowana.

- Niedysponowana - powtórzyłem. - Podoba mi się pański język, Covington.

- Pozostałe dwie to pan i pańska siostra. Pisze cudowne wiersze, jestem ich wielkim entuzjastą.

- Będzie zachwycona.

- Czy mogę zatem liczyć na pańską pomoc?

- Nie, Cov, widzę, że nie słuchał mnie pan uważnie na początku. Ani myślę pomagać panu w śledztwie.

- Mewshaw Company wyznaczyła nagrodę dwudziestu pięciu tysięcy dolarów za zneutralizowanie pańskiego brata. Czy muszę panu wyjaśnić sens pojęcia „neutralizować” w tym kontekście? Na terenie hrabstwa coraz więcej jest facetów, którzy są co najmniej nie gorsi od pańskiego brata. Już w tej chwili poluje na niego dwóch żołnierzy z Zielonych Beretów, którym Kongres przyznał Medale Honoru. Stanie się to może nie dziś ani jutro, ale ktoś w końcu zabije Luke'a, a ja chciałbym temu zapobiec. Chcę mu ocalić życie, a bez twojej pomocy, Tom, nie uda mi się to.

- Muszę przyznać, panie Covington, że jak dotąd jest pan pierwszym przedstawicielem Federalnego Biura Śledczego, który nie powoduje we mnie odruchów wymiotnych, ale sam ten fakt natychmiast mnie niepokoi. Co sprawiło, że postanowił pan wstąpić do FBI? I czemu, na Boga, ma pan na imię J. William?

- Na pierwsze imię mam Jasper i prędzej wolałbym ducha wyzionąć, niż usłyszeć, że ktoś się tak do mnie zwraca. Żona wpadła na pomysł, żebym przed nazwiskiem pisał „J. William”, skoro należę do organizacji założonej przez J. Edgara. Powiedziała, że może podziała to na podświadomość przełożonych, gdy będą rozważać kwestię awansu. Wstąpiłem do FBI, gdyż byłem kiepskim sportowcem, a jak każdy kiepski sportowiec przeżywałem ciężkie chwile w szkole średniej i nie byłem pewien swojej męskości. Agenci FBI w ogóle w nią nie wątpią.

- Podoba mi się twoja odpowiedź, Jasper - pochwalilem. - W przeciwieństwie do swoich kolegów rodzisz we mnie podejrzenie, że mam do czynienia z istotą człiekopodobną.

- Uważnie przeczytałem twoje akta i wiem, że jeśli nie powstanie między nami nic zaufania, nie pomożesz mi ani trochę.

- Nic nie mówiłem o zaufaniu, Jasper - zauważyłem - co zaś do pomocy, nie cofam tego, co już powiedziałem.

- A ja sądzę, że się mylisz, gdyż rozmawiasz z jedyną osobą na świecie, która myśli o tym, jak ratować życie twego brata, a nie - jak mu je odebrać.

Wpatrywałem się uważnie w twarz J. Williama Covingtona: przystojną, wrażliwą, szlachetną - dlatego budzącą we mnie zasadniczą nieufność. Przeciw niemu świadczyło również to, że spojrzenie miał czyste i spokojne.

- Myślę, że mógłbym poszukać brata, Jasper, ale umowę muszę mieć na piśmie.

- Otrzymasz umowę na piśmie wraz z mym słowem, że wszystko potoczy się zgodnie z umową.

- Zrobię to, ale ani cię nie lubię, Jasper, ani ci nie ufam. Nie podoba mi się twój garnitur.

- Mówiąc szczerze, mi także nie zależy na adresie twojego krawca>- powiedział, wskazując na mój dres trenerski.

Kiedy skończyła się szkoła, Savannah przyleciała do Charleston i kilka dni spędziliśmy na przygotowywaniu sprzętu i planowaniu wyprawy. Wieczorami Sallie, Savannah i ja studiowaliśmy żeglarską mapę hrabstwa, układ Mercatora w skali 1: 80 000. Rzeki i strumienie oznaczone były małymi cyferkami, które podawały głębokość w stopach tych zdradliwych wód. Palce wędrowały po mokradłach i kanałach równiny naszego dzieciństwa. Usiłowaliśmy postawić się w sytuacji Luke'a i spojrzeć na wszystko jego oczyma. Przypuszczałem, że trzyma się bagnisk Savannah River na południu hrabstwa, nocami dokonując wypadów, a potem jeszcze przed świtem chroniąc się między nieprzeniknione chaszczki i błota. Savannah nie zgadzała się ze mną, była zdania, że Luke miał stałą kryjówkę



i że było nią miejsce wszystkim nam znane. Przypominała, że zawsze mocno się trzymała swoich przyzwyczajęń i że nie zaryzykowałby wojny o wyzwolenie Colleton, nie zapewniwszy sobie stałego schronienia.

- Do partyzantki zupełnie byś się nie nadała - oznajmiłem, zauważwszy na to, że tropiciele starannie przeszukują cal po calu wszystkie wyspy i niepodobna, żeby przeoczyli stałe obozowisko.

- Musi to zatem być miejsce, którego nie odkryją, Tom» znane tylko Luke'owi, więc pewnie także i nam.

- Wiedzą o wszystkich ulubionych miejscach Luke'a. Taką mapę jak nasza można kupić w każdym sklepie. Trudno powiedzieć, żeby kartografowie zaniedbali Amerykę.

- To dlaczego w takim razie nie mogą znaleźć Luke'a?

- Jest bardzo ostrożny - odpowiedziałem.

- Tom - odezwała się Sallie - pamiętasz, na studiach opowiadałeś mi o takim odludnym miejscu, gdzie twój ojciec łowił czy coś takiego?

- Chruścielowa Wyspa - ja i Savannah wykrzyknęliśmy jednocześnie.

Jeszcze jako chłopak ojciec polował na chruściele na bagnistych rozlewiskach Upper Estill River. Razem z przyjacielem dotarli tam podczas przyływu, on wiosłował, wypłaszając ptaki z zarośli, podczas gdy ojciec strzelał. Upolował kilkanaście kaczek, kiedy zobaczyli kępę niskich drzew sterzącą z mokradła. Nie zauważyli, że woda się odwraca, i gdy dopłynęli do nieoznakowanej na mapie wysepki, zobaczyli, że będą musieli czekać do następnego przyływu, aby powrócić do głównego nurtu. Byli o trzydzieści mil od najbliższego zabudowania, przypadkowo odkryli jedno z tych tajemnych schronień, które jest drogie sercu każdego chłopaka. Miejsce było właściwie niewidoczne ani z głównego nurtu, ani z brzegów rzeki. Na terenie ćwierci akra rosły małe palmy i jeden pokręcony dąb. Oskubali i wypatroszyli kaczki, a potem obmyli je w morskiej wodzie. Rozbili namiot, rozpalili ognisko, udusili cebule w trzech łyżkach smalcu, potem obtoczyli kaczki w mące i smażyli, aż ściemniały jak czekolada. Następnie zalali patelnię wodą i trzymali kaczki na małym ogniu, aż zmiękły. Zanim te były gotowe, nazbierali w błocie małży i zjedli je na surowo. Obaj byli przekonani, że przed nimi nigdy tu nikogo nie było. Uznali, że jest to ich własna dziedzina i swoje nazwiska wryli na korze dębu. Odpłynęli wraz z następnym przyływem, wcześniej nadawszy miejscu miano Chruścielowa Wyspa.

Kiedy moja babka opuściła Amosa i wyjechała do Atlanty, ojciec uciekł z domu i przyjaciele odnaleźli go na Chruścielowej Wyspie, gdzie płakał za swoją matką. Na wiosnę, kiedy rachice i ałozy płynęły w górę rzeki, ojciec



tydzień spędzał na wysepce, łowiąc ryby i obozując pod gołym niebem. Miałem siedem lat, kiedy po raz pierwszy zabrał naszą trójkę na swe doroczne rybne igrzyska. Do tego czasu zdążył już wybudować małą chatynkę dla ochrony przed deszczem. Na żywego węgorza złapałem trzydziestofuntową rachicę, ałozy łapaliśmy na sieć postawioną w poprzek rzeki. Przez ten tydzień żywiliśmy się płatami rachic pieczonymi na wolnym ogniu, a także smażonymi kawałkami ałozy owiniętymi w boczek. Ciągle mam przed oczyma wielkie rybne biesiady, a w uszach śmiech ojca, kiedy steruje łódką przez gęste zarośla, gdy przyływ niesie nas do miejsca, gdzie można pozostać oderwanym od całej reszty planety. Ojciec zaprzestał swych wiosennych wypraw, kiedy stwierdził, że Chruścielowa Wyspa jest odwiedzana także przez innych rybaków. Skoro przestała być tajemnicą, utraciła też swą magiczną aurę - a z nią i całą wartość. Dopuściwszy do siebie obcych, Chruścielowa Wyspa zdradziła swego odkrywcę. Jeden z kanonów filozofii mego ojca powiadał, że dziewiczość traci się tylko raz. Nigdy więcej nie odwiedził już tego miejsca, a tak samo zachowały się też jego dzieci, gdyż odczuwały podobne rozczarowanie.

Tak czy owak, oboje z Savannah wiedzieliśmy, że można całe życie spędzić w hrabstwie Colleton, wszystkie wolne chwile uganiać się za rybami i krabami po najróżniejszych rzeczках i strumieniach, a mimo to w ogóle nie podejrzewać, że w samym centrum słonych trzęsawisk na północ od hrabstwa Glynn w stanie Georgia znajduje się wysepka w kształcie serca. Oprócz nas wiedzieli o niej jedynie nasz ojciec i brat oraz owi anonimowi rybacy, których ślady zbezczeszczyły tajemne ustronie ojca.

Ostatniego wieczoru przed wyprawą do Colleton przeczytałem córkom bajeczkę na dobranoc i uściskałem je. Sallie miała nocny dyżur w szpitalu, zrobiliśmy sobie z Savannah po drinku i usiedliśmy na frontowej werandzie. Naprzeciw portu mrugały światła Charlestonu. Matka była na kolacji, podczas której napięcie było nieznośne. Obwiniła nas i ojca za bunt Luke'a. Oznajmiła, iż Reese zaoferował się wynająć najlepszego prawnika w Karolinie Południowej, i do furii doprowadziła ją uwaga Savannah, że wcale nie jest pewne, czy Luke zaaprobuje tak wielkoduszny dar. Nie potrafiła zrozumieć, ile w tym geście Newbury'ego było upokarzającej arogancji. Wcale nie sprawiło nam przyjemności to, że matka odjechała z płaczem.

- Niezależnie od tego, co stanie się z Lukiem - powiedziała Savannah zapatrzona w kierunku Fort Sumter - matka będzie tragiczną bohaterką tej historii.

- Zasłużyła sobie na to - zauważyłem. - Nie działała w dobrej wierze.

- Nic o tym nie wiesz, jak trudno jest być kobietą - ostro zareagowała Savannah. - Po tym, co przeżyła, podoba mi się każdy jej samodzielny czyn.

- To dlatego, kiedy jest w pobliżu, zachowujesz się tak, jakbyś jej śmiertelnie nienawidziła? - spytałem. - Dlaczego nie znajdziesz dla niej żadnego przyjemnego słowa, żadnego gestu, który pozwoliłby jej poczuć się kochaną?

- Ponieważ jest moją matką, a naturalnym prawem i oznaką zdrowia psychicznego każdej kobiety jest to, że ze wszystkich sił przeciwstawia się matce, aż do nienawiści włącznie - odparła Savannah. - Moja analityk powiada, że to ważny etap, przez który muszę przejść.

- Twoja analityk!!! - zawołałem. - U ilu psychoanalityków, psychiatrów i innych łapiduchów byłaś od czasu, kiedy opuściłaś Karolinę?

- Próbuję sobie ułożyć życie, Tom - powiedziała urażona. - Nie masz prawa ingerować w moją terapię.

- Czy jest chociaż jedna osoba w Nowym Jorku, która nie odwiedziła psychiatry? Jeśli tak, to pewnie jakiś podróżny, który na La Guardia przesiada się z jednego samolotu do drugiego i dlatego nie ma czasu na pięciominutową sesję na Upper East Side.

- Tobie specjalista psycholog przydałby się bardziej od jakiegokolwiek innej ze znanych mi osób. Gdybyś tylko potrafił wsłuchać się w swój głos i zobaczyć, ile w nim gniewu.

- Nie wiem, jak postępować z ukochaną osobą, która zna odpowiedzi na wszystkie pytania. Mama zna wszystkie odpowiedzi, ty także, i w ogóle wydaje się, że pośród kobiet w tej rodzinie to dziedziczna choroba. Czy kiedykolwiek zdarza ci się mieć jakieś wątpliwości?

- Tak - odrzekła. - Mam wiele wątpliwości, jeśli chodzi o ciebie, Tom. Co do wyborów, jakie poczyniłeś w życiu, nie widać w nich żadnego ukierunkowania. Nie widzę w nich śladu ambicji, pragnienia zmiany i zmierzenia się z okolicznościami. Dryfujesz, odrobinę oddzielony od żony i dzieci, odrobinę oddzielony od swej pracy, nie wiedząc, czego chcesz ani gdzie podążać.

- To czyni mnie Amerykaninem, Savannah - powiedziałem. - Nic w tym specjalnego.

- Wracasz po ostatnim treningu, robisz sobie drinka, siadasz przed telewizorem i czekasz, aż będziesz dostatecznie zmęczony lub pijany, aby iść spać. Nie czytasz książek, nie prowadzisz żadnych ważnych rozmów, po prostu wegetujesz.

- Właśnie prowadzę ważną rozmowę - zauważyłem. - I to dlatego tak ich nienawidzę.

- Nienawidzisz swojego widoku, Tom - powiedziała Savannah i ścisnęła mi ramię. - Jesteś w połowie nijakiego życia i obawiam się, że nic się już nie zmieni. O to się martwię.

- Dlaczego od każdego, kogo spotkasz, wymagasz, żeby przyznał się do świra lub do tego, że jest nieszczęśliwy? Czy jedyną postawą wobec świata, którą szanujesz, jest wariactwo?

- Słyszałem, że są ludzie zdrowi umysłowo, ale jak na razie nie natrafiłam jeszcze na ani jednego członka tego plemienia. Są jak Inkowie. Można o nich przeczytać, obejrzeć ruiny ich budowli, ale niepodobna porozmawiać z którymś, aby się dowiedzieć, jak im się udało.

- Savannah, oni zabijają Luke'a, jeśli go nie odnajdziemy. A jeśli do tego dojdzie, nie wiem, co się stanie ze mną.

- No to musimy go znaleźć i nakłonić do wyjścia.

- Wynajęli tropicieli, jakby był jeleniem albo wściekłym psem.

- Bardziej boję się o nich niż o Luke'a - powiedziała. - Oboje wiemy, jak znakomicie daje sobie radę w lesie, wszystko tam potrafi wykorzystać na swoją korzyść. Myślę, że gdyby pomylił się chociaż raz, już by go mieli. To dzięki niemu uratowaliśmy morświna. To dzięki niemu załadowaliśmy żółwia do łóżka Newburych. Pamiętasz, potrafił wynieść na plecach ciało dowódcy, a potem płynąć z nim trzy mile. Zawsze wierzył w siebie i nigdy ta wiara go nie zawiodła.

- Ale teraz to bezsensowne. Nic dzięki tej walce nie zyska.

- Skupił na sobie uwagę. Często o nim myślisz, Tom?

- Staram się nie myśleć, podobnie jak o tacie i całej reszcie. Czasami udaję, że ani Luke, ani ojciec nie należą do mego życia.

- To stara metoda mamy - roześmiała się Savannah. - Prawdą jest to, o czym decydujesz się pamiętać.

- Raz w tygodniu piszę do ojca, ale to tak, jak gdybym korespondował z jakimś Estończykiem, z którym nie mam innego kontaktu niż listowny. On w odpowiedzi przysyła mi listy pełne miłości i inteligentnych uwag. Jak się zachować wobec kochającego ojca? Jeszcze trudniej to zrobić wobec inteligentnego. Prawie zaprzyjaźniliśmy się dzięki tym listom. Kiedy wspominam czasy dzieciństwa, z największą czułością i wdzięcznością myślę o mamie. Przepelnia mnie miłość do niej i absolutnie nie mogę znieść jej obecności. Ta sprawa z Lukiem dobijają, a ja nie widzę, jak mógłbym pomóc.

- Dlaczego jesteś taki wściekły na Luke'a?

- Ponieważ jest idiotą! Niepoprawnym egoistą! Ale jest w tym coś, Savannah, czego nie rozumiem. Zazdroszczę mu tej swobody obstawiania za

tym, w co wierzy, pasji, której nie czuję i w ogóle nie znam. Zazdroszczę mu, że może postawić na nogi całą okolicę, gdyż tak zażarcie wyznaje swoje proste prawdy. Muszę go powstrzymać, gdyż gdzieś w największej głębi duszy czuję, że ma rację w tej swojej wojnie ze światem. A ponieważ tak czuję, więc jego nieugiętość uświadamia mi, jak wiele w sobie stłumiłem. Stłumiłem z powodu hipoteki, rat za samochód, planu lekcji, dzieci i żony, która ma o wiele bardziej intensywne marzenia i ambicje niż ja. Życie płynie mi w ciepłym spokoju, rozwiązuję krzyżówkę codziennych zajęć, oglądam wieczorne wiadomości, podczas gdy mój brat je surowe ryby i staje przeciw armii okupacyjnej, która obrabowała nas z naszego jedyne go domu. Powtarzam sobie, że nie jestem fanatykiem ani sabotażystą. Jestem porządnym obywatelem, mówię sobie. Mam duszę kolaboranta, zwolennika rządu Vichy. Stałem się dokładnie tym typem człowieka, którego najbardziej na świecie nienawidzę. Mam ładnie przystrzyżony trawnik i nigdy nie wlepiono mi mandatu za przekroczenie szybkości.

- Myślę, że Luke to taki współczesny Don Kiszot - powiedziała Savannah. - Napiszę o tym poemat.

- Jestem pewien, że i on tak o sobie myśli, ale zupełnie nie pojmuję, jak miałyby to pomóc jemu czy komukolwiek innemu. Z jego powodu zginęło czterech ludzi i jakkolwiek bym to racjonalizował, morderstwo wcale mnie nie pociąga, - Nikogo nie zamordował. To był wypadek.

- Gotowa jesteś powtórzyć to ich żonom i dzieciom?

- Robisz się sentymentalny, Tom.

- Pewnie sentymentalne są też te żony i dzieci.

- Luke nie jest mordercą - powtórzyła z pasją Savannah.

- Więc kim jest, na Boga?

- Artystą i człowiekiem całkowicie wolnym. Żadnej «tych rzeczy nigdy nie zrozumiesz.

Czekaliśmy na noc odpowiednio spokojną i księżycową, aby łatwo było sterować. W porcie w Charlestonie Sallie ucałowała nas oboje i życzyła powodzenia podczas wyprawy do Colleton.

- Wracajcie z Lukiem cali i zdrowi - powiedziała. - Powiedzcie mu, że wielu ludzi go podziwia, a naszym córkom potrzebny jest stryj.

- Tak będzie, Sallie - zapewniłem. - Trudno jednak powiedzieć, jak długo to potrwa.

- Macie na to całe lato. Dzisiaj przyjeżdża moja mama, żeby mi pomóc z dziewczynkami. W przyszłym miesiącu Lila ma je zabrać na Pawleys Island. A ja będę zarabiał na życie, przy okazji pomagając ludziom.

- Pomódl się za nas, Sallie - zawołała Savannah, gdy uruchomiłem silnik i skierowałem się ku Ashley River. - I za Luke'a.

- Sądziłem, że nie wierzysz w Boga - powiedziałem do Savannah, mijaliśmy właśnie bazę Straży Przybrzeżnej na końcu półwyspu Charleston.

- Bonie wierzę, ale wierzę w Luke'a, a on ufa Bogu, a zresztą zawsze wierzę w Boga, kiedy Go naprawdę potrzebuję.

- Wiara okazjonalna - rzuciłem.

- Nareszcie coś rozumiałeś - westchnęła Savannah. - Czy to nie cudowne, Tom? Znowu razem przeżywamy jakąś przygodę. Zupełnie jak wtedy, kiedy pojechaliśmy do Miami, żeby ratować morświna. Znajdziemy Luke'a, Tom. Czuję to przez skórę. Spójź w górę.

Popatrzyłem za jej ręką, wskazującą w niebo.

- Orion, myśliwy.

- Nie. Muszę cię nauczyć myśleć jak poeta. To odbicie Luke'a ukrywającego się pomiędzy trzęsawiskami.

- Savannah, dostanę mdłości, jeśli będziesz całą sprawę traktować jak pisanie poezji. Do diabła, nie jesteśmy w środku wiersza, nasza podróż jest ostatnią szansą, żeby uratować życie bratu.

- To odyseja - powiedziała i spojrzała na mnie kąpiąco.

- Jest zasadnicza różnica pomiędzy życiem i sztuką - oświadczyłem, podczas gdy opuszczaliśmy port.

- Mylisz się. W tej sprawie zawsze się myliłeś.

Minęliśmy światła Mount Pleasant, dalej Fort Sumter, światła mojego domu na Sullivans Island, latarnię morską, usłyszeliśmy niski pomruk holownika witającego frachtowiec z Panamy. Po prawej została James Island, księżyc lśnił na drżących łodygach, które sterczały na odsłoniętych przez odpływ wydmach. Fale, pełne fosforu i planktonu, łagodnie rozchodziły się pod naciskiem dziobu. Powietrze drżało, morze dziwnie przywodziło na myśl mleko. Jakiś zapach dzieciństwa dochodził od mokradeł, podczas gdy wypływaliśmy na bezwietrzne morze, na którym prognozy nie przewidywały zagrożenia dla małych jednostek na obszarze pięciuset mil. Wyszliśmy zza ochronnej bariery wysp, przed nami rozpościerał się Atlantyk upstrzony odbiciami gwiazd i jasnym błamem księżycowej łuny.

Popłynąłem prosto na Golfsztrom, aż nie widziałem już za sobą światła Karoliny Południowej. Potem wziąłem kurs na południe i skierowałem się ku swej rodzinnej okolicy, modląc się o to, by udało mi się wyperswadować bratu jego poczucie misji. Modliłem się, abym potrafił nauczyć go sztuki kompromisu i ustępowania wobec mocniejszych potęg. Modliłem się,

abym zdołał uczynić go mniej Lukiem, a bardziej - okiełznanym i pokornym Tomem.

Uścisnęliśmy sobie dłonie z Savannah, gdy sunąłem ku Colleton, a wiatr rozwiał jej włosy jak welon. Przez dwie godziny studiowałem gwiazdy i spoglądałem na kompas, aż wreszcie zobaczyłem zielono oznakowane wejście do Colleton Sound. Na przekór zakazowi wpłynęliśmy na zabroniony teren, gdzie w roku 1944 podczas sztormu po raz pierwszy zaczerpnęliśmy do płuc powietrza. Była północ i zaczynał się odpływ, kiedy zarzuciliśmy kotwice po zawietrznej Kenesaw Island, czekając na zmianę kierunku wody. Przypuszczaliśmy, że będzie nam potrzeba co najmniej dwóch stóp głębokości, żeby dotrzeć do Chruścielowej Wyspy. O tym, że zaczął się przypływ, poinformowało nas napięcie liny kotwicznej. O trzeciej nad ranem włączyłem silnik i powoli zacząłem płynąć w górę najtrudniej żeglownych strumieni w hrabstwie. Wydawało się, że pomruk łodzi bezcześnie otaczającą nas ciszę. Po godzinie dotarliśmy do słonych rozlewisk, pośród których znajdowała się wyspa. Wjechałem w trzy odnogi, które zniknęły pośród mokradeł, zawróciłem więc do głównego nurtu, sprawdziłem położenie i ponowiłem próbę. Rozczarowały mnie także dwie kolejne odnogi, były zarośnięte tak wysoką trawą, że mogliśmy tylko sunąć w jej tunelach, a potem wracać tą samą drogą, nic więcej nie widząc. Dopiero przy najwyższym przypływie, gdy sionce wstawało już na wschodzie, a nas zaczynała ogarniać rezygnacja, wjechaliśmy w strumień, w którym, jak oceniłem na pierwszy rzut oka, już byliśmy, a który niemal natychmiast doprowadził nas do wyspy.

Wyjąłem silnik z wody, Savannah przeszła na dziób i wyskoczyła na suchy ląd. Zabezpieczałem motor, gdy z ciemności usłyszałem głos siostry:

- Był tutaj, Tom, był, mówię ci.

- Musimy schować łódkę, Savannah, żeby nas nie wypatryli z powietrza.

- Widzisz, my nie mieliśmy żadnych trudności ze znalezieniem go.

Pod gęstym baldachimem gałęzi dębu i palm Savannah stała pośrodku azylu Luke'a. Pod drzewami rozciągała się siatka maskująca, a pod nią ustawił namiot. Pod brezentem znaleźliśmy dynamit i pojemniki z benzyną. Były karabiny, amunicja oraz konserwy z zupą krabową produkcji Blue Channel Corporation. Była łódka wiosłowa oraz motorówka z silnikiem o mocy ośmiu koni mechanicznych. Savannah odkryła trzydzieści galonowych kanistrów ze świeżą wodą.

Luke naprawił małą chatkę rybacką wzniesioną ongiś przez ojca. Położył nowy dach i wymienił nadgniłe deski. W kącie leżał śpiwór, pośrodku stało

drewniane krzesło i stół, na blacie znajdowała się do połowy opróżniona butelka Wild Turkey. Obok talerza leżała Córka krewetkarza z dedykacją dla Luke'a.

- Zawsze miał dobry gust literacki - pochwaliła.

- Dziwi mnie, że nie czyta Czerwonej Książeczki Przewodniczącego Mao.

- Nie musi, gdyż ma ją we krwi.

Szybko wyładowaliśmy naszą łódkę i wciągnęliśmy ją pod kamuflującą siatkę. Przyptyw zacierał ślad po kilu. Ułożyliśmy swoje śpiwory i zagotowaliśmy na kuchence wodę na kawę, a słońce w tym czasie wzniosło się już nad horyzont.

- Nie było go tu już od jakiegoś czasu - zauważyłem.

- Gdzie byś się go spodziewał, kiedy nie ma go tutaj?

- Nie wiem. To jeszcze w miarę bezpieczne miejsce. Colleton to kiepski teren na wojnę partyzancką, gdyż łatwo można zostać osaczonym na którejś z wysepek.

- Ale zdaje się, że nieźle sobie radzi.

- Ten agent FBI, Covington, powiedział mi, że w zeszłym tygodniu byli już pewni, iż go mają. Okrążyli go niedaleko miasta, setka ludzi i sześć psów.

- Jak mu się udało wydostać?

- Była noc. Dopóki słońce jest na niebie, nie śmie nawet pierdnąć. Covington przypuszcza, że przeczołgał się przez trzęsawiska do rzeki i dał się nieść przyptywowi, przegrodzili wprawdzie rzekę łódkami, ale udało mu się przemknąć.

- To dobrze. Zawsze podobają mi się filmy, w którym dobremu bohaterowi powiedzie się.

- Ciągłe toczą się spory, którzy bohaterowie są naprawdę dobrzy - zauważyłem. - Kiedy uznał, że są odrobinę nazbyt blisko, odpalił łaskę dynamitu, co zdenerwowało psy, a ludziom nakazało ostrożność.

- Ktoś został ranny?

- Topola poszła w drzazgi, ale poza tym, jakimś cudem, nikt nie ucierpiał.

- Tom, co chcesz powiedzieć Luke'owi, jak się tu zjawi? Dobrze wiesz, że wierzy w to, co robi, uważa, że ma rację i moralne prawo tak postępować, jakich więc chcesz użyć argumentów, aby go przekonać, żeby przestał walczyć?

- Postaram się mu opisać, jak straszliwy dla mnie będzie jego pogrzeb, postaram się opowiedzieć mu o żonie, której już nie spotka, o dzieciach,



które już nie przyjdą na świat, o życiu, które przerwie na zawsze jakaś durna kula.

- Luke nigdy nie miał żadnej dziewczyny - powiedziała z powagą Savannah - i nie bardzo widzę, jak opowieść o żonie, ogniu na kominku, bamboszach i gromadce rozczochranych dzieci miałaby wyciągnąć go z lasu. Dla niektórych z nas, Tom, przeciętne życie normalnego Amerykanina jest tym samym co wyrok śmierci.

- Życie nazywasz wyrokiem śmierci?

- Dla mnie tym by ono było. I przypuszczam, że tak samo dla Luke'a. Nie chciałabym cię urazić...

- Dzięki Bogu, Savannah - westchnąłem. - Nie potrafię sobie wyobrazić, do jakiej brutalności byś się posunęła, gdybyś istotnie postanowiła tak zrobić. Na szczęście, my, normalni Amerykanie, wiemy swój przeciętny żywot, który sprawia, że stajemy się tak tępi i niewrażliwi, iż niełatwo nas urazić.

- Jakiś ty drażliwy.

- Uważam, że mam prawo być drażliwy, kiedy ktoś powiada, że za życia umarłem.

- To nie moja wina, że nie znalazłeś szczęścia w życiu.

- Najtrudniej mi znieść to twoje zrozumiałstwo, Savannah. Kiedy zaczynasz mówić o naszych decyzjach, zawsze brzmi w tym ton wyższości. To jest wirus nowojorski, którym się zaraziłaś, gdy gratulowano ci, że z prowincjonalnej mieściny udało ci się wreszcie dotrzeć na Manhattan.

- Wyznam ci szczerze, że najlepszych, najciekawszych ludzi z Południa poznałam właśnie w Nowym Jorku. Na Południu zbyt wiele musisz z siebie dać, żeby móc chociaż wegetować.

- Nie chcę o tym rozmawiać.

- To oczywiste, że nie chcesz, Tom, gdyż temat jest dla ciebie zbyt bolesny.

- Wcale nie jest bolesny - obruszyłem się - natomiast nie mogę znieść tej aury samozadowolenia, która unosi się wokół ciebie. W kwestii Południa wygadujesz mnóstwo bzdur i jest w tym trochę podłości.

- Podłości?

- Z prawdziwą rozkoszą informujesz mnie, że zmarnowałem życie.

- Z żadną rozkoszą, Tom - powiedziała cicho. - Bardzo mnie boli, że muszę to mówić. Chciałabym, żebyście obaj z Lukiem nie odwracali się od świata, żebyście otworzyli się na jego bogactwo, żebyście nie sprzedali swoich dusz Południu.

- Widzisz to słońce, Savannah? - spytałem, wskazując nad mokradłami. - To słońce Karoliny, które całą naszą trójkę opaliło na południowo i choćbyś nie wiem ile siedziała w Nowym Jorku, tego ze skóry nie usuniesz.

- Mówimy o czymś innym - zniecierpliwiła się Savannah.

- Boję się, że Południe wyciągnie z ciebie wszystko, co oryginalne. Boję się, że zabije Luke'a, gdyż dał się opętać wizji Południa jako zagrożonego raj.

- Savannah, kiedy zjawi się Luke, proszę cię, pomóż mi namówić go do powrotu. Nie broń jego punktu widzenia. Stoją za nim wielkie hasła i cała sprawa jest cholernie romantyczna. Luke jest straszliwym fanatykiem. Cały gorzej tym przeklętym romantycznym ogniem, ma dziwne oczy i w ogóle nie chce słyszeć przeciwnych argumentów. Jako poetka musisz być zakochana w tej wojnie Luke'a ze światem.

- Jestem tutaj z tobą, Tom, żeby mu pomóc, Jestem z tobą, żeby namówić go na powrót do domu.

- Odpowie ci, że właśnie jest w domu.

- I miałby dużo racji, prawda, Tom? - spytała Savannah, sięgając po dzbanek z kawą.

- Z pewnością - przyznałem.

- Obiecuję, że nie będę już więcej odgrywać roli krytyka z Nowego Jorku.

- A ja postaram się nie być byczym karkiem z Południa. To także obietnica.

Uścisnęliśmy sobie ręce i zaczęliśmy czekać na Luke'a?

Cały tydzień spędziliśmy z Savannah na skraju słonych trzęsawisk. Czas ten wykorzystaliśmy na odnowę tych kruchych, delikatnych więzi, które stanowią o tajemnicy i wspaniałości spoglądania na świat jako bliźniacy. Dnie spędzaliśmy w chatce, przypominając sobie opowieści z życia rodzinnego. - Wydobyliśmy wszystkie, jakie się dało, historie z dzieciństwa, a potem usiłowaliśmy dokonać bilansu tego, że do dorosłego życia byliśmy przygotowywani przez Henry'ego i Lilę Wingo. Czas spędzony w domu nad rzeką był groźny i szkodliwy, a przecież teraz znajdowaliśmy go wspaniałym. Ten dom uczynił z nas dzieci niezwykle i w pewien sposób odmienne od innych, stał się miejscem, gdzie kwitną szaleństwo, poezja, odwaga i niewzruszona lojalność. Dzieciństwo trudne, a zarazem jakież interesujące. Chociaż potrafiliśmy sformułować pełne pasji zarzuty wobec rodziców, to przecież właśnie ich niepowtarzalność uchroniła nas od nudy i bylejakości. Ze zdumieniem stwierdziliśmy zgodnie, że chociaż przytrafili się nam najgorsi z możliwych rodziców, to jednak nie zamienilibyśmy ich

na innych. To chyba podczas wyczekiwania na Luke'a na Chruścielowej Wyspie zaczęliśmy wybaczać ojcu i matce, że byli tacy, jacy musieli być. Zaczynaliśmy rozmowy od opowieści o przemocy czy zdradzie, a kończyliśmy na niezmiennym potwierdzeniu naszej niełatwej, ale autentycznej miłości do Henry'ego i Lili. Dorośliśmy na tyle, aby im wybaczyć, że nie urodzili się doskonali.

W nocy na zmianę zastawialiśmy sieci podczas przyływu. Patrzyłem, jak Savannah zarzuca, widziałem biały, widmowy łuk, później słyszałem ciężarki uderzające o wodę, zupełnie jakby wyskakiwała z niej wielka, niewidoczna ryba. Pod powierzchnią roilo się od tysięcy krewetek, łowiliśmy ich więcej, niż byliśmy w stanie zjeść. Przyrządzałem znakomite potrawy, którymi delectowaliśmy się bez pośpiechu. Złapałem dziesięcioletniego suma, nafaszerowałem go krewetkami i mięsem krabów, a potem upiekłem w żarze. Na śniadanie podawałem krewetki z boczkami i przyprawami.

Przed ułożeniem się spać siedzieliśmy oboje pod gwiazdami, popijając francuskie wina, a Savannah recytowała z pamięci wszystkie swe wiersze. Większość z nich sławiła nadbrzeżną krainę Karoliny, jej język, a słowa płynęły nad rozlewiskiem niczym srebrnoskrzydłe, zagubione motyle, które żywiły się tajemnym nektarem zrodzonym z czasu, światła gwiazd i Wiatru znad Atlantyku. Opowiadając o swej rodzinnej okolicy, Savannah nazywała rzeczy ich konkretnymi imionami, których zebrała tutaj wielkie bogactwo. W wierszach były nie jakieś tam ptaki, lecz śnieguły i łuszczę. Sławiła zmierzchnice za ich zdolność mimikry, z uczuciem mówiła o przedrzeźniaczach, potrafiła nazwać każde najdrobniejsze stworzenie, jakie sieć wydobyć mogła z morskiej wody, znała wszystkie odmiany fiołków i róż. Wiedzę tę nabywała w sposób tak naturalny, jak babie lato naturalne jest dla jesieni. W wierszach ciskała róże na płonące fale naszej historii. Gdy zbrakło róż, na pierwszym planie pojawiały się chmurne anioły, które nuciły kantyczki o nożu i uległych, niebieskawych żyłach na przegubie, T jak w przypadku wszystkich wielkich poetek naszego stulecia, jej skargi i rany przeradzały się w piękno sztuki.

Siedząc w ciemności, recytowała strofy swej poezji, a po policzkach ściekały jej łzy.

- Savannah, nie przypominaj sobie tych, które cię zasmucają - powiedziałem.

- Kiedy tylko te są warte cokolwiek - odrzekła.

- Powinnaś pisać wiersze o rzeczach najpiękniejszych, bo wtedy całemu światu przekażesz radość i szczęście - poradziłem. - Napisz na przykład o mnie.

- Piszę cykl o Nowym Jorku.

- O tak, temat przepiękny jak jasna cholera.

- Daj spokój, przyrzekłeś, nie pamiętasz? Czy dlatego tak nienawidzisz Nowego Jorku, że ja go tak kocham?

- Nie wiem, Savannah - powiedziałem, zasłuchany w odgłos cykad. - Wyrosłem w miasteczku, które miało wszystkiego sześć tysięcy oby wateli, i nawet pośród nich niebyłem najciekawszą osobą. Do diaska, nawet we własnej rodzinie nie ja byłem najbardziej interesujący. Jakże więc mogę być przygotowany na miasto ośmiomilionowe? Tam każda telefonistka w centrali ma więcej osobowości ode mnie. Nie znoszę wielkich miast, które wrzeszczą na mnie z góry: „Ej, Wingo, gówno jesteś wart”, chociaż ja tylko wyszedłem, żeby kupić sobie kanapkę z pastrami. Dla mnie jest tam dużo za dużo wszystkiego, Savannah. Mogę przystosować się do wielu - sytuacji, z wyjątkiem tych, które są tytaniczne i kolosalne. Ale z tego jeszcze nie wynika, że marny ze mnie człowiek.

- Właśnie takiej odpowiedzi można się spodziewać po prowincjuszu. A ja tak bym chciała, żebyś nie był przewidywalny. Kiedyś nie byłeś.

- Nieprawda, kochana siostrzyczko. Pamiętaj, że w końcu mamy wspólne korzenie. Nasz ojciec jest tak wierną kopią przeciętnego południowca, że zakrawa to na genialność lub parodię. Tak samo jest z Lukiem. Do diabła, on przecież dokonał secesji od Stanów Zjednoczonych. Ja jestem kopią. Na Południu nie rodzą się idee, jest tylko pieczenina. Stopy mam przybite do czerwonej gliny, ale zjem wszystko, co pochodzi z rożna. I tylko ty obdarzona zostałaś skrzydłami, Savannah. I to prawdziwa rozkosz patrzeć Jak wzbijasz się w pieprzone niebo.

- Ale wiesz, jakim kosztem, prawda, Tom?

- Pomyśl, ile byś musiała zapłacić za pozostanie w Colleton.

- Już bym nie żyła. Południe zabija takie kobiety jak ja.

- To dlatego wyprawiliśmy cię na Manhattan. Żeby sobie oszczędzić na kosztach pogrzebu.

- Pierwsza w cyklu nowojorskim jest Etiuda: Sheridan Square - obwieściła i w noc znowu popłynęły anapesty.

Za dnia nie pokazywaliśmy się na zewnątrz, a Savannah z pasją robiła notatki w dzienniku. Zapisywała wszystkie moje opowieści z dzieciństwa i to wtedy po raz pierwszy zorientowałem się, jak wielkie ma luki w pamięci. Wybiórczość pamięci była wielkim tematem i brzemieniem jej życia.

Szaleństwo stało się bezwzględny cenzorem - nie wystarczyły mu jej codzienne udręki w Nowym Jorku, ale na dodatek rozszarpywało przeszłość, pozostawiając białe plamy zapomnienia. Dziennik utrzymywał szczegóły, zapisywała tylko surowe fakty, nic więcej. Jego kolejne zeszyty stanowiły dla niej wziernik w przeszłość. Jeszcze jedna technika, jaką sobie wypracowała, chroniąc życie.

Na każdą Gwiazdkę od czasu skończenia szkoły Savannah przysyłała mi w prezencie oprawny w skórę zeszyt, podobny do tych, których sama używała, i zachęcała mnie, abym i ja rejestrował codzienne szczegóły. Schludne brązowe książeczki układały się w stosik na półce nad moim biurkiem, a jeśli było w nich coś godnego uwagi, to fakt, iż nigdy nie wypełniłem w nich ani jednej linijki. Z przyczyn niejasnych dla mnie samego, w księdze własnego życia nigdy nie złamałem ślubu milczenia. Stałem się właścicielem półki oskarżycielskich dzienników, które niczego nie ujawniały z mego życia wewnętrznego. Nieobcy mi był zmysł samokrytycyzmu, ale obawiam się, że w dziejach moich porażek jego triumf był najbardziej niewybaczalny. Wiedziałem, że całymi dniami mogę opowiadać o swoich wadach, ale nigdy nie pozbędę się tego specyficznego poczucia zadowolenia z siebie. Powtarzałem sobie, że zacznę prowadzić dziennik, kiedy będę miał coś interesującego do powiedzenia. Nie chciałem zostać jedynie biografem własnych klęsk, chciałem napisać coś godnego uwagi. Owe puste zeszyty były wymowną metaforą mego życia. Żyłem w straszliwym przekonaniu, że pewnego dnia okażę się starcem, który ciągle czeka na rozpoczęcie się prawdziwego życia. I już teraz opłakiwałem tego starca.

Szóstego dnia spędzonego na wyspie kapaliśmy się o północy w strumieniu, który przybrał na skutek przyływu. Wyplnęliśmy daleko w rozlewisko i zastygliśmy w wodzie, czując, jak napierająca woda, rozświetlona księżycową zorzą, rozczesuje nam włosy. Zastanawialiśmy się na głos, ile dni możemy czekać na Luke'a bez konieczności powrotu do Charlestonu po zapasy. W chatce wytarliśmy się i przed pójściem spać wychyliliśmy po lampce koniaku. Savannah spryskała wnętrze środkiem owadobójczym, ja przed wślizgnięciem się do śpiwora podałem jej butelkę z płynem przeciw komarom. To one sprawiały, że nie było to miejsce całkowicie doskonałe. W trakcie tego tygodnia zabrały nam tyle krwi, że gdybyśmy ofiarowali ją Czerwonemu Krzyżowi, otrzymalibyśmy listy gratulacyjne. Savannah uznała, że świat byłby znacznie piękniejszy, gdyby komary były równie smaczne jak krewetki i dawały się zgarniać w sieć

ciągniętą za łódką. Zasypialiśmy, słysząc, jak wzmagą się chłodny wiatr od zachodu.

Kiedy otworzyłem oczy, lufa karabinu dotykała mojej piersi. Poruszyłem się, a wtedy osłepiła mnie wąska smuga światła, potem zaś rozległ się śmiech Luke'a.

- Che Guevara, jak przypuszczam - powiedziałem.

- Luke! - krzyknęła Savannah i rzuciła się szukać go w ciemnościach. Po chwili dwa cienie przywarły do siebie w delikatnej poświacie księżycowej i zawirowały w tańcu, przewracając drewniane krzesło.

- Naprawdę cieszę się, że nie zastrzeliłem was obydwójga, chociaż zaskoczyliście mnie.

- Także i my się cieszymy, że nas nie zabiłeś - powiedziała Savannah.

- Zabić nas! Jak coś takiego mogłoby ci w ogóle przyjść do głowy? - spytałem.

- Sądziłem, że znaleźli to miejsce i mój czas dobiegł końca. Nie przypuszczałem, że będziecie pamiętali tę wyspę.

- Przyjechaliśmy, żeby namówić cię do powrotu, Luke - oznajmiła Savannah.

- Nawet wam się to nie uda, moi mili.

Wyszliśmy na zewnątrz i przyglądaliśmy się, jak wciąga kajak pod sieć maskującą. Savannah wyniosła butelkę Wild Turkey i naląła Luke'owi, a potem siedzieliśmy w progu i wsłuchiwalismy się w wiatr ciągnący od mokradeł. Przez dziesięć minut nikt nie odezwał się nawet słowem, zastanawialiśmy się bowiem nad słowami, które najlepiej wyraziłyby wzajemną miłość, a także wazyliśmy swoje argumenty. Chciałem powiedzieć coś, co uratuje memu bratu życie, ale nie byłem pewien, jak to zrobić. Język ciążył mi kamieniem w ustach, ręce aż drżały od niecierpliwych gestów. Cisza nabrzmiewała niebezpiecznym napięciem.

- Całkiem dobrze wyglądasz, Luke - odezwała się Savannah. - Wydaje się, że rewolucja ci służy.

Luke roześmiał się i powiedział:

- Niewiele jest we mnie z rewolucjonisty, dlatego lepiej byłoby mówić o armii rewolucyjnej. Muszę zatroszczyć się trochę o rekrutację.

- Czego właściwie chcesz dowiedzieć, Luke? - spytałem.

- Nie wiem, Tom - odrzekł. - Chcę chyba pokazać, że jest na całej ziemi przynajmniej jeden człowiek, który nie stał się owcą. Od tego przynajmniej się zaczęło. Byłem tak cholernie wściekły na mamę, miasto i władze, tak schwytyany w ich sieci, że nie widziałem dla siebie żadnego wyjścia. Kiedy

jednak wysadziłem te mosty, a potem zginęli ci czterej, nie było już drogi odwrotu. Teraz większość czasu spędzam na ukrywaniu się przed nimi.

- I ani razu nie pomyślałeś o tym, żeby się poddać? - spytała Savannah.

- Nie. Muszą wiedzieć, że ich projekt spotkał się jednak z jakąś opozycją. Nie żałuję niczego, z wyjątkiem śmierci tych czterech ludzi. No, może żałuję jeszcze tego, że nie byłem bardziej skuteczny.

- Paru specjalistów poluje na ciebie na tych wyspach, Luke - ostrzegłem.

- Widziałem ich.

- Podobno są naprawdę dobrzy. Jest dwóch facetów, którzy dawniej służyli w Zielonych Beretach, a teraz, przesiadując po lasach, lubią sobie schrupać do porannej kawy jakiegoś brzdąca.

- Nie znają okolicy, a to poważna przeszkoda - powiedział. - Przez chwilę myślałem o tym, żeby samemu na nich zapolować i zabić, ale zrezygnowałem, bo przecież nic do nich nie mam.

- Nie masz nic do ludzi, których wynajęto, aby cię zabili? - powtórzyła z niedowierzaniem Savannah.

- Wykonują swoją robotę - wyjaśnił spokojnie. - Tak jak ja kiedyś łowiłem krewetki. Jak tam mama i tata?

- Ojciec robi tabliczki rejestracyjne, aby spłacić swój dług wobec społeczeństwa - powiedziałem. - Mama czuje się trochę dziwnie, kiedy wchodzi na pocztę, a na filarze wisi zdjęcie jej najstarszego syna z podpisem: „Poszukiwany”, ale tak czy owak, nazywa się teraz Newbury, jak puszcza bąka, to w jedwabne majtki, a jak czknie, to czuć w tym kawior.

- Oboje strasznie się o ciebie martwią, Luke - dorzuciła Savannah. - Chcą, żebyś dał sobie spokój z tą wojną i wrócił do nas.

- Kiedy zacząłem, wszystko wydawało mi się całkowicie jasne - powiedział. - Sądziłem, że to właściwa droga, jedyna sensowna odpowiedź. Zrobiłem to, co podszeptał mi odruch. Ciężko mi pomyśleć teraz, że działałem jak kompletny dupek. Wiecie, że skradzionego dynamitu starczyłoby mi na wysadzenie w powietrze połowy Charlestonu? Ale teraz nie mogę zbliżyć się do terenu budowy na tyle chociaż, żeby zniszczyć wychodek. Ostatnie trzy razy, kiedy próbowałem, nieomal mnie złapali. Miesiąc temu podłożyłem dynamit pod komórkę z psami gończymi - O cholera! - mruknąłem. - To już żadnej czułości dla zwierząt, Luke?

- Psy są strasznie niebezpieczne. Szczególnie kiedy zostaną poszczute.

- Za sobą masz wszystkich ekologów - powiedziała Savannah. - Nie zgadzają się z twoją taktyką, ale przyznają, że twój protest zmobilizował ich do akcji.



- W Sierra Club i Audubon Society wszyscy członkowie przychodzą na zebrania z zielonymi opaskami - dorzuciłem.

- Tralala, dobrze rozważyłem te sprawy. Wiem, że waszym zdaniem nigdy nie zająłem dobrowolnie do żadnej książki, ale tutaj trochę poczytałem i wiem, że ilekroć wielka forsa staje przeciw środowisku, zawsze wygrywa forsa. To w Ameryce prawo, podobnie jak prawo wolności zgromadzeń. Ktoś chce zarobić miliony dolarów na produkcji plutonu w hrabstwie i tak naprawdę tylko to się liczy. Ktoś zarobi kolejny milion dolarów, zamieniając pluton w broń nuklearną. Tom, Savannah, nie mogą znieść samej myśli o głowicach. Na to nie mogę się zgodzić. Wszyscy politycy, generałowie, żołnierze i cywile, którzy zajmują się bronią nuklearną, nie są dla mnie ludźmi. Taki już jestem. Mówię o tej mojej części, którą najbardziej szanuję. To, że postanowili poświęcić Colleton, mógłbym jeszcze zaakceptować. Naprawdę mógłbym. Gdyby chodziło o stworzenie sześciu tysięcy miejsc pracy, a ludzi zatrudniliby do hodowli pomidorów, gardenii lub ostryg, do diabła, mógłbym się poświęcić. Gdyby chodziło o hutę czy fabrykę chemiczną, nie byłbym już taki chętny, ale trudno. Ale kiedy okazuje się, że trzeba poświęcić Colleton dla plutonu, wtedy przepraszam, to już nie ze mną.

- Większość ludzi uważa cię za wariata, Luke - powiedziałem, - Mówią, że jesteś szaleńcem i świrem.

- Mam straszliwe bóle głowy i to jedyny ze mną kłopot - wyznał Luke.

- Także i mnie przydarzają się migreny, ale nie zabiłem czterech ludzi.

- Wcale tego nie chciałem. Tego pociągu nie było w rozkładzie.

- Tak czy owak, poszukują cię za morderstwo.

- Oni budują bomby wodorowe, ale to mnie nazywają mordercą - powiedział Luke i pociągnął długi łyk. - Świat jest do dupy, moi drodzy.

- To nie ty możesz powstrzymać świat od produkcji bomb wodorowych - zauważyła Savannah.

- Więc kto?

- Luke, zbyt naiwnie patrzysz na te sprawy.

- Więc naucz mnie mniej naiwnego sposobu, Tom, bo to, co robię, wydaje mi się całkiem sensowne. Natomiast to, co robisz ty i inni, wydaje się zupełnie bez sensu.

- A skąd u ciebie ta zdumiewająca wrażliwość moralna? - spytałem. - Czemu jej zabrakło podczas wojny wietnamskiej, gdy z ochotą uczestniczyłeś w niszczyielskich operacjach, wściekły na mnie i Savannah, że bierzemy udział wanty wojennych demonstracjach?

- Powiedzieli nam, że walczymy o to, aby w Wietnamie zapanowała wolność, a mnie wydawało się, że to całkiem piękna idea. Nic w tym nie widziałem złego. Nie wiedziałem, że walczę o to, aby mogli mi ukraść dom.

- A dlaczego nie zaprotestowałaś pokojowo przeciw Programowi Colleton River? - spytała Savannah.

- Chciałem zrobić coś, co najbardziej skupiłoby na sobie uwagę - odparł Luke. - Miałem nadzieję, że to będzie bardziej skuteczne i że uda mi się jednak wygnać tych sukinsynów z hrabstwa. Nie doceniłem ich, a przeceniłem siebie, gdyż nie udało mi się nawet opóźnić ich planów.

- Wysadzenie mostów sporo im namieszało - powiedziałem - o tym mogę cię zapewnić z czystym sercem. Wiele transportów musiało przyjść inną drogą.

- Nie rozumiesz - mruknął. - Chciałem zablokować cały program.

- Naprawdę? - spytała Savannah.

- Tak, bo zobaczyłem to w głowie. Przez całe moje życie było tak, że jeśli mogłem coś zobaczyć, mogłem to też zrobić. Zanim pojechaliśmy po tego białego morświna, w myśli przemierzyłem tę drogę setki razy.

- Ja przez cały czas miałam wrażenie, że śnię - wyznała Savannah. - Nie mogłam uwierzyć, że oto jadę autostradą, a koło mnie leży Śnieg.

- Spodziewałem się, że uda mi się tak nastraszyć robotników, że będą się bali postawić stopę w Colleton.

- I to ci się udało, Luke - zapewniłem. - Boją się ciebie, ale jednocześnie mają rodziny do wykarmienia.

- Wszystko jakoś rozsądniej wygląda, dopóki jestem tutaj sam - uśmiechnął się. - Siebie potrafię bardzo dobrze przekonywać. Pamiętacie, jak matka czytała nam Dziennik Anny Frank, kiedy byliśmy jeszcze całkiem mali?

- W ogóle nie powinna była tego robić - powiedziałem. - Savannah przez całe lata śnili się naziści, którzy wyłamywali drzwi.

- A pamiętacie, jak Savannah po przeczytaniu tej książki namówiła nas, żebyśmy poszli odwiedzić panią Regenstein?

- Nie pamiętam niczego takiego - rzekła zdziwiona Savannah.

- Anija. Byliśmy bardzo mali, kiedy mama zaczęła nam to czytać - przyłączyłem się.

- Pani Regenstein uciekła z Niemiec, a mieszkała z rodziną Aarona Greenberga. Całą rodzinę straciła w obozie koncentracyjnym.

- Tak, pokazała swój tatuaż - przypomniałem sobie.

- To był bardzo specjalny tatuaż, Tom - poprawił mnie Luke. - Jej numer obozowy.

- A czemu teraz o tym mówisz? - spytałem.
- Bez specjalnego powodu, co najwyżej dlatego, że wtedy po raz pierwszy zobaczyłem, jaka świetna jest Savannah.
- Opowiedz, Luke, proszę - powiedziała Savannah i objęła brata. - Bardzo lubię historie, w których jestem znakomita.
- Masz tutaj gdzieś torebki na torsje? - spytałem.
- Kiedy mama skończyła czytać Annę Frank, Savannah przez trzy dni szykowała kryjówkę w stodole. Zrobiła tam zapas żywności, wody, bielizny i tak dalej. Był tam nawet mały zeszytek, żeby było do czego przerysowywać ilustracje z czasopism.
- Też ci wymyśliła! - pokręciłem głową.
- To było ważniejsze, niż może się na pierwszy rzut oka wydawać - mówił Luke. - Większość Europejczyków w ogóle nie zareagowała na informacje o tym, co się wyrabia z Żydami. Tymczasem nasza siostra na wszelki wypadek przyszykowała miejsce, gdzie można by ukryć uciekiniera. Ale nie to zapamiętałem najbardziej.
- Na pewno zrobiłam coś naprawdę heroicznego - powiedziała z nutką dumy w głosie Savannah.
- Może nie heroicznego, ale bardzo ładnego. Namówiłaś mnie i Toma, żebyśmy poszli z tobą do pani Regenstein. Ja nie chciałem, bo bałem się jej, tak dziwnie mówiła po angielsku, ale jednak obu nas przekonałaś. Staliśmy za tobą, kiedy ona otworzyła drzwi i powiedziała: „Guten Morgen, Kinder”. Miała bardzo grube szkła, ale sama była szczupłuśka. Pamiętasz, co jej powiedziałaś, Savannah?
- Skąd, jeśli w ogóle nie pamiętam tej wizyty?
- „Ukryjemy panią - powiedziałaś. - Może się pani nie bać tego, że naziści przyjdą kiedyś do Colleton, bo ja i moi bracia schowamy panią. Przyszykowaliśmy miejsce w stodole, będziemy tam pani przynosić jedzenie i gazety”.
- A jak na to zareagowała Regenstein? - spytała Savannah.
- Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby kobieta tak płakała - odparł Luke. - Pomyślałaś, że jakoś ją obraziłaś, i zaczęłaś przeproszać. W drzwiach pojawiła się także pani Goldberg, żeby uspokoić tamtą. Od tego czasu Goldberg bardzo nas lubiła.
- Zawsze wiedziałam, że byłam bardzo dobrym dzieckiem - rzekła Savannah. - Dziękuję ci, Luke, że mi to opowiedziałeś.
- Ja mogę ci opowiedzieć trzydzieści innych, gdzie zachowałam się okropnie - mruknąłem.
- Kto go tutaj zaprosił? - spytała Savannah.

- Z pewnością nie ja - oznajmił Luke.
- Mamy pewną propozycję, braciszku - powiedziałem. - Siły zła proponują ugodę.
- Ciekawe jaką - powiedział smutno. - Pewnie w nagrodę za to, że zasiądę do rokowań, oddadzą mi całą Karolinę Południową.
- Niezupełnie. Przysłali faceta, który nazywa się Covington.

Przez dwa dni w uświęconym obecnością Luke'a sekretnym świecie pełnym srebrzystej poświaty, z wolna ustępującej miejsca porankom, które nasycala woń palm, brat opowiedział historię swej rebelii przeciw krajowi. Poczucie niesprawiedliwości kazało mu z bronią w rękę stanąć w obronie zagrabionej ziemi. Fakt, że niczemu nie udało się zapobiec, z protestu uczynił nieodpartą konieczność. Nie mając za sobą żadnego zwycięstwa, nie mógł odwołać jednoosobowej wojny. Stał się pierwszą ofiarą swojej brawury. Zrazu myślał, że powrócił do Colleton, ponieważ był już ostatnim człowiekiem z zasadami, jakiego wydało miasto. Podczas długiej samotności zaczął sobie jednak uświadamiać, że za sprawą swej wyniosłej dumy z prostej decyzji politycznej uczynił sprawę honoru. Nie widział, jak się wycofać, i bywały chwile, gdy nadal wydawało mu się, że robi to, czego właśnie należało się spodziewać po osobie jego pokroju. Wcale nie utracił przekonania, że ma rację, fakt jednak, iż pozostał samotny, zaczynał być coraz poważniejszą winą.

Opowiadał znużonym głosem o zmuśnym przemykaniu się przez oczyszczoną z mieszkańców okolicę, spotkaniach ze zbrojnymi patrolami, ucieczkach do Georgii po każdym udanym rajdzie, cierpliwym podkradaniu dynamitu z budowy, niebezpieczeństwach, które na niego czyhały, ilekroć łódkę kierował w główne koryto. Od Wietnamczyków nauczył się działać w ciemności oraz cierpliwości, nieodzownej wtedy, kiedy przeciwko sobie miało się o wiele liczniejszego przeciwnika. Mówił o tym, jak długo obserwował mosty wysadzone na północy hrabstwa. Nie mógł uwierzyć, że tak słabo były broniące, udało mu się zamontować cztery bomby z opóźnionym zapalnikiem, które eksplodowały jednocześnie o drugiej w nocy, sam zaś zdążył wrócić na Chruścielową Wyspę przed wschodem słońca. Mostów, podobnie jak wszystkich innych punktów o znaczeniu strategicznym, zaczęto pilnować znacznie uważniej, ale tym, co naprawdę zmieniło charakter całego przedsięwzięcia, mówił Luke, była śmierć tych czterech mężczyzn. Rozlana krew odebrała jego protestowi moralne uzasadnienie. Skoro już musiał zabić, to lepiej, żeby ktoś inny stał się ofiarą.

- Powiniennem być zabić trzech naczelników inżynierów z Mewshaw Company, którzy nadzorują realizację programu. Każdego z nich miałem na

celownika i zastanawiałem się, czy go nie sprzątnąć, potem jednak przychodziła mi do głowy myśl o żonach i dzieciach, i o tym, jak się będą czuły, gdy dowiedzą się, że tato zginął od kuli w oko - i odkładałem karabin. Zacząłem myśleć, że prowadzę najgłupszą, najbardziej gównianą wojnę partyzancką, o jakiej kiedykolwiek myślałem. Nie mogę nawet szukać poparcia u krajan, gdyż nie ma tutaj żadnych. Po domach zostały tylko doły w ziemi. Wysadziłem więc w powietrze parę traktorów i ciężarówek, a ponadto napędziłem pełne portki strachu agentom od Pinkertona. Ale tak naprawdę jedynym zwycięstwem, jeśli zasługuje na tę nazwę, jest to, że mnie dotąd nie złapali. A Bóg mi świadkiem, moi kochani, że wyłazili ze skóry.

Nie czuł się pokonany, natomiast miał wrażenie, że nastąpił pat. Metafory, które uwznioślały go na początku, potem straciły świeżość i siłę. W samotności zaczynał pojmować, że swej niezgodzie nie nadał głębszej treści. Owszem, kierowała nim pasja, ale ta nie ożywiała systemu przekonań. W głowie kłębiło mu się od myśli romantycznych, sprzecznych, niecierpliwych. Nie potrafił zmusić swego stulecia, aby przybrało sens dla niego przejrzysty i dlatego nie potrafił się w nim odnaleźć. Chciał postępować jak Człowiek honoru, niesprzedajny i nieprzekupny, aż pewnego ranka obudził się z ceną wyznaczoną za jego głowę. W głębi duszy nie potrafił zrozumieć, dlaczego natychmiast nie przyłączyli się do niego wszyscy Amerykanie, kiedy poznali sens jego sporu z władzami. Nie uświadamiał sobie, że sprzedawanie ziemi i praw do miejsca rodzinnego było w Ameryce królewskim sportem. Rodzice nauczyli go wierzyć, iż dla mieszkańców Południa nic nie jest cenniejsze od ziemi przodków. To miłość do niej miała ich odróżniać od reszty Amerykanów i wynosić ponad nich. Zdaniem Luke'a jego jedyny błąd polegał na tym, że uwierzył w znakomitość południowego sposobu życia, potraktował słowa zbyt poważnie.

- Kiedy się tutaj znalazłem, myślałem o sobie” że jestem ostatnim południowcem. Potem zacząłem nazywać siebie ostatnim dupkiem Południa.

- Skoro nie wierzysz już w to, co robisz - odezwałem się - to po cholere dalej ciągniesz tę wojenkę?

- Bo chociaż mogę nie mieć racji - odpowiedział - oni nie mają jej jeszcze bardziej. Moja obecność tutaj przypomina im, że zagrabienie miasta może jednak nie wyjść na zdrowie. Zastanawiałem się nawet nad tym, żeby zaatakować główną budowę w świetle dnia. Najpierw zastrzeliłbym uzbrojonych strażników, potem spróbowałbym położyć trupem dwudziestu,

trzydziestu robotników. W takich walkach jestem dobry, do innych nie mam serca.

- Gdybyś zabił zbyt wielu ludzi, wysłaliby przeciwko tobie piechotę morską.

- Działając na własną rękę, nie mogę się zdobyć na zabijanie niewinnych ludzi. Potrafiłem zabijać niewinnych Wietnamczyków, kiedy wspierała mnie największa na świecie potęga. Uświadomiłem sobie, że jeśli nie jesteś gotów zabijać niewinnych ludzi, nie możesz wygrać. Nikt cię nawet nie zauważy.

- Nigdy nie byłeś dobry tam, gdzie chodzi o kompromis, Luke - zauważyłem.

- Kompromis! - prychnął. - O jakim ty mówisz kompromisie? Wcale nie zaproponowali nam, że gdzieś na uboczu zbudują fabrykę, a my dalej będziemy żyć tam, gdzie żyliśmy. Nie, sprawę postawili prosto: „Wynocha, skurwiele, wynocha!” I jasne, dlaczego musieli tak postąpić. Jeśli dojdzie do jakiegoś wypadku w tej fabryce, wtedy przez najbliższe dwieście lat każda krewetka, ośmiornica i każdy krab będą świecić w ciemności. Jeden raz coś im się nie powiedzie, a w promieniu pięćdziesięciu mil wszystko, co żywe, wyginie. Całe to trzęsawisko zamienić się może w pustynię.

- Kiedy stałeś się takim radykałem? - spytała Savannah. - W Wietnamie?

- Do diabła, Savannah, jaki tam ze mnie radykał! Nienawidzę wszystkich radykałów, liberalnych czy konserwatywnych. Nic mnie nie obchodzi polityka, nie znoszę polityków i działaczy wszelkiej barwy.

- Mylisz się, braciszku, sam jesteś działaczem na wielką skalę - sprzeciwiła się Savannah.

Opowiadał, jak często wracał na Melrose Island i wałęsał się po zarośniętej działce, na której kiedyś stał nasz dom i zabudowania. Jedną noc spędził na miejscu, gdzie znajdowała się nasza sypialnia. Wybrał miód z ula pozostawionego przez ekipę rozbierającą dom. W ogródku matki zerwał azalie, róże i dalie, by je potem położyć na nie oznaczonym grobie tygrysa. Na południowym skraju wyspy zabił z łuku dzika, który szukał orzechów pekanowych.

Drugiej nocy opowiadał o swych odwiedzinach w mieście i cudownych wizjach jego odrodzenia w ziemi. Ze zdumieniem i strachem mówił o swych coraz częstszych monologach. Te samotne rozmowy napełniały go lękiem, zarazem jednak nadawały nowy sens jego przedsięwzięciu. Wspominał, jak nie mógł odnaleźć miejsca po domu dziadków, potknął się o krzyż Amosa i jak raz jeszcze poniósł go po Street of Tides, by potem przyzywać wszystkie sklepy miasta, które z ochotą odradzały się na jego oczach. Całe miasto z

pasją sprzeciwiało się wyniszczeniu, a on był tego świadkiem. Kiedy się odwrócił, zobaczył, że w jego kierunku zmierza pan Fruit, podobny jak on banita, nadal wykonujący swą cudaczną służbę drogową. Dał w gwizdek i sterował ruchem niewidocznych pojazdów, a ruchy jego pełne były milczącej prostoty i wielkości. Tyle że jego materializacja sprawiła, iż rozmył się i rozplynął obraz zmartwychwstałego miasta.

- Przez chwilę tam było - mówił z bojaźnią w głosie. - Naprawdę nie wiem, jak wam to wyjaśnić. Przez chwilę wyraźnie czułem zapach świeżo położonej farby i aromat kawy, słyszałem głosy sprzedawców i szuraniemiotel na chodniku. Wszystko było takie piękne i prawdziwe.

Savannah ujęła dłoń Luke' a i delikatnie ją ucałowała.

- Nie musisz mi tego tłumaczyć, Luke. Ja przez całe życie mam takie widzenia.

- Ale ja nie zwariowałem - zaprotestował Luke. - Wszystko było naprawdę. Widziałem sklepy, w oknach były plakaty reklamowe. Słyszałem nawet papugę w sklepie z butami. Zmieniały się światła uliczne. Uwierzcie mi, wszystko było rzeczywiste.

- Wiem, że to nie był sen - powiedziała Savannah. - Mała, piękna halucynacja. Ja jestem Królową Halucynacji. Mogę ci o nich opowiedzieć wszystko.

- Chodzi ci o to, że pomieszało mi się w głowie - obruszył się Luke. - Z tobą od zawsze było nie w porządku.

- Nie, Luke. Ja po prostu byłem jedyną, która sobie to uświadomiła.

- Ale to miało wyraźny posmak religijny. Czułem się tak, jakby mnie dotknął Bóg i pozwolił zobaczyć coś z przyszłości, dając w ten sposób do zrozumienia, że pochwała moją misję.

- Po prostu zbyt długo przesiadujesz sam w lesie - powiedziałem.

- Ale pana Fruita sobie nie zmyśliłem.

- To najdziwniejszy fragment tej halucynacji - mruknęła Savannah.

- Żadnej tam halucynacji. Po prostu tam był. Usuwając miasto, zapomnieli o panu Fruicie. Musiał wpaść w przerażenie, kiedy zaczęli burzyć domy. Ukrył się w lesie i usiłował jakoś sobie radzić, ale kiedy go znalazłem, był bardzo wygłodniały, a na sobie miał tylko strzępy ubrania. Jak wytłumaczyć komuś takiemu jak on pluton i zwierzchnie prawo rządu federalnego? Ledwie udało mi się go uratować z niedożywienia. Dostarczyłem go do katolickiej misji w Savannah, ale najpierw nieźle musiałem się z nim naszarpać, żeby go zabrać z tego rogu ulicy i umieścić w łódce. Odesłali go do stanowego szpitala psychiatrycznego w Milledgeville, nikt nie chciał słuchać, kiedy mówiłem, że jedyne, czego mu



potrzeba, to nowe skrzyżowanie, na którym mógłby kierować ruchem. Trzeba wyrosnąć w Colleton, żeby zrozumieć kogoś takiego jak pan Fruit. Nie słuchali mnie, nie potrafiłem im wytłumaczyć, że także on jest potrzebny w wielkim porządku świata.

- Także i tu trzeba pomóc, nie tylko jemu - powiedziała Savannah. - Ty także jesteś ofiarą unicestwienia miasta.

- To była chwila olśnienia, Savannah, kiedy zobaczyłem miasto. Kiedy zsiadasz do pisania wiersza, musisz umieć zobaczyć poemat mrocznej ziemi. Chodzi mi o wyobraźnię, nie o szaleństwo.

- Musisz wrócić z nami - oznajmiła siostra. - Czas, byś rozpoczęła nowe życie.

Ukrył twarz w swych wielkich dłoniach, a kiedy ją podniósł, w jego bólu był jakiś zwierzęcy akcent, coś zarazem majestatycznego jak u lwa i uległego jak w oczach sarny.

Ten agent FBI, o którym wspomniałeś, Tom, ten Covington - ufasz mu?

- Na tyle, na ile mogę w ogóle ufać komuś, kto tropi mojego brata.

- Powiedział „trzy lata więzienia”?

- Od trzech do pięciu. Tyle udało mu się wywalczyć.

- Może dadzą mi celę razem z tatą.

- Ojciec także chce, żebyś wrócił - zapewniła Savannah. - Podobnie jak matka.

- Może przez te pięć lat rodzina znowu się poskłada - powiedział w zamyśleniu Luke.

- Trudno o lepszą perspektywę - mruknęła z przekąsem Savannah.

- Przekaż Covingtonowi, że poddam się na Charleston Bridge. Chcę, żeby była to kapitulacja żołnierza, którą przyjmie oficer Gwardii Narodowej.

- A czemu nie wrócisz, z nami dzisiaj wieczorem? - spytałem. - Mogę zadzwonić do Covingtona z domu.

- Chciałbym spędzić jeszcze dwie noce w samotności - oznajmił Luke. - Chciałbym się pożegnać z Colleton. W piątek stawię się na Charleston Bridge.

- Zaczyna się przyływ, Savannah - powiedziałem, - Czasanas.

- Pozwól, Luke, że zostanę z tobą - poprosiła. - Boję się zostawić cię tutaj samego.

- Potrafię się zatroszczyć o siebie, siostrzyczko. Wszystko będzie dobrze. Tom ma rację. Jeśli nie ruszycie w przeciagu godziny, będziecie musieli zostać na jeszcze jedną noc.

Luke pomógł mi spuścić łódkę na wodę, a potem przygarnął Savannah i stali tak przez jakiś czas, podczas gdy ona szeptała mu coś w pierś.

Potem zwrócił się do mnie, a wystarczyło, bym poczuł jego dotyk, a zacząłem dygotać.

- Daj spokój, Tom - powiedział. - Miną trzy lata, a będziemy się z tego już tylko śmiać. Na razie wszystko się spaprało, ale naprawimy tę sprawę i wiele innych. Wyjdę z pudła, kupimy wielką łódź i razem będziemy łowić więcej krewetek niż ktokolwiek na Wschodnim Wybrzeżu. Staniemy się tak sławni, że do jakiegokolwiek baru rybackiego wejdziemy, wszyscy będą ustępować nam miejsc.

Wsiedliśmy z Savannah do łódki i Luke zepchnął nas na wodę. Savannah przesłała mu całusa, on zaś stał spowity w papierowe światło księżyca. Zostawiliśmy go za sobą i klucząc po rozlewisku, dopłynęliśmy do głównego nurtu, aby na zawsze opuścić nasze rodzinne strony. Po drodze przesłałem rzecę modlitwę wdzięczności. Chociaż Bóg obdarzył mnie dziwnymi, zadającymi ból rodzicami, zrównoważył to najwspanialszymi pod słońcem bratem i siostrą. Podróż przez świat nie powiodłaby mi się bez nich, ani też w ogóle bym jej nie pragnął.

W piątek, kiedy miał się pojawić na Charleston Bridge, Luke złożył jeszcze ostatnią, sentymentalną wizytę wyspie, na której wychował się w domku nad Colleton River. Stał nad fundamentami tego domu, kiedy celnym strzałem zabił go jeden z dawnych Zielonych Beretów, wynajęty do wytropienia mego brata. Luke nie spotkał się zgodnie z umową na moście z pułkownikiem Brysonem Kelleherem, aby mu się poddać, wiadomość o tym, co zaszło, przekazał mi J. William Covington, który zadzwonił na Sullivans Island w sobotę.

Po pogrzebie wzięliśmy z Savannah ciało Luke'a, wywieźliśmy daleko poza strefę trzech mil i powierzyliśmy Golfsztromowi, który tak ukochał. Po tym, jak przerzuciliśmy przez burtę obciążoną balastem trumnę, Savannah odczytała wiersz, który napisała ku czci Luke'a. Nosił tytuł Książę przyptywów.

Kiedy przebrzmiało ostatnie słowo, zawróciliśmy do Charlestonu, wiedząc, że do końca życia będziemy się uczyć, jak się obyć bez Luke'a. Mieliśmy całe lata na to, żeby rozpadać się wewnętrznie i robić to z klasą.

Pozostało jeszcze kilka rzeczy do opowiedzenia.

Trochę czasu zabrało, zanim opowiedziałem Susan Lowenstein o Luke'u, a słowa znajdowałem z trudem, chociaż łatwiej przychodziło wyznać to kobiecie, którą kochałem, która każdego dnia szeptała, że mnie kocha. Rozbudziła we mnie coś, co nazbyt długo pozostawało uśpione. Nie tylko

znowu poczułem pasję życia, wróciła też nadzieja i zniknęły wszystkie ostrzeżenia przed burzami w niebezpiecznych sferach pamięci.

Lato spędziłem na pisaniu pełnych miłości listów do córek i żony. Bardzo tęskniłem za dziewczynkami i samo wspomnienie ich imion napędliało mnie bólem. One jednak nie potrafiły usunąć mnie ze swego życia i to chyba Sallie brakowało mi najbardziej. W listach do niej występował jeden stały temat: nikt lepiej ode mnie nie rozumiał, dlaczego musiała poszukać miłości poza domem. Rozżalony, rozgoryczony, uczyniłem z żony osobę zupełnie obcą, przygodną czy - co najokrutniejsze - wdowę w domu przepełnionym smutkiem. Chłopak z wyspy, Tom Wingo, odciął się od wszystkich, którzy go kochali, i puścił w długą wyprawę autodestrukcji. Napisałem Sallie, że jej romans z doktorem Clevelandem pokazał mi, iż nadal wrażliwe są te miejsca, które zostały porażone przez śmierć brata. Przestałem nurzać się w rozżaleniu nad sobą i odezwał się we mnie wojownik. Zrozumiałem, że wstępem do wybawienia może być pocałunek Judasza i że zdrada może być niekiedy aktem miłości. Usunąłem Sallie z serca, więc do swojego przyjął ją Jack Cleveland. Nie byłem z tego powodu szczęśliwy, oznajmiłem jednak Sallie, że rozumiem ją znakomicie. Odpowiedziała mi kobieta zraniona i pełna wątpliwości. Napisała, że potrzebuje czasu, dałem go jej więc i cierpliwie czekałem na decyzję. Nigdy nie przyszło mi nawet do głowy, że to ja będę musiał zdecydować i że opuszczając Nowy Jork, będę odczuwał coś innego niż radość.

Na ostatnie dwa tygodnie sierpnia Susan Lowenstein wynajęła domek na wybrzeżu Maine, opowiadałem jej więc o śmierci Luke'a, mając przed oczyma dzikie, zimne fale Atlantyku uderzające o obojętne skały. Przedstawiłem jej wszystko, mówiłem, jak życie, w którym nie ma już miejsca dla brata, straciło dla mnie wszelką wartość. W tej krainie, która każdej zimy oczyszczała się pod przykryciem śniegu, sławiłem mego brata i raz jeszcze oplakiwałem jego śmierć, a dookoła trwało zielone piękno lata w Maine. Przeszliśmy przez wszystkie szare elementy mych zadłużeń i bólu. Nie potrafiłem oszacować kosztów miłości do rodziny - tak głębokiej, a zarazem pełnej zimnej furii.

Kiedy doszedłem do momentu pochowania Luke'a w morzu, Susan trzymała mnie w ramionach, gładziła po włosach i osuszała łzy. Opowieści o Luke'u wysłuchiwała niejako psychiatra, lecz jako moja kochanka, towarzyszka, najlepsza przyjaciółka. Przez dwa tygodnie kochaliśmy się tak, jak gdybyśmy przez całe dotychczasowe życie czekali na chwilę, aż padniemy sobie w ramiona. Każdego dnia szliśmy na długi spacer wzdłuż morza, zbieraliśmy kwiaty i jagody, wykopywaliśmy kraby, aż wreszcie

odwracała się do mnie, przeciągała palcami po plecach i szeptała: „Wracajmy do domu, żeby się kochać i opowiadać o wszystkim, co zdarzyło się w świecie”. Tak wspaniale było jej o tym mówić.

Ostatniego wieczoru w Maine siedliśmy na skale, okryci kocem. Księżyc zasał ocean srebrzystą narzutą, niebo było rozgwieżdżone i czyste.

- Czy nie zatęskniłeś za miastem, Tom? - spytała, całując mnie w policzek. - Ja jestem już zmęczona tym spokojem, ciszą, pięknem, wspaniałym jedzeniem i cudownym seksem.

Roześmiałem się i spytałem:

- Gdybyśmy zostali razem, doktor Lowenstein, to czy będę musiał stać się żydem?

- Oczywiście, że nie - odrzekła. - Przecież Herbert nim nie jest.

- Słuchaj, mi to nie przeszkadza - powiedziałem. - Każdy w mojej rodzinie to robi. Nie zapominaj o Renacie.

- Czy to nie dobra zapowiedź tego, czym mogłoby być nasze życie razem? Przyszłych atrakcji.

Przez chwilę nic nie odpowiadałem, albowiem wspomnienia żony i córek zajaśniały w ciemności niczym skierki.

- Zanim cię spotkałem, byłem trupem, chociaż nic o tym nie wiedziałem, Susan.

- Tak bardzo lubię, jak mówisz do mnie Susan, szczególnie kiedy się kochamy. Czuję się znowu piękna.

- Po powrocie muszę się zobaczyć z Savannah - rzekłem po chwili.

- Teraz już czas - powiedziała. - Dla was obojga.

- Muszę jej coś powiedzieć. Jest wiele osób, którym muszę coś powiedzieć.

- Boję się myśleć o tym, co się zdarzy, kiedy Sallie zadzwoni i powie ci, żebyś wracał do domu.

- Skąd wiesz, że będzie chciała mojego powrotu?

- Sądzę po sobie samej. Nie mogę doczekać się chwili, kiedy będziemy już w domu, zrzucimy ubrania i opowiemy sobie o wszystkim, co się wydarzyło w świecie.

- Posłuchaj, Susan - powiedziałem, odwracając się, aby ją pocałować. - Jest jeszcze wiele innych możliwości, na przykład miłość al fresco, - I zacząłem rozpinąć jej koszulę.

Savannah wydawała się zdziwiona moim widokiem, kiedy pielęgniarka wprowadziła ją na salę wizyt. Trochę niezgrabnie mnie pocałowała, ale przycisnęła mocno i powiedziała:

- Pozwolili ci.

- Lowenstein daje ci przepustkę na jeden dzień. Na mnie spadnie całkowita odpowiedzialność, jeśli skoczysz z Empire State Building z połówką salta do tyłu.

- Postaram się kontrolować - powiedziała z uśmiechem.

Zabrałem ją do Muzeum Sztuki Współczesnej, gdziebyła wystawa zdjęć Alfreda Stieglitza i malarstwa Georgii O'Keeffe. Przez pierwszą godzinę rozmawialiśmy bardzo mało i tylko kroczyliśmy obok siebie z galerii do galerii. Zbyt wiele czasu, zbyt wiele krwi rozlało się w zakolach wspólnej przeszłości. Tyle lat zrabował nam bezwzględny los, iż teraz każde z nas lękało się odezwać przedwcześnie. Pierwsze pytanie całkiem mnie zaskoczyło.

- Wiesz o Renacie Halpern? - spytała, gdy zatrzymaliśmy się przed fotografią nowojorskiej sceny ulicznej.

- Mhm - mruknąłem.

- Kiedyś wydało mi się to dobrym rozwiązaniem. Nie byłam wtedy w dobrej formie.

- Szukałaś ucieczki - powiedziałem. - Każdy to może zrozumieć. A zwłaszcza ja.

- Doprawdy? - spytała z odcieniem irytacji w głosie. - Ty zostałeś na Południu.

- Czy wiesz, czym dla mnie jest Południe?

- Nie - skłamała.

- To pokarm duszy. Nic na to nie poradzę, taki już jestem.

- Południe jest nędzne, tanie i zacofane - oznajmiła. - Życie na Południu to wyrok śmierci.

Odwróciłem się od zdjęcia młodej i pięknej Georgii O'Keeffe.

- Mówię to, co czuję, Savannah. Rozmawialiśmy na ten temat już chyba z tysiąc razy.

Uścisnęła moją dłoń.

- Tanio się sprzedałeś. Mogłeś być kimś więcej niż tylko nauczycielem i trenerem.

Od wzajemnie jej uścisk.

- Posłuchaj mnie, Savannah. Żadne słowo nie budzi we mnie większego szacunku niż „nauczyciel”. Powtarzam: żadne. W sercu mi gra, gdy dzieciaki zwracają się do mnie jako do swego nauczyciela. To zaszczyt dla mnie i całej rodziny, że nim zostałem.

Savannah przyjrzała mi się uważnie.

- To dlaczego nie jesteś szczęśliwy, Tom? - Z tego samego powodu co ty.

Weszliśmy do sali Moneta, usiadłem na ławce pośrodku i wpatrzyłem się w płótna pełne lilii i stawów. Było to dla Savannah najulubieńsze miejsce na świecie i zawsze tu przychodziła, aby wprawić się w lepszy nastrój.

- Lowenstein niedługo zwolni cię do domu - oznajmiłem.

- Chyba już jestem gotowa - rzekła.

- Gdybyś znowu postanowiła się oddalić, daj mi znać.

- Być może jeszcze długo będę musiała pozostać z daleka od was wszystkich - powiedziała.

- Będę cię kochał, cokolwiek zrobisz, ale nie mogę znieść myśli o świecie bez ciebie.

- Czasami mi się wydaje, że świat bez mnie byłby znacznie lepszy - westchnęła, a smutek w jej głosie poruszył jakieś głębokie struny w mej duszy.

- Od chwili śmierci Luke'a ani razu nie wymówiliśmy jego imienia - zauważyłem i znowu ująłem jej dłoń.

Oparła mi głowę o ramię i głosem pełnym zmęczenia i lęku poprosiła: - Jeszcze nie teraz, Tom, błagam.

- Czas już - zaoponowałem. - Kochaliśmy Luke'a tak bardzo, że zapomnieliśmy, jak kochamy się nawzajem.

- Coś się we mnie rozpadło - powiedziała zduszonym głosem. - Coś, czego nie można zebrać.

- A ja wiem, co może to zebrać - powiedziałem i wskazałem na senne, nieśmiertelne kwiaty Moneta unoszące się na zimnych wodach Giverny. Savannah podniosła wzrok, a ja ciągnąłem: - Twoja sztuka. Możesz napisać piękne wiersze o naszym bracie. I to tylko ty możesz nam przywrócić Luke'a.

Zaczęła płakać, ale widziałem w tym ulgę.

- On jednak nie żyje, Tom - wykrztusiła.

- Ponieważ nie pisałaś o nim od chwili śmierci. Zrób z Lukiem to, co Monet zrobił z kwiatami. Dzięki sztuce przywróć go nam. Niech cały świat pokocha Luke'a Wingo.

Tego popołudnia zadzwoniła Sallie i doszło do rozmowy, której tak lękała się Susan i której ja tak się lękałem! Chciała coś powiedzieć, ale głos jej się załamał.

- Co się stało, Sallie? - spytałem.

- Miał romans jeszcze z dwiema innymi kobietami. Ja już chciałam cię zostawić i namówić go, żeby się przeprowadził do mnie i dziewczynek, a on w tym czasie pieprzył się z dwiema innymi.

- To ta kolekcja brytyjskich motocykli - powiedziałem. - Fajki to nieszkodliwe hobby, ale kiedy mężczyzna zaczyna kolekcjonować motocykle, widać, że jest coś nie w porządku z jego ego.

- Kochałam go, Tom - wyznała. - Nie chcę cię okłamywać.

- Twój gust co do mężczyzn był zawsze odrobinę podejrzały.

- Czuję się zniesmaczona, wykorzystana i zgwałcona. Powiedział mi na odchodne kilka wstrętnych rzeczy.

- Czy mam go złać?

- Nie, oczywiście, że nie. Skąd taka propozycja?

- Ja chciałbym to zrobić i to na twoich oczach.

- Powiedział, że jestem za stara na to, aby poważnie mówić o małżeństwie. Jedna z jego kochanek ma dziewiętnaście lat.

- Głębia uczuć chyba nie jest jego specjalnością.

- A co z nami, Tom? - spytała. - Co dalej? Twoje listy były piękne, ale będąc tobą, nigdy bym sobie nie wybaczyła.

- Muszę ci coś opowiedzieć o doktor Lowenstein, Sallie.

Czekałam, aż Susan wyjdzie z budynku, gdzie miała gabinet. Zastanawiałem się nad właściwymi słowami, ale jeszcze ich nie znalazłem, gdy zobaczyłem ją na schodach z ciemnego piaskowca. Dostrzegła mnie po drugiej stronie ulicy, opartego o lampę. Jak zawsze poruszyła mnie jej uroda, ale to głównie jej delikatność sprawiała, że serce się we mnie skurczyło. Kiedy spróbowałem coś powiedzieć, popłynęły łzy. Nigdzie nie było poradnika, jak uczciwie żegnać się z Susan Lowenstein. Zobaczyła, co ze mną się dzieje, i biegnąc przez ulicę, wołała z daleka:

- Nie, Tom. Nie. Tak nie wolno, Postawiła walizeczkę na chodniku i zarzuciła mi ręce na szyję. Walizka otworzyła się i papiery rozsypały się na trotuar, spływając pod koła samochodów. Otarła mi jedną łzę, drugą scałowała.

- Wiedzieliśmy, że nadejdzie taki dzień. Mówiliśmy o tym. Jedną z tych rzeczy, które w tobie kocham, Tom, jest twoje bezgraniczne przywiązanie do rodziny, Do cholery z rodziną. Do cholery z Sallie, która pokochała cię, zanim ja to zrobiłam.

Te słowa mnie dobiły i jeszcze głośniejszym głosem wtulony w jej ramię. Pogładziła mnie po głowie i dodała:

- Muszę sobie znaleźć jakiegoś fajnego żydowskiego chłopaka. Wy, geje, zawsze mi coś wykręcicie.

I poprzez łzy oboje ryknęliśmy śmiechem.

Była w swoim mieszkaniu, siedziała na krześle i patrzyła przez okno na Bleecker Street Miała wyblakłe włosy, ciało opuchnięte. Nie odwróciła się,



kiedy wszedłem do pokoju. Spakowałem się poprzedniego wieczoru i moje rzeczy czekały w kuchni. U kwiaciarza na Eighth Avenue kupiłem bukiet gardenii. Ułamałem teraz jedną, podszedłem i wpiąłem siostrze we włosy, a potem zadałem stare pytanie:

- Jakie było twoje życie rodzinne Savannah?

- Hiroszima.

- A jak wyglądało twoje życie po tym, jak porzuciłaś swą cudowną rodzinę?

- Nagasaki - powiedziała, nadal nie odwracając głowy.

- Jak nazywa się poemat, który napisałaś na cześć swojej rodziny?

- Historia oświęcimska - odrzekła z lekkim uśmiechem.

- A teraz najważniejsze pytanie. - Nachyliłem się nad nią i powąchałem gardenię. - Kogo kochasz najbardziej na świecie?

Przyciągnęła mnie tak, że zobaczyłem łzy toczące się po jej twarzy, i szepnęła:

- Mojego brata, Toma Wingo. Mojego cudownego bliźniaka. Przepraszam za wszystko.

- Wszystko jest w porządku, Savannah - mruknąłem. - Znowu jesteśmy przy sobie. Mamy dużo czasu na to, żeby wspólnie odbudować to, co teraz jest w ruinie.

- Przytul mnie, Tom. Przytul mnie mocno.

Kiedy byłem już gotów do rozstania z siostrą, wyniosłem bagaże do przedpokoju, gdzie czekał Eddie Detreville chętny do pomocy. Objąłem go, ucałowałem w policzek i oznajmiłem, że rzadko można spotkać tak wielkodusznego i kochanego człowieka. Potem obróciłem się, aby po raz ostatni pożegnać się z Savannah. Ze swego krzesła pozdrowiła mnie i spytała:

- Myślisz, że udało nam się przetrwać, Tom?

- Jeśli chodzi o mnie, tak, co do ciebie, nie jestem pewien.

- Zdolność przetrwania. To dała ci nasza rodzina. Podszedłem, ucałowałem ją raz jeszcze, a kiedy wyprostowałem się z torbami w rękach, powiedziałem:

- Ale tobie dała coś o wiele ważniejszego.

- O! - wykrzyknęła z przekąsem. - A co takiego?

- Geniusz.

Tego wieczoru spoglądaliśmy na miasto z wysoka, gdyż na pożegnalny posiłek Susan zabrała mnie do „Windows of the World”. Kiedy tam dotarliśmy, słońce schowało się już za horyzontem i tylko różowa koronka obrębiała przysiadłe na nim chmury. Pod nami rozpościerało się bezgłośnie

miasto całe z ognia i kryształu. Nowy Jork nigdy nie jest taki sam. Na całym Bożym świecie nie było nic piękniejszego od widzianego z góry nocnego Manhattanu.

Próbując wina, spytałem:

- Co dzisiaj zamówisz do jedzenia, Susan?

Przez chwilę przypatrywała mi się, a potem odrzekła:

- Coś szkaradnego. Ani myślę przyozdabiać smakowitym rarytasem wieczoru, kiedy żegnasz się ze mną na zawsze.

- Wracam do Karoliny - powiedziałem i sięgnąłem po jej dłoń. - Tam jestem naprawdę u siebie.

- Sam decydujesz o tym, gdzie jesteś u siebie. - Jej oczy powędrowały nad miastem. - Postanowiłeś, że nie tutaj.

- Czemu tak trudnym czynisz przyjacielskie rozstanie?

- Bo chciałabym, żebyś został ze mną, Tom. Sądzę, że mnie kochasz, i jestem pewna, żeja Kocham ciebie. Chyba moglibyśmy być ze sobą szczęśliwi do końca życia.

- Nikogo nie potrafię uszczęśliwić do końca życia.

->- Wszystko, co mówisz, to tylko wymówka, aby nie zostać ze mną. - Raptownie sięgnęła po menu i zaczęła je studiować, aby uniknąć mojego wzroku. Po chwili mruknęła: - Co tu jest najbardziej obrzydliwe? To chcę zamówić.

- Zobacz, czy czasem nie mają wieprzowej kiszki stolcowej w cieście francuskim - poradziłem.

- Nawet nie staraj się mnie dzisiaj rozśmieszać - ostrzegła schowana za menu. - Nie wtedy, kiedy opuszczasz mnie dla innej kobiety.

- Tak się składa, że to moja żona.

- Dlaczego pozwoliłeś, żeby sprawy między nami zaszły tak daleko, skoro wiedziałeś, że ostatecznie i tak wrócisz do Sallie?

- Nie wiedziałem - odparłem. - Sądziłem, że będziemy mogli zostać na zawsze.

- Więc co się stało?

- Zadziałała jedna z najważniejszych cech mego charakteru. Nie mam odwagi, aby porzucić żonę i dzieci, a nowe życie rozpocząć z tobą. Nie potrafię i musisz, mi to wybaczyć, Susan. Jest we mnie taka cząstka, która pragnie cię tak, jak niczego innego na świecie. Ale inna cząstka wzdraga się przed jakimikolwiek istotnymi zmianami w życiu. I ta druga jest silniejsza.

- Przecież mnie kochasz, Tom - powiedziała.

- Nie wiedziałem, że można być zakochanym w dwóch kobietach naraz.

- Wybierasz jednak Sallie.

- Wybrałem wierność swojej historii. Gdybym był odważniejszy, potrafiłbym postąpić inaczej.

- Co takiego mam zrobić, żeby cię zatrzymać przy sobie? - zapytała z pasją. - Powiedz mi, proszę. Nie znoszę błagać o cokolwiek, ale tym razem gotowa jestem nawet do takiego poniżenia. Powiedz!!!

Odrzekłem z przymkniętymi oczyma:

- Spraw, bym urodził się w Nowym Jorku. Pozbaw mnie przeszłości. Odbierz mi wszystko, co poznałem i pokochałem. Nie pozwól mi spotkać Sallie i mieć z nią córek. Usuń moją miłość do niej.

Uśmiechnęła się i mruknęła:

- Myślałam, że może uda mi się zmienić twoją decyzję, wzbudzając w tobie poczucie winy wobec mnie.

- Co to za bezwzględna nacja, psychiatrzy.

- Gdyby coś się nie układało między tobą i Sallie...

Zawiesiła głos, nie kończąc zdania.

- Wtedy usłyszysz, jak skomlę pod drzwiami budynku na Central Park West. Co to za idiotyzm, doktor Lowenstein, że w tej chwili kocham cię bardziej, niż kiedykolwiek kochałem Sallie.

- Więc zostań ze mną, Tom.

- Muszę spróbować, czy z ruin nie uda się odbudować czegoś pięknego - powiedziałem, patrząc jej prosto w oczy. - Nie wiem, czy mi się to uda, ale przynajmniej muszę spróbować. To właśnie powiedziałem dzisiaj Savannah.

- Skoro mowa już o ruinach, to dzisiaj zadzwonił Herbert - powiedziała i gestem ręki odprawiła kelnera, który chciał przyjąć zamówienie. - Błaga, aby dać mu jeszcze jedną szansę. Twierdzi, że zerwał nawet z Monique.

- A czy nie masz przypadkiem pod ręką numeru jej telefonu?

- To nie jest śmieszne nawet według waszych burleskowych standardów.

- Atmosfera jest mniej więcej jak z tytanu, więc chciałem uczynić ją odrobinę lżejszą.

- Wcale mi na tym nie zależy. Czuję się okropnie i mam prawo nurzać się w rozżaleniu.

- Podoba mi się obraz Herberta błagającego. Niełatwo musiało mu to przyjść.

- I niezbyt dobrze mu wychodzi. Poinformowałam o naszym romansie. Nie może pojąć, jak mogłam szukać pocieszenia w ramionach kogoś takiego jak ty.

- Powiedz mu, że mam imponujący rozmiar genitaliów - mruknąłem z lekką poirytowany. - Albo że podczas stosunku niecznie chwytam się różnych trenerskich sztuczek.

- Powiedziała, że w łóżku było nam wspaniale - oznajmiła, a jej wzrok znowu poszybował nad miastem. - Że byliśmy rozpaleni do białości.

- Coś jak opowieść o hucie - burknąłem.

- Żebyś wiedział, z jaką przyjemnością mu dopiekałam. Tom, a ty opowiedziałeś Sallie o nas?

- Tak - odparłem.

- Wykorzystałeś mnie, Tom, to wszystko.

- Zgoda. Wykorzystałem cię, Susan. Ale dopiero wtedy, kiedy cię pokochałem.

- Gdybyś lubił mnie naprawdę, Tom...

- Nie „lubił”. Jestem tobą zachwycony, odmieniłaś całe moje życie. Po raz pierwszy od wielu lat czuję się pełnowartościowym mężczyzną. Atrakcyjnym. Wrażliwym. Pomogłaś mi przyjrzeć się wszystkiemu, a zarazem myśleć, że w ten sposób pomagam swojej siostrze.

- Więc tak się kończy ta opowieść. - Pokiwała głową.

- Chyba tak, doktor Lowenstein.

- To przynajmniej niech ta ostatnia noc będzie pamiętna - powiedziała, ujęła moją dłoń i ucałowała jeden po drugim koniuszki palców, podczas gdy budynek leciutko zachybotał się pod uderzeniem wiatru od północy.

Po kolacji udaliśmy się do „Rainbow Room” w Rockefeller Center, gdzie wnieśliśmy toast szampanem. Ucałowałem ją, pod nami leżało miasto, Atlantyk wlewał swe wody do Hudsonu, a moja siostra znowu spała w swym mieszkaniu przy Grove Street. Noc spędziliśmy w Plaza Hotel, przez całą noc kochając się i rozmawiając. Nie mieliśmy żadnych planów na przyszłość - pozostało nam tylko osiem godzin.

Na La Guardia pocałowałem ją mocno, a potem odwróciłem się raptownie i ruszyłem do odprawy. Zawołała mnie i odwróciłem się:

- Tom, pamiętasz mój sen? Jak tańczymy podczas śnieżycy?

- Nigdy go nie zapomnę.

Teraz to Susan płakała, a rozstając się z nią, czułem się jak morderca - Obiecay mi coś, trenerze. Obiecay mi, że kiedy wrócisz już do tej swojej Karoliny Południowej, przyśnię ci się chociaż raz. Obiecay mi.

\* \* \*

W rok po nowojorskim lecie pojechałem sam do Atlanty, aby odebrać ojca, który wychodził z więzienia federalnego. Chciałem mu dać trochę czasu, aby pozbierał się w sobie, zanim stanie w obliczu miłości zdewastowanej rodziny, która nie bardzo wiedziała, jak witać go w domu.

Nikt z nas nie wiedział, jak teraz będzie wyglądać życie ojca, kiedy stracił tyle czasu i wigoru. Schudł, twarz mu się wydłużyła. Towarzyszyłem mu, gdy odbierał swoje rzeczy osobiste, a strażnik wypisywał mu dokument zwolnienia. Na koniec powiedział, że będzie tęsknił za ojcem i w ogóle powinno być więcej takich więźniów jak Henry Wingo.

- To jedyne, co mi się udało w życiu - skwitował te słowa ojciec. - Dobra odsiadka w więzieniu.

Obejrzelśmy mecz Braves, noc spędziliśmy w Hyatt Regency. Nazajutrz wyruszyliśmy wcześniej, jadąc do Charleston bocznymi drogami, bez pośpiechu, ostrożnie badając swoje nastroje, szukając dobrych, bezpiecznych słów i unikając niezręcznych tematów.

Postarzał się, ale nie inaczej było ze mną. W jego twarzy widziałem twarz Luke'a. Kiedy wpatrywał się ukradkiem w moją, wiedziałem, że odnajduje rysy matki. Mówiliśmy o sporcie i trenerce. Długie sezony futbolowe, koszykarskie i baseballowe wyznaczały klarowne cezury w czasie, dostarczając ojcu i synowi jedyne języka miłości, jaki mógł między nimi funkcjonować.

- Bravesom brakuje już tylko czterech gier, żeby wygrać ligę - oznajmiłem, kiedy przekraczaliśmy Savannah River.

- Niekro musi się ostro wziąć do roboty, żeby mieć jakąkolwiek szansę. Jeśli piłka mu wyjdzie, nie ma takiego w całej lidze, kto by ją chwycił - powiedział ojciec, ale pod powierzchnią słów wyczuwałem niewysłowny krzyk, krzyk wysiłku, aby przekazać synowi całą potęgę swej miłości. Wyczułem to i doceniłem.

- Będiesz miał w tym roku dobry zespół? - spytał.

- Chyba spróbujemy zaskoczyć niektórych - odparłem. - Może pomógłbyś mi trenować bocznych.

- Bardzo chętnie.

Wjeżdżaliśmy na podwórko za domem na Sullivans Island, kiedy od frontu pojawiła się Savannah, która niedawno przybyła z Nowego Jorku. Z domu wybiegły dziewczynki i nieśmiało zbliżyły się do dziadka.

- Uważajcie - uprzedziłem. - On bije.

- Nieprawda, nie wierzcie mu. Chodźcie i pocałujcie dziadka.

Głos miał zmęczony, matowy, a mnie zrobiło się przykro, że powiedziałem to, co powiedziałem.

W drzwiach stanęła Sallie - szczupła, ciemnowłosa, opalona i poważna. Podbiegła do ojca, zarzuciła mu ręce na szyję, a kiedy poderwał ją w powietrze i zaczął kręcić się wkoło, łzy popłynęły jej po policzkach.

- Witaj w domu, tato - powiedziała.

Teraz z domu wyszła Savannah. Rzucili się ku sobie, a kiedy tak biegli z wyciągniętymi ramionami, poczułem, jak w jakimś najgłębszym miejscu mej duszy drży coś instynktownego, należącego do uposażenia gatunku, trudnego do wysłowienia, przecież jednak wysławialnego, skoro daje się odczuć. To nie łyzy Savannah czy ojca wyzwoliły we mnie tę gorącą muzykę krwi, dzikości, tożsamości. Doświadcziałem piękna i trwogi pokrewieństwa, siły więzów rodzinnych, rozbrzmiewały we mnie dźwięki czulego przerażenia i bojaźliwej miłości. Oto ojciec, który dał nam obojgu życie i był źródłem tak wielu wylanych przez nas łez, sam teraz płakał, z głębi duszy i bez wstydu. Łzy to woda, słona woda, a ja wiedziałem, że legł za ojcem cały ocean, i czułem własne łzy, gdyż i ze mnie wylewał się na światło słoneczne ocean bólu, widząc mnie zaś płaczącego, płakały także moje córki. Historia mojej rodziny to opowieść o słonej wodzie, łodziach i krewetkach, łzach i burzy.

Oto moja siostra bliźniaczka, piękna i wyniszczona, jej oznaczone bliźniami przeguby na mej szyi, oczy zamglone od wypełniających życie wizji i od poszukiwania języka dostatecznie mocnego, aby je wyrazić, aby nocne zmory i przerażenie zamienić w wiersze, które wryły się w świadomość tego czasu, aby smutek przemienić w życiodajne piękno. Oto moja żona, którą ślub wprowadził do tej rodziny i która musiała zdobyć się na tolerancję wobec bogatego grona demonów familijnych, a zrobiła to dlatego, że mnie kochała, aczkolwiek nie potrafiłem odpowiedzieć na miłość ze strony kobiety, a nawet nie umiałem sprawić, by poczuła się kochana, upragniona i potrzebna. A wszystko to na przekór mojej chęci, aby to właśnie dać jej przede wszystkim. Oto moje Córki, które pragnąłem obdarzyć miłością doskonałą, aczkolwiek nie związaną ze mną, gdyż chciałem, aby w niczym nie były do mnie podobne - aby nie zaznały takiego jak ja dzieciństwa, nigdy nie zostały przeze mnie uderzone, nie bały się chwili gdy się do nich zbliżam. Marzyłem o tym, aby zapewnić im takie dzieciństwo, jakiego sam nie doświadczyłem. Zamarzyłem, aby dla nich zmienić świat.

Późnym popołudniem załadowaliśmy do mikrobusu chłodziarkę pełną napojów i kosz z wiktuałami i pojechaliśmy w kierunku Charlestonu. Wykręciliśmy w kierunku przystani krewetkowej nad Snem Creek, a ja zatrzymałem się przy jedynej łodzi w zasięgu wzroku.

- Wiesz, jak sobie poradzić z czymś takim? - spytałem ojca, wskazując łódkę.

- Nie, ale chyba szybko potrafiłbym się nauczyć.

- Zarejestrowana jest na nazwisko kapitana Henry'ego Wingo. Prezent powitalny od mamy.

- Nie mogę go przyjąć.

- Pisałeś, że chcesz wrócić na rzekę, a mama chciała zrobić gest. Myślę, że nie najbrzydszy.

- Piękna łajba - pokiwał głową ojciec. - Jaki w tym roku sezon, dużo się łowi?

- Dobrzy łowią dużo - odrzekłem. - Dopiero za miesiąc zaczynam treningi, więc mogę ci pomagać, dopóki nie najmiesz sobie kogoś innego.

- Sześć centów od funta - oznajmił ojciec.

- Figa. Dziesięć centów, robocizna kosztuje teraz więcej.

Uśmiechnął się i powiedział: - Podziękuj matce.

- Chciałaby się z tobą zobaczyć - poinformowałem.

- Nie chcę o tym słyszeć.

- Nie ma co się zarzekać, tato, zobaczymy, co czas przyniesie. A teraz zawieź nas na Wando River.

Na główny tor wodny Charleston Harbor wypłynęliśmy godzinę przed zachodem słońca, w rozedrganym świetle i pełnym zapachów powietrzu wielkiego miasta wyraźnie słychać było dzwony w kościele św. Michała, Ojciec przepłynął pod olbrzymimi stalowymi żebrami obu mostów na Cooper River, potem minęliśmy zmierzający na pełne morze frachtowiec załadowany w North Charleston. Wszyscy machaliśmy rękami, a niewidoczny kapitan pozdrowił nas dźwiękiem syreny. Przez prawą burzę zrobiliśmy zwrot do Wando River, a przytył był tak wysoki, że ojciec ani razu nie musiał korzystać z map nawigacyjnych. Po jakiejś mili zobaczyliśmy wielkie rozlewisko w zakolu rzeki, w pobliżu nie było żadnych zabudowań.

- Chyba już czas, Tom - rzekła Sallie, zaglądając do sterówki.

- Czas na co? - spytał ojciec.

- Powitalna niespodzianka dla ciebie i Savannah - oznajmiła Sallie i spojrzała na zegarek.

- Mamo, jaka niespodzianka? - dopytywały się córki.

Pływaliśmy w ciepłej, przejrzystej wodzie, do której skakaliśmy z dziobu. Po kąpieli zjedliśmy kanapki i wypiliśmy szampana, wznosząc toast za powrót ojca. Patrzyłem, jak Savannah bierze ojca za rękę i idzie wraz z nim na przód łodzi.

Chciałem znaleźć jakąś odpowiednio uroczystą formułę, ale żadne słowa nie przychodziły mi do głowy. Nauczyłem się wsłuchiwać w ciemne głosy serca, ale nauczyłem się też paru rzeczy, które dobrze mi służyły. Nadeszła



chwila, gdy bezpiecznie skupiła się wokół mnie rodzina, a ja modliłem się, aby nigdy już nic jej nie zagroziło i abym cieszył się z tego, co mam. Ukształtowało mnie Południe, Panie, błagam cię jednak, abys zechciał pozostawić mi to, co mam. Jestem nauczycielem i trenerem, Panie, i nie chcę niczego więcej. Ale te ciemne głosy, Panie, ciemne głosy. Kiedy rozbrzmiewają we mnie, ogarnia mnie podziw i zadziwienie. Słyszę je i chciałbym wyśpiewać moje sny. Kiedy nadchodzą, czuję anioła płonącego w mym oku niczym róża, a kantyczki najsubtelniejszej pochwały unoszą się z głębin duszy, gdzie rozpała się tajemna ekstaza.

W nocy nadpływa ku mnie, śpiewając w rzece czasu, biały morświn w olśniewającej świetle tysiąca delfinów, a wszystkie przynoszą charyzmatyczne pozdrowienie od Księcia przypływów i zgodnie powtarzają: Wingo, Wingo, Wingo. I to wystarczy, Panie. Wystarczy.

- Już czas, Tom - rzekła Sallie i pocałowała mnie w usta.

Cała rodzina zgromadziła się, aby obserwować koniec dnia.

Ogromne, czerwone słońce zaczęło się zapadać na zachodzie i jednocześnie po przeciwnej stronie rzeki wynurzył się księżyc obleczony we własny odcień czerwieni, by wzbijać się ponad drzewa niczym bladeognisty ptak. Słońce i księżyc jakby nawzajem się pozdrowiały, w zgodnym tańcu światła poruszając się za, przesłoną dębów i palm.

Ojciec stał zapatrzony i pomyślałem, że zaraz się rozplacze. Po latach więzienia powrócił nad morze, w krainę, do której należał sercem i duszą. Dzieci krzychały, na przemian wskazując to na słońce, to na księżyc.

- Jutro będzie dobra pogoda na krewetki - powiedział ojciec.

Savannah objęła mnie w pasie. Poszliśmy na rufę.

- Cudowna niespodzianka, Tom.

- Przypuszczałem, że ci się spodoba.

- Susan przesyła pozdrowienia. Ma teraz przyjaciela prawnika.

- Pisała mi - mruknąłem. - Świetnie wyglądasz, Savannah.

- Teraz dam już sobie radę, Tom. - Spojrzała na słońce, potem księżyc i powiedziała: - Wszystko powraca, Tom. W jednym wielkim kole.

Obróciła się i wpatrzona w księżyc, wyższy teraz i srebrzysty, wzniosła się na czubki palców, wyrzuciła w górę ręce i zawołała jasnym, śmiałym głosem:

- Mamo, jeszcze raz!

Tymi słowami Savannah wszystko powinno się zakończyć, ale chciałbym jeszcze coś dodać.

Każdego wieczoru po zakończeniu treningu wracam do domu ulicami Charlestona swym volkswagenem odsunawszy w nim dach. Jest już ciemno,

rzeński wiatr jesienny rozwiewa mi włosy. Kiedy pod gwiazdami wjeżdżam na most, spoglądam na północ i marzę, by każdemu mężczyźnie i każdej kobiecie dane były dwa życia. Za mną Charleston wibruje w zimnych eliksirach jego niepochwytnej piękna, przede mną żona i dzieci czekają na mój powrót. W ich oczach wyczytuję swe rzeczywiste życie i przeznaczenie. W tej jednak chwili pogrążam się w życiu sekretnym i na szczycie mostu szeptem wygłaszam modlitwę, przeprosiny, pochwałę. Nie potrafiłbym wam wyjaśnić, dlaczego to robię, ale każdego wieczoru, kiedy zmierzam do swego południowego domu i południowego życia, szepczę: „Lowenstein, Lowenstein”.

RS

RS